Polowanie na łabędzia

Kai Shouri

Rozdział I: W czerni, w niepamięci

Kawa niezależnie od realiów zawsze smakowała tak samo; wziął krótki łyk, by cisza nie wydawała się tak niezręczna, znad filiżanki obserwując młodą kobietę siedzącą po drugiej stronie stolika.

– Zawsze nosisz czerń, to twój ulubiony kolor? – zagadnęła wesoło.

Zacisnął wargi. *Nie wie*. Bądź uprzejmy i empatyczny, ona po prostu próbuje dalej prowadzić rozmowę, nic więcej.

– To żałoba – odpowiedział krótko, ale bez urazy w głosie, odkładając filiżankę na spodek.

– Przepraszam.

Była drobna, wręcz eteryczna, mówiła z mocnym, monachijskim akcentem, który tylko nadawał jej uroku, a jej oczy przypominały mu niebieskie migdały.

– Nie przepraszaj – mruknął, westchnął lekko. – Chyba trochę za długo już w tym tkwię, wybacz. Jakoś... ciężko mi pogodzić się z przeszłością, ale chyba czas iść dalej...

Annika przekrzywiła lekko głowę, uśmiechnęła się smutno.

– Kobieta? – zaryzykowała.

– Ktoś, z kimś kiedyś byłem blisko – odparł wymijająco. Po chwili namysłu dodał jeszcze kilka słów. – Potem...bardzo, *bardzo dużo* się między nami popsuło. A ja nie zdążyłem tego naprawić.

Nie zdążyłeś, dobre sobie. Miałeś na to kilkadziesiąt lat, znów jechaliście na tym samym wózku, a to, co was poróżniło, było już tylko gruzowiskiem, spopieloną do cna stolicą. A jednak nie zrobiłeś nic. On też, podsunął głosik w głowie. Jasne. Zwalaj na martwego, skarcił się.

– Rozumiem to – wyszeptała, splatając palce. Miała ładne dłonie; delikatnie, zadbane, widać było, że nie zna ciężkiej, fizycznej pracy. – Mój brat... Pokłóciłam się z nim, nim pojechał na misję...

– Misję pod Kurskiem? – Zamarł z dłonią wyciągniętą w kierunku filiżanki. Kursk. Kiedy to było? Pięć lat temu? Nie pamiętał, by od tamtego czasu były jakieś wydarzenia wymagające wojskowej interwencji.

Annika w odpowiedzi wyciągnęła z torebki szprechera. Chwilę naciskała przyciski, aż znalazła odpowiednie zdjęcie. Podsunęła je rozmówcy pod nos.

Jasna trumna, okryta czerwono-biało-czarną flagą, wokół szpaler wojskowych oddających ostatnie honory i szlochająca rodzina...

– Jest bohaterem Rzeszy – powiedziała z uśmiechem, szczerym uśmiechem, ale łzy w jej oczach już nadały im blasku. Zamrugała.

Przymknął oczy.

– Z pewnością – rzekł, ciesząc się, że jego głos pozostał neutralny.

Annika schowała urządzenie, przez moment spoglądała w głąb kawiarni, udając, że zainteresowała ją klatka z kanarkami niedaleko kontuaru. On zapatrzył się w witrynę.

– Taurysie?

Litwa odwrócił się do niej; szybko się opanowała, zauważył.

– Tak?

– Wybierasz się gdzieś na letnie ferie?

– Chciałem odwiedzić stare kąty – Uśmiechnął się nieco wymuszenie.

– Dom? Pochodzisz gdzieś z Lettland-Estlandu, prawda?

Nie czuł się na siłach, by wyprowadzać ją z błędu. Poza tym, czy w dzisiejszej geografii miało to jakiekolwiek znaczenie? I tak jego przedwojenne ziemie podzielono na kilka landów; w pewnym sensie miała nawet rację. Przytaknął.

– Ale masz berliński akcent – zachichotała, ale on nie znalazł w tym nic śmiesznego; zastygł, potem zdecydowanie zbyt szybkim ruchem sięgnął po kawę.

Filiżanka zakołysała się na stoliku; udało mu się uratować ją przed strąceniem na podłogę, jedynie kilka wciąż ciepłych kropel padło na drewniany blat i jego dłoń.

A więc tak się to skończy; pomyślał tępo, patrząc, jak Annika wyciąga chusteczki i próbuje wytrzeć jego palce.

Próbował rozpaczliwie sobie przypomnieć, jak deklinuje się słowo „siostra". *Sesuo, sesers, seseriai...* Co dalej? Takie proste, podstawowe słowo...

– Taurysie?

Seserį. Tak, chyba tak. *Seserimi,* na pewno tak brzmi narzędnik.

– Dobrze się czujesz?

Nie, umieram od środka.

– T-tak – wykrztusił po niemiecku.

Patrzyła na niego jeszcze chwilę, pełna niepokoju, aż zmusił się do wzięcia głębokiego oddechu.

– W porządku, naprawdę – powiedział w końcu. Nie wyglądała na przekonaną, ale nie ciągnęła go za język, za co był jej wdzięczny.

– W przyszłym tygodniu szkoła organizuje jarmark dobroczynny – Oparła łokcie o stolik, na dłoniach ułożyła brodę i uśmiechnęła się do niego. – Pomożesz mi?

Znów sięgnął po kawę, pociągnął łyk, żałując, że tak mało już jej zostało. Żałoba żałobą, pomyślał, a ona i tak ma nadzieję. Zazdrościł jej tej nadziei; on już dawno ją utracił.

Tego nie robi się ludziom, krzyknęło coś ostrzegawczo w jego głowie. Nie wchodzi się w związki z ludźmi, zwłaszcza że za rok albo dwa może się już nie żyć. Nie krzywdzi się tak ludzi, nie robi się im nadziei. Nie powinieneś był zgodzić się na tę kawę, wiesz o tym.

Chyba coś odczytała z jego spojrzenia; odsunęła się nieco.

– Jako kolega z pracy – dodała mniej pewnie. – Chciałabym, żebyś mi pomógł dobrać muzykę...

Jesteś dobrą kobietą, chciał powiedzieć, idź, szukaj jakiegoś dobrego mężczyzny, a nie patrz na złamanego nie-człowieka, któremu już niewiele pozostało.

– Z chęcią. – zgodził się, bo nie potrafił odmówić tym niebieskim migdałom.

Dopiero gdy się rozstali za drzwiami kawiarni, przypomniał sobie miejscownik i wołacz. *Seseryje, seserie*.

Pierwszą pozornie bezsensowną wiadomość odczytał następnego dnia, gdy, ledwo widząc na oczy, włączył komputer i przy porannej kawie chciał zobaczyć, czy w Rzeszy wydarzyło się coś ważnego. Ledwo włączył przeglądarkę netzwerkową, dostał informację, że w jego skrzynce znajduje się nowy e-post.

Wypił pierwszy łyk kawy i wyświetlił wiadomość, zerkając na nadawcę. Schwäne, po prostu. Schwäne@reichpost.de. Nic nie mówił mu ten adres.

\||**E152e** *Vater, v4TeR,* **.-177E.-** *und hörest du nicht,*

Was erlEnKöN19 mir leise verspricht?

Sei ruhig, bleibe rUh19, Kind,

1n DÜRReN 8lä77ern 5Äu5el7 w1nd.

I nic więcej; Litwa pokręcił głową i bez zastanowienia przeniósł e-post do kosza. To chyba Goethe, pomyślał jeszcze. Pewnie jakaś społeczna akcja, zachęcająca do czytania poezji. Albo jakiś dzieciak ze szkoły się bawi. Chociaż, ten styl pisania... Ktoś tego jeszcze używa? A zresztą, nieważne. Mody wracają w niespodziewanych momentach.

Teraz czas na wiadomości, a potem, jeśli będzie jeszcze chwilka, może zdoła wmusić w siebie śniadanie, żeby nie pójść głodnym do pracy.

Berta otarła się o jego nogi; sięgnął po nią i ułożył sobie kotkę na kolanach. Drapiąc ją za kosmatym uchem, przeczytał o udaremnieniu przemytu papierosów na granicy niemiecko-hiszpańskiej, planach nowej ustawy podatkowej i powieszeniu mordercy dziecka. Potem przejrzał stronę szkoły i nie widząc żadnych nowych informacji dotyczących planu zajęć, wyłączył komputer.

Tego nie robi się ludziom i tego nie robi się zwierzętom, idioto, skarcił siebie w myślach, odkładając kocicę na ziemię; nie wyglądała na zadowoloną. Obiecał jej półgłosem solidną porcję głaskania po pracy.

Tyle lat udało ci się nie przywiązać do człowieka, a jak znalazłeś tą małą w kartonie... Pokręcił głową, zły na siebie.

Przyszło mu na myśl, żeby dać Annice klucze. Mogłaby Bertę karmić, gdyby on...

Wstał z fotela, nie kończąc myśli. Zerknął na zegar; chyba już nie zdąży zjeść. I tak nie miał apetytu, mała strata.

Nim wyszedł, zajrzał jeszcze do łazienki. Uniósł oczy i przyjrzał się sobie w lustrze. I co ona w nim widziała? Przecież tafla odbijała tylko zgaszone oczy, zaniedbane, matowe włosy i poszarzałą cerę.

Nie ubierał się ani modnie, ani elegancko, niemalże dzień w dzień ubierając proste, ciemne koszule i czarne spodnie, nie nosił drogich zegarków, od lat jeździł tym samym autem, nie dbając o jego porysowaną, zakurzoną karoserię...

Osobowość? Chciał się roześmiać, ale był w stanie jedynie wykrzywić kąciki ust. Jaka osobowość? Ty już nie masz osobowości.

Wyrzucił tę myśl z głowy. Skup się na dzisiaj, Taurys, skarcił się. Dzisiaj masz trzy lekcje, potem musisz zrobić w końcu zakupy, bo w lodówce masz tylko kostkę masła i mleko, a w chlebaku trzy zaschnięte kajzerki. I wpaść do urzędu, załatwić to, co odkładasz od miesiąca, bo inaczej nici z twoich wakacji.

Po południu wizytacja.

Klasa opustoszała; jego ostatnia lekcja już się skończyła, pozostała jedynie uczennica, którą przygotowywał do konkursu, każdego dnia poświęcając jej dodatkowe pół godziny. Oczywiście, że się zgodził; cóż innego miał do roboty?

– Spróbujesz sama? – Uśmiechnął się zachęcająco do dziewczynki, wstając od pianina. Dziecko spojrzało niepewnie najpierw na klawisze, a potem na nauczyciela; w końcu usiadło i zaczęło powoli, z namysłem wygrywać prostą melodię.

– Bardzo dobrze – pochwalił uczennicę, gdy z czasem jej gra stała się płynniejsza. Dziewczynka odetchnęła z ulgą, rozprostowała palce i pokazała, na co ją naprawdę stać; salę wypełniły przyjemne, szybkie dźwięki *Walkürenritt*. Wyrośnie na wspaniałą pianistkę, pomyślał, jeśli nikt w niej tego nie zabije.

Zerknął w okno. Lipcowe słońce przenikało przez czyste szyby sali lekcyjnej, a na parkingu przed budynkiem widział już pierwszych pojawiających się rodziców.

Uczennica również ich zauważyła i blady uśmiech z jej twarzyczki szybko znikł; skuliła ramiona i pochyliła się nad pianinem, unikając jego spojrzenia.

– Myśli pan, że dobrze mi pójdzie na konkursie? – wymamrotała, nagle urywając grę.

Taurys ukucnął obok stołka, zajrzał pod grzywkę skrywającą oczy.

– Na pewno – Zmusił się do ciepłego uśmiechu. – Świetnie grasz. Po prostu... postaraj się panować nad tremą, dobrze, Uschi?

Uśmiechnęła się odrobinę pewniej.

– Ursula!

Widział, jak na dźwięk szorstkiego głosu ojca każdy mięsień dziewczynki się napina. Przypominała mu małe zwierzątko, wystraszone i gotowe do ucieczki. Wyprostował się i chłodno skinął głową mężczyźnie, który właśnie stanął w drzwiach klasy. Ten odwzajemnił się tym samym.

– J-uż idę! – Uschi, nie patrząc ani na nauczyciela ani na ojca, zsunęła się ze stolika, przygładziła szkolny mundurek i złapała za tornister.

Ojciec wyszedł bez słowa; dziewczynka ruszyła za nim biegiem, szorując tornistrem po podłodze. Taurys został sam w lekcyjnej sali. Przez dłuższą chwilę patrzył na pianino, a potem westchnął i pokręcił głową.

Jeśli.

Złapał za swoją teczkę, obrzucił klasę wzrokiem i sięgnął po dziennik leżący na biurku. Zamknął pomieszczenie, odniósł klucz i dziennik na portiernię, skinął portierowi

głową i wyszedł na zewnątrz przez rozsuwające się drzwi, z daleka widząc już swojego zmizerowanego volkswagena.

Auto odpaliło bez problemów, mimo że nigdy nie dbał o nie jakoś szczególnie.

Wyjechał spod szkoły, przepuszczając na parkingu grupkę uczniów ze starszej klasy, a potem zerknął w lusterko, by dojrzeć siwy dym.

Albo poszli palić, albo to jemu coś pieprznęło w samochodzie. Obie wersje były równie prawdopodobne, ale skoro silnik nie rzęził, a dym się rozwiał, jak tylko wjechał na ulicę, to tym razem stawiał na papierosy.

Skończył lekcje w dobrej porze dnia, jeszcze przed popołudniowymi korkami. Przejechał spokojnym tempem przez Weiße Stadt, gdzie znajdowało się jego miejsce pracy, ledwo widząc ładne, zadbane białe budynki.

To było piękne miasto, zwłaszcza teraz, w letnim słońcu, dzisiaj jednak nie był w nastroju do podziwiania architektury. Zamiast tego skupił się na drodze, próbując przypomnieć sobie nazwę ulicy, na którą miał jechać, a już na pewno najkrótszą doń trasę.

To było niedaleko szpitala… w lewo za apteką, na pewno, potem znajdzie parking pod tą małą filią biblioteki miejskiej. Nazwy ulicy dalej sobie nie przypomniał, ale w końcu wzruszył ramionami.

Tyle razy widziałeś ten adres na kopercie… Źle z tobą, Lit.

Drogę jednak dobrze zapamiętał; apteka akurat była w remoncie, zdjęto jej charakterystyczny szyld, przez co mało co nie przegapił zakrętu, ale w końcu dotarł na miejsce. Nie kłopotał się z zamykaniem auta, bo wątpił, czy ktokolwiek połasiłby się na tego rzęcha.

Stanął pod dużymi drzwiami, zerknął na tabliczkę, by upewnić się, że to na pewno tu i że nikt w międzyczasie nie zarządził przenosin tego urzędu w inne miejsce, a potem wszedł do środka.

– Rozumiem, już sprawdzam, czy pan może… Pan Taurys La… – Urzędniczka, sympatyczna młoda kobieta, zająknęła się. – Mógłby pan powtórzyć nazwisko?

Litwa, przyzwyczajony do tego typu biurokratycznych problemów, podał jej swoją kartę obywatela. Dziewczyna wyraźnie się ucieszyła; patrząc na książeczkę z państwowym orłem na okładce, zaczęła wklepywać w komputer datę urodzenia, miejsce urodzenia, całą jego fałszywą tożsamość.

Przed wojną o personifikacjach wiedzieli politycy i głowy państw, czasem ktoś bogatszy, czasem inteligencja. Po wojnie wymazano ich z historii, skazując na udawanie zwykłego obywatela. Nie udawanie, poprawił się w myślach. Na bycie zwykłym obywatelem. Jeszcze się nie przyzwyczaiłeś?

– Dziękuję bardzo! – Rozpromieniona kobieta oddała mu kartę i zaczęła grzebać w systemie, uderzając w klawisze z astronomiczną prędkością. – O, studiował pan w Viennie? Próbowałam się tam dostać, ale zabrakło mi kilka punktów… Poszłam na Neukrakauer Universität, też świetny… W ogóle to miasto jest cudowne, takie nowoczesne, chyba się tam przeprowadzę… Nie widzę, proszę pana, żadnych przeszkód…

– Z uśmiechem zamknęła system, sięgnęła do drukarki po dokument i podbiła go oficjalną pieczątką. – Kopia dla pana, kopia dla mnie... Dziękuję.

Podziękował jej równie uprzejmie. Wraz z zezwoleniem dała mu do ręki ulotkę z procesem zmiany nazwiska. Schował ją do teczki razem z resztą dokumentów i wyszedł z budynku Urzędu Miejskiego, zauważając, że zaczyna się chmurzyć.

Zerknął na zegarek, orientując się, że ma jeszcze dużo czasu do wizytacji. W Urzędzie zeszło mu krócej niż się spodziewał, a poza szybkimi zakupami nie miał nic innego do roboty.

Przeniósł wzrok na drugą stronę ulicy. Iść tam? zapytał sam siebie. Nie jestem pewny, czy chcę.

Chwilę stał niezdecydowany, wodząc spojrzeniem od swojego auta do metalowej bramy naprzeciw, aż w końcu pokręcił smutno głową i zaczął rozglądać się za najbliższymi pasami.

Wszedł na cmentarz, prześlizgując się między niedomkniętymi skrzydłami bramy. Przez chwilę patrzył na imponujący pomnik postawiony przed kaplicą; kamienne oczy orła, uchwyconego w momencie podrywania się do lotu z wysokiego postumentu, odwzajemniły spojrzenie z wyższością, a może tylko tak Litwie się wydawało.

To tylko monument, skarcił się. Zwykły pomnik poległych za ojczyznę, znajdziesz takie na całym świecie, milczące i nieczyniące nikomu krzywdy, odwiedzanie raz czy dwa razy w roku. Nie miej paranoi.

Szedł do alejki dwudziestej piątej Cmentarza Zasłużonych. Cmentarza Inwalidów, Litwa z trudem przypomniał sobie poprzednią nazwę. Ile ta nekropolia ma lat? zastanowił się, przechodząc pomiędzy kolejnymi grobami. Trzysta? Nie, trochę mniej, na pewno.

Tu leżeli kalecy weterani śląskich wojen, mówiły odnowione tablice informacyjne. Nieco dalej, zasłużeni wojsku Prusacy, dalej dowódcy z obu wojen, twórcy świata, który ich przeżył i rozkwitał.

Leżeli tu też ludzie narodzeni w imperium i tu zmarli, także cywile, im dalsze były alejki, tym było ich więcej.

Znajdował na marmurowych i granitowych tablicach nazwiska francuskie, polskie, węgierskie… Na nowszych grobach milczały głównie te niemieckojęzyczne, czasem brzmiąc znajomo, jakby je noszący dostosowali swoje miana do nowej rzeczywistości, czasem towarzyszyły obcym dla Rzeszy imionom. Za kamieniami kryły się tysiące historii pojedynczych osób i on mógł jedynie zgadywać ich losy. Tu, tuż przy głównej alei, leży małżeństwo o francuskim rodowodzie, wraz z córką, chyba zaślubioną Niemcowi; w innej mogile spoczywał na wieki jakiś Stanisław, tutaj maleńki grób dziecięcy, nad którym łkała kobieta, a jakiś człowiek, pewnie jej mąż, próbował ją pocieszyć nieporadnymi słowami… Litwa odwrócił wzrok.

Gdy doszedł na miejsce, czuł już nieco ból nóg, nieprzywykłych do spacerów; Cmentarz Zasłużonych, główna nekropolia tego miasta, był ogromny i rosnąć nie przestawał.

Zwolnił i zapatrzył się na skromny, granitowy grób, niewyróżniający się wcale od reszty cywilnych nagrobków w tej części cmentarza.

Litwa nie lubił tu przychodzić, ale mimo to robił. Wieki temu zatracili się w swojej wizji nieśmiertelności, a teraz chłód bijący od tych kamieni rzucał w twarz myślą, że byli zbyt dumni, zbyt pewni siebie, zbyt zuchwali.

Opadł na prostą ławkę i ukrył twarz w dłoniach. Długo nie unosił wzroku, widząc jedynie przez szczeliny między palcami, jak słoneczne promienie na granicie zanikają, i czując chłodniejszy podmuch wiatru.

– Próbowałem ich prosić, by pochowali cię w Kra... Neukrakau – wyszeptał. – Albo w jakimś mniejszym mieście... Wiedziałem, że byłbyś wkurzony, że leżysz tutaj. Hitler też leży na tym cmentarzu. Ale teraz... czy to ma jakieś znaczenie?

Kamienie nie odpowiadały. Uniósł wzrok i przyjrzał się fałszywym napisom. Urodzony dwudziestego piątego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego. Zmarły pierwszego września roku dwa tysiące dziewiątego.

– Zawsze mnie zastanawiało, kto wymyślił te daty – Litwa skrzywił kącik ust w bladej parodii uśmiechu. – Nie wierzę, że pierwszy września wyszedł przypadkiem. Myślisz, że przesadzam i mam już paranoję? Możliwe. W końcu gadam do granitu...

Na tablicy były tylko daty i personalia. Nie było ani świętych cytatów, ani medalionu; z braku tego ostatniego Taurys bardzo się cieszył. Wątpił, że byłby w stanie patrzeć na uwiecznioną na fotografii twarz.

Feliks Łukasiewicz, wyryte pewną ręką kamieniarza. Dobrze, że chociaż tożsamości nam nie zabrali, co?

– Ale nawet te imiona nie mają już znaczenia. – szepnął. – Nic nie ma znaczenia. Nic.

Pomyślał o tym, co powiedział Annice, potem przypomniał sobie tlące się Wilno, Kowno, wszystko, co kochał, zrównane z ziemią.

– Nie było już o co walczyć. Nie ma nic. Dlaczego nie wyciągnęliśmy do siebie ręki?

To pytanie dręczyło go od dekady. Nie ma już nic. Nic, całkowicie nic. Stworzono nowy świat, rozkruszając stary w żelaznej pięści i rozsypując jego popioły.

Poderwał się z ławki, chcąc jak najszybciej opuścić to miejsce. Prawie zderzył się z jakąś staruszką; wybąkał przeprosiny, ale ta jedynie uśmiechnęła się łagodnie. Spojrzała na grób. Poruszała się o lasce; z pewnością patrzyła na niego, siedzącego z opuszczoną głową, od długiej chwili, z wolna, ostrożnie się zbliżając.

– Taki młody chłopiec – zauważyła z żalem. – To był wypadek...?

Jej niemiecki miał w sobie cień litewskiego akcentu; tylko dlatego Litwa odpowiedział.

– Choroba – wychrypiał. – Słabł od dawna i w końcu...

– Tak – Kobiecina pokiwała głową ze zrozumieniem. – Choroba nie wybiera... Na pewno się cieszy, że go odwiedzasz. Będę się za niego modlić, dziecko.

Podziękował jej, chociaż wątpił, czy jakiekolwiek modlitwy mogły pomóc komuś takiemu jak oni.

– Najgorsze to zapomnienie – dodała jeszcze, a zimny dreszcz, który przeszedł Taurysa, na pewno nie był spowodowany zaczynającym powoli padać deszczem.

– Najgorsze – zgodził się, czując, jak jego gardło się zaciska. Duże, ciepławe letnie krople opadły mu na głowę. – *Dank... Ačiū*.

Uśmiechnęła się do niego ciepło i pokuśtykała w swoją stronę, rozkładając nad sobą parasol. Został tam, moknąc i patrząc przed siebie nieobecnym wzrokiem.

Zapomnienie. *Vergessenheit*. Dobry materiał na nazwisko, stwierdził wisielczo. Jakby to było po litewsku?

Nie pamiętał.

– Dobry – rzucił krótko Prusy, a właściwie Kraj Autonomiczny Prus, bo tak oficjalnie się zwał, wchodząc do środka, gdy tylko Litwa przekręcił zamek w drzwiach. Taurys cofnął się o krok, by wpuścić przybysza do środka.

Litwa kiwnął oszczędnie głową i wszedł do kuchni, by wypić jeszcze trochę popołudniowej kawy, nie zwracając uwagi ani na Gilberta ruszającego na standardowy obchód jego mieszkania, ani na towarzyszących mu młodych oficerów.

Prusy też był tym znudzony; powtarzali to tydzień po tygodniu, rok po roku, dziesięciolecie po dziesięcioleciu, nic dziwnego, że w jego zaglądaniu w zakamarki nie było żadnego entuzjazmu.

Mijały minuty, a kawy w kubku było coraz mniej. Litwa sączył ostatki wolno, przez zaciśnięte wargi, i dla zabicia czasu przerzucał strony książki, którą znał już na pamięć.

– Weź tego kompa ogarnij – Ziewając, Prusy przeszedł do kuchni. Za jego plecami oficerowie rzucili ciche pożegnanie i wyszli. Gilbert sięgnął do szafki z naczyniami, potem złapał za kawiarkę i nalał sobie odrobinę kawy do kubka za cichym przyzwoleniem Litwy. Pociągnął łyk, myślami będąc pewnie w zdecydowanie ciekawszym miejscu od ponurego mieszkania Taurysa. – Młody mówi, że jakieś gówno ci tam przychodzi na skrzynkę, no i chodzi, jakby miał zaraz zdechnąć. Na Schlossplatz jest taki magik, za trzysta marek obrobi ci komputer tak, że nie poznasz, że to twój i jeszcze pociągnie ze dwadzieścia lat.

Litwa odpowiedział uprzejmym skinięciem głowy. Prusy odwzajemnił się tym samym i ruszył do wyjścia, odkładając kubek do zlewu. Berta, unosząc wysoko rudy ogon, odprowadziła go pod same drzwi jak starego przyjaciela.

Siedemdziesiąt lat po zakończeniu wojny z zajadłości niewiele już im zostało; zastąpiły ją marazm, znużenie i obojętność.

… ScHNELLEn e2 V1EhM4rkt vErStEHEN bEh49L1Ch 9RUnDl1ch p4 |-|**4**|_|_**0** uNR3CHT 83in4h3 d42 5oL4N93 2Um 3NdliCh von IcH \||/**E152e** F3hL3N J3MalZ F31n3N H1n V0R 935a97 7un K1rCh3 5Ch13N **.-177E.-** …

Rozdział II: Wczoraj zgubiłem godność

Gdy tamtego dnia do berlińskiego gabinetu wtargnął Litwa ze zmierzwionym włosem i szaleństwem w oczach, Ludwig, siedzący za biurkiem, nawet nie drgnął.

– Co zrobiliście!? – wykrzyczał Litwin. – Przehandlowaliście nas!? Tak po prostu!?

Wciągnął powietrze i dopiero teraz zauważył dwie pozostałe bałtyckie personifikacje. Estonia patrzył w podłogę, Łotwa... Łotwa pokiwał głową ze smętną miną. Żaden się nie odezwał, żaden nie przytaknął potokowi słów, które padły z ust Taurysa, jakby już ich złamano.

– Czy tobie się wydaje, do kurwy nędzy, że te trzy kraje to są trzy dziwki, które sobie można kupić, zerżnąć, gdy nikt nie patrzy i odsprzedać kumplowi?! *Ochujeł ty*! – Litwa złapał jeszcze kolejny haust powietrza i dorzucił ze trzy rosyjskie obelgi, bo ten język doskonale się do tego nadawał, do rzucania barwnych epitetów i wyklinania wszystkiego, na czym ten świat stał, a stał na brudzie, oszustwie i przekrętach.

– Litauen, słownictwo – Ludwig niewzruszenie przeczekał ten wybuch furii. – I co ja mam ci na to odpowiedzieć? Kłamać nie będę.

To był trzydziesty siódmy, a ZSRR podbił ich tylko po to, by na mocy jakiś pokrętnych umów oddać w ręce Rzeszy.

– Doskonale wiesz, kto podejmuje decyzje.

Nie oni. Nigdy oni.

To w takim razie po co istnieli? Tylko po to, by patrzeć, jak ich kraje idą na zatracenie? Odwrócił się i wyszedł, trzaskając drzwiami, bo to było jedyne, co mógł zrobić, słuchać głuchego uderzenia drewna o ścianę i drżenia ozdobnej szybki.

Dwa lata później, gdy ustabilizowano nowe landy na wschód od Prus Wschodnich, wojsko stanęło wzdłuż nowych niemieckich granic i zaatakowało Drugą Rzeczpospolitą od zachodu i północy.

Historycy nazwali to potem Preludium Bałtyckim, bo tym w istocie było, wstępem do Wielkiej Wojny Dziesięcioletniej.

Obudził się, z trudem, łapczywie łapiąc powietrze, w ciemnościach. Sam, jak zawsze.

– *Ich hei...* – Nie. Odkaszlnął, wpatrzył się w sufit, szukając słów swojej mantry. Mijały minuty. – *Mano vardas... mano vardas yra Taurys... Mano vardas Lietuva.*

Jeszcze pamiętał. Był lipiec dwa tysiące dziewiętnastego roku.

Rankiem, gdy z kubkiem kawy wyjrzał na parter budynku, w którym mieszkał, natknął się akurat na listonosza. Ten zerknął najpierw na kartkę, którą właśnie wkładał do skrzynki, a potem na niego, mierną parodię człowieka w poszarzałym szlafroku, z włosami rozczochranymi od snu, a raczej od jego braku, od ciągłego przewracania się na boki w bezsennym szaleństwie.

– Pan Lau... uch...

– Laurinaitis – wychrypiał. Była szósta rano. Skulił ramiona i pociągnął łyk gorącej, czarnej kawy, mając nadzieję, że za pół godziny będzie w stanie funkcjonować i nie rozbije się autem na jakiejś ulicznej latarni.

– Rachunek dla pana... i kartka – Listonosz zerknął na pocztówkę, uniósł brew i w końcu wzruszył ramionami. Oddał pocztę Taurysowi. – Miłego dnia.

Musiał w końcu przejść się do oddziału i założyć to netzwerkowe konto, stwierdził w myślach, rozrywając najpierw kopertę z rachunkiem. Na szczęście kwota do zapłaty nie była zbyt wysoka.

Wracając do swojego mieszkania, przyjrzał się kartce. Zupełnie obcym pismem ktoś wypisał na nim kolejny wiersz. Podpisu nie było.

Ob ich dich liebe , weiß ich nicht .
Seh ' ich nur einmal Gesicht ,
Seh ' dir ins Auge nur einmal ,
Frei w1RD H3r2 vON 4ll3r qU4l .
Gott weiß , wie mir so wohl geschieht !
Ob ich dich liebe , weiß ich nicht .
weiß Ritter , W3r B1n 1cH, frag mich

Ledwo przeleciał wzrokiem po tekście, nie doczytując do końca. Wyrzucił kartkę do kosza i chwilę stał w kuchni, zastanawiając się, czy jest w stanie przełknąć coś innego niż kolejna siekiera.

Berta głośnym miauknięciem zawiadomiła go, że jest głodna. Potem, dla wzmocnienia przekazu, wskoczyła na blat kuchenny, nastroszyła rude, bujne futro i wpatrzyła się w niego hipnotyzująco.

– Zejdź.

Berta w odpowiedzi zasyczała coś, co brzmiało łudząco podobnie do „fick dich". Taurys pokręcił głową i zajrzał do lodówki w poszukiwaniu kociej karmy.

– Jesteś nieznośna, wiesz? Będę miał twoje kłaki w kawie.

Kotka niewzruszenie siedziała na blacie. Litwa poddał się i zaczął napełniać miskę na podłodze mokrą karmą.

– Chociaż ty zjedz jakieś śniadanie.

Zerknął na kalendarz, gdzie miał rozpisany plan lekcji. Sobota, więc jeszcze tylko dzisiaj, jeszcze tylko dwie lekcje i nadejdzie dzień wolny. Niestety.

A potem jeszcze tydzień i rozpoczną się letnie ferie. I wtedy...

Nie dokończył myśli, nagle jego szprecher, porzucony wieczorem w okolicach lodówki, zaczął dzwonić. Litwa zastygł. Wpół do siódmej rano...

Z niechęcią, niepewnie, zerknął na ekranik, a potem odetchnął, rozpoznając znajomy numer.

– *Hallo*?

– Cześć – zaświergotał mu w uchu głos Anniki. – Mam nadzieję, że cię nie budzę...

– Nie, skądże. Zaraz wyjeżdżam do szkoły.

– Ja właśnie w tej sprawie… Obok mnie był wypadek, trakcja tramwajowa jest zablokowana… Pamiętam, że przejeżdżasz niedaleko, czy to byłoby dla ciebie bardzo uciążliwe, gdybyś...

– Podjadę po ciebie – obiecał cicho. Wyraźnie się ucieszyła; podziękowała mu i rozłączyła się.

Spojrzał na Bertę.

– Masz ją polubić – nakazał kocicy. – Nawet jeśli ma psa.

Kotka znów wysyczała obelgę.

– To ona cię będzie karmić, więc panuj nad słowami, niewdzięcznico.

Mieszkała niedaleko szkoły; często widywał ją, gdy wjeżdżał na szkolny parking, a ona wysiadała z tramwaju na pobliskim przystanku, zawsze ubrana ładnie i schludnie, w ołówkowej spódnicy i jakiejś przyjemnej dla oka bluzce.

Dzisiaj też tak się nosiła, ale tym razem siedziała obok w jego aucie. Jasne włosy spięła w kok, bo od rana upał dawał się we znaki, jedynie kilka kosmyków figlarnie muskało jej szyję. Ładna, pomyślał tępo. Oczytana, miła i ładna. Ideał.

Może w innych czasach by się nawet w niej zakochał. W tym dziesięcioleciu było już go stać jedynie na puste stwierdzenia faktów i pozbawione intencji komplementy. Im prędzej ona zobaczy, jak bardzo pustą skorupą jest, tym lepiej dla niej.

– Ja też miałbym do ciebie prośbę.

– Tak?

– Mam kota – zaczął wolno, wpatrując się w szkolne ogrodzenie, na którym już wywieszono pierwsze informacje o jarmarku dobroczynnym. Po drodze ustalili, że w poniedziałek umówią się na kawę i uzgodnią szczegóły. Wjechał na teren szkoły i zaczął szukać miejsca parkingowego. – Ona… Nie mogę wziąć jej ze sobą, źle znosi podróże. Czy mogłabyś...

Annika uśmiechnęła się do niego.

– Nie ma problemu.

– Dziękuję.

Widzisz, Berta? Nie umrzesz z głodu, gdy mnie zabraknie. Ktoś będzie o ciebie pamiętał, gdy pojadę na wakacje, gdy będę musiał pojechać na tę ogólnokrajową konferencję w listopadzie, gdy któregoś dnia do domu nie wrócę i pochowają mnie na Cmentarzu Zasłużonych albo gdziekolwiek indziej.

– Taurysie?

– Przepraszam, zamyśliłem się – mruknął, parkując.

– Przeprowadzam dzisiaj siódmoklasistom ostatnią klasówkę – oznajmiła z uśmiechem, sięgając do klamki i wyskakując z auta, zanim jeszcze zdążył zgasić silnik. Poczekała, aż Taurys wyjdzie z samochodu i kontynuowała, patrząc na niego ponad dachem pojazdu. – Więc istnieje szansa, że przyjdą do ciebie na lekcję zdruzgotani.

Nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Surowa panna Walkenhorst wymaga, by uczeń rozpoznawał każdy wiersz z tego roku szkolnego po pierwszej sylabie i potrafił go wyrecytować bez zająknięcia?

– Nie, ale chyba wprowadzę to w przyszłym roku. Zagraj im potem coś na uspokojenie, nie chcę, by mieli koszmary o Mannie i Goethem.

Znów się uśmiechnął; na lekcje poszedł z lekkim sercem.

– I jak poszło? – Terezia Beyersdorf, siedząca w trzeciej ławce, skorzystała z okazji, że Taurys zajął się dziennikiem i wychyliła się do chłopca siedzącego za nią.

Taurys udał, że nie słyszy, jak zwykle. Zaskakująco mało uczniów zdawało sobie sprawę, że ich szepty docierają do biurka nauczyciela.

– Czwarte to było *woher sind wir geboren*, prawda? Ale co miało być w piątym?

– *Ob ich dich liebe*, *weiß ich nicht* – odpowiedział szybko chłopak. – też Goethe...

– Szlag, a ja napisałam, że...

Dalszej wypowiedzi Taurys nie słuchał. W głowie dźwięczał mu wiersz. *Ob ich dich liebe*, *weiß ich nicht.* Czy cię kocham, nie wiem. Czy nie tak zaczynała się ta kartka...?

Rano zignorował to kompletnie. Goethe. E-post z Królem Olch, kartka z wierszem... O co tu chodziło?

Wstał od biurka, czując nagły ucisk w gardle, bo niewinne słowa wiersza mu o kimś przypomniały.

– Co dzisiaj będziemy robić? Zaraz wakacje, może coś luźniejszego? – Terezia natychmiast odsunęła się od chłopaka i zamrugała przymilne do nauczyciela.

– Chciałem wam pokazać jeszcze kilka ciekawych, starych utworów.

Gdy siadł do pianina, przed chwilę milczał. Odsunął na bok nuty Wagnera i zaczął grać z pamięci poloneza a-moll.

– To było bardzo smutne – odezwała się po kilku minutach inna uczennica. – Co to?

– To „Pożegnanie Ojc..." – zawahał się, urwał w pół słowa. – Po prostu „Pożegnanie".

Po lekcjach i krótkiej sesji z wystraszoną Uschi Taurys podjechał do domu towarowego Kaufhaus des Westens, mając nadzieję, że kupi jakieś sensowne buty na wyjazd. Mając wizję długich wędrówek, obawiał się, że każda jego obecna para – a zasadniczo miał ich trzy – uraczy go pęcherzami i otarciami.

Auto zostawiał w Berlinie; pociągi były wystarczająco wygodne, a jazda samochodem po miejscach, które chciał odwiedzić, wydawała mu się całkowicie odarta z zadumy i melancholii, a w końcu po to tam się udawał. By pamiętać, by dotknąć każdego kamienia i każdej obrośniętej mchem cegły, by stanąć w miejscu, które natura objęła w posiadanie i czuć katartyczny ból z przeszłości, który może na kolejny rok doda mu sił, by wciąż pamiętał samego siebie.

Więc musiał iść kupić sobie buty. Na szczęście ekspedientka była pomocna, więc po pół godziny wyszedł ze sklepu uboższy o garść marek, ale bogatszy o wygodną parę.

Szukając miejsca parkingowego, pozostawił samochód z dala od KaDeWe, ruszył więc chodnikiem, patrząc na miasto, które kwitło i piękniało od lat, śliczne w złotym świetle późnego popołudnia.

Minął jakiś sklepik z komputerami, oferujący też naprawę. Mogłem skoczyć do domu po sprzęt, pomyślał. Trudno, następnym razem.

W tłumie mignęła mu jasna, zaskakująco znajoma czupryna; zawahał się na moment, ale zaraz potem krzyknął i uniósł rękę ponad ludzkie głowy, zamachał, by zwrócić na siebie uwagę. Jak nie teraz, to kiedy? Los podsunął mu okazję pod nos, okazję, która może już się nigdy nie trafić. Kto wie, czy doczeka kolejnego spotkania w Charlottenburgu.

– Nikolai!

Zawołany zatrzymał się, rozejrzał zdziwiony, aż w końcu go dostrzegł. Zmarszczył brwi, ale ruszył w stronę Taurysa. Stanęli na uboczu, obok przepływających chodnikiem tłumów.

– A, to ty. Co, kurwa, chcesz?

Litwa uśmiechnął się blado. Cały Białoruś... Zerknął na drugiego mężczyznę i tak jak się spodziewał, worki pod oczami, szarość cery i coś niezwykle ponurego w jego oczach przypominało mu znękanego życiem narkomana. Niektórzy przechodnie nawet odsuwali się od ich dwóch, jakby sądzili, że prowadzą jakieś szemrane interesy.

– Tylko się przywitać.

Nikolai skinął więc mu głową.

– Niegłupie – powiedział. – Może warto zamienić ze sobą jeszcze ze dwa słowa, nim wszyscy zdechniemy – Taurys na moment odwrócił wzrok. – Mieszkasz teraz w Berlinie? Słychać.

– Od pięciu lat – odparł Litwa, ignorując przytyk dotyczący akcentu. – A ty?

– W Preßburgu, chcą mnie relokować do Venedig – burknął Nikolai, chowając ręce w kieszeniach spodni. – Przyjechałem się odwołać, niech mnie wyślą wszędzie, byle nie do tej mokrej, cuchnącej dziury.

– Myślisz, że masz szansę?

Białoruś posłał mu swoje *przekonujące* spojrzenie. Litwa aż się wzdrygnął. Zrobiło mu się szkoda urzędniczki w biurze relokacji.

– Dalej pracuje tam ta stara suka?

– Nie, teraz jakaś młoda kobieta, dyrektor też się zmienił – Litwa przypomniał sobie ostatnią wizytę. – Załatwiłem zezwolenie wakacyjne bez problemów. Ale...

– No?

Litwa zmusił się do uśmiechu.

– Byłem miły.

– No to, kurwa, pozamiatane – westchnął Białoruś z rezygnacją.

Litwa po raz pierwszy od dawna parsknął zduszonym śmiechem, wyobrażając sobie próbującego być miłym Nikolaia. Nie było to zbyt uprzejme, ale Białoruś nie przejął się tym wybuchem wesołości. Obaj wiedzieli, że bycie miłym w naturze tego nie-człowieka nie należy.

– Trzymaj się, Litwa – Po długiej chwili ciszy Białoruś spojrzał na niego z czymś w rodzaju zrozumienia. – Nie wolno dać im satysfakcji.

Gdy się pożegnali, Litwa ruszył w swoją stronę ze wzrokiem wbitym w chodnik. Satysfakcja, co? Wyciągnął z kieszeni szprechera i wybrał odpowiedni numer.

– Szybko, bo zajęty jestem – mruknął mu w ucho Prusy, a w tle Taurys słyszał ludzki gwar. Więc dziś był w parlamencie, a nie w rozjazdach.

– Mam prośbę.

– Yhy? E, ty, gdzie z tym papierzyskiem, to idzie prosto do ministra, daj mi to... Ja pieprzę, dwa dni nie ma mnie w robocie, a już burdel, kurwa... Szybko gadaj, co tam chcesz?

Litwa uśmiechnął się z odrobiną satysfakcji. Zawsze było miło słyszeć o biurokratycznym bałaganie w imperium, nie mógł jednak okazać tego w głosie: uprzejmością wiele dało się załatwić.

– Biały idzie właśnie złożyć odwołanie od relokacji – zaczął spokojnie. – Dałoby radę to przepchnąć?

– A co mu nie pasuje? – Prusy westchnął w słuchawce, krzyknął na kogoś, by łaskawie się, kurwa, zamknął i westchnął ponownie. – Ja ich kiedyś pozabijam... Słuchaj, nie do mnie należą te decyzje, wiesz o tym. Mogę poprosić dyrektora do spraw relokacji, ale co ja będę z tego miał, co?

– Chciałbyś na każdym urlopie widzieć jego mordę?

Po krótkim milczeniu i ciężkim westchnięciu w przenośnej słuchawce Litwa zrozumiał, że trafił w sedno.

– Do Venedig go rzucili? – Gilbert chyba zastukał palcami w biurko. – Naprawdę... Dobra, ale żeby nie było potem, że... – ściszył głos do szeptu. – że pogadanki-ugadanki, morda w kubeł, rozumiesz?

Litwa uśmiechnął się.

– Dzięki.

Prusy bez słowa się rozłączył. Litwa schował szprechera do kieszeni i zadowolony z siebie ruszył do domu.

To, że Wenecja była ulubionym miejscem Prus na ucieczkę od pełnionego stanowiska, nie było wielką tajemnicą. A potem wystarczyło wykorzystać fakt, że z całego szeregu byłych personifikacji Gilbert najbardziej nie cierpiał (z całkowitą wzajemnością) Nikolaia...

Gdybyś żył, byłbyś dumny z takiego kombinowania, Lenkija?

Znów śnił mu się tamten dzień, gdy dziewczę noszące tytuł królewski stanęło na ślubnym kobiercu, a on stał u boku wielkiego księcia, gotów – a przynajmniej bardzo starał się być gotów – na tak podniosłe wydarzenie, jak zaślubiny dwóch władców.

Była ona, drobna król i on, książę, a gdy ceremonia się dokonała, król iure uxoris, król z prawa żony. Diarchia.

I byli oni dwaj, zaślubieni sobie później, w komnatach zamkowych z dala od dworskich spojrzeń.

I śniły się mu się też inne dni, wypełnione niezręczną ciszą, noce w osamotnieniu, aż po cichu, niepostrzeżenie, nauczyli się kochać swych ślubnych, odkryli dni pełne rozbawionych spojrzeń, noce pełne ciepła, szybkich oddechów, potu...

Obudził się zły, rozgoryczony i smutny.

Wspaniale, Litauen, skomentował ironicznie. Będziesz teraz leżał tak do rana, rozpamiętując tę waszą cholerną przeszłość?

Nie tylko ty jesteś winny. Feliks też nigdy nie był łagodnym, potulnym barankiem.

O zmarłych mówi się dobrze albo wcale, nie?

Litwa pokręcił głową, ignorując głosiki w swojej głowie, toczące swoją bitwę o rzeczy, które nie istniały i które nie miały już żadnego znaczenia i w które nikt już nie wierzył, bo przecież historię pisali zwycięzcy, król Jadwiga wyszła w końcu za swojego ukochanego chłopca, Wilhelma z Habsburgów, nie za jakiegoś tam dzikiego Jagiełłę...

Zamknął oczy, skulił się pod kołdrą, mając nadzieję na jeszcze kilka godzin snu, ten jednak nie nadchodził. Szła za to niedziela, dzień wolny, dzień przeklęty, dzień snucia się po mieszkaniu, parku, ulicach Berlina, kompletnie bez celu. Najchętniej spałby do poniedziałku, zapadał w sen niedzielny albo i taki, z którego budziłby się tylko do pracy.

Coś piknęło; przypomniał sobie, że nie wyłączył komputera, zresztą jak zawsze, bo tyle razy z bezsenności rezygnował z leżenia w łóżku i sięgał do klawiatury, że nie warto było go wyłączać.

Zmrużył oczy, wstał, czując na stopach chłód podłogi i osłaniając oczy ręką, włączył monitor. Nowa wiadomość.

w0 l4MPcH3N l31cH73R frag g38r4UcH 81 g35P13l7 mich Hu85CH3n M.

Co to jest, do kurwy, chciał zapytać, gdy już rozszyfrował treść. Co za bełkot, pomyślał, mrugając. Ekran tak raził, a znaki rozmazywały mu się w oczach... Zjechał wzrokiem wiersz niżej.

w0h3r S1nd w1r 9380R3n? 4uZ L138. w13 WÄr3N w1R V3RL0R3N? 0hN l138.

Och. *Woher sind wir geboren? Aus Lieb.* Znał ten wiersz. Annika nawet pokazała mu go na arkuszu odpowiedzi do testu, gdy weszli do pokoju nauczycielskiego...

Wpatrzył się w litery, ale po fragmencie wiersza były już tylko losowe słowa i podpis. Schwäne. Kim jesteś?

Przyszło mu do głowy, że to może Annika się z nim bawi, w końcu uczyła literatury i chyba go lubiła... Ale to nie było w jej stylu, zdecydowanie... Łabędź. Kim jest łabędź wysyłający mu Goethego skrytego wśród bełkotów, e-postem i pocztą? Znał też pismo Anniki Walkenhorst, to nie jej delikatna dłoń napisała poranną kartkę.

Pomyślał przez chwilę, by pójść na policję. Ktoś znał jego adres.

Ale co ten ktoś mógł mu zrobić? Na razie wysyłał jedynie tajemnicze wiadomości. W tym mieszkaniu nie było nic cennego, nie licząc starych, drewnianych kankli, które znalazł na jakimś targu staroci i wziął do siebie, nawet jeśli strun dawno już nie było.

Ale to był cenny przedmiot tylko dla niego; dla reszty ludzkości pozostawał bezużytecznym kawałkiem drewna. Pozostawał fortepian, ale kto i jak chciałby go kraść? Krzywdy też żaden człowiek większej mu nie zrobi...

Postanowił na razie się wstrzymać. Może to jakiś uczeń; może ktoś podpatrzył go, jak wracał do domu, znalazł numer mieszkania. Jego adres e-postowy nie był też tajemnicą. Może to na serio jakieś gówno, tak jak mówił towarzyszący Gilbertowi oficer-technik, nie znał się na tym, ale w jego wiadomościach wymienianych z dyrekcją szkoły na pewno znalazł się adres mieszkania. Może w poniedziałek przed robotą podrzuci komputer na Schlossplatz.

Skasował wiadomość. Łabędzie. Może rano pójdzie do parku, zacznie dokarmiać te ptaki resztkami z chlebaka... Zapomniałem wczoraj kupić pieczywo, zdał sobie sprawę, a potem roześmiał się gorzko.

Może jednak zdechnie z głodu. Dobrze, że przynajmniej miał jeszcze kawę.

Kładąc się ponownie spać i powtarzając jak indyjski mędrzec swoją litewską mantrę, próbował zabić myśl rodzącą się z tyłu głowy, myśl dziwną, myśl nierealną i bolesną. *Może*...

Zasnął, a śniły mu się ptaki, dziesiątki orłów i sępów, spadających z błękitnego nieba i rozszarpujących majestatycznie pływające po skutym lodem jeziorze łabędzie, aż krew zabarwiła biel swoim karmazynem. Potem wszystko zaczęło płonąć, płonąć zaczął i lód, i ptasie skrzydła, i mury miejskie, i budynki, i ratusze, a czyjś głos szeptał po niemiecku, omijając wszystkie rodzajniki, w rytm zrzucanych bomb, aż świat porósł nową roślinnością, oplatającą groby, rozkwitającą nowym kwieciem, a szept cichł i umilkł na zawsze.

Gdy znów się wybudził, ta cisza dzwoniła mu w uszach. Zwlókł się z łóżka o czwartej trzydzieści, nasypał kawy do makinetki i patrzył tępo przez brudne, małe okno w kuchni na Berlin.

Pięć lat. Jeszcze dwa, może trzy, a znajdzie nową kopertę z biura relokacji, może trafi mu się południe, może rzuca go pod wschodnie granice, może to będzie Neukrakau, może Neukaunas, może wyląduje w Preßburgu, skąd właśnie wyprowadzał się Nikolai, albo w jakiejś zapomnianej przez wszystkich wiosce. Wraz z listem z adresem znajdzie też nową kartę obywatela, odmładzającą go o kilka lat... Miał nadzieję, że znajdzie się też tam posada nauczyciela muzyki, nie chciał znowu się przekwalifikowywać, gdy już opuści Berlin.

Szkoda. Lubił to miasto. Zapatrzony w puste ulice, teraz mokre od niewielkiego deszczu i skryte za zasłoną szarawej mżawki, myśląc o wszystkim i o niczym, zdał sobie sprawę, w jakim języku myśli.

To nie był dobry znak.

Rozdział III: Nowy, wspaniały świat

– Chcesz, bym przyśpieszył relokację?

Widział, jak na moment znieruchomiała. Kilka sekund później znów kroiła warzywa na zupę, jakby nic się właśnie nie wydarzyło, ale zdradziło ją nerwowe drżenie palców.

– Wychodzą za dwa miesiące na wolność – dodał cicho, bardzo cicho.

Przeszedł ją silny dreszcz, którego nie była w stanie zamaskować.

Przelotnie pomyślał o przeszłości, tak odległej, że była już tylko skąpanym we mgle majakiem, a potem spojrzał na jej plecy jeszcze raz.

Kiedyś, gdyby mu powiedziano, że ktoś tę kobietę złamie, roztrzaska jak porcelanową lalkę rzuconą o ziemię, roześmiałby się w twarz mówiącemu. Ją? Ona nie była porcelaną, ona była stalą albo i diamentem.

A potem stało się *to*. Od lat, od dnia, w którym podsunięto mu pod nos tajną ustawę i nakazano się zapoznać z jego nowym obowiązkiem, aż do teraz, zawsze przychodził w poniedziałkowe południe i pukał do drzwi. Tylko raz, sześć lat temu, nie wpuszczono go do środka.

Obowiązkiem byłych personifikacji była obecność w domu, gdy ich wizytował, więc najpierw się zirytował, bo cały jego tygodniowy plan podróży trafił szlag. Sięgnął po szprechera, wybrał numer i czekał długie minuty, ale w odpowiedzi dostawał jedynie ciszę i gdy już pomyślał, że właściwie powinien powiadomić kogoś z góry, otworzyły się drzwi do sąsiedniego mieszkania i wyjrzała przez nie sąsiadka.

Ona jest w szpitalu, powiedziała. W szpitalu.

W szpitalu wystarczyło pokazać jeden dokument, by lekarze zrobili się bardzo rozmowni i dowiedział się wszystkiego o wczesnym wieczorze, ciemniejszym zaułku między sklepem a blokiem, o trójce mężczyzn i o przechodniach, którzy odwrócili oczy.

Wiedziała, że znał każdy szczegół. Czy wiedziała, że wystarczył jeden jego telefon i kilka ostrych słów, by nadać sprawie priorytet i złapać sprawców tak szybko, jak tylko się dało? Czy wiedziała, że...

– Chciałeś ich powiesić. By odpowiadali jak za morderstwo.

A czy tego nie zrobili?, chciał zapytać, słuchając jej beznamiętnych słów. Nie zgasili w tobie życia, które i tak już ledwo się tliło?

Odsunął od siebie kubek kawy ulubionego gatunku, którą od tamtego czasu zawsze mu robiła, gdy przyjeżdżał na wizytację, jakby kolejne litry płynnej, gorzkiej czerni były podziękowaniem za to, że potrząsnął całą policją i sądami, by wydali najwyższy możliwy dla tych gnid wyrok.

– Chciałem.

– Powiedziałeś o tym komuś... *komuś z nas*?

Pokręcił głową.

– Nie. Nawet gdybym mógł, nigdy bym...

Westchnęła, spojrzała na niego przez ramię i nawet zmusiła się do uśmiechu, który jednak nie sięgał oczu.

– Wiesz wszystko – stwierdziła. – Pewnie bardzo cię irytuje, że nie możesz po prostu poplotkować o reszcie.

O kim? O jednym, którym jest martwy, kolejnym, który dogorywa, innej, która pije na umór? I o tym, w którego rudym sierściuchu jest więcej życia niż w nim samym? Pokręcił głową. Nie kopie się leżących.

– Jak się ma twój brat?

– Pracuje, jak zawsze. Siedzi po nocach nad ustawą podatkową.

– Tak, to na pewno ważne – zgodziła się, brzmiąc, jakby błądziła myślami gdzieś bardzo daleko. Obrócona do niego plecami, sięgnęła po dorodną marchewkę, zaczęła ją siekać szybko, pewnie trzymając nóż. Niegdyś długie włosy sięgały jej teraz zaledwie do łopatek. – A ty czym się teraz zajmujesz w swoim parlamencie?

Prusy skrzywił się.

– Minister od dziedzictwa robi mi burdel, ale chyba zaraz go przekonają do dymisji. Kazałem mu spierdalać.

– Od kiedy to twoje ulubione słowo? Słyszę je w co drugim zdaniu.

– Od kilkudziesięciu lat, jeszcze nie zauważyłaś?

Do kuchni zajrzał oficer, mruknął coś o tym, że skończyli i ruszył w kierunku wyjścia. Prusy podniósł się z krzesła, odłożył kubek kawy na kredens, uważając, by w ciasnej kuchni nie dotknąć zajmującej się obiadem kobiety i podążył w jego ślady.

– Do widzenia, Erzsébet.

– Czekaj – odezwała się cicho. – A... a *on*?

Zatrzymał się przy drzwiach, wpatrzył w szkiełko wizjera.

– Jadę niedługo na urlop – powiedział. – Chyba wcisnę go na zastępstwo. Ma czysto w papierach, powinni się zgodzić.

Nie usłyszał odpowiedzi. Pokręcił głową i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Zjeżdżając windą na dół, wyciągnął z kieszeni papierosy i zapalniczkę.

Węgry odhaczone. Teraz z powrotem na lotnisko, wieczorem będzie już pod szwajcarską granicą, wejdzie sam do niewielkiego domku na wsi, wyjdzie z niego po minucie, bo tam nigdy nie było niczego do sprawdzania, wyjdzie, uważając, by nie potknąć się o puste butelki, odprowadzany pustym spojrzeniem błękitnych oczu błyszczących ponad zapadłymi policzkami. Może usłyszy pytanie o jej brata. Może będzie mógł odpowiedzieć jej pół-słowem.

Potem uśnie w rytm łopotu śmigieł, gdy helikopter uniesie się w noc i tak kolejne dni i kolejne miasta, kolejni starzy znajomi o oczach pełnych otępienia.

Potem w środę zajrzy do parlamentu, bo przecież politycy to najgorszy rodzaj ludzi i patrzeć im na ręce trzeba, niezależnie od tego, pod jaką flagą toczą swoje rozmowy.

Potem znów czwartek i znów piątek... W piątek już tylko Berlin, szybka, spokojna wizyta, sobota to powrót do parlamentu, tym razem nie do jego własnego, a do parlamentu imperium, bo przecież brat ledwo tam sobie radził przez tę pieprzoną ustawę, a on zobowiązał się pomóc i teraz przeklinał za to siebie. Zostanie tylko błoga niedziela, najpewniej wyjdzie na miasto, by się zniszczyć alkoholem i muzyką...

I znów rozpoczął się kolejny tydzień, pomyślał, stojąc przed budynkiem i paląc papierosa. I znów to samo. Na szczęście, za trzy tygodnie w końcu ma urlop, odpocznie, odetchnie w znajomym hotelu w Venedig, patrząc w morze i nie myśląc o niczym. Dzięki, Lit, za ten cynk o Białym. Nie wiem, kto kogo utopiłby w kanałach, gdybyśmy się tam spotkali.

Zgasił papierosa pod butem. Korzystając z tego, że oficerowie już siedzieli w aucie i na niego nie patrzyli, sięgnął palcami za kołnierz koszuli. Wyczuł cieniutki kabelek, przesunął wzdłuż niego opuszkami i włączył nagrywanie.

Lata temu rząd stwierdził, że podbite personifikacje są zbyt niebezpieczne, by pozostawić ich bez kontroli. Ale... sprzęty były zawodne i awarie czasem się zdarzały, prawda?

Woda lejąca się spod prysznica była gorąca, gorąca aż do tego stopnia, że parzyła skórę, mieszając ból i przyjemność w trudny do opisania sposób. Trwał tak przez kilka minut, tępo wpatrując się w zaparowane szkło, odnosząc wrażenie, że ukrop z wolna wytapia z jego kończyn gnieżdżące się tam przeraźliwe zimno.

Głos rozsądku przypomniał mu o rachunkach za wodę, więc z żalem wyszedł spod prysznica, potrząsnął mokrymi włosami.

Już nakarmił Bertę, zjadł śniadanie, znalazłszy w szafkach coś, co mógłby spożyć zamiast tych nieszczęsnych, zeschłych na kamień kajzerek. Doprowadził się do porządku w łazience... A była dopiero siódma rano, została doba dnia wolnego.

Litwa westchnął cicho, przecierając pokryte wilgocią lustro, starając się nawet na siebie nie patrzeć. Gdzieś kątem oka zobaczył *tę* bliznę, mignęła mu w odbiciu, przypomniała o swoim istnieniu.

Nie była duża, ciągnęła się wąskim, pionowym pasem po boku i wyblakła już na tyle, że gdyby miał kogoś, kto zechciałby oglądać go bez górnej części ubioru, tenże ktoś na pierwszy rzut oka nawet by jej nie zauważył.

Taurys też ledwo już pamiętał, że ją ma. Czterdziesty ósmy, przypomniał sobie. Wojna nadal trwała, a imperium chłonęło nowe tereny z nieposkromionym apetytem...

Przez chwilę widział ich twarze, twarze młodzieńców o zapalczywych oczach, którzy przekonywali swoich sąsiadów, po cichutku, z zaraźliwą pasją, że nikt nie będzie się spodziewać ataku po całej dekadzie. Że główne siły wojska są daleko od ich miast i wsi, niewiele jednostek pilnuje Bałtyku...

Pokręcił głową, odcinając się od wspomnień. Ci chłopcy albo już nie żyli, albo kończyli już życia w zakamarkach swoich domów, drżącymi dłońmi przerzucając strony albumów i wspominając stary świat, a wraz z ich końcem koniec miał nadejść i dla niego.

Imperium Niemieckie pokazało, że może i zaprzestało swojego bezlitosnego tańca zniszczenia, opamiętało się i zrezygnowało z okrucieństwa, ale tego, co już raz zdobyło, nie odda. Po ostatnim zrywie starego świata, po incydencie uciańskim, została Taurysowi jedynie cieniutka blizna, stary, dawno zagojony ślad po nożu.

Ciosu nawet nie zadał Niemiec; zaatakował jeden z tych chłopców, gdy w piwnicy wybuchła kłótnia, gdy to, co wywołali, spotkało się z natychmiastową reakcją, a policja była już u drzwi, by zgarnąć prowodyrów, którzy zaniepokoili spokojną Ucianę.

Posłuchaj mnie, usłyszał wtedy, złapany za ramię i wciągnięty w kąt zimnej, wilgotnej piwnicy. *Jakoś mi się udało ich przekonać, żeby cię nie zamykać, więc teraz, proszę cię bardzo, do kurwy nędzy, idź do domu i nie wychodź bez pozwolenia. Nie widzisz, co robię? Ja się, kurwa, staram. Są ludzie, którzy chcieliby was wszystkich widzieć w celach metr na metr, żebyście z głodu gryźli własne łokcie i spali na stojąco. Zamiast się cieszyć, że jesteś tylko pilnowany, że możesz normalnie mieszkać i pracować, to wdajesz się w jakieś burdy? Wiedziałeś, musiałeś wiedzieć, że ta akcja nie miała żadnych szans. Nawet się nie tłumacz. Teraz spierdalaj, rozumiesz? Jakoś to odkręcę. Spierdalaj do domu.*

Więc uciekł, trzymając się za draśnięty bok, i jedyne, co dostał, to pisemną, bezosobową naganę, podpisaną przez jakiegoś człowieka, o którym nigdy wcześniej nie słyszał, urzędnika w machinie administracji, która ciągle rosła, by móc zarządzać sprawnie nowymi terenami. Śmiał się wówczas długo i histerycznie, osuwając się po ścianie z kopertą w ręce.

Taurys westchnął ciężko, łapiąc za przygotowaną wcześniej koszulę. Czerń opadła na bladą bliznę, po to, by znów zapomniał o jej istnieniu. Może zniknie, może nie; być może któregoś dnia nie znajdzie na swoim ciele żadnej blizny, żadnej pamiątki, bo nic już nie będzie pamiętać.

Pod drzwiami zamiauczała głośno Berta.

– Przecież dopiero cię karmiłem – mruknął do siebie Taurys, wychodząc z łazienki. Kotka otarła mu się o nogi, mrucząc, więc uśmiechnął się blado i ukucnął, by potargać jej futro.

...na granicy niemiecko-rosyjskiej znów niespokojnie – Dobiegł go głos spikerki z radia. Nastawił uszu, biorąc kocicę na ręce i przechodząc z nią do kuchni. – *Jak informuje rzecznik służby granicznej, zatrzymano młodego mężczyznę, ukrywającego w bagażu broń. Dzięki szybkiej i skutecznej interwencji służb mężczyzna został zatrzymany. Całość akcji przebiegła bez zatrzymywania ruchu granicznego. Rosja stanowczo odcina się od jakichkolwiek powiązań z zatrzymanym. Rzecznik zaprzecza, by to zatrzymanie miało związek z atakiem terrorystycznym pod Kurskiem z dwa tysiące czternastego...*

Tam zginął brat Anniki, przypomniał sobie. Ktoś przerzucił przez granicę ładunki wybuchowe, uzbroił ludzi i rozpętało się małe, ale gorące jak diabli piekło, zduszone później przez armię.

– *...ustawa podatkowa znów wymaga poprawek, grzmi minister finansów. Podczas sobotniego posiedzenia parlamentu Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej doszło pomiędzy nim a ministrem wojny do słownej utarczki...*

Uśmiechnął się pod nosem. Politycy. Wojna i finanse zawsze szły ze sobą w parze, ale nigdy nie był to harmonijny związek. W ogóle po co jeszcze to stanowisko, zastanowił się? Wojny dawno nie było, nikt już nie pamięta wojny. Coś planują? Nie, dalsze rozrastanie

imperium przyniosłoby więcej kłopotu niż pożytku, zwłaszcza że mamy całkiem dobre relacje ze Stanami...

– *...a tymczasem w Kraju Autonomicznym Prus znów rozpętała się dyskusja...*

Słuchał jednym uchem, zaparzając drugą tego ranka kawę. Berta, odstawiona kilka sekund wcześniej na podłogę, tym razem wskoczyła na lodówkę; udał, że nie widzi tego jawnego przejawu lekceważenia jego osoby i braku szacunku do ciężko zarobionych pieniędzy, które na ową lodówkę wydał.

Gdy pił gorący napój, jego myśli znów pobiegły do tajemniczych wiadomości. Chwilę znów rozmyślał nad tajemniczym Goethem, zastanawiając się, czy podawał swój adres jakiemuś uczniowi.

Tak, na pewno, mógł wskazać przynajmniej piątkę dzieciaków. Który z nich to dowcipniś?

I tak się tego teraz nie dowie. Z kawą w dłoni ruszył do maleńkiego saloniku, odczuwając nagłą ochotę, by zagrać. Więc to był jeden z tych dni, gdy będzie się miotał od jednego zajęcia do drugiego, byle tylko wypełnić kolejne minuty... Nienawidził niedziel.

Jego stary druh, fortepian kupiony jeszcze w czasach, gdy mieszkał w Wiedniu, kompan długich nocy podczas sesji egzaminacyjnych, rozpościerał się majestatycznie od ściany do ściany, zajmując niemalże połowę pomieszczenia. Drugie pół zajmowała mała kanapa i stolik z telewizorem, a całość dopełniał wepchnięty w kąt regał z książkami.

Nie przyjmował gości, więc więcej miejsca nie było tu potrzeba. Litwa wyciągnął z kąta za drzwiami stołek i zasiadłszy na nim, znieruchomiał z palcami na klawiaturze.

Nie sięgnę po nuty, stwierdził, zaciskając zęby z irytacją. Nie sięgnę. Leżą tam, koło telewizora, sam je pisałem. Nie sięgnę. Zagram to z pamięci.

Jeśli i to już zapomniałeś, może najwyższy czas się powiesić, Litauen. Gdyby to tylko było takie łatwe, nie?

Pięć palców, pięć klawiszy i nastąpiła pustka, cisza, która zadźwięczała mu boleśnie w uszach. Zaklął, przygryzł wargę, by bólem zmusić się do pamiętania. Zaczął jeszcze raz i tym razem się udało, palce odnalazły znajomą melodię, sięgnęły w głębiny pamięci, a on przymknął oczy.

– *Lietuva, tėvyne mūsų* – szeptał, widząc przed sobą to, co dawno utracone. – *Tu didvyrių žeme...*

Pamiętał i przez chwilę czuł niemalże ekstatyczną radość.

Litwo, ojczyzno nasza.

Zagrał do końca, aż do ostatniej nuty, ciesząc się, że nie popełnił żadnego błędu. Gdy skończył, przez chwilę siedział przy fortepianie, wpatrując się w ścianę przed sobą, wsłuchany w ciszę. Potem westchnął, sięgnął po stygnącą kawę i obróciwszy się, obrzucił spojrzeniem regał.

Trochę ładnie wydanych o muzyce, o tak błyszczących grzbietach, że aż żal było je otwierać, książka o powstawaniu Netzwerku, stos starych materiałów ze studiów, których było mu szkoda się pozbyć, parę powieści, kilka historycznych pozycji, wśród których wyróżniała się gruba, solidna Historia Rzeszy... Oprócz nich na regale tkwiło jeszcze kilka

starych książek oprawionych w papier, bezimiennych i ukrytych przed światem, których kartki były złotobrązowe i tak kruche, jakby miały rozpaść się w palcach, gdy tylko ich dotknie.

Wstał i cicho podszedł do regału. W uszach wciąż dźwięczała mu *Tautiška giesmė*, gdy musnął palcami grzbiet jednej z tajemniczych książek.

Nie musiał zaglądać pod papier, by wiedzieć, jaki tytuł się pod nią kryje. Wahał się, ale w końcu pokręcił głową i wycofał się, postanawiając, że to nie jest dobry dzień. Wziął za to książkę o sieci, pozycję lekką i przyjemną, mimo że znał już właściwie na pamięć każdą ciekawostkę, i rozsiadł się na kanapie.

(...) Ciężka praca niemieckich naukowców z niewielką pomocą Amerykanów zaowocowała wkrótce powstaniem Netzwerku, sieci ulepszonej względem inter-networku. Obecnie obie sieci ewoluowały w zupełnie odmienny sposób, przez co niemożliwym jest ich powtórne połączenie. Wymogło to na Netzwerku konieczności dostarczenia niemieckim użytkownikom wszystkiego, czego tylko potrzebują (...)

(...) Wiek dwudziesty pierwszy przyniósł współpracę obu narodów w dziedzinie techniki, polegającą na wymianie interesujących technologii bez wyrażania ze strony amerykańskiej chęci tworzenia wspólnych projektów. Wspomniany wyżej prof. Schrödinger uważa, że jest to zjawisko niekorzystne, gdyż „od lat amerykańska technologia niemalże stoi w miejscu, podczas gdy niemiecka dawno zostawiła ją w tyle", a wręcz sugeruje całkowite zerwanie współpracy ze względu na brak większych korzyści (...)

(...) W latach 70-tych niemieccy technologowie stworzyli również projekt e-postu, który w założeniach podobny był do e-maila, aczkolwiek pozbawiony został ograniczeń swojego rówieśnika, co spowodowało, że stał się dużo atrakcyjniejszą alternatywą (...)

I znów e-post. Litwa zaprzestał czytania tekstu, subtelnej mieszaniny historii, technologii i propagandy. Może znów Schwäne coś napisał? Korciło go, by sprawdzić, przez chwilę siedział więc niezdecydowany, aż w końcu podźwignął się z kanapy.

Przeszedł do sypialni i nie rozczarował się, bo skrzynka migała zachęcająco, błyskała nową wiadomością i znajomym już nadawcą. Usiadł i zapatrzył się w ekran.

___mein *We155e R177Er*
||/–as birgst du so bang d-
*3*in Geischt Siehst Vater, du de-
||| Erlkö-
|\|ig nicht?
|*)* en Erlenkönig mit Kron
|_| nd Schweif? Ritter, es ist Nebelstreif.
|*)*u liebes R|773.-, komm, geh mit mir! g-
*4*r schöne 5p13l3 5P13l ich mit dir Manch
*8*unte Blumen s-
|nd 4N D3M
*5*trand Meine Mu-
*7*ter hat manch gülden Gewand

Przeczytał e-post kilka razy. To nie jest przypadek, przemknęło mu przez myśl, gdy zrozumiał, na co patrzy. To sprawiło, że zamarł, poczuł zimno i chłód, chociaż był lipiec, a przez otwarte okna do środka dostawało się ciepłe powietrze, niosąc ze sobą zapach kwitnących lip zasadzonych po drugiej stronie ulicy.

Ktoś go zna, ktoś wie, jaki znak nosi w sercu, jaki symbol dumnie parł do przodu na sztandarach w czasie bitew. To wciąż był Król Olch, ale piszący zwracał się do niego, nie do umierającego dziecka w nieskończonych połaciach ciemnego lasu.

Do *We155e R177Er, Weiße Ritter, Białego Rycerza.*

A więc to ktoś, to wie, kim, czym jestem, zrozumiał. Odkąd wojna się skończyła, nie mieli prawa mówić o dawnym świecie, nie mieli prawa nosić swoich znaków i symboli. Nikt już nie uczył dzieci tego, czym była Pogoń, kogo oznaczał srebrny lew, kto niegdyś wołał: *Liberté, Egalité, Fraternité, ou la mort*...

Więc ten ktoś, ten Schwäne... to jeden z nas. Nie, to niemożliwe. Nie znali praktycznie swoich losów, widywali się jedynie w Charlottenburgu za pozwoleniem władz albo zupełnym przypadkiem, tak jak wczoraj on i Białoruś... Nie mieli żadnego kontaktu, nie mogli. Czasem udawało się podpytać Gilberta o losy znajomego, czasem rzucał dwa, trzy słowa, by zaraz zamilknąć, bo i na nim pewnie ciążyły jakieś zakazy.

Czy ten ktoś wysyłał e-posta w ciemno, umieszczając imię i nazwisko w adresie i czekając na łut szczęścia? Dlatego pisał szyfrem, bo bał się, że to podpucha, że kto inny ma dostęp do tej skrzynki? A może wie, że czujne oczy władzy widzą treść każdej wiadomości, bo to w końcu Netzwerk?

To nie musi być personifikacja, skarcił się. To może być ktoś z jego byłych polityków... ale przecież to już dogorywający starcy, tak wiele czasu minęło. I skąd wzięłaby się ta pocztówka? O naszych miejscach zamieszkania wie jedynie Prusy i urząd relokacji.

Prusy. Porozmawiać z nim? Przez chwilę Litwa poważnie się nad tym zastanawiał. Jeśli ktoś mógłby coś wiedzieć o Łabędziu, to na pewno on. Odwiedzając każdego z nich każdego tygodnia, z pewnością wiedział wiele, ale czy cokolwiek by zdradził?

I ten szyfr. Sprytne, proste, ale sprytne. *Wenn du da bist... Jeśli tam jesteś*... właśnie, co, jeśli jestem, jeśli odczytałem wiadomość?

Jeśli odpiszesz, pomyślał rozsądnie, zorientują się. Co tydzień technik od Prus sprawdza ci komputer i wiadomości, ale na pewno nie jest to jedyna osoba, która ma do nich dostęp.

Litwa był przekonany, że w kwestii pilnowania personifikacji nie zdaliby się tylko na Gilberta. Na pewno był ktoś wyżej, ktoś ukryty w cieniu, bo ostrożności nigdy za wiele.

Poczekam jeszcze, postanowił. Schwäne przesłał niedokończoną wiadomość, na pewno nadejdzie jej dalszy ciąg. A może to właśnie Prusak robi sobie żarty

Ta myśl przemknęła mu przez głowę, ale szybko zniknęła. Nie, on nie dokładałby sobie roboty.

Wstał od komputera, powtarzając w myślach treść e-postu. Na skraju umysłu mignęła mu krótka, absurdalna myśl, ale natychmiast pokręcił głową, odrzucając ten pomysł.

Za mało spał i przychodziły mu do głowy majaki. Wyszedł z sypialni na mały korytarz, minął drzwi od saloniku i łazienki i zatrzymał się przy przejściu do kuchni, opierając dłoń o łuk.

Berta miała dzień czułości; znów zaczęła pałętać mu się między nogami, przymilać się i łasić, jakby przepraszała za ślady pazurków na szczycie lodówki. Uśmiechnął się.

– Powiedz mi, mała – Ukucnął, spojrzał w kocie oczy. Przez chwilę zamiast dorosłej kocicy o bujnym futrze widział małą rudą kulkę, piszczącą rozpaczliwie w rozmokłym kartonie gdzieś w uliczce obok. – Znasz jakiegoś łabędzia?

Berta zmrużyła oczy, zielone, intensywne oczy, a Litwa poczuł, jak zasycha mu w ustach. Wstał, gwałtownie pokręcił głową.

Kawa. Potrzebował więcej, dużo więcej kawy.

Rozdział IV: To jest teraz twój dom

Nadszedł poniedziałek, ale Taurys należał do tej nielicznej grupy, która witała pierwszy dzień tygodnia z uśmiechem i ulgą, bo szkolne mury, w przeciwieństwie do jego mieszkania, były pełne życia, ruchu i dźwięku. Przeszedł przez drzwi, kiwnął głową portierowi, który odpowiedział jedynie niechętnym spojrzeniem, a potem, widząc w głębi korytarza odwróconego tyłem dyrektora, zmienił kierunek i ruszył w kierunku toalet dla personelu.

Dyrektor każdego poranka chodził wściekły, a agresja wzbierała w nim zaraz po przekroczeniu murów placówki. Zarówno uczniowie, jak i nauczyciele nauczyli się schodzić mężczyźnie z drogi przez pierwszą godzinę pracy; w końcu ten człowiek pełen niespełnionych ambicji, generalski syn, dla którego zabrakło miejsca w armii, z łatwością mógł rzucić pod nauczycielskie nogi zwolnienie albo wysłać pechowego ucznia na dodatkową musztrę pod byle pretekstem...

Taurys zerknął w swoje odbicie w niewielkim lustrze w toalecie, odliczając w głowie sekundy. Eins, zwei, drei, niech Meier już sobie pójdzie do gabinetu, tam wypije kawę i nieco się uspokoi... Opłukał dłonie pod kranem, byle tylko zyskać kolejne sekundy, a potem uśmiechnął się do siebie krzywo. Dowodziło się armiami, a teraz chowasz się przed zwykłym frustratem?

Ciekawe, czy reszta też jest już takimi wrakami. Funfzehn, sechzehn, siebzehn... Pokręcił głową, zakręcił wodę i już łapał za klamkę, gdy zaraz za drzwiami rozbrzmiało kilka młodych głosów. Ostatnia klasa, stwierdził. Miał z nimi dzisiaj lekcję.

– ... Jakbyś na muzykę przyszła nago, to by nie zauważył, co dopiero po męsku – prychnął chłopak. Taurys z lekkim trudem skojarzył głos z twarzą. To był ten wysoki, wysportowany dzieciak z młodzieżówki, dzięki której mógł opuścić niektóre lekcje i skwapliwie z tego korzystał. – Wielki mi zakład.

– Myślę, że on tylko udaje, że nie zwraca na nic uwagi – zauważyła dziewczyna, której głosu Taurys nie rozpoznał, bo odezwała się dość cicho. Uniósł kącik ust. Cóż, miała rację. Wcale nie miał ochoty wypominać dzieciakom każdego złamania regulaminu i zwykle przymykał oko na niegroźne wyskoki. – Ale...

– Więc kogo proponujesz? – Adolfina, ta wyszczekana, odważna blondynka z ładnym głosem. – Zwinęłam bratu spodnie, koszulę i krawat, nawet nie zauważył, debil... Walkenhorst? A może matematyka albo...

– Wejdę w to, jak się tak pokażesz dyrektorowi! – przerwał jej chłopak. – W męskim mundurku od stóp do głów, przed pierwszą lekcją, zanim każe sekretarce zrobić sobie kawę.

Na korytarzu zapadła krótka cisza. Taurys pokręcił głową. Młodzież...

– Jestem odważna, ale nie głupia – odezwała się prowodyrka zamieszania cicho i zaskakująco poważnie. – Zabije mnie. A co gorsza, powie ojcu.

– Przed chwilą nie miałaś takich problemów.

– Przed chwilą to mówiliśmy o nauczycielach, a nie o tym szaleńcu! Już zapomniałeś, co było dwa lata temu, jak cię dyrektor przyłapał na egzaminie? Dalej masz ślady?

– E tam – chłopak prychnął lekceważąco. – Na musztrze regularnie dostaję gorzej, a jakoś nie robię z tego problemu. Albo on, albo facet od matematyki, wybieraj. Sama chciałaś, to się teraz nie wycofuj, co?

Taurys stwierdził, że to już czas. Wyszedł z łazienki; na widok otwieranych drzwi młodzi odskoczyli od ściany i zamilkli, patrząc na niego niepewnie. Uśmiechnął się do trójki nastolatków. Prawie dorosłych, poprawił się, prawie dorosłych młodych Niemców. Odpowiedział na zmieszane powitanie, wybąkane przez drugą z dziewcząt, którą dopiero teraz rozpoznał. To była Leni Maiewsky, córka niezwykle miłej kobiety, którą Litwa pamiętał z wywiadówek, i u której słyszał jeszcze akcent, zanikły całkowicie u córki.

Zerknął w bok, ale dyrektor już zniknął w swoim gabinecie na parterze.

– Guten Morgen – przywitał się krótko obstrzyżony chłopak w mundurze młodzieżówki – jak on się nazywał? August? – a Adolfina całkiem elegancko dygnęła. Obie dziewczyny nosiły standardowy szkolny mundurek, składający się z dokładnie zapiętej koszuli i spódnicy za kolana. Ordnung muss sein, pomyślał Taurys przelotnie. Regulaminy szkolne były w tej kwestii nieubłagane, a dyrektor szczególnie cięty był na nieodpowiedni ubiór.

– Nie radzę – powiedział cicho. Adolfina zmrużyła oczy, orientując się, że Taurys wszystko słyszał. – Na koniec roku dyrektor lubi rozdawać wilcze bilety.

August zaklął pod nosem, ale nauczyciel puścił to mimo uszu. Adolfina zmarszczyła brwi i wyglądała, jakby oceniała ryzyko. Leni pokręciła głową i pociągnęła ją za rękę.

– Nie warto – uznała cicho.

Taurys skinął im na pożegnanie i ruszył w kierunku pokoju nauczycielskiego, wiedząc, że ma niewiele czasu, by przygotować się do pierwszej lekcji. Nie róbcie głupot, dzieciaki, pomyślał, przemierzając korytarze szkoły obwieszone fotografiami absolwentów, medalami sportowymi i zachętami do wstąpienia do młodzieżówki. Dyrektor może zniszczyć wam przyszłość jednym papierkiem.

Jesteście młodzi, pełni życia, macie perspektywy. Możecie wszystko. Świat od Pirenejów po Kursk stoi przed wami otworem.

– Uch… przepraszam?

Taurys obejrzał się za siebie; Ursula stała za nim, przestępując z nogi na nogę.

– Co się stało, Uschi? – zapytał, tknięty złym przeczuciem. Uczniowie mijali ich w drodze do swoich klas, mając nadzieję przetrwać ostatni tydzień roku szkolnego. Taurys opuścił wzrok; jedna z dłoni dziewczynki była zabandażowana.

– Nie wiem, czy dam radę, ja i pianino, bo… – powiedziała cicho, mrugając zawzięcie. – Wczoraj… t-to był wypadek! – dodała pośpiesznie, a Litwa, zaglądając w jej załzawione oczy, zastanawiał się pełen niepokoju, czy to, aby na pewno prawda.

Państwo nie wtrącało się w wychowanie dzieci w domach, a ojciec Ursuli wyglądał na takiego, który dyscyplinę wprowadza pasem… Może naprawdę się skaleczyła albo oparzyła, skarcił się, Lit, nie bądź paranoikiem.

– Wiem, że pan chciał, żebym zagrała na konkursie, ale...

Litwa ukucnął, zmusił się do uśmiechu.

– Nic się nie stanie – powiedział, starając się nadać swojemu pustemu głosowi tyle życia, ile tylko był w stanie. – Nie będę zły, Uschi. Takie rzeczy się zdarzają. Czy z ręką w porządku?

Pokiwała głową; uśmiechnął się więc jeszcze raz, a raczej zmusił wargi do wykrzywienia się, a potem wstał. Odprowadził wzrokiem młodą pianistkę i westchnął ciężko.

To był jakiś piątek, zimny, pochmurny piątek, a od rana w okna walił deszcz, nie zamierzając przestać. Wrócił z miasta przemoknięty, porzuciwszy koło śmietnika połamany parasol, skulony, przyciskając do serca rudą kulkę, którą teraz włożył do kartonu, owinął kocem i zastanawiał się, co z nią zrobić.

– Ja pieprzę, co za pogoda – Do jego mieszkania bez pukania wtoczył się Prusy, wyklinając świat, już wtedy zmęczony wszystkim, co na nim istniało. – Lit, mam nadzieję, że przez ostatni tydzień nic nie... Masz kota? – Gilbert, ociekając wodą, stanął w progu kuchni, zasłaniając sobą dwóch równie mokrych mundurowych.

– Znalazłem dzisiaj.

– Nazwij go Gilbert.

– To ona.

– To Gilberta.

Litwa pamiętał, że parsknął wówczas śmiechem. Ruda, malutka kocica wychyliła łebek zza krawędzi pudełka i syknęła groźnie, co przy jej rozmiarze wyglądało komicznie.

– Może być, charakter ma równie paskudny, co ty.

– Taa, jasne – Prusy wywrócił oczami i wyciągnął władczo rękę. – Dawaj sprecher.

Taurys bawił się z kotem, co chwila sycząc z bólu, gdy pazury i zęby wbijały się w jego dłoń. Kraj Autonomiczny Prus przeglądał dokładnie spis połączeń i każdy nowy numer dyktował oficerowi, by ten sprawdził go później w systemie. Brzmiał przy tym na potwornie zirytowanego faktem, że marnuje na nieustanną inwigilację swój czas. Gdy w końcu Prusy bez słowa zwrócił mu urządzenie, Taurys zajął się przygotowywaniem posiłku, ignorując to, że cała trójka właśnie weszła mu do sypialni.

Byle tylko błota nie nanieśli, o czymś takim jak prywatność dawno już zapomniał.

O tym, że znów umówił się z Anniką na kawę, przypomniał sobie dopiero w połowie lekcji. Zapatrzył się w głąb klasy, na gabloty wypełnione podręcznikami i kurzem, a jego myśli raz zajmowała nauczycielka literatury, a raz aktualnie prowadzone zajęcia.

W uchu dźwięczał mu czysty, pewny głos Augusta; chłopak śpiewał pewnie Panzerlied, przytupując nogą do rytmu. Pod koniec roku chłopak biegał od nauczyciela do nauczyciela, by zaliczyć zaległości i otrzymać świadectwo. W przypadku takich zaliczeń Taurys zwykle dawał wolną rękę, na muzyce wystarczyło więc wybrać utwór i go zaśpiewać albo zagrać, w zależności do upodobania.

Słuchając pieśni wojskowej, przez chwilę wątpił w swój wybór. Przestań, pomyślał, zły na siebie. Dzieciak idzie do wojska, oczywiście, że zna tę piosenkę świetnie i nic dziwnego, że to właśnie nią wybrał na zaliczenie.

– *Ja Reiches Heer*...? – głos chłopaka nagle stracił rezon. August zerknął niepewnie na nauczyciela, a pauza między wersami i jego spojrzenie jasno wskazywały na to, że zapomniał dalszych słów.

– *Für Deutschland zu sterben...* – Litwa dopowiedział cicho, ale to wystarczyło, by przyszły żołnierz się rozpromienił i śpiewał dalej. W jego ciemnych oczach zajaśniała wdzięczność.

– *Ist uns höchste Ehr!* – August z radością zakończył trzecią strofę. Taurys ręką dał mu znak, żeby skończył, więc chłopak odetchnął.

Umrzeć za Niemcy, jest naszym najwyższym honorem...

Taurys bez słowa, świadomy tego, że August zerka mu ponad ramieniem, wpisał do dziennika najwyższą ocenę. Niesamowite, pomyślał, gdy August wyszczerzył zęby do koleżanek i dumnym, marszowym krokiem ruszył do swojej ławki, kłaniając się teatralnie pozostałym uczniom. Tylko kilkadziesiąt lat wystarczyło, by jeden naród przeistoczył się w inny... Czy ten chłopiec nie miał estońskich korzeni? A może łotewskich?

Przez chwilę myślał o żołnierzach rozdających dzieciom cukierki; o rodzicach spoglądających nieufnie i pamiętających pierwsze okrucieństwa Rzeszy, ciągnących do domów synów i córki, nierozumiejących, czego tu się bać... Wystarczyło tylko zaciągnąć hamulce i odsunąć pewnych ludzi od władzy w odpowiednim momencie, podjąć kilka lepszych decyzji, by to, co jawiło się jako pożoga, stało się ciepłym ogniskiem.

Pożoga przeszła przez Europę, spopielając to, co było, ale na popiołach natychmiast zasiano nowe ziarna i szybko zebrano ich plony – mówiąc ludziom to, co chcieli usłyszeć, korząc się, bijąc się w pierś i przepraszając za błędy poprzedników, obiecując lepsze życie dla każdego człowieka, którego oszczędził hitlerowski, szaleńczy ogień. Nowy führer miał bystre oczy i bystry umysł i zamiast pozwolić rozniecić się nienawiści wzbudzonej mordem ojców, otoczył opiekuńczymi skrzydłami sieroty po nich... a tacy jak on, nie mogąc zrobić nic, patrzyli, jak sieć kłamstw zmienia się w prawdę, jedyną prawdę, jaka miała prawo istnieć.

– Proszę pana?

Taurys potrząsnął głową, odsuwając się od tych myśli. Nic ze wspominania przeszłości ci nie przyjdzie, Litauen. To jest twoje nowe życie i twój dom, twoja nowa i ostatnia ojczyzna, więc zajmij się tym, co do ciebie należy.

– Tak? – zapytał, mając nadzieję, że żadna z tych myśli nie odbiła się na jego twarzy. Potrzebuję urlopu, pomyślał.

– Co będzie na czwartkowym jarmarku? – zagadnęła Leni, przekrzywiając głowę.

– I czy można na niego nie iść? – mruknęła Adolfina, stukając palcami o blat ławki. Na kolanach miała rozłożone czasopismo. Jak zwykle udał, że nic nie widzi i nic nie słyszy.

Pytanie Leni przypomniało Litwie, że miał zająć się wyborem muzyki. Jasna cholera. Poprzedniego dnia myślał jedynie o tajemniczym Schwäne, nie mogąc skupić się na czymkolwiek innym. Coś spokojnego, pomyślał, klasycznego.

– Konkurs muzyczny – powiedział. – Zagrają uczniowie z całego Berlina. Poza tym będą stoiska z ręcznie wykonanymi zabawkami, kartkami pocztowymi... Cały dochód idzie na instytucje charytatywne, nagroda z konkursu również.

– Nuda... – skomentował August.

Nie słysząc żadnych innych pytań, Litwa spojrzał na dziennik, szukając w liście ocen, ciągnącej się od góry do dołu, jakichkolwiek luk, ale wszyscy mieli już wystawione stopnie. Zerknął na zegar na ścianie i widząc, że mają jeszcze kwadrans lekcji, podszedł do pianina. Zaczął grać Sonatę B-dur Wagnera, a gdy pierwsze dźwięki wypełniły salę, uznał, że się nada. No i oczywiście Sonata Księżycowa van Beethovena... A może po prostu postawić na klasyków wiedeńskich? Annice na pewno się spodoba, a Taurys z czasów studiów w Wiedniu miał spore rozeznanie w utworach tej trójki kompozytorów.

Zadowolony, że ma co zaproponować nauczycielce, zagrał do końca utwór i życzył uczniom powodzenia w dalszym życiu – z tą klasą spotykał się po raz ostatni.

Który z nich, zniewolonych, obrał sobie za znak łabędzia, który z nich odezwał się po tylu latach? Łotwa, Estonia? Taurys bał się myśleć, w jakim są stanie. Coś ścisnęło go w sercu. Przez większość czasu o tym nie myślał, nauczył się spychać strach na tył swojego umysłu, ale czasem...

– Taurysie?

I znów tu jest, pijąc kawę, zmuszając się do uśmiechu.

– Przepraszam – powiedział po raz kolejny. Annika nie wyglądała na rozgniewaną tym, że znów odpłynął w ocean niewesołych myśli, wręcz przeciwnie, patrzyła łagodnie i z troską.

– Pytałam, czy podoba ci się ta kolejność – Kobieta podsunęła mu kartkę z tytułami utworów. Taurys przejrzał pobieżnie listę, odhaczając w myślach posiadane płyty gramofonowe, a potem kiwnął głową.

– Myślę, że jest dobrze.

– Nie wyglądasz dzisiaj najlepiej – Annika oplotła palce wokół swojej filiżanki.

Litwa pomyślał, że to uroczy eufemizm. Nie był w stanie zmrużyć tej nocy oka, więc dla zabicia czasu czytał stare książki, szukając minionego świata w słowach, których czytanie szło mu z trudem. Rankiem w lustrze ujrzał znękanego siebie, nie wiedział czym bardziej – brakiem snu czy wspomnieniami. Tėvyne Lietuva, mielesnė už sveikatą...

– Nie wysypiam się ostatnio – Od ostatniej dekady, uściślił w myślach. – Co symbolizuje łabędź?

Annika zamrugała, zdziwiona nagłym pytaniem, ale niemal od razu zamyślona zmarszczyła brwi.

– Czystość, doskonałość, szlachetność – powiedziała, a w jej głosie zabrzmiał nauczycielski ton. Uśmiechnął się półgębkiem. – Rydwany czy łodzie zaprzężone

w łabędzie to mitologiczny motyw… Zeus przemienił się w łabędzia, by uwieść Ledę, więc symbolizuje też miłość. Ale kiedyś uważano łabędzia za symbol hipokryzji, pychy i obłudy, bo pod białymi piórami ukrywa czarną skórę. Dlaczego pytasz?

– Bez powodu – mruknął Taurys, zdając sobie sprawę, jak marne jest to kłamstwo. – Szlachetność, miłość, pycha…

– i śmierć – dodała cicho Annika.

Mocno zacisnął palce na filiżance stygnącej kawy. Przestań, Lit, warknął. Nie trzeba było iść na ten cmentarz; znowu będziesz wszystko rozpamiętywał i wszystko będzie kojarzyć ci się z…

– Dlaczego śmierć? – zapytał, zły na siebie, że dalej ciągnie ten temat.

– Podobno łabędź śpiewa swoją pieśń nawet wtedy, gdy umiera – szepnęła Annika, przyglądając się jego pobladłej twarzy. – Nie boi się śmierci i nie traci pewności siebie. Skojarzono to też z Jezusem i jego ostatnimi słowami na krzyżu.

Zorientował się, że Annika wolno odgina jego palce. Pozwolił jej na to, tępo patrząc, jak odsuwa filiżankę, która pewnie za moment pękłaby w jego dłoni, na bok.

– Teraz ja przepraszam. Nie powinnam była poruszać tego tematu. Chodzi o tę osobę, prawda?

– Jestem beznadziejny – przyznał po krótkiej chwili, wpatrzony w ich dłonie, splecione w pocieszającym geście, zastanawiając się, ile może i chce powiedzieć. – Od jego śmierci minęło dziesięć lat.

Zdał sobie sprawę, jakiego zaimka użył i spłoszony zerknął na Annikę. Kobieta nie skomentowała, jedynie nieco zmarszczyła czoło; Litwa przeklął się w myślach. Złamanie sto siedemdziesiątego piątego paragrafu przekreśliłoby całą jego karierę zawodową, nigdzie nie znalazłby miejsca.

– Myślę – odezwała się po długiej chwili, wolno i z rozmysłem. – że nie chciałby, byś się tak zadręczał… Kimkolwiek dla ciebie był i cokolwiek między wami zaszło.

Sam chciałbym wiedzieć, znać odpowiedzi na te pytania.

– Domyślam się – Dotyk jej dłoni niósł współczucie. Wpatrzył się w drewno stolika. – że to nie jest jedyna rzecz, która cię męczy. Ja… Jeśli potrzebujesz, by ktoś cię wysłuchał, jestem obok.

Odebrano mi naród, Anniko, wynarodowiono moich ludzi, dano im nowy język, nową kulturę, nowe wszystko, tak jak całej reszcie pokonanych. Myśleliśmy kiedyś, że Stany rzucą hasłem o sprawiedliwości i nadejdą, że Rosja sięgnie po zabrane ziemie i uwolni swoje rodzeństwo. Czekaliśmy ze związanymi rękami, ale czas wojny minął i nadszedł nowy świat, a poza drobnymi incydentami Imperium nie wstrząsnął żaden bunt, żadna rewolucja. Ledwie pamiętam już, kim jestem, a jak już całkowicie zapomnę, to umrę.

– Dziękuję – wyszeptał, mrugając. Czuł pod powiekami łzy, nie uniósł więc wzroku. – Ale… nie chcę cię w to wplątywać. To skomplikowana rzecz.

Annika zacisnęła palce na jego dłoni odrobinę mocniej, a potem ją puściła.

– Gdybyś zmienił zdanie, wiesz, gdzie mieszkam.

Opanował się i podniósł głowę.

– Oczywiście. Podrzucę ci Bertę w sobotę.

– Mój pies będzie zachwycony.

Tym razem uśmiechnął się zupełnie szczerze.

– Berta mniej.

Po powrocie do domu zasiadł przed komputerem. Wpatrując się w skrzynkę e-postu – nowych wiadomości brak – zaczął kombinować. Dokładniej rzecz biorąc, Taurys zastanawiał się, jak dać do zrozumienia Łabędziowi, że jego wiadomości doszły, a jednocześnie nie sprowadzić sobie na głowę podejrzeń.

Po uzyskaniu zezwolenia na wyjazd miał jeszcze dostarczyć urzędowi adresy miejsc, w których się zatrzymywał. Mógł to równie dobrze zrobić e-postem, prawda? Zaczął pisać, a gdy skończył, przypatrzył się uważnie polu odbiorcy. W okienku wyświetlały się ostatnie adresy, a skoro prawie w ogóle nie komunikował się w ten sposób, adres Schwäne znajdował się na samej górze.

Wysłał e-post, z nagłówkiem zwracającym się do dyrektora do spraw relokacji, pełny uprzejmości i oficjalnych słówek, pod zły adres. Zaraz potem tę samą wiadomość posłał tam, gdzie trzeba i wyłączył komputer.

Marny wykręt, pomyślał. Ale zmęczony człowiek łatwo może się pomylić, a dyrektor urzędu na pewno nie odczyta prawdziwego znaczenia zawartej w treści wiadomości prośby. *Proszę o kontakt po przeczytaniu tej wiadomości*.

Wstał z krzesła, przeszedł do saloniku i rozsiadł się na kanapie. Nad ranem na oparciu zostawił jedną z obłożonych w papier książek; czekała na niego, a gdy przekręcił brunatne kartki, szukając miejsca, w którym skończył, znów poczuł ucisk w gardle.

Užsidengė akis ir šitaipos prabilo: aš — Jackus Soplica...

Berta niczym duch wskoczyła na kanapę, wślizgnęła się na jego klatkę piersiową, pomiędzy serce a książkę i zaczęła mruczeć uspokajająco. Litwa westchnął, ułożył się wygodniej i czytał dalej, postanawiając, że musi pracować więcej nad językiem. Czuł się jak człowiek uczący się nowej mowy, bo słowa na papierze czasem łamały mu język, mimo że powinien czytać je płynnie.

Może, jeśli będzie dużo ćwiczył, uda mu się zacząć myśleć po litewsku? Kiedy właściwie przestał? Nie był w stanie tego określić; na chwilę przestał czytać, spojrzał na przeciwległą ścianę.

Kimkolwiek jesteś, Schwäne, nie wybrałeś sobie dobrego pseudonimu, ale to nieważne. Chcę się z tobą spotkać, kimkolwiek jesteś. Znasz mój adres, czekam na ciebie.

Czytał jeszcze chwilę; gdy skończył i pozostał mu jedynie epilog, odłożył książkę na swoje miejsce i wziął do ręki tomik wierszy Goethego. Skoro jego tajemniczy rozmówca był fanem literatury romantycznej, Litwa nie zamierzał zostać w tyle.

Mehr Licht, Schwäne. Odpowiedź, rozjaśnij trochę sytuację, bo irracjonalne podejrzenia zaczynają mnie dręczyć bardziej niż kiedykolwiek, jeszcze jedna, dwie nieprzespane noce i uwierzę, że...

Litwa pokręcił głową. Przestań się łudzić. Widziałeś ciało. Widziałeś trumnę i nagrobek.

Ale Polaków zawsze było więcej niż...

Tę myśl też zdusił w zarodku. Przeczytał kilka wierszy, z niepokojem zdając sobie sprawę, że idzie mu dużo płynniej z niemiecką poezją, a potem odłożył tomik na bok, przymknął oczy i zasłonił twarz przedramieniem. Kocica nadal okupowała jego klatkę piersiową, będąc jednocześnie i ciężarem utrudniającym oddychanie, i ciepłym, miękkim pocieszeniem.

Jeszcze jedna nieprzespana noc i uwierzę, że to ty stoisz za tą farsą. W zaświatach podłączyli Netzwerk, Feliksie Łukasiewiczu?

Z tą gorzką, bolesną myślą skulił się i zamknął oczy. Kot też zmienił pozycję, teraz Berta leżała między jego szyją a ramieniem, mrucząc jednostajnie do ucha spokojną, kocią kołysankę.

Tylko na jej towarzystwo mógł liczyć.

Rozdział V: Tysiącletnia Rzesza

Prawdziwe piękno sobotniego wieczoru docenić mogła jedynie osoba ciężko pracująca. Przeklinał los za to, że takową się stał. Ach, gdzie te piękne czasy, gdy stało się na czele armii, wymachiwało mieczem i strzelało, a potem, w alkowach, zażywało snu, odpoczynku i alkoholu, często przez wiele dni...

Obecnie Gilbertowi została jedynie niedziela i poprzedzający ją wieczór, więc gdy tylko ogłoszono zakończenie sobotniego posiedzenia, natychmiast wstał ze swojego miejsca w kącie Reichstagu – miejsca tylko pozornie niewidocznego, przecież każdy wiedział, że w cieniu i za kotarami rodzą się najważniejsze decyzje – skinął sztywno głową najbliższym parlamentarzystom i szybko ruszył w kierunku wyjścia.

– Kto to w ogóle jest? – doszedł go szept młodego, obiecującego mężczyzny, który będzie świetnym politykiem, o ile nie zniszczą go na starcie złaknieni władzy starcy. – Ten człowiek...?

Prusy obejrzał się przez ramię. Drugi z polityków spoglądał na młodszego kolegę wzrokiem pełnym politowania.

– Naprawdę nie wiesz? – zapytał, pokręcił głową i ruszył w swoją stronę, pozostawiając za sobą zbitego z tropu młodzieńca. Brzmiało to tak, jakby młody polityk zapytał o to, po której stronie nieba świeci słońce.

Gilbert powstrzymał śmiech.

Sam tego nie wiesz, pomyślał. Jedynie nie chcesz wyjść na człowieka, który nie wie. Nie lubicie przyznawać się do błędu, wszyscy jesteście tacy sami. Nikt z was nie wie, kim tak naprawdę jestem, ale będziecie szli w zaparte, gdy ktoś wytknie wam niewiedzę.

Politycy szeptali o nim, gdy myśleli, że nie słyszy. Człowiek rządu, a może wywiadu. Ktoś z bardzo tajnych struktur, o których sami nic nie wiedzieli. Ważny, tajemniczy dyplomata z Prus, bo to głównie w sprawach kraju autonomicznego zabierał głos. Raz jest, raz go nie ma. Słucha i zwykle milczy, młody, niezwykłej urody człowiek, o oczach tak czerwonych jak krew, nieludzkich i niepokojących.

Człowiek führera, a o takich nie wolno pytać, tak brzmiała chyba najpopularniejsza wersja.

– Wkopałeś mnie, brat – mruknął pod nosem Prusy, wychodząc na Großer Platz. Ludwig wolał siedzieć za biurkiem w gabinecie, którego większość polityków nigdy nie miała zobaczyć na oczy, i tam wypełniać swoją rolę. W Reichstagu praktycznie się nie pojawiał, bywał tam raz, dwa razy na dekadę, więc jego istnienie umykało parlamentarzystom.

Nie to, co on. Prusy spojrzał ponuro na stojące przed nim auto.

– Wieź mnie na Kalckreuthstraße – nakazał, zwalając się na tylną kanapę volkswagena. Odchylił głowę do tyłu i westchnął, próbując wyrzucić z myśli natłok politycznych spraw. Teraz chciał się zabawić. – Zostaw mnie tam, jakoś sobie wrócę. Albo rano zadzwonię.

Kierowca, młody oficer, kiwnął tylko głową i ruszył, płynnie włączając się do ruchu. Prusy z zamkniętymi oczami wsłuchiwał się w mruczenie silnika. Już niedługo i urlop...

Czy trzeba coś załatwić przed wyjazdem u *starych znajomych*? U Litwy spokój, u Erzsébet też, relokację Białorusi już ogarnął, pojedzie gdzieś za Paryż, mniej więcej tam, gdzie kiedyś ulokowali Taurysa, nim trzeba będzie przesiedlić jego siostrę musi minąć jeszcze dwa lata...

A w domu? Nie, już wykopałem tego ministra, a ta ustawa szkolna to dopiero po urlopie... A ta sprawa z podatkową to się powoli rozwiązuje, pewnie zaklepią ją już w przyszłym tygodniu, nim się wszyscy rozjadą na wakacje.

Miałem nie myśleć o pracy... Zajebiście, Gilbert, zostałeś pracoholikiem. Coś tu poszło mocno nie tak... Wiele rzeczy poszło nie tak, stwierdził, chociaż zapewne nie powinien był.

Zanurzył się w ciemność pod powiekami, zmęczony hałasem sali obrad zapadł w króciutką drzemkę, podczas gdy auto pędziło ulicami...

– Proszę pana? Jesteśmy.

Prusy otworzył oczy, zerknął na szyld znajomego klubu i uśmiechnął się szeroko, a poprzednie myśli uleciały mu z głowy.

– Na razie, młody – rzucił, z nową energią wyskakując z auta. Nie obejrzał się, schodząc po schodkach, wszedł do środka i z miejsca nakazał nalać sobie dużo dobrego, schłodzonego alkoholu. Barman natychmiast sięgnął po butelkę dobrego wermutu, rozpoznając stałego bywalca.

Ciemne, pokryte plakatami ściany przeczyły czystej bieli okolicznych kamienic. Stoliki tonęły w papierosowym dymie na przekór najnowszej antynikotynowej kampanii. Ktoś rżnął w pokera w jednym z kątów, klnąc głośno. Ktoś inny śpiewał przy mikrofonie szybką, ostrą, nieprzyzwoitą piosenkę, zdzierając gardło i co chwila sięgał po piwo, by je zwilżyć. Każdej zwrotce towarzyszyły głośne śmiechy słuchaczy. Prusy uśmiechnął się szeroko.

Imperium rzadko sięgało poza swoje granice i rzadko cokolwiek w nie wpuszczało, nie przepadając za nowościami z innych krajów, ale ta rozrywka przyszła z odległej, sojuszniczej Japonii wraz z ważnym dyplomatą, więc za milczącą zgodą władz od dwóch lat karaoke robiło furorę w Berlinie, Paryżu czy Neukrakau, szczególnie w takich lokalach jak Eldorado, gdzie porządni ludzie raczej nie zaglądali. Prusy czuł się tu jak w domu – nigdy wszak nie twierdził, że jest porządnym człowiekiem, a splendor i chwała Imperium czasem już go mdliły.

Wychodząc z klubu wczesnym rankiem, tanecznym, rozbujanym krokiem, z obolałym gardłem, zbyt roześmiany i stanowczo zbyt pijany, przez moment miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. To uczucie szybko minęło, więc Prusy wyciągnął z kieszeni szprechera, spróbował skupić wzrok na wyświetlaczu i przyciskach. To jednak przydatna rzecz, ten szprecher. Zmrużył oczy, ale nie pomogło to za wiele, numer wybrał więc prawie na oślep.

Nie musiał nic mówić, nie musiał nawet bełkotać, bo w jego stanie tym byłaby jego próba porozumienia się z kierowcą. W słuchawce usłyszał szybkie „tak jest" i nie minęło dziesięć minut, a auto już przed nim parkowało.

– Do domu? – upewnił się chłopak, otwierając drzwi od strony kierowcy. Prusy stwierdził przelotnie w myślach, że trzeba dać mu podwyżkę. Ten przynajmniej nie marudził, nie tak jak poprzedni...

– Do brata – wymamrotał Gilbert po chwili, uporawszy się z plączącym się językiem. Świat wirował, ale do tego szaleństwa Gilbert już przywykł, każdy tydzień tak kończył.

– Oczywiście... – mruknął kierowca, wyskakując z auta i otwierając przed Gilbertem drzwi. Mimo czwartej nad ranem miał na sobie pełne umundurowanie. – Już jedziemy.

Prusy ostatni raz rozejrzał się dookoła. Nie było w okolicy ani *żywej* duszy.

– Vienas, du, trys, keturi, penki, šeši, septyni, aštuoni, devyni, dešimt.

Gratulacje, Lit, pomyślał gorzko nad czwartkową, poranną kawą. Umiesz liczyć do dziesięciu we własnym języku. Czy to w ogóle ma sens, walczyć o to, uważać na każdą myśl i każde słowo, starać się, by wybrzmiało w odpowiedniej mowie? Wiesz, dlaczego tak się dzieje. Litwini już się nie rodzą, rodzą się Niemcy. Twój naród znika i czujesz, widzisz to po sobie. Nie cofniesz czasu. Utraciłeś swoje trzy miliony.

W radio leciała przyjemna, niemiecka piosenka. Lubił tego artystę. Chwilę słuchał spokojnego, męskiego śpiewu, obserwując Bertę błąkającą się po kuchni.

– Przed chwilą cię karmiłem – powiedział, gdy kocica zaczęła trącać łapką pustą miskę. Berta posłała mu pełne politowania spojrzenie i syknęła, a następnie zamiauczała przeraźliwie. Taurys się skrzywił. Wyglądało na to, że kotka, im bliżej było do soboty, tym bardziej była na niego obrażona.

– Nie wezmę cię ze sobą – spróbował, chociaż wiedział, że to bez sensu. Westchnął ciężko, widząc jak kocica, jego jedyna towarzyszka, odwraca się do niego plecami i ostentacyjnie zaczyna lizać sobie łapki. Potem jeszcze na niego syknęła. Jakim cudem kocie syknięcie brzmi jak „spierdalaj", zastanowił się przez moment. Niewdzięcznica.

Wstał, jak zwykle z kawą ruszył do skrzynek pocztowych na parterze, łapiąc po drodze kluczyk zawieszony obok drzwi. Kocica odprowadziła go do wyjścia i położyła się obok progu, jakby była sfinksem pilnującym swojego przybytku.

Otwierając skrzynkę, Taurys znów pomyślał o tajemniczym Łabędziu, ale gdy tylko zobaczył niewielki stosik i znajomą pieczątkę na sztywnej, kremowej kopercie na jego wierzchu, natychmiast ta sprawa wyleciała mu z głowy. Przez chwilę wpatrywał się we wnętrze skrzynki, a potem, zaciskając zęby, zgarnął całą zawartość. Gdy wsunął kluczyk do zamka, zdał sobie sprawę, że jego ręce drżą.

Wrócił pośpiesznie do mieszkania, ciesząc się, że nie napotkał żadnego ze swoich sąsiadów. Rzucił stosik listów na blat w kuchni i sięgnął po nóż. Ostrze wsunął w sztywną kopertę i szarpnięciem ją rozciął, zdając sobie sprawę, że serce bije mu zdecydowanie zbyt szybko niż powinno, zupełnie jakby właśnie przebiegł maraton.

Taurys wolno wyciągnął z wnętrza koperty równie sztywny i równie ozdobny papier, opatrzony najważniejszymi pieczęciami państwowymi. W ciągu ostatnich siedemdziesięciu lat otrzymał pięć takich listów.

Zaproszenie. Ktoś nawet pokusił się, by tym razem napisać to ręcznie, piękną, szpiczastą, pochyloną kurrentą, litery były niezwykle równe i napisane bez żadnego niepotrzebnego ruchu pióra, bez żadnej skazy czy pomyłki. Piękna kaligrafia, pomyślał, nim zagłębił się w treść.

W imieniu Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej,

Mam zaszczyt zaprosić pana Taurysa Laurinaitisa na uroczyste przyjęcie w Pałacu Charlottenburg w Berlinie z okazji obchodów Dnia Zjednoczenia. Obowiązuje strój oficjalny. Pana obecność jest spodziewana. Kierowca przybędzie po pana o wyznaczonej niżej godzinie...

Piękne słowa, jak zwykle. Gdy Charlottenburg wypełni się oficjelami i grubymi rybami, oni, w tej dusznej, zakurzonej sali teatralnej na tyłach będą padać sobie w ramiona, szeptać i łkać pod czujnym okiem ubranych na galowo żołnierzy, chowających się za kotarami w pozornej dyskrecji.

Z poważaniem, Ludwig Beilschmidt

To nie było pismo Ludwiga. Nie zadałby sobie tyle trudu, by każdemu z nich osobiście napisać zaproszenie. Pomysł tych spotkań na pewno był jednak jego. Jak dobitniej przypomnieć im wszystkim o ich marnym losie niż wprowadzić ich na salony pod strażą i patrzeć, jak boją się rozmawiać z tymi, których kochają i za którymi tęsknią, bo czujne uszy Rzeszy słyszą wszystko? Ludwig musiał czuć sporą satysfakcję, widząc ich ból.

Litwa zmiął list w pięści. Oczywiście, że tam pójdzie. *Nie miał wyboru*.

Nie spodziewał się już dostać zaproszenia w tym roku; spotkaniami rzucano im w twarz z zaskoczenia co parę lat, bez jakiejkolwiek regularności, zwykle jednak nie później niż w czerwcu. Dobrze, że Dzień Zjednoczenia, dzień, w którym skończyła się Wielka Wojna Dziesięcioletnia i wszystkie podbite państwa oficjalnie otrzymały status kolejnych niemieckich landów, wypadał już po jego powrocie.

– Boję się – wyszeptał.

Berta syknęła, wskoczyła na blat i prostując ogon, zadarła głowę, jakby próbowała zajrzeć mu w oczy.

Czy Estonia jeszcze żył? Osiem lat temu był cieniem człowieka, takim jak teraz Taurys. Czy może już zgasł, tak jak zgasł Feliks, czy może jednak odnajdzie go w jakimś kącie? A Łotwa? Czy w Imperium zostali jeszcze ludzie, którzy zwą się w sercu Bałtami, czy już może wszystko pochłonęła niemieckość?

Węgry. Ukraina. Białoruś. Rumunia. Francja, Czechy i Słowacja, Dania, Holandia, Belgia. Kogo tym razem zabraknie? Piekielna wyliczanka...

Oparł się o blat i zakrył dłonią oczy, zmuszając się do oddychania. Jak to było, pamiętasz? Dowiedzieliście się wszyscy. Prusy wam to powiedział, a potem, w Charlottenburgu, szeptaliście pełni zdumienia i strachu, bo nie spodziewaliście się, że to Polska umrze pierwszy.

Wiedziałbym, spróbował się uspokoić. Wiedziałbym, że ktoś jeszcze... Policzył w myślach do dziesięciu, najpierw po niemiecku, potem po litewsku. Spróbował jeszcze

po polsku i łacinie, bo to jeszcze pamiętał, i dopiero wtedy jego oddech się ustabilizował. Nikt nie umarł. Wiedziałbyś o tym.

Prusy przyniósłby tę nowinę jak czarnoskrzydły anioł-posłaniec Rzeszy, wiedział przecież wszystko. Odkąd przegraliśmy, zawsze był naszym łącznikiem, pomyślał Litwa ponuro. Zawsze stał między nami a *nimi*, zawsze wierny bratu i Rzeszy, ale zawsze skłonny do dyskretnych sugestii i cichych próśb. Kto inny miałby moc zmienić ich status, zasugerować, że dyskretna kontrola jest lepsza od strzeżonych przez dziesięciolecia ciasnych cel? Wzdrygnął się, przypominając sobie te pierwsze, koszmarne tygodnie nowego świata.

Berta zamiauczała cicho, otarła się o jego łokieć. Pogłaskał ją z bladym uśmiechem na wargach i w końcu zwrócił uwagę na pozostałą pocztę. Dwa rachunki, których się spodziewał... i pocztówka ze zdjęciem pływających po parkowym jeziorze łabędzi. Złapał ją szybko, obrócił na drugą stronę.

Serce próbowało wyskoczyć mu z piersi. Znów nie znał pisma, ale różniło się od tego z poprzedniej pocztówki. Schwäne wysługuje się ludźmi, pomyślał bez zdziwienia. Rzuć parę marek bezdomnemu, a zrobi wszystko, połowa przekrętów się od tego zaczyna.

Siema, stwierdziłem, że pora odnowić kontakt. Pamiętasz mnie jeszcze? Wybierasz się gdzieś na wakacje czy będziesz gnić w mieście aż do września? Jestem teraz w delegacji, szef posłał mnie na taki Weltreise, że codziennie jestem gdzie indziej, ale jak puścisz odpowiedź na skrytkę nr E-15-714I-10, to na pewno do mnie dotrze. Daj znać, może się zgadamy, Oskar.

Oskar. Kim był Oskar i czy w ogóle jest sens szukać znaczenia w tym imieniu? Litwa obrócił kartkę w palcach, myśląc intensywnie. Znał paru Oskarów, z jednym studiował. Ta prośba o odnowienie kontaktu pasowałaby do tej niewinnej studenckiej znajomości, ale Taurys ani chwili nie wątpił, że to gra.

Pocztówka miała pieczątki niemieckiej poczty, a wszystko, co do niego przychodziło lub miało jego jako nadawcę, było pod ścisłym nadzorem. Ten sprytny wybieg z delegacją i skrytką pocztową... Numer *nic* mu nie mówił, ale na pewno nie był berliński. Który land ma skrytki zaczynające się od „E"? Nie miał pojęcia.

Spojrzał na zegar. Jak wyjdzie teraz, wpadnie na najbliższą pocztę jako pierwszy klient, zaraz po jej otwarciu. Jak dobrze, że dzisiaj miał dopiero na drugą lekcję...

Ruszył szybkim krokiem po swoją nauczycielską torbę, upewnił się, że karta obywatela grzecznie leży na jej dnie i złapał za klucze do auta. Wsiadł w samochód, układając treść odpowiedzi. Musiała być niewinna, pozornie nic nie znacząca, taka, jakich miliony codziennie przechodzą przez pocztowe systemy.

Dzięki za pocztówkę, z chęcią powspominam stare, studenckie czasy. W sobotę jadę do Neukaunas na wczasy, ale to tylko na parę dni. Potem już siedzę w stolicy. Napisz, co u ciebie. Ustatkowałeś się już, czy dalej szukasz miłości? Taurys L.

Jeśli to ty, Schwäne, spróbuj mnie tam znaleźć. Tam będzie łatwiej. Od dziesięcioleci mam czysto w papierach, nikogo za mną nie poślą, pomyślał, gdy podawał pocztówkę, razem ze swoją kartą obywatela, korpulentnej kobiecie w okienku. Ta przeczytała treść mimochodem, stawiając automatycznym ruchem pieczątkę i odłożyła pocztówkę na bok.

Dopiero gdy przekroczył próg szkoły, zdał sobie sprawę, że zna widoczek z kartki. To było jeziorko w jego ulubionym berlińskim parku.

W szkolnym holu rozbrzmiewała cicho muzyka klasyków. Ławki, pokryte czerwonym i czarnym suknem, pełne były zabawek, ozdób i drobnostek, a na każdej z nich stał dodatkowo szklany, okrągły pojemnik na datki. Dookoła kręciło się mnóstwo uczniów, pojawili się też rodzice i inni dorośli, głównie absolwenci. Szkoła organizowała ten jarmark od wielu lat i wiele osób przychodziło tutaj z sentymentu albo by zamienić słowo z dawnymi kolegami.

Dzisiaj odbyły się tylko dwie pierwsze lekcje; zgraja uczniów, rozdarta między radością z odwołanych zajęć i znudzeniem wywołanym błąkaniem się po jarmarku, tylko wyczekiwała chwili, w której będzie mogła odejść. Nauczyciele uśmiechali się nieco wymuszenie; pośród nich prawdziwą radością jaśniała tylko Annika, wyglądająca zjawiskowo w bordowej bluzce i czarnych spodniach, miłej dla oka odmianie od stonowanych pasteli spódnic i żakietów, które na co dzień nosiła. Mocniej umalowała oczy, włosy rozpuściła, opadały jej na ramiona wzburzonymi falami, przez co przypominała bardziej nieco zbuntowaną uczennicę niż stateczną nauczycielkę. W dniu jarmarku zawsze przymykano oko na skostniałe szkolne zasady.

Taurys przez chwilę po prostu na nią patrzył; do twarzy jej w ciemnych barwach, pomyślał. Oparł się o ścianę korytarza i prześlizgiwał się wzrokiem po tłumie, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Muzyczny konkurs miał odbyć się dopiero za pół godziny, a wszystko było już przygotowane. Gdyby Ursula nie zrezygnowała, pewnie w tym czasie dodawałby jej otuchy albo przeprowadzaliby próbę generalną...

Utwór Beethovena ucichł; Taurys mechanicznym krokiem podszedł do stojącego niedaleko starego, zabytkowego gramofonu i spokojnie zmienił płytę. W powietrzu zabrzmiał Mozart. *Lacrimosa* przypominała mu aule akademickie, unoszące się tam w powietrzu drobinki kurzu, rozświetlone popołudniowym blaskiem słońca, gdy stary profesor z pasją opowiadał o kompozytorze i jego ostatnich chwilach.

Oskar był studentem z sąsiedniej grupy, poza okazjonalnymi rozmowami nigdy nie byli sobie bliscy. Taurys zastukał palcami w obudowę gramofonu. Czyżby ktoś wyciągnął to imię z jakichś spisów studentów? Takie informacje leżały gdzieś we wiedeńskich archiwach, wątpił, że znajdują się również w jego teczce. Ale to imię było też dość popularne w pokoleniu obecnych trzydziestolatków; trzy dekady temu w wielu filmach grał ten słynny, przystojny aktor, za którym szalały kobiety i którego imię nadawały synom, Taurys nie pamiętał jego nazwiska. To byłby całkiem sensowny strzał, co prawda na ślepo, ale ze sporym prawdopodobieństwem trafienia.

Mam paranoję. Z drugiej strony, czemu miałbym nie mieć?

– Taurysie – szepnęła do niego Annika, zjawiając się przy nim jak ciemny anioł, niemalże bezgłośnie. Drgnął, skarcił się w myślach za to zamyślanie się, za analizowanie sytuacji, w której się znalazł. – Już czas.

Skinął jej głową w podziękowaniu. Czując suchość w gardle, ruszył w kierunku szkolnej sali gimnastycznej. Gromadka uczestników konkursu, uczniów z innych berlińskich szkół, już zgromadziła się wokół drzwi wraz ze swoimi nauczycielami, którzy albo próbowali dodać im otuchy, albo piorunowali surowymi spojrzeniami za każdy nerwowy tik.

Litwa był wdzięczny losowi, że nie musiał tego prowadzić. Na środku sali stał już dyrektor, łypiąc ponuro na każdego, kto wchodził do środka. Taurys po raz ostatni sprawdził stan instrumentów i usunął się w cień. Gdy umilkł hałas przesuwanych krzeseł i rozmowy ucichły, na parkiecie rozbrzmiały obcasy. Annika stanęła obok dyrektora, mrugnęła do Taurysa i uśmiechnęła się profesjonalnie do tłumu.

– Witam Państwa na kolejnym konkursie muzycznym – odezwał się dyrektor chłodno, nie wykrzeszając z siebie ani odrobiny entuzjazmu. – Od siedemdziesięciu lat nasza szkoła organizuje ten charytatywny jarmark dobroczynny, a od lat sześćdziesięciu pięciu kolejne pokolenia młodych, zdolnych muzyków – Jego ton nie pozostawiał wątpliwości, że niewiele go obchodzą młodzi, zdolni muzycy. – współzawodniczą ze sobą w konkursie. Tradycyjnie przypada on na dwa dni przed zakończeniem roku, jak również na dwa tygodnie przed Dniem Zjednoczenia, w którym nasz kraj, po latach zawieruchy, stał się jedną całością i zmierzać zaczął do wspaniałości, do stania się tysiącletnią Rzeszą, Zjednoczoną Rzeszą...

Taurys wyłączył się po dwóch minutach przemowy. Wodził wzrokiem po widowni pełnej uczniów, nauczycieli, rodziców i absolwentów; August szeptał do Adolfiny, a dziewczyna co chwilę wręcz dławiła się śmiechem. Gdzieś tam przykucnęła Uschi, z zazdrością przyglądając się stojącej niedaleko obcej dziewczynie, uczestniczce z innej szkoły, która nerwowo poruszała palcami w powietrzu, jakby grając na niewidzialnych klawiszach, i powtarzała coś bezgłośnie.

Annika w końcu przejęła mikrofon, łagodnie zaprosiła niejaką Marię do fortepianu, zapowiadając ją jako pierwszą uczestniczkę. Taurys przyłączył się do uprzejmych braw i robił tak za każdym razem, gdy jakiś młody człowiek poruszał serca słuchających za pomocą smyczka, strun czy palców śmigających po czerni i bieli klawiatury. Ktoś wygrał, ktoś odebrał symboliczną nagrodę i wszystko się skończyło.

Potem pozostało już tylko sprawdzić instrumenty, odnieść je na miejsce, dopilnować, by każdy dostał swój dyplom i tak zakończył się czwartek. Wrócił do domu, witany wyprostowanym ogonem Berty i ciszą mieszkania, którą natychmiast przerwał, włączając radio.

E-post już na niego czekał, zaledwie kilka godzin od wysłania pocztówki.

Sah |< |||ab' Rösl3in stehn,
Röslein a|_|f Heiden,
W4r so j|_|ng und ||/|orgenschön,
Lief er sch|||ell es nah zu sehn,
S4h's ||/|17 v1elen Freuden.
Rö2lein, Röslein, Röslein ro7,

.-öslein auf Heiden.

Tym razem wiedział, że to Goethe, poznał ten wiersz kilka dni wcześniej. *Polna różyczka*, wiersz o odrzuconej miłości. Wpatrując się w treść, sięgnął po kartkę i wypisał sobie każdą literę zastąpioną symbolem.

K n e u a u m n a mit i s t r.

Neukaunas mit mir.

Świetnie, Łabędziu. Spotkamy się w Nowym Kownie.

Taurys uśmiechnął się smutno i wyciągnął z szuflady biurka zapalniczkę. Pokój wypełnił się smrodem palonego papieru.

Kasując wiadomość, zerknął na nią ostatni raz i nagle uderzyło go to, że w wierszu nie ma rodzajników.

Zacisnął mocno zęby, gdy odpowiedź po raz kolejny pojawiła się w zaułkach jego umysłu. Nie dasz mi spokoju nawet po śmierci, draniu? Schwäne musi go znać, utwierdził się w tym przekonaniu, wstając gwałtownie od biurka.

Wie, gdzie uderzyć, by zabolało.

Rozdział VI: Łabędzi śpiew

Szósty dzień tygodnia przyniósł koniec roku szkolnego. Wyszedł z budynku wczesnym popołudniem i przystanął w gorącej plamie słonecznych promieni, mijany przez podekscytowanych uczniów. Usunął się na bok i obrzucił wzrokiem szkołę, zdając sobie sprawę, że minęły już cztery lata, odkąd tu pracował.

Dobre cztery lata, pomyślał Taurys. To była dobra praca, należało tylko pamiętać, by unikać dyrektora, gdy nie był w humorze. Płacili też naprawdę przyzwoicie, chociaż jemu wystarczyłoby do życia o wiele mniej, nie miał w końcu nikogo na utrzymaniu poza sobą i kotem.

Gdy lata temu podjął decyzję o studiach muzycznych, długo się zastanawiał, czy w ogóle pozwolą mu zdobyć uprawnienia nauczycielskie. Wisząca nad nimi wszystkimi ręka władzy zabraniała im stanowisk, w których mieliby znaczący wpływ na obywateli, najwidoczniej jednak uznano, że nauczyciel muzyki jest raczej mało istotna posadą.

Taurys był pewny, że na pozytywną decyzję miało to, co znajdowało się w jego teczkach. Od Uciany, od incydentu, który Prusy zręcznie zatuszował, Litwa zachowywał się tak, jak od niego wymagano.

Dlatego mógł tu pracować. Dlatego mógł pojechać na wakacje jak normalny człowiek.

Na początku mogli się buntować i nienawidzić niewoli, ale prędzej czy później każdego z nich dopadła proza codziennego życia i poczucie, że i tak nie mogą nic zmienić, więc może warto jednak zadbać o siebie i swój byt...

Każdy z nas w końcu stał się konformistą, pomyślał Litwa, ruszając się z miejsca. Dzieci i młodzież już praktycznie opuścili budynek. Niektórzy kiwali mu głową albo życzyli miłych wakacji, więc odpowiadał im podobnym skinieniem i uprzejmym uśmiechem.

Każdy. Nawet i *on*. Gdy widział go ostatni raz, żywego, prawie siedemnaście lat temu, jednym z głównych zmartwień Feliksa Łukasiewicza było to, czy jego auto przetrwa zimę – a zima tamtego roku była paskudna, mroźna i jadowita – i Taurys doskonale pamiętał, jak w ciemnej, dusznej sali teatralnej ktoś rzucił, że nic dziwnego, że samochód ledwo jeździ, skoro Feliks tak luźno podchodził do kwestii przeglądów.

Oni już nie udawali zwykłych ludzi. Oni już nimi byli.

Właśnie dlatego Litwa szedł teraz szybkim krokiem do swojego samochodu, by podrzucić Bertę w dobre ręce, a następnie wsiąść w pociąg i pojechać na wschód.

Może i przestał być personifikacją, ale nie chciał *jeszcze* zapomnieć, czego symbolem kiedyś *był*.

W domu czekały już transporter dla kota i bagaże spakowane podczas bezsennej nocy. Berta na jego widok zasyczała, a potem, przeczuwając zło, wskoczyła na lodówkę, wcisnęła się w kąt poza zasięgiem jego rąk i nie zamierzała zejść.

– Mogłem cię tam zostawić, w tej kałuży – warknął Litwa, gdy w końcu udało mu się włożyć kota do transportera. Uniósł do oczu dłonie pokryte zadrapaniami, przyglądając się ciemnej krwi, która zaczynała się z nich sączyć, z dziwnym uczuciem fascynacji.

Kiedyś widok własnej krwi nie był niczym dziwnym, był niemalże codziennością. Były dni, w których każdy z ich rodzaju nurzał się we krwi, czy to własnej, czy wrogiej, bywały noce, w których leżeli w malignie po otrzymaniu wielu ran, ale te czasy minęły, odeszły, a Litwa nie potrafił przypomnieć sobie już, kiedy ostatni raz był poważnie ranny.

Kolejna rzecz, pomyślał, otarłszy dłonie z krwi i zamknąwszy szczelnie transporter. Kocica zwinęła się w kłębek, sycząc obrażona. Dzisiaj... dzisiaj pewnie byłbym przerażony rozległą raną. Trzęsłyby mi się ręce. Nie wiedziałbym, co robić. Wtedy... wtedy zaciskało się zęby, mówiło „kurwa, znowu" i czekało, aż się zabliźni. Jeśli czasy były dobre, był też obok *ktoś*, kto mógłby doglądać rany, rozbawiać dowcipem i...

Urwał błądzące myśli. Skup się na teraźniejszości, Litauen. Znowu nadeszły wakacje. Przez miesiąc nie będziesz miał do kogo się odezwać, we wrześniu odwdzięczy się to paskudną chrypą, jak co roku, chyba że w końcu zaczniesz mówić na głos, sam do ciebie, bo może po wizycie w *domu* oszalejesz z tęsknoty.

Jeśli dożyjesz września, podpowiedział mu chytry, złośliwy głosik w głowie, a Taurys ciężko westchnął. Zabrał bagaż, niewielką torbę z najpotrzebniejszymi rzeczami, i kotkę w transporterze, która nie przestawała rzucać kocich wyzwisk. Zapakował wszystko do auta i upewnił się trzy razy, że zamknął mieszkanie.

W czasie jazdy po Berlinie kocica przestała syczeć i obrażona trwała w nienaturalnym wręcz milczeniu. Co mnie napadło, pomyślał, skręcając w uliczkę, zaopiekować się humorzastym kotem. Mogłem po prostu ją komuś dać, znalazłoby się ze sto lepszych domów dla Berty niż mój.

Annika mieszkała na jednym z ładniejszych osiedli, czystym, zadbanym i pełnym drzew, jeszcze nie należącym do Weiße Stadt, ale już noszącym znamiona jego modernistycznej bieli. Stanął na klatce schodowej, przed ciemnymi, eleganckimi drzwiami i po chwili wahania zadzwonił dzwonkiem. Na ten dźwięk Berta zamiauczała przeraźliwie. Litwa skrzywił się.

Pięknie, pomyślał. Zaraz ktoś tu przyjdzie, bo pomyśli, że tego kota morduję.

– Parę dni – syknął do transportera zduszonym głosem. – Nie zachowuj się tak, jakbym...

Urwał, bo klamka się poruszyła. Annika wyjrzała zza drzwi i obdarzyła go uśmiechem.

– Cześć – powiedziała radośnie. Włosy splotła z tyłu, a na sobie miała spodnie i luźną, barwną bluzkę. Taurys przelotnie pomyślał, że usilne starania rządu, by propagować *przyzwoitość* ubioru, przegrywały z młodym pokoleniem spragnionym nowości przenikającej przez półotwarte granice.

Granice. Jak czysto nie miałby w papierach, nigdy nie mógłby ich przekroczyć.

– Cześć – uśmiechnął się, unosząc w górę transporter. – Przywiozłem ci rudą diablicę.

Za kobietą pojawił się pies, duży, posiwiały na pysku amstaff. Spojrzał na Taurysa, zamerdał leniwie ogonem, a potem poruszył nozdrzami w kierunku transportera. Ze środka dobiegł syk, ale pies nie zareagował.

– Axel nic jej nie zrobi – Annika odebrała transporter i postawiła go na podłodze. – Wejdź, proszę.

Taurys przekroczył próg i zamknął za sobą drzwi, świadomy, że Berta natychmiast wykorzystałaby okazję, by zwiać.

– Jeszcze raz ci dziękuję – powiedział niezręcznie. Annika ukucnęła, otworzyła drzwiczki transportera i odsunęła się, by kocica sama wyszła ze środka wtedy, kiedy zechce.

Przy Taurysie znów pojawił się Axel; staruszek szturchnął łbem jego dłoń, domagając się głaskania. Ma mądre oczy, pomyślał przelotnie Taurys. Miły zwierzak.

– Ile ma lat? – zapytał, gładząc krótką sierść psa.

– Trzynaście. Zobaczysz, za parę dni będą najlepszymi przyjaciółmi – odparła Annika, patrząc jak Berta nieufnie wysuwa głowę z transportera i syczy na psa. Ten ze stoickim spokojem zamerdał ogonem. – Miłej podróży.

To był szmat drogi; cieszył się bardzo, że z Berlina kursował bezpośredni pociąg relacji Berlin-Bjelostock i mógł pokonać nim większość trasy. Zaparkował przed Berlin Ostbahnhof i wyciągnął z auta swoją torbę, słysząc dudnienie pociągów.

Zbliżała się piąta po południu, a on do pokonania miał siedemset pięćdziesiąt kilometrów. Przejedzie przez Posen, w zmierzchu ujrzy Lodsch, a potem mrok spowije ziemię, gdy pociąg będzie mijał ruiny Warszawy. W oknach zobaczy jedynie ciemność i własne odbicie, może to i dobrze. Wystarczy mu widok jednego zmiażdżonego miasta, wystarczy, że niedługo będzie błąkał się między gruzem i cegłami Wilna.

Nie chciał patrzeć na nieistniejącą Warszawę, byłą polską stolicę ani na monumentalny pomnik, który postanowiono kilka lat po wojnie, pomnik żalu, który swoją iglicą szarpiącą brzuchy chmur szyderczo się śmiał ze swojej nazwy.

Może już nie ma w tym pomniku kpiny, pomyślał Taurys, wsiadając do pociągu. Może i jego twórcy taki mieli zamysł, ale dzisiaj…

– Mówiłaś wierszyk na zakończeniu roku? – zapytała swoją córkę kobieta, która właśnie zajmowała miejsce obok. Litwa przesunął się nieco bliżej okna. Dziecko skinęło niecierpliwie głową i zaczęło recytować.

Taurys przymknął oczy, opierając się o szybę. Dziecięcy wierszyk o niemiłym kocie, rozpoznał. Kocie, który był zły i gryzł inne koty, ale znalazł się w lepszych rękach i złagodniał. Dzieci uwielbiały szczególnie te ostatnie zwrotki o pięknym kocie, który stał się opiekunem dla małych osieroconych kociąt, napisane tak, by były doskonałą dziecięcą wyliczanką.

– Dobrze, dobrze – Matka próbowała wykrzesać z siebie entuzjazm, ale wyglądało na to, że ma już trochę dość donośnego głosu córki. – Widzisz, pan śpi, nie budź go.

W pewnym momencie kot naprawdę schował pazury… a ta dziewczynka za parę lat dowie się, czego był alegorią. Z tą myślą, ukołysany stukotem kół pociągu, Taurys popadł w niespokojną półdrzemkę, odpoczywając, ale jednocześnie ciągle będąc czujny, bo współpasażerowie wchodzili i wychodzili, dziesiątki nieznajomych ludzi w przedziale, a mimo wszystko nie chciał obudzić się bez portfela i dokumentów.

Pod opuszczonymi powiekami nie widział nic, nie zerkał w okna, więc dawne polskie tereny przemknęły za szybą i znikły, nie wywołując u niego ponurych myśli. Przytłumiony nocą kobiecy głos przedstawiał mu kolejne stacje, aż wybiła druga w nocy.

Pocierając oczy ze zmęczenia, wyszedł na niemalże pusty peron po to, by przesiąść się w kolejny pociąg. Dopiero trzy godziny później, gdy świt już poszarzył granat nocy, wysiadł na dworcu w Neukaunas.

W brzasku miasto było senne i smutne. Na miękkich nogach przeszedł do najbliższej peronowej ławki, opadł na nią i długą chwilę siedział, przyciskając dłonie do twarzy. Próbował oddychać, bo odkąd tylko przejechał ponad dawną granicą – nic się nie wydarzyło, pociąg mknął przed siebie pewnie przez pola i lasy, i tylko on drżał jak w febrze, ciesząc się, że akurat jest w przedziale sam – miał wrażenie, że zaraz się rozsypie.

Nie był na Litwie od prawie czterdziestu lat, a Litwa nie należała do niego. Bolało.

Nie uronił żadnej łzy, jeszcze nie. Wstał, pokręcił głową, złapał za bagaż i ruszył peronem, chcąc poszukać przechowalni i taksówki. Kowno zostawiał na koniec, podobnie jak Łabędzia, który miał się tu z nim spotkać. Najpierw, skoro świt, chciał udać się dalej, ujrzeć jego miasto – *ich* miasto – bo miał wrażenie, że jeśli dzisiaj, zaraz, w tej chwili, tam nie pojedzie, to znowu opuści go odwaga, by ujrzeć Wilno. Od dziesięcioleci odwlekał tę chwilę i nie chciał, by ktokolwiek mu w tym towarzyszył.

– Tam? – zapytał taksówkarz ze zdziwieniem, ale zerknąwszy na zaciśnięte w wąską linię usta i twarde, błyszczące niewylaną wilgocią oczy pozornie tylko młodego, bladego jak śmierć człowieka, nie dopytywał. Odpalił silnik.

Taurys patrzył, jak za oknami samochodu przebiegają kolejne budynki przedmieścia, szybko ustępując miejsca polom, łąkom, lasom i wioskom. W blasku rodzącego się dnia widział rzeczy, które wydarzyły się i zakończyły dziesiątki i stulecia temu. Wraz z kolejnymi kilometrami ludzkich osad było coraz mniej, a po przejechaniu ich osiemdziesięciu Litwa widział już tylko lasy i polany. W pewnym momencie zorientował się, że solidna, szeroka droga z Neukaunas, którą do tej pory jechali, zmieniła się w starą szutrówkę. Kamienie zagrzechotały pod oponami, a taksówkarz zaklął pod nosem.

– Niech pan tutaj mnie wysadzi – powiedział cicho Taurys. – Dalej będzie jeszcze gorzej, zniszczy pan zawieszenie.

– Tutaj, co? – Taksówkarz wychylił się lekko do przodu, ale poza zielenią nic więcej nie ujrzał. – Dobra, jak pan chce...

– Danke schön – mruknął Litwa, gdy kierowca machnął mu na pożegnanie i zawrócił, otrzymawszy zapłatę.

Taurys rozejrzał się dookoła, czując jak coś łapie go za gardło. Został sam, więc pozwolił oczom zwilgotnieć na moment. Nie chciał tu płakać, nie chciał, by sól przesłoniła mu migoczącą zieleń gęstych lasów, które miał dookoła. Gdzieś po jego lewej, za gęstwiną, wiła się Wilia, gdyby tylko zechciał zboczyć z tej opustoszałej, szutrowej drogi i wejść w knieje, znalazłby ją za kilkaset metrów.

W leśnej ciszy, która nigdy nie była całkowitą ciszą – korony drzew podrygiwały na wietrze, gałęzie trzaskały i skrzypiały, ptaki ćwierkały, dzięcioł pukał w jakiś pień niecałe dziesięć metrów od jego nieruchomej postaci – słyszał szum jej wód.

Wolno ruszył do przodu, a jego buty szurały cicho po podłożu.

Tutaj można było udawać; udawać, że zły czas nigdy nie nadszedł, że za moment zza zakrętu drogi wypadnie powóz ze szlachetnie urodzonymi pannami albo kawaler na rączym koniu w pogoni za lisem. Że zaraz usłyszy swój własny język, bo oto gdzieś za tą kępą drzew jest wioska i w lesie bawią się dzieci. Że para grzybiarzy zacznie się ze sobą przekomarzać, a echo uniesie ich głosy. Albo że za moment ziemia zacznie drżeć w rytm kroków, zwiastując przemarsz armii, że parskać będą konie i pokrzykiwać dowódcy... Ale nic takiego rzecz jasna się nie stało; prawdopodobnie był w tej okolicy jedynym człowiekiem.

Zdarzają się na świecie takie miejsca, które zastygły w czasie i to było jednym z nich. Szedł powoli przez kolejne kilometry, patrząc na to, co widział, i to, co wspominał. Raz czy dwa przed oczami przemknęła mu spłoszona, płowa sarna, raz usłyszał poszczekiwanie lisa. Gdyby zszedł z trasy i zaczął błąkać się po lasach, na pewno natknąłby się na jakiegoś niedźwiedzia. Na mapach te tereny były tylko wielką zieloną plamą, na nowszych nawet nie było już tej drogi, nie mówiąc już o mieście.

W okolicy Wilna nikt już nie mieszkał. Czasem od jego drogi odchodziły boczne dróżki, czasem widział jeszcze jakiś stary drewniany drogowskaz, zbielały od deszczu i czasu, całkowicie już nieczytelny. Gdyby zagłębił się w którąś z nich, pewnie znalazły opuszczone wsie, stodoły z zapadłymi dachami i leżące na ziemi stare płoty.

Z żadnej z odnóg nie wyjechał żaden samochód, żadne auto go nie minęło. Pomyślał, że właściwie niewiele brakowało, a to miasto by przetrwało. Gdyby reakcja nie była tak gwałtowna...

Gdy Rzesza przejęła Litwę, Łotwę i Estonię podczas Bałtyckiego Preludium... właściwie przez chwilę było lepiej. Ludzie, skuleni i nieufni po rosyjskim najeździe, niepewnie unieśli głowy, gdy okazało się, że owszem, w urzędach zasiedli Niemcy, ale życie znów toczyło się swoim torem, jakby normalnie... przynajmniej do momentu, w którym zaczęto pobór.

Niecałe trzy miliony Litwinów, dwa Łotyszy, jeden Estończyków. Nawet po odliczeniu kobiet, starców i chłopców poniżej szesnastego roku życia była to całkiem przyjemna dla oka liczba rekrutów i Litwa mógł jedynie zaciskać zęby, patrząc jak umiejętnie głaska się jego ludzi, wzniecając niechęć do wroga, podsuwając pomysły i wypominając przeszłość, a jeśli to nie działało – sugeruje cichym, acz wymownym głosem krzywdę, która może się wydarzyć.

Potem był atak na Polskę, pomyślał Litwa, krok za krokiem zbliżając się do Wilna. Rzesza w nagrodę oddała im miasto, wzbudzając radość i satysfakcję, ale szybko przestało być dobrze.

Ludwig wziął ich sobie, ich trójkę i użył jak narzędzia, a gdy zaprotestowali, bo ich ludzie mimo obietnic coraz częściej traktowani byli nie jak normalni żołnierze, a jak mięso armatnie rzucane na stracenie...

Czasem jeszcze śniło mu się bombardowanie, które zmiażdżyło Wilno i częściowo zniszczyło Kowno, wymowne ostrzeżenie, skrytykowane przez świat jako zbyt gwałtowna reakcja na sprzeciw. Na szczęście, wkrótce po tym szaleńca na tronie zastąpił kto inny i Litwa mógł odetchnąć; front oddalił się daleko na południe, pobory stały się bardziej cywilizowane, a polityka zmieniła się o sto osiemdziesiąt stopni, starając się tuszować zbrodnie i nienawistne hasła, próbując usprawiedliwić zniszczone stolice. Imperium rosło, rosło, rosło...

I jeszcze tylko raz Litwa powiedziała Rzeszy „nie" – przez usta grupy młodych idealistów w Ucianie, a ślad tego małego incydentu nosił na boku.

Westchnął ciężko, czując ból w stopach i przyglądał się drodze przed sobą, ciekaw, ile jeszcze ma do przejścia i czy w ogóle będzie w stanie przebyć przez rzekę najbliższym mostem, czy może będzie musiał nadłożyć drogi i ominąć łuk Wilii.

Szedł dalej, wspominając i zastanawiając się, jak wyglądałby świat, gdyby do Preludium nigdy nie doszło, gdyby Rosja nie pozwalała Niemcom tak się panoszyć po Europie, gdyby USA i Wielka Brytania nie były zajęte własnymi problemami...

Och. Znów się zatrzymał, wytrącony z równowagi bielą budynku, który zamajaczył się na horyzoncie. Już...? Przegapił drogę wiodącą na most, już jest za łukiem rzeki? Zacisnął zęby, czując ucisk w gardle i łzy cisnące się do oczu. Przyśpieszył, ignorując sprzeciw stóp i zatrzymał się dopiero na linii pierwszych zabudowań.

Nic dziwnego, że Wilna nie było na mapach. Żaden kartograf nie nazwałby go już miastem.

Taurys patrzył jak zahipnotyzowany na gruzy ciągnące się aż po horyzont, skąpane w oszałamiającej zieleni. Lasy, które zawsze otaczały miasto, wzięły je sobie w posiadanie; szedł dalej i patrzył oniemiały, jak spomiędzy ścian pozbawionych dachów budynków wyrastają całkiem już spore drzewa, jak w oddali na porosłym trawą placu pasą się beztrosko trzy sarny, jak bluszcz całkowicie zasłonił na wpół zburzone kamienice, których puste okna ziały ciemnością.

Potykał się o kępy traw, wdzierające się w bruk, przerażony ciszą szukał miejsc, które były znajome, ale znajdywał jedynie zarośla sięgające do piersi i kryjące się za nimi sterty gruzu, których nikt nie uprzątnął, barykady nie do przebycia.

Zaglądał do pustych domów, dawno już ograbionych z zawartości, napotykając jedynie na zniszczone, przygnębiające przedmioty, które nie posiadały żadnej wartości dla szabrowników. Patrzył na wypłowiałe, ledwie dostrzegalne twarze na porozrzucanych zdjęciach, spłoszył dwa małe, zdziczałe psy, które na jego widok najpierw zastygły w zdumieniu, a dopiero potem odbiegły, poszczekując.

Ostrej Bramy nie znalazł – bomby musiały zrównać ją z ziemią albo to on tracił orientację w terenie. Kościoły znajdywał puste; otwarte na niebo odbijały jego kroki od ogołoconych ścian i rozbitych posadzek.

Miał wrażenie, jakby za każdym uderzeniem jego serca wbija się w nie tysiąc igieł. Ból rozrywał mu umysł; po głowie krążyła mu jedna myśl, że musi stąd odejść, bo inaczej zaraz się rozpadnie.

Może powinien. Może to tu właśnie powinien zdechnąć, podpowiedział głosik w głowie. W martwym mieście, w zapomnianym przez nowy świat relikcie starego. Przez moment Taurys naprawdę zaczął gorączkowo rozglądać się dookoła; może w jakimś budynku znajdzie się nóż, może już odebranie sobie życia jest dla niego możliwe...? Jego trup doskonale by tu pasował, biel kości do bieli powalonych kolumn archikatedry i czy istniało dla niego lepsze miejsce, by umrzeć? Wolał tutaj niż w samotności mieszkania, gdzie jego cuchnące truchło pewnie by odkryto po tygodniach...

– Mano vardas... mano vardas yra Taurys... Mano vardas Lietuva... – wyszeptał zbielałymi wargami i właśnie wtedy dostrzegł łabędzie.

Nogi zaniosły go w miejsce, które kiedyś było parkiem; dzisiaj połączyło się w jedno z ogromem natury, która rozsiadła się na miejscu jego miasta, ale po zdziczałym stawie nadal pływały majestatyczne łabędzie.

Zapatrzył się w złożone skrzydła, błyskające bielą w promieniach letniego słońca, w uniesione, wdzięczne szyje. Ptaki sunęły po wodzie, dumnie prezentując swoje piękno, jakby nigdy nic się nie wydarzyło, jakby wokół dalej stały budynki i spacerowali ludzie gotowi je podziwiać.

Vilnius. Jego miasto.

Ich miasto.

Zaschło mu w gardle.

Nie mógł tu umrzeć. Musiał udać się do Neukaunas. Ktoś na niego czekał i, nawet jeśli wciąż wydawało się to niemożliwe, Litwa zaczynał wierzyć we własne podejrzenia.

Albo we własne pragnienie, aby człowiek, z którymś kiedyś wykrzyczeli sobie w twarz, jak bardzo się wzajemnie nienawidzą, człowiek, z którym dzielił kiedyś łoże, dni i sny, człowiek, którego niegdyś kochał i który znał go od stuleci, lepiej niż ktokolwiek inny, wciąż kroczył po tym świecie ze swoim butnym uśmiechem.

Błąkał się po *domu* do zachodu słońca; zadzwonił potem, ledwo złapawszy zasięg, z drogi na Kowno, prosząc drżącym głosem o taksówkę. Czekał ponad godzinę, ale w końcu w zmierzchu – leśne ostępy po zmroku stawały się nieprzyjemne – zabłysły światła samochodu.

– I co pan robił na tym odludziu, co? – zagadnął taksówkarz, ten sam, co rankiem, ale Litwa nie potrafił odpowiedzieć; potrząsnął tylko włosami i skulił się na tylnym siedzeniu. Kierowca wzruszył ramionami i włączył radio. Ledwo słysząc polityczną audycję o pomyśle uregulowania statusu Wenecji, Taurys starał się nie myśleć i spokojnie oddychać.

Im dalej od Wilna, kolejne kilometry na pustej drodze, w ciemności, tym było lepiej. Zadrżał raz czy dwa, ale ból z wolna słabł i chwilami ledwo dowierzał w to, że chciał

się zabić. On zawsze za bardzo bał się śmierci, by nawet o tym pomyśleć, a co dopiero wykonać.

Taksówkarz poczekał na niego pod dworcem, gdzie Litwa zabrał bagaż z przechowalni, a potem podrzucił pod hotel, w którym Taurys miał nocować. Stać było go na całkiem przyzwoity pokoik, ale nie był w stanie skupić się na jego wystroju; ledwo wszedł, padł na łóżko całkowicie wycieńczony i usnął.

Spał dobre dziesięć godzin, po raz pierwszy od lat przespał całą noc, jakby jego ciało w końcu odmówiło posłuszeństwa i zmusiło go do wypoczynku. Budząc się po dziesiątej, ledwo dowierzał w godzinę widniejącą na zegarze.

Przez kolejne dni przebywał w Kownie; tu serce bolało mniej, bo to miasto żyło. Błąkał się po miejscach znajomych i kompletnie obcych jednocześnie; czasem wydawało mu się, że widzi stary układ ulic, ale większość dzielnic odbudowano na sposób zupełnie odmienny od tego, co pamiętał. Tutaj szybko postawiono rusztowania i uprzątnięto gruz, a świat wrócił do normalności.

Zwiedzał nowe, dotykał murów starego… i szukał od świtu do nocy, aż zaczął tracić nadzieję. Ale… obaj znali jedynie orientacyjny termin, a Neukaunas wcale nie było maleńkim miasteczkiem. Poza tym… Litwa nawet nie był pewny, czy naprawdę szuka tego, o kim myślał.

Zbliżał się już zmierzch i gdy postanowił, że dość na dzisiaj, że czas wrócić z ulic miasta do hotelu – spał zaskakująco dobrze w ostatnich dniach – nagle, w szumie ulic, *to* usłyszał. Zatrzymał się, a jego serce rozpoczęło taniec.

Ktoś gwizdał, a Taurys znał tę starą, radosną, skoczną melodię.

Odkąd tylko ją napisano, *ktoś* często ją wygwizdywał, dziarsko maszerując naprzód. Nawet w dniach, w których stali naprzeciw siebie, wściekli i niechętni sobie, rozbrzmiewała w powietrzu, wymykała się spomiędzy warg złośliwie, irytująco, lekceważąco.

Głupia polska piosenka o kwiatach i harcerzach. W pewnym momencie, gdzieś w latach dwudziestych, Litwa znienawidził ją do głębi.

A dzisiaj… dzisiaj to było tak proste i tak cudowne zagranie. Kto zrozumie sens tego gwizdania? Kto w ogóle dzisiaj, w dwa tysiące dziewiętnastym, rozpozna tę melodię? Może jakiś starzec, który wspomina młodość sprzed wojny, ale nie przelewające się ulicami Neukaunas tłumy dzieci nowego świata.

To jest łabędzi śpiew, zrozumiał nagle. Łabędź tu jest.

Zwilżył nerwowo wargi, tchnął, a ostry, kiepski gwizd – nigdy nie był w tym dobry i od lat tego nie robił – na moment uniósł się nad ziemią i szybko znikł.

Kiedyś lubili grzybobrania, długie poranne wędrówki po ciemnych, spokojnych litewskich lasach. To był *jego* pomysł – lokalizować się gwizdaniem, gdy znikną sobie z oczu, gdy przysłonią ich sobie drzewa i zarośla, sposób dużo skuteczniejszy od nawoływań.

Odpowiedź, kolejna zwrotka, zabrzmiała bliżej. Taurys ruszył w stronę dźwięku, potykając się o własne nogi, trącając ramionami przechodniów.

Twój urok mnie zachwyca, czy chcesz być mą czy nie? pytała piosenka bez słów.

Jesteś mój? pytały usta w ciemnościach łożnicy i miękkości pościeli, dawno, dawno temu, gdy ich wzajemna bajka jeszcze istniała, a on odpowiadał dotykiem własnych warg i dłoni, odciskając na drugim ciele dowody swej przysięgi.

Przyśpieszył, wypadł na niewielki skwer, potem na uliczkę obok, wyłożoną jedynie kostką chodnikową, z ławkami w cieniach drzew, małą ostoję spokoju między ruchliwymi ulicami. Rozejrzał się chaotycznie, zagwizdał jeszcze raz. Krótki dźwięk zabrzmiał zaraz za nim, a potem Taurys Laurinaitis usłyszał wolne, spokojne kroki.

Znał je. Potrafił je rozpoznać, jakby ten delikatny, pozornie zwyczajny dźwięk był najbardziej charakterystyczny na świecie.

Jednak możliwe, pomyślał dziwnie spokojnie.

Właściwie to wiedział. Kolejne elementy układały się w całość, która była oczywista i jednocześnie nieprawdopodobna. Odpowiedź zawsze błąkała się na skraju myśli, gdzieś z tyłu głowy, w zakresie przeczuć i majaków, gdzie zdrowy rozsądek nie miał wstępu.

Symbolika łabędzia, dużego, białego ptaka. Już sam wizerunek Schwäne był wystarczającą odpowiedzią. Znaczenia, które ze sobą niósł, też teraz wydawały się Taurysowi oczywiste.

Miłość, rzekomo na zawsze, aż do śmierci, jak w ludzkich małżeńskich przysięgach, piękny mit o wiernych łabędziach. Czytał o tym w jakimś przyrodniczym magazynie, śmiał się cicho pod nosem, gdy naukowcy udowodnili, że czasem łabędź wychowuje nieswoje pisklęta. Wierność na wieki, dobre sobie.

Śpiew łabędzia tuż przed końcem, śmiercią. Pycha i obłuda, bo łabędź trzyma głowę wysoko i kto wie, co skrywa pod pozornie czystą bielą piór. Skojarzenie szlachetnego ptaka z Chrystusem na krzyżu, czy nie znany był ci ten mesjanistyczny motyw?

Czy nie domyśliłeś się, jakim ptakiem tak naprawdę jest Łabędź?

Ciało, blade, jasnowłose ciało, z dala, rozmyte we wspomnieniach, bo przecież Litwa nie był w tamtej chwili w stanie patrzeć, stać, myśleć, mówić... Zamknięta trumna.

Tamtego dnia nogi miał jakby z waty; teraz czuł, jakby każdy jego mięsień przemienił się w czysty ołów, odmawiając współpracy.

Kroki ucichły tuż za nim. Odwrócenie się wymagało od niego bardzo dużo siły woli.

– Cześć – cichy, znajomy głos, szeleszczący, syczący, słowiański język, język, w którym Taurys też kiedyś mówił, chociaż wiele razy przeklinał tę mowę, w starych czasach i w starym świecie, w którym miało to jeszcze znaczenie.

Litwie głos ugrzązł w gardle, gdy patrzył na znajome metr siedemdziesiąt, jasne, nieco dłuższe niż pamiętał włosy, i oczy, które teraz pojaśniały wewnętrznym, zielonym płomieniem.

Niewiele się zmienił, odkąd Taurys ostatni raz widział go – żywego – siedemnaście lat wcześniej, w Charlottenburgu.

Dziesięć lat temu na Cmentarzu Zasłużonych pod skromnym, granitowym nagrobkiem pochowano człowieka.

Teraz rozumiał, że to było kłamstwo.

Kimkolwiek był ten człowiek, niech mu ziemia lekką będzie, nie był Feliksem Łukasiewiczem.

Bo Polska właśnie teraz stał przed nim i się delikatnie uśmiechał.

Rozdział VII: Jeszcze nie zginęła

Widział znajomy uśmiech, tak bardzo znajomy, który z wolna gasł, im dłużej Feliks przypatrywał się jego pobladłej twarzy, zmatowiałym włosom i spowitej w czerń sylwetce, żeby w końcu zniknąć całkowicie, gdy spojrzenie Polski napotkało jego oczy.

Taurys łapał powietrze, mając wrażenie, że cały tlen świata gdzieś zanikł i ani odrobina nie dociera do jego płuc; nogi znów, tak jak *wtedy*, drżały i zmiękły, jakby zaraz miały się pod nim załamać.

Świat dookoła był rozmazany i nieistotny, umilkły wszystkie dźwięki. Słyszał jedynie bicie własnego serca, a biło ono tak szybko i mocno, że o mało co nie wyrwało mu się z piersi.

On żyje. On żyje. Żyje!

Poruszył sztywno ręką, chciał ją wyciągnąć przed siebie, dotknąć, zrozumieć, że to nie sen, nie majak, że to naprawdę on, że jego palce napotkają szorstkość ubrania i miękkość skóry, ciepło, a nie nicość, ale zabrakło mu na to sił.

Otworzył usta, a słowa wysypały się z nich bezradnie, bezwolnie, bez ładu i składu, rwąc się w połowie, znikając, nim pojmował ich sens. Myślał, że będzie gotowy; omylił się.

– Myślałem... Ja... Ty... Ty... Byłem pewny, że nie... że nie żyjesz... wszysc...wszyscy – jąkając się, opuścił wzrok na swoje dłonie. Drżały mocno, jakby targała nim choroba. – Widziałem... twoje ciało... w... w kost-kostnicy, ja...

On żyje. Żyje. Feliks Łukasiewicz, Polska, Lenkija, wrócił i nagle miniona dekada spadła Litwie na głowę razem ze wspomnieniami z ostatnich setek lat, przygniatając go tabunem tłumionych emocji. Jeszcze raz uchylił warg, ale nie wydusił już z siebie żadnego słowa.

– Licia – odezwał się Polska cicho i miękko, a potem postąpił jeszcze kilka kroków i delikatnie złapał za ramię. Twarz miał poważną, a spojrzenie miękkie, gdy pociągnął Taurysa w kierunku najbliższej ławki.

Litwa, chwiejąc się na własnych nogach, postąpił za nim, błogosławiąc sposób, w jaki Feliks go na tej ławce usadził, bo czuł, że jeszcze kilka sekund, a osunie się na chodnik całkiem bezwładny.

– *Ja*...

– Siedź – mruknął Polska, przykucając przy nim. Wyglądał na bardzo zaniepokojonego, zauważył Taurys w przebłysku świadomości. – Oddychaj.

Litwa wziął kilka głębokich oddechów i z wolna świat przejaśniał. Zamrugał, przetarł oczy. Poczuł się odrobinę lepiej; pilnując oddechu spróbował jeszcze raz powiedzieć cokolwiek sensownego.

– Jak... dlaczego... dlaczego ty... – wydusił z siebie. – Polsko, dlaczego to zrobiłeś?

– Litwo – Polska położył dłoń na jego kolanie i zerknął na twarz. – Mówisz po niemiecku, wiesz?

Taurys drgnął, dopiero teraz zdając sobie z tego sprawę.

– Jestem nauczycielem – wychrypiał z trudem po litewsku. – Używam na co dzień... od lat nie... do nikogo... od lat.. nie mówiłem – w połowie wypowiedzi spróbował zmienić ją na polską, bo język w jego ustach znieruchomiał, a umysł nie podsunął kolejnych litewskich słów, ale i ta słowiańska mowa nie pozwoliła mu na wypowiedzenie chaosu, który miał w głowie. – Ja... – zaczął bezradnie raz jeszcze, a potem umilkł.

– *Sprich deutsch* – nakazał mu łagodnie Polska, widząc jego problem.

– Ty żyjesz – Litwa powtórzył, z ulgą przechodząc na niemiecki. Zawstydzony i zażenowany własną niemocą, przygryzł wargi i skulił ramiona, świadom, jak żałośnie musi teraz wyglądać.

Zgermanizowana personifikacja, która nie potrafi już mówić we własnym języku. Żadne jego ostatnie starania nie miały sensu. Co z tego, że starał się czytać stare książki i powtarzać słowa, skoro nie potrafi sklecić zdania w rozmowie z inną osobą?

– Pracuję w szkole – powtórzył, czując palącą potrzebę usprawiedliwienia się. – Te dzieciaki...

– Rozumiem.

Rozumiesz? Rozumiesz, że rozmawiam z ludźmi właściwie tylko w pracy? Że jedyne osoby, do których się odzywam, to te dzieciaki albo nauczyciele? Że w mediach jest tylko jeden język, a tylko radio i telewizja mogą zagłuszyć tę piekielną ciszę pustego mieszkania? Że nawet myślę po niemiecku? Że sam siebie nazywam Litauen, nie Lietuva?

– Dlaczego... dlaczego to zrobiłeś...? Jak... jak to się stało, że...?

– Wyjaśnię ci wszystko – obiecał mu Polska, samemu posługując się teraz niemiecczyzną. – Wszystko. Ale nie teraz i nie tutaj, dobrze? Gdzieś, gdzie na pewno nikt nie będzie nas słyszał.

Taurys pokiwał głową z zaciśniętym gardłem. Tak, pomyślał, uliczka to nie jest najlepsze miejsce. Wieczorową porą pojawiało się tutaj więcej młodych ludzi; Taurys dopiero teraz zauważył, że w okolicy wiszą szyldy kilku knajp i barów. Robiło się tłocznie.

– Dlaczego „Schwäne"? – zapytał, gdy już głos przestał mu się trząść. Polska usiadł obok niego i nieco się pochylił; dla postronnych wyglądali zapewne na bliskich przyjaciół, rozmawiających półgłosem o ważnych sprawach. Poczuł palce zaciskające się wokół jego dłoni.

Ciepłe. On żyje, przeszło mu przez myśl. Naprawdę żyje. Cholerny drań.

Feliks uścisnął jego palce jeszcze raz, mocniej, jakby świadom błąkających się po umyśle Taurysa myśli, a potem cofnął dłoń.

– Przecież jakbym wybrał „Phönix" albo „Adler", to od razu byś się domyślił – Feliks uśmiechnął się półgębkiem. – A poza tym, to te nazwy były już zajęte, piekielnie ciężko o dobry adres w reichpoście.

Litwa parsknął nieco histerycznym śmiechem.

– Łabędź też do ciebie pasuje – stwierdził cicho, unosząc nieśmiało kącik ust.

– Bo piękno czy czystość? – zagadnął Feliks z ciekawością.

– Bo pycha.

– Uznam to za komplement.

Pycha i śmierć. Nigdy się jej nie bałeś, w przeciwieństwie do mnie.

Długo milczeli; Polska spuścił wzrok na bruk.

– A*š atsiprašau* – wyszeptał w końcu.

Litwa zamknął oczy, odetchnął. Przeprosiny brzmiały szczerze, dotknęły serca, zwłaszcza, że Polska użył litewskiego, a przecież w ich wspólnej przeszłości nigdy za nim nie przepadał, niemal nigdy go nie używał, chociaż wiedział, jak wiele ten język dla Taurysa znaczył.

– Na razie powiedz mi tylko – zaczął szeptem. – że... że powód był ważny.

Musiał być ważny; Polska nie udawałby martwego przez dekadę, nie zniknąłby z systemów, nie upozorowałby własnej śmierci z byle błahostki.

Był sprytną szują, cwaną bestią, ale nie był okrutny. Musiał wiedzieć, jak Litwa zareaguje na jego śmierć. Mogli czuć wobec siebie urazę z dziesiątek powodów, mogli wykrzykiwać sobie nienawiść, ale los splótł ich przed wiekami małżeńską więzią. Litwa nie potrafiłby przejść obok jego śmierci tak, jakby byli obcymi sobie ludźmi... albo tylko wrogami.

– Był. Jest. Właściwie, to jest bardzo ważny. Obiecuję, że wszystko ci wyjaśnię, Licia.

Taurys przełknął ślinę i pokiwał głową. Był w stanie to uwierzyć. Gdyby powód nie był ważny, pomyślał jeszcze, Polska nie zadałby sobie tyle trudu. Jak upozorował... przecież to ciało? To było jego ciało? Litwa nie miał już żadnej pewności, w końcu ledwo stanął w drzwiach kostnicy, a już osuwał się po ich futrynie i tylko szybka reakcja Prus sprawiła, że nie roztrzaskał sobie czaszki o podłogę.

Jak? Jak on wszystkich oszukał? I jak... Na litość boską, on musiał przez dziesięć lat wodzić system za nos, używać fałszywych tożsamości... Jak sobie poradził? Skąd miał pieniądze na jedzenie, gdzie nocował? Uniósł wzrok i w końcu przyjrzał się Feliksowi dokładniej.

Wyglądał tak, jak każdy z *nich* – zmęczony człowiek z oczami, w których głębi krył się ból odebrania i świadomość nieodwracalnego – ale Taurys uznał, że i tak wygląda dużo lepiej niż jego odbicie w lustrze. Jego skóra nie była tak blada, czyste przydługie włosy jeszcze lśniły, a błękitna koszula leżała na ciele ze swobodną elegancją, a nie wisiała jak na wieszaku. Jeśliby go nie znał i nie potrafił rozpoznać tego, co miał w swoich oczach, uznałby go za niewyspanego, zmęczonego, ale ogólnie raczej zdrowego człowieka.

On nie mógł jeszcze umrzeć, zrozumiał. Polacy jeszcze nie wyginęli. Nie zgadzały ci się miliony. Czym były twoje trzy miliony przy dziesięciokrotnie większej liczbie Polaków? Nikomu nie zgadzały się te miliony, ale żaden z nas nigdy nie podał tego w wątpliwość, żaden nie ośmielił się powiedzieć na głos, że to dziwne, że cholerny, cwany Łukasiewicz odszedł, siedzieliśmy jedynie w Charlottenburgu ze spuszczonymi głowami, oddając ostatnie powinności zmarłemu, który wcale nie jest zmarłym.

Młodzi mówią po niemiecku, to prawda, a więzi z upadłym państwem z pewnością już nie czują, ale... ale on mógłby umrzeć dopiero wtedy, gdy wszyscy już o nim zapomną, a im więcej ludzi, tym więcej pamiętających, tym więcej osób, które nauczą jednak swoje dzieci mowy przodków...

I wtedy usłyszał na ulicy, ledwie kilka metrów od siebie, język polski. Obaj poderwali głowy, by ujrzeć parę staruszków, mężczyznę i kobietę, podtrzymujących się wzajemnie i mówiących do siebie cicho i czule. Zapatrzyli się w nich jak w dwa świetliste anioły, wyczekując na kolejne spokojne, słodkie słowa, spływające z ust nieświadomego małżeństwa.

To był ten dialekt polskiego, który Taurys najlepiej znał, północnokresowy, śpiewny, zabarwiony wschodem, który słyszał dziesiątki razy na ulicach Wilna, lata, lata temu, i jeśli nawet teraz pobrzmiewały w nim naleciałości niemieckiego, nowe słowa, które kiedyś nie istniały, nadal był bardzo znajomy. Na moment tamten świat do niego powrócił, tak jak parę dni wcześniej, gdy błąkał się po zrujnowanym mieście.

Zerknął na twarz Feliksa i zauważył, że w zieleni na moment zalśniły łzy, zajaśniały odbiciem w świetle rozpalających się lamp ulicznych i zniknęły, zmyte kolejnymi, szybkimi mrugnięciami rzęs. Był równie poruszony.

Staruszkowie przeszli obok nich, nie zauważywszy, co z nimi zrobili swoją mową, wileńską gwarą przeszłości.

– Pochodzą z... – Feliks również to rozpoznał, a jego głos był niewiele głośniejszy od szeptu. – z *naszego* miasta.

Taurys przymknął oczy. Ich miasto, ich kość niezgody, miasto, które obaj kochali zaborczą, destrukcyjną miłością, a z którego nie zostało już nic, podobnie jak z ich krajów.

– Byłem tam w niedzielę – wyszeptał.

– Jak... jak wygląda?

– Jak... – Taurys przełknął ślinę, szukając odpowiedniego słowa. – Jak koszmar.

Polska opuścił wzrok.

– Więc tak, jak Warszawa.

Przez chwilę panowała cisza. Feliks potrząsnął nagle głową.

– Dobra – zaczął rzeczowo, brzmiąc z powrotem jak Polska, którego Litwa dobrze pamiętał. – Gdzie nocujesz?

– W Hotelu Niemen – odparł Taurys, postanawiając wziąć się w garść. Potarł twarz dłonią i odetchnął, czując, że szaleńcze bicie jego serca powoli się uspokaja.

– Ten koło wyspy na rzece? – podłapał Polska, wstając. – Wiem, gdzie to. Ale jeśli chcesz teraz gadać, to nie tam. Wysyłałeś im adres, prawda? Na razie wolę dmuchać na zimne. Tu niedaleko jest taka knajpa, myślę, że tam możemy porozmawiać swobodnie. To co, teraz czy poczekamy do jutra, jak... jak to sobie poukładasz?

Litwa potarł oczy, wypuścił powietrze.

– Teraz – zadecydował. – Mam do ciebie masę pytań.

– Domyślam się. Dasz radę iść czy łapać taksówkę?

– Idziemy – mruknął Litwa.

– W sumie – wymamrotał pod nosem Polska, a w jego oczach zabłysły znajome psotne iskierki. – Miło wiedzieć, że nadal mój widok sprawia, że miękką ci nogi...

– Nie schlebiaj sobie – Taurys uniósł kącik warg w słabym uśmiechu. – Każdy by tak zareagował, widząc człowieka, który powstał z martwych...

– Wiem, wiem – Polska podał mu dłoń.

Przyjął ją, wstając. Spokojnym krokiem ruszyli w kierunku wspomnianej knajpy, a z każdą mijaną ulicą w głowie Taurysa rodziły się nowe pytania.

– Dlaczego skontaktowałeś się akurat ze mną? – zapytał cicho, gdy zatrzymali się na jakimś przejściu dla pieszych.

– Nie miałem pojęcia, gdzie aktualnie jesteście – odparł Feliks, wpatrując się w czerwień sygnalizacji. – Postanowiłem zacząć szukać od stolicy. To było trochę ryzykowne, ale... ale trafiłem na ciebie. Lepiej nie mogłem. No i Prusak też szybko się napatoczył.

– Gilbert jest u mnie w piątki – mruknął Litwa.

– A w soboty i niedziele szlaja się po klubach i zapija nudę i rozczarowanie, wiem. Potem wraca do swojego autonomicznego pruskiego grajdołka i udaje, że wszystko jest w porządku. I tak w kółko.

Taurys zerknął na Polskę z ukosa.

– Śledziłeś go? Stąd znałeś mój adres?

– Tak, ale uznałem, że bezpośrednie odwiedziny były zbyt ryzykowne – Ruszyli przez ulicę. – Nie mam pewności, czy nie założyli ci kamer albo podsłuchów.

Litwa pokręcił głową.

– Nie ma żadnych – odparł z pewnością.

– Jesteś pewny?

– Śpię cztery godziny na dobę. Gdyby jakiekolwiek były, już dawno bym je znalazł.

– Jest szansa, że ich nie ma – przyznał Feliks. Szli dalej. – Nie chce im się już. W służbach siedzą młodzi, którzy nie mają pojęcia o tym, kim jesteśmy i dlaczego trzeba nas pilnować, więc procedury bezpieczeństwa stopniowo idą w pizdu. To nie to samo państwo, co w latach czterdziestych.

Litwa pomyślał o Prusaku i oficerach, którzy tylko pobieżnie przeglądali jego mieszkanie i przytaknął.

– Na szczęście...

Chwilę później znaleźli się pod lokalem; szyld nic Taurysowi nie mówił, ale po wejściu okazało się, że to niewielki, typowo studencki pub. Większość stolików była zajęta przez młodych ludzi, głównie mężczyzn, głośno rozmawiających i popijających alkohol w swoim towarzystwie. Za ladą stała znudzona dziewczyna, polerująca pokale do piwa i zerkająca na zegar na ścianie. Zapewne odliczała minuty do końca swojej zmiany.

Spokojne miejsce, ocenił Litwa. Spokojne, ale głośne. O to chodzi. W takim hałasie trzeba się wysilać, by słyszeć rozmówcę po drugiej stronie stolika, a co dopiero próbować kogokolwiek podsłuchiwać.

– Wezmę nam coś do picia – powiedział lekkim tonem Polska, więc Taurys ruszył w głąb pubu. Zajął niewielki stolik i czekał. Ciesząc się, że załom muru zasłonił mu bar, osłonił dłonią oczy.

Feliks to Schwäne. Jego podejrzenia się sprawdziły. Czuł radość, że Polska żył – nawet jeśli miał surrealistyczne wrażenie, że to tylko sen i zaraz obudzi się w swoim łóżku w Berlinie – ale obawiał tego, w co Feliks się wplątał. A wplątał się na pewno. Znał go.

Odsunął dłonie, mając nadzieję, że panuje już nad swoją twarzą. W samą porę; w polu widzenia pojawił się Polska, niosąc w dłoniach dwie filiżanki. Chociaż pora zdecydowanie sprzyjała alkoholowi, Taurys z wdzięcznością przyjął czarną, gorzką kawę.

Przełknął pierwszy łyk, zdecydowanie zbyt gorący i poczuł, jak płyn przesuwa się w dół jego przełyku w bardzo nieprzyjemnym doznaniu. Jego język zaprotestował przeciwko piciu niemalże wrzątku, ale już odrobina smaku kawy rozjaśniła Taurysowi zmysły.

Feliks posłodził swoje cafe latte i odkładając łyżeczkę, spojrzał mu prosto w oczy.

– Od razu mówię – zastrzegł, przyglądając się Litwie. – Że nie będę cię w to wplątywał, jeśli nie zechcesz. Mogę powiedzieć ci wszystko i jeśli uznasz, że nie chcesz się w to mieszać, zapominamy o sprawie.

Taurys przeklął cicho po rosyjsku. Czasem jeszcze zdarzało mu się używać rosyjskiego mata; wyrzucił z umysłu gramatykę i całe zastępy słów, ale wyzwiska nadal siedziały w głębi jego umysłu. Rzadko bywał tak zdenerwowany, by po nie sięgać, ale dzisiaj niemalże trząsł się od feerii emocji.

– Właśnie – mruknął Polska.

– Jak bardzo poważna jest to sprawa? – zapytał Litwa, zaciskając wargi. Skoro Polska mówił coś takiego na wstępie...

– Ogólnoeuropejska. Właściwie, to euroazjatycka, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Rosja?

– Między innymi.

Litwa westchnął. Świadom, że to, co teraz usłyszy, prawdopodobnie zmieni jego wegetację o sto osiemdziesiąt stopni, dał sobie kilka sekund namysłu. Swoją drogą, to bardzo miłe ze strony Feliksa, że nie założył, że Taurys od razu za nim pójdzie.

Wyglądało na to, że czegoś się jednak nauczył.

Z drugiej strony, biorąc pod uwagę, jak Taurys żałośnie wyglądał...

– Nie rozpadnę się – mruknął, unikając spojrzenia Polski. – Nie musisz... nie musisz się nade mną trząść.

– Nie spodziewałem się, że będziesz tak źle wyglądał – odparł prosto z mostu Feliks. – Tym bardziej... tym bardziej przepraszam.

Taurys, zdziwiony, podniósł wzrok. Potem niepewnie uniósł kącik ust, widząc szczere spojrzenie swojego rozmówcy. Może mu się wydawało, a może nie, ale miał wrażenie, że każde przeprosiny, które dzisiaj słyszał, dotyczyły wielu rzeczy, nie tylko tych związanych ze zniknięciem Feliksa.

– Prędzej czy później i tak bym tak wyglądał – powiedział cicho. Potem nieco się wyprostował. – Widziałeś... widziałeś się z kimkolwiek z nas?

Feliks potrząsnął głową.

– Nie. Z nikim z Rzeszy – odrzekł, zaciskając wargi. Jego oczy posmutniały. – I chyba zapomniałem, jak to wszystko na nas wpływa, szczególnie na tych, których narody... były mniej liczne. Trochę mną teraz wstrząsnęło, wiesz? Myślałem, że znajdę Litwę, a znalazłem...

– Wrak? – Taurys wziął łyk kawy, tak gorzkiej jak jego uśmiech i myśli.

– Człowieka, który potrzebuje pomocy. I zaczynam się zastanawiać, czy było warto znikać na te dziesięć lat.

Pod wpływem tych słów Litwa na moment odwrócił wzrok.

– Jakiej pomocy według ciebie potrzebuję? – zapytał, w końcu się poddając i znów zwracając spojrzenie na Polskę.

– Na początek, to stylisty.

Mimo niewesołych myśli, krążących mu po głowie, mimo szalejących emocji, ta uwaga tak Taurysa rozbawiła, że parsknął zduszonym śmiechem.

– Noszę żałobę po *tobie*, sukinsynie! – zawołał i zdał sobie sprawę z tego, co powiedział. Zmieszał się, sięgnął po kawę, by jak zawsze uratowała go w niezręcznej sytuacji, boleśnie świadom, jak czarny jest jego ubiór.

– Nie wiem, czy „dziękuję" to dobre słowo, ale dziękuję – Polska oparł głowę o rękę, samemu unosząc kącik ust w rozbawieniu. – Cieszę się, że ktoś o mnie pamiętał – dodał melancholijnie, wpatrując się w mleczną biel swojej kawy.

Pamiętałem. Gdybym przestał cię pamiętać, Polsko, całkiem przestałbym być Litwą.

Rozmawiali normalnie; z tego powodu zrobiło mu się cieplej na sercu. Przez dekady na spotkaniach zamieniali ze sobą jedynie kilka słów, po powstaniu Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej nie wrócili już do kontynuowania swoich sporów, ale też nigdy się z nich nie rozliczyli.

Widział, że i w Feliksie przez minione lata zaszły pewne zmiany. Dwie z nich słyszał w jego mowie i z ich powodu czuł się nieco lżej ze swoją językową niemocą.

Gdy Feliks mówił szybko, jego twarda, wibrująca wymowa „r" zanikała, zastąpiona niemieckim, miękkim odpowiednikiem, sprawiając, że dawniejszy bardzo mocny polski akcent stawał się ledwo słyszalny.

Feliks znał niemiecki naprawdę dobrze, znał go na długo przed wojną, i Taurys doskonale wiedział, że ten akcent nie był wynikiem niedbałości, a jedynie przekory i odrobiny złośliwości. Dzisiaj Polska mówił inaczej, niemalże czystą niemiecczyzną, jakby porzucił – świadomie lub nie – tamten irytujący nawyk.

I, co wprawiło Litwę w zaskoczenie, używał rodzajników.

To była cecha, po której dawnego Feliksa dało się rozpoznać na kilometr: mimo że po niemiecku potrafił powiedzieć niemalże wszystko i doskonale bawił się słowotwórstwem, rodzajników nie używał, uznając je za zbędny wynalazek.

Więc to nie tylko mój problem, pomyślał Litwa. Obaj jesteśmy coraz bardziej zgermanizowani.

Przez kolejne minuty milczeli, przemyśliwując swoje słowa, a potem obaj unieśli oczy i spojrzeli na siebie tak, jak kiedyś, wieki temu, gdy trzeba było zaplanować jakąś wojenną kampanię.

– Dobra. Jaki był powód?

– Dwa powody – poprawił go Feliks. Taurys spojrzał pytająco. – Są od siebie niezależne, więc to komplikuje sytuację jeszcze bardziej. Dowiedziałem się o nich i musiałem zacząć

działać. Głównie zbierałem informacje i nawiązywałem kontakty, ale teraz czas na coś konkretniejszego. I sam nie dam rady.

– Mów, proszę.

– Po pierwsze, nasz kochany Iwan – Polska westchnął. – Jak powiem, że obudził się z niedźwiedziego snu, to będzie to nieodpowiednie do sytuacji, ale i cholernie adekwatne...

– Po siedemdziesięciu latach? – Litwa uniósł brew. – Po siedemdziesięciu latach przypomniał sobie o rodzeństwie? Czego chce?

– Tego, co zwykle. Ziem na wschód od linii Wisły.

– Kurwa mać – Polskie przekleństwo wymknęło się z ust Litwy samo. – Wojny? Chce wojny? Teraz, w dwa tysiące dziewiętnastym? Przecież...

– Właśnie – Feliks z irytacją wypuścił powietrze przez zęby. – Planują to od lat. Zbroją się. Zbudowali bomby wodorowe.

– Nie chcę wojny między Rzeszą a Rosją – powiedział cicho Litwa.

On nie miał już swojego kraju – to Rzesza stała się jego krajem, miejscem, w którym żył, mieszkał, pracował i spędzał swoje ostatnie dnie. Cokolwiek nie sądził o jej podwalinach, kamieniach węgielnych z kłamstwa i kradzieży, nie chciał, by miejsca, które znał – jego mieszkanie, praca, ulubiony park – obróciły się w perzynę.

Nie chciał, by zginęli ludzie, którzy tu żyli, miliony cywili zjednoczonych jedną narodową narracją. Pomyślał o dzieciach, które uczęszczały do jego szkoły i jej absolwentach; małej Uschi, Auguście, Adolfinie i Leni. Pomyślał o nauczycielach, o Annice.

Nie chciał, by zobaczyli chociaż jedną wojnę – on w swoim wielowiekowym życiu widział ich o wiele za dużo. Obywatele Rzesze żyli w względnym spokoju; oczywiście, były rzeczy, które się mu nie podobały, na przykład kary śmierci czy odwrotnie, zbyt niskie wyroki za zbrodnie popełnione na kobietach, albo niesławny paragraf, który od ponad wieku sprawiał, że niektórzy musieli się ukrywać ze swoją miłością, bo groziło im społeczne wykluczenie.

Ale w Rzeszy panował spokój – nikt nie wpadał do domów i nie mordował ludzi, nikt nie wrzucał granatów do piwnic. Nikt nie zamykał ich za zwojami drutu. Przeważająca większość ludzi czuła się w niej bezpiecznie.

– Ja też nie – wyszeptał Feliks, zaskakując go. Niegdyś do zrywów był pierwszy, ale ten ogień w jego oczach wygasł; zastąpiła go determinacja i chęć ochrony. – Myślą, że wzniecą pospolite ruszenie, wkraczając na teren Rzeszy.

– Pospolite ruszenie? Pospolite ruszenie *kogo*? – Dłonie Taurysa zadrżały, filiżanka zadźwięczała na spodeczku, gdy uniósł ją do ust i wziął ostatnie łyki. – I za czym mieliby pójść? Obiecają ludziom autonomię? Autonomię *czego*?

Nie było krajów pod okupacją. Nie było regionów bezprawnie zajętych, nie było przesuwających się frontów, nie było niczego, co mogłoby uzyskać autonomię.

Siedemdziesiąt lat po Wielkiej Wojnie Dziesięcioletniej był jeden kraj i jeden naród, który wchłonął pozostałe, i gdy spoglądali na siebie ponad stolikiem, prosto w swoje płonące emocjami oczy, Taurys wiedział, że obaj to doskonale rozumieli.

To była cena, którą płacili swoim umieraniem. Zapomnienie w zamian za spokojne życie milionów.

– Nie dopuszczę do tego, by znów miliony niewinnych ludzi zginęły w kolejnej bestialskiej wojnie – wyszeptał Feliks Łukasiewicz, a w jego ściszonym głosie zabrzmiała desperacja. – Nawet, jeśli ma to oznaczać zgodę na wynarodowienie... i to, że umrę. Niech mówią po niemiecku, niech uważają siebie za Niemców, byle tylko żyli!

– Byle tylko żyli – powtórzył za nim Taurys zbielałymi wargami.

Filiżanka była pusta; zacisnął palce na porcelanie. Dookoła bawili się młodzi ludzie, młodzi Niemcy, pili piwo, śmiali się, grali w karty albo gry planszowe, zupełnie nieświadomi, że tutaj, przy stoliku obok, siedzą dwaj mężczyźni, którzy niegdyś nosili imiona państw i trzęśli Europą.

Nieświadomi, że w dalekich gabinetach obcy ludzie z obcego kraju rysują na mapach strategiczne pozycje i miejsca, w których najlepiej będzie zrzucić bomby wodorowe, by złamać imperium.

Czy ten atak terrorystyczny spod Kurska to była jakaś prowokacja?

– Oni muszą o tym wiedzieć – powiedział nagle. – Bracia. Wróć ze mną do Berlina. Złapiemy Gilberta, nim ucieknie na urlop.

– Liczyłem na to – Polska uśmiechnął się blado. – Ale musimy zrobić to tak, by rząd nie zaczął robić własnych wodorówek i nie pieprznął nimi w Moskwę pierwszy. Po *naszemu*.

– Po *naszemu* – powtórzył Litwa z naciskiem.

Cholera jasna. Feliks Łukasiewicz jak zawsze musiał się w coś wpakować, a Taurys Laurinaitis znów szedł za nim krok w krok. Właściwie, pomyślał Litwa w przypływie wisielczego humoru, oficjalnie to nikt nie dał nam rozwodu. Chyba jednak jesteśmy na siebie skazani.

Jego serce biło; po raz pierwszy od wielu, wielu lat czuł gotowość do działania. Wreszcie mógł cokolwiek zrobić, na cokolwiek mieć wpływ, a nie być tylko marionetką.

– Mówiłeś o dwóch powodach – powiedział po chwili.

– Taak... Tutaj też przydałoby się mieć Beilschmidtów po naszej stronie – Polska wypuścił powietrze. – Rządy mają nas dość. Nas, personifikacji. Szukają sposobów, by się nas pozbyć.

– Sami zdychamy. Niech poczekają jeszcze dekadę, a nie będzie połowy z nas.

– Nie zrozumiałeś mnie – Feliks pokręcił głową. – Nie mówię o rządzie Rzeszy. Mówię o rządach Europy i Ameryki. Hiszpania, Portugalia, Brytania, USA... Zachodni świat.

Litwie natychmiast zaschło w ustach.

Zachodni świat. Żyjąc w Rzeszy, łatwo było zapomnieć, że jakiś świat istnieje poza jej granicami. Rzesza otulała swych obywateli szczelnie, jakby kocem, ciepłym, chociaż nieco szorstkim w dotyku, jednak ten sam koc krępował ruchy i nie pozwalał wyjść. A przecież byli jeszcze *tacy jak oni* poza jej granicami.

– Skąd... Byłeś za granicą?

– Byłem – Feliks przytaknął, a widząc, że Litwa otwiera szeroko oczy ze zdumienia, westchnął. – Na fałszywych papierach, rzecz jasna. To było cholernie trudne, ale się udało. Jestem teraz łącznikiem między nami w Rzeszy, a nami poza Rzeszą. Nie wiem, czy führer bierze w tym udział, ale... ale to jest prawdopodobne. Chcą chyba iść w jego ślady i nas utemperować.

– Zawsze byliśmy solą w oku władców... Dlaczego – mruknął Taurys, odsuwając od siebie pustą filiżankę. – Dlaczego... za każdym razem... tak... – Wywracasz mój świat dookoła nogami, cholerny Polaku? Nie dokończył tego zdania na głos. – Dobra. Czyli walczysz na dwa fronty?

– Tak jakby. To są dwa długofalowe plany, być może minie jeszcze parę lat, nim coś zacznie się dziać, ale uważam, że nadszedł czas na reakcję i przygotowanie się.

Znów minęły kolejne ciche minuty.

– O siódmej rano jest bezpośredni pociąg do Berlina – powiedział cicho Taurys, przypominając sobie rozkład. – Jedzie przez Prusy. O ósmej trzydzieści jest kurs z Białegostoku, można złapać pociąg stąd i się przesiąść. Tak czy siak, wieczorem jesteśmy w Berlinie.

Miał jeszcze wiele pytań, ale one mogły poczekać. Tak samo mogły poczekać ich wzajemne nierozwiązane sprawy, o których musieli w końcu kiedyś porozmawiać.

Wcale się nie dziwił, że po takich rewelacjach Feliks upozorował własną śmierć, by zapewnić sobie swobodę działania. On też czuł, że musi coś zrobić.

Żegnaj spokojne, samotne, beznadziejne życie, pomyślał jeszcze z dziwnym uczuciem podekscytowania. Mój cholerny współmałżonek powrócił do żywych.

– Chcesz się w to zaangażować?

Wegetowałem przez ostatnie kilkadziesiąt lat. Chcę, nawet jeśli będzie to ostatnie, co w życiu zrobię.

– Mówiłem ci kiedyś, że cię nie cierpię?

– Myślę, że co najmniej tuzin razy.

– Dolicz jeszcze ten jeden raz – Litwa wziął głęboki oddech. – Nie cierpię cię za to, że wciągasz mnie w takie akcje. Idę spakować swoje rzeczy. Masz gdzie nocować w Berlinie czy ryzykujemy u mnie?

Feliks Łukasiewicz uśmiechnął się szeroko.

– Jutro piątek, prawda? Skoro i tak Prusak może pożegnać się z urlopem... Myślę, że można mu zafundować małą terapię szokową.

Rozdział VIII: Od powietrza, głodu, ognia i wojny

Gdy wsiedli w pociąg do stolicy, słońce wisiało już wysoko nad horyzontem. Wybrali kurs z przesiadką, linią kolejową biegnącą na południe od Autonomicznego Kraju Prus. Powód, dla którego Feliks na to nalegał, był oczywisty i Taurys dziwił się, że sam o tym nie pomyślał.

Dla przeciętnego mieszkańca przejazd przez Prusy różnił się od poruszania się po reszcie Imperium Niemieckiego tylko tym, że na wewnętrznej granicy należało pokazać znudzonemu funkcjonariuszowi kartę obywatela. Trwało to nie dłużej niż rutynowa kontrola biletów w berlińskim tramwaju i takie też miało faktyczne znaczenie.

Problem polegał na tym, że Polska miał przy sobie jedyne podrobione dokumenty i, jak sam mówił, nie chciał przekraczać więcej granic, niż było to konieczne. Wystarczyło, że udało mu się wrócić do kraju bez wzbudzania podejrzeń.

– Skąd wiedziałeś, że mieszkałem w Berlinie przed moją… moim zniknięciem? – zagadnął w pewnym momencie Polska.

– Prusy – mruknął Litwa, patrząc w szybę. Pociąg mknął przed siebie. – Załatwił mi pozwolenie na pogrzeb.

– Zdarza mu się mieć serce po dobrej stronie… – Feliks westchnął, słysząc ciężki ton Taurysa. Odchylił głowę do tyłu i przygryzł wargę. – Byłem w stolicy tylko cztery miesiące. Kiedy cię tam przesiedlili?

– Pięć lat temu.

– Jak często się meldujesz w biurze? – zapytał Feliks z ciekawością.

Taurys zmarszczył brwi. No tak, pomyślał. Dziesięć lat temu środki ostrożności różniły się od dzisiejszych.

– Teraz przy wyjazdach poza miasto, tych dłuższych niż dwa dni – powiedział spokojnie. – To już tylko formalności.

– Załagodzili środki bezpieczeństwa – zauważył Polska. – Kiedyś chcieli mnie widzieć co kwartał. Ciekawe…

Na tym ich rozmowa się urwała; pociąg zahamował, zatrzymał się na stacji i do przedziału weszli inni ludzie. Feliks zwinnie poderwał się z siedzenia, by pomóc młodej kobiecie wepchnąć walizkę na półkę ponad ich głowami. Taurys śledził wzrokiem każdy jego ruch, czując irracjonalną obawę, że wystarczy chwila nieuwagi, a Polska znów rozpłynie się w powietrzu i zniknie na kolejną dekadę.

Rozmawiali po niemiecku; Taurys nawet już nie próbował tego zmienić. Litewski i polski uciekały mu z głowy, ledwo otwierał usta. Pamiętał jedynie rosyjskie przekleństwa, łacina była martwa nie tylko w jego głowie, a ruski, język, którym przecież kiedyś mówił na co dzień, też wyparował z jego umysłu po dziesiątkach lat życia w imperium.

W przedziale oprócz nich znajdowała się teraz trójka obcych ludzi, więc nie mogli poruszyć istotnych tematów. Siedzieli naprzeciw siebie, od czasu rzucali sobie spojrzenia,

ale głównie zachowywali milczenie, błądząc wzrokiem po wnętrzu przedziału lub świecie za oknami.

Na ten ostatni patrzył głównie Taurys. Polska czasem zerkał na umykające pola i wioski, ale robił to coraz rzadziej i z wyraźnym dyskomfortem. Litwa wiedział, dlaczego.

Do iglicy było coraz bliżej.

W pewnym momencie, nie mogąc znieść tej ciszy, Taurys sięgnął po szprechera. Miał nadzieję, że nie zdradzi się swoim głosem. Chwilę głaskał palcami klawisze, próbując opanować ich drżenie, a w końcu wybrał numer.

– Co chcesz, Lit?

Feliks zmarszczył brew; najwidoczniej rozpoznał głos. Pochylił się do przodu, by słyszeć rozmowę.

– Wracam dzisiaj, będę w domu około osiemnastej – rzucił Taurys. Odetchnął z ulgą, słysząc, że to, co czuł, nie odbiło się w jego głosie, i błogosławiąc stukot, dodatkowo utrudniający wsłuchanie się w ton wypowiedzi.

– Dobra, to wpadnę jeszcze przed wieczorem, na szybko – Prusy brzmiał na znudzonego. – Będę zaraz w biurze, to im powiem, żeby cię oznaczyli w systemie.

– Dzięki. Nie zdążyłbym przed zamknięciem.

Połączenie urwało się bez słowa pożegnania, jak zwykle. Litwa uniósł brwi w odpowiedzi na spojrzenie Polski, chowając szprecher do kieszeni.

Układy, Lenkija, pomyślał. Ja mam układy, inni też mają z nim układy, na pewno ty też jakieś miałeś, chociaż przez wasze charaktery częściej skaczecie sobie do gardeł niż się w czymkolwiek zgadzacie. Wiesz doskonale, jakie to są układy. Nie sprawiaj problemów, a coś zyskasz.

– Gdyby nie on... – zaczął cicho, świadomy obecności ludzi, który nie powinni usłyszeć niczego, co dotyczyło ich gatunku. Umilkł natychmiast, ale Polska go zrozumiał; skinął głową i westchnął.

– Gdyby nie on.

Pomyśleli o tym samym, o ciemnych, wilgotnych celach. Milczeli długo, pogrążeni w myślach o czasie, który przeminął i zniknął, jak spalona kartka rozsypana na wietrze, a potem Feliks zaczął intensywnie wpatrywać się w okno.

Nagła zmiana jego wyrazu twarzy powiedziała Taurysowi, gdzie się znajdują, zanim beznamiętny, niewidzialny głos ogłosił to z pociągowych głośników. Ostatnia stacja przed...

Taurys obserwował Polskę, mając gdzieś z tyłu głowy myśl, niespokojne pytanie, czy wyglądał na tak samo głęboko skrzywdzonego, patrząc na Wilno.

Na horyzoncie wystrzeliwała w niebo iglica, ta konkretna iglica, przybliżała się do nich z każdym obrotem kół pociągu, przynosząc ze sobą widok miasta w zieleni, ruin w zieleni na horyzoncie, a przez twarz Feliksa przemykał raz za razem spazm bólu, by w końcu całkiem się na niej zadomowić. Drzewa posadzone wzdłuż kolejowego nasypu co chwila przesłaniały go cieniem, ale zaraz potem słońce wyostrzało każdą jego rysę zastygłą w cierpieniu.

Feliks nie mrugał – otworzył oczy szeroko, utkwił je w tym, co się zbliżało, aż Taurys musiał odwrócił wzrok, bo dalsze wpatrywanie się w tą złamaną zieleń przypominało o wszystkim, co bolesne.

Żal było patrzeć na Warszawę i chociaż nie czuł przywiązania do tego miejsca, rozumiał to, co właśnie Feliks przechodził.

– Idę do restauracyjnego – powiedział w końcu Polska tonem lekkim, bo to potrafił doskonale, mówić wesoło i lekko, gdy wewnątrz jego serce kruszyło się na kawałki.

Taurys znał ten ton, potrafił rozpoznać tę ledwo słyszalną, niemal niedostrzegalną, drżącą nutę cierpienia i paniki, skrytą pod naporem fałszywej radości i optymizmu.

Tego tonu Feliks używał wiele razy w czasie wojny i wcześniej, przed odzyskaniem niepodległości, gdy rozmawiał ze swoimi ludźmi i dodawał im otuchy. Mówił w ten sposób wtedy, gdy chciał odwrócić uwagę rozmówców od własnego bólu, psychicznego czy fizycznego.

Taurys pamiętał ten ton z tych odległych czasów, gdy im na sobie zależało, gdy Feliks nie chciał martwić go swoimi ranami, chociaż i tak nigdy nie potrafił ich przed Litwą ukryć. Zadrapania i blizny badali wzajemnie po zapadnięciu zmroku, jakby dotyk warg mógł przyśpieszyć ich gojenie...

Feliks zerwał się z siedzenia i zniknął w korytarzu pociągu. Taurys cicho westchnął, samemu kierując wzrok na iglicę. Podczas podróży w pierwszą stronę skryły ją ciemności – teraz, w świetle południa, ciemniała na tle błękitnego nieba, wyrastając ponad zielony mur przyrody, w którym czasem błyskała biel i szarość budynków kolejnego umarłego miasta starej Europy.

Podczas dalszej części podróży nie doczekali chwili, w której ich przedział będzie pusty. Nie chcąc szukać po pociągu nowych miejsc, milczeli, pogrążeni we własnych myślach. Co prawda zamienili parę słów na korytarzu, udając, że chcąc rozprostować nogi, ale podróżujący razem z nimi chłopaczyna tak intensywnie zerkał na bagaż Taurysa i niewielką torbę Feliksa, że szybko wrócili do przedziału.

Poczuli się swobodnie dopiero wtedy, gdy wyszli z okazałego budynku Ostbahnhof, a Taurys odnalazł na parkingu swoje auto.

– Muszę jeszcze pojechać po kota – mruknął, odpalając samochód.

Polska, którego część Taurysa wciąż uważała za martwego – niecała doba najwyraźniej mu nie wystarczyła, by otrząsnąć się z szoku – już siedział swobodnie na przednim siedzeniu pasażera.

Litwie, przyzwyczajonemu do samotnych jazd, Feliks wydawał się zupełnie nie pasować do tego miejsca. Jawił się podobny do postaci nieumiejętnie doklejonej do znajomego krajobrazu, jak mizerny fotomontaż albo niewyraźna fotografia ducha.

Potrząsnął głową. Znów nie zmrużył oka.

Zaraz będzie w domu, w znajomym mieszkaniu, Berta będzie syczeć na niego obrażona, a Taurys zaparzy kawę tak mocną, że nie zaśnie po niej przez tydzień, i może wtedy obecność Feliksa stanie się bardziej... naturalna.

– Masz kota? – zaciekawił się Feliks, zakładając ręce za głowę.

Litwa zamiast odpowiedzi jedynie mruknął, bo właśnie próbował włączyć się do ruchu na głównej ulicy. Ktoś, widząc go wyjeżdżającego spod dworca, wpuścił go przed siebie. Taurys skinął uprzejmie głową drugiemu kierowcy i odezwał się dopiero, gdy znalazł się na drodze do Weiße Stadt.

– Od razu ostrzegam, że ona gryzie i drapie – powiedział, ale mimowolnie się uśmiechnął. Chociaż niejeden raz wyklinał Bertę, a ona jego w swoim kocim języku, to jednak była jego mruczącą, czworonożną przyjaciółką. – Nie akceptuje dziewięćdziesięciu procent ludzkości. Zostawiłem ją u Anniki, może kocica nie odgryzie mi za to ręki...

– Annika? – podchwycił Polska, przyglądając mu się z zaciekawieniem. – Twoja dziewczyna?

– Znajoma z pracy – Taurys pokręcił głową, myśląc przelotnie, że gdyby był normalnym człowiekiem, może dopuściłby do siebie tę możliwość. – Tego... tego nie robi się ludziom. Zresztą, sam o tym wiesz.

– Wiem – coś w oczach Feliksa na moment pociemniało.

Był ktoś przede mną? zapytał Litwa dawno, dawno temu, cicho i z czystą ciekawością, bez krztyny zazdrości, gdy ciężkie zasłony otoczyły ich łoże, a zmęczony dniem Polska usypiał obok. Zieleń błyskała pod opadającymi powiekami coraz rzadziej, ale Feliks jeszcze zdążył mu odpowiedzieć, nim zapadł w sen. A przede mną?

Litwa pamiętał, że wówczas ciężko westchnął, opadł na pościel i przylgnął do boku Feliksa, myśląc tamtego cudownego wieczoru, że tak powinien działać świat, że człowiek powinien wiązać się ze człowiekiem i razem z nim przekraczać bramę śmierci, a personifikacje mają szukać sobie podobnych, zamiast głupio błądzić i cierpieć przez nieubłagany upływ czasu.

Taurys drgnął, przeskakując myślami wieki i wracając do teraźniejszości. Z dwojga złego, pomyślał jeszcze, wolę jednak te wspomnienia. Te miłe. Te przyjemne, te intymne. Za dużo potem było między nami złości i walki.

– Jesteśmy – powiedział, parkując auto przed blokiem Anniki. Potrzebował zebrać myśli. – Zaczekasz?

– Jasne – Feliks sięgnął ku radiu i zaczął szukać innej stacji.

Taurys z ulgą opuścił pojazd i odetchnął znajomym, berlińskim powietrzem. Wziął w płuca kilka głębokich oddechów i ruszył w stronę klatki. Poczuł nagłą ochotę by zapalić, chociaż jego krótka przygoda z nikotyną skończyła się dobre piętnaście lat wcześniej.

Muszę mu powiedzieć o Charlottenburgu, pomyślał nagle. To już za tydzień.

Dopiero wchodząc po schodach zorientował się, że nie zadzwonił do Anniki. Przystanął między piętrami i westchnął. Polska zajmował każdy cal jego umysłu; raz były to obawy i pytania, które musiał mu zadać, a raz niechciane wspomnienia. Wszystko inne schodziło teraz na dalszy plan.

Miał nadzieję, że Annika będzie w domu w ten piątkowy wieczór. Właściwie, gdy o tym pomyślał, to nawet nie wiedział, czy ona lubi wychodzić na miasto. Słabo ją znał.

Poza zdawkowymi uprzejmościami, jakie wymieniali jako nauczyciele, zaczęli ze sobą rozmawiać całkiem niedawno.

Może to i dobrze, pomyślał, stając przed drzwiami i naciskając dzwonek. Jeszcze stałaby się jej jakaś krzywda przez to, co może się wydarzyć. Lepiej jej do niczego nie wciągać, ładnie podziękować i rzucić, że widzą się we wrześniu.

Biorąc pod uwagę, że Litwa właśnie wkroczył na bagniste tereny spisków i intryg, może jednak lepiej nie obiecywać, że wróci do pracy po wakacjach...?

Kolejny mniej lub bardziej wesołe myśli przebiegały mu przez głowę, gdy czekał. Nie ma odwrotu, Lit. Zgodziłeś się, *chcesz* wziąć w tym udział, *chcesz* w końcu zacząć działać, w twoim aucie siedzi Polska, zbieg i uciekinier, przez wszystkich uznany za martwego. Za niecałą godzinę wpadnie do ciebie Prusak i będziecie musieli coś zrobić, by nie pobiegł od razu do rządu, tak jak nakazuje mu prawo i obowiązek, tylko was wysłuchał. Zdecydowanie nie ma odwrotu...

– Taurys! Przepraszam, że tyle czekałeś! – powiedziała szybko Annika, gdy tylko dostrzegła go w szczelinie drzwi. Otworzyła je szerzej, wpuszczając mężczyznę do środka. Głowę miała owiniętą ręcznikiem, jasne, mokre pasma wymykały się spod materiału, kręcąc się na jej szyi. – Nie myślałam, że tak szybko wrócisz...

– Musiałem skrócić wyjazd – odparł Litwa wymijająco, ale jednocześnie nadał swojemu głosowi przepraszający ton. Szczerze. Nie chciał przysparzać jej problemów. Zawsze była dla niego miła. – Nie mogłem zadzwonić... Szprecher mi się rozładował i... – urwał, nie wiedząc, jak i czy w ogóle brnąć w tą kiepską wymówkę. Nie chciał jej okłamywać.

– Jasne, w porządku... Wejdź. Twoja ruda diablica była grzeczna.

– Naprawdę? – Taurys uniósł zdziwiony brew. To określenie i Berta nigdy nie szły ze sobą w parze.

Annika z uśmiechem zaprosiła go dalej; niepewnie wszedł do salonu, obrzucając wzrokiem ładne, ciemne meble, wysokie biblioteczki pełne literatury i miękkie fotele, w których aż chciało zatopić się z książką w ręku i zapomnieć o świecie.

Na jednym z nich zwijał się bezceremonialnie stary amstaff, a zdumiony Litwa odnalazł u jego boku śpiącą Bertę. Mimowolnie uniósł kącik warg w uśmiechu. Słysząc jego kroki, pies czujnie uniósł głowę, obrzucił go spojrzeniem i poruszył parę razy nozdrzami, rozpoznając zapach, a potem ziewnął.

– Może powinieneś sprawić sobie drugiego zwierzaka? – zasugerowała Annika, stając obok. Taurys zerknął na nią spłoszony. – Jest dość... terytorialna, ale po paru godzinach, jak już przestała na niego syczeć, to chyba go polubiła.

Taurys postąpił do przodu; pogłaskał psa, który zamerdał leniwie ogonem, a potem położył dłoń na bujnym, rudym futrze.

– To jest jakaś myśl – przyznał. – Chodź, mała. Wracamy do domu.

– Napijesz się kawy?

Słysząc propozycję, Litwa pokręcił głową.

– Przykro mi, ale muszę już jechać – powiedział i umilkł. Powinienem coś dodać, pomyślał, czując na sobie wzrok jej błękitnych oczu. – Ja...

– W porządku – Annika posłała mu uśmiech. – Na pewno jesteś zmęczony. Przyniosę ci transporter, daj mi chwilkę...

Gdy zniknęła w innym pomieszczeniu, wziął kota na ręce. Berta zmrużyła oczy, ale zaraz potem otarła mu się o szyję, mrucząc uspokajająco.

Pożegnał się z Anniką, czując szczerą wdzięczność za opiekę nad kotem i ruszył po schodach szybkim krokiem, domyślając się, że Polska na pewno się już niecierpliwi.

– Wiesz co, Axel? – mruknęła kobieta cicho, głaskając psie uszy. – Nigdy nie spotkałam tak zamkniętego w sobie człowieka. Ale wakacje chyba mu pomogły. Po raz pierwszy widziałam, by jego oczy tak błyszczały.

– Feliks, to Berta, diabeł wcielony – powiedział Taurys, wypuszczając kota z transportera pośrodku kuchni. – Berta, to Feliks. Powrócił z martwych. Nie gryź go.

Feliks przykucnął, wyciągnął dłoń do kota, by go pogłaskać, ale on jedynie nastroszył futro i zasyczał. Polska cofnął rękę, a Berta wskoczyła na blat kuchni, następnie na lodówkę, usiadła i stamtąd obserwowała go nieufnie.

– Czyli należę do tych dziewięćdziesięciu procent ludzkości, których nienawidzi? – zapytał rozbawiony Feliks, podnosząc się do pozycji stojącej.

– Daj jej dwa dni, jeśli nadal będzie się tak zachowywać, to tak – mruknął Taurys, zerkając do lodówki. Polska ponad jego ramieniem posłał spojrzenie zawartości. Kiepsko, pomyślał Litwa. Trzeba zrobić jakieś zakupy...

Przed wyjazdem opróżnił lodówkę z tego, co mogłoby się popsuć pod jego nieobecność, nie, żeby kiedykolwiek była ona wypełniona jedzeniem chociaż w jednej trzeciej swojej objętości. Spojrzał przelotnie na Feliksa. Spędzili w podróży cały dzień.

– Kiepsko widzę kolację – westchnął, zamykając lodówkę. – Później skoczę do sklepu. Zaraz będzie tu Gilbert.

– Jasne – Feliks rozglądał się po kuchni, marszcząc brwi. W pewnym momencie bez słowa sięgnął ku jednej z kuchennych szafek.

Litwa obserwował, jak Polska przegląda ich zawartość i z każdą kolejną pustą przestrzenią, jaką napotykał, coraz bardziej mruży oczy.

– Jesz coś w ogóle? – zapytał w pewnym momencie, gdy natknął się na następną puszkę kawy i kocią karmę, jedyne zapasy, które Taurys robił. Obejrzał się za siebie i znów zlustrował Litwina wzrokiem z tym samym niepokojem, co w Neukaunas.

Taurys wzruszył lekko ramionami, świadom, że jest chudy, dużo chudszy niż kilkanaście lat temu, gdy widzieli się po raz ostatni. To nie był jeszcze ten niepokojący stan, w którym Annika zawlekłaby go siłą do lekarza, ale apetyt był już dla niego słowem całkowicie obcym, podobnie jak sen.

– Nie głodzę się – powiedział spokojnie.

– Mmmh... – Polska nie wydawał się przekonany. Kontynuował przeglądanie jego szafek. Taurys, przyzwyczajony do przeszukiwań mieszkania, czekał cierpliwie, aż Polska skończy. Feliks przeszedł do dolnych szafek, a potem ukucnął przed tą pod zlewem.

– Tam jedzenia też nie znajdziesz.

– Nie jedzenia szukam.

– Nie piję alkoholu.

Feliks cofnął palce, które już zacisnął na uchwycie.

– Za duża pokusa, co? – mruknął, wstając. Potrząsnął jasnymi włosami.

Taurys natychmiast zrozumiał, co Polska miał na myśli. Picie alkoholu na umór, nie martwiąc się o śmierć z przepicia, codzienne zapominanie o bólu i stracie. Tak, to była bardzo duża pokusa, dlatego od kilkudziesięciu lat Litwa omijał szerokim łukiem sklepowe półki z alkoholem, w szczególności z tym mocniejszym, nie wiedząc, czy byłby w stanie nie wpaść w ten nałóg, gdyby poczuł chociaż odrobinę znajomego, palącego smaku na języku.

Uzależnienie od kawy było bezpieczniejsze.

– Jutro idziemy na zakupy – postanowił Polska. – Spożywcze i ubraniowe, Licia.

– Polsko…

– Cicho – fuknął Feliks. – Poczułem się zobowiązany doprowadzić cię do porządku. Nie chcę, żebyś nosił po mnie żałobę.

Ten argument zamknął Litwie usta, wszak w jego szafie znajdowała się wyłącznie czerń. Pokonany, westchnął i opadł ciężko na krzesło.

– Musimy porozmawiać – powiedział cicho. – O… o wszystkim.

– Porozmawiamy – przytaknął poważnie Feliks. – Jak tylko przekabacimy Prusaka na naszą stronę.

– Będzie tu za piętnaście minut…

Więc czekali; Taurys miał wrażenie, że serce za moment wyskoczy mu z piersi, a już na pewno jego dudnienie jest słyszalne w całym bloku. Siedział przy stole i nerwowo stukał palcami o jego powierzchnię. Feliks stał oparty o meble, chowając się nieco za załomem ściany dzielącej kuchnię i korytarz.

Litwa wiedział, że oficerowie nigdy nie wchodzili do kuchni. Istniała mała szansa, że jego niespodziewany gość zostanie przez nich zauważony. Posłał Polsce szybkie spojrzenie. Feliks był pozornie spokojny, uśmiechał się nawet, ale jego niepokój zdradzały oczy i lekko napięte ramiona.

To było bardzo ryzykowne. Prusak mógł natychmiast donieść o wszystkim władzom, ale bez jego wsparcia nie było sensu w ogóle w to wchodzić. Potrzebowali jego informacji i pomocy.

Obaj drgnęli, gdy gdzieś na zewnątrz trzasnęły drzwi samochodu. Zaraz się przekonamy, pomyślał Litwa.

Drzwi mieszkania zostawił otwarte, więc tak jak za każdym razem Prusy wszedł do środka i przepuścił przed sobą umundurowanych młodych ludzi, którzy przeszli obok kuchni nie poświęciwszy jej ani pół spojrzenia. Sypialnia z komputerem, salon, łazienka i jej zakamarki…

Następna sekunda przypominała sen. Taurys przesunął wzrokiem od milczącego Polski do Prus, który w korytarzu właśnie zrobił krok – jeszcze nieświadomy – potem kolejny…

– Dobry…

I cisza; Prusy zatrzymał się w przejściu do kuchni. Gdy tylko dostrzegł, że Litwa nie jest tam sam, gdy jego spojrzenie padło na niespodziewanego gościa, znieruchomiał i pobladł.

Taurys pierwszy raz w życiu miał okazję zobaczyć, jak na twarzy tego człowieka maluje się najczystszy szok – jak otwiera szerzej szkarłatne oczy, uchyla usta, na których zamarło powitanie, ale nie jest w stanie wykrztusić z siebie słowa...

Wygląda, jakby zobaczył ducha, pomyślał nagle Litwa i z jakiegoś powodu bardzo go to rozśmieszyło. Z trudem zapanował nad twarzą.

Gilbert poruszył ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Wpatrywał się w Polskę przez kilka kolejnych sekund, a potem, jak w transie, sięgnął sztywną dłonią za kołnierzyk koszuli. Litwa zmarszczył lekko brwi; mógłby przysiąc, że mignął mu tam jakiś cieniutki kabelek. Czy on...?

Polska pierwszy przerwał milczenie, parskając cichym śmiechem. Gilbert gwałtownie drgnął.

– Wiesz co, Licia, było warto chociażby dla tej miny, pierwszy raz od sześciuset lat Prusak zaniemówił – powiedział Feliks wesołym szeptem.

– Ty...?

– Ja, ja natürlich – Feliks dalej cicho chichotał. – Troszkę zdziwiony, nie? Stary, oddychaj, wdech, wydech, jak tu padniesz, to się sprawy skomplikują bardziej niż obecnie.

Prusy patrzył na niego z niedowierzaniem; potem nagle wychylił się na korytarz, omiótł resztę mieszkania niespokojnym, chaotycznym spojrzeniem, szukając oficerów.

– Muszę się ich pozbyć – syknął do Litwy i Polski głosem, w którym odbiło się ogromne zdenerwowanie. – Siedzieć bez ruchu i ani słowa, rozumiecie?!

Feliks skinął głową.

Łuk prowadzący do kuchni był wąski, więc Prusy wziął głęboki wdech i stanął tak, by zasłonić jak najwięcej kuchni swoim ciałem, plecami do nich. Teraz, gdy napinał nerwowo mięśnie, napinała się również jego koszula. Pod materiałem zarówno Litwa, jak i Polska mogli dostrzec cienki kabelek ciągnący się od karku do pasa.

Normalnie tego nie widać, pomyślał Litwa. Gdyby nie był tak spięty, nawet byśmy tego nie zauważyli. Co to jest?

– Chłopaki, ale pośpieszcie się, do cholery! – zawołał Prusy zniecierpliwiony i tylko oni dwaj wychwycili ledwie słyszalną nutę paniki. – Już prawie siódma, a ja mam lepsze plany na wieczór niż...

– Już idziemy!

Słysząc kroki, Polska wcisnął się w kąt kuchni. Taurys utkwił wzrok w blacie, mając nadzieję, że się uda, że nie zauważą dodatkowej obecności. Nie zauważyli. Dwaj mężczyźni po prostu minęli Gilberta i przeszli do drzwi. Ten obrócił głowę; jego oczy płonęły i Litwa wiedział, że Prusy nie spocznie, dopóki nie dowie się, co się, co cholery, dzieje.

– Zgubię ich – powiedział bezgłośnie i sam też wyszedł. Mocne trzaśnięcie drzwi sprawiło, że Litwa wypuścił wstrzymywane powietrze.

– Udało się – powiedział z niedowierzaniem.

– Tak… – mruknął Feliks, ukradkiem obserwując teraz z okna samochód. Litwa stanął obok niego. Wspólnie patrzyli, jak jeden z oficerów otwiera przed Prusakiem drzwi, a potem odjeżdżają. – Jak go znam, zaraz tu wróci.

Minął może kwadrans, nim w zasięgu ich wzroku pojawił się Prusy. Szedł chodnikiem, kończąc papierosa. Gdy był pod oknem, rzucił niedopałek na ziemię, przydeptał go i wyciągnął następny papieros z paczki. A potem kolejny i kolejny, aż odkrył, że się skończyły. Zirytowany Gilbert zmiął paczkę i schował ją do kieszeni.

Wszedł do klatki, znikając im z oczu, a niecałą minutę później pojawił się w kuchni, przynosząc za sobą silną woń dymu. Jeszcze jeden raz powiódł spojrzeniem po byłych personifikacjach i opadł bezsilnie na najbliższe krzesło. Wciąż był nienaturalnie blady.

– Teraz to odjebałeś po całości – powiedział w końcu, patrząc na Polskę. W jego głosie nadal pobrzmiewał szok, ale oprócz niego pojawiło się też coś w rodzaju pełnego niedowierzania podziwu. – Polen, kurwa, ja nawet nie wiem, od czego zacząć…

– Proponuję najpierw rozmowę – odparł cicho Feliks. – Bo uwierz, nie spędziłem ostatniej dekady w ukryciu, żeby cię teraz doprowadzać do zawału. Chociaż przyznaję, kusi.

Gilbert długo milczał.

– Powinienem to zgłosić – warknął w końcu. – Od razu, zamiast teraz…

– Wiem – Feliks wzruszył ramionami. – Ale mam nadzieję, że się wstrzymasz, jak usłyszysz parę rzeczy, które mamy ci do powiedzenia. Tak w ogóle, z czystej ciekawości, od kiedy palisz jak smok? – zapytał lżejszym tonem.

– Od sześciu lat, nie twoja sprawa – warknął Prusy zaskakująco agresywnie. Szybko zreflektował się i utkwił nieustępliwe spojrzenie w Polsce. – Najpierw chcę dowiedzieć się, kto leży na Cmentarzu Zasłużonych? Kim był człowiek, którego ciało widziałem – zerknął na Litwę siedzącego naprzeciw. – on zresztą też, w kostnicy?

Och. Taurys zacisnął palce na krawędzi blatu.

To ciało.

Dziesięć lat wcześniej Polska nie wrócił do swojego mieszkania. Gazety, jeśli Litwa dobrze pamiętał, napisały raz czy dwa o ciele jakiegoś młodego człowieka znalezionym na berlińskim osiedlu, ale temat szybko znikł z mediów. O tym, że to właśnie Polska, dowiedział się dzięki Prusakowi, dzięki niemu też był w stanie przyjechać do stolicy i nawet wejść do kostnicy przy domu pogrzebowym…

Poszedł obejrzeć ciało, ale nie dał rady tam ustać. Gilbert wyciągał go z kostnicy bezwładnego i ledwo rozumiejącego, gdzie jest, a Taurys zapamiętał jedynie rozmazany obraz ciała widziany z odległości kilku metrów.

Bo Litwa aż do końca nie chciał uwierzyć; nie Polska. Nie zabiły go zabory ani wojna, a zgasł nagle, w czasie pokoju, co prawda w niewoli, ale krótszej niż ta poprzednia…

Otrząsnął się, próbując wrócić do teraźniejszości. To ciało, leżało tam ciało, ten sam wzrost, budowa ciała, włosy, owszem, Litwa praktycznie tam zemdlał, więc wspomnienia były zamglone, ale przecież go poznał. Poznał, prawda? Nagle zaczął wątpić we własną pamięć.

Ale Prusy też tam był i on zachował trzeźwy ogląd sytuacji, więc...

– Kwatera na cmentarzu jest pusta, jeśli jednak uprzejmie postanowisz teraz paść na zawał, to wystarczy tylko wymienić tablicę.

– Spierdalaj.

– Spierdoliłem na dziesięć lat, pozwól, że jeszcze sobie chwilę tu posiedzę.

– Litauen... – odezwał się spokojnie Prusy, ignorując zaczepkę.

Taurys zrozumiał i ten ton, i znaczące spojrzenie na kawiarkę. O tak, też miał ochotę na kawę, na taką siekierę, po której będzie widział dźwięki. Wstał i w duchu podziękował Gilbertowi; mógł czymś zająć drżące ręce. Wyczuł na sobie spojrzenie Polski, ale nie odwrócił się, zajęty wsypywaniem kawy do urządzenia.

Po kilku minutach przeciągającego się milczenia postawił na stole trzy kubki pełne gorącej kawy i usiedli, jak trójka starych przyjaciół, i spojrzeli po sobie ponad unoszącą się parą. Berta zaczęła kręcić się pod ich nogami, na przemian albo ocierając się o nogi Gilberta i Taurysa albo sycząc na Feliksa.

– Macie pewnie od cholery pytań – zaczął spokojnie Feliks.

– Niedopowiedzenie stulecia – mruknął Prusy ironicznie. – Zaraz, *pomyślmy*... Oszukałeś cały rząd, Ludwiga i mnie, że jesteś martwy, widziałem twoje ciało, urządziliśmy ci całkiem przyzwoity pogrzeb...

– Będę ci za to *dozgonnie* wdzięczny...

– Spierdalaj. Trup zakopany przy bloku byłby zagrożeniem epidemiologicznym dla mieszkańców, trzeba było zresztą zachować jakieś pozory, że jesteś zwykłym obywatelem – warknął Gilbert.

Litwa nigdy wcześniej, nie od momentu zakończenie wojny, nie widział na jego twarzy emocji, które nie byłyby znużeniem i ciągle pogłębiającą się irytacją.

– Co to był za trup, Polen?

– Przyglądałeś się ciału dokładniej? – zapytał cicho Feliks.

Prusy wypuścił powietrze.

– Nie – syknął przez zęby. – Może przez parę sekund. Zajmowałem się *twoim byłym*, bo już myślałem, że jemu też trzeba będzie urządzić pogrzeb. I tak musiałem go trzymać, żeby nie wpadł do dołu razem z tob... z tym ciałem, jak już sypali ziemią na trumnę.

Taurys zawstydzony opuścił wzrok. Słabo pamiętał pogrzeb, ale najpewniej tak właśnie to wyglądało.

– Panowie – Spojrzał w pusty kubek. – Możemy... przejść do rzeczy?

Nie czuł się dobrze. Miał wrażenie, że powinien się cieszyć, a tymczasem wszystkie emocje związane z żałobą, które przez ostatnią dekadę zdążyły przycichnąć, nagle odżyły z całą swoją mocą. Kocica wskoczyła mu na kolana. Wczepił palce w rude futro Berty, czując uspokajające wibracje jej mruczenia.

Niespodziewanie poczuł na swoich dłoniach uścisk. Feliks cofnął palce bardzo szybko, bo kotka spróbowała go ugryźć. Nic nie powiedział, ale spojrzenie, które mu posłał, ciepłe i łagodne, sprawiło, że Taurys poczuł się odrobinę lepiej.

– W kostnicy szybko zasłonięto ciało… – Prusy pociągnął duży łyk kawy, bacznie obserwując Feliksa. – A w czasie pogrzebu trumna była cały czas zamknięta. Charakteryzacja?

– Nie wchodząc w szczegóły, tak – Polska przytaknął. – Trochę znajomości wśród ludzi, którzy znają się na takich rzeczach, ale przyznaję, to był… ryzykowny punkt programu.

Prusy pokręcił głową.

– Rzekomo zdechłeś, więc wykasowaliśmy cię z systemu… I, kurwa, to ci dało wolną rękę na dziesięć lat. Dziesięć lat – powtórzył Gilbert. – Przez dekadę byłeś żywy i nikt o tym, kurwa, nie wiedział. Aż się boję, co odpierdoliłeś przez ten czas…

– A co podejrzewasz? – spytał cicho Polska. Oparł głowę o rękę i wzrok utkwił w okolicach karku Prusaka.

Gilbert owinął palce wokół kubka.

– Znając ciebie… podziemny zryw, który rozpieprzy całe nasze państwo. – powiedział sucho.

Ku jego zdumieniu Feliks uśmiechnął się smutno i pokręcił głową.

– Mam przewodzić powstaniu przeciwko państwu, które od siedemdziesięciu lat nie podniosło bezprawnie ręki na *żadnego* swojego obywatela? – zapytał po prostu. – Państwu, które nie morduje i nie uciska?

Zapadła długa cisza.

– Zmieniłeś się – zauważył Gilbert, marszcząc brwi. – Kiedyś… kiedyś stałbyś w pierwszej linii, Polen. Czym to się różni, co?

– Wszystkim. Nie jestem głupi – Polska westchnął. – Zgermanizowaliście naszych ludzi bardzo skutecznie, bo… prawie bezboleśnie. Rzesza się zmieniła, nie jest już tamtą bestią, która wstrząsnęła Europą. To nie dyktatura, w której ludzie boją się mieć inny pogląd niż władza w obawie przed śmiercią.

– Chcemy zapobiec rozlewowi krwi – powiedział cicho Litwa. – Zapobiec *wojnie*. I mamy nadzieję, że nam w tym pomożesz.

Gilbert gwałtownie się wyprostował, gdy dotarło do niego znaczenie tych słów. Wpatrywał się to w Polskę, to w Litwę czujnym, zaniepokojonym spojrzeniem.

– Jakiej wojnie? Gadajcie, co wiecie!

– Za moment – Feliks nie zaprzestał swojej obserwacji. – Gilbert, powiedz mi najpierw… jak długo jesteś na podsłuchu?

Prusy drgnął, a potem westchnął. Sięgnął pod koszulę i położył na stole niewielkie urządzenie oplecione kablami, o połowę mniejsze od szprechera. Jeden z przewodów był dłuższy i zakończony metalową łezką. Pokazał im malutkie otwory mikrofonu.

– Umiem to wyłączyć – powiedział spokojnie. – Jestem zobligowany do nagrywania każdej wizyty, ale gdy… nie chcę, by coś usłyszeli, zwalam ciszę na awarię sprzętu. Jak na razie to przechodzi.

Taurys przyglądał się urządzeniu ze zdumieniem. Nie zauważyłem, pomyślał niespokojnie. On jest u mnie co tydzień, od tylu lat… Przez chwilę gorączkowo szukał w pamięci, czy nie poruszył kiedyś tematu, który nie powinien dotrzeć do uszu władz.

– Od kiedy to nosisz, Prusaku? – zapytał Feliks, biorąc podsłuch do ręki i przyglądając się urządzeniu.

– Odkąd spełniłem jedną waszą prośbę za dużo – burknął Prusy niechętnie.

– Przestali ci ufać?

– Oni nigdy *nam* nie ufali.

Zapadła cisza. We trzech spojrzeli na siebie, czując całkowite zrozumienie. Feliks westchnął i wypił resztę swojej kawy jednym łykiem.

– I to jest druga kwestia, Prusaku, którą mamy do obgadania.

Rozdział IX: Noc w ogromnym domu

Prusy zareagował podobnie jak Taurys, ale potok przekleństw płynął z jego ust dłużej i intensywniej. Gdy Feliks umilkł, wyjawiwszy mu dokładnie to samo, co poprzedniego wieczoru Litwie, Gilbert wpatrzył się w przestrzeń, marszcząc brwi, stukając palcami o blat stołu i wyraźnie zastanawiając się, co ma zrobić z usłyszanymi nowinami.

Taurys nie zamierzał mu w tym przeszkadzać. W tej kuchni Prusy był jedynym, który jeszcze miał jakiekolwiek zobowiązania wobec władz i narodu. Na jego miejscu obaj potrzebowaliby czasu do namysłu, by podjąć tak ciężką decyzję, nawiązać współpracę z kimś właściwie wyjętym spod prawa.

Patrząc na niego, Litwa pomyślał przelotnie, że to, że Prusy najpierw postanowił dowiedzieć się, co się dzieje, zamiast natychmiast zgłosić obecność Polski władzom, samo w sobie było już dużym krokiem naprzód.

Gdy tak mu się przyglądał, nagle uderzyło go to, jak dobrze Prusy wygląda. W porównaniu do niego, lichego ludzkiego cienia i do Polski, pozornie w całkiem niezłym stanie, ale również zmęczonego, Gilbert wydawał się być okazem zdrowia, modelowym przykładem dbania o siebie.

Jego jasne włosy błyszczały, skóra, chociaż jak zwykle blada, miała zdrowszy odcień, pod koszulą rysowały się mięśnie.

Taurys był tego świadomy od lat, ale dopiero teraz, gdy siedzieli we trzech przy tym małym kuchennym stole, zdał sobie sprawę, jak uderzająca jest to różnica. Prusy był ich całkowitym przeciwieństwem.

Przypomniał sobie, jak spotkał na ulicy Nikolaia, a przechodnie odsuwali się od nich, jakby natknęli na dwóch ćpunów – gdyby Gilbert stanął wówczas obok nich, pewnie uznano go by za młodego, zadbanego chłopca z dobrego domu, który przypadkiem wplątał się w złe towarzystwo.

Prusacy mieli kraj autonomiczny, mieli ministerstwo dziedzictwa, podkreślali swoją odrębność od reszty Niemiec. Ludwig nie zrobił tego własnemu bratu, zorientował się w porę, co oznaczała unifikacja...

– Wchodzę w to – powiedział w końcu Gilbert, wytrącając Litwę z toku swoich myśli. – Chociaż mi się to, kurwa, bardzo nie podoba...

W jego głosie Litwa wychwycił to, co sam czuł; chęć działania. Siedemdziesiąt lat, pomyślał. Ta stagnacja trwała siedem dekad. Też masz tego dość, aż cię nosi, żeby coś zrobić.

Polska w odpowiedzi na tę deklarację uśmiechnął się i przystąpił do konkretów, do przekazywania im szczegółów swojej wiedzy. Rozmawiali długo, a makinetka co rusz wypełniała się gorącą kawą, która wyostrzała zmysły i odsuwała zmęczenie.

Feliks mówił dużo; Taurys zadawał wiele pytań, a Gilbert ciągle klął. Wojny, plany, bomby i łącznicy, z czasem wokół nich urosła sterta notatek i szkiców, zapisów luźnych myśli i szczegółowych schematów.

– Masz jakieś dowody na to, że atak terrorystyczny pod Kurskiem ma z tym związek? – pytał Prusy.

– Żadnych – Feliks wzruszył ramionami. Nie wyglądał na zadowolonego. – Nie pozwolili sobie na dowody. Gdyby wyszło, że to rząd Rosji to zorganizował, imperium nie puściłoby tego płazem.

– Kto by puścił… – mruknął Gilbert pod nosem. – Jesteś pewny, że to oni, a nie faktycznie niezwiązana z rządem grupa terrorystyczna, jak tak to sugerowali Rosjanie? Z tego, co wiem, to śledztwo utknęło w martwym punkcie już dawno, ale początkowo to ten trop był przekonujący. Ich służby ochoczo się włączyły w sprawę.

Feliks westchnął.

– Nie mam żadnej pewności, ale to mogła być próba zbadania gruntu, sprawdzenie, co sądzą mieszkańcy o walce zbrojnej… Pamiętaj, że to byłe rosyjskie tereny.

Prusy powiódł wzrokiem po ich prowizorycznym stole strategicznym.

– Lit – zaczął nagle. – Masz ty jakąś aktualną mapę?

Taurys skinął głową; wstał i ruszył w kierunku saloniku, wiedząc, że gdzieś wśród książek, może za okładką Historii Rzeszy, schował kiedyś mapę imperium. Gdy zniknął w korytarzu, Prusy nagle nachylił się ku Polsce.

– Skoro już się łaskawie pojawiłeś, sukinsynie – mruknął, udając, że przygląda się notatce związanej z najważniejszymi rosyjskimi wojskowymi, którą Feliks właśnie pisał. – doprowadź go do porządku, dobra?

Polska lekko uniósł brew.

– Martwisz się o niego? – spytał spokojnym szeptem, dopisując jeszcze jedno nazwisko do listy, ale zdradziło go szybkie spojrzenie w kierunku korytarza.

– Uwierz, patrzenie na to, jak *kolejna* personifikacja rozpada się na kawałki i zostaje zniszczona przez rzeczywistość, w której żyjemy, to nie jest moja ulubiona rozrywka – warknął Prusy, odsuwając się. – Nie jestem takim skurwysynem, Polen.

– To cię tak boli, prawda? – Feliks przyglądał mu się nieustępliwie. Prusy odwrócił wzrok, nie mogąc znieść tego spojrzenia. – Zredukowano nas do bandy połamanych ludzi pozbawionych celu i sensu. Przestaliśmy być wam *równi*. Nie tego się spodziewałeś, gdy zawładnęliście Europą. Nigdy wcześniej nie doszło do aż takiego… – Feliks urwał. – Nie widziałem nikogo od dziesięciu lat. Jest aż tak źle, Prusy?

Prusy nie odpowiedział. Milczał, ale jego szczęka zaciskała się mocno raz za razem, zdradzając jego wzburzenie. Polska westchnął, pokręcił głową i w pewnym momencie nagle zmarszczył brwi, jakby dopiero teraz dotarło do niego znaczenie usłyszanych słów.

– *Kolejna*…?

Prusy odwrócił głowę, dając Feliksowi do zrozumienia, że skończył ten temat. Nim Feliks zdążył go dopytać o losy pozostałych, Litwa, nieświadomy rozmowy, która właśnie się odbyła, wrócił do kuchni. Poza mapą przyniósł też kolejne czyste kartki i kilka długopisów.

– Dobra – Prusy, kontynuując wcześniejszą rozmowę, zaznaczył lokalizację Kurska na mapie. Nie patrzył na Polskę. – Od miasta do granicy jest dwadzieścia kilometrów –

przesunął ołówkiem ponad linią oddzielającą Rzeszę od Rosji. – Mamy niewielki ruch graniczny. Kolejne punkty są tu, tu i tu – kolejno wskazywał przejścia graniczne z drugim krajem. – Od tego ataku wzmocniliśmy ich obronę, ale jak dotąd był spokój.

– A ten człowiek z bronią? – zapytał Litwa. – Ten, którego ostatnio zatrzymano? Było o nim głośno w wiadomościach.

Prusy wzruszył ramionami.

– Śledztwo w toku – powiedział. – Nic więcej nie wiem.

– Ktoś w parlamencie myśli poważnie o konflikcie z Rosją? – Feliks odchylił się na krześle.

– Nieszczególnie – odparł wymijająco Gilbert i sięgnął po kubek z kawą. – Raczej nikt nie garnie się do wojny. Przywykli do pokoju.

– A Iwan? – Polska zastukał palcami w blat. – Macie z nim jakiś kontakt?

Prusy milczał przez dobrą minutę. Feliks uniósł brew.

– Nie widziałem go od lat – przyznał w końcu Gilbert. – Ani ja, ani Ludwig.

Taurys pierwszy zrozumiał znaczenie jego słów.

– Próbujesz nam powiedzieć – zaczął cicho i ostrożnie. – że nie jesteście dopuszczani do polityki zagranicznej?

Prusy roześmiał się, ale to był gorzki śmiech.

– Jestem autonomicznym krajem, zapomniałeś? Jedyne, co robię, to zajmuje się sprawami Prus i pilnuję was, żebyście czegoś nie odpierdolili – Spojrzał na Polskę i zirytowany wypuścił powietrze. – Zgadnij, Polen, *kto* będzie odpowiedzialny za twoje cudowne objawienie, gdy rząd się dowie. Nie mogę się tego wprost doczekać...

– Jeśli się dowie – mruknął sugestywnie Feliks, wpatrując się bacznie w Prusaka.

– Za tydzień jest Charlottenburg – odparł natychmiast Gilbert.

Feliks zerknął na Litwę. Ten zmieszany spuścił wzrok.

– Nie powiedział ci jeszcze? – Gilbert westchnął. – tak, kurwa. W sobotę. Przyjedzie führer, przyjadą wszyscy politycy, którzy się liczą, będą przemowy, głaskanie się po główkach i rozdawanie odznaczeń... I przyjadą wszyscy, których Rzesza podbiła, cała wasza niewesoła gromadka. Cały Berlin będzie w gotowości, a po niego – Wskazał ruchem głowy Taurysa. – podjedzie kierowca z żołnierzem z ostrą bronią, jak zwykle. Powodzenia, Polen.

Feliks zaklął cicho.

– Z jednej strony – powiedział beztrosko. – Jeśli uda się jakoś tam wbić, to byłaby to doskonała okazja, żeby z wami wszystkimi pogadać...

– Z drugiej strony – wpadł mu w słowo Prusy, a jego głos znów nabrał ostrości. Pochylił się do przodu, a jego oczy ciskały gromy. – Jeśli tylko zrobisz jakiś błąd, będzie to doskonała okazja, żeby znowu was wszystkich wpakować do tych cel, z których was osobiście wyciągałem, więc, do jasnej cholery i kurwy, myśl chociaż raz, zanim coś zrobisz, dobra?

Feliks przytaknął, ale zaraz potem uśmiechnął się złośliwie.

– Zawsze chodzisz taki wkurwiony?

Taurys natychmiast załapał, co Polska próbuje zrobić. Uśmiechnął się blado. Patrząc na to, w jakim stanie był Gilbert, kłótnia była nieunikniona, więc czemu by trochę jej nie przyśpieszyć?

– Przeważnie mam tak na twój widok – warknął Prusy, będąc na granicy wytrzymałości.

– *Biedaczysko* – zakpił Feliks.

Prusy wziął jeszcze jeden głęboki oddech przez zęby, a potem wybuchnął. W kuchni nagle zatrząsł się stół, gdy zerwał się z krzesła, uderzając o blat pięścią i wywarczał kilka obelg. Polska nie był mu dłużny.

Taurys odchylił się lekko na krześle i zerknął na kocicę. Berta, która do tej pory kręciła się im pod nogami i miauczała żałośnie, bo żaden nie zwracał na nią uwagi, wskoczyła szybko na meble, potem na lodówkę i stamtąd patrzyła na kłócących się Polskę i Prusy z wyraźną nieufnością.

Taurys nie był zdziwiony, że Polska w końcu sprowokował Prusy.

Ta dwójka od zawsze była dla siebie wentylami bezpieczeństwa, osobami, na które można przelać swój gniew, niepokój i napięcie zupełnie bezkarnie. Ostre, niemal okrutne słowa padające z ich ust zraniłby każdego, tylko nie tego, do którego skierowane.

Spokojnie słuchał wyzwisk, patrząc jak z każdą chwilą ramiona Prusaka się rozluźniają, jak uchodzi z niego kumulowana latami irytacja. Odpowiadał obelgą na obelgę, sięgając coraz dalej w ich wzajemną historię, wiedząc, że bezlitosne słowa padną i odejdą, nawet ich nie drasnąwszy.

Brakowało im tego, pomyślał Taurys, widząc w płonącej zieleni iskierkę dobrej zabawy, a w szkarłacie nadchodzący spokój ducha, gdy już Gilbert wyrzucił z siebie wszystko, co leżało mu na sercu, rzecz jasna kamuflując to kaskadą przekleństw.

W końcu opadł na krzesło i wziął głęboki oddech. Polska uśmiechnął się zwycięsko.

– Lepiej ci, Gilbert? – zapytał konwersacyjnym tonem, jakby przed sekundą nie wyzywali się od najgorszych, wypominając sobie jakiś zapomniany przez Boga i ludzi konflikt sprzed pięciuset lat. – Możemy przejść do konkretów i rozmawiać jak cywilizowani ludzie czy dalej będziesz na mnie warczeć i zachowywać się jak tykająca bomba?

Prusy, czując się niekomfortowo z faktem, że Polska go rozgryzł, odwrócił wzrok, ale skinął głową. Jego policzki płonęły i najwidoczniej żałował, że dał się tak podejść. Oddychał szybciej, próbując się uspokoić.

Taurys nie mógł powstrzymać uśmiechu. Jak dzieci, pomyślał. To było zaskakująco znajome; zerknął na iskierki w oczach Feliksa, podłapał jego spojrzenie i poczuł się nagle odrobinę lepiej. Jakaś odrobinka starego świata wciąż istniała.

– À propos bomb – odezwał się Feliks po dłuższej chwili. – Nie chcę, żeby führer dowiedział się o tym pierwszy, Prusaku, i pierwszy zaatakował. Nie wiem, jak Rzesza stoi z produkcją...?

– Umiemy w atomówki – powiedział Gilbert o wiele spokojniejszym tonem, teraz, gdy już rozładował agresję. Odchylił się do tyłu. – Po małych... poślizgach... z czasów wojny

poszło nam całkiem dobrze. Leżą sobie w bezpiecznym miejscu i się kurzą. Nie mieliśmy nigdy okazji ich użyć, zresztą, znasz historię.

Chcesz pokoju, szykuj się do wojny, przemknęło Litwie przez myśl.

– Atomówka dla wodorowej to jedynie zapalnik, mam nadzieję, że o tym wiesz – powiedział cicho.

Nogi krzesła Prus z hukiem uderzyły o ziemię.

– Wodorowej? – powtórzył poważnym tonem, skupiając spojrzenie na Polsce. – Rosja ma bomby wodorowe?

– W czasie, gdy wy odcięliście się od reszty i zamknęliście w swoim idealnym niemieckim światku, Iwan dogadał się z Yao – odparł Feliks ponuro. – Rosyjscy naukowcy lubią chińskich naukowców i na odwrót. Chodzą razem na lunch, wypalają papieroski na przerwie, plotkują i wspólnie projektują nowe ładunki termojądrowe niczym najlepsze przyjaciółki z podstawówki.

– Kurwa! – Prusy oparł głowę o rękę. – Nie wiem, jak stoimy w tej kwestii – dodał niechętnie.

– Nie wiesz? Ty, wieczny militarysta?

– Od pół wieku nie miałem broni w ręku, a co dopiero mówić o dostępie do planów zbrojeniowych.

– A twój brat? – zapytał Taurys zaniepokojony.

– Ustawy – rzucił zirytowany Prusy. – Miesiąc już siedzi nad podatkową. Nie pamiętam, kiedy zajmował się czymś innym niż te ustawy.

Litwa westchnął. Te kilka zdań powiedziały im wszystko o pozycji, jaką bracia Beilschmidt zajmowali w Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej.

– Führer was odsunął – stwierdził pewnie.

Gilbert nie zaprzeczył, posłał mu tylko ponure spojrzenie.

– Tak właściwie… – powiedział, patrząc na mapę. – Pomyśleliście o pozostałych potencjalnie zainteresowanych tą wojną? Nie tylko wy byliście na wschód od linii Wisły.

– Kateryna i Nikolai – Litwa pomyślał jeszcze o Estonii i Łotwie, ale ich imiona nie chciały przejść mu przez gardło. Bał się o nich pytać. – Oni... Iwan to w końcu ich brat... Co się z nimi dzieje? Widziałem... Widziałem się niedawno z Nikolaiem, ale...

Wyczuł na sobie zaskoczony wzrok Feliksa; mruknął pod nosem, że później mu o tym opowie. Poczuł, jak Berta znów wskakuje mu na kolana i ociera się o niego; odruchowo zaczął ją głaskać.

– Po mojej interwencji Białego rzucili pod Paryż, dokładnie do tego mieszkania, w którym sam mieszkałeś – odparł Prusy rzeczowo. – Nie bywam u niego dłużej niż jest to konieczne, za bardzo mnie wkurwia. Właściwie to nie wiem, co robi na co dzień, musiałbym zajrzeć do systemu...

– A Ukraina? – Polska zastukał palcami w blat. Twarz Prus nagle się zmieniła, ramiona opadły.

– Ona? – powtórzył zrezygnowany, nie brzmiąc jak Gilbert, którego znali. – Tylko to, że nie jest człowiekiem, podtrzymuje ją przed zapiciem się na śmierć. *Jeszcze*.

Po jego słowach zapadła cisza. Polska i Litwa spojrzeli po sobie, zszokowani tą informacją.

– To... – Taurys urwał, nie znajdując słów. Za duża pokusa, zabrzmiały mu w głowie słowa Polski, wypowiedziane zaledwie przed godziną. Ona się jej poddała.

Jeszcze. Jeszcze, pomyślał i zadrżał. Któregoś dnia...

Prusy skinął głową.

– Próbowałem jej przemówić do rozsądku, ale do niej już nie dociera –westchnął ciężko. – Nie wiem, co ta dwójka zrobi, Polen. Nie wiem, po czyjej stronie staną. Musisz mieć to na uwadze, cokolwiek zaplanujesz.

Feliks, zaniepokojony, przesunął palcami po włosach.

– Niedobrze – mruknął. – Bardzo niedobrze... Prusaku, a co się dzieje z Erzsébet?

Prusy sztywno się wyprostował, a jego twarz stężała. Zacisnął usta w wąską linię. Ten ruch i twardość, która zajaśniała w jego oczach, sprawiła, że obaj jego rozmówcy nagle stali się czujni.

– Tego ci nie powiem – odparł z naciskiem Gilbert. Rozluźnienie zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Feliks zmarszczył brwi, Taurys zamarł z dłońmi wczepionymi w kocie futro. Coś jest nie tak, pomyślał. Bardzo nie tak.

– Siedząc tutaj, złamałeś już z tuzin rozkazów... – zaczął Polska, przyglądając się Prusom.

– To nie rozkaz, a obietnica – odpowiedział cicho Gilbert.

– Co się z nią dzieje? – zapytał szybko Litwa, widząc poruszenie na twarzy Feliksa. Miał bardzo złe przeczucia. Co jest gorsze od tego, co działo się z Kateryną, że Prusy tak bardzo broni tej tajemnicy?

Prusy odwrócił oczy od ich natarczywych spojrzeń.

– Obiecałem jej – zaczął szeptem, głosem tak bezbarwnym, jakiego jeszcze nigdy u niego nie słyszeli, a znali się kilkaset lat. – że nikomu nie powiem. I dotrzymam tej obietnicy. Polen, znajdź ją w Charlottenburgu. Wiem, że tam pójdziesz. Jeśli będzie chciała, sama ci powie. Ja nie mogę, zrozum.

– Dobrze – Feliks wypuścił powietrze. Nerwowo przygryzał wargę, pełen niepokoju o przyjaciółkę. – Porozmawiam z nią... – chwilę przyglądał się Prusom, ale potem opuścił wzrok na mapę. – Wracając do tego, czego się dowiedziałem...

Rozmowa wróciła na swoje tory. W końcu Prusy zerknął na zegarek; dochodziło wpół do dziesiątej. Potarł dłonią oczy, wypił ostatni łyk kawy.

– Dobra, spróbuję porozmawiać z Ludwigiem – powiedział. – Polen... nie próbuj niczego na własną rękę, proszę. Siedź tutaj, na dupie i się nie wychylaj, pomyślę jeszcze, jak to rozegramy w sobotę. Litauen ma mój numer, jak coś, to niech dzwoni, tylko nie wtedy, kiedy jestem w parlamencie...

– Mój szprecher jest na podsłuchu? – zapytał cicho Litwa. Od dawna był tego ciekaw. Prusy coraz rzadziej sprawdzał listę jego połączeń podczas wizytacji.

Gilbert wzruszył ramionami.

– E-post na pewno – powiedział. – Nie wiem, czy rozmowy nadal są nagrywane, mała szansa, ale na wszelki wypadek się pilnuj.

– Prusy – odezwał się cicho Feliks, gdy Gilbert wstał od stołu.

– Co chcesz?

– Dzięki.

Gilbert pokręcił głową i westchnął ciężko. Wziął głęboki oddech.

– Tylko dlatego, że byłem w szoku, nie zawiadomiłem góry od razu – powiedział gładko. – Wykorzystaliście ten stan, by mnie w to wkręcić i zmusiliście do wydania poufnych informacji. Przy okazji szantażowaliście mnie jakimiś starymi kompromitującymi materiałami. Jak już będą mnie sądzić za zdradę stanu, to będzie moja linia obrony, macie się do niej dopasować w czasie własnych przesłuchań.

– Dopasujemy – obiecał Litwa z bladym uśmiechem.

Prusy prychnął.

– Przez was przepadł mi stolik w klubie. O tej porze wszystko już będzie zajęte, a ja chcę się urżnąć.

– Wiem, nieczęsto widzisz duchy – przytaknął Feliks z udawanym zrozumieniem. – To wymaga starannego wyczyszczenia umysłu etanolem.

– Spierdalaj – mruknął Prusy, ale ta obelga nie miała już tej mocy i agresji, co wcześniej. Wyszedł na korytarz.

– Miłej zabawy w Eldorado! – zawołał za nim Feliks, uśmiechając się złośliwie, dając Gilbertowi do zrozumienia, że go śledził.

Prusy cofnął się o krok.

– Sto lat temu bawiłem się tam lepiej – rzucił tajemniczo i wyszedł.

Polska i Litwa spojrzeli po sobie.

– O co mu chodziło? – zapytał zbity z tropu Feliks.

Litwa wzruszył ramionami. Nim powiedział coś więcej, drzwi jego mieszkania znowu się otworzyły.

– Ale z was chuje! – powiedział jeszcze Gilbert z wyrzutem, wychylając się zza ściany. – Od czterech lat nie miałem urlopu i akurat teraz, jak już sobie zarezerwowałem hotel w Venedig…

Urwał w połowie zdania i trzasnął drzwiami. Gdy zamknęły się za nim na dobre, kocica zeskoczyła z lodówki i miaucząc głośno, wyszła na korytarz. Taurys podniósł się, chcąc przekręcić zamek w drzwiach.

Feliks zmarszczył brwi i wpatrzył się w zwierzę. Wracając, Litwa dostrzegł, jak na jego twarzy pojawia się zrozumienie.

Westchnął w duchu. Czekał na to i wiedział, że Feliks nie da mu z tego powodu żyć.

– Nazwałeś kota po Prusaku! – stwierdził Polska z niedowierzaniem.

Za tą stronę Feliksa Łukasiewicza bynajmniej nie tęsknił.

Winda przystanęła na parterze cichutko, niemal niedostrzegalnie. Wysoki, barczysty mężczyzna z wielkim psem – sąsiad z siódmego piętra – otworzył przed nią oszklone drzwi.

Nie lubiła wind, małych pułapek bez wyjścia, ale ręce, zajęte ciężkimi zakupami, już odmawiały jej posłuszeństwa. Dziś odważyła się wybrać do sklepu nieco dalej. Tramwaj powrotny zepsuł się jeden przystanek wcześniej, musiała iść z obciążeniem prawie pół kilometra.

Perspektywa wnoszenia tych toreb na trzecie piętro nie była atrakcyjna, ale...

Zawahała się, widząc nierozumiejące spojrzenie sąsiada, a potem zagryzła wargi i prześlizgnęła się pod jego ramieniem. To tylko sąsiad, powtarzała sobie. Ma żonę, dwójkę dzieci i psa. Miły, kulturalny człowiek, będziecie w tej windzie tylko kilkanaście sekund. Nic ci się nie stanie.

Drzwi zatrzasnęły się cicho, a ona przełknęła ślinę i wcisnęła się w kąt. Pies zaczął obwąchiwać jej torby, ale to nie zwierzęcia się bała. Opanuj się, skarciła się w myślach, czując jak serce obija się o żebra.

Sąsiad nie zauważył nic; stukał w klawisze szprechera, wybrał numer i rozpoczął rozmowę z żoną. Gdy winda zatrzymała się na trzecim piętrze, szybko ruszyła do przodu. Mężczyzna oderwał wzrok od urządzenia, przypadkiem na nią wpadł, gdy próbował usunąć się jej z drogi. Zachwiała się.

– Enschuldigung... – mruknął, asekuracyjnym, niedbałym gestem przytrzymując ją za ramię. Bardzo szybko ją puścił i wrócił do rozmowy.

Miejsce dotyku paliło żywym ogniem, który sięgał gardła, miażdżąc je swoimi płomieniami. Wypadła z windy, nie oglądając się za siebie. Potem, gdy zdziwiona twarz sąsiada zniknęła w górze, wypuściła z rąk zakupy i objęła się ramionami, wbijając wzrok w podłogę.

– Jesteś taka głupia, Erzsébet – syknęła do siebie, ale płacz rozdarł jej słowa, zmienił ją całą w rozdygotanie i chaos. Drżącymi dłońmi zaczęła szukać kluczy. Skóra płonęła; czuła *ich* dotyk, twarde, silne ręce, zostawiające za sobą siniaki i upokorzenie, które nigdy miało nie zniknąć. – Taka głupia i taka słaba...

Wślizgnęła się do środka i natychmiast zasunęła za sobą zamek. Puste mieszkanie przywitało ją ciszą, otuliło pustką. Odetchnęła parę razy i potrząsnęła głową.

Tu była bezpieczna. Nikt nie mógł tu wejść. Prawie nikt.

Zerknęła na kalendarz; był piątek. W poniedziałek w południe przyjedzie Prusak. Musi dokupić kawy. Roześmiała się histerycznie, gdy zrozumiała, że czeka ją kolejna wyprawa do sklepu, między ludzi, a potem objęła się ramionami.

Tylko własny dotyk była w stanie znieść.

Mrok zasiadł nad Berlinem i otulił miasto czernią, walcząc ze światłem pochodzącym z ulicznych lamp i okien mieszkańców, dla których noc była jeszcze zbyt młoda, by udali się na spoczynek.

Wpadł do sklepu jako ostatni klient, śledzony nieprzychylnym spojrzeniem ekspedientki podczas swojej pośpiesznej wędrówki między półkami. Stając przy kasie uśmiechnął się przepraszająco, ale nie zdało to egzaminu; kobieta uniosła oczy ku niebu, wydała mu resztę niecierpliwym gestem i niemalże wygoniła na zewnątrz.

Dochodził kwadrans po dziesiątej, gdy wrócił do domu z zakupami spożywczymi, by mieli co zjeść na kolację i śniadanie. Szedł wolno, oddychając głęboko. Potrzebował chwili samotności, a przyjemny, letni wiatr pomagał uporządkować rozsypane myśli.

Sięgał pamięcią daleko przez dziesięciolecia i przez wieki, starając się poukładać w głowie słowa, które chciał Polsce powiedzieć, bo czuł, że to dzisiaj nastąpi, rozmowa, która musiała nadejść. Rozmowa, którą odkładali odkąd tylko stało się jasne, że Zjednoczona Rzesza Niemiecka zakończyła na dobre stary świat. Rozmowa, którą dawno mogli przeprowadzić w Charlottenburgu, zamiast unikać swoich spojrzeń podczas tych rzadkich spotkań.

Gdy wyłożył jedzenie na blat w kuchni, odganiając ciekawską Bertę, która zaglądała do środka toreb, z łazienki wyszedł przebrany w inną koszulę Feliks, przeczesując palcami wilgotne włosy. Taurys przed wyjściem do sklepu powiedział mu, by czuł się jak u siebie.

– Prysznic to jednak najlepszy wynalazek ludzkości – mruknął Polska.

W tej kwestii Litwa zgadzał się z nim całkowicie; sam marzył, by zmyć z siebie zmęczenie całodniową, sierpniową podróżą przez pół kraju.

– Zjedz coś – powiedział cicho. – Ja się w międzyczasie ogarnę.

Feliks kiwnął głową. Taurys ruszył najpierw do swojej sypialni, by wziąć ubrania na zmianę. Chwilę patrzył na zawartość szafy, łudząc się, że może jednak znajdzie coś, co nie jest czarne, ale oczywiście niczego takiego nie posiadał. Uniósł kącik ust na myśl o tym, że Feliks najprawdopodobniej jutro przewlecze go przez przynajmniej jeden dom handlowy.

Cóż, pomyślał, idąc do łazienki i słysząc w kuchni odgłos otwieranej lodówki. Też nie czułbym się dobrze, gdyby to on przeze mnie chodził na czarno.

Taurys nigdy nie zastanawiał się nad tym, czy powinien przywdziać żałobę. Po prostu w tym samym dniu, w którym Prusy przyniósł tragiczne wieści, zarzucił na siebie czarną koszulę, a potem kupił jeszcze kilka kolejnych. I kolejnych.

Gdy się kogoś traciło, chciało się krzyczeć, wskazać światu swój ból, wyróżnić się wśród obojętności świata chociażby ubiorem. On nie krzyczał; zatopił się w czerni i przywykł do niej, a któregoś dnia, gdy jego emocje wygasły, zastąpione pustką, pomyślał, że właściwie żałoba do niego pasuje.

Nie był już personifikacją; własny naród wymknął się z jego rąk. Dlaczego nie miałby nosić żałoby? W końcu coś utracił.

I tak minęło dziesięć lat. Ubrania, które nie były czarne, dawno już wyrzucił.

Gdy wrócił do kuchni, odświeżony, zastał Feliksa kucającego na podłodze z dłonią wyciągniętą w kierunku Berty. Kocica przyglądała mu się z poczuciem wyższości, a każdą zachętę do podejścia, chociażby powiedzianą najłagodniejszym tonem, kwitowała syczeniem.

– Szynką jej nie przekupisz – powiedział Litwa, unosząc kącik ust ku górze. – Mówiłem, jest wredna.

– Teraz rozumiem, dlaczego nosi takie, a nie inne imię – Feliks opuścił dłoń i wyprostował się. Szarpnięciem głowy wskazał mu stół; Taurys dopiero teraz zauważył talerz z kanapkami. – Jedz.

I tym razem się nie sprzeciwił, chociaż z trudem przełknął posiłek, czując zdenerwowanie, które właśnie zagnieździło mu się w żołądku. W kuchni panowało milczenie; Feliks zaczął unikać jego spojrzenia, coraz częściej zerkał przez okno.

Nadszedł szybki, gwałtowny letni deszcz; duże krople zaczęły uderzać w szybę, a strumienie wody porwały za sobą niedopałki papierosów leżące na chodniku. W kuchni czuć jeszcze było ich swąd.

Taurys mechanicznym ruchem włożył talerz do kranu. Zimna woda opryskała mu dłonie.

– Ja też przepraszam – wyszeptał, wiedząc, że Feliks i tak go usłyszy. – Prze… przepraszam, Polsko.

To była odpowiedź na to, co usłyszał w Neukaunas zaledwie poprzedniego dnia. Ostatnie słowa powiedział po polsku, odwdzięczając się za wczorajszy litewski, ale jego głos drżał, język zaplątał się na szeleszczących dźwiękach.

To było jedno z najtrudniejszych polskich słów, jakie znał, nie tylko przez swoje znaczenie.

Usłyszał ciche westchnienie, ale gdy ośmielił się zerknąć w bok, zauważył smutny uśmiech.

– Usiądźmy – zaproponował cicho Feliks.

Usiedli i po chwili milczenia rozpoczęli wędrówkę przez czas; mówili wiele, czasem spuszczali wzrok. Czasem któryś zrywał się, gdy rozmowa dotknęła szczególnie bolesnych wspomnień, ale szybko wracał na swoje miejsce. Czasem słowa drżały i cichły, a często bolały.

Nie chcieli się kłócić. Starając się zachować spokój, przekraczali kolejne rzeki wspomnień, kolejne zawiłe strumienie ich własnej historii – tej wielkiej, związanej z krajami, granicami i polityką i tej małej, osobistej, równie bolesnej. Wyszeptywali motywy, strachy, nadzieje; obawy i lęki, niedopowiedzenia i złości.

Noc trwała. Dotarli do rozbiorów; do niewoli, która w ich obojgu coś złamała. Mówili o bólu, strachu i bliznach. Mówili o powrocie, o nadziei, o chęci przetrwania na powojennej mapie, na której każdy chciał zyskać jak najwięcej. O interesach i ekonomii, o zniszczeniach i odbudowie.

O ich mieście, które podsyciło rosnące między nimi ognisko czystej nienawiści, a teraz było już tylko stertą gruzów.

O Preludium Bałtyckim i o tym, że dwa lata po nim Litwini w niemieckich mundurach cieszyli się jak dzieci, gdy pozbawiona pomocy Polska poddała Wilno, bo mogli znów je mieć dla siebie, nieświadomi, że za moment znów je utracą w potwornym bombardowaniu.

O tym, jak upadła Warszawa, o pozostawieniu gruzów miasta i o budowie iglicy żalu. O zabijaniu cywili, którego Rzesza się dopuszczała, nim nowy führer zaprowadził nowy porządek.

O stosach trupów mężczyzn, kobiet i dzieci, których nigdy nie chcieli już oglądać. O rosnącej nienawiści, podsycanej początkowo przez niemieckie imperium, a później, gdy Wielka Wojna Dziesięcioletnia się skończyła, starannie łagodzonej przez polityków, by ujednolicić państwo. O Dniu Zjednoczenia. O fałszowanej historii, o propagandzie, pięknej w swojej skuteczności, o grubym tomiszczu Historii Rzeszy, którą Litwa trzymał w salonie i często czytał, próbując odszukać kłamstwa na jej stronach. O świecie, który umarł i znikł, przestał istnieć i przestał mieć znaczenie.

I gdy historia Polski i Litwy w końcu się skończyła, rozmawiali już tylko o swoich losach; o Feliksie i Taurysie.

O miastach, w których mieszkali, o zawodach, których się podejmowali, zredukowani do roli zwykłych obywateli, o samotności, stracie i bólu. O mogile na Cmentarzu Zasłużonych. O strachu przed śmiercią w samotności, pośród nierozwiązanych spraw. O zapominaniu.

W końcu zamilkli i milczeli długo, zatapiając się we własnych myślach i łzach, chowając twarze w dłoniach i słuchając tykania zegara na ścianie, cichej nocnej audycji w radiu...

– Rozejm...? – zapytał w pewnym momencie Polska ochrypłym szeptem, przypominając Litwie o tym czasie między konfliktem o Wilno a Preludium, w którym uparcie tkwił w przekonaniu, że są w stanie wojny.

– Rozejm? – powtórzył głucho Taurys.

Nie było już ich krajów, które mogłoby zawrzeć rozejm czy pokój. Byli tylko oni dwaj, dwaj sponiewierani przez stulecia mężczyźni. Pokręcił głową; Polska zamarł, a w jego oczach odbił się niepokój, strach przed odmową.

– Zamiast rozejmu… czy… moglibyśmy zacząć od nowa? – zapytał cicho Taurys. W odpowiedzi ujrzał rosnący uśmiech.

Feliks wstał od stołu i wyraźnie na niego czekał. Taurys uniósł się z krzesła.

– Nazywam się Feliks Łukasiewicz – powiedział po polsku stojący przed nim człowiek.

Przyjął podaną dłoń i mocno ją uścisnął. Przez chwilę milczał.

Ich hei...

– *Mano vardas yra Taurys Laurinaitis* – wyszeptał swoją mantrę, powtarzaną nocami w samotności, gdy próbował nie zapomnieć, kim jest, nagle rozumiejąc, do czego była przygotowaniem.

Pierwszy raz od wielu lat Litwa kładł się do snu ze spokojem ducha, świadom, że gdy już umrze – za rok, dwa, dziesięć – Feliks nie będzie już czuł do niego żalu. Rozpoczęli od nowa, pomyślał po litewsku, i to była jego ostatnia myśl, nim zmęczony organizm w końcu zmusił go do snu.

Od nowa, pomyślał Feliks, leżąc na kanapie w salonie i patrząc na odbijający światło lampy fortepian i na uchowane z minionego świata stare książki oprawione w papier,

wśród których odnalazł *Pana Tadeusza*, otwartego na pierwszych wersach pierwszej księgi.

Na fortepianie leżał tomik Goethego, uśmiechał się do niego nieśmiało czernią krótkiego *Ob ich dich liebe, weiß ich nicht.* Obok zobaczył enigmatyczną ulotkę urzędu miasta, opisującą procedurę zmiany nazwiska.

Tej nocy to on nie zmrużył oka.

Rozdział X: Rabunek Europy

Berlin zakwitał latem jak najpiękniejszy kwiat w ogrodzie Europy, jak szlachetna lilia posadzona wśród sierpniowej, żywej zieleni kontynentu. Nieliczne chmury nad miastem otulały szczyty monumentalnych budynków, które swoją bielą kontrastowały ze szpalerami idealnie przystrzyżonych drzewek, posadzonych wzdłuż kilku najwspanialszych alei i przynoszących mieszkańcom schronienie przed palącym słońcem.

Wysiadł z auta, gdy zatrzymało się przed betonowymi barierkami, które uniemożliwiały wjazd na plac. Na pożegnanie odruchowo skinął głową umundurowanemu kierowcy, a zaraz potem auto zniknęło z jego pola widzenia.

Ruszył szybko przez równy bruk, nie zwracając uwagi na ani stare kamienice z kolumienkami, urokliwymi rzeźbieniami i ozdobnymi attykami, nawiązujące do szlachetnej starożytności, ani na kunsztownie zdobione, gazowe lampy uliczne, które zgodnie ze starą tradycją rozpalano ręcznie i które każdego wieczoru roztaczały wokół miękkie, ciepłe światło, otulając Großer Platz delikatnym, złotym blaskiem.

Wmieszał się w tłum składający się z rodzin z małymi dziećmi, młodzieży korzystającej z letnich ferii i z odzianych w drogie garnitury polityków, krążących bez ustanku między Reichstagiem po prawej, w którym Gilbert powinien zjawić się rano, a pałacem führera po lewej stronie placu.

Spacerujący korzystali z zielonych skwarów i wygodnych ławek, czerpali dłońmi wodę z fontanny Neptuna, głaszcząc nagie, kamienne ramiona towarzyszących mu rzek – Łaby, Odry, Renu i Wisły, każdej o ciele pięknej kobiety, podległej władzy potężnego boga mórz.

Uśmiechnął się mimochodem i odruchowo rzucił jedną markę w wodę. Symbolika, pomyślał przelotnie.

W oddali, za placem i wysokimi budynkami, błyszczała pełna kolorowych barek tafla Sprewy. Jego uśmiech zrzedł, bo rzeka przypomniała mu o wodach Venedig.

– Miałem pojechać na urlop – mruknął do siebie i zirytowany wypuścił powietrze przez zęby. – Niech was jasna cholera...

Przystanął i układając sobie w myślach odpowiednie słowa, patrzył na Berlin bez pośpiechu.

Miał czas; nie przyszedł na pierwsze posiedzenie rządu – zaspał po tym, jak błąkał się po mieście do rana, szukając rozwiązań w butelkach dobrego alkoholu i w dźwiękach muzyki – a do drugiego miał jeszcze ponad dwie godziny. Wątpił, że rozmowa z bratem zajmie mu aż tyle.

Poprawiając krawat, spoglądał na dzielnicę rządową, wspominając jej powstanie, podczas gdy kolejne zdania w jego umyśle natrafiały na mur, roztrzaskiwały się i umykały w nicość. Jak o tym mu powiedzieć?

Wielki Plac, pomyślał przelotnie. Germania.

Lata temu zrezygnowali z budowy Wielkiej Hali, która miała onieśmielać świat swoim ogromem, bo Rzeszy na drodze do chwalenia się swoją potęgą stanęły prozaiczne

problemy, których nie dało się rozwiązać – wszak nawet i Rzesza nie była w stanie zmienić bagnistego gruntu Berlina – ale i tak Germania robiła niesamowite wrażenie.

Niezliczone rzesze ludzi dbały o to, by Berlin pozostawał najpiękniejszym miastem na kontynencie, by przyćmiewał inne i wywoływał dumę – strzygli trawniki i podcinali drzewka, zamiatali wczesnym rankiem ulice, strzegli, by na Großer Platz i Alei Wspaniałości nie znalazł się żaden śmieć – czy to papierowy strzępek, czy jakiś obdarty bezdomny.

Germania wyglądała dokładnie tak, jak powinna wyglądać najpiękniejsza część stolicy Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej – piękna i wielka, pozornie pozbawiona skaz.

– Kurwa – mruknął do siebie Prusy, szarpiąc się ze znienawidzonym krawatem. – Mówiłem lata temu, że to chomąto to jedno wielkie nieporozumienie, ale jak zwykle wiedzieli lepiej… – wymamrotał, ruszając się w końcu z miejsca. – Kogoś kiedyś tym gównem uduszę...

Niechętnie ruszył w kierunku pałacu führera; strzegący wejścia żołnierze, spacerujący w cieniu marmurowych kolumn, rozpoznali go i zasalutowali. Niewiele osób mogło tu wchodzić; on posiadał ten przywilej, chociaż po rewelacjach, które usłyszał poprzedniego dnia, Prusy zaczął się zastanawiać, jak długo jeszcze potrwa ten stan rzeczy.

Ale odsunięcie personifikacji od spraw krajów było kwestią mniej istotną; wisiała nad nimi wojna i nawet jeśli tęsknił za walką, wiedział, że grożący im konflikt w niczym nie będzie przypominał tego, co znał w przeszłości.

Bomby wodorowe. Wsadź je sobie w dupę, Iwan, pomyślał jeszcze i ruszył po schodach, przeskakując co drugi stopień, dla przechodniów wyglądając pewnie jak jakiś spóźniony, młody polityk. Prychnął, przechodząc przez wysokie, dwuskrzydłowe drzwi do ogromnego holu, na którego ścianach wisiały portrety bohaterów i dowódców.

Ktoś nowy z łatwością mógłby zgubić się w gęstej plątaninie korytarzy, pomylić pokoje, których było tu setki, i zabłądzić na kolejnych, wyglądających niemal identycznie piętrach, ale on po tylu latach znał drogę na pamięć. Nogi same niosły go przez drogie dywany, między klasycznymi obrazami i krążącymi po budynku ludźmi w mundurach i garniturach.

Czasem ktoś skinął mu głową, czasem chciał zamienić dwa słowa, ale Gilbert zbywał ich wszystkich szybko i oschle, nie mając dziś cierpliwości na polityczne gierki.

Nie chciał po raz kolejny dyskutować kwestii autonomii albo omawiać pomysł zjednoczenia obu parlamentów, a potem też i krajów, pomysł, który co parę lat rodził się w głowie jakiegoś polityka tylko po to, by szybko spalić na panewce, gdy ktoś z góry rzucał kategoryczne „nie".

Ale jeśli führer zechce odsunąć nas całkowicie…, przemknęło mu przez głowę, ale nie dokończył tej myśli, bo przed nim pojawiła się winda, jedyna, którą mógł wjechać na siódme piętro.

Dwaj gwardziści, strzegący windy przed osobami nieuprawnionymi, na jego widok wyprostowali się sztywno i zasalutowali. Odpowiedział niedbałym ruchem ręki i gdy tylko otworzono przed nim solidne drzwi, wszedł do środka.

Winda, wielka jak cały ten budynek, mogła pomieścić może dwadzieścia, może dwadzieścia pięć osób, ale zwykle jeździł nią sam. Gdy drzwi się zatrzasnęły, poczuł się jak w pułapce. Chwilę wodził palcami po miedzianych przyciskach na panelu i przyglądał się pustym, białym ścianom, czując, że serce bije mu zdecydowanie szybciej niż powinno. W końcu zaklął pod nosem i mocno wcisnął siódemkę. Winda wolno ruszyła w górę.

To nie tak miało wyglądać, pomyślał po raz kolejny.

– Kancelaria Wodza i Kanclerza Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej – zaanonsował beznamiętny męski głos. Winda zatrzymała się miękko, a on wyszedł na cichy korytarz, zatapiając się w miękkości czerwonych i czarnych dywanów, w bieli ścian, w ich narodowych barwach.

Tu również mu zasalutowano; tym razem Gilbert odwzajemnił gest starannie, pamiętając rozmieszczenie kamer na tym piętrze i wiedząc, że na pewno nie zostanie niezauważony. Dobrze, że nie musiał się tłumaczyć z tego, że odwiedza brata, pomyślał kwaśno.

Zamiast pójść w prawo, prosto do gabinetu führera, skręcił w lewo, kierując się do pojedynczych drzwi na końcu korytarza. Wszedł bez pukania i starannie zamknął je za sobą, obrzucając wzrokiem pokój.

Powiódł spojrzeniem po wysokich regałach pełnych kodeksów karnych i cywilnych, dziesiątek segregatorów i teczek, potem skupił wzrok na blacie ciągnącym się wzdłuż jednej ze ścian, gdzie swoje miejsca zajmowały komputer, drukarka i stosy kolejnych dokumentów, przemknął spojrzeniem po sofie – na poduszce leżał starannie złożony koc – i dopiero wtedy spojrzał na potężne biurko.

– Nie powinieneś być w parlamencie? – zapytał Ludwig obojętnym głosem, nie odrywając oczu od dokumentu, który czytał, a który był kolejną wersją tej pieprzonej ustawy. Gilbert zdążył już ją znienawidzić i trzykrotnie przekląć, bo siedzieli nad nią od ponad miesiąca. Każde kolejne czytanie przynosiło konieczność nowych poprawek, chociaż wydawało się, że już są na finiszu.

Milczał, wpatrując się w wysoką, muskularną postać, sztywno siedzącą w wygodnym fotelu. Ludwig nie uniósł oczu, ale Prusy wiedział, że błyszczą i jaśnieją jak błękitne niebo nad Berlinem. Cienie pod nimi były wyłącznie wynikiem nocy spędzonych na pracy, a nie powolnego umierania, jak u innych przedstawicieli ich gatunku.

Niemcy w końcu zmarszczył brwi i spojrzał na niego, ściągając z nosa okulary do czytania.

– O co chodzi? – zapytał, zniecierpliwiony ciszą. – Gilbert, ja nie mam czasu na wygłupy...

– Masz tu podsłuch? – Prusy odezwał się cicho, przenosząc wzrok to na rachityczną paproć, jedyną plamę zieleni w surowym wystroju gabinetu, to na zasłonięte okno albo na ekran komputera, na którym migały kolejne nieodczytane wiadomości. To nie było dobre miejsce na przeprowadzenie tej rozmowy.

– Co? – Ludwig przyjrzał mu się bacznie. – Jesteś pijany? – zapytał z niechęcią w głosie, odsuwając od siebie liczącą kilkaset stron ustawę.

Gilbert nie mógł powstrzymać się od przewrócenia oczami.

– Od piątej rano nie – odparł niecierpliwie. – Musimy porozmawiać. *Dzisiaj*. A najlepiej, żebyśmy porozmawiali w domu.

– Mam dużo pracy – westchnął Niemcy, wpatrując się w brata. – Ustawa to jedno, w kolejną sobotę jest...

– To poniekąd ma z tym związek.

– Gilbert, mów, o co chodzi, szybko – Ludwig posłał mu wręcz gniewne spojrzenie. – Pracuję. Nie wiem nawet, czy dzisiaj skończę chociaż połowę – spojrzał znacząco na sofę.

– Jak jedną noc prześpisz w domu, to świat się nie skończy – Prusy zacisnął mocno zęby. – Bruderherz... to ważne – dodał szeptem.

Słysząc zdrobnienie, Ludwig przyjrzał mu się uważniej, a na jego twarzy pojawił się cień niepokoju. Zaraz potem zerknął na ustawę, ciągle będąc myślami między jej stronicami.

– Jak ważne? – zapytał w końcu, kapitulując.

– *Kurewsko ważne*.

Od dziesięcioleci nie używał tego języka, ale postarał się, by przekleństwo wybrzmiało, zwróciło uwagę, wytrąciło z równowagi swoim wibrującym „r" i przywiodło na myśl tego, o którym sądzono, że jest martwy.

I udało się; Niemcy znieruchomiał z dłonią w połowie drogi po odłożone moment wcześniej okulary. Zmarszczył brwi, niechętnie zaskoczony użytą mową, której nie słyszał od dekad i wydawał się zapomnieć o jej istnieniu. Zrozumiał znaczenie słów, ale nie pojmował, czemu Gilbert użył akurat polskiego, Prusy wyczytał to z jego oczu.

– Czekam w domu – Prusy z powrotem odezwał się po niemiecku, odwracając się gwałtownie w stronę drzwi. – Od czterech miesięcy prawie cię w nim nie ma – dodał jeszcze, słysząc we własnym głosie żal. – Raz jeden zrób coś dla mnie, wróć do domu i porozmawiaj z własnym bratem, dobrze?

– Gilbert...

Prusy odwrócił się bez słowa i wyszedł, pozostawiając Ludwiga siedzącego nieruchomo i niemile zaskoczonego tym, co właśnie się wydarzyło.

– Sierpień – szepnął w końcu, kierując wzrok na kalendarz na biurku. – Już sierpień.

Do Dnia Zjednoczenia było coraz bliżej.

Z wolna ze snu wytrącało go miarowe, głębokie mruczenie gdzieś w okolicach serca. W miarę upływu czasu był coraz bardziej świadomy nie tylko miękkości i gładkości pościeli, niewyraźnych głosów i miejskiego szumu, które rozkwitały za oknem, ale i dodatkowego, ciepłego ciężaru na piersi.

Westchnął, otwierając oczy, a potem podniósł się do siadu, delikatnie przenosząc kota na swoje kolana. Berta, najwidoczniej mając jeden ze swoich dni czułości, natychmiast wspięła się przednimi łapkami po jego piżamie i zaczęła ocierać się o szyję. Taurys odruchowo pogłaskał ją, zagłębiając dłonie w miękkim futrze, a zwierzę zmrużyło oczy i wygięło się w łuk.

– Wpuszczałem cię w ogóle do pokoju? – zapytał kotkę, marszcząc lekko brwi. Zerknął na drzwi do sypialni, znajdując je zamknięte. Uniósł lekko brew, a potem spojrzał na budzik na szafce nocnej. Zamrugał zdziwiony na widok tak późnej godziny, bo w ostatnich latach sen do późna był dla niego taką rzadkością, że mógł takie przypadki policzyć na palcach dwóch rąk. – Głodna jesteś?

W odpowiedzi Berta wyrwała mu się z rąk i w dwóch susach znalazła się pod drzwiami, miaucząc przeraźliwie. Litwa natychmiast się skrzywił.

– A podobno byłaś ostatnio grzeczna – mruknął, przecierając dłonią twarz, by wyzbyć się resztek snu. Wstał z łóżka, pragnąc napić się porannej kawy. Normalnie o tej porze piłby już drugą albo trzecią. – Wiedziałem, że to zmyłka...

Zatrzymał się na moment przy oknie, zauważając piękną pogodę; letnie słońce zdążyło już wysuszyć ulice i po wczorajszym deszczu nie było nawet śladu. Otworzył okno, wpuszczając do środka ciepły, letni wiatr i nawet blado się uśmiechnął.

Czuł się... nieźle. Gdzieś głęboko w nim pojawiła się dawno nie widziana lekkość, a serce odmierzało swój rytm trochę wolniej. Nawet widmo wojny nie mogło tego poranka odegnać od niego spokoju ducha.

Nie czuł się tak od lat; gdy wyciągał z szafy ubrania, czerń materiału zaciążyła mu w rękach. Gdzieś z tyłu głowy, tam, gdzie zwykle chował niechciane myśli i swoje niepokoje, zamigotała niechęć, by wciągać na siebie ten przygnębiający kolor – nie w dniu, w którym czuł się tak dobrze sam ze sobą.

Jedna rozmowa, pomyślał, ubierając się w tę właśnie barwę, jedyną, jaka zamieszkiwała jego szafę, podobna do nieprzeniknionej ciemności. Mogliśmy przeprowadzić ją lata temu, zaraz po Dniu Zjednoczenia, gdy stało się jasne, że niepodległości już nigdy nie odzyskamy, ale...

Jego myśli pomknęły do pierwszego spotkania w Charlottenburgu, parę lat po zakończeniu wojny, gdy w ciemnej sali stali z dala od siebie i raz tylko unieśli oczy, by napotkać swoje spojrzenia i natychmiast odwrócić wzrok. Pamiętał grymas na wargach Feliksa, pamiętał, jak sam obrócił się do niego plecami, wzburzony zaciskając usta w cienką linię.

– To było zbyt wcześnie – szepnął do siebie. Kotka, która siedziała teraz przy drzwiach, obserwowała go zielenią swoich oczu. – Ale chyba mieliśmy czas, by to sobie w końcu poukładać – stwierdził.

Pokręcił głową i ruszył do drzwi, mijając niewielkie biurko z paroma teczkami pełnymi dokumentów, świadectwo jego aktualnego życia.

Emocje opadły; przez ostatnie lata sądził nawet, że większość z nich utracił, a jednak wczorajsza rozmowa poruszyła pewne skurzone, dawno zapomniane struny, postawiła w ogniu i odmieniła go na nowo w płomieniach katharsis, przekuwając to, co w nim siedziało, to ponure otępienie, w coś innego, spokojniejszego, wypełnionego akceptacją tego, co musiało w końcu nadejść.

Tego sobotniego poranka, gdy przez okno wpadały ciepłe słoneczne promienie i przyjemny wiatr, gdy wziął na ręce kota i razem z nim przeszedł do kuchni, nawet śmierci bał się jakby mniej.

Przy kawiarce postawionej na kuchence znalazł Feliksa; Polska patrzył w niewielkie kuchenne okno, pogrążony we własnych myślach. Słysząc kroki, obrócił się i posłał Litwie lekki uśmiech.

– Kawa?

Taurys przytaknął, zauważając ciemne cienie pod oczami Feliksa. Ślad nieprzespanej nocy, ślad, który Taurys znał jak dobrego przyjaciela, bo widział go niemalże każdego ranka w lustrze, upodobniły Polskę do niego samego. W Litwę uderzyła świadomość, że obaj już zostali pozbawieni swego narodu, nawet jeśli liczby mówiły inaczej. W Neukaunas, na pierwszy rzut oka, jeszcze tego w pełni nie rozpoznał; teraz zatrzymał się w pół kroku, a jego dobry humor natychmiast prysł.

Litwa znał taki wygląd; jeszcze kilkanaście lat wcześniej cienie gościły na jego twarzy rzadko i bywały dni, gdy mógł oszukiwać sam siebie, wpatrując się w odbicie wmawiać sobie, że to tylko zwykłe zmęczenie.

Jego czas też nadejdzie, pomyślał, smutniejąc. Później, ale...

– Poproszę – powiedział cicho, odruchowo zagłębiając palce w rudej plątaninie futra, by pogłaskać kocicę za uchem.

– Czarna – skomentował Polska, sięgając do szafki z naczyniami. Przygotował filiżanki i sięgnął po kawiarkę – Nie zmieniasz nawyków – dodał. W kuchni rozniosła się mocna woń kawy. – Nadal uważasz dodawanie czegokolwiek do kawy za świętokradztwo?

– Nie – Taurys pozwolił sobie na lekki uśmiech, gdy przypomniał sobie czasy, w których kawa zawitała do Rzeczypospolitej. – Ale do tej pory nie mogę zrozumieć, jak mogłeś ją pić po tym, jak dolewałeś do niej pół litra miodu i mleka. Tego nie dało się wypić.

Gdzieś w oczach Polski zamigotało rozbawienie.

– Serio pokłóciliśmy się kiedyś o kawę? – zapytał z niedowierzeniem, stawiając filiżanki na stole. Sam sięgnął do lodówki i wyciągnął butelkę z mlekiem.

Litwa pokręcił głową; odłożył kota na ziemię i sięgnął po puszkę z kocim jedzeniem. Berta ponagliła go wysokim miauknięciem.

– W pewnym momencie zaczęliśmy się kłócić właściwie o wszystko – powiedział bez cienia wesołości w głosie.

Wesołość zniknęła też ze spojrzenia Polski, który kiwnął głową, zgadzając się z Litwą. Feliks wyglądał, jakby jeszcze chciał coś dodać – zmarszczył lekko brwi, uchylił usta – ale koniec końców potrząsnął włosami i usiadł przy stole.

To ostatnie nie spodobało się Bercie; z jakiegoś powodu nastroszyła swoje futro, wydając się niemal dwukrotnie większa i przeciągle zasyczała.

– Przestań – Taurys wypuścił powietrze z rezygnacją. – Nie przejmuj się – dodał smętnym tonem do Feliksa. Ten nie wyglądał na dotkniętego, wręcz przeciwnie, wydawał się rozbawiony. – Na Gilberta syczała przez dwa lata.

– Na swojego imiennika?

Nagle Taurys odczuł głęboką potrzebę odwrócenia wzroku.

– Nie miałem głowy do wymyślania jej imienia – mruknął niechętnie. – Wtedy...

Miałem kiepski okres. Dopiero co przeprowadziłem się tutaj i rozpocząłem pracę w szkole. Nie mogłem się odnaleźć, nie potrafiłem poprowadzić lekcji bez poczucia, że wszystko robię nie tak. Zjadały mnie nerwy, gdy grałem przed uczniami, współpracownicy patrzyli na mnie z góry, tak, jak patrzy się na każdego młodzika próbującego swoich sił w tym zawodzie, a Annika jeszcze tam nie pracowała. Prusy był jedyną znajomą twarzą w tym mieście, jedyną osobą, po której wiedziałem, czego mam się spodziewać, więc...

Nie wypowiedział żadnego z tych słów, bo chociaż wczoraj rozmawiali szczerze, nadal miał w sobie pokłady wspomnień i emocji, którymi nie chciał się z Feliksem dzielić. Po tym, jak od lat każdego tygodnia przeglądano jego mieszkanie, jak kontrolowano to, z kim pisał i do kogo dzwonił, jak zapomniał o istnieniu prywatności i tajemnicy korespondencji, to właśnie one stały się jego ostatnim bastionem, ostatnią rzeczą, która należała tylko do niego.

– To on ją tak nazwał – odparł zamiast tego wszystkiego i wcale nie mijał się z prawdą. – Ja tylko skróciłem jej imię. I zaczęła na nie reagować, więc uznałem, że nie warto go zmieniać.

Feliks mruknął pod nosem, próbując łyk swojej kawy. Skrzywił się i dorzucił do filiżanki tak absurdalną ilość cukru i mleka, że napój przybrał niemalże białą barwę. Na ten widok Litwa uniósł kącik ust.

Feliks też nawyków nie zmieniał.

– Tak w ogóle, to ja ją wpuściłem do ciebie do pokoju w nocy – odezwał się po chwili Polska. – Miauczała pod twoimi drzwiami.

Nie dodał, że gdy nacisnął klamkę, chcąc jedynie uchylić drzwi, kot najpierw posłał mu pogardliwe spojrzenie, a potem umknął w półmrok sypialni, wskoczył na łóżko, zwinął się w kłębek przy sercu śpiącego i ten widok sprawił, że Feliks jeszcze chwilę tam stał, tknięty uczuciem, którego nie potrafił wyjaśnić, mając z tyłu głowy pewną starą prawdę o kotach.

Teraz wyrzucił tę myśl z umysłu. Mieli plany na ten dzień.

– Gotowy na zakupy? – zagadnął.

Och, Litwa jęknął w myślach. Zapomniał o tym. Tak jak się spodziewał, na widok jego miny oczy Feliksa pojaśniały.

– Jedziemy do KaDeWe – postanowił Polska. – Na początek.

– Bez szaleństw – ostrzegł go Taurys. – Nie zgodzę się na nic... krzykliwego.

Feliks pojednawczo uniósł dłonie na wysokość piersi.

– Żadnych żółci, pomarańczy i różów – zgodził się. – Ale też żadnej czerni.

Co ja robię, pomyślał nagle Litwa, dyskutuję o swojej garderobie z człowiekiem, którego dwa dni temu uważałem za martwego. Mamy ważniejsze sprawy na głowie...

Dalej chcesz nosić po nim żałobę? głosik w głowie znów o sobie przypomniał, a on westchnął w duchu. Co racja, to racja. Obaj nie czujemy się z tym komfortowo.

– Będę miał ostatnie słowo – zastrzegł.

– Zgoda.

– Nie ubiorę nic, za co dyrektor szkoły mógłby mnie wylać – dodał jeszcze dla pewności. – I nie, nie obchodzi mnie, że są letnie ferie. Wciąż jestem nauczycielem.

– Dobrze, dobrze – Polska wyglądał na rozbawionego tymi obostrzeniami. – Wiem, że miewałem kiedyś głupie pomysły w tej kwestii, ale mi przeszło, spokojnie. W ogóle zaskoczyłeś mnie – dodał, zmieniając temat. Litwa uniósł pytająco brew. – Wiesz, tym, że poszedłeś studiować muzykę, i że uczysz. No i że grasz na fortepianie – dorzucił po chwili namysłu Feliks. – Jak o tym wczoraj mówiłeś, pomyślałem raczej o skrzypcach, czy coś.

– Tak jakoś wyszło – Taurys westchnął i wypił ostatni łyk swojej kawy.

To też było jedno z tych istotnych wspomnień z nowego życia; dzień, gdy jeszcze pracował jako nic nie znaczący urzędnik gdzieś w Wiedniu i obowiązki skierowały go na uniwersytet, by dostarczył jakąś korespondencję jego władzom. Dzień, w którym nagle otoczyła go znajoma, bolesna muzyka.

Nie chciał wdawać się w szczegóły, dlaczego wybrał fortepian, nie czuł się na siłach przyznawać, że poszedł ta drogą dlatego, że któregoś dnia, stojąc w drzwiach sali uniwersyteckiej wiedeńskiej akademii, patrzył, jak jakiś obcy student wygrywa ostatnie pożegnanie z Rzeczpospolitą.

Jej muzyczny testament spisany tuż przed trzecim rozbiorem, rozbrzmiewający w wieku dwudziestym pierwszym w samym środku Imperium, na długo po tym, jak umarła i Rzeczypospolita, i ich miłość.

Nie chciał mówić też, że stanął wówczas w drzwiach i znieruchomiał, poruszony i zaskoczony, mijany przez dziesiątki studentów na przerwie, młodych, o setki lat młodszych od niego ludzi, którzy nie mieli pojęcia, kim jest. Patrzył na smukłe palce nieznajomego studenta o jasnych oczach, nieświadomego wspomnień, które na Litwę zrzucił swoją grą, które szarpały mu duszę, bo były i ostre, i bolesne, ale… ale…

To był drugi utwór, którego sam się nauczył grać.

– Tak wyszło – powtórzył bezbarwnie, a Polska zajrzał mu w oczy. Litwa wiedział, że nawet dziecko przejrzałoby to kłamstwo, ale nie chciał się dzielić tą historią.

Jeszcze nie. Może kiedyś. Nie ledwie dzień po tym, jak zaczęliśmy od nowa, bo mimo tego wspomnienia są dla mnie tak żywe, jakby to wszystko wydarzyło się dopiero wczoraj.

Poczuł ulgę, gdy Feliks nie nalegał na usłyszenie prawdy.

Śniadanie zjedli, wymieniając jakieś nic nieznaczące słowa. Potem Feliks wyszedł do toalety. Berta, która przez ostatnie kilkanaście minut siedziała na lodówce, zeskoczyła z niej i odprowadziła mężczyznę do korytarza. W przejściu usiadła, zawijając wokół siebie ogon i zaczęła prychać.

– Jesteś nieznośna – westchnął Litwa. Gdy kocica nie przestała wydawać z siebie odgłosów dezaprobaty, wywrócił oczami. – Masz go chociaż nie gryźć – dodał z rezygnacją, mając nadzieję, że chociaż w tej kwestii Berta da sobie spokój. Humorzasta bestia. – To mój…

Umilkł, bo nie znalazł słowa, które byłoby odpowiednie.

– Gość – mruknął po chwili, poddając się.

Berta syknięciem dała mu do zrozumienia, co sądzi o gościach i nie była opinia pochlebna. Taurys uśmiechnął się kącikiem ust.

– Wiem. Ale skoro wytrzymałem z tobą, diablico, tyle czasu, to z kolejnym nieznośnym lokatorem sobie poradzę.

– Miło mi, że nadal masz o mnie takie dobre zdanie.

Szlag. Taurys westchnął, czując jak na policzkach pojawia mu się rumieniec. Połamany, zgermanizowany i szurnięty, bo gada do kota i wydaje mu się, że rozumie to, co zwierzak próbuje mu powiedzieć. Ale co miał poradzić na to, że zwykle, gdy nadchodziły wakacje, oprócz Gilberta to ona była jedyną żywą istotą, z jaką miał jakiś kontakt?

– Będę się zachowywać – Feliks pokręcił głową, ale uśmiechał się pod nosem.

– Przepraszam – mruknął Taurys cicho.

– Daj spokój – Feliks wzruszył ramionami, wcale nie czując się dotknięty. – Wiem, że bywałem wkurzający w naszym pożyciu – odparł poważniej i ciszej. – I robiłem różne głupoty, nie zawsze patrząc na to, co ty o tym sądzisz.

– I vice versa – odparł Taurys. Coś w tym było; w miarę jak umykało to, co było między nimi, wzrastała irytacja wywołana nawet najmniejszymi sprawami. Z perspektywy czasu w większości okazały błahe. – Nie… nie rozmawiajmy już o tym, dobrze? – poprosił. – Wczoraj…

– Wiem – Polska pokiwał głową, ale w jego oczach coś pociemniało. – Od nowa. Czekamy na informację od Prusaka – zmienił temat. – Ale muszę ci pokazać parę rzeczy, które mam ze sobą. Chodź.

Litwa dał się poprowadzić przez własne mieszkanie do salonu; tam, na podłodze obok sofy, leżała otwarta torba z rzeczami Feliksa. Polska przykucnął przy bagażu; Taurysowi pozostało jedynie przysiąść na krawędzi sofy, obok kołdry i poduszki, które przyniósł Feliksowi po tym, jak w nocy skończyli rozmawiać. Całe szczęście, pomyślał przelotnie, że miał jakąś zapasową pościel. Nigdy nie przyjmował gości.

Feliks podał mu jakieś urządzenie; Taurys z ciekawością obrócił w palcach płaską strukturę ze szkła i plastiku, która pod dotykiem jego palców zajaśniała, ukazując ekran zajmujący cały front przedmiotu.

– Amerykańskie cacko, telefon komórkowy – powiedział Feliks. – Tylko tego nie opuść. Sprecher to porządny niemiecki sprzęt, w razie potrzeby można nim rzucić i zabić, ale to cacko nie przetrwa upadku z pół metra.

Taurys skinął głową; przyciągnął bliżej stołek od fortepianu i odłożył ostrożnie telefon na jego blat.

– Działa tutaj? – zapytał, ale usłyszał odpowiedź, której się spodziewał.

– Niestety nie – Polska pokręcił głową. – Rzesza się technologicznie odcięła od reszty świata, jak już wyciągnęła tyle, ile się dało ze współpracy z Amerykanami. Bez grzebania w środku nie da się nawiązać żadnego połączenia, ale jakiś technologiczny magik dałby radę to przerobić. Od momentu przekroczenia granicy jest bezużyteczny, ale mam za

to je... – tym razem wyciągnął z torby znajome Taurysowi urządzenia, dwa niemieckie szprechery.

– Ten jest mój, sprzed ucieczki – Feliks wskazał na starszy model, oblepiony kolorowymi naklejkami w miejscach, w których już obudowa zdążyła się wytrzeć. Taurys mimowolnie uniósł kącik ust. – Numer nadal działa, najwidoczniej ktoś nie odłączył go od systemu. Nie chcę go używać, chyba że w ostateczności. Nie wiem, czy ktoś jeszcze tego pilnuje, ale połączenie wykonane przez trupa pewnie wzbudziłoby ciekawość.

Litwa kiwnął głową.

– A ten jest zarejestrowany na fałszywe dane – kontynuował Polska, wskazując na drugie urządzenie. – Można go spokojnie używać, chociaż i tak wolałbym gadać z Prusakiem osobiście.

– O ile Gilbert jednak nie stwierdził, że... – Taurys zawiesił głos. Wydawało mu się, że są na to małe szanse, ale to nie on miał zobowiązania wobec rządu.

– On nie – Polska pokręcił głową. – Znam go. Gorzej z jego bratem.

No tak. Taurys przebiegł w myślach przez ostatnie spotkania w pałacu, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz Ludwig odezwał się do nich chociażby słowem, czy choćby raz do nich zszedł, zamiast pojawiać się na chwilę i beznamiętnie patrzeć z teatralnego balkonu, jakby był widzem rozgrywającego się poniżej, głęboko w ich sercach, bezlitosnego dramatu.

Nie był w stanie sobie przypomnieć.

– To nie jest pewny sojusznik – powiedział w końcu.

– Nie jest – Feliks przyznał mu rację. – Ale za Gilbertem pójdzie w ogień i liczę, że to wystarczy.

Taurys przetoczył po dłoni szprecher.

– Jest na fałszywe dane – powtórzył po chwili. – Pisałeś do mnie, widziałem pismo przynajmniej dwóch osób... otrzymałem odpowiedź e-postem zaraz po tym, jak wysłałem pocztówkę...

– Pracowałem bardzo długo jako kurier albo jako listonosz – wyjaśnił Polska, odgadując, o co Litwa chciał zapytać. – To znajomości, Licia. Poznałem tak mnóstwo osób w całym kraju, tutaj – Wskazał na swój szprecher. – mam setki numerów telefonów. Większość ludzi nie uważa listonosza za osobę, przy której trzeba uważać na słowa, więc sporo słyszałem... A w miejscach, gdzie nie ma bloków i skrytek, gdzie się chodzi po domach i doręcza wszystko osobiście, po pewnym czasie można nawiązać sporo przydatnych znajomości i czasem poprosić o małą przysługę.

Och, to miało sens. Litwa skinął głową.

– Oskar istnieje? – zapytał.

– Z imieniem strzelałem – Polska wzruszył ramionami i roześmiał się. – Poprosiłem znajomego, by napisał dla mnie parę kartek, nie pytał o szczegóły.

– I gdzie jest ta skrytka pocztowa? – Taurys wstał i sięgnął do półki z książkami. Pocztówka była tam, gdzie ją schował przed wyjazdem, za okładką jednej z książek. Położył ją na stołku. – Nie jest berlińska.

Uśmiech na twarzy Polski zbladł. Litwa znieruchomiał, mając nagle dziwne, niezrozumiałe poczucie, że przegapił coś ważnego.

– Myślałem, że załapiesz – odezwał się cicho Feliks, a słysząc jego zgaszony ton, Taurys zacisnął zęby. Przeczucie zmogło się, związało mu wnętrzności niepokojem. – Skrytka o takim numerze nie istnieje, ale inny znajomy na poczcie miał przekazać mi odpowiedź, zamiast zwrócić ją do adresata. To też była wskazówka, numer i łabędzie.

Wziął do ręki pocztówkę, wpatrzył się w jej treść, ale wciąż nie rozumiał sensu, który miałby się tam kryć.

– Feliks? – zapytał szeptem, poddając się.

Napotkał smutne spojrzenie.

– Skrzynka numer E-15-714I-10 – powiedział wolno Polska. Widząc, że Taurys dalej nie rozumie, westchnął ciężko i wyciągnął pocztówkę spomiędzy palców Taurysa. – Daj mi długopis... Dzięki... – Zapisał numer i podkreślił wszystkie cyfry. – Czytaj.

Piętnaście, odczytał Taurys, czując jak na moment jego serce zamiera. Siedem. Tysiąc czterysta dziesięć. Jak mogłem nie...

– Pierwsza bitwa pod Tannen... – zaczął ochryple; w połowie zdał sobie sprawę z tego, co mówi. Z trudem przypomniał sobie polską nazwę tego miejsca. – Bitwa pod Grunwaldem.

Odwrócił wzrok, gdy zdał sobie sprawę, że on już prawie w ogóle nie pamięta tamtego dnia.

Ten dom stał już prawie pusty; obaj rzadko w nim nocowali, ale o ile Prusy wracał do niego, gdy tylko mógł, nawet jeśli było to jedynie kilka godzin niespokojnego snu po zakrapianej nocy, jedynym wytchnieniu po cotygodniowym objeździe Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej, tak Ludwig częściej już spędzał noce w gabinecie na Großer Platz, nawet we śnie analizując kolejne paragrafy, ustępy i rozdziały nowych ustaw i rozporządzeń.

– O czym chciałeś porozmawiać? – zapytał Ludwig, wchodząc do salonu, bogatego pomieszczenia o miękkich fotelach i solidnych, drewnianych meblach wykonanych na zamówienie, pełnych ozdobnych detali. Znieruchomiał, niemile zaskoczony widokiem dużej, otwartej butelki mocnego alkoholu, leżącej wymownie na stoliku do kawy obok dwóch kieliszków.

Prusy siedział w fotelu i w dłoniach przetaczał zakrętkę, bezmyślnie skubiąc papierową banderolę.

– Gilbert – zaczął niepewnie Niemcy, patrząc to na brata, to na stojący przed nim kieliszek, najwyraźniej przed chwilą opróżniony w zawartości. Butelka była prawie pełna, gdyby nie wilgoć szkła skrząca się w świetle diamentowego żyrandola, nawet by nie zauważył tego, że cokolwiek z niej uszczknięto. – Czy ty masz jakiś problem z ...?

– Nie będziemy dzisiaj rozmawiać o moim potencjalnym alkoholizmie – mruknął ironicznie Prusy. Niedbałym ruchem rzucił zakrętkę gdzieś za siebie; nie miała być już potrzebna. – Co tydzień Kateryna swoim widokiem mi przypomina, żeby się jednak jako tako hamować. Ale miło, że łaskawie zauważyłeś – dodał z przekąsem.

Niemcy, czując na swojej twarzy rumieńce wstydu, usiadł niepewnie obok.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał po długiej chwili bardzo cicho. – Wiem, że ostatnio prawie nie rozmawiamy, ale...

Gilbert potrząsnął głową; sięgnął po likier.

– Goldwasser – rzucił bez uśmiechu. Kilka sekund później w kieliszkach zamigotały drobinki czystego złota, zawirowały jak maleńkie drogocenne tornado. – Stara gdańska receptura. Pij.

Niemcy zmarszczył brwi, ale zacisnął palce na szkle.

– Za Imperium.

– Za Imperium – zgodził się z nim brat.

Wypili, ale patrząc znad krawędzi szkła w oczy Gilberta, Ludwig zauważył, że coś zdecydowanie jest nie tak. Czując w ustach palący smak, a w nozdrzach ziołowy zapach, odłożył pusty kieliszek na blat.

– Co się stało?

– Pamiętasz, jak pochowaliśmy Łukasiewicza? – zapytał na pozór spokojnie Prusy.

Ludwig oszczędnie skinął głową, marszcząc brwi.

– Dlaczego o to pytasz? – zapytał sucho.

Prusy, ku jego zaskoczeniu, najpierw uśmiechnął się kącikiem ust, a w jego oczach coś zabłysło blaskiem, jakiego Ludwig nie widział od dawna, może nawet od samego początku wojny. Potem Gilbert wziął głęboki wdech i zacisnął palce na szyjce butelki.

– No to wygląda na to, że powstał z martwych – oznajmił. – A teraz go trzeba przeszmuglować do Charlottenburga.

Ludwig znieruchomiał. Spojrzał badawczo na butelkę, potem na brata i...

– Co? – wydusił z siebie, chociaż w głowie miał zupełnie inne pytania. Oszalałeś? Jesteś pijany? Co ty bredzisz?

Uśmiech Prus nagle się poszerzył, a zdezorientowany Ludwig natychmiast przypomniał sobie dawne czasy, gdy Gilbert pierwszy rwał się do działania, gdy tylko należało jakieś podjąć. Co się działo? Polen był martwy od dekady!

– Nie „Co?". Pytanie powinno brzmieć... Jak?

Rozdział XI: Mapa blizn

Dom handlowy był solidną, masywną, doskonale symetryczną bryłą, przy której człowiek czuł się mały i nic nie znaczący; gdy Taurys ujrzał go pierwszy raz, zaraz po jego wybudowaniu, jeszcze gdzieś na początku ubiegłego wieku – minęło ledwie nieco ponad sto lat, a on czuł się, jakby od tamtej chwili przeżył kilka wieków – też przez chwilę był onieśmielony.

Nawet jeśli wtedy nie był zwykłym obywatelem, a personifikacją – chociaż zniewoloną, bo jeszcze kilkanaście lat miał minąć, nim na mapę wróci, jak się okazało tylko na chwilę i po raz ostatni – KaDeWe zrobiło na nim wrażenie, zwłaszcza, gdy porównało się go z Wittenbergplatz, na którym stał. Skwer, dwa prostokąty zieleni, obsiane trawą, drzewami i paroma ławkami, przy domu handlowym niemalże nikły w oczach.

Odkąd Litwa mieszkał w Berlinie, Kaufhaus Der Westens przestał go przytłaczać; przyzwyczaił się do jego siedmiu pięter, ogromnych, nieco tylko poszarzałych ścian i wysokich arkad, pod którymi przechadzali się ludzie zaglądający w witryny. Nawet powiewające na fasadzie swastyki przestały budzić w nim grozę; dziś były zwykłą dekoracją, zwykłą państwową flagą, która już od dawna nie kłuła go w oczy.

Nauczył się znajdywać drogę wśród setek sklepów w tym wielkim budynku i chociaż nie przepadał za zakupami i takimi tłumami ludzi, przyjeżdżał tutaj, gdy czegoś potrzebował, wiedząc, że KaDeWe na pewno mu to da.

Jeśli dobrze pamiętał – a swojej pamięci już nie ufał – kiedyś było to miejsce luksusowe; z czasem spowszedniało i wyszło to domowi handlowemu na dobre, bo na lśniących podłogach mijały się dziś setki ludzi z całego miasta i okolic, różnej majętności i profesji, zostawiając w KaDeWe ogromne ilości pieniędzy.

Oszacowując w myślach swoje oszczędności, Taurys właśnie stał w przymierzalni jednego ze sklepów oferujących modę męską, próbując wyzbyć się – a przynajmniej ograniczyć, płacono mu dobrze, ale nie aż tak dobrze – pokładów żałobnej czerni ze swojej garderoby.

Lustra były bezlitosne; odbijały każdy szczegół jego twarzy i ciała niezwykle precyzyjnie, a ostre światło ujawniało wszelkie ich niedoskonałości, ale on już dawno nauczył się nie przyglądać się zbyt często swojemu odbiciu, zamiast tego skupiając wzrok jedynie na ubraniach, które przymierzał. Właśnie zapinał drobne guziki koszuli – głęboka, ciemna zieleń, podobna do lasu w zmierzchu – gdy między kotarą a ścianą przebieralni pojawiła się głowa Feliksa.

– Jak? – zagadnął.

Litwa widział jego oczy w tafli lustra; chociaż były podkrążone z powodu nieprzespanej nocy, odbijał się tam spokój i nawet lekkie podekscytowanie, bo mimo wszystko dla Feliksa była to rozrywka, nawet jeśli starał się nad sobą panować.

– Ta jest w porządku.

Polska dotrzymał słowa; przez ostatnią godzinę w dłoniach Taurysa przelewały się granat, ciemny szmaragd, grafit i antracyt, spokojne, stonowane odcienie koszul

o znanym, bezpiecznym kroju, idealne dla nauczyciela, który nigdy nie chciał rzucać się w oczy. Poprawiając kołnierzyk, Litwa złapał w lustrze delikatny uśmiech Feliksa i niepewnie go odwzajemnił.

– Pasuje ci do oczu – stwierdził spokojnie Feliks i podał mu wieszak. – Masz jeszcze tą, jaśniejsza od innych, ale ładna.

– Nie szalej, muszę jeszcze zapłacić rachunki – mruknął Taurys, ale wyciągnął dłoń. Uniósł brew na widok śliwkowego koloru; niezdecydowany, przez chwilę trzymał wieszak w dłoniach i patrzył to na koszulę, to na swoje odbicie. – Chyba nie...

– Dobra. Ty decydujesz – przypomniał mu Feliks miękko. – Ale jestem ciekawy, przymierz tylko.

Niech będzie, pomyślał Taurys. Żyjesz, draniu, a to tylko koszula... Zaczął rozpinać guziki, świadom, że Polska, chociaż starał się tego nie okazywać, obchodzi się z nim trochę inaczej, jakby naprawdę obawiał się, że Litwa rozpadnie się na kawałki tu i teraz. Szmer zasłony i ruch, jaki dostrzegł kątem oka w zwierciadłach, powiedziały mu, że Polska znów ruszył na łowy w głąb sklepu.

O tej porze, przed południem, prawie nie było tu klientów; dopiero za parę godzin, gdy dorośli ludzie skończą sobotnią zmianę, a uczniowie mający letnie ferie zwleką się z łóżek, KaDeWe wypełni się tłumem.

Z jednej strony, Taurysowi to pasowało, bo w domu handlowym było ciszej i spokojniej, z drugiej niepokoiło, bo Feliks biegał od wieszaka do przebieralni – że też on miał jeszcze, po tych wszystkich latach, tę dawną energię – i co chwila do niej zaglądał.

Ekspedientka, starsza kobieta o ponurym spojrzeniu, snująca się po sklepie, na pewno już zwróciła na to uwagę, a za każdym razem, gdy zasłona się poruszała, niepokój Taurysa, gnieżdżący się w wnętrznościach, nieco się wzmagał.

Nie miej paranoi, skarcił sam siebie. Przecież nie wezwie policji do klienta.

Odwiesił zieloną koszulę na wieszak i półnagi zaczął rozpinać guziki tej śliwkowej, odkrywając, że jest znacznie lepszego gatunku, a jej cena zdecydowanie przewyższa te, które mierzył do tej pory. Nie kupię jej, stwierdził spokojnie, patrząc na metkę, ale niech będzie. Może zabijemy tak trochę czasu.

Oczekiwali na informacje od Gilberta, w szczególności te dotyczące udziału jego brata w ich planie. Kto wie, pomyślał, czując pod palcami miękką bawełnę, co zrobi Ludwig.

Ich plany opierały się na lojalności wobec brata, ale co zrobią, jeśli wygra z nią lojalność wobec führera?

Taurys od dziesięcioleci nie zamienił z Ludwigiem ani słowa; ostatnim razem, gdy rozmawiali twarzą w twarz, tuż po Preludium, wzburzony Litwa zbluzgał go po rosyjsku i wyszedł, trzaskając drzwiami. Beznamiętna, spokojna twarz Niemiec jeszcze długo go prześladowała.

Jeśli Ludwig... jeśli Ludwig pójdzie tą drogą, cała ich trójka będzie mieć ogromny problem, ale współpraca z nim da im równie ogromne możliwości. Jeśli tylko młodszy Beilschmidt się na to zdecyduje. Jeśli. Tak dużo „jeśli".

– Coś jest chyba między nimi nie tak – mruknął do siebie Taurys, wypowiadając na głos swoje podejrzenia.

Prusy nie należał do osób, które zwierzały się innym, a nawet jeśli już chciałby cokolwiek komuś powiedzieć, to zdecydowanie nie Litwie, ale to, w jaki sposób warczał na ludzi, jak łatwo ostatnimi czasy puszczały mu nerwy i jego pogłębiająca się irytacja, którą Taurys miał okazję obserwować przez ostatnie kilkadziesiąt lat, jasno mówiły, że i u zwycięzców Wielkiej Wojny Dziesięcioletniej nie jest kolorowo.

Skoro nas widuje każdego dnia, nas, wraki, pomyślał, nic dziwnego. A jego brat? Przed oczami stanęła mu wysoka, muskularna sylwetka na jednym z balkonów sali teatralnej. On nigdy z nami nie rozmawia.

Ludwig był odległy, zupełnie jakby nie należał do ich gatunku; Gilbert z kolei kojarzył się Litwie z drapieżnym kotem, rozczarowanym, że mysz, którą w końcu udało się złapać, leży martwa, szturchającym ją łapą, byle tylko wstała i znów zaczęła uciekać...

On się ucieszył, zrozumiał Taurys, a jego dłonie znieruchomiały. Patrząc w lustro, z koszulą w dłoniach, uniósł kącik warg. Na swój sposób. Skoro nas widzi, nas, złamanych, każdego dnia, mnie, staczającą się Katerynę, Erzsébet, cokolwiek się z nią dzieje, całą resztę, gdziekolwiek są... to chociaż widok żywego Polski musiał przynieść mu ulgę. Cholerne wentyle bezpieczeństwa...

– Ubrałeś? – Polska wsunął głowę do przebieralni. – Bo pomy... – Słowa nagle zamarły Feliksowi na ustach, zniknęły jak ucięte nożem.

Litwa zmarszczył brwi; zerknął na taflę, tam, gdzie odbijała się twarz Feliksa, teraz poruszona i pobladła. Czując się bardzo niekomfortowo, zaczął zastanawiać się gorączkowo, o co chodzi. O to, że był półnagi? Zaglądając mu co chwila do przebieralni, Polska musiał w końcu trafić na ten widok. Dlaczego miałoby to coś zmieniać? Litwa nie czuł wstydu, nie przed Polską – wiele razy widzieli się nago, w czasach, gdy dzielili łoże, przez ten krótki, intymny czas, gdy było im wzajemnie dobrze we swoim towarzystwie.

Brutalne kontrole z początków Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej, gdy więziono ich w celach i sprawdzano codziennie każdy cal skóry, czy aby nie ukrywają gdzieś prowizorycznej broni, też sprawiły, że nagość nie była aż tak straszna; były od niej gorsze rzeczy.

Nie wiedział, czy wstydziłby się swojego ciała przed kimkolwiek innym – być może już by nic nie czuł, nawet jeśli na miejscu Feliksa stałby teraz kto inny? Może ta jego wegetacja, jego marna próba udawania, że żyje, zmiażdżyła wstyd wraz z całą resztą emocji i wrzuciła go tam, gdzie wspomnienia z Grunwaldu – w nicość?

Ale to nie tłumaczy tego spojrzenia... Więc o co chodzi? O to, *jak* wyglądał? Nie jadł wiele, ale nie było z nim tak źle.

– Twoje plecy – odezwał się w końcu Polska cichym, zmienionym głosem, odpowiadając na niewypowiedziane pytanie.

Taurys drgnął; o tym nie pomyślał. Nagle zdał sobie sprawę, jak wyraźne są te blizny i jak wiele ich jest, chociaż dawno nauczył się o nich zapominać, a one same od lat już nie bolały.

Szybkim, nerwowym gestem zarzucił koszulę na plecy, przypadkiem niemalże zrywając metkę. Dopiero teraz poczuł wstyd; jednak powrócił z odmętów zapomnienia, zapłonął na jego policzkach jak pożoga, przypominając o słabości, bólu i bezradności, pachnących żelazem i wódką, smakujących solą.

Podczas ich nocnej rozmowy raz czy dwa napomknął, że ma blizny – ale nie chciał wdawać się w szczegóły, a Feliks, wyczuwając, że temat jest zbyt delikatny, nie naciskał.

– Przepraszam – powiedział cicho, znajdując w odbiciu lustra zdumione, zmartwione spojrzenie Feliksa. – Nie pomyślałem... Nie chciałem ci ich pokazywać. Wiem, że są paskudne.

– Licia... – zaczął Feliks; Taurys potrząsnął tylko głową, więc Polska umilkł i opuścił wzrok.

Blizny. *Narben*. Jak były po litewsku „blizny"?

Odwrócił się, nie wiedząc, co powinien powiedzieć i zrobić; unieść kącik ust i zapewnić, że to nic takiego? Jego głos nigdy nie byłby w stanie przybrać takiego tonu, który byłby zdolny oszukać Feliksa. Udawać, że te blizny wcale nie przywiodły mu teraz przed oczy niechcianych wspomnień i nie związały wnętrzności w supeł gordyjski?

Westchnął ciężko i opuścił ramiona w geście poddania; Polska, w nienaturalnym dla siebie milczeniu, wodził wzrokiem po kafelkach na podłodze. O poczuciu winy też rozmawiali i Taurys nie chciał więcej do niego wracać.

Trwali tak przez długą chwilę, a potem Feliks uniósł głowę; tym razem się uśmiechał.

– Ładnie ci w tym kolorze.

Litwa uniósł kącik ust, doceniając próbę zmieniania tematu. Zerknął w lustro; ciemna śliwa układała się na jego ciele jakoś inaczej, bardziej elegancko, pewnie przez materiał, z jakiego koszula była uszyta.

– Jest cholernie droga – odezwał się w końcu cicho, uznając, że kolor wcale nie jest taki zły, i może nawet ten odcień mógłby ewentualnie zagościć w jego szafie, ale...

– Czynszu nie płacisz, stać cię – Polska oparł się o ścianę, obserwując go uważnie. – Taka ta nasza Rzesza łaskawa, nie? – mruknął i tym razem to jego usta wykrzywiły się w bladym, gorzkawym uśmiechu. – Mieszkanie nawet zapewnia darmowe...

Litwa skinął głową. Żadne z mieszkań, w których żył od końca wojny, nie należało do niego. Co parę lat dostawał list z adresem i klucze; tyle i aż tyle.

Niech ci będzie, draniu, kupię ją. Dostajesz taryfę ulgową, bo jeszcze wciąż nie doszedłem do siebie po tym, jak wstałeś z martwych. Ale nie oczekuj, że będę w tym chodził często... Blizny, blizny, blizny, jak są...?

Poprawił rękaw, obrócił się ku Feliksowi i już otwierał usta, by dać mu tę zakupową satysfakcję, gdy nad ramieniem Polski, między burzą włosów a ścianą przebieralni, której zasłona była teraz do połowy rozsunięta, Litwa dostrzegł dwójkę młodych ludzi wchodzących do środka sklepu. Znieruchomiał.

Dziewczyna w kusej sukieneczce, tak odmiennej od szkolnego mundurka, z jasnymi włosami upiętymi wysoko i jakoś tak figlarnie, uwieszała się ramienia młodego,

wysokiego mężczyzny w mundurze niemieckiej armii, wyraźnie z siebie zadowolonego. A więc już po zaprzysiężeniu, przebiegło Taurysowi przez myśl.

– Adolfina i August – szepnął; Feliks uniósł pytająco brwi. – Moi uczniowie… Byli uczniowie, ale... nie powinni...

Zaraz cię zobaczą, Lit, ciebie i Polskę. Zobaczą, jak inny, obcy mężczyzna bez skrępowania zagląda ci do przebieralni, potem odezwą się do swoich kolegów z roczników niżej, potem plotki rozniosą się po szkole i będziesz mógł pożegnać się z zawodem...

Nie panikuj, Litauen. Jesteś ubrany.

Ale ta ekspedientka tak krzywo się teraz na nas patrzy...

To musiało odbić się na jego twarzy, bo Feliks zmarszczył lekko brwi, a potem te polskie oczy zabłysły w sposób, który był Litwie bardzo znajomy, sposób, który niejeden raz w życiu przeklinał; Polska wpadł na jakiś pomysł.

Już otworzył usta, by go powstrzymać, ale nie zdążył; Feliks odchylił się lekko do tyłu, nie zwracając uwagi na wchodzących. Szukał wzrokiem ekspedientki i gdy ją odnalazł, pomknął ku niej i odezwał się głośno, natychmiast zwracając na siebie uwagę:

– Nie ma pani czegoś naprawdę specjalnego? Brat idzie na ważną randkę i musi dobrze wyglądać!

– *Polsko*… – wyszeptał Litwa, widząc jak wzrok Adolfiny natychmiast na niego pada; ku jego zdumieniu uśmiechnęła się i pociągnęła Augusta za sobą, zmierzając w kierunku nauczyciela.

– Dzień dobry, panie Lau…Launaitis – Dziewczyna z zaciekawieniem zmierzyła go wzrokiem, przekręcając nazwisko, jak zwykle zresztą. Pracując w szkole, przywykł do tego. – Idzie pan na randkę z panią Walkenhorst? – zapytała niewinnie. – Bo bardzo panu ładnie w tym kolorze. Kupiłbyś taką – dodała do chłopaka z wyrzutem.

August, który również skinął Litwie głową, spojrzał na dziewczynę nieco oburzony; Taurys z kolei poczuł, jak na policzki znów wraca mu rumieniec. Pięknie, ale z dwojga złego taka plotka jest lepsza niż...

– Też mu to mówię – Feliks, szczerząc się do młodych, zjawił się obok z kolejną koszulą w ręce. Nagle jego nienaganna niemiecczyzna zabarwiła się berlińskim akcentem. – Przyjechałem w odwiedziny do starszego brata i jak zobaczyłem, w czym on chce iść na kolację z dziewczyną, to mi się nóż w kieszeni otworzył.

– Ma pan bardzo dobry gust – zachichotała Adolfina na widok błękitnej koszuli; potem skinęła im obu głową i złapała Augusta za rękę. Pociągnęła żołnierza w inny kąt sklepu.

– Nie patrz tak na mnie, ratuję ci karierę zawodową – Feliks wzruszył ramionami, odzywając się teraz ciszej. Gdy upewnił się, że młodzi odeszli, odwiesił koszulę na najbliższy wieszak. – Grzywna to tam pół biedy, gorzej z nauczycielstwem...

– I świetnie się bawisz – mruknął Litwa, zasuwając kotarę; Polska znów wsadził głowę do środka przebieralni. – Ale… dziękuję.

– Pani Walkenhorst i ta twoja Annika to ta sama osoba? – zagadnął Feliks, obserwując, jak Litwa rozpina guziki koszuli. Gdy przyszło do ściągania jej z pleców, odwrócił wzrok. – Faktycznie jest coś na rzeczy, Licia?

– Mówiłem, że nie – westchnął Taurys, sięgając po swoją starą, czarną koszulę i uznając zakupy za zakończone. – Ale teraz cała szkoła będzie sądzić inaczej... Będę musiał się jej tłumaczyć.

Feliks zerknął na niego kątem oka; Taurys wyczuł spojrzenie, które bardzo szybko prześlizgnęło się po jego ciele.

– Ta blizna na boku jest dużo świeższa niż reszta – szepnął Polska. – Co się stało? To już za Rzeszy...?

– Czterdziesty ósmy, incydent uciański – odparł Litwa niemalże automatycznie, trochę zaskoczony tym, że Feliks dostrzegł ten ślad. To nie była ani największa, ani najwyraźniejsza z jego blizn; jemu wręcz wydawała się ledwie widoczna, nawet tutaj, w ostrym świetle i wśród bezlitosnych luster, ot, biała, dawno zagojona kreska. – Grupa młodych wywrotowców pochodzenia litewskiego organizuje...

– Tak, też czytałem ten rozdział Historii Rzeszy – Polska wypuścił wstrzymywane powietrze. – Aczkolwiek nie wymienili cię z nazwiska – dodał cicho, unosząc brew. – Naprawdę brałeś w tym udział?

– Wtedy jeszcze miałem odrobinę nadziei – wyszeptał Taurys, uciekając spojrzeniem od odbicia Polski w lustrze. Zapinał guziki, zatapiając się znów w znajomą czerń. Blizny... – Potem... Potem całkowicie ją straciłem.

Obrócił się ku Polsce. Feliks przyglądał mu się smutno.

– Ja ją straciłem, gdy upadła Warszawa – przyznał cicho, opuszczając wzrok. – Byłem tam. Może gdyby... gdybyśmy zaczekali jeszcze te trzy miesiące z powstaniem... – urwał i potrząsnął głową.

Litwa również opuścił wzrok. Trzy miesiące, przypomniał sobie. Trzy miesiące po okrutnym stłumieniu polskiego powstania, stłumieniu, które zabiło Warszawę i zmieniło ją w wygasłe ruiny, które widzieli zza okien pociągu, doszło do puczu i Rzesza zadrżała w swoich posadach. Wśród dymu wyłonił się nowy przywódca, zadając kres szaleństwu...

– Nie mogliście wiedzieć.

– Tak jak ty nie mogłeś wiedzieć, że sprzeciw... – zaczął Polska, ale urwał, widząc jak Taurys odwraca głowę.

– On już wtedy był szalony – powiedział Taurys niechętnie. – Mogłem... mogłem to przewidzieć. Ale... ale to już nie ma żadnego znaczenia, Feliks. Ja... – Zacisnął nagle wargi, wziął głęboki oddech i spojrzał Polsce w oczy. – Ja już chyba nie jestem Litwą – wyszeptał, widząc jak na to wyznanie oczy Feliksa otwierają się szerzej. – Nie potrafię już mówić po litewsku. Pamiętam coraz mniej słów... w ogóle coraz mniej pamiętam – wyznał szeptem. – Mam dziury w pamięci. Grunwald... Nie wiem już, co tam się działo, mam tylko przebłyski. Im dalej w przeszłość, tym gorzej, tym więcej dziur. Boję się, że któregoś dnia...

Polska milczał przez chwilę.

– Rozumiem cię – odezwał się w końcu zmienionym głosem. – Nie pamiętam całego jedenastego wieku. Nie mam dziur w pamięci, ale...

Litwa nagle drgnął; spojrzał wstrząśnięty na Polskę. Nie, pomyślał chaotycznie, przecież jest z nim dużo lepiej niż ze mną, nie powinien jeszcze...

– To wygląda trochę tak, jakbym przeżywał dzień tutaj, teraz – Feliks westchnął ciężko. – I jednocześnie tracił dzień wtedy, tam. Nie mam problemu z językiem polskim, ale... Ale to tak, jakby ktoś powolutku, systematycznie, wymazywał mnie z czasu.

Cisza, która między nimi zapadła, była równie ciężka jak ta, która królowała w jego mieszkaniu jeszcze niedawno, a Taurys nie znajdywał już żadnego ze słów, które tak bardzo pragnął wypowiedzieć.

Siedem dni do Dnia Zjednoczenia, największego święta państwowego Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej i Kraju Autonomicznego Prus; siedem dni do spotkania wszystkich tych, których niszczyła swoim spokojem i której powiewające sztandary dawno już przestały budzić grozę.

Siedem dni do spotkania, które mogło być już ostatnim.

Gdy Prusy w końcu umilkł, na dnie butelki prawie nic już nie zostało. Ludwig, siedząc ze zmarszczonymi brwiami, przyglądał się bratu długo. Przez wiele minut nie otwierał ust, zatopiony we własnych myślach, Prusy tymczasem wodził wzrokiem po malowniczym salonie, starając się ukryć swoje zdenerwowanie.

– Podsumuję – odezwał się w końcu Ludwig. – Władze pozostałych krajów europejskich chcą ostatecznie pozbyć się personifikacji ze swojej polityki, a naszego führera stawiają za wzór. Rosja planuje atak i odbicie wschodnich ziem, mając bomby wodorowe i, dzięki współpracy z Chinami, nie wiadomo co jeszcze. A pieprzony Feliks Łukasiewicz żyje, jest wplątany w obie te sprawy i prosi ciebie i mnie o pomoc.

– Doskonale to ująłeś – Gilbert skinął głową bez cienia kpiny w głosie, przechylając butelkę. Ostatnie pozostałe tam krople rozlał sprawiedliwie do dwóch kieliszków.

– Od kiedy ty o tym wiesz? – Ludwig zmrużył oczy i obrzucił brata spojrzeniem, które Gilbertowi bardzo się nie podobało.

– Polen objawił mi się wczoraj wieczorem.

– Powinieneś...

– Wiem, co powinienem był – odwarknął Gilbert.

Chwilę mierzyli się spojrzeniami; potem Ludwig skinął głową i westchnął, a ta stalowa twardość, która pomieszkiwała w jego oczach od wielu, wielu lat, a której Gilbert ze szczerego serca nie cierpiał, na chwilę zniknęła.

– Nie zostawię kraju bezbronnego – Niemcy ujął kieliszek i zwilżył wargi ostatnimi kroplami likieru. – Rzesza nie jest przygotowana na wojnę, a ja nie będę uzależniał obronności państwa od tego, co się uda albo nie uda Łukasiewiczowi.

– Wiem o tym – Gilbert również dokończył swoją porcję alkoholu. Zirytowany zacisnął szczęki. – Nie musisz mi mówić takich oczywistości. Problem polega na tym, że obecny führer sam wszczałby wojnę, gdyby się o tym dowiedział.

– Atak jest najlepszą obroną, Gilbert – Niemcy przyglądał się bratu i lekko zmarszczył brwi. – Mamy pozostawić ludzi w nieświadomości, zamiast się szykować? Nie poznaję cię.

– Wojna się zmieniła – odparł cicho Prusy. – Wystarczy jedna bomba wodorowa na Berlin, druga na Königsberg, i jeszcze jakieś trzy, cztery i nas nie ma, Bruderherz, imperium idzie w rozsypkę. Może zdążylibyśmy rzucić nasze atomówki na Moskwę, ale co z tego? My już teraz przegrywamy technologicznie tę wojnę. Masz dostęp do informacji o badaniach nad zbrojeniami? – zapytał nagle. – Ja nie, ale domyślam się, że fundusz na to jest niewielki. Jesteśmy zacofani i szczerze wątpię, że zdążymy to nadrobić w parę lat.

Ludwig milczał przez chwilę, stukając palcami w blat stolika.

– Jesteś pewny, że Polska nie...? – zawiesił znacząco głos.

– W to wierzę – Prusy odsunął od siebie pusty kieliszek i spojrzał tęsknie na równie pustą butelkę. – On zdaje sobie sprawę z rzeczy, które zaszły i wie, że są już nieodwracalne. Po prostu nie chce widzieć kolejnej wojny.

Kolejne minuty ciszy.

– Więc po co te rosyjskie prowokacje na granicy? – rzucił Ludwig. – Po co nas niepokoić, zamiast udawać, że panuje status quo?

– Rosja bada teren. Myśli, że tamtejsi mieszkańcy wywołają rewolucję – odparł spokojnie Prusy. – Że Rosjanie zostaną powitani jak wyzwoliciele.

Ludwig parsknął śmiechem.

– Nie to stulecie – odparł po chwili chłodno. – Rewolucję wywołują ludzie młodzi i w pełni sił, a ci mówią po niemiecku, uczą się nowej, niemieckiej historii, tak samo, jak robili to ich rodzice...

– Nadal jestem wkurzony, że wymazano z niej hołd pruski – mruknął Gilbert pod nosem. – Mówiłem, żeby chociaż zostawić gdzieś ten obraz, wyszedłem bardzo korzystnie...

– Czasami się zastanawiam – Ludwig przyglądał mu się dziwnie. – W którym momencie przestałeś się cieszyć.

Prusy znieruchomiał; potem zacisnął zęby i spojrzał gdzieś w bok.

– A ja, w którym momencie przestaliśmy ze sobą rozmawiać, braciszku.

Sobotni wieczór nadszedł szybciej niż Taurys się spodziewał; ciemne burzowe chmury zawisły nad Berlinem, zasłaniając sobą słońce i pogrążając miasto w półmroku. Gdzieś daleko od czasu do czasu odzywały się ciche grzmoty, a wiatr, który przez ostatnią godzinę co chwila wzmagał się i cichł, stawał się coraz silniejszy.

Stał w kuchni, zajęty rozlokowywaniem w szafkach produktów spożywczych, które dzisiaj kupili. Chowając dwa kilogramy cukru – przy ilościach, których Feliks używał do herbaty i kawy, Litwa dawał temu zapasowi najwyżej dwa tygodnie – rozmyślał nad wszystkim i o niczym. Jedna myśl szczególnie często do niego wracała, zupełnie jak bumerang, przed którym nie był w stanie się uchylić i którego uderzenia były bardzo bolesne.

Blizny. Jak były te przeklęte blizny?

Niedawno czytałeś to słowo, Lit. Masz w domu książki po litewsku, te wydane długo przed wojną, które wziąłeś i ocaliłeś, a Rzesza łaskawie pozwoliła ci je zatrzymać... Był pewien, że gdyby wszedł teraz do salonu, odnalazłby to słowo bardzo szybko, ono kryło się gdzieś na złotobrązowych, kruchych kartkach, kpiąc sobie z niego... Ale chciał je sobie przypomnieć sam.

Może to już nie ma sensu, Litauen... *Lietuva*, *Lietuva*, tak brzmi twoje imię, nie Litauen ani nawet nie Lit.

Tak nazywa cię Gilbert, bo nie zwykł używać twojego ludzkiego imienia, a przecież nie wolno mu szastać nazwami krajów, nie w świecie, który skazał personifikacje na zapomnienie. Nawet on nie może nazywać się Prusami tam, gdzie słyszą go ludzkie uszy, w parlamencie, biurze relokacji czy gdziekolwiek indziej, a już zwłaszcza podczas wizyt, które nagrywa. *Prusy*...

Zastygł z dłonią wyciągniętą ku słoikowi z kawą. Berta wskoczyła na blat i obwąchiwała nieufnie całe te zapasy, których nigdy nie kupował, zapewne przesiąknięte obcymi dla niej zapachami. Przyglądał się chwilę kocicy, a potem westchnął; na ten dźwięk Berta uniosła głowę i przyjrzała mu się swoimi hipnotyzującymi, kocimi oczami.

Jeśli chciał zaznać dzisiaj spokoju, musiał dowiedzieć się, jak brzmiało to słowo. Miał dwa wyjścia – albo rzucić się teraz w stos książek i odszukać odpowiedni wyraz na ich kartkach, albo spróbować kogoś zapytać, poprosić o podpowiedź i zmusić umysł do sięgnięcia w przeszłość.

Feliks znał litewski słabo, ale...

– Nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie – westchnął ciężko Taurys, patrząc na kota. Berta, przemknąwszy między dwoma siatkami z zakupami, stanęła przy nim wyczekująco. Gdy zaczął ją głaskać, zamruczała i zmrużyła zadowolona oczy. – Pokomplikowało się, prawda, mała?

Kocica miauknęła cicho, zaskakująco cicho jak na nią, zupełnie jakby potwierdzała jego słowa, chociaż nie miała prawa wiedzieć o tym wszystkim, o czym teraz myślał. Jej mruczenie jednak uspokajało, więc po długiej chwili namysłu, podczas której drapał ją za kosmatym uchem, podjął decyzję. To tylko jedno pytanie.

Gdzie ten Feliks? Już powinien wrócić, za moment rozpęta się burza... i Taurys nie był pewny, czy ta za oknem będzie jedyną tego wieczoru.

Ledwie ta myśl przebrzmiała w jego umyśle, rozległ się dzwonek do drzwi. Wiedząc, kto stoi na klatce schodowej, ruszył na korytarz. Kocica zeskoczyła z mebli i podążyła za nim. Dla pewności zerknął jeszcze w wizjer; gdy zobaczył twarz Gilberta, otworzył drzwi i, jak zwykle, cofnął się, częściowo chowając się za drzwiami, by gość mógł wejść.

– Cześć – rzucił Prusy ponuro, stając w ciasnym korytarzu; w jego oddechu Litwa wyczuł woń alkoholu. Kocica z miauknięciem otarła się o nogi przybyłego, ten jednak nie zwrócił na nią uwagi. – Czy ta nasza zmartwychwstała gwiazda wieczoru odwaliła coś od wczoraj?

– Tylko poszliśmy na zakupy – Litwa nie przekręcił zamka w drzwiach. Prusy uniósł lekko brew na widok jego jaśniejszej niż zwykle koszuli.

– Czyli jednak wziął to sobie do serca… – mruknął pod nosem, ruszając do kuchni. Z westchnieniem opadł na krzesło. Ku zaskoczeniu Taurysa, wyglądał na zmęczonego i przybitego.

Czyżby rozmowa z Ludwigiem nie poszła tak, jak Gilbert chciał? Nie do końca rozumiał też słowa, które Prusy dopiero co wypowiedział.

– Kawy?

Prusy skinął głową, ale nawet na Litwę nie spojrzał. Zamiast tego zamknął oczy i ścisnął palcami nasadę nosa.

– Gdzie on jest? – zapytał po chwili. – Nie będę tłumaczył tego wam osobno.

– Wyszedł na krótki spacer, zaraz powinien wrócić – Litwa uprzątnął pozostałe zakupy, a potem zajął się przygotowaniem kawy; znajomy rytuał uspokajał i pozwalał zająć czymś dłonie.

– Spacer, zakupy… – mruknął Gilbert, odrywając dłoń od twarzy. – Co ja mówiłem o siedzeniu na dupie…? A dobra, jakie to ma właściwie już znaczenie… I tak właściwie jesteście już anonimowi, w służbach już od dawna nie ma waszych fotografii… Jakby Polen teraz wszedł do biura relokacji, to nic by się nie stało, nie pracuje już tam nikt, kto by go kojarzył… A właśnie. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął stamtąd złożony kilkukrotnie papier. – To dla was.

Litwa, który teraz wyciągał z szafki trzy kubki, natychmiast odłożył je na stół i pochylił się nad blatem. Przygważdżając swoimi dłońmi zwijającą się mapę, obrzucił ją spojrzeniem, czując jak zasycha mu w gardle. Prusy ustawił kubki na rogach mapy i odchylił się na krześle, bacznie obserwując Taurysa.

Imiona.

Na mapie, obok podkreślonych nazw miast, znajdowały się duże kropki. Każdemu punktowi towarzyszyło wypisane pismem Gilberta imię personifikacji, a także odpowiedni dzień tygodnia. Kropki łączyła linia ze strzałkami – na jej końcu, w Berlinie, odnalazł samego siebie. Tusz odznaczał się od bladego odcienia czerwieni imperium.

Chociaż linie były czarne, kojarzyły mu się z bliznami na skórze; patrząc na starą Europę, na której wyrósł nowy świat, wstrzymując oddech, powiódł wzrokiem po cotygodniowej trasie Gilberta.

Erzsébet jest w Tuluzie, odkrył, a pytanie o jej los znowu zatańczyło w jego myślach. Potem… potem okolice Paryża, Nikolai, Białoruś. Znał to miejsce, mieszkał tam wcześniej, oczami wyobraźni zobaczył niewielki, skromny domek i zaniedbany ogród, ciche, ale przygnębiające miejsce.

Linia prowadziła go dalej; kilkadziesiąt kilometrów od szwajcarskiej granicy odnalazł Ukrainę, a zapach alkoholu, który przywiódł dzisiaj ze sobą Gilbert, nieudolnie maskowany wonią jego perfum i papierosów, stał się nagle jakby wyraźniejszy, zawirował Litwie w nozdrzach i trącił wspomnienia związane z jej najmłodszym bratem, te wspomnienia, których nie chciał przywoływać, jedyne, których zapomnienia nie mógł się doczekać.

Belgię odnalazł nad Bałtykiem, w Danzigu, gdzie mapa przybierała jeszcze bledszy odcień czerwieni, symbolizując Kraj Autonomiczny Prus, a Holandię koło Lemberga.

Francis mieszkał niedaleko Venedig, na tym kawałku ziemi, które Rzesza wyrwała niegdyś Włochom i zmieniła w terytorium zależne. Kolejne kropki, Rumunia, Czechy, Dania, Słowacja i...

– Edward i Raivis – wyszeptał, wypuszczając powietrze z płuc, gdy zobaczył imiona tych, o których się tak bał, gdzieś na wschodzie imperium, jednego bliżej północy, drugiego na południu. – Nikogo nie brakuje, wszyscy ży... – urwał i zacisnął wargi. Po Raivisie był już on; strzałka zakręcała i uderzała grotem w Berlin.

Jeszcze. Jeszcze.

Osunął się na krzesło, oparł łokcie o stół i przez chwilę nie patrzył na Gilberta, zamiast tego próbując opanować drżenie dłoni. Żyją. Zobaczy ich za dokładnie tydzień... Nie uniósł oczu, chociaż wiedział, że właśnie teraz Prusy świdruje go spojrzeniem.

– Powiedziałbym ci.

– Wiem – wyszeptał, gdy już się opanował. Uniósł głowę i skinął Gilbertowi głową. – Po prostu... – zacisnął wargi, nie kończąc tego zdania. Wstał, chcąc zdjąć kawiarkę z ognia.

Milczeli długą chwilę; Taurys zabrał kubki ze stołu, rozlał kawę i gdy już chciał odłożyć puste urządzenie na bok, dręczące go słowo znów pojawiło mu się w umyśle i zakpiło z niego. Jedno pytanie, Lit... Lietuva, jedno pytanie.

– Gilbert – odezwał się w końcu, nie odwracając się od kuchennych mebli. Czuł spojrzenie Prusaka na swoich plecach. Czy wiedział o bliznach? Najwyżej o Ucianie, był tam przecież, chyba że miał dostęp do starych raportów... – Nauczyłeś się starego pruskiego języka, prawda?

– Dlaczego pytasz? – Gilbert brzmiał na zaskoczonego.

Litwa wziął głęboki oddech. Musiało brzmieć podobnie, to ta sama rodzina językowa, ta sama...

– Pamiętasz, jak jest „blizna"?

W kuchni zapadła cisza; tylko Berta, nagle utęskniona, zaczęła miauczeć i ocierać się o jego nogi. Taurys zignorował kotkę, więc prychnęła i umknęła gdzieś w mieszkanie.

– *Rāmbs* – powiedział po krótkiej chwili Gilbert cichym, zamyślonym głosem. – Mnoga *rāmbai*.

Ra... Ra... Randas, mnoga *randai*. Gdy tylko to słowo w końcu pojawiło się w jego umyśle, Litwa nagle odczuł ogromną ulgę.

– Dziękuję – powiedział cicho, odwracając się. Czy potrafię to odmienić? *Randas*, *rando*, *randui*... *randą*, *randu*, *rande* i jeszcze raz *rande*... Uniósł kącik ust w bardzo słabym uśmiechu.

Deklinacja liczby mnogiej, której też spróbował w myślach, poszła mu całkiem nieźle, ale nie mógł znieść spojrzenia, które teraz posyłał mu Gilbert; oceniającego, czujnego, nieprzyjemnie zaskoczonego. Odruchowo się spiął, zupełnie jakby ktoś mierzył w niego z broni.

Prusy najpierw wyprostował się na krześle, a potem odchylił do tyłu.

– Ale się to wszystko popierdoliło... – mruknął pod nosem. – Nie pamiętasz własnego języka, Lit? Ty też?

– Co masz na myśli... – zaczął Litwa, wytrącony z równowagi i chwilowej ulgi dwoma ostatnimi słowami.

Nim Gilbert zdążył odpowiedzieć, drzwi mieszkania otworzyły się.

– Jestem – odezwał się Polska, stając w przejściu do kuchni. Potrząsnął wilgotnymi włosami; dopiero teraz Litwa zauważył, że na zewnątrz już zaczęło padać. – Coś mnie ominęło, Licia? Cześć, Prusak. Widziałem z daleka, jak wysiadasz z taksówki. Szofer na chorobowym?

– Szofera używam tylko przy pełnieniu obowiązków służbowych, Polen – Gilbert obrócił głowę ku Feliksowi.

– Spędzanie całych nocy w nocnych klubach to część twoich obowiązków? – zapytał zaciekawiony Polska, uśmiechając się lekko. Ściągnął buty i wszedł do kuchni.

– Nie, ale powinienem to sobie wpisać do grafiku, może dostałbym premię – Gilbert szarpnięciem głowy wskazał Feliksowi krzesło. – Siadaj, ożywieńcu. Mamy parę rzeczy do przedyskutowania.

– Domyślam się... – Polska podszedł do stołu i spojrzał na mapę. Chwilę się jej przyglądał, marszcząc brwi. – Gest dobrej woli, Prusaku? Miłe z twojej strony...

– Nie mogę przestać wypełniać moich obowiązków – burknął Gilbert, zakładając ręce na piersi. – A nie chcę, żebyście do mnie dzwonili więcej razy, niż to konieczne, bo zaczną coś podejrzewać. Tu – Wskazał na linię, która między jednym imieniem a drugim zahaczała o Królewiec. – jestem w parlamencie u siebie, a w soboty jestem w berlińskim. W poniedziałek rano...

– Jesteś u Erzsébet – dokończył cicho Polska, studiując mapę. Zacisnął mocno wargi. – Nie powiesz jej?

– Będą ze mną oficerowie – odparł krótko Prusy. – Nie będę rozpowiadał niczego na prawo i lewo. Wszyscy poczekają do soboty i zbiorowo zejdą na zawał, Polen.

Taurys, który od dłuższej chwili wpatrywał się w imiona dwóch innych bałtyckich personifikacji, pełen niespokojnych myśli, gwałtownie poderwał głowę.

– Jak? – zapytał nagle. – Jak chcesz wprowadzić Feliksa...?

– Mów, bo mnie też to ciekawi – Polska oparł łokcie o stół i wpatrzył się w Gilberta. Kącik jego ust uniósł się w uśmiechu. – No?

– W tym roku mija siedemdziesiąt lat od momentu zakończenia wojny – Prusy opuścił wzrok na mapę i przyglądał się rozległemu terytorium Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej. – Okrągła rocznica i ładna liczba, więc bankiet w Charlottenburgu będzie jeszcze bardziej wystawny niż zwykle, będzie więcej gości, więcej jedzenia i najlepszego alkoholu...

– A to oznacza, że potrzeba więcej kucharzy i kelnerów – domyślił się Litwa.

Gilbert skinął głową.

– Są zatrudniani na umowie-zleceniu – kontynuował rzeczowym tonem. – Pracują od soboty rano do niedzieli wieczór, ewentualnie do poniedziałku, jeśli sprzątanie się przedłuży. Mają płacone od godziny. Nie wepchnę cię do ochrony – dodał, patrząc na

Feliksa. – O ile mundur to nie problem, to musiałbyś ściąć te długie kłaki, a twojego późniejszego jęczenia na ten temat żaden z nas by nie przeżył.

Feliks parsknął śmiechem; nawet Litwa uniósł kącik ust.

– Może być i kelner – stwierdził beztrosko Polska. – Co dalej?

– Jak już złożysz papiery i cię przyjmą... a jestem zadziwiająco pewny, że to zrobią – Prusy posłał im dwóm porozumiewawcze spojrzenie. – W pewnym momencie zgubisz się w pałacu i trafisz do sali teatralnej.

– Proste, a sprytne – Polska skinął mu głową z uznaniem. – Posiedzę z wami, a potem wracam do reszty pracowników, by sprzątać po grubych rybach Rzeszy?

– Jeśli znikniesz zaraz po... – Litwa zawahał się. – po naszym spotkaniu, kogoś może to zainteresować. Ale jeśli potem będziesz wśród innych kelnerów, po prostu uznają, że się gdzieś ukryłeś i obijałeś przez kilka godzin. Płacone od godziny... Inni pracownicy będą się na ciebie krzywo patrzeć, ale wątpię, że komukolwiek doniosą.

– Będę bardzo przekonujący – obiecał Feliks; jego oczy zapłonęły psotnie. – Prusy – spojrzał na Gilberta. – Sala zawsze jest pilnowana przez żołnierzy. Problemem nie jest to, jak się tam dostanę, ale jak mam tam przebywać i rozmawiać z innymi. Straż na pewno wie, ile osób ma być w środku.

– Zostaw to mnie – odpowiedział krótko Gilbert. Dopił kawę, wstał i odłożył kubek na blat, dając im do zrozumienia, że wychodzi.

– Jak on zareagował...? – zaczął cicho Taurys.

Gilbert długo nie kwapił się, by odpowiedzieć. Wpatrywał się w małe kuchenne okno i zaciskał szczękę.

– Mieliśmy... bardzo długą rozmowę – powiedział wymijająco. – Na razie... zostawia nam wolną rękę i jest w stanie dostarczyć nam pewne informacje, ale... ale jeśli powinie nam się noga, Ludwig zrobi to, co uzna za słuszne.

– Gówniarz – mruknął Feliks pod nosem.

Taurys westchnął ciężko.

– Przyjdź jeszcze jutro – powiedział Prusakowi. – Wciąż musimy rozplanować plan działania.

– Jasne – Gilbert pochylił się, by pogłaskać kota, który cichaczem wrócił do kuchni i teraz znów ocierał mu się o nogi.

– I nie chlej już dzisiaj – dodał Feliks, obserwując go zmrużonymi oczami. – Czuć od ciebie Goldwasser na kilometr.

Prusy prychnął, prostując się.

– Nie matkuj mi... Jeszcze jedna rzecz – Wskazał na mapę. – Nie odwołałem urlopu w Wenecji, a tak przynajmniej myśli góra. W teorii przez dwa tygodnie sierpnia nie będę robił tego objazdu, bo będę wypoczywał w Venedig.

– A w praktyce? – Litwa zerknął na Wenecję; przerywana linia graniczna niemal koliście otaczała miasto. Ciekaw był, jak tam teraz jest; gdy przyjechał tam na chwilę dwie dekady wcześniej, większość mieszkańców miasta wciąż mówiła po włosku, ale terytorium zależne rządziło się swoimi prawami...

– A w praktyce będę siedzieć cicho w Berlinie – odparł Gilbert sucho. – Daję wam przyzwolenie na odwiedziny, może wy przekonacie Ludwiga do głębszej współpracy. Na odwrocie jest adres.

Polska nagle się roześmiał.

– Tęskniłeś, Gilbert, skoro zapraszasz nas do domu.

Spojrzenie Gilberta pociemniało; na ten widok Feliks przestał się uśmiechać i zmarszczył brwi.

– Jeśli to twoja obecność powoduje to, że w końcu zaczynam robić cokolwiek innego, niż *Weltreise* po domowych hospicjach, to tak, tęskniłem, Polen – rzucił oschle Prusy i odwrócił się na pięcie. Zaraz potem zamknęły się za nim drzwi, a w kuchni zapadła grobowa cisza.

– Domowe hospicja – westchnął w końcu Taurys, a potem ukrył twarz w dłoniach. – Szczery do bólu.

– Licia… – zaczął cicho Feliks i po chwili wahania położył dłoń na ramieniu Taurysa. – To…

– To tak się kończy – dokończył Litwa pustym głosem. – Nie… nie mów, że jest inaczej, proszę.

Więc milczeli; dłoń Feliksa była ciepłym, miękkim ciężarem. Taurys zamknął oczy i odetchnął; po raz pierwszy od lat pocieszenie przynosiła mu obecność drugiego człowieka.

Rozdział XII: Na krawędzi życia

A więc nadeszła niedziela; odkąd pracował sześć dni w tygodniu, Taurys nigdy za nią nie przepadał. Nie znajdywał w niej wypoczynku, błąkając się samotnie po mieście albo chwytając się każdego zajęcia w domu, niecierpliwie wyczekując poniedziałku, kiedy mógłby znów wrócić do obowiązków nauczyciela.

Letnich niedziel nie cierpiał szczególnie; przez miesiąc wakacji, niemalże do nikogo się nie odzywając, zaszywał się w swoim mieszkaniu, włączał radio albo grał na fortepianie, by zniszczyć otaczającą go ciszę, ciszę, która w jego myślach zbyt często nosiła miano *śmiertelnej*.

Brakowało mu zajęcia; brakowało mu też ludzkiego głosu i, co w końcu musiał przed sobą przyznać, brakowało mu towarzystwa, bo kotka, chociaż bardzo ją lubił, nie była w stanie zastąpić drugiego człowieka.

Często myślał, że popełnił błąd, nawiązując znajomość z Anniką – nigdy nie chciał, by ktokolwiek czuł ból, gdy on któregoś dnia zgaśnie i umrze – a jednak umówił się z nią parę razy na kawę, wiedząc, że koleżanka z pracy chciałaby poznać go bliżej. Potrzeba była silniejsza od rozsądku, uznał gorzko, bo jeśli coś przerażało go – niegdyś wiecznie młodego, niegdyś nieśmiertelnego – bardziej niż śmierć, była to jej siostra, śmierć w samotności.

Śmierci nie dało się oszukać, ale otoczenie już tak – dowód na to stał obok, mieszkał z nim od dwóch dni, mieszał w głowie teraźniejszość i przeszłość, rzucał się cieniem na przyszłość i Taurys nie wiedział, czy kolejnych wydarzeń ma się obawiać, czy czekać na nie z utęsknieniem.

Niedziela; ledwie tydzień wcześniej błąkał się po Neukaunas, Nowym Kownie, szukając starego i odkrywając nowe, polując wśród zaułków miasta na nieuchwytnego Łabędzia, pełen niespokojnych myśli i nieśmiałych nadziei, w które bał się uwierzyć. Dzisiaj stali ramię w ramię, w małej kuchni berlińskiego mieszkania, wdychając jedno powietrze przesycone zapachem kawy i śniadania i od czasu do czasu wymieniając spokojne, zwyczajne słowa, zupełnie jakby ostatnia dekada przestała istnieć, a dzielące ich dziesięciolecia zniknęły.

Jeszcze kilka dni temu jednym z jego porannych rytuałów była audycja; dzisiaj ledwie zwracał uwagę na głos, który wydobywał się z radia. Za radio robił Polska; siekając szczypiorek i rozbijając jajka, radosnym głosem opowiadał kolejną zabawną historyjkę z dawnej pracy, a Taurys przysłuchiwał się jej z przyjemnością, zaskoczony lekkością, którą w sobie czuł.

Jeśli istniała jakakolwiek zaleta tego, że ich państwa zniknęły już na zawsze, było to zdjęcie z ich ramion ciężaru odpowiedzialności, polityki i interesów.

Poprzedniej nocy rozwiązali wszystkie swoje niedokończone sprawy i cokolwiek się teraz stanie, jakąkolwiek ścieżką nie podążą, tylko oni będą stać ze sterami... Uśmiechnął się do swoich myśli nieco smutno. Szkoda, pomyślał, że coś takiego musiało się wydarzyć, żebyśmy mogli rozpocząć tę znajomość od nowa.

Uniósł wzrok i spojrzał na Bertę; kocica przywarowała na szczycie lodówki, lekko kołysząc ogonem i przyglądając się im dwóm zmrużonymi oczami. Za każdym razem, gdy Polska zbliżał się do lodówki, by coś stamtąd wyciągnąć, unosiła się i syczała z nastroszonym futrem, wydając się niemal dwa razy większa.

– Wcale nie chciałem wejść w twoje żarcie – powiedział Feliks do kocicy, a ta odwróciła łebek. – Patrz, jaka obrażalska.

Litwa uśmiechnął się lekko, przypominając sobie ogłuszający hałas, jakiego Feliks narobił, wchodząc do kuchni półprzytomny i uderzając nogą o metalową miskę. Miał wrażenie, że w ten sposób Polska obudził cały budynek – jeśli nie łoskotem, to przekleństwami, jakie z siebie wydawał podczas sprzątania.

– Może jeszcze cię polubi... – westchnął, posyłając Bercie proszące spojrzenie. Pozostała niewzruszona.

– Ładna bestia, ale bestia – skomentował Feliks, łapiąc za kuchenną łopatkę. – Właściwie, to gdzie ona śpi? Nie widziałem nigdzie legowiska.

– Kiedyś jej kupiłem, ale nawet nie chciała na nie spojrzeć – odparł Taurys, stawiając kawiarkę na gazie. – Zwykle spała na kanapie...

– ...to tłumaczy, czemu nie chce mnie polubić, zająłem jej miejsce... – mruknął Feliks.

– ...albo czasem na moim łóżku – dokończył Taurys i zmarszczył brwi, bo Polska posłał mu nagle spojrzenie, którego nie był w stanie odczytać. Nim zdążył zastanowić się nad jego znaczeniem, Feliks wrócił wzrokiem do patelni.

– Mhm. Podaj sól, co?

Taurys podsunął solniczkę Polsce, a następnie się nieco odsunął, by ten mógł wykonać zamaszysty ruch ręką. Jego mieszkanie – mieszkanie użyczone mu przez Rzeszę na te kilka lat – było niewielkie; chociaż idealne dla kota i samotnego mężczyzny, przy dwóch osobach stało się nagle nieco ciasne. W szczególności dotyczyło to kuchni i salonu, w którym po rozłożeniu kanapy miejsca wystarczało tylko na obrót dookoła własnej osi.

– Nie przeszkadza ci, że śpisz na kanapie? – zapytał Litwa, wiedząc, że ta nie należy do najwygodniejszych mebli. Polska miał zostać tu przez pewien czas, gdyż zgodnie uznali, że wynajem pokoju w berlińskim hotelu byłby stratą cennych funduszy, a poza tym, ktoś mógłby zainteresować się fałszywymi dokumentami, którymi się legitymował. – Mogę... mogę podjechać do sklepu i kupić jakiś materac, czy coś...

Feliks zsunął jajecznicę na dwa talerze – wcześniej tego poranka stwierdził kategorycznie, że podstawowe śniadanie Litwy, czyli kęs z trudem przełkniętego chleba popity litrem kawy to nie posiłek i od tej pory to on zajmuje się gotowaniem – i zerknął na niego z ukosa.

– Jeśli zacznie mi przeszkadzać, będę spał w wannie – odparł z uśmiechem. – Tylko proszę, budź mnie, zanim pójdziesz pod poranny prysznic, dobrze?

Taurys znów uniósł kącik ust.

– Postaram się – odparł cicho.

Przez ostatnie lata odwykł od mieszkania z innymi ludźmi i teraz przypominał sobie te wszystkie drobne szczegóły i sprawki, składające się na posiadanie lokatora;

oczekiwanie na łazienkę, dwukrotnie szybciej rosnącą stertę brudnych naczyń oraz rozmowy o wszystkim i o niczym, zdania wymieniane podczas mijania się w korytarzu czy wspólnego posiłku.

Taurys rozlał kawę do dwóch kubków, posłodził kawę Feliksa i dodał do niej mleka, a potem postawił napój na stole. Podświadomie czekał, aż coś się wydarzy – znał Feliksa, znał go długo, kiedyś myślał, że aż za długo – i wiedział, że ten długo w ciszy nie wytrzyma.

Kiedyś bardzo go to irytowało; od czwartkowego wieczora chłonął każde słowo padające z jego ust, kolejne dowody życia i istnienia, i nawet jeśli miałyby to być bolesne albo niewygodne pytania, był w stanie je zdzierżyć. Chyba, poprawił się. O jednej rzeczy nie jestem w stanie rozmawiać. *Randai*.

Doczekał się, nim skończyli jeść.

– Chciałeś zmienić nazwisko? – zapytał nagle Feliks, unosząc oczy i przyglądając się Taurysowi badawczo.

Ulotka, zrozumiał Litwa. Przed wyjazdem zostawiłem ulotkę w salonie i zapomniałem o niej na śmierć... Złośliwy głos w głowie, ten, który ostatnio często go dręczył, powtórzył z satysfakcją te dwa słowa. *Zapominać*. *Śmierć*.

Pięknie, Lita... Lietuva, skarcił się w myślach. Przez chwilę patrzył w małe kuchenne okienko; świat za szybą był piękny, świeciło letnie słońce, po niebie przemykały strzępy białych jak śnieg chmur, a po chodnikach chodzili uśmiechnięci ludzie.

– Dostałem tę ulotkę, gdy byłem w biurze relokacji – odparł cicho, wracając spojrzeniem do Polski. Ten skinął lekko głową, dając Taurysowi znak, by kontynuował. – I... pomyślałem o tym – przyznał przed sobą i przed nim. – Każdy ma problem z moim nazwiskiem, myli je, przekręca... najgorzej w sprawach administracyjnych, już parę razy musiałem pisać odwołania, bo w jakimś urzędzie ktoś źle wprowadził moje dane... Wiesz, jaka jest biurokracja... Ostatnio... więcej z tym kłopotu, niż... – Zacisnął usta. – A ja... ja jestem już tym zmęczony.

– Wiesz, co by to znaczyło, prawda? – odezwał się Feliks. – Że się...

– Że się poddałem? – Litwa pokręcił głową; gorzki smak kawy nadał brzmienie jego słowom. – Poddałem się lata temu, Lenkija. Ty też. Reszta też. My już lata temu przestaliśmy walczyć, bo nie było już o co.

– Masz rację – Ku jego zaskoczeniu Polska przytaknął. Mówił cicho, spokojnym, smutnym głosem. – Ale tylko te imiona i nazwiska są prawdziwe, Licia. Cała reszta to już teatrzyk... Data urodzenia, miejsce urodzenia... Według mojej ostatniej karty obywatela urodziłem się pod hiszpańską granicą – Wzruszył lekko ramionami. – Ktoś, gdzieś w biurze, dba o to, byśmy dla świata byli zwykłymi ludźmi, koryguje w papierach nasz wiek, przerzuca z miejsca na miejsce, by nikt nie zorientował się, że wcale nie wyglądamy starzej... Tylko tych imion nigdy nam nie odebrano i ...Licia?

Taurys, czując jak żal ściska go za gardło, skinął lekko głową. Tylko imiona, pomyślał. Tylko nazwiska. Tylko to już nas łączy z tym, czym niegdyś byliśmy. Tylko one i wspomnienia, tylko to do nas należy.

– Masz rację – wyszeptał, nie unosząc wzroku znad swojego talerza. – Nie… nie wyrzeknę się tego.

– I dobrze – Głos Feliksa poweselał. – I nie myśl, że jesteś jedyny z problemami z nazwiskiem. Dwa lata uczyłem byłego szefa, jak się je wymawia.

– I jak poszło? – zapytał Litwa szeptem, nie ufając swojemu głosowi. Zawstydzony tym, że nieco się rozkleił, sięgnął po kawę i wypił kolejne łyki, by za porcelaną ukryć twarz.

– Moją ulubioną onomastyczną fantazją tego starego dziada był *Lukaschowitz* – odparł gładko Polska, a jego głos nasycił się nagle niezwykle mocnym, niemalże komicznym akcentem. – Chociaż zwykle wolał na mnie „ten gówniarz, co nie potrafi roznieść paczek bez zgubienia przynajmniej jednej dziennie" – dorzucił, unosząc brew. – Nie wiem, w czym to było prostsze do wymówienia niż moje nazwisko, ale niech mu będzie.

Jeśli Polska dążył do tego, by poprawić mu humor, to właśnie mu się to udało – Litwa roześmiał się w głos, o mało nie dławiąc się kawą. Kocica, nienawykła do tego dźwięku, profilaktycznie syknęła na swojego opiekuna, a potem zeskoczyła na podłogę. Feliks przechylił się na krześle i spróbował ją pogłaskać, ale zdążył jedynie musnąć opuszkami palców jej futro, nim Berta jednym skokiem znalazła się na korytarzu.

– Niech się męczą i z Łukasiewiczem, i z Laurinaitisem – dodał jeszcze Polska, nieco cieplej, gdy Taurys przestał się śmiać.

Nim Litwa odpowiedział, rozdzwonił się jego sprecher. Poderwał się z krzesła i sięgnął po leżące na kuchennym blacie urządzenie.

– Prusy – stwierdził, rozpoznając numer i odruchowo przesuwając kciuk w kierunku przycisku odbierania.

– Czekaj – uprzedził go Feliks. – Zostaw i spisz mi numer. Oddzwonimy do niego z fałszywki.

Litwa skinął głową; to był dobry pomysł. Odszukał fragment kartki i ołówek – po ich piątkowych i sobotnich naradach wszędzie było tego pełno – i zapisał cyfry. Gdy Feliks wrócił z drugim urządzeniem, podał mu notatkę. W międzyczasie Gilbert przestał dzwonić.

– Ciekawe, czy skacowany – zastanowił się Feliks z lekko złośliwym uśmieszkiem, wystukując numer. – Bo coś czuję, że wczoraj dalej dawał w palnik… Założymy się o sto marek?

– Powiedziałeś mu, żeby nie pił, to wystarczająco, by poszedł do baru – odparł Litwa, znając doskonale ich obu. Przysunął krzesło bliżej Feliksa, by móc słyszeć rozmowę. Razem czekali, aż Prusy odbierze.

– Gilbert Beilschmidt, słucham? – odezwał się w słuchawce ochrypły i zmęczony głos.

Pił, Feliks poruszył bezgłośnie ustami, wygrałbym. Litwa pokręcił lekko głową.

– Chyba przed chwilą dzwoniłeś na sprechera Lici – powiedział Feliks do słuchawki. – Coś przypadkiem nie mówiłeś o pilnowaniu się? A może nie pamiętasz, bo zabalowałeś, co?

– Chyba jeszcze nie wytrzeźwiałem, bo słyszę głos trupa – odburknął cicho Gilbert.

Uśmiech Feliksa nieco się poszerzył. Znaleźli sobie nową zabawę, pomyślał Taurys bez zdziwienia. Z wolna przyzwyczajał się do tych słów – trup, ożywieniec, zmartwychwstała gwiazda... Miał wrażenie, że jeszcze przez wiele dni Prusy i Polska nie odpuszczą okazji, by sobie z tego powodu dopiec.

– Co tam chciałeś?

– Zapomniałem wczoraj wspomnieć o jednym – Gilbert odkaszlnął i odezwał się poważniejszym tonem. – Cokolwiek się nie wydarzy w sobotę, Polen, w piątek ma nie być w tym mieszkaniu ciebie, twojej szczoteczki do zębów i każdej rzeczy, która twoja jest. Bez dyskusji. To ma być zwykłe, całkowicie nie *nawiedzone* mieszkanie, rozumiemy się?

– Jasne, jasne – Polska lekko ziewnął. – Ale twoi chłopcy są tak znudzeni kontrolami, że nie zauważyliby mnie, gdybym tańczył nago w kuchni... Po co się mam wyprowadzać jak się mogę, nie wiem, w kiblu zamknąć na kwadrans...

– Właśnie o nich chodzi – westchnął Prusy w słuchawce. – Jeden poszedł na chorobowe, mają mi jutro podstawić kogoś na zastępstwo na ten tydzień. Nie znam człowieka, ale podobno służbista jakich mało. Pilnujcie się, po prostu. Dasz radę zniknąć na dwadzieścia minut, czy już ci się limit na ten wiek wyczerpał, Polen?

– Spokojnie, ogarnę to – Polska nieco spoważniał. – Od kolejnego poniedziałku masz ten urlop-widmo, tak? Co z wizytacjami?

– Chciałem wepchnąć Austrię, ze dwa razy już mnie zastępował – odparł rzeczowym tonem Prusy. – Zgłosiłem to już parę tygodni temu, teraz czekam, aż biuro to w końcu przyklepie, więc nie mogę tego wycofać. Grafik będzie taki sam, i tak, wtedy też masz się ulotnić. Ulatniaj się na razie co tydzień, dobra? Potem może coś wymyślimy.

– Jasne, łapię – Feliks zastukał palcami o blat stołu. – Wpadasz dzisiaj na kolację? Ja gotuję – dodał odrobinę tylko kpiąco. Taurys wywrócił oczami z cieniem uśmiechu na wargach.

– Twój widok odbiera mi apetyt, Polen.

– Żałuj.

– Wpadnę po kolacji. Ty lepiej myśl o tym, co zrobimy z tym całym gównem, a nie ile świeczek postawisz dookoła talerzy – W głosie Prus zabrzmiała lekko drwiąca nuta; zaraz potem się rozłączył.

Gdy tylko Litwa zrozumiał ukryte znaczenie jego słów, ku swojemu zaskoczeniu zauważył, że robi mu się gorąco.

– On ma rację – odezwał się, próbując ignorować pieczenie policzków.

To, że Polska się teraz w niego wpatrywał – a zieleń jego oczu przewiercała go na wskroś – wcale nie pomagało mu ani w skupieniu się na teraźniejszości ani w odegnaniu starych, wspólnych wspomnień.

– Im więcej osób się o tobie dowie, tym trudniej będzie nam potem działać. Skoro chcesz pójść do Charlottenburga...

– Myślałem o tym – Polska przytaknął, podejmując temat. Z jego spojrzenie zniknęło już to, czego Litwa nie potrafił zrozumieć, więc odetchnął. – Zasadniczo, gdybym pokazał się wszystkim, natychmiast by się to rozniosło – powiedział Feliks, kończąc swój posiłek.

Taurys ledwie tknął śniadanie; teraz zmusił się, by przełknąć jeszcze kilka kęsów wystygłej jajecznicy, by nie sprawić spontanicznemu kucharzowi przykrości, chociaż jego żołądek, nieprzyzwyczajony do obfitych posiłków, nieco już protestował. A może to były nerwy?

– Wtedy dowiaduje się władza – kontynuował Feliks rzeczowym tonem. – Prusak ma problemy, bo był za to odpowiedzialny, ty masz problemy, bo mnie ukrywasz, a ja albo zostaję wciągnięty z powrotem w system, relokowany i kontrolowany, albo zostaję jakoś ukarany. W obu przypadkach tracimy swobodę działania.

– Więc co postanowiłeś? – Litwa wziął łyk kawy; również zdążyła się ochłodzić. – Pokazać się tylko konkretnym osobom? Erzsébet, komuś jeszcze?

– Chciałem ją wciągnąć, jeśli mieszkałaby dość blisko – przyznał Feliks cichszym i nagle zgaszonym tonem. – Ty, Prusak, Erzsi… To jest grupa, której potrzebuję, żeby działać. Znam was i wasze umiejętności. Ale po tym, co powiedział Gilbert… Nie wiem – westchnął nagle. – Nie wiem, co się jej stało, martwię się o nią… – dodał cicho, patrząc w stół. – Tak jak powiedziałem tobie, nie będę jej to w angażować, jeśli nie zechce… Ale chociaż chcę powiedzieć jej, że żyję i … przeprosić.

Taurys westchnął ciężko. Zawsze byli sobie bliscy, pomyślał, patrząc na nagle zgaszone oczy Feliksa, błyskające smutkiem spod rzęs. Musiała to przeżyć tak samo, jak ja, przejść przez szok, ból i zaprzeczenie, by w końcu zrozumieć, że on…

Zacisnął palce na uchwycie kubka. On żyje, powtórzył. Siedzi przed tobą… Śmierć była kłamstwem, ale emocje, jakie wywołana, były prawdziwe – i Litwa bardzo cię cieszył, że otrzymał za nie przeprosiny. Erzsébet również na nie zasługiwała.

– Zawsze była silna – powiedział, z trudem znajdując słowa. – Jestem pewny, że… że dała sobie radę.

Feliks wypuścił powietrze z płuc.

– Nie wiem, co zrobimy z Białorusią i Ukrainą – powiedział już mocniejszym głosem. – Jeśli nie wplączemy ich my, wplącze ich Rosja. Iwan.

Iwan. Stare blizny nagle zaswędziały; poruszył się niespokojnie, znów przypominając sobie o ich istnieniu, o ich powstaniu. Coś z tych wspomnień musiało odbić się na jego twarzy, przemknąć spazmem po wargach i powiekach, bo spojrzenie Feliksa nagle stało się badawcze, a on sam przekrzywił lekko głowę, próbując odczytać coś z rysów Litwy.

Randai.

– Nie pytaj o blizny – wyszeptał bezbarwnie.

– Nie będę. Przysięgam – odparł Polska zaskakująco poważnym głosem.

Taurys odetchnął.

– Są rodzeństwem – powiedział, próbując się skupić na ich planach. – Musielibyśmy ich wybadać… – Rzucił spojrzenie mapie zawieszonej na lodówce. – Mieszkają daleko od Berlina, to wcale nie ułatwia sytuacji.

– Niko jest pod Paryżem – Feliks również zerknął na mapę. – W jakiejś dziurze…

– W Itteville – uściślił Litwa. – Mieszkałem tam. Spokojna miejscowość…

– A Kateryna mieszka przy szwajcarskiej granicy – dodał Feliks i zmarszczył brwi. – Skoro nadużywa alkoholu... Ona będzie słabym punktem, Licia. Nikolaia nie da się łatwo zmanipulować albo namówić na jakieś działanie, ale ona to co innego, zwłaszcza w takim stanie.

– Mogę spróbować porozmawiać z Nikolaiem w Charlottenburgu – Litwa wziął głęboki oddech. – Będzie okazja. Może... może jakoś na nią wpłynie.

Może będę w stanie skupić się na planie, nim zobaczę, jak źle jest z ... Zacisnął wargi.

– Dobrze by było – mruknął Feliks. Wypuszczając powietrze przez zęby, przeczesał palcami włosy. – Dzisiaj powinienem dostać nowe informacje – dodał, unosząc głowę. – Wprowadzę cię w szyfry, dobra?

– Te z e-postów? – zapytał Litwa z zaciekawieniem, odrywając się od ponurych myśli.

– Częściowo – odparł Feliks, uśmiechając się lekko. – To akurat taka zabawka, gdy chcesz, by słowa nie wyglądały jak słowa, ale żeby wciąż dałoby się je przeczytać. Mamy też inne. Już myślałem, że nie odpiszesz, wiesz? – zapytał nagle. – Ale to było sprytne, to z tym e-postem z prośbą o kontakt. Udawałeś, że pomyliłeś nadawców?

Taurys skinął głową.

– Dlaczego... – zaczął i zawahał się. Ponieważ Polska spojrzał na niego wyczekująco, przemógł się, by zadać męczące go pytanie. – Dlaczego Goethe?

– Zawsze lubiłem jego poezję, Licia – odparł zagadkowo Feliks, a Litwa wyczuł, że za tymi słowami kryje się coś więcej. – Ale pogadamy o tym kiedy indziej – dodał, wstając od stołu. – Musimy w końcu zacząć działać. Nie możemy pozwolić sobie na... – urwał, ale Litwa doskonale zrozumiał, co ma na myśli.

Do tego, co planowali, potrzebowali pewnych rąk i czystych umysłów, bo za każde potknięcie srogo zapłacą.

Popołudniem, gdy zaszył się w swoim pokoju, by uporządkować dokumenty ze szkoły, a przy tym własne myśli, po godzinie z pracy wyrwała go szybka, fortepianowa melodia. Wyprostował się na krześle, od razu rozpoznając *Marsz turecki*. Z wolna wstał i ruszył w kierunku salonu, a kotka, do tej pory okupująca półkę ponad biurkiem, podążyła za nim.

Zatrzymał się w drzwiach, patrząc jak palce Polski śmigają po klawiaturze w szybkim, zwinnym tańcu. Feliks, patrząc na rozłożone nuty, grał pewnie, a Litwa obserwował każdy ruch jego dłoni i ramion i tylko raz czy dwa usłyszał błąd, powstały przez nieuważne pomylenie klawisza.

– Zapomniałem, że potrafisz grać – odezwał się cicho, gdy dźwięki Mozarta umilkły.

– Nie grałem całe lata – odparł spokojnie Feliks, odwracając głowę w jego kierunku. Na oślep nacisnął kolejny klawisz; niski dźwięk rozbrzmiał i zniknął. – Wyszedłem z wprawy.

– Świetnie ci poszło – Taurys usiadł na kanapie, odsunąwszy najpierw poduszkę, na której Polska spał, na bok.

Berta, nadal stojąc w drzwiach, wodziła wzrokiem od jednego do drugiego, a w końcu, w swoim kocim umyśle podjąwszy decyzję, wskoczyła na kanapę i usiadła

dokładnie pośrodku poduszki. Taurys delikatnie ją stamtąd zgonił, posyłając Feliksowi przepraszające spojrzenie; ten tylko zachichotał.

– Dobrze, że przyszedłeś – rzucił Polska, obracając się na stołku od fortepianu. – O piętnastej... – zerknął na zegar na ścianie. – Jeszcze minuta... Mam dostać wiadomość.

– Od kogo? – Litwa spojrzał na sprecher, który Feliks ściskał w dłoniach. – Której sprawy dotyczy?

– Personifikacji – odparł krótko Polska. Przesunął opuszkiem palca po ciemnym ekranie sprechera. – Mówiłem ci, że jestem łącznikiem. Będziemy węszyć... i tu się bardzo przyda Prusak... na temat planów führera co do nas. Na razie mam dostać raport od pozostałych, czy coś się zmieniło, odkąd wróciłem do kraju. Znasz Morse'a?

– Od lat go nie używałem – przyznał Litwa.

– To będziesz miał okazję, by się podszkolić – Feliks sięgnął ku stolikowi z telewizorem i wziął stamtąd kartkę i długopis. W samą porę; sprecher właśnie zaczął dzwonić.

Gdy Feliks nacisnął przycisk i obaj pochylili się nad urządzeniem, zamiast słów usłyszeli przytłumione piski. Ze względu na słyszalne trzaski i ciche echo, Taurys miał wrażenie, że ktoś przyłożył sprecher do urządzenia odtwarzającego nagranie.

Długi, krótki, długi, krótki. Początek nadawania, rozpoznał Litwa, ale odczytanie dalszych sygnałów było już poza jego umiejętnościami, więc odsunął się, robiąc Feliksowi miejsce. Ten oparł kartkę o kolano i szybko, pewnie tłumaczył piski na kropki i kreski.

– Dobra – powiedział Feliks, gdy w słuchawce zapadła cisza, a potem rozległ się dźwięk zakończonego połączenia. Nie usłyszeli ani jednego ludzkiego słowa. – Bez zmian – odczytał wiadomość, lekko się uśmiechając. – Czyli mamy czas, by ogarnąć Charlottenburg. Dzisiaj porozmawiamy sobie z Prusakiem o szczegółach soboty, a w piątek się ewakuuję... – Posłał spojrzenie swojej torbie. – Jakby mnie tu w ogóle nie było.

Jakby cię nie było, powtórzył w myślach Litwa. Z jakiegoś powodu pomysł, by to mieszkanie znów było puste, wcale mu się nie podobał.

Ten tydzień był dziwny i Litwa spodziewał się już po nim prawie wszystkiego – prawie, bo tego, że nagły atak ostrej grypy żołądkowej wykasuje mu z życia kilka kolejnych dni, jednak nie przewidział. Piątek zastał go leżącego w łóżku z gorączką i całkowicie wycieńczonego.

– Mam nadzieję, że do jutra ci przejdzie – stwierdził Polska, stawiając na stoliku nocnym dzbanek z wodą, jedyną rzeczą, którą Taurys od trzech dni był w stanie przełknąć. – Lepiej ci choć trochę?

– Trochę – wychrypiał, unosząc się nieco na łokciach. Czuł się, jakby coś bardzo ciężkiego kilkukrotnie przejechało po jego ciele. – Zrobię sobie kawy...

– Zapomnij, wystarczająco już się odwodniłeś – Feliks wcisnął mu w dłoń pełną szklankę. – Pij. Nie chcę, żebyś trafił do szpitala. To byłoby problematyczne.

Może i Feliks miał rację; czaszkę Litwy rozsadzał ostry ból, ale nie był w stanie określić, czy to faktycznie wynik odwodnienia, czy też efekt nagłego odstawienia kawy. Wiedział

natomiast, że chyba nigdy wcześniej – chyba że jego pamięć schowała przed nim i to wspomnienie – nie czuł się tak źle z powodu jakiejś choroby. Poza tym, wydawało mu się, że personifikacje nie...

Gdy myśl uderzyła go w tył głowy, o mało nie jęknął, a jego wnętrzności, raz po raz nękane nerwami związanymi z nadchodzącym spotkaniem w Charlottenburgu, znów zwinęły się w ciasny węzeł. O to właśnie chodziło, prawda? Jedli to samo, ale dla Polski konsekwencją spożycia tej nie do końca świeżej ryby, którą kupił na promocji, było kiepskie samopoczucie przez parę godzin, a nie pół tygodnia wyrwane z życiorysu.

– Licia?

W takich chwilach przeklinał to, że po tylu wiekach potrafili czytać z siebie nawzajem.

– Idź już – powiedział bezbarwnie. – Za dwadzieścia minut tu będą.

Polska zacisnął wargi i skinął głową. Złapał za rączki swojej torby i wyszedł z pokoju, a chwilę później Litwa usłyszał trzask zamykanych drzwi wejściowych. Został sam.

– *Mano vardas yra Taurys Laurinaitis ir aš mirštu...* – wyszeptał poszarzałymi wargami, a potem szarpnął się za włosy, zdając sobie sprawę, jak płynnie zabrzmiała teraz jego mowa. Cóż to była za okrutna ironia losu, że deklinację słowa „umierać" pamiętał doskonale... Podniósł wyżej poduszki i oparł się o nie, a potem wypił szklankę wody duszkiem. Znów było mu niedobrze, chociaż wiedział, że tym razem to nie z powodu zatrucia – żołądek już od dawna miał pusty.

Po kilku minutach zmusił się, by wstać z łóżka, nie chcąc, by Prusy i jego ludzie oglądali go w takim stanie. Nie mając zbyt wiele czasu, doprowadził do porządku twarz i włosy, lustrując zmęczonym spojrzeniem łazienkę.

Tak jak nakazał Gilbert, zniknęło wszystko; dodatkowa szczoteczka do zębów, grzebień, ubrania i wszystko inne, co Feliks przywiózł ze sobą, skądkolwiek przybył. Nikt nie domyśliłby się, że przez ostatni tydzień mieszkał tu człowiek wyjęty spod prawa, który znów wywracał wszystko dookoła nogami...

Jutro. Jutro... Zacisnął drżące dłonie na chłodnej umywalce i zmusił się do oddychania. Jutro, Lit. Jutro zobaczysz, jak źle jest z resztą, ale dzisiaj weź się w garść. Jeszcze tylko wizytacja, taka, jak zawsze, a potem wróci Feliks. Pokaż, że wcale nie jesteś tak połamany i zagubiony, bo jak na razie widzi ciebie jedynie jako...

Pukanie do drzwi. Odetchnął i wyprostował się.

– Drzwi są... *Die Tür ist offen*! – Poprawił się w połowie zdania; w głowie mu się kręciło, a w umyśle mieszały języki. Odbił się od umywalki i wyszedł na korytarz.

Do środka już wchodził Prusy; zza pleców oficerów posłał mu wymowne, ostrzegawcze spojrzenie.

– Pan Taurys Laurinaitis? – zapytał go nieznany mu ciemnowłosy mężczyzna w mundurze, ku jego zdumieniu nie potykając się na nazwisku, zupełnie jakby wcześniej je ćwiczył. Drugi z oficerów, od razu chcąc przejść do sypialni, zatrzymał się w pół kroku i zerknął na towarzysza zdziwiony.

– Przecież wiesz – burknął Gilbert, zatrzaskując za sobą drzwi, nim Taurys się odezwał. – Nie wkurwiaj mnie, Lefevre. I się tak nie panosz, to tylko tydzień zastępstwa, a nie pieprzony awans.

Lefevre zerknął przez ramię i uniósł brwi. Litwa zmarszczył czoło, notując w myślach, by uważać na to, co teraz powie.

Zazwyczaj przy wizytacjach Prusy tylko od niechcenia zerkał na działania oficerów, którzy również nie przykładali się zbytnio do swojej roboty, a potem wpadał do kuchni. Zamieniali parę słów, czasem Litwa częstował Gilberta popołudniową kawą, jeśli akurat ją parzył, ale wyglądało na to, że dzisiaj wyglądać to będzie zupełnie inaczej.

Ponieważ Lefevre nadal na niego patrzył, Litwa postanowił odpowiedzieć.

– Tak, to ja – odparł ostrożnie, zakładając ręce na piersi i opierając się o ścianę korytarza. Drugi z oficerów wzruszył ramionami i po prostu przeszedł obok niego, kiwając głową. Litwa odwzajemnił ten oszczędny gest.

Gilbert, ciągle stojący z tyłu, poruszył bezgłośnie ustami, a gdy Taurys odczytał już obelgę skierowaną ku nadgorliwemu oficerowi, ledwie zauważalnym gestem wskazał na swoją szyję.

Nie wyłączył podsłuchu, zrozumiał Litwa.

– Nie podobają mi się zaniedbania wśród pracowników biura kontroli i relokacji – odparł chłodno Lefevre, jeszcze raz zerkając na Prusy, którego oczy już płonęły żywym ogniem. – Miałem nadzieję, że uda mi się przez ten tydzień na ciebie wpłynąć, Beilschmidt, ale wygląda na to, że jestem zmuszony złożyć skargę. Zgodnie z wytycznymi należy osobę o statusie specjalnym najpierw wylegitymować, a następnie jeden z oficerów powinien mieć ją na oku, podczas gdy drugi...

– Skargę złożyć mogę ja – przerwał mu Gilbert. Na widok jego uniesionej kpiąco brwi pewność oficera nagle skruszała. – Tak się składa, że to ja jestem tutaj przełożonym, a ty tylko dupkiem z łapanki, więc rusz dupę i rób to, za co ci płacą w tym tygodniu. Jak się uwiniecie w kwadrans, to może w *moim* raporcie nie pojawi się nic, co postawi cię w złym świetle. Rozumiemy się, Lefevre?

Lefevre, zaciskając zęby, już bez słowa ominął Litwę i zniknął w łazience, niedelikatnie trzaskając drzwiami. Taurys skrzywił się, bo huk podrażnił jego i tak już obolałą głowę, a potem spojrzał na Gilberta. Ten, mląc w ustach kolejne przekleństwo, wyłączał właśnie podsłuch.

– Kto to? – zapytał cicho Taurys.

– Pieprzony karierowicz – odpowiedział poirytowanym szeptem Prusy. – Użeram się z nim od poniedziałku, dobrze, że już piątek... Nie ma go?

– Tak jak ustaliliśmy – Litwa poruszył wargami, bo drugi z oficerów przeszedł obok nich w drodze do saloniku.

Prusy sięgnął do karku i uruchomił podsłuch ponownie. W samą porę; z łazienki wyłonił się Lefevre, a jego zimne spojrzenie padło na Taurysa, który natychmiast poczuł się nieswojo.

– Ktoś z panem mieszka, panie Laurinaitis?

Gilbert drgnął; Litwa wciągnął powietrze przez zęby. Nie dał rady ukryć swojej reakcji, przez co ciemne oczy oficera rozjarzyły się triumfalnie.

– Co pan...? – zaczął Taurys i urwał, nie wiedząc, co robić dalej.

– Pod prysznicem znalazłem jasne włosy. Według pana dokumentów, mieszka pan sam. Może to pan wyjaśnić?

Zabrakło mu tchu.

– Blondi? – zagadnął nagle Gilbert. – Wyrwałeś tę swoją koleżankę z pracy? No, no... – Prusy posłał mu uniesioną brew i znaczący, fałszywy uśmiech.

Taurys odetchnął, dziękując mu w myślach i jednocześnie czując, jak jego policzki płoną rumieńcem. Niepewnie przytaknął, stwierdzając w myślach, że już drugi raz w ciągu tygodnia używają Anniki jako wymówki. Miał nadzieję, że ona nigdy się o tym nie dowie...

– To nic poważnego... – bąknął niepewnie.

– Dlaczego nie ma tego w dokumentach?

– Rejestrujemy tylko oficjalne związki, Lefevre, jakbyśmy mieli wpisywać każdą jednorazową przygodę do akt, to byś się udusił pod tonami papierzysk – rzucił ostro Gilbert. – Przestań czepiać się pierdół. Jeśli skończyliście, to wychodzimy, ja mam lepsze rzeczy do roboty w piątkowe wieczory niż patrzenie na twoją mordę.

Nadgorliwy oficer tylko prychnął, ale ruszył w kierunku drzwi. Taurys postąpił krok za nim, poczekał, aż cała trójka wyjdzie, a potem zamknął drzwi, zostając samemu.

– Dokąd pana wieźć?

Gilbert opadł na tylne siedzenie auta, starając się ignorować sztywną postać oficera z przodu.

– Wysadź mnie przy najbliższym sklepie – rzucił, odpinając górny guzik koszuli i dyskretnie muskając palcem urządzenie nagrywające. Pstryk. – Dostałem zaproszenie na parapetówkę, muszę coś kupić.

– Miłej zabawy – powiedział szofer, błyskając oczami w lusterku, a Gilbert ze szczerą sympatią skinął mu głową. – Podjechać rano pod pana?

– Obejdzie się. Wysadź mnie i odwieź pana Lefevre do domu. Albo do biura, może ma randkę *z wytycznymi*.

Lefevre tylko prychnął, ale nie skomentował słów Prus w żaden sposób. Następne kilka minut spędzili w ciszy i dopiero gdy Gilbert wysiadł z samochodu i upewnił się, że odjechał, mógł odetchnąć z ulgą.

– Akurat teraz taki fagas mi się trafił... – mruknął pod nosem, odpalając papierosa i opierając się o ścianę sklepu. Nie zamierzał wschodzić do środka.

– Kiepski tydzień?

– Nawet mnie nie wkurwiaj – Prusy uniósł wzrok na zbliżającego się Polskę. – I zmieniłem zdanie. Najlepiej będzie, jeśli ogolisz ten głupi łeb na łyso.

– O co ci teraz chodzi? – Feliks stanął obok i bezceremonialne zabrał Gilbertowi paczkę papierosów. Przez ramię miał przewieszoną torbę z całym swoim dobytkiem.

– O to, że koleś z zastępstwa wygrzebał jasne włosy z odpływu prysznica i miał pytania – wycedził Gilbert. – Pieprzony Sherlock. Litwę zamurowało, mnie zresztą też. Dobrze, że przypomniałem sobie o tej jego psiapsiółce z roboty, to zasugerowałem, że mieli schadzkę.

– Kurwa – Polska odpalił papierosa i wypuścił dym. – Przecież te wszystkie twoje kontrole to od lat były fuszerką...

– Ale nagle wpieprzyli mi do zespołu służbistę – Gilbert rzucił na chodnik na wpół wypalonego papierosa. – Ja nie dobieram tych ludzi, Polen. Chłopaki są w porządku, robią swoje i ich wiele nie interesuje, ale ten to co innego. Nie wiem, czy jeszcze kiedyś mi go wepchną, ale on węszy jak myśliwski kundel, więc na wszelki wypadek trzeba się pilnować.

Milczeli przez chwilę.

– Miałeś go ogarnąć – odezwał się Gilbert. – Więc czemu wygląda gorzej niż przed tygodniem?

– Zmogło go jakieś choróbsko, jelitówka czy coś – odparł Feliks spokojnie. – Paskudztwo, ale chyba powoli mu przechodzi. Wiem, pech, że akurat teraz, no ale to się zdarza...

– Polen – Gilbert spojrzał na niego z politowaniem. – Polen, do kurwy nędzy. Ile razy w życiu dopadła cię grypa żołądkowa?

– Raz, dwa, jak miałem gorszy okres... – Polska nagle urwał w połowie zdania. – Myślisz, że on...? – zapytał nagle ciszej, nieco poruszonym głosem.

– Nie myślę, widzę – burknął Gilbert. – On słabnie. Ja to wiem, ty to wiesz, on to wie, Polen, ale skoro już tak źle przechodzi przez choroby, które nam nie robią większej krzywdy, to jest z nim gorzej, niż sądziłem.

Feliks nagle odwrócił wzrok.

– Dziesięć lat – wymamrotał gorzko. – Straciłem dziesięć lat.

– I tak byś się z nim nie spotkał. Może raz. Poza tym, byliście pokłóceni.

– Właśnie o to chodzi – westchnął Feliks. – Mieliśmy niedokończone sprawy, a ja dałem do zrozumienia światu, że nie żyję. Wiedziałem, że to będzie ciężkie... jak się już dowiedzą... ta parę osób, z którymi jestem albo byłem bliżej, ale... ale musiałem działać. Musiałem zniknąć, a to był jedyny sposób. Ich kosztem...

– Nie – warknął nagle Prusy, słysząc zrezygnowany ton Feliksa. – Kolejnego idioty z depresją nie zniosę. Ogarnij go, ogarnij siebie, i to, co między wami było. Albo jest. Nie wiem. Stara miłość nie rdzewieje? Cokolwiek. A potem rusz dupę i zabieramy się do roboty, rozumiesz? Mamy wojnę do powstrzymania.

Feliks odetchnął i wypuścił z ust kłąb dymu.

– Co zobaczymy jutro? – zapytał, wpatrując się w wieczorne niebo nad Berlinem.

Gilbert nie odpowiedział. Pokręcił jedynie głową i schowawszy pustą paczkę papierosów do kieszeni, ruszył w swoją stronę.

Polska również; krok za krokiem zbliżał się do budynku, w którym mieszkał Taurys.

– Nie rdzewieje? – zapytał, stając przed klatką i podrywając głowę do góry. W oknach mieszkania Litwy nie świeciło się światło. – Może i metal nie zardzewiał, ale

w międzyczasie mocno go powyginano, Prusaku. Dopiero się okaże, czy te dwa kawałki wciąż do siebie pasują.

Przekroczył próg. Drzwi mieszkania były otwarte.

Rozdział XIII: Sztuka cierpienia

Wlewające się przez okno słońce zwiastowało bezchmurną pogodę. Zza szyb słyszał pokrzykiwania młodzieży, korzystającej z letnich ferii i szalejącej na osiedlowym placu zabaw.

Kubek mile ogrzewał palce; zamyślony pociągnął kolejny łyk. Dochodziła dziesiąta; za moment w radiu usłyszy kolejną audycję wiadomości. Był ciekaw, co działo się w Imperium w ten szczególny dla kraju dzień.

– ...dzisiaj, w Dniu Zjednoczenia, przewidywane są utrudnienia w ruchu. Od godziny dwunastej zostaną zamknięte następujące ulice...

Ach tak, parada wojskowa. Litwa westchnął. Dobrze, że chociaż w tym nie musieli brać udziału... Stąd, z jego cichego mieszkania, nie zobaczy flag i galowych mundurów, nie usłyszy marszowego kroku i hymnów, potraktuje południe normalnie, czymś zupełnie innym zajmie dłonie i myśli.

Mógłby zerknąć do dokumentów ze szkoły i trochę je uporządkować. Na fortepianie leżały też rozsypane nuty, bo wcześniej Feliks je przeglądał, szukając czegoś, co mógłby poćwiczyć – Litwa pozwolił na to bez słowa, bo gdy Polska grał, gdzieś w jego oczach budziła się radość – i wcale tego nie uprzątnął. Z kolei stos notatek, które razem z nim i Gilbertem przygotowali, wymagał przejrzenia i przepisania, bo na razie był jedynie twórczym chaosem...

Westchnął ciężko. Już wiedział, jak zabije czas do wieczora.

Uniósł głowę i rozejrzał się po kuchni. Mieszkanie znów było puste; jedynie Berta zwijała się na parapecie. Nie słyszał nawet jej mruczenia; w jego mieszkaniu panowała cisza i Litwa miał wrażenie, jakby ostatni tydzień się w ogóle nie wydarzył.

Jakby ocknął się z dziwnego snu, a bicie jego serca znów wróciło do powolnego, wegetacyjnego rytmu, z wolna tocząc krew przez pogrążone w zastoju ciało.

Tylko się mi tak wydaje, pomyślał, przytykając porcelanę do ust. Gorzka kawa po raz kolejny zatańczyła mu na języku, rozbudziła zastałe zmysły.

– ...od godziny siedemnastej w zespole pałacowym Charlottenburg...

Taurys drgnął; wstał nieśpiesznie i wyłączył radio, rezygnując z dalszego słuchania audycji. Ja wiem, co będzie od godziny siedemnastej, pomyślał i westchnął. I wiem, jak to będzie boleć.

Przez ostatnie dni strach i ból łagodziła obecność Feliksa, chociaż i on chodził przybity, równie mocno jak Taurys obawiając się tego, co dziś ujrzą. Ale przynajmniej mogli rozmawiać, a mając plan do opracowania, mając cokolwiek do roboty, dużo łatwiej było się przygotować.

Teraz, wracając do stołu, osunął się na krzesło i schował twarz w dłoniach. Przed oczami zatańczyła mu ciemność, podczas gdy on wziął głęboki wdech.

Polska musiał wyjść wczesnym rankiem; zjedli śniadanie, wypili wspólnie kawę i wymienili parę zdań. Potem za Feliksem zamknęły się drzwi; znów powróciły cisza

i pustka, dwie królowe jego obecnego życia, a wraz z nimi ten przerażający niepokój, ten sam, który Taurysa niemalże pożarł, gdy dostał pięknie napisane zaproszenie.

Strach grał w berka z jego żołądkiem i przetaczał przez głowę setki nieprzyjemnych myśli. Nikt nie umarł, Prusy o tym zaświadczył, ale...

– Zobaczymy, jak mocno pokiereszowało nas życie przez te siedem ostatnich lat – wyszeptał do siebie Litwa, zaciskając palce na kubku.

Niektóre rzeczy już wiedział; Ukraina i jej alkoholowy problem, Nikolai o znękanych oczach, który chyba jakoś się trzymał, a z którym Taurys miał dzisiaj porozmawiać. Węgry, o której krzywdzie Prusy ciągle milczał, co u Feliksa wywoływało prawdziwy strach, a u niego samego głęboki niepokój, bo chociaż nigdy nie był z Erzsébet blisko, Litwa zawsze ją lubił.

A także Estonia i Łotwa.

Wypuścił wstrzymywane powietrze, gdy poczuł, jak na kolana wskakuje mu Berta. Zagłębił palce w futrze i uśmiechnął się.

– Jakbyś miała trochę jaśniejsze futro – mruknął z lekkim rozbawieniem. – To nie trzeba byłoby wymyślać tej ściemy z Anniką. Tylko nie wiem, jak wytłumaczyłbym twoje kłaki pod prysznicem. Wpisaliby mi do papierów znęcanie się nad zwierzętami.

Kotka, mrucząc, zaczęła ocierać się o jego podbródek; Litwa podrapał ją za uchem.

– Bądź dzisiaj grzeczna – poprosił jeszcze. Mrucząca kula ciepła przylgnęła do jego klatki piersiowej; dobrze było czuć ją tuż obok serca. – I naucz się go tolerować, Feliks jeszcze trochę tu pomieszka – dodał po chwili.

Plan miał swoje wady; w biurze relokacji, jak oznajmił im bez ogródek Prusy, wisiały – zakurzone i zapomniane – zapasowe klucze do każdego z mieszkań byłych personifikacji. Lokal Taurysa nie był najbezpieczniejszą kryjówką dla Feliksa ani dobrym miejscem dla przechowywania planów i notatek, ale chwilowo musieli się tym zadowolić.

Byle tylko nie natknąć się więcej na tego służbistę...

Litwa otworzył oczy i posłał spojrzenie leżącej niedaleko czystej kartce. Od paru dni ryza papieru zajmowała stałe miejsce przy kuchennym stole, bo co rusz pojawiały się nowe kwestie do omówienia, a Taurys musiał też ćwiczyć szyfry i kody, którymi mieli się od tej pory posługiwać.

Zobowiązał się nawet do uporządkowania i zaszyfrowania dotychczasowych notatek, na co Feliks zareagował z entuzjazmem, bo nie uśmiechało mu się przekopywanie się przez stos kartek, by odnaleźć ważne informacje.

Litwa zerknął na zegarek; dziesiąta dwadzieścia.

Czas zabrać się do pracy, zająć umysł robotą i powstrzymać się z rozpadaniem się aż do wieczora.

Mimo wszystkiego, co czuł do tego miejsca – zarówno kiedyś, jak i teraz – musiał przyznać, że Charlottenburg był piękny; jego barokowy urok podkreślało błękitne niebo, kontrastujące z czerwienią dachu i jasnobrzoskwiniową barwą ścian. Sierpniowe słońce

niemalże oślepiało, gdy odbijało się od złotej rzeźby Fortuny, usadzonej wysoko na pokrytej patyną okrągłej kopule, dokładnie pośrodku budynku.

Za kutą żelazną bramą, pośrodku sporego dziedzińca, widział konny pomnik Fryderyka Wilhelma I, a po bokach rozpościerały się skrzydła zamku; po lewej równie okazałe co główna część Nowe Skrzydło, po prawej sala koncertowa i Duża Oranżeria, i gdzieś tam dalej znienawidzony budynek teatru.

Wiedział, co znajduje się z tyłu; widział w myślach prostokątny francuski ogród, pełen pięknie wystrzyżonej roślinności i kwiecia, dochodzący aż do stawu z karpiami. Otoczony był połaciami rozległego parku porośniętego drzewami, przylegającego do brzegu Sprewy.

Wiedział, że bal z czasem rozleje się i na te parkowe alejki, że goście będą zwiedzać ukryte wśród zieleni mauzoleum niegdysiejszej pruskiej królowej, że nogi nieść ich będą ku niewielkiemu, uroczemu belwederowi z widokiem na rzekę, po mostach nad wodnymi kanałami, że pełni dumy będą wsłuchiwać się ptasie trele, zapominając, że znajdują się w samym środku wielkiego miasta...

A oni przemkną między nimi do budynku teatru, by tam, pod czujnym okiem strażników, łkać i przełykać łzy.

To był okrutny chichot losu, myślał czasem Feliks, wspominając, że niegdyś dyplomatyczne misje kierowały go do pałacu w Charlottenburgu, że jako wolna personifikacja kroczył pięknymi pokojami i ogrodowymi alejkami, dyskutując i ustalając ważne sprawy, gdy trzeba było przybyć do Królestwa Prus.

Później, gdy Rzeczpospolitą trafił szlag, też tu się pojawiał; a na koniec, krótko przed Wielką Wojną Dziesięcioletnią, która wymazała go z mapy na zawsze, omawiał tu złamaną później deklarację, traktat, który okrutnie wykpiono.

A dzisiaj.... dzisiaj nawet nie przybył jako personifikacja. Przyszedł tu, pod bramę, jako kelner.

A nawet gorzej, jako asystent kelnera, zatrudniony tylko po to, by móc zapanować nad największą imprezą od dziesięciu lat. Westchnął ciężko, wsuwając dłonie do kieszeni i rozejrzał się ukradkiem po pozostałych osobach.

Większość z nich stanowili młodzi ludzie, pewnie studenci albo uczniowie dorabiający do kieszonkowego. Poza nimi dostrzegł jedynie kilka starszych kobiet, które skupiły się w gromadkę i dyskutowały o czymś żywo. Mężczyzna w garniturze, ich tymczasowy szef, rozdawał mapki kompleksu i pouczał, gdzie znajdują się kuchnie, jadalnie i sale balowe.

– Proszę nie oddalać się od wyznaczonych stanowisk i słuchać poleceń... Proszę zachowywać się grzecznie w stosunku do gości... W przypadku... niemiłych komentarzy, proszę zachować pełny profesjonalizm...

Pięknie, pomyślał, krzywiąc się lekko. Ale sam się w to wpakowałem.

Uniżoność i wymuszona grzeczność nigdy nie leżała w jego charakterze; nie umiał uśmiechać się szeroko, gdy ktoś traktował go jak niższego sobie... ale życie już niejeden raz zweryfikowało jego charakter i zmuszało do rzeczy, które niekoniecznie lubił. Dlatego

teraz musiał złapać jakiś kontakt, odezwać się do któregoś z tych obcych ludzi, podczepić się pod grupkę i udawać, że on też sobie tutaj dorabia.

Feliks westchnął ciężko. Jakoś to będzie, przemknęło mu przez myśl. Pracy jako kurier też się cholernie bałem, a jednak udało mi się przetrwać tak kilkanaście lat, oswoić się z codziennym, przelotnym kontaktem z tabunami ludzi, bo trzeba było nauczyć się żyć całkowicie samemu, samemu zadbać o pieniądze na życie... Poza tym, stawka była dużo większa i dotyczyła ważniejszych rzeczy niż jego samopoczucie, więc jedyne, co mu pozostało, to zacisnąć zęby.

Poprawił duszący go krawat, odcinający się czernią od nudnej, białej koszuli i zlustrował wzrokiem pozostałych. Kobieta o dobrotliwych oczach... Nie, on. Ten dzieciak o wystraszonym spojrzeniu i skulonych ramionach, z burzą ciemnych loczków widocznych z daleka, stojący na uboczu i nie włączający się do dyskusji studentów. Feliks z miejsca poczuł do niego sympatię – i gdy tylko otrzymał swoją kopię mapy, ruszył w jego stronę.

– C-cześć! – zagadnął wesoło, chociaż część niego zdecydowanie wolała stąd zwiać. Polska jednak dawno nauczył się, że to, co woli robić, a to, co musi, często leżało na przeciwległych biegunach rzeczywistości. – Też pierwszy raz? – Wcale nie udawał niepewności w swoim głosie; i to właśnie sprawiło, że chłopak – mający na oko jakieś siedemnaście, osiemnaście lat, a w rysach twarzy coś niewinnego, co przypominało Feliksowi Feliciano Vargasa – uśmiechnął się do niego grzecznie i skinął nieco spłoszony głową.

– B-brat mi polecił – wyjaśnił chłopak cicho. – Mówił, że ciężko, ale... ale tutaj zawsze dobrze płacą, a ja... – urwał nagle. – Uch... ty...

– Oskar jestem – Feliks wyciągnął rękę; dłoń nieznajomego była ciepła i niepewna.

– M-mikael – Młodzieniec znów uśmiechnął się nerwowo. – Uch... zarabiasz na studia?

– Na pierścionek zaręczynowy – rzucił Feliks teatralnym szeptem, unosząc z rozbawieniem kącik ust na myśl o reakcji Taurysa na jego słowa. – Druga połówka jeszcze nie wie. Chyba się zdziwi.

Mikael uśmiechnął się nieco szerzej i pewniej.

– Proszę o uwagę! – Kierownik podniósł głos. – Zaraz przejdziemy do kuchni, tam zostaniecie rozdysponowani do swoich zadań, proszę o...

– Mogę się pod ciebie podczepić? – zapytał cicho Polska. – Wiesz... razem raźniej, a nikogo tu nie znam...

– Uch, jasne – Chłopak pokiwał gorączkowo głową. – Ja też nie...

– Mam nadzieję, że będzie się dało wyskoczyć na fajkę... – skomentował od niechcenia Feliks, gdy całą grupą minęli bramę i ruszyli przez dziedziniec zamku. – Wiem, paskudny nałóg, ale jak przyciśnie...

Przekroczyli drzwi; pierwszy punkt planu wykonany.

Pałac pełen był ludzi; Francis Bonnefoy przemierzał galerię, podziwiając pokryte piękną, drewnianą boazerią ściany, zawieszone nań portrety, świecące nad głowami duże, bogate

żyrandole oraz kolejne eleganckie suknie i garnitury gości, wśród których co jakiś czas wyróżniał się czyjś mundur. Wolnym ruchem uniósł kieliszek z szampanem do ust i umoczył wargi.

Kątem oka dostrzegał dyskretnie podążającego za nim żołnierza, pilnującego, by nogi Francji poniosły go do miejsca spotkania – budynku teatru.

Francis nie zamierzał się temu sprzeciwiać. Spokojnie przechodził przez pałac, wiedząc, że o to właśnie chodzi; o rozpłynięcie się w tłumie, przemknięcie tam, gdzie przebywać mieli tylko oni, ci, którym odebrano rolę i imiona państw, praktycznie niezauważeni przez postronnych.

Ciężki czas, pomyślał, uśmiechając się uroczo do młodej kobiety w ślicznej, granatowej sukience zdobionej brokatem. Za każdym razem jest coraz gorzej...

Podczas spotkań w Charlottenburgu każde z nich obierało inną taktykę; on już dawno wziął sobie za punkt honoru rozweselenie pozostałych, sprawienie, by chociaż na moment unieśli kąciki warg w uśmiechu, zamiast popadać w marazm.

Ale i powodów do radości było coraz mniej, stwierdził, smutniejąc. Dopił szampana i rozejrzał się w poszukiwaniu kelnera, by odłożyć pusty kieliszek na tacę. Dostrzegł jednego i ruszył w jego kierunku.

Ostatnim razem siedzieliśmy tak przybici, bo wspominaliśmy odejście...

Gdy stanął przy pracowniku i mimochodem zwrócił uwagę na jego twarz, Francja nagle zamrugał zdezorientowany. Słowa zamarły mu na wargach i poczuł się, jakby dostał obuchem w głowę, bo bohater jego myśli nagle się przed nim zmaterializował.

Kelner – niezbyt wysoki mężczyzna w białej koszuli, z jasnymi włosami gładko spiętymi z tyłu i z oczami jak zielona łąka – też wydawał się zdziwiony. Nagle mrugnął i nim Francja zdążył zareagować, zniknął wśród tłumu, zabierając za sobą pusty kieliszek.

Francis przez dobrą chwilę stał w bezruchu, a potem potrząsnął głową i zaśmiał się pod nosem.

– Jakiż do niego podobny – wymamrotał do siebie, rozbawiony. – Albo mi się wydawało, bo myślałem o... – nie dokończył i westchnął. No nic, stwierdził w myślach, widząc, jak żołnierz za nim przystaje i zerka nań zniecierpliwiony. – Dobrze, już idę...

Umysł płatał mu figle; mógłby przysiąc, że właśnie obsługiwał go Feliks Łukasiewicz, a przecież pochowano go dobrych dziesięć lat temu. Wyobraźnia, stwierdził Francis, ruszając w kierunku wyjścia do ogrodu. Piękny dar, chociaż chwilami bolesny.

Przeszedł przez alejki, widząc już tylne wejście do budynku teatru. Ciepły, wieczorny wiatr pachnący kwieciem i perfumami szarpnął włosami, szturchnął klapy marynarki i przemknął dalej.

Francis rozejrzał się dyskretnie, szukając znajomych osób; o tej porze większość powinna być już w środku, ale może ktoś jeszcze też się spóźnił...

Och, no proszę. Erzsébet.

– Jak miło cię widzieć – odezwał się radośnie, pojawiając się za jej plecami. Ubrana w ciemną, długą sukienkę, stała nieruchomo przy wejściu, wpatrzona w dwóch pilnujących drzwi żołnierzy, zupełnie jakby na coś lub kogoś czekała. Na dźwięk męskiego

głosu tuż za sobą niemalże podskoczyła, ale Francja ledwie to zauważył. – Skróciłaś włosy, kochanie?

– Tak – wymamrotała bezbarwnie, obracając się ku niemu. Sukienka Węgier nie odsłaniała ani ramion, ani dekoltu; Francja uznał ją za ładną, acz mało seksowną. – Ciebie również miło zobaczyć, Francis – powiedziała cicho, bez entuzjazmu w głosie, osłaniając się ramionami, jakby czuła chłód.

Jest przybita, stwierdził bez zdumienia Francja i zrobił to, co uznał za słuszne; postąpił radośnie do przodu i złapał za jej dłoń, chcąc obrócić ją w piruecie tak, jakby znajdowali się na parkiecie. Spodziewał się zduszonego śmiechu albo pisku zaskoczenia; nie zaś tego, że gdy tylko Erzsébet uderzyła plecami o jego klatkę piersiową i owinął ją zapach męskich perfum, ona nagle zesztywnieje ze strachu, a jego ktoś gwałtownie szarpnie w tył.

– Zabieraj od niej łapy – warknął Prusy, łapiąc Francisa za marynarkę i odciągając od kobiety. Ten lekko się zachwiał. – Jesteśmy kumplami, ale nie ręczę za siebie, jeśli jeszcze raz ją dotkniesz bez jej *zgody*, rozumiesz?!

Francja, zdumiony i zdezorientowany, obrócił się ku Prusakowi. Gilbert ubrany był w oficjalny, galowy mundur Imperium; czarny jak węgiel i naznaczony srebrem guzików i sprzączki pasa w tym samym ostrym odcieniu czerwieni, co naramienniki pozbawione oznaczeń.

Czerwone były też oczy; Francis nigdy wcześniej nie widział, by tęczówki Gilberta płonęły takim gniewem. Odruchowo zrobił krok w tył i omiótł spojrzeniem Węgry. Ta skuliła się nagle, odwracając się od nich, ale dostrzegł, jak jej ramiona drżą niepohamowanie.

Żołnierze, również ubrani na galowo, milczeli i udawali, że nic nie widzą, ale zamieszanie już przykuło do nich uwagę snujących się po ogrodach gości.

– Nie chciałem… – zaczął niepewnie Francis, wodząc spojrzeniem od Erzsébet do Gilberta. Ten zmiął w ustach przekleństwo, zerkając na alejki i wyraźnie zaaferowaną grupkę polityków, próbującą z oddali połapać się w tym, co się dzieje. Prusy, grając dzisiaj oficera, pokręcił głową i posłał im wymowne spojrzenie, po którym mężczyźni zerknęli po sobie i w końcu odeszli.

– Spieprzaj – wydusił z siebie Gilbert, kierując krok na Francję. Wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby. – Po prostu… idź – Szarpnięciem głowy wskazał drzwi. – Nie będę… nie będę o tym z tobą rozmawiał.

– Erzsi, przepraszam, ja…

– Nie przepraszaj – Potrząsnęła krótkimi włosami i uniosła wzrok. Spojrzenie miała nieco szkliste, ale na jej policzkach nie było łez. – Nie mogłeś… nie mogłeś wiedzieć – wyszeptała ze zrozumieniem i znów odwróciła wzrok. – Ale Gilbert ma rację. Nie… nie dotykaj mnie więcej. I nie pytaj. Nigdy.

Francis westchnął ciężko.

– Moje biedactwo – wyszeptał miękko, domyślając się już wszystkiego. – Wybacz mi… Chciałem tylko…

– Wiem – Erzsébet wciągnęła powietrze i odezwała się już mocniejszym głosem. – Idź – dodała. – Robimy zamieszanie.

Gdy Francis przeszedł przez dyskretną kontrolę – Prusy upewnił się, że nikt nie patrzy na przeszukujących mężczyznę żołnierzy – i wszedł do środka, posyłając Węgierce ostatnie, długie spojrzenie, Gilbert stanął u jej boku.

– W porządku...? – zapytał cicho.

– T-tak – odparła, unikając jego wzroku. – Po prostu... Zaskoczył mnie – dodała słabiej. – Wiedziałam, że to będzie... trudne, ale... – zawahała się i zamilkła.

– Musiał akurat wtedy, kiedy na chwilę... – Prusy westchnął ciężko.

Węgry zerknęła na niego badawczo.

– W poniedziałek byłeś cholernie zdenerwowany – odezwała się bardzo cicho, by nie dosłyszeli jej żołnierze. Zamrugała, a potem wzięła kilka głębokich wdechów, by się uspokoić. Uniosła głowę, a jej oczy zabłysły zaciętością, jakby usilnie próbowała sprowadzić swoje myśli na inne tory, nie pozwolić sobie samej zagłębić się we wspomnieniach. – Teraz też jesteś. Coś się stało? Bo chyba nie chodzi o tego gościa...?

Pozwolił sobie na lekki uśmiech, na co Węgry uniosła brew.

– Niedługo się dowiesz, o kogo chodzi – odparł weselej Gilbert, a potem, nie czekając na odpowiedź, ruszył do przodu.

Ucieszysz się, pomyślał. Uśmiechniesz. W końcu.

– Żadnego przeszukiwania – dodał ostrzej do żołnierzy, szarpnięciem głowy wskazując na Węgry. – Wiecie, kim jestem, nie? – Uniósł pewnie brew; żołnierze tylko na siebie zerknęli i przytaknęli.

Przepuścili Erzsébet, odsuwając się na boki i, ostrzeżeni przedstawieniem, którego byli świadkami, uważali, by nawet nie musnąć delikatnego materiału jej sukienki, ciągnącej się za nią jak żałobny tren.

Prusy westchnął ciężko. Nie wiecie, stwierdził w myślach. A raczej, wiecie tyle co politycy i oficerowie, a więc niewiele, znacie mnie jedynie z bycia wysoko postawionym delegatem, tajemniczym człowiekiem führera, który pojawia się w Reichstagu i na oficjalnych przyjęciach...

Stąpam po cienkim lodzie, pomyślał, oglądając się za siebie i obrzucając wzrokiem pałacowe ogrody, z wolna zapadające się w sierpniowym zmierzchu. Gdzieś tam był führer, rząd i wszyscy wielcy, i Ludwig.

Oby to wszystko było tego warte, Polen, Litauen, bo nie wiem, jak długo uda mi się kombinować na boku, nim ktoś stwierdzi, że te nadużycia są podejrzane...

Pokręcił głową i ruszył za Erzsébet.

Spektakl rozpaczy w siedemdziesiątą rocznicę zakończenia Wielkiej Wojny Dziesięcioletniej czas zacząć.

Bardzo pragnął stąd uciec. Wsiąść z powrotem do auta, spojrzeć na kierowcę o nieprzyjemnej twarzy, u którego pasa wisiała krótka broń, bo przy spotkaniach w Charlottenburgu środki ostrożności ciągle stosowano.

Chciał spojrzeć na niego i wyszeptać, by odwiózł go do domu, do mieszkania, tam, gdzie zostały cisza i pustka, bo nagle te dwie znienawidzone byty stały się mniej przerażające niż ta skąpana w cieniu, pachnącą kurzem i strachem teatralna sala wśród tętniących życiem ogrodów.

Wiedział, że jeszcze nie może do niej wejść; wiedział, że musi zaczaić się w pustych korytarzach wiodących do garderób, magazynów i wszystkich tych pomieszczeń w budynku pałacowego teatru. Prusy obiecał; wprowadzi cichcem Feliksa, wywabi Nikolaia z sali teatralnej i Taurys będzie mógł zamienić z nim kilka ważnych zdań z dala od oczu innych personifikacji.

Korytarzy na szczęście nikt nie patrolował, jakby uznano, że straż przy głównych drzwiach i w sali załatwi sprawę. Tylnego przejścia z ogrodów też pilnowali żołnierze, ale Gilbert zapewniał, że jest jeszcze jedna ścieżka, bezpieczna droga dla obsługi, prowadząca bezpośrednio z lewego skrzydła pałacu i Feliks na pewno odnajdzie tę lukę w zabezpieczeniach.

Jeśli ktoś go spyta, powie, że się zgubił, powtórzył Litwa w myślach słowa Prus, chcąc uwierzyć, że ten element planu pójdzie gładko. Oczami wyobraźni widział zmieszanego Polskę, tłumaczącego się nieporadnie jakiemuś gościowi, a potem odchodzącego tylko po to, by przeczekać i w odpowiednim momencie znów się tam przekraść.

Tak, stwierdził. To ma szanse powodzenia, duże szanse.

Odetchnął i rozejrzał się ukradkiem po niewielkim magazynie, w którym się przyczaił. Historyczne stroje, pokryte grubą warstwą kurzu, peruki, repliki broni – dotknął ostrza szabli i tak jak się spodziewał, był to bardzo stępiony egzemplarz – fragmenty dekoracji, kurtka od munduru, rzucona niedbale na jakieś pudła, buty z noskami, biała koszula, której zdobienia przypominały mu...

Skup się na zadaniu, Lietuva, skarcił się w myślach i wziął głęboki oddech. Załamywać się będziesz później.

Na opustoszałym korytarzu usłyszał kroki; szybkie, męskie, zniecierpliwione.

– Zabiję chuja – szeptał znajomy i poirytowany głos, podczas gdy jego właściciel przemierzał korytarz. Teraz. – Co ten Prusak znowu...

– Nikolai...! – zawołał Litwa zduszonym głosem, przylegając do uchylonych drzwi. – Nikolai, *hier*!

Białoruś zatrzymał się w pół kroku. Zmarszczył brwi, rozejrzał się czujnie, a potem przypadł do drzwi, łapiąc za klamkę.

– Co wy, kurwa, kombinujecie? – wyszeptał ostro, zerkając za siebie. – Ty i on, co?

Taurys dopiero po chwili zrozumiał, że Nikolai mówi o Gilbercie. Pokręcił głową.

– To ważne – wyszeptał, cofając się i dając tym samym do zrozumienia Białorusi, by wszedł za nim w ten ciemny, zakurzony magazyn, jedyny, który jakimś dziwnym trafem pozostał otwarty. – Musimy porozmawiać.

Białoruś syknął przez zęby, ale wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi.

– Co to za szopki? – zapytał szeptem. Litwa poniewczasie zorientował się, że Nikolai odpowiedział w tym samym języku, w którym Taurys się odezwał pierwszy, a więc po

niemiecku. – Co tu się dzieje, Letuwa? Prusy biega jak kurczak z odciętą głową, wiem, że on jest ostatnio wiecznie wkurwiony, ale dzisiaj wygląda, jak tykająca bomba. A ty się chowasz tutaj. Co się, kurwa, dzieje i czego ode mnie chcecie? Katia na mnie czeka – warknął Nikolai, a Litwa natychmiast poczuł się mniej pewnie. Białoruś na ogół nie bywał miły, ale wkurzony Białoruś to był zupełnie inny poziom. – Nie widziałem mojej siostry od siedmiu lat, więc jeśli to jakaś głupota... – Groźba zawisła w powietrzu, ale Taurys znał Nikolaia wystarczająco długo, by aż tak bardzo się nią nie przejąć.

– To bardzo ważne – Litwa spojrzał Nikolaiowi w oczy. Czas działać. – *Musisz* o tym wiedzieć.

– To mów, byle szybko – Białoruś zmarszczył brwi, teraz już zaniepokojony.

– Rosja... – Litwa nagle się zawahał.

Nikolai natomiast zesztywniał i nie spuszczał już z niego oczu. Ich oczy, pomyślał Taurys. Są niemalże identyczne. Wytrącony z równowagi, cofnął się o pół kroku, a potem potrząsnął głową, by rozwiać niechciane wspomnienia.

– Rosja interesuje się wschodnimi terenami Imperium – powiedział z naciskiem. – I nie jest to zainteresowanie pokojowe. Rozumiesz, co mam na myśli?

– W powietrzu wisi wojna? Skąd o tym wiesz? Letuwa, w coś ty się znowu wplątał? – spytał ostrym szeptem Nikolai. – Nie jesteśmy już...

– W to, w co też jesteś już wplątany, chociaż jeszcze o tym nie wiesz – odpowiedział cicho Taurys. Wziął głęboki oddech. – Nikolai, ja wiem, że... wiem, że nie mogę... Jest twoim bratem... Ale przemyśl to. Przemyśl wszystkie potencjalne skutki i podejmij dobrą decyzję, proszę.

Białoruś milczał; Litwa wyciągnął z kieszeni dwa strzępki papieru.

– Jestem pewny, że ktoś stamtąd niedługo się do ciebie odezwie – wyszeptał drżącym głosem. – Będzie chciał mieć ciebie i Katerynę po swojej stronie.

– Więc teraz jesteś po stronie Niemców, co? – zapytał cicho Nikolai, przyglądając się małej notatce. Nie sięgnął po nią.

– Jestem po stronie cywili – odparł gorzko Taurys. – Ludzi, którzy przestali być moi, ale ja nie przestałem być ich i zamierzam patrzeć, jak znowu... – urwał i pokręcił głową. – Wiesz, jak teraz toczy się wojny. Widziałeś ostatnią. Wiesz, że cywilów nigdy nikt nie chroni, chociażby traktaty i konwencje mówiły co innego. Broń, której się w tej wojnie użyje... ona jest stworzona tylko do niszczenia. Nikolai, proszę – Wsunął w dłonie Białorusi papier. Nikolai nie odtrącił jego palców ani nie wyrzucił świstków, co Taurys wziął za dobrą monetę. – Tam jest numer – wyszeptał. – Bezpieczny, niezarejestrowany. Gdyby się z tobą skontaktowali... zadzwoń do nas. Proszę. Daj drugi Katii, porozmawiaj z nią. Będą chcieli... będą chcieli ją wykorzystać, oszukać... Ona ma dobre serce, zbyt dobre...

– Zadzwonić do was? – powtórzył Białoruś. – Z kim działasz, Letuwa? Z Prusami?

– Tego nie mogę ci powiedzieć. Na razie – odparł Litwa i zdał sobie sprawę, że to błąd; że właśnie naprowadził Białoruś na to, że jest jeszcze ktoś inny.

– Dopóki nie będziesz miał pewności, że nie przekupią nas obietnicą spotkania z *naszym bratem*? – spytał cicho Nikolai, wpatrując mu się prosto w oczy. Żołądek Taurysa ścisnął

się boleśnie. – Nie widzieliśmy Iwana siedemdziesiąt lat, Letuwa. Rozumiesz? A teraz przychodzisz do mnie i mówisz...

– Ja po prostu nie chcę, by znów ginęli ludzie – odparł smutno Litwa, uciekając wzrokiem, bo to spojrzenie było zbyt podobne do oczu Iwana, chociaż w tęczówkach Nikolaia nigdy nie gościło okrucieństwo.

Opryskliwość, chłód, niechęć, owszem, może i niekiedy agresja, ale nie czyste okrucieństwo. Plecy zaswędziały, gdy w cienkiej, eleganckiej, ciemnośliwkowej koszuli oparł się o szorstki materiał jakiegoś kostiumu, o jakieś futrzane obramowanie rękawów.

– Dlatego, że... że ktoś w gabinecie zechciał wyrwać innemu człowiekowi w gabinecie kawałek ziemi.

Nikolai milczał przez chwilę, wodząc spojrzeniem po zgromadzonych dookoła rekwizytach.

– Ty załatwiłeś mi mieszkanie w Itteville? – zapytał nagle oschłym głosem. – W biurze relokacji nic nie załatwiłem, ale parę dni później dostałem list, że jednak doszło do pomyłki w rozdysponowaniu mieszkań. Ostatnio chyba dobrze dogadujesz się z Prusakiem, co?

– Po prostu niektóre rzeczy przestały mieć znaczenie – odpowiedział Taurys. A o niektórych przestałem pamiętać, dodał w myślach.

Białoruś westchnął. Rozpiął guzik koszuli i nagłym ruchem odsłonił pierś. Na jasnej skórze, między sutkiem a obojczykiem, czerniał tatuaż. Taurysowi zaschło w gardle; w oczy uderzył go zarys rycerza z uniesionym mieczem, dosiadającego stającego dęba konia.

– *Pahonia* – wyszeptał. – *Baltarusija*...?

– Pamiętaj, czym jesteś, *Litwo* – rzucił Nikolai po rusku, a potem odwrócił się, ściskając w palcach notatki z numerem telefonu. – Niech wam będzie – warknął jeszcze na odchodne. – Porozmawiam z Katią, ostrzegę, ale... ale nie spodziewaj się, że będę w stanie stanąć naprzeciw własnego brata, rozumiesz?

– Oczywiście – wyszeptał Taurys, poruszony usłyszanym imieniem. Litwa. Nie Letuwa. – Dziękuję, Kola.

Gdy został sam, a kroki na korytarzu ucichły, osunął się na pobliską ławkę pokrytą kurzem, by na nowo uspokoić nerwowe, szybkie bicie serca. Pomyśleć, stwierdził z lekkim rozbawieniem i politowaniem dla własnej osoby, patrząc na drżące ręce, że kiedyś byłem w tobie tak cholernie zakochany. Dobrze, że mi przeszło.

Chociaż to.

Gdy oparł się o ścianę za niepozornymi drzwiami dla personelu, gdzieś w pustym i brzydkim korytarzyku, tak odmiennym od wypełnionych przepychem sal bankietowych, Polska odetchnął z ulgą.

Praca kelnera jest totalnie niewdzięczna, stwierdził, czując jak bolą go nogi po bieganiu tam i z powrotem od bladego świtu. Dochodziła dwudziesta; Feliks z chęcią wróciłby już

do mieszkania Litwy i wyciągnął się na kanapie, by trochę odpocząć, ale dopiero teraz udało mu się przemknąć do budynku teatru.

Nie dość, że trzeba ciągle łazić z tacą, to jeszcze cała ta tłuszcza polityków i oficerów traktuje cię jak podnóżek albo, w niektórych przypadkach, jak śmiecia... I cholera jasna, naprawdę mógł odpuścić sobie to mruganie do Francji, stwierdził poniewczasie.

Lepiej nie wzbudzać podejrzeń, skoro we trójkę ustalili, że pokaże się tylko Erzsébet, ewentualnie rodzeństwu Iwana, jeśli Litwie się nie powiedzie.

Prusak mnie zabije, jeśli się o tym dowie, stwierdził w myślach beztrosko, a potem upewnił się, że ma w kieszeni paczkę papierosów. Wymówki, wymówki...

Dwa albo trzy razy znikał na przerwę na papierosa, którą sam sobie wyznaczył, albo chował się gdzieś, udając odpoczywającego cwaniaka, by potem powrócić do pracy – wydawało mu się, że pozostali tymczasowi pracownicy przestali zwracać uwagę na jego wykręty i ograniczali się jedynie do wywracania oczami.

Musiał zostać do rana albo do momentu zakończenia prac porządkowych; dopiero wtedy poniesie konsekwencje, ale jeśli wszystko pójdzie gładko i nie zostanie odkryty – poprawił koszulę, po godzinach pracy w tym upale wilgotną od potu, a może i od nerwów – co najwyżej potrącą mu z pensji i nigdy więcej tu nie zatrudnią. Mała strata.

Feliks wziął jeszcze kilka oddechów, poprawił wymykające się spod upięcia włosy, upewnił się, że nikt go nie śledzi, a potem poszedł dalej.

Gdzieś tu, niedaleko, były kolejne drzwi, prowadzące na korytarz ponad sceną. Gilbert miał zająć się tym, by Erzsi znalazła się w loży w odpowiednim czasie, a Feliks nie mógł się już doczekać spotkania z przyjaciółką.

Był zdenerwowany, a milczenie Prus w niczym nie pomagało, chociaż Feliks rozumiał wagę złożonej obietnicy. Kto ją skrzywdził? zapytał siebie w myślach. Co jej zrobiono? Dlaczego mnie wtedy nie było w kraju?

Które to? Feliks zawahał się nagle, patrząc na kilka par drzwi. Zaklął w myślach. Nie miał czasu na szukanie odpowiedniego miejsca, a tego fragmentu budynku nie było na mapie dla personelu.

– Po lewej, Po – usłyszał cichy syk. Uśmiechnął się mimowolnie.

– Jak uroczo – zakpił lekko, łapiąc za klamkę. – Widać, że się stęskniłeś.

– Zamknij się – warknął Prusy, ale cofnął się, by go przepuścić. Znaleźli się w ciemnym przejściu; Gilbert wskazał głową za siebie. – Wiesz, że nie mogę używać pełnych imion, nawet własnego. To już nawyk. Chodź. – warknął. – Nim wszystko się wyda i mnie rozstrzelają za zdradę stanu. Na razie wszystko idzie gładko. Zbyt gładko.

– Przeżyłbyś – Polska wzruszył ramionami.

– Oczywiście, ale wolę nie wiedzieć, ile się dochodzi do siebie po postrzeleniu przez cały pierdolony pluton egzekucyjny – burknął Gilbert.

Stali przed drzwiami do loży, czekając, aż pojawi się Litwa.

Taurys dołączył do nich po paru minutach; zerknąwszy na jego pobladłą, napiętą twarz, Feliks cicho westchnął. Cóż, nie on jeden nie czuł się dzisiaj pewnie i nie był jedynym, który chciał stąd uciec jak najszybciej, goniony strachem i bólem – potrafił wyczytać to

z oblicza Litwy. Uśmiechnął się ku niemu pocieszająco; Gilbert jedynie coś mruknął pod nosem i sięgnął ku klamce.

– Wszystko w porządku? – zapytał cicho Polska. Litwa skinął słabo głową. – Mówiłem, że warto kupić tę koszulę... – dodał, by nieco rozładować atmosferę, ale nie przyniosło to efektu. – Dobra, co mówił Nikolai?

– Na razie chyba skłania się ku naszej sprawie – wyszeptał Taurys. – Ale... ale nie możemy mieć pewności.

– Tak jak myślałem – westchnął Feliks, a potem sprawa Białorusi i Ukrainy uleciała mu z głowy; w loży ponad teatralną sceną, oparta o balustradę, tyłem do nich stała Węgry.

Zarówno w teatralnej sali, jak i w loży światła były pogaszone. Zawsze czuli się bezpieczniej w półmroku; można było schylić głowę i ukryć łzy, a gdyby z nagła ich wszystkich zalało ostre, bezlitosne światło, z jeszcze większym trudem przychodziłoby im trzymanie się, powstrzymywanie się przed rozsypaniem się w proch.

Dlatego, podczas pierwszego spotkania, gdy pozwolono im wybrać miejsce w Charlottenburgu, wybrali teatr.

– Gilbert, powiedz mi, o co... – Słysząc kroki, Erzsébet obróciła się ku nim i znieruchomiała, gdy rozpoznała towarzyszących Prusom mężczyzn. Litwę ledwie musnęła spojrzeniem i otworzyła szeroko oczy, gdy rozpoznała Feliksa.

Ten, zupełnie niepotrzebnie, zszarpał z włosów gumkę, pozwalając im swobodnie opaść na ramiona, a potem, nim Prusy zdążył zorientować się w sytuacji, wyskoczył do przodu.

– Felek – wyszeptała z niedowierzeniem, a w jej oczach zalśniły łzy.

A potem cofnęła się przed jego wyciągniętymi dłońmi.

A więc to Prusy ukrywał, pomyślał oszołomiony Taurys, patrząc jak Feliks zatrzymuje się w pół kroku. Nie musiał widzieć jego oczu. Wystarczyło mu to, w jaki sposób – powoli, bez życia – Polska opuścił ramiona. Potrafił wyczuć szok, nawet jeśli Feliks stał do niego plecami.

Sam tez go czuł.

Feliks ujrzał wreszcie tę, za którą tęsknił i o którą się martwił, swoją bratnią duszę, siostrę z wyboru, ale to spotkanie nie powinno przebiec w taki sposób.

Erzsébet kochana przez Polskę szczerą braterską miłością, której Litwa zawsze zazdrościł, bo była prosta i jasna, łatwa do zdefiniowania, zawsze przynosząca radość. Zupełne przeciwieństwo ich własnej relacji...

Powinna odwzajemnić uścisk, wyszeptać Feliksowi we włosy, że jest kretynem, ale tęskniła, bo był dla niej bratem... A nie uciekać przed jego dotykiem, jakby... jakby się go bała.

To nie była Erzsébet, jaką zapamiętali i właśnie dlatego Taurys opadł bezsilnie na jeden z foteli, patrząc tępo przed siebie. Ona. Ze wszystkich znanych im kobiet, ona, ta dawna wojowniczka, która niejednemu mężczyźnie spuściła łomot...

Erzsébet płakała; łzy szczęścia spływały po jej pobladłych policzkach, ale nie wykonała w stronę Polski ani kroku.

– Przepraszam – szeptała łamiącym się głosem. – Felek... Ty... żyjesz, ja... Chciałabym... chciałabym cię przytulić... ty kretynie, wiedziałam, że Gilbert coś kombinuje... ale nie... nie mogę. Nie potrafię. Coś we mnie... złamano. Ich trzech... I... nie potrafię już znieść... jakiegokolwiek dotyku. Chyba już nigdy nie...

Ramiona Feliksa zadrżały; Taurys podniósł się, nie myśląc nawet o tym, co robi stanął u jego boku, położył dłoń na ramieniu. Zerknął do tyłu, na milczącego Gilberta; ten westchnął i skinął głową.

– Zabroniłaś mi – odezwał się cicho do Węgier. – Nie mogłem ich przygotować. Wybacz, że... że tak wyszło.

Erzsébet otarła oczy wierzchem dłoni.

– Przyprowadziłeś mi go – wyszeptała, mrugając. Jej głos zabrzmiał już mocniej. – Żywego. Feliks. Feliks, cholero. Wiesz, przez co ja... przez co my...? – spojrzała i na Litwę, i na Prusy. – Dlaczego, kochanie? Dlaczego to...?

– Powiedz mi najpierw – głos Feliksa też się załamywał. – Kto... kto cię tak skrzywdził, Erzsi?

Zrozumieli już obaj. Zrozumieli, co kryło się za tym słowem. A Litwa pojął, czemu od sześciu lat Prusy palił jak smok.

– Nie ma ich tutaj – odparła, zaciskając wargi. – Nie... nie mówmy o tym, proszę... Jak? Gilbert, Taurys, jak? – spytała nagle, a potem osunęła się na fotel. Sukienka rozlała się dookoła niej jak plama czarnego atramentu. – Jak to się stało, że...? Wiedziałeś? – spytała nagle Litwę. – Wiedziałeś, że to... że to nieprawda?

– Dowiedziałem się parę dni temu – odpowiedział miękko Taurys, kręcąc głową. Zrozumiał znaczenie czerni. – Też... byłem w szoku. I on też – dodał, wskazując na Prusy.

Ten podszedł do balustrady i lekko się wychylił, sprawdzając, czy nie zwrócili na siebie uwagi osób w dole. Litwa pociągnął Feliksa w stronę rzędu foteli; tak jak Feliks pomógł mu usiąść na ławce w Neukaunas, tak teraz Litwa pilnował, by to pod Polską nie ugięły się nogi.

Węgry mrugała zawzięcie; milczeli wszyscy przez długą chwilę, dając sobie nawzajem czas, by się opanować. Taurys zacisnął palce na leżącej na podłokietniku dłoni Feliksa. Dopiero po minucie Polska odwzajemnił uścisk, jakby budząc się z otępienia, a potem oparł się ciałem o ramię Litwy.

– Przepraszam, że tak długo mnie nie było – wyszeptał Polska w podłogę, kierując te słowa do Erzsébet.

A może do ich obojga, a gdy Taurys zdał sobie sprawę, że bardzo chciałby, by tak było, ścisnęło go serce.

Jeszcze jedno spotkanie.

Czując się jak pijany, Taurys wszedł sam na teatralną salę. Polska został z Gilbertem i Węgrami – ona zdecydowanie bardziej potrzebowała jego obecności, ale Litwa i tak czuł się przeraźliwie źle, nie mając nikogo u swojego boku. Stojąc w drzwiach, tuż obok

żołnierzy, oparty o kolumnę, by utrzymać równowagę, przeczesywał wzrokiem rzędy foteli.

Francis, pochylony do przodu i jak zwykle radosny, rozmawiał szeptem z Belgią, którą milczący Holandia trzymał w silnym uścisku, jakby miała rozpłynąć się w powietrzu, gdyby tylko rozluźnił na moment ramiona.

Ich rozmowie przysłuchiwał się zasępiony Dania, zerkający co chwila na żołnierzy – dostrzegłszy Litwę, skinął mu na powitanie z bladym, pozbawionym wesołości uśmiechem na ustach.

Czechy i Słowacja, to rodzeństwo, któremu Feliks postanowił się jednak nie ujawniać – zbyt wiele osób by wiedziało – rzecz jasna trzymało się razem, trzymając się za ręce. Nad nimi, na oparciu fotela, wisiał Rumunia, nieporadnie próbując wtrącić się w niesłyszalną z tej odległości rozmowę.

Nikolai siedział przy Ukrainie, ściskając mocno jej dłonie i szepcząc coś do jej ucha. W półmroku Kateryna wyglądała na bladą i wyniszczoną, a po jej policzkach spływały łzy. Taurys szybko odwrócił wzrok, nie chcąc zakłócać ich spotkania.

Czując, że zaczyna brakować mu sił – sala pachniała kurzem, bólem i solą – Litwa rozejrzał się jeszcze raz, a lęk prawie go unieruchomił, usadził w miejscu, jakby stopy przywarły mu do ciemnego dywanu.

Są… tam, w tym kącie, gdzieś za dziesiątym rzędem foteli… Przełykając ślinę, by chociaż trochę załagodzić potworną suchość w gardle, ruszył w ich stronę, nie ufając własnym nogom, czując, że lada moment, a upadnie gdzieś w przejściu, gdy odmówią mu posłuszeństwa.

Drugi rząd… Trzeci… Ktoś go uściskał, prawie dusząc, chyba Kateryna, ale nie był pewny, bo i bez tego nie mógł już oddychać. Czwarty, piąty…

– Miło cię widzieć… – szepnęła mu Czechy. Nie widząc jej, Taurys skinął nieprzytomnie głową.

Szósty, siódmy… Nikt nie wyglądał tu dobrze; nawet Francis, który do niego wesoło zamachał, w końcu go dostrzegłszy, miał w oczach pustkę, chociaż na pozór trzymał się całkiem nieźle i wyglądał jak jeden z wielu gości, którzy teraz dopijają wino w pałacowych ogrodach… Ósmy, dziewiąty, dziesiąty…

Wszedł między fotele, osunął się na pierwszy z brzegu, ledwo świadomy miękkości zakurzonego pluszu. Jeszcze… jeszcze…

– Latvija… – poruszył wargami. – Estija…

Jeszcze żyją.

Łotwa zawsze był niski i drobny, ale teraz, zwinięty w kłębek na fotelu i patrzący na wszystko wygasłymi oczami, z głębokimi cieniami pod nimi, wydawał się jeszcze mniejszy. Biała koszula wisząca na nim jak na wieszaku i za długi krawat w innych okolicznościach mogłyby wyglądać śmiesznie; dziś wyglądały koszmarnie.

Jego obleczone skórą, wychudłe dłonie ściskał Estonia. On też przypominał wychudłego wampira ze starych czarno-białych filmów, śmiertelnie blade dziecię nocy, które stało na granicy między światami żywych i umarłych.

Nie raz widziałeś umierających ludzi...

Litwa poczuł dotyk. Ciepłe, żywe palce oplotły się wokół jego dłoni, przypominając: jeszcze nie, jeszcze nie, jeszcze...

– Cześć – Łotwa uśmiechnął się tak, jak robią to przewlekle chorzy, cienie ludzkie na łóżkach szpitalnych, spokojne i świadome końca pół-zjawy, ci, którzy zdołali pogodzić się z nadejściem śmierci. – Spóźniłeś się trochę, nie? – dodał, a Litwa z trudem rozpoznał łotewski.

– *Guten Abend, Litauen* – odezwał się Edward cicho, bez cienia estońskiego akcentu.

Taurys nie był w stanie wykrztusić słowa. To on umrze pierwszy, zrozumiał, prawdziwie umrze. Potem będziemy ja i Łotwa – Łotwa zamrugał gęsto i pociągnął nosem, rozumiejąc zapewne jego myśli – a potem, dopiero potem, cała reszta...

Poczuł na wargach sól, a na sobie czyjś wzrok. Odwrócił się, poderwał głowę, a gdy przez łzy zauważył błękitne, nieruchome oczy, po raz pierwszy od lat poczuł nienawiść.

Na balkonie stali bracia Beilschmidt. Ludwig miał spojrzenie chłodne, a z jego beznamiętnej twarzy nie dało się wyczytać żadnej emocji. Stał nieruchomo, jak rzeźba, jak aryjski anioł z dawnych idei, wpatrzony w to, co z nimi zrobiono.

Prusy, w przeciwieństwie do młodszego brata, nie przyglądał się żadnemu z nich. Odwracał wzrok i opuszczał głowę, patrzył po szpalerze żołnierzy, po kurzu wirującym w powietrzu, po zasłonach tak ciężkich i ciemnoczerwonych jak jego spojrzenie. Gdyby ktoś poprosił Taurysa o zlustrowanie słów „to nie tak miało wyglądać", wskazałby Gilberta bez wahania.

W dawnych czasach, pomyślał Litwa, wszyscy tu obecni wielokrotnie się wzajemnie niewolili, ale nigdy wcześniej... Nigdy wcześniej żaden z nich nie obdarł swych jeńców z ich narodów w takim stopniu, jak zrobiła to Zjednoczona Rzesza Niemiecka.

I tylko Ludwiga Beilschmidta zdawało się to nie przerażać.

Nie pamiętał, jak w środku nocy wrócił do domu, czy odwiózł go kierowca z bronią czy sam złapał taksówkę; po raz pierwszy od dziesięcioleci miał w ustach alkohol, a ten uderzył w niego mocno, splótł się ze strachem, zmęczeniem i tym przeraźliwym bólem, pozostawiając go ledwo przytomnego.

Erzsébet. Gwałt. Edward. Agonia. Łotwa. Strach. Feliks. Jego wypełnione cierpieniem oczy.

Z trudem trafił kluczem do zamka; dłonie trzęsły mu się jak w febrze. Nie trudząc się zamykaniem drzwi, wszedł do środka. Kot, stęskniony, otarł mu się o nogi, ale gdy Litwa się zatoczył, umknął z oburzonym miauknięciem.

– Prze-przepraszam, mała – wyszeptał łamiącym się głosem. Z trudem zdjął buty, a potem, w drodze do pokoju, zszarpał z siebie krawat. I nic więcej; po prostu opadł na łóżko i schował twarz w pościeli.

Nie wiedział, ile tak leżał, zatopiony we własnej rozpaczy, w bólu, który tlił się zawsze, a teraz wybuchł pożogą, spopielając serce.

Serce, które jeszcze jakimś cudem biło, a przy którym po chwili poczuł kocie ciepło.

– Nie chcę umierać – wyszeptał do Berty, słuchając jej mruczenia. – Nie chcę być sam, rozumiesz? Tak bardzo nie chcę... Nie chcę, żeby oni...

Gdy zabrakło mu łez, gdy oczy zaczęły piec, a głowa ćmić potwornym bólem, usłyszał jeszcze skrzypnięcie wejściowych drzwi. To mógł być Feliks, to mógł być włamywacz – Litwa nawet nie uniósł głowy.

– Licia...? – cichy, smutny głos rozbrzmiał gdzieś u drzwi jego sypialni.

Nie był w stanie odpowiedzieć; w ciemności poczuł jedynie dłoń dotykającą jego łopatki; gest mały, ale cenny. Ciepło. Miękkość.

Życie zamiast chłodu, pustki, ciszy i śmierci. Nawet kotka nie próbowała odstraszyć Feliksa, jakby rozumiejąc, jak bardzo Taurys potrzebował teraz jego obecności.

– Przepraszam, że zniknąłem – odezwał się Polska bardzo cicho, ale i tak Litwa usłyszał drżenie jego głosu.

– Miałeś powód – wychrypiał w końcu Litwa. – To było ważne.

– Ale i tak przepraszam... Jeszcze raz... Nie było mnie tu. Nie... nie było mnie tu, gdy... gdy zrobiono jej krzywdę... gdy ty byłeś sam... Gdybym tylko wiedział, że jest już tak źle... Coś bym... coś bym skombinował... Prusy by pomógł...

Litwa odsunął głowę od poduszki, by zaczerpnąć chociaż trochę powietrza; w świetle dochodzącym z ulicy widział srebrne strużki na policzkach Feliksa.

– Na nic były te zakupy... – rzucił bez ładu i składu, próbując wydusić z siebie cokolwiek, co nie było łkaniem. – Znowu będę nosił czerń.

Milczeli długą chwilę, wiedząc, że słowa nie mogą niczego zmienić.

– Nasi ludzie... – wyszeptał nagle Litwa, czując jak słowa z trudem przechodzą mu przez gardło, jak stają tam jak kość. – Nikt... nikt ich nie krzywdzi.

– Tak, Liciu – wyszeptał Feliks bez uśmiechu.

– Są szczęśliwi.

– Tak.

– A my umieramy...

– Tak...

To było najlepsze podsumowanie ich żałosnej egzystencji, pomyślał gorzko Litwa i znów schował twarz w poduszkę.

Feliks siedział przy nim jeszcze chwilę, samemu przełykając łzy. Potem, wsłuchany w uspokojony snem oddech, sięgnął po kołdrę. Zarzucił ją na śliwkową koszulę Litwy i wolno wstał.

– Wiem – szepnął, wychodząc po cichu z sypialni Taurysa. Czuł się zmęczony, ale wiedział, że nie zaśnie; a nawet jeśli, to był pewny, co ujrzy w snach i za bardzo się tego bał. Zaświecił światło w kuchni i uśmiechnął się na widok starannie poukładanych, zaszyfrowanych notatek. – Ale mamy ostatnią misję i musimy jej podołać, Licia. Ja, ty, Prusak, Erzsi...

Nim zabrał się do pracy, w łazience obmył twarz z łez.

Rozdział XIV: Dzień wytchnienia

Pierwszym dźwiękiem, który dotarł do jego umysłu, gdy litościwy sen w końcu go opuścił, było rytmiczne stukanie kropel deszczu o szybę. Leżał tak długą chwilę, rozpaczliwie zaciskając powieki i chowając twarz w poduszce, w naiwnej nadziei powrotu do snu. Ostatnią rzeczą, jakiej Litwa chciał tego niedzielnego poranka, było przebudzenie.

Nie pamiętał swych dzisiejszych snów, ale wolał je, nawet jeśli były koszmarami, od jeszcze gorszej rzeczywistości. W końcu, po paru minutach takiego leżenia w bezruchu, zrozumiał, że na próżno się łudzi; uporczywe pomiaukiwania kota tuż przy jego uchu były coraz głośniejsze, a on sam z każdą chwilą zdawał sobie coraz bardziej sprawę z tego, jak niewygodnie jest mu we wczorajszym ubraniu.

Zmusił się do uchylenia powiek; ujrzał rude futro i nieruchome oczy Berty. Zwierzę leżało obok jego twarzy, zwijając łapy pod brzuchem.

– Głodna jesteś, co? – wychrypiał Litwa i właściwie tylko dlatego usiadł. Kołdra zsunęła mu się z ramion. Niecierpliwie i nieco nieprzytomnie spróbował rozpiąć guziki pomiętej koszuli.

Kot wskoczył mu na kolana, zaczepiając pazurami o eleganckie spodnie, a potem zwinął się tam w kłębek. Taurys cicho westchnął, muskając dłonią sierść zwierzęcia.

Czuł się bardzo źle; głowa bolała go od wczorajszego alkoholu i wylanych łez, a i dusza nie miała się najlepiej.

Przez chwilę po prostu siedział na łóżku, głaskając mechanicznymi ruchami Bertę i wpatrując się tępo w biurko – wygaszony monitor komputera i dokumenty ze szkoły, całkowicie teraz nieistotne – aż wolno wstał, marząc o kawie w dużych ilościach.

Wczorajszy dzień, a właściwie wczorajszy wieczór, kotłowały się w głowie, sprawiały, że żołądek zaciskał się boleśnie w nerwach, strachu i bólu. Pogoda za oknem jakby odzwierciedlała to, co się w nim działo – mimo połowy sierpnia niebo zasnuły stalowoszare chmury, z których nieustępliwie padał deszcz, spowijając Berlin mleczną, zimną mgłą.

Pocierając dłonią oczy, Litwa dotarł do kuchni, próbując myśleć jedynie o kubku z gorącą goryczą, mając nadzieję, że znajomy smak postawi go na nogi. Berta podążyła za nim i wskoczyła po kuchennych meblach na lodówkę.

Taurys zatrzymał się w progu i obrzucił spojrzeniem zabałaganiony stół. Po blacie walały się notatki, na krawędzi stał pusty kubek, a zaraz obok niego leżała głowa śpiącego Feliksa, oparta na ramionach okrytych cienką, kelnerską koszulą.

Litwa zerknął na zegar. Nie był pewny, o której wrócił, ale podejrzewał okolice drugiej w nocy. Westchnął ciężko i podszedł po cichu bliżej. Ostrożnie zabrał kubek, by Polska nie strącił go jakimś przypadkowym ruchem, a potem dotknął delikatnie jego ramienia.

– Feliks – szepnął. W odpowiedzi usłyszał nieartykułowane mruknięcie. – Hej. Idź do łóżka...

– Która… która godzina…? – wymamrotał Polska, prostując się nieco. Taurys cofnął dłoń, a Feliks zamrugał i, krzywiąc się, sięgnął do swojego karku. Oczy miał podkrążone. – O szlag, auć…

– Szósta – odparł cicho Litwa, przesuwając wzrok na po notatkach. Musiał niedawno usnąć, ocenił, patrząc na ilość zapisanych kartek.

– Kawa…? – wychrypiał Feliks nieprzytomnie. Mrugał zawzięcie, próbując przegonić sen z powiek, ale Litwa widział, że to będzie ciężka walka.

Pokręcił głową.

– Później – powiedział cicho. – Idź się jeszcze położyć. Zajmę się tym – dodał, wskazując na notatki. Podejrzewał, że znajdzie tam wczorajsze spostrzeżenia dotyczące stanu pozostałych personifikacji; lektura zapowiadała się niezwykle przykro.

– Mmm… – Feliks zamrugał i spojrzał na Taurysa nieco przytomniej. – Jak… Jak się czujesz?

Litwa westchnął, a potem osunął się na drugie krzesło i przymknął oczy.

– Myślałem, że będę na to lepiej przygotowany – przyznał.

Feliks nie odpowiedział od razu. Dłuższą chwilę wpatrywał się w stół; kurtyna poplątanych włosów przysłoniła jego twarz.

– Ja też… – odpowiedział. – Nie sądziłem, że w ciągu kilku lat to wszystko tak się pogorszy… Patrzyłem na was z balkonu – dodał po chwili, a Litwie coś stanęło w gardle, zmiażdżyło słowa, które chciał wypowiedzieć.

Więc widział?

Teraz, gdy Litwa o tym pomyślał, zdał sobie sprawę, że Erzsébet nie zjawiła się w sali teatralnej. Cała trójka, razem z Gilbertem, musiała obserwować z wysoka to, co działo się poniżej i nagle Taurys pobłogosławił spowijający teatr półmrok.

Może nie widzieli dokładnie, jak wiele łez wylał, rozmawiając drżącym głosem z Estonią i Łotwą, jak pod sam koniec spotkania Białoruś podszedł do niego bez słowa i uścisnął go krótko i szorstko, ale mocno, bo kawał ich kończącego się życia spędzili razem. Jak Taurys uśmiechał się bezsilnie, gdy Francja, jedyna udająca jeszcze radość osoba, próbował zająć go rozmową o niczym.

Jak próbował nie rozlecieć się na kawałki, chociaż czuł się jak rozbita porcelana, trzymającą się w całości jedynie dzięki prowizorycznej, odklejającej się taśmie zwanej czasem.

– Czy Erzsébet… – zaczął po chwili duszącego milczenia, gdy Feliks nie powiedział nic więcej, nie dał do zrozumienia, że widział tę bezsilność i kruchą słabość, którą Taurys w tamtej chwili sobą reprezentował. – Ona się zgodziła się, prawda…?

– Najpierw wygłosiła mi kazanie – Feliks wywrócił oczami. – Potem powiedziała, że… że chce, by jej życie znów było normalne. I… i ma dość…

– …dość zastoju – dokończył Taurys cicho. Polska pokiwał głową. – I dlatego… dlatego chce działać z nami. Rozumiem.

I faktycznie rozumiał; nie było niczego gorszego niż dziesięciolecia marazmu, niezmieniającej się codzienności kontroli, a jeśli dodał do tego krzywdę, która ją spotkała, nie dziwił się wcale jej decyzji.

– Erzsi chce nam pomóc – Feliks uśmiechnął się smutno. – Wiesz, jaka jest... A może była?

W jego głosie zabrzmiał ból; Taurys odczuł potrzebę wyciągnięcia dłoni, położenia jej na opadłym ramieniu, ale ich dwóch dzielił stół, więc się powstrzymał. Zdumiony, na chwilę zerknął w bok.

– Gdybym tylko ich dorwał... – mruknął Polska mściwie. – Zabiłbym... – Wziął głębszy oddech. – Chcę, by ona znów się uśmiechała, Licia... Muszę podziękować Prusakowi – Jego głos stał się odrobinę cieplejszy. – Za to, że jej pilnował. Że nie została z tym całkiem sama. – Nagle spojrzał na Litwę. – Kto by pomyślał, że Krzyżak stanie się takim aniołem stróżem, co? – zapytał wesoło.

Litwa uśmiechnął się półgębkiem, ale nie odpowiedział. Feliks kolejny raz potarł twarz, a potem ziewnął szeroko. Widząc to, Taurys natychmiast podniósł się z krzesła.

– Idź spać – powiedział stanowczo. – Prawie nie zmrużyłeś oka.

– A ty? – Feliks bez sprzeciwu podniósł się wolno z krzesła, a potem oparł rękoma o stół. Powiódł wzrokiem po notatkach i zmarszczył lekko brwi. – Aaa, no tak... – mruknął do siebie.

– I tak nie usnę – Taurys pokręcił głową. Zwykle wcale nie sypiał dłużej; bezsenność wyganiała go z łóżka zwykle koło piątej. – Zajmę się tym. Prześpij się, poczujesz się lepiej.

Polska uśmiechnął się do niego wdzięcznie. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, na blat wskoczyła Berta i, wyraźnie zła, że Taurys jeszcze nie uzupełnił jej miski, syknęła groźnie. Feliks, zaskoczony nagłym pojawieniem się kota, drgnął, ale zaraz potem się roześmiał.

– Dobra, idę, nie poganiaj mnie – rzucił lekko do Berty. – Ty faktycznie masz coś z Prusaka, futrzaku.

Spróbował pogłaskać kota, ale ten natychmiast zeskoczył ze stołu. Polska wzruszył ramionami i wyszedł z kuchni. Litwa odprowadził go spojrzeniem, a potem zerknął na podłogę, na kota, który właśnie zaczął ocierać się o jego nogi i głośno mruczeć.

– Prosiłem cię o coś – mruknął, przykucając. Berta oplotła ogon wokół przednich łap i spojrzała na niego z wyższością. – Terytorialna... – powtórzył pod nosem rozbawiony, przypominając sobie uwagę Anniki. Pogłaskał kotkę za uchem. – Chyba miała co do ciebie rację, bestyjko.

Najpierw zajął się kocim jedzeniem, a potem postawił kawiarkę na gazie. W międzyczasie przebrał się i w łazience doprowadził się pobieżnie do porządku, myjąc twarz i przeczesując włosy grzebieniem – z lustra znów spojrzało na niego znękane odbicie. Wrócił do kuchni akurat w chwili, gdy kawa zaczęła bulgotać.

Dopiero gdy nasycił organizm kofeiną, zasiadł przy stole i zerknął na notatki Feliksa. Przez chwilę, w kompletnym niezrozumieniu, wpatrywał się w zapiski; potem dotarło do niego, że są po polsku.

Zaklął pod nosem, chociaż mógł się tego spodziewać. Podłamany, na wpół przytomny – wszak widział, jak całodzienna, ciężka praca odbiła się na Feliksie, a doliczyć do tego należało jeszcze nieprzespaną noc – Polska pisał w ojczystym języku, nawet nie zastanawiając się nad tym, czy Taurys będzie w stanie go zrozumieć.

Lit, do cholery, powiedział sobie, zaciskając zęby z irytacją. Mówiłeś po polsku przez lata. Napisałeś mnóstwo dokumentów, przeczytałeś wiele listów. Nie może być tak, że w ciągu kilkudziesięciu lat zapomniałeś język, który znałeś przez stulecia... To nie jest normalne...

A jednak tak było; z trudem przekopywał się przez ciężkie sterty sylab i gubił się w gąszczu ogonków i kresek polskich znaków diakrytycznych, zupełnie jakby był uczniem.

Jakby znów uczył się tego języka pod okiem Feliksa, denerwując się na skomplikowane, gramatyczne reguły i samego Polskę...

Nieświadomie uśmiechnął się pod nosem, bo zagościła w jego umyśle dziwna myśl, stare, intymne wspomnienie, w którym to Feliks bawił się znaczeniem słów, mruczał półsłówka i sugestie, na pozór całkiem niewinne, a Taurys rozumiał połowę z tego, co słyszał i czerwienił się, załapawszy w końcu kontekst i podtekst.

– Języka innej osoby lepiej uczyć się w łożu – mrugnął okiem o wiele stuleci młodszy Feliks z jego wspomnień, a potem umknął w cień, poza światło świec rozłożonych na drewnianym pulpicie pełnym pergaminów i atramentu, przy którym siedział wówczas znieruchomiały Taurys, niepewny czy to wciąż nauka, czy może już zaproszenie...

Wracając myślami do wieku dwudziestego pierwszego, Litwa gwałtownie potrząsnął głową. Ledwie tydzień temu zaczęli znajomość od nowa, prawda? To znaczyło, że odrzucili nie tylko to, co ich poróżniło, ale i to, co kiedyś...

Tylko dlaczego to wspomnienie dzisiaj do niego wróciło? Przez lata te migawki dawnego życia miały zwyczaj raczej od niego odchodzić, znikać w mroku niepamięci, a tymczasem...

Nie, postanowił w myślach, dość. Nie będzie o tym myślał. Musiał skupić się na pracy, zająć się porządkowaniem informacji i udawać, że nie dotyczą one jego bliskich, udawać, że to jedynie suche fakty...

Sięgnął po ołówek i podkreślił jedno słowo, którego znaczenia nie znał. Chyba widział je pierwszy raz, uznał, przypatrując się literom. Brzmiało trochę z francuska, ale wiedza ta niewiele mu dała, nigdy nie było mu z tym językiem po drodze...

Im dłużej siedział nad tekstem, tym szło mu lepiej, ale i tak, gdy na zegarze wybiło południe, a on odsunął od siebie gotowe notatki, czuł się bardzo zmęczony. Dłuższą chwilę siedział z zamkniętymi oczami, chowając je w chłodnych dłoniach – powieki wciąż nieco piekły – aż w końcu usłyszał trzask zamykanych drzwi łazienkowych.

Więc Feliks już wstał; Taurys podźwignął się od stołu i podszedł do zlewu. Starannie opłukał makinetkę z fusów, a potem wsypał nową porcję kawy. Gdy Feliks pojawił się w kuchni, wycierając wilgotne dłonie o spodnie, Litwa już rozlewał ją do kubków.

– Dzięki – mruknął Feliks, ziewając. Oparł się o blat i oplótł palce wokół naczynia. Z przyjemnością zaciągnął się oparami kawy... a potem coś musiało narodzić się w jego głowie.

Po tych wszystkich latach Taurys potrafił to rozpoznać; dostrzec w oczach znajomy, figlarny błysk, sposób, w jaki układały się wargi Feliksa tuż przed wypowiedzeniem idei... Nie był w stanie powstrzymać lekkiego uśmiechu, który sam, bezwiednie, wspiął się na jego usta wprost ze skołowanego serca.

Właśnie tak lśniły oczy Feliksa, gdy wpadał na jakiś pomysł i chociaż Taurys niejeden raz narzekał, że to przynosi więcej szkody niż pożytku, nagle zrozumiał, jak bardzo za tym tęsknił.

Skarcił się w myślach. Nie, nie tęskniłeś. Po prostu...

– Co zwykle robisz w niedziele?

Drgnął.

– Co... co masz na myśli? – spytał ostrożnie.

– Jesteś nauczycielem, ale niedziele masz wolne – wyjaśnił oczywistość Feliks. – Co zwykle wtedy robisz? Bo chyba z muzyki nie ma klasówek do sprawdzenia?

Litwa wzruszył ramionami.

– Nic konkretnego – mruknął, z trudem powstrzymując się od odwrócenia wzroku. – Czytam, idę na spacer, słucham muzyki, gram... Cokolwiek, by zabić czas – Nim on zabije mnie, dopowiedział mu w myślach ponury głosik, którego nie słyszał od dobrego tygodnia. Zagryzł wargi.

Cokolwiek, by nie myśleć, cokolwiek, by zająć głowę i ręce.

– Mam taki pomysł – odezwał się Feliks, patrząc mu w oczy jakoś tak łagodnie, przez co Taurys miał ochotę uciec, krzycząc, że wcale nie jest z nim tak źle, że wcale za moment...

Ale kogo ty oszukujesz?, spytał sam siebie. Jesteś połamany, Litauen... Lietuva. Boisz się samotności i śmierci. I odkąd pojawiło się w tym pustym mieszkaniu inne życie, lgniesz do niego jak ćma do ognia...

– Jaki? – spytał cicho.

– Jest ciężko – Feliks zacisnął zęby. – Będzie ciężko – dodał z naciskiem, potrząsając włosami. – Ale nie możemy przez cały czas o tym myśleć. Musimy od czasu do czasu zrobić sobie przerwę od tego wszystkiego. Zawrzyjmy umowę, Licia. Dopóki... dopóki będzie to możliwe, spędzajmy niedzielę normalnie, jak normalni ludzie. Żadnych spisków, planowania, kontaktów i szpiegowania. Tylko odpoczynek i rozrywka. Zgadzasz się?

Wiedząc, że i tak te myśli będą go prześladować, Taurys niepewnie skinął głową. Tak wyglądały jego niedziele w czasie roku szkolnego, jedyne dni, kiedy nie pogrążał się w pracy; zwykła próba ucieczki od tego, co nad nim wisiało.

– Wiec co proponujesz dzisiaj...? – zapytał szeptem, nie ufając swojemu głosowi.

– Chodźmy na spacer – uśmiech Polski był jak gwiazdy nad nocnym lasem. – I coś zjeść na mieście. A potem.... potem mi coś zagraj, dobrze?

– Nie powinno cię tu być.

Prusy, wyciągnięty na fotelu w salonie, mocniej zacisnął palce na podłokietniku. Na zewnątrz zapadł półmrok, a pomieszczenie oświetlały abażurowe, delikatne lampy, roztaczając wokoło ciepły blask. W tle leciała cicho muzyka; ot, spokojny wieczór w berlińskim domu, bez obowiązków i zadań do wykonania, rzecz tak rzadka, że Gilbert najchętniej przesiedziałby tak do rana, udając, że czas w ogóle nie płynie.

Trochę żałował, że przez tych dwóch frajerów nie zobaczy w tym roku weneckich kanałów, ale urlop mimo wszystko zapowiadał się ekscytująco… Chociaż, patrząc na Ludwiga i jego skwaszoną minę, tylko Gilbert tak sądził.

– To bolało, braciszku – rzucił lekko, przewracając stronę książki, którą zgarnął z półki przy kasie najbliższej księgarni. Powieść była marną romantyczną szmirą, a Gilbert dobre dziesięć minut temu stwierdził, że głównemu bohaterowi przydałoby się solidne lanie, a nie podziw otoczenia. Cóż, uznał, dam to Erzsébet. – Nigdy nie sądziłem, że usłyszę od ciebie coś tak okrutnego.

– Wiesz, o co mi chodzi – Ludwig przysiadł na fotelu po drugiej stronie stolika i posłał bratu poirytowane spojrzenie spod zmarszczonych brwi. Na blacie położył dwie filiżanki z kawą. – Łatwo może się wydać, że wcale nie wyjechałeś z Berlina.

– Nie będą sprawdzać, czy faktycznie pojechałem do Wenedig – odparł niecierpliwie Gilbert, zamykając książkę. – To są moje dwa tygodnie. To, czy tam pojechałem, czy zmieniłem zdanie i będę upijał się w każdym możliwym barze w Berlinie, to moja sprawa.

– Jeśli się wyda, że podczas twojego urlopu siedzisz sobie z obserwowaną personifikacją i rzekomym trupem, to już nie będzie tylko twoja – odpowiedział sucho Ludwig. Prusom nie podobało się jego spojrzenie; niechętne i kalkulujące.

– To wciąż mniejsze przewinienie niż bycie ich wtyką w rządzie – zauważył Gilbert i uniósł brew, ciekaw reakcji Ludwiga na swoje słowa. Ten spoważniał jeszcze bardziej.

– Już to mówiłem – rzucił chłodno Ludwig. – Nie zamierzam ci nic ułatwiać, nie licz na moją pomoc. Już sam fakt, że o tym wiem i nie poinformowałem führera, jest zdradą. Jeśli ta wojna wybuchnie wcześniej, przez was…

– Słuchaj – zaczął niecierpliwie Gilbert, odkładając książkę na stolik. – Wiem, co mam robić, zamierzam to zrobić i doskonale wiem, czym ryzykuję. Rozmawialiśmy już o tym. Ale nadal nie rozumiem niektórych twoich decyzji – dodał ciszej i westchnął lekko. – To dotyczy również ciebie. Jesteś personifikacją, tak jak każdy z nas. Nie czujesz się zagrożony?

Niemcy w pierwszej chwili nie odpowiedział; upił łyk kawy przez zaciśnięte w cienką linię wargi. Prusy obserwował każde drgnięcie palców zaciskających się na filiżance, a potem sam sięgnął po napój. Upił solidny łyk i skrzywił się; paskudztwo. Sam powinien był pomyśleć o zakupach, zamiast żerować na tym, co Ludwig akurat miał w lodówce i w szafkach.

W duchu musiał przyznać Litwie jedną zaletę; wiedział, jaką kawę kupić i jak ją zaparzyć. Ten ludzki wrak przynajmniej miał jeszcze niewypaczone kubki smakowe. Ludwig zaś kompletnie nie miał gustu.

– Rzekomo chcą nas się pozbyć – Niemcy uniósł brew z politowaniem, odkładając filiżankę. Prusy wywrócił oczami, zirytowany jego tonem. – Nadal nie widzę w tym sensu. Po co pozbywać się lojalnych ludzi?

– Ot, proste – Prusy niemalże warknął, mając wrażenie, że jego młodszy brat jest ślepy. – Kilkusetletni frajer, który zna całą historię na pamięć, jest niewygodny, gdy trzeba ją naginać do swoich potrzeb. Tak jak u nas.

– Nasz kraj zniwelował ich pozycję – Niemcy pokręcił głową, nie reagując na ton brata. – Odsunął od polityki kraju, który wymagał zjednoczenia na wielu poziomach. Na swoich miejscach zostali tylko ci, którzy powinni, czyli ja i ty, zgodnie z aktualną mapą. Taki przykład chcą wziąć z führera? Czy może...

Prusy przymknął oczy; potem zacisnął pięści.

– Byłeś tam wczoraj – zaczął, a w jego głosie zabrzmiała oskarżycielska nuta. – Podobał ci się ten widok?

– Gilbert – zaczął Niemcy ostrzegawczym tonem. – Tu nie chodzi o to, czy mi się to podoba, czy nie. Tak po prostu jest, to naturalna kolej rzeczy. To skutek ujednolicania kraju. To imperium rozpadłoby się, gdyby pozwolono współistnieć tylu etnicznościom i narodom, z których każde ma swoje interesy. Takim państwem łatwiej kierować, różnorodność podległych ludzi sprawdza się tylko podczas wojny, gdy...

– Tak, dziel i rządź, wiem – prychnął Gilbert. – Ten kraj już to przerabiał, za pierwszego führera. I tak połowy grzechów nie ma już w podręcznikach, by było ładniej... Ale – kontynuował wzburzony. – Ale jakimś cudem Kraj Autonomiczny Prus – Szyderczym niemalże gestem wskazał na siebie. – Całe to terytorium nad Bałtykiem, od dziesięcioleci pozostaje częściowo niezależne politycznie, promuje własną kulturę, podkreśla, że jest nieco odrębnym bytem... Oj, chyba to przeczy twoim słowom. – zakończył sarkastycznie, widząc jak Niemcy odwraca nagle wzrok. Prusy westchnął ciężko i zapadł się w fotelu.

– Zorientowałeś się – wyszeptał. – Zorientowałeś się po paru latach, że zacznę słabnąć, jeśli narzucicie mi z führerem jednolitość, jeśli i mi siłą zabierzecie historię, kulturę i tożsamość, tak jak reszcie. Trochę pofałszowaliście mi historię, by była spójna z resztą imperium, ale Prusacy wiedzą, kim są...

– Będziesz mi teraz wyrzucał to, że chciałem cię ratować? – warknął nagle Ludwig, wstając gwałtownie. – To, że jesteś dla mnie ważniejszy niż ta cała banda?

– Nie – odparł cicho Gilbert dziwnie bezbarwnym tonem. Ludwig spojrzał na niego mniej pewnie. – Bo na twoim miejscu zrobiłbym to samo, ale... – syknął przez zęby, powiódł wzrokiem po salonie, jakby szukając słów, które chciał wypowiedzieć, by zostać dobrze zrozumianym. – Tylko... jakiś porządek świata, naszego świata, świata naszego gatunku, został zaburzony. I każdego dnia widzę tego efekty, widzę jak ta banda, jak ją określiłeś, zapomina własnych języków, zapomina własnej przeszłości, traci siły, z wolna umiera!

Uderzył pięścią o stolik; filiżanki zadygotały, kawa rozlała się na spodeczkach.

– I nikt nigdy nie spytał mnie, czy ja chcę na to patrzeć – warknął Gilbert, unosząc oczy. Ludwig przyglądał mu się znieruchomiały i nieco pobladły. – Nikt nie zapytał, czy

się zgadzam na to, by ich pilnować i kontrolować. Taki wydano mi rozkaz, führer kazał mi to robić. I wiesz co? Ja już mam w dupie i jego, i jego rozkazy.

Niemcy milczał, stojąc z opuszczoną głową, Prusy zaś nie przestawał; podobnie jak podczas pierwszego spotkania z Polską, jego emocje w końcu wybuchły płomieniem tak szkarłatnym, jak jego oczy.

– Nie do tego zostaliśmy stworzeni. Nie tak to funkcjonowało. Żaden z naszego gatunku nie powinien zostać doprowadzony do stanu, w którym prawie nie pamięta, czym jest... a widziałeś, jak oni wczoraj wyglądali. Nie jesteśmy ludźmi, więc dlaczego ja patrzę na nich i widzę ludzi, których odarto ze wszystkiego? My nie umieramy, a...

– Rzym umarł – Ludwig w końcu poruszył wargami. – I Germania też.

– Pieprzę ich obu – burknął Gilbert. – Nie umieramy w ciągu zaledwie kilkudziesięciu lat. Mało razy któryś z nas znikał z mapy? Spytaj Polskę, akurat mamy go pod ręką. Albo Litwę, przesiedział u Rosji szmat czasu. Ma piękne ślady po jego miłosierdziu – mruknął sarkastycznie. – Ale to nie to sprawiło, że zaczęli zapominać samych siebie.

– Tak – mruknął w końcu Ludwig. – To Niemcy doprowadzili propagandę i kłamstwo do perfekcji... Zamknęliśmy granice na wpływy z zewnątrz, pilnowaliśmy dokładnie tego, co pojawia się w podręcznikach, czego uczy się młode pokolenie... W tym masz rację.

Prusy zazgrzytał zębami i powstrzymał się z trudem, by nie cisnąć czymś przez salon.

– Ale nadal uważam, że to naturalna kolej rzeczy. Po prostu... wymyśliliśmy nowe, skuteczniejsze metody, które przyśpieszyły to, co i tak by nadeszło, Gilbert. Tak to działa, wielkie imperia wchłaniają mniejsze kraje, a z czasem ich mieszkańcy zapominają, że...

Prusy odwrócił głowę, dając bratu do zrozumienia, że nie będzie tego słuchał.

– Nie w taki sposób – powiedział stanowczo, wstając. – A, zapomniałbym – dodał, będąc już przy drzwiach na korytarz. – Dałem im nasz adres. Kup lepszą kawę, Lit zarzyga ci dywan, jak tylko spróbuje tego paskudztwa.

– Zaraz, co zrobiłeś...? – Ludwig zamrugał.

Gilbert uśmiechnął się półgębkiem, nieco mściwie.

– Nie jesteś Szwajcarią, by zachowywać neutralność, gdy wszystko dookoła się wali. Trzeba nam bazy wypadowej, mieszkanko Litwy zbyt często jest nawiedzane przeze mnie i moich kolegów – odparł niewinnie, a w jego oczach zabłysły złośliwe iskry.

– Nie zgadzałem się na to! – krzyknął Niemcy, postępując ku niemu krok.

Gilbert tym razem wzruszył ramionami.

– No popatrz. To tak, jak ja, Bruderherz. Co za zbieg okoliczności.

To był jego ulubiony park w Berlinie; rozległy, pełen wysokich drzew, przypominający bardziej rzadki las niż starannie utrzymywane tereny zielone. Tylko jedna jego część, ta z jeziorkiem, wokół którego postawiono ławki, wyglądała miejsko – nieco dalej żwirowe alejki przechodziły z wolna w ścieżki wydeptane w mchu.

Były takie zakątki, do których nie zapuszczały się rodziny z dziećmi ani właściciele psów, ciche, pachnące ziemią zagajniki, w których można było przymknąć oczy i uchwycić w płuca nikły zapach lasu, odbicie woni starych puszcz.

Ale nawet tutaj, nad samym jeziorem, gdzie zwykle kręciło się najwięcej ludzi, dzisiaj było cicho i spokojnie. Chmury rozwiały się niedawno, świat nie zdążył jeszcze na nowo rozgrzać się słonecznymi promieniami, a mieszkańcy miasta nie wyszli jeszcze ze swoich domów.

Powietrze było świeże, po tafli wody pływały łabędzie, a zieleń łagodziła zmęczenie oczu, uspokajała. Taurys usiadł na ławce, odchylił głowę do tyłu i opuścił powieki, czując jak chłodnawy jeszcze wiatr muska jego związane na karku włosy.

Spacer przez park, podczas którego chłonął naturę, miejską oazę spokoju, i dostrajał się do jej spokojnego rytmu, zdecydowanie mu pomógł. Strach i ból, przynajmniej chwilowo, odeszły.

– Dziękuję – wyszeptał.

– Za co?

Otworzył oczy, szukając Feliksa. Ten przysiadł na oparciu ławki, trzymając stopy gdzieś koło kolan Taurysa. Litwa musiał zadrzeć głowę, by na niego spojrzeć.

– Za to, że to zaproponowałeś – powiedział cicho Taurys. – Przez chwilę o tym zapomniałem, to... to bardzo dużo – zakończył kulawo.

Polska skinął głową i uśmiechnął się do niego słabo.

– Jakoś to będzie.

Jakoś to będzie; słowa, które kiedyś Taurys po wielokroć przeklinał, bo zwykle towarzyszyły tarapatom, w jakie Feliks ich chwilę wcześniej wplątał.

Słowa, których kiedyś nie pojmował, przynajmniej do momentu, w którym zrozumiał kryjącą się za nimi osobistą filozofię. Szukanie pozytywów w nieszczęściu, nieustanna wiara, że los jednak się uśmiechnie, że wszystko się jakoś ułoży... Taka naiwna. Taka polska. Taka feliksowa.

Uśmiechnął się.

– Będzie – szepnął, naiwnie chcąc w to uwierzyć, chociaż ścieżka, którą przed sobą widział, była czarna jak letnia noc i równie krótka. Może jednak... może jednak znajdzie jakieś pochodnie na swojej drodze, które użyczą mu światła i ciepła? Jakoś...

Polska osunął się na siedzenie ławki, mając na ustach delikatny, lekko zdziwiony uśmiech.

Obaj zapatrzyli się w łabędzie, wolno sunące po błękitnej tafli. Ich symbolika, wyłożona przez Annikę w spotkaniu w kawiarni, znów przebiegła Taurysowi przez głowę.

Śmierć, pycha i...

– Piszesz swoje kompozycje?

Zamrugał, zdumiony tym wypalonym nagle pytaniem i dopiero po chwili doszło do niego jego znaczenie.

– Nie – odparł szczerze. – Tylko gram, odtwarzam... Jakoś nigdy nie... – Pokręcił głową, nie kończąc. Kiedyś mu powiem, postanowił. Ale jeszcze nie dzisiaj.

Feliks nie wydawał się zainteresowany wyciąganiem od niego odpowiedzi; może go nie obchodziła, może wyczuł, że Litwa nie chce o tym rozmawiać, podobnie jak

o bliznach, które nosił na swoich plecach, a o których zdążył zapomnieć przez lata spędzone w samotności.

Schwäne, pomyślał Litwa, obserwując ptaki na wodzie. Dwa z nich, pewnie parka, oddzieliły się od stada i ruszyły w stronę młodej kobiety na przeciwległym brzegu. Nie widział z tej odległości, co trzymała w dłoniach – pewnie chleb...

Jeszcze niedawno wysyłałeś mi dziwne wiadomości zza grobu – przypomniał sobie, że musi włączyć komputer, przez ostatnie dni, znękany chorobą, nie miał sił chociażby ruszyć się z łóżka, a przecież ktoś z pracy mógł napisać na jego skrzynkę e-postową – a dzisiaj, jak gdyby nigdy nic, zjedliśmy obiad w restauracji i poszliśmy do parku...

Taki był plan; udawać chociaż przez jeden dzień, odegnać od siebie ponure myśli, cieszyć się połową wakacji, spokojem i odpoczynkiem ciała i myśli... a jednak Litwę nie mogło przestać prześladować poczucie, że już niedługo coś się stanie.

Pojawiło się, gdy wyszli razem, szukając wytchnienia od duszącej atmosfery zapełnionego notkami mieszkania i od wspomnień wczorajszego wieczora, które bolały samym swoim istnieniem. Co chwila wracało, jak natrętna mucha, wkradało się pod warstwę letniego spokoju...

– Licia?

Drgnął.

– Tak? – spytał zmieszany i zawstydzony tym, że dał się przyłapać na pogrążaniu się w nieprzyjemnych myślach. Oczy Feliksa potrafiły przejrzeć go na wskroś; kiedy on stał się taki uważny, taki...?

– Mieliśmy się dzisiaj nie martwić.

Uśmiechnął się blado, słysząc ten niemal dziecinny zarzut. Feliks przechylił głowę i sam też wykrzywił wargi w uśmiechu, jakby rozumiejąc, jak naiwnie brzmiał.

Mieliśmy. Liczba mnoga. Taurys poczuł ciepło w sercu.

– Mogłem te notatki napisać po niemiecku – mruknął jeszcze Feliks. – Wybacz.

– To nic takiego... – Taurys otworzył usta, ale widząc jak Polska kręci głową, westchnął. – Dobra, masz mnie. Było ciężko – przyznał. – Ale dałem sobie radę – dodał szybko. – Wiemy... wiemy już wystarczająco o naszej kondycji... Teraz trzeba znaleźć sposób na bezpieczny kontakt z Erzsébet... Jest w Tuluzie, to szmat drogi od Berlina... Potem Prusy chce zacząć węszyć w biurze führera... Ale przedtem czeka nas jeszcze nie zdradzenie się przed Austrią.

– Sporo problemów – mruknął Feliks. – Zachciało się Prusakowi urlopów...

Litwa sięgnął pamięcią do ostatniego razu, gdy Roderich zastępował Gilberta, a potem pokręcił głową.

– Nie będzie zbyt skrupulatny – stwierdził. – Ale ja do tej pory nie wiem, gdzie leży jego lojalność, więc trzeba być ostrożnym... dużo bardziej niż ostatnim razem.

– To tylko dwa piątki – mruknął Feliks. – Urlop Gilberta kończy się pod koniec sierpnia... Potem wracasz do pracy, nie? – zapytał nagle, przyglądając się Litwie bacznie.

Ten wzruszył lekko ramionami.

– Muszę – odparł spokojnie Litwa. – To moje jedyne źródło utrzymania, poza tym... byłoby podejrzane, gdybym nie wrócił.

– O pieniądze się nie martw – rzucił beztrosko Feliks. – Będę się dokładał do rachunków, mam trochę lewej gotówki, tylko będę musiał skoczyć do banku...

– Nie o to mi chodziło... – mruknął Taurys, ale Polska wydawał się go nie słyszeć. Litwa mimowolnie uniósł wargi w uśmiechu, bo to zachowanie było znajome... i chociaż irytowało, zdecydowanie wolał je niż zimną wrogość i dystans, które między nimi niegdyś rozkwitły.

– Ale racja, trzeba trzymać przykrywkę – mówił tymczasem Feliks. – Ty i Prusak musicie się zachowywać, jak gdyby nigdy nic... Ja mam wolną rękę, wznowię swoje kontakty i...

Umilkł w połowie zdania, bo obok nich pojawiła się grupka młodzieży. Jeden z nich, niewysoki chłopak, wybąkał w kierunku Taurysa powitanie. Ten skinął mu uprzejmie głową.

– Uczeń – wyjaśnił Litwa szeptem.

Polska skinął głową i poczekał, aż grupka odejdzie poza zasięg słuchu.

– Lubisz to? – spytał głosem pełnym wątpliwości.

Litwa westchnął.

– To dobra praca – odparł spokojnie, ale bez przekonania. – Dobrze płacą, jest stała i pewna. Nie trzeba mi innej.

W szkole mógł przemykać korytarzami, umykając przed porannym gniewem dyrektora, udawać, że nie widzi uczniów czytających czasopisma pod ławką i ignorować naruszenia szkolnego regulaminu. Robić swoje, jednocześnie tkwiąc w cieniu, mizerny, niewidoczny nieistotny nauczyciel nieistotnego przedmiotu, cieszyć się z gwaru szkolnego korytarza, łaknąc dźwięku i słów, które nawet nie były skierowane do niego.

– Przywykłem – dodał jeszcze szeptem.

Chmury zniknęły całkowicie; w parku robiło się coraz tłoczniej. Feliks milczał przez chwilę, a potem wstał z ławki.

– Wracajmy – powiedział. – Zagrasz mi klasyków wiedeńskich.

Więc zagrał. Siedząc wyprostowany, opuszkami palców uderzając w klawisze, z oczami utkwionymi w nutach, czuł na swoich plecach wzrok Feliksa.

Polska słuchał w milczeniu, a gdy dłonie Taurysa same, nieopatrznie i wbrew jego woli, zaczęły wygrywać pierwsze takty „Pożegnania", sprężyny kanapy nagle skrzypnęły.

Potem skrzypnęły też drzwi.

Litwa, czując nagłe ściśnięcie w gardle, znieruchomiał, a potem pochylił się nad klawiaturą. Dźwięki umilkły, a on sam, zamykając oczy i kryjąc je w dłoniach, przeklął się w duchu.

Wyszedł... Nie powinien był tego grać, dotykać tej rany...

Po chwili usłyszał cichy stukot, a w nozdrzach poczuł zapach świeżo zaparzonej kawy. Oderwał dłonie od twarzy, spojrzał na kubek stojący na fortepianie, a potem odwrócił się za siebie.

– Graj dalej – szepnął miękko Feliks, stojący z własnym kubkiem gorącej jak sierpień kawy, z oczami lśniącymi od łez. – Od dziesięcioleci nie słyszałem tego utworu...

Skinął głową, mrugając intensywnie. By przepędzić słone krople z rzęs, zamrugał, a potem sięgnął po kawę i upił długi łyk. Gorzka, dokładnie taka, jaką pił... Wrócił do gry.

Gdy przebrzmiały ostatnie takty, znów się obejrzał. Feliks siedział z przymkniętymi oczami; jakby wyczuwając spojrzenie, uchylił powieki i słabo się uśmiechnął.

– Piękne – wyszeptał. – Pięknie to zagrałeś. Sam kiedyś spróbuję, dobrze?

Gdzieś w tych słowach, w lekkim ich drżeniu, Taurys wyczuł tęsknotę i zrozumiał, że Feliks potrzebuje właśnie chwili dla siebie.

– Dobrze – odpowiedział szeptem, a potem zabrał z dłoni Feliksa pusty kubek. – Daj, odniosę...

Gdy wchodził do kuchni, o nogi otarła mu się Berta. Odłożył kubki do zlewu, pochylił się i wziął kota na ręce. Kocica zamruczała, łasząc się do jego podbródka. Pogłaskał ją i przytulił do serca.

Miał wrażenie, że mógłby polubić niedziele.

Wróciła niedawno z zakupów i chociaż powrót do domu zawsze był ulgą, dzisiejszego południa Erzsébet czuła się odrobinę pewniej.

Ugotuje porządny obiad. Poczęstuje go. Nie widzieli się sporo lat, dobrze będzie znów go zobaczyć... może uda jej się uniknąć pytań; i tak zbyt dużo osób już wiedziało. Gilbert, Litwa, który dowiedział się rykoszetem, bo towarzyszył osobie, której Erzsébet nigdy już nie spodziewała się ujrzeć.

Na samo wspomnienie uśmiechnęła się ciepło.

– Chłopcy – westchnęła. – W co wyście się wpakowali, co? – mruknęła do siebie, krojąc paprykę. – A tobie, Felek, sprawiłabym porządne lanie... Poproszę Gilberta, by ci przyłożył przy najbliższej okazji...

Potrawka dochodziła w garnku, gdy usłyszała pod drzwiami swojego mieszkania męskie głosy. Odruchowo znieruchomiała, ale potem przeklęła się w myślach.

– ...to tutaj?

– Tak, ale my zazwyczaj nie...

Daj spokój, powiedziała sobie. To głupie, że tylko Gilberta tu wpuszczasz. Tych dwóch jego oficerów to normalni, znudzeni ludzie... tylko ten z zeszłego tygodnia był nieprzyjemny...

Podeszła do drzwi i zerknęła przez wizjer.

– Witaj – odezwał się sztywno Roderich, gdy cofnęła się. – Miło cię widzieć – powiedział zmieszany. Uśmiechnęła się blado i cofnęła się, by go wpuścić. – Erzsébet... wiesz, dlaczego tu jestem, prawda? – spytał, stając pośrodku korytarza i rozglądając się nieporadnie.

Dwaj oficerowie, stała ekipa Gilberta, skinęli na powitanie, ale nie weszli do środka.

– Wiem – powiedziała cicho. – Rób swoje... potem chodź do kuchni. Poczęstuję cię obiadem.

– Dziękuję – Austria miał problem, by spojrzeć jej w oczy.

Status specjalny, pomyślała. Włączony do Rzeszy jeszcze przed Wielką Wojną Dziesięcioletnią. Nigdy nie zjawiał się w Charlottenburgu, nigdy nie musiał błąkać się po kraju, od jednego rządowego mieszkania do drugiego, jak wyrzutek...

Doskonale wiedziała, dlaczego Gilbert wybrał go na swojego zastępcę na czas urlopu, chociaż pod ręką miał również brata. Zrobi mu coś dobrego do jedzenia następnym razem...

Austria, milcząc jak grób, ledwie tylko przejrzał mieszkanie, wyraźnie skrępowany wchodzeniem w jej prywatność. Nie mówił też wiele, gdy postawiła przed nim talerz. Przynajmniej nie chciał jej uściskać; rozpłakałaby się, gdyby i jemu musiała odmówić.

– Cieszę się, że masz się dobrze – powiedziała, gdy już stał w drzwiach. – Do... do zobaczenia.

– Tak – powiedział tylko. – Pięknie ci w krótkich włosach, Erzsi – dodał szeptem. Zacisnęła wargi, ale skinęła mu w podziękowaniu głową.

– Ma pani list w skrzynce – odezwał się mimochodem jeden z oficerów, gdy zamykała już drzwi. Nie patrzył na nią, a Erzsébet uniosła brew.

Zabierała już rano pocztę... Wyszła na korytarz, a gdy całą trójką odeszli, otworzyła skrzynkę na listy. Zadrżały jej ręce, gdy ujrzała zawartość.

Koperta listu była kremowa i sztywna. Znała ją aż za dobrze.

Rozdział XV: Jaskółka uwięziona

Tej nocy śniły mu się płonące gaje.

W ustach miał popiół, w uszach bezlitosny trzask płomieni, a w sercu głęboki, rozdzierający ból, ściskający osuszone ogniem gardło, bo właśnie odebrano mu coś ważnego, jakąś istotną część jego istnienia. Nawet łzy na jego policzkach parowały z gorąca.

W oddali słyszał jeszcze głuche łupnięcia siekier i obce głosy, ale nie był w stanie się odwrócić, zupełnie jakby bogowie w poczuciu zdrady odebrali mu zdolność poruszania się.

To, co do tej pory było przyjemnie zielone, tonęło teraz w pomarańczach i czerwieniach; ogień odbijał się w szkarłatnych oczach Gilberta.

Litwa obudził się bladym świtem, zlany potem, jakby faktycznie stał pośrodku pożogi, chociaż pogorzelisko już wieki temu wygasło i porosły je nowe lasy. Siedząc w pościeli, sam w swoim łóżku, na moment przymknął oczy i odetchnął, zdając sobie sprawę, jak mocno bije jego serce.

– Bez znaczenia... – szepnął, kryjąc twarz w dłoniach i mocno przyciskając je do oczu. Potwornie suche, piekły; wieczorem nie był w stanie zasnąć i siedział do późnej godziny przed komputerem, błądząc po rządowych stronach informacyjnych. Wątpił czy spał całe trzy godziny.

Odsunął palce od twarzy, nie rozumiejąc, dlaczego śnił akurat o tym. Ta rana już dawno się zagoiła; w sercu Taurysa nie było już ani starych bogów ani tego nowego, którego przynoszono mu ogniem i żelazem, aż się ugiął i przyjął obcą wiarę. Teraz, wiele stuleci później, nie wierzył w nic – a z Gilbertem dawno już nauczył się rozmawiać cywilizowanie.

– Burzliwa młodość – mruknął do siebie, wysuwając nogi spod cienkiej kołdry. Połowa sierpnia jeszcze obfitowała w ciepłe noce, chociaż wiedział, że już długo to nie potrwa. Trzeba będzie pomyśleć o cieplejszej pościeli dla Feliksa, przemknęło mu przez myśl, mam tylko jeden grubszy komplet. – My wszyscy byliśmy tacy... – Pokręcił głową, urywając wypowiadaną myśl w połowie, jednak ta za moment znów zagościła w jego umyśle.

Inni. Wojowniczy, pewniejsi siebie, bardziej zuchwali. Czas nas zmienił... a może zmienił tylko mnie?

Zerknął na zegarek na biurku – wskazówki poinformowały go, że jest wpół do czwartej rano. Za oknem było jeszcze ciemno. Wiedząc, że nie zmruży już oka, wstał i wyjąwszy z szafy świeże ubrania, cicho ruszył do łazienki.

Stał pod prysznicem może kwadrans, z przymkniętymi oczami chłonąc temperaturę gorącej wody; nawet w środku lata wydawała mu się dużo przyjemniejsza niż chłodny natrysk.

Może to przez te celę, pomyślał, wpatrując się w odpływ wody i mimochodem zauważając w nim jasne włosy. Trzeba posprzątać przed piątkiem, drugi raz nie mogą

pozwolić sobie na taką wpadkę... Cela, cela... Wzdrygnął się; tam było tak zimno, prawie jak kiedyś w Petersburgu.

Uśmiechnął się gorzko; ciekaw był, ile Gilbert przekonywał führera, że warto jest zmienić warunki ich bytowania... Führer, führer... To już trzeci z tym tytułem, zasiadający na czele parlamentu...

Płynęła woda i płynęły myśli; skąd ten sen? Miał też wrażenie, że śniło mu się coś jeszcze, ale nie był w stanie sobie przypomnieć... Muzyka? Muzyka, pomyślał mętnie, zakręcając wodę. Ale nie fortepian, dźwięki chyba były inne.

Gdy Taurys wrócił do sypialni, najpierw zerknął na komputer – włączony, jak zawsze – a potem na szafę. Po krótkim namyśle przyklęknął na dywanie i z dolnej szuflady wyjął coś, co na pierwszy rzut oka przypominało zwykłą, ściętą pod ostrym kątem drewnianą deskę.

Ostrożnie, jakby trzymał najcenniejszy skarb, położył sobie niemalże stuletnie kankle na kolanach i, przyglądając się wyżłobionym w drewnie wzorom, delikatnie szarpnął struny.

Kilka miękkich, przyjemnych dźwięków dotknęło jego duszy, a potem z wolna zamilkło – Litwa przymknął oczy i odetchnął głębiej, nie ośmielił się jednak grać dalej. Obudzę Feliksa, pomyślał rozsądnie, chociaż w głowie rozbrzmiała mu prosta, stara melodia. Grałem mu kiedyś... raz, może dwa... Nawet nie wiem, czy mu się podobało.

Na jego kolana wsunęła się Berta, pojawiwszy się w sypialni niczym duch. Pogłaskał ją i oparł podbródek o jej puszysty, wibrujący mruczeniem grzbiet.

– Nigdy bym wtedy nie uwierzył, że to wszystko tak się potoczy, Gilberta – mruknął.

Kocica, jakby zdziwiona tym, że użył jej pełnego imienia, prychnęła cicho, a potem umknęła długimi susami. Taurys z westchnieniem schował kankle do szafy, przykrywając je wcześniej płachtą materiału, by nie zbierały niepotrzebnie kurzu. Przydałoby się kiedyś je znowu odrestaurować, pomyślał. I znaleźć stroiciela do fortepianu...

Podniósł się z kolan i poszedł po kawę. Zaparzywszy napój i nakarmiwszy kota – Berta już wymownie warowała przy misce – znów wrócił do pokoju i zasiadł przy komputerze.

Dobrze, że Polska miał mocny sen – poranna krzątanina Litwy w ogóle go nie budziła. Taurys bardzo się z tego cieszył; niech śpi, myślał. Jeszcze większość nocy przesypia, natrętne, czarne myśli nie nawiedzają go tak często. Ta myśl z jakiegoś powodu sprawiała, że było mu lżej na duszy.

Dotknął klawiatury. Od pierwszej w nocy w Netzwerku niewiele się zmieniło; Taurys przejrzał prognozę pogody i serwisy informacyjne, zerknął na stronę szkoły – wciąż cisza, w końcu jeszcze dwa tygodnie do nowego roku szkolnego – a potem sprawdził pocztę.

Tak jak się spodziewał, nie otrzymał nic nowego – ostatnia wiadomość w jego skrzynce e-postowej była od Schwäne. Jeszcze przez chwilę czytał tę i poprzednie, przyglądając się Goethemu bez rodzajników – co za szczwany lis, wiedział, że to zwróci uwagę Litwy – a potem wszystko skasował.

Wątpił, czy to ma sens, pewnie kopie jego wiadomości i tak siedziały gdzieś na rządowych dyskach i cała nadzieja w tym, że nikomu nie chce się już ich czytać – ale przynajmniej nie będą rzucać się tak w oczy podczas wizytacji.

By zabić czas, przeglądał Netzwerk, nie wiedząc, czego tak właściwie szuka. Spróbował odnaleźć jakikolwiek ślad Łabędzia poza adresem reichpostu i tak jak się spodziewał, natrafił jedynie na artykuły przyrodnicze. Przejrzał archiwa stron z wiadomościami, ale podobnie jak w nocy, nie natknął się na nic, co mogłoby rzucić nowe światło na sytuację.

Po namyśle odszukał mapę imperium i zaczął przyglądać się linii granicznej, zastanawiając się, czy słyszał w radiu cokolwiek na temat tych terenów, co nie byłoby związane bezpośrednio z zamachem. Znowu nic.

Wszystkie miejscowości nosiły niemieckie nazwy, a w przypadku większości osad niegdysiejszej Białorusi Litwa nie był w stanie przypomnieć sobie ich poprzednich nazw. Trochę go to zaniepokoiło – oczywiście, żył jako zwykły obywatel od kilkudziesięciu lat i ta wiedza nie była mu do niczego potrzebna, ale fakt, że tyle rzeczy zniknęło z jego pamięci...

Ciekawe, czy Nikolai kiedykolwiek się do nas odezwie, pomyślał gorzko, unosząc się z krzesła i przechodząc do kuchni. Zrobił sobie kolejną kawę i wrócił przed komputer. Ciekawe, czy zadzwoni.

Sprechery, które przyniósł Polska, leżały w salonie na fortepianie, skąd mogli je usłyszeć z każdego zakamarka mieszkania. Jedynie jego prywatny leżał jak zwykle na blacie w kuchni, z wolna się rozładowując. Litwa rzadko kiedy słyszał jego dzwonek.

Kto ma twój numer?, zapytał Feliks od niechcenia poprzedniego wieczora, kodując Morsem informacje, które miał przekazać za granicę. Był wtorek; Litwa z wolna próbował przestać myśleć o tym, co ujrzał w Charlottenburgu, chcąc zająć się opracowywaniem planu.

Dyrektor, Prusy i Annika, odparł wówczas, zerkając na ciemny ekran urządzenia. I biuro. Biuro ma wszystko. Feliks, my długo nie pociągniemy tak, jak teraz, to...

Wiem, skinął głową Polska. Myślę o tym, nie martw się.

– Tyle rzeczy... – szepnął do siebie Taurys, na moment kryjąc twarz w dłoniach. Tak łatwo było powiedzieć coś takiego. Jak mieli działać, skoro całe jego życie było pod kontrolą, co prawda poluzowaną, ale ciągle istniejącą? – Jak my...

Słysząc kroki, wyprostował się i odwrócił na krześle. Zegar powiedział mu, że już piąta rano. Uniósł zdziwiony brew; Feliks sypiał przynajmniej do ósmej.

– Nie śpisz? – zagadnął Polska, wychylając głowę przez szparę w drzwiach. Włosy miał rozczochrane i mrugał nieco nieprzytomnie. Nadal miał na sobie luźny podkoszulek i bawełniane spodnie, w których sypiał.

– Nie... Obudziłem cię?

– Co ty, daj spokój – Polska machnął lekceważąco dłonią. – I tak nie mogłem już spać.

Litwie nie umknęło to kłamstwo; poczucie winy zagościło w jego żołądku. Chociaż pilnował się, by zachowywać się cicho, odwykły od dzielenia mieszkania z kimkolwiek chwilami jeszcze się zapominał.

– Przepraszam.

Feliks zmarszczył lekko brwi, słysząc jego zgaszony ton. Potem powiódł zaciekawionym wzrokiem po sypialni Taurysa, pierwszy raz mając okazję widzieć ją w świetle. Do tej pory wszelkie rozmowy przeprowadzali albo w kuchni, albo w salonie, a gdy Polska pocieszał go po Charlottenburgu, był środek nocy.

Taurys osobiście uważał, że w jego pokoju nie było nic interesującego – dwuosobowe, proste łóżko, szafa, biurko z przystawionym doń kuchennym krzesłem i kilka półek z książkami na ścianie.

Sam pokój był niewiele większy od saloniku, o równie nieciekawych, szarozielonych ścianach, które powinny zostać odświeżone zaraz po tym, jak się tu wprowadził, ale remont tego miejsca był ostatnią rzeczą, na jaką Litwa miał ochotę. I tak nie było w tym sensu – do relokacji było coraz bliżej.

Przynajmniej nie rzuciłem jeszcze sprzątania w cholerę, pomyślał, nieco pocieszony. To cholerne miejsce wygląda przyzwoicie, w przeciwieństwie do mnie.

– Znalazłeś coś ciekawego w Netzwerku? – zapytał Polska po krótkiej chwili. Gdy w odpowiedzi Litwa pokręcił głową, dorzucił: – Czekaj, zrobię sobie kawę i przyjdę do ciebie.

Więc czekał; Feliks wrócił z kawą po kilku minutach. Potem przytargał z kuchni kolejne krzesło; plątająca się po mieszkaniu Berta nie wydawała się zadowolona z tego przemeblowania. Polska co chwila zerkał pod nogi, uważając, by nie wpaść na kota ani nie uderzyć go przypadkiem.

Gdy już postawił krzesło obok Litwy, kocica zwinęła się na łóżku i stamtąd łypała na niego groźnie. Feliks przysunął do siebie klawiaturę pełną wysokich, białych klawiszy i po krótkim namyśle zaczął wstukiwać adresy.

Litwa śledził wzrokiem strony pojawiające się na kineskopowym ekranie. Główna strona rządu. Główna strona informacyjna rządu. Rządowy portal geograficzny. Rządowa strona historyczna...

– Sprawdzałem wszystkie – powiedział cicho.

– Mhm... – mruknął Feliks, nie odrywając palców od klawiatury. – Mała szansa, wiem... Trzymają łapy na całym Netzwerku... Mój stary reichpost chyba jest skasowany, o nim nie zapomnieli... Próbowałem kiedyś do ciebie pisać, wiesz? – zapytał nagle, nie patrząc na Litwę. – Krótko po tym, jak dostaliśmy dostęp do Netzwerku.

Coś w jego głosie sprawiło, że serce Taurysa nagle się ścisnęło. Próbował, pomyślał. Chciał się ze mną skontaktować już te kilka lat wcześniej, a ja uparcie...

– Nic nie otrzymałem – szepnął bezbarwnie, wiedząc, że on sam próbował słać e-posty jedynie do Estonii i Łotwy. Nagle poczuł wstyd; że też nigdy nie spróbował... ale podczas poprzednich spotkań w Charlottenburgu ciągle nie potrafili na siebie spojrzeć, skąd miał wiedzieć, że Feliks...

– Wiem – Polska mruknął cicho pod nosem. – Nasze e-posty są blokowane odgórnie. Sprawdzałem to kiedyś, nie otrzymałem odpowiedzi od żadnej z personifikacji z Rzeszy. Dobrze, że mam tego Łabędzia, na nim nie ma blokady– dodał, wskazując na ekran. Dopiero teraz Litwa zorientował się, że wszedł na stronę poczty.

– Mój komputer jest... – zaczął szybko.

– Wiem, wiem – Polska skinął głową. – Nie będę wchodził na skrzynkę Schwäne.

– Miałem cię o to zapytać wcześniej – Litwa westchnął, nie chcąc myśleć o wyrzutach sumienia, które przed chwilą go ogarnęły. – Jak udało ci się założyć ten adres? Przecież... Żeby mieć skrzynkę e-postową, trzeba w biurze komunikacji pojawić się z kartą obywatela i...

– Wiem, ustawowo konieczne są prawdziwe dane – odparł beztrosko Feliks. – Ale ustawa ma jedną lukę. Artyści mogą używać pseudonimów w e-poście, o ile biuro odnotuje prawdziwe dane... Albo te wyglądające na prawdziwe. Zrobiłem to jeszcze przed zniknięciem. Znajomości, Licia.

Taurys pomyślał nagle, że ten lekki ton, jakim Feliks to mówił, nie wróżył dobrze.

– Mam nadzieję, że nie przekombinowałeś – szepnął, opuszczając wzrok na swoją kawę. W kubku niewiele już jej zostało, ale i ta resztka odbiła jego znękane oczy.

– Mmm... – Feliks na krótką chwilkę przygryzł nieznacznie wargę, a potem znów rozpoczął taniec palców po klawiaturze. – Spokojnie, nikt tego nie wyśledzi... Gdyby to była świeża sprawa, to owszem... ale przez ostatnich parę miesięcy wysyłałem podobne wiadomości na losowe adresy, nikt nie powinien zwrócić na to uwagi... Szlag, odzwyczaiłem się od Netzwerku – dodał, marszcząc brwi na widok surowej, pozbawionej ozdobników podstrony. – Paskudztwo...

Litwa zerknął na ekran; tam, rzeczowo i w punktach wypisano procedury uzyskania zezwolenia na opuszczenie kraju. Coś gorzkiego pojawiło się w jego duszy – w jego karcie obywatela, na wewnętrznej stronie tylnej okładki, widniał mały, przekreślony symbol odlatującej jaskółki.

– Sieć wygląda inaczej za granicą? – spytał po chwili. Nie wiedział, na ile to, co sam wie, jest prawdą; książka o historii i funkcjonowaniu Netzwerku, którą miał na półce, została wydana przez rządowe wydawnictwo.

Przybycie Feliksa rozbudziło w nim ciekawość świata, który nie był dla niego dostępny – coraz częściej zadawał podobne pytania, a Feliks z chęcią mu na nie odpowiadał.

– Bardzo inaczej – ożywił się Feliks. – Netzwerk to narzędzie informacyjne, nic więcej. Jedynie urzędy czy instytucje mają własne strony, e-post jest kontrolowany, oczywiście, ze względów bezpieczeństwa narodowego – Obaj wymienili porozumiewawcze blade uśmiechy. – A w światowym Internecie... tam jest rozrywka, wiesz? Mnóstwo rzeczy, na które można marnować czas.

– Od tego jest radio i telewizja – powiedział cicho Taurys. – I książki.

– Czyli rzeczy łatwiejsze do kontrolowania – Polska, wysunąwszy zza warg koniuszek języka, dalej przeglądał sieć. – Rząd nie uwolni Netzwerku, nie zrobi z niego zachodniego Internetu. Tam można wiele rzeczy, Licia. Można tworzyć własne strony, wypowiadać się w miarę anonimowo... Dzielić się różnymi treściami, filmami, tekstami... tego jest tam mnóstwo, a użytkownicy pochodzą z całego świata. Kosmos.

– Niesamowite – stwierdził zamyślony Litwa, marszcząc brwi i opuszczając wzrok na palce Feliksa. Pomyślał nagle, że chciałby znów zobaczyć je na czarno-białej klawiaturze

swojego fortepianu, szybko jednak wyrzucił tą myśl z umysłu. – Da się skorzystać z Internetu tutaj? – zapytał nagle. – Czy, tak jak z tego twojego telefonu, nici z działania? W książkach piszą, że to absolutnie niemożliwe... Ale w książkach piszą też, że Internet jest zacofany i nic nie warty.

– Nie ma infrastruktury, brak kabli, brak zasięgów – Polska westchnął i zirytowany potrząsnął włosami. – Przy samej granicy z Hiszpanią albo Szwajcarią może dałoby się coś skombinować, ale w środku Rzeszy nie ma fizycznej możliwości. Szkoda, ułatwiłoby nam to życie... Nic tu nie ma, masz rację – Odsunął od siebie klawiaturę komputera. – Nawet archiwalne wpisy o zamachu zniknęły, zauważyłeś?

– Tak – skinął głową Litwa. – Ludzie o tym pamiętają, to powszechna wiedza i nikt nie neguje tego, co działo się pod Kurskiem, ale...

– ...ale po paru latach znikają detale – dokończył Feliks ponuro, odchylając się na krześle. – Nikt nie będzie szukał archiwalnych gazet, wszyscy, którzy chcą się dowiedzieć szczegółów, kierują się najpierw do Netzwerku. To zbyt świeża rzecz, by być w podręcznikach do historii. Swoją drogą – Feliks uderzył lekko pięścią o otwartą dłoń, marszcząc brwi. – Jak się dowiem, który pisarczyk tak nam zmasakrował historię, Licia...

– To bez znaczenia – odezwał się cicho Taurys. Polska gwałtownie umilkł. – Skupmy się na... na tym, co mamy do zrobienia, dobrze? – dorzucił ze ściśniętym nagle gardłem, nie chcąc myśleć o ich historii.

Odkąd Feliks tu mieszkał, bardziej niż z traktatami i wielką polityką kojarzyła mu się z dzieleniem z nim życia.

Feliks skinął głową. Litwa odwrócił wzrok, nie mogąc znieść ani jego miękkiego spojrzenia, ani tych wszystkich urywków, które właśnie przeleciały mu przez głowę; Grunwald, jakieś miecze.

Nóż na gardle Gilberta, trzymany jego własną, pewną, wcale nie drżącą dłonią. Unie, jakieś podpisy, kolejni królowie i królowe, twarze, których nie potrafił nazwać. Ciepły dotyk i oczy Korony lśniące w ciemnościach.

Oczy, które stulecia temu były tak samo zielone jak świeże liście, ale pozbawione ukrytego w nich bólu. Pamiętał, że niegdyś kochał w nie patrzeć.

Wracają, pomyślał, patrząc na szarawy dywan pod swoimi stopami. Wszystko wraca. Wrócił Feliks i wraca wszystko, każdego dnia, każdej nocy.

Walki, bitwy, rozmowy, noce i dnie, wydarzenia i emocje. Z trudem przełknął ślinę; kawa, zamiast ukoić pragnienie, wysuszyła jego gardło jeszcze bardziej.

Nie uniósł wzroku i odczuł ogromną ulgę, gdy krzesło obok zaskrzypiało i po paru sekundach został w sypialni sam. Oparł czoło o blat biurka i mocno zacisnął powieki.

– Widzisz? – zapytał ochrypłym szeptem Berty, która wdrapała się właśnie na jego kolana.

Rosła kocica zwinęła się tam w ciepły, miarowo oddychający kłębek. Szeptał po niemiecku, jedynym języku, w którym potrafił sformułować gonitwę własnych myśli, wczepiając palce w futro i czując pod nimi wibrujące mruczenie.

– Pewnie powiedziałabyś, że jestem skończonym idiotą... że przecież nosiłem za nim czerń... wiem, że kiedyś... kiedyś powiedziałem, że go nienawidzę... ale... to przez to... przez tę pieprzoną politykę... ale teraz nic... nie ma... nie ma rządów, nie ma narodów...niczego, co by mogło to zniszczyć... – Wilgotne ciepło przemknęło przez jego policzki. – ale.. ale ja już sam nie wiem, czy potrafię... to wszystko... to wszystko mnie...

Usłyszał skrzypienie podłogi.

– Zrobiłem śniadanie – Usłyszał nad sobą. – Nie odpuszczę ci regularnych posiłków, nadal wyglądasz jak wieszak. Chodź.

Blado się uśmiechnął. Nie odwrócił się, nie chcąc pokazywać słabości, ale coś w głosie Feliksa powiedziało mu, że ten wiedział.

– Najpierw pójdę po pocztę.

I poszedł; a potem wrócił z mocno zaciśniętymi wargami. Feliks zacisnął zęby, wpatrując się w nieruchomą postać Taurysa, który przełykał ślinę, nie odrywając oczu od znajomej koperty.

Stojąc tuż obok, widział doskonale strach w jego zaczerwienionych oczach.

Cholera jasna, pomyślał spanikowany. Miałem nadzieję, że po tej koszmarnej sobocie chociaż przez kilka dni będzie spokój... Czego tym razem od niego chcą?

Minęło kilkanaście lat, odkąd sam dostał list w kremowej kopercie, ale Feliks i tak pamiętał, jak przykre było ich wyciąganie ze skrzynki; teraz jednak nie mógł zrozumieć, dlaczego Litwa go otrzymał.

Spotkanie w Charlottenburgu, pełne bolesnych emocji, dopiero co się odbyło, według Taurysa do relokacji, która rozrzucała ich po kraju jak rzeczy, było jeszcze dwa lata... Może nowe dokumenty?

Nie mogąc znieść milczenia, Feliks pierwszy sięgnął po list i zważył go w dłoni. Lekka.

– To nie nowe klucze – powiedział, zmuszając się do uśmiechu. Pomacał papier. – Ani nie nowe papiery – dodał ciszej, marszcząc brwi. Niedobrze... – Daj nóż, Licia. Nie ma na co czekać.

Taurys drgnął i pośpiesznie sięgnął po ostrze. Przejmując nóż z jego drżących dłoni, Feliks posłał Litwie uspokajający uśmiech, chociaż sam nie był tak opanowany, jakby chciał.

Widział, jak Litwa bierze głębszy oddech.

– Nie wysyłają listów bez powodu – powiedział rozsądnie Taurys. Zaciskał palce na krawędzi kuchennego blatu, opierając się o niego sztywno. Kotka siedziała gdzieś w okolicy jego łokcia, posyłając Feliksowi ostrzegawcze spojrzenia.

Wiem, czemu ona traktuje mnie jak wroga, stwierdził w myślach Polska, wsuwając nóż między warstwy koperty. Broni swojego pana.

– Otworzę to, dobra? – spytał cicho, mając w głowie obraz śpiącego Taurysa, przy którego sercu zwinęła się Berta. Koty układają się przy miejscach, które bolą, które są chore... Oj, głupi, wierny, kochany futrzaku, ja nie chcę go skrzywdzić, mam nadzieję, że w końcu to zrozumiesz.

Litwa w odpowiedzi przytaknął cicho i przymknął oczy. Był bledszy niż zwykle, co przy codziennej szarości jego cery – Feliks miał nadzieję, że pełnowartościowe posiłki, które w niego wmuszał, w końcu dadzą jakiś widoczny efekt, ale chyba było na to jeszcze za wcześnie – bardzo raziło w oczy.

– Przeczytaj to na głos – poprosił Taurys po chwili, nie unosząc powiek.

Słysząc ten zrezygnowany głos, Feliks ciężko westchnął. Mam nadzieję, pomyślał jeszcze, szarpiąc nożem kopertę, że gdy zaczniemy działać, naprawdę działać zamiast planować i gromadzić informacje, on poczuje się trochę lepiej... Chciałbym zobaczyć go takiego, jakim był kiedyś.

Wyciągnął z koperty list, zdając sobie sprawę, że jemu też drżą ręce. Mocniej zacisnął palce na papierze i zaczął czytać krótką, wydrukowaną wiadomość.

– *W imieniu Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej*... – Feliks zatrzymał się na moment, zerknął na Litwę i poczekał, aż ten, dalej nie otwierając oczu, skinie głową. – *Wzywam pana Taurysa Laurina...* O, zrobiły ci literówkę w nazwisku, niedouczone biurwy, odciąłbym im dostęp do kawy, dopóki się nie nauczą – mruknął, by chociaż trochę rozładować atmosferę; Taurys lekko zadrżał, a w kąciku jego ust mignął na ułamek sekundy rozbawiony grymas. Feliks kontynuował, przysunąwszy się nieco bliżej. Teraz stał tuż obok Litwy, niemalże dotykając go ramieniem. – *Laurinaitisa na... komisję lekarską*?

– Co? – Litwa gwałtownie otworzył oczy. Odwrócił głowę w kierunku Feliksa i zmarszczył brwi z niedowierzaniem.

– Tak napisali... – mruknął równie zaskoczony Polska, czytając dalej. – W przyszłym tygodniu, w budynku szpitala... nic więcej, tylko podpis jakiegoś lekarzyny – Rzucił list na stół. – Nie rozumiem. Od kiedy Rzesza się przejmuje naszym stanem zdrowia?

– Od nigdy – Litwa zacisnął usta w cienką linię. Oddychał ciężko; Feliks położył dłoń na jego ramieniu i lekko ścisnął, a potem cofnął palce. Litwa zerknął na niego dziwnie spłoszony, ale coś w jego oczach powiedziało Polsce, że czuje wdzięczność za ten drobny gest. Uśmiechnął się do niego cieplej. – Dlaczego...?

Feliks otworzył usta, ale nie wypowiedział ani słowa.

– Chcą wiedzieć – wyszeptał Taurys, odpowiadając sam sobie pustym głosem. – Chcą wiedzieć, jak źle z nami jest. Chcą to mieć oficjalnie na piśmie, stwierdzone przez lekarską komisję.

– Jeszcze im mało? – syknął Feliks przez zęby. Zdążył zapomnieć, jak koszmarna była rzeczywistość, w której ciągle przypominano im, jak niewiele znaczą. – Dopiero co był Charlottenburg...

Klnąc w myślach, rozejrzał się po kuchni, a potem szybko sięgnął do blatu. Ignorując syczącego kota, który poderwał się i najeżył, a także zdumione spojrzenie Litwy, złapał za sprechery i leżące tam klucze.

– Możesz prowadzić, Licia? – zapytał rzeczowo, wpychając klucze w dłonie Taurysa i zaciskając palce na jego skórze. Przez chwilę stał tuż obok, wpatrując się w szeroko otwarte oczy Litwy. – Mogę pojechać sam, ale z moimi dokumentami w razie kontroli

będzie kiepsko... Dasz radę? Jesteś bardzo dobrym kierowcą, ale jeśli nie czujesz się na siłach...

– Dokąd? – spytał tylko Litwa zdumiony, a coś w jego głosie dziwnie zmiękło.

Gdy Feliks zobaczył na nowo te leśne oczy na ulicy w Neukaunas, pomyślał, że są złamane. Teraz coś w nich zamigotało żywiej, a poszarzała skóra policzków nabrała odrobinę kolorytu i z jakiegoś powodu bardzo to Feliksa ucieszyło.

Może jednak, pomyślał i uśmiechnął się cieplej.

– Jedziemy do Prusaka – zadyrygował głosem nie znoszącym sprzeciwu. – Musi nam wyśpiewać, dlaczego nam o tym nie powiedział. A potem bierzemy się do działania. Cokolwiek się nie stanie, damy radę. Razem. Razem, słyszysz?

Litwa skinął głową, a jego spojrzenie stwardniało, zapłonęło determinacją i zaciętością – i wtedy Polska po raz pierwszy od momentu ich powtórnego spotkania w pełni dojrzał w nim tego człowieka, którym Taurys kiedyś był.

Dawno, dawno temu, na długo przed tym, jak Rzesza rozsiadła się na mapie Europy. Na długo przed okresem ich wzajemnej wrogości i niechęci, na długo przed tym, jak czyjeś ręce – a Feliks wiedział, czyje – zostawiły dziesiątki blizn, o których Taurys nie chciał mówić, odwracając wzrok w poczuciu wstydu, najgorszego, najbardziej gorzkiego wstydu, jaki Polska znał – wstydu bycia ofiarą.

Może i cię połamano, pomyślał Feliks. Może i połamano mnie.

Ale nigdy nas nie złamano do końca i obiecuję, że ci to udowodnię, mano Lietuva.

Więc pojechali; Litwa, milcząc, skupiał się na drodze. Mniej więcej kojarzył, gdzie znajdował się zapisany na mapie adres, ale nie bywał zwykle w tej części Berlina, jechał więc powoli, szukając odpowiedniego miejsca, by wjechać między zadbane, klasycystyczne kamieniczki.

To było zamożniejsze, zadbane osiedle pełne zieleni, kontrastującej ślicznie z bielą budynków, idealne miejsce zamieszkania dla rodzin z klasy średniej – albo dwóch ważnych personifikacji.

– Chyba tutaj – mruknął Feliks, wychylając się lekko i mrużąc oczy na widok jednej z bram. – Taa, tam przy tym szyldzie...

– Zakaz – mruknął Litwa do siebie, widząc znajomy znak przy wjeździe. Jazda pozwoliła mu się uspokoić. – Trzeba znaleźć parking...

– Wjeżdżaj, szybko – rzucił Feliks nagle, rozglądając się na boki. – Wolne.

Taurys zaklął w myślach, ale mocno nacisnął gaz i zaczął intensywnie kręcić kierownicą. Jego stare auto szarpnęło i wcale nie płynnie przecięło ulicę, wsuwając się między betonowe barierki oddzielające bramę od chodnika.

Na szczęście, o tak wczesnej godzinie w środku tygodnia ruch był niewielki, więc manewr nie wzbudził niczyjej uwagi. Wjeżdżając na podwórze, Litwa zauważył, że nie był pierwszym, który złamał zakaz – stało już tam kilka samochodów.

– Ten zakaz jest bez sensu – Polska na widok jego uniesionych brwi lekko wzruszył ramionami. – Sam widzisz. Jakaś porażka prawno-administracyjna, przez tę tabliczkę nawet mieszkańcy nie mogą tu legalnie wjechać.

Taurys pokręcił głową, ale w kąciku jego ust zabłąkał się blady uśmiech.

– Dawno nie widziałem takiej fuszerki w Rzeszy.

– Nie takie imperium idealnie, jak go malują... – mruknął z przekąsem Feliks, wysiadając z auta. – Hmm... tutaj mieszkają, tak? Nie zdziwiłbym się, jakby to był jego, pożal się Boże, żart...

Litwa zamknął samochód i sam rozejrzał się po podwórzu; od tej strony biel elewacji zmieniała się w szarość, ale nic temu miejscu nie można było zarzucić; wąskie fragmenty trawnika dookoła wybetonowanej powierzchni kwadratowego podjazdu były idealnie przycięte i porośnięte niewielkimi, ozdobnymi drzewkami.

Większość widocznych ponad ich głowami obszernych balkonów pokrywała roślinność, sprawiając, że podwórze, dodatkowo otoczone z każdej murami, pogrążało się w zielonkawym półcieniu i chłodzie, który zapewne w południe był miły, ale teraz, wczesnym rankiem, wywoływał gęsią skórkę na ramionach Taurysa.

Tylko z zimna, spróbował się przekonać. To nie tak, że właśnie bez uprzedzenia wchodzicie do jaskini lwa.

Jaka była szansa, że Ludwig wyszedł już do biura?, zastanowił się przelotnie, ruszając za Feliksem w stronę najbliższych drzwi. Wcale nie chciał spotykać się z nim twarzą w twarz; nie po tym, jak widział jego beznamiętnie spojrzenie z teatralnego balkonu.

Feliks, rzuciwszy kilka komentarzy na temat fuszerek, jakie można było znaleźć na prowincji, w końcu umilkł; teraz wodził poważnym spojrzeniem po zadbanej, pokrytej roślinnością w doniczkach klatce schodowej.

Sposób, w jaki zerkał na białe ściany i numerki mijanych mieszkań – brak windy, jedno mieszkanie na piętro, zauważył mimochodem Litwa, muszą być duże – dawał do zrozumienia, że też się stresuje.

Gdy już stanęli na ostatnim, czwartym piętrze, Taurys złapał wzrok Feliksa. Wątpił, czy to, co pojawiło się na jego ustach chociaż odrobinę przypominało pokrzepiający uśmiech, ale Polska odpowiedział na niego niemalże od razu i jakby żwawiej postąpił w kierunku drzwi.

To były ładne, drewniane drzwi z judaszem i mosiężną czwórką, pozbawione dzwonka; Taurys pomyślał przelotnie, że po tym wszystkim, po ogromie imperium, ogromie berlińskiej Germanii i całej tej wzniosłej narracji, Ludwig powinien mieszkać w jakimś eleganckim pałacyku, skrzydle odnowionego Zamku Miejskiego pośrodku wód Sprewy albo w samym centrum Großer Platz, a nie tutaj, w wyraźnie bogatszym, ale wciąż zwykłym mieszkaniu na zwykłym osiedlu.

Feliks zawahał się nagle z dłonią tuż ponad powierzchnią drzwi. Taurys zacisnął zęby i sam zapukał.

– Miejmy już to za sobą – powiedział, ciesząc się, że jego głos nie drży. Serce biło mu zdecydowanie zbyt szybko.

Polska odetchnął z ulgą i zerknął na zegarek na ręce Litwy. Krzywo się uśmiechnął.

– O ile zakład, że go obudziliśmy...?

– ...rwaaa mać, to wy... – Usłyszeli zza drzwi, nim Taurys zdążył odpowiedzieć. Prusy otworzył im szybko, wystawiając głowę przez próg. Był rozczochrany, boso i w bieliźnie. Przez ramię miał przerzuconą białą koszulę, którą na ich widok zaczął zakładać, mrugając półprzytomnie. – Ja wiem, Lit, że ty wstajesz o chorych godzinach, ale że ten idiota już zdążył przejąć od ciebie ten nawyk...

– Też miło cię widzieć – odparł Polska z przekąsem, wywracając oczami. – Jest w domu...?

– Nie, śpi w biurze, jak zwykle – mruknął Prusy i cofnął się. Litwa odetchnął lekko z ulgą. – W skali do jednego do dziesięciu, jak bardzo sprawy się spieprzyły, że mnie nawiedzacie o cholernym świcie? – zapytał, unosząc brew i wodząc wzrokiem od jednego do drugiego gościa.

Polska pierwszy przekroczył próg.

– Zaraz o tym pogadamy – rzucił oschle. Litwa postąpił za nim, powoli zamykając drzwi. – Ubierz się najpierw, Prusaku, i umyj zęby, wali od ciebie wczorajszym piwskiem na kilometr. Fajny masz ten urlop.

Gilbert wykonał dłonią niemrawy gest, który pewnie miał być wulgarny, a potem zatrzasnął za sobą drzwi łazienki, uprzednio podbródkiem wskazując im kierunek.

Przeszli do salonu i usiedli w fotelach; Litwa przyglądał się pomieszczeniu, marszcząc lekko brwi. Abażurowe lampy, meble na zamówienie, kryształowy żyrandol... Gdy nieobecność Gilberta się przedłużała, wstał i podszedł do jednej ze ścian, by przyjrzeć się powieszonym tam fotografiom.

Nie było ich wiele. Jedna, zdecydowanie dziewiętnastowieczna, przestawiała Gilberta trzymającego dłonie na ramionach dorastającego chłopca; to była jedyna fotografia, na której obaj się szeroko uśmiechali. Kolejne były już znacznie bardziej oficjalne – Prusy patrzący chłodno spod pikielhauby, Ludwig w galowym mundurze Rzeszy, tym z czasów wojny... Taurys, nie chcąc myśleć o swoich ludziach, którzy też kiedyś nosili takie mundury, przesunął wzrok dalej.

Na ścianie było jeszcze kilka zdjęć; końcówka ubiegłego tysiąclecia, jakaś uroczystość i wyraźnie znudzony Gilbert; Ludwig w codziennym, znacznie mniej oficjalnym ubraniu, ze szczenięciem na rękach i dziwnie łagodnym spojrzeniem.

Ta ostatnia fotografia wyraźnie wytrąciła Taurysa z równowagi; marszcząc brwi, wpatrywał się w nią tak długo, aż Feliks stanął u jego boku.

– Ma zaskakująco miękkie serce do psów, zawsze miał – mruknął Polska. – Pamiętam go, jak był gówniarzem.

Litwa nie odpowiedział; potem uniósł lekko kącik ust. Szczenię na zdjęciu było amstaffem.

– Ktoś mu go dał – powiedział Gilbert nieco dziwnym głosem, zjawiając się w salonie. – Nie miał czasu się nim zajmować, więc znalazł mu jakiś inny dom. Dał go chyba

jakiejś dziewczynie, jeśli dobrze pamiętam. Axel, czy jakoś tak. Pewnie już zdechł, to było kilkanaście lat temu.

– Możesz mu przekazać, że pies ciągle jest w dobrych rękach – powiedział cicho Litwa, przez co Feliks rzucił mu zdumione spojrzenie. Taurys tylko pokręcił głową. – Pracuję z jego właścicielką.

– Ta twoja blond przykrywka? – zdziwił się Gilbert. Litwa odwrócił się i dostrzegł, jak ten marszczy lekko brwi. Gilbert był już w pełni ubrany, a twarz i włosy miał lekko wilgotne. – No proszę... Dobra, mówcie – Jego spojrzenie nagle się wyostrzyło. – Co jest tym razem nie tak, do cholery? Wiem, że dałem wam adres, ale nie spodziewałem się, że tak szybko mnie nawiedzicie.

– Ty nam powiedz – burknął Feliks, wyciągając z kieszeni kremową kopertę. Prusy otworzył usta, ale nic nie powiedział. – O czymś takim powinieneś nam mówić od razu, do jasnej cholery!

– Dawaj to – Gilbert szarpnął za list; szybko przeczytał go i zaklął. – Kurwa mać. Nic o tym nie wiedziałem – powiedział, unosząc wzrok na Litwę. Taurys skinął głową, mając wrażenie, że Prusy nie kłamie. – Stempel, data... Poniedziałkowa. Oficjalnie od poniedziałku siedzę w Wenecji, ostatni raz w biurze byłem w piątek.

Spojrzeli po sobie; potem Polska zmiął w ustach przekleństwo.

– Czyli specjalnie zrobili to pod twoją nieobecność – syknął. – Prusaku, ile razy w tym roku nagiąłeś przepisy?

– Odkąd się pojawiłeś, to już nawet nie jest naginanie – burknął Gilbert, siadając na fotelu i zakładając nogę na nogę. Rzucił kopertę na stolik.

– Pytam o wcześniejsze miesiące – Feliks wywrócił oczami. – Są podejrzliwi wobec ciebie?

– Nie wiem, może – Prusy wzruszył ramionami. – Ale to – Zerknął z ukosa na list. – To nie jest dobry znak.

– Jak myślisz, dlaczego to robią? – zapytał cicho Litwa, po krótkiej chwili samemu zajmując miejsce siedzące. Teraz tylko Feliks przechadzał się po salonie szybkim, nerwowym krokiem.

– Żeby zaktualizować wiedzę w systemie – mruknął Prusy pod nosem, przeczesując palcami włosy. Polska i Litwa spojrzeli na niego uważniej. – Wiecie doskonale, że mają wszystko – Skrzywił się nieco i oparł wygodniej o fotel. – Sprechery, e-posty, listy kontaktów, adresy zamieszkania i pracy, kopie tradycyjnej poczty... Mam do tego dostęp, ale bardzo krzywo na mnie patrzą, gdy siadam do komputera w biurze zbyt często, chociaż jestem do tego uprawniony – Prusy zmarszczył brwi z irytacją. – Ale oprócz tego są też wasze stare dane biometryczne.

– Jakie dane? – Taurys wziął głęboki oddech, zaciskając palce na blacie stolika, aż pobielały.

– Wszystko, po czym teoretycznie można byłoby was rozpoznać w razie ucieczki – odparł rzeczowo Prusy, zakładając ręce za głowę. – Prosty formularz. Wzrost, kolor oczu, budowa ciała, stałe znaki szczególne, znamiona i blizny. Zdjęć żadnych nie ma – dodał,

patrząc na Feliksa. – Dlatego ostatnio ci powiedziałem, że raczej by cię nie skojarzyli, ale skoro teraz to ruszyli, to ktoś może pogrzebać w papierach i połączyć kropki.

Wie o moich bliznach, pomyślał Taurys, zdając sobie sprawę, że wcale nie jest zaskoczony. Poczuł na sobie spojrzenie Feliksa, ale nie odwrócił głowy.

– Większość z tego to są dane niezmienne – powiedział, biorąc głębszy oddech. – Nic, co trzeba aktualizować z użyciem komisji. Nie ma tam... sprawozdań opisowych? Bardziej szczegółowych dokumentów?

– Są – powiedział cicho Prusy. – Są stare sprawozdania medyczne z czterdziestego dziewiątego, maszynopisy. Gdy w biurze pojawiły się komputery i zaczęto wpisywać tam wasze dane, uznano pewnie, że raporty są nieaktualne i je olano. Pewnie właśnie to chcą teraz do systemu dorzucić. Wasz aktualny stan, nie zdziwiłbym się, jakby tym razem porobili wam fotki. Chcą...

– Chcą porównać, jak nasz stan się zmienił – powiedział wolno Feliks, opierając się plecami o ścianę ze zdjęciami. – Sprawdzić, czy rzeczywistość, jaką stworzyli, nas niszczy. A potem z chęcią podzielą się tymi informacjami ze światem.

– Skoro zajęli się aktualizacją naszych danych – odezwał się Litwa, starając się odsunąć własne emocje od sprawy, którą się zajmowali, spojrzeć na nią z dystansu i w pełnym skupieniu. – Istnieje duża szansa, że znów zaczną przyglądać się bliżej kontaktom, poczcie, sprecherom, e-postowi, że znów zajmie się tym ktoś na poważnie, zamiast tylko odhaczać tygodnie... Ten Lefevre z ostatniego tygodnia...

– Tak, miej się na baczności, czyje włosy masz w prysznicu i komu wysyłasz dziwne wiadomości – Prusy uniósł brew z lekko kpiącym uśmieszkiem. – Mówiłem, żebyś ogarnął komputer, ale tego nie zrobiłeś, a potem wiadomości się nagle urwały... – Z wolna jego głos cichł; spojrzał na Feliksa, który właśnie zaczynał chichotać. – To byłeś ty, Polen – stwierdził nagle.

– Brawo. Jesteś taki domyślny.

Taurys słuchał jednym uchem pyskówki, która właśnie rozgorzała w salonie. Stukając palcami o blat i nieświadomie wygrywając dłonią znajomą melodię, marszczył lekko brwi.

– To znaczy, że możemy się spodziewać, że ktoś w końcu wparuje do mojego mieszkania – powiedział. Kłótnia umilkła jak ucięta nożem. – I nie będzie to twoja rutynowa kontrola albo jakieś zastępstwo, o którym wiedziałbyś.

Gilbert zmrużył lekko oczy.

– Zabezpieczyliście notatki?

– Tak, ale sam fakt, że tam są, jest podejrzany – Litwa spojrzał ostrzej na pozostałą dwójkę. – Jestem nauczycielem muzyki, nie kryptologii. Możemy je schować, ale wciąż nie mamy żadnej pewności, że na pewno nikt tego nie znajdzie. Jeśli ktoś z rządu pomyśli o tym na poważnie... – zaczął powoli, a w jego głosie zabrzmiała gorzka nuta. – Znów zacznie się przetrząsanie mieszkań od góry do dołu – Pierwsze lata po wojnie; pamiętał pierze z rozprutych poduszek i rozrzucone po podłodze kartki notatników. – Chyba że zwiniesz klucz – dodał po chwili, patrząc wymownie na Prusy. Oczy Gilberta zabłysły.

– Podoba mi się taka opcja – mruknął wesoło Prusy. – Ale one wiszą w szklanej gablotce, musielibyśmy mieć jakiś względnie podobny klucz, by go podmienić. Jak masz jakiś zapasowy przy sobie, to mi go zostaw, pogadam ze znajomym ślusarzem, może da radę coś skombinować... Ale to i tak najwcześniej za dwa tygodnie.

Feliks skinął głową z zadowoleniem.

– Ekstra. W ogóle, przydałoby nam się jakieś miejsce na bazę wypadową... – zaczął powoli. – Prusaku, wiem, że ty masz jeszcze to swoje mieszkanko w Królewcu, ale to szmat drogi stąd... Najlepiej byłoby mieć coś lewego w Berlinie, coś, co nie jest wpisane w system pod nazwiskiem Licii... Kojarzysz takie powiedzenie: najciemniej pod latarnią?

Ku zdumieniu Taurysa Prusy nagle się roześmiał. Gdy Litwa zorientował się, co Polska ma na myśli, sam też uniósł kącik ust. Śmiałe i bezczelne posunięcie, cały Feliks.

– Pytasz mnie, jak bardzo Ludwig się wkurwi, jeśli urządzimy tutaj – Ruchem dłoni Gilbert wskazał salon. – kwaterę główną naszego spisku?

Polska pokiwał głową ze złośliwym uśmieszkiem na ustach.

– Już dałem mu do zrozumienia, by się tego spodziewał – odparł Prusy, samemu uśmiechając się w podobny sposób. – Przyda nam się ktoś od parzenia kawy. Może w końcu się nauczy robić dobrą.

Taurys nie mógł powstrzymać cisnącego się na wargi delikatnego uśmieszku, bo wizja, by to Ludwig podawał im kawę była tak absurdalna, że aż śmieszna. On nigdy nie musiał nikomu usługiwać. Może i lubi porządek, ale od tego zawsze miał ludzi w swoim otoczeniu, nigdy nie musiał pracować samemu...

Urwał błądzące myśli i uniósł wzrok. Polska i Prusy posyłali sobie cwane, porozumiewawcze spojrzenia.

– Wiem, że mało kto wie o istnieniu naszego gatunku – zaczął wolno Feliks. – Ale wie aktualny führer i ci, którzy zarządzają naszymi losami. Mają do was jeszcze jakiś szacunek, nie?

– Powiedzmy – mruknął Gilbert pod nosem.

– Sprawdzają wasz dom? – zapytał cicho Litwa, zerkając to na niego, to na pięknie urządzony salon. Ten żyrandol pewnie kosztował fortunę, pomyślał, zadzierając głowę. Kryształki odbijały blask porannego słońca, wpadający do środka przez duże okna.

– Niechby spróbowali – prychnął Prusy, prostując się w fotelu, wyraźnie oburzony samą myślą. – Nie, ten dom i mieszkanie w Królewcu są czyste. Podsłuchują mnie, gdy wykonuję obowiązki służbowe, w gabinecie Ludwiga też lepiej nie rozmawiać głośno o niektórych rzeczach, ale nasze domy są czyste.

– Domy? – podchwycił Feliks, unosząc brew. – Ile ich macie? Wiem, że miałeś kiedyś jeszcze jedno mieszkanie w Gdańsku. Mieszkałem i pracowałem w tamtym rejonie – dodał w kierunku Litwy. Taurys skinął głową, przypominając sobie, że Polska już o tym wspominał. – Nieźle się zdziwiłem, jak zobaczyłem twoje nazwisko na kopercie, ale otworzył mi ktoś inny.

– Wiem – Gilbert machnął lekceważąco ręką. – Wciąż je mam, jest na wynajmie, raz czy dwa musiałem coś tam zamówić.

– Awaryjne mieszkanie? – Litwa uniósł lekko brew, notując w myślach lokalizację.

– W ostateczności – uściślił Prusy, posyłając mu ostre spojrzenie. – Nie chcę, byście się tam pałętali. Powiedzmy, że to dodatkowe źródło dochodu, którego nie chcę stracić. W razie czego, będziemy działać tutaj – Wskazał podbródkiem salon. – Ludwig i tak prawie tu nie mieszka – dorzucił sucho. – Ale macie być dyskretni. Nie chcę, byśmy wszyscy poszli siedzieć przez waszą głupotę.

– O to się nie martw, mam doświadczenie w byciu niezauważonym – Polska skinął głową z lekkim uśmieszkiem na wargach, potem jednak spoważniał. – Prusaku, a co z Erzsi? – zapytał. Taurys wyprostował się i poczuł żal, gdy tylko przypomniał sobie jej smutne spojrzenie. – Dasz radę ją przelokować pod Berlin albo gdzieś w okolice?

– Nie wiem – mruknął Gilbert przez zęby. Jego oczy zabłysły lodowato. – Jeszcze pół roku do daty jej wyprowadzki z Tuluzy, dam radę to przyśpieszyć, ale nie wiem, jak z miejscem... Wolałbym, by była daleko od tamtego miasta, bo te sukinsyny niedługo znów będą na wolności... Obiecałem sobie, że jeśli któryś z nich postawi stopę na jej osiedlu, zrobię to, co powinienem zrobić już wtedy; powieszę na najbliższej gałęzi – warknął.

– Czy ona… – Polska nagle opuścił oczy. – Ktoś jej po tym pomógł, jakiś lekarz…? Rozmawiał z nią o tym...?

– Rozmawiał? – zapytał cicho Prusy i dziwnie się uśmiechnął; częściowo pogardliwie, częściowo z jakimś bolesnym poczuciem przegranej i straconej sprawy. – Zapadł wyrok, sprawa zamknięta, proszę odejść. W Rzeszy nikogo nie obchodzi, czy ktoś się psychicznie rozsypuje, czy nie, zapomniałeś już o tym? Tutaj nie ma miejsca na takie fanaberie.

Litwa poczuł gwałtowną potrzebę odwrócenia wzroku.

– Miałem nadzieję, że chociaż jedna rzecz się zmieniła w ciągu tych dziesięciu lat – powiedział cicho Feliks. W jego głosie zabrzmiała rezygnacja. – Na Zachodzie ostatnio to tak się ładnie rozwija... Na ile ich skazali? Tylko na sześć lat?

– Tylko? Chcieli dać im dwa – Spojrzenie Prus ochłodziło się jeszcze bardziej. – Ale zrobiłem parę awantur, więc dali maksymalny wymiar ka...

– Zdajecie sobie sprawę – powiedział nagle Taurys, wpatrując się w list. – Co ona będzie tam przeżywać...?

Teraz, gdy minęło zaskoczenie i pierwszy szok, nie czuł się z niespodziewaną kontrolą tak źle – przecież już kiedyś, lata temu, stał nago przed grupą obcych ludzi w medycznych fartuchach, którzy bez emocji oglądali każdą poszarpaną linię na jego plecach. Nie było to nic dla niego nowego, zwykłe przypomnienie kolejnego aspektu odarcia z prywatności; blizn wstydził się tylko przed dwójką, w której towarzystwie siedział, a która właśnie gwałtownie umilkła.

Znali go od setek lat, czy to jako sojusznika czy jako dawnego wroga; czym innym było pokazywanie śladów własnej bezradności im, a medykom, nawykłym do oglądania zwyrodnień i okaleczeń.

Wiedział, że komisja nie poprawi mu samopoczucia, ale na samą myśl, że ktoś zmusi Węgry do obnażenia się po tym, co przeszła, sprawiała, że robiło mu się niedobrze.

Obaj, zarówno Gilbert jak i Feliks, zbledli, gdy dotarł do nich sens jego słów.

– Zablokuj to! – Polska rzucił się ku Prusom; ten złapał go za ramiona i mocno zacisnął dłonie. – Nie wiem jak, ale to zrób, słyszysz?!

– Uspokój się, Polen – syknął równie zdenerwowany Prusy i lekko go od siebie odepchnął. Polska zrobił kilka chwiejnych kroków do tyłu i potrząsnął włosami. – Spróbuję... Powinni mieć jej akta ze szpitala, może to im wystarczy...

Polska otworzył usta, by coś powiedzieć, ale najwyraźniej zrezygnował. Z dziwnym bólem w oczach znów zaczął nerwowy spacer po salonie; jego buty zatapiały się w miękkim dywanie, a Taurys śledził go wzrokiem.

Nie mogąc znieść duszącej ciszy, która zapadła – Gilbert wpatrywał się w przestrzeń, zaciskając szczęki – Litwa na moment przymknął oczy i odetchnął. Działać. Trzeba działać. Skup się... Boli, ale powinieneś być już przyzwyczajony... Z bólu nic nie wyniknie, skup się, pomyśl o tym jak o bitwie do wygrania... Kiedyś umiałeś, przypomnij sobie...

– Wykonali ruch – powiedział spokojnym głosem, otwierając oczy. Polska zatrzymał się w pół kroku. – Dużo wcześniej niż myśleliśmy.

– Tak – mruknął Feliks. – Spodziewaliśmy się działania z ich strony co najmniej za kilka miesięcy...

– Kto, Polen? – Prusy odezwał się ostro. – Gadaj, kto dokładnie jest w to zamieszany. Kto jest po naszej stronie, jakie masz kontakty? Do tej pory rzucałeś tylko ogólniki. Masz mi tu wszystko wyśpiewać.

– Głównie Hiszpania, Anglia i Ameryka – odparł Feliks cicho. – Posiedziałem u każdego trochę czasu, sypnęli kasą, więc o to nie trzeba się martwić, mamy fundusze. Informuję ich, jeśli się coś zmienia, oni robią to samo. Łatwo się nas nie pozbędą...

– A wojna? – Gilbert zmrużył oczy.

– Z tym gorzej – mruknął Polska, przeczesując włosy palcami. – Zachód nie chce mieszać się w potencjalną wojnę dwóch mocarstw. Moje kontakty to ludzie... Mam informacje o rosyjskich politykach, trochę znajomości w Rzeszy i w Rosji, głównie dziennikarzy i osób, które lubią węszyć... Próbowałem znaleźć jakieś bezpośrednie dojście do Iwana, ale nic z tego nie wyszło.

– Do przyszłego tygodnia będziesz miał informacje o naszych politykach – wpadł mu w słowo Prusy. – Tyle, ile jestem w stanie wyciągnąć. Pamiętaj, że nie biorę udziału w polityce zagranicznej, Ludwig też nie.

– Dzięki – Polska skinął mu głową. – Przydałoby się dotrzeć do kogoś, kto jest blisko führera.

– Rzadko się pokazuje – mruknął Gilbert do siebie. – Zobaczę, co da się zrobić... Na razie przetrwajcie te dwa tygodnie, nie wzbudź podejrzeń Rodericha i normalnie wróć do roboty – dodał, patrząc na Litwę wyczekująco. Ten spokojnie pokiwał głową. – Potem zajmę się twoimi kluczami.

– Właśnie – Taurys sięgnął do kieszeni. Przez chwilę próbował odczepić odpowiedni klucz od kółka, uważając, by nie rozsypać pozostałych po salonie. Nie było ich wiele; poza kluczami do mieszkania, z których jeden właśnie chciał dać Gilbertowi, miał jeszcze klucz od auta i skrzynki pocztowej, plus niewielki kluczyk od szkolnej szafki. – Oficjalnie

powinienem zameldować każdą ingerencję w mieszkanie – powiedział cicho, ważąc klucz w dłoni. – W tym wymianę zamków, bo tak to będzie wyglądać...

Gilbert uniósł znacząco brew.

– Oficjalnie nie powinieneś kontaktować się z żadną inną personifikacją oprócz mnie – powiedział. – Oficjalnie nie powinieneś też babrać się w spiskach i trzymać Feliksa u siebie. W papierach masz tylko jedno zwierzątko domowe.

Taurys uniósł kącik ust i przesunął klucz po stoliku. Prusy natychmiast go przechwycił i schował do kieszeni.

– Racja.

– Ej! – Polska wystawił język Gilbertowi. Poważna atmosfera jakby się rozrzedziła. – Ja przynajmniej nie próbuję gryźć, jak tylko się wyciągnie do mnie rękę.

– Nie wnikam, co robicie wieczorami – Prusy wzruszył ramionami, a w jego oczach zalśnił złośliwy błysk. Nim którykolwiek z nich zdążył zareagować, Gilbert, jak gdyby nigdy nic kontynuował temat; Taurys, zerkając na Feliksa, ze zdumieniem zauważył dziwny rumieniec, który pojawił się na jego jasnych policzkach.

Coś – jakby odrobina nieśmiałej nadziei – zajaśniało w jego sercu niczym pierwsza iskra podpalanego ogniska. Na moment odcinając się od trwającej rozmowy, zerknął w bok, zastanawiając się, co tak naprawdę czuje.

Wiedział na pewno jedno; Feliks wrócił i przewrócił całe jego życie do góry nogami, nie po raz pierwszy zresztą.

Przez ostatnie dni myślał, że ich nocna rozmowa, podczas której podali sobie dłonie i przedstawili się sobie ludzkimi imionami, przekreśliła to, co było i rzuciła przed nich czystą kartę, ale... ale teraz pojawiła się w nim myśl, że być może coś z tej ich wspólnej przeszłości dało się ocalić i utworzyć na nowo, lepsze, silniejsze...?

Rano się nieco załamał, zbyt przytłoczony nadmiarem myśli i wracających wspomnień; teraz nagle pomyślał, że może wciąż ma szansę. Uniósł oczy, przyglądając się pogrążonemu w dyskusji Polsce. Feliks dyskutował żywo, gestykulując namiętnie, a gdy chodził szybko po salonie, jego rozpuszczone włosy żyły własnym życiem.

Przypomniał sobie jego miękkie spojrzenie i pocieszający dotyk; po ostrych słowach Gilberta, które wciąż dźwięczały mu w uszach, nocą po Charlottenburgu, dzisiejszego ranka... Damy radę, razem.

Razem.

Wziął głęboki oddech. Spójrz prawdzie w oczy, Lietuva.

Nie nosiłbym po nim żałoby. Nie czułbym się tak skołowany jego powrotem. Nie myślałbym o nim przez tyle lat, gdy – Taurys zerknął na swoje ręce, już dawno zniknęły z ich odciski i zadrapania, chociaż to nie pozostawiło śladów – pracowałem u Iwana aż do utraty sił. Nie czułbym tego dziwnego ukłucia bólu, gdy sto lat temu rzucaliśmy sobie gniewne spojrzenia z powodu Wilna, które obaj pokochaliśmy zbyt mocno...

Nie odwiedzałbym cmentarza.

Nie myślałbym o naszej wspólnej przeszłości tak często, gdybym, po tylu latach, wciąż go nie...

– Zawsze byłeś lepszym strategiem – Feliks, wytrącając go z potoku myśli, nagle zwrócił się wprost do niego. Litwa zamrugał zdezorientowany, zdając sobie sprawę, że umknęła mu przynajmniej minuta ożywionej rozmowy. – Jak byś to rozegrał?

Gilbert, przyglądając się im obu, uśmiechał się irytująco triumfalnie, jakby coś wiedział i napawało go to sporą satysfakcją – niespodziewanie Litwa poczuł ochotę, by zetrzeć mu ten uśmieszek z warg, ale zamiast tego sam też się uśmiechnął, co wyraźnie wytrąciło Prusaka z równowagi.

O nie, pomyślał, czując jak wzbiera się w nim jakaś dziwna zaciętość. Już dość. Przestańcie na mnie patrzeć jak na stary, rozpadający się wrak.

– Powtórz, proszę – poprosił Feliksa rzeczowym tonem. – Zamyśliłem się.

Gdy tak patrzył w zaskoczone oczy Polski, nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w głowie pojawiły mu się łacińskie słowa, słowa, o których był pewny, że już lata temu je zapomniał. Quis contra nos?

Gdy Feliks streścił mu swoją poprzednią wypowiedź, Taurys wyprostował się w fotelu. Koniec, pomyślał. Dam radę. Damy radę.

– Panowie... – zaczął spokojnie. – Zrobimy to tak.

Rozdział XVI: W polu czerwonym

W piątkowe południe palące słońce składało Berlinowi gorący pocałunek; jego mieszkańcy przemykali pośpiesznie, by skryć się w krótkich cieniach osiedlowych drzew i budynków mieszkalnych, powietrze nad rozgrzanym betonem drżało jak przy pożarze, a niebo było oślepiająco błękitne i pozbawione chociażby najmniejszej chmurki.

Piękny dzień, pomyślał mimochodem Feliks, opierając się przedramionami o przyjemnie nagrzany parapet. Stąd, z trzeciego piętra, miał doskonały widok na osiedle i jego mieszkańców, ale to nie chęć obserwacji otoczenia była powodem, dla którego tkwił od kilku minut przy otwartym oknie – wciągając w płuca ciepłe powietrze z zewnątrz, w zamian oddawał światu dym z własnych płuc.

Starał się palić tak, by jak najmniej dymu znalazło się w kuchni – nie sądził, by Taurys był zadowolony z odoru, który z pewnością rozszedłby się po całym jego małym mieszkaniu. Litwa napomknął niedawno, że z tym nałogiem skończył jakiś czas temu, a Feliks, mając w pamięci swoje własne, raczej żałosne próby rzucenia palenia, spróbował przynajmniej ograniczyć sięganie po papierosa.

Biorąc pod uwagę, że obecnie każdy kolejny dzień przynosił to coraz gorsze perspektywy, Polska nie łudził się, że ten stan potrwa długo; miał zwyczaj palić dużo i często, gdy robiło się nerwowo, a że palił od dwustu lat, wątpił, że kiedykolwiek uda mu się pozbyć tego nawyku całkowicie.

Miał nadzieję, że Litwa mu to wybaczy.

– Jeśli ci z tym ciężko, mogę wychodzić na zewnątrz – odezwał się, wypuszczając spomiędzy warg kolejną ulotną mgiełkę szarości, gdy usłyszał znajome kroki. To dziwne, pomyślał jeszcze, tyle się wydarzyło, tyle przykrych słów między nami padło, a ja wciąż potrafię rozpoznać go po sposobie chodzenia.

– Nie czuję głodu nikotynowego, spokojnie – odpowiedział Taurys za jego plecami. – Minęło już piętnaście lat, odkąd rzuciłem. Zrobić ci kawy...?

Feliks zerknął przez ramię, niedbałym gestem strzepując popiół z papierosa, i skinął głową. Rytuały, pomyślał, odwracając się i opierając o parapet plecami.

Taurys niemalże mechanicznie przygotowywał kawę; Polska śledził jego dłonie, nieco drżące – ciągle zastanawiał się, czy to wynik wyraźnych niedoborów w jego pożal się Boże diecie, czy ma na to wpływ jego stan psychiczny – sięgające po kubki, odmierzające odpowiednią ilość kawy, nalewające wody do kawiarki, wyuczonym przed laty gestem skręcające urządzenie w całość, w końcu jednym ruchem nadgarstka włączające gaz na kuchence...

– Zastąpiłeś nikotynę kofeiną, co? – zagadnął dokładnie w tej samej chwili, w której Litwa się odezwał:

– Wolałbym, byś nie wychodził częściej niż to konieczne.

Spojrzeli po sobie, a potem Litwa skinął lekko głową, oddając pola Feliksowi; z jakiegoś dziwnego powodu Polska poczuł się niezbyt komfortowo, ale postanowił nie myśleć teraz

o tego przyczynach. Zamiast tego zmarszczył brwi, ale szybko do niego dotarło, o co chodzi.

Chociaż w ciągu dwóch ostatnich tygodni sąsiadów widział może dwa razy, ze względu na specyficzną budowę klatki schodowej – mieszkanie Taurysa leżało tuż przy windzie, dwa pozostałe natomiast przy schodach i ich mieszkańcy woleli wspinać się na trzecią kondygnację o własnych siłach – domyślił się, że wychodzenie przed blok co najmniej pięć razy dziennie w końcu przykułoby do niego uwagę.

– Ktoś by się zainteresował, zrozumiał, że nie jestem znajomym często wpadającym w odwiedziny, a dzikim lokatorem – oznajmił wesoło, a odrobinę uniesiony kącik ust Litwy dał mu do zrozumienia, że trafił w sedno. Uśmiechnął się szerzej, ale po chwili ten uśmiech zbladł, pozostając tylko gorzkawy grymas.

Litwa natychmiast to zauważył.

– To nie tak, że nie wolno mi z kimś mieszkać – powiedział, zerkając na kawiarkę. Gaz cicho szumiał pod metalem. – Ale… – Taurys wciągnął powietrze przez zęby, spinając ramiona. Polska westchnął, wiedząc, jakie słowa padną następne. W końcu, sam mieszkał w tym kraju przez dziesięciolecia, grając wedle tych samych zasad, znając realia. – Moje mieszkanie to właściwie kawalerka, a…

– Na Zachodzie już dawno tego nie ma – odezwał się Feliks nieco melancholijnie, gdy Taurys nie dokończył. – Nikt tego nie ściga, serio. Tylko Rzesza dalej tkwi w tym chorym paragrafie. Boisz się, że sąsiedzi by uznali, że jesteśmy parą, to by się rozniosło i straciłbyś robotę? – zapytał nagle, bacznie obserwując Taurysa.

Ten wyraźnie się zmieszał.

– To głupie, wiem – powiedział cicho, nie patrząc na Polskę. Kawa w makinetce zaczęła już bulgotać, więc Litwa sięgnął do rączki i odłożył ją na zlew. Złapał za przygotowane wcześniej kubki. – Wiem, że nie powinienem się o to martwić, ale…

O co się martwisz, Licia?, pomyślał nagle Feliks, czując ucisk w piersi. O to, że stracisz pracę, skoro podjąłeś się udziału w naszym spisku mimo świadomości, że wiele rzeczy może pójść nie tak? Czy o to, że między nami… Że między nami istniało kiedyś coś ważnego i dlatego unikasz mojego spojrzenia i nie chcesz mówić o naszej wspólnej przeszłości, Licia, przeszłości, która była gorzka i słodka, a którą nam próbują odebrać, zakłamać, sfałszować?

Wspomnienie odległego ślubu wypłynęło na wierzch jego myśli. Książę i król-kobieta, a potem oni dwaj… Oczywiście, to nie była oficjalna, uroczysta ceremonia, jak u Jadwigi i Jogaily – to on, wówczas młody i pełen energii, a już na pewno szalonych pomysłów, zasugerował prywatną uroczystość, pozbawioną jakichkolwiek świadków zabawę w ślub, której wówczas żaden z nich nie wziął na poważnie.

Nic ich ze sobą wówczas nie łączyło. No i nikt nie nazwałby wtedy ich małżeństwem, nie bojąc się boskiego gniewu, każdy kapłan byłby pewnie wstrząśnięty samą myślą o sprofanowaniu świętości związkiem dwóch mężczyzn.

A potem się w tobie zakochałem, pomyślał Feliks, przyglądając się spiętym ramionom Litwy. I tamten dzień stał się dla nas czymś więcej, niż tylko młodzieńczą zabawą. Ciekaw jestem, czy go wciąż pamiętasz, Licia.

Bał się, że, podobnie jak Bitwy pod Grunwaldem, Taurys już nie pamiętał.

– Będziemy ostrożni – odezwał się poważnie i ucieszył się, gdy Taurys w końcu na niego spojrzał i skinął spokojnie głową. Przeczesał palcami włosy, zastanawiając się nad kolejnymi ruchami. – W razie potrzeby zacznę pasożytować u Beilschmidtów.

Zauważył, jak Taurys lekko unosi kącik ust, słysząc jego mało entuzjastyczny ton.

– Ludwig będzie wniebowzięty.

– Ja również – westchnął Feliks, niemalże zgrzytając zębami. Towarzystwo Ludwiga było ostatnim, na jakie miał ochotę, już z jego bratem dało się wytrzymać. – Ale czego się nie robi dla wyższego dobra, nie?

– Myślisz, że uda mu się podmienić klucze? – zapytał Taurys, stawiając kubki z kawą na stole. Potem wrócił do zlewu. Uważając, by nie poparzyć się gorącym metalem, pod bieżącą wodą przepłukał fusy pozostałe w kawiarce.

Polsce nie umknęło, że w jego kubku jest znacznie mniej kawy niż w naczyniu Litwy. Uśmiechnął się szeroko i zamknął okno. Odbił się od parapetu i zerknął do lodówki, szukając mleka. Był pewny, że dopiero co kupowali zapas, ale uniósł brew, widząc, że butelka jest prawie pusta.

– Prusakowi? – zapytał, zastanawiając się przelotnie, czy naprawdę tyle mleka dodawał do kawy, czy to może Taurys, wbrew swoimi słowom, poi nim swojego kociego anioła stróża z imieniem po Krzyżaku. – Stanie na rękach i tym białym łbie, by tego dokonać, jestem tego pewny. Swoją drogą, jeśli ktokolwiek kiedyś tu przyjdzie – zaczął, marszcząc lekko brwi. – I zauważy, że klucz nie pasuje... będziesz rżnął głupa, że zapomniałeś zgłosić wymiany zamków?

– Skądże – odparł Litwa i, ku zaskoczeniu Feliksa, blado się uśmiechnął. – Trzydzieści lat pracowałem w urzędach miejskich i wiem, jaki tam jest bałagan. Nawet nie wiesz, ile wniosków kończy w koszu, bo ktoś pomylił się w numerze karty obywatela, a urzędnikowi nie chciało się wysyłać zwrotki.

– Procedury najgorszym wrogiem człowieka – mruknął Polska z uznaniem. – Twój wniosek, który, jak rozumiem, niedługo wyślesz, też będzie błędny? – zapytał, dolewając resztkę mleka do kawy, aż pobielała. Taurys podsunął mu cukierniczkę. Coś w oczach Litwy lekko zamigotało, a Polska uśmiechnął się szerzej. – A jak zwrotka jednak przyjdzie?

– Masz podobno kontakty na poczcie – zauważył trzeźwo Litwa. – Nigdy się wam nie zdarzyło zgubić jakiegoś listu?

Polska roześmiał się w głos, przypominając sobie te wszystkie pomyłki i małe katastrofy, których był świadkiem – albo przyczyną, w zależności od sytuacji – podczas pracy z przesyłkami.

– Jesteś genialny, Licia – powiedział z uznaniem, obserwując, jak na bladych policzkach Taurysa pojawia się równie blady różowy odcień. – Najprostsze rozwiązania są zawsze najlepsze.

– Gdy zastanę ich pod moimi drzwiami, próbujących się tu włamać, będę bardzo zakłopotany tym nieporozumieniem – kontynuował Litwa pewniejszym tonem. – Pokażę im nawet potwierdzenie nadania wniosku. To kupi nam troszkę czasu, ale... – Taurys nagle zmarszczył brwi. – Feliks – zaczął poważniejszym tonem, ściszając odruchowo głos. – Jesteś... jesteś pewny, że nikt z twoich kontaktów cię nie wsypie...?

Polska spoważniał i przestał mieszać kawę.

– Nigdy nie ma pewności – szepnął. – Ale uważałem na to, o co kogo proszę i co im mówię.

Taurys odetchnął z wyraźną ulgą.

– Więc działamy – stwierdził po prostu. – Jutro jedziemy pod granicę, tak?

Feliks pokiwał głową i biorąc łyk mlecznej kawy, jeszcze raz przebiegł myślami po ich planie, planie stworzonym głównie przez Litwę w salonie Beilschmidtów dwa dni wcześniej.

Prusy, mając na ustach zawadiacki, krzywy uśmieszek, potwierdził, że z chęcią obejmie zaszczytną funkcję wtyki w rządzie, zarówno w niemieckim, jak i pruskim parlamencie. Miał również mieć oczy szeroko otwarte podczas kolejnych wizytacji, w szczególności, gdy będzie odwiedzał Ukrainę lub Białoruś.

– Wiem, że za sobą nie przepadacie – powiedział wolno Litwa, gdy ustalali szczegóły, siedząc w salonie pod kryształowym żyrandolem. – Ale jeśli...

– Wiem, wiem, przecież tego nie spieprzę – parsknął Gilbert; jego oczy błyszczały z ekscytacji. – Ucz się lepiej Morse'a, Lit.

Taurys przejął całą dokumentację, którą zdołali zgromadzić, i to on zarządzał wszystkimi posiadanymi informacjami, starając się z notatek i domysłów wykreować najlepszą taktykę. Radio w kuchni, do tej pory włączane bardzo często, teraz chodziło non-stop, a co godzinę Litwa unosił głowę i nasłuchiwał, czy na rozległych rubieżach Rzeszy nie wydarzyło się coś ważnego. Analizował i myślał nad kolejnymi krokami, a Feliks podsuwał mu kolejne kubki z kawą, dzieląc się kofeiną i pomysłami.

Dopóki nie zaczął się wrzesień, mógł też działać w terenie – potem tą rolę miał przejąć Feliks, chyba że sytuacja zmusi Taurysa do porzucenia pracy i, tym samym, wymknięcia się spod kontroli biura.

– Na razie macie trochę związane ręce – mówił Polska, żywo gestykulując swoimi. – Za moment obaj musicie być w robocie, albo w szkole albo w rozjazdach. Ja w każdej chwili mogę gdzieś wyskoczyć. Jak tylko dostaniemy kolejne sprechery, będziemy mieć pewną drogę komunikacji. Jak ci idzie szyfrowanie, Licia?

Taurys w każdej wolnej chwili wprawiał się w szyfrach. O ile niezarejestrowane sprechery umożliwiały im szczerą komunikację, woleli mieć awaryjne metody kontaktu, gdyby ta zawiodła. Feliks co chwila podrzucał Litwie kolejne teksty do zakodowania,

czasem całkowicie absurdalne, mając wrażenie, że chociaż ciągle dokłada mu pracy, widzi w jego oczach raczej wdzięczność niż wyrzut.

– Jest dobrze, nie robię już błędów w alfabecie Morse'a – powiedział Taurys wolno, marszcząc lekko brwi, jakby próbował sobie coś przypomnieć. Gorące opary kawy tańczyły przed jego twarzą. – Ten sposób, którym pisałeś e-posty, też mam opanowany, ale jest zbyt prosty do odczytania, wolałbym go używać tylko w krytycznych sytuacjach...

– A ten nasz muzyczny? – zagadnął Feliks, prostując się nieco. – Niezły, nie?

Miał na myśli całkiem prosty szyfr podstawieniowy, który ustalili wspólnie poprzedniego wieczoru, siedząc w salonie ponad zeszytami do muzyki i stertą dokumentów Taurysa z pracy, wśród których znalazły się zapisy nutowe znanych klasyków. O tym, że Feliks zauważył też tam stare hymny i polonezy, nie napomknął ani słowa.

Boisz się, Licia? Boisz się, że gdybyśmy znowu... że to znowu by się tak skończyło? Uwierz, miałem sporo czasu na przemyślenie tego, co było, pomyślał gorzko Polska. Tysiące kilometrów w pustym aucie, w towarzystwie kopert i paczek, od domu do domu, samotność między jedną obcą twarzą a drugą, to wszystko sprzyjało wspomnieniom.

– To było świetne – przyznał szczerze Taurys, pewnie nieświadomy pytań pojawiających się w głowie Feliksa. – Nikt nie będzie szukał ukrytych wiadomości w nutach nauczyciela muzyki... Przynajmniej taką mam nadzieję.

– Ja też – uśmiechnął się Feliks. – No... – mruknął pod nosem. – Teraz to już muszę nauczyć się nut.

Gdy Litwa posłał mu pełne niedowierzania spojrzenie, Feliks parsknął śmiechem.

– Żartuję, znam – Uniósł dłonie do góry i zachichotał na widok jego miny. – Co, nie wierzysz? – dodał po chwili, przyglądając się Taurysowi. Ten lekko wzruszył ramionami.

– Wcale bym się nie zdziwił – powiedział spokojnie i pociągnął kolejny łyk kawy.

– Przeglądałem twoje nuty! Grałem!

– Mogłeś próbować z pamięci...

Nim Taurys dokończył, Feliks roześmiał się szczerze i poczuł ulgę, gdy Litwa oddał uśmiech, nawet jeśli był nieco nerwowy.

– Aż tak dobry w tym nie jestem... Dobra. Szyfr jest, teraz tylko trzeba pilnować, by Austriak na to nie spojrzał.

Był kolejny piątek; za parę godzin Feliks miał zabrać za sobą wszystko, co posiadał i wszystkie dokumenty – tymczasowo, Litwa już zastanawiał się, jak bezpieczniej przechowywać notatki – by Austria, w zastępstwie za Gilberta, mógł przeszukać mieszkanie Taurysa. Jak tylko zamkną się za nim drzwi, mieli rozpocząć przygotowania do pierwszej konkretnej akcji.

Feliks nie mógł się już doczekać; ku swojemu zadowoleniu, zauważył, że Litwa też.

Jeszcze tego samego dnia, w którym Taurys otrzymał kremową kopertę, nadali informację przez sprechera. Polska wyjaśnił Litwie, że wiadomość posłana alfabetem Morse'a trafiła na niezarejestrowany sprecher niedaleko hiszpańskiej granicy, skąd już ktoś inny zajmował się przemytem informacji.

I potrzebnego im sprzętu.

– Zaufany człowiek Hiszpanii?

– Tak – Polska pośpieszył z odpowiedzią. – Dostaniemy dodatkowe sprechery, dla ciebie, Prusaka i Erzsi. I... i będziemy mieli też broń.

Zrobiło się poważnie; Litwa skinął głową, zaciskając wargi w cienką linię. Feliks słyszał w radiu, jak straż graniczna chwaliła się swoją bohaterską walką i miażdżącymi zwycięstwami z przemytem papierosów i alkoholu, ale, jak nie omieszkał się wyjaśnić zaciekawionemu Taurysowi, kontrabanda obejmowała o wiele więcej niż tylko używki i wcale nie była tak skutecznie zwalczana, jak się to obywatelom imperium mówiło.

– Przyda się – ocenił Taurys, ściszając głos. – Nie chcę machać bronią na prawo i lewo, Lenkija, ale...

– Jeśli spełni się najgorszy scenariusz – powiedział nagle Feliks, a jego głos stwardniał. Czując w klatce piersiowej ucisk, spojrzał na Litwę czujnie. – Nie chcę, byś był bezbronny. – Widząc dziwne poruszenie na twarzy Taurysa, dodał już lekkim tonem: – Ani ja. Prusak też powinien być uzbrojony. Co za idiota zabrał mu dostęp do broni, przecież to jak pianiście połamać ręce.

Chwilę milczeli, kończąc kawę; wybiła trzynasta i w radiu, zamiast spokojnej muzyki, rozbrzmiał głos prowadzącego audycję. Nadstawili uszu, ale w ciągu kolejnych kilku minut nie usłyszeli żadnej informacji, która byłaby ważna.

– Na koniec, parlament Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej ostatecznie przyjął ustawę podatkową. Najważniejsze zmiany dotyczące...

Feliks wstał, by ściszyć radio, ale Taurys powstrzymał go ruchem ręki.

– Poczekaj – poprosił.

Polska zmarszczył lekko brwi.

– To tylko podatki.

– Feliks, ja je płacę – Taurys spojrzał na niego bez zrozumienia. – Chcę wiedzieć, co się zmienia.

– Och – Polska zamrugał, a potem potrząsnął włosami. – Zapomniałem, że... że wciąż jesteś obywatelem tego grajdołka.

Kiedyś też nim był; ostatnimi laty żył jednak kompletnie poza systemem i zdążył zapomnieć już o tych wszystkich przyziemnych sprawach, którymi zajmowali się ludzie. Opadł z powrotem na krzesło i gdy audycja się skończyła, usłyszał jak Taurys mruczy do siebie coś, co brzmiało jak „lepiej, niż się spodziewałem".

Ciekawe, czy ma na myśli tylko podatki, zastanowił się Feliks, a potem coś innego przyszło mu do głowy:

– Beilschmidt... Młodszy Beilschmidt, nie Gilbert... On nad tym siedział przez ostatnie tygodnie, nie? Będzie częściej w domu.

Nie umknęło mu, jak Taurys lekko się spiął.

– Pewnie tak – przyznał Litwa ostrożnie. – Myślę, że...

Nim zdążył podzielić się swoimi przypuszczeniami, jego prywatny, oficjalnie zarejestrowany na jego nazwisko sprecher, rozdzwonił się głośno.

Prusy rozmasował obolałą lewą dłoń i posłał stercie papierów gniewne spojrzenie. Wbrew temu, co mogłoby wynikać z objętości stosu, informacji nie było wiele; założył sobie, że na każdego polityka poświęci całą dużą kartkę, a tymczasem o niektórych ledwie mógł napisać trzy wersy.

Z pruskim parlamentem nie poszło źle – bywał tam praktycznie co tydzień i wewnętrzne sprawy jego autonomicznego kawałka były dla niego dość istotne – ale zdał sobie sprawę, że o członkach niemieckiego rządu, w którym bywał jedynie z doskoku, wie żałośnie niewiele.

Cóż, najwyżej Litwa i Polska dostaną jego pracę domową przed czasem.

– Minister wojny? – rzucił w przestrzeń, zawieszając długopis ponad kartką. – Co wiesz, braciszku?

Ludwig, odpoczywający w drugim fotelu ich salonu, posłał mu chłodne spojrzenie.

– O co mnie teraz pytasz? O nazwisko czy numer buta?

– O poglądy – sarknął Prusy, rzucając długopis na blat stolika. – Jest ministrem wojny tylko z nazwy, czy ma w sobie jakąś iskrę? Rzucał jakieś hasełka? Coś o dalszej ekspansji na Wschód albo pierdolety o dwóch mocarstwach, z których jedno w końcu zwróci się przeciwko drugiemu i dlatego trzeba zaatakować jako pierwszy, bo atak to najlepsza obrona?

– Nie – warknął Ludwig, wyłapując przytyk. – To stary generał, któremu na starość wysiadły wszystkie narządy wewnętrzne od nadmiaru alkoholu – dorzucił gniewnie, odpowiadając ciosem na cios. Prusy drgnął lekko. – Jedyną wojnę, jaką toczy, to ta z własnym organizmem i rodziną, która próbuje przemówić mu do rozsądku. Zadowolony z tej odpowiedzi?

– Bardzo – burknął Gilbert, podrywając się z fotela. Znajomym, marszowym krokiem, tym samym, który przejął od niego za młodu Ludwig, zaczął przemierzać salon, aż zatrzymał się przed ścianą zdjęć. Jego ramiona nagle opadły. – Bruderherz – odezwał się cicho, wpatrzony w chłopięcą twarz uwiecznioną na fotografii. Miał wrażenie, jakby od tamtej chwili upłynęło całe tysiąclecie.

Ludwig westchnął ciężko i na moment skrył oczy w dłoni, marząc tylko o tym, by się położyć w normalnym łóżku, a nie na kanapie w gabinecie w kancelarii Rzeszy.

– Nie myśl, że to jest dla mnie łatwe – odezwał się, starając się zapanować nad sobą.

Prusy wciągnął powietrze przez zęby.

– Ludwig – zaczął cicho, nie odwracając oczu od jasnego, niewinnego spojrzenia dziecka na zdjęciu. – Kiedy my... kurwa mać! – Z irytacją odwrócił się, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. Niemcy uniósł brodę i spojrzał na niego z oczekiwaniem. – Ta dwójka nie jest powodem, dla którego na siebie warczymy przez byle gówno!

– Szpiegostwo własnego rządu nazywasz byle gównem?

– Nie o tym mówię – Prusy z rezygnacją opadł na fotel. Zacisnął mocno szczęki. – To zaczęło się na długo, nim Feliks pieprzony Łukasiewicz łaskaw był stąpić z niebios, a nawet przed tym, nim postanowił sobie umrzeć – uznał, bez słowa sięgając po szklankę

wypełnioną ciemnym płynem. Ostry, ziołowy zapach i pieczenie w gardle, które odczuł, gdy wychylił ją niemalże duszkiem, na pewno nie oznaczały, że znajdował się tam sok. – My już po prostu nie umiemy ze sobą rozmawiać. I to kurewsko boli, Bruderherz.

Litwa drgnął gwałtownie i posłał urządzeniu niepewne spojrzenie. Znów ścisnęło go w żołądku: kto...? Na pewno nie Gilbert, więc pozostawały trzy opcje i tylko jedna z nich była miła.

W milczeniu uniósł się z krzesła i zacisnął palce na urządzeniu. Gdy spojrzał na ekran i rozpoznał ciąg cyfr, odetchnął z ulgą, świadom czujnego spojrzenia Polski.

– Annika – wyjaśnił cieplejszym tonem.

Posyłając Taurysowi uśmiech, Polska wrócił do swojej kawy, Litwa zaś uspokoił oddech i odebrał połączenie. Dopiero po tym, jak nacisnął przycisk, pomyślał że chyba powinien przejść do innego pomieszczenia, by nie skazywać Feliksa na wymuszone podsłuchiwanie rozmowy, ale do tej pory nigdy nie musiał tego robić – zawsze był sam albo to jego podsłuchiwano.

– *Hallo*?

– Wszystkiego najlepszego z okazji trzydziestych urodzin! – zawołała do niego radośnie, a Litwa zamrugał zdumiony.

Urodziny...?, zapytał sam siebie, rozglądając się po kuchni w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mu objaśnić sytuację. Napotkał zaskoczone spojrzenie Feliksa, a potem obaj zerknęli na kalendarz na ścianie.

Dwudziesty trzeci sierpnia. Dlaczego ten dzień... Och. To tą datę miał w aktualnych dokumentach.

– Dziękuję – mruknął w końcu zakłopotany, bo nie spodziewał się żadnych życzeń. Nigdy nie zwracał uwagi na te fikcyjne dane, wyglądało jednak na to, że Annika musiała podejrzeć je w jakimś szkolnym dokumencie. Zrobiło mu się cieplej na sercu, gdy zdał sobie sprawę, że zapamiętała tę datę specjalnie po to, by zadzwonić z życzeniami.

– Zapomniałeś? – spytała z lekkim rozbawieniem.

– Właściwie, to tak – przyznał, uśmiechając się nerwowo. Feliks mrugnął do niego zawadiacko. – Jakoś... jakoś nie miałem do tego głowy.

Feliks, przyczyna wielu rzeczy w jego życiu, i dobrych, i złych, wrócił do żywych, razem próbują zapobiec wojnie i eksterminacji własnego gatunku, w przyszłą środę Litwa stanie przed komisją, nie wiedząc, co tam się wydarzy, lada moment będzie tu Roderich, a potem pojadą po nielegalną broń.

Gdyby jeszcze obchodził jakiekolwiek osobiste święta, też by o nich pewnie zapomniał, miał zbyt dużo na głowie, w której i tak panował już mętlik.

– Tak myślałam – odezwała się Annika cichym, ciepłym tonem. – Dlatego postanowiłam zadzwonić. Życzę ci wszystkiego najlepszego, chciałabym, by twoje życie lepiej się układało – Taurys pomyślał przelotnie, że chociaż bardzo pilnował, by nie zdradzać za dużo w rozmowie z przyjaciółką, ona widziała więcej, niż myślał. – Masz ochotę na kawę dzisiaj wieczorem?

– Dzisiaj.... – zawahał się, mając przed oczami postacie oficerów przeszukujących jego mieszkanie. – Dzisiaj nie mogę...

– Może jutro? – zasugerowała, nie zniechęcając się odmową. – O której jesteś wolny?

– Ja...

– Idź, idź – szepnął bezgłośnie Feliks, mrugając do niego. – Wyjeżdżamy o szesnastej, zdążysz.

Litwa uśmiechnął się lekko.

– Z chęcią – odparł szczerze, poruszony życzeniami i życzliwością. – Mogę przed południem... Dziękuję ci bardzo...

Spokojnie przechadzał się po kuchni; Berta, do tej pory koczująca w saloniku, wsunęła się do pomieszczenia i zaczęła ocierać o jego nogi, więc Litwa pochylił się i wziął kota na ręce, nie przerywając rozmowy. Jeszcze chwilę rozmawiał z koleżanką z pracy; gdy się rozłączył, pomyślał nagle, że nie powinien był się zgadzać, mimo sugestii Polski.

– Wplączemy ją w to – powiedział, tracąc humor.

– Postaramy się, żeby nie – uspokoił go Feliks, patrząc na niego z zastanowieniem. – To ta od kota i przykrywki...?

Taurys poczuł, że zalewa go rumieniec.

– To było nie fair w stosunku do niej – powiedział sucho. Polska zrobił skruszoną minę. – Zawsze była wobec mnie miła, a jeśli plotki rozniosą się po szkole... Wolałbym już, żeby mnie z niej wylali.

– Wiem – mruknął Feliks ponuro, opuszczając wzrok. – Przepraszam, to w sklepie nie było przemyślane.

Taurys pokręcił gwałtownie głową; nie podobał mu się ten zgaszony ton.

– To nic – powiedział szeptem, nie ufając swojemu głosowi. – Tylko widzisz... – Spojrzał w okno, za którym słońce nie przestawało grzać. – Ja na jej dobroć zawsze odpowiadam kłamstwem – rzucił gorzko. Przed oczami miał szczere, niebieskie oczy o kształcie migdałów i jej zachęcający uśmiech. – Kiedy i gdzie się urodziłem, skąd pochodzę, czy kogoś mam i o czym myślę, co mnie tak dręczy. Nie myśl, że nie pytała – wyrzucił z siebie to okropne uczucie, które ścisnęło mu teraz klatkę piersiową. Polska opuścił głowę. – A ja nie mogę powiedzieć jej prawdy. Co Rzesza by jej zrobiła, gdyby się dowiedziała...? Nie ma tu wszechobecnej przemocy, tak jak kiedyś, ale... – Litwa odetchnął, próbował się rozluźnić, bo stara blizna w okolicach karku napięła się nieprzyjemnie. – Ale nie jestem naiwny, nie wierzę, że czasem rząd nie każe kogoś po cichu usunąć... To trudne, Feliks – przyznał w końcu, odwracając wzrok. – Jeśli... jeśli w ostatnich latach miałem kogoś, kogo mogłem nazwać bliską osobą, to jest to właśnie Annika.

– Wiem – powiedział w końcu Feliks dziwnym głosem. Wstał. – Wiem, Licia – Jego oczy zalśniły wilgocią, gdy stanął przed Litwą, o głowę niższy, z drżącym uśmiechem na wargach, blisko. Taurys otworzył usta, ale żadne słowo nie chciało przejść mu przez gardło.

Rozumie, pomyślał nagle. On to rozumie. Jest taki sam, jak ja.

Ku jego zdumieniu, na krótki moment Feliks po prostu oparł czoło o jego obojczyk. Zdumienie tą nagłą bliskością odebrało Litwie mowę. Musiał przypomnieć sobie, że Feliks, gdy już przełamano pierwsze lody, zawsze lubił być blisko i niełatwo było pozbyć się ze swojego otoczenia.

– Wiem, jak to jest wracać do pustego domu przez całe lata, wiem, jak to jest kłamać wszystkim dookoła, wiem, jak to jest, jak chcesz się z kimś zaprzyjaźnić, ale nie możesz, bo to byłoby niebezpieczne dla tej osoby – wyszeptał Feliks. – Też szukałem towarzystwa, wiesz? Mnie też przerzucano z miejsca na miejsce, jak zbędną rzecz. I wiem, jak... jak to jest, gdy własne myśli usiłują się pożreć, Licia.

– Lenkija – wydusił z siebie w końcu Taurys, a słowo samo weszło mu pod język, gorzkie w smaku.

– Nie damy się pożreć – Polska cofnął się o krok i spojrzał mu w oczy, stanowczo, ostro. – Poradzimy sobie. Masz zęby wilka, Licia. A ja smoka wawelskiego – dodał weselej, nawiązując do starych legend. – Nie damy się zagryźć.

Pamięta, przemknęło Taurysowi przed głowę. Pamięta o Żelaznym Wilku, pamięta legendę o naszym mieście, legendę, którą mu kiedyś opowiadałem i myślałem, że przestał jej słuchać, ledwie ją zacząłem.

– A Gilbert? – zapytał jeszcze.

– Gilbert? – roześmiał się Feliks szczerze. – On ma ostry dziób, którego nie potrafi zamknąć.

Litwa zachichotał cicho. Polska mrugnął do niego i cofnął się do okna, szukając w kieszeniach papierosów.

– Głowa do góry, Licia – powiedział lekkim tonem. – Działamy razem, ramię w ramię.

– Działamy – powtórzył Taurys i wolno skinął głową. – Dziękuję.

Dziękował za to, że Feliks próbował go podnieść, wyciągnąć z dołu, w jaki wpadł; zupełnie jak lata, stulecia wcześniej, gdy toczyli jakąś bitwę, z której Taurys miał już jedynie przebłyski. Nie pamiętał, kto wówczas był wrogiem, a kto sojusznikiem; pamiętał jedynie wizg swojego wierzchowca, ciętego nagle mieczem i stającego dęba, i siebie samego, wypadającego ze strzemion wprost w błoto i krew, między stal i tańczące końskie kopyta, na stratowanie.

Pamiętał jeszcze tylko sztandary – w polu czerwonym srebrny rycerz na koniu wspiętym, w polu czerwonym srebrny orzeł w złotej koronie – i sięgającą po niego rękę w zbroi, krzyk pośród ogłuszającego huku nadciągających oddziałów konnicy.

Świadomość, że po tym wszystkim, wszystkim, co się wydarzyło, wszystkim, co ich poróżniło, Feliks ciągle chciał mieć w nim przyjaciela, ciągle chciał działać razem z nim – to sprawiało, że nawet gdy znów zatrzasnęły się za nim drzwi, gdy Polska znów znikał, udając, że wcale go tu nie było – Taurys nie mógł powstrzymać uśmiechu i zaskakującego, przyjemnego ciepła w środku.

Mano vardas yra Taurys. Pasiilgau tavęs, Feliksai.

Wizyta Austrii przebiegła spokojniej, niż Taurys się spodziewał; gdy Roderich pojawił się w drzwiach, skinęli sobie głową z dystansem, a potem obaj przypatrywali się pracy oficerów, tych samych, którzy zawsze przychodzili z Gilbertem – ku uldze Taurysa nie było wśród nich Lefevre'a. Jeden z nich nawet pozdrowił Litwę grzecznie, wzruszając ramionami w geście, który Litwa odczytał jako „to nic osobistego, tylko wykonuję swoje obowiązki". Drugi przykładał się bardziej do przeszukania, ale w łazience, kuchni czy saloniku nie było żadnego śladu po Feliksie – wziął ze sobą wszystko.

Pomijając jedno czy dwa przelotne spotkania, gdzieś w czasie wojny, gdy mijali się na korytarzach kancelarii Rzeszy – mniej lub bardziej chętnie do niej włączeni, jeszcze obaj o statusie personifikacji – ostatnim razem, gdy mieli sposobność przebywać razem w jednym pomieszczeniu, trwał trzeci rozbiór, więc Taurys szukał wzrokiem teraz oznak, jak na Rodericha wpłynął miniony czas.

Nie zmienił się wiele, pomyślał z lekkim zdumieniem, przyglądając się ciemnym włosom mężczyzny i jego nieco bladej twarzy o arystokratycznych rysach. Z tego, co rzucił kiedyś mimochodem Prusy, wiedział, że Austria mieszka w Wiedniu i toczy swoje życie spokojnie w pięknym domu, bez kontroli i kolejnych ograniczeń, co zapewne było nagrodą za brak jakiegokolwiek sprzeciwu.

Taurys pamiętał, że gdy tam studiował, czasem zastanawiał się, czy kiedykolwiek miną się na ulicy, ale nigdy to nie nastąpiło.

Ciekawe, co z jego narodem? zapytał sam siebie Taurys, szukając w jego uciekających na boki, fioletowych oczach znajomego bólu i znajdując jedynie opanowanie i dziwną beznamiętność. Chociaż, czy w jego przypadku można w ogóle mówić o odrębności...?

– Nie wiedziałem, że grasz na fortepianie – mruknął w końcu Austria, a jego słowa zabrzmiały niezwykle sztucznie, jakby na siłę próbował przełamać niezręczną ciszę panującą w sypialni.

Litwa oderwał wzrok od technika, który otwierał kolejno szuflady jego biurka i przeglądał pobieżnie zgromadzone tam dokumenty. Drugi z mężczyzn szperał w jego szafie, mechanicznie i ze znudzoną miną zaglądał w kieszenie kolejnych koszul na wieszakach i przerzucał bieliznę poukładaną na półkach.

Nic nie znajdą.

– Zawodowo – odparł krótko. – Uczę gry w szkole.

Austria skinął głową i odwracając wzrok, wpatrzył się w książki na półkach i Taurys był pewny, że w duchu odlicza minuty do wyjścia.

– Poproszę pana sprecher – odezwał się oficer spokojnie, więc Litwa sięgnął do kieszeni i oddał bez sprzeciwu urządzenie. – Co to za połączenie dzisiaj rano?

– Koleżanka z pracy. Mam dzisiaj... urodziny. Zadzwoniła z życzeniami.

Oficer zerknął szybko do małego notatnika, który wyciągnął zza pazuchy, porównał cyfry w sprecherze i na kartce, pokiwał głową i zwrócił urządzenie Litwie. Taurys postarał się nie okazać zaskoczenia; od wielu tygodni nie sprawdzano połączeń. Nie było niczego, co mogliby znaleźć, ale i tak odetchnął z ulgą, gdy w końcu odeszli.

Pół godziny później drzwi jego mieszkania znów się otworzyły. Taurys, przebywając w kuchni w towarzystwie Berty, uniósł głowę znad wielkiego kłębka kociego futra – kocica siedziała mu na kolanach i domagała się pieszczot, odwdzięczając się za głaskanie głębokim mruczeniem, które zawsze go uspokajało.

Spodziewał się Feliksa; więc gdy do kuchni najpierw weszła duża doniczka z nieco przywiędłym krzewem, Taurys zmarszczył brwi, a potem wciągnął powietrze w płuca, czując znajomy zapach, którego nie czuł odkąd wyprowadził się z Itteville.

– Feliks...? – zapytał ze zdumieniem zmieszanym ze dziwnym, chwytającym za gardło wzruszeniem.

Między wiotkimi łodyżkami pełnymi złotych kwiatów – pojedyncze płatki opadały na kuchenne kafelki – pojawiła się uśmiechnięta twarz Polski.

– Objechałem cały Berlin – wyjaśnił wesoło Feliks. – Dopiero w dziesiątym ogrodniczym znalazłem. Wiem, że troszkę zaniedbana, facet mówił, że w sumie to już po kwitnieniu, więc pewnie lada moment będzie po kwiatkach – Jak na zawołanie, kolejne płatki znalazły się na ziemi. – Ale no, pomyślałem... że ci się spodoba. Lubisz zieleninę. Wszystkiego najlepszego!

– To nie są moje prawdziwe urodziny – powiedział cicho Taurys, wpatrzony w rutę tak, jakby Feliks przyniósł mu właśnie fragment domu. Czując, jak coś ściska go za gardło, z wolna odłożył kota na ziemię, a Berta nastroszyła się, gniewnie marszcząc nosek.

Feliksa ledwie było widać zza ogromu drobnych, żółtych kwiatów.

– Wiem. My nie mamy urodzin – przytaknął Feliks ze smutnym uśmiechem, wciskając głowę między łodyżki. Kwiatostan ruty gdzieś koło jego ucha kołysał się jak samotny kolczyk. – Żaden z naszego gatunku nie ma prawdziwych urodzin. Mamy tylko ważne daty, które sobie wybraliśmy, by świętować razem z naszymi ludźmi... i poczuć się przez jeden dzień jak zwykły człowiek. Tamte daty z dziewięćset osiemnastego też były fałszywe. Ale to nie powód, by nie dostawać prezentów, nie? – Nagle cień przemknął przez jego twarz. – Jeśli... jeśli ci się nie podoba...

– Rūta to najlepsze, co mógłbyś mi dać – wyszeptał Taurys ciepło. – Tylko... Tylko wyciągnij z niej głowę, kretynie. Poparzysz się.

Polska gwałtownie odsunął głowę i odłożył doniczkę na stół. Berta na ten ruch gwałtownie syknęła i nagle rzuciła się na korytarz; gdy Feliks spojrzał za nią z niezrozumieniem, Taurys zaczął się cicho śmiać.

Zdumiony tym dźwiękiem, Polska obrócił się ku niemu.

– Koty jej nie cierpią – wyjaśnił Litwa, chcąc wytłumaczyć, co go to tak rozbawiło.

Feliks wywrócił teatralnie oczami i opadł na krzesło.

– Więc teraz znienawidzi mnie jeszcze bardziej.

– Nie przejmuj się tym – odezwał się Litwa, podchodząc bliżej. Musnął dłonią podłużne liście i złote jak słońce płatki, strącając kilka na stół. Od dawna chciał kupić jakąś roślinę do mieszkania, ale zawsze powstrzymywała go myśl, że w swojej wegetacji mógłby ją zaniedbać. Kwiaty nie miauczały głośno, gdy potrzebowały pożywienia.

– Tylko zaraz przestanie kwitnąć, wiem...

– Zaraz ją podleję, to odżyje – Taurys zdał sobie sprawę, że uśmiech nie chce zejść mu z ust; tak rzadko się uśmiechał, że zaczął czuć mięśnie twarzy. – A znowu zakwitnie w przyszłym roku. Poczekamy.

Feliks pokiwał głową z ożywieniem. Nim Taurys zdążył się zorientować, już był trzymany w mocnym, przyjacielskim uścisku; wyczuł jeszcze krótkie zawahanie, nim dłonie Polski dotknęły jego pleców, ale potem był już mocno przytulany. Zamrugał, zdumiony, nie mogąc przypomnieć sobie, kiedy ktokolwiek go tak przyjaźnie obejmował.

– Poczekamy – wyszeptał Feliks. – Najlepszego, Licia.

Ruta pachniała domem – domem, który Taurys rozpaczliwie zapragnął odbudować ze zgliszczy. Odwzajemnił uścisk, czując jak łzy tańczą na jego rzęsach, rozmazując widok – na szczęście nie puściły się biegiem przez jego policzki. Trwając w swoim postanowieniu zebrania się do kupy, zamrugał kilkakrotnie, aż świat się wyostrzył.

Feliks, odsuwając się, mrugnął do niego zawadiacko.

– A teraz chodź, weź sobie przydział na podróż – powiedział, szarpiąc głową w kierunku korytarza. – Tylko nie wydaj na głupoty.

– Słucham? – Litwa spojrzał na Polskę bez zrozumienia. Ten, wychodząc z kuchni, pogonił go niecierpliwym gestem, więc Litwa podążył za nim na korytarz.

Feliks przykucnął przy sportowej torbie porzuconej przy drzwiach wejściowych. Obok leżała torba, którą Taurys już znał – tam znajdowały się ich tajne dokumenty i prywatne rzeczy Feliksa. Litwa zauważył również niewielkie kartonowe pudełko wsunięte w kąt.

– To za chwilkę – Polska dostrzegł jego spojrzenie. – Patrz tutaj – dodał i rozsunął główny zamek torby. Oczom Taurysa ukazała się spora ilość niemieckich marek; banknoty były starannie zwinięte i okręcone gumkami-recepturkami.

– Cholera jasna, Feliks – szepnął do siebie, również kucając i całkowicie wyrzucając z umysłu pudełko. – Ile tu jest...? – zapytał cicho, próbując na oko oszacować ilość gotówki.

– Sześćdziesiąt tysięcy marek – odparł niemal bezgłośnie Polska. – Na początek powinno wystarczyć.

– Moja półroczna pensja – mruknął Litwa mimochodem, marszcząc lekko brwi.

– Tutaj – Feliks uchylił rąbka kolejnej tajemnicy, odsuwając zamek bocznej kieszeni. – Jest jeszcze trochę peset i funtów, ale to na wszelki wypadek – Litwa skinął głową, sięgając po jeden rulonik i przyglądając się z zaciekawieniem hiszpańskim banknotom. – Mogą się przydać.

– W Rzeszy większa ilość obcej waluty jest podejrzana – zauważył Litwa, odkładając pieniądze na miejsce.

– Wiem, ale... – Feliks nagle przygryzł wargę, ale odsunął zamek kolejnej kieszeni. – Tutaj... tutaj są ruble.

Taurys z dziwnym uciskiem w sercu znów sięgnął po pieniądze. Obrócił w dłoniach monety ze znajomym dwugłowym orłem na awersie.

– Właściwie nic się nie zmieniły – mruknął, przesuwając opuszkami palców po wytłoczonym godle i nominale zapisanym cyrylicą. Szybko odłożył monety, mając dziwne

wrażenie, że zamiast mieć metaliczną woń, cuchną wódką i solą. Potrząsnął głową, zły na siebie za tę myśl. – Wyglądają prawie tak samo, jak te dziewiętnastowieczne.

– Tradycja... albo raczej konserwatyzm – Polska wzruszył ramionami, nie wyczuwając, do czego Taurys pije albo po prostu nie chcąc podejmować tego tematu. – Sam wiesz, jaki jest... Ej, zostaw! – urwał w połowie, by odegnać Bertę, która pojawiła się niemalże znikąd i praktycznie wsadziła łebek do torby.

W odpowiedzi kotka syknęła i nastroszyła się; Taurys sięgnął po nią i przytrzymał na swoich kolanach, nie chcąc, by jej pazury spotkały się bliżej z rękoma Feliksa albo z jego twarzą. Prusy przez pół roku wypominał mu zadrapania, które powstały nim kotka go zaakceptowała, nie chciał powtórki z szukania plastrów po szafkach.

Drapiąc kota pod brodą, Litwa znów zerknął na pudełko. Feliks spokojnie pozamykał torbę, odsunął ją na bok i dopiero wtedy, z uśmiechem kwitnącym szeroko na wargach, podsunął mu karton, dając tym samym jasno do zrozumienia, że to Taurys ma je otworzyć.

– Dodatek do ruty – powiedział wesoło.

Litwa zamrugał.

– Drugi prezent? – zapytał zdziwiony. Pudełko zaciążyło mu w dłoniach; Feliks pośpieszył go gestem, więc Taurys zaczął je otwierać. Ciepło rozlało się po jego sercu. – Nie musiałeś.

Czy my naprawdę przez tyle lat nie mogliśmy na siebie patrzeć? Czy wystarczyło tylko... *tylko* odebrać nam wszystko, byśmy potrafili się znów zaprzyjaźnić?

Oczy Feliksa lśniły.

– Nie wiem, czy dobry – powiedział lekko zmieszany, przeczesując palcami włosy. – Zauważyłem, że nie masz.

– Zepsuł mi się pół roku temu – odparł cicho Taurys, wyciągając z pudełka mały, elektryczny młynek do kawy. Uśmiechnął się ciepło, czując pod palcami gładki metal. – Nie miałem głowy do tego, by kupić nowy... Felek – odezwał się cieplej, nie zwracając uwagi na to, że używa polskiego zdrobnienia, które nie przeszło mu przez usta od wielu, wielu lat. – A co z wydawaniem pieniędzy na głupoty...?

– Dobra kawa to podstawa sukcesu każdego przedsięwzięcia – Polska mrugnął do niego. – Wliczyłem to w koszty. A teraz – dodał, zrywając się na równe nogi, nim Taurys zdążył cokolwiek odpowiedzieć. – Pakuj się, jutro jedziemy pod granicę, do Loudres, czy jak tam to Niemcy przechrzcili. Rano leć na tę kawę, a ja – Szturchnął nogą torbę z pieniędzmi. – Zatankuję ci auto. Jak będziemy jechać w trzech na zmianę, szybko tam dotrzemy.

– Tuluza jest po drodze.

– Wiem – Feliks uśmiechnął się ciepło. – Odwiedzimy Erzsi.

Rozdział XVII: Jak wielka rzeka

Światło południa przenikało przez czyste, duże okna kawiarni, ogrzewając sobą miękkie, pastelowe poduszki na szerokich parapetach. Na ścianach, pokrytych zieloną, miłą dla oka tapetą i boazerią z ciemnego drewna, wisiały stare fotografie i ryciny. Rośliny pięły się po belkach pod sufitem i po ścianach, a duży, obecnie wygaszony kominek pośrodku sali dodawał kawiarni przytulności. Z powodu wczesnej pory abażurowe lampy były wyłączone, ale wiedział, że wieczorami roztaczają dookoła ciepły, złoty blask.

Lubił to miejsce; zawsze czuł się tu jak w oranżerii albo wytwornym ogrodzie, zwłaszcza gdy kanarki trzymane w klatkach rozpoczynały swój koncert. To miejsce było jakąś maleńką namiastką natury; jedynym przyzwoitym lokalem, który znał, a który miał w sobie tyle miłej dla oka zieleni.

Przysunął do ust filiżankę ozdobioną kwiatowymi motywami; ponad kawą parzącą wargi spoglądał na błękitne, wykrojone migdałowo oczy, nie mogąc uwierzyć, że rok szkolny skończył się trzy tygodnie temu, a kolejny zacznie się już za tydzień. Przez te wakacje wydarzyło się tak wiele, że Taurys miał wrażenie, jakby upłynęło co najmniej kilka miesięcy, odkąd ostatni raz widział Annikę.

Rzecz jasna, nie zmieniła się ani odrobinę; uśmiechała się tak samo, spoglądała tak samo i tylko kolorowe, odważniejsze ubranie, rozpuszczone włosy, opadające łagodnymi falami na ramiona i złocisty, cienki łańcuszek na jej szyi świadczyły o tym, że i ona odpoczywa od pracy w czasie letnich ferii, porzucając skromny styl nauczycielki literatury.

Dziś nie tylko ona ubrała się inaczej niż zwykle; odkąd tylko przekroczył próg kawiarni i skierował się do ich ulubionego stolika, Taurys wiedział, że zmiana w jego garderobie nie przeszła niezauważona. Annika, siedząca przy stoliku, uniosła lekko brew, ale taktownie powstrzymała się od wpatrywania się w jego strój.

Feliks dzisiejszego ranka wepchnął mu w dłonie koszulę w odcieniu głębokiej zieleni, przez co Litwa pasował do otoczenia o wiele bardziej niż wtedy, gdy nosił swoją zwyczajową czerń. Zmiana właściwie mu się podobała; nie do końca chciał jednak widzieć spojrzenia, które na pewno padną na niego, gdy tylko przekroczy szkolny próg. Uczniowie na pewno zauważą.

– Jeszcze raz dziękuję za życzenia – powiedział cicho, gdy odeszła od nich kelnerka, upewniwszy się, że na pewno nic więcej nie zamawiają.

Feliks miał rację; ich urodziny zawsze były fałszywe, ale to nie oznaczało, że musiał całkowicie się od nich odcinać. Miło było czuć, że istnieją osoby, które składają mu życzenia szczerze, w czystym pragnieniu jego szczęścia. Data w kalendarzu nie miała tak naprawdę większego znaczenia; była tylko pretekstem do płynących wprost z serca serdeczności.

– Nie ma za co – Annika sięgnęła po swoją kawę. – Zaskoczyłam cię, prawda?

– Nie obchodzę zazwyczaj urodzin – przyznał Taurys, obserwując jak kobieta splata palce wokół filiżanki. Potem podniósł wzrok i widząc łagodne zaciekawienie w jej oczach,

westchnął lekko. – Jakoś zwykle nie mam z kim ich świętować, więc nawet o nich nie... – Potrząsnął głową i nie kontynuował wątku. – Jak minęły ci wakacje? – Zajrzał w błękit i zmarszczył lekko brwi. – Wyglądasz na przybitą – zauważył z uczuciem niepokoju rodzącym się na dnie serca.

Annika w odpowiedzi uniosła kąciki ust, ale nie było w tym grymasie entuzjazmu, co tylko potwierdziło jego domysły. Taurys zawahał się; to ona zwykle zauważała przygnębienie, a on, nie mogąc udzielić jej prawdziwej odpowiedzi, szukał marnych wymówek albo wykrętów. Ta zmiana w ich relacji wytrąciła go nieco z równowagi, ale nie mógł się o nią nie martwić.

Tak jak powiedział Polsce, naprawdę uznawał ją za przyjaciółkę. Jeszcze niedawno myślał, że może chciała od niego czegoś więcej, ale to podejrzenie szybko stopniało; teraz był niemalże pewny, że ona tylko – aż – odwzajemnia jego przyjaźń.

– To nic wielkiego, Taurysie – westchnęła i uśmiechnęła się zmieszana. Nim spuściła wzrok na filiżankę, dostrzegł, jak jej oczy ciemnieją. – Przyjechała do mnie szwagierka z dziećmi. Wiesz, żona Bruna – Litwa skinął głową, przypominając sobie, że to tak miał na imię jej brat. Coś w głębi umysłu krzyknęło o Kursku, ale zignorował to, zbyt zafrasowany smutkiem na jej twarzy. – Bardzo ich wszystkich kocham, ale chciałam na moment wyrwać się z domu. Ich obecność przywołuje... bolesne wspomnienia, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Pamiętając zdjęcie, które niegdyś mu pokazała, trumnę okrytą flagą, przytaknął. Jakby czytając mu w myślach, Annika sięgnęła do torebki i wyjęła stamtąd sprechera. Podsunęła mu urządzenie, a Litwa wziął je w dłonie bardzo ostrożnie i spojrzał na ekran. Stamtąd uśmiechała się do niego trójka chłopców, uwieszona grzbietu dużego psa. Najstarsze dziecko nie mogło mieć więcej niż siedem lat, pozostała dwójka wyglądała Litwie na nieco młodsze bliźnięta.

Widząc spokojne spojrzenie psa uśmiechnął się mimowolnie. Wiedział, jak mocno Annika była przywiązana do tego czworonoga.

– Bardzo męczą Axela?

– Troszkę – Annika zamrugała szybko, odwracając na moment wzrok, ale w jej głosie zabrzmiała radośniejsza, cieplejsza nuta. – Staruszek ma zaskakująco dużo cierpliwości do kotów i dzieci, a to jest banda łobuzów.

– Jak się nazywają? – spytał Litwa, jeszcze raz zerkając na zdjęcie. Potem oddał urządzenie Annice, a gdzieś na tyłach jego głowy pojawiło się pytanie; ciekawe, czy te niezarejestrowane sprechery, które mieli otrzymać, też potrafią robić zdjęcia. Wydawało się to bardzo przydatną funkcją.

Do tej pory, chociaż czasem czytał coś o technologii dla zabicia czasu, Taurys nie interesował się za bardzo nowinkami technicznymi; dopóki jego sprecher działał sprawnie – a od niemal dekady robił to, co miał robić – nigdy nie myślał o kupnie nowego modelu.

Odłożył tę kwestię na później i znów skupił się na przyjaciółce.

– Kurt, Bastien i Jonas – W oczach Anniki zamigotała czysta czułość i troska, zaraz jednak przysłonił je wilgotny cień. – Bruno bardzo cieszył się, że ich ma… Żaden go nie pamięta – Zagryzła wargi. – Byli za mali. Staram się być dobrą ciotką, ale… ale oni wyglądają tak, jak Bruno na zdjęciach z naszego dzieciństwa – przyznała gorzkim, drżącym głosem. – Zawsze chciał być żołnierzem. Pewnie przez ojca… – Annika zmarszczyła lekko brwi, a potem zamrugała kilka razy. Litwa sięgnął do kieszeni spodni, szukając chusteczki. Przyjęła ją z bladym, wdzięcznym uśmiechem. – To był dobry człowiek, Taurysie, a rodzina zawsze była dla niego najważniejsza – Skinął głową, nie chcąc jej przerywać. – Tym bardziej mnie boli to, że rozstaliśmy się w gniewie. Była kłótnia, z mojej winy… a potem połączenie od obcej osoby i pogrzeb.

Ostatnie słowa Anniki były bardzo ciche; Litwa przymknął oczy. Jak on dobrze to znał; ten piekielny ból i wyrzuty sumienia. W jego przypadku nikt do niego nie zadzwonił – któregoś dnia po prostu w drzwiach stanął dziwnie milczący Prusy – ale ból był ten sam.

Feliks powrócił, upozorowawszy własną śmierć i cichą, kameralną ceremonię pogrzebową; Bruno Walkenhorst leżał na cmentarzu wojennym, pochowany z honorami i jedyną osobą, która mogła wybaczyć Annice, była ona sama.

– Na pewno nie chciałby, byś się tym zadręczała – odezwał się Litwa cicho. – To twój brat. Kochał cię i chciał dla ciebie jak najlepiej.

Nie znał sytuacji tego rodzeństwa; świadom, że jego słowa są puste, nie wypowiedział nic więcej, ale coś w oczach Anniki zamigotało, jakby to właśnie to potrzebowała usłyszeć.

– Masz rację – odezwała się, zamrugała raz czy drugi, a potem jej zamglone łzami spojrzenie nieco się wyostrzyło. Przekręciła głowę i kolejne jej słowa zabrzmiały już pewniej, z nutą bladego rozbawienia. – Ale, Taurysie… Obrażę się, jeśli będziesz używał moich słów, samemu się do nich nie stosując, dobrze?

Taurys westchnął cicho, przypominając sobie jedną z ich poprzednich rozmów. Zmieszany spróbował się uśmiechnąć.

– Wybacz – mruknął, sięgając po kawę. – To nie tak, że się nie stosuję… Staram się przestać, ale to nie łatwe – bąknął jeszcze, smakując gorącą gorycz kawy na języku. Chciał się nią nacieszyć, wiedząc, że w podróży dostęp będzie do niej utrudniony.

– Dość o mnie – postanowiła nagle Annika, pochylając się ponad ciemnym blatem stolika. Jej oczy zajaśniały zaciekawieniem z powodu jego słów. – Jak minęły ci wakacje?

– Dość… dobrze – odparł z nerwowym uśmiechem, nie mogąc zdradzić nic więcej. To było ogromne niedopowiedzenie i dobre samopoczucie wcale nie było częste w ciągu ostatnich tygodni, nie pośród bólu związanego z Charlottenburgiem, nie pośród ogromu emocji, które powrót Feliksa w nim wzbudził, ale nie chciał przysparzać Annice więcej zmartwień.

I tak nie mógł mówić o wspomnieniach, wyciągniętych na wierzch z zasnutych kurzem zakamarków jego pamięci, tych na wpół zapomnianych i zastałych, ani o nieśmiałej nadziei, kiełkującej w jego sercu, że ponura rzeczywistość jego marnego życia może jeszcze się odmienić, chociaż na te kilka lat, które mu pozostało. O bezsennych nocach, podczas których spoglądał w ciemny sufit i szukał wspomnień w zakamarkach swojego

spowitego amnezją umysłu, chcąc wyrwać się z marazmu, szepcząc do siebie słowa w językach, które czas próbował wymazać z jego głowy.

Miał wrażenie, że Annika zrozumiała, dostrzegła coś w jego oczach albo w tonie głosu.

– Ładnie ci w tym kolorze, leży na tobie o wiele lepiej niż czerń – odezwała się łagodnie. – Przestałeś nosić żałobę?

Skinął głową; to był już zakończony rozdział, z którego ciemności uwolnił się z prawdziwą ulgą. Zaczął się kolejny; dużo bardziej niepewny, ale za to pełen emocji, działania i obecności i Litwa po raz pierwszy od wielu lat chciał czytać kolejne strony swojego życia.

– Poszedłem dalej – wyszeptał półprawdę, nie wiedząc, w jaki sposób mogąc jej przekazać, że nie chciał więcej myśleć o fałszywym pogrzebie.

Annika sięgnęła do jego dłoni i łagodnie pogładziła palce, nerwowo zaciskające się na uchu filiżanki. Litwa w odpowiedzi na ten łagodny dotyk odetchnął głębiej, zdając sobie nagle sprawę, jak bardzo jest spięty.

– Dalej... – szepnęła zamyślona. – Wiesz co? – zapytała nagle rozbawiona. – Spotkałam dzisiaj rano naszą absolwentkę. Mówiła, że widziała cię na zakupach. Pytała, czy to prawda, że randkujemy.

Taurys natychmiast zrozumiał, o kim mowa, i zmieszany odsunął dłonie.

– Anniko, ja nie... – zaczął przepraszającym tonem, czując jak rumieniec pokrywa jego policzki. Feliks i jego niewyparzony język, niech go jasna cholera...

– Biorąc pod uwagę, że nie umawialiśmy się na żadną kolację, to zgaduję, że to nie chodziło o mnie – Annika potrząsnęła głową, ale na jej wargach kwitł uśmiech. – Cieszę się, że ktoś pojawił się w twoim życiu – dodała ciepło.

Litwa poczuł potrzebę odwrócenia wzroku, a po jego ciele rozlała się nagła ulga – nie była zła.

– Wybacz – powiedział, a jego głos zadrżał lekko z nerwów. Nie wiedząc, czy Adolfina powiedziała nauczycielce o obecności drugiego mężczyzny w sklepie, kontynuował: – To było... nieprzemyślane, ja...

– Spokojnie – Annika znów dotknęła jego dłoni, ale tym razem uścisk był stanowczy, zatrzymując drżenie jego palców. – Nie jestem zła. Po prostu myślałam, że dowiem się pierwsza, ale rozumiem, że wolałeś z tym poczekać.

Gdy do niego mrugnęła, Litwa odetchnął z ulgą. Węzeł nerwowości w jego żołądku, stały lokator jego ciała, na moment zniknął.

– Wyglądasz lepiej, wiesz? – zagadnęła po chwili. – Ten ktoś w końcu stwierdził, że nie możesz prawie nic nie jeść?

Lekko zmarszczył brwi, zdumiony, że to zauważyła. Może faktycznie przytył kilogram lub dwa, bo Feliks kategorycznie odmawiał mu omijania posiłków i życia tylko kawą – a Polska bywał uparty jak osioł, jeśli na czymś mu zależało i Litwa zwykle nie miał wtedy nic do gadania – ale w lustrze nie widział żadnych zmian w swojej karnacji czy kondycji włosów.

– Trafiłaś w sedno – mruknął tylko, sięgając po kawę, zbyt zmieszany, by wymyślić cokolwiek innego.

Zachichotała.

– Nie będę nic od ciebie wyciągać na siłę – zapewniła go szeptem. – Ale wiedz, że gdybyś miał jakiś problem...

Litwa przyglądał się jej przez chwilę; przyjaciółka, pomyślał. Może... może ona pomoże mi z chaosem w moim własnym umyśle.

– Mogę poprosić cię o radę? – zapytał cicho, upijając łyk kawy. Znajoma gorzkość zatańczyła mu na języku, ale ledwo to zauważył. Gdy Annika skinęła zachęcająco głową, zaczął zastanawiać się nad tym, co chce – i co może – jej powiedzieć.

Potrzebował pomocy, to na pewno, ale ostatnim, czego chciał, to to, by Annika znalazła się w niebezpieczeństwie z jego powodu. Chwilę milczał, zbierając słowa, a potem przymknął oczy, czując się nagle pokonany.

Cholerny Feliks Łukasiewicz. Po tym wszystkim, po wojnie, po brudnych zagrywkach i wielu latach wzajemnej niechęci, ciągle siedział w głębi jego umysłu, jak pergola, wokół której oplotły się kolczaste róże.

– Już kiedyś z ni... z tą osobą byłem – odezwał się w końcu, poprawiając się w ostatniej chwili, by nie zdradzić, że wiązał się z mężczyzną. To sformułowanie zabrzmiało dziwnie w jego głowie; z Feliksem, poprawił się. Po prostu z Feliksem. Nigdy nie miało to dla niego większego znaczenia, jednak kraj, w którym żył, nauczył go trzymania języka za zębami, jeśli chodziło o takie związki. – Dawno, dawno temu. Bardzo dawno.

Annika zmierzyła go wzrokiem pełnym zastanowienia; Litwa ciekaw był, ile dla niej oznacza „dawno". On myślał w kategoriach stuleci, ona sądziła, że dopiero wczoraj przekroczył trzydziestkę. Ciekawe, pomyślał jeszcze, co wiedziała o tamtej przeszłości; przeszłości, którą poszarpano i poszatkowano, by pasowała do ukorzenionej już propagandy.

– Pierwsza, młodzieńcza miłość?

Blado się uśmiechnął.

– Młodzieńcza na pewno – odparł, chociaż w ich przypadku młodość była czymś nieco innym. – Druga – dorzucił po chwili, myśląc o Nikolaiu.

Ścisnęła mocno jego palce.

– Spróbuję pomóc – szepnęła łagodnie Annika. – Ale nie jestem ekspertką. Ja tylko uczę o literaturze romantycznej.

Taurys poczuł, jak kolejny rumieniec zaczyna pożerać jego policzki. Nagle przypomniał sobie wiersze, które Schwäne do niego wysyłał, wplatając w nie tajne wiadomości, ale nie miał żadnych dowodów na to, że Feliks...

Gdy spotkali się ponownie, po tylu przepełnionych samotnością latach, Polska wyciągnął do niego rękę, znów chciał być jego przyjacielem po tej ciężkiej, nocnej rozmowie, podczas której wyszeptywali sobie wszystko, każdy ból i każdy gniew, oddając się rzece wspomnień, by zmyła z nich ciężar przeszłości i wyrzuciła na brzeg katharsis – ale czy chciałby znów spróbować wejść z nim w to tak głęboko, jak kiedyś?

Nim Litwa pozwoli sobie o to zapytać, sam musiał zastanowić się, czy to na pewno tego chciał.

– Rozstaliśmy się w... gniewie i niedopowiedzeniach – zaczął wolno, wpatrzony w klatkę pełną śpiewających kanarków. – Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, prawda?

Usłyszał głośne westchnienie, a gdy skierował wzrok na Annikę, zobaczył jak ona kręci głową.

– To nie tak – odszepnęła, wzmacniając uścisk na jego dłoni. – Te słowa nie znaczą tego, o czym myślisz. To nie jest powtarzanie tego samego błędu – Gdy spoglądał na nią bez zrozumienia, kontynuowała swój wywód z ciepłem w oczach. Taurys poczuł, że nie zasługiwał na tak wyrozumiałą osobę, która mimo jego unikania prawdy ciągle chciała mu pomóc i wspierać. – Rzeka ciągle się zmienia – mówiła, wolno ważąc słowa. – Gdy z niej wyjdziesz i zapragniesz wrócić, będzie płynąć w niej już zupełnie inna woda. To miał na myśli filozof. Wszystko się zmienia, wszyscy się zmieniają – Na moment przygryzła wargę, a Litwa chłonął słowa z jej ust, jakby spływało z nich objawienie. – Powiedziałeś, że upłynęło dużo czasu, odkąd byliście razem. – Taurys przytaknął w odpowiedzi. – Myślisz, że... że od tamtej pory się zmieniliście?

Litwa uśmiechnął się bardzo blado. On, ludzki wrak, i Feliks, spoglądający ze zrozumieniem, gdy rozmawiali o niespełnionych oczekiwaniach i pragnieniach, i paskudnym uczuciu, że jest się jedynie dodatkiem, a nie równą połową. Opuszczone oczy, szepty pełne prośby o wybaczenie; przeprosiny za słowa, te, które padły i te, które nigdy nie padły, a powinny.

– I to jak – wyszeptał nad filiżanką gorącej kawy. – Mieliśmy bardzo długą rozmowę o tym, co zrobiliśmy źle, w jaki sposób zrobiliśmy sobie krzywdę... Obaj – Ucieszył się, że w niemieckim, którym mówił, ten liczebnik brzmi tak samo niezależnie od płci rozmówcy. – I chyba postanowiliśmy zacząć znajomość od nowa, spróbować się zaprzyjaźnić, ale... ale ostatnio zdałem sobie sprawę, że... – umilkł, nie mogąc ująć w słowa chaosu, który miał w głowie.

– Że chcesz wskoczyć do tej rzeki jeszcze raz?

Litwa zacisnął wargi. Tak, chciał krzyczeć. Nie chcę być już sam, a ten drań dalej jest mi bliski, dalej nie potrafię wyrzucić go ze swojego serca.

– Nie porównałbym tego do człowieka wskakującego do rzeki – odezwał się po chwili. Annika uniosła zachęcająco brew, więc kontynuował, pozwalając słowom płynąć. W kawiarni panowała leniwa, spokojna cisza, przerywana jedynie świergotem kanarków. – Raczej do... dwóch rzek, płynących w kierunku tego samego morza. Albo... albo strumieni.

Rzeczpospolita była rzeką, rwącą, gwałtowną rzeką o wielu nurtach, groźną i nieokrzesaną, stworzoną z setek mniejszych spraw, którymi zajmowały się wówczas ich umysły, rzeką, której brzegi były zbyt wysokie, by tak po prostu można było z niej wyjść. Po wykreśleniu ich z mapy, po pozbyciu się polityki i terytoriów, oddaniu ludności w inne ręce, oni dwaj stawali się jedynie dwoma samotnymi, wolno płynącymi strumieniami, po prostu dwójką ludzi, która pragnęła szczęścia.

– Chcesz być jednym z tych strumieni? – zapytała miękko, ostrożnie, wpatrując się w jego oczy.

– Nie chcę być już wysychającym źródłem – wyszeptał Taurys w odpowiedzi, nie wiedząc, czy zrozumie jego słowa, ale tak właśnie się czuł ostatnimi laty; niknący w oczach, nieistotny, odsunięty na bok ciężar, który trzeba było pilnować i kontrolować, aż nie nadejdzie jego czas.

Wiedział, że nadejdzie, tak jak nadejdzie czas dla jego bliskich. Ból uderzył znów w środek serca, gdy przypomniał sobie te zmatowiałe oczy Łotwy i Estonii, które być może widział już ostatni raz, gdy rozmawiali ściszonym, drżącym szeptem w półcieniu teatralnej sali. Dwójka, do której Litwa zawsze wracał, gdy Polska doprowadzał go do szaleństwa swoją beztroską, towarzysze rosyjskiej niedoli.

Ale Feliks był znów obok, odmieniony, a Taurys nie chciał być sam. Nie chciał spędzić ostatnich lat, jakie mu pozostały, wpatrując się w sufit swojej sypialni, znękany bezsennością i głosami w głowie szepczącymi o nadchodzącej śmierci, nie śniąc z powodu koszmarów i nieustającego strachu.

Annika musiała zobaczyć to w jego źrenicach, bo gdy się odezwała, jej głos nigdy nie brzmiał tak delikatnie, tak łagodnie, obmywając go niczym chłodna morska fala, łagodząca zmęczone letnim słońcem ciało.

– Więc płyń. Może tym razem stworzycie coś o wiele lepszego, niż to co było. Nie dowiecie się, jeśli nie spróbujecie.

Przymknął oczy, czując jak w środku niego rozlewa się przyjemne ciepło. Chwilę trwał z opuszczonymi powiekami, oddychając głęboko; czuł delikatną dłoń na swojej własnej. Annika nie powiedziała nic więcej, jakby wyczuwając, że potrzebuje chwili sam na sam ze swoimi mrocznymi myślami, by je okiełznać i od siebie odepchnąć.

Gdy po chwili uniósł powieki, z uśmiechem na wargach wyszeptał gorące podziękowanie.

– Tylko tak mogę pomóc – odparła Annika w odpowiedzi. Potem zmarszczyła lekko brwi i zerknęła spłoszona w jego twarz. Litwa uniósł brew, zaskoczony tą zmianą. – Mam nadzieję, że nie uznasz, że jestem wścibska... Czy... Czy mógłbyś mi powiedzieć, jak on ma na imię?

Dłoń Taurysa znieruchomiała w połowie drogi do filiżanki wystygłej już kawy. Wie, coś krzyknęło w nim ostrzegawczo. Ona wie! W tych nielicznych momentach, w których rozmowa zahaczała o jego nieistniejące życie uczuciowe, Litwa bardzo uważał na wypowiadane słowa, ale teraz zaczął gorączkowo przeszukiwać swoją pamięć, szukając chwil, w których coś mogło mu się wymsknąć...

– Spokojnie, przecież nikomu nie powiem – Annika pośpieszyła z odpowiedzią, widząc jego panikę. – Ja... muszę przyznać, że tego nie rozumiem... – mruknęła pod nosem, marszcząc lekko brwi. – Ale twój sekret jest u mnie bezpieczny, Taurysie. Jesteś moim przyjacielem.

Zdał sobie sprawę, że przez moment prawie nie oddychał; wziął głęboki wdech, a wraz z tlenem po jego ciele rozprzestrzeniła się ulga. Skinął głową w podziękowaniu,

nie wiedząc, jak wyrazić swoją wdzięczność. Jako nauczycielka miała pełne prawo zgłosić podejrzenie zachowania nieobyczajnego, źle widzianego w tym kraju. Kiedyś pewnie walczyłby o swoje, dzisiaj pewnie odszedłby ze szkoły bez słowa.

Nie naciskała więcej, pozostawiając mu decyzję, a Litwa przez chwilę zastanawiał się nad konsekwencjami tego, co chciał powiedzieć.

Ufał jej. I rozpaczliwie pragnął pokazać jej, jak bardzo doceniał jej obecność w swoim życiu.

– Feliks – wyszeptał w końcu i dopiero po chwili uniósł głowę, zastanawiając się, czy nie powinien jednak zmyślić imienia, czy jego znajomość nie przyniesie Annice problemów. Ale to nie było ekstremalnie rzadkie imię; w całym Imperium Feliksów mieszkało sporo, a ona wszak nie miała pojęcia, czym tak naprawdę ich dwóch było.

Kobieta patrzyła na niego przez chwilę, marszcząc lekko brwi, ale nim Litwa zdążył odczuć znajome, fizyczne skutki zdenerwowania, uśmiechnęła się do niego ciepło, sprawiając, że z serca spadł mu jakiś okropny kamień. Chociaż jedną tajemnicę mogę ci zdradzić, pomyślał gorzko.

– Dobrze widzieć cię szczęśliwym – powiedziała tylko.

– Ja nie pamiętam, jak to jest być szczęśliwym – odparł Litwa niemalże natychmiast i prawie ugryzł się w język za tę niekontrolowaną szczerość.

– Może właśnie sobie przypominasz...? – podpowiedziała łagodnie Annika i pociągnęła ostatni łyk kawy.

Poruszony, Taurys sam sięgnął po filiżankę.

– Jeszcze raz dziękuję – wyszeptał, spoglądając w dno pełne fusów.

Annika wstała, obeszła stolik i pochyliwszy się nad nim, ucałowała w policzek.

– Muszę już iść, Taurysie. Do zobaczenia w szkole – Sięgnęła po swoją torebkę.

– Anniko, zaczekaj – odezwał się Litwa, żałując tego, co zaraz padnie z jego ust. Jego żołądek ścisnął się w ciasną kulkę, skurczem rozsyłając niepokój po całym ciele. – Jest coś, o co chciałem cię zapytać... Przepraszam, ale...

– Taurysie?

– Czy mogłabyś mi powiedzieć... – Litwa wziął głęboki oddech, w tej chwili głęboko nienawidząc siebie za rozgrzebywanie tej rany zaraz po tym, jak wiele wsparcia otrzymał. – Coś... coś więcej o twoim bracie?

Kursk będzie ich kolejnym celem.

Jeśli chodzi o życie zawodowe, Anton Lefevre uważał, że nie ma sobie nic do zarzucenia. Zawsze staranny i skrupulatny w wykonywaniu zleconych sobie zadań, systematycznie piął się w górę urzędniczej drabiny i w końcu, po kilkunastu latach, doceniono jego starania, oferując mu dobrze płatną pracę w owianym dziwną, tajemniczą atmosferą biurze relokacji, mieszczącym na uboczu, z dala od głównych korytarzy urzędu miejskiego.

W odpowiedzi na zaufanie, jakim go obdarzono, Lefevre za swój długofalowy cel obrał sobie stanowisko dyrektora tego intrygującego przybytku. Problem polegał na tym, że

odkąd pracował tam jako sekretarz, nigdy nie widział tylu nieprawidłowości i zaniedbań – a jeśli istniało coś, czego Lefevre nienawidził bardziej od szumowin i narkomanów, to byli to ludzie, którym wydawało się, że łamanie przepisów i machlojki ujdą im na sucho.

Kimkolwiek byli ci dziwni ludzie, których biuro miało na oku – Lefevre miał dostęp jedynie do części akt, nad czym głęboko ubolewał – według wytycznych powinni być kontrolowani znacznie ściślej, niż to faktycznie miało miejsce. Zgrzytał zębami, widząc kolejne naruszenia i zastanawiał się, jak przywrócić tutaj porządek.

Dyrektora nie obchodziło zbyt wiele i wolał, by nie zawracano mu głowy; młoda dziewczyna w okienku, będąca pierwszą linią kontaktu z potencjalnymi petentami – zjawiali się osobiście bardzo rzadko – podbijała wszystko jak leci. To, że przed trzema laty zmienił się cały personel biura, również było zastanawiające.

I był jeszcze Gilbert Beilschmidt, człowiek führera o dziwnym i tajemniczym statusie; wchodził do biura jak do siebie i miał dostęp do wszystkich dokumentów i systemu pełnego informacji o obywatelach, chociaż Lefevre dotąd nie dowiedział się, jakie konkretnie stanowisko zajmuje. To głównie on był odpowiedzialny za zaniedbywanie procedur i nikt nawet nie zwracał mu na to uwagi!

Kimkolwiek tak naprawdę był – dyplomatą, politykiem czy jakimś podnóżkiem z tego pruskiego pseudorządu – Lefevre nie zamierzał tego tolerować. Trzymając się w cieniu, sprawił, że Beilschmidt ledwo go kojarzył – a on miał doskonały widok na jego poczynania. Nagła choroba oficera – biuro, rzekomo cywilne, miało pod sobą kilku mundurowych, to samo w sobie śmierdziało na odległość – tylko była mu na rękę; szybko wskoczył na zastępstwo, by zobaczyć zachowanie Beilschmidta na własne oczy i jeden tydzień wystarczył mu, by zrozumieć, że coś tu nie gra.

Zbytnie spoufalanie się z osobami, które miał kontrolować, jakby łączyła ich z nimi stara znajomość; szczególnie z tą kobietą z Tuluzy, którą Beilschmidt objął jakąś dziwną, cichą ochroną i Lefevre był pewny, że gdyby tylko któryś z oficerów – tylko tam, bez wyraźnej przyczyny, nie mogli wchodzić do mieszkania – przypadkiem ją dotknął, skończyłby w szpitalu.

Brak raportów albo pisanie ich na kolanie, całkiem od niechcenia. Rzucane w kierunku dyrektora ciche sugestie na temat zmian w planie relokacji. Dziwne zachowanie, gdy Lefevre znalazł ślady innej ludzkiej obecności w mieszkaniu, w którym powinien być tylko jeden mężczyzna i kot; głupie wymówki wymyślone na poczekaniu i szybkie, niespokojne spojrzenia.

Dziwaczne luki w nagraniach, wywracanie oczami i głośne pomstowanie na kiepską jakość sprzętu. Ośmieszanie i groźba przedstawienia w złym świetle, gdy Lefevre próbował zwrócić mu uwagę.

I ten jego nieludzki wygląd i chód, jakby świat należał do niego.

Lefevre musiał dorwać się do systemu, musiał dowiedzieć się, co tam naprawdę się tu dzieje. Kim byli ludzie, których akta rzucały jedynie ogólniki? Wszyscy nosili tak odmienne, tak obce nazwiska, że musiało kryć się za tym coś więcej. Dawni szpiedzy?

Pojmani cichaczem zagraniczni dygnitarze? Biła od nich jakaś dziwna, staroświecka obcość.

Musiał wiedzieć, w co pogrywa sobie Gilbert Beilschmidt i właśnie dlatego Anton Lefevre siedział teraz w przytulnej, zatłoczonej kawiarni, ważąc słowa języka, którym niegdyś mówił jego dziadek, przyglądając się uważnie przystojnemu mężczyźnie naprzeciwko siebie i szukając w jego niebieskich oczach jakichś poszlak.

– Panie Bonnefoy – odezwał się melodyjnym francuskim. Chociaż jako dziecko zżymał się i uparcie wzbraniał, bo co to za pomysł i marnotrawstwo czasu, by wbijać mu do głowy kompletnie bezużyteczną mowę, wymuszona nauka za młodu odpłaciła się pięknym, przychodzącym mu naturalnie akcentem. – Mam nadzieję, że rozumie pan, że przychodzę jako sojusznik.

– Mam taką nadzieję – W oczach Francisa zamigotało rozbawienie, ale głęboko za nim kryła się ostrożność. – Dotąd jednak nie wiem, w jakim celu zapragnął się pan ze mną skontaktować, monsieur. Nie sądziłem również, że mówi pan po francusku – dodał, przyglądając się uważnie rozmówcy. Lefevre nawet nie drgnął, gdy oceniające spojrzenie przemknęło po jego twarzy i ubiorze. Wiedział, że nie posiadał znaków charakterystycznych, a jego strój był zwykłym garniturem podrzędnego urzędnika. Zawsze łatwo przychodziło mu wtapianie się w tłum. – I czemu nie zasugerował pan spotkania już w czasie... wizyty w moim mieszkaniu.

– To delikatna sprawa – Lefevre pochylił się poufale nad stolikiem. Bonnefoy, chcąc nie chcąc, również musiał się przybliżyć, by usłyszeć jego kolejne słowa. Szeptany francuski brzmiał obiecująco; wiedział, że już go prawie kupił. – Proszę pana, ja *wiem*.

Mężczyzna nagle zadrżał, szerzej otworzył oczy – i Lefevre wszedł do środka jak przez otwartą bramę.

– Pan wie?

– Tak – szepnął Lefevre, budując blef ze słów jak kamienną fortecę. Na razie stała na piasku, ale, jeśli rozmowa pójdzie tak, jak planował, wkrótce będzie miał solidne fundamenty. – Pan Beilschmidt...

Kolejna iskra w źrenicach, szybko zamaskowana obojętnością, ale Lefevre widział mocny, serdeczny uścisk dłoni, wymieniony, gdy Bonnefoy i Beilschmidt myśleli, że nie widzi. Prawdopodobnie się całkiem lubili; niech to będzie ich zgubą, a jego okazją.

– Pan Beilschmidt jest zmęczony – rzucił zwykłym truizmem, który Francis mógł jedynie potwierdzić. – Tyle czasu bez porządnego urlopu odbiło się na nim, stał się mało ostrożny – Zawiesił głos, by Francis zrozumiał w pełni znaczenie jego słów. – Pan go dobrze zna... – Nim nadał zdaniu odpowiedniej, pytającej intonacji, Bonnefoy znów pokiwał głową. Sukces. – Rozumie pan, jaki byłby konsekwencje, gdyby wydało się, jak bardzo jest przychylny...

– Gilbert nie wydawał się zadowolony z pana obecności – oczy Francisa zmrużyły się lekko.

– Pan Beilschmidt jest na podsłuchu – odparł gładko Lefevre; Bonnefoy drgnął zaskoczony. – Jak dotąd nie miałem okazji porozmawiać z nim swobodnie, by przekonać go o swoim wsparciu i ostrzec. Wpierw wolałem udać się do pana.

– Dlaczego akurat do mnie, monsieur?

– Ze względu na... – Lefevre zawahał się tylko na moment, przyglądając się mężczyźnie; jego długim włosom, elegancko spiętym z tyłu, szykownym ubraniu, jakiejś wrodzonej nonszalancji w sposobie, w jaki siedział na krześle. Jeśli istniałoby uosobienie starej Francji, tej o której mówił mu dziadek z płonącymi oczami, to siedziałoby właśnie przed nim. – Pan rozumie... liberté, égalité... – urwał, znacząco i dyskretnie rozejrzał się dookoła.

Francis westchnął głęboko.

– Wiedziałem, że ciągle jeszcze tu jesteście – mruknął, a uśmiech zatańczył na jego pełnych wargach; w kącikach ust błąkał się jednak cień smutku. – Czułem to, chociaż tak dawno nie miałem okazji z nikim porozmawiać w... – urwał i wyprostował się. – Myśli pan, że powinienem ostrzec Gilberta, gdy już wróci z urlopu? Kocha Wenecję. A może to pan go szuka, dlatego pan jest teraz tutaj, w Treviso?

Oczy Francisa nadal przewiercały Lefevre'a na wskroś. Chociaż twarz tego mężczyzny była młoda i piękna, oczy należały do sędziwego starca, który wiele w życiu widział.

Mężczyźni i kobiety, których biuro rzucało po mieszkaniach należących do Rzeszy, byli stanowczo za młodzi, jak na tyle przeprowadzek wpisanych w ich akta. W zakurzonej szklanej gablotce, za biurkiem dyrektora, wisiało czternaście kluczy do czternastu rządowych mieszkań, rozsianych po całym kraju, ale Beilschmidt odwiedzał tylko trzynaście. Czternasta osoba zmarła w wieku zaledwie dwudziestu jeden lat – a przynajmniej taki wiek jej wpisano w akta.

Lefevre musiał dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi, a idący z góry nakaz przeprowadzenia kontroli zdrowotnej – jakich obywateli sprawdza się w taki sposób? Tylko potencjalnych żołnierzy, ludzi fizycznie przydatnych albo niebezpiecznych – tylko ułatwiał mu działanie. Może uda mu się dorwać do reszty informacji, gdy zgłosi się na ochotnika do wpisywania zebranych danych...

Jeszcze troszkę i będzie widział wszystko.

– Liczę, że zachowa pan dyskrecję, monsieur Bonnefoy – odezwał się, nie odpowiadając na otrzymane pytanie. – Chcę jedynie wam pomóc – zaczął powoli, łagodnie, z rozmysłem dobierając słowa, by rozbrzmiały pięknie, bo zauważył już, jak brzmienie tego języka zmiękcza jego rozmówcę; dziwnie utęsknionego, spijającego francuski z jego warg. – Czy wydarzyło się coś, co mogło... zwrócić uwagę na pana Beilschmidta? Jakieś nietypowe zachowanie? Wiem, że był pan obecny w czasie uroczystości w Charlottenburgu...

Kolejny trop do sprawdzenia. Lefevre osobiście adresował listy z zaproszeniami, ale nie był w stanie dowiedzieć się, dlaczego zaprasza się tych ludzi na salony. Teraz skupił się na reakcji Francisa; Bonnefoy drgnął lekko i zmarszczył brwi.

– Właściwie... – zaczął cicho. – Gilbert był niezwykle zdenerwowany. I... Nie, to nieważne...

– Proszę, monsieur. Nie chcemy, by pan Beilschmidt został ukarany, każdy szczegół jest istotny...

I tak właśnie Francis Bonnefoy wpadł w pułapkę; ani się obejrzał, a wypaplał wszystko, o czym Anton Lefevre chciał się dowiedzieć, siedząc w kawiarni półtora kilometra od linii oddzielającej Terytorium Zależne Wenedig od reszty Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej. Potem obaj uścisnęli sobie dłonie i odeszli w różne strony, smagani lekkim wiatrem znad nieodległego Adriatyku.

Dokąd pan się wybiera na urlop?, zagadnęła dziewczyna w okienku, gdy Gilbert Beilschmidt niedbale wpisywał nazwisko swojego zastępcy w dokumenty, pochylając się nad biurkiem. Lefevre stał niezauważony w drzwiach jak milcząca statua.

Wenedig, muszę od czasu do czasu popatrzeć na inne morze, Gilbert mrugnął do dziewczyny i podsunął jej papier do podpisu. Ostsee trochę mnie znudziło.

Wszedł do kolejnej kawiarni i tam zamówił kawę. Potem usiadł w głębi lokalu i wyciągnął sprecher i mały notatnik. Wybrał pierwszy zapisany na kartce numer i czekał.

– Dzień dobry – odezwał się rzeczowo i pewnie po niemiecku, gdy tylko usłyszał w słuchawce głos recepcjonistki. Zawiesił długopis ponad notatnikiem. – Może mnie pani połączyć z Gilbertem Beilschmidtem? Wiem, że zatrzymał się u państwa na urlop. Nie mogę się do niego dodzwonić na prywatny sprecher, a to niestety sytuacja awaryjna...

– Bardzo mi przykro, ale u nas nie...

Skreślił numer hotelu jednym pociągnięciem.

Polowanie się rozpoczęło.

Miał wrażenie, że jego ustabilizowane życie nagle zaczęło chwiać się w posadach; wieść o potencjalnej wojnie, chociaż nie okazał tego ani grymasem twarzy, ani drgnięciem ciała, wstrząsnęła nim mocno. Siedemdziesiąt lat spokoju, siedemdziesiąt lat powolnego budowania rzeczywistości, podczas których zdążył zapomnieć o brudnej polityce, zajęty prawodawstwem i wzmacnianiem imperium od wewnątrz, a tu nagle coś takiego...

Ciągle zajęty, pomyślał Ludwig, bez wysiłku pokonując drogę na czwarte piętro. Odkąd nie miał czasu na treningi, tylko dzięki okazjonalnym spacerom i tym schodom zachowywał dobrą kondycję i głęboko dziękował sobie za wybór tego mieszkania. Gilbert zawsze narzekał na brak windy; gdy teraz o tym myślał, Niemcy zaczynał się zastanawiać, czy chęć dokuczenia bratu nie była dodatkowym powodem tego, że tak szybko podpisał umowę kupna.

Prusy miał rację, to nie Polska i Litwa, cokolwiek planowali i w cokolwiek wplątywali Gilberta, byli przyczyną tego wszystkiego. Źle między nimi było już na długo przed tym, jak Ludwig przypomniał sobie o istnieniu Taurysa Laurinaitisa – chudy, blady cień w cieniach teatralnej sali poniżej balkonu – i dowiedział się o powrocie Feliksa Łukasiewicza do żywych.

Wyciągając klucze z kieszeni, znów prześledził myślami polityczne zawiłości. Rosja, Rosja... Oczywiście, pod koniec wojny wyrwali im duże połacie terenu, bardzo duże,

rozzuchwaleni ich biernością, ale odwet po tak długim czasie? Ich relacje były chłodne, ale ustabilizowane, nawet współpracowali przy tym cholernym Kursku, szukając sprawców.

Nagle to, że śledztwo utknęło w martwym punkcie, nabrało trochę sensu, ale nadal nie był przekonany. Może Łukasiewicz kłamie? Nie zdziwiłby się, ten Polak zawsze był krętaczem...

Ludwig przekręcił zamek w drzwiach i pchnął je. Nie było sensu sięgać po publikacje, które miał na półce ani włączać telewizji czy Netzwerku. Wiedząc doskonale, że znajdzie tam tylko to, co ludzie powinni usłyszeć, musiał udać się do źródła.

Spokojnie przeszedł od razu do swojej sypialni, przebrał się w coś bardziej oficjalnego i gdy poprawiał krawat w lustrze, uderzyło go przeczucie. Ze zmarszczonymi brwiami cofnął się na korytarz i otworzył drzwi do salonu.

Godzinę temu, gdy Ludwig wychodził, by zaczerpnąć świeżego powietrza i przeanalizować sytuację samemu, bez głośnej i intensywnej obecności brata, w oczach Gilberta tańczyły psotne iskierki. Jestem zmęczony, pomyślał gniewnie Ludwig, stając w progu. Powinienem się domyśleć wcześniej, że on coś kombinuje, że nie pojedzie z nimi ot tak po prostu, bez wplątywania mnie w to wszystko.

– Czy to jest żart? – zapytał zirytowany.

Rudy, wielki kot kroczył wolnym, niemal królewskim krokiem po jego salonie, obwąchując kolejne meble i zachowując się, jakby to miejsce należało do niego. Ludwig nie cierpiał kotów; ich cholerna indywidualność, tak odmienna od psiego posłuszeństwa i oddania, działała mu na nerwy.

Tak samo, jak Gilbert, który stał przy ścianie ze zdjęciami i obserwował z szerokim uśmiechem, jak kot wskakuje na fotel, który zwykle zajmował. Widząc, jak zwierzę zwija się w kłębek, Niemcy przelotnie zastanowił się, jak długo będzie musiał czyścić materiał z sierści. Miał wrażenie, że pokój już przesiąknął ostrym zapachem kociej uryny i skrzywił się z obrzydzeniem.

– Nie, to jest Berta – wyjaśnił Gilbert, szczerząc się do niego zbyt szeroko, jak na Ludwiga gust. – To tylko parę dni, nie przesadzaj. Wystarczy ją karmić i czyścić kuwetę, chyba. Nie mieliśmy nigdy kota... – Podszedł do fotela i pogłaskał Bertę po kudłatym uchu. Ta zaczęła mruczeć. – A, jeszcze jedno. Jeśli coś temu sierściuchowi się stanie, Litwa ukręci mi łeb, a Polska pomoże mu ukryć ciało, więc miej to na uwadze, braciszku, o ile nie chcesz nurkować w Sprewie w poszukiwaniu mojego truchła. Karm ją i pilnuj, by nie uciekła, czy coś.

Niemcy zazgrzytał zębami. Proszę, pomyślał. Oni jadą załatwiać szemrane sprawki, a on został niańką dla kota.

– Bawisz się doskonale, naginając granice, prawda? – wycedził.

– Nie wiem, o co ci chodzi – odparł Prusy tonem całkowicie niewinnym. – Ustawa podatkowa weszła w życie, masz parę dni wolnego, tak przynajmniej będziesz miał towarzystwo w czasie mojej małej wycieczki z tą dwójką. Nie jesteś wdzięczny?

– Pieprzcie się wszyscy trzej.

Gilbert roześmiał się tylko; mijając Ludwiga ścisnął lekko jego ramię.

– Wyluzuj się, braciszku – mruknął cicho, przystając. – Bo będę się martwił.

Niemcy wciągnął powietrze przez zęby.

– Nie mieliście gdzie go podrzucić? – zapytał zrezygnowany, nie chcąc po raz kolejny wdawać się w kłótnię. Spiskowcy, pomyślał z ponurym rozbawieniem, a nie mają co zrobić z kotem. – On nie ma znajomych, czy co?

– Ma, ale lepiej, żeby o tym wypadzie wiedziało jak najmniej ludzi. Uwierz, bardzo niechętnie ci ją oddał – odparł Prusy. – Nie przepada za tobą i nie ufa ci za grosz, ale powiedziałem mu, że nie potrafisz skrzywdzić zwierzęcia. W to uwierzył – Znaczącym ruchem głowy wskazał na zdjęcia na ścianach.

Ludwig powiódł wzrokiem po jednej fotografii; szczenię, poderwawszy głowę w górę, patrzyło na niego brązowymi, dużymi, ufnymi oczyma, podczas gdy on decydował o jego losie. Odrywając wzrok od Axela, podszedł do fotela i niechętnie dotknął futra kota, zaskoczony miękkością, jaką poczuł pod opuszkami palców. Zwierzę musiało już zasnąć; zwinięte w kłębek i poruszające się w rytm oddechu, nawet nie zareagowało. Niemcy usiadł na oparciu i zacisnął usta.

– Świat jest mały – oznajmił Prusy, przerywając głuchą ciszę, a jego ton nieznacznie się ochłodził. – Trzynaście lat temu dałem ci psa. Oddałeś go dziewczynie, która pierwsza odpowiedziała na ogłoszenie. Tak się składa, że ta dziewczyna pracuje teraz z Litwą, zajęła się jego kotem, gdy ten pojechał szukać polskich zjaw. Pies jest w dobrych rękach, to Lit chciał ci powiedzieć. Zrobiłby to osobiście, ale ostatnim razem, gdy mieliście okazję rozmawiać, trzasnął drzwiami. Te – Szarpnięciem głowy wskazał na drzwi do salonu. – Kupiłem za własny hajs i byłoby mi ich szkoda, więc powiedziałem, że sam ci to przekażę.

Ludwig zacisnął zęby i w końcu, wzdychając, skinął głową.

– Mam nadzieję, że przywieźliście tu karmę i całą... całą tę resztę – mruknął, spoglądając niechętnie na kota.

– Wszystko jest – Prusy skinął krótko głową, a jego słowa zabrzmiały sucho, jakby odpowiadał na rozkaz. – Trzymaj się. Powinniśmy wrócić najpóźniej we wtorek.

– Powodzenia – odparł krótko Niemcy; chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem Gilbert obrócił się na pięcie i wyszedł. – Stawiasz mnie w bardzo trudnej sytuacji, bracie – wyszeptał Ludwig, gdy już był pewny, że Prusy opuścił mieszkanie. Spoglądał w dół, na kota, który rozwalił się na fotelu, bezceremonialnie biorąc sobie jego salon w posiadanie.

Potem wstał.

– Zostań – nakazał kotu bez entuzjazmu, nie łudząc się, że zwierzę posłucha. Nie miał pojęcia, jak obchodzić się z tymi istotami, wątpił jednak, że stanowczy, surowy ton i komenda zadziałają.

Poprawił krawat i rzucił ostatnie spojrzenie zdjęciom na ścianie, zatrzymując wzrok na najstarszym. Był tam ledwie chłopcem; Prusy, wówczas dużo wyższy, opiekuńczo przytrzymywał go za ramiona. Zdjęcie, zniszczone przez czas, było kilkakrotnie sklejane.

Potem wyszedł. Najwyższy czas złożyć wizytę najwyższemu wodzowi.

Powrót do mieszkania zajął mu więcej czasu niż zazwyczaj; nieprzyzwyczajony do poruszania się komunikacją miejską Taurys spóźnił się na swój tramwaj i, pogrążony we własnych myślach, przegapił przystanek, na którym powinien wysiąść.

Rozmowa z Anniką dała mu do myślenia i w końcu w zakamarkach jego umysłu zapanował spokój. Ucichł wiatr zmian, do tej pory rozrzucający myśli i emocje po kątach jak śmieci po opustoszałym domu. Litwa czuł ulgę z powodu tego, co dzisiaj usłyszał i paskudne poczucie winy, bo w zamian musiał wyciągnąć z przyjaciółki informacje.

Westchnął ciężko, podchodząc do swojego volkswagena stojącego przed budynkiem. Widząc znajomą postać na siedzeniu pasażera, otworzył drzwi i ciężko opadł na fotel.

– Zwykle się nie spóźniasz – zauważył lekko Feliks.

Litwa nie odpowiedział od razu; sprawdził, czy zamknął drzwi, zerknął na wskazówkę zbiornika paliwa – pełny bak – i odpalił silnik. Musieli podjechać po Gilberta, który w międzyczasie ulokował jego czworonożną towarzyszkę u swojego brata. Litwa głęboko się przed tym wzbraniał, wiedział jednak, że to konieczne – nie chciał zostawić Berty samej na tyle czasu, a proszenie Anniki, by znowu się nią zaopiekowała, nie wchodziło w grę.

– Pobłądziłem – westchnął cicho. Spoglądając na Polskę, który skinął głową, przyjmując jego wyjaśnienie, i odprężył się na fotelu, Taurys uśmiechnął się blado. Spróbuję, Anniko, pomyślał. Jeśli on tylko też będzie tego chciał. Jeśli nie, wystarczy mi przyjaźń, to i tak o wiele za dużo niż kiedykolwiek oczekiwałem. – To pierwszy raz, kiedy wyjeżdżam na dłużej i nie melduję się w biurze – odezwał się po chwili, zerkając wymownie na pasy Feliksa.

Polska bez słowa zaczął je zapinać.

– Nie śledzą cię – powiedział spokojnie. – Tak, jak nie śledzili cię, gdy pojechałeś do Kowna szukać mnie. Dopóki wrócisz do środy, niczego nie zauważą – dodał uspokajającym tonem. – Ciągle jesteśmy na bezpiecznej pozycji. Nie denerwuj się, Licia.

Łatwo powiedzieć; Feliks wielokrotnie to powtarzał, i chociaż Litwa doskonale wiedział, że te słowa wcale nie pomagają, a niekiedy wręcz wzmacniają zdenerwowanie, czuł w jego słowach szczerą troskę.

– Dokumenty?

– Gilbert wziął wszystko – odparł cicho Polska. – W mieszkaniu nic nie zostało, na wszelki wypadek.

Taurys skinął głową, z wolna się rozluźniając. Chwilę po prostu oddychał, siedząc z zamkniętymi oczami i zaciskając palce na kierownicy, aż ucisk w żołądku nieco zelżał.

– Feliks? – zapytał cicho, podnosząc powieki. Zsunął wolno ręce z kierownicy, pozwalając im swobodnie opaść na kolana.

– Co? – Polska świdrował go spojrzeniem, przechylając głowę na bok.

– Cieszę się, że wróciłeś – wyszeptał, a potem zmieszany odwrócił głowę.

W odpowiedzi poczuł krótki uścisk na swojej dłoni, w przeciwieństwie do dotyku Anniki znacznie mocniejszy.

– Ja też, Licia – odparł Feliks równie cicho, a coś w jego głosie zadrżało i niemal zdławiło słowa. Pochylił się w kierunku siedzenia kierowcy. – Ja też. Ten kraj jest cholerny, ale cieszę się, że wróciłem na stare śmieci – dodał, odsuwając dłoń, a gdy Taurys zerknął w jego oczy z bliska, zrozumiał, że to nie za tym państwem i rzeczywistością Feliks tęsknił.

Nie za imperium, które trwało – chociaż pogodzony z losem nie chciał już walczyć, nie widząc sensu w bitwie z czasem, Feliks tęsknił za tymi, którzy w nim pozostali.

Za swoimi ludźmi, którzy gdzieś tam jeszcze byli, mówiąc po polsku w zakamarkach domów, z dala od szkół, ulic i urzędów. Za Erzsébet, może i za Taurysem. Za bratem i siostrą, chociaż Feliks nigdy nie był z nimi szczególnie blisko i świadomie zrezygnował z ujawnienia się przed nimi. Za Gilbertem, z którym zawsze rywalizował. Za całą tą zgrają ich gatunku, którym odebrano należne im miejsce w historii. To o tym dziś mówiły te oczy; o tęsknocie.

Kiedyś – jakby wczoraj – płonęły wściekłością, niezdrowym, zielonym płomieniem. Stali naprzeciwko siebie w jakiejś sali o wysokim sklepieniu, wśród ludzi patrzących na siebie wrogo. Taurys odpowiedział wówczas podobnym, gniewnym spojrzeniem, zaciskając mocno zęby, by nie rzucić stosu obelg wśród tylu ludzi. Rosyjska wiązanka bluzgów zatańczyła mu na języku i wiedział, że uderzyłaby w cel mocno, ale powstrzymał się, by zachować jakieś pozory profesjonalizmu.

Byli tacy uparci, a w tamtej sali nie było Taurysa i Feliksa, tylko Litwa i Polska, dwa kraje o sprzecznych interesach.

– Zajęcie Wilna było aktem przemocy – mówił po litewsku, chłodnym, suchym głosem, chodząc po pomieszczeniu i z dziwną, mściwą satysfakcją dostrzegając, jak wyrwany z zamyślenia tłumacz wzdryga się i szybko zaczyna przekładać jego słowa na polski. – W związku z ciągłym stanem wojny, w jakim się znajdujemy, oczekuję natychmiastowego...

Gdy spojrzał wtedy w oczy Polski, ignorując wszystkich polityków, zobaczył, jak zwężają się wściekle w reakcji na język, którym nigdy nie zawracał sobie głowy. Litwa, oczywiście, polski znał – i mógł nim mówić, gdyby tylko chciał, nie męcząc tego biednego człowieka bardzo szybką wypowiedzią, która teraz wychodziła z jego ust.

Wtedy nie chciał. Moje miasto, krzyczało coś w jego sercu, to jest moje miasto, od wieków to jest moje miasto, i nie obchodzi mnie, ile twoich ludzi tam mieszka, przestań rzucać mi liczbami w twarz i idź do diabła, tam, gdzie twoje miejsce!

Siedząc teraz w aucie, wiele lat później, zadrżał nagle; przed oczami stanęły mu jaśniejące w imperialnym słońcu ruiny, w których tylko myśl o czekającym na niego Schwäne sprawiła, że nie rozpadł się na kawałki.

– Jedźmy – postanowił, starając się nie ukazać, jak to wspomnienie nim wstrząsnęło. – Gdzie będzie czekał na nas Prusy?

Polska zamrugał, odsunął się i zaczął szukać w schowku map.

– Na granicy miasta, przy przystanku, pokażę ci, gdzie – rzucił szybko Feliks, rozkładając plan Berlina na kolanach, a mapę całego imperium odkładając na bok. Zastukał palcami w drogę wylotową ze stolicy. – Jedziemy bez przerw, tak? – Poczekał, aż Litwa skinie

głową i sięgnął po drugą mapę. – Dobra, to będę cię nawigował, jak wyjedziemy poza Berlin. W nocy siądę za ciebie, mniejsza szansa na jakąś kontrolę. Prusakowi zostawiamy końcówkę trasy, Loudres i Tuluzę.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wyrobimy się w mniej niż dwadzieścia godzin – uznał Litwa, obserwując palec Feliksa prześlizgujący się po papierze.

Chwilę później ruszyli z miejsca; w spokojnym milczeniu przejechali przez centrum i najbliższe mu dzielnice. W miarę oddalania się od Germanii Berlin tracił nieco swojego uroku, ale i tak przedmieścia wyglądały przyzwoicie, świadcząc o milionach marek, jakie rząd pompował w stolicę.

– Nie mieszkałeś w moim mieszkaniu, prawda? Gilbert wspominał kiedyś, że jest nowsze od pozostałych.

– Nie – Feliks nie odrywał wzroku od szyby. – Mieszkałem gdzieś po drugiej stronie miasta… Na krótko przed tym, jak musiałem zniknąć, u sąsiadów z góry pękła rura, wszystko mi zalało. Niby posprzątałem, ale zaczął pojawiać się grzyb. Zgaduję, że biuro po prostu się pozbyło tego mieszkania i kupiło nowe. O, Prusak będzie na kolejnym – dodał, gdy minęli przystanek tramwajowy na długiej ulicy pełnej jednorodzinnych domów.

Taurys skinął głową i zwolnił, wypatrując znajomej sylwetki. Odnalazł Gilberta pod wiatą przystanku, przechadzającego się tam i z powrotem z papierosem w dłoni. Przez ramię miał przerzuconą czarną torbę.

Litwa rozejrzał się i upewnił, że zaraz nie wpakują się pod tramwaj, a potem zjechał na bok. Samochód zakołysał się lekko, gdy przeciął tory. Nim Taurys w pełni wyhamował, Prusy wyrzucił papierosa na chodnik, ostro otworzył drzwi i szybko wpakował się na tylne siedzenie.

– Ile można na was czekać? – zapytał z rozdrażnieniem. – W tym tempie…

– Nie narzekaj – przerwał mu Feliks wesoło, obracając się do tyłu. Ruszyli dalej. – Jak ci tak śpieszno, to trzeba było wziąć służbowy helikopter. Podobno byłeś asem lotnictwa, a może to tylko przechwałki i nie potrafisz?

Gilbert uniósł kpiąco brew

– Oczywiście, że umiem latać! – burknął, zakładając ręce na piersi. – Widzisz, Polen, jest tylko jeden problem. Drogi dyrektorze, wiem, że jestem na urlopie, ale wezmę sobie dzisiaj służbowy helikopter, by polecieć pod granicę z żywym trupem wyjętym spod prawa i obserwowaną personifikacją, której nie wolno opuszczać miasta bez poinformowania nas. Odstawię go, jak tylko zaopatrzymy się w nielegalną broń i tajne kanały komunikacji, nie martw się, zatankuję z powrotem, bo tak się składa, że nielegalną gotówkę też…

– Zrozumieliśmy – Taurys westchnął, a Feliks roześmiał się w głos. – Czy z Bertą wszystko w porządku?

– Tak, tak – Prusy zapadł się w kanapę. – Diablicy nic nie będzie. Poinstruowałem Ludwiga, jak się nią zajmować.

Litwa miał szczerą nadzieję, że tak właśnie było, bo nadal nie czuł, że zostawia kota w dobrych rękach. Jakby wyczuwając jego niechęć do Ludwiga Beilschmidta, Feliks mrugnął do niego.

– Gówniarz dostał zadanie odpowiednie do jego kompetencji... – powiedział wesoło Polska, a w jego oczach zajaśniała złośliwa iskra.

Litwa również poczuł pewną satysfakcję. Ludwig Beilschmidt, wystawiony na piedestał, podczas gdy cała reszta została rzucona w błoto pod jego nogi, na kilka dni stracił swoją wysoką pozycję.

– ...chociaż, biorąc pod uwagę, jak wredny jest twój kot, Licia, to nie wiem, czy siły specjalne by sobie z nim poradziły...

Pamiętając, jak ostre były zęby i pazury Berty, Taurys uśmiechnął się lekko i nagle zaczął mniej się o nią obawiać.

– Jak już skończyliście obrażać mojego młodszego brata... – zaczął Prusy z urazą.

– Ludwig dalej balansuje między „dam wam pewne informacje" a „nie pomogę wam w niczym"? – wpadł mu w słowo Polska.

– Poniekąd – prychnął Gilbert. – Nie próbujcie grać na jego braterskich uczuciach. Wystarczy, że ja to robię – dorzucił, a w jego głosie Litwa usłyszał gorzką nutę.

Po raz kolejny utwierdził się w przekonaniu, że zazwyczaj zgodne rodzeństwo ma jakieś nierozwiązane problemy, ale wiedział, że nie dowie się teraz niczego więcej; Gilbert z pewnością nie zamierzał prosić ich o radę. Skupił się na jeździe, odsuwając od siebie zbędne myśli. Wkrótce znaleźli się poza miastem – niewysoki las zastąpił budynki.

W czasie podróży nie zamierzali próżnować; korzystając z tego, że mogą rozmawiać swobodnie, udoskonalali swoje plany. Feliks trzymał na kolanach materiały otrzymane od Gilberta i czytał na głos co ciekawsze kawałki.

– Wątpię, czy ten minister jest zainteresowany – odezwał się Prusy, zaprzestając pogwizdywania, gdy Feliks umilkł, by nabrać powietrza. Marsz wojskowy wydobywający się z jego ust zaczynał działać Taurysowi na nerwy, ale wolał najpierw znaleźć się na autostradzie, gdzie nie będzie musiał aż tak uważać na innych uczestników drogi, a dopiero potem zwrócić Gilbertowi uwagę. Zbyt dobrze go znał, by myśleć, że Prusy podda się po jednej prośbie. – Ale złapię na słówko mojego wiceministra finansów, on wcześniej coś działał przy obronności i wydatkach na nią. Może uda mi się znowu wkręcić w temat – kontynuował Gilbert.

– Nadal nie wierzę, że dałeś się od tego odciągnąć – prychnął Polska, stukając palcami w stos dokumentów. Taurys zapisał sobie w głowie, by później szybko je zaszyfrować, a oryginałów się pozbyć. Może nocą, w hotelu, postanowił. I tak nie będę miał nic do roboty. – Prusak, który nie miał w ręku pistoletu od pięćdziesięciu lat. Przecież to brzmi jak żart. Bardzo kiepski, swoją drogą.

Gilbert posłał mu spojrzenie spode łba; zauważywszy je w odbiciu lusterka, Feliks w odpowiedzi tylko się wyszczerzył. Litwa, również zerknąwszy w lusterko, dostrzegł, jak Prusy zaciska zęby, wyraźnie powstrzymując się od odpyskowania.

Przyjął to z dziwną ulgą; wciąż mając w pamięci ostatni bezlitosny komentarz Prus, wolał nie słyszeć żadnej kąśliwej uwagi na temat tego, jak wielkim i ponurym żartem była egzystencja pozostałych byłych personifikacji.

– Czego się dowiedziałeś o Kursku, Lit? Mówiłeś, że brat tej twojej tam był.

– Bruno Walkenhorst należał do wojsk specjalnych szybkiego reagowania, które skierowano do stłumienia ataku – odezwał się Litwa po kilku sekundach, porządkując w głowie uzyskane od Anniki informacje i postanawiając zignorować prowokację. Moja, dobre sobie. Nie jesteś w humorze, to będzie ciężkie kilkanaście godzin. Miał nadzieję, że Polska nie będzie specjalnie drażnił Prusaka; już teraz zaczynała boleć go głowa.

– Kommando Spezialkräfte – prychnął Prusy, wyraźnie zawiedziony. – Tyle to sam wiem. Jedź, Lit.

– A wiesz, kto nim obecnie dowodzi? – zapytał nagle Feliks, obracając się do tyłu. Gilbert nie odpowiedział słownie; Litwa domyślał się, że ma teraz na wargach ponury grymas. – Ano właśnie. A Licia wie.

– Wybaczcie, że przez ostatnie kilkadziesiąt lat miałem mniej więcej miesiąc wolnego, to trochę mało czasu na zgłębianie własnych hobby! – Litwa usłyszał warknięcie za plecami i westchnął.

– Obecnie komandem dowodzi generał Rudolf Lehr – odpowiedział, nie odrywając oczu od jezdni. Skupiony, by płynnie włączyć się do ruchu na autostradzie, wychylił się lekko do przodu. Chociaż mające pierwszeństwo auto było jeszcze daleko, postanowił je przepuścić. Mknęło z dużą prędkością, a ostatnim, czego Taurys chciał, to wypadek samochodowy. – Brat Anniki był niski stopniem, ale jego dowódca może być punktem zaczepienia.

– Pogadam z Ludwigiem, może ogarnę jakiś kontakt z tym facetem – obiecał Prusy, a potem westchnął cierpiętniczo. – No jedź wreszcie! – rzucił głośniej, gdy tylko mknący samochód przemknął kilka metrów przed maską auta Litwy. – Trzy razy byś zdążył!

– Przestań komentować mój styl jazdy – warknął, naciskając pedał gazu, a potem zamrugał zdziwiony tym, jak ostro zabrzmiał jego głos. Włączając się do ruchu, zerknął szybko w lusterko.

Prusy, ku jego zdumieniu, nie odpowiedział. Zamiast tego jego oczy zajaśniały jakąś dziwną iskrą, a na ustach pojawił się tajemniczy, usatysfakcjonowany uśmieszek. Wytrącony z równowagi tym grymasem, Litwa szybko odwrócił wzrok, czując, że na policzki wkrada mu się rumieniec, spotęgowany jeszcze tylko zdumionym spojrzeniem Feliksa.

Stres był mu niczym brat, zawsze blisko, ale Litwa nie pamiętał, kiedy ostatni raz podniósł głos na kogokolwiek. Nie, żebyś miał okazję często z kimś rozmawiać, mruknął znajomy głosik w jego głowie.

– W porządku...? – zapytał niepewnie Feliks. Taurys skinął głową. Polska nie wyglądał na przekonanego. – Będziecie się żreć przez całą drogę, jak kiedyś, czy co? Myślałem, że jesteście raczej... pogodzeni.

– Mówiłem, że nie kopię leżących – odezwał się Prusy z tylnego siedzenia. Litwa mocniej zacisnął palce na kierownicy, wiedząc, że ten ma rację, ale kolejne słowa, ledwie słyszalne, uderzyły go dużo mocniej. – Ale ten twój leśny poganin w końcu zaczyna się podnosić z ziemi.

Albo mu się wydawało, albo usłyszał w głosie Gilberta triumf.

I po raz pierwszy w życiu w odpowiedzi na ten ton padający z ust Prus lekko się uśmiechnął.

– Jest w porządku, Lenkija.

Chyba było.

Rozdział XVIII: Niepokonani

Mijały godziny, a oni, jadąc ciągle na zachód, gonili sierpniowe słońce. Jego promienie, przenikające przez przykurzoną przednią szybę albo ostro raziły, zmuszając ich do ciągłego mrużenia oczu, albo padały przyjemnie na klatkę piersiową, ogrzewając ciało, w końcu słońce jednak skryło się za horyzontem, oddając niebo granatowej nocy.

Z obu stron autostrady pojawiały się, przesuwały i znikały kolejne miejscowości, wsie i miasta Rzeszy, ale leżały zbyt daleko od trasy, by chociaż na moment rozerwać się ich widokiem. Monotonne krajobrazy, gorące, zastałe powietrze i nieprzerwana jazda sprawiły, że coraz rzadsze rozmowy w końcu ucichły całkowicie; leniwą, senną ciszę przerywał jedynie nieustanny warkot silnika, dźwięk, który spowszedniał im do takiego stopnia, że właściwie przestali go słyszeć.

Jedziemy prawie sześć godzin, zorientował się Feliks, unosząc powieki i zerkając na dłonie Taurysa spokojnie leżące na kierownicy, słabo widoczne w panującym w samochodzie półmroku. Potem Polska przeniósł wzrok na nieliczne już błękitne odcienie nieba widoczne ponad widnokręgiem, ostatnie ślady minionego dnia.

Już dziesiąta, stwierdził, rzuciwszy kolejne spojrzenie na radio. Urządzenie milczało, wyświetlając jedynie godzinę – wyłączyli je dobre cztery godziny wcześniej, gdy przestali orientować się w częstotliwościach stacji. Litwa pożegnał muzykę z widocznym żalem w oczach, Feliks zaś z nieprzyjemnym uczuciem niepokoju, zamaskowanym szybko uśmiechem – przecież jako kurier zjeździł ten wielki kraj wzdłuż i wszerz, i nie wyobrażał sobie wówczas pracy bez nucenia pod nosem ówczesnych hitów…

To było dziesięć lat temu, spróbował uspokoić siebie w myślach. To normalne, że zapomniałem częstotliwości w poszczególnych landach.

Jedynie Prusy wydawał się zadowolony z ciszy; uwiwszy sobie gniazdko na tylnym siedzeniu, drzemał w najlepsze.

Feliks westchnął i przeciągnął się, wiedząc, że lada moment sam siądzie za kierownicę; Litwa już dobrą chwilę temu zauważalnie zdjął nogę z gazu, a poza tym zbliżała się pora ustalonej zmiany. Taurys jakby czytał mu w myślach:

– Zastąpisz mnie na następnej stacji?

Feliks skinął głową. Głos Litwy pobrzmiewał zmęczeniem, które zastąpiło zamyślenie, towarzyszące Taurysowi od momentu powrotu ze spotkania z przyjaciółką. Ciekawe, o czym rozmawiali na tej kawie, przemknęło Feliksowi przez głowę, ale postanowił powstrzymać swoją ciekawość, mając wrażenie, że wypytywanie nie byłoby mile widziane.

Jeśli czegokolwiek nauczył się przez kilkadziesiąt lat życia jako człowiek, było to zrozumienie, że im mniej nalegał i naciskał, tym więcej mógł się dowiedzieć.

Szkoda, pomyślał, że kiedyś tego nie rozumiałem.

– Jasne – odparł dziarsko. Litwa przytknął dłoń do ust, by ukryć ziewnięcie; Feliks z trudem powstrzymał się, by samemu nie ziewnąć i potrzasnął głową, naiwnie próbując otrząsnąć się z otępienia, w które wprawiła go jazda. – Gdzie ta mapa? – Od dłuższego

czasu jego pomoc nie była potrzebna, więc był pewny, że rzucił mapę gdzieś na bok. Nie mogąc jej odnaleźć w coraz ciemniejszym wnętrzu samochodu, sięgnął do lampy na podsufitce. Ciche pstryknięcie i auto zalało białe, słabe światło. Feliks zaklął cicho, orientując się, że mapa leży na desce rozdzielczej tuż przed jego nosem. – Prusak, ty śpisz? – odezwał się głośniej.

– Tak – Z tylnego siedzenia rozległ się rozdrażniony głos.

Polska obejrzał się przez ramię; Gilbert leżał na tylnej kanapie volkswagena w dość mało eleganckiej pozycji, z jedną nogą na oparciu, a drugą opartą o podłogę. Włosy miał rozczochrane, a wokół jego torsu owijał się jeden z kocy, na których zabranie nalegał wcześniej Taurys. Chociaż początkowo Polska chciał machnąć na to ręką, okazało się, że pomysł wcale nie był głupi – na swoich odsłoniętych przedramionach już czuł chłód wpadający do nagrzanego środka auta, a czekała ich jeszcze cała noc w podróży.

– To wstawaj – rzucił, łapiąc za mapę i rozkładając ją na swoich kolanach. – Robimy zmianę, przydasz się do czegoś.

– Gdzie jesteśmy? – Gilbert usiadł na skraju kanapy i przybliżywszy głowę do zagłówków, zerknął na mapę.

Polska powiódł wzrokiem po mapie, a potem zerknął pytająco na Litwę; ten uniósł kącik ust.

– Mijamy Frankfurt nad Menem – odparł Taurys, krótkim gestem wskazując złotą łunę po ich prawej stronie i mijany właśnie zjazd.

– Tu…? – Feliks odszukał na mapie ich trasę. – Dobra, widzę, to był ten zjazd… Mamy dobry czas, chłopaki – stwierdził z entuzjazmem i jeszcze raz przeciągnął się na tyle, na ile pozwoliło mu ciasne wnętrze samochodu. – Licia, stacja jest za dziesięć kilometrów. Prusak, trzymaj – Rzucił mapę na tył i uśmiechnął się nieco złośliwie, słysząc uderzenie papieru i następujące po nim przekleństwo. Zdecydowanie brakowało mu wkurzania Gilberta. – Przydaj się i ogarnij mi trasę na kolejną autostradę. Zawsze się gubiłem w tych oznaczeniach.

– Przecież to proste, kretynie – prychnął Gilbert. Feliks wywrócił oczami, nim jednak zdążył się odgryźć, kolejne słowa Prus sprawiły, że natychmiast zapomniał o trasie. – Lit, daj mi swoją kartę obywatela. Polen, pokaż te twoje papierki.

Feliks uniósł brew, ale zaczął przeszukiwać kieszenie spodni. W międzyczasie Taurys, nie odrywając oczu od rozjaśnionej reflektorami drogi, podał do tyłu zieloną książeczkę. Nie powiedział ani słowa; Polska zerknął na niego po raz kolejny, zauważając, jak ciężkie są jego powieki.

Dziwnie było widzieć Litwę tak sennego; Taurys wydawał się funkcjonować dzięki bardzo niewielkiej ilości snu, budząc się o świcie i chodząc późno spać. Leżąc na kanapie w jego salonie, Polska wielokrotnie słyszał, jak ten z bezsenności kręci się po mieszkaniu o nieludzkich porach, nie mogąc usnąć.

Zacisnął zęby, nie chcąc teraz o tym myśleć.

– Po co ci to? – zapytał, spoglądając przez ramię na Gilberta.

– Chcę wiedzieć, jakie teraz robią fałszywki.

Słysząc tę odpowiedź, Feliks uśmiechnął się szeroko i z ochotą podał Prusom dokumenty.

– Patrz, może się czegoś nauczysz.

Gilbert przysiadł na skraju kanapy, by być jak najbliżej źródła światła, a potem rozłożył na kolanach oba dokumenty i z zaskakującym skupieniem porównywał je kartka po kartce. Feliks, oparłszy się bokiem o siedzenie, obserwował go, podczas gdy Litwa tylko zerknął na Prusaka i znów utkwił oczy w drodze. Przez dłuższą chwilę słychać było jedynie szelest stron.

– No, no – Prusy podsunął dokumenty pod lampkę i uniósłszy się nieco, przyjrzał się pieczątkom nachodzącym na zdjęcia. Na swojej fotografii Polska uśmiechał się jakby przebiegle; blade oblicze Taurysa było dość ponure. – Całkiem niezła robota. Na tym przekraczałeś granicę? – Prusy przerzucił strony; Feliks obserwował, jak pod jego palcami pojawia się pusta tabela wyjazdów zagranicznych w karcie Taurysa i kilka wpisów w jego sfałszowanych dokumentach. Poczuł nagłe uczucie żalu. – A widzę… „Uprawniony do przekraczania granic w związku z obowiązkami służbowymi, transport poczty zagranicznej". Nie miałeś nigdy problemów, panie… Lebiediew? Nie jesteś zbyt kreatywny, Polen – prychnął Gilbert, kręcąc głową z politowaniem.

– Lebied' – mruknął cicho Litwa, jakby półprzytomnie. Rosyjskie słowo zabrzmiało miękko w jego ustach. – Stąd wziął się Schwäne?

Feliks skierował ku niemu spojrzenie i zmarszczył lekko brwi; światło lampki uwydatniało wyraźne cienie pod oczami Taurysa. Litwa zamrugał, oderwawszy dłoń od kierownicy potarł oczy, jednocześnie zwalniając.

– Licia? – zapytał niepewnie Feliks. – W porządku? W ogóle, ile dzisiaj spałeś? – Obstawiał nie więcej niż cztery godziny; kolejne słowa Litwy tylko to potwierdziły.

– Tyle, ile zwykle – mruknął Litwa, brzmiąc na zmieszanego tym, że został przyłapany. – To nic takiego, po prostu… Po prostu nie jestem przyzwyczajony do takich długich jazd. To bardzo nużące… Jak dawałeś radę tak pracować? Mówiłeś, że jeździłeś samemu po nocach z pocztą.

– Przyzwyczajenie – Feliks uśmiechnął się blado. – I radio, dużo śpiewania z radiem.

Nie umknęło mu, z jaką tęsknotą Litwa zerknął na wbudowany w deskę rozdzielczą odbiornik, a potem znów wpatrzył się w drogę.

Gdzie ta stacja? pomyślał zirytowany, łapiąc za mapę. Powinna gdzieś tu być…

Rozmowa i odrobina ruchu odsunęła od niego senność; chciał już zasiąść za kółkiem i zastąpić Taurysa, by ten mógł odpocząć. W końcu, obiecał sobie – i Prusakowi – że się nim zajmie, prawda?

– Nigdy nie słyszałem, jak śpiewasz… – usłyszał bardzo cichy głos. – Pomijając tę sytuację, gdy przesadziłeś z miodem po wygranej bitwie…

Polska spojrzał na Litwę zdumiony, ale i mile zaskoczony. Przyjemne wspomnienie zacienionej komnaty, miękkiego łoża i słodkiego miodu pitnego na wargach, gdy w ciszy i spokoju wieczoru świętowali i cieszyli się wzajemnie swoją obecnością, sprawiło, że na jego usta wystąpił czuły uśmiech – nim jednak zdążył wyrazić swoją radość z tego, że

Taurys pamiętał tamten dzień, Prusy bezceremonialnie rzucił na ich kolana dokumenty. Obaj niemal podskoczyli; Feliks zmiął w ustach przekleństwo, a Taurys mocniej zacisnął palce na kierownicy.

– Ty tam nie uśnij, Lit – Prusy oparł się wygodniej o oparcie i założył ręce za głowę. – Mnie do kostnicy nie ciągnie – Feliks wyczuł na sobie jego spojrzenie, nie odwrócił jednak głowy. – Gdzie ta pieprzona stacja? Muszę się odlać.

– Pół kilometra – Feliks rzucił okiem na mapę i schował kartę obywatela z powrotem do kieszeni. – Inspekcja przeszła, panie władzo? – zapytał kąśliwie.

– Wyglądają nieźle – stwierdził Gilbert. – Tylko nie łam za dużo przepisów drogowych i nie machaj tym na prawo i lewo.

Polska wywrócił oczyma.

– Masz mnie za idiotę?

– Oczywiście, przecież cię znam – padła natychmiastowa odpowiedź. – Jak przez kogoś wpadniemy, to na pewno będziesz to ty.

Feliks zmarszczył brwi, zirytowany i urażony tą pewnością. Jasne, miał talent do wpadania w kłopoty – i jeszcze większy do kombinowania, jak z nich się wyplątać – ale Prusy mógłby choć raz nie zakładać, że to on będzie prowodyrem zamieszania.

– Serio, Prusy?

– Ja się nie dam złapać, a Lit, w przeciwieństwie do ciebie, jest względnie inteligentny.

Nikt Gilbertowi nie odpowiedział, bo oto już przed nimi zarysował się znak informujący o stacji benzynowej; Taurys zwolnił i zmienił pas. Polska obserwował, jak Litwa płynnie zjeżdża na wąski, ledwo oświetlony zjazd.

W świetle reflektorów mignęły barierki i wysokie zarośla za nimi, a zaraz po tym samochód wytoczył się na pustą dróżkę wiodącą do stacji. W ciemności widzieli kilka ciężarówek zaparkowanych na parkingu i słabo oświetlony budynek za dyspozytorami paliwa. Sądząc po pomarańczowej łunie za nim, niedaleko musiało znajdować się miasteczko. Podczas gdy Taurys parkował gdzieś na uboczu, Polska pośpiesznie złapał za korbkę i zasunął uchyloną szybę, starając się oddychać przez usta.

– Idźcie... idźcie rozprostować nogi, czy coś – wymamrotał, tracąc całkiem dobry humor. – Ja zostaję. Rzygać mi się chce...

Silnik zgasł, a drzwi dwukrotnie trzasnęły; Litwa i Prusy bez słowa opuścili pojazd, zostawiając go samego. Feliks, próbując nie myśleć o znienawidzonym zapachu benzyny – w ciągu tej podróży Prusy już trzykrotnie zdążył to wykpić – wykonał dość ograniczoną w obecnych warunkach gimnastykę, polegającą na sięgnięciu na tylne siedzenie i odszukaniu w legowisku Gilberta termosu.

– A na zachodzie można normalnie kupić kawę na stacji – wymamrotał do siebie, biorąc łyk ciągle ciepłego napoju. Natychmiast się skrzywił, ale napił się znowu, bo potrzeba jasności umysłu była ważniejsza niż smak. Litwa, oczywiście, spytał, czy nie zabrać dla niego drugiego termosu, ale Feliks miał chyba wtedy jakieś zaćmienie umysłu, bo odmówił...

Przeklinając siebie za swoją głupotę, spojrzał ponad termosem na towarzyszy podróży; Gilbert chodził po parkingu żołnierskim krokiem, co chwila robiąc wymachy rękoma; papieros w jego dłoni jarzył się w mroku jak mała latarenka.

Litwa stał oparty o samochód; Feliks widział jedynie tył koszuli, lekko szamoczącej się na wietrze i jego dłonie dotykające karoserii.

Zawsze było mu ładnie w zielonym, pomyślał mimochodem i uśmiechnął się do siebie, ciesząc się, że Taurys wziął sobie do serca jego prośbę. Czerń nie była kolorem Litwy – o wiele bardziej pasowały do niego barwy ziemi – a jej znaczenie ciążyło Feliksowi mocniej niż był w stanie się do tego przyznać.

Żałoby po nim nie nosił jednak tylko Taurys – chociaż sukienka Erzsébet, ta, którą miała na sobie w Charlottenburgu, nie była w pełni czarna, jej ciemność bolała równie mocno.

No i pozostawali jeszcze Czechy i Słowacja; kryjąc się w cieniach balkonu sali teatralnej, rzucał im krótkie spojrzenia, jak zwykle trzymając się na dystans, ale... Ale.

Feliks opuścił głowę, otoczywszy się zasłoną włosów i mocno zacisnął palce na termosie.

– Przepraszam – wyszeptał, mrugając zawzięcie. Nie chciał się rozklejać, nie tutaj, nie teraz. Wiedział, na co się pisze, podejmując swoją grę, a teraz musiał ponosić tego konsekwencje. – Wynagrodzę wam to jakoś. Zdążyłem się za wami stęsknić.

Słysząc kroki na betonie, poderwał głowę, przybrał na twarzy uśmiech i odłożywszy termos na deskę rozdzielczą, przeskoczył na siedzenie kierowcy i zaczął je ustawiać pod siebie. Litwa, szybko otwierając i równie szybko zamykając drzwi, spojrzał na niego niezbyt pewnie.

– Coś nie tak? – zapytał, zauważywszy dłonie szukające przy fotelu mechanizmu. – Pociągnij może mocniej, nie ruszałem tego przez lata…

– Właśnie widzę – odparł lekko Feliks. Pociągnął za wajchę, ale ta wyślizgnęła mu się z rąk, nie ruszywszy się ani o milimetr. – Szlag... O dobra, poszło – Z zadowoleniem poczuł, jak zastały mechanizm odpuszcza.

– To stary samochód – odezwał się Taurys cicho. – Nadal nie jestem pewny, czy zniesie taką podróż.

– Zniesie, zniesie – Feliks poprawił się na fotelu kierowcy i musnął dłonią włożone w stacyjkę kluczyki. – A taki rzęch nie rzuca się w oczy, nam to na rękę... Idziesz spać? – zapytał, obracając się ku tylnej kanapie. – Powinieneś.

Zauważył, że Litwa się zawahał, ale zaraz potem szerokie, stłumione dłonią ziewnięcie, dało Polsce odpowiedź. Taurys uśmiechnął się do niego z lekkim zakłopotaniem, a potem jego spojrzenie padło na termos.

– Zostaw – zastrzegł Feliks. – Musisz odespać, jutro mamy sporo roboty.

– Uzależnienie – Litwa wzruszył ramionami, ale zamiast sięgnąć po kawę, usadowił się wygodniej na kanapie i okrył się kocem. – Ale chyba masz rację, muszę... muszę to odespać – Wydawał się zdziwiony własnymi słowami. Zamrugał powoli i przymknął w końcu oczy; Feliks zauważył, jak jego klatka piersiowa unosi się w głębszym oddechu.

– Zmęczenie – powiedział nagle Feliks, opierając się ramionami o zagłówek. Przyglądał się Litwie bacznie. – Ile razy w życiu przemęczałeś się do granic możliwości po to, by móc spokojnie usnąć?

Litwa drgnął; spod uchylonych, ociężałych powiek mignęła zieleń starego lasu.

– Zbyt wiele – powiedział cicho. – Czasami... czasami to jedyny sposób, by móc zagłuszyć myśli.

Feliks, zaciskając mocno wargi, skinął głową.

– Chyba rozumiem – wyszeptał, znów czując ścisk w gardle.

Spojrzeli po sobie, a potem uśmiechnęli się do siebie, lekko, ostrożnie.

– Lecimy, gołąbeczki – Prusy zamaszyście otworzył drzwi od strony pasażera, powodując, że Feliks odskoczył jak oparzony. Do auta wtargnął dym papierosowy wymieszany z wonią benzyny; Polska skrzywił się mocno i posłał Prusom pełne urazy spojrzenie. – Polen, ty nie wychodzisz? – zapytał szeroko i złośliwie uśmiechnięty Gilbert.

– Odpuszczę sobie – Feliks znów powrócił do oddychania przez usta. – Właź i zamykaj te cholerne…

– Cienias – Prusy wywrócił oczami i, wcale się nie śpiesząc, zajął poprzednie miejsce Feliksa. Napił się kawy, a potem zerknął na trasę. – Hmmm... Koniczynka jest za czterdzieści kilometrów – stwierdził z niezadowoleniem. – Możemy wrócić na trasę i tracić czas albo odbić tutaj i jechać przez te dziury – Machnięciem dłoni wskazał migoczące za stacją światła. – i wjechać na drugą autostradę tutaj – Szturchnął palcem odpowiednie miejsce na mapie.

– I właśnie po to cię budziłem – Polska skinął głową. – Nawiguj mnie przez te zadupie. Jak się zgubimy, to będzie twoja wina, więc się postaraj, Prusaku.

– Spieprzaj, ożywieńcu – burknął Gilbert. – Jedź tędy – dorzucił, szarpnięciem podbródka wskazując wąską drogę za stacją, znikającą w pogrążonych w ciemnościach łąkach. Polska skinął głową i odpalił silnik.

Stary volkswagen zawarczał; Feliks ruszył nieco niepewnie, próbując wyczuć obce auto, ale po chwili mocniej przycisnął pedał gazu. Samochód wytoczył się z parkingu na szutrową drogę; w świetle reflektorów wysokie zarośla rzucały długie, ostre cienie.

Gdy pozostawali za sobą stację benzynową, Polska uśmiechnął się szerzej; wskazówka paliwa poinformowała go, że w baku jest jeszcze sporo benzyny, więc minie sporo czasu, nim znowu będzie musiał wdychać ten koszmarny zapach. Uchylił szybę o centymetr, wpuszczając do środka samochodu świeże, nocne powietrze przesycone zapachem łąki i usadowił się wygodniej na fotelu.

Kilka minut jechali w ciszy, a miasteczko z wolna się zbliżało. Gdy minęli pierwsze domy, a pod kołami zamiast szutru pojawił się gładki asfalt – jeśli istniała rzecz, za którą Polska doceniał Rzeszę, to były porządne drogi – Feliks zerknął na tylną kanapę.

Litwa kulił się w kącie; sądząc po bezwładnej, opuszczonej na piersi głowie zdążył już usnąć, ale dla potwierdzenia Feliks i tak się cicho odezwał:

– Licia? Taurys? – Litewskie imię zabrzmiało obco w jego ustach. Przez jego głowę przeszła gorzka myśl, że może gdyby swego czasu częściej używał tego imienia i gdyby

częściej słuchał osoby, która je nosiła, gdyby częściej zwracał uwagę na rzeczy dla niej ważne, ich los mógłby wyglądać nieco inaczej.

Nawet nie miał pojęcia, jak się to odmienia. Licia zawsze tak śmiesznie się do niego zwracał… Feliksai? Tak, to było to, ale jak odmienić z kolei jego imię? Taury…? Coś takiego…

– Niech śpi, mamy okazję sobie pogadać – Prusy przerwał jego rozmyślania. Mówił ostrym jak brzytwa tonem; Feliks od razu wyczuł, że to nie będzie przyjemna pogawędka. – Czyje to było ciało, co?

Polska zaklął pod nosem. Oczywiście, wiedział, że ta kwestia kiedyś wypłynie, Prusy świdrował go wzrokiem od dłuższego czasu, czając się na niego jak polująca zwierzyna na swoją ofiarę – dobrze, pomyślał ponuro, że przynajmniej nie wplątywał w tę rozmowę Litwy.

Ostatni raz zerknął za siebie, a potem, upewniwszy się, że Taurys nie usłyszy nic z tej rozmowy – i tak przyprawił mu już wystarczająco bólu – zebrał się w sobie, powracając do wydarzeń sprzed dekady.

– Spotkałem tego dzieciaka pod Charité – powiedział cicho, wpatrując się w wąską ulicę, którą jechali; po obu stronach jezdni czerniły się zadbane żywopłoty. Przez uchylone okno wpadał zapach roślinności i ziemi. – Miałem kiedyś stłuczkę, musieli szyć mi rękę... Jak wychodziłem, to on akurat zwiewał przez okno i zapraszał ludzi na piwo. Taki buntownik, od razu go polubiłem – Polska uśmiechnął się smutno. – Chciał przeżyć ostatnie tygodnie na swoich własnych warunkach... I tak się złożyło, że był niezbyt wysokim, długowłosym blondynem.

– Wykorzystałeś go – rzucił Prusy; w jego głosie nie było oskarżenia, jedynie czyste stwierdzenie faktu. – Skręcaj tu… Pomogłeś mu kopnąć w kalendarz?

– Nie jestem mordercą – syknął oburzony Polska, mocno kręcąc kierownicą. Uliczka zmieniła się w kolejną; poboczem szedł samotnie jakiś młody mężczyzna. Sądząc po tanecznym kroku albo wracał z imprezy albo dopiero się na nią wybierał, więc Polska na wszelki wypadek zjechał bliżej środka drogi. – Zastanawiałem się, jak mam to zrobić – przyznał, mijając imprezowicza. Przycisnął gaz; silnik zawył nieco głośniej. – Wcale nie jest łatwo… – zerknął w tył. – No wiesz… odejść na niby.

– Zdechnąć – Prusy wywrócił oczyma. – Zaraz w lewo.

– Mniejsza o nazewnictwo – prychnął Polska. – Słuchaj, tak się składa, że cię znam. Znajomości w kostnicy znajomościami w kostnicy, ale gdyby pokazali ci zamkniętą trumnę, otworzyłbyś ją własnymi zębami, żeby się przekonać, że nie jest pusta.

– Oczywiście – syknął Prusy, rzucając mapę na deskę rozdzielczą. – Miałem taki obowiązek. Istnieją procedury, Polen... Tak, procedury na to, co robić, gdy wykitujecie – dodał, gdy dostrzegł zaskoczone spojrzenie Feliksa. – Byłeś pierwszą osobą, do której je zastosowano, i jak dotąd ostatnią. Musiałem wypełnić raport i potwierdzić, że widziałem trupa, więc poszedłem do kostnicy i zobaczyłem na stole niezbyt wysokiego, długowłosego blondyna – powtórzył po Feliksie, krzywiąc się mocno. – Miałem co innego na głowie, by przyglądać się rysom twarzy dokładniej – Szarpnięciem głowy wskazał

śpiącego Taurysa. – Pewnie mieli niezłą zabawę, by go do ciebie upodobnić, nie? Co było dalej z tym ciałem? Mówiłeś, że grób na Cmentarzu Zasłużonych jest pusty. Trumna w czasie pogrzebu pewnie też była?

– Dopilnowałem, by pochowano go tak, jak należy, pod prawdziwym imieniem – wyszeptał, nie odwracając wzroku od drogi. Ulicę przebiegł właśnie jakiś spłoszony kot. – Jego rodzina nic nie wie o jego udziale w moim zniknięciu. Wypisał się na żądanie, potem… – Wciągnął powietrze w płuca i westchnął ciężko. – Potem trzeba było tylko czekać.

– Wiedział?

– Wiedział – przytaknął Feliks, skręcając w lewo. Wyjechali z miasteczka; Prusy bez słowa wskazał, by na skrzyżowaniu dróg pojechał prosto. – Nazywał się Max – dodał po chwili. – I umarł, nim tak naprawdę zaczął żyć. Wykończyła go choroba płuc…

Prusy nie odpowiedział; milczeli długą chwilę, jadąc krajową, pustą o tej porze drogą i mijając kolejne skupiska świateł. Feliks sięgnął do korbki i zasunął szybę, bo powietrze wpadające do auta, dotąd przyjemnie chłodne, zaczęło powodować gęsią skórkę na jego odsłoniętych przedramionach. Albo to przez te wspomnienia?

– Nie otworzyłeś drzwi, gdy przyszedłem do ciebie na kontrolę – odezwał się nagle Gilbert. Wpatrywał się w przestrzeń, marszcząc lekko brwi. – Nie odbierałeś sprechera, więc wróciłem do biura po zapasowy klucz. W mieszkaniu nie było nikogo. Żadnych podejrzanych połączeń ani e-postów. Nie meldowałeś żadnych wyjazdów, nie pojawiłeś się w pracy. Twój pracodawca wspomniał tylko o tym, że paskudnie kaszlałeś przez kilka poprzednich dni – Spojrzał z ukosa na Feliksa; ten wzruszył ramionami z bardzo bladym uśmiechem w kącikach warg. – Zniknąłeś jak pieprzony kamień w wodę.

– Jak dokładnie się dowiedziałeś? – zaciekawił się Polska, czując, że chociaż raz może poruszyć temat swojego zniknięcia bez sprawiania komuś bólu. Gilbert nadawał się do mrocznych rozmów o śmierci zaskakująco dobrze.

– Byłem poza Berlinem, u innych – Prusy wzruszył ramionami. – Miałem zbyt napięty grafik, by tracić czas na szukanie twojej durnej osoby, więc podałem ówczesnemu dyrektorowi biura twój rysopis. Obdzwonił szpitale i kostnice – Posłał Polsce ostre spojrzenie. – I dostał cynk o ciele młodego mężczyzny znalezionego w okolicy twojego bloku, wraz z dokumentami na nazwisko Łukasiewicz. Jak wróciłem do Berlina, rzekomo leżałeś już w kostnicy i organizowali ci pogrzeb. Litwa prosił mnie, bym załatwił mu pozwolenie.

Polska opuścił na moment oczy. Swego czasu nie widział innego sposobu na opuszczenie Rzeszy niż upozorowanie swojej śmierci, teraz jednak widział, ile rzeczy mogło pójść nie tak; chyba musiało sprzyjać mu głupie szczęście.

– Uwierzyłeś, Prusy? Że mogłem już umrzeć?

– Wszyscy straciliście trochę kondycji – rzucił wymijająco, oschle Prusy. – W ten czy inny sposób. To nie tak, że się tego nie spodziewałem.

– Wiem – mruknął Polska, a w jego głosie odbiły się przygnębienie i niepewność. – Widziałem w Charlottenburgu. Te ostatnie lata mocno nas poharatały – Zerknął przez ramię na Litwę; Taurys na szczęście ciągle spał.

– Najlepiej z was wszystkich trzyma się Francis. Albo najlepiej udaje.

Polska poczuł, że jego policzki nagle czerwienieją. No tak, Francis, pomyślał z lekką paniką. Ups…

– À propos niego – Uśmiechnął się nerwowo i przełknął ślinę, wiedząc, że jeśli nie przyzna się do swojego błędu w porę, ten może ich drogo kosztować. – Wiesz – zaczął lekko, świadom, że Prusy natychmiast przejrzy ten ton. I on, i Litwa znali go zdecydowanie zbyt długo, by dać się nabrać. – Mam wrażenie, że mógł mnie rozpoznać. Mrugnąłem do niego. Tam, na balu.

– Co, kurwa, zrobiłeś?!

Feliks zamrugał, zdziwiony tym nagłym przeskokiem na jego własny język – od momentu powrotu do Rzeszy posługiwał się niemal wyłącznie niemieckim, a i minęło wiele lat, odkąd słyszał z ust Gilberta polski – a potem syknął pod nosem.

– Nie drzyj tak mordy – odparł w tej samej mowie, zduszonym szeptem, zerkając za siebie. – Nie chcę, żeby się obudził. Stanowczo za mało śpi.

– Nie odwracaj kota ogonem – warknął Prusy, powracając do niemieckiego. – Nie po to ja i Lit ryzykujemy łbami, żebyś mi teraz mówił, że ci się zachciało puszczać oczko do...

– Nie pomyślałem! – jęknął Feliks bezradnie, mocniej zaciskając palce na kierownicy. – Po prostu... zobaczyłem go w tłumie, wziął ode mnie wtedy kieliszek... Jakoś tak... Wiesz, zobaczyłem znajomą twarz po tylu latach, to był odruch…

– Jak ukręcę ci ten durny łeb, to też będzie odruch! – warknął Gilbert, z irytacją łapiąc za mapę i obracając ją w rękach. – Tu też prosto i masz już autostradę – dorzucił z gniewem. – Na cholerę mi to było, osiedlać się w Prusach, jeziorka mi się spodobały, psia wasza mać. Już dawno powinienem was obu utopić w Bałtyku. Będę u Francisa w przyszłym tygodniu, to postaram się wybadać sytuację, może się nie zorientował, że był świadkiem objawienia… Gdzie ta cholerna kawa?!

– Zostaw mi trochę – Polska zerknął na termos, do którego właśnie dorwał się Gilbert, a potem przejechał przez puste skrzyżowanie. – W normalnym kraju można kupić kawę na trasie, a tu...

– To jest normalny kraj.

– Och, daj spokój – żachnął się Feliks. Zwolnił nieco, bo oto przed nimi pojawił się wjazd na autostradę. Wreszcie. – Nie mów, że też zanurzyłeś się w tej rzeczywistości do tego stopnia, że nie widzisz innej.

– A widzę? – zapytał nagle Gilbert, nagle o wiele cichszym tonem. – Polen, ja też nie mogę opuszczać Rzeszy. Cofną mnie na każdej z granic poza wewnętrzną.

Feliks drgnął. A więc tak daleko posunęła się Rzesza?, pomyślał zdumiony. Oczywiście, w dawnym świecie zawsze stali przy boku rządów, ale nikt nie myślał nawet o tym, by zabronić im wyjazdów czy samotnych akcji…

– Nie wiedziałem – przyznał po chwili, gdy wjechali na szerokie pasy autostrady. – Dlatego jeździsz do Wenecji, Prusaku? Żeby ujrzeć chociaż odrobinę świata z zewnątrz?

– Lubię to miasto – odparł wymijająco Prusy. – Ludwig też – dorzucił. – Bardzo mu zależało na tym, by Wenedig należało do Rzeszy. W sumie, ciekawe, co teraz robi…

Polska skinął głową, zaciskając wargi z dezaprobatą.

– Wiem. Feliciano dotąd mu tego nie wybaczył – mruknął gniewnie, przypominając sobie te wieczory na swoim dobrowolnym wygnaniu, które spędzał we włoskich miasteczkach, wśród zapachu morza i włoskiej kuchni, planując swoje kolejne posunięcia. Italia była jego pierwszym przystankiem. Feliciano gościł go z radością i tylko jeden temat – temat jego ukochanego miasta, które odebrała mu Rzesza, otwierając sobie drogę do Adriatyku – sprawiał, że jego złotawe oczy ciemniały, a z ust znikał uśmiech.

Feliks rozumiał go doskonale.

– Miał wybór – rzucił Gilbert, zerkając na niego z ukosa. – Ludwig osobiście o to prosił ówczesnego najwyższego wodza. Veneziano mógł zamieszkać w Rzeszy na tych samych zasadach co reszta z was albo pozostać z Romano.

– Niewola i życie w samotności albo obecność brata i wieczna tęsknota za swoją ziemią – prychnął Polska; dawno wygasły gniew na moment znów się w nim obudził, niczym uśpiony wulkan. – Co to za wybór, Prusy?

Gilbert nie odpowiedział, wzruszając jedynie ramionami; Polska potrząsnął głową. Koniec, pomyślał, starając się ochłodzić buzującą w sobie krew. To już dawno skończone. Nie ma już Polski i nigdy się ona nie odrodzi, na to już za późno, więc rób to, co możesz, by chociaż ocalić ich wszystkich od wojny...

Przygryzł wargę, gdy przypomniał sobie niepewne wyznanie Taurysa; on już nawet nie był pewny, czy ciągle jest Litwą, czy ciągle jest personifikacją... Może oni już stali się ludźmi? Może wkrótce znajdą w odbiciu luster pierwsze siwe włosy i zmarszczki, może sięgnie po nich czas, trzymający się od nich z dala przez ostatnie tysiąc lat?

Zorientował się, że ciągle ma gęsią skórkę na ramionach, mimo że okno zamknął już jakiś czas temu. Obejrzał się na Taurysa. Ciemne kosmyki zakrywały mu oczy, usta miał uchylone i oddychał spokojnie – najwidoczniej wyczerpanie w końcu zesłało na niego mocny sen, z którego nie wybudził go nawet podniesiony głos Gilberta.

Lietuva…

– Wiesz – odezwał się cicho Polska, znów kierując wzrok na drogę. Prusy uniósł brew. – Licia ma kilka książek po litewsku, wydanych jeszcze przed wojną. Byłem zaskoczony, gdy je zobaczyłem. Nie spodziewałem się, że pozwolono mu zachować cokolwiek.

– Akt łaski – Prusy wzruszył ramionami, opuszczając się do półleżącej pozycji. – Póki nie pójdzie z tym do jakiegoś wydawnictwa i nie zacznie kombinować z przedrukiem... A nie jest tobą, więc tego nie zrobi – Gilbert posłał Polsce znaczące spojrzenie. Ten tylko uniósł kącik ust; nowy pomysł zamajaczył się w głębi jego umysłu, ale to nie była kwestia, którą mógł zająć się teraz, więc postanowił pomyśleć o szczegółach później. – Może je posiadać na własny użytek. Biuro już dawno zorientowało się, że drobne ustępstwa i przyzwoite

warunki życia uspokajają potencjalnie niebezpiecznych więźniów o wiele lepiej niż cele metr na metr. Oczywiście, miałem w tym spory udział.

Polska wywrócił oczami.

– Wiecznie będziesz nam to wypominał, prawda? – zapytał, a potem skrzywił się na samo wspomnienie tamtej niewoli. – Wracając do książek, jedna z nich ma bardziej zniszczony grzbiet, wygląda na często czytaną. Wiesz, która to?

– Lit nie spowiadał mi się ze swoich preferencji co do literatury. Nie trzymał też w książkach nielegalnej korespondencji ani zagranicznej forsy – Prusy uśmiechnął się złośliwie. – A przynajmniej nie do twojego zmartwychwstania, kto wie, co teraz wsadziliście między kartki.

Polska puścił przytyk mimo uszu.

– „Pan Tadeusz" – powiedział wolno, mocniej zaciskając palce na kierownicy. Trasa znów stawała się prosta i monotonna; dobrze, że Prusy nie spał, wzajemne pyskówki skutecznie odganiały senność. – Nie mam pojęcia, jak się nazywa po litewsku...

Gilbert wydał z siebie dziwny dźwięk, ale nie odezwał się ani słowem, więc Polska kontynuował, wyrzucając z siebie swoje podejrzenia, obawy i nadzieje:

– Szczerze, zdziwiło mnie to – mruknął, wpatrując się w niekończącą się jezdnię i zawieszone nad nią latarnie, jasne ogniska pośród ciemności. – Nie sądziłem, że to polubił. Znaczy… Po tym wszystkim, co…

– Polen, kurwa mać, nie testuj mojej cierpliwości. Do rzeczy.

Feliks wypuścił powietrze przez zęby i posłał Prusom zirytowane spojrzenie. Ten, rzecz jasna, niewiele sobie z tego zrobił; wzruszył ramionami i bezceremonialnie wyłożył nogi na deskę rozdzielczą.

– Jesteś idiotą – skomentował spokojnie Prusy, świdrując Polskę spojrzeniem. – Są rzeczy, które macie wspólne, ty i on – szarpnięciem głowy wskazał Litwę. – Na przykład, nostalgię i głupie sentymenty. Zamiast żyć tu i teraz, jęczycie jak baby, patrzycie w przeszłość i trzymacie po domach stare graty – Gilbert skrzywił się z obrzydzeniem. – Ten twój polonocentryczny kawał grafomanii, „Ponas Tadas" gwoli ścisłości, to jedyna materialna rzecz, jaka mu po tobie pozostała.

Polska odruchowo zdjął nogę z gazu, czując jak jego serce zaczyna bić mocniej. Wsłuchiwał się w słowa Prus – starego znajomego, starego rywala, wroga, czasem sprzymierzeńca – odnajdując w nich nagą prawdę.

Nagle zorientował się, że droga przed nim zamgliła się i zwilgotniała.

– Mimo wszystko? – zapytał cicho, mrugając zawzięcie. – To chyba... chyba mam jakąś szansę – wyszeptał, odrywając dłoń od kierownicy, by zetrzeć z oczu łzy. Świadomość, że Taurys tęsknił za jego obecnością mimo tego, co się między nimi zawaliło, jednocześnie bolała głęboko i przynosiła nieśmiałą radość. – Zaczęliśmy naszą znajomość od nowa, wiesz?

Przez chwilę nie słyszał odpowiedzi; gdy zerknął na Prusaka, ten wywrócił oczyma i założył ręce na piersi.

– Obaj jesteście beznadziejni – rzucił oschle. Potem, niespodziewanie, na usta wystąpił mu krzywy uśmieszek. – Ktoś musi pilnować, byście znowu tego koncertowo nie spieprzyli.

Polska posłał mu pytające spojrzenie, ale Gilbert nie zamierzał wyjaśniać swoich słów.

Noc płynęła, a wraz z nią kilometry.

***

Promienie słońca przebijały się coraz mocniej przez zaciśnięte powieki; Litwa skrzywił się i otworzył oczy, odchylając głowę na bok. Natychmiast pożałował tego ruchu; mięśnie szyi zaprotestowały ostrym bólem. Sięgając do karku i sycząc cicho pod nosem, drugą dłonią przetarł twarz, próbując wyzbyć się osiadłej tam senności.

Gdy usiadł, koc z torsu opadł mu na kolana. Niezbyt przytomnie rozejrzał się dookoła i na drugim końcu kanapy dostrzegł skulonego w kłębek Feliksa; jasne włosy przykleiły się komicznie do szyby, za którą Litwa widział jakąś wąską uliczkę.

Poszarzałe fasady dwupiętrowych kamieniczek zdecydowanie widziały lepsze czasy, na lekkim wietrze szamotały się śmieci, a jakiś pies uważnie obwąchiwał koła starych samochodów. Nagle Litwa pojął, czemu Feliks uznał, że jego auto doskonale się nada – na pierwszy rzut oka pasował do tego miejsca idealnie.

Poza uliczką było jednak o wiele ładniej – w oddali widział całkiem przyjemne dla oka białe budynki mieszkalne postawione przy jakiejś szerszej ulicy, widoczne ponad dachami niebo było niesamowicie wręcz błękitne, a nad całym miasteczkiem wznosiły się porośnięte roślinnością wzgórza, zwiastujące nieodległą obecność Pirenejów.

Było też, jak nagle się zorientował, potwornie gorąco. Sięgając do wczorajszej koszuli, rozpiął górny guzik i mrużąc oczy, zerknął w kierunku oślepiającego słońca, wpadającego do zaparkowanego samochodu.

Z pozycji na niebie wywnioskował, że mogło być około dziesiątej albo jedenastej rano.

Spałem około dwunastu godzin?, zdziwił się i kolejny raz przetarł twarz. W ustach czuł suchość; kawa, potrzebował kawy, bo sen oplótł jego umysł i nie chciał puścić, a głowa już rozpoczynała pulsować migreną.

Rozejrzał się za termosem, mając nadzieję, że znajdzie się tam chociaż łyk napoju.

– Witamy wśród żywych – rzucił Prusy z fotela kierowcy, zerkając przez ramię. Sięgnął po termos leżący na fotelu pasażera i bezceremonialnie rzucił nim w Litwę; Taurys ledwo go złapał. – Budź tego drugiego idiotę, jesteśmy na miejscu.

– To Lourdes? – wymamrotał nieprzytomnie Taurys, odkręcając z trudem zakrętkę. Natychmiast przyłożył metalową krawędź do ust; po tylu godzinach kawa była już całkowicie zimna, ale i tak wypił ją do końca. Zbyt późno pomyślał o tym, by zostawić odrobinę dla Feliksa i natychmiast uderzyło w niego poczucie winy. – Czemu mnie nie obudziłeś?

– Ja, w przeciwieństwie do was, umiem jednocześnie kierować i patrzeć na mapę – prychnął Gilbert. Zastukał niecierpliwie palcami w kierownicę. – Budź kochasia, niech mi potwierdzi, że nie pomylił adresu – Wychylił się lekko przez otwarte okno i skrzywił

się, rozglądając dookoła. – A ja przeparkuję to auto, bo zaraz w środku będzie piekiełko. Pieprzone słońce...

Prusy sięgnął do kluczyków; Litwa tymczasem przysunął się bliżej Polski i lekko dotknął jego ramienia.

– Feliks...

Polska w odpowiedzi jedynie mruknął przez sen i mocniej przytulił się do szyby. Na ustach Litwy, zupełnie mimowolnie, pojawił się lekki uśmiech. Gdy śpi, zawsze wygląda jak niewiniątko, pomyślał rozbawiony, obserwując jasne kosmyki przylepione do szyby i oparcia kanapy, tworzące wokół głowy Feliksa oświetloną słonecznym blaskiem złotawą aureolę. Jak to pozory mylą…

– Feliksie, obudź się. Dojechaliśmy – Reakcji nie było; Taurys westchnął. – Pabusk, Feliksai… – zaczął i nagle uderzyło w niego, jakie słowa wyszły z jego ust; nasycone mocnym, berlińskim akcentem, ale zdecydowanie litewskie. Zastygł w miejscu i znów otworzył usta, ale nagle zabrakło mu tych słów; własna mowa przyszła i natychmiast odeszła, zostawiając go z gorzkim posmakiem kawy na języku.

Chciał je powtórzyć i zdał sobie sprawę, że nie ich nie pamięta – krążyły na końcu języka, śmiejąc się z niego, gdy rozpaczliwie próbował znów je chwycić. Opuścił głowę, czując na sobie świdrujące spojrzenie Gilberta, a potem zacisnął zęby. Pięknie, Litu… Lietuva.

– Feliks, obudź się – powiedział głucho po niemiecku, czując jak bezsilność ściska jego gardło. Przez chwilę szukał też polskiego słowa, ale i to się nie udało, a ból głowy odezwał się mocniej.

Potrzebował kawy, musiał zacząć myśleć jaśniej.

Na szczęście, nie musiał się więcej wysilać; Polska otworzył oczy, zamrugał i ziewnął. Prusy westchnął przesadnie głośno, a gdy Litwa na niego zerknął, zauważył, jak ten przewraca oczyma i naciska gwałtownie pedał gazu. Silnik zawył i volkswagen wytoczył się na środek ulicy.

Taurys szczerze wątpił, czy jego auto dojedzie z powrotem do Berlina w jednym kawałku, jeśli Prusy dalej będzie nim kierował, ale postanowił zwrócić mu uwagę później.

– I wy chcecie spiskować? – kpił tymczasem Gilbert, przeparkowując samochód o kilkanaście metrów. Znaleźli się w cieniu jednego z budynków. – Okradliby was do gaci, a wy byście nawet nie zauważyli, śpiące królewny.

Taurys nie odpowiedział. Podczas gdy Feliks starał się wyplątać z kocy, sięgnął po leżącą pod siedzeniem torbę z ich prywatnymi rzeczami i odszukał w bocznej kieszonce grzebień. Nie chcąc prezentować się gorzej niż zazwyczaj, parę razy przejechał nim po poplątanych snem włosach. Polska posłał mu proszące spojrzenie, więc gdy tylko skończył, Litwa od razu podał Feliksowi grzebień, by i ten mógł doprowadzić się do porządku.

Nie czuł się zbyt świeżo; wolałby znaleźć się już w hotelu, wziąć porządny prysznic i przebrać wymiętą koszulę, ale wiedział, że do tego jeszcze daleko – mieli dzisiaj do wykonania dwa zadania.

Zabierając za sobą torbę, kilka minut później wyszli z samochodu, akurat w chwili, gdy gdzieś niedaleko zaczęły bić kościelne dzwony, wzywając wiernych na nabożeństwo. Dotąd pusta uliczka zapełniła się ludźmi; chowający się w cieniu ściany Litwa przysunął się bliżej auta, by przepuścić idącą o lasce staruszkę. Jego kark natychmiast uderzyło palące słońce.

– Mercés, monsen – Kobieta uśmiechnęła się ku niemu pomarszczonymi wargami i minęła go powoli. Litwa powiódł za nią spojrzeniem, zdumiony językiem, który usłyszał.

Czekając na Polskę i Prusy, którzy właśnie odpalili papierosy, przez chwilę stał w miejscu. W nozdrza uderzył go zapach dymu, ale ledwie go zauważył, wsłuchany w rozmowy mijających ich ludzi.

Ku jego zdumieniu, niemiecki był na drugim, może trzecim miejscu i częściej padał z ust młodych ludzi. Starsze pokolenie posługiwało się francuskim, hiszpańskim i czymś, co było chyba lokalnym dialektem – Taurys nigdy nie miał na tyle kontaktu z językami romańskimi, by móc określić, jaką mowę dokładnie słyszy.

Oczywiście, zdał sobie sprawę, Imperium nigdy nie zabroniło oficjalnie innych języków, ale myślałem, że po tylu latach obecności tylko niemieckiego w mediach i szkołach… Najwidoczniej pogranicze ciągle rządzi się swoimi prawami, stwierdził po chwili. Na pograniczach zawsze mieszały się języki i kultury…

Zauważył kątem oka, jak Prusy przydeptuje niedopałek butem. Polska rozejrzał się nieporadnie za śmietnikiem, ale nie znalazłszy żadnego w najbliższej okolicy, poszedł w ślady Gilberta. Taurys miał nadzieję, że dobrze zdusili żar.

– Gotowi? – zagadnął Feliks. – Idziemy – rzucił, gdy uliczka w końcu opustoszała i pewnym krokiem ruszył przed siebie.

Taurys bez słowa poszedł za nim; całą trójką przeszli przez ciemną bramę, wchodząc w zacienione drzewami, zagracone podwórko porośnięte wypaloną, żółtawą trawą. Feliks zaprowadził ich pod drzwi i szarpiąc głową, nakazał im bezgłośnie, by weszli za nim.

Nad drzwiami wisiał szyld zakładu krawieckiego; Litwa uniósł brew, ale bez słowa przekroczył próg. Prusy szedł tuż za nim, mrucząc pod nosem coś na temat nieznośnego słońca.

Znaleźli się w wąskiej, raczej zaniedbanej klatce schodowej. Feliks minął już drzwi prowadzące do krawca, teraz zamknięte na amen, i wspinał się po schodach, przeskakując co drugi stopień.

Feliks zatrzymał się na pierwszym piętrze, przed zupełnie zwyczajnie wyglądającymi drzwiami. Zerknął na pozostałych, uśmiechnął się szelmowsko – Taurys mimowolnie też uniósł kącik ust – i zapukał.

Po minucie, podczas której Prusy niecierpliwie stukał butem o betonową podłogę – każde uderzenie odbijało się echem w obolałej głowie Litwy, zdecydował się jednak zacisnąć zęby – drzwi uchyliły się lekko. Zza nich wyłonił się młody mężczyzna o wyraźnie południowej urodzie. Zlustrował ich czujnym, nieufnym spojrzeniem głęboko osadzonych, zaskakująco jasnych, szarych oczu; Feliks postąpił o krok do przodu.

– Mam nadzieję, że nie polujesz na łabędzie – odezwał się ściszonym głosem.

Taurys natychmiast rozpoznał ustalone hasło. Wpatrzył się w obcego mężczyznę, zastanawiając się gorączkowo, czy to na pewno ich umówiony kontakt. A jeśli…

– Tylko na te odlatujące za daleko – słysząc odzew, Litwa odetchnął lekko z ulgą. Więc to on, ten Gris, który miał być odpowiedzialny za wiadomości przekazywane przez niezarejestrowany sprecher. Szczerze wątpił, że to było prawdziwe imię. – Ty jesteś Schwäne, tak? – Gris szarpnął głową w kierunku Prus i Litwy. – Twoi?

– Moi – odparł pewnie Feliks.

Kiedyś Litwa zżymałby się na ten ton – dziś jedynie uniósł kącik ust z lekką rezygnacją. Cały Polska, pomyślał. Starych nawyków nie dało się łatwo wykorzenić.

Prusy wyglądał na oburzonego.

– Po… Schwäne…! – Gilbert poprawił się w ostatniej chwili. Jego oczy ciskały gromy i Litwa już wiedział, że całą drogę powrotną Prusy będzie się o to z Polską kłócił.

Będę miał powtórkę z hołdu pruskiego, Feliks przypomni Gilbertowi każdy szczegół, pomyślał z rozbawieniem. No proszę.

– Wchodźcie, tylko szybko.

Przekroczywszy próg, Litwa rozejrzał się z zainteresowaniem, ale na pierwszy rzut oka nie zobaczył nic podejrzanego. Szafka na buty, obrazki na białych ścianach, porzucone w kącie buty… Dopiero gdy Gris wpuścił ich do jednego z zamkniętych na klucz pokoi, dopiero wtedy Taurys zrozumiał, że znajduje się w przemytniczej dziupli.

Na stołach i biurkach, którymi zawalone było pomieszczenie, leżały częściowo zapakowane kartony; w nieruchomym, gorącym powietrzu unosił się przytłumiony mocnymi perfumami zapach papierosów. Na podłodze leżało kilka toreb, których zawartości mógł się jedynie domyślać. W półmroku – okna były szczelnie zasłonięte ciężkimi zasłonami – migały diody komputera na jednym z biurek. Obok, przy klawiaturze, leżała plątanina kabli, części i na wpół złożonych sprecherów, poklejony taśmą dyktafon, wysłużona krótkofalówka, a także jakieś urządzenie pozbawione wyświetlacza, którego Litwa nie był w stanie rozpoznać.

Wkręciłeś się w naprawdę poważną sprawę, Lietuva, pomyślał, obserwując, jak Gris sięga do szuflady biurka. W jego dłoniach pojawiły się trzy sprechery.

– To wasze, zgodnie z umową. Niezarejestrowane, blokada jest zdjęta. Na tej kartce są numery. Nauczyć się na pamięć i spalić – mówił Gris rzeczowo, perfekcyjnym niemieckim bez cienia lokalnego akcentu.

Taurys obrócił swoje urządzenie w palcach, szukając różnic i podobieństw do swojego zwykłego sprzętu. Ten sprecher miał aparat, podobnie jak nowy model Anniki, ale małe rysy na tylnej obudowie świadczyły o tym, że ktoś spędził sporo czasu, dobierając się do środka.

– Dzięki – Polska schował sprecher przeznaczony dla Erzsébet do torby. – A teraz…?

– Właśnie, konkrety – Prusy ledwie zerknął na sprecher. Gdy Gris sięgnął za biurko i wyciągnął stamtąd metalową walizkę, jego oczy pojaśniały. – No nareszcie!

– Łatwo nie było, nie szalejcie z amunicją – Gris rozłożył walizkę na stole, odsunąwszy wcześniej kartony na bok. – Cztery razy broń, kabury wewnętrzne i naboje. Antonio przekazuje pozdrowienia – dodał nagle, unosząc kącik ust.

Prusy wziął do ręki pistolet, w którym Litwa ze zdumieniem rozpoznał samopowtarzalnego colta; Gilbert przetoczył broń w palcach, owinął dwa palce wokół rękojeści, a potem, szybkim, gwałtownym ruchem, wycelował broń w Grisa.

Ten ani drgnął, posłał jedynie piekielnemu uśmieszkowi Prus pełne politowania spojrzenie. Miał kontakt z bronią, stwierdził Litwa. A raczej… a raczej z osobami, które często ją noszą.

– W końcu – powiedział z satysfakcją Gilbert. – Stanowczo zbyt długo się tym nie zajmowałem.

Dawno nie widział u Gilberta takiego ożywienia. Pamiętając sprawność Prusaka w boju, Taurys pomyślał, że dobrze jest mieć go za sojusznika. Potem, zachęcony uśmiechem Feliksa, sam sięgnął po broń.

Colt zaciążył mu w dłoni; Taurys upewnił się, że jest zabezpieczony, a potem podniósł skórzaną kaburę. Jej kształt wydał mu się znajomy; przyjrzał się wytłoczonemu w skórze symbolowi i uniósł kącik ust, gdy jego podejrzenia się sprawdziły.

– To była kiedyś porządna firma – stwierdził cicho. – Mam nadzieję, że jakość nie ucierpiała przez ostatnie lata… A ta kabura pasuje idealnie do colta.

Polska rzucił mu zaskoczone spojrzenie.

– Skąd wiesz?

– Alfred dał mi takiego swego czasu – Litwa jeszcze raz zerknął na pistolet, a potem zajął się kaburą. Przypięcie jej klipsami po wewnętrznej stronie spodni, a potem ukrycie pod połami koszuli, zajęło zaledwie chwilkę. – Uparł się, bym nosił… – przyznał, próbując przyzwyczaić się do ciężaru broni na udzie.

– Słyszałem od niego o twojej małej emigracji – mruknął Polska zamyślony. – Ale o tym, że cię uzbroił, nie wspomniał… Chociaż, właściwie mnie to nie dziwi…

Taurys otworzył usta, ale właśnie w tej chwili Gris odkaszlnął znacząco; Feliks schował pośpiesznie broń do torby. Prusy, ciągle triumfalnie uśmiechnięty, pewnym krokiem ruszył do drzwi.

– Racja, zmywamy się… Gris, wieczorem nadamy wiadomość, bądź w domu.

Mężczyzna tylko skinął głową. Litwa posłał spojrzenie leżącej na stole krótkofalówce. Ciekawe, jaki ma zasięg, pomyślał i jak blisko granicy musi podejść, by ktoś mógł po drugiej stronie złapać zakodowany sygnał…

– Przesyła to pan drogą radiową? – zapytał cicho, chcąc się upewnić. Minęły lata, odkąd ostatni raz widział przenośną radiostację. – To nielegalne w Rzeszy, prawda?

Gris po raz pierwszy uśmiechnął się szerzej; Litwa natychmiast poczuł, że palnął głupotę.

– Nie, ale czego führer nie zobaczy, to go nie zaboli. Idźcie już.

Polska pokiwał głową.

– Jasne… – zerknął na zapakowane kartony i na usta wystąpił mu uśmieszek. – A dorzuciłbyś fajki w bonusie?

Gris bez słowa podszedł do jednego z kartonów; wyciągnąwszy stamtąd opakowanie papierosów, rzucił je Feliksowi. Ten z szerokim uśmiechem schował je do kieszeni. Prusy, stojąc w drzwiach, wywrócił oczami.

– Przekaż pozdrowienia Antonio – rzucił Gilbert, wychodząc i nie oglądając się za siebie. Gris tylko mruknął coś pod nosem; gdy tylko opuścili mieszkanie, usłyszeli, jak przekręca klucz w zamku.

Zeszli po schodach; Taurys szedł ostatni, próbując przyzwyczaić się do broni. Dziwnie było, po kilkudziesięciu latach, znów ją nosić. Waga i wygląd ukrytego pod jego ubraniem colta przywiodły stare wspomnienia z Ameryki; Litwa uśmiechnął się do własnych myśli.

Te kilkanaście miesięcy, które spędził za oceanem, próbując odzyskać równowagę… Od dawna nie myślał o tym krótkim epizodzie ze swojego życia; wydawał się niezwykle odległy, jak każde jego szczęśliwe wspomnienie.

To był dobry czas, pomyślał Litwa, mając przed oczami szeroki uśmiech Ameryki. Zdecydowanie potrzebowałem takiego wytchnienia, zaleczenia blizn, ale musiałem wrócić, szybko zająć się odbudową kraju...

Gdy doszedł do samochodu, Prusy już okupował fotel kierowcy. Z radosnym grymasem na wargach stukał palcami w kierownicę w rytm piosenki lecącej z radia; najwidoczniej udało mu się złapać jakąś stację. Litwa wsunął się na siedzenie pasażera. Jego stary volkswagen powitał go gorącym, zastałym powietrzem, więc natychmiast sięgnął do korbki przy drzwiach.

– Jedziemy – rzucił Gilbert, odpalając samochód. – Poszło nam dużo sprawniej niż myślałem. Niezłe masz chody, Polen, ale za tą odzywkę jeszcze pożałujesz…

– Mamy sporo czasu – Feliks skinął głową, nie zwracając uwagi na kolejne słowa Gilberta. Siedział z tyłu i głaskał palcami sprecher przeznaczony dla Węgier, wyglądając na głęboko zamyślonego. Litwa przyglądał mu się z niepokojem. – Ile jest stąd do Tuluzy, Prusaku?

– Niecałe trzy godziny jazdy – Gilbert nie wydawał się zmęczony podróżą; wręcz przeciwnie, po tylu godzinach, ku zdumieniu Taurysa, ciągle emanował energią i entuzjazmem. Pistolet leżał na jego kolanach; co chwila, z wyraźnym zadowoleniem, głaskał rękojeść colta. – Prosto na Tuluzę?

Taurys, czując powracający ból głowy – kawa, musiał napić się kawy, najlepiej w dużej ilości – skinął tylko głową bez słowa. Oparłszy się o fotel, obserwował, jak Gilbert wyjeżdża na główną ulicę, a potem przymknął oczy.

Otworzył je dłuższą chwilę później, gdy mijali z daleka strzeliste wieże sanktuarium. Przyglądał się mu przez chwilę, wcale nie widząc świątyni, zbyt zajęty własnymi myślami.

Ma broń. Nielegalną broń, która właśnie leży na jego udzie i przypomina o sobie, skryta pod koszulą szarpaną wpadającym do środka samochodu wiatrem. W kieszeni ma też nielegalny sprecher, jego własny, nauka numerów na pamięć będzie teraz jego priorytetem…

Zyskali swobodną drogę komunikacji dla całej ich trójki – czwórki, natychmiast poprawił się w myślach – oraz nie są bezbronni, na wypadek, gdyby coś poszło źle. Wszystko szło zgodnie z planem, który obmyślił w salonie Beilschmidtów.

Są w trasie, planują i spiskują, jak przystało na ich gatunek zrodzony do walki. Nagle świat znów stał się żywy, ruchliwy, a dawno nie widziana adrenalina rozpaliła mu żyły jak pożoga pochłaniająca lasy.

Mano vardas yra Lietuva.

W lusterku zobaczył uśmiechającego się do niego Polskę. Odwzajemnił uśmiech z zupełnie nową energią.

– To teraz do Erzsi – oznajmił wesoło Feliks. – Wyrobimy się do wieczora. Tak jak się umawialiśmy, nie będziemy meldować się w jednym hotelu, na wszelki wypadek. Prusak, koniec końców, gdzie ty nocujesz?

– Ja idę na miasto – prychnął Gilbert, szarpiąc mocno kierownicą. Za oknami przesuwały się piętrowe, białe kamieniczki, oświetlone południowym słońcem. – Coś mi się od życia należy, a w Tuluzie jest fajna knajpa.

– Nie wpuszczę cię potem za kierownicę – zastrzegł Litwa. – Nie pod wpływem.

– I o to mi właśnie chodzi, Lit. Swoje godziny już wyrobiłem, grzecznie odeśpię na tylnym siedzeniu, a wy się będziecie męczyć aż do Berlina. Plan doskonały.

– Jak twój każdy – rzucił sarkastycznie Feliks. – Licia, słuchaj, jak już wyjdziemy od… od Erzsi… – Na chwilę jego głos stał się mniej pewny; Litwa uchwycił to zawahanie i w próbie dodania mu otuchy poruszył wargami w cichym „da sobie radę". Polska skinął głową, wydając się być wdzięczny. – Idź się zameldować i ogarnąć, a potem też idziemy w miasto. Tuluza to podobno ładne miejsce, a my mamy pozwiedzać.

– Mamy? – powtórzył Litwa, nie rozumiejąc, co Feliks ma na myśli.

– Mamy – Polska uśmiechnął się ciepło. – Jest niedziela, Licia. Pamiętasz naszą umowę?

Taurys uchylił warg; a potem, nie powiedziawszy ani słowa, niepewnie odwzajemnił uśmiech. Niedziela, ich dzień, dzień wolny od wszystkiego.

Zaczynał je lubić.

– Daj mi tylko wziąć prysznic – powiedział cicho. – I napić się porządnej kawy.

Oczy Feliksa jaśniały; Prusy tylko wywrócił oczami i przyśpieszył, gdy tylko wyjechali z Lourdes.

Podróż trwała dalej.

Rozdział XIX: Ostatni przyjazny dom

Siódme piętro pałacu führera znał jak własną kieszeń; w ciągu ostatnich kilkunastu lat spędzał tu więcej czasu niż we własnym domu. W kraju tak wielkim jak Zjednoczona Rzesza Niemiecka zawsze było coś do zrobienia, a każdej z tych spraw należało poświęcić odpowiednią ilość uwagi – a jeśli oznaczało to siedzenie po nocach i nocleg w biurze, tak najwidoczniej miało być.

To był *jego* kraj i musiał funkcjonować perfekcyjnie – każde potknięcie administracji czy rządu, które wynikłoby z nieścisłości w prawie, Ludwig uznawałby za osobistą porażkę, dzisiaj jednak miał wrażenie, że cała jego praca jakby obraca się przeciwko niemu.

Dojście do führera, pomyślał gniewnie, wysiadając z windy. Ochroniarze zasalutowali mu z szacunkiem, więc odwzajemnił gest wyprostowaną dłonią; nawykłe ciało ustawiło się do pozdrowienia, nim nawet o tym pomyślał. Chcą mieć dojście do führera i wydaje im się, że to będę ja.

Miękki dywan ugiął się pod jego stopami, gdy zamiast skierować się do swojego gabinetu ruszył w przeciwną stronę.

Proszę bardzo. Mogę tam wejść, ale nie sądźcie, że zostanę waszym szpiegiem. Idę tam z własnej woli, nie dla ciebie, Gilbert.

Złość na brata znów w nim rozgorzała, jednak Ludwig nie pozwolił sobie na okazanie tej emocji na twarzy. Musiał być teraz opanowany i pilnować wypowiadanych słów; chciał dowiedzieć się, na ile Łukasiewicz ma rację, wplątując Litwę i Gilberta w swoje szalone plany.

Przeklęty po stokroć Polska miał rację przynajmniej w jednej rzeczy – zostali odsunięci od polityki zagranicznej i zasypani inną robotą.

Prusom wydano rozkaz wizytacji personifikacji strąconych z piedestału, a Ludwigowi powierzono czuwanie nad ustawodawstwem. To, co do niedawna wydawało się mu oznaką najwyższego zaufania, dzisiaj wywoływało jedynie niepokój i rozdrażnienie. Czemu nie załapał tego wcześniej?

Oczko kamery spojrzało na Ludwiga znad framugi, więc zapukał do gabinetu wodza, starając się utrzymać spokojną fasadę na swojej twarzy.

Chociaż pracowali na jednym piętrze, widywali się rzadko; dawno już minęły czasy, gdy wzywano Ludwiga na narady albo po prostu na filiżankę kawy, by nad jej oparami wysłuchiwać sugestii albo wyczekiwać porad co do rządzenia krajem.

Nie czekał długo; drzwi uchyliły się i Niemcy napotkał niechętne spojrzenie starej sekretarki; nigdy nie zaprzątał sobie głowy zapamiętywaniem jej imienia.

– Pan Ludwig Beilschmidt – rzuciła szorstko. – Obawiam się, że Najwyższy Wódz nie przyjmuje obecnie…

Czując niezadowolenie z powodu jej tonu, Ludwig zmarszczył nieco brwi. Uniósł kącik ust w grymasie, który mógłby od biedy uchodzić za przyjazny uśmiech, ale jednocześnie postąpił o krok do przodu.

Wolnym, ale stanowczym gestem oparł dłoń o drzwi, mniej lub bardziej subtelnie dając sekretarce do zrozumienia, że i tak wejdzie do środka, czegokolwiek by się nie obawiała.

– Nalegam na wizytę – rzucił spokojnie. – Jestem pewny, że mein führer jest w stanie poświęcić chwilę *mojej osobie* – dodał z naciskiem. Wyglądało na to, że musiał przypomnieć co po niektórym, kim jest; sekretarka należała do wąskiego kręgu osób znających prawdę. – Jeśli dobrze pamiętam, dzisiejsze spotkanie z ministrem kultury zostało odwołane, prawda?

Ferenc rzadko kontaktował się z rządem bezpośrednio tutaj, na siódmym piętrze. O każdej wizycie niewtajemniczonego polityka Ludwig musiał zostać poinformowany, by nie powodować swoją obecnością niewygodnych pytań i teraz skutecznie z tej wiedzy korzystał – sekretarka jakby straciła rezon.

– Kathe, otwórz w końcu te drzwi – Z gabinetu dobiegł chłodny, zniecierpliwiony głos.

Kobieta zacisnęła wargi w wąską linię i odsunęła się na bok, pozwalając Ludwigowi w końcu przekroczyć próg. Niemcy, nie obdarzając jej spojrzeniem, wszedł pewnie do środka. Jego oczom ukazał się przestronny gabinet, wzdłuż którego wszystkich ścian stały regały pełne książek, segregatorów, albumów i papierowych teczek. Na dużym, hebanowym biurku pośrodku panował idealny porządek, na meblach nie widać było ani drobinki kurzu, a miękki dywan zaścielający podłogę miał śnieżnobiałą, niemal nierealną barwę.

Sterylną atmosferę gabinetu przełamywały spore doniczki z paprotkami, tworzące pod dużym oknem swoistą mini-dżunglę; ponad nimi rozpościerała się panorama rozświetlonego sobotnim słońcem Berlina.

– Czemu zawdzięczam tę wizytę, Ludwigu? Coś się stało?

Niemcy, zamiast odpowiedzi, zasalutował wyciągniętą dłonią tak, jak nauczono go dziesięciolecia temu; stary gest szacunku najwidoczniej ukontentował führera, który oderwał oczy od dziennika rozłożonego na biurku i wskazał Ludwigowi wygodny fotel.

Ferenc Weigel miał pokryte zmarszczkami, surowe oblicze; jego z natury jasne włosy skrywały siwe pasemka.

– Chciałem z panem porozmawiać – zaczął wolno Ludwig, siadając i zerkając znacząco na sekretarkę. – Na osobności, jeśli można.

– Kathe, idź na przerwę. Dłuższą – odparł natychmiast führer, znacząco patrząc na sekretarkę. Ta ruszyła do drzwi. – Ale gdzie moje maniery… – dodał, gdy kobieta już kładła dłoń na klamce, gotowa opuścić gabinet. – Napijesz się czegoś, Ludwigu? Obawiam się, że herbaty nie mogę ci obecnie zaoferować, ale mam świetną kawę.

Niemcy pokręcił oszczędnie głową.

– Dziękuję, ale powinienem ograniczyć kofeinę.

– Rozumiem – Ferenc posłał mu miły, ale zdystansowany uśmiech. Cichy trzask drzwi za plecami dał Ludwigowi do zrozumienia, że zostali sami. – Wykonałeś świetną robotę. Ta ustawa z pewnością podniesie kondycję naszego kraju.

– Od dawna była potrzebna – Kiwając głową, Ludwig dyskretnie obrzucił gabinet wzrokiem.

Gdy Gilbert spytał go, czy ma podsłuch w swoim gabinecie, uznał to za czysty absurd, ale może leżało w tym ziarnko prawdy… Udając, że poprawia się na fotelu, przysunął się do biurka i lekko przesunął opuszkami palców po spodniej stronie blatu.

Nic nie wyczuł, ale to jeszcze nic nie znaczyło; musiał być ostrożny.

– Prawda – zgodził się tymczasem führer. – Z prawdziwą przyjemnością składałem pod nią podpis. Zadbałeś o każdy najdrobniejszy szczegół, Ludwigu. Takiej skrupulatności nam trzeba. Właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Do niedawna ta pochwała sprawiłaby, że Ludwig wyprostowałby się dumnie i poczuł głębokie zadowolenie, teraz miał jednak wrażenie, że dostrzegł jej niemalże nieuchwytny, ukryty sens. W jego domu rzeczy zawsze leżały na właściwym miejscu, a w jego kraju ludzie zajmowali się tym, do czego byli przeznaczeni.

W teorii.

– Właściwie – odezwał się, powoli ważąc słowa na języku. – Ja w tej sprawie, mein führer.

Ferenc spojrzał na niego, unosząc lekko brew w geście zaskoczenia.

– Coś się stało? – zapytał, sięgając po gruby, obity w skórę kalendarz. – Twój brat wziął teraz wolne, prawda? Czy ty również potrzebujesz urlopu? Przyzwyczaiłem się do myśli, że nie jesteście ludźmi i wasza wytrzymałość jest wręcz niebywała, stąd proszę o wybaczenie – Jego ton nie wykazywał zbytniej skruchy. – jeśli w ostatnim czasie zrzuciłem na twoje barki zbyt dużo, Ludwigu.

Niemcy prawie się skrzywił; nie pozostawał z Ferencem w wystarczająco bliskich stosunkach, by uwierzyć w jakąkolwiek troskę. Wie o urlopie Gilberta, zanotował zamiast tego w myślach, a więc ma większy kontakt z biurem niż sądziłem.

– To nic wielkiego – Może i ostatnimi miesiącami nie miał praktycznie czasu wolnego, ale nie zamierzał o tym dyskutować. – Wystarczy mi, że praca chwilowo zwolniła, to wystarczy, by złapać oddech. Ale – Zawahał się na krótki, bardzo krótki moment. – To, o co chciałem cię zapytać, ma poniekąd związek ze mną, Gilbertem i… całą resztą… mojego gatunku.

Stało się, wypowiedział magiczne słowa. Oczy Ferenca zwęziły się lekko i mimo panującego na zewnątrz lata Ludwigowi wydawało się, że temperatura w biurze spadła o kilka stopni.

Personifikacje, pomyślał, mierząc się wzrokiem z wodzem; odkąd kilkadziesiąt lat temu podjęto decyzje, by wypuścić ich z cel i aktem łaski dać możliwość życia jak zwykły człowiek, bracia Beilschmidt nigdy więcej nie poruszali tego tematu z władzą.

– Słucham.

Ludwig więc nigdy nie rozmawiał o tym ani z siedzącym przed nim Ferencem, który objął władzę, gdy wszyscy przywykli do nowego porządku, ani z Clausem, który podpartą całkiem sensownymi argumentami sugestię Gilberta wysłuchał, rozkazał wykonać i następnie całkowicie stracił zainteresowanie sprawą.

Raz, może dwa, wdał się w dyskusję o personifikacjach z Adolfem, nim ten oszalał do reszty – Niemcy pamiętał jego zaciętość i nienawiść, które nawet jego, osobę nawykłą wówczas do wrogości, wprawiły w szczere zdumienie.

Sam nigdy nie czuł większego przywiązania do innych przedstawicieli swego gatunku, pomijając oczywiście Gilberta i pozostałych braci, którzy obecnie wiedli swoje spokojne życia na prowincji, jedynie okazjonalnie zerkając na ręce władz lokalnych. Nadal uważał, że personifikacje w przestrzeni publicznej wywoływały zbyt duży chaos i zatajenie ich istnienia wyszło Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej na dobre, ale…

– Nie będę owijał w bawełnę – oznajmił stanowczo, wpatrując się niewzruszenie w przywódcę. Ciągle byli sobie równi; lepiej, by Ferenc o tym pamiętał. – Czy mein führer zamierza poczynić jakieś zmiany w dotychczasowym traktowaniu byłych personifikacji?

Weigel uniósł wysoko brew, a potem położył suchą dłoń na kalendarzu i wolnym, nienaturalnym wręcz ruchem odsunął go od siebie. Upływające sekundy dały Ludwigowi do zrozumienia, że jego rozmówca zastanawia się nad odpowiedzią.

– Czemu o to pytasz? – odezwał się Ferenc cicho.

Wzięty z zaskoczenia, gra na czas, zrozumiał Ludwig. Wziął głębszy oddech, jakby miał skoczyć w głęboką toń.

– Byłem obecny na przyjęciu w Charlottenburgu – odezwał się, starając się, by jego głos zabrzmiał spokojnie i beznamiętnie, tak rzeczowo, jak tylko było to możliwe. – Kilkoro z nich rzuciło mi się w oczy. Ich stan pogarsza się od lat, ale odniosłem wrażenie, że od ostatniego spotkania zmiany następują szybciej.

– Interesujące spostrzeżenie – Ferenc skinął głową, brzmiąc, jakby rozmawiali o jakimś egzotycznym gatunku zwierząt. – Właściwie, pokrywa się z moim własnym – Gdy zauważył, jak Niemcy sam unosi brew w zdumieniu, kontynuował, stukając palcami o blat biurka. – Wiesz dobrze, że w czasie przyjęcia nie bywam w tym teatrze, ale gdzieś pośród naszych znakomitych gości mignęła mi jedna z tych kobiet… Wprawne oko rozpozna więźnia i towarzyszącego mu strażnika, nawet jeśli ów więzień nosi wieczorową sukienkę – dodał z lekkim rozbawieniem.

Ludwig musiał się z tym zgodzić; dla zachowania pozorów personifikacje nosiły się elegancko, a pilnujący ich żołnierze w galowych mundurach wtapiali się w tłumy wysoko postawionych wojskowych, których w ogrodach i salach Charlottenburga nie brakowało.

Niewtajemniczony nigdy by pomyślał, że ci ludzie wcale nie byli ludźmi – świadomi sytuacji wychwytywali ich z łatwością.

Zapadła cisza; bolesna, napięta i pełna wyczekiwania.

– Stąd właśnie moje pytanie – rzucił Niemcy, gdy stało się jasne, że Ferenc sam nie zamierza kontynuować tematu.

– Boisz się tego samego? – zapytał cicho Weigel, wpatrując się bacznie w Ludwiga. Jego tęczówki o ciepłym, orzechowym odcieniu i zmarszczki wokół oczu mogły kojarzyć się z dobrotliwym dziadkiem, ale jego spojrzenie pozostawało ostre i przeszywające duszę na wskroś.

Niemcy, niemile zaskoczony jego słowami, drgnął.

– Spokojnie, mój drogi – dodał führer cieplejszym tonem. – Ty i twój brat jesteście niezwykłymi skarbami tego kraju, ich żyjącymi sercami. Ukryto waszą obecność, owszem, ale to wszystko po to, by uwiarygodnić rząd w ludzkich oczach…

– Oczywiście, zdaję sobie z tego sprawę – Ludwig odkaszlnął, próbując ukryć swoje zmieszanie.

– ...I zarzekam, że nigdy nie spotka was podobny los.

– Podobny… Uwięzienie i kontrola czy… – Ludwig wyprostował się w fotelu, mówiąc już prawie szeptem. – Czy planujesz coś nowego, mein führer?

Drugi raz zadawał to pytanie; jeśli i teraz Ferenc odpowie tak wymijająco… Ludwig wyczuwał, jak niechętnie Weigel dzieli się z nim swoimi słowami; musiał być ostrożny. Wpatrywał się wyczekująco w swojego rozmówcę, cierpliwie czekając.

– Z tego, co przekazano mi lata temu, gdy obejmowałem władzę – odezwał się w końcu Ferenc sucho. – Rozumiem, że twój gatunek… Nigdy nie potrafiliście usiedzieć na miejscu. Byliście sercem narodu, iskrą i zarzewiem buntu, działaliście wielokrotnie na własną rękę, szaleńczo i bez wiedzy swoich przełożonych.

Cóż, to się zgadzało, przynajmniej w większości przypadków.

– Aby utrzymać i ustabilizować imperium, niezbędne były uwięzienie i kontrola tych ludzi… czy nazwanie was ludźmi to afront? – Ludwig potrząsnął przecząco głową; Ferenc kontynuował. – Zdaję sobie sprawę z tego, że obecne warunki są dużo lepsze, niż na początku, ale nie przyniosło to szkody, wręcz przeciwnie. Uspokoili się – Weigel uśmiechnął się dobrotliwie, zupełnie jakby mówił o krnąbrnych szczeniętach, które nauczono posłuszeństwa.

Niemcy pomyślał przelotnie o Polsce, Litwie i własnym bracie i nie mógł się zgodzić z führerem. Owszem, może i Laurinaitis dał sobie spokój po tej żałosnej próbie w Ucianie, ale Polska tylko czekał na odpowiedni moment, by znów rozpętać chaos.

Gilbert, niestety, wcale nie był lepszy.

Widząc, że Ferenc dalej ociąga się z odpowiedzią, Ludwig zmarszczył lekko brwi, ale postanowił nie przerywać wodzowi. Weigel zawsze był oczytanym gadułą, lubującym się w długich, elokwentnych przemowach. Podobno, chociaż na ogół o tym nie mówiono, za młodu parał się literaturą, jednak nikt nie chciał go wydać – najwidoczniej stanowisko wodza narodu przyciągało niespełnionych artystów.

– Przyznam, Ludwigu, że nie myślę o nich zbyt często – Ferenc odchylił się lekko w fotelu. – Ale tam młoda kobieta… Młoda – Uniósł kącik ust. – Patrząc na was, łatwo zapomnieć, ile lat już chodzicie po tym świecie, sam się na tym łapię… Widziałem jej oczy. Wiesz, co w nich zobaczyłem?

Ludwig pokręcił głową, zastanawiając się, którą z czwórki kobiet Ferenc ma na myśli. Żadna z nich nie wyglądała na szczęśliwą, chociaż Ludwig pojawił się w teatrze tylko na chwilę, by spojrzeć na nich z góry, w niemym ostrzeżeniu i przypomnieniu, że powinni znać swoje miejsce.

Działało przez tyle lat, pomyślał zirytowany, dopóki ten pieprzony Łukasiewicz...

– Roztrzaskanie – Ferenc wymówił to słowo powoli, jakby smakował je na języku. Pokiwał głową, zadowolony z doboru. – A gdy zorientowała się, że na nią patrzę, zamieniło się w nienawiść.

Niemcy milczał, czując, że jednym słowem może zaprzepaścić swoją szansę.

– Przyznam, to było ciekawe doświadczenie. Nigdy wcześniej żadna obca osoba nie patrzyła na mnie z taką nienawiścią – Ferenc wydawał się rozbawiony. – Ale nienawiść to groźne uczucie, Ludwigu, a wy z samej swojej natury jesteście groźni. Zleciłem biuru kontroli rozesłanie odpowiednich listów wzywających na komisję lekarską. Chciałbym wiedzieć o ich stanie trochę więcej.

No wreszcie; Ludwig już zaczynał czuć irytację.

– Czy fakt, że Gilbert jest teraz na urlopie, ma z tym związek? – zapytał bez ogródek.

Führer westchnął.

– Nie pozwól, by twojemu bratu sentymenty przesłoniły zdrowy rozsądek – powiedział cicho, z wyraźnym ostrzeżeniem w głosie. – Nie wątpię w jego lojalność, oczywiście – Uśmiechnął się uspokajająco; Ludwigowi nagle skojarzył się ze żmiją gotową do ataku. – Przeszedł porządne pruskie wychowanie i rozkazy traktuje bardzo poważnie.

Chyba znasz innego Gilberta, pomyślał nagle Ludwig. Pruski dryg, surowe wychowanie i święte rozkazy to jedno; szalona, rogata dusza to drugie i Prusy właśnie wyjeżdżał z Berlina, aby… Cholera jasna, Ludwig sam nawet nie wiedział, co ta trójka będzie robić przy hiszpańskiej granicy.

– Wolałeś, by nie wtrącał się w komisję – mruknął kwaśno.

Ferenc nie wydawał się speszony.

– Wolałem – przyznał lekko.

– Wiesz, że mu o tym powiem?

– Oczywiście – Ferenc znowu się uśmiechnął; te wesołe grymasy zaczynały działać Ludwigowi na nerwy bardziej niż jego słowotok. – Nie zamierzam nastawiać rodzeństwa przeciwko sobie, to byłoby czyste draństwo, Ludwigu, ale…

Zimny, niespodziewany dreszcz przeszył plecy Niemiec.

– Pilnuj go, Ludwigu, a jeśli trzeba, przypomnij, że… stare znajomości nie mają już znaczenia. Gilbert ma swoją misję do wypełnienia i ufam, że będzie wypełniał ją tak długo, jak będzie to konieczne.

Aż umrą wszyscy, zrozumiał Ludwig i skinął lekko głową. A więc wie o machlojkach Gilberta, wie o przesuwaniu terminów i innych ustępstwach i wcale mu w pełni nie ufa.

– Jakie wyniki komisji by się satysfakcjonowały? – zapytał spokojnie, jakby chciał poznać jutrzejszą pogodę. Musiał wiedzieć, czy status quo zostanie zachowany, czy to prawda, że rządy z zagranicy biorą ten system za wzór…

– Nie wiem – Ferenc uśmiechnął się do niego wdzięcznie. – Chciałbym po prostu dostać szczegółowe raporty. Odpuszczono to sobie już dawno… Oczywiście nikogo nie winię – Machnął lekceważąco dłonią; obrączka na jego palcu odbiła blask słońca. – Ale uważam, że należy baczniej przypatrywać się ich kondycji, chociażby po to, by móc przewidywać rzeczy takie, jak śmierć tego tam…

– Mówisz o Feliksie Łukasiewiczu? – odgadł Ludwig, ledwo powstrzymując grymas niesmaku. Gdybyś tylko wiedział, Ferenc…

– Nie pomnę personaliów. Biuro było całkowicie nieprzygotowane, a to sprowadziło na nie sporo pracy. Rozumiesz, organizacja pogrzebu, sprzedaż niepotrzebnego mieszkania, całkowita zmiana grafiku wizytacji, wszystko na wczoraj… Przydałoby się nieco przeorganizować ten system, inaczej rozłożyć wydatki…

Wydatki, Ludwig zmarszczył brwi. Nie pomyślał o tym wcześniej, ale faktycznie, obecne bytowanie personifikacji musiało odbijać się na budżecie, a imperium szukało ostatnio oszczędności, czego przykładem była ta nieszczęsna ustawa podatkowa.

– Rozumiem, to generuje koszty – powiedział z zastanowieniem. – Utrzymanie mieszkań, ciągle wytwarzanie nowych dokumentów, rotacje pracowników w biurze i odpowiednio wysoka pensja, by nie wynosili sekretów do domu… Kontrola korespondencji pocztowej i e-postowej również pewnie swoje kosztuje.

– Właśnie, właśnie – Weigel pokiwał głową z zadowoleniem. – Cieszę się, że rozumiesz.

– Od zawsze podziwiałem cię za oszczędność, Ferenc – Ludwig spojrzał w okno ponad ramieniem führera. Popołudniowe słońce kładło się złotem i pomarańczą na Großer Platz, odbijało migotliwie w wodach fontanny Neptuna. – Zamierzasz więc… poczynić jakieś *cięcia*?

– Ludwigu, ja, w przeciwieństwie do człowieka, który stworzył ten kraj, nie jestem masowym mordercą – odparł z Weigel z rozbawieniem.

Niemcy poczuł, jak na niego policzki wkrada się rumieniec; najwidoczniej nie był zbyt subtelny.

– Nic takiego nie powiedziałem, mein führer...

– Nie martw się o nic – Uśmiech Ferenca nie sięgał oczu. – Jakieś zmiany pewnie poczynię, ale nie jestem w stanie nic ci o nich powiedzieć. Nie przed otrzymaniem raportów z komisji i ich analizą.

Eleganckie „odpieprz się już”, ocenił Ludwig i skinął sztywno głową.

– Dziękuję za rozjaśnienie sytuacji – powiedział szczerze. – Jeśli jednak mogę poruszyć jeszcze inną kwestię…

– Mów, Ludwigu, tylko miej na uwadze, że Kathe za moment powinna wrócić. Mam umówioną rozmowę – Führer znacząco spojrzał na sprecher leżący na jednym z regałów.

Niemcy natychmiast zrozumiał, że lada moment będzie musiał opuścić gabinet. Ostatnia szansa, by dowiedzieć się czegoś o ewentualnej współpracy lub konflikcie.

– Czy polityka zagraniczna naszego kraju układa się dobrze? – zapytał, wpatrując się w oczy wodza. – Jestem ciekaw, ostatnio… nie miałem zbyt wiele czasu, by śledzić ją na bieżąco.

– Układa się wręcz doskonale – Ferenc również nie spuszczał z niego wzroku. – Działamy na rzecz poprawy stosunków z Ameryką, w przyszłym tygodniu mam spotkanie z hiszpańskim premierem… Koszmarny w obyciu człowiek, ale myślę, że wyniesiemy sporo z tej współpracy.

– A jak ma się sprawa z Rosją? – zapytał Ludwig, wiedząc, że stąpa po cienkim lodzie... A może nie? Ameryka, Hiszpania i Rosja zawsze zajmowały centralne miejsca w polityce Imperium, nic było niczym dziwnym, że o to pytał.

– Wznowiliśmy śledztwo co do Kurska – wyjaśnił uprzejmie Ferenc. – Wszystko idzie jak po maśle, Ludwigu, właściwie jeszcze nigdy nie mieliśmy tak dobrych stosunków z Moskwą.

Nim Ludwig zdążył otworzyć usta, rozdzwonił się sprecher; führer posłał mu przepraszające spojrzenie i wstał zza biurka, by sięgnąć po urządzenie. Niemcy podążył za nim wzrokiem; książki, segregatory, publikacje i obszerne atlasy geograficzne.

Geografia. Zasoby. Nagle poczuł gwałtowną potrzebę sprawdzenia, co dokładnie leży w ziemi na wschód od linii Wisły.

– Dziękuję za rozwianie moich wątpliwości – powiedział szybko, podnosząc się z fotela, gdy führer wziął do ręki urządzenie. – Nie będę zajmował ci już więcej czasu, do widzenia.

Nie lubił być okłamywany, a jeszcze bardziej nie lubił, gdy Łukasiewicz miał rację.

***

Tuluza – albo Tholosen, jak mówił znak przy wjeździe do miasta i mapa drogowa, którą Taurys studiował od niechcenia, by zająć czymś ręce – okazała się wyjątkowo ładnym miastem; Litwa oderwał oczy od papieru, by móc obserwować otoczenie przez okno samochodu.

Było coś niezwykle urokliwego w klasycystycznych kamieniczkach zbudowanych z cegły o różanym odcieniu; w dzielnicy, w której się znaleźli, ten kolor królował również na chodnikach.

Za kutymi bramami stały samochody, wzdłuż płotów rosły drzewka, dając schronienie przed popołudniowym już słońcem... Gdy wolno przejeżdżali przez wąziutką uliczkę, w oczy Litwy rzucił się piętrowy, niemalże całkowicie obrośnięty zielonym bluszczem domek, kulący się między wyższymi budynkami.

Chociaż architektura zupełnie się nie zgadzała, natychmiast pomyślał o domku w Itteville. Tam bluszcz wziął sobie w posiadanie jedną ścianę, a Taurys tylko udawał, że z nim walczy, tak naprawdę zadowolony z pnączy osłaniających okna sypialni, dających mu złudzenie prywatności.

Miał tam też mały, ogrodzony płotkiem ogródek pełen ziół, które hodował z pasją i troską – ciekawe, czy Nikolai o to dba, czy też wszystko to uschło... Znając go, pewnie to drugie, stwierdził i westchnął ciężko.

Jak tylko wrócą do domu, będzie musiał podlać rutę. Powinien kupić lepszą doniczkę, porządną ziemię, może jakąś odżywkę... Minęło dobrych kilka lat, odkąd przestał zajmować się roślinami, ale nie chciał, by prezent od Feliksa tak szybko obumarł.

Kiedyś zajmowanie się roślinami przynosiło mi sporą radość, pomyślał gorzko, ukradkiem spoglądając na Polskę. Odkąd wjechali do Tholosen, Feliks przestał się odzywać.

Potem relokowali mnie do Berlina, w mieszkaniu nie było balkonu, a mi przestało zależeć…

– To tutaj – powiedział nagle Gilbert, zwalniając i zjeżdżając na chodnik, by przepuścić jadące z naprzeciwka auto.

Litwa natychmiast wyrzucił z głowy wszelkie myśli o swoich dawnych zainteresowaniach i uniósł wzrok z lekką obawą.

Zadbana, nowsza kamienica, przed którą się znaleźli, wysoka na siedem pięter, nie wyróżniała się szczególnie na tle ulicy. Zadbana elewacja skrywała się za żywopłotem i kutą furtką, po której obu stronach rosły niezbyt wysokie drzewa o dużych, skórzastych liściach; Litwa nie znał kompletnie tego gatunku, chociaż kojarzył mu się mgliście z niewielkimi platanami.

– Tutaj? – zapytał cicho Feliks, wysiadając z auta i przystając przy furtce. Położył dłoń na klamce i spoglądał w górę, na trzecie piętro; jego jabłko Adama poruszyło się niespokojnie, gdy przełykał ślinę.

Widząc jego niepewność, Taurys nie był w stanie się powstrzymać; dotknął lekko jego ramienia i gdy Polska zwrócił ku niemu spojrzenie, słabym uniesieniem kącika ust dodał mu otuchy.

– Jest coś, o czym wam nie wspomniałem – rzucił nagle Gilbert, nie obdarzając Feliksa i Taurysa spojrzeniem. Szybkim, marszowym ruchem wyminął ich, otworzył furtkę zamaszyście, sprawiając, że Feliks odruchowo odskoczył, i wkroczył na chodnik. Nie mając innego wyjścia, podążyli za nim.

Prusy niewielkie schodki pokonał dwoma susami; przy drzwiach niemal zderzył się z jakimś mieszkańcem, barczystym mężczyzną prowadzącym na smyczy psa. Zwierzę na widok nieznajomych zaczęło machać szaleńczo ogonem i wyrywać się w ich stronę.

Ani Taurys, ani Feliks nie zdążyli zapytać, co Gilbert ma na myśli; ogromny dog obwąchał kolana Litwy i szczeknął mocnym basem, przez co Feliks automatycznie cofnął się o krok.

– Dobry piesek… – wymamrotał Feliks cicho.

– Przepraszam! – Właściciel spróbował odciągnąć zwierzę. – Rex, nie wolno pana... proszę się nie bać, on...

– Wszystko w porządku – Taurys uśmiechnął się lekko; pies nie zdradzał żadnych przejawów agresji, wręcz przeciwnie, z jego ruchów odczytywał jedynie ciekawość i ekscytację. – Czuje mojego kota, po prostu.

Mężczyzna lekko pokręcił głową i jeszcze raz przeprosił. Gdy zniknął za furtką, Gilbert odprowadził go wzrokiem i lekko zmarszczył brwi, mamrocząc coś pod nosem.

– O co ci chodziło? – zapytał Feliks pozornie spokojnym tonem, chociaż coś w jego oczach migotało w poruszeniu.

Nigdy nie bał się dużych psów, pomyślał nagle Litwa, przypatrując mu się badawczo i zauważając strach w rozszerzonych źrenicach. Zawsze tak bardzo lubił te wszystkie gończe charty i ogary, bawił się z nimi przed polowaniami…

– Zaraz – burknął tymczasem Prusy, naciskając klamkę. Drzwi były otwarte, weszli więc na skromną klatkę schodową i skierowali się do windy o oszklonych drzwiach. Odezwał się dopiero wtedy, gdy winda ruszyła w górę. – Wiecie, że ona się wciąż boi. To w niej siedzi i nie chce wyleźć, cokolwiek by nie mówiła.

Litwa skinął lekko głową, czując nieprzyjemny ucisk w żołądku. Polska lekko pobladł.

– Ale – kontynuował Prusy tym samym, ostrym tonem. – To mieszkanie, nawet jeśli należy do Rzeszy, jest jej twierdzą. Nigdy nie pozwalałem wchodzić chłopcom do środka, przeszukanie robiłem tylko ja, ostatnio Rod... no i ten chuj, Lefevre. Erzsi nie przyjmuje gości. Czuje się bezpieczna, gdy jest sama, tutaj – Winda zatrzymała się cicho na trzecim piętrze, a spojrzenie Gilberta świdrowało ich, sięgając do samego dna duszy. – Jak któryś z was zrobi coś głupiego albo coś głupiego powie... Polen, na ciebie patrzę...

– Przecież wiem – szepnął Feliks pokonanym tonem.

– Po prostu... – Gilbert wciągnął powietrze przez zęby, wychodząc z windy. Urwał, najwidoczniej nie mogąc znaleźć słów.

– Myślę – odezwał się bardzo cicho Taurys, nie patrząc na nikogo. – że rozumiemy, co chcesz powiedzieć.

Nie zniszczyć głupią odzywką poczucia bezpieczeństwa; nie wykonać żadnego gestu, którym Erzsébet mogłaby poczuć się zagrożona.

Taurys domyślał się, że będzie zirytowana tym traktowaniem, ale jednocześnie rozumiał, jak głęboko wewnątrz duszy siedzą lęki, których nie były w stanie odgonić nawet zdrowy rozsądek i zaufanie.

Przed oczami stanęło mu wspomnienie, nagłe jak postrzał; amerykańskie wybrzeże, wieczorny wiatr i rozbawiony własnym żartem Alfred, beztrosko, przyjaźnie poklepujący go po plecach, podczas gdy on zareagował czystą paniką, czując obce ręce na zasklepionych już bliznach.

Feliks przypatrywał mu się dziwnie, z emocjami kłębiącymi się za wiosenną zielenią jego oczu; ktoś, pewnie w czasie wojny albo tego tragicznego powstania, poszczuł go psami, zrozumiał nagle Litwa. Dlatego poczuł się tak nieswojo, ale teraz pewnie myśli już tylko o Erzsébet.

Jej rany były zbyt świeże, nie to, co ich.

Nagle zrozumiał, że ich trójka, stojąca bezradnie pośrodku opustoszałego, szarego korytarza, tuż przed drzwiami do mieszkania, ma dodatkową, trzecią misję.

– Idziemy – Feliks uśmiechnął się w końcu. – Nie każmy jej długo czekać – dodał ciszej, postępując o krok. Delikatnie zapukał w drzwi.

Litwa zerknął na Gilberta; ten zacisnął usta w wąską linię i wpatrywał się w nieruchomą klamkę; w miarę upływu sekund i w jego oczach zaczynał pojawiać się niepokój.

– Powinna... – zaczął Gilbert, ale właśnie w tej chwili klamka drgnęła.

Widząc radosny, chociaż nieco niepewny uśmiech Erzsébet, która cofnęła się, by wpuścić ich do środka, Taurys nagle pomyślał, że to próg ostatniego przyjaznego domu, jaki im pozostał.

***

W kuchni pachniało kwiatami; Taurys mimowolnie się uśmiechnął, widząc smukłe wazony z żółtymi jak słońce różami, nadające utrzymanemu w szarościach wnętrzu ciepłego kolorytu.

Nigdy nie przepadał za tym mdłym, słodkawym zapachem, ale obecność róż wydawała mu się tutaj wskazana; dodawały życia zarówno temu miejscu, jak i mieszkającej tu kobiecie, która właśnie przygotowywała im kolejną kawę.

Blaty, poza wyposażeniem kuchennym i kwiatami, pokryte były stosami maszynopisów, ręcznych notatek i druków; gdy wiedziony ciekawością Feliks wziął je do ręki, Węgry wyjaśniła, że zastali ją przy pracy.

– Nie miałem pojęcia, że tłumaczysz – odezwał się Litwa, patrząc na gruby plik papierów; każda kartka oznaczona była pieczątką ministerstwa kultury i departamentu kultury obcej. Jak głosiła notka przylepiona do pierwszej strony, był to wydruk powieści romantycznej. Nic więcej nie był w stanie się dowiedzieć; z językiem włoskim nigdy nie było mu po drodze.

Cokolwiek to było, uznał, obserwując, jak Feliks ukradkiem podczytuje fragmenty, musiało być na tyle przyzwoite i niegroźne, by przeszło przez imperialne biuro cenzurujące...

– Gilbert mi to kiedyś zasugerował – odparła Erzsébet, obracając głowę przez ramię, by zobaczyć, co tak zaintrygowało przyjaciela.

– Mamy w imperium bardzo niewielu tłumaczy – Prusy oderwał wzrok od okna; na parapecie przysiadła turkawka, której Gilbert przyglądał się z zainteresowaniem przez ostatnie kilka minut. Ptaszek zatrzepotał nakrapianymi skrzydłami i odleciał. – A ludziom trzeba czasem dać coś z zagranicy, dla świętego spokoju – dodał z przekąsem.

– Ta – mruknął Feliks, odrywając oczy od tekstu. Wyglądał na zawiedzionego. – Erzsi, ja to czytałem w oryginale. Wycięli najpikantniejsze sceny.

– Domyśliłam się – Węgry sięgnęła po czajnik, a para otuliła jej dłoń. Nie patrząc na gości, wlała wrzątek do kubków. Zapach kawy rozszedł się w powietrzu, gwałtownie przesłaniając sobą woń mdłą róż. – Mogę pracować w domu, wystarczy, że przyniosę wydawnictwu gotowe tłumaczenie raz na jakiś czas. Bardzo mi to odpowiada.

Gdy położyła przed nim kubek, Taurys uśmiechnął się do niej lekko; odpowiedziała podobnym grymasem.

– Z jakich języków tłumaczysz? – zapytał cicho.

– Głównie z włoskiego – wyjaśniła Erzsébet, siadając przy stole. Zacisnęła palce na swojej filiżance zdobionej kwiatowymi motywami tak mocno, aż pobielały. Taurys był w stanie uchwycić lekko drżący ton jej głosu, chociaż jej oczy pozostawały twarde. – Współczesne powieści, te, które zdobywają listy bestsellerów... Czasem trafi się coś... starego – dodała po chwili, jakby z wahaniem. – Po czesku, słowacku, polsku... Raz... raz trafiło się coś po węgiersku. Podobno... podobno długo szukali kogoś, kto... kto mógłby to przełożyć.

Taurys opuścił głowę, rozumiejąc nagle, co chciała im powiedzieć; chociaż niemieckie wydawnictwa szukały w zgliszczach starego świata czegoś, co mogło zostać odzyskane.

Przez chwilę czuł żal i tęsknotę; tyle litewskiej literatury poszło w ogień... Nikt nawet nie zadał sobie trudu, by przejrzeć książki, zachować to, co było wystarczająco bezpieczne dla nowego porządku.

Przynajmniej inne języki i kultury miały trochę więcej szczęścia, bo Taurys naprawdę wątpił, czy gdziekolwiek znalazły kopie książek, które leżały bezpiecznie na półce w jego salonie. Albo gniły zapomniane w jakichś piwnicach, albo już wszystkie rozwiały się w popiół…

– Robisz coś bardzo ważnego – odezwał się po chwili ciszy, która zapadła po jej słowach; Feliks opuścił głowę, odłożywszy pośpiesznie kartki na swoje miejsce.

Prusy odwrócił wzrok.

Węgry nie odpowiedziała; wpatrywała się w ciemną toń swojej kawy, jakby szukała w niej odpowiedzi. Taurys, nie mogąc znieść milczenia, sam przyłożył kubek do zaciśniętych warg; zapach kawy podrażnił jego nozdrza, przypomniał, że od wczorajszego przedpołudnia nie miał jej w ustach. Wypił duży łyk, chcąc załagodzić powracający ból głowy.

– Wszystko ustalone – odezwała się Węgry po chwili, znów skupiając na sobie uwagę pozostałych. – Jedyną osobą o pełnej swobodzie działania jesteś ty – Spojrzała na Feliksa, a ten pokiwał głową.

– Ty i Licia możecie działać tylko lokalnie – potwierdził Polska, gładząc palcem ucho własnego kubka. – Prusak...

– Ja – Gilbert swoim zwyczajem odchylił się na krześle. – Ja jestem w stanie poruszać się po imperium tak, jak dotychczas. Znajdę parę chwil, by załatwić sprawy w poszczególnych punktach, nim helikopter poleci dalej, ale potencjalne łamanie rozkazów, zniknięcie z radaru biura i rozpętywanie chaosu w całym kraju zostawiamy sobie na później, Erzsi.

Węgry uśmiechnęła się lekko, a potem znów spojrzała na Polskę.

– A więc jedziesz na wschód – stwierdziła dziwnym tonem. – Kiedy?

– Mniej więcej w połowie września. Musimy jeszcze ustalić kilka szczegółów…

– Jeśli o mnie chodzi, jestem gotowa do akcji – Węgry posłała ostre spojrzenie Gilbertowi, podkreślając ostatnie słowo.

Taurys uniósł głowę i zauważył, jak bardzo zbladła; jego dłoń zamarła na kubku.

– Do Lourdes jest na tyle blisko, że mogę jeździć tam często. Dajcie… dajcie mi namiary na tego Grisa, a ja… A Gilbert będzie odbierał ode mnie wszystko, co on mi przekaże.

Litwa skinął głową, dyskretnie przypatrując się Węgierce. Nie omylił się; jej twarz faktycznie nabrała bledszego odcienia, a w oczach coś zaczęło drżeć i się szklić, podczas gdy ona starała się mówić rzeczowo.

– Dopóki nie zostaniesz relokowana, już myślę, jak to... – zaczął Gilbert.

– Nie – Erzsébet wciągnęła powietrze przez zęby. Feliks wyprostował się sztywno na swoim krześle, jakby i on zorientował się, że coś jest nie tak. Węgry zaciskała swoją dłoń

na filiżance tak mocno, jakby jej twarda stałość trzymała ją przy rzeczywistości. – Nie bierz się za to, Gilbert. Zabraniam ci.

– Erzsi! – Prusy syknął cicho. – Oni lada moment…

– Nie przyjdą tu – wydusiła z siebie Węgry. – A ty jesteś na cenzurowanym. Nie ryzykuj. Ja dam sobie radę, ja…

– Erzsébet – odezwał się Litwa bardzo cicho, najłagodniejszym tonem, jaki tylko był w stanie z siebie wydobyć. – Chcesz, żebyśmy... zostawili cię na moment samą? Możemy wyjść w każdej chwili. Tylko powiedz.

Węgry zamrugała gwałtownie, odwróciła od nich głowę. Taurys bardzo nie chciał teraz patrzeć na skamieniałą twarz Feliksa, gdy ten odruchowo wyciągnął dłoń w jej kierunku, ale w porę cofnął gest.

Nasza obecność, pomyślał gorzko Litwa. Siedzimy tu już prawie godzinę, nic dziwnego, że nie czuje się komfortowo.

– Dziękuję – odezwała się po chwili, unosząc głowę, głosem pełnym łez, których jednak nie było w jej spojrzeniu. – Ale... ale zostańcie. Ja nie mogę tak dłużej żyć. Muszę... muszę przestać się bać innych… To... to takie idiotyczne – wydusiła z siebie. – że... że znam was i wam ufam, a...

Nie dokończyła; Prusy, w zaskakującym dla siebie milczeniu, wyciągnął coś z kieszeni spodni.

– Trzymaj – odezwał się sucho. – To od Roda. Chciał ci to podarować osobiście jako spóźniony prezent urodzinowy, ale stchórzył i dał mi do przekazania. Pieprzony paniczyk, znowu zrobił sobie ze mnie posłańca.

Ze zdumieniem spojrzeli na podłużne pudełko, w którym musiało znajdować się wieczne pióro. Węgry wzięła głęboki, drżący oddech i skinęła głową.

– Jeśli śliczne – powiedziała cicho, przetaczając w palcach eleganckie, złocone pióro. – Podziękuję mu jutro… Będzie tutaj, prawda?

– Drugi tydzień zastępstwa – Gilbert pokiwał głową. – Jeszcze, o dziwo, nic nie spieprzył.

– Kochające kuzynostwo – mruknął Feliks, wywracając teatralnie oczyma.

– Mam za wielką rodzinę, by ich wszystkich lubić – prychnął Prusy, znów odchylając się na krześle.

Węgry uniosła kącik ust w bladziutkim uśmieszku; atmosfera jakby nieco zelżała.

– A ty? – zapytała Taurysa. – Jaką ty masz rolę?

– Odpowiadam za komunikację między nami i zagranicą oraz za wszelkie informacje, które zbierzemy – wyjaśnił Litwa, spoglądając na leżące pośrodku stołu sprechery. Obok leżała kartka z numerami, których Erzsébet miała nauczyć się na pamięć. – Jestem w stanie zrobić też coś na miejscu, w Berlinie, poza godzinami mojej pracy. Nie mogę wzbudzać podejrzeń biura, nie teraz.

– Oczywiście... – mruknęła Węgry. – Mówiliście o tym służbiście... Był tu, sukinsyn...

– Nie przypominaj mi – burknął Gilbert z wyraźną odrazą w głosie. – Ja musiałem bujać się z tym typkiem przez tydzień. Mało brakowało, a udusiłbym go własnymi rękami.

– Jesteś pewny, że nie stanowili zagrożenia? – Litwa zwrócił się do Prus.

– To malutka płoteczka – prychnął Gilbert. – Chce mnie po prostu wygryźć, bo nie wie, kim jestem, a jemu się wydaje, że przepisy są największą świętością. W końcu da sobie spokój, jak zobaczy, że nic nie ugra. To nie Lefevre mnie teraz martwi.

– Komisja – Polska założył ręce na piersi. – Erzsi, Prusak może… – zaczął z głosem pełnym wątpliwości, ale kobieta pokręciła głową.

– W to też zakazuję wam ingerować – powiedziała, brzmiąc, jakby coś trzymało ją za gardło. – Zbyt dużo podejrzanych akcji w krótkim czasie…

– Ale…

– Nie ma żadnego „ale" – Węgry spiorunowała ich spojrzeniem; Prusy syknął przez zęby, a Feliks opuścił ramiona. Zaraz potem jej głos złagodniał. – Zróbcie to dla mnie, chłopcy. To tylko… wizyta u lekarza. Obejrzą… obejrzą mnie i napiszą raport. Wrócę do domu i będzie po wszystkim.

Brzmiała, jakby rozpaczliwie próbowała przekonać samą siebie; Taurys skinął głową, akceptując jej decyzję. Po krótkiej chwili, wymieniwszy spojrzenia, Polska i Prusy poszli w jego ślady.

– Wiem, że chcecie mnie chronić, chłopcy – szepnęła Węgry bardzo cicho, unosząc oczy. Uśmiechnęła się do nich ciepło. – I jestem wam bardzo wdzięczna, ale ja… ja muszę zacząć żyć normalnie.

Zapadła ciężka cisza; normalnie, pomyślał Litwa. Co to w ogóle znaczy dla ich gatunku, żyć normalnie?

– Będziemy w kontakcie – powiedział cicho Feliks. – Dzwoń. Sprechery są bezpieczne – Gdy Węgry przytaknęła, uśmiechnął się bez wesołości i lekkim szarpnięciem głowy wskazał korytarz. – Mogę cię prosić, Erzsi? Na minutkę.

Erzsébet uśmiechnęła się z wyraźnym wysiłkiem i uniosła się z krzesła; Gilbert przesunął się, by ją przepuścić.

– Jest uparta bardziej niż Polen – mruknął pod nosem. – Dobrali się jak w korcu maku…

Litwa skierował wzrok na wazon pełen kwiatów; ich złote płatki przypominały mu o pozostawionej w domu rucie.

– Podobieństwa się podobno przyciągają – odezwał się cicho, zerkając na dwójkę, która właśnie opuściła kuchnię.

Feliks, uważając, by jej nie dotknąć w wąskim korytarzu, mówił do Erzsébet cicho, trzymając w dłoniach czarny, znajomy kształt.

Nie chciał podsłuchiwać; smutny, ale pełen zaciętości szept Polski, podającego Węgrom colta i naboje, i tak dotarł do jego uszu.

– Nie pozwolę, by którykolwiek z moich przyjaciół był jeszcze kiedykolwiek bezbronny. Wiesz, jak tego używać, Erzsi.

Po plecach Taurysa przeszedł dreszcz; sięgnął do kubka i wypił pozostałości swojej kawy jednym dużym łykiem.

– Nie gorzej niż przeciwieństwa.

Słysząc ten ironiczny komentarz, Litwa natychmiast wrócił wzrokiem do Gilberta. Ten właśnie wstawał od stołu, opierając dłonie o blat. Na jego twarzy pojawiła się

nieprzenikniona maska, podkreślając podobieństwo jego rysów do twarzy młodszego brata.

– Widzimy się rano przy aucie, turkaweczki. Ja idę się urżnąć.

***

Hotelowa łazienka utrzymana była w przyjemnej czystości, podobnie jak cały przybytek; Taurys bez większych obaw zdjął buty i chodził boso po chłodnych płytkach podłogi. Z ulgą wziął prysznic i przebrał się w zapasowe ubrania, w myślach szacując czas.

Od rozpoczęcia wyjazdu minęła już doba; planowali wyjechać z Tuluzy o czwartej rano, by wrócić do Berlina na dwudziestą drugą. W ten sposób, uznał Litwa, sięgając po grzebień, przekroczyłby umówioną granicę czasu podróży, której nie musiał meldować w biurze, o zaledwie kilka godzin.

Mogli, co prawda, zarzucić pomysł noclegu i jechać tak, jak wcześniej, zmieniając się co parę godzin, ale Taurys nie ufałby sobie i szybkości swoich reakcji, gdyby miał zasiąść za kółkiem od razu po opuszczeniu mieszkania Erzsébet. Zdecydowanie zbyt długo nie jeździł na długie dystanse – trasa w pierwszą stronę dała mu w kość.

Feliks i Gilbert też zasługiwali na odpoczynek inny niż niewygodny sen na tyłach auta, a biorąc pod uwagę, że oficjalnie mieszkał sam i na ogół nie utrzymywał kontaktów z sąsiadami, nikt nie był w stanie potwierdzić, kiedy dokładnie wyjechał...

Zerknął w lustro dość niechętnie, ale oświetlenie w hotelowej łazience musiało być lepsze niż w jego własnej, bo jego karnacja wydała mu się nieco mniej szara. Pociemniałe od wody włosy, opadające bez ładu i składu na ramiona, też jakby wyglądały trochę lepiej; z ciekawością zerknął na dozownik szamponu przymocowany do ściany kabiny prysznicowej.

Potem przeniósł wzrok na parapet.

Tam, pozostawione przypadkiem przez innego mieszkańca, leżały przybory toaletowe, których Taurys nie zamierzał dotykać – nie należały w końcu do niego. Pośród kremów i kosmetyków leżała zgrabna buteleczka perfum, a ich woń o wyraźnej, jabłkowej nucie unosiła się w pomieszczeniu przez cały czas.

Taurys, z przyzwyczajenia, nosił do pracy jakiś zapach, który kiedyś kupiła mu Annika, ale teraz wpadło mu do głowy, że może powinien wybrać się do drogerii. Podobał mu się ten zapach; kojarzył z rozgrzanym słońcem, wiejskim sadem i słodyczą owoców na wargach.

I szampon też pachniał ładnie; lasem.

– Niech cię – wyszeptał, gdy zdał sobie sprawę, dlaczego o tym pomyślał; rumieniec pojawił się na jego policzkach i Taurys był pewny, że to wcale nie wina gorącego jak diabli prysznica, który właśnie wziął, mimo upału za oknem. – Najpierw garderoba, a teraz...

I jak mógł nie mówić, że Feliks Łukasiewicz nie wywracał mu życia do góry nogami, skoro właśnie zastanawiał się nad kupnem lepszych perfum i może zadbaniem o siebie nieco bardziej?

Zwłaszcza, że była niedziela, mieli kilka godzin wolnego i Taurysowi, co wprawiało go w niezwykłe zakłopotanie, coraz trudniej było nie myśleć o tym wieczorze jak o...

Nie, to nie jest randka, powiedział sobie stanowczo, ostatni raz przeciągając grzebieniem po włosach. Z lustra spojrzało na niego własne skołowane odbicie. Idziecie się przejść do parku obok i coś zjeść... we dwóch. Tak jak ostatniej niedzieli, spędzić czas we dwóch i nie myśleć o...

Cholera jasna, nawet Prusy, z jego subtelnością rozpędzonego czołgu, wiedział, że to randka i bawił się doskonale ich kosztem, rzucając niewybredne aluzje o gołąbeczkach, turkaweczkach i innych gatunkach ptasiego tałałajstwa.

Litwa zobaczył, jak czerwieni się jeszcze mocniej i odwrócił wzrok od lustra; na jego wargach zatańczył nieśmiały uśmiech.

Jeśli Feliks będzie chciał nazwać to randką, będzie to randka, postanowił, chociaż brzmienie tego słowa wydawało mu się dziwne, obce. Jakby to było po...?

Zdał sobie sprawę, że stoi nieruchomo pośrodku łazienki, przymykając oczy. Rzadko używał tego słowa, nawet we starym świecie… Czy Alfred kiedyś go o to nie pytał?

Zacisnął powieki; zapach morskiej bryzy i hałas plaży, Ameryka zasypujący go pytaniami na temat starej Europy, jego kraju, jego języka i jego przeszłości. Łatwiej było skojarzyć słowa ze wspomnieniami, niż szukać ich w odmętach własnej głowy, zwłaszcza, że dzisiaj często wspominał swój pobyt w Nowym Świecie.

Tym razem na pewno nie spyta Gilberta, Prusy miałby używanie przez najbliższy miesiąc...

– Pasimatymas – wyszeptał Taurys, a potem uśmiechnął się lekko i powtórzył słowo kilka razy, smakując jego brzmienie i poprawiając swój akcent.

Potem, zmieszany, potrząsnął głową; nie czas na to, miał jeszcze kilka rzeczy do zrobienia.

Założył buty, złapał za wilgotne ręczniki oraz swoje własne przybory i wyszedł z łazienki. Przemierzył pokryty dywanem korytarz, a gdy otwierał kluczem drzwi do swojego pokoju, zauważył, jak z łazienki wyślizguje się jakiś obcy mężczyzna, trzymając kurczowo kosmetyczkę. Taurys uśmiechnął się kącikiem ust i pchnął drzwi.

W pokoju panował lekki zaduch; Litwa odłożył utensylia do bagażu, rozwiesił ręcznik na kaloryferze, a potem otworzył okno.

Przez krótką chwilę chłonął wzrokiem widok; po drugiej stronie ulicy pełnej budynków z czerwonawej cegły, za kutym parkanem, rozpościerał się niewielki skwer o okrągłym kształcie, stanowiący część pobliskiego parku miejskiego. Za koronami drzew Litwa mógł dostrzec zarys urokliwego, klasycystycznego pałacyku.

Jeśli wierzyć ulotkom, które leżały luzem na stoliku, obecnie należał do armii, chociaż bywał otwarty dla zwiedzających – niestety, wyglądało na to, że nie zdążą go obejrzeć przed zamknięciem.

Będzie musiał wystarczyć im park, potem może pójdą coś zjeść… Ale najpierw praca.

A propos pracy, wrzesień zbliżał się wielkimi krokami i musiał w końcu pomyśleć o szkole. Zajrzeć na stronę netzwerkową ministerstwa i placówki, zanotował sobie w myślach, wyciągając z bagażu dokumenty.

Wątpił, czy zaszły jakieś zmiany w programie nauczania muzyki, ale musiał być na bieżąco. Do tego, będzie musiał poświęcić parę wieczorów na przejrzenie konspektów lekcji, w szczególności dla młodszych roczników… Może będzie trzeba napisać coś nowego, a już na pewno Taurys będzie musiał odświeżyć sobie nuty tych utworów, których nie grał poza lekcjami...

Uniósł kącik warg w gorzkim uśmiechu; w końcu, Rzesza musiała dbać o to, by każdy obywatel znał jej hymn, prawda?

Odkąd uczył, lekcje dla szkoły ponadpodstawowej zawsze wyglądały niemalże tak samo; gdy wystraszeni zmianą placówki dwunastolatkowie przekraczali próg jego klasy, spokojnie wprowadzał ich do muzyki klasyków, oczywiście tylko tych, o których Rzesza pozwalała pamiętać. Kolejne lata obejmowały dalsze wieki i dziesięciolecia, a dyrektor jego szkoły zawsze chciał, by Taurys kładł nacisk na muzykę lat czterdziestych i pięćdziesiątych, wzniosłą, pełną wezwań do szlachetnej walki i zaszytych nut nacjonalizmu, muzykę nowego świata.

Gdy mógł, przemycał coś jeszcze, drobiazgi ze starego świata, często nie podając autorów, ale wiedział, że świata nie zmieni – w wieku lat dziewiętnastu młody człowiek opuszczał jego klasę, posiadając nie tylko teoretyczną wiedzę, ale umiejąc również zagrać Auferstanden aus Ruinen i kilku innych ważnych politycznie utworów.

Taurys nigdy nikogo nie zmuszał do gry, chyba że musiał wystawić oceny z praktycznej części przedmiotu; czasem wychwytywał zaciekawione oczy i palce chętne do tańca na klawiszach i wówczas cicho zachęcał do ćwiczeń, niejednokrotnie zostając dla tych młodych po godzinach.

Ciekawe, co u Uschi, pomyślał nagle, a jego dłonie, porządkujące notatki, znieruchomiały. Poczuł, że powinien zacząć baczniej obserwować to dziecko; nie podobał mu się jej ojciec, miał coś nieprzyjemnie lodowatego w oczach, co podświadomie kazało trzymać się Taurysowi z daleka. Ale co ja mogę...

Litwa zerknął na notatki. Zajmij się planem, powiedział sobie, sięgając po długopis. Są dwie rzeczy, które musisz zrobić przed wyjściem – spojrzał na zegarek na ścianie, wskazujący piątą po południu i skinął do siebie głową. Zacznijmy od prostszej… Zawiesił długopis nad czystą kartką, zastanawiając się nad tym, co powinien napisać.

Póki biuro miało w posiadaniu zapasowy klucz, istniało nikłe ryzyko, że po niego sięgną. Chociaż mieszkanie nie należało do niego, miał obowiązek dbać o wszelkie naprawy i sprawy z nim związane – Litwa wiedział, że o ile malowanie ścian mógł robić do woli, tak ingerencję w zamki musiał zgłosić.

Ja, Taurys Lauriaitis, zamieszkały przy Viktoriastraße 49, numer karty obywatela 717103110/M, informuję, że w obecnie powierzonym mi mieszkaniu pod adresem wyżej wymienionym wymieniłem zamek w drzwiach wejściowych. Zmiana umotywowana jest

uszkodzeniem dotychczasowego zamka przy próbie włamania. Proszę o przekazanie tej informacji odpowiedniemu działowi. Z poważaniem...

Taurys trzy razy upewnił się, że poza błędem w nazwisku – ten pomysł podsunęła mu szkoła – w jego numerze identyfikacyjnym jest pomyłka.

Tyle wystarczy, stwierdził, czytając krótką notkę, by Urząd Miejski natychmiast odrzucił wniosek i przysłał mu odpowiednie zawiadomienie. W urzędach zawsze był za wielki bałagan i za mało rąk do pracy, by ktoś poświęcił błędnemu wnioskowi więcej niż jedną myśl. Najwidoczniej biurokratyczny chaos był wpisany w istnienie pięciusetmilionowego państwa...

Uśmiechnął się do swoich myśli, gdy zdał sobie sprawę, jak bardzo niegdyś próbował go opanować, biegając z naręczem papierów po pokojach, nim w końcu zdał sobie sprawę, że jako podrzędny urzędnik nie jest w stanie niczego zmienić.

– Zawsze kazali nam pisać do urzędu, nie bezpośrednio do biura – mruknął do siebie, próbując przypomnieć sobie adres. Bezskutecznie; będzie poszukać starych kopert po powrocie. – Więc zostanie odrzucony, nim dojdzie do odpowiednich ludzi, co nam kupi trochę czasu... Mam nadzieję.

O kwestię zaginionej odpowiedzi miał zadbać Feliks, a więc swoją część roboty Taurys już wykonał – teraz tylko przepisać to na czysto. Postanawiając zająć się tym w domu, Litwa westchnął lekko i sięgnął po notatki.

Czas przekazać informacje, pomyślał, kartkując dokumenty, rozczytując szyfry i układając w myślach raport. Ma być krótko i zwięźle, Gris nie może zbyt długo czaić się pod hiszpańską granicą z krótkofalówką…

Zmusił się do myślenia o formie wiadomości, a nie jej treści, podczas gdy czytał kolejne zaszyfrowane bolesne spostrzeżenia na temat stanu personifikacji. Bez emocji. Potraktuj to jak telegraf...

Długopisem zaczął niespiesznie stawiać kropki i kreski na czystej kartce; gdy skończył formułować wiadomość, w pokoju było już prawie ciemno, więc wstał i włączył światło.

Potem, z mocno bijącym sercem, Litwa opadł z powrotem na krzesło, wyjął z kieszeni sprecher i wybrał numer. Czekając na połączenie, Taurys zwilżył usta, przesunąwszy po nich językiem; raz, drugi, trzeci.

Przed oczami znów stanęły mu litewskie lasy – w nozdrzach poczuł woń ziemi, drzew i grzybów – a następnie odbudowane Kowno, w którym szukał swojego Łabędzia.

Oparłszy łokieć o blat, przysunął sprecher do warg. Krótki dźwięk dobiegający z głośnika urządzenia dał mu do zrozumienia, że kontakt został nawiązany.

Długi, cichy gwizd. Krótki. Długi i znów krótki. Litwa wziął głębszy oddech i po krótkiej ciszy, wpatrując się w znaki na papierze, zaczął przemieniać je w dźwięk za pomocą własnych ust.

Kilka minut później wiadomość została nadana; w pokoju zapadła cisza, a Litwa, czując suchość w ustach, odetchnął z ulgą. Gotowe.

Starając się wyrzucić całą sprawę z umysłu – w końcu była niedziela – odłożył dokumenty do torby, usiadł na łóżku, odetchnął kilka razy i skupił się na własnym

oddechu. Raz, dwa... Vienas, du, trys... I jeszcze raz, vienas, du, trys, keturi... Colt ciążył mu w kieszeni.

Nie jesteś bezbronny, Lit... Lietuva. Cokolwiek się wydarzy, starał się przekonać samego siebie, dasz sobie radę. Nie jesteś w tym sam.

Przed oczami stanęło mu zdeterminowane spojrzenie Erzsébet, niemalże usłyszał niecierpliwe stukanie palców Gilberta o stół. Wzrok Feliksa był pewny, a w źrenicach tańczyły znajome, podekscytowane iskierki.

Unosząc powieki, mimowolnie się uśmiechnął. Z hotelu wyszedł z zaskakująco lekkim sercem; ciepły, przyjemny wiaterek uderzył w niego, gdy stanął pod kamieniczką, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu Feliksa; ustalili, że będzie kręcił się w pobliżu parku. Przechodząca kobieta obdarzyła jego koszulę – jedną z tych, które kupił w KaDeWe, tą śliwkową, lepszego gatunku – łaskawym spojrzeniem i ku jego zdumieniu, uśmiechnęła się ku niemu znacząco.

– Spóźnia się na randkę? – zachichotała i zniknęła za rogiem, nim zdążył się odezwać.

Westchnął ciężko, czując rumieńce zmieszania powracające na jego policzki. Ruszył w kierunku najbliższego przejścia dla pieszych, widząc kątem oka kładkę zawieszoną ponad jezdnią jakieś sto metrów dalej, prowadzącą do większej części parku. Skinął głową w podziękowaniu kierowcy, który przepuścił do na pasach, a potem prześlizgnął się między skrzydłami kutej bramy. Pod stopami zaszemrały mu małe kamyczki.

Pasimatymas, oczywiście; szybkie zerknięcie na zegarek upewniło Taurysa, że była już prawie dziesiąta wieczorem. Park pogrążył się w półmroku rozświetlanym złotym, ciepłym blaskiem lamp. Ludzie spacerowali spokojnie dwójkami, rozmawiając ze sobą szeptem, a w głębi skwerku szumiała fontanna. Iglaste drzewa zamiatały ciężkimi gałęziami po ziemi, a po niewzruszonych twarzach kamiennych rzeźb tańczyły ich cienie i światło odbite od księżyca; trzecia kwadra ledwie była widoczna na rozjaśnionym, miejskim niebie.

Chociaż z ulicy wciąż dochodził szum samochodów, Taurys z miejsca poczuł, jak ogarnia go spokój. Usiadł na ławce i wciągnął w płuca zapach igliwia.

– Cześć, Licia – Feliks usiadł obok niego kilka minut później. – Jak hotel, znośny? – spytał, szarpnięciem głowy wskazując ulicę.

– Całkiem w porządku, a twój?

Polska roześmiał się i wyciągnął przed siebie nogi.

– Trafili mi się sąsiedzi z piekła rodem – odparł, a jego oczy błyszczały. – Trzy razy namawiali mnie na to, bym dołączył do imprezy.

Litwa nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Nigdy nie trzeba było cię namawiać – zauważył z rozbawieniem.

– Gdyby okoliczności były inne... – Feliks rozłożył ręce, a potem westchnął; wesołość zniknęła z jego twarzy. – Wiesz, Licia, boję się o nią – szepnął cicho, opuszczając głowę.

– Wiem – Taurys westchnął. – Ale myślę... – zawahał się, wracając do dzisiejszego spotkania. Węgry pożegnała ich z uśmiechem, wciąż jednak trzymała się na dystans,

a w jej oczach można było dostrzec mimowolną ulgę. – Że… że jedyny sposób, w jaki możemy jej pomóc, to traktować ją normalnie, tak jak prosiła.

– Myślisz? – Feliks opuścił głowę. – Ta pieprzona komisja… Niby nic wielkiego, ale…

Na samą myśl Litwie zrobiło się niedobrze, ale nic odpowiedział.

– Wiem, Licia – jęknął nagle Polska, brzmiąc całkowicie bezradnie. – Znam ją. Nienawidzi, gdy ktoś traktuje ją, jakby była szklaną figurką, zawsze taka była, ale… ale to moja przyjaciółka i jak tylko pomyślę… To boli, Licia, to cholernie boli, gdy się wie… wie, że ktoś skrzywdził kogoś, na kim ci zależy. Ona, twoje blizny…

Taurys zacisnął mocno palce na krawędzi ławki.

– Jakoś… jakoś sobie z tym poradziłem. Przez większość czasu nawet o nich nie myślę – przyznał. – Dla Erzsébet wszystko jest jeszcze świeże, ale mam nadzieję, że… że w miarę upływu czasu uda się jej… przezwyciężyć to i wrócić do równowagi. A teraz… teraz ma z nami stały kontakt, nie jest już sama. Mam nadzieję, że… że będzie lepiej.

– Ja też… Pobyt w Stanach ci pomógł? – zapytał cicho Feliks. – Alfred zawsze ciepło o tobie mówił.

Po raz kolejny tego dnia Taurys sięgnął pamięcią do tamtych miesięcy. Uśmiechnął się smutno, widząc przed oczami roześmianą twarz Ameryki i zaskakująco nieśmiałe pytanie kryjące się w głębi jego radosnych oczu.

– Spędziłem z nim trochę czasu, to miły chłopak – odparł spokojnie, wpatrując się w parkową alejkę. Ameryka miał w sobie energię, której im, krajom starej Europy, dawno już zabrakło, siłę i chęć do działania. Będąc obok, Litwa niejako z niego ją czerpał, entuzjazm Alfreda dotyczący wszystkiego wokół pomagał mu dojść do ładu z samym sobą. – Przyjaciel u boku, zmiana otoczenia, nowe obowiązki… To chyba było to.

Poczuł, jak jego palce, bielejące od uścisku, rozplątują inne; Feliks przysunął się ku niemu. Rumieniąc się gwałtownie, Taurys wciągnął powietrze, a jego nozdrza otulił znajomy, jabłkowy zapach.

Zbiegi okoliczności naprawdę bywały czasem zadziwiające – Polska musiał nawiedzić swoją osobą drogerię i wybrać akurat ten zapach, który tak Litwie się dzisiaj spodobał; Taurys jęknął w myślach, bo wyglądało na to, że los uwielbiał sobie robić z niego żarty.

– To co? – zapytał cicho Feliks. – Po drugiej stronie tego parku tam – Wskazał niedbałym ruchem drugiej dłoni kładkę nad ulicą. – Jest całkiem nieźle wyglądająca restauracja. Co ty na to? Bo ja jestem głodny jak wilk.

Litwa uśmiechnął się szeroko. Oczy Polski jaśniały jak szmaragdy Korony Chrobrego; w Taurysa nagle uderzyło stare wspomnienie znacznie młodszego Feliksa, ze śmiechem przymierzającego ciężkie insygnium pośrodku wawelskiego skarbca, w zamku, który już nie istniał, a na którego ruinach zakwitły nowoczesne budynki Neukrakau.

– Idźmy – szepnął. – Ale następnym razem, gdy będziemy w Tuluzie, zabierzmy Erzsébet ze sobą.

Feliks zachichotał.

– Koniecznie.

Ruszyli spokojnym krokiem przez park; niedzielny wieczór pachniał igliwiem.

Rozdział XX: Rozumiem, w Nieśmiertelność wierzyłem

Podróż do Berlina była o wiele głośniejsza niż ta w pierwszą stronę. Do monotonnego, nieustającego szumu powietrza za szybami starego auta dołączył wcale nie cichszy odgłos sunących po asfalcie opon dziesiątek, setek, może tysięcy innych samochodów; w dzień roboczy drogi Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej były znacznie bardziej zatłoczone.

Tym razem pokonywanie kolejnych kilometrów umilała im muzyka, bo Taurys przed wyjazdem podpytał miłą recepcjonistkę swojego hotelu o częstotliwości. Z uśmiechem odszukała dla niego te informacje w Netzwerku. Zapisane schludnym pismem cyfry czerniły się na karteczce wystającej z samochodowego schowka – gdy tylko radio zaczynało trzeszczeć, Taurys sięgał do pokrętła i, zerkając na papier, korygował stacje. Trochę pluł sobie w brodę, że nie pomyślał o tym w Berlinie; wystarczyłoby przejrzeć strony ogólnokrajowych rozgłośni radiowych.

Nieunikniony hałas przepełnionych autostrad i muzyka nie były jednak jedynymi zmianami; odkąd tylko wyjechali z Tholosen – albo Tuluzy, jak uparcie poprawiał Feliks, najwidoczniej nie żywiąc sympatii do niemieckiej nazwy – we wnętrzu samochodu co chwila wybuchały pełne pasji pyskówki polsko-pruskie.

Gilbert najwidoczniej czuł się urażony komentarzem rzuconym w mieszkaniu Grisa, a Polska tylko czekał sposobności, by spuścić trochę pary.

Taurys wiedział, że to było nieuniknione, ale zdążył już zatęsknić za nocną, senną podróżą, gdy jego dwaj współtowarzysze nie warczeli na siebie co chwila.

– Pamiętaj, że to ty przede mną uklęknąłeś! – Feliks triumfalnie uderzył dłonią o tył siedzenia pasażera, dokładnie tam, gdzie znajdował się środek pleców drugiego mężczyzny.

Grymas Prus, który Taurys zauważył kątem oka, oznaczał, że cios dosięgł celu; Gilbert odsunął się nieco od siedzenia, sycząc pod nosem przekleństwo.

Na razie prowadził Taurys, później to Feliks miał zająć się jazdą. Jeśli chodziło o Prusy, Litwa zamierzał oddać mu kierownicę trochę później; kto wie, co i ile pił w nocy, nawet jeśli wyglądał na trzeźwego i całkiem rześkiego.

Polska nie odpuszczał:

– Złożyłeś hołd, któryście tak bezczelnie wymazali z historii! A potem...!

– A potem były zabory! – wpadł mu w słowo Prusy, przeskakując w ich werbalnej potyczce parę stuleci do przodu. Obrócił się w fotelu i wyszczerzył szeroko. – Punkt dla mnie.

Litwa dawno już zrezygnował z prób interwencji i starał się skupić jedynie na drodze, ale po tym punkcie zwrotnym poczuł się zmuszony sprawdzić reakcję Feliksa. Zabory zawsze były drażliwym tematem dla Polski; w środkowym lusterku Taurys zauważył, jak Feliks zakłada ręce na piersi i naburmuszony osuwa się po tylnej kanapie, gwałtownie milknąc.

Litwa otworzył usta, ale szybko je zamknął, nie wiedząc, co mógłby powiedzieć, jak przerwać ciszę, która nagle zapadła w samochodzie. Powtórka z wiedzy historycznej,

pomyślał wisielczo Taurys, zwalniając nieco. Wstyd było mu się do tego przyznać, ale niektórych szczegółów, które ta dwójka wywlekła na światło dzienne, nawet nie pamiętał.

Obawiał się, że jakimś niejasnym komentarzem mógłby tylko dodać oliwy do ognia i wywołać wybuch, postanowił więc bezsilnie milczeć. Wchodzenie między Polskę i Prusy w czasie bitwy – nawet i słownej – często kończyło się oberwaniem rykoszetem.

– Nigdy tego tobie i Brandenburgii nie wybaczę – burknął w końcu Feliks.

– Och, nie zachowuj się tak, jakby którykolwiek z naszego gatunku miał kiedykolwiek decydujące zdanie w takich sprawach – prychnął Gilbert, zakładając dłonie za głowę. Uniósł nieco nogi, jakby chciał wyłożyć je na deskę rozdzielczą, ale zauważywszy ukradkowe spojrzenie Litwy znów usiadł prosto. – Ale owszem, przekażę Friedo twoje serdeczne pozdrowienia zza grobu, jak go tylko spotkam na jakimś rodzinnym spędzie.

Uznawszy, że ryzyko wybuchnięcia awantury przeminęło, Taurys skupił wzrok z powrotem na drodze. Doskonale rozumiał urazę Feliksa, sam też ją niegdyś czuł – niegdyś; wszystko związane z rozbiorami Rzeczpospolitej już lata temu pokrył kurz akceptacji i zapomnienia – ale Gilbert też miał sporo racji co do roli ich gatunku.

Spędzili wiele lat na polach bitew, a jeszcze więcej na balach i wspólnych obiadach. Siedzieli obok siebie, ściskając serdecznie swoje dłonie lub wręcz przeciwnie, trzymając się na dystans, by potwierdzić lub zaprzeczyć politycznym powiązaniom, posłusznie realizując politykę swoich ówczesnych władców.

Nigdy na żadnym z traktatów zmieniającym porządek w starym, europejskim świecie nie pojawiły się ich własne imiona – nigdy nie mieli tego przywileju. To nie oni podejmowali decyzje.

Wydawało się, że Polska też sobie to uświadomił; do uszu Litwy dobiegło jego ciche westchnienie.

– Rodzinne spędy, co? – mruknął Feliks z przekąsem, ale Taurys wiedział, że pod tą pozorną niechęcią kryje się zazdrość; Polska nigdy nie był związany z którymkolwiek ze swoich krewnych tak mocno, jak niemieckie personifikacje ze sobą nawzajem, cokolwiek by o tym nie mówili. – Nie tęsknię wcale za tą waszą bandą emerytów, ale jak już musisz kogoś pozdrawiać, niech to będzie Saksonia. Jest miły. – Ton Polski nie pozostawiał wątpliwości, że była to rzadka cecha w tej rodzinie.

– O, tego gościa całkiem lubię – Prusy wyraźnie się ożywił. – Opowiadał mi kiedyś o tym, jak wygłaszał ci namiętnie peany na cześć ziemniaków. To musiało być wyjątkowo fascynujące, skoro pamiętasz to do dzisiaj.

Nim Taurys odwrócił wzrok z powodu zażenowania, które ogarnęło go po tym komentarzu, zauważył w tafli lusterka, jak policzki Feliksa oblewają się ciemną purpurą.

Tę sytuację Litwa pamiętał wyjątkowo jasno; ogromną niechęć Feliksa do wprowadzenia ziemniaków do swojej diety i zakrawające o obsesję nalegania Saksonii, by Polska jednak spróbował.

Ludwig i Gilbert bywali uparci, ale to Christian był nieubłagany; w porównaniu do starszego brata Taurys mógł nazwać ich wyjątkowo ustępliwymi.

– Nie przypominaj mi – wymamrotał Feliks żałośnie. – Cofam to o byciu miłym. Myślałem, że nigdy już nie złapię powietrza…

– Nie jego wina, że wrzeszczałeś, gdy próbował...

– Czy wy wszyscy musicie być tak względem siebie tak lojalni?! Jak psy!

– Przestań używać tych wspaniałych stworzeń jako obelgi, Polen!

Kłótnia rozgorzała na nowo; Taurys ciężko westchnął. Od uderzenia głową w kierownicę powstrzymały go dwie rzeczy; fakt, że znajdowali się pośrodku ruchliwej autostrady, i tępy ból z tyłu głowy.

Ponieważ Litwa zdążył dzisiejszego ranka wypić lichą, kwaśną kawę z hotelowej kuchni, najwyraźniej to pozostała dwójka była powodem, dla którego właśnie pękała mu czaszka.

Wspomnienie Christiana przywiodło na wierzch jego umysłu dawno zapomniane, cierpkie uczucie; pokręcił głową, jakby chciał je z siebie strząsnąć.

Niewierne łabędzie, zaświergotał złośliwy głosik w jego głowie; zirytowany własnymi myślami, które nagle zachciały zawieść go na manowce, Taurys zacisnął zęby.

Nie, powiedział samochodom widocznym w bocznym lusterku, mając przed oczami twarz mężczyzny o długich, złotych włosach spiętych jedwabną wstążką; cień jego rysów znalazłby w twarzach Gilberta i Ludwiga, gdyby zechciał przyjrzeć się im dokładniej. Nie miałem prawa tego czuć.

Saksonia pochylony nad mapami kolejnych wypraw w swojej sprawie; wpatrzony w Christiana jak w obrazek, beztroski Feliks, zachowujący się chwilami jak pijany ślepiec; on sam, wściekle mnący przekleństwa w ustach, krążący po pięknych pokojach napędzany głębokim gniewem i płonącą niesprawiedliwością; byli Rzeczpospolitą Obojga Narodów, jak więc śmieli nazywać to wszystko unią polsko-saską?

Po ich nocnej rozmowie Feliks sądził, że kotłujący się wówczas gniew Taurysa dotyczył spraw politycznych. I dotyczył; w większości. Taurys był zbyt zawstydzony, by przyznać się, co jeszcze go wówczas gryzło.

Litwa westchnął ciężko, zaskarbiając sobie zdziwione spojrzenie Prus. Wyjątkowo cieszyło go, że Polska siedzi obecnie na tyłach auta.

Nie miał prawa być zazdrosny, zwłaszcza, że nigdy nie widział, by Saksonia byłby chociaż odrobinę zainteresowany przeniesieniem swojej znajomości z Feliksem na inny, prywatniejszy poziom. On i Feliks od dawna już trzymali się na dystans, sypiając w oddzielnych pokojach jak królowie i królowe połączeni mariażami i udawali, że to, co Feliks niegdyś w żartach nazwał ich małżeństwem, nigdy nie istniało.

Nie byli sobie nic winni; byłby hipokrytą, gdyby miał pretensje o to, w kim Feliks lokował uczucia przed lub po ich związku. To tak, jakby Feliks robił mi kiedykolwiek wyrzuty o to, że kochałem Nikolaia, powiedział sobie stanowczo Taurys, wyprzedzając mechanicznie jadące przed nim auto. To nie miało znaczenia; nie teraz, gdy ich relacja stawała się coraz lepsza, obiecująca, nie po tym, jak miły był poprzedni, niedzielny wieczór…

Muzyka w radiu nagle przestała grać; Taurys odruchowo sięgnął do schowka, ale okazało się, że to nie zakłócenia, a jedynie melodyjka specjalnego programu informacyjnego; ciągle trwająca kłótnia urwała się jak ucięta nożem, gdy tylko prezenter ogłosił wiadomości drogowe.

– Kierowców podróżujących na trasie Tholosen-Stuttgart ostrzegamy przed tragicznym w skutkach wypadkiem, do którego doszło na wysokości Bisanz. Zderzyło się osiem aut, trasa pozostaje nieprzejezdna, korek sięga siedmiu kilometrów. Służby już pracują na miejscu, informować będziemy państwa na bieżąco…

Słysząc to, Taurys szybko wrócił do rzeczywistości i przycisnął hamulec, próbując przypomnieć sobie treść ostatnich znaków drogowych.

– To niedaleko, prawda?

Szelest papieru za jego plecami dał mu do zrozumienia, że Feliks dorwał się do mapy.

– Czekaj, my jesteśmy gdzieś tutaj…

– Daj to! – Prusy wyszarpał Polsce mapę z rąk i, ignorując jego oburzony okrzyk, rozłożył ją na kolanach. – Jedziemy tu, wzdłuż granicy… – mruknął, przesuwając palcami po mapie.

Litwa ponownie zmniejszył prędkość i rzucił okiem na fragment, w którym niepodległa Szwajcaria wżynała się szerokim pasem w terytorium Rzeszy. Do tej pory prosta jak strzała autostrada tutaj wyginała się w łuk, by dotrzeć do Stuttgartu, Norymbergi i Monachium bez przekraczania granicy.

– Gdzie to Bisanz... Dobra, tu... A my... Kurwa. – Prusy uniósł głowę, spoglądając ostro na Taurysa. – Lit, jedź pierwszym możliwym zjazdem na południe, bo zaraz tu utkniemy. Na Dision, potem odbijemy na zachód.

Taurys skinął głową. W samochodzie ucichło; całą trójką zaczęli wpatrywać się uważnie w horyzont. Litwa był wdzięczny za tę chwilę milczenia; dzięki niej zauważył, że ruch pojazdów z naprzeciwka znacząco się zmniejszył.

– Jest! – Kilka minut później Feliks wskazał wiszący nad autostradą znak. – Za pięć kilometrów, Licia.

Kilka minut później Taurys ostrożnie manewrował na wąskim, stromo opadającym zjeździe na drogowej koniczynce. Nie był jedyny; wiadomość o korku musiała dotrzeć też do pozostałych kierowców w okolicy. Przez chwilę było tłoczno, ale zaraz potem otworzyła się przed nimi szeroka, wiodąca na południe trasa i ruch wydawał się wrócić do normalności.

– Zaraz ci znajdę, jak jechać...

– Czy – odezwał się cicho Litwa, patrząc na znak z napisem „Dision 70 km, Paris 320 km”, do którego nieubłaganie się zbliżali. Przed oczami stanął mu opleciony bluszczem domek. Jechali na południe. – Bylibyście źli, gdybyśmy… trochę zboczyli z drogi?

***

Pośrodku eleganckiej, czarno-białej pościeli spał rudy kot, Ludwig jednak nie wydawał się zauważać jego obecności, bo wbijał wzrok w mapy rozłożone na biurku Gilberta.

Potrzebował przestrzeni, na której mógłby rozłożyć atlasy i książki, a swojego biurka już dawno się pozbył; nie uznawał pracy w domu, więc nieużywany mebel był zbędny. Teraz nieco tego żałował, chociaż, biorąc pod uwagę, jak rzadko Gilbert bywał w tym mieszkaniu, może mógłby zaanektować to biurko dla własnych… badań.

Powód ewentualnej wojny leżał pod jego palcami; na śliskich, sztywnych kartach czerniły się nadbałtyckie złoża gazu łupkowego. Obszar ciągnął się szerokim pasem od Zatoki Fińskiej aż do miasta Danzig na pruskim terytorium autonomicznym, a potem odbijał na południowy wschód w głąb lądu, przecinając linię Wisły i kończąc się gdzieś za Bugiem.

Złoża, jak mówiły opracowania, były głębokie i ciężko dostępne; Rzesza ledwie dwie dekady temu wpompowała w te terytoria miliony marek, by chociaż częściowo dostać się do gazu, a dzięki kilku dobrze wykonanym telefonom Ludwig dowiedział się, że w Ministerstwie Zasobów temat dalszej eksploatacji tych terenów wraca jak bumerang.

Nie mówiąc już o wielobarwnych, obfitych plamach złóż na południowo-wschodnich terenach kraju, poprzedzielanych cieniutkimi granicami landów; kropki kopalń kłuły Ludwiga w oczy. Gaz łupkowy, uran, węgiel oraz – Niemcy przewrócił kilka stron – zboże. Dużo zboża.

– Oczywiście – mruknął do siebie. – Gdy trzeba bronić jakiegoś kawałka ziemi albo go komuś odebrać, obywatelom mówi się o ojczyźnie. O dziedzictwie, ziemi przesiąkniętej krwią i skrywającej kości bohaterów – Skrzywił się. – Ale w gruncie rzeczy, zawsze rozchodzi się o to, co naprawdę leży w tej ziemi...

Teraz pomysł wojny zaczynał nabierać sensu. Chciałby wiedzieć nieco więcej, na przykład to, jak daleko Rosja zaszła we współpracy technologicznej z Chinami i jak duże ma wydatki na swoją wojskowość, ale do takich informacji póki co nie miał dostępu.

Wyglądało na to, że Łukasiewicz wcale nie był w błędzie.

– Wybadanie nastrojów – Niemcy szturchnął palcem czarną kropkę oznaczającą Kursk. – Połączone z pewnością, że są sobie w stanie poradzić militarnie i finansowo, wychodząc na plus w tak ogromnej operacji. – Zmierzył wzrokiem obszar od Wisły do obecnej niemiecko-rosyjskiej granicy; od rzeki do Kurska było mniej więcej tysiąc kilometrów, a obszar był o wiele szerszy. – Kurwa mać.

To nie był plan na szybki, gwałtowny wypad z zaskoczenia; coś takiego oznaczałoby długie lata wojny i dziesiątki operacji wojskowych, zrozumiał. Trzeba dużej pewności siebie, by planować coś tak dużego.

Jeśli Ferenc wiedział cokolwiek, nie zamierzał Ludwigowi o tym powiedzieć; Niemcy zazgrzytał zębami ze złości. Istniała też szansa, że był nieświadomy… albo nie uznawał takich okoliczności za realne.

W co ty mnie wpakowałeś, Gilbert?

Spojrzał na wiszącą ponad łóżkiem gitarę; instrument wyglądał, jakby nie dotykano go od miesięcy, kurz na matowej czerni był doskonale widoczny. Obaj kochali porządek; Ludwig zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz słyszał dźwięki szarpanych strun.

Nawet w tych nielicznych dniach, w których przebywał w Berlinie, Prusy rzadko robił w mieszkaniu cokolwiek poza spaniem po powrocie z imprezy; nagle Niemcy zdał sobie sprawę, że nawet nie zauważył, kiedy Gilbert zarzucił swoją pasję.

– Myślicie, że uda się wam ugrać coś z Bragińskim? Chyba żartujecie! – zawołał gniewnie, a potem zatrzasnął atlas geograficzny. Kot na łóżku poderwał się i nastroszył futro, stając się niemal dwa razy większy, i zamiauczał przeraźliwie. – Bądź cicho! I zejdź stamtąd, do cholery!

Berta wydała z siebie kolejny głośny dźwięk, pełny urazy, a potem przeszła na poduszkę i tam usiadła, obserwując każdy ruch Niemiec zmrużonymi oczami. Jej ogon bujał się na prawo i lewo.

Ludwig łypnął na nią nieprzychylnie.

– I co? – zapytał z rezygnacją, przypatrując się kotu. – Oczywiście, że tego nie zrobisz. Myślałem, że siedzisz za szafą. Co chcesz tym razem?

Chwilowy spokój prysnął; lada moment pewnie znowu będzie żebrać o jedzenie, chociaż Ludwig karmił ją zgodnie z zaleceniami. Nie rozumiał, co ludzie widzieli w kotach; lada moment ta bestia znowu zacznie skakać po meblach, zaglądać do garnków albo zrobi sobie drapak z jego ulubionego fotela. Bliżej było jej do szkodnika niż zwierzęcego towarzysza – nagle Ludwig zatęsknił za dobrze ułożonym psem.

Stąd widział długie, rude włosy ciągnące się po poduszce; tę bitwę przegrał, bo kotka miała tą przewagę, że poruszała się bezszelestnie.

– Zabiję kiedyś Gilberta za jego pomysły – warknął Ludwig. Znowu będzie musiał poodkurzać całe mieszkanie, a tę pościel powinien spakować do pralki, kto wie, jakie zarazki tam przyniosła.

Nie cierpiał kotów.

***

Po drodze dokonali zamiany; Feliks, pogwizdując wesoło, zasiadł za kierownicą na parkingu jakieś malutkiej stacji benzynowej i opuścił ją tak szybko, jak tylko pozwolił na to stary volkswagen.

Litwa przejął rolę nawigatora; gdy zbliżyli się do dodatkowego punktu na trasie, odłożył mapę i podpowiadał Polsce drogę z pamięci. Wyglądało na to, że okolice Itteville zapamiętał całkiem dobrze, zauważył Feliks w myślach.

Właściwie, nie było to niczym dziwnym, poprawił się po chwili, ostrożnie manewrując na małym, ukwieconym rondzie, do którego zbiegało się osiem niemal identycznych, wąskich uliczek. Wyprowadził się stąd dopiero kilka lat temu, a wspominał, że lubił tu spacerować… Ładnie tu.

Miasteczko faktycznie miało swój urok; na chodnikach co prawda walały się opadłe liście, jakby służby porządkowe odwiedzały uliczki jedynie okazjonalnie, ale za płotami zieleniły się zadbane podwórka i ogrody.

Ciepłe powietrze, wpadające do środka samochodu, pachniało roślinnością, a nie spalinami, a szereg jednorodzinnych domów o piaskowej barwie i brązowych dachówkach stanowił przyjemny dla oka widok.

Ruch był mały; mijając zaparkowany częściowo na chodniku samochód, Polska zauważył w oddali grupkę dzieci malujących coś kredą na asfalcie. Mimowolnie się uśmiechnął, ale zaraz potem jego myśli skupiły się na Taurysie; ten pochylił się do przodu i wskazał mu jeden z domów po lewej.

– Tam – powiedział cicho Litwa. – Ten z ciemnobrązowymi okiennicami i białym płotem.

– Widzę – Feliks zwolnił, sprawiając, że samochód Taurysa zaczął wolno toczyć się po uliczce, a potem zaparkował kilkanaście metrów od wskazanego domu. Podniósł się na siedzeniu i wychylił do przodu, by przyjrzeć się bliżej miejscu zamieszkania Nikolaia.

Posesję otaczał prosty, drewniany płot, z którego miejscami odchodziła farba. Niekoszony od dawna trawnik zmienił się w łąkę pełną traw sięgających do pasa dorosłemu mężczyźnie, z wąską szczeliną kamiennej ścieżki prowadzącej do drzwi wejściowych.

Po piaskowym froncie domu piął się bluszcz, zarastając ponad połowę ściany i skrywając jedno z okien. Pod nim znajdowało się coś, co Feliks uznał za pozostałości ogrodu kwiatowego, o którym kiedyś mimochodem wspomniał mu Litwa; większe skupisko splątanych ze sobą roślin, wśród których rozpoznał charakterystyczny kształt liści ruty.

– Śliczne tu – stwierdził szczerze.

Kątem oka zauważył, jak Litwa lekko uchyla usta, a potem uśmiecha się łagodnie, nic nie mówiąc.

Feliks oparł się wygodniej o fotel, samemu czując zadowolenie; to zawsze ich łączyło, pomyślał. Chociaż Feliks lubił wielkie miasta, ruch, zabawę i pęd, kochał wracać do spokojnej, cichej, skrytej w zieleni wsi.

Dom, który widział przed sobą, dawał przyjemne wrażenie przytulności, nawet jeśli wydawał się nieco zaniedbany. Licia musiał spędzić wiele godzin w tym ogródku – Feliks zerknął kolejny raz na Taurysa, ciekaw, czy ten jest zły, że jego praca poszła na marne. Nikolai nigdy nie był pasjonatem ogrodnictwa.

– Zawsze lubiłem to miejsce – odparł Taurys melancholijnie. – Szkoda było mi je opuszczać.

– Nie wiem, co wy w tym widzicie – Prusy jedynie wywrócił oczami. – To po prostu krzaki i dom. Biały chyba nienawidzi kosiarki.

– Niko miał zostać przelokowany do Wenecji, tak? – Polska postanowił zignorować kompletny brak romantyzmu Gilberta; gdzieś po drodze tutaj skończyły mu się obelgi i docinki. – Nie wiedziałem, że tam też jest mieszkanie biura.

– To był prywatny lokal Ludwiga – Prusy zmarszczył lekko brwi. – Dostał go... lata temu. Czasem tam nocowałem na urlopie.

– Dostał, jasne – mruknął Feliks, mając niejasne przeczucie, że okoliczności przejęcia przez Ludwiga weneckiego mieszkania wiązały się z wojną i „rekwiracja" byłaby lepszym słowem. – Mało wam domów? A może chciał zostawić go dla Feliciano?

Sam zaskoczył się jadem obecnym w swoim głosie. Zacisnął mocno szczęki, zły na siebie, że wywleka tę sprawę akurat teraz. Taurys miał rację; niektóre rzeczy były skończone na zawsze i pogodzenie się z nimi było najlepszym wyjściem… przynajmniej dla własnego spokoju ducha.

Gilbert założył ręce na piersi, wyglądając na zirytowanego.

– Może – odparł wymijająco. – W każdym razie, kilka lat temu odsprzedał to mieszkanie rządowi.

– Czyli biuru.

– Rządowi. To rząd udostępnił je biuru – poprawił go Prusy. – Na wniosek dyrektora, gdzieś na początku roku. Pomyślał, że przyda się kolejne.

– Po co? – Feliks zmarszczył brwi, stukając palcami w kierownicę. – Więcej nas nie będzie.

– Zawsze jest kilka mieszkań w zapasie – Gilbert pokręcił głową. – Nie powinniście mijać się podczas przeprowadzek, więc okienka czasowe są wskazane. Poza tym, czasem przeprowadzane są większe remonty… Nie mówiąc już o sytuacjach awaryjnych.

Feliks pomyślał o mieszkaniu po zalaniu przez sąsiadów, które opuścił przed zniknięciem z kraju i skinął głową ze zrozumieniem.

– To ma sens – przytaknął Taurys, nie odrywając oczy od domku. – Do Itteville musiałem wracać kilka razy, by domknąć sprawy administracyjne. Ale Wenedig jest terytorium zależnym, a poza tym w Treviso jest kolejne mieszkanie, teraz jest w nim Francis, prawda? Jak do tego doszło, Gilbert?

Słysząc imię Francji, Prusy posłał Polsce ostrzegawcze spojrzenie; ten odwrócił wzrok, mając nadzieję, że Litwa nie zauważy jego zmieszania.

Wiedział, że popełnił błąd, ale Prusy już go za to opieprzył – naprawdę, Gilbert mógłby już sobie to darować. Jakoś się to odkręci, Francis już pewnie nawet o tym nie pamięta…

Prusy założył ręce za głowę.

– Obecny dyrektor jest idiotą – powiedział spokojnie. – A lokalami dystrybuuje inny organ, nie wiedzą o personifikacjach. Nawet nie spojrzał na lokalizację, którą mu zaproponowali, tylko od razu zlecił relokację. Nawet fakt, że Biały osobiście przyjechał do Berlina, by się odwołać, nie sprawił, że dyrektorek pomyślał. Na szczęście – Prusy spojrzał na Litwę znacząco. – Ktoś dał komuś cynk... I ktoś – Ton Gilberta nie pozostawiał wątpliwości, że chodzi o niego samego. – Opieprzył dyrektora od góry do dołu za tak rażące niedopatrzenie. Kajał się przez tydzień.

– Nie wiedziałem, że masz takie wtyki, Licia – rzucił żartobliwie Feliks, zerkając nieco zdziwiony na Taurysa. Jeszcze kilka tygodni temu nigdy by nie przypuszczał, że on i Prusy pozostają w na tyle dobrych stosunkach, by Taurys mógł przekonać Gilberta do takiej interwencji.

– To żadna wtyka – Taurys pokręcił głową. – Po prostu się nie lubią.

– Nie chciałem widzieć tej białej mordy też na urlopie – dopowiedział Prusy, a potem jego oczy zabłysły mściwie. – A, czekaj, zapomniałem, że ktoś mnie go pozbawił…

Polska syknął przez zęby – serio, Prusy, są rzeczy ważniejsze niż twój zakichany urlop – ale nim zdążył sformułować jakąkolwiek odzywkę, Taurys zmienił temat:

– Na pewno nie natkniemy się na Rodericha? – Taurys wpatrywał się niespokojnie to w osłaniający okno bluszcz, to na ulicę, jakby spodziewał się, że zaraz skądś wyskoczy Austria i towarzyszący mu oficerowie.

– Właśnie, Prusaku, jesteś tego pewny? – Polska zerknął w boczne lusterko, ale ani jedno auto nie pojawiło się w zasięgu wzroku, odkąd tu zaparkował. – Ile dokładnie zajmuje wam lot?

Słysząc niemą prośbę w głosie Taurysa, gdy ten proponował podróż do Itteville, by zerknąć na dom bliskiej mu osoby i uspokoić natrętne myśli, zgodził się niemal od razu, teraz jednak trybiki w głowie Feliksa obracały się w chaosie, gdy próbował obliczyć czas. Rzucił szybkie spojrzenie na wyciszone radio; zegarek wskazywał kilka minut po czwartej po południu.

Prusy też zerknął na urządzenie.

– Już po wizytacji – Uspokoił ich. – Wylatujemy z Tuluzy zwykle kwadrans po dwunastej, lot zajmuje nam równe dwie godziny, lądujemy tam – Niedbałym ruchem ręki wskazał pola widoczne za miasteczkiem. Było już po żniwach, więc pozostawały puste. – Biały zaczyna zmianę w robocie o szesnastej, więc o tej porze zwykle jesteśmy już w drodze do mieszkania Kateryny.

– Więc już wyszedł – powiedział Litwa cicho, jakby do siebie, pogrążony w głębokim namyśle. Oparł się ponownie o tylne siedzenie, znikając Feliksowi z pola widzenia.

– Musicie brać pod uwagę godziny pracy – powiedział Feliks z lekkim zdziwieniem; nigdy nie zastanawiał się nad tym, jak Prusy i biuro organizują grafik wizytacji. – To tłumaczy, dlaczego twoja mapa niechlubnych odwiedzin jest taka poplątana.

– Nie każdy może cieszyć się radosnym bezrobociem, Polen – Gilbert spojrzał nań spode łba. – A ja nie mogę kazać im brać wolnego co tydzień. Wystarczy, że helikopter jest mało dyskretny, ale tego nie przeskoczę, inaczej nie wyrobiłbym się w tydzień z wami wszystkimi.

– Zastanawiam się, jakim cudem ten twój grafik się jeszcze nie rozleciał.

– Jesteśmy w tym sami, ja i chłopcy, pięć dni w tygodniu, od rana do wieczora w trasie – warknął Prusy. – Tyle dobrego, że mam chwilę, by w środę zajrzeć do parlamentu w Königsbergu.

– I nikt tam w biurze nie pomyślał, że przydałaby ci się pomoc?

– Tak sobie zażyczył najjaśniejszy Claus – powiedział cicho Prusy. – Im mniej osób wie o sprawie, tym lepiej.

– I w efekcie jesteś przepracowany i wiecznie wkurwiony – podsumował Feliks, a widząc, jak Gilbert zgrzyta zębami i odwraca głowę, wiedział, że trafił w sedno.

Ponieważ Prusy nie wydawał się chętny do dalszej rozmowy, Feliks obrócił się do tyłu.

– Licia, w porządku?

Taurys był z natury cichszym człowiekiem, zwłaszcza w porównaniu do Feliksa i Gilberta, ale w ostatnich minutach wydawał się całkowicie nieobecny.

– Jeśli… Jeśli Iwan jest zamieszany osobiście w tę wojnę – powiedział cicho, zupełnie jakby nie słyszał pytania Polski. Oczy nadal miał utkwione w domu obrośniętym bluszczem. – Będzie ich szukał, by zabrać ich do siebie.

Feliks skinął głową, przygryzając wargę z niepokoju. Litwa potrząsnął włosami.

– Boli mnie głowa. Wyjdę się przewietrzyć, dobrze?

– Idź – Prusy szarpnął podbródkiem przed siebie. – Robimy krótki postój, potem jedziemy już prosto na Berlin.

Taurys bez słowa opuścił pojazd i ruszył wolnym krokiem w kierunku domu Nikolaia. Feliks oparł się przedramionami o kierownicę i śledził Litwę wzrokiem.

– Jak źle z nim jest? – zapytał, obserwując, jak Taurys przystaje przy furtce. Widząc, jak Prusy wywraca oczyma, Feliks uściślił. – Z Kolą, nie z Licią.

– Jeśli chodzi o wkurwianie mnie, jest w doskonałej formie – Prusy sięgnął do radia. Z głośnika zaczęła wydobywać się mieszanina szumów i muzyki klasycznej. Gilbert skrzywił się i szybko przełączył stację. – Ciekawe, czy znajdę powtórkę relacji z meczu…

– Wiesz, że nie o to pytam – żachnął się Feliks, nie mając ochoty na kolejną pyskówkę. Był nawet trochę wdzięczny, że mógł wcześniej wyrzucić z siebie negatywne emocje, ale co za dużo, to nie zdrowo. – Widziałem go tylko z oddali, to Licia z nim rozmawiał, a jego… jego nie chcę o to pytać.

Prusy westchnął ciężko i wyłączył radio, gdy okazało się, że żadna ze stacji nie odpowiada jego gustom.

– Podupadł na zdrowiu, ale będzie zacięcie trwał przy „nic mi nie jest, odpierdol się” – wyjaśnił obrazowo. – Zwykle wyczekuje informacji o Katerynie.

– Dajesz mu je? – Polska zagryzł wargę, przypominając sobie o problemach kuzynki.

– Jeśli mój podsłuch akurat ma awarię – odparł znacząco Prusy, utwierdzając Polskę w przekonaniu, że Gilbertowi zdarzało się mieć serce po dobrej stronie. – Biały robi w niedalekiej fabryce, przy taśmach. Od dłuższego czasu nie sprawia kłopotów. Nic więcej nie wiem, nie rozmawiamy zbyt wiele.

– Dzięki, Prusaku – Feliks uniósł wzrok; Litwa oddalił się nieco, jego wysoka sylwetka z wolna malała, gdy spacerował uliczką z dłońmi wbitymi w kieszenie. – A Estonia? Łotwa?

– Ileż w tobie taktu – sarknął Prusy. – Kto by się spodziewał.

Polska rzucił mu wściekłe spojrzenie.

– Słuchaj – warknął. – Może i nie jestem mistrzem empatii, ale, na litość boską, Raivis to jego rodzeństwo. Edwarda też traktuje jak rodzonego brata. Nie będę pytał przy nim, a chciałbym… Chciałbym wiedzieć, na co mam się przygotować – dodał o wiele cichszym, znacznie mniej pewnym tonem, a początkowy gniew zniknął bez śladu, zastąpiony strachem. – Jak… jak źle z nimi jest?

Prusy spoważniał.

– Lit ci nie mówił?

Feliks na moment odwrócił wzrok.

– Był załamany – wyszeptał. – Bałem się pytać.

Wspomnienie łkającego ciała wciąż było żywe w jego umyśle; dłoń, którą bezradnie głaskał dygoczące plecy, pozbawione sensu słowa spływające z jego pokrytych solą warg… Nie pamiętał, co dokładnie mówili tamtej nocy po Charlottenburgu.

– Łotwa się trzyma. Estonia gaśnie – Gilbert zacisnął usta w wąską linię, wpatrując się w przestrzeń ze zmarszczonymi brwiami i z nietypową dla siebie powagą. – Każdego tygodnia spodziewam się, że nie otworzy drzwi. To był, prawdopodobnie, jego ostatni Charlottenburg, Polen.

Feliks otworzył usta, ale nie był w stanie nic powiedzieć; chwilę siedzieli w ciszy, podczas gdy Polska wpatrywał się w swoje kolana, zadając sobie w myślach pytanie, na które niestety znał odpowiedź.

Tego nie byli w stanie powstrzymać; nie, nie będąc u władzy, a nawet jeśli kiedykolwiek by po nią sięgnęli, Feliks wątpił, czy skutki dziesięcioleci propagandy i systemowego wykorzeniania dałoby się naprawić.

– Jak… jak się to u niego objawia? Licia traci wspomnienia na wyrywki, ja dzień po dniu… Nie pamiętam na przykład, kiedy pierwszy raz spotkałem Czechy – Feliks z trudem przyznał się do tej słabości. – Jedenasty wiek to jedna wielka ciemna plama. Wkrótce pewnie też zapomnę, jak ściągnęliśmy ciebie i cały zakon z Węgier, to wcale nie było wiele później.

Kątem oka zauważył, jak przez twarz Gilberta przebiega poruszenie, szybko zamaskowane neutralnym wyrazem twarzy; chyba nauczył się tego od Ludwiga, pomyślał bez zdziwienia Feliks.

– Nie pamięta estońskiego. Ani słowa.

Feliks zaklął z bezsilności; ojczyste języki zawsze – przynajmniej dla większości z nich – stanowiły jeden z najważniejszych elementów ich tożsamości. Serce mu się krajało, gdy słyszał Litwę próbującego mówić nocami po litewsku – ściany mieszkania nie były zbyt grube i dookoła było na tyle cicho, by leżący w saloniku Feliks rozróżniał każde słowo – poddającego się po kilku minutach, by wrócić do niemieckiego.

– Oraz – kontynuował Prusy o wiele cichszym tonem. – Są dni, w których wierzy w to, co ma w dokumentach.

Feliks zamarł, gdy dotarło do niego znaczenie tych słów; fałszywe daty urodzin, miejsca urodzenia, imiona rodziców, pomyślał oszołomiony. Coś, co dla niego było tylko słowami-symbolami kłamstwa imperium, a czasem najzwyklejszą przykrywką, dla Estonii zmieniało się w prawdę; wstrząśnięty, zacisnął mocno szczęki. Tak to wygląda na samym końcu? Przed śmiercią po prostu zapomnimy, kim jesteśmy, umrzemy jako ludzie, myśląc, że jesteśmy tylko jednym z pięciuset milionów?

– Przestań – warknął nagle Prusy. – Nie rycz nad jeszcze żyjącym.

Feliks przeklął w myślach siebie i łzy, które tańczyły mu pod powiekami; potrząsnął głową, jakby chciał się ich w magiczny sposób pozbyć.

– Powiedz mi lepiej... – Prusy zerknął na Taurysa, który doszedł do widocznego w oddali ronda i właśnie zawracał. Coś w jego oczach zabłysło dziko. – Całowaliście się?

Polska, który właśnie brał głęboki oddech, próbując pozbyć się smutku i niepokoju, spojrzał na niego z niedowierzaniem. W takiej chwili o tym myślał!?

– Prusy! – syknął oburzony.

– No co? – Gilbert wzruszył ramionami. – Ciekaw jestem, jak wam poszła randka.

– To – wycedził Feliks, czując jak rumieńce wpełzają na jego policzki i wygodnie się tam rozsiadają. Myśli o Estonii całkiem wyleciały mu z głowy. – Nie. Jest. Twoja. Sprawa.

Nie będzie przecież opowiadał Prusakowi o tym, jak przespacerowali się po parku późnym wieczorem, w złotym świetle lamp i zapachu igliwia, ani o pysznej kolacji, zjedzonej w otwartej do późna restauracji, ani o tym, jak Litwa się do niego uśmiechnął i podziękował, gdy żegnali się pod hotelem...

Zrobiło mu się dziwnie gorąco i nie był pewny, czy było to zawstydzenie swoją własną śmiałością – nie, nie całowali się, to był jedynie wspięcie się na palce i muśnięcie wargami policzka, tuż przed tym, jak zamknęły się drzwi, chowając za sobą przyjemno-zdumione leśne oczy Taurysa – czy złość na wścibskość Gilberta.

– W Berlinie, na Kalckreuthstraße, jest taka fajna knajpa... – zaczął Prusy, szczerząc się szeroko.

– Eldorado, wiem – prychnął Feliks, marząc o dwóch rzeczach; o tym, by przestał się rumienić, i o tym, by wypchnąć Prusaka z samochodu i odjechać. Może nawet nieco go potrącić. – Zapomnij. Nie będę przyłazić do tej samej speluny, co ty. Ostatnim, na co mam ochotę, to widzieć twoją twarz w czasie wolnym.

Gilbert parsknął śmiechem, odchylając głowę do tyłu. Feliks spojrzał przez przednią szybę po to, by zobaczyć, że Taurys zbliża się do samochodu. Miał nadzieję, że jego obecność uratuje go od tej niezręcznej konwersacji.

– Nie podoba mi się, że tak cię to interesuje – rzucił jeszcze Polska, obronnie zakładając ręce na piersi. Rumieniec dalej nie chciał opuścić jego policzków; odwrócił wzrok i wbił spojrzenie w jakiś płot. W odpowiedzi usłyszał jeszcze głośniejszy wybuch śmiechu.

– Uprzejmie przypominam – głos Prus był irytująco wesoły. – Że to ja poleciłem ci tę restaurację w Tuluzie, Polen.

Feliks pożałował, że skorzystał z porady; Gilbert nie da mu teraz żyć. Westchnął i osunął się na fotelu kierowcy, od niechcenia stukając palcami w kierownicę.

– Zachciało ci się na stare lata zostać swatką, czy co? Wykazujesz niezdrowe zainteresowanie czymś życiem prywatnym, Prusaku. Poszukaj sobie kogoś – burknął cicho. – Albo nie wiem, znajdź sobie coś do oglądania wieczorami... Macie to w Netzwerku?

– Mamy co? – Gilbert zmarszczył brwi, wyglądając na zbitego z tropu.

– Czyli nie macie – Feliks potrząsnął szybko włosami, szybko żałując swoich słów. Nie będzie teraz tłumaczył Gilbertowi, co można było znaleźć w zachodnim Internecie, niech żyje w błogiej nieświadomości. – Nieważne.

– Polen, co ty...

Nim Gilbert zdążył dopytać, do auta wrócił Taurys, nie wszedł jednak do środka. Polska i Prusy obejrzeli się do tyłu, przez szybę obserwując, jak Litwa ze strapioną miną pochyla się i zagląda pod podwozie swojego volkswagena.

Wymienili spojrzenia, a potem każdy z nich sięgnął do klamki.

– Coś się stało, Licia? – zapytał Feliks, gdy obaj wyszli na zewnątrz.

– Olej cieknie – Taurys przykucnął i ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się małej plamie czarnego płynu na asfalcie. – Będę musiał pojechać do mechanika – dodał, dotykając plamy. Tłusty olej został na opuszkach jego palców. – Oby to była tylko jakaś uszczelka...

– Zajechałeś auto! – Feliks obrócił się do Prus.

– Nie obwiniaj mnie za wszystko, co złe! – rzucił oburzony Gilbert, podnosząc pokrywę silnika i pochylając się nad wnętrznościami auta.

Feliks zerknął Prusom przez ramię, ale ponieważ jego wiedza motoryzacyjna kończyła się na lokalizacji silnika, postanowił ugryźć się w język i siedzieć cicho, nawet jeśli wymagało to od niego wiele wysiłku. Litwa też przyglądał się poczynaniom Gilberta raczej bezradnie, nie ruszając się z miejsca.

– Obawiałem się, że coś się zepsuje – wymamrotał. – To stary samochód.

Gilbert obrzucił silnik bacznym spojrzeniem, pochylił się to tu, to tam, mruknął coś do siebie, a potem wrócił do Litwy i położył się płasko na asfalcie. Polska, krążąc wokół auta, z powątpiewaniem obserwował, jak Prusy – z wyuczoną zwinnością żołnierza – wczołguje się pod volkswagena.

– I co? – zapytał po chwili, gdy spod podwozia dobiegły ich przytłumione przekleństwa.

– Miska olejowa – Doszła ich odpowiedź. Litwa opuścił ramiona z ciężkim westchnieniem. – Wgniotła się. Któryś z was musiał pieprznąć w krawężnik.

– Nie przyjmujesz opcji, że to mógłbyś być ty? – Feliks wywrócił oczyma, a potem zerknął na Litwę i posłał mu pocieszający uśmiech. Awarie przecież się zdarzały. – Dojedziemy do Berlina? To dobre tysiąc kilometrów.

– Dojedziemy, nie cieknie dużo – Prusy wyczołgał się spod samochodu. Jego białą do tej pory koszulę ozdabiały teraz czarne, tłuste plamy. Skrzywił się i strząsnął drobinki piachu z rękawów. – Ale nie możesz tak długo jeździć, bo silnik rozpieprzysz – powiedział do Litwy; ten tylko kiwnął głową, dalej wyglądając na zmartwionego.

– Wezmę auto do mechanika tak szybko, jak się da – Widząc, jak Gilbert otwiera drzwi, Litwa ostrożnie opuścił klapę silnika. Cała trójka wróciła do środka.

– Jasne. Polen, po drodze się zmienimy – Prusy rozsiadł się na siedzeniu pasażera.

– Jesteś pewny, że możesz jechać? – Litwa miał obiekcje.

– Nie piłem tak dużo, jak się wam wydaje – prychnął Gilbert, zakładając ręce na ramiona. – Mam ci podejść do najbliższego komisariatu, czy coś?

– A daleko jest? – Feliks zerknął na Taurysa.

– Dwie ulice dalej – odparł wolno Litwa, przesuwając wzrokiem po pozostałej dwójce. Marszczył brwi i brzmiał, jakby nie wiedział, czy ta rozmowa toczy się na serio. – Prusy, nie chcę, żebyś...

– Daj spokój – Gilbert wywrócił oczami. – Wypiłem wczoraj jedno piwo, nie pół baru. Nie trujcie mi dupy, mam dość pogadanek umoralniających. A poza tym – dodał głośniej. – Uszkodzone auto potrzebuje doskonałego kierowcy. Takiego z wyczuciem. Żaden z was się nie kwalifikuje.

– Wykluty z kuli armatniej i miski olejowej – mruknął Feliks pod nosem, odpalając silnik. – Licia?

– Jeśli to było tylko jedno piwo – powiedział powoli Taurys, spoglądając na Gilberta i kiwając głową. – To myślę, że możesz jechać.

Prusy wymownie spojrzał w górę, pokręcił głową i rozsiadł się wygodnie na fotelu pasażera.

– Jedź, Polen, chcę dotrzeć do domu jeszcze w tym tygodniu.

– Jest poniedziałek, do cholery!

– Właśnie dlatego to mówię. Jeździsz jak baba.

Polska zmiął w ustach przekleństwo i ruszył, zostawiając Itteville w tyle.

***

Gdy dotarli do Berlina, minęła już druga w nocy. Feliks oparł się ciężko o ścianę klatki schodowej i ziewnął, obserwując, jak Litwa szuka kluczy po kieszeniach.

Taurys co chwila zerkał na transporter leżący u jego stóp i głosem pełnym rozpaczy próbował uciszyć kotkę; odkąd Gilbert przyniósł ją do samochodu zaparkowanego pod kamienicą, w której mieszkał z Ludwigiem, Berta naprzemiennie syczała, prychała i miauczała tak głośno, jak tylko była w stanie.

Przez chwilę Feliks czuł niepokój, że może Ludwig w jakiś sposób zaszkodził zwierzęciu, ale gdy zerknął przez kraty i dostrzegł bujający się szybko ogon, zwężone źrenice i uszy położone po sobie, szybko stało się dla niego jasne, że kotka jest po prostu wściekła za drugie w ciągu tych wakacji zostawienie pod czyjąś opieką.

– Proszę, mała – Litwa na moment zaprzestał poszukiwań i ukucnął przy transporterze z widocznymi śladami załamania na twarzy. Kiepskie światło podkreśliło jego podkrążone, ciężkie powieki. – Pobudzisz wszystkich… Już w porządku, jesteś w domu... – urwał nagle, złapany na gadaniu do kota, i zerknął spłoszony na Feliksa.

– Prusak mówi, że Ludwig robił to, co mu przekazaliśmy – Polska nie zamierzał śmiać się z nawyków Taurysa. Berta była członkinią jego rodziny i Feliks miał nadzieję, że ta uparta kotka, gotowa bronić opiekuna swoimi igiełkowymi kiełkami, w końcu go polubi. – Więc czemu jest taka zła?

– Nie lubi, gdy nie poświęca się jej uwagi – wyjaśnił Litwa z wyraźną ulgą i podniósł się na nogi. – U Anniki miała towarzystwo.

– Nie widzę Ludwiga, jak ją głaska i adoruje – Polska przytaknął. – Nie zostawiłeś ich w aucie? – zasugerował, patrząc na leżącą na podłodze torbę.

– Możliwe... Berta, proszę, bądź cicho... Och, tu są...

Niedaleko rozległy się kroki; Feliks spłoszony odepchnął się od ściany, a Litwa spojrzał w kierunku załomu korytarza. Stamtąd wyłoniła się kobieta po pięćdziesiątce; Polska nie miał najmniejszego pojęcia, kim jest.

– Dobry wieczór, panowie – powiedziała dziarsko. Otulała się grubym szlafrokiem i zerkała to na nich, to na transporter i torbę. – Powrót z urlopu?

Polska zerknął na nagle napiętą twarz Taurysa, nie wiedząc, co miałby odpowiedzieć.

– Tak – wydusił z siebie Litwa. – Przepraszam za te hałasy, za to, że panią obudziłem. Zostawiliśmy ją u znajomego, ale – Opuścił wzrok na transporter. – Chyba nie jest z tego zadowolona. Wynagrodzę to jakoś pani, pani Jansen...

– Nie trzeba, panie Laurinaitis – Sąsiadka machnęła ręką. – Naprawdę, lepszego sąsiada nie mogłam sobie wymarzyć, jeśli chodzi o ciszę nocną, żadnych imprez, żadnych hałasów. Nawet współlokatora prawie nie słychać – zachichotała. – Nie będę przecież zła na kotka – dodała, uśmiechając się dobrodusznie. – Zwierzęta źle znoszą zmiany miejsca, ja to rozumiem. Przyszłam tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Dziękuję, ale jeszcze raz przepraszam...

Kobieta tylko się roześmiała.

– Dobrej nocy, panowie – dodała ciepło i zniknęła za załomem korytarza. Litwa patrzył za nią jeszcze przez kilka sekund, a potem pokręcił głową i wsunął klucz do zamka.

Polsce nie umknęła ta niespodziewana cisza.

– Licia, w porządku? – zapytał niepewnie.

– Tak – Taurys pokręcił głową, nieświadomie przecząc sam sobie. Złapał za uchwyt transportera, drugą dłonią za torbę i podniósł je do góry.

Feliks zareagował natychmiast; złapał za pasek torby, muskając dłoń Litwy, i wziął część ciężaru na siebie.

– Coś się stało, Licia? – szepnął, spoglądając z bliska w zmęczone oczy Taurysa. – Powiedz mi.

Litwa posłał kolejne spojrzenie pustemu już korytarzowi.

– Chyba nasze nierzucanie się w oczy sąsiadom można uznać za nieaktualne – mruknął. – Ona już wie, że tu mieszkasz. Domyśliła się.

Polska razem z nim przeniósł bagaże przez próg.

– Wygląda na miłą panią – powiedział wesoło. – Nie sądzę, żeby dała cynk twojemu pracodawcy...

– Myślałem o tym. Bycie nauczycielem to nie jedyna praca na świecie – Taurys zaprzeczył niewypowiedzianemu, zamykając drzwi od wewnątrz. – Po prostu… Obawiam się, że biuro może któregoś dnia zacząć pytać sąsiadów. Myślałem, że… że uda nam się zachować to trochę dłużej w tajemnicy.

Feliks na oślep sięgnął do włącznika światła; wąski hol zalało złote światło.

– Prędzej czy później ktoś musiał się na mnie natknąć, wiedzieliśmy o tym – powiedział spokojnie. – A w każdej chwili mogę się przyczaić u Beilschmidtów. Pamiętasz, co mówił Gilbert?

Litwa otworzył usta i szybko je zamknął, jakby chciał coś powiedzieć, ale nagle zrezygnował. Unikając spojrzenia Feliksa, przykucnął, by otworzyć drzwiczki transportera. Feliks zmarszczył lekko brwi.

– Nie wychodzi?

– Wyjdzie, dajmy jej chwilę – szepnął Litwa, wsuwając dłoń do środka. Kot tylko obwąchał jego dłoń i wycofał się głębiej. – Idź spać, Feliksie. Ledwo trzymasz się na nogach.

– Taak, ja jeden – Feliks wywrócił oczami, a na jego usta wystąpił czuły uśmiech. Oparł dłoń na ramieniu Taurysa i gdy ten na niego zerknął, uśmiechnął się szeroko. – Masz ochotę na gorącą herbatę przed snem, panie współlokatorze?

W odpowiedzi dostał wdzięczne spojrzenie.

– Nie wiem, czy jeszcze jest cukier, Feliksai.

– Jutro kupię – zaoferował się Polska, wiedząc, że jest odpowiedzialny za gwałtowne znikanie zapasów.

Było coś miłego w tym słowie, tym czułym zwrocie, co roztapiało wszelkie zastygłe między nimi lody, nawet jeśli Taurys był obecnie zbyt zmęczony, by zwracać uwagę na co, to mówi.

– Idź pod prysznic, nastawię wody – wymamrotał Litwa, idąc do kuchni. – Przy okazji podleję rutę...

Kot przemknął jak strzała pomiędzy nogami Feliksa i pobiegł w ślad za opiekunem. Feliks pokręcił głową z cichym chichotem, i wyciągnąwszy z torby jedynie najpotrzebniejsze rzeczy, wślizgnął się do łazienki.

Przez ponad dwa tygodnie mieszkania u Litwy Feliks zdążył przyzwyczaić się do tego ciasnego pomieszczenia o kiepskim oświetleniu; automatycznie już sięgnął do półeczki obok lustra nad umywalką, zawalonej drobiazgami jego i Taurysa, i złapał za szczotkę.

Ponieważ i jemu oczy same się zamykały, wziął króciutki prysznic, by zmyć z ciała pot; długie podróże latem bywały uciążliwe. Kilka minut później, w krótkich szortach i luźnym podkoszulku, odbierał od Taurysa kubek gorącej herbaty z cukrem.

– Dobranoc – wymamrotał, kierując się w stronę saloniku. Kanapa jeszcze nigdy nie była tak wygodna.

***

Stara taktyka wykańczania siebie wydawała się przestać działać; a może po prostu wypad na drugi koniec kraju, z ponad czterdziestoma godzinami spędzonymi w samochodzie wcale nie był wystarczający, by Taurys zasnął od razu po położeniu się do łóżka.

Westchnął ciężko i przymknął obolałe, pełne piasku powieki. Teraz, gdy leżał w pościeli, odczuwał w pełni zmęczenie ciała, ale sen nie chciał nadejść, mimo że Litwa bardzo, ale to bardzo pragnął usnąć.

Zbliżała się czwarta; jeśli nie złapie teraz odrobiny snu, przez cały dzień będzie nieprzytomny… Był wtorek; jutro czekała go komisja. W czasie jazdy powrotnej zdążył

o tym zapomnieć, teraz jednak świadomość tego, co nieuchronnie nadchodziło, uderzyła w niego z pełną mocą.

To nic wielkiego, powiedział sobie kolejny raz, ale i tak nerwy zdążyły na nowo zamieszkać w jego wnętrznościach i sprawić, że rozluźnione do tej pory ramiona spięły się tak mocno, że miał problem z wygodnym ułożeniem się na łóżku.

Głowa również nie pomagała; gdy tylko przymykał powieki, przed oczami stawały mu kolejne twarze; Edward, Raivis, Erzsébet, Kola, co będzie z nimi?

Wyobraźnia podsunęła mu posępne obrazy; Erzsébet kuląca się, gdy przyjdzie do ściągnięcia ubrań, blady uśmiech Edwarda i jego kościste ramiona wyłaniające się spod koszuli; Raivis przygryzający wargę naprzeciw szeregu osób w białych kitlach, pozbawionych twarzy... Kola z posępną miną, warczący na lekarzy.

On sam będzie w podobnej sytuacji za nieco ponad dwadzieścia cztery godziny; jakkolwiek starał się racjonalizować tę komisję i przekonywać, że nie będzie różnić się od wizyty u doktora, jak uparcie twierdziła Erzsébet, lęk korzystał z tego, że Taurys był sam i coraz śmielej panoszył się w jego głowie.

A jeszcze ta głupia, irracjonalna sprawa z Saksonią, kolejna cegiełka do muru jego niepokojów…

Westchnął ciężko i osłonił oczy przedramieniem, próbując oddychać głęboko i rozproszyć myśli. Nie pomagało; wstał, boso i w piżamie rozpoczął spacer po pokoju i, próbując skupić umysł na czymś innym, zaczął mówić do siebie.

Powtarzał litewski, próbował z pamięci recytować wersy z książek, żałując jednocześnie, że nie zabrał chociaż jednej z nich do sypialni; nie mógł po nie teraz iść, bo obudziłby Feliksa.

Oczy zamykały mu się same, nogi plątały ze zmęczenia, ale myśli wciąż nie pozwalały mu zasnąć; Litwa po raz kolejny otworzył usta.

Był wiersz, który kiedyś uderzył w niego mocno i zranił ostrym piórem jego duszę; gdzieś w pośród stron starego Mickiewicza walała się spisana odręcznie kartka, z tekstem innego autora, którą Taurys schował tam przed nastaniem końca świata; jak brzmiał?

– *Rozumiem, w nieśmiertelność wierzyłem* – wyszeptał zbielałymi wargami, pamiętając tylko ten jeden wers. Z westchnieniem z powrotem opadł na łóżko; sprężyny skrzypnęły cicho. Cholera, pomyślał do siebie, przez te kilka dni było lepiej, a teraz...

Berta zjawiła się bezszelestnie; gdy skoczyła na jego klatkę piersiową, stając się ciężkim, miękkim, ciepłym ciężarem, o mało nie krzyknął ze strachu. Podnosząc się do półsiedzącej pozycji, Taurys zerknął na uchylone drzwi – był przekonany, że je zamykał – gdzie zarysowała się ludzka sylwetka.

– Nie śpisz? – zagadnął Feliks, wsuwając głowę do środka.

– Nie – mruknął Litwa, przecierając dłonią twarz. Miał wrażenie, że może i przysnął na kilka minut, ale sam nie był tego pewny. – Zaświeć, proszę, światło… Wszystko w porządku?

– Diablica nie dała mi spać, zmusiła mnie, by ją do ciebie wpuścić – powiedział Feliks, wchodząc do pokoju z ziewnięciem na ustach i sięgając do włącznika światła.

Taurys zerknął na kota, który teraz ocierał się łebkiem o jego szyję; odruchowo podrapał Bertę za uchem.

– Cwaniara, chyba się za tobą stęskniła… – Feliks przystanął blisko drzwi z wahaniem na twarzy, wyraźnie widocznym w złotym świetle sufitowej lampy. – Um... Słuchaj...

Coś go dręczyło; Taurys odczytał to z nerwowego uśmiechu, uciekającego spojrzenia i sposobu, w jaki Feliks sięgnął do rozczochranych włosów, by założyć kosmyk za ucho. Lekkim szarpnięciem głowy dał Polsce do zrozumienia, by podszedł bliżej. Sam usiadł na łóżku, ściągając delikatnie kota ze swoich ramion.

– Zauważyłem, jak zareagowałeś, gdy wspomniałem Saksonię – odezwał się Feliks bardzo, ale to bardzo cicho, gdy już usiadł obok. Splótł dłonie ze sobą, przygarbił ramiona. – Myślę, że... że winien jestem ci wyjaśnienie.

Litwa zamrugał zdziwiony; nie spodziewał się tego.

– Nie jesteś – powiedział spokojnie. – Rozmawialiśmy o tym, Feliks.

– Rozmawialiśmy o polityce – poprawił go Polska, przygryzając wargę, jak zawsze, gdy był zdenerwowany i niepewny. – Nie o... sprawach prywatnych. Nie, czekaj – Gdy Taurys otworzył usta, Polska uniósł dłonie na wysokość piersi. – Pozwól mi, Licia – powiedział poważnie. – To mnie gryzie, naprawdę. I chcę to wyjaśnić. Dla… spokoju ducha.

Taurys skinął głową. Opuścił wzrok na kota na swoich kolanach. Berta mrużyła oczy, pozornie spokojna, ale pod swoją dłonią Litwa wyczuwał wyraźnie napięte mięśni grzbietu z powodu bliskiej obecności drugiego mężczyzny.

– Podobał mi się – wypalił Feliks, wyglądając na zażenowanego. Litwa otworzył usta, nie spodziewając się prawdy prosto z mostu. – Zauważył to. I któregoś dnia wziął mnie na stronę, Licia. Był bardzo grzeczny, gdy powiedział mi, że wolałby... utrzymać bardziej profesjonalne relacje w naszej unii.

– Och – Taurys zamrugał, zdając sobie sprawę, że Feliks właśnie opowiada mu o tym, jak dostał kosza od Christiana. – Nie... nie wiedziałem o tym. Przykro mi – dodał szczerze. To musiało boleć; sam pamiętał, jak cierpiał, gdy Nikolai nie odwzajemniał jego romantycznego zainteresowania.

Polska roześmiał się jasnym, czystym głosem.

– Spokojnie, dawno już mi przeszło, Licia – powiedział pewniej Feliks, brzmiąc, jakby kamień spadł mu z serca. – Na dłuższą metę Christian byłby nie do zniesienia z tą jego obsesją na punkcie ziemniaków i muzeów. No i Prusak byłby wtedy poniekąd moim szwagrem, tego bym nie zniósł. Po prostu… uznałem, że powinieneś wiedzieć. Znaczy… Domyślałeś się już wtedy, nie? Byłem… średnio dyskretny.

Taurys uśmiechnął się blado na to niedopowiedzenie.

– Byłeś straszny – powiedział z lekką nostalgią w głosie. – Chodziłeś rozmarzony przez całe dnie i nie słuchałeś niczego, co się do ciebie mówiło. Chwilami chciałem cię za to zabić, bo byłeś nie do wytrzymania. Każdy się domyślał, Feliks. Służba plotkowała po kątach, gdy myślała, że nikt nie słyszy.

Polska miał na tyle przyzwoitości, by się zarumienić.

– Przepraszam – wymamrotał. – Chyba… chyba robiłem to trochę na złość. Nieświadomie, ale...

Taurys skinął głową, akceptując przeprosiny i uśmiechnął się ciepło do Feliksa. Dla spokoju ducha, powiedział Polska; to było dobre określenie.

Feliks zerknął na kota, teraz skulonego w kłębek na kolanach Litwy. Berta spała, mrucząc cicho, gdy Taurys głaskał ją powolnymi ruchami; Polska sięgnął i delikatnie musnął grzbiet zwierzęcia. Potem podrapał kocicę za uchem.

– Paskuda – mruknął z czułością. Litwa roześmiał się lekko.

– Skoro już o tym rozmawiamy – odezwał się, obserwując palce, które zamarły w rudym, gęstym futrze. – Rozmawiałeś o mnie z Alfredem, prawda?

– No… – Polska zawahał się, ale potem skinął głową. – Wymsknęło mu się kilka rzeczy, gdy napił się piwa... Paskudne siki, swoją drogą, jednak tutejszy alkohol jest lepszy niż amerykański, przyznaję z bólem.

– Czyli wiesz, że był we mnie zakochany? – spytał cicho, niezręcznie Taurys. Gdy Polska skinął głową, Litwa westchnął ciężko. – Nie chciałem tego – przyznał skonsternowany. – Domyślałem się, ale… Nie sądzę, że byłbym w stanie… wtedy… nawiązać jakąkolwiek zdrową relację z kimkolwiek. Tylko bym go ranił. Mam nadzieję, że… – Ściszył głos do szeptu. – że to zrozumiał.

– Myślę, że tak – Polska przyglądał mu się łagodnie, z czułością w głębi swoich oczu; Litwa miał wrażenie, że wiedział co nieco o tym, jak rozpaczliwie Taurys szukał równowagi za oceanem, jakby inne niebo i inne wody mogły zaleczyć jego rany. – Nie miał do ciebie żalu. – Nagle uśmiechnął się szeroko. – Wow. Czy my właśnie wyspowiadaliśmy się sobie ze swoich niedoszłych związków, Licia?

– Nie mów tak głośno o spowiedzi – Taurys uniósł kącik ust. – Gilbert jeszcze usłyszy i znów zechce być twoim spowiednikiem.

Feliks natychmiast zrozumiał, co Litwa miał na myśli; jego jasne policzki pokryły się delikatnym rumieńcem.

– To było tylko raz, spił mnie miodem! – zawył Feliks z oburzeniem; Taurys roześmiał się cicho na samo wspomnienie. – Miał habit! Sukinsyn zrobił to specjalnie, by mnie potem szantażować!

Obudzony śmiechem i krzykiem kot poderwał się i uciekł na drugi koniec łóżka; schowawszy się pod poduszką, Berta łypała stamtąd z podejrzliwością; Feliks pokręcił głową.

– A było już tak blisko – wymamrotał, ziewając szeroko.

Taurys również osłonił usta dłonią i zerknął na budzik stojący na stoliku nocnym; zbliżała się piąta rano i za oknem powoli zaczynało być jasno.

Od wielu, naprawdę wielu godzin byli na nogach, a poprzedniej nocy zaznali niewiele snu.

Obecność Feliksa, rozmowa z nim i to, w jaki sposób właśnie oparł się o jego ramię, przegnała nieprzyjemne myśli; poczuł, jak rumieniec wkrada się na jego policzki, ale nie zrobił nic, by przerwać ten moment.

Siedzieli tak jeszcze chwilę, usypiając na siedząco, bok przy boku, aż Taurys zorientował się, że Berta skrada się bezszelestnie w ich kierunku.

– No chodź, diablico, kici kici – Feliks sennie pochylił się ponad kolanami Litwy i wyciągnął dłoń do kotki. – No chodź…

Berta obwąchała jego palce i w końcu pozwoliła się pogłaskać. Polska wyprostował się z ożywieniem i błyskiem w zmęczonych oczach.

– Licia, widzisz? Lubi mnie!

– Zaczyna tolerować – Taurys nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Włosy Feliksa pachniały jabłkowym sadem. – Idźmy spać.

Odpowiedzią Feliksa było kolejne ziewnięcie; wstał i położył lekko dłoń na ramieniu Taurysa.

– Labanakt – mruknął, a Litwa uniósł na niego wzrok ze szczerym zdumieniem. Polska nie zaakcentował poprawnie, a ostatnia sylaba rozmyła się w kolejnym ziewnięciu, ale to nie miało znaczenia; w głębi siebie Taurys poczuł ciepło, którego nie czuł od bardzo, bardzo dawna.

– Labos nakties – wyszeptał w odpowiedzi.

Polska uśmiechnął się do niego zawadiacko i wyszedł z sypialni, gasząc za sobą światło. Litwa opadł na plecy; kot zwinął się w okolicy jego żeber jak futrzany termofor.

Zasnął bez problemu.

***

Nie był przyzwyczajony do wolnego; gdy zadzwonił poranny budzik, Ludwig wstał z łóżka, wyciągnął z szafy świeże ubrania i skierował się do łazienki. Dopiero kilka minut później dotarło do niego, że do pracy wraca dopiero następnego dnia; zmarszczył brwi ponad smarowaną marmoladą kromką i wzruszył ramionami; i tak już nie wróci do snu.

Po głowie przebiegały mu informacje, które zdobył, a złość na brata narastała; czego oni się spodziewają, pomyślał, rozbijając jajko o brzeg patelni, że powstrzymają to we trzech? Nie mają nic, ani zasobów, ani kontaktów.

– Nie jesteście w stanie nic zrobić – warknął, łapiąc za drewnianą łopatkę. – Popełniacie błąd. Możecie co najwyżej węszyć, ale i tak nie dotrzecie do niczego i nikogo ważnego, a tymczasem czas leci i...

Ludwig, zgrzytając zębami ze złości, położył czajnik na kuchence i wsypał łyżeczkę kawy do filiżanki. Dobrze, że Gilbert odsypiał tę ich szaloną wyprawę cholera-wie-gdzie, przynajmniej nie będzie marudził na jakość naparu…

– A ty znowu robisz to świństwo?

Niemcy wypuścił powietrze przez zęby i obejrzał się przez ramię. W drzwiach kuchni stał Gilbert, otwierając szeroko usta w potężnym ziewnięciu. Rozczochrany, bosy, jedynie w wymiętej bieliźnie, stanowił zupełne przeciwieństwo w pełni ubranego i wyszykowanego brata. Przecierał twarz dłonią i mrugał niezbyt przytomnie.

– O której wróciłeś? – zapytał Niemcy, odwracając się z powrotem do czajnika, by Prusy nie dostrzegł wyrazu jego twarzy.

Niejasno pamiętał dźwięczenie kluczy gdzieś w środku nocy i Prusy krzątającego się po mieszkaniu, by zabrać rzeczy kota, jak i samego kota.

Zalał kawę i sięgnął po drugi kubek. Wody powinno wystarczyć akurat na dwie porcje.

– Koło druuuuugieeeeej – Kolejne ziewnięcie. – Idę zaraz spać dalej, przyszedłem się tylko przywitać z moim małym braciszkiem…

– Mam nadzieję, że podróż minęła wam owocnie? – zapytał Ludwig z przekąsem, odwracając się w końcu w stronę brata.

– Bardzo – Gilbert wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. – Dostałem super zabawkę.

– To znaczy? – Ludwig zmarszczył brew. Prusy zniknął na korytarzu i kilka sekund później wrócił do kuchni, podrzucając coś w dłoniach. W czarnym, metalowym kształcie Niemcy rozpoznał pistolet. – Nie wolno ci mieć broni.

– Tobie też, panie prawo-ustawodawcze – parsknął Gilbert, muskając opuszkami palców spust; wycelował broń w okno i kilka razy poderwał dłoń do góry, udając odrzut wystrzału. – Myślisz, że nie wiem, co trzymasz we skrytce w piwnicy?

Ludwig poczuł, jak rumieniec pojawia się na jego policzkach. Chwała Bogu, że Gilbert nie podjął się przeprowadzenia szturmu na sejf, uznając najwidoczniej, że strzelba, którą kiedyś Niemcy tam schował, była zbyt nieporęczna.

Prusy zawsze wolał szybkostrzelne, wygodne zabawki; tylko miotacz ognia przewyższał pistolety ze względu na swoją efektywność... i efektowność.

– To – wycedził przez zęby Ludwig. – Jest na wszelki wypadek. Nie zamierzam nigdzie chodzić z nielegalną bronią, Gilbert. Ty też nie powinieneś, skądkolwiek to masz.

– Och, daj mi się nacieszyć – Prusy położył colta na blacie, tuż obok talerza z kanapkami. Złapał jedną z nich w zęby, sięgnął do szuflady ze sztućcami i wyciągnął stamtąd szpikulec do lodu. Pogwizdując wesoło między kęsami, zaczął rozbierać pistolet na części.

Ludwig westchnął ciężko; Gilbert zachowywał się jak dziecko, które otrzymało wcześniejszy prezent gwiazdkowy.

– Znasz jakiegoś dobrego mechanika, który nie zdziera góry hajsu? – zapytał nagle Prusy.

Ludwig, zbity z tropu pytaniem, zsunął na talerz jajecznicę – kanapki musiał zrobić sobie nowe, bo znikały z talerza w zastraszającym tempie – i spojrzał pytająco na Gilberta.

– W Marzahn, koło Seelgraben Parku – powiedział. – Po co ci to?

– Obiecałem Litwie, że dam mu namiary – Prusy wyciągnął iglicę z colta. – Miska olejowa mu pękła… A ty co robiłeś w tym czasie? – zagadnął, układając śruby obok siebie, od najmniejszej do największej, w perfekcyjnie wymierzonych odstępach. – Mam nadzieję, że nie zwariowałeś do końca i nie pracowałeś nawet na wolnym?

– Nie pracowałem – Ludwig wywrócił oczami.

Może i był pracoholikiem, ale bez przesady. Poza tym i tak nie miał w domu warunków do pracy, wszystkie dokumenty zostały w biurze. Spędził ten czas w sposób, który uważał za najlepszy odpoczynek.

– Posprzątałem trochę i obejrzałem wszystkie mecze piłki w telewizji – Zaczął jeść na stojąco, mając za akompaniament szczęk metalowych części; Prusy zaczął składać pistolet na nowo. Ludwig zmarszczył brwi, przypominając sobie mapy i treść swojej rozmowy z führerem. Ostrzeżenie Ferenca zabrzmiało żywo w jego umyśle. – Czyli... załatwiliście to, co chcieliście?

– Mhm... – Prusy porwał ostatnią kanapkę. – Komunikacja i broń załatwione. Polen mnie wkurwił kilka razy, ale poza tym, wszystko układa się świetnie. Lit ma jednak łeb do strategii, kto by się spodziewał po tym poganinie.

Ludwig zanotował słowa brata w myślach. Umowa, którą zawarli, chcąc nie chcąc, nad kieliszkiem Goldwasser, ciągle obowiązywała; nie zamierzał ingerować, dopóki ta banda nie zrobi czegoś źle. Na razie, jak zdążył się zorientować, ich działania nie wyszły poza fazę przygotowań.

Gilbert ufał, że Ludwig nie doniesie fuhrerowi o niczym – Niemcy również nie chciał tego robić. Na razie, bo jeśli będzie to konieczne...

– Polubiłeś Bertę? – zagadnął Prusy.

Niemcy skrzywił się na samo wspomnienie tego koszmarnego kota.

– Nie dziwię się już, że nosi twoje imię. Nigdy nie widziałem tak nieposłusznego stworzenia – dodał z przekąsem, ale Prusy nie wyczuł aluzji.

– Nie reaguj jak ten polski idiota – skomentował Gilbert, wywracając oczami. – To piękne i inteligentne zwierzę. Prawdopodobnie najmądrzejszy mieszkaniec Viktoriastraße. Nic dziwnego – dodał po chwili z zadumą. – Sam ją nazwałem, imię zobowiązuje... O, zrobiłeś kawę? – Prusy zamrugał, dopiero teraz zauważając drugi kubek. Sięgnął po niego, upił łyk i skrzywił się wyraźnie. – Bruderherz, błagam, nie kupuj więcej tego szajsu! Przecież tego nie da się pić! Próbujesz mnie otruć?!

Ludwig syknął przez zęby.

– To porządna kawa w dobrej cenie – powiedział głośniej. – Mnie smakuje.

– Kompletnie nie masz smaku, Bruderherz – Gilbert wyprostował ramiona ponad głową i ziewnął szeroko. – Kto wygrał, pamiętasz?

– Co?

– W sobotę o szesnastej trzydzieści grała Borussia, nie pozwolili mi słuchać relacji w radiu – poskarżył się Prusy, całkowicie nieświadomy gonitwy myśli, która właśnie rozpoczęła się w głowie młodszego brata. – Nie widziałem ostatnich siedmiu meczy. Wygrali w końcu?

Ludwig wziął długi łyk własnej kawy. Owszem, przez ostatnie dwa i pół dnia oglądał namiętnie mecze w telewizji, ale w sobotę o szesnastej trzydzieści pukał do drzwi Ferenca Weigla. Nie miał pojęcia, z kim grała ulubiona – chociaż w czasach wojennych nieco problematyczna – drużyna Gilberta ani jaki był wynik tego starcia.

– Wygrali – powiedział spokojnie. – Trzy do jednego.

Prusy wyszczerzył się szeroko, a Niemcy, czując kwaśną kawę na języku, poczuł, że prędzej czy później pożałuje tego kłamstwa.

Rozdział XXI: W rozbitych formach

W oczekiwaniu na klientów, którzy lada moment powinni zjawić się w sklepiku, Francis Bonnefoy miał o czym rozmyślać.

Stojąc za kasą, pośród stosów schludnie ułożonej prasy, od niechcenia przebiegał wzrokiem po nagłówkach i akapitach dzienników i czasopism. Tłuste litery prawiły o tym, co zwykle; nowych przepisach, poważniejszych wypadkach, lokalnych wydarzeniach i artystycznych występach; nawet te ostatnie nie przykuwały jego uwagi.

Wąskie, krótkie kolumny z modą czy towarzyskimi plotkami też omijał. Już lata temu mu spowszedniały; te same kroje, te same barwy, te same nazwiska…

Od pewnego czasu znacznie bardziej niż pierwsze strony interesowały go ostatnie, chociaż jak dotąd nie natknął się tam na żadne znajome nazwisko. Trochę podnosiło go to na duchu – Francis w wolnych chwilach czytał nekrologi.

Pojawiały się rzadko i niewiele ich bywało, bo niewiele osób w imperium hołdowało jeszcze tej tradycji; Francja przebiegał wzrokiem po imionach nieznanych mu ludzi, spoglądał na obce daty narodzin i śmierci i rozmyślał, dużo rozmyślał.

Coraz mocniej narastało w nim poczucie, że popełnił duży błąd. Gdy nadarzyła się okazja, by porozmawiać o tym, o czym nie wolno było rozmawiać, słowa płynęły z jego ust wartko i nieustannie ku uszom wdzięcznego słuchacza; słuchacza, który teraz zniknął bez słowa, jakby nigdy go nie było.

Zbyt ufnie podszedł do człowieka, który przedstawił się jako sojusznik Gilberta; Francis uniósł oczy na zakurzoną witrynę i spojrzał przez nią na prawie pustą uliczkę, wzdychając ciężko.

Jasne fasady kamienic przesłoniły mu południe; szkoda, że nie mógł osobiście pojechać do Wenedig, by upewnić się, że jego podejrzenia są nieuzasadnione.

Nie powiedział, rzecz jasna, wszystkiego; na temat Charlottenburga mówił niechętnie, mimo zaciekawionego błysku w oczach człowieka, który tak płynnie rozmawiał z nim po francusku; uśpił moją czujność, pomyślał gorzko Francis, moim własnym pięknym językiem.

Nie podzielił się swoimi podejrzeniami co do krzywd, które spotkały biedną Erzsébet ani nie pisnął słówka o gwałtownej reakcji Gilberta. Nie wspomniał też o tym – opuścił wzrok na leżące przed nim dzienniki i przewrócił jeden z nich na ostatnią stronę, tam, gdzie czerniły się krzyże – że widział kogoś łudząco podobnego do dawno zmarłego Feliksa Łukasiewicza.

A im dłużej o tym myślał, im dłużej odtwarzał w pamięci wygląd kelnera, jego postawę, rysy, barwę oczu i włosów, tym mocniej nabierał przeświadczenia, że ów dawno zmarły wywinął im wszystkim niezły numer.

I nie miał najmniejszego pojęcia, co z tym fantem zrobić.

***

Komunikacja miejska nigdy nie była jego ulubioną formą transportu; Taurys z ulgą wysiadł z dusznego, tłocznego wagonu tramwaju, przepuściwszy przed sobą młodą kobietę, a potem wciągnął w płuca powietrze przesycone spalinami.

Gdyby mógł, przyjechałby tutaj swoim wysłużonym autem, ale volkswagen stał obecnie na kanale w warsztacie samochodowym w Marzahn. Taurys miał ogólne pojęcie o samochodach, wynikające z długoletniej jazdy, ale kwestie napraw wolał zostawić profesjonalistom. Akurat w tej kwestii miał pewność, że Gilbert polecił mu fachowców; Prusy za bardzo kochał motoryzację, nawet jeśli w grę wchodził tak wysłużony staroć.

Litwa miał nadzieję, że będzie mógł odebrać auto jeszcze przed poniedziałkiem; nie czuł się komfortowo bez obecności swojego samochodu przed blokiem. Dojazd do pracy to jedno; powinni mieć pod ręką sprawny pojazd, na wszelki wypadek…

Środowy poranek był znacznie chłodniejszy niż poprzednie dni, co manifestowało się zachmurzonym niebem i chłodnym, momentami silnym wiatrem. Litwa zawsze lubił wietrzną pogodę; miał wtedy wrażenie, że łatwiej mu się oddycha, jakby w jego płuca dostawało się więcej tlenu niż zwykle miało powietrze.

Dzisiaj wiatr niewiele pomagał; Taurys miał wrażenie, że się nim dławi.

Uspokój się, nakazał sobie w myślach, odchodząc kilka kroków od tramwajowego przystanku. Stanął przy koszu na śmieci i sięgnął do kieszeni. Chłód metalu pod palcami nieco go otrzeźwił.

Przesuwał opuszkami palców po krawędziach kluczy, rozpoznając dotykiem ich przeznaczenie; kanciasty klucz do drzwi mieszkania i jego identyczna kopia, dwa z czterech. Pozostałe dał Feliksowi i Gilbertowi… Płaski kluczyk do szkolnej szafki, z przywiązanym kawałeczkiem wypłowiałej wstążki z nazwą placówki. Malutki, przymocowany sznurkiem do pozostałych, bo delikatne kółeczko już dawno się złamało, piórowy kluczyk do skrzynki pocztowej na parterze.

Świat wokół niego pędził; po ruchliwej uliczce berlińskiego Mitte przejeżdżały kolejne samochody, a na szerokich chodnikach, odgrodzonych barierkami od jezdni, kłębiły się tłumy ludzi. Stał tak, na tramwajowej wysepce pośrodku, długą chwilę, próbując zmusić się do wykonania kroku.

Nie było sensu zwlekać, prawda? Taurys wziął głęboki oddech i uniósł oczy. Po lewej stronie ulicy wznosiła się elegancka, brązowa fasada kamienicy; jak głosiła złota tabliczka obok potężnych, drewnianych drzwi, znajdowała się tu filia jednego z medycznych uniwersytetów.

Zdał sobie sprawę, że zewsząd słyszy syreny karetek. Gdy się rozejrzał, dostrzegł szyldy aptek, sklepów medycznych i wszelakich klinik; nad tym wszystkim wznosił się zaś wysoki, ogromny gmach szpitala Charité, jego dzisiejszego celu.

Więc nie pomylił przystanku; trzykrotnie sprawdził mapę połączeń w Netzwerku, ale wydawało mu się, że podróż trwała zbyt krótko jak na taką trasę…

Z duszą na ramieniu Taurys wszedł na pasy. Pewnie po wakacjach, gdy wrócą tu studenci, będzie tu jeszcze większy tłok, pomyślał mimochodem, włączając się w ruch przechodniów na chodniku.

Rzadko bywał w tej części miasta, nie musząc zaglądać ani do aptek, ani do lekarzy – personifikacji rzadko dotykały ludzkie dolegliwości, chociaż ostatnimi czasy Litwa miał coraz większe wątpliwości, czy aby powinien dalej nazywać się personifikacją.

Budynek nieubłaganie się przybliżał; nie chcąc myśleć o tym, dlaczego tam szedł – wstydziłbyś się, Lit, pomyśl o Erzsébet, skarcił siebie w myślach – obrócił w głowie nazwę tego największego berlińskiego szpitala.

Charité. Miłosierdzie, jeśli dobrze zapamiętał. Wyprawa na drugi koniec kraju dała Litwie do zrozumienia, że w pozornie jednolitym państwie dalej istnieje językowa różnorodność, ale pozostawienie francuskiej nazwy dla tak ważnego obiektu kłóciło się z aktualnym porządkiem, w którym tylko znając niemiecki można było uzyskać wykształcenie czy dostać dobrą pracę… Czemu więc, tutaj, w samym środku Berlina…?

– Już wiem – mruknął nagle Taurys, gdy dotarło do niego, kto nadał szpitalowi tę nazwę. Obejrzał się na budynek, który dopiero co minął. Na tabliczce znajdowało się znajome imię. – Oczywiście, że ją zostawili. Nie ośmieliliby się zataić, że zrobił to twórca pruskiego drygu.

Fryderyk Wilhelm I, jeden z tych władców, których Zjednoczona Rzesza Niemiecka zawsze wynosiła na piedestał, wyselekcjonowawszy z porzuconej przeszłości…

Gilbert go nienawidził, Taurys z trudem sobie przypomniał, sięgając ku zacienionym zakamarkom własnej pamięci. Ale czemu żywił takie uczucia w stosunku do własnego władcy?

Przypomniał sobie chwilę później, gdy zatrzymał się przed przejściem na pieszych, wpatrując się w czerwień. Tak, pamiętał tę historię; personifikacje całej Europy żyły wówczas szeptanymi plotkami o młodziutkim księciu, który zapragnął wolności, i o tragicznym zakończeniu ucieczki, gdy krew jego przyjaciela, może kochanka, rozlała się po bruku.

Tak, Gilbert nienawidził tego króla. Za to, co zrobił Fritzowi.

Do tego księcia, a późniejszego króla Prusy zawsze miał słabość. Personifikacje zawsze unikały nawiązywania bliskich relacji ze śmiertelnymi ludźmi, wcześnie nauczywszy się bólu związanego z ich odejściem, ale Gilbert stał u boku tego człowieka od dnia narodzin aż do samego końca.

Taurys westchnął i wbił dłonie w kieszenie czarnych, świeżo wyprasowanych spodni, jednych z lepszych par, jakie posiadał. Szaroniebieska koszula, przypominająca swoim odcieniem burzowe chmury, też prezentowała się na nim całkiem dobrze, co stwierdził z lekkim zaskoczeniem.

Feliks znów dobrał się do jego szafy, ale dzisiaj Litwa był mu za to wdzięczny; przynajmniej nie musiał odpowiednią prezencją zaprzątać sobie i tak już skołowanej głowy.

Zielone światło; jeszcze tylko pasy, sklep medyczny i znalazł się tuż przy szlabanie blokującym wjazd na parking pod szpitalem. Odruchowo przystanął; ktoś za nim sarknął niecierpliwie i ominął Litwę, nim Taurys zorientował się, że zablokował ruch. Wymamrotał pod nosem przeprosiny, ale postawna kobieta już się oddaliła.

Usunął się na bok, patrząc na wąski chodnik prowadzący do jednego z wejść szpitala, wzdłuż którego posadzono szpaler tuj, czując, jak węzeł w jego żołądku zaciska się boleśnie.

Tuje symbolizują szczęście i długowieczność, pomyślał mimochodem. Nie był pewny, na ile była to szczęśliwa wróżba dla pacjentów tego szpitala, a na ile okrutny żart.

Stawianie kroków było koszmarnie trudne; chciał odwrócić się i uciec, chociaż wiedział doskonale, że to nie miało żadnego sensu. Gdyby dzisiaj nie pojawił się na komisji, biuro i tak by go tu ściągnęło; może byłby to zwykły list z naganą, a może oficerowie, którzy przeszukiwali jego mieszkanie, zaciągnęliby go siłą…

Oszklone drzwi obklejone były informacjami, poradami, adresami i numerami sprecherów; z duszą na ramieniu złapał za klamkę i wsunął się w jasno oświetlony korytarz. Pachniało środkami odkażającymi, jak w każdej takiej placówce, nie tylko w szpitalu, ale też u weterynarza, do którego chodził z Bertą, a trochę jak w…

Znieruchomiał, gdy jego umysł podsunął mu wspomnienie zimnej bieli lamp, odbijającej się od kafelków na ścianie i przykrytego od stóp do głów nieruchomego ciała.

Zagryzł wargi tak mocno, aż poczuł ból, a potem zmusił się do postąpienia kroku naprzód. Nie, Lietuva, zganił siebie w myślach. Wiesz, że to była mistyfikacja…

Nikt nie zauważył jego zastoju i bladości; ludzie siedzący na krzesłach przeglądali z szelestem stosy papierowych wyników badań, rozmawiali szeptem, czytali gazety albo po prostu wpatrywali się w przestrzeń.

Z sercem próbującym wyrwać się z piersi Litwa skierował się ku biurku recepcji.

W liście nie podano nic więcej poza adresem tej zwykłej przyszpitalnej przychodni, podejrzewał więc, że ktoś tutaj musiał być wtajemniczony. Albo, co bardziej prawdopodobne, wykonywać rozkazy i wiedzieć, że nie powinien o nie pytać.

– Tak, słucham? – Młoda kobieta za biurkiem uniosła na niego oczy i uśmiechnęła się miło. – W czym mogę panu pomóc?

Litwa zmusił się do uśmiechu; przelotnie pomyślał, że wyglądał jak wielu ludzi tutaj. Musiała być przyzwyczajona do widoku ludzi chorych i cierpiących…

List co prawda nie nakazywał mu dyskrecji, ale Litwa postanowił ją zachować.

– Nazywam się Taurys Laurinaitis – odezwał się szeptem, tak, jak zrobiłby to każdy pacjent, nie chcący opowiadać o swoich problemach w tak cichym korytarzu. – Miałem się tu dzisiaj zgłosić...

– Już sprawdzam… – Recepcjonistka zerknęła na ekran komputera i wpisała pierwsze kilka znaków. Nie umknęło mu znajome zawieszenie palców nad klawiaturą. – Mógłby pan powtórzyć nazwisko?

Litwa po prostu je przeliterował. Duszno tutaj, pomyślał i powstrzymał odruch odpięta górnego guzika. Koszmarnie duszno… Chciałbym, by był tu Feliks, pomyślał. Chciałbym usłyszeć jakiś jego żart, opowiastkę, cokolwiek, by tylko…

– Dziękuję... Tak, widzę, że pan był umówiony. Proszę tutaj w lewo, schodami na trzecie piętro. Gabinet trzysta osiem. Proszę poczekać pod drzwiami, zostanie pan wywołany.

Skinął jej głową z bladym uśmiechem na równie bladej twarzy. Mając wrażenie, że nogi ma jak z ołowiu, ruszył we wskazanym kierunku.

Minął kolejne rzędy krzeseł, kilkanaścioro ludzi, czekających na przyjęcie pod gabinetami, przeszedł obok kobiety i mężczyzny w kitlach, zastanawiając się gorączkowo: może to oni?

Ale nie, nie poświęcili mu ani ułamka swojej uwagi; pchnął drzwi na opustoszałą klatkę schodową. Gdy zamknęły się za nim same, Litwa oparł się o ścianę i osłonił dłonią oczy, drżąco wypuszczając powietrze z płuc.

Nie możesz się tu załamać, Lit, nakazał sobie ostro, chociaż z nerwów zaczynało mu robić się niedobrze. Nie masz prawa. Inni... inni mają gorzej. Jak możesz się bać tej komisji, podczas gdy Erzsébet…

W gardle czuł gulę, która rosła w miarę pokonywania kolejnych stopni, gdy krok za krokiem zbliżał się do wyznaczonego gabinetu, do komisji zleconej przez biuro.

Bardzo, bardzo starał się zachować twarz przy Feliksie i nie pokazać, jak bardzo go to przerażało… a przecież nie miał traumy związanej z ciałem, już nie – blizny były tylko bliznami.

I właściwie, gdy już wspiął się na pierwsze piętro, zdał sobie sprawę, że to nie nagości się boi.

Lekarze i pielęgniarki, nawet jeśli wysłani przez biuro, byli tylko opieką zdrowotną; ile razy jego ciało widzieli medycy i znachorzy? Dziesiątki, jak nie setki na przestrzeni zamglonych wieków. Ciało było naturą; natura nie rozumiała, czemu miałaby wstydzić się samej siebie, a do oglądania swojego ciała przez strażników przywykł, gdy byli jeszcze więzieni przez Rzeszę.

Nie, to konsekwencji tej komisji się bał; jaka będzie diagnoza? Uznają go za sprawnego mężczyznę i umieszczą pod baczniejszą obserwacją, jakby miał już za moment złapać za broń?

O mało nie roześmiał się histerycznie, stawiając stopę na kolejnym stopniu. O, jak niedaleko od prawdy by byli!

A może... może uznają, że jest tylko chorym, zaniedbanym kaleką, może nie na ciele, ale na umyśle, bo jego głowa już dawno powinna zwariować, po tym, jak Zjednoczona Rzesza Niemiecka wyrwała z niej jego rdzeń i naturę... Zamkną mnie gdzieś, znów wszystko stracę…

Na ratunek jego głowie przyszło ciało; gdy dotarł na drugie piętro, ciężko dyszał i to prozaiczne trudności ze złapaniem oddechu rozwiały jego czarne myśli, nim pogrążył się w nich całkowicie. Cholera jasna, pomyślał, czując sprzeciw nóg, mam fatalną kondycję.

Nie miał zbyt wiele ruchu w ostatnich latach i spacerował coraz rzadziej. Może, pomyślał, przystając na przerwę na oddech, może powinienem naprawdę zacząć bardziej o siebie dbać.

Jeśli sprawy potoczą się źle, z taką kondycją będę tylko problemem; niepotrzebnie spowolnię Feliksa, jeśli trzeba będzie uciekać albo walczyć...

Zdecydowanie muszę coś ze sobą zrobić, postanowił, zmuszając się do pokonania ostatnich dziesięciu stopni.

Przeszklone drzwi z cyfrą trzy były już na wyciągnięcie ręki. Próbował sobie wmówić, że szaleńczo bijące serce to wynik męczącej wspinaczki, nie strachu.

Trzymając się tej myśli jak tonący, pchnął drzwi i znalazł się na kolejnym korytarzu, identycznym z tym, który przed chwilą opuścił. Tylko pacjentów było tu mniej; jakaś dziewczynka rysowała na papierze kwiaty i koty, jej matka siedziała z przymkniętymi oczami, drobna staruszka spoglądała w przestrzeń marzycielsko, a drewnianą laskę oparła o ścianę obok krzesła… Litwa miał wrażenie, że już kiedyś ją widział; miała dziwnie znajome rysy.

Nogi miał jak z waty; osunął się na wolne krzesło obok kobieciny, tuż pod gabinetem trzysta osiem.

– To pan – Ku jego zdumieniu staruszka uśmiechnęła się do niego. – Myślałam, że już pana więcej nie zobaczę. Świat jest jednak mały, prawda?

Taurys nie miał najmniejszego pojęcia, co powinien jej odpowiedzieć, a gardło dalej miał ściśnięte. Zmusił się tylko do grzecznego uśmiechu, usilnie przeszukując swoją dziurawą pamięć.

Kto to? Może kiedyś spotkałem ją, gdy była młoda? Ma takie znajome oczy, ale czas jest dla ludzi bezlitosny…

Rysująca dziewczynka odezwała się głośno do matki; Litwa prawie nie usłyszał łagodnego szeptu po swojej prawej stronie.

– Przyszłam na kontrolę – wyjaśniła staruszka, chociaż wcale nie zapytał. Najwidoczniej i ona potrzebowała rozmowy z drugą istotą; w tym przypominała Litwę jego samego, z tym, że on odzywał się do Berty, nim Feliks powrócił do żywych… i do życia Taurysa. – Całe życie myślałam, że jestem zdrowa jak ryba, ale jak zobaczyłam na cmentarzu, jak młodych podstępnie zabiera choroba, to pomyślałam, że pora wziąć się za siebie. Ostatnio tak brzydko kaszlę.

Nagle zrozumiał. Jej słowa, jej mowa, jej słabiutki akcent…

– Pamiętam panią – wykrztusił Taurys, a komisja całkowicie wyleciała mu z głowy. – Pytała mnie pani o … o grób przyjaciela.

Kilka dni przed końcem roku szkolnego, on i Cmentarz Zasłużonych, gdzie stał nad fałszywym grobem, nie wiedząc jeszcze, że Polska wcale nie umarł. Niemalże wyrzucił to spotkanie z pamięci; teraz spojrzał kobiecie w oczy, w jej piwne, ciepłe tęczówki otoczone zmarszczkami wieku, szukając… sam nie wiedział czego.

Ciekawe, kim była?, pomyślał. Czy pamięta jeszcze stary świat, czy pamięta starą Litwę?

– Modliłam się za niego – powiedziała ciepło, a on spoglądał na nią w zdumieniu, bo nigdy ten pomysł nie przeszedł mu przez głowę; nawet gdyby jeszcze w cokolwiek wierzył, wątpił, czy w zaświatach było jakieś miejsce dla takich jak oni. – I za pana też.

Nagle poczuł, jak coś staje mu w gardle; przełknął z trudem ślinę i pochylił głowę.

– Dziękuję – wyszeptał szczerze Taurys.

– Wie pan co? – Staruszka spojrzała ciepło na dziewczynkę, która wyprosiła od matki gazetę i teraz, oparłszy papier o ścianę, domalowywała politykom wąsy. Mała pacjentka nuciła głośno niemiecką piosenkę o kocie. – Mam już osiemdziesiąt cztery lata. Jak sobie pomyślę, ile w życiu przeżyłam i ile widziałam… Jak weszli do Paneriai, to miałam dwa latka. Nic nie pamiętam. Matula uciekła ze mną na strych szopy, bo się bała.

Dopiero po kilku długich sekundach Taurys rozpoznał nazwę; zesztywniał na krześle, gdy lokalizacja tego miejsca, a tym samym wiedza o wydarzeniach niegdyś się w nim dziejących, powróciła do jego głowy.

– Potem było Preludium, tak to nazwali – kontynuowała staruszka, a Litwa zorientował się, że mówi o wcześniejszych wydarzeniach. – To już pamiętam, jak wzięli mi ojca do armii. Mała byłam. Mówiłam, że ma taki śliczny mundur – Na jej suche, zwiędłe wargi wypłynął uśmiech politowania. – A potem była wojna i wszyscy oszaleli z nienawiści. A w lesie, tym samym, w którym szukałam jagód, lała się krew.

Litwa opuścił wzrok na lśniącą czystością podłogę poczekalni, wbijając wzrok w spoiny między płytkami. Wiedział, kto i kogo mordował.

– Ja wiem – Kobieta dalej przyglądała się dziewczynce. Matka drzemała na krześle, a jej córka zajmowała się kolejnym rysunkiem, wydając się w ogóle nie zwracać uwagi na monolog starszej pani. – Że pan pewnie pomyśli, że kłamię, że już mi na głowę na starość siadło. Tego nie ma w podręcznikach…

– Wierzę pani – zaprotestował ochrypłym szeptem, ale kobieta zdawała się go nie słyszeć. Sięgnęła po laskę, oparła na niej ramiona i westchnęła, patrząc przed siebie.

– A dziesięć lat tej wojny... Chwała Bogu, że przestano się tak zabijać jak mrówki, kogo popadnie, ale ile żyć… Potem było już spokojnie, na szczęście. Tylko ta nieszczęsna Uciana. Mój starszy brat…

Kolejne wspomnienie przeszyło głowę Taurysa jak kula z bezlitośnie wystrzelonego pistoletu; już pamiętał, skąd zna ten piwny odcień oczu. Patrzył w niego wiele razy, głęboko w ciemnych piwnicach kamienic, gdy błyszczały podekscytowaniem i naiwnym entuzjazmem, a potem, gdy policja zaczęła dobijać się do drzwi, zapłonęły czystą paniką.

Rytis, tak miał na imię. Bardzo kochał Liepę, swoją młodszą siostrę, której zawsze zdjęcie trzymał za pazuchą, blisko serca. Taurys widział ją tylko raz, z daleka, gdy Rytis pokazał mu dziewczynkę bawiącą się na podwórzu, zaledwie dzień przed incydentem uciańskim…

…podczas którego zamachnął się na Litwę nożem.

– Aresztowano go – mówiła Liepa, podczas gdy Taurys próbował zrozumieć, jakim zrządzeniem losu po tylu latach, w stolicy pięciusetmilionowego kraju, spotkał właśnie ją, siostrę mężczyzny, który zrobił Litwie ostatnią bliznę. – Odsiedział swoje i to go zmieniło… Pochowałam go pięć lat temu.

– Tu, w Berlinie? – wychrypiał Litwa, wstrząśnięty, gdy kolejny raz uderzyła w niego ludzka śmiertelność. Czy to dlatego spacerowała po Cmentarzu Zasłużonych tamtego dnia, tuż przed wakacjami?

– Jego koło Neukaunas – Liepa pokręciła głową i uśmiechnęła się delikatnie na wspomnienie zmarłego. – Cmentarza, na którym leżeli nasi rodzice, już nie ma, więc pochowałam go w Neukaunas. To mnie pochowają w Berlinie, koło mojego męża – Staruszka opuściła dłoń na pomarszczone, drobne dłonie; na lewej dłoni błyszczała się złota obrączka. – Już tam na mnie czeka…

– Pan Laurinaitis? Zapraszam.

Taurys, słysząc swoje nazwisko, wypowiedziane całkowicie obojętnym tonem, aż drgnął. Zdając sobie sprawę, że na moment, zasłuchany w szeptach przeszłości, przemawiającej do niego ustami Liepy, całkowicie zapomniał, po co tu jest, poderwał się niezgrabnie z krzesła.

– Ale pana zagadałam, przepraszam... Pan wybaczy starej kobiecie...

– Nie, ja… – Litwa zawahał się, zerkając to na pielęgniarkę stojącą w otwartych drzwiach z numerem trzysta osiem, to na zakłopotaną staruszkę. – Norėčiau tau padėkoti, Liepa – wyszeptał w końcu, bardzo, bardzo cicho.

Nie oglądając się za siebie, przekroczył próg gabinetu lekarskiego.

***

Gilbert obracał w palcach dwa klucze. Nowy wyglądał niemal identycznie jak stary; odróżniały go jedynie różnice w układzie ząbków, na tyle drobne, by dostrzec się dało je jedynie wtedy, gdy położyło się go tuż obok oryginału, a na tyle różne, by otwarcie nim właściwego zamka było niemożliwe.

Gdyby nie jeden mały szczegół, Prusy byłby bardzo z siebie zadowolony. Uniósł oba klucze do światła i utwierdził się w przekonaniu, że nie, nie ma halucynacji, a szkoda.

Nowy klucz aż lśnił; stary dawno już stracił na połysku i przyciemniał.

– Cholera – mruknął Prusy. – Tego nie przewidziałem. Jeśli wsadzę go do gablotki, będzie go widać z kilometra.

To już łatwiej byłoby wymienić cały zamek… Jeszcze raz przyjrzał się metalowi i skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę. Na pewno znajdzie sposób, by jakoś go postarzyć. Do poniedziałku jeszcze kilka dni, uwinie się z tym raz, dwa.

Ślusarz kupił jego bajeczkę o planowanym żarcie na bracie i nie pytał o szczegóły; kupił dosłownie, bo Gilbert hojnie opłacił usługę, nonszalancko przebijając cennik niemal trzy razy. Czasami potencjalny problem należało po prostu zalać pieniądzem; oszczędzało to dużo zachodu, a akurat forsy Beilschmidtom nie brakowało.

Jak Gilbert już się zajmie odpowiednią prezencją kluczyka, wystarczy tylko przyjść odpowiednio wcześnie do biura, nim zjawi się w nim dyrektor i ten pieprzony służbista – Prusy zmarszczył brwi. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był pewny, że Lefevre pracuje w biurze dłużej niż mu się do tej pory wydawało. Po prostu był zbyt nudny i nijaki, by jakkolwiek rzucać się w oczy.

A więc wejść, otworzyć gablotkę i podmienić klucz. Małe piwo.

A gdyby ktoś próbował użyć tego klucza, na usta Gilberta wypłynął złośliwy uśmiech, czeka go niespodzianka. Nie będzie pasował do zamka; Litwa będzie się gęsto tłumaczył,

gdy go przydybią, miotał się we własnych słowach, szukał nieistniejących faktur, potwierdzeń nadania zgłoszenia, które nigdy nie dotrze do biura, robił przepraszającą, zakłopotaną minę i stanowił uosobienie zmieszania.

Co jak co, ale to potrafił doskonale; a jeśli ktoś zdecyduje, żeby wejść do mieszkania na Viktoriastraße siłą… Cóż, Gilbert liczył na to, że Polska zrobi dobry użytek z czasu, który Litwa mu kupi.

Gilbert odłożył klucze na bok i wyciągnął z kieszeni swój nowy, nieoficjalny – brzmiało ładniej niż „nielegalny" – sprecher i zerknął na pusty ekran.

Była środa, dzień, w którym wyznaczono wszystkim pozostającym pod kontrolą biura personifikacjom komisje lekarskie; Prusy nadal był wściekły, że listy rozesłano za jego plecami, ale teraz ważniejsze było nie to, kto zlecił komisje, ale to, jak przebiegły.

Interesowały go zasadniczo tylko dwie osoby, jedna znacznie bardziej niż druga. Oby lekarze w Tuluzie wykazali się zawodowym profesjonalizmem, inaczej Ludwig będzie musiał dokształcać się z prawa karnego…

A co do Litwy, niech będzie Gilbertowi wdzięczny za to, że Prusy osobiście, wiele lat temu, wpisał w jego papierowe akta koszmarny wypadek z początków Wielkiej Wojny Dziesięcioletniej; w tym całym chaosie dokumenty dotyczące katastrofy zgubiły się lub spłonęły, a nie żył już nikt, kto mógłby zaświadczyć, że tamtego feralnego dnia Taurys Laurinaitis nie wsiadł do wykolejonego pociągu.

Głosik, dziwnie przypominający swoim trzeźwym tonem Ludwiga, odezwał się z tyłu jego głowy: kiedykolwiek mu o tym wspomniałeś?

Prusy zmarszczył brwi, ale zaraz potem wzruszył ramionami.

– Jestem przepracowany – rzucił z urazą w kierunku lodówki. – Poza tym – dodał po chwili zastanowienia. – Jakie to ma teraz znaczenie? Nikt go o to pytać nie będzie.

Zerknął kolejny raz na sprecher, a potem wstał od kuchennego stołu. À propos kolei, postanowił zajrzeć na rozkłady pociągów w Netzwerku.

Ot tak, na wszelki wypadek.

***

Taurys nie tego się spodziewał; obracając w głowie słowo „komisja", podświadomie wyobrażał sobie długi stół i rząd krzeseł wypełnionych ludźmi o surowych, zimnych oczach i wolną przestrzeń, na której stałby w oczekiwaniu na werdykt.

Trzysta osiem było niczym innym jak najzwyklejszym gabinetem lekarskim; w oszklonych gablotkach leżały narzędzia i stały rzędy ciemnych buteleczek, a kozetka, którą wskazała mu pielęgniarka, była zaskakująco miękka. Przysiadł na jej skraju.

– Proszę się rozluźnić – Siedząca za biurkiem kobieta w średnim wieku ledwie na niego spojrzała spod okularów. Całą swoją uwagę poświęcała komputerowi, do którego coś wolno wklepywała. – Zaczniemy od ogólnego badania i pobrania krwi, potem przejdzie pan do pokoju obok. Na koniec gabinet okulistyczny i laryngologiczny.

Litwa skinął głową, zaciskając mocno usta. Dopiero teraz zauważył białe drzwi po swojej prawej stronie i jego nikłe nadzieje szybko się rozwiały. Nie powinno mnie to dziwić, pomyślał, obserwując, jak pielęgniarka otwiera szufladę i szuka w niej igły.

To publiczny szpital, na korytarzach są przypadkowe osoby – ktoś mógłby wejść bez pukania, pomyliwszy pomieszczenia zajrzeć przez uchylone drzwi… To tylko gra pozorów. O zwykłym człowieku wchodzącym do zwykłego gabinetu wszyscy szybko zapomną, nawet jeśli wdali się z nim w rozmowę w poczekalni…

– Proszę rozpiąć koszulę i podwinąć rękawy.

Chłodny metal dotknął jego klatki piersiowej; oddychał i wstrzymywał oddech zgodnie z poleceniami lekarki, wpatrując się tępo w wiszący na ścianie plakat z zaleceniami prawidłowego odżywiania. Nie skomentowała jego wychudłej piersi ani ciągle widocznych żeber, ale Litwa nie wiedział, na ile to grzeczność, a na ile obojętność.

Potem wokół jego ramienia boleśnie zacisnął się mankiet ciśnieniomierza. Starał się uspokoić, podczas gdy kobieta w skupieniu przyciskała stetoskop do jego skóry, chociaż wątpił, czy to w ogóle ma sens; serce dalej biło mu jak oszalałe.

Lekarka bez słowa zdjęła mankiet i skinęła na pielęgniarkę. Środek odkażający, pachnący ostro czystym alkoholem, zakręcił się Taurysowi w nozdrzach, gdy pielęgniarka przesunęła wilgotnym wacikiem po zgięciu jego łokcia.

Nie było trudno się wbić, na jego jasnej, bladej skórze żyła wyróżniała się aż zbyt dobrze; Taurys tępo wpatrzył się w strzykawkę wolno napełniającą się czerwienią.

Ciekawe, pomyślał, jak nasza krew wygląda pod mikroskopem. Uchwycił się tej myśli jak tonący, nie chcąc zgadywać, co czeka go za białymi drzwiami. Jak bardzo różni się od krwi zwykłych ludzi? Czy… czy może ich gatunek byłby w stanie pomóc umierającym ludziom przez przetaczanie im swojej krwi?

Szkoda, że Rzesza tak bardzo dbała o to, by ich istnienie było tajemnicą; może, gdyby ktoś mądry przeprowadził nad nimi porządne badania, przyrównał je do wiedzy, którą ludzie już posiadali o grupach krwi…

Próbując myśleć o wszystkim, tylko nie o dalszej części tego dnia, siedział przez chwilę pozostawiony sam sobie – na czole wystąpił mu pot i Litwa czuł się dziwnie słabo, ale wątpił, że to wynik wkłucia. Chociaż, może, kto wie, dawno już odzwyczaił się od utraty krwi…

Zajrzano jeszcze do jego uszu, gardła i nosa, błyśnięto maleńką latarką w źrenice.

– Dziękuję. Proszę przejść do pokoju obok. Po wszystkim proszę jeszcze udać się do gabinetów trzysta dziesięć i trzysta siedemnaście i będzie pan wolny.

Litwa wstał automatycznie; mniej zamglonym fragmentem umysłu zarejestrował cichutkie uderzenie czegoś małego o skórzaną powierzchnię kozetki. Nim zdążył zareagować, pielęgniarka chwyciła go za przedramię i pokierowała w stronę drzwi; przeszedł przez nie, natychmiast zapominając o tym, co właśnie usłyszał.

I tutaj strach w końcu objawił się w pełni, podszedł mu go gardła czystą, obrzydliwą żółcią, chociaż nie miał dzisiaj w ustach nic poza łykiem wody.

To była *komisja*; był stół, były krzesła, byli kobiety i mężczyźni o chłodnych oczach, patrzący na niego oceniająco i chociaż nosili lekarskie kitle, natychmiast pojął, że ma do czynienia z wojskowymi.

Było coś w nich; w oczach, w ramionach i postawie. Opuścił wzrok na pokryty białym suknem stół; na blacie leżał dość duży aparat fotograficzny, stos kartek i metalowe pudełko pozbawione jakichkolwiek oznaczeń. Zatrzymał się w pół kroku, jak zamrożony w miejscu.

– Proszę wejść za parawan, rozebrać się i wejść na wagę – poleciła mu młoda kobieta. – Wystarczy do bielizny – dodała, jakby zauważając dyskomfort Taurysa i błędnie interpretując jego przyczynę.

Skinął głową i zmusił się do przejścia we wskazanym kierunku. Schowany za wyblakłym, błękitnym parawanem drżącymi rękoma zdjął z siebie ubranie, złożył je w kostkę na krześle i chwilowo ukryty, zmusił się do wzięcia kilku głębokich, świszczących oddechów.

Nie dał sobie więcej niż pół minuty; nie było sensu tego przeciągać. Wyszedł zza parawanu i stanął na żelaznej, wysokiej wadze; na wysokości oczu miał miarki i odważniki, ustawiane odpowiednio przez tę samą kobietę.

Miała chłodne spojrzenie i ciemne włosy; jeden niesforny kosmyk uciekał spod ciasnego koka.

– Sto siedemdziesiąt dziewięć centymetrów wzrostu. Pięćdziesiąt pięć kilogramów.

– Niedowaga – Zza stołu padła natychmiastowa odpowiedź.

Taurys uniósł wzrok ponad ramieniem brunetki; młody lekarz od razu zapisał coś w dokumentach i złapał jego spojrzenie.

– Proszę podejść – powiedział spokojnym głosem.

Litwa nie miał innego wyjścia; zatrzymał się może metr przed stołem, przełykając ślinę. Gardło miał wysuszone na wiór. Kobieta w koku zajęła miejsce za stołem.

– Chorował pan na coś w ostatnich sześciu miesiącach?

Kłamstwo było proste.

– Nie.

– Przyjmuje pan jakieś leki?

– Nie.

Szmer długopisu na papierze.

– Proszę stanąć prosto.

Wykonał polecenie, patrząc ponad ramionami komisji na przyszpitalny parking. Starał się oddychać jak najspokojniej; jak na razie nie było źle, ale…

– Proszę się odwrócić.

Kolejne suche polecenie; Taurys obrócił się na pięcie i spojrzał na parawan. Usłyszał za sobą stłumiony wdech i miał wrażenie, że to ta młoda kobieta, ale żadnej innej reakcji na widok swoich pleców nie usłyszał.

Jest w porządku, powiedział sobie, starając się w to uwierzyć. Po prostu oceniają postawę; szukają wad, deformacji, chorób skóry… Mają na to wyczulone oczy, pewnie pracują na co dzień w wojskowych komisjach…

– Dziękuję, jest pan… – Litwa usłyszał za sobą głos młodego lekarza i już miał się odwrócić, wypuszczając z ulgą powietrze, gdy następne słowa usadziły go w miejscu:

– Pana akta mówią, że te blizny to wynik poważnego wypadku. Może pan powiedzieć coś więcej?

Wypadku…?

Myśli Taurysa pomknęły przed siebie jak oszalałe ze strachu zwierzęta; akta, jakie akta? Sprawozdania medyczne, o których mówił Gilbert? Gilbert wiedział o jego bliznach, wiedział, czyje ręce je stworzyły... Gilbert wyciągnął ich wszystkich z cel, Gilbert miał dostęp do danych przechowywanych w systemie, sam to potwierdził...

Jak wypadek? To nie był wypadek, Gilbert doskonale zdawał sobie sprawę, że takie ślady nie…

– To był… – wykrztusił z siebie i zamilkł, bo tylko tyle był w stanie z siebie wydobyć. Nagle zabrakło mu powietrza, a klatka piersiowa ścisnęła się boleśnie.

Nie spodziewał się tego pytania. Nie miał pojęcia, co Prusy wpisał w jego akta; szansa, że strzeli na oślep i trafi odpowiednio, była tak nikła… A kłamstwo przyniesie podejrzenia, a podejrzenia biura to ostatnie, czego Litwa chciał, zwłaszcza teraz.

Serce biło mu tak szybko, jakby za moment miało wybuchnąć.

– Pytam, bo większość z nich wygląda jak blizny po głębokich ranach ciętych – Lekarz, który zadał mu te przeklęte pytanie, miał głęboki, starszy głos. Brzmiał, jakby zastanawiał się nad jakimś filozoficznym problemem, a nie przyczyną tego, że przez głowę Taurysa przebiegały właśnie wspomnienia, których z całego serca nienawidził. – Lub po ranach szarpanych, kilka z nich. Z zawodowej ciekawości, jaki dokładnie był to wypadek?

Mijały ciężkie, długie sekundy…

– To mniej istotne – Młody lekarz odezwał się podniesionym tonem. – O ile nie odczuwa pan jakichś powikłań, nie mamy więcej pytań.

Litwa pokręcił głową; tylko na tyle było go stać. Zerknął niepewnie przez ramię; stary lekarz piorunował młodszego wzrokiem, wyglądając na oburzonego. Kobieta w koczku po raz pierwszy od początku komisji posłała Taurysowi zdystansowany, blady uśmiech, a w jej oczach mignął cień współczucia.

Skinął głową; tylko na tyle było go stać.

– Dziękuję. Jeszcze tylko zdjęcia i odciski i od nas to wszystko, panie Lauritis.

Uśmiechnął się gorzko do siebie; przynajmniej jedna rzecz była po swojemu.

***

Kołdra leżała w nieładzie, poduszka zsuwała się na ziemię; Feliks kolejny raz poderwał się na równe nogi i ze sprecherem przy uchu spróbował okrążyć salonik. To sprowadzało się do trzech większych kroków między fortepianem a szafką z telewizorem; potem Polska znów opadł na kanapę.

– Erzsi, kochanie... – zaczął bezradnie, po raz któryś w ciągu ostatnich kilku godzin.

– Wiem, Felek – Głos Węgier drżał nieco mniej, wciąż jednak był nabrzmiały od łez. – To naprawdę nie było... Nikt nic mi nie zrobił ani nie powiedział... po prostu muszę... muszę się uspokoić. Taurys już wrócił?

– Nie – Polska zerknął na drzwi prowadzące na mały, wąski korytarz.

Od paru godzin był sam. Przychodnia, do której kazano przybyć Erzsébet, leżała zaledwie kilka minut spacerem od jej mieszkania, ale Litwa musiał pojechać komunikacją miejską do największego szpitala w Berlinie. Sama podróż w jedną stronę trwała przynajmniej godzinę, ale i tak Polska nie zamknął drzwi na klucz za Litwą, łudząc się, że ten wróci szybko.

– Posiedź trochę z nim dzisiaj – odezwała się Węgry w słuchawce sprechera. – Ja... zajmę się obiadem, trochę popracuję... To... to chyba dobrze mi zrobi. Dziękuję, że... że zadzwoniłeś.

– Chciałbym mieć tu was oboje – jęknął cicho Feliks, kuląc się na kanapie.

Czuł się okropnie; pocieszając jednego przyjaciela, myślami był przy drugim. Mógł tylko wyobrazić sobie, jak źle czuje się Erzsébet po tej wymuszonej wizycie; rozmowa na odległość nie przekazywała wszystkiego.

Taurys wróci lada moment i chociaż próbował sprawiać wrażenie, że nie przejmuje się tak komisją, Polska znał go zbyt dobrze; Litwa przez ostatnie kilkanaście godzin był kłębkiem nerwów.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Polska poczuł się całkowicie, beznadziejnie bezużyteczny, bo jedyne co mógł zrobić z tą komisją, to czekać, aż przeminie.

– Wiem – szepnęła Węgry. Usłyszał ciche pociągnięcie nosem. – Też bym chciała być obok, Felek, ale... ale mamy zadanie do wykonania. Musimy się trzymać. Wszyscy. Omówimy to wszystko na spokojnie, gdy… gdy się uspokoimy – dodała niemrawo, ale w jej słowach zabrzmiała mocniejsza nuta.

Feliks oparł głowę o kolana i westchnął ciężko.

– Jeśli u każdego wygląda to tak samo, dostaną sporą aktualizację do akt…

– Bardziej mnie martwią te fotografie i odciski – głos Węgier był tylko trochę zdławiony. – Przestaliśmy być... Jesteśmy mniej anonimowi niż byliśmy wcześniej.

Feliks skinął głową, zapominając, że Erzsébet go nie widzi; wszystkie akcje od tej pory w rękawiczkach, zanotował w myślach. I nie dawać sobie zrobić zdjęcia na miejscu akcji, zakrywać twarz i włosy…

Drgnął gwałtownie, słysząc dźwięk naciskanej klamki po drugiej stronie drzwi wejściowych.

– Erzsi, Licia...

– W razie czego zadzwonię do Gilberta – powiedziała miękko. – Omówimy wszystko później. Trzymaj się, Felek.

Rozłączyła się. Feliks odrzucił sprecher na kanapę, wstał i szybko wyszedł na korytarz, przygryzając wargę. Tam napotkał Taurysa; Litwa zerknął na niego, a potem bez słowa oparł się o ścianę i zaczął zdejmować buty.

Polsce nie umknęła jego chorobliwa bladość.

– Licia? – odezwał się cicho, podchodząc bliżej.

Krzywy, wymuszony uśmiech, który pojawił się na ustach Litwy, był jedyną odpowiedzią. Gdy Taurys się wyprostował, Feliks bez wahania sięgnął do jego rąk.

Na opuszkach palców dalej widniały ciemne ślady tuszu.

– Nie było tak źle – wyszeptał Litwa.

Potem zrobił kolejny, chwiejny krok. Gdy oparł głowę o ramię Feliksa, Polska natychmiast puścił poplamione dłonie i otoczył Taurysa ramionami. Stali tak długą chwilę; Litwa przygarbiony, ze schowaną twarzą, Polska delikatnie gładząc jego plecy.

W pierwszej chwili wydawało mu się, że Litwa lekko się wzdrygnął, ale zaraz potem przylgnął do Feliksa mocniej, oddając uścisk.

Między ich nogami zaczęła krążyć Berta, pomiaukując niespokojnie. Odkąd Taurys wyszedł, siedziała gdzieś za lub pod jego łóżkiem, nawet jeśli Feliks próbował ją wyciągnąć z tej kryjówki. Musiała usłyszeć powrót Litwy i przybiec.

Polska o mało co nie parsknął histerycznym śmiechem.

Jaka czujna, pomyślał, pełen podziwu dla tej futrzanej obrończyni. Przecież nie robię mu krzywdy, diabełku.

– Przepraszam – Taurys odsunął się od Polski. Na jego policzkach pojawiło się nieco koloru.

– Za co? – Feliks zmusił się do uśmiechu, a potem złapał za wiszącą bezwładnie rękę Litwy. – Chodź – dodał dziarskim tonem. – Nic dzisiaj nie jadłeś. Ugotowałem obiad.

– Naprawdę?

– Naprawdę, to przyniosłem z restauracji dwie ulice dalej – przyznał Feliks z zakłopotaniem. Na ustach Taurysa pojawił się cień uśmiechu. – Nie miałem głowy.

– Martwiłeś się o Erzsébet...?

O Erzsébet i ciebie, głuptasie.

– Rozmawiałem z nią. Jest… w porządku. Chodź, Licia – Polska pociągnął Taurysa w stronę kuchni. – Zjemy coś. A potem w telewizji jest fajny film, obejrzymy – paplał jak najęty.

Litwa szedł za nim bez sprzeciwu; gdy Polska obejrzał się za siebie, dostrzegł w ciemnozielonych oczach przebłyski wdzięczności.

Berta, unosząc wysoko ogon, biegła za nimi.

***

O tej porze biuro relokacji było ciche i całkowicie puste; dwa kwadranse po siedemnastej nawet najbardziej oddani pracy ludzie opuścili już budynek urzędu miejskiego.

Szczerze wątpił, czy poza znudzoną recepcjonistką, niecierpliwie odliczającą do osiemnastej i stróżem nocnym, który dopiero kilka minut temu wszedł do budynku, ktokolwiek jeszcze się w nim znajduje.

Lefevre było to bardzo, ale to bardzo na rękę.

Sekretarka, ta głupia dziewucha, uciekła kilka minut po piętnastej, zaraz po tym, jak za dyrektorem zamknęły się drzwi. Lefevre poinformował ją, że sam odda klucze do biura na recepcję, gdy tylko skończy pracę.

Na potwierdzenie swoich słów pokazał jej stos zaległości, ale dziewczyna ledwie na niego spojrzała; wyszła pośpiesznie, jakby bojąc się, że i ona zostanie wciągnięta w papierkową robotę.

Słyszała, oczywiście, ostatnią awanturę o mieszkanie w Wenedig, która rozgrywała się za zamkniętymi drzwiami gabinetu dyrektora – Gilbert pieprzony Beilschmidt był głośny nawet wtedy, gdy szeptał. Tym razem było to Levefre na rękę; zaoferował pomoc w uporządkowaniu chaosu w dokumentach dotyczących mieszkań, a dyrektor, wdzięczny za to, że nie musi robić tego osobiście, dziękował mu długo i wylewnie.

To była szansa Antona Levefre'a – powoli, spokojnie i uczynnie zdejmować kolejne obowiązki z ramion człowieka, który chciał jedynie odsiedzieć swoje osiem godzin i dostać za to sowitą wypłatę.

Wygodniccy ludzie byli godni pogardy, ale za to jacy użyteczni…

Do systemu, w którym znajdowała się reszta danych, do tej pory nie uzyskał dostępu, ale to jeszcze nic straconego; teraz mógł na spokojnie przeanalizować sytuację mieszkaniową obserwowanych, nie obawiając się, że ktokolwiek go nakryje.

Lefevre otworzył teczkę z adresem mieszkania na berlińskiej Viktoriastraße i zmarszczył brwi, spoglądając na surowy plan niewielkiego mieszkania na trzecim piętrze. Kuchnia i łazienka, mały salon i pokój – plan dokładnie pokrywał się z rzeczywistością, a więc to nie tutaj musiał szukać wskazówek.

Sięgnął po pojedynczą kartkę; umowa wynajmu na czas nieokreślony między biurem a lokatorem. Lefevre uniósł brew i wczytał się w suche formułki.

Obowiązek dbania o powierzone mienie, nic szczególnego… Obowiązek zawiadamiania o ingerencjach i remontach, mniej typowe, ale wciąż zrozumiałe. O, to było interesujące; jedynie wynajmujący miał prawo do rozwiązania umowy.

– W świetle prawa nie jesteś równą stroną tej umowy, panie Laurinaitis – mruknął Lefevre. – Kwota… Zero marek.

Dodatkowy paragraf umowy określał, że koszty mediów i drobnych remontów Taurys Laurinaitis pokrywać będzie z własnej kieszeni, ale to i tak byłyby śmieszne kwoty.

Nawet za tak małe mieszkanie w centrum stolicy imperium trzeba było sporo zapłacić; nauczyciela muzyki, nawet dobrze opłacanego, pewnie ledwie byłoby na to stać.

Cóż, więźniowie nie płacili za pobyt w celach, prawda? Lefevre zamknął teczkę i zastukał palcami w karton. Czternaścioro więźniów udających zwykłych ludzi... Więźniów, których pilnowanie już dawno zeszło na psy.

System kulał; chęć utrzymania istnienia tych ludzi w ścisłej tajemnicy skutkowała tym, że zaledwie kilka osób było zaangażowanych w wizytacje. W wyniku tego kontrole były cykliczne i przewidywalne aż do bólu; Lefevre spojrzał na dokument z grafikiem, który ukradkiem wyciągnął z biurka Beilschmidta.

Przez dziesięciolecia stały się też niczym więcej niż tylko rutyną, przykrym obowiązkiem do odhaczenia, a więc ich wartość była zerowa...

Taurys Laurinaitis mógł robić co chciał, byle tylko w piątek wizytacja przebiegła poprawnie. Co za szopka; stwierdził z niesmakiem Levefre, marszcząc brwi. Szkoda, że nie byłem w stanie wkręcić się w kolejną wizytację. Kim w ogóle jest ten Edelman?

Trzeba zrobić tu porządek; z tą czternastką i z samym Beilschmidtem.

Wróci w poniedziałek, pomyślał mściwie Levefre, zerkając na wiszący na ścianie kalendarz. Ogłaszał wszem i wobec, że jedzie do Wenedig, a nie zatrzymał się w żadnym z hoteli w mieście.

Zamknął akta i spojrzał na pozostałe teczki. Kilka mieszkań pozostawało niezamieszkanych, jedna zawierała informacje dotyczące lokalu, który został sprzedany dekadę wcześniej.

Dekady...

– Skoro istnieją personifikacje krajów, które nasz kraj podbił i włączył do siebie – wyszeptał Anton Lefevre, smakując to słowo na języku. To była dziwna, przedziwna koncepcja, ale wyjaśniała tak wiele; tyle przeprowadzek, kontrole, dziwne rządowe tajemnice i młode oczy o starym spojrzeniu. – To gdzie jest personifikacja naszego kraju? Czy personifikacja może umrzeć na raka płuc? I kim, do cholery, jest Beilschmidt?

Pozostawało jeszcze wiele, wiele pytań, na które Lefevre chciał poznać odpowiedź.

***

W czwartek nie obudził się we własnym łóżku.

Czując w nozdrzach przyjemny zapach jabłek, Litwa uniósł ciężkie od snu powieki, by ujrzeć włączony, ściszony telewizor; jakaś kobieta prezentowała pogodę dla zachodnich części kraju. Ręka Feliksa, wyciągnięta daleko poza kanapę, była otwarta; pilot od telewizora leżał na podłodze dokładnie pod nią.

Obaj we wczorajszych ubraniach, leżeli przy sobie, na wpół przykryci lekką, letnią kołdrą; druga ręka Polski otaczała ramiona Taurysa, podczas gdy podbródek opierał się o czubek jego głowy. Sądząc po spokojnym oddechu, który słyszał za sobą, Feliks dalej spał.

Litwa przymknął oczy z cichym westchnieniem. Nie pamiętał, kiedy zasnęli. Całe popołudnie i wieczór spędzili w salonie, prawie nie rozmawiając; kolejne filmy przemykały w telewizji i tylko od czasu do czasu wymieniali się uwagami dotyczącymi ich fabuł.

Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo tego potrzebował; komfortowej ciszy, obecności drugiej osoby obok siebie i możliwości skupienia uwagi na czymś innym, gdy jego myśli ciągle powracały do komisji. Będą musieli to omówić, ale... ale nie chciał robić tego wczoraj.

Nie pamiętał, kiedy i w jaki sposób znaleźli się tak blisko... ale to nie tak, że mu to przeszkadzało, wręcz przeciwnie, było miło i... bezpiecznie.

Do jego uszu dobiegło ciche mruczenie; gdy lekko się podniósł na łokciu i rozejrzał, zauważył, że Berta leży skulona gdzieś między nimi, tworząc na wysokości ich łydek futrzaną poduszkę.

Litwa uśmiechnął się do siebie; potem Feliks przysunął się bliżej nieco z sennym pomrukiem na ustach. Taurys poczuł, jak się czerwieni i w zmieszaniu schował twarz w zagłębieniu łokcia, zdając sobie sprawę, że jakaś część niego chce się odwrócić, odwzajemnić uścisk, przylgnąć do drugiego ciała, tak jak kiedyś, dawno, dawno temu, gdy leżeli razem w splątanych pościelach…

Cóż, Polska spał, kto wie, czy w ogóle był świadomy tego, że się przytula, pomyślał Litwa. Skoro on sam nie pamiętał, jak znaleźli się w takim położeniu… Feliks zawsze był przylepą, lubił kontakt fizyczny, ale Taurys nie chciał wprawiać go w zakłopotanie, gdy się już obudzi…

Berta, diabeł w kociej skórze, przerwała jego dylematy; przeskoczyła ponad jego nogami, przemknęła wzdłuż ciała, otarła się głową o jego szyję, a potem zamiauczała w niebogłosy, komunikując mu władczo, że jest głodna.

– Mała, proszę, ciszej – jęknął Taurys, słysząc za sobą jęk sprzeciwu.

Położył dłoń na aksamitnym grzbiecie kotki, mamrocząc do niej błagalnie i ostrożnie zdjął z siebie rękę Feliksa. Usiadł, a kot natychmiast wpakował mu się na kolana. Głaszcząc Bertę za uchem, Taurys obejrzał się za siebie; głośny okrzyk kocicy na szczęście nie obudził Polski, który schował głowę w poduszce.

Litwa cicho wstał, delikatnie położywszy kota na ziemi. Sięgnął po kołdrę i nasunął ją na ramiona Polski. Berta obserwowała go uważnie.

– Już idę – zapewnił ją zduszonym szeptem. – Też jestem głodny, wiesz?

Kotka ruszyła do drzwi; Taurys zatrzymał się w pół kroku i opuścił dłoń na ramię śpiącego Feliksa.

– Dziękuję, że tu jesteś, Feliksai – wyszeptał.

Potem ruszył w ślad za kotem, a uśmiech dalej błąkał się na jego wargach; jak pustynna lilia, budząca się do życia po dziesięcioleciach zabójczych upałów, kwitła w nim świadomość, że nie jest, w końcu nie jest sam i cokolwiek się stanie, ktoś będzie stał u jego boku.

Berta mruczała jakby radośniej, gdy uzupełniał miskę i głaskał jej miękki grzbiet; ruta, chociaż straciła niemalże wszystkie kwiaty, wyglądała o wiele lepiej niż wtedy, gdy Feliks ją przyniósł i nawet przykre, bolesne wspomnienia, do których rozpamiętywania był zmuszony podczas komisji, mniej dusiły.

Wypadek… „Wypadek” był silnymi, zbyt silnymi dłońmi i zbyt podekscytowanymi oczami; jakby Iwan był zafascynowany każdym stłumionym jękiem bólu i każdą strugą ciepłej krwi na skórze...

Taurys wzdrygnął się i skupił wzrok na słonecznych promieniach, padających na podłogę przez zakurzone, kuchenne okno. Jakaś część niego była wdzięczna Gilbertowi; inna czuła do niego głęboki żal.

Miał nadzieję, że Erzsébet nie zapytano podobnych pytań; gdyby tak było, Feliks pewnie nie byłby tak opanowany…

Zacisnął zęby i zajął się przygotowaniem śniadania, chociaż zwykle robił to Polska; tym razem Litwa musiał zająć czymś ręce.

Ostatnią część komisji zapamiętał najgorzej; sfotografowano go jak przestępcę, z każdej strony, przyciśnięto palce do poduszki z tuszem – nie brutalnie, ale też nie delikatnie – a potem wysłano na jakieś dodatkowe badania, może dla niepoznaki, a może faktycznie potrzebowali tych danych.

Pamiętał mechaniczne odczytywanie liter z tablicy i krótki chłód metalowego otoskopu w uchu, badania, po których po prostu zostawiono go samego sobie w szpitalnych korytarzach, z drżącymi dłońmi i ściskiem w gardle.

W powietrzu rozszedł się zapach kawy; wciągnął go w płuca, pragnąc, by ta krótka chwila lekkości zaraz po przebudzeniu wróciła. Jest w porządku, Lietuva, powiedział sobie. Wszystko jest w porządku. Jest tu Feliks. Jest czwartek, jutro pojawi się tu Austria, po raz drugi i ostatni w zastępstwie za Gilberta, a w poniedziałek zaczyna się nowy rok szkolny.

Ty wracasz do szkoły, Gilbert do biura – i dopiero wtedy możecie w pełni zacząć działać. Wtedy w końcu poczujesz się lepiej.

Bardzo chciał w to uwierzyć.

***

Chociaż po wydarzeniach ostatniego tygodnia, ich szalonej wyprawy pod granicę i komisji lekarskiej, która rozstroiła jego nerwy doszczętnie, Litwa spodziewał się problemów, piątkowa wizytacja Austrii przebiegła gładko. Coraz więcej rzeczy mieli do ukrycia – gdyby oficerowie znaleźli broń, byłoby źle – ale wciąż byli w stanie je zebrać i wynieść poza mieszkanie.

– Część z tego musi trafić do Beilschmidtów. Nie możemy dłużej polegać na niekompetencji biura.

Polska przytaknął. Siedzieli przy wieczornej herbacie – Feliks kategorycznie zabronił Taurysowi picia więcej niż dwóch kaw dziennie, na to Litwa niechętnie się zgodził. Biorąc kolejne, parzące przełyk łyki słabego naparu, Taurys pomyślał, że może ograniczenie kofeiny wyjdzie mu na dobre… Spróbować nie zaszkodzi.

– Broń zostaje – zastrzegł Feliks. – Masz mieć ją zawsze przy sobie.

– Nie wezmę broni do szkoły pełnej dzieci – Litwa potrząsnął głową.

Nie zamierzał trzymać broni przy sobie albo chować jej w szafce, nawet zamkniętej na klucz. Nawet schowek samochodu zaparkowanego na parkingu był ryzykowny; osobiście znał paru nastolatków, którzy mogliby wpaść na bardzo głupi pomysł.

Gdyby z jego powodu doszło do tragedii, Taurys nigdy by sobie nie wybaczył.

Feliks opuścił ramiona.

– Racja – przyznał zmieszany, jakby dopiero teraz pomyślał o implikacjach. – Coś takiego… Uch, Alfred miał parę takich sytuacji… – Potrząsnął głową, lekko blednąc na samą myśl i przygryzając dolną wargę.

Zawsze był szczególnie wyczulony na krzywdę dzieci, pomyślał Litwa, spoglądając na Feliksa. Były takie niewinne… i ta niewinność rozpalała w ludziach pokłady nienawiści.

Jego myśli pobiegły do Liepy i miejsca jej narodzin. Mijał te okolice, gdy wędrował ku ruinom Wilna, ale w cichych lasach ani jedna jego myśl nie pomknęła ku ofiarom, które spoczywały pod leśnym runem, zbyt skupiony był na własnym bólu.

W tym czasie Litwy od kilku lat nie było na mapie; były tylko landy na wschód od Prus Wschodnich, ich dodatkowe przedłużenie, a on sam był na smyczy Rzeszy rządzonej przez Hitlera, niewiele mu mówiono i niewiele pokazywano, ale…

… Ale domyślał się, czuł posmak krwi na języku, gdy patrzył w sufit szeroko otwartymi oczami, budzony instynktem i przeczuciem, które ich gatunek posiadał, tym okropną zdolnością do wyczuwania przelewu krwi, o którym już niemal zapomniał…

W całym imperium takich zapomnianych miejsc było wiele; nowa historia wybieliła najczarniejsze karty, pozostawiając jedynie te, które można było pokryć fałszywym wstydem; potem, gdy wojna się kończyła, już pod nowym führerem, Litwa wiele razy zastanawiał się, czy nie mógł zrobić więcej, zrobić… czegokolwiek. Chociaż… chociaż tam pójść, chociaż krzyknąć…

Polska miał w sobie szaleńczą odwagę, by wziąć broń, iść i nieustępliwie walczyć, aż do powstania, które złamało polskiego ducha; Litwa swoją odwagę stracił wiele lat wcześniej.

– O czym myślisz? – zagadnął Feliks łagodnie, miękko.

O tym, jak wiele ludzi straciło życie w imię wypaczonej narodowej świadomości, odpowiedział Taurys w myślach. I jak wielkim tchórzem byłem, siedząc bezczynnie w biurze-celi, nie robiąc nic, by powstrzymać mord. I… o tym, że czasem przebiega mi przez myśl, że może jeden kraj i jeden naród to było dobre rozwiązanie… i Zjednoczona Rzesza Niemiecka ma sens.

Coś z tych emocji musiało odbić się na jego twarzy; Feliks podniósł się ze swojego krzesła i okrążył mały stół.

Litwa poczuł dłoń delikatnie dotykającą jego policzka.

– Licia…

Uniósł oczy i zmusił się do uśmiechu. Zielone jak łąka oczy były pełne niepokoju.

– O przeszłości – szepnął wymijająco. Rozmawiali już o krwi i nienawiści, nie chciał rozdrapywać dalej tych ran.

Uśmiech, który pojawił się na wargach Feliksa, nie był radosny, ale nie był też nieszczery; dłoń zsunęła się na ramię Taurysa i tam zacisnęła.

– Przeszłości już nie ma – powiedział cichutko. – Ale mamy jeszcze przyszłość.

My.

Litwa pomyślał o spacerze w parku, w ciepłej, wieczornej Tuluzie, o pocałunku w policzek i przyjemnej pobudce na kanapie poprzedniego dnia; na jego wargi powrócił delikatny uśmiech. My, powtórzył w myślach. Ja i on.

– W niedzielę będę zajęty – odezwał się cicho, niepewny słów, które chce wypowiedzieć. – Jutro… jutro prawdopodobnie też. Szkoła…

Polska skinął głową.

– Czy… chcesz iść ze mną na spacer?

Potrzebował dać ujście niepokojowi; gdy mieszkał w Itteville, spacerował całymi godzinami, wyrzucając z siebie lęk jak niechcianą energię. Pomyślał, że chciałby wrócić do tego zwyczaju, zamiast bić się z myślami w czterech ścianach. Od środy, odkąd wrócił ze szpitala, nie wychodził na krok.

I potrzebował odbudować kondycję, by nie być ciężarem dla Feliksa – od tego mógłby zacząć. I… i po prostu chciał iść z nim na spacer, jak dwójka normalnych ludzi.

– Jasne – odparł natychmiast Feliks. – Chcesz iść teraz?

Litwa przytaknął.

– Tylko zadzwonię i dam znać Erzsi, że pogadamy trochę później – zgodził się Polska.

Od środy rozmawiali przez sprecher kilka razy dziennie; Litwa wychodził do innego pomieszczenia, dając im prywatność, ale przez ściany ciągle słyszał stłumione szepty.

Otworzył usta, by wycofać swoją propozycję; zdecydowanie bardziej potrzebowała wsparcia Feliksa niż on. On sobie poradzi, udawało mu się to przez ostatnie dziesięciolecia… Jakoś.

– Możemy iść kiedy indziej – bąknął zmieszany. – Ona…

– Ma się lepiej – Dłoń Polski oplotła się wokół jego palców i pociągnęła w górę; Litwa odruchowo wstał. Oczy Polski były poważne, gdy postąpił ku niemu o krok. – Spokojnie, Licia. Chodź – dodał, a coś w jego oczach zabłysło łobuzersko. – Też chcę się przejść.

Poszli; Feliks, trajkocząc wesoło, zamykał drzwi kluczem, który Taurys niedawno mu dał.

***

Stół kuchenny zajęty był przez spięte spinaczem maszynopisy i luźne odręczne notatki; Erzsébet westchnęła i odłożyła długopis. Wyprostowała się na krześle, zauważając, że w kuchni zrobiło się już ciemno; wzdrygnęła się i wstała, by zaświecić światło.

Tłumaczenie było już na ukończeniu i gdyby się skupiła, mogłaby skończyć tę pierwszą wersję jeszcze przed północą… ale nie potrafiła się skupić.

Co chwila kątem oka widziała gwałtowny ruch, który okazywał się falowaniem firanki, cienie w kątach wyrastały do rozmiarów bestii, a natłok myśli w głowie wywoływał gwałtownie bicie serca, drżenie rąk i poczucie, że się dusi.

– Erzsi – powiedziała sobie, trzymając dłoń na włączniku światła i skupiając się na jego twardości i fakturze. – Przecież się, nic, kurwa, nie stało.

Nawet jej głos twierdził inaczej; drżał i łamał się w sposób, którego nienawidziła. Zaciskając mocno wargi, sięgnęła do kieszeni i pogładziła palcami klawiaturę sprechera, odruchowo wystukując numer, który znała już na pamięć.

Nie; nie powinna dzwonić do Feliksa kolejny raz. To nie miało sensu; rozmowa podniesie ją na duchu tylko na chwilę, a jemu znów przypomni o rzeczach, na które nie miał wpływu.

On już wystarczająco się zamartwiał, nawet jeśli starannie chował to w wesołości swojego głosu. Niech spędzi trochę czasu z Taurysem; wiedziała przecież, że za nim tęsknił.

Węgry uśmiechnęła się smutno i opadła na krzesło. Skryła twarz w dłoniach, oddychając głęboko, próbując skupić się tylko na powietrzu, które wciągała do płuc, ale jej myśli wciąż szalały.

Nikt nie zapytał. Nikt nawet jej nie dotknął, pomijając krótki, delikatny chwyt na przedramieniu, gdy igła wbiła się w jej skórę w niemal niezauważalnym ukłuciu; nic wielkiego, a znieruchomiała jak zwierzę w świetle reflektorów auta, myśląc jedynie o ucieczce i jednocześnie nie będąc w stanie się ruszyć...

– Najgorsze jest to – szepnęła Feliksowi w sprecher, widząc go oczami wyobraźni; skulonego na kanapie, z przygaszonymi oczami i opadłymi ramionami. – Że ja *wiedziałam*, że nic mi nie zrobią. Moja własna głowa robi ze mnie... – nie skończyła.

Jej zęby szczęknęły o siebie, gdy mocno zacisnęła szczęki.

Sześć lat, pomyślała gniewnie. Sześć lat przegrywałam sama ze sobą i mam już tego dość. I widzę tylko jeden sposób, by wygrać.

Wystukała na klawiszach inny numer. Połączenie zostało odebrane niemal natychmiast, jakby rozmówca tylko na nią czekał.

– Gilbert – rzuciła, wkładając w swój głos tyle stali i siły, ile tylko była w stanie. – Pamiętasz, jak nauczyłeś się pływać?

– Oczywiście – padła odpowiedź, chociaż od wydarzeń, o które Węgry pytała, upłynęły stulecia. – Wrzucili mnie z zaskoczenia do rzeki i obstawiali zakłady, czy wypłynę. Czemu pytasz?

Przymknęła oczy.

– Jako dzieciak bałeś się wody, prawda?

– Ja? – prychnął Prusy w słuchawce. – Żartujesz sobie.

Erzsébet uśmiechnęła się blado, bo znała odpowiedź na pytanie, które sama zadała.

– Wiem, że przez ostatnie parę lat chroniłeś mnie i pilnowałeś, bym nie zbliżała się do wody – zaczęła wolno, wiedząc, że Prusy zrozumie aluzję. Wróciła myślami do Charlottenburga i Francisa swobodnie obracającego ją wokół siebie, nieświadomego chaosu, który w niej wywołał. – Ale teraz potrzebuję, byś mnie do niej wepchnął, bo inaczej już na zawsze zostanę na brzegu.

Przez chwilę słyszała tylko jego oddech, gdy rozmyślał nad jej słowami.

– ...Jak?

– Na następnym przyjęciu w Charlottenburgu, nim wejdę do teatru, będę tańczyć z każdym mężczyzną, jakiego zobaczę, a ty mi w tym pomożesz – powiedziała twardo.

Chociaż dzieliło ich setki kilometrów, Węgry niemal widziała uśmiech Prus; szeroki, drapieżny i zwycięski.

– Czyli mój urlop nie jest jeszcze stracony – powiedział triumfalnie. – Jutro będę u ciebie. Zabiorę cię do każdego klubu w Tuluzie, jaki tylko znam, siostro.

Gdy się rozłączała, na ustach miała bardzo słaby uśmiech; miała nadzieję, że ten krok nie będzie błędem; że pokona to, co pokonywało ją, a Prusy wyciągnie ją spod wody, jeśli zacznie tonąć.

Na nic się zda swoim chłopcom w ich misji, jeśli nie będzie potrafiła zapanować nad własnym lękiem; jeśli krwawe bitwy, po których kurz już dawno opadł, czegoś ją nauczyły, to tego, że najgorsze jest oczekiwanie na pierwszy cios.

Ona już go otrzymała; teraz musiała go oddać.

Rozdział XXII: Złote łączenie

Wąskie uliczki między zadbanymi, starymi kamieniczkami, chociaż pogrążone w ciemnościach letniej, dusznej nocy, wcale nie spały; tłumy młodych ludzi przelewały się między pubami ze śmiechem na ustach. Odbicia zawieszonych na murach lamp migotały w ich rozbawionych oczach.

Pod kręgami świateł ktoś palił hiszpańskie papierosy, rozglądając się ukradkiem, ktoś chował się pod markizą sklepu z alkoholem z pękatą butelką wina przytkniętą do spragnionych ust, ktoś inny krzyczał do sprechera trzymanego w dłoni...

Jakaś dziewczyna w kusej sukience tańczyła boso na kamiennym bruku; jej buty leżały zaraz obok grajka z gitarą, który odkładał instrument tylko po to, by napić się piwa. Dookoła zgromadził się już rozochocony tłum, gwizdami i okrzykami dopingując tańczącą. Jej śmiech przypominał rajskie dzwoneczki.

W innych okolicznościach Gilbert chętnie stanąłby w tym tłumie; wpadłby w zacienione zejścia do piwnic, gdzie chłodnym piwem kusiły puby, ruszyłby na parkiet, by tańcem wytracić energię, złość i irytację, a potem zatopiłby się w miękkich lożach, ze smakiem papierosa między wargami, aż do białego rana, może sam, może w towarzystwie.

W ostatnich latach zakończył tak wiele tygodni, budząc się w niedzielne ranki jeszcze na wpół pijany w berlińskim mieszkaniu, ku wyraźnej dezaprobacie brata, ale dzisiaj nie mógł sobie na to pozwolić.

Miał misję do wykonania i Bóg mu świadkiem, że zrobi wszystko, by się ona powiodła.

– W porządku? – zapytał, oglądając się przez ramię.

Erzsébet uniosła kącik ust w niemrawym uśmiechu i postąpiła krok do przodu. Włosy upięła w mały koczek, pozwalając jednemu kosmykowi błąkać się w okolicach szczęki. W luźnej, błękitnej bluzce bez dekoltu i w ciemnych, długich spodniach wyglądała ładnie, ale nie przykuwała do siebie zbyt dużej uwagi.

W zimnym świetle najbliższego neonu jej bladość pozostawała niemal niezauważona.

– W najlepszym – odparła, mrużąc oczy. W jej głosie zabrzmiała stalowa nuta; słysząc ją, Gilbert uśmiechnął się szeroko. – Dobrze wyglądasz.

– Wiem – Gilbert skinął głową bez cienia skromności. Biała jak śnieg koszula, czarne spodnie i wysokie buty, klasyka elegancji, zawsze leżały na nim doskonale, a tak przynajmniej uważał. Poza tym, to były *jego* barwy. Musiał wyglądać w nich dobrze. – Jak zawsze, Erzsi.

– A raczej, wyglądałbyś dobrze, gdybyś nie miał cieni pod oczami wielkości Alp – sprostowała Węgry, marszcząc lekko brwi. Pewność na jej twarzy zastąpiła troska. – Sypiasz w ogóle ostatnio, Gilbert?

Prusy prychnął.

– Sen jest dla słabych – odparł, wywracając oczami. – Idziemy?

Węgry patrzyła w milczeniu na jego wyciągniętą rękę. Jej własna dłoń, zaciśnięta w pięść, lekko drżała.

Prusy rozejrzał się czujnie po uliczce, ale nie patrzył na dwójkę ludzi stojących pod nieczynnym sklepikiem z pamiątkami.

Odetchnął i wciągnął w płuca powietrze; tu, na południu, było znacznie cieplej niż w Berlinie, pomyślał mimochodem. Tam lato lada moment się skończy, już robi się coraz chłodniej wieczorami, a tutaj wciąż trwa…

Biały blask neonu podkreślał linię napiętych ramion Erzsébet, całą jej sztywną sylwetkę i nagle cień lęku, tego samego, który setki lat wcześniej dopadł dużo młodszego Gilberta w silnych, zimnych wodach obcej rzeki, wkradł się do jego głowy.

Może… może to był koszmarnie zły pomysł. Może jest za wcześnie.

Z zamkniętymi oczami Węgry sięgnęła przed siebie; Prusy złapał jej dłoń natychmiast, zamykając w ostrożnym uścisku swoich palców.

Serce waliło mu o żebra głośno i szaleńczo. Gdyby w tej zatłoczonej uliczce Tuluzy było ciszej, był pewny, że słyszałby i jej serce.

Erzsébet wypuściła drżąco powietrze i uniosła powieki. Coś w jej oczach drżało, tak jak drżały jej ramiona, ale uścisk jej palców zaczął się wzmacniać, a krótkie paznokcie wbijać w skórę dłoni Gilberta coraz mocniej.

Prusy po prostu stał nieruchomo, pozwalając, by walczyła u jego boku z jej własnymi demonami, nie zwracając uwagi na rosnący ból, głupią drobnostkę. Minęła może minuta, może dwie; w końcu Węgry wypuściła z siebie urywany oddech i skinęła głową, rozluźniając uścisk.

– Idziemy – wyszeptała twardo, z oczami lśniącymi od łez, wciąż dygocząc, ale Gilbert wiedział, że to wygrała pierwszą bitwę. I był z niej cholernie dumny.

Droga do zwycięstwa będzie długa – ale oni nie zamierzali przegrać.

Bywały stracone potyczki i sytuacje, w których należało się wycofać – tak jak ta, kiedy Erzsébet zbladła, a jej nozdrza i usta zapomniały, jak to jest łapać oddech, i Gilbert wyciągał niemal bezwładną ją na zewnątrz, dając w mordę zbyt ciekawskiemu facetowi, albo ta, kiedy kuliła się na krawężniku, płacząc i przeklinając wszystkich, führera, drugiego, trzeciego, biuro, całą Rzeszę, tych trzech skurwysynów, a Prusy jedyne co mógł zrobić, to siedzieć obok i obiecywać, że powiesi ich wszystkich – ale Erzsébet za każdym razem wracała do boju, na parkiet.

I bladym świtem, gdy oboje ledwie trzymali się na nogach, potwornie zmęczeni, chociaż trzeźwi jak niemowlęta – nie pozwolił jej zamówić ani jednego drinka, nie pójdzie w ślady Kateryny, nie pójdzie w jego ślady – na policzkach miała ślady niewysychających łez, ale w oczach czaiła się nieśmiała nadzieja.

– Nie wyjdę z domu przez tydzień – wyszeptała łamiącym się głosem, wyglądając, jakby przeszła przez pół Europy z armią, a nie spędziła pół nocy w klubie. Włosy już dawno wymknęły się spod upięcia, odrobina makijażu, który na siebie nałożyła, rozmył się wraz ze łzami na jej rzęsach. Trzęsła się jak w febrze.

– Dobrze – powiedział jej. Śmiał się, jakby właśnie razem, we dwoje, podbili świat, a ona po prostu trzymała jego dłoń. Tak zwyczajnie. – Musisz dać odpocząć temu miastu. Byłaś wspaniała.

Erzsébet spojrzała na niego z niedowierzaniem, a potem cofnęła rękę.

– Kim jesteś i… co zrobiłeś z Gilbertem, którego znałam? – zapytała, zmuszając się do uśmiechu. Wnętrze jej dłoni paliło żywym ogniem i część, ogromna część niej, nie chciała już nigdy więcej tego powtórzyć. Mijali ich chwiejni, bardzo pijani ludzie, ci nieliczni, którzy dotrwali do zamknięcia klubu. – Dajesz… mi… komplementy?

– Oczywiście, nie byłaś tak wspaniała jak ja – sprostował Prusy, a jego oczy zamigotały. – Ale się starasz. Doceniam.

Węgry otarła oczy, chichocząc nieco histerycznie; cały Gilbert, pomyślała z rozczuleniem. Łzy znów zamgliły jej wizję.

– Jak mogę być wspaniała, jeśli… jeśli jestem tak złamana? – zapytała cicho, osuwając się na krawężnik.

Gilbert przykucnął przy niej w ostrożnej odległości. Nie widziała dokładnie jego twarzy, ale miała wrażenie, że jego szkarłatne oczy są wyjątkowo czułe.

Zawsze uważała, że miał niezwykłe oczy. Czasem wyglądały jak gorąca, świeża krew. Czasem przypominały szalejący ogień, innym razem przybierały łagodny, ciemniejszy odcień czerwonego bursztynu.

Pasowały do niego doskonale; do wojownika dobrze zaznajomionego ze śmiercią, do narwanego chłopca, którego pamiętała z dawnych wieków, do brata, który zrobiłby wszystko dla Ludwiga, nawet jeśli cały świat by go skreślił.

Węgry nie mogła powstrzymać uśmiechu radości, gdy dwa dni wcześniej nazwał ją siostrą. W ten sposób miała już dwóch przybranych braci.

– Odpowiem ci na to pytanie, gdy zajrzę do piwnicy Ludwiga – odparł lekko, a ona zmarszczyła brwi, bo nie takich słów się spodziewała. – Myślę, że jest tam coś, co ci się spodoba. Zobaczysz w poniedziałek.

Węgry skinęła głową ze ściśniętym gardłem.

– Wierzę ci – szepnęła, przenosząc wzrok na bladą dłoń i zmusiła się do tego, by zacisnąć wokół niej palce.

Chciała uciec. Nie mogła uciec.

Bo wiedziała, że jeśli teraz ucieknie, nigdy już nie przytuli nikogo, kogo kochała.

***

Eva ziewnęła szeroko, nie kłopocząc się zakrywaniem ust; i tak była sama. Ocierając załzawione oczy, posłała senne spojrzenie pustej recepcji biura, w którym pracowała od trzech lat. Jej biurko, oddzielone od pozostałej części pomieszczenia oszkloną ścianką z okienkiem, zajmowały komputer, rzadko używana drukarka i stos wzorów pism, które znała już na pamięć.

Zapowiadał się kolejny nudny tydzień; przynajmniej pan Beilschmidt powinien dzisiaj wrócić z urlopu, przypomniała sobie. Nie będzie miał pewnie czasu na dłuższą pogawędkę, ale i zamienienie paru słów byłoby dobre, biorąc pod uwagę, jak niewiele się tutaj działo.

Niechętnie zerknęła na zegar; ledwie siódma. Pana dyrektora nie ma się co spodziewać przed dziesiątą. Pan Beilschmidt wpadnie niedługo, a pan Lefevre... Cóż, na ogół wchodził do biura tak cicho, że czasami zapominała, że też tu pracował.

– I tak siedzą u siebie – mruknęła, przesuwając wzrokiem po kilku parach zamkniętych drzwi. – Tylko ja tu tak tkwię sama... – Nie spodziewając się żadnych interesantów, zasiadła za biurkiem, odłożyła na bok list, który wręczyła jej recepcjonistka na parterze urzędu i wyciągnęła z torebki książkę. Twarda okładka informowała, że to jakaś włoska powieść.

Praca tutaj miała jedną niezaprzeczalną zaletę – mogła nadrabiać zaległości w czytaniu wtedy, kiedy tylko chciała.

Drzwi prowadzące na korytarz otworzyły się; Eva uniosła oczy znad prologu i skinęła głową na widok Antona Lefevre'a. Ten zmarszczył brwi z wyraźną dezaprobatą, gdy tylko dostrzegł książkę; Eva powstrzymała się od wywrócenia oczami. Wszystkie swoje obowiązki wypełniała w godzinę, może dwie; co niby miała robić przez pozostałe osiem?

– Dzień dobry – rzuciła, ukrywając urazę w swoim głosie. – Mam nadzieję, że niedziela dobrze panu minęła. Przyszła korespondencja... – Zerknęła na kopertę. – ze szpitala w Mitte. Pan się tym zajmie, czy zostawić to panu dyrektorowi?

– Ja – Lefevre podszedł do biurka i znacząco wyciągnął rękę.

Coś w jego oczach błysnęło, ale Evę niezbyt to interesowało. Sięgnęła po kopertę i przesunęła ją po blacie pod okienkiem.

Bierz to i idź sobie, pomyślała z niechęcią. Chociaż pracowali tutaj razem już dłuższy czas, Lefevre nigdy nie odezwał się do niej na temat inny niż praca i czepiał się... właściwie wszystkiego.

Szkoda, że pan Beilschmidt był w ciągłej podróży służbowej i tylko wpadał i wypadał z biura; z kim przynajmniej dało się przyjaźnie porozmawiać. Miała nadzieję, że dobrze wypoczął na swoim urlopie – pracował najciężej z nich wszystkich i wciąż nie miała pojęcia, jak udawało mu się tak funkcjonować.

Lefevre opuścił dłoń na list, zaciskając na nim palce. Mrużył oczy i marszczył brwi, wpatrując się w kopertę, zupełnie jakby spodziewał się czegoś zupełnie innego.

– Jest już Beilschmidt?

– Nie, jeszcze nie.

– Dobrze – rzucił Lefevre nieco nieobecnie. Potem jego spojrzenie otrzeźwiało; rzucił ostre spojrzenie otwartej książce. – Znowu czytasz w pracy jakieś głupoty? – zapytał, krzywiąc wargi, zupełnie jakby Eva popełniła zbrodnię samą próbą zabicia czasu. – Nie wstyd ci się tak lenić za pieniądze państwa? Porozmawiam o tym z dyrektorem.

– Ale co ja złego robię?! – zawołała za nim oburzona, ale Lefevre już zamykał za sobą drzwi. Eva wypuściła powietrze z ust, a potem osunęła się na krześle, zerkając na zegar. – Masz bardzo długi i twardy kij w dupie, Lefevre – burknęła do siebie, znowu łapiąc za powieść. – Aż dziwne, że nie widać go, gdy otwierasz usta.

I tak nikt nie pojawi się tu osobiście. Przed wakacjami był tu pan Lauritis, zgłosić wyjazd, a potem ten dziwny, oschły mężczyzna o jasnych włosach, który domagał się

rozmowy z dyrektorem; prawdopodobnie wyrobili normę, bo częściej niż dwa razy na rok się to nie zdarzało, przynajmniej, odkąd Eva tu pracowała...

Wróciła do prologu i za moment wsiąknęła całkowicie w świat przedstawiony, zapominając całkowicie o Antonie Lefevre'u i jego liście.

Ten zaś upewnił się, że starannie zamknął drzwi za sobą i usiadł za biurkiem w swojej małym, utrzymanym w klinicznej czystości gabinecie. Nasłuchując, czy aby zakłamany Beilschmidt nie pojawił się w biurze po swoim udawanym urlopie, wyciągnął z szuflady nóż do papieru.

Komisje przeprowadzono w różnych miejscach kraju, jak najbliżej miejsca zamieszkania personifikacji. Do Mitte wezwano jedyną personifikację mieszkającą obecnie w Berlinie – Laurinaitisa… najprawdopodobniej „Litwę".

Tak cienka koperta nie mogła zawierać wyników, poza tym, było chyba na to trochę za wcześnie, chociaż tego Lefevre nie mógł być pewny; nie orientował się zbyt dobrze w medycynie, by określić, ile czasu zajmuje przebadanie pobranych próbek.

Coś go w tym człowieku niepokoiło; zażyłości z Beilschmidtem, to oczywiste, ale nie był jedyny, ten człowiek zamiast przeprowadzać kontrole, bratał się z połową obserwowanych. Jasne włosy, kobieta… Lefevre skrzywił się; nie powinien zaglądać obcemu mężczyźnie do łóżka czy prysznica, pomyślał z obrzydzeniem, może Beilschmidt akurat z tym nie kłamał.

Niech mu na razie będzie… Zobaczmy, co pisze szpital.

Dzień dobry, znaleźliśmy to w środę w gabinecie. Ponieważ, zgodnie z państwa zaleceniami, w tym dniu gabinety trzysta osiem oraz trzysta dziewięć nie były wykorzystywane do innych czynności poza ustalonymi w poprzedniej korespondencji, a znaleziony przedmiot nie należy do żadnego z naszych pracowników, przypuszczamy, że to państwu należy go przekazać. Gdyby jednak doszło do pomyłki, prosimy o odpowiednią informację.

Na dłoń wypadło mu coś metalowego.

***

To była szalone dwa dni; wypełzł z pociągu na berlińskim dworcu, ledwie widząc na oczy, o mało co nie przesypiając swojej stacji, a potem złapał taksówkę, co było jednym z największych błędów, jakie Gilbert Beilschmidt popełnił w swoim dość długim życiu – kierowca najwidoczniej nie lubił półprzytomnych, mamroczących pasażerów, którzy bladym świtem ładowali się mu do auta, ledwo będąc w stanie wyartykułować adres.

Za to, pomyślał Prusy ironicznie, trzaskając tylnymi drzwiami samochodu, ciśnienie podniósł mi tak, że nie potrzebuję już tego gówna, które Ludwig nazywa kawą.

Ludwig pewnie jeszcze spał, pomyślał Gilbert, szukając po szafkach w przedpokoju kluczy; narobiwszy trochę hałasu, zszedł do piwnicy. Miał niewiele czasu; za niecałą godzinę musiał być w biurze, a potem...

– Niech was wszystkich jasna cholera – wymamrotał, siłując się z kłódką. – Cyrk zaczyna się od początku...! Kurwa mać!

Piwnica przywitała go zapachem wilgoci i koszmarnym zaduchem; skrzywił się, ale zamknął za sobą drzwi na korytarz. Przewietrzyłbym tu chociaż, pomyślał, osłaniając dłonią nos i usta, ale nie mam czasu.

Zerknął na wiszącą na ścianę broń. To, jak niechętnie mówił Niemcy, była strzelba awaryjna, na wszelki wypadek. Nielegalna, pomyślał Prusy z lekką satysfakcją, chociaż raz to ja mogę robić mu wyrzuty... Gdyby to już nie znudziło mi się lata temu.

Jeśli dobrze pamiętał, Ludwig miał ją od wojny; czasem tu schodził, ukradkiem czyścił wraz z całą resztą gratów, ale Gilbert miał wątpliwości, czy po tylu latach nadawała się do użytku; dobrze, że miał teraz swojego colta. Szkoda, że Gris nie mógł im załatwić czegoś lepszego...

– Mam cię – szepnął Prusy, gdy przedarł się przez kartony, niepodpisane worki i stosy drobiazgów. – Mała pamiątka po Kiku.

Relacja z Ameryką mocno się rozluźniła, ale na tyle, na ile Gilbert jeszcze się orientował, Rzesza nadal lubiła się z Japonią. Słusznie, pomyślał mimochodem, z Chinami trzymającymi z Rosją, warto mieć kogoś po tamtej stronie świata... Cholera, kiedy go ostatni raz widziałem? Ciekawe, co u tego staruszka...

Przesunął palcami po czarnym, ceramicznym dzbanku; pęknięcia, wskazujące, że naczynie niegdyś rozbito na kawałki, w słabym świetle żarówki płonęły czystym złotem.

Wyśmienity prezent urodzinowy, pomyślał z dumą, wracając myślami do Węgier. Ten austriacki paniczyk nie może być ode mnie lepszy, Erzsi.

Wrócił na górę, starannie zamykając za sobą piwnicę. W korytarzu natknął się na zaspanego Ludwiga; brat łypnął nieprzychylnie zza drzwi łazienki, której próg właśnie przekraczał. Włosy, zazwyczaj starannie ułożone, opadały mu na oczy w całkowitym nieładzie.

– Musisz robić taki hałas? – wymamrotał Niemcy, mrugając, by pozbyć się snu z powiek. – Gdzie ty w ogóle byłeś? I co tam masz?

– Prezent – Gilbert uniósł lekko dzbanek, a potem, wykorzystując sytuację, przemknął obok Ludwiga do wnętrza łazienki i odkręcił wodę w umywalce. Znad niej zerknęły na niego podkrążone oczy, a jego jasna czupryna wyglądała raczej niezbyt świeżo; Gilbert skrzywił się i zerknął na zegarek na nadgarstku. Lada moment przyjedzie szofer...

– Dla kogo? – Ludwig obserwował, jak Prusy starannie opłukuje dzbanek pod bieżącą wodą, a następnie wyciera go pierwszym ręcznikiem, jaki wpadł mu w ręce. – Zaraz, czy to nie jest...

– Od Kiku? Oczywiście – Gilbert zakręcił wodę. – Wspaniałomyślnie stwierdziłem, że taki ładny kawałek porcelany nie zasługuje na gnicie w tej zagrzybionej piwnicy.

Ludwig miał na tyle przyzwoitości, by się zarumienić; grzyba Gilbert oczywiście dodał sam, bo gdyby tylko zorientował się, że ten pokrywa im ściany piwnicy, sam by się tym zajął natychmiast, pieprzyć pracę, obowiązki i tajne rozrywki, ale może to podkoloryzowanie sprowadzi Ludwiga na ziemię.

Żeby pomyślał o tym, że właściwie wyrzucił ręcznie wykonany prezent od Japonii. Że tam, w tej piwnicy, jest jeszcze wiele pamiątek po starym świecie, po innych. Obrazki w zakurzonych ramkach, piękne pastele włoskich krajobrazów.

Żeby znowu zaczął myśleć o nas... o personifikacjach, jako prawdziwych istotach, a nie kolejnych imionach w systemie. Żeby przestał traktować to wszystko jak naturalną kolej rzeczy, pomyślał ze złością.

– Masz rację – odezwał się Niemcy cicho, odrywając wzrok od dzbanka. – Weź go.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu; potem sprecher Gilberta rozdzwonił się głośno. Prusy bez zdziwienia sięgnął do prawej kieszeni spodni, tam, gdzie trzymał swojego legalnego sprechera.

– Już idę – rzucił, gdy tylko usłyszał znajomy głos. – Do zobaczenia w piątek, młody – dodał do Ludwiga, wychodząc na korytarz i rozglądając się za skórzaną torbą, która, jeśli dobrze pamiętał, powinna leżeć gdzieś przy drzwiach. Włożył ostrożnie dzbanek do środka.

Ludwig skinął mu głową i odprowadził wzrokiem do drzwi.

Łeb mi pęka, pomyślał Gilbert kilka minut później, odchylając głowę do tyłu i opierając ją o miękkie tylne siedzenie samochodu. Do piersi przycisnął torbę; szofer zerknął na niego w lusterku. Najchętniej przespałbym pół dnia...

– Dobrze się pan czuje? Niewyraźnie pan wygląda.

– Nic mi nie jest – Prusy uchylił jedno oko. – Są korki?

– Jest poniedziałek, początek roku szkolnego – westchnął szofer, wyjeżdżając z zacienionego podwórza kamienicy. – Korki są jak jasna cholera... Już dzwoniłem do chłopaków, że prawdopodobnie się spóźnimy na wylot jakieś pół godziny.

– Daj im znać, że godzinę. Mam parę spraw do załatwienia w biurze, nie ma sensu, by czekali.

– Jasne, zaraz zadzwonię...

Jazda była długa i nużąca; Gilbert prawie zasnął, słuchając cichego warkotu silnika. Rozbudził się dopiero wtedy, gdy szofer musiał gwałtownie zahamować, gdy ktoś niespodziewanie wyjechał im z podporządkowanej; wewnątrz auta padło kilka nieprzyzwoitych słów.

Kilka minut po ósmej korytarze urzędu miejskiego były zatłoczone jak piekło albo berlińskie ulice; Prusy zręcznie wymijał urzędników oraz pierwszych petentów, próbując dostać się w miarę szybko do biura relokacji.

Parę korytarzy później tłum znacznie się przerzedził, aż w końcu zanikł zupełnie; mało kto zapuszczał się w te części urzędu. Gilbert odetchnął z ulgą, ale nie pozwolił sobie na zwolnienie tempa; musiał zameldować się w biurze, wejść się do gabinetu dyrektora i zrobić to, co zrobić należało, a potem jechać na lądowisko za Berlinem, wsiąść do helikoptera i lecieć do Tuluzy, udając, że wcale nie stamtąd nie wraca.

Zabiłby za kubek dobrej kawy od Litwy. Skoro już i tak będą mieć opóźnienie, to może go nawiedzić... Rok szkolny, przypomniał sobie z rezygnacją, dzisiaj przecież poszedł do

roboty, w mieszkaniu została tylko Gilberta. No i Polen, poprawił się, dwa pasożyty. Żadne z nich dobrej kawy nie zaparzy... Boże jedyny, bredzę.

Gilbert skrzywił się, pośpiesznie licząc w myślach, ile spał przez ostatnie dwa dni. Wyszło mu okrągłe zero; Erzsébet pozwoliła mu co prawda zdrzemnąć się na podłodze w kuchni, na jakimś zapomnianym materacu, ale i tak nie był w stanie zasnąć; miał ciągle wrażenie, że jest nieproszonym gościem, obcym w bronionej twierdzy.

– Cześć, Eva – rzucił do sekretarki, gdy tylko przekroczył próg biura. Ta uniosła głowę znad biurka i uśmiechnęła się szeroko. Szybko przybrał swój zwykły wyraz twarzy. – Jak leci?

– Takie same nudy jak zawsze – westchnęła i odłożyła na bok książkę. – Mam nadzieję, że urlop minął panu dobrze? Jak jest w Wenedig o tej porze roku?

– Ciepło i mokro – Prusy zatęsknił za mieszkaniem Ludwiga, położonym na piętrze jednego z weneckich budynków; z okien miał widok na wieżę kościoła świętego Sebastiana, którego dzwony budziły go za każdym razem, gdy uciekał tam podczas poprzednich urlopów. Szkoda było mu tego małego, urokliwego gniazdka. – Dużo słońca.

To mieszkanko było teraz w rękach biura. Dokumenty leżą razem z resztą zamieszkanych i pustych lokali... Ciekawe, czy dyrektor zgodziłby mi się to odsprzedać, zastanowił się przelotnie. Miałby kolejny lokal w zanadrzu i przy okazji odegrałby się na Ludwigu...

Eva westchnęła, biorąc jego rozkojarzenie za tęsknotę za słoneczną Wenecją, z której rzekomo właśnie wrócił, potem jednak zmarszczyła brwi.

– Nie opalił się pan – zauważyła.

Na szczęście, nawet nie musiał wymyślać wymówki.

– Z moją skórą? – Podwinął rękaw koszuli, pokazując niemal białe przedramię. Kilka błękitnych żył było doskonale widocznych. – Gdyby nie tony kremów, spaliłbym się żywcem przechodząc przez jedną ulicę, Eva. Wolę bar z zimnym piwem niż plażę.

– No tak – Eva zreflektowała się. – Nie pomyślałam... Dyrektora jeszcze nie ma – dodała. – Pan Lefevre jest u siebie – Lekko wydęła wargi, a jej głos ochłodził się o parę stopni. – Zagroził, że na mnie doniesie.

– Załatwię to, spokojnie – Gilbert machnął ręką. Znając dyrektora, ten będzie zły na Lefevre'a, że ten zawraca mu głowę taką głupotą. Zerknął na zegar. – Jest w biurze?

– Tak, u siebie. Zajął się korespondencją.

Prusy skinął głową. Doskonale. Ta podła żmija rzadko wychodzi ze swojego wężowiska, prawdopodobnie nawet się nie zobaczą.

– Dobra. Idę się podpisać i ogarnąć kilka rzeczy, nim przyjadą. Daj mi klucz.

Kwestię korespondencji zignorował; nim wyniki komisji spłyną z całego kraju, minie trochę czasu, a i tak wszystko trafi do systemu – nie mógł tego zanegować, skoro rozkaz przyszedł najprawdopodobniej z samej góry, podobnie jak faktu, że Lefevre będzie miał do tego dostęp.

Wbił ręce w kieszenie i ruszył w stronę drzwi do gabinetu dyrektora, kątem oka zauważając, że Eva sięga z powrotem do książki. Szkoda, pomyślał, że za jakiś rok, dwa,

maksymalnie trzy dostanie wypowiedzenie... Nawet ją lubię, nie jest tak irytująca jak poprzedni babsztyl.

Gilbert otworzył gabinet, postawił torbę obok drzwi, zamknął je starannie i rozejrzał się dookoła. Głównym punktem pokoju było duże, dębowe biurko, na którym stał komputer; trzy z czterech ścian pokrywały regały z dokumentami. Naprzeciwko Prus dwa na wpół zasłonięte okna wpuszczały do środka nieco porannego światła, ale to niewielka, szklana gablotka, zawieszona dokładnie pomiędzy, była jego głównym celem.

Okrążył biurko, a na ustach wystąpił mu szeroki, drapieżny uśmiech. Serce zabiło mocniej, radośniej, gdy z satysfakcją sięgnął do pierwszej szuflady biurka, ignorując stojące na blacie fotografie żony i dzieci dyrektora. Szuflada wysunęła się bez problemu, mimo widocznej dziurki od klucza; na wierzchu leżał znajomy skoroszyt.

Gilbert położył go na biurku i otworzył na ostatniej stronie, przekładając kartki długopisem. Nudna biurokracja, zwykłe tabelki z datami i jego własnymi podpisami, dziesiątki niemal identycznych stron; dowody jego nieustającej pracy wizytatora.

Ostatnia kolumna, ta, w której powinien rejestrować wszelkie podejrzane lub odstające od normy aktywności, na ogół pozostawała pusta; czasem wpisywał tam jakieś głupoty, jak „Laurinaitis adoptował diabła (skreślone) kota" albo „Popescu zmienił godziny pracy, konieczne przeorganizowanie grafiku".

Opuścił wzrok na nadal otwartą szufladę. Nie było tam zbyt wiele; zapasowe długopisy, notes z wyrywanymi kartkami... i kluczyk do gablotki.

Gilbert uśmiechnął się zwycięsko i złapawszy kluczyk w palce, obrócił się ku ścianie. Szklane drzwiczki otworzyły się bezszelestnie.

Na haczykach wisiało kilkanaście kluczy do różnych mieszkań, pokrytych sporą warstwą kurzu; Prusy skrzywił się i sięgnął do kieszeni po materiałową chusteczkę.

Gdy już uporał się z kurzem, sięgnął do kieszeni i uśmiechnął się zwycięsko, widząc pociemniały, zmatowiały metal. Ocet, sól i trochę papieru ściernego zdziałały cuda; Erzsi miała cudowny pomysł.

Sama podmiana była banalnie prosta; Prusy zamknął gablotkę, odłożył kluczyk do szuflady i usiadł za biurkiem, zerkając przez ramię. Gdyby nie wiedział, który klucz był fałszywy, nie zgadłby, że coś jest nie tak.

Przysunął do siebie skoroszyt, ale jeszcze nie złapał po długopis; zamiast tego włączył komputer i zalogował się swoimi danymi do systemu. Jego oczom ukazały się setki wierszy zapisanych maleńkimi czarnymi literami; jedynym kolorem była czerwień na małej fladze ze swastyką w prawym górnym rogu ekranu, która zwijała się i rozwijała na wirtualnym wietrze, jakby w rytm jego własnych oddechów.

Baza danych obywateli miała działać, a nie być przyjemna dla oczu, ale i tak przedzieranie się przez kolejne strony i oczekiwanie, aż spośród pięciuset milionów rekordów baza wypluje mu ten jeden konkretny, zajęło Prusom kilka cennych minut.

– Mam cię – wyszeptał Gilbert, przysuwając się bliżej monitora i obrzucając wzrokiem suchy wpis. Sięgnął po mysz i kliknął na przycisk „szczegóły obywatela". Zdjęcia, tak

jak się spodziewał, nie było; a gdy zdał sobie sprawę, że większości informacji na temat wyglądu też brakowało, prawie się roześmiał.

W miejscu, w którym powinien znaleźć się rysopis przepisany ze starych, papierowych akt, dodano krótką notkę: „odręczny raport (05011949–R6) na temat wyglądu nieczytelny; do późniejszego uzupełnienia po potwierdzeniu informacji u wyższej instancji". Data modyfikacji wskazywała na lata sześćdziesiąte; ktokolwiek wprowadzał ich dane do systemu, miał najwidoczniej krótką pamięć.

Ty to masz nieziemskie szczęście, pomyślał Gilbert, patrząc na sygnaturę dokumentu. Zamknął bazę danych i przykucnął przy jednym z regałów, tam, gdzie leżało luzem kilkanaście pożółkłych, papierowych teczek.

Połowa kartek skleiła się od atramentu rozlanego lata temu; czerń skrywała większość danych medycznych więźnia o nazwisku Łukasiewicz.

Zaiste, nieziemskie.

Sięgnął i powoli oderwał pierwszą stronę akt. Prawie rozpadła mu się w dłoniach.

Będziesz mi za to dziękował na kolanach, Polen.

***

Drugi września zaskoczył niepogodą; Taurys wysiadł z tramwaju i natychmiast schował głowę w ramionach. Wiatr kpił sobie z ciepłych wakacji i teraz dął chłodem, szarpiąc włosami i płaszczem, który Taurys zmuszony był wyciągnąć z szafy dzisiejszego poranka. Jednolicie szare niebo zwiastowało deszcz.

Litwa dziękował sobie w duchu, że przewidział zwiększony ruch i złapał wcześniejszy kurs; co prawda obijanie się o współpasażerów w dusznym, zatłoczonym wagonie przez niemal czterdzieści minut było nieprzyjemnym doświadczeniem, ale przynajmniej zdąży na uroczysty apel. Jego auto nadal stało w warsztacie; spodziewał się, że do końca tygodnia będzie skazany na komunikację miejską.

Poprawił pasek skórzanej torby, którzy wżynał mu się w ramię i ruszył w kierunku widocznego gmachu szkoły. Całą niedzielę spędził, przeglądając konspekty lekcji, nanosząc poprawki i odświeżając sobie nuty najważniejszych utworów. Dzisiaj, jak dowiedział się z planu zajęć wywieszonego w Netzwerku na stronie szkoły, miał tylko lekcję z klasą Uschi...

– Cześć – U jego boku znikąd pojawiła się Annika. Taurys odwzajemnił jej uśmiech; obok właśnie przejechał kolejny tramwaj. Jeśli dobrze pamiętał numer linii, to nim zwykle przyjeżdżała do szkoły. – Dzisiaj tramwajem?

– Mam samochód w warsztacie – wyjaśnił Litwa. Annika na przywitanie pocałowała go krótko w policzek; dobry humor lśnił w jej oczach, przez co Taurysowi spadł kamień z serca. Dobrze było widzieć ją weselszą niż ostatnim razem.

Annika wróciła do ołówkowej spódnicy za kolana i zapinanej na guziki bluzki, wystającej spod beżowego płaszczyka; zniknęła biżuteria i żywe barwy.

– Coś poważnego?

Taurys zmarszczył brwi; co mówił Gilbert i ten polecony przez niego mechanik? Litwa jedynie stał i potakiwał, bardzo starając się nie wyjść na kompletnego laika w kwestiach motoryzacyjnych. Chociaż, pomyślał z rozbawieniem przemieszanym z czułością, to Feliks jest jeszcze gorszy od niego w tym temacie...

– Pęknięta miska olejowa – powiedział powoli. – Podobno mógłbym uszkodzić silnik, gdybym jeździł tak dłużej.

Annika skinęła głową; ruszyli razem chodnikiem, swobodnie rozmawiając. W miarę zbliżania się do szkolnej bramy, dookoła pojawiało się coraz więcej znajomych twarzy; nagle ciemnozielona koszula Litwy wydała mu się absurdalnie jaskrawa.

Mając wrażenie, że wszyscy na niego patrzą – masz paranoję, Lietuva, powiedział sam sobie – nerwowo poprawił krawat.

Pracę tutaj zaczął dokładnie pięć lat temu i nigdy nie przekroczył murów tego budynku w czymś innym niż czerń; rozsądek podpowiadał mu, że to głupota, ale i tak czuł się nieswojo.

– Wszystko w porządku? Jesteś blady.

Litwa odetchnął i skinął głową, uśmiechając się niemrawo.

– To nic – westchnął i przepuścił Annikę przodem przez drzwi wejściowe. Kilka dziewcząt w mundurkach, zbitych w kącie korytarza, posłało im zaciekawione spojrzenie i zachichotało; na myśl o tym, że plotki prawdopodobnie rozejdą się po szkole lotem błyskawicy, jeśli już tego nie zrobiły, Litwie znów zrobiło się głupio.

A wyszedł z domu w tak dobrym humorze; ten wydawał się stopniowo ulatniać w miarę oddalania się od mieszkania.

– Taurysie... – zaczęła Annika ciepło, ale z nutą rozbawionego ostrzeżenia w głosie. – Jeśli myślisz o tym, o czym rozmawialiśmy, to powinieneś pamiętać, co o tym sądzę, prawda?

Tym razem uśmiechnął się bardziej szczerze.

– Z plotką nie da się wygrać, prawda?

Annika mrugnęła do niego.

– *Jakby wdzięczniejszej nie mieli roboty, jak brać swych bliźnich w omowne obroty* – zacytowała cicho, gdy szli korytarzem w kierunku sali gimnastycznej. – *Cała ich radość, Boże ty mój słodki, zbierać, hodować i wypuszczać plotki.*

Miał wrażenie, że gdzieś już to czytał; zmarszczył lekko brwi, próbując sobie przypomnieć.

– Goethe?

Jego myśli, trącone poezją, pobiegły do Łabędzia, który został w jego mieszkaniu... Łabędzie, uzmysłowił sobie nagle, o mało nie przystając. Łabędzie, nie Łabędź. Schwäne, nie Schwan. Feliks od samego początku posługiwał się liczbą mnogą.

To niby było oczywiste; a jednak Litwa nie skojarzył tego z faktyczną parą ptaków, podobnie jak nie zrozumiał numeru skrytki pocztowej. Potraktował to słowo jak pseudonim, tłumacząc sobie w głowie jakoś tak inaczej, dziwnie, odrywając od

pierwotnego, zwierzęcego znaczenia tych sylab i dźwięków, zbyt zaaferowany próbą zrozumienia, kim jest osoba, która się za nimi ukrywa.

Dlaczego nie pojął tak oczywistej rzeczy? Może dlatego, że znał kilku wykonawców z radia, którzy zrobili to samo ze swoimi nazwami, więc automatycznie, nieświadomie założył, że Schwäne, wbrew gramatyce, to jedna osoba? Te wiersze… Poezja i proza zawsze naginały zasady języka, bawiły się nim swobodnie, przekształcając i zmieniając znaczenia.

Może mimo faktu, że od lat mówił niemal wyłącznie po niemiecku, jakaś część jego umysłu popełniła taki prosty błąd? Cholera, Lietuva, ty masz problem z deklinacją prostych słów we własnym języku, dziwi cię podobny błąd w obcym?

Planował to jeszcze zanim upozorował swoją śmierć? zapytał sam siebie, wierzchem umysłu rejestrując, jak Annika delikatnie chwyta go za przedramię. Wciągnąć w to mnie? Konta e-postowe zawsze są indywidualne, a założenie takiego na pseudonim, w dodatku pewnie na fałszywych dokumentach, musiało kosztować Feliksa mnóstwo pracy, przepisy netzwerkowe były bardzo surowe…

– To cytat z Fausta – odpowiedziała miękko Annika, obserwując go uważnie. Na ustach miała łagodny uśmiech. – Chyba trochę cię poruszył?

Wiedział, że nie musiał odpowiadać; nigdy nie naciskała. Kolejny raz podziękował losowi za jej obecność.

– Chyba tak – powiedział, wracając do rzeczywistości. Uśmiechnął się blado. Zapyta o to Feliksa później, teraz i tak nie miało to znaczenia, skoro zdecydował się w to zaangażować. – Powinienem go sobie odświeżyć.

Zwłaszcza, że jego Łabędź miał słabość do romantyzmu, pomyślał mimochodem. Jeszcze przed wyjazdem do Kowna i zrujnowanego Wilna Taurys kupił kilka tomików poezji Goethe‘go, szukając w nich odpowiedzi. Teraz Feliks zaczytywał się w nich wieczorami, czasami sięgał też do Heinego, którego przerzedzoną przez cenzurę twórczość Litwa już wcześniej miał na półce…

Uśmiechnął się do swoich myśli; miło było widzieć Feliksa, swobodnie rozłożonego na jego kanapie, zatopionego w lekturze, niecierpliwie odgarniającego włosy z czoła… Litwa czasem też dołączał do czytania; siadał obok, ramię w ramię, a niekiedy Polska podrywał się, opierał podbródek o jego ramię i zerkał zaciekawiony, jaką Taurys wybrał sobie książkę i w tym ruchu, niewinnym dotyku, w całej tej spokojnej sytuacji, było coś niesamowicie czułego.

Chyba wcale nie powinien się martwić, wtedy, gdy kilka dni temu obudził się w feliksowym uścisku, a jego wątpliwości czy Feliks chciałby rozpocząć od nowa to, co ich kiedyś łączyło, z wolna wyparowywały. Nie rozmawiali jeszcze o tym, ale Taurys już zaczynał przyzwyczajać się do myśli, że ich wspólne wyjścia na spacery są dokładnie tym, czego nie chciał przyznać w Tuluzie – randkami.

– Służę pomocą – Annika roześmiała się, gdy weszli razem na wypełnioną młodzieżą salę gimnastyczną. – Mam w domu całą kolekcję Goethe’go. Powinniście kiedyś wpaść.

– Powinniśmy? – Litwa zmarszczył brwi.

Jego myśli musiały być wypisane na jego twarzy, bo Annika tylko uśmiechnęła się cieplej i wskazała głową stół przeznaczony dla grona pedagogicznego. Ich przybycie przeszło bez większego echa; skinęli głowami kilku innym nauczycielom i kontynuowali rozmowę szeptem.

– Chciałabym go poznać – zaczęła Annika. Taurys nieco zesztywniał. – Wiem, że w naszej pracy nie jest to… dozwolone i domyślam się, że wolałbyś zachować to w sekrecie, ale… chcę, żebyś wiedział, że u mnie jesteś zawsze mile widziany. Feliks też.

W sekrecie, pomyślał Litwa. Tego nie da się długo zachować w sekrecie, wątpię, czy do Bożego Narodzenia będę tu jeszcze pracował. Sąsiedzi już wiedzą, wystarczy, że jakiś uczeń natknie się na nas na mieście i powie o tym dyrektorowi.

Nie chciał się ukrywać, nie z powodu tego, co przynosiło mu tyle radości. Grzywną się już nie przejmował, a czasy, w których fizyczne kontakty dwóch mężczyzn karano więzieniem albo gorzej, w Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej już się skończyły. Coraz bardziej oswajał się też z myślą, że może czas skończyć etap bycia nauczycielem, wyzwolić się z zastałych okowów systemu edukacji i jego zardzewiałych zasad.

Byłoby to jak puszczenie się ostatniej poręczy, jaka mu pozostała z marnego, samotnego, ale ustabilizowanego życia, jakie ostatnimi laty wiódł i w pełni poddaniu się nieznanemu losowi, ich misji, sprawom nielegalnym, niebezpiecznym, ale niezaprzeczalnie słusznym. Z Feliksem.

Trochę się tego bał; znacznie, znacznie bardziej na to czekał.

– Dziękuję za zaproszenie – powiedział po chwili. – Porozmawiam z nim.

Nie miał serca odmówić od razu. Bezpieczeństwo Anniki było ważniejsze od kilku mile spędzonych wieczorów, w przytulnym salonie pełnym książek, z gorącą kawą w filiżankach, nawet jeśli bardzo chciałby pojawić się tam z Feliksem. Spędzić miło czas u znajomych, potem wrócić razem do domu, uśmiechać się do siebie, całować, czule dotykać, kochać…

Jak ludzie. Jak para.

Jego głowa znów spłatała mu figla i znikąd przed oczami, zamiast migdałowych oczu Anniki, zajaśniały mu lisie, piwne oczy Mildy, migoczące w zadymionym, pełnym ludzi salonie.

To było przed wojną, po tym, jak wrócił z Ameryki, układając z powrotem w jedno ostatnie elementy swojej rozsypanej osobowości – a ona, córka niezwykle wpływowego polityka, nalegała na to, by poszedł z nią na to przyjęcie, tak długo i natarczywie, aż uległ.

Za tym zamglonym – może brakami w jego pamięci, może alkoholem, bo wówczas niegrzecznie było odmówić toastu za ojczyznę, jednego, drugiego, kolejnego – wspomnieniem kryło się inne, gorzkie jak wódka i słone jak pot.

Cholera, pomyślał, odwracając wzrok. Jaki ja jestem połamany.

Część jego radości i nadziei ulotniła się bez śladu.

***

Cieszył się, że to właśnie z jedną z młodszych klas ma dzisiejszą lekcję; gdyby przyszło mu dzisiaj nauczać którąś ze starszych grup, pewnie wszystko wypadałoby mu z rąk. Na szczęście albo do tych trzynastolatków nie dotarły jeszcze krążące po korytarzach plotki, albo nie byli nimi jeszcze zainteresowani; Taurys z ulgą stanął na katedrze, jednocześnie chcąc, by ten dzień już się skończył.

Od razu wychwycił wzrokiem Uschi; siedziała przy oknie, w połowie klasy i wyraźnie starała się zniknąć, kuląc się i trzymając głowę nisko.

Myśli o swoich własnych problemach natychmiast uciekły z jego głowy; coś jest nie tak. Przez wakacje nie myślał o Ursuli zbyt wiele, co nie świadczyło o nim zbyt dobrze jako o pedagogu, zważywszy na to, że przez ostatni rok była jedyną uczennicą, z którą zostawał po godzinach.

– Zanim przejdziemy do lekcji – zaczął, gdy ucichły wszystkie szepty. – Chcę wam przypomnieć, że gdyby któreś z was miałoby ochotę ćwiczyć grę samodzielnie – Wskazał dłonią stojące na tyłach klasy pianino. – To codziennie będę tu przez godzinę po mojej ostatniej lekcji. Pomogę z pianinem, a w przypadku innych instrumentów udostępnię materiały do nauki. Teoretyczne również, jeśli kogoś to interesuje. Proszę tylko, byście zgłaszali mi to trochę wcześniej, bo pan dyrektor chce wiedzieć, kto zostaje w szkole po zakończeniu swoich lekcji.

Powiódł wzrokiem po klasie, szukając zainteresowanych; Uschi zerknęła na niego spod grzywki, przygryzła wargę, a jej dłoń leżąca na blacie ławki drgnęła, jakby chciała ją podnieść.

Litwa westchnął w duchu; to dziecko miało wrodzone skłonności, zapał do ciężkiej pracy i ogromną radość w oczach, gdy śmigało palcami po klawiszach; przynajmniej tak było przed wakacjami. Przed oczami stanęła mu sylwetka jej ojca; zmarszczył brwi, mając gorzkie wrażenie, że to, czego się wówczas obawiał, mogło się spełnić. Wówczas miał tylko podejrzenia niepodparte dowodami, ale…

– Nie musicie decydować od razu – dodał, zmuszając się do uśmiechu, a potem cofnął się w kierunku biurka i rzucił okiem na notatki. – Proszę, otwórzcie podręczniki na piątym rozdziale. Jest tam krótka biografia Johanna Sebastiana Bacha. Zapoznajcie się z nią, a ja zagram wam kilka jego utworów, dobrze?

Stłumiony pomruk zgody i szelest stron rozległy się po klasie; Taurys sięgnął po swoją teczkę, wyciągnął nuty i przygotowane zawczasu kartki; rozdał je uczniom, mając świadomość, że Uschi śledzi go wzrokiem.

– Tutaj są tytuły. Te puste miejsce pod nimi jest dla was – wyjaśnił. – Jeśli któryś z nich wam się spodoba albo nie, możecie coś pod nim napisać albo narysować. To nie jest na ocenę i jest tylko dla was, nie będę tego sprawdzać – dodał, gdy któryś z chłopców zrobił strapioną minę, a inna dziewczynka wyglądała na zmieszaną. Większość marginesów jej zeszytów pokrywały szkice i wiedział, że wielu nauczycielom to przeszkadza. – Muzyka to sztuka, a sztukę powinno się czuć, każdy na swój sposób, nie oceniać stopniami.

Usiadł przy pianinie, rozłożył nuty i odetchnął. Klawisze ugięły się posłusznie pod jego palcami, gdy zaczął grać menueta G-dur. Ten spokojny utwór, jeden z jego ulubionych, był

dobrym tłem do czytania czy tworzenia; rzeczywiście, większość klasy zajęła się tym, co zasugerował.

– Proszę pana – Uschi stanęła przy nim, gdy zabrzmiał dzwonek, a on już zamykał klapę pianina. Spojrzał na nią, a ta wykręciła ręce za plecami, uciekając wzrokiem. – Ja... Ja nie będę przychodzić grać. Już... już mnie to nie interesuje.

Słysząc kłamstwo w jej drżącym głosie, Taurys spojrzał na nią uważnie, szukając tego, czego znaleźć nie chciał.

Widział drobną dziewczynkę u progu dorastania, ubraną w zwykły, szkolny mundurek, z tornistrem zarzuconym na jedno ramię; i widział też, jak ciężar tornistra ciągnie w dół wyprasowaną białą bluzeczkę, odsłaniając cal skóry na ramieniu.

Czerń rozlewającego się tam siniaka kpiła z jego bezradności.

***

Pokój nauczycielski pogrążony był w ciszy; większość nauczycieli już skończyła pracę, jedynie matematyk przeglądał jakieś dokumenty. Przywitali się uprzejmie i przestali zwracać na siebie uwagę; Taurys odłożył dziennik do przegródki regału i westchnął ciężko, patrząc na zamkniętą szufladę najbliższej szafki.

W ustach miał smak porażki; wielkie plany, śmiałe posunięcia, postępujące przygotowania, by powstrzymać nieistniejącą jeszcze wojnę, a nie był w stanie zrobić nic, by ocalić to dziecko.

Dziecko powierza się jego rodzinie, zawierzając, że ta wychowa je na przykładnego obywatela. To rodzina nauczyć ma dziecko posłuszeństwa i wszelkich innych cnót, a rolą nauczyciela jest przekazywać wiedzę na temat kraju, jego historii, kultury i zrodzonych w nim jednostek wybitnych, na podstawie programów nauczania ustalonych przez odpowiednie, wyznaczone przez państwo jednostki...

Wyrywki z publikacji, które czytał, będąc świeżo upieczonym nauczycielem, przelatywały mu przez głowę. Niektóre stały jeszcze na półce w saloniku, zapomniane wraz z resztą niemieckich, powojennych książek, inne już dawno wyrzucił. Kupował je, rozpaczliwie szukając porad, jak ma sobie poradzić w nowej pracy, nieświadomy, że część z tych zaleceń przeczyta z obrzydzeniem.

...domowy mir jest rzeczą świętą i zaleca się, by nauczyciel miał to na uwadze, nie czyniąc niczego, co bezprawnie by w niego ingerowało czy wręcz sprzeciwiało się zasadom rodziny...

Kilka podrzucił mu dyrektor, powtarzając, że Litwa jest zbyt pobłażliwy i w ten sposób nigdy nie uzyska szacunku uczniów.

...w razie potrzeby, środki dyscyplinujące...

W szufladzie leżała długa, drewniana linijka, wskaźnik i rzemienna dyscyplina. Jako nauczyciel miał pełne prawo użyć któregoś z tych przedmiotów, egzekwować posłuszeństwo w ten sam sposób, jaki zapewne robił to ojciec Uschi w ich domu, i sama myśl o tym wywoływała u Taurysa chęć złożenia się w pół i zwymiotowania.

Stał dalej przy regale, drżącymi palcami porządkując niedbale wsunięte dzienniki, przenosząc je do odpowiednich przegródek i próbując rozpaczliwie wymyśleć cokolwiek, co mogłoby temu dziecku pomóc.

I nie wymyślił zupełnie nic.

Może Feliks będzie miał jakiś pomysł; szalony, ocierający się o niemożliwość zrealizowania, ale jakikolwiek; łamiąc prawo imperium przez tyle lat, Polska z musu znał je lepiej niż ktokolwiek inny. Może był jakiś kruczek, zapomniany paragraf, coś, co jednak regulowało domową dyscyplinę...

Pokręcił głową i cofnął się o krok. Żaden uczeń się do niego nie zgłosił; nie ma sensu czekać dłużej, czas jechać do domu. Wyciągnął z kieszeni klucze, by zamknąć swoją szafkę; uciekły mu spomiędzy palców i wpadły pod regał.

Klnąc w duchu, przyklęknął i spędził dłuższą chwilę, próbując je stamtąd wyciągnąć. W końcu się udało; zamknął szafkę i już otwierał usta, by pożegnać się z matematykiem, gdy z kieszeni jego torby dobiegł dźwięk połączenia.

Tam, gdzie włożył drugi, niezarejestrowany sprecher.

– Przepraszam – rzucił, a matematyk tylko skinął nieobecnie głową i wrócił do pracy.

Litwa pośpiesznie wyszedł na opustoszały korytarz, wyciągając urządzenie z kieszeni. Zerknął na ekran i zacisnął wargi, rozpoznając numer. Gris. Połączenie spod granicy.

Ruszył w kierunku najbliższego odosobnionego miejsca, jakie znał; toalety dla personelu. Odbieranie zakodowanych wiadomości wzbudziłoby podejrzenia każdego, a on potrzebował chwili, by odpowiednio je odczytać.

W toalecie, na szczęście, było pusto. Zerkając niespokojnie na ekran, Taurys wyciągnął z torby mały notatnik i ołówek i dopiero wtedy nacisnął przycisk odbierania połączenia. Potem przycisnął sprecher do ucha ramieniem i oparł notatnik o ścianę, w samą porę, by zakończył się komunikat informujący o początku nadawania.

Krótkie i długie dźwięki... Litwa przenosił je na papier, starając się nie tłumaczyć ich od razu w głowie, by nie zgubić ani jednej litery. Chwilę później Gris rozłączył się, nie mówiąc ani słowa; Taurys spojrzał na swoje notatki.

Dzisiaj rano spotkanie führer – hiszp. premier. Premier zadowolony. A. wezwany. Propozycja dla A: półroczny urlop-nagroda plus pieniądze. A. gra na czas.

Spędził kilkanaście kolejnych minut, ucząc się wiadomości na pamięć; potem podarł kartki na maleńkie kawałeczki i spuścił w toalecie.

A więc to idzie w tę stronę, pomyślał. Dla nieświadomego sytuacji Antonia może zabrzmiałoby to kusząco; docenienie jego wieloletnich starań, podlane pochwałami i fałszywymi zapewnieniami docenienia, nagrodzenie czasem wolnym na długi, lecz ściśle określony czas.

Brzmiało jak eksperyment premiera; jeśli spodoba mu się takie czasowe odsunięcie Antonia od bliskości władzy, wymyśli coś, by trwało ono stale; jeśli nie, bez problemu przywróci go do swojego biura. Ostrożne zagranie…

Opuścił budynek szkoły z myślą, że wrzesień zaczyna się kiepsko. Oby tylko udało się dzisiaj załatwić klucz i pocztę…

Powietrze było nieruchome i jakieś takie ciężkie; Taurys ruszył w kierunku szkolnej bramy. Nim ją przekroczył, obok niego przetoczyła się po ziemi duża, pomarańczowa piłka.

– Poda pan?

Litwa uniósł oczy; grupka starszych uczniów, w tym jeden w mundurze młodzieżówki, patrzyła na niego oczekująco. Skinął głową i schylił się po piłkę.

– Dobry rzut! Zagra pan z nami? Brakuje nam piątego.

Uśmiechnął się smutno.

– Innym razem, dobrze?

***

Komunikacja miejska była zatłoczona tak samo, jak rano; Taurys, mając wrażenie, że zaraz się udusi, wysiadł dwa przystanki wcześniej i ruszył piechotą w kierunku domu. Niebo nadal groziło ulewą, zasnute szarością.

Kolejne przychodzące połączenie sprawiło, że prawie podskoczył; z bijącym sercem odebrał połączenie od Prus.

– Bułka z masłem – oznajmił zadowolony głos. – Jeśli Polen poradzi sobie z pocztą, to wrzesień zaczynamy elegancko, Lit.

Litwa tylko gorzko się uśmiechnął. Świadomość, że biuro tak łatwo nie wejdzie do jego mieszkania, było jasnym punktem w ciemnym morzu jego dzisiejszych niepokojów.

– Dostałem informację – powiedział cicho i rozejrzał się dookoła. Pogoda odstraszyła potencjalnych spacerowiczów; w zasięgu wzroku był sam. – Od Grisa.

Gilbert przeklął.

– Możesz teraz gadać? – zapytał. – Jestem sam, chłopcy poszli coś zjeść. Mam wyłączony sprzęt.

Taurys szeptem przekazał to, czego się dowiedział. Gilbert milczał długą chwilę.

– Mamy pierwszą próbę pójścia w ślady naszego wspaniałego kraju – mruknął. – Nie podoba mi się to... Dobra, obgadamy to później. Byłem rano w biurze, zerknąłem sobie do systemu. Dowiedziałem się czegoś ciekawego.

– Czego? – Litwa zmarszczył brwi.

– Jak tak sobie radośnie oszukiwałem biuro w kwestii twojego mieszkania, to wpadłem na pewien pomysł, co zrobić z pewnym dość irytującym gatunkiem pasożyta, który się u ciebie zalągł i nie prędko odlęgnie, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Możesz przejść do rzeczy? – zapytał Taurys, nie czując się na siłach, by grać w tę grę. Głowa zaczynała go boleć; przycisnął dłoń do skroni i przymknął oczy.

– Zalogowałem się do bazy i sprawdziłem jego prawdziwe nazwisko. W systemie nie ma szczegółów jego wyglądu.

– Mówiłeś, że nie ma zdjęć – przypomniał ostrożnie Litwa.

– Myślałem, że po opisie słownym mogliby go rozpoznać, ale nie da się zidentyfikować człowieka po czymś, czego nie ma – głos Prus był wesoły jak wiosenny poranek. – Nikt go

nie uzupełnił przez te wszystkie lata. Może przyjść i zacząć podrywać Evę... sekretarkę, a nikt, ani dyrektor ani ten wrzód na dupie Lefevre, nie pomyślą, że to zmarły.

Odrzucając na bok myśl, że nie chce, by Feliks kogokolwiek podrywał, Litwa skupił się na słowach Prus.

– A papierowe raporty, o których kiedyś mówiłeś? Stare sprawozdania medyczne? Tam musi być cokolwiek na temat wzrostu, koloru oczu...

– Te rozlatujące się, zakurzone teczki? – Taurys był pewny, że Prusy właśnie uśmiecha się diabelsko. – To, co w nich najważniejsze, a co dało się jeszcze odczytać, pływa sobie w Sprewie. Niestety, tylko jego teczkę przejrzałem – dodał z irytacją w głosie Gilbert. – Nie miałem już czasu, poza tym, Lefevre prawie mnie przyłapał. Dobrze, że w porę złapałem za długopis i udałem, że uzupełniam papierki.

– W biurze dyrektora?

– Mam prawo tam wchodzić – odparował obronnie Gilbert. – On nie, sukinsyn. Zapukał, ale nie poczekał na zaproszenie.

– Czekaj – Litwa zatrzymał się. – Może sam wejść do gabinetu dyrektora pod twoją lub jego nieobecność?

– Nie ma uprawnień do odebrania klucza z recepcji. Eva mu go nie wyda, podpadł jej już dawno. Ma dostęp do korespondencji i mniej istotnych akt, nad czym ubolewam, ale baza i dokumenty w gabinecie są dla niego niedostępne. Ta świnia nie może zrobić zbyt wiele, Lit, nie przekraczając swoich kompetencji. Jego własny kij w dupie go ogranicza.

– Mam wrażenie, że go nie doceniasz – westchnął Taurys, wznawiając spacer. Pierwsze krople wody spadły mu na głowę; przyśpieszył kroku.

– To płotka, która węszy. Ale mam pomysł, by przestała.

Litwa nastawił uszu.

– Jaki? – zapytał ostrożnie. Zbliżał się już do przystanku tramwajowego, na którym powinien wysiąść.

– Według systemu, Łukasiewicz i Lebiediew to dwie różne osoby. To oznacza, że Lebiediew może nie tylko wchodzić biura relokacji jak zagubiona sierota, ale też odwiedzać cię po wielokroć, długo i namiętnie. Łapiesz, Lit, czy mam być bardziej dosadny?

Litwa otworzył usta, a potem je zamknął.

– Sugerujesz... – zaczął cicho, czując, jak na jego policzki z wolna wpełza rumieniec.

– Rzucaj robotę, kasa nie jest ci teraz potrzebna, a ja wpiszę go w twoje akta jako dzielącego z tobą mieszkanie i łóżko przyjaciela i wtedy...

– Nie rozpędzaj się tak, Gilbercie – przerwał mu Litwa. Gorąco rozgościło się na niego policzkach, mimo chłodnego wiatru, który znów szamotał jego płaszczem i włosami. Do dzielenia łóżka… w tym sensie, który Gilbert miał na myśli, jeszcze nie przeszli i Taurys nie sądził, by prędko przeszli do tego etapu.

Prusy albo go nie usłyszał, albo zignorował.

–...skończy się ta cała szopka ze znikaniem. Wkurwia mnie to, a Polen i tak by wpadł, gdyby znowu któryś z moich chłopców zachorował. Niech robi użytek ze swojej nowej

tożsamości, skoro już zadał sobie taki trud. Przy okazji, zaspokoi to chorą ciekawość Lefevre'a. Jasne włosy pod prysznicem pewnie dotąd nie dają mu spać. Myśli, że coś ukrywasz. Jak okaże się, że faceta pod łóżkiem, to może da sobie spokój. Najciemniej jest zawsze pod latarnią.

Taurys pokonywał kolejne metry w milczeniu.

– Nikt z nas nie ma partnera – zaczął ostrożnie. Ulicą hałaśliwie przejechał tramwaj; Litwa przykrył sprecher dłonią i odczekał, aż znów zrobi się cicho. – Nie ma, prawda?

Ich gatunek nie zwykł się wiązać z ludźmi; czasem nawiązywali jedynie przelotne kontakty, szybko ucząc się, że przywiązywanie się przynosi ból, ale kto wie, może samotność ostatnich dziesięcioleci stała się dla któregoś z nich nie do zniesienia do tego stopnia, że...?

– Francis miał kilka dziewczyn – rzucił lekko Gilbert. – Jak któraś mieszkała z nim dłużej niż miesiąc, to ją rejestrowałem. Imię, nazwisko, numer karty obywatela, nic więcej.

– Feliks przekraczał granice. Ja nie mogę. To jest podejrzane.

– Zawodowo, a nie politycznie – Prusy brzmiał na zirytowanego. – A żeby w ogóle dostać się do tej informacji, trzeba spojrzeć na pieczątkę w karcie, którą Polen ma przy sobie.

– Zaraz – Litwa zmarszczył brwi, myśląc gorączkowo. Coś mu nie pasowało. – Nie ma tego w systemie? Myślałem, że jest tam... wszystko.

– W twoim przypadku – odparł Gilbert poważnie. – Nie sądzę, w całym imperium była więcej niż setka osób, dla których zbiera się tyle danych. Gdyby robiono to dla każdego obywatela, nie byłoby tej bazy. Ona i tak ledwo funkcjonuje. Widziałeś telefon komórkowy swojego kochasia? Telefon, nie sprecher. Technologicznie imperium jest daleko za wszystkim, chociaż mówi wszystkim inaczej.

– Po wojnie brakowało ludzi wykształconych, lekarzy, inżynierów – mruknął Litwa jakby do siebie. Inteligencję mordowano; drugi führer zatrzymał machinę, ale szkody już zostały wyrządzone. – A kontaktów ze światem zewnętrznym prawie nie było.

– Claus bał się, że tak wielki kraj się rozpadnie – Prusy westchnął. – Nie powiem, że nie miał racji.

Polityka izolacji, zalania ludzi propagandą i czekania, aż zacznie działać, scalając wszystko, pomyślał Litwa. Nim Zjednoczona Rzesza Niemiecka uchyliła furtki, społeczne niepokoje i ruchy niepodległościowe wewnątrz niej zdążyły wygasnąć albo zostać stłumione. Jeszcze trochę minęło, nim pojawił się Netzwerk podłapany od Amerykanów, a na początku też działał koszmarnie...

– Co się dzieje, gdy ktoś przekracza granicę? – zapytał wolno, przystając przed drzwiami do klatki swojego bloku. Wyciągnął pęk kluczy z kieszeni i spoglądał na nie tępo. Jeden z końców metalowego kółka, do którego były przyczepione, odstawał na kilka milimetrów. Zmarszczył brwi; czy na samym początku nie miał czterech kopii klucza do mieszkania?

– Sprawdza się, czy dane z karty zgadzają się z tymi w systemie – wyjaśnił tymczasem Prusy. – Sam odczyt danych pojedynczej osoby to kilka minut, i to przy dobrym połączeniu

z Netzwerkiem. Straż graniczna nie ma prawa do modyfikacji systemu. Mało kto ma, zdychałby co chwila, więc opierają wszystko na pieczątkach… Czego ty się boisz, Lit?

Taurys złapał za klamkę i zacisnął szczęki.

– Porozmawiajmy o tym, gdy Feliks wróci ze wschodu.

***

Osiedle na Mariendorfie tonęło w zieleni przydomowych ogródków i podwórek; niskie budynki, głównie domy jednorodzinne i bliźniaki, chowały się w cieniach drzew albo za gęstą roślinnością rosnącą wzdłuż płotów. Powietrze pachniało jeszcze letnim kwieciem, ćwierkały ptaki i szumiały korony drzew; Feliks miał wrażenie, że znalazł się gdzieś na sielskiej wsi, a przecież nawet nie opuścił granic Berlina. Nawet pochmurne niebo i mocny wiatr nie psuły przyjemnego wrażenia; wręcz przeciwnie, świat wydawał się jakby zieleńszy, bardziej nasycony barwami.

Zamiast asfaltu miał pod stopami bruk; wyślizgane, gładkie kamienie czuł przez cienkie podeszwy przy każdym kroku, ale miał ważniejsze rzeczy do roboty niż rozpamiętywanie własnego dyskomfortu. Rozglądał się ukradkiem, szukając na ulicy konkretnego adresu, a gdy zza najbliższej furtki wyszła młoda kobieta z dzieckiem na ręku, Polska wcisnął dłonie głębiej w kieszenie spodni, mając nadzieję, że wygląda na mniej zdenerwowanego niż był rzeczywiście.

Kombinowanie i przekręty miał we krwi; ale tym razem chodziło nie tylko o niego i Feliks bardzo nie chciał tego spieprzyć.

Przed kwadransem zadzwonił Gilbert, kwitując całą akcję krótkim „poszło". Polska nie wdawał się w dyskusję; wiedząc, co ma robić, wsiadł w tramwaj i przyjechał tutaj, na to podmiejskie osiedle.

Jego celem był nieduży, uroczy ceglany domek z nieco zaniedbanym, ale urokliwym, skrytym pod wysokimi lipami podwórkiem; Feliks pomyślał mimochodem, że mógłby w takim zamieszkać, z Taurysem, kiedyś, gdy już zrobią swoje… Na razie potrząsnął włosami i odrzucił tę myśl.

Zatrzymał się przy furtce z kutego żelaza, widząc tabliczkę z napisem „uwaga, zły pies. Wchodzisz na własne ryzyko". Zagryzł wargi, niespokojnie rozglądając się po podwórku; gdy dostrzegł drzemiące w trawie brązowe szczenię, nie większe od jego stopy, kamień spadł mu z serca.

To maleństwo, które poderwało się z ziemi na skrzypnięcie furtki, prawdopodobnie nie miało jeszcze nawet stałych zębów. Szczeniaczek podbiegł do Feliksa pociesznie, merdając cieniutkim jak wstążka ogonem tak szybko, że ten rozmazywał się w oczach i oparł się łapkami o jego kostkę.

– Cześć, malutki – mruknął Polska, nieco niepewnie sięgając jedwabistego ucha. Jamniczek zaskomlał z radości. Feliks odetchnął i wyprostował się, ignorując szczeniaka. Serce, mimo braku zagrożenia i tak biło mu szaleńczo; pieprzona wojna…

Ruszył ścieżką ułożoną z płaskich kamieni wprost do drzwi wejściowych. Jego twarz odbiła się w szklanych wstawkach; zapukał, a potem zerknął na podwórko ocienione

lipami. Gdzieś na tyłach zauważył też wierzbę płaczącą; ten widok przypomniał mu inny ogród.

Tamto miejsce już pewnie nie istniało w takiej postaci, jakiej je pamiętał; wierzby, lipy, rozłożyste platany dookoła małego, letniego pałacyku... Wtedy też było lato, ale drzewa i zapadający zmierzch pozwalały odpocząć od upału. Litwa szedł powoli, głęboko zamyślony, a jego oczy, utkwione w szpalerze drzew poruszanych wiatrem, były nieobecne; Feliks nie pamiętał już, co się wtedy stało – może to było coś poważnego, a może drobnostka, kropla przelewająca czarę – ale to był jeden z nich ostatnich wspólnych spacerów; lada moment to, co ich łączyło, miało się rozkruszyć i rozsypać.

Pamiętał, jakby to było wczoraj, jak beztrosko złapał dłonie swoimi dłońmi i do warg przycisnął swoje wargi, a Taurys spokojnie, ale stanowczo się od niego odsunął i tylko pokręcił głową i odszedł, ku niedowierzaniu, oburzeniu i złości, które Polska wtedy czuł.

– Lebiediew – zza progu patrzył na niego stary znajomy, ściskając klamkę od wewnątrz tak, jakby chciał zatrzasnąć drzwi. – Czego ode mnie jeszcze chcesz?

Feliks zmusił się do uśmiechu, mimo tego wyraźnie nieprzyjaznego powitania.

– Ostatniej przysługi – powiedział cicho. – Potem nie będę cię już niepokoił, obiecuję.

Mężczyzna wypuścił powietrze przez zęby. Potem rozejrzał się i westchnął ciężko.

– Wejdź.

Feliks wsunął się do małego przedpokoju. Gdy zamknęły się za nim drzwi, sięgnął do kieszeni i podał mężczyźnie złożoną na pół kopertę.

– Chciałbym, żeby ten list trafił do adresata – powiedział wesoło. – Do urzędu miejskiego. Potrzebuję też oficjalnego potwierdzenia nadania. Urząd prawdopodobnie odeśle jakąś informację, że wniosek jest błędny... A ja chciałbym, żeby ta informacja zaginęła i nigdy nie dotarła do pana Laurinaitisa... Tak, by ewidentnie była to wina poczty. Na przykład, roztargnionego listonosza.

Listonosz westchnął i sięgnął po list.

– Da się to załatwić. Przyjdź jutro wieczorem. I przynieś hajs.

Feliks wyszczerzył się do ucha do ucha i cofnął o krok, sięgając na oślep do klamki.

– Przyniosę. Będę ci wdzięczny. Dozgonnie – rzucił, obracając się.

Szczeniaczek obwąchiwał jego nogawkę; na ścieżce przed furtką stał dorosły krótkowłosy jamnik, sądząc po widocznych, nabrzmiałych sutkach, matka karmiąca, i warczał groźnie, nie odrywając nieruchomych oczu od Feliksa.

– Ona nie jest niebezpieczna.

– Taaak… – Polska przełknął ślinę. Wcale nie był tego taki pewny. – Wiesz, że to psy myśliwskie?

***

Berta co chwila wyciągała szyję; długie wibrysy zadrżały, gdy po raz kolejny intensywnie węszyła, wpatrując się w brytfannę stojącą na kuchence.

Odkąd godzinę temu Feliks zajął się obiadem, co chwila podkradała się coraz bliżej, zastygając w miejscu za każdym razem, gdy na nią spoglądał.

– Przecież cię widzę – mruknął, kręcąc głową. Przykucnął i wyciągnął rękę. Berta spojrzała na niego groźnie, ale pozwoliła dotknąć kosmatego ucha. – Widzisz? Nie jestem taki straszny. Jeśli przestaniesz się zachowywać jak wściekły Prusak, to może nawet dam ci skosztować.

Kot zbliżył się na ugiętych nogach, obwąchał jego nogawkę i zamiauczał przeraźliwie, wyczuwszy psa; Polska westchnął i wstał.

Było już po drugiej po południu; Taurys powinien niedługo się pojawić. Przez wakacje Polska zdążył się przyzwyczaić, że niemal zawsze są razem i godziny nieobecności Litwy bardzo mu się dłużyły.

– Berta, masz go pilnować, gdy pojadę, rozumiesz?

Berta w dwóch susach znalazła się na lodówce i posłała Polsce chłodne spojrzenie. Feliks westchnął.

– Proszę?

Kocica miauknęła jakby łagodniej; Feliks uznał to za akceptację. Uśmiechając się, zajrzał pod pokrywkę, zamieszał drewnianą łyżką sos i zerknął przez małe, kuchenne okienko w samą porę, by dostrzec, jak przed drzwiami do klatki przystaje Taurys.

Dlaczego nie wchodził? Przeczucie nagle tknęło Feliksa; odłożył na bok ścierkę, którą chronił ręce i ruszył na korytarz.

Gdy pchnął drzwi wejściowe, rozsunęła się winda.

– Cześć – powiedział, a potem zmarszczył brwi, gdy zdał sobie sprawę, że przeczucie było słuszne. Coś było nie tak. – Co się stało, Licia?

Nienawidził tego bezradnego, gorzkiego, wymuszonego uśmiechu, a to był kolejny raz, gdy Litwa wracał z nim do domu.

– Hiszpański premier chce odsunąć na próbę Antonia. Plotki o mnie i Annice już krążą po szkole. – zaczął cicho Litwa, gdy zamknął za sobą drzwi. Feliks zaklął, ale to następne słowa go zmroziły. –A moja uczennica jest bita w domu i nie wiem, co robić.

Cholera; Polska zagryzł wargi i postąpił do przodu. Zacisnął dłonie na bladych, pozbawionych życia dłoniach Litwy i ścisnął je pocieszająco. Taurys otworzył usta, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, a potem pokręcił głową.

– Coś wymyślimy – powiedział pewnie Polska, zagryzając wargę. Stek przekleństw przeleciał mu przez głowę. Dzieci. Największe skurwysyny zawsze celowały w dzieci. Nie zamierzał przejść wobec tego obojętnie. – Jak nie, to sam go znajdę i wyrwę kilka kończyn. Teraz chodź, musisz coś zjeść. Zrobiłem obiad. O ile ta diablica się już do niego nie dorwała…

Jego osobistą misją było naprostowanie sposobu odżywiania się Litwy; Taurys poszedł za nim bez słowa, pogrążony w ciemnych myślach. Gdy przekroczył próg kuchni i poczuł zapach, nagle zamrugał.

– Zrobiłeś królika? – szepnął zdumiony, a potem dostrzegł swojego kota, wolno czołgającego się po blacie stołu do garnka. Wibrysy zbliżały się już do palnika. – Berta, nie…

– Jestem bliski oswojenia. Odkryłem, jak działa – powiedział Feliks, obserwując, jak Litwa bierze kocicę w ramiona i przytula ją do siebie. – Kij i marchewka. Nienawidzi zapachu ruty. Kocha duszonego królika, tak samo jak ty.

Widzisz, pamiętałem, pomyślał, widząc jak wargi Litwy drgają, a szczery uśmiech w końcu na nie powraca. Taurys opuścił kota na ziemię, a potem, ku miłemu zaskoczeniu Feliksa, pokonał dzielący ich dystans i pocałował w policzek.

– Ačiū – szepnął Taurys gorąco do jego ucha i Feliks wiedział, że nie chodzi tylko o ulubioną potrawę.

Feliks tu był, gdy Litwa wrócił z pracy, wyraźnie przybity tym, czego się dowiedział. Był, by go wysłuchać i pomóc; przynieść pocieszenie i po prostu… po prostu był. Po Charlottenburgu, po komisji, teraz.

Jeszcze kilkanaście dni, nim Polska wyruszy, zgodnie z ich ustaleniami, pod Kursk – miał nadzieję wykorzystać te dni jak najlepiej, by Taurys nie czuł się znów tak samotny, jak wcześniej… i samemu zabrać ze sobą jak najwięcej dobrych wspomnień.

Nie lubił rozłąki z osobami, które kochał – a tych miał w życiu stanowczo zbyt wiele – i nie chciał znowu stracić Taurysa przez własną głupotę.

I w momencie, w którym Polska zdecydował, że chce odwzajemnić pieszczotę i już wspinał się na palce, by dotknąć wargami gładko ogolonego policzka i spleść dłonie z taurysową dłonią, Litwa cofnął się i sięgnął do kieszeni.

Feliks spojrzał bez zrozumienia na pęk kluczy.

–Jeszcze zgubiłem zapasowy klucz w pokoju nauczycielskim – pokręcił nagle głową, odkładając pęk na kuchenny stół. – Jestem beznadziejny – szepnął nagle, jakby do siebie.

Polska zmarszczył brwi, bo nie spodobał mu się ten ton. Cóż, pomyślał, nad poczuciem własnej wartości też chyba musimy popracować.

– Nic się nie stało, Licia.

Rozdział XXIII: Wrzuceni w siebie

Już tutaj, na obrzeżach Treviso, pachniało morzem. Stojąc w cieniu roślinności, Gilbert przymykał oczy i wdychał dym i sól, łapał w płuca namiastkę swojego utraconego urlopu; do obszaru zależnego Wenecji było ledwie kilka kilometrów i ta najbardziej egoistyczna część niego znów zżymała się na Feliksa. Gdyby nie on, Prusy miałby dwa spokojne, leniwe tygodnie, bawiłby się do świtu i spał do zmierzchu, nie myśląc absolutnie o niczym poza smakiem kolejnego drinka czy o tym, jaki utwór zaśpiewać w spowitym papierosowy dymem lokalu z karaoke, zamiast cały czas przetwarzać informacje, łączyć kropki, węszyć...

Zniecierpliwiony klakson dochodzący z sąsiedniej ulicy przywrócił go do rzeczywistości. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, były rzeczy znacznie ważniejsze niż jakiś tam odpoczynek, więc musiał kontynuować, dalej robić swoje.

Dzisiaj był tutaj, tak blisko Adriatyku; wczoraj przemierzał zachodnie terytoria Imperium, niegdyś francuską ziemię, jutro też oddychać będzie morskim powietrzem, ale w swoim Królewcu, setki kilometrów stąd.

Ciekawe, pomyślał, gwałtownie otwierając oczy czy Polen złamie ten przeklęty krąg.

Wbrew temu, co można było pomyśleć, Prusy doskonale wiedział, że Polski lekceważyć nie wolno; Feliks miał w sobie o wiele więcej siły, niż można byłoby się spodziewać po jego sylwetce, potrafił znieść i przetrwać wiele, a sprytem nie ustępował najcwańszym lisom. Jeśli ktoś był w stanie zatrząść zastałą, pordzewiałą maszyną, w którą zamieniła się Rzesza, to był to właśnie Polska.

Nie sam, oczywiście, ale on zawsze był iskrą, zarzewiem buntu, świetnym wojownikiem i człowiekiem czynu, i potrafił dokonywać niemożliwego, co Prusy musiał niechętnie mu przyznać.

Było jednak coś, co zwykle napawało go mściwą satysfakcją, chociaż w obecnej sytuacji przywoływało jedynie gniew; Polska robił czasem rzecz tak absurdalnie głupią i nieprzemyślaną, że Gilbert nie dowierzał własnym oczom.

Ludzie mówili, że mądrość przychodzi z wiekiem; gdzie tam, myślał Prusy, ten idiota ma tysiąc lat i nie wpadł na to, że mruganie porozumiewawczo do kogoś, kto ma nie wiedzieć o tym, że żyje, może przekreślić cały nasz plan.

Właśnie dlatego teraz spacerował po chodniku z papierosem w ustach i myślał intensywnie, jak porozmawiać z Francisem, nie wzbudzając podejrzeń oficerów; jego chłopcy i tak patrzyli na niego z niepokojem od poniedziałkowego poranka…

Jakiś mężczyzna, warczący do sprechera przy uchu, wpadł na Gilberta potężnym ramieniem i dalej brnął przed siebie niczym taran; spomiędzy warg Prus wypadł na wpół wypalony papieros, a on już odwracał się na pięcie, by zatrzymać tego grubasa i dać mu nauczkę…

Sprecher. Oczywiście. W jego głowie natychmiast wykiełkował plan.

– Uważaj, jak leziesz – warknął tylko za mężczyzną, który nawet się nie obejrzał. Świadom spojrzeń chowających się w cieniu oficerów, wywrócił teatralnie oczami

i z żalem spojrzał na papieros, nim przydeptał go butem. Żar zgasł. – Dobra – odezwał się podniesionym głosem. – Koniec przerwy.

Francis Bonnefoy mieszkał w uroczym domu o białych ścianach, którego drzwi i okiennice pomalowano szarozieloną farbą; krzew przy ścianie ukształtowano tak, by rósł poziomo wzdłuż gzymsu między parterem a piętrem, dając przechodniom schronienie przed słońcem.

Po drugiej stronie dróżki, zaraz za dzikim pasem trawy i drzewkami, migotała tafla spokojnie płynącej rzeki; na jej drugim brzegu, za zaroślami, złociły się pola uprawne. Helikopter siedział tam nieruchomo jak olbrzymia ważka.

Kilkoro nastoletnich, półnagich chłopców znalazło sobie miejsce, w którym przeciwny, niski brzeg był słabiej zarośnięty. Tam chronili się przed upałem, pływając w spokojnych wodach rzeki i ukradkiem popijając alkohol z ciemnych butelek; co jakiś czas rzucali zaciekawione spojrzenia helikopterowi, ale mundury towarzyszących Gilbertowi oficerów skutecznie odstraszały ich od podejścia bliżej.

Słusznie; respektu do munduru uczono od pierwszych klas i niejednokrotnie oszczędziło to Gilbertowi zbędnych tłumaczeń...

Zwłaszcza, pomyślał Prusy, odwracając się ku drzwiom i pukając w nie głośno, że Jannik i Dumitresch oficerami byli tylko z nazwy; ot, zwykli żołnierze z uprawnieniami do jazdy i lotu, chłopcy o przeciętnych umiejętnościach, przekonani, że trafiła im się świetna okazja, dobra płaca za latanie po kraju. „Oficerowie" brzmiało poważniej, budziło respekt…

Fuszerka, absolutna fuszerka, zdawał sobie sprawę doskonale, ale obserwowane personifikacje nie musiały o tym wiedzieć... do tej pory.

– Już, już – Zza drzwi dobiegł nieco stłumiony, lekki głos. Gilbert wypuścił powietrze przez zęby, szurając butem po brukowanym chodniku. – Zapraszam!

Każde z nich miało swoje własne sposoby na radzenie sobie; Francis uśmiechał się słonecznie, słodko, gdy wpuszczał ich do środka, jakby witał wyczekiwanych z tęsknotą gości.

Wilgotne włosy opadały elegancko na jego szyję i odsłonięte ramiona, gdy boso, w szlafroku wprowadził ich do jasnego, przestronnego salonu. Oficerowie skinęli mu tylko głowami na powitanie i zajęli się rutynową kontrolą; gdy Gilbert upewnił się, że żadnego z nich nie ma w zasięgu wzroku, sięgnął do karku, jakby chciał się tam podrapać.

Oczy Francisa natychmiast zmieniły wyraz; spokojne, fałszywe rozbawienie zastąpiło pełne skupienie.

– Jak tam urlop? – zagadnął, lustrując Prusy uważnym spojrzeniem.

Cóż, spodziewał się tego pytania; wzruszył ramionami.

– Bawiłem się, piłem i spałem do późna – odparł gładko, świdrując Francisa wzrokiem. Wie czy nie? Co z jego komisją? – Uznaję go za bardzo udany.

Francja patrzył na niego jeszcze przez moment.

– Wyłączyłeś podsłuch, prawda? – zapytał, ledwie poruszając wargami.

Gilbert drgnął, niemile zaskoczony pytaniem; owszem, zrobił to, ale zawsze starał się manipulować nagrywaniem dyskretnie i na pewno nigdy nie wspomniał o tym Francji. Jeśli ktoś nie wiedział, na co patrzeć i czego szukać…

– Musimy porozmawiać, Gilbercie – Głos Francisa był ledwie głośniejszy od szeptu. – Nie… nie przy nich. W jakiś inny sposób.

Prusy wolno skinął głową. O tak, zdecydowanie musieli i wyglądało na to, że mieli do obgadania więcej, niż mu się do tej pory wydawało. Tym razem wcale się nie kryjąc, sięgnął do kołnierza koszuli, palcem niczym hakiem szarpnął kabelek i świadom spojrzenia Francisa, wcisnął maleńki guziczek.

Jeden ruch szyją i podsłuch wrócił na swoje miejsce przy kręgosłupie.

– Ten twój sprecher często się tak psuje? – Gilbert podniósł głos. – Zaciął się, za nic nie mogę przejść do listy połączeń... O, dobra, ruszył... Co za szajs…

– To drugi albo trzeci raz dzisiaj – Francis natychmiast wszedł w rolę, brzmiąc na szczerze zaniepokojonego. Pośpiesznie sięgnął do kieszeni i wcisnął sprecher w dłonie Gilberta. – Próbowałem zadzwonić do biura, ale nie byłem w stanie. Wydaje mi się, że wczoraj przypadkiem zostawiłem go na słońcu i to mu zaszkodziło, biedaczek musiał się przegrzać.

– Właśnie widzę – Gilbert uderzył sprecherem o otwartą dłoń, a potem wdusił przycisk zasilania. Gdy w drzwiach pojawił się oficer, spoglądając pytająco, Prusy pokazał mu czarny ekran. – Jannik, napisz gdzieś, że pan Bonnefoy zepsuł sprecher. Wpiszę to potem w raport.

– Tak jest.

Gilbert chwilę obracał urządzenie w dłoniach, nim podał go Francisowi.

– Jak do jutra mu nie przejdzie, będziesz musiał zawnioskować do biura o nowy sprzęt – rzucił rzeczowo.

– Oczywiście... Długo to potrwa? – Francis przyjął sprecher i trzymał go w dłoniach jak ranne ptaszątko, przyglądając się mu z zaaferowaniem.

Gilbert zmarszczył brwi, chociaż w głębi ducha całkiem dobrze się bawił. Sytuacja była dziwna i musiał dowiedzieć się, co Francis wie, ale kto powiedział, że nie może zapewnić sobie odrobiny rozrywki?

– Kilka tygodni, żeby wniosek przeszedł przez wszystkie procedury. Udzielam ci wyjątkowego pozwolenia na kontaktowanie się z biurem z jakiegoś postronnego numeru, jeśli będziesz miał taką konieczność. Pamiętasz numer?

Francis przytknął dłoń do ust.

– Miałem gdzieś zapisany... – wymamrotał do siebie, rozglądając się dookoła. Co za aktor, pomyślał Gilbert z rozbawieniem. – Och, ale wczoraj robiłem porządki w dokumentach, może... tyle tych karteczek...

Prusy teatralnie wywrócił oczami.

– Daj kartkę i długopis, to ci napiszę. A ty co, skończyłeś już?

– Prawie – Spłoszony Jannik zniknął za załomem muru.

Kilka chwil i na skrawki papieru czerniały cyfry; Gilbert podał karteczkę Francisowi i na moment mocno zacisnął palce na jego palcach.

– Dwudziesta czwarta – poruszył bezgłośnie wargami.

Dzisiaj czekały go jeszcze dwie wizytacje; to była rozsądna godzina na poufną rozmowę, nawet gdyby wydarzyłoby się coś nieoczekiwanego.

Francis otworzył szerzej oczy, nie rozpoznając numeru – ten do biura wszyscy znali na pamięć – a potem skinął głową.

Zapowiadała się interesująca rozmowa i taka też była; gdy wieczorem Prusy zamknął za sobą drzwi, wiedząc doskonale, że śpiący po drugiej stronie korytarza oficerowie nie będą go podsłuchiwać, pozostawało mu tylko czekać.

Kolejne pokoje hotelowe, w których się zatrzymywał, zawsze były takie same; od białej pościeli bił mdły zapach kwiatów, proste meble nużyły oczy, w barkach zawsze znajdowały się te same butelki... Zmieniały się tylko widoki za oknem, ale i te zlewały mu się już w jedno, wysokie budynki, rzeka, ciemność parku, jakie to miało znaczenie, skoro i tak za każdym razem wszystko działo się tak samo; prysznic, sen, świt, śniadanie i helikopter...

O tej porze, prawie o północy, spałby już kamiennym snem, podsyconym kieliszkiem dobrego wina czy likieru, śnił o niczym albo o tętniących końskich kopytach na polach dawno minionych bitew, ale dzisiaj, w pełnym ubraniu, siedział na skraju łóżka i patrzył nieruchomym wzrokiem na ciemny ekran drugiego sprechera, czekając.

– Cześć – powiedział po prostu, gdy ekran rozjaśnił się, wyświetlając obcy numer.

– To ty, Gilbercie?

– Tak – mruknął Prusy, unosząc oczy na sufitową lampę. Ładna w najnudniejszym tego słowa znaczeniu, biała i prosta, jakby projektant bał się wyjść poza ustalone zasady, roztaczała wokół zimne światło. – Czyjego sprechera używasz?

– Mojej uroczej sąsiadki – W głosie Francji zabrzmiała znajoma, miękka, zalotna nuta. – Kochaniutka bardzo przejęła się zepsutym.

Prusy przypomniał sobie krągłą postać blondynki, którą od czasu do czasu widywał na drewnianym pomostku tuż nad rzeką; słomkowy kapelusz, pełne usta, zaciekawione spojrzenie spod długich rzęs, gdy Francis wpuszczał ich do środka, jednocześnie posyłając jej speszony uśmiech, jakby mówił „przepraszam, nie teraz".

Prychnął.

– Myślałem, że już z nią nie sypiasz. Wyrejestrowałem ją.

– Wspominałem ci, że nie jesteśmy już parą i nie mieszkamy razem – Lekkie rozbawienie było doskonale słyszalne. – Z innych przyjemności życia nie zrezygnowaliśmy, mój drogi. A jak tam twoje życie erotyczne?

Gilbert wywrócił oczami; świat się zmienił, zawalił i odbudował od nowa, a ten nadal jest taki sam, jaki był.

– Ja, w przeciwieństwie do ciebie, Francis – powiedział dobitnie, wstając i pochodząc do barku. Złapał za butelkę piwa i, przyciskając sprecher ramieniem do ucha, otworzył ją leżącym obok otwieraczem z logotypem hotelu. – Nie mam obsesji na punkcie spania

z innymi. Poza tym – dodał głośniej, wracając na łóżko z alkoholem. – Nie myśl, że odstawiam teraz całą tę szopkę tylko po to, by pogadać sobie z tobą na... – Skrzywił się z odrazą. – męskie tematy.

– Domyślam się – Francis przybrał poważniejszy ton. – Przejdźmy do konkretów, dobrze?

– Dobra… – Prusy wziął mały łyk piwa. Zimny, ciemny lager, łagodny, o mocnym, miodowym posmaku; zbyt słodki jak dla niego, ale wiedział, kto byłby zachwycony... Otworzył usta, układając sobie w głowie to, o co chciał zapytać, ale okazało się, że Francja go wyprzedził:

– On żyje, prawda?

***

Kolejny raz ekran rozjaśnił się bielą; Taurys przymknął oczy, czując pod powiekami piasek, a potem schował twarz w dłoniach, próbując ich chłodem uzyskać chociaż odrobinę ulgi.

Treści kodeksów karnych i cywilnych zlewały mu się w jedno; te same sformułowania, te same odniesienia, niezależnie od tego, na której stronie netzwerkowego zbioru przepisów był; komentarze i przytaczane rozprawy, na wpół utajone, wszystkie bez wyjątku udowadniające słuszność danego paragrafu i nieomylność sądu...

Cholera, nie zdawałem sobie sprawy, ile propagandy jest w zwykłym prawodawstwie, pomyślał, patrząc przez palce na oślepiającą biel; czarne maleńkie litery przytaczały proces „oburzająco nadgorliwego” i „szkodliwego” nauczyciela, doszukującego się w „surowym, acz zdrowym” wychowaniu pasierbicy wysoko postawionego urzędnika „rzekomych nadużyć”. Tak długo już tkwię w tym kraju, że przestałem zauważać oczywistości...

Proces był sprzed piętnastu lat; kimkolwiek był ten kolega po fachu, dekadę temu opuścił więzienie z zakazem wykonywania zawodu.

Litwę wcale nie napawało to optymizmem.

– Amerykańskie prawo opiera się na precedensach – mruknął do siebie. – Niemieckie nie. Ale nawet gdyby tak było i tak nie znajdę, jasna cholera, nic, co by...!

Urwał i zacisnął wargi mocno, chociaż miał ochotę krzyczeć; był środek nocy.

Sięgnął do myszki i przeklikał się dalej; obowiązki ucznia, obowiązki nauczyciela. Obowiązki wobec państwa, regulamin służby młodzieżowej… Mir domowy, ledwie kilkanaście suchych paragrafów, z których nic nie wynikało... Obyczajowość... paragraf o mężczyznach, którzy kochali mężczyzn…

Feliks też myślał nad problemem drugi dzień, ale jak dotąd obaj do niczego nie doszli; jak pomóc Uschi? Czy da się jej pomóc? Czy ona...

Będę musiał z nią porozmawiać, pomyślał Taurys, myśląc gorączkowo. Dowiedzieć się więcej.

Znał ją tylko powierzchownie; cicha uczennica, która kochała muzykę, która rozkwitała, gdy zasiadała do klawiszy, jak pustynna róża oblana wodą; matka umarła

w wyniku komplikacji poporodowych, jeśli dobrze pamiętał jakąś rozmowę w pokoju nauczycielskim. Ojca widywał czasem, gdy ten odbierał Ursulę ze szkoły albo zjawiał się na wywiadówkach, ale ponieważ Taurys nigdy nie był wychowawcą, jego kontakt z tym mężczyzną ograniczał się jedynie do wymiany grzeczności.

Może Annika będzie mogła mu pomóc; może wiedziała coś więcej, co mogłoby rzucić nowe światło na sytuację, nakierować na jakąś ścieżkę działania...

Może powinienem zajrzeć jeszcze raz do tych publikacji, pomyślał, prostując się, ale potem zerknął na zegarek w rogu ekranu. Prawie druga w nocy; Feliks pewnie już spał, nie chciał go budzić, szperając po półce z książkami...

Znów przytknął dłonie do twarzy, czując, jak pieką go oczy. Rano będzie półprzytomny, ale nie był w stanie zasnąć, nawet jeśli pod czujnym okiem Polski uważał, by nie przesadzać z kawą; zbyt wiele myśli kłębiło mu się w głowie.

Trwał tak chwilę, w ciszy i ciemności, próbując cokolwiek wymyślić. Z tego stanu wyrwał go dźwięk nadchodzącego połączenia; drgnął przestraszony, o mało co nie zrzucając klawiatury z biurka i złapał za leżący obok sprecher, go też niemal posyłając na podłogę.

Gilbert. Dlaczego dzwonił o tej porze? Setki niespokojnych myśli i obaw przebiegły Litwie przez głowę, nim drżącymi palcami nacisnął przycisk odbierania.

– Słucham? – zapytał i w napięciu czekał na odpowiedź.

– Śpicie?

Ton Gilberta, chociaż kpiący, wydawał się spokojny. Litwa odruchowo rozluźnił mięśnie; cokolwiek się stało, nie była to sytuacja awaryjna... prawdopodobnie. Odpowiedział automatycznie:

– Ja jeszcze nie. Feliks pewnie tak.

– Dalej okupuje kanapę? – Litwa prawie mógł zobaczyć uniesioną brew Prus. – Długo zamierzacie jeszcze tak tańczyć wokół siebie, zamiast się w końcu znowu zejść? Drugi raz pytam.

– Gilbercie, nie... – zaczął Taurys niecierpliwie, ale następne słowa sprawiły, że jego własne zamarły mu na wargach:

– On nie chce na ciebie naciskać, a ty się boisz. Nie macie całej wieczności, zapomniałeś?

Zabolało jak postrzał albo uderzenie pioruna; Litwa zacisnął mocno szczęki, niemile zaskoczony kierunkiem, jaki obrała ta niespodziewana rozmowa. Rzucić mu w twarz własną śmiertelnością; tak, pomyślał gorzko, cały Prusy.

– Nie boję się z nim być – odezwał się niepewnie, sam nie wiedząc, czemu to mówi. Nigdy nie byli przyjaciółmi; zdystansowani sojusznicy, to było najlepsze określenie ich relacji... ale chyba potrzebował wypowiedzieć niektóre słowa na głos. A może to cicha noc przyniosła mu odwagę. – Chcę tego.

Nie chce naciskać… to przywodziło na myśl przyjemne uczucie bycia chcianym. Nie był ślepy, widział, że Feliks naprawdę do niego lgnie, krąży ostrożnie, i był już pewny, że Polska też chce odbudować to, co między nimi niegdyś było. Pocałunki w policzek i randki…

– Więc co cię powstrzymuje? – Sądząc po tonie, Prusy, gdziekolwiek był, marszczył brwi w niezrozumieniu. – O co chodziło w twojej wczorajszej odpowiedzi? Dlaczego zwlekasz?

Wiedział, że to głupie. Feliks nigdy nie byłby taki małostkowy i okrutny, ale słowa rzucone w jego kierunku, lata temu, słowa, o których sobie wczorajszego dnia przypomniał, gdy pozwolił sobie marzyć o wspólnym życiu, nadal bolały i upokarzały; jesteś wrakiem, nie mężczyzną, co ja w tobie widziałam…

– Lit… – zaczął Gilbert ostrzegawczo, gdy milczenie się przedłużyło.

Taurys wziął głęboki wdech; jestem takim tchórzem, pomyślał. Feliks lada moment wyjedzie i nie wiadomo, co może się stać, kiedy znów się zobaczymy. On ma rację. Jedną rozwianą czarną myśl zastępuje kolejna; moja głowa robi ze mnie głupca.

– Masz rację – przyznał cicho, czując, jak na jego policzki wpełzają rumieńce zażenowania. – Powinienem przestać być taki… – Złamany. Niepewny. – Głupi.

Nie mają już na to czasu.

– Ja zawsze mam rację. Dobrze, że po tylu latach w końcu to do ciebie dotarło – Prusy brzmiał jak karcący rodzic. Litwa niemal nie roześmiał się histerycznie, gdy dotarł do niego absurd tej sytuacji, nim jednak cokolwiek powiedział, głos Gilberta zmienił się w warknięcie. – Jedyna dobra wiadomość tego dnia, Lit, że chociaż ty czasem myślisz.

Taurys znieruchomiał; a więc dobrze podejrzewał, że Prusy nie dzwoni do niego po nocach po to, by bawić się w swatkę.

– Co się stało? – wyszeptał cicho, patrząc w jaśniejący bielą monitor, ale wcale go nie widząc. Rozmawiali zaledwie wczoraj, gdy Gris przekazał informację o sytuacji Antonia; co mogło wydarzyć się teraz?

– Rozmawiałem przed chwilą z Bonnefoyem – Nazwisko nie wróżyło niczego dobrego, zwłaszcza że z tego co wiedział, Francja i Prusy, mimo różnych kolei historii, personalnie pozostawali w dość dobrych relacjach. – Ten… – Prusy umilkł na moment, a oczyma wyobraźni Litwa mógł zobaczyć, jak mnie w ustach przekleństwo.

Serce w nim zamarło.

– Rozpoznał Felka – wyszeptał.

– Felka-frankofila, owszem – prychnął Gilbert. – Niech ich obu szlag trafi. Kazałem mu trzymać mordę na kłódkę. Nie ma mowy, nie zgadzam się na włączenie go do akcji – zastrzegł ostro. – Niech to nawet Polsce przez ten durny łeb nie przejdzie.

– Nie zamierzaliśmy tego nawet proponować – uspokoił go Litwa. Im więcej osób wie o sekrecie, tym szybciej przestaje być on sekretem, doskonale o tym wiedział.

– Zajebiście – Brzmiało jak psi warkot. – A teraz powiem ci drugą rewelację, Lit – Taurys nastawił uszu, czując, jak przechodzi go zimny dreszcz. Co jeszcze mogło pójść nie tak? – Lefevre u niego był. Nie, nie jako moje zastępstwo. Spotkał się z nim prywatnie. I Francja wypaplał mu o tym, czym jesteśmy.

Litwa uchylił wargi, ale nic nie powiedział; serce zaczęło bić mu szaleńczo.

– Wie o personifikacjach? – upewnił się słabym głosem. Potem gwałtownie obrócił głowę, spoglądając w ścianę, za którą znajdował się salonik. – Feliks musi stąd zniknąć

– rzucił, zrywając się na nogi. Stek rosyjskich przekleństw przeleciał mu przez głowę. – Lefevre dalej węszy, a teraz, skoro wie, że...

– Zluzuj, paranoiku – ton Prus osadził go w miejscu. – Francis na szczęście nie powiedział Lefevre, że widział zmarłego dekadę temu Polskę. Ta biurwa nie zna żadnego powiązania między trupem a gościem, który u ciebie mieszka. I go nie dostanie – dodał mściwie pod nosem. – Inaczej urwę Francisowi jaja, a tego ten lowelas nie przeżyje. I podtrzymuję wczorajszy pomysł z zarejestrowaniem go jako twoją gorszą połówkę, skoro już zadeklarowałeś się, że ruszysz dupę w tej kwestii.

Litwa zatrzymał się w połowie drogi do drzwi i pozwolił sobie odetchnąć z ulgą.

– Chcę przenieść notatki w bezpieczne miejsce – powiedział, ignorując na moment wcale niesubtelne słowa Gilberta. – Dla pewności.

– Znasz adres. Nie wrócę do Berlina przed piątkiem.

Taurys zacisnął szczęki. Tym razem Ludwig pewnie będzie w domu. Teraz, jakiś czas po Charlottenburgu, gwałtowne emocje zdążyły nieco ostygnąć, ale, z tego co mówił im Prusy, Niemcy dalej nie widział problemu w tym, co Rzesza z nimi wszystkimi zrobiła... I Litwa nie był pewny, czy będzie umiał rozmawiać z nim cywilizowanie.

– To nie będzie miła wizyta – szepnął bezbarwnie.

– Cóż – W głosie Prus zabrzmiało coś na kształt urazy. – Życie nie składa się tylko z miłych chwil, nie?

***

Ziemia w doniczce była sucha jak wiór, chociaż Taurys mógłby przysiąc, że dopiero co wlewał tam wodę; marszcząc brwi, cofnął palce i rozejrzał się po kuchni w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby podlać roślinę.

Przydałaby się konewka, pomyślał, zauważając dwa parujące kubki z poranną kawą i sięgając do szafki po jeszcze jeden. Napełnił go czystą, chłodną wodą z kranu i wrócił do ruty, która swoje miejsce znalazła w najodleglejszym kącie kuchni, z dala od kociej miski. Litwa najchętniej postawiłby ją w nieco bardziej słonecznym miejscu, ale niechęć Berty i wymiary jego mieszkania skutecznie przekreślały jakąkolwiek relokację rośliny; musiała zadowolić się tym, co dostała.

– Zmieliłeś kawę? – zapytał, wlewając wodę do doniczki i uważając, by nie pobrudzić kubka ziemią. Odgarnął liście ruty, pozbawione już kwiecia, jak włosy niesfornego dziecka.

– Wpadłem dzisiaj na inny pomysł – odparł Feliks, pracujący przy kuchennym stole nad czymś, co można było umownie nazwać listą rzeczy do spakowania. Kartka pełna była przekreśleń, schematycznych rysunków, bezmyślnych bazgrołów i przypominała Taurysowi bardziej planszę do gry w czołgi, na której czasem przyłapywał uczniów podczas lekcji, niż faktyczny plan działania. – Spróbuj.

Litwa odłożył kubek na swoje miejsce i zaintrygowany sięgnął po kawę. Pod powiekami czuł piasek; próby pomocy Uschi i rozmowa z Gilbertem, której część już streścił Feliksowi – Polska najpierw spłonął rumieńcem wstydu i kolejny raz wymamrotał przeprosiny

za sytuację z Francisem, a potem zaklął szpetnie, gdy dowiedział się o Lefevre – zajęły większą część jego nocy.

Pociągnął łyk i wszelkie jego myśli rozwiały się w czarną mgłę.

– Zbożowa – powiedział zmienionym głosem, gdy tylko rozpoznał nieco odmienny smak. Napój smakował wilgocią, ciemnym pokojem, ogarkiem świecy i niewygodnym łóżkiem, miejscem, gdzie więdnął jak roślina pozbawiona słońca. Wzdrygnął się, gdy wspomnienie wróciło. – Ja... nie sądziłem, że można ją jeszcze kupić.

Ku swojemu przerażeniu zauważył, że pod koniec jego głos nieco się załamał; Polska, zaalarmowany, uniósł oczy i przyglądał mu się z niepokojem.

– Znalazłem w spożywczym niedaleko... – zaczął Feliks powoli, podnosząc się z krzesła i nie spuszczając z Litwy spojrzenia. – Ona prawie nie ma kofeiny, smak i konsystencja też robią swoje w przyzwyczajeniu, pomyślałem... To... to nie jest w porządku? – zapytał nagle, przygryzając wargę ze stresu.

Taurys opuścił wzrok i milczał o sekundę za długo; Feliks westchnął, zbliżył się i delikatnie wyciągnął kubek z jego palców.

– Przepraszam? – wymamrotał z wahaniem.

Litwa tylko potrząsnął głową, walcząc ze ściśniętym nagle gardłem. Feliks nie musiał przepraszać, nie miał prawa wiedzieć. Uszanował prośbę Taurysa, by nie pytać o jego blizny, o to, jak powstały i co było z nimi związane; skąd mógł wiedzieć, że w tamtym czasie każdego poranka Litwa wmuszał w siebie kubek lichej zbożówki – ta prawdziwa, droga kawa była tylko dla tych, którzy mieli znaczenie – by jakkolwiek funkcjonować? Dla niego nie pachniała cykorią; raczej solą i wódką.

– Dziękuję, że... że myślisz o moim zdrowiu – wychrypiał, starając się zapanować nad emocjami i wspomnieniami, które kiedyś nauczył się odrzucać i zapominać. Zbyt wiele; zbyt wiele ostatnio wracało; nie chciał przeżywać tego na nowo sam. – Ale... ale nie kojarzy mi się ona dobrze, ja...

Przerwały mu obejmujące go ramiona; Litwa odetchnął, zamknął oczy i zatopił się w drugiej istocie.

Włosy Feliksa pachniały jabłkiem, a dłonie krążyły delikatnie po plecach. Lubił to; nic już nie mogło wzbudzić w tych starych śladach iskier bólu ani sprawić, by sparaliżował go strach, jak wtedy, w Ameryce; właściwie, to lubił ten dotyk, był taki kojący...

Odwzajemnił uścisk, ciesząc się z ciepła i bliskości; Prusak miałby używanie, pomyślał przelotnie i uśmiechnął się, chowając twarz w jasnych włosach Feliksa i starał się zapanować nad oddechem. Dlaczego tak bardzo mu na tym zależy?

– Kupiłem też rumianek, będzie lepszy? – zapytał Feliks nieśmiało.

Uśmiechnął się blado.

– Zdecydowanie. Ale na śniadanie mimo wszystko chciałbym trochę normalnej kawy, Feliksai. Inaczej usnę na lekcji.

– Dobra – Feliks cofnął i zadarł głowę, by na niego spojrzeć. Nie cofnął rąk; otaczały pas Taurysa ni to opiekuńczo, ni to zaborczo; nie miał nic przeciwko. – Ale musisz zjeść śniadanie przed pracą, inaczej cię z domu nie wypuszczę, zrozumiano?

Ostatnimi laty żył tylko na kawie i byle czym, straciwszy całą chęć do chociażby podejmowania prób urozmaicenia jadłospisu; z wolna, dzięki Feliksowi, przypominał sobie ulubione smaki. Miał też nieśmiałe wrażenie, że ma nieco więcej energii, ale być może tylko mu się wydawało; może po prostu chłonął energię bijącą od Feliksa...

Polska chyba zorientował się w sytuacji; z głupim uśmiechem i cudownym rumieńcem na policzkach uwolnił Taurysa i złapał za stojący na blacie kuchennym młynek do kawy, zerkając na Taurysa ukradkiem spod opuszczonych powiek. Jasność rzęs kwitła w słonecznym świetle zupełnie jak ruta.

Litwa patrzył na niego i zdał sobie sprawę, że jego serce bije mocniej.

Nie ze strachu czy poruszenia; z miłości.

***

Było przedpołudnie, gdy Gilbert Beilschmidt odkrył, że skończyły mu się papierosy; przetrząsając z nudów kieszenie spodni, odkrył zgniecioną, kompletnie pustką papierową paczkę, w której – jak sądził do tej pory – powinna znajdować się jeszcze jedna sztuka.

Zmarszczył brwi; najwidoczniej nocą wypalił na hotelowym balkonie więcej, niż myślał, gasząc niedopałki o barierkę i wyobrażając sobie, że mściwie przyciska do metalu kolejne twarze; Francisa, Feliksa, führera...

Prychnął i przymknął oczy, moszcząc się wygodniej w fotelu pasażera. Helikopter przemykał wysoko ponad polami uprawnymi; chyba było już po żniwach, bo zniknęło złote, falujące morze zbóż, jaśniejące w ostrym świetle pięknego dnia, widok, który zakorzenił się głęboko za jego oczami, gdy tylko przez myśli przemykało słowo „środa".

Zawsze lecieli nad tymi polami w drodze na Danzig; niedługo ściernisko zmieni się w głęboką, niemal czarną zieleń Tucheler Heide, głębokich borów kryjących w sobie maleńkie ludzkie przysiółki, leżące zaraz za wewnętrzną granicą kraju, a potem już zobaczy to stare, piękne miasto...

Podobno zieleń uspokaja, pomyślał jeszcze, spod zmrużonych powiek obserwując, jak na horyzoncie pojawia się ciemna linia lasu. Co za bzdura!

Lefevre, ta nędzna wesz! Gilbert aż zazgrzytał zębami ze złości. Nie spodziewał się po tym gryzipiórku żadnego konkretnego działania, które mogłoby im zaszkodzić; wyglądało na to, że się mylił.

Cóż, nawet wspaniałym Prusom się to okazjonalnie zdarzało... Ale teraz był już na własnym terenie, na własnej ziemi – gwoli ścisłości, kilkaset metrów nad nią – a to zawsze dawało mu przewagę.

– Jak pójdziecie do sklepu, weźcie mi fajki – rzucił w kierunku dwóch mężczyzn z przodu. Skinęli głowami. – Te, co zawsze.

– Oczywiście. Gdzie pojedziemy najpierw?

Prusy nie zastanawiał się ani przez moment.

– Mój dom na obrzeżach. Do Belli potem.

– Pamiętaj o objeździe, gdy będziemy jechać mostem – rzucił Jannik do Dumitrescha; ten skinął głową. – Musimy ominąć to skrzyżowanie...

Prusy przestał słuchać ich przyciszonej rozmowy; przymknął piekące powieki i pozwolił sobie na kilkadziesiąt minut lekkiego snu, nim helikopter osiądzie ostrożnie na dziedzińcu koszar, między budynkami ze starej, czerwonej cegły. Z wolna krążący w jego żyłach gniew wygasał, zastąpiony sennością; wydawało mu się, że minęła zaledwie minuta, nim Jannik lekko potrząsnął jego ramieniem i Gilbert otworzył oczy.

Wirniki były ciche i nieruchome, a obok helikoptera stało auto gotowe do jazdy, jedno z wielu samochodów, które jego chłopcy wykorzystywali do przemieszczania się po miastach.

Chwała Bogu, że podczas tego nieszczęsnego tygodnia, gdy miał Lefevre'a ze sobą, nie załatwiał w Gdańsku prywatnych spraw…

– Pana papierosy – Jeden z żołnierzy podał do tyłu paczkę.

– Dzięki… – Gilbert wcisnął papierosy do kieszeni spodni i znów przymknął oczy. Przez kolejny kwadrans wsłuchiwał się w dźwięki miasta; w miarę upływu minut warkot silników i pisk hamujących tramwajów tracił na sile, co dało mu do zrozumienia, że opuścili centrum.

Potem samochód zaparkował na małym, zacienionym mizernym drzewem gruszy podwórku. Prusy bez słowa wyszedł z samochodu i po kilku krokach znalazł się przy drzwiach parterowego, kwadratowego domu o poszarzałych ścianach; kiedyś przeklinał Ludwiga za to, że nie pozwolił mu wymyślnie odmalować tego miejsca, teraz jednak nijakość budynku mogła mu się przysłużyć.

Przycisnął mocno przycisk dzwonka, wpatrując się w widoczne za domem tory kolejowe. Na kilkudziesięciu bocznicach stały nieruchomo molochy wypełnione ropą; zawsze był ciekawy, jak wiele miasta poszłoby z dymem, gdyby to wszystko wybuchło...

Czekając, przysłonił usta i nos dłonią; mocny wiatr niósł w stronę zabudowań zgniły, drażniący odór siarki, mieszający się z wonią ropy naftowej. Gilbert nie był żadnym delikatnisiem, co to, to nie, i czuł w życiu o wiele paskudniejsze rzeczy, ale nawet dla niego okazjonalne wizyty na brzegu Tote Weichsel były dość przykrym obowiązkiem.

– O, to pan, dzień dobry – Zza drzwi wyłoniła się młoda kobieta; długie jasne włosy opadały jej niemalże do pasa, a oczy patrzyły nań przepraszająco zza okrągłych okularów. – Proszę...

Prusy wszedł do środka i obrzucił lustrującym spojrzeniem hol. Odkurzone dywany, starty kurz, żadnego śladu pajęczyn w rogach. Dobrze; w końcu to była jego własność i nie darowałby, gdyby ktoś ją zaniedbał. Wystarczy, że na zewnątrz dom prezentował się byle jak, brudu wewnątrz by nie zniósł.

– Przyniosę pieniądze, poczeka pan chwilę?

– Jasne.

Gilbert został sam; wsunął się do kuchni, usiadł przy stole i zapatrzył na fotografię kota wiszącą na ścianie; ot, zwykły, wyleniały dachowiec, pomyślał mimochodem, patrząc na bursztynowe oczy zwierzaka. Do Gilberty nie ma nawet startu.

Litwie i Polsce powiedział, że to mieszkanie jest dodatkowym źródłem dochodu, nie chcąc wdawać się wówczas w szczegóły planu, który nie był nawet skrystalizowany; ale skoro Feliks tu kiedyś był, pracując jako kurier – Prusy niemal prychnął, kurier! Czemu ktokolwiek o zdrowych zmysłach powierzył mu dostarczanie paczek? – musiał domyślić się, że to nie o forsę Prusom chodzi.

Nikt nie zarabia kokosów na domu jednorodzinnym wybudowanym naprzeciw rafinerii...

– Umowa kończy się za miesiąc – rzucił, gdy kobieta wróciła.

Wynajmująca przygryzła wargę, ale skinęła głową, siadając naprzeciw niego i przysuwając banknoty po stole.

– Nie zmienił pan zdania, prawda?

Jakoś tak żałośnie opuściła ramiona; westchnął w duchu. Chyba miękł na starość.

– Masz jakiś problem ze znalezieniem nowego mieszkania? – zapytał bez ogródek.

– Nie, już znalazłam, po prostu... lubię to miejsce. Sentyment. Przepraszam.

Prusy odchylił się na krześle. Twój sentyment, mała, pomyślał, zaciskając palce na markach, w tej sytuacji nie ma absolutnie żadnego znaczenia.

– Wystawię ci porządną referencję.

Nie myśl, Polen, że tylko ty potrafisz planować.

***

Jeśli istniały rzeczy związane z istnieniem Kraju Autonomicznego Prus, których rzeczony Prusy nie był w stanie wybaczyć, było to zamienienie jednego z jego ulubionych zamków na parlament, a zatem na najnudniejszą instytucję państwową, jaka tylko mogła istnieć.

Słuchając monotonnego mamrotania człowieczka na mównicy, który ani na moment nie podniósł oczu, siedzący w wygodnym, wyścielanym krześle Gilbert złapał się na tym, że znów odpłynął; krzywiąc się, wyprostował się i posłał mówcy zirytowane spojrzenie.

Oczywiście, to było ważne, bo to był jego kawałek, jego ziemia, ale na litość boską, czy nie można byłoby ograniczyć się tylko do jednego czytania? Ile razy można miąć, miętosić, ciąć, poprawiać, omawiać każde zdanie tego suchego bełkotu, zamiast po prostu wprowadzić zmianę w życie?

Te przepisy zazwyczaj dało się streścić w trzech zdaniach; zdecydowanie nie miał cierpliwości ani do polityki, ani do biurokracji. O czym oni w ogóle teraz gadają?

– ...co następuje: obniżenie minimalnego wieku przyjęcia do internatu bądź bursy z czternastu do dwunastu lat za zezwoleniem rodzica, umożliwienie swobodnych przenosin do placówki oświatowej poza terytorium Kraju oraz w odwrotnym przypadku, z terytorium Rzeszy przy zastosowaniu uproszczonych zasad...

Aa, Gilbert zamrugał. Ustawa szkolna. Przy tym wszystkim, co się działo, zdążył o niej zapomnieć.

Słuchając jednym uchem, powiódł wzrokiem po stołach ustawionych pośrodku Sali Kafelkowej, gdzie ponad czerwonym suknem zasiadali członkowie parlamentu, szukając czegoś interesującego... Jest, wiceminister finansów, z niesmakiem marszczący brew, bo

tekst ustawy przeszedł do ustępu o pieniądzach; zawsze był skąpą szują, pomyślał Prusy z rozbawieniem i przesunął spojrzenie na drzwi.

Zaraz będzie krótka przerwa; na przerwie politycy lubili rozsiewać ploteczki, spacerując po Sali Luster, a Gilbert wiedział, że mimo tak wielu odbić, to właśnie tam często rodziły się tajemnice; dobrze by było dorwać tego gościa, nim mu ucieknie.

Jeśli uwinie się z tym szybko, może znajdzie chwilę, by rzucić okiem na jego drugą ulubioną salę, tą pełną bursztynu…

– ...zwiększenie budżetu stypendium artystycznego dla uczniów, celem propagowania lokalnej kultury oraz rozszerzenie go na uzdolnionych uczniów spoza Kraju...

– Marnotrawstwo publicznych pieniędzy...

– Płacić uczniom, też wymysł...

– Aprobuję – odezwał się głośno Gilbert, zakładając nogę na nogę i skupiając na sobie spłoszone spojrzenia. – Królewiecka orkiestra zdecydowanie potrzebuje zastrzyku świeżej krwi, teraz to banda stetryczałych dziadów, która ledwie trzyma instrumenty w rękach.

Przyjęto bez poprawek.

***

Spacer ze szkoły okazał się dłuższy niż Taurys się spodziewał; po niemal godzinie marszu ciężko dyszał, gdy wchodził na trzecie piętro. Chociaż już kolejnego dnia miał odebrać auto od mechanika, po cichu planował pieszy powrót z pracy przynajmniej raz w tygodniu; może w ten sposób odzyska chociaż część sił.

– Mam potwierdzenie nadania dla biura – Feliks na powitanie zamachał zadrukowaną kartką. – Ze swojej strony wszystko załatwiłeś wzorowo, panie Laurinaitis. Wniosek pewnie dzisiaj dotarł do urzędu miejskiego i o tej porze... – Zerknął na zegar w kuchni. – powinien już leżeć w koszu, a jakiś nieszczęsny biurokrata kreślić zwrotkę.

Litwa zerknął przez ramię na drzwi na klatkę schodową; świadomość, że biuro nie może wejść do jego mieszkania, napawała go ogromną ulgą.

– Gdyby tylko sprawę Uschi dało się rozwiązać pieniędzmi i znajomościami… – powiedział jednak melancholijnie; dzisiaj nie miał lekcji z jej klasą, ale i tak przez cały czas myślał o dziewczynce.

– Znajdziemy rozwiązanie – odparł pewnie Polska. Jakoś to będzie, mówiły jego oczy. – Prawnie mamy związane ręce, ale ciągle myślę, jakby to obejść... – mruknął jakby do siebie, marszcząc brwi w zastanowieniu. – Dobra. To co robimy z przeprowadzką do – skrzywił się. – Ludwiga Beilschmidta?

Personalia zabrzmiały jak obelga.

– Po obiedzie przejrzymy jeszcze raz notatki – zaproponował Litwa. – Zawiozę je w czwartek lub w piątek weźmie je Gilbert. – Po cichu liczył na tę drugą opcję.

– Przyszło coś jeszcze? – Feliks wpatrywał się w przestrzeń, przygryzając wargę, co było oznaką, że intensywnie myślał.

– Gris milczy.

– Czyli czekamy na dalszy rozwój sytuacji w Hiszpanii – mruknął Polska. – Stany siedzą cicho już od dłuższej chwili, Anglia też...

– Może sytuacja stanęła w miejscu? – zasugerował Litwa.

– Albo czekają na wieści od nas.

– Komisja – szepnął Taurys jakby do siebie i mimowolnie przeszedł go dreszcz. Chociaż miała miejsce tydzień temu, nadal wzdrygał się na samo wspomnienie. Polska przyglądał mu się uważnie.

– Prusak powinien mieć lada moment komplet informacji – odezwał się cicho.

Taurys skinął głową; obawiał się wyników... Przymknął oczy; nie macie wieczności, słowa Gilberta znów zadźwięczały mu w głowie. Powinniście wykorzystać ten czas jak najlepiej, idioci.

Zastanawiając się nad tym, obserwował, jak Feliks pochyla się nad kuchenką; w garnku gotowały się ziemniaki, a na patelni smażyło coś, co wyglądało na polskie kotlety schabowe. Wciągając ich woń w nozdrza, Litwa zdał sobie sprawę, że jest naprawdę głodny.

– Jutro jadę po samochód, ale w piątek kończę wcześniej – powiedział, sięgając po talerze. – Wtedy ja zrobię obiad, dobrze?

– Nie smakuje ci moja kuchnia? – Feliks wyszczerzył zęby.

Gdyby nie ty, dalej jadłbym byle co, pomyślał Litwa, ale na głos odpowiedział:

– Nie o to chodzi – uśmiechnął się zmieszany, czując, ku swojemu zaskoczeniu, że na jego policzki wkrada się rumieniec. – Po prostu... chciałbym poczęstować cię czymś innym. Znalazłem... w moich starych książkach jest parę przepisów.

– Kartacze? – ożywił się Polska i nagle świat mógłby przestać istnieć, bo jasność jego uśmiechu oślepiała jak wybuch gwiazdy. – Zrobisz mi kartacze, Licia?

Kartacze; Litwa obrócił w myślach polskie słowo, zastanawiając się, czy znaczy to, co mu się wydawało.

– Pyza? Mięsne nadzienie? Gotowane i surowe ziemniaki? – podpowiedział Feliks, z niecierpliwością pstrykając palcami.

– Tak. Didžkukuliai – Litwa uśmiechnął się do wspomnień. Całe lata nie jadł tej potrawy. Wyglądało na to, że Polska podziela jego słabość do tego dania. Poczuł ciepło w sercu. – Albo cepelinai.

Był zdumiony, jak łatwo jego umysł podpowiedział mu odpowiednie słowa.

– Cepelinai? – powtórzył Feliks zdezorientowany. – Czy to ma jakiś związek z zeppelinami?

– Właściwie, to od tego wzięły nazwę – przyznał Taurys, a potem zmarszczył brwi, widząc, jak Feliks chichocze. – Co? Dlaczego się śmiejesz?

– Chcesz mi powiedzieć, że spojrzałeś kiedyś na niemieckie sterowce na niebie, potem na swój talerz i stwierdziłeś: ej, wyglądają identycznie? – Polska śmiał się, ale nie było w tym kpiny; cóż, pomyślał Litwa, unosząc kącik ust, w pewnym sensie było to całkiem zabawne.

– Ja nie wymyśliłem tej nazwy – zastrzegł. – Ale tak, masz rację.

Polska triumfalnie wycelował w niego drewnianą łopatką, nim jednak cokolwiek powiedział, Litwa zerknął na patelnię.

– Przypalają się.

– Szlag!

Kręcąc głową z rozbawieniem, Litwa patrzył przez krótką chwilę, jak Feliks próbuje zapanować nad sytuacją, a potem ruszył na pomoc.

W takich chwilach łatwo było zapomnieć o tym, co wisiało im nad głowami; mieć wrażenie, że są tylko dwójką zwykłych ludzi, przeżywających wspólnie zwykłe dni…

Jakiś czas później, gdy obiad zniknął z talerzy – prawie; Taurys wciąż miał problem ze zjedzeniem pełnej porcji – znaleźli się w saloniku. Siedząc na podłodzie, oparty plecami o kanapę, Feliks rozłożył wokół siebie dokumenty.

– Dobrze, że mamy to wszystko zaszyfrowane – mruknął, podnosząc do oczu notatkę pełną nut. – Hmmm...

– Myślisz, że Ludwig…? – Taurys nie dokończył. Siedział na stołku przy fortepianie i zerkał na swoje notatki związane z pracą, trzymając w dłoni długopis; po pierwszej lekcji z pierwszoklasistami uznał, że musi dokonać kilku drobnych poprawek w konspektach.

– Czy wpakuje Prusy w kłopoty? – Polska uniósł brew. – Świadomie nigdy. Pieprzone papużki-nierozłączki – mruknął pod nosem. – Czy będzie go kusiło, by w tym pogrzebać? Nie wykluczam.

Taurys obejrzał się przez ramię.

– Nie są w takich dobrych stosunkach, jak kiedyś – powiedział ostrożnie i westchnął. – Ale masz rację, nie wierzę w to, by Ludwig chciał mu w jakikolwiek sposób zaszkodzić. I vice versa…

– Taaak… – Polska przekrzywił głowę, przewrócił kartkę do góry nogami. – To nie szyfr. Twoje?

Taurys sięgnął po notatkę. To niezaprzeczalnie było jego pismo, chociaż nuty nie były podpisane; zwykle to robił, nie ufając własnej pamięci. Położył kartkę na pulpicie i, wpatrując się w nuty, wolno zagrał początek, mając nadzieję, że może dźwięki obudzą w nim odpowiednie wspomnienie.

– Nie znam tego – Polska odezwał się cicho, wsłuchując się w muzykę.

To była niespokojna kompozycja pełna niskich dźwięków, znajoma, chociaż na wpół zapomniana; Litwa milczał przez chwilę, z palcami na klawiszach, starając się pochwycić nieuchwytną myśl.

– Wiem, kto to skomponował – powiedział, z trudem przypominając sobie personalia. Widział kiedyś te nuty w starym zeszycie; jakiś młody człowiek pokazywał mu te nuty, dawno temu. Wydawało mu się, że była tam dedykacja… Mano seseriai… – Vytautas Bacevičius. Napisał to dla siostry, Grażyny. Też… też zajmowała się muzyką, tak mi się wydaje…

– Nie kojarzę… Zaraz – Feliks zmarszczył brwi, a potem otworzył szerzej oczy. – Bacewicz? Grażyna Bacewicz, ta skrzypaczka? Pamiętam ją! – zawołał

z podekscytowaniem. – Słyszałem ją kiedyś na koncercie orkiestry w Warszawie – wyjaśnił zdumionemu Taurysowi, przykładając dłoń do ust. – Była świetna!

– Nie widziałem – Litwa zamrugał, a potem spojrzał na nuty i uśmiechnął się nostalgicznie. – Więc cała rodzina była taka muzykalna?

– Na to wygląda – Polska uśmiechnął się do ucha do ucha. – Ciekawe co robiła dalej... – zastanowił się, a jego głos przybrał poważniejszą nutę. – Potem nie... nie miałem w głowie muzyki.

Bo potem było Preludium, dopowiedział Litwa w myślach. I nikt już nie myślał o muzyce…

– Też nie słyszałem później o Vytautasie, mam wrażenie, że wyjechał – stwierdził niepewnie. Uniósł wzrok na półkę z książkami i zmarszczył brwi. – Musiałem kiedyś skądś to przepisać, papier jest całkiem nowy… Ciekawe…

Podejrzewał, że spotkał młodego kompozytora na jednym z przyjęć, na które zapraszano go, Litwę, na krótko przed wojną; spotykała się tam sama śmietanka towarzyska…

Polska porzucił notatki; wcisnął się między ciągle siedzącego na stołku Taurysa a szafkę z telewizorem i zaczął przeglądać leżące tam nuty.

– Ale mam ochotę teraz zagrać. Widziałeś gdzieś „Marsz turecki”? – zapytał, przerzucając kartki. – To jedyne, co jako tako pamiętam, ćwiczyłem ostatnio...

– Słyszałem – Litwa uśmiechnął się ciepło. Też lubił ten utwór. – Mam... Czekaj – Wstał ze stołka i przykucnął przed stolikiem, czując na sobie zaciekawione spojrzenie Feliksa. Wyciągnął spomiędzy nut jeden szczególny arkusz i, przygryzając wargę, ukradkiem zerknął w górę. – Pomyślałem... nie chciałbyś zagrać ze mną na cztery ręce?

Iskra w tych zielonych oczach była wystarczającą odpowiedzią; Mozart zagościł na pulpicie, usiedli we dwóch na wąskim stołeczku, ramię w ramię, bok przy boku i... i zagrali.

Początkowo niepewnie, co rusz zderzając się dłońmi, gubiąc rytm i nie wiedząc, jak manewrować rękoma w tej ciasnocie; z czasem ich gra nabrała płynności, palce Feliksa przypomniały sobie, jak się gra, dłonie Taurysa podążały za nutami, i muzyka stała się czystą harmonią.

Litwa zdał sobie sprawę, że się uśmiecha; jakby na ich obu padł magiczny czar.

Spojrzał na Feliksa, zatopionego w muzyce, na jego oczy, wpatrzone w klawisze i pełne skupienia i jakiejś wewnętrznej, jaśniejącej radości; na jego usta, na przemian albo uchylone, albo przygryzione nieświadomie w skupieniu; na wysuniętą odrobinę czubek języka, którym czasem Polska muskał górną wargę, nie zdając sobie z tego sprawy, i w końcu na ramiona, poruszające się coraz śmielej w grze. W świetle padającym zza okna jego włosy jaśniały jak złoto.

Przepadłem, zrozumiał Litwa, a jego dłonie grały już same, pamięć mięśniowa robiła swoje, podczas gdy on wspomnieniami był daleko w czasie i przestrzeni. Gdy utwór się kończył, gdy nacisnął klawisze po raz ostatni i gdy dłoń Feliksa nagle spoczęła na jego ręce, nie pozwalając zdjąć jej z klawiatury, powtórzył to w myślach jeszcze raz.

Feliks zwrócił ku niemu głowę i pochylił się ku niemu; też się uśmiechał. Taurys widział głęboką zieleń i błyszczącą czerń, wpatrywał się w te oczy jak urzeczony…

Znowu przepadłem, pomyślał, odkrywając, że wargi Feliksa wciąż smakują słodką, mleczną kawą.

***

Lustra odbijały wszystko; kryształowe żyrandole, wysokie, rzeźbione krzesła, lśniący, wypolerowany parkiet, słówka i półsłówka, ploteczki i sekrety; Prusy lawirował wdzięcznie między ludźmi, słuchał, zamieniał zdanie lub dwa, i właśnie, gdy dowiedział się już wszystkiego, czego chciał, gdy widział już przed sobą drogą do Komnaty Bursztynowej, w ucho wpadła mu zupełnie zwykła, zupełnie nieistotna rozmowa:

– Po tej ostatniej klęsce Borussia się nie podniesie – Jakiś poseł gestykulował zawzięcie, wlewając w to więcej energii niż kiedykolwiek przejawiał na sali głosowań. – Osiem przegranych meczów z rzędu, przecież to już poniżej dna.

Gilbert nie mógł się powstrzymać.

– Siedem przegranych – rzucił oschle. Może i jego ulubionej drużynie piłkarskiej szło ostatnio beznadziejnie, ale to nie był powód, by jeszcze bardziej ich pogrążać, zawyżając liczbę jej przegranych.

– Osiem – Mężczyzna obrócił się ku niemu, zadowolony, że ktoś z otaczających go ludzi przejawia ochotę do dyskusji o sporcie. – Nie widział pan tej klęski w ostatnim meczu?

– Klęski? – powtórzył zbity z tropu Prusy. – Ostatni był w przedostatnią niedzielę i wygrali.

– Musiało się panu pomylić, znów spartaczyli sprawę – Poseł machnął lekceważąco ręką. – Tak nisko upadła ta drużyna, aż żal patrzeć…

Odszedł, pozostawiając Gilberta w stanie kompletnej dezorientacji…

– Osiem – wyszeptał do siebie Prusy, a przed jego oczami stanęło rozgwieżdżone oblicze chłopca w krótkich spodenkach, z jasną czupryną opadającą na czoło, ciągnącego go niecierpliwie na murawę boiska.

…i z paskudnym, kwaśnym, gorzkim uczuciem, że został okłamany.

***

Ja nie pamiętam, jak to jest być szczęśliwym.

Może właśnie sobie przypominasz…?

Łagodne słowa Anniki dźwięczały mu w głowie, a w nozdrzach czuł zapach jabłek i kawy; minuty przemykały leniwie, gdy, siedząc na kanapie, między złożoną na czworo kołdrą a przekrzywioną poduszką, trwali przy sobie.

Od dziesięcioleci się z nikim nie całował; zdążył już zapomnieć, jakie to przyjemne dotykać innych warg, chłonąć ich ciepło, dzielić oddech, delikatnie muskać nosem miękką skórę policzka, uśmiechać się do siebie…

– Tęskniłem za tobą – szepnął Feliks, zarumieniony tak, jakby był nastoletnim chłopcem, a nie tysiącletnim mężczyzną, wpatrując się w oczy Taurysa z czystą radością, nim w końcu ułożył głowę na jego torsie.

Litwa objął go mocno, kiwając głową, bo nie ufał w tym momencie swojemu głosowi.

Moment, w którym szukał Łabędzia po ulicach miasta, przyjazna dłoń na plecach w ciemnościach po Charlottenburgu, restauracja w Tuluzie późnym wieczorem, wspólne spacery, obecność i wsparcie... Coś, paskudny głosik z tyłu głowy, szeptały, że na to nie zasługiwał, ale Litwa nie chciał go słuchać. Tym razem to oni trzymali pióro własnej historii…

Feliks uniósł się lekko i cmoknął go w usta; potem, ze słońcem jaśniejącym w źrenicach, oparł czoło o jego ramię. Przylepa, pomyślał Taurys czule, samemu muskając wargami czoło Feliksa.

Palce dotknęły delikatnie jego karku i grubszej linii blizny, a potem szybko się cofnęły.

– Nigdy nie zapytałem, czy mogę – odezwał się Feliks cicho, a w jego oczach pojawił się wstyd. – Powinienem był, co?

Taurys jak przez mgłę przypomniał sobie te wszystkie razy w ostatnich tygodniach, gdy Polska go obejmował i pokręcił głową.

– Jest w porządku – szepnął szczerze. – To… to mnie uspokaja – przyznał nieco zmieszany.

Sto lat temu nie pozwoliłby nikomu dotknąć tych pleców; osiemdziesiąt lat temu chował je pod połami na wpół rozpiętej koszuli, w oparach dymu i alkoholu, w ciemności nocy, kiedy Milda z odrazą i rozczarowaniem nazwała go wrakiem; może czas leczył chociaż niektóre rany, pomyślał. A może to był Feliks.

Nie Polska, nie Rzeczpospolita, nie Korona. Po prostu Feliks.

Feliks, który właśnie wypuścił powietrze z ulgą.

– Spróbujemy jeszcze raz? – zapytał cicho, muskając opuszkami policzek Taurysa.

Tak wiele, pomyślał Litwa. Tak wiele musiało się wydarzyć. Tak wiele musieliśmy stracić. Słowa stanęły mu w gardle.

– Li... Tauri?

I to, ta prosta forma gramatyczna, zwykły wołacz, sprawiła, że oczy Litwy nagle zaszły wilgocią i mgłą; nigdy wcześniej się tak do mnie nie zwrócił, przypomniał sobie, a jego gardło znów ścisnęło się ze wzruszenia.

– Taip, Feliksai – wydusił z siebie, na moment opierając czoło o mostek Feliksa, bo po prostu tego potrzebował; oparcia. Oparcia i bliskości, szczerej, czystej bliskości. Dłonie Polski znalazły się na jego plecach, zaczęły kreślić kręgi. Uśmiechnął się z trudem. – Nie mam wyboru, prawda?

Dłonie znieruchomiały na sekundę; Taurys uniósł głowę, widząc, jak oczy Feliksa błyskają niepokojem. Uśmiechnął się uspokajająco.

– Nikt nie dał nam oficjalnie rozwodu – szepnął czule. – Jesteśmy na siebie skazani.

Feliks roześmiał się głośno.

I przez pewien czas świat był pięknym miejscem.

***

Więc nadeszły piątek i ostatnia wizytacja; wysiadając z samochodu na jednym z berlińskich osiedli, Gilbert ukradkiem zerknął na miejsca parkingowe. Stary volkswagen wrócił na swoje miejsce; Prusy z zadowoleniem skinął do siebie głową. To był porządny mechanik.

Zerknął na „oficerów"; obaj wydawali się już odliczać minuty do końca. W przeciwieństwie do większości ludzi, jego chłopcy mieli wolne również soboty; ot, kolejny benefit pracy dla biura relokacji, skutecznie zamykający usta.

Lubił tych dwóch; będzie mu szkoda, gdy do biura przyjdzie polecenie wymiany pracowników, nim ci zorientują się, że personifikacje się nie starzeją. Trzeba będzie postarać się o jakiś kontakt, zanotował w myślach. Zawsze warto mieć ludzi w armii. I kogoś, z kim fajnie jest wyskoczyć na piwo...

Berta otarła się mu o nogi, gdy tylko przekroczyli próg; Litwa cofnął się w głąb korytarza.

– Proszę – powiedział cicho, ale jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Gilberta. Twarz miał poważną, ale oczy mu się nieśmiało śmiały, jakby ta ich cotygodniowa, wieloletnia farsa z jakiegoś powodu zaczęła go bawić, zamiast wbijać kolejne gwoździe do trumny.

Interesujące, pomyślał Prusy, mrużąc oczy z zaintrygowania. Czyżby w końcu ta chodząca depresja wzięła sobie moje słowa do serca? Uśmiechnął się kącikiem ust, czując przypływ satysfakcji. Chociaż to poszło po jego myśli.

– Sprecher – rzucił, wyciągając rękę. – Masz kawę? – dodał ciszej, gdy oficerowie rozpierzchli się po mieszkaniu.

– Dopiero co się zaparzyła.

Gilbert z udawanym ziewnięciem podrapał się po karku; opuszki palców musnęły wyłącznik. Pstryk. Tylko na chwilkę; w tym tygodniu, po rewelacjach, jakie zapewnił mu Francis, bardzo uważał na to, by przerwy w nagraniach nie były dłuższe niż kilka sekund.

– Przyjdę później, wszystko omówimy, teraz cisza – wymamrotał.

Litwa skinął głową. Pstryk.

– Dobra, żadnych podejrzanych rozmów – Lista połączeń oczywiście nie zawierała nic podejrzanego, skoro istniał drugi sprecher, obecnie znajdujący się gdzieś w niebycie, wraz z Feliksem Łukasiewiczem, bronią palną i paroma innymi rzeczami, których Jannik i Dumitresch nie powinni znaleźć. – Hmm... – Gilbert rozejrzał się po kuchni w poszukiwaniu inspiracji. Kawiarka na wyłączonym palniku, cichutko grające radio, jakieś zielsko... – Chłopaki, macie coś?

Taurys odprowadził go wzrokiem, gdy Gilbert niemal teatralnie zajrzał do sypialni, gdzie Jannik tylko wzruszył ramionami, stojąc przed otwartą szafą, a potem wszedł do łazienki; Dumitresch stał tyłem, próbując ukryć ziewniecie, ale zdradziło go lustro.

Na początku, gdy zaczęli z nim latać, byli bardzo skrupulatni; po tych kilku latach, gdy żaden z rzekomo podejrzanych nie wykazywał podejrzanych zachowań, ich entuzjazm mocno osłabł; zawsze to tak działało. Dobrze, że żołnierze zwykli nie zadawać pytań...

– Dobra, zwijamy się.

– Jeszcze korespondencja – Dumitresch sprawdzać półkę pod lustrem.

Nic specjalnego; jakiś krem do golenia, staromodna maszynka z wymiennymi ostrzami, męska perfuma popularnej marki… Żadnych dziwacznych kosmetyków czy pachnideł; Polska przynajmniej umiał po sobie posprzątać.

– Fakt.

Prusy wrócił do kuchni i przerzucił w rękach raczej skromny stos kopert, w których znajdowały się co najwyżej zawiadomienia i rachunki, tylko dla odhaczenia kolejnego obowiązku.

– Czysto. Kończymy, chłopaki… – Taurys bez słowa podał mu kubek; Gilbert skinął głową i wypił długi łyk, a gorąca, gorzka kawa rozlała się po jego wnętrznościach, wzbudzając krew. Dokładnie tego było mu trzeba.

Zamknęły się drzwi, winda zjechała na dół, a Jannik odpalił silnik.

– Podwieźć pana do brata czy idzie pan na imprezę? – zapytał swoim zwyczajem.

Chociaż jakaś część Gilberta marzyła o tym, by rzucić się na swoje łóżko i zasnąć, nawet mimo świeżej dawki kofeiny, podał nazwę ulicy gdzieś na drugim końcu Berlina, na której znajdował się losowy klub nocny.

Wrócił taksówką niecałą godzinę później; tym razem otworzył mu Polska.

– Wbrew temu, co ci się wydaje, jesteś martwy – rzucił Prusy na powitanie, przekraczając próg.

– Ciebie też miło widzieć – mruknął Feliks nieco przygaszonym tonem, zamykając drzwi.

Przeszli do kuchni; Prusy bezceremonialnie złapał za krzesło, obrócił je i usiadł nań okrakiem, opierając ramiona na oparciu. Wpatrzył się zmrużonymi oczami w pozostałą dwójkę; Feliks przystanął obok Litwy przy kuchennych meblach.

Blisko; ich dłonie ocierały się o siebie grzbietami. Wszelkie „no, w końcu” Prusy postanowił jednak zostawić na później.

– Porobiło się, co? – Polska spróbował się uśmiechnąć. Litwa ciężko westchnął, zerkając to na Feliksa, to na Gilberta, jakby już spodziewał się awantury.

Gilbert wciągnął powietrze przez zęby, ale ku ich zdumieniu, nie wybuchnął. Zamiast tego sięgnął za pazuchę swojej skórzanej kurtki i wyciągnął coś stamtąd; papierowa teczka z plaskiem uderzyła o blat stołu.

– Twoje wyniki, Lit.

Taurys zamrugał, a potem niepewnie wziął teczkę do ręki. Chwilę trwał z nią w dłoniach, wpatrując się w nią, jakby zawierała wyrok.

Rzucił znaczące spojrzenie Polsce, ale ten już był u boku Litwy, delikatnie rozplątywał uścisk zdrętwiałych palców i szeptał coś miękko; Litwa odszepnął coś w odpowiedzi, ale nadal wpatrywał się w nieotwarte dokumenty.

Boże, daj mi dla nich cierpliwość.

– Spore niedobory witamin i minerałów – rzucił z litością. – I bodajże łagodna anemia. Nie jest z tobą jeszcze tak źle, więc nie panikuj.

Polska posłał Gilbertowi ostrzegawcze spojrzenie, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– Dzięki – powiedział słabo Taurys, w końcu otwierając teczkę. Usiadł ciężko przy stole i chwilę studiował wyniki, z Feliksem wiszącym nad jego ramieniem, powtarzającym bezgłośnie wnioski lekarza. – Rozumiem, że to kopia z biura?

– Tak, wszystkie już dotarły.

– A co na to biuro... albo führer?

– Jeszcze nikt się nie odniósł, z tego co mi wiadomo – Prusy wzruszył ramionami. – Ostatnie przyszły wczoraj, a dyrektor nie chciał przekazywać mu niepełnego kompletu dokumentów.

– Lefevre już je czytał? – Polska oparł podbródek o ramię Taurysa, dalej wpatrując się w wyniki tak, jakby mógł z nich wyczytać jakieś magiczne rady. Po lekkim rumieńcu, który pojawił się na twarzy Litwy, Prusy stwierdził, że ten nie ma nic przeciwko, co napawało go pewną satysfakcją.

Potem skrzywił się na myśl o urzędniku.

– Prawdopodobnie – mruknął z niechęcią. – Połączy kropki, skurwysyn. W twoim interesie, Lebediew, jest udawać człowieka w jak najbardziej przekonujący sposób.

Ze spojrzenia, jakie ze sobą wymienili, wywnioskował, że mimo początkowych zaprzeczeń, Litwa powiedział Polsce o sugestii zarejestrowania go w biurze; poczuł dumę, że przemówił temu połamanemu człowiekowi do rozsądku. Może jeszcze da się go wyprowadzić na prostą...

Ciekawe, pomyślał nagle. Przez ostatnie lata Lit był zaskakująco stabilny, a potem pojawił się Polen i się okazało, że to tylko pozory... Trochę jakby rozbić wazon, skleić go i odłożyć na półkę na długie lata, a potem postawić obok rozgrzanego pieca...

– Przedyskutujemy to – Polska zadecydował. – Co z Erzsi?

– Z tego, co widziałem, ma całkiem przyzwoite wyniki – odparł Prusy gładko, ale zmarszczył brwi. Gdy rozmawiali poprzedniego dnia przez sprecher, śmiała się przez łzy. W sobotę musiał być w parlamencie; jeśli wszystko pójdzie gładko, zdąży do niej pojechać i wrócić przed początkiem pracy w poniedziałek. Prześpi się w pociągu, znowu...

– Całe szczęście... – szepnął Feliks jakby do siebie.

Litwa zamknął wolno swoją teczkę.

– A co z ... – uniósł oczy. – Z Raivisem? Z Edwardem?

Gilbert nie spuszczał z niego wzroku; w zieleni lasu dostrzegł czyste błaganie. Nagle do Prus dotarło, że Litwa też, przynajmniej dla Łotwy, jest starszym bratem i zna tę samą obawę, co on; jakoś zawsze o tym zapominał.

– Lekarz sugerował hospitalizację dla Raivisa, uznając jego stan za niepokojący, ale stabilny. Dla Edwarda wydano zalecenie natychmiastowego poddania się opiece szpitalnej. Niedobory, osłabienie, anemia, kilka schorzeń wynikających z zaniedbania, ogólnie jest słabo.

Feliks syknął przez zęby, potem spojrzał niepewnie na Litwę.

– Spodziewałem się tego – Taurys odezwał się cicho, nim Gilbert zdążył cokolwiek dopowiedzieć. Westchnął drżąco i skinął głową. – Dziękuję – Spojrzał na Feliksa

i westchnął. – To, póki co nic dla nich nie zmienia, prawda? Ci lekarze nie wiedzą, że nie... nie jesteśmy ludźmi i ile… ile jesteśmy w stanie przejść. To nie tak, że w ostatnich dniach… nastąpiła jakaś gwałtowna zmiana, prawda?

– Nie – przyznał Prusy, wspominając zaznaczone czerwienią negatywne wyniki Estonii. Przeciętny człowiek mógłby już nie żyć, ale oni byli twardsi. – Póki co, nie.

Zapadła cisza.

– Gdy tylko będę coś wiedział, dam znać – Prusy podjął po chwili. Z kieszeni wyciągnął kawałek papieru i podał Polsce. Feliks ze zdumieniem obrócił w palcach wymiętą, pobrudzoną wizytówkę. – Rudolf Lehr. Załatwiłem, tak jak mówiłem.

– To wiele ułatwia – Polska uśmiechnął się. – Masz coś jeszcze?

– To, że Kraj Autonomiczny Prus – Gilbert skrzywił się. Ta nazwa zawsze brzmiała koszmarnie. – Nie ma w planach zwiększać wydatków na obronność w ciągu najbliższych lat.

– Masz na myśli obronność morską? – Litwa zmarszczył brwi.

– Też, ale że jesteśmy… de facto, enklawą, wedle porozumienia ze Zjednoczoną Rzeszą... nie każcie mi pamiętać numeru ustawy… przekazujemy Rzeszy stały procent w celu symbolicznego, bla bla bla, wsparcia obronności całego kraju. Jest oparty na ich budżecie. Skoro wiceminister finansów, którego miałem okazję dopaść i oczarować swoim urokiem osobistym, nie planuje zwiększenia kwoty, to Rzesza również. Najprawdopodobniej.

– Kolos na glinianych nogach – wymamrotał Feliks. – Gnijących glinianych nogach...

– Co z tymi rzeczami? – przerwał mu Gilbert, nie chcąc wdawać się w politykę Prus. – Byliście u mojego braciszka? Nic nie wspominał – dodał złośliwie, widząc jak Polska i Litwa zgodnie odwracają wzrok.

– Byliśmy – powiedział cicho Taurys. – To nie była... – odkaszlnął. – Najmilsza rozmowa.

– Komu pierwszemu puściły nerwy? – Prusy uniósł brew.

– Mi – przyznał Litwa po krótkim milczeniu.

– Podniosłeś się z ziemi, brawo – mruknął Gilbert bardzo cicho do siebie. – Mam się spodziewać jakichś szkód w mieniu, Lit? Mam nadzieję, że moje drzwi są nietknięte.

Taurys ciężko westchnął.

– Zapomniałem trochę, jak uparty Ludwig jest – przyznał.

– Upartość ma po Saksonii – wyjaśnił Prusy. – Darcie mordy po Brandenburgii, a wszystkie dobre cechy odziedziczył po mnie – dodał z czułością, ale uważne ucho wychwyciłoby w niej również nutkę bólu.

Nim Polska otworzył usta, by zapytać, jakie to dobre cechy Prusy przekazał Niemcom, na stół wskoczyła Berta; otarła się o wyciągniętą dłoń Gilberta, wygięła grzbiet i zamruczała; na koniec przeszła po teczce z wynikami i zeskoczyła, stając przy misce, przeraźliwie głośnym miauczeniem zakomunikowała, że jest głodna.

Prusy zerknął na minę Feliksa i zaśmiał się w głos; najwidoczniej Polska uświadomił sobie w pełni, że wiążąc się z Litwą, dostaje tego rudego diabła w pakiecie.

Ha. Niech ma za karę.

À propos kary, z Ludwigiem sobie jeszcze dzisiaj porozmawia. Co ten dzieciak sobie wyobrażał?

Okazja do rozmowy jednak nie nadeszła; gdy wrócił do mieszkania, Ludwiga nie było; kartka zostawiona na stole informowała Gilberta, że wyszedł odwiedzić nową siłownię, którą otwarto w okolicy.

W normalnych warunkach Prusy byłby zadowolony, że Niemcy znalazł sobie jakieś zajęcie poza pracą; teraz zazgrzytał zębami, wpadł do swojego pokoju i sięgnął po gitarę.

Kurz zakręcił mu się w nosie; doprowadził instrument do porządku, a sąsiadów do rozpaczy, grając długo w noc, po raz pierwszy od wielu miesięcy mając trochę czasu i ochoty, by zająć się muzyką.

Rano tylko zamienili dwa słowa; potem Niemcy ruszył do biura niemal biegiem, bo, jak się okazało, o ile ustawa finansowa była już skończoną sprawą, najwyraźniej kodeks ruchu drogowego był ważniejszy niż fakt, że Ludwig okłamał brata.

Albo po prostu się pomylił, albo to był jakiś głupi żart, pomyślał jeszcze Prusy, gdy sam znalazł się na Großer Platz w Germanii, wślizgując się do głównego niemieckiego parlamentu, by znów wysłuchiwać tego samego, co w Królewcu; absolutnych nudziarzy. Ale nie podoba mi się to.

Planował złapać Ludwiga w przerwie obiadowej, wyciągnąć go do jakiejś knajpki i porozmawiać, ale gdy wychodził z parlamentu, usłyszał, jak ktoś do niego dzwoni na oficjalny sprecher.

Wyciągnął go z kieszeni i zamrugał na widok numeru wyświetlonego na ekranie sprechera. Dyrektor biura? Co ta wygodnicka łajza od niego chce?

– Panie Beilschmidt – Głos mężczyzny był napięty i niechętny, ale to drugie akurat nie było nowością; dyrektor reagował tak za każdym razem, gdy musiał wypełnić jakiś obowiązek na swoim stanowisku. – Jest pan w Berlinie?

– Owszem – mruknął Prusy, dyskretnie rozglądając się dookoła. Przeszedł kilka metrów i przystanął w cieniu budynku, mając przed sobą widok na fontannę. – Coś nie tak w biurze?

– Dostałem ważny telefon. Biuro Najwyższego Wodza chce, by pan się tam stawił. – Niedopowiedziane „jak najszybciej" zadźwięczało w jego uszach.

Gilbert zmiął w ustach przekleństwo. Cholera, pomyślał, zaciskając szczęki. „Biuro najwyższego wodza" było ładnym eufemizmem, mającym nie przerażać ministrów faktem, że führer wzywa ich osobiście.

– Dzięki – rzucił do słuchawki i bezceremonialnie się rozłączył.

Byłoby podejrzane, gdyby zwlekał; bardzo możliwe, że już widziano go z okien. Nogi już niosły go przez pokryty słońcem Grosse Platz; więc zwlekać nie będzie. I tak było mu po drodze; Ludwig w końcu urzędował w tym samym budynku.

– Zobaczymy, co masz mi do powiedzenia, Ferenc. Mam nadzieję, że twoja sekretarka parzy dobrą kawę.

Rozdział XXIV: Chwila między wiecznościami

Po usłyszeniu tego, co führer właśnie mu zakomunikował, suchym, rzeczowym tonem, tak, jakby mówił o zmianach w rozkładzie kolei, Prusy milczał przez krótką chwilę, wpatrując się w teczki leżące na biurku i jednocześnie pilnując, by jego twarz nie wyrażała głębszych uczuć.

– Od kiedy? – zapytał w końcu.

– Mamy już wrzesień, prawda...? – Ferenc przerzucił kartki kieszonkowego kalendarza. Gilbert ani przez sekundę nie wierzył, że führer zapomniał o dzisiejszej dacie. To nie był ten typ człowieka. – Rozumiem, że logistyka zajmie trochę czasu, okresy wypowiedzenia też swoje trwają, lepiej pozwolić im pozamykać własne sprawy na spokojnie, dyskretnie, niż wzbudzać niepotrzebną uwagę... Proponuję grudzień. Albo od nowego roku, jeśli ułatwi to papierkową robotę biuru. To też pozwoli nam przygotować odpowiedni lokal i przeszkolić personel.

A więc mniej więcej kwartał; Gilbert skinął oszczędnie głową.

– Kogo miałoby to objąć? – zapytał spokojnie, chociaż w jego głowie trwała gonitwa myśli. Trzeba będzie poinformować o tym zachód i to jak najszybciej. Ledwie wczoraj wieczorem przekazali dane dotyczące komisji, a tu już czekały kolejne rewelacje; zapowiadał się pracowity okres. – Będę musiał przeorganizować cały grafik.

– Docelowo wszystkich, ale zaczęlibyśmy od tych najbardziej potrzebujących, rzecz jasna – Ferenc Weigel sięgnął po teczki. – Na początek myślałem o tej czwórce.

Spojrzenie Gilberta przebiegło po znajomych nazwiskach; dwa z nich były oczywiste, poniekąd spodziewał się reakcji führera na wyniki Estonii i Łotwy. Trzecie było zaskoczeniem; o ile wyniki medyczne były zaskakująco dobre, tak o decyzji Ferenca musiały zaważyć dotychczasowe raporty i rzeczy, o których Gilbert przez ostatnie lata w nich wspominał.

Na widok czwartego, dość długiego, zapisanego na dodatek z błędem, ledwo powstrzymał się od zirytowanego syknięcia.

Po moim trupie, pomyślał wściekle, zastanawiając się gorączkowo, jak powinien z tego wybrnąć. Wybór Ferenca był dość rozsądny, ale ostatnią rzeczą, której potrzebowali, było wykluczenie Taurysa z gry. Ciekawe, zastanowił się nagle Prusy, patrząc na akta, czy Ferenc zdaje sobie sprawę, jak bliskie sobie towarzystwo wybrał na pierwszych lokatorów...

– Mówiłeś, że gdzie chcesz wybudować ten dom? – zagadnął, doskonale wiedząc, że lokalizacja jak dotąd nie padła. Swobodnie odchylił się na krześle i spojrzał za okno; słońce zaczęło chować się za warstwą szarawych chmur. I kolejne lato bez urlopu mija bezpowrotnie, pomyślał zirytowany i zaraz potem wrócił myślami do obecnej chwili.

– Pod Berlinem – Ferenc wziął inną teczkę z biurka i chwilę ją przeglądał. Lokale pozostające do dyspozycji państwa, zrozumiał Prusy, rozpoznając wśród planów stare mieszkanie Ludwiga w Venedig. – Mamy tutaj – Führer postukał w mapę jakiejś podberlińskiej miejscowości. – Całkiem spory kawał terenu. Byłby idealny.

Las, przynajmniej trzysta metrów oddalenia od reszty zabudowań, o ile dobrze Gilbert odczytał podziałkę. Stosunkowo dyskretnie… Cholera, nie widzę dobrze adresu…

– Laurinaitis pomieszka w Berlinie jeszcze ponad rok, o ile dobrze pamiętam – Prusy postarał się, by jego głos był raczej obojętny. – Jest pod ręką. Jeśli chcesz mnie w ten sposób odciążyć, sugerowałbym na jego miejsce kogoś innego.

– Słuszna uwaga – Führer spokojnie wstał i podszedłszy do jednego z regałów, wyciągnął stamtąd atlas geograficzny. Otworzył go na dużej, rozkładanej mapie imperium, odkładając plan okolic stolicy na bok. – Kogo byś sugerował? Pamiętaj, że brałem pod uwagę wyniki medyczne.

Prusy ponownie odchylił się na krześle i udał, że się zastanawia.

– Dania – powiedział po chwili, szturchając palcem Livland, jeden z regionów administracyjnych kraju ze stolicą w Ridze. – Jego wyniki są…

Zmarszczył brwi, przypominając sobie to, co czytał w dokumentach. Podejrzewał, że od wczoraj biuro zdążyło przekazać Ferencowi wszystkie wyniki, inaczej pewnie by nie rozmawiali.

– W teorii dość dobre, ale uważam, że bardziej niż Laurinaitis potrzebuje obserwacji. Lit…uaen – Miał nadzieję, że ta krótka pauza umknęła führerowi; odwykł od używania tych imion. – jest spokojnym człowiekiem, a jego stan jest stabilny. Kølher to błazen, który miewa głupie pomysły i warto, by ktoś miał na niego oko. Gdyby to on został teraz przelokowany do ośrodka, odszedłby mi cały wschodni pas – dodał, przesuwając palcem po terytorium Rzeszy. – Ponad tysiąc kilometrów w linii prostej.

Wybacz, Matthias, pomyślał Prusy, z satysfakcją zauważając, że jego argumenty trafiają do führera; Weigel wyciągnął z dokumentów szkic z cotygodniową trasą Gilberta. Spoglądał to na mapę, to na oznaczone miejsca pobytu personifikacji i skinął ze zrozumieniem głową.

Wiem, że polubiłeś tę nową robotę w barze… postaram się o jakieś rzutki w twoim nowym pokoju. Estonia, Łotwa, Ukraina… nie powinieneś narzekać na towarzystwo.

Kurwa, Nikolai będzie chciał urwać mi łeb, jak mu o tym powiem… ale tam przynajmniej będzie bezpieczna od potencjalnych manipulacji ze wschodu…

– Cały wschodni pas – powtórzył powoli Ferenc. – Tak, to znacznie by cię odciążyło… – Spojrzenie führera uniosło się i wbiło uważnie w twarz Prus. – Widzę, że praca daje ci się w kość.

Prusy zaklął w myślach. Naprawdę aż tak to widać?

– Bzdura – prychnął. – Nie myśl, że jest to dla mnie jakimś szczególnym ciężarem, Ferenc. Mogę to robić i do końca świata, ale skoro sam proponujesz modyfikację mojego grafiku, żal nie skorzystać. Dodatkowy dzień wolny zawsze jest mile widziany.

– Rozumiem – Ferenc uśmiechnął się, ale jego uśmiech nie sięgał oczu. – À propos dni wolnych… podjąłem decyzję o zaprzestaniu spotkań w Charlottenburgu. To niepotrzebny, upokarzający pokaz siły. Jesteśmy cywilizowanym krajem i tak też powinniśmy ich traktować.

Prusy zamrugał zaskoczony. Nie zatańczysz na kolejnym Charlottenburgu, Erzsi, pomyślał przelotnie.

Charlottenburg miał wady i zalety; owszem, brutalnie przypominał podbitym personifikacjom, do jakiej pozycji ich zepchnięto, ale pozwalał się spotkać; rozmawiać, szeptać, spędzać czas, nadrabiać stracone lata. W rzeczywistości, w której nie mogli się kontaktować ze sobą na co dzień, ten wieczór był na wagę złota.

Co ty dokładnie planujesz, Ferenc? Mówisz ładne słówka o opiece i odpowiedzialności, gromadząc ich w jednym miejscu, w tym jednym domu pod lasem, ale przez tyle lat to cię w ogóle nie obchodziło… Przypomniał mu się inny führer i inne miejsca, gdzie spędzano tych niepotrzebnych i niechcianych; ale Ferenc Weigel nie był, a tak przynajmniej Gilbert chciał sądzić, człowiekiem, który wydawał takie rozkazy...

A może jednak?

– Wydajesz się lubić pana Laurinaitisa, Gilbercie – Ferenc rzucił na pozór spokojnie, zerkając w akta; litewskie nazwisko zabrzmiało w jego ustach jak swoja kiepska podróbka.

Prusy zaklął w myślach, niemile zaskoczony tym pytaniem.

– Nie będę ukrywał, że znamy się od wieków – Wzruszył ramionami. – Mamy trochę wspólnych historycznych zaszłości, ale nie nazwałbym tego „lubieniem” – Spojrzał Führerowi w oczy. – Czy najwyższy wódz ma jakieś wątpliwości co do mojej lojalności? – zapytał oficjalnie.

– Skądże – Ferenc uniósł pojednawczo dłonie. – Rozumiem, że w twoim przypadku może to być trudne, przywiązanie, przyzwyczajenie do tych ludzi... Twój brat jest w końcu znacznie młodszy od ciebie, prawda? Nie miał tyle czasu, by nawiązać więzi... czy z panem Litwą, czy z panną Węgry, czy też ze świętej pamięci już panem Polską...

Ty chuju, pomyślał Gilbert, bardzo starając się, by jego mina i spojrzenie nie odzwierciedlały morderczych myśli, które właśnie przemykały mu przez głowę. Jak zaczniesz odwalać mi tu pseudoanalizę moich relacji, to nie ręczę za siebie, jutro imperium obiegnie szokująca wiadomość o führerze Ferencu Weiglu, który wypadł z okna swojego biura wprost na Große Platz. Ot, taki nieszczęśliwy wypadek...

– Przychylę się do twojej prośby – Führer spoglądał mu w oczy z tym swoim dziadkowym uśmiechem. – Pierwszą grupą, która trafi do Domu Jesiennego, będą Ukraina, Łotwa, Estonia i Dania. Liczę na to, że zredukowanie liczby wizytacji wpłynie pozytywnie na twoją aktywność podczas pozostałych. Rozumiem, że jesteś przepracowany. Mam nadzieję, że nowe warunki pozwolą ci… – Oczy miał lodowato zimne. – *bardziej* się zaangażować, Gilbercie. Zdajesz sobie sprawę, że to rozkaz, prawda?

Gilbert zacisnął szczęki; żwawo poderwał się na równe nogi i rozpoznając moment, zasalutował wyciągniętą dłonią.

– Jawohl, Mein Führer!

Chyba właśnie wykopał sobie grób.

***

Materac był miękki, otulająca go pościel ciepła, a noc cicha i spokojna; Polska otworzył oczy, sennie zastanawiając się, co wyrwało go z przyjemnego snu.

Zamrugał, przyzwyczajając oczy do półmroku, rozpraszanego pomarańczowym blaskiem lamp ulicznych, przenikających przez odsłonięte okna. Zarysy mebli, mała czerwona kropka na obudowie poczerniałego monitora, poukładane dokumenty na biurku, zwykłe kapcie na szarym dywanie, bo jesień z wolna wkradała się w mury budynku i Feliks musiał niechętnie zrezygnować z chodzenia boso po mieszkaniu...

Wszystko tak, jak być powinno; Feliks opuścił ciężkie powieki i już chciał zasnąć ponownie, gdy doszło do niego, że nie słyszy znajomego rytmu głębokich oddechów.

Obrócił się na plecy, zauważając, że kołdra owija tylko jego; Taurys półleżał, półsiedział obok, opierając się o zagłówek łóżka i trzymał coś w dłoniach.

– Znowu nie śpisz...? – wymamrotał Feliks, zmuszając się do siadu i zamrugał półprzytomnie. Przedmiot w dłoniach Litwy okazał się kubkiem, nad którym unosiły się kłęby pary.

– Od dwóch godzin – powiedział cicho Taurys, a w jego głosie zabrzmiało zmęczenie. – Poszedłem zrobić sobie coś do picia, starałem się cię nie obudzić, ale...

– Daj spokój – Polska potrząsnął głową, przygryzając jednocześnie wargę. – Nie przejmuj się tym.

Było mu trochę głupio; wiedział, że Taurys cierpi na bezsenność, słyszał go czasem przez ściany saloniku, ale dopiero odkąd kilka dni temu zaczęli spać razem, dopiero wtedy zrozumiał, jak wiele godzin Litwa spędza na wpatrywaniu się w sufit...

Wciągnął powietrze w płuca i rozpoznał zapach napoju, którego ostrożny łyk brał właśnie Taurys.

Rumianek był strzałem w dziesiątkę, w przeciwieństwie do zbożówki – na samą myśl Feliks poczuł wyrzuty sumienia, ale na swoje usprawiedliwienie miał to, że nie mógł wiedzieć, że Litwa zareaguje na nią tak negatywnie – był dobrym zwrotem w jego planie zadbania o zdrowie Taurysa. Litwa lubił jego delikatny smak, a wyciszające właściwości mogły tylko wyjść mu na dobre; zwłaszcza, pomyślał Feliks gorzko, że od dnia komisji Litwa był dość kiepsko maskującym się kłębkiem nerwów i niepokoju.

– Sny, czy natrętne myśli...? – zagadnął niepewnie, gdy Taurys ostrożnie przechylił się ponad nim, by odłożyć kubek na szafkę nocną. Gdy porcelana stuknęła o drewno, Feliks złapał lekko za brzeg koszuli Taurysa, dając mu do zrozumienia, by się nie odsuwał.

– Myśli – Taurys wypuścił powietrze i usiadł tuż przy Feliksie. – Ale... ale czasem wolałbym sny – przyznał gorzko, pochylając głowę; kurtyna włosów zasłoniła jego oczy. – Są straszniejsze, ale... ale się rozmywają, a nie tkwią cały czas w głowie...

Polska położył dłoń na dłoni Taurysa i mocno ścisnął.

– Sny też są koszmarne – wymamrotał cicho, a potem krzywo się uśmiechnął. – Ha, koszmarne, łapiesz?

Taurys nie zaśmiał się; pokręcił głową i westchnął.

– Przepraszam – powiedział, odwzajemniając uścisk palców. – Sam też masz własne problemy, a ciągle zajmujesz się moimi...

– Nawet nie waż się kończyć tego zdania – przerwał mu Feliks, słysząc cień poczucia winy. Wyciągnął ręce w kierunku Litwy. – Chodź tutaj, Licia – szepnął miękko, odsuwając leżącą na swoich kolanach kołdrę. – Zmarzniesz.

Przyszedł; ułożyli się razem, a Litwa schował twarz gdzieś w zagłębieniu feliksowej szyi i odetchnął głęboko. Dłonie Feliksa same pobiegły do jego pleców, pogłaskały i zatoczyły kręgi; przez materiał pidżamy nie był w stanie wyczuć większości blizn, ale wiedział, że tam są.

I, z czego jakiś czas temu zdał sobie sprawę, Taurys miał znacznie więcej blizn niż mogło się wydawać, a nosił je tam, gdzie nosił swoje Polska; w duszy.

– Feliksai – odezwał się Taurys ochrypłym szeptem wiele minut później. – Nie śpisz, prawda?

Polska potwierdził szeptem, że nie. Leżał, trzymając Litwę w objęciach i czekał, podświadomie czując, że ten chce powiedzieć mu coś ważnego. Nie mylił się; Taurys wziął głęboki wdech, jak przed wskoczeniem w głęboką, ciemną otchłań.

– Pamiętasz, jak wracaliśmy od Erzsébet? – zaczął niepewnie, jakby walczył ze sobą o każde wypowiedziane słowo. – Mówiłeś o tym, że… nie wiesz, jak jej pomóc. Że na zachodzie są lekarze, specjaliści, którzy wiedzą… jak mogłaby powrócić do normalności?

– Tak – wyszeptał Polska, czując jak jego serce znów ściska się z bólu. – Ja… działam po omacku. Nie wiem, czy… czy to, co powiem, nie… nie pogorszy sytuacji. Czuję się… bezradny. Bezużyteczny.

I nie mówię tylko o Erzsi, Liciu.

– Ona tego potrzebuje, zgadzam się… Też ma jaskółkę w karcie obywatela, też nie może przekroczyć granicy, a u nas… w Rzeszy – Litwa poprawił się, a jego słowa były zduszone, jakby coś trzymało go za gardło żelaznym uściskiem. – Tego tu nie ma. Ja… Annika mówiła mi kiedyś, że po Kursku niektórzy żołnierze mieli kilka spotkań… Wojsko sprowadziło dla nich jakichś zagranicznych lekarzy.

– Nigdy o tym nie słyszałem – Feliks zagryzł wargi. Zjednoczona Rzesza Niemiecka była w tej kwestii prosta: albo jesteś normalnym obywatelem albo przeszkadzasz społeczeństwu, więc zamkniemy cię w szpitalu. Nie było nic pomiędzy i im dłużej Polska przebywał poza granicami Imperium, tym bardziej się zżymał na skostniałe normy tego państwa. – Niech ich szlag. Nikt o tym oficjalnie nie mówił, prawda? Wojsko Rzeszy jest w końcu silne, szlachetne i pozbawione słabości – dodał z przekąsem.

– Mówiłeś, że chciałbyś, by Erzsébet miała dostęp do fachowej pomocy – kontynuował Litwa bezbarwnym głosem. Ani na moment nie uniósł głowy, ciągle chowając twarz w szyi Feliksa. – Ona zdecydowanie tego potrzebuje… i ma o wiele, wiele gorzej niż ja… i wstyd mi, że nawet o tym myślę, ale…

– Licia… – szepnął miękko Feliks, rozumiejąc, dokąd zmierza jego ukochany. To też była jedna z jego myśli, tym razem niewypowiedziana. – Nie musisz się wstydzić, ja…

– Jestem zmęczony, Feliksai.

Polska zagryzł wargi aż do bólu i tylko wzmocnił uścisk. Ciemność pomagała; Litwa mówił dalej, potykając się o własne słowa.

– Zmęczony tym, co robi ze mną moja własna głowa… Nie mogę spać, ciągle tylko myślę… Jesteś ze mną, jestem szczęśliwy tak, jak nie byłem od lat, ale… ale ciągle… jeden czarny scenariusz za drugim… nawet teraz, boję się, że…

Litwa urwał; wcisnął się mocniej w Feliksa, a drżenie jego ciała i oddechu sprawiło, że Polska sam zacisnął powieki, czując głęboki ból w sercu.

Jakaś naiwna część niego sądziła, że od środy, od tego cudownego momentu, w którym całowali się ponad czarno-białą klawiaturą, będzie tylko lepiej; znikną demony przeszłości, tabuny czarnych myśli, bolesne wspomnienia i koszmary; zrozumienie, że miłość nie jest cudownym lekiem, było bardzo gorzkie.

Bardzo, bardzo nie chciał teraz wyjeżdżać, zostawić Taurysa znów w tym pustym mieszkaniu i w tej chwili tak bardzo chciał rzucić to w diabły, zostawić los tego kraju samemu sobie, byle tylko nie odstępować boku mężczyzny, którego kochał…

– Tauri – powtórzył bezsilnie, przyciskając usta do skroni, czoła i włosów. Nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby zrobić i powiedzieć, by Litwa poczuł jego miłość i wsparcie, by nie czuł się źle. – Taurysie…

– Wiesz co? – Litwa wziął drżący oddech. – Żebym miał odwagę cię pocałować, Prusy musiał…. trochę mną potrząsnąć. Powiedzieć… kilka słów o tym, że… że umrę. Ż-że obaj kiedyś umrzemy i nie mam czasu na… na lęk. Strzela słowami równie celnie jak z pistoletu…

– Licia…

– I to nie jest pierwszy raz – W głosie Litwy zabrzmiało gorzkie rozbawienie. – Mówiłem ci, że… gdy zaczynałem pracę jako nauczyciel… początek roku wypadał w sobotę…?

– Nie – Polska przygryzł wargę. Czuł, że Litwa otwiera przed nim swoje poharatane serce, opowiada o rzeczach, o których wcześniej, w czasie ich całonocnej rozmowy, mówić nie chciał. – Wtedy też przychodził w piątek wieczór, prawda?

– Nie otworzyłem mu – przyznał Litwa cicho. – Nie zamknąłem na klucz, więc wszedł… Wiesz, że… że nie radzę sobie dobrze ze stresem… ale wtedy… było wyjątkowo źle… Nie byłem w stanie oddychać… czułem się, jakbym miał zaraz umrzeć. I takiego mnie znalazł.

Cisza, która zapadła, była dusząca; Polska zacisnął szczęki jeszcze mocniej.

– Jeśli nie chcesz o tym opowiadać… – zaczął nieporadnie, ale Litwa kontynuował:

– Gilbert powiedział, że jako mój wróg jest mną rozczarowany i dał mi w twarz. W jakiś sposób to pomogło – Litwa znów wciągnął powietrze w płuca; mocno, desperacko, jakby próbował przekonać sam siebie, że potrafi oddychać. – Szok, t-tak myślę.

Feliks zacisnął powieki; łzy tańczyły na jego rzęsach.

– Cóż – powiedział ze ściśniętym gardłem, gdy Litwa umilkł. – Na terapeutę to on się nie nadaje. Może i jest skuteczny, ale metody ma barbarzyńskie.

To był ryzykowny ruch, ale udało się; tym razem Taurys zatrząsł się ze mimowolnego śmiechu. Poruszył się tak, by patrzeć Feliksowi w twarz; Polska doskonale widział wilgoć w jego oczach.

– Nie, nie nadaje się – powtórzył słabo. – Ale na swatkę już tak.

– Koszmarną swatkę – Polska wywrócił oczyma. – Nie zrobił nic poza głupimi uwagami, a będzie się puszył przez kolejne pół wieku… ale niech mu będzie – Z westchnieniem przytulił się do Taurysa. – Mogę teraz ja ci coś opowiedzieć…?

Litwa sięgnął ku jego twarzy; pogłaskał ostrożnie gładki policzek i odsunął kilka jasnych kosmyków, zaczesując je za ucho. Skinął głową.

– Zawsze – wyszeptał miękko.

– Moje koszmary nie są już tak częste jak kiedyś – przyznał Feliks, poddając się temu dotykowi; tęsknił za nim przez całe stulecia. – Może dlatego, że nikt już nie cierpi… Ale zawsze widzę w nich to samo: krew, ból i upokorzenie przez silniejszego. Nikt mnie w nich nie krzywdzi – dodał pośpiesznie. – Ja po prostu… czasem mam kajdanki. Czasem moje ręce są związane sznurem. Czasem… czasem ich w ogóle nie mam. I zawsze… zawsze nie mogę nic zrobić. I… i to właśnie boli.

Ostatnie słowa były już tylko szeptem; westchnął ciężko, a potem, gdy poczuł na swoim czole ostrożny, leciutki pocałunek, jakby jakiś ciężar spadł mu z ramion. Taurys znał go od stuleci; wiedział, że w rękach Polski zawsze coś było, szabla, muszkiet czy łopata, że nigdy nie potrafił siedzieć i czekać, i jedną z najgorszych dlań rzeczy była bezradność… W jego sercu rozlało się przyjemne, otulające niczym koc ciepło.

– Nigdy nie potrafiłeś pozostać bierny, gdy ktoś cierpiał – Usłyszał cichy szept tuż przy sobie. – Nigdy… nigdy nie szukałeś wymówek. Po prostu… po prostu szedłeś i działałeś. Zawsze podziwiałem cię za tę odwagę…

Ostatnio śniłeś mi się ty. Zraniony i upokorzony, nie potrafiący się bronić. I ja, nie potrafiący obronić ciebie… Wzdrygnął się.

– Nasz lokalny pruski terapeuta powiedziałby, że to nie odwaga, a ślepa głupota – mruknął gorzko Feliks, wtulając się mocniej w Taurysa. – Ja… ja też przez to nie raz oberwałem – przyznał ze ściśniętym gardłem. Mimo kojącej bliskości, ciepła wygodnego łóżka i przyjemnej ciemności wzdrygnął się, bo przed oczami znów stanęły mu wyszczerzone kły, a w uszach zabrzmiał wściekły warkot. – To było na początku wojny. Poszedłem głupio… ale nie myślałem wtedy rozsądnie… Chciałem chronić cywili przed… przed gazem… Miałem visa w kieszeni, a oni mieli kilka psów… ale miałem mniej szczęścia, niż myślałem, że mam… i o kilka nabojów w magazynku za mało…

Taurys wciągnął powietrze przez zęby; oczy Feliksa były już tak przyzwyczajone do półmroku, że widział doskonale emocje kotłujące się w ciemnej zieleni.

– Feliksai…

– Licia – Feliks sięgnął ku dłoni, spoczywającej teraz na jego ramieniu, mocno ścisnął, a potem poprowadził ku swojemu udu. – Tu – szepnął. – I tu – Biodro. – I tu – Przedramię tej samej ręki. – Trochę mnie poszarpały – Zadrżał na wspomnienie szczęk zaciskających się na ciele, kłów wpijających się w żywe mięso. Były dobrze wytresowane; nie uciekły na huk chybionych w panice strzałów, na co rozpaczliwie liczył, gdy tylko zrozumiał, jak jest źle. – Nawet… nawet nie mam tych blizn – przyznał. – Jakoś się wygoiły… jak na psie – parsknął gorzkim śmiechem, zaraz jednak potem poczuł wstyd. – Przepraszam, Licia… Nie chciałem porównywać…

– Przestań – Taurys przycisnął usta do jego czoła. – Tak po prostu jest, pamiętasz...? – zapytał bardzo cicho. – Zawsze było.

Pamiętał; byli dziwnym gatunkiem. Rany zadane przez zwykłych ludzi czy zwierzęta goiły się na nich szybko i bez śladu; te zadane rękami innych im podobnych babrały się, ropiały, a blizny nie chciały zniknąć, czego Litwa był przykładem. Dobrze, że chociaż nie bolą, pomyślał smutno Feliks. Ale i tak nie chcę, żebyś je miał.

– Ale jesteśmy połamani – szepnął niewesoło. Uścisk wokół niego tylko się wzmocnił; odetchnął z ulgą, zamknął oczy i spróbował się zrelaksować. Gdyby Prusak nas teraz widział, zwyzywałby nas od żałosnych idiotów, którzy nie potrafią przejść nad przeszłością do porządku dziennego. Faktycznie. Strzela słowami równie celnie co z pistoletu. – Cieszę się, że jestem tutaj z tobą, Tauri.

– Ja też – Taurys oparł głowę na jego ramieniu. Milczeli przez chwilę. – Feliksai... dzisiaj jest niedziela, prawda?

– Chyba tak – Feliks nie miał zamiaru odwracać się, by sprawdzić, czy na budziku, który każdego ranka budził ich, by Taurys mógł pójść do pracy, wskazówka minęła już dwunastą. Zgadywał, że do świtu już niedaleko.

– Nasza ostatnia niedziela przed twoim wyjazdem – Taurys zamknął oczy. – Spędźmy ją jak najlepiej, dobrze? Proszę.

Feliks przytaknął; w piątek rano miał pociąg. Jadę węszyć i się tułać, pomyślał, jak zawsze. Ale teraz przynajmniej mam gdzie wrócić. Do kogo…

– Labanakt... – wymamrotał sennie po kilku minutach.

W odpowiedzi usłyszał:

– Dobrej nocy, Felku.

To nie było po niemiecku; Feliks uśmiechnął się przez półsen, w który właśnie zapadał, w ciemności sypialni i w cieple wzajemnych objęć.

***

Ludwig zatrzymał się ze szmatką w dłoni i zerknął zirytowany na kartonowe pudło wsunięte pod łóżko Gilberta, bardzo, ale to bardzo chcąc puścić z dymem wszystko, co się tam znajdowało.

Mężczyźni trzymali pod łóżkiem różne rzeczy. Ci niechlujni kłęby kurzu i brudne skarpetki, ci bezwstydni pisemka spod lady i nieprzyzwoite fotografie; wiedział, że żadnej z tych rzeczy tam nie znajdzie.

Obaj kochali absolutny porządek, a czasy, w których Ludwig zaczytywał się potajemnie w zakazanych książkach, dawno już minęły – na samo wspomnienie dnia, w którym Gilbert znalazł pożyczone od jakichś francuskich arystokratów rękopisy pewnego markiza i urządził mu awanturę stulecia, Niemcy zarumienił się i uciekł wzrokiem, zupełnie jakby znowu był ciekawskim nastolatkiem o zdecydowanie zbyt długich kończynach i piskliwym głosie, który właśnie poznał poglądy starszego brata na ten rodzaj literatury.

Więc ani brud, ani erotyka. Gorzej: notatki, plany, mapy i schematy, wszystko starannie zaszyfrowane i nawet gdyby zechciał, nie dowiedziałby się, co ta dokładnie banda planuje. Nie miał czasu na łamanie szyfrów; usiadł przy biurku i łypnął ponownie na kartonowe pudło, odtwarzając w głowie moment, w którym się tu znalazło.

Było czwartkowe późne popołudnie, a on gotował obiad, obracając w myślach dzisiejsze wiadomości z pruskiego parlamentu. Ustawa szkolna przeszła; prawdopodobnie imperialne ministerstwo zainteresuje się tymi zmianami w celu dostosowania obu systemów, chociaż Ludwig wątpił, by Imperium poczyniło coś więcej niż tylko drobne poprawki. Szkoda, że nie poprosił Gilberta o notatki z tej ustawy, mógłby się z nią zapoznać wcześniej, bo zanim pisma przejdą przez machiny biurokracji i trafią na jego biurko, minie kilka dni... Machinalnie obierał ziemniaki i rozmyślał nad prawodawstwem, gdy rozproszyło go pukanie do drzwi.

Nie spodziewał się nikogo, a już zwłaszcza Łukasiewicza i Laurinaitisa, stojących w jego drzwiach z pakunkiem, oznajmiających sucho, że Gilbert pozwolił im to tu zostawić. Najpierw tej diabelski kot, a teraz jakieś pudło! Czy ich mieszkanie było jakąś pieprzoną przechowalnią?!

Nie omieszkał się zapytać o to na głos; Polska zazgrzytał zębami, wyraźnie powstrzymując się od przekleństw, a Litwa odezwał cichym, nieco zduszonym głosem:

– Dziękuję za opiekę nad Bertą, Ludwigu.

Stał sztywno wyprostowany, a Niemcy mierzył się z nim na spojrzenia. Przez moment jakby znów stał na balkonie w Charlottenburgu, spoglądając w dół i zdumiewając się tym, co płonęło za tymi źrenicami, ogniem, o którym sądził, że dawno wygasł, ale tym razem usta Litwy, zamiast zaciskać się kurczowo, wypowiadały kolejne słowa.

Treść nie była istotna; Ludwig wsłuchiwał się w ich brzmienie, zaskoczony, bo gdy ostatnim razem miał okazję słyszeć Laurinaitisa, była jeszcze wojna.

Ich gatunek na ogół łatwo przyswajał sobie języki, ale mało kto walczył z akcentami, o ile nie musiał; spodziewał się niemieckiego, oczywiście, każdy przecież mówił tu po niemiecku, ale mówionego ze wschodnim, melodyjnym akcentem; zamiast tego stojący przed nim nie-człowiek wypowiadał się tak, jakby urodził się trzy dekady wcześniej na osiedlu w Mitte. Gdyby Ludwig nie znał jego personaliów, gdyby nie wiedział, że też jest personifikacją i to stulecia starszą od niego...

Cofnął się o krok, gdy przez jego głowę przeleciała szybka myśl: czy to miałeś na myśli, mówiąc o zaburzonym porządku, Gilbercie?

– Wejdźcie – rzucił ostro, usuwając się na bok i próbując nie dać po sobie poznać, o czym myśli.

Rozmawialiśmy o tym, bracie; tak to działa od tysięcy lat. Imperia wchłaniają nowe tereny, narody pojawiają się i znikają... I nasz gatunek też potrafi umrzeć! Rzym zmarł, Germania zniknął, pozostawiając watahę synów, Sumer odeszła dawno temu... Boli cię to tylko dlatego, że ich znasz! Taka jest naturalna kolej rzeczy... więc dlaczego oni patrzą na mnie jak na mordercę?!

– Dzięki za łaskę – Polska ruszył do przodu, trzymając w ramionach pudło. – Zostawię to u niego – dodał, ruszając korytarzem do pokoju Gilberta. Ludwig zazgrzytał zębami ze złości.

– Tak – Litwa stanął w drzwiach salonu i spoglądał na ścianę pełną zdjęć. – Nami się nie przejmuj... jak zawsze.

– Jasne – sarknął Ludwig, wracając do rzeczywistości. Posłał mordercze spojrzenie pudełku i opadł ciężko na krzesło przy biurku Gilberta, ciskając szmatkę na blat. – Jak Rzesza coś zrobi, to ja jestem odpowiedzialny. Jak wasze kraje coś spieprzyły, to nagle „to nie my podejmowaliśmy decyzje". Scheiße, jak wygodnie. Hipokryci...

To nie chodzi o to, czy podejmujesz decyzje, czy nie, szepnął głos w jego głowie, irytująco podobny do Gilberta. Tylko czy się z nimi zgadzasz, czy nie.

Niemcy prychnął w odpowiedzi na ten niewypowiedziany zarzut.

Jestem wierny temu krajowi i jego interesom. Im więcej mniejszości etnicznych, tym większe ryzyko destabilizacji imperium. Każdy führer to rozumiał. Adolf podszedł do tego siłowo, Claus wybrał inną drogę i długofalowo okazała się skuteczniejsza. Gdy Ferenc objął władzę, niewiele już musiał robić poza utrzymywaniem statusu quo. Teraz zaczęło cię to oburzać?

Zresztą, pomyślał, wstając i przechodząc do salonu, jak to było z naszą rodziną, nie pamiętasz? Zjednoczyliśmy się dokładnie tak samo!

Większość zdjęć na ścianie stanowili on i Gilbert; tylko jedno było zdjęciem rodzinnym. Ludwig spoglądał w znajome oczy starszych braci, stojących dumnie wyprostowanych, podczas gdy on, jeszcze dziecko, siedział na krześle i starał się wyglądać równie poważnie. Wyglądali jak mała armia i jej wychowanek, syn pułku.

– Wszystkie te księstwa i królestwa, zjednoczone w jedno silne państwo, w jedność, we mnie – wyszeptał. – Friedrich, Christian, Wilhelm, Albrecht, wszyscy rozumieli, że tak ma być, zaakceptowali to i usunęli się w cień! Gdy zapytasz na ulicy człowieka, odpowie ci, że jest Niemcem! Nie Saksończykiem, nie Bawarczykiem, nie Brandenburczykiem, nie...

Nie Prusakiem, chciał dodać, ale te słowa ugrzęzły mu w gardle, gdy napotkał zadowolone z siebie oczy Gilberta; Prusy na fotografii patrzył z uśmiechem w obiektyw aparatu, ale jego palce zaciskały się wspierająco na drobnym ramieniu chłopca na krześle.

Kraj Autonomiczny Prus rozlewał się po mapie, sięgając od Stettina po Memel i dalej, wydzielony z terytorium rodzącej się Zjednoczonej Rzeszy na jego własną prośbę. Ludwig zacisnął zęby.

Po prostu chciałem, byś był w tym ze mną. Żebyśmy wzajemnie chronili swoje plecy... Więc dlaczego jest między nami coraz gorzej?

– I dlaczego uważasz, że zjednoczenie Europy w ten sam sposób jest złe?

– Bo to nie to samo.

Ludwig obrócił się gwałtownie przez ramię; nie słyszał brzdęku kluczy, ale jego brat stał w przejściu do salonu i spoglądał nań ze zmarszczonymi brwiami. Niemcy nagle uderzyło, jak źle Prusy wygląda; cienie pod jego powiekami odcinały się ciemną szarością od jasnej skóry. Serce zabiło mu mocniej, ale szybko użył zdrowego rozsądku; to tylko

zmęczenie. Zamiast skorzystać z wolnego czasu i odpocząć, pałęta się po klubach i barach. A podobno starsi brata mieli być mądrzejsi.

– Rozmawialiśmy już o tym – Niemcy podniósł głos. – Sam walczyłeś w wojnach, sam podbijałeś! Nie bądź hipokrytą, Gilbert!

– A ty nie porównuj podbojów do naszej rodziny! – warknął Gilbert, zaskakując brata. Zamrugał i zreflektował się, spoglądając na tę samą fotografię. – Jeszcze zanim pojawiłeś się na świecie, wiedzieliśmy już, że pełne zjednoczenie Niemiec to tylko kwestia czasu – zaczął ciszej i spokojniej. – Rozumieliśmy to i godziliśmy się na to, bo my de facto i tak byliśmy jednym Królestwem Niemieckim, po prostu rozbitym na maleńkie kawałki przez długi czas. Ten mały blond dzieciak z oczami jak niebo, plątający się nam pod nogami – Prusy uśmiechnął się melancholijnie i nieco odlegle. – Był tego żywym dowodem. To była naturalna kolej rzeczy, braciszku.

– Ale? – Niemcy zacisnął zęby.

– Ale nikt oprócz nas nie był tą jednością – Prusy oparł się plecami o ścianę. – Italia. Węgry. Czechy. Cała reszta. Nie jesteśmy rodziną, nie jesteśmy jednością. Nigdy nie byliśmy. Przez ponad tysiąc lat granice się zmieniały, podbijaliśmy się wzajemnie, rozszarpywaliśmy mapy na strzępy, racja. To było nawet zabawne.

– Teraz przestało?

– To, co chciała zrobić Rzesza – Gilbert wzruszył ramionami. – Też jeszcze wpisywało się w normę, jeśli spojrzysz na to z tej perspektywy. Kolejne europejskie imperium, idące po swoje po trupach, chcące więcej i więcej ziemi. Ale personifikacje, zamiast być podbitymi i rzucać nam gniewne spojrzenia i przeklinać, gdy nie patrzyliśmy, zaczęły nieodwracalnie gasnąć. I to nie jest już normą.

– Więc wolałbyś, żeby zamiast zjednoczenia pod jedną flagą, Europa wykrwawiała się przez kolejne tysiąc lat? – Ludwig spojrzał na brata spode łba.

Prusy warknął przez zęby.

– Nie wkładaj mi w usta słów, których nie powiedziałem!

– Czyli miałem rację – Ludwig obrócił się plecami do brata. – Zdajesz sobie sprawę z tego, że tak to ma być. Boli cię to tylko dlatego, że ich lubisz.

Zapadła ciężka cisza; Prusy z irytacją uderzył dłonią o ścianę, tuż ponad zdjęciami, ale nie odpowiedział. Bez słowa podszedł do barku i wyciągnął stamtąd butelkę gdańskiej. Nalał sobie migoczący złotymi drobinkami alkohol do kieliszka i wychylił go jednym łykiem.

– Gilbert...

– Mam do ciebie dwa pytania, braciszku – szepnął Prusy, opierając się dłońmi o blat barku. Obejrzał się przez ramię, a coś w jego oczach sprawiło, że Ludwig poczuł nagle gwałtowne uderzenie poczucia winy. – Mogę?

– Oczywiście – wyszeptał Ludwig, czując jak jego serce ściska się boleśnie.

– Dwa tygodnie temu Borussia przegrała ósmy mecz z rzędu. Dlaczego powiedziałeś mi, że wygrała?

Ludwig otworzył usta, ale zaraz potem je zamknął. Oczy Prus zwęziły się w cienkie szparki.

– I drugie pytanie... Czy wiedziałeś, że Ferenc podejrzewa, że nie wykonuję swoich obowiązków sumiennie?

***

Gdy kilka godzin później Polska ponownie uchylił powiek, było już jasno; za oknem niebo pokryło się szarością zwiastującą nadciągający deszcz. Na stoliku nocnym cichy budzik wskazywał na dziesiątą rano; Feliks ziewnął szeroko i zamrugał zaskoczony. O ile dla niego pobudka o tej godzinie nie była czymś niezwykłym, tak Taurys zwykle od dawna był już na nogach... Zwykle; Feliks obrócił się ostrożnie w obejmujących go ramionach i czule spojrzał na Litwę.

Klatka piersiowa Taurysa unosiła się w głębokim, powolnym oddechu, a na twarzy miał czysty spokój, zupełnie jakby ich nocna rozmowa zdjęła z jego serca ogromny ciężar, pozwalając w końcu usnąć; Polska przygryzł wargę, przypominając sobie, co Litwa mu wyznał, znajdując odwagę w ciemnościach i wzajemnej bliskości.

Co ten skurwysyn ci zrobił, pomyślał Polska z bólem, wyciągając dłoń, by ostrożnie dotknąć policzka ukochanego.

Gdy zobaczył blizny, potworne ślady cięć i szarpań, znaczące skórę Taurysa jak makabryczna parodia dziecięcego rysunku – czerwona kredka przyciśnięta do papieru ze zbyt dużą siłą, długie, ostre linie, wymięty, rozdarty papier – przestraszył się, ale widział tylko pozostałości fizycznej przemocy. Kolejne tygodnie, które spędził z Litwą, sprawiły, że do Feliksa dotarło, że te blizny na plecach nie były jedyną krzywdą, jaką mu wyrządzono; oprócz krwi odebrano mu też spokój ducha i poczucie własnej wartości.

Szkoda, że mnie tam nie było, Feliks spoglądał na śpiącego, wspominając. Może nasze relacje nie były wtedy już takie dobre, ale... ale nie pozwoliłbym, żeby się nad tobą znęcał.

Od upadku Rzeczpospolitej Feliks robił co mógł, by jak najrzadziej pojawiać się w bezpośrednim towarzystwie Rodericha, Iwana czy Gilberta i Friedricha; rozdział ziem dał mu paradoksalną wolność, pozwolił na przemykanie po kątach, pojawianie się to na ziemiach zabranych przez Imperium Rosyjskie, to w Galicji czy Prusach na parę tygodni, nigdy nie dość silny, by być dlań zagrożeniem.

Przymknął oczy i westchnął ciężko, a wspomnienie przebiegło przez jego umysł jak grzmot przez niebo na zewnątrz.

Odgłosy awantury odbijały się od ścian gabinetu i zasuniętych szczelnie, ciężkich zasłon; zirytowany Prusy uniósł ręce ponad głowę i wymownie je opuścił, dając do zrozumienia, że ma dość tej rozmowy. Brandenburgia już ochrypł od krzyku, a Polska odgryzał się równie ostro, czerpiąc ponurą satysfakcję z wytrącania ich z równowagi; w drzwiach, niezauważony, stał chłopiec o niebieskich oczach, dzieciak w połowie drogi do dorosłości. Znad jego ramienia spoglądał Saksonia; Feliks zerknął w tamtą stronę i zamyślone, spokojne spojrzenie Christiana tylko sprawiło, że jego i tak wzburzona krew zawrzała jeszcze mocniej.

– Idź do diabła! – wrzasnął nagle Friedrich, wskazując mu drzwi i Polska nie omieszkał się nie skorzystać z zaproszenia. Minął Prusy, który wywrócił oczami, minął milczącego Saksonię, minął Ludwiga, który pośpiesznie usunął się na bok i odszedł w noc.

Czasem był to Berlin, czasem Wiedeń, czasem Sankt Petersburg; gdy chcieli go widzieć, posyłali po niego i wściekali się, gdy przybywał opornie, spóźniony nieraz kilka tygodni, z ssącym głodem w żołądku i żarem w oczach, ale nigdy nie zatrzymali go, gdy odchodził – jakby trzej zaborcy jednomyślnie uznali, że Feliks Łukasiewicz w niewoli doprowadzi ich do szału i byli pewni, że i tak nie będzie mógł im zaszkodzić. Niech się pląta, niech próbuje; i tak nic nie zdziała...

To było paskudne, ciężkie pół-życie, tułaczka po rozdzielonych ziemiach, nocowanie po dworcach kolejowych i zaprzyjaźnionych domach, pod milczącym przyzwoleniem, które mogli cofnąć w każdej chwili, ale to była jedyna namiastka wolności, jaką miał i Feliks wówczas łapczywie z niej korzystał. Taurysa widział może kilka razy, zawsze z daleka i poza skinięciem głową nigdy nie wymienili nawet pozdrowień. Feliks zapamiętał jedynie poszarzałą twarz i uciekające spojrzenie.

Kolejny wiek był wiekiem odzyskanej na chwilę wolności, sprzecznych interesów i wojennego szaleństwa i dopiero teraz, w roku dwa tysiące dziewiętnastym, Feliks w pełni pojął, co Iwan zrobił jego dawnemu przyjacielowi i kochankowi.

Czując pieczenie w kącikach oczu, jeszcze raz pogłaskał Taurysa po policzku, składając mu ciche obietnice. Potem przysunął się bliżej i dotknął ustami tego samego miejsca, wyczuwając wargami tycie igiełki zarostu, który zniknie, gdy tylko Litwa uda się do łazienki. Taurys wydał z siebie senny pomruk, ale nie otworzył oczu, a Feliks z ciepłem w sercu obserwował króciutki, ciemny włosek, który ledwie przebił się przez skórę.

Taurys nigdy nie nosił zarostu; odkąd Polska go znał, Litwa przywiązywał dużą wagę do gładkiej szczęki, niezależnie od panującej mody i był bardziej niż rozbawiony, gdy Polska swego czasu usilnie starał się wyhodować sarmackie wąsy.... z bardzo mizernym skutkiem.

Na samo wspomnienie Feliks zachichotał. Wąsów już nie chciał, nie kojarzyły mu się dobrze; a bez brody znacznie przyjemniej było się całować.

Gdy Polska skradł mu kolejnego całusa, tym razem w czoło, Taurys uchylił powiek i leniwie się uśmiechnął. Senny, zrelaksowany, pozbawiony trosk; takiego Feliks pragnął go widzieć znacznie częściej.

– Dzień dobry, mężu – wyszeptał wesoło Feliks. – Mamy piękny niedzielny poranek, nie?

Za oknem dudniły przytłumione, odległe grzmoty, a deszcz wystukiwał już gwałtowny rytm na szybie, ale pogoda była ostatnią rzeczą, jaka teraz Polskę obchodziła. Leżeli razem, w wygodnej, ciepłej pościeli, i mieli przed sobą cały dzień tylko dla nich; Polska podczas tych wakacji zapałał szczerą miłością do niedziel.

– Cześć – Taurys przymknął oczy na moment, wciąż jedną nogą we śnie. Kosmyk włosów opadał mu na oczy; Polska czule go odgarnął. – Myślę, że... jeden z najmilszych w moim życiu.

– Będzie takich więcej – Polska uśmiechnął się szeroko. Jak już tylko się z tym wszystkim uporamy, będzie już dobrze, pomyślał zaciekle. Nie obchodzi mnie, ile życia nam zostało, zrobię wszystko, by każdy pozostały nam dzień był taki, jak ten. – Mężu – powtórzył, z lubością smakując to słowo. – Jak to jest po litewsku...?

Taurys uniósł powieki i zmarszczył brwi; te kilka sekund zastanowienia sprawiło, że Feliksa nagle zabolało serce.

– Vyras... Mano vyre, Feliksai – wyszeptał, a jego usta wygięły się w nieśmiałym uśmiechu, jakby nie mógł uwierzyć, że pamięta te słowa... i że może tak się do Feliksa zwracać.

Polska zamierzał wybić Taurysowi z głowy wszelkie brednie o niezasługiwaniu na szczęście. Oparł się na łokciu i z szerokim uśmiechem, którego nie mógł powstrzymać, przyglądał się ukochanemu.

Zawsze uważał Taurysa za przystojnego mężczyznę; ciemny odcień brązu, jaki miały jego włosy, ładnie kontrastował z dość jasnym odcieniem jego skóry, a oczy, głęboko zielone i ciemno oprawione, wyjątkowo się Polsce podobały. Może czas i los odcisnęły na tej urodzie piękno; może i zostawiły ślady na skórze, uwidoczniły żebra i zniweczyły dawne mięśnie, sprawiły, że włosy straciły zdrowy blask, ale Feliks dalej trwał w swoim przekonaniu.

Litwa patrzył na niego spod zmrużonych, ciężkich od snu powiek; górny guzik pidżamy był rozpięty i odsłaniał fragment klatki piersiowej. Polska bez większego namysłu zaczął bawić się tym guzikiem; obracał go między palcami, a po chwili zsunął dłoń na pierś Taurysa, chcąc poczuć przez materiał i skórę bicie jego serca.

I czuł; miarowe uderzenia roznosiły po jego ciele czyste szczęście; Polska przycisnął wargi do czoła Taurysa.

– Która jest godzina...? – Litwa zamrugał, a potem uciekł wzrokiem w bok. – Tak późno...?

– Nie idziesz dzisiaj do pracy.

– Ale Berta jest pewnie głodna.

Nastawili uszu, ale zza zamkniętych drzwi nie dobiegał żaden dźwięk. Polska odetchnął z ulgą, chociaż i tak jego stosunki z kotem zdecydowanie się polepszyły w ostatnich dniach. Zgadywał, że nocując w tym samym łóżku, przesiąkł zapachem Taurysa na tyle, że kocica nie uznawała go już za zagrożenie. Zachichotał, przypominając sobie, jak obwąchiwała go każdego poranka, podczas gdy Taurys sypiał karmy do jej miski.

– Czyli twoja strażniczka też jeszcze śpi – uznał wesoło. – Skoro jest niedziela, Licia, to mam plan.

– Jaki? – Litwa przymknął oczy i przeciągnął się.

– Zostajemy do południa w łóżku, a potem idziemy na spacer i na obiad – oznajmił Feliks. – Do knajpki, którą znalazłem ostatnio. Mają przepyszne kluski... Chyba, że wolisz inaczej...? – zapytał, nagle przypominając sobie nocną prośbę Taurysa. Chciał, by spędzili ten dzień wyjątkowo...

Litwa uśmiechnął się do niego.

– Podoba mi się ten plan – szepnął. – Ale co z wieczorem?

Polska się zastanowił.

– Nie masz nic do zrobienia? – zapytał, unosząc się nieco i zerkając na stos dokumentów na biurku. Litwa pokręcił głową.

– Miałem okienko w piątek, uzupełniłem wszystkie– wyjaśnił, a potem zawahał się. – Może... Annika wspominała, że w Musikinstrumenten-Museum jest nowa wystawa. Podobno zebrali mało znane instrumenty z terenu całego kraju... – Teraz on spojrzał przez pokój, na szafę. Polska wiedział, że trzyma tam ważne dla siebie stare kankle i pokiwał głową, odpowiadając na pytanie, nim ono padło. – Chciałbyś ze mną tam pójść...?

Feliks w odpowiedzi musnął ustami wargi Taurysa.

– Na randkę do muzeum? – zachichotał. – Licia, cały ty.

Rumieńce, które pojawiły się na twarzy Taurysa, sprawiły, że Polska tylko roześmiał się głośniej. Świat mógłby w tej chwili spłonąć, a do drzwi zapukać Lefevre z führerem; miał to gdzieś. Odzyskał swojego męża i nie mógł być szczęśliwszy.

Gdy znów posmakował warg Taurysa, ten wyciągnął ku niemu ramiona, odpowiadając na pocałunek, i przyciągnął do siebie; Feliks zamruczał i zamknął oczy. Było tak, jak kiedyś; dłonie dotykały jego ramion z czułością i delikatnością, przesuwały się po obojczykach i barkach, nadal jeszcze skrytych pod cienką warstwą bawełnianej koszulki, ale świat przez moment znów był oświetloną świecami komnatą sprzed wieków, gdzie pieścił się ze swoim mężem.

Niedzielny, spokojny poranek sprzyjał pragnieniom; przemiłe dreszcze przeszły Polskę, gdy tylko poczuł dotyk palców na swojej skórze. Smakując wargi, policzek, prosty nos, szyję, czując, jak ręce Taurysa wplątują się w jego włosy, muskają ucho, ujmują w dłonie jego twarz, Feliks pomyślał, że jest w raju.

I to była ostatnia myśl, zanikła pod powodzią pragnień; pidżama Litwy miała zbyt dużo guzików, ale nie były one zbyt dużą przeszkodą; przesuwając dłońmi po brzuchu, po bokach, klatce piersiowej, Feliksa nie obchodziły ani wyczuwalne krawędzie żeber, ani mięśnie, które straciły swoją dawną twardość; liczyło się serce, które biło żywo pod jego dłońmi, ciepło skóry, chęć i ochota, bo Taurys odwzajemniał pieszczoty z entuzjazmem, który był przyjemnym zaskoczeniem po tym, co wyznawał w nocy; jakby niepokój i lęk zniknęły na zawsze z powierzchni świata.

– *Mano*...

Ciało rwało się do tańca; głodne, stęsknione dotyku, reagowało szybko i nim Feliks się obejrzał, to on leżał na plecach, a Taurys pochylał się nad nim i całował linię jego obojczyków, od lewa do prawa, a Polska sięgał instynktownie ku jego plecom; rozpięta koszula pozwoliła mu śledzić blizny, poszarpane linie, wypukłe, płaskie i wklęsłe, tak delikatnie, jakby wmasowywał w nie kojący balsam.

I, co cieszyło go niezwykle, Litwa nie odsunął się, nie wzdrygnął ani nie zareagował inaczej na ten dotyk niż przyciśnięciem się bliżej i kolejnymi pocałunkami, i ta ufność zrodziła w sercu Polski kolejną, gwałtowną falę szczęścia... i równie gwałtowną falę podniecenia.

Koci wrzask za zamkniętymi drzwiami sypialni sprawił, że Taurys odskoczył od Feliksa jak oparzony. Berta powtórzyła wysoki, pełen wyrzutu miauk; Feliks opadł na pościel i z absurdu tej sytuacji po prostu wybuchnął śmiechem.

Strażniczka, psia jej mać.

–Ta twoja ruda diablica... – wydyszał.

– Jest głodna – wymamrotał Litwa, siadając na skraju łóżka; oczy miał rozognione, policzki zaczerwienione, włosy rozczochrane, a koszula pidżamy ledwie trzymała się na jego ciele, zaczepiona gdzieś o łokcie; oddychał ciężko.

Jakaś część Feliksa bardzo chciała przyciągnąć Taurysa z powrotem do ciebie, zapomnieć o bożym świcie i diabelskim kocie, ale Berta pozostała nieugięta; Litwa, unikając jego spojrzenia, wstał i niezbyt pewnym krokiem podszedł do drzwi. Gdy tylko je uchylił, Gilberta zadarła głowę i głośno dała wyraz swojemu oburzeniu.

Feliks roześmiał się jeszcze głośniej, rozkładając się wygodniej na skotłowanej pościeli.

To będzie dobry dzień.

***

Popołudniowe promienie słońca rozświetlały świeże, żółte róże i odbijały się w szklance z wodą; Erzsébet bezmyślnie wzięła łyk, nie odrywając się od pracy. Zaczynała trochę żałować, że wybrała akurat te zlecenie; kimkolwiek był autor tej powiastki, Polak sprzed stu lat, lubował się w grach słownych i tłumaczenie ich na niemiecki spędzało jej sen z powiek. Spodziewała się przyjemnej roboty z językiem, który znała i lubiła, tymczasem musiała przedzierać się przez dziesiątki obcych jej skojarzeń; westchnęła i spojrzała na leżący na stole sprecher.

Kusiło, by zadzwonić do Felka i poprosić o pomoc, ale nie będzie przecież zawracała mu głowy taką drobnostką, zwłaszcza teraz, gdy w końcu zszedł się z Taurysem. Uśmiechnęła się na wspomnienie podekscytowanego tonu przyjaciela, który usłyszała, gdy rozmawiali przed kilkoma dniami.

– Bardzo się cieszę – powiedziała mu wtedy, ukradkiem wycierając łzę. – Obaj sporo przeszliście. Zasługujecie na szczęście.

Spróbowała powrócić do pracy, ale ciągle nie mogła się w pełni skupić, co rusz zerkając na wygaszony ekran sprechera.

Po kwadransie spojrzała na drzwi, a potem na wiszący na ścianie kalendarz i westchnęła. Oczywiście, że Gilbert nie był w stanie przyjeżdżać co tydzień, by jej towarzyszyć, ale miała dziwne wrażenie, że tym razem było coś nie tak.

Prusy brzmiał przez sprecher na dziwnie przygnębionego; może znowu nie dogaduje się z Ludwigiem, pomyślała i zamknęła notes, w którym próbowała rozpisać ciąg skojarzeń autora. Nie dzisiaj, pomyślała, odsuwając kartki na bok. Poproszę szefa o przedłużenie terminu. Dzisiaj... dzisiaj idę trochę powalczyć.

Słoneczne promienie wolno przesuwały się po kuchni; drobinki złota w pęknięciach czarnego dzbanka zaczęły niemal płonąć. Podeszła bliżej blatu i położyła dłonie na porcelanie, wpatrując się w łączenia.

– Nawet nie wiesz, jak tego potrzebowałam, Gilbert – wyszeptała, a potem zmusiła się do uśmiechu. – Jest piękny.

Chwilę jeszcze tak stała, oddychając głęboko i przygotowując się do tego, co chciała zrobić; gdy poprzedniego tygodnia wróciła z klubu do domu, skuliła się pod kocem i nie wychodziła spod niego przez wiele godzin. Palce paliły żywym ogniem, a przecież to był tylko Gilbert; a teraz chciała wyjść sama.

– Pójdę – wyszeptała do swojego odbicia w łazience, w swoje szeroko otwarte, lśniące wilgocią oczy. – Byłam na komisji i nic się nie stało. Byłam tam z Gilbertem i też nic się nie stało. I – Mocno zacisnęła palce na krawędzi umywalki. – I dzisiaj tam pójdę, będę się, kurwa, dobrze bawić, i nic się nie stanie. A potem... – Wciągnęła powietrze w płuca, obserwując w lustrze śliczną, błękitną sukienkę, sukienkę, którą zobaczyła dzisiaj rano na sklepowej wystawie, gdy szła po poranne zakupy, sukienkę, która uśmiechnęła się do niej błękitem niezapominajek. – I potem... jak już wszystko będzie normalne... uratujemy ten kraj.

A gdy wyjdziecie z więzienia, będę na to gotowa, skurwysyny.

***

Blask latarni odbijał się od pokrytych ogromnymi kałużami ścieżek parku, rozpraszając nieco mrok; utrzymujący się od porannej burzy chłód i późna pora nie zachęcały do spacerów, więc od kilku minut nie spotkali nikogo. Zostawione samym sobie drzewa i zarośla tworzyły ciemną gęstwinę, z których od czasu do czasu wyskakiwała spłoszona wiewiórka, przecinając im drogę. Na ciemnej tafli jeziora pływały łabędzie.

Nie śpieszyli się; splótłszy palce, szli ciemniejącymi alejkami i nie mówili nic, co chwila posyłając sobie ciepłe spojrzenia. Podmuchy wiatru szarpały włosy i ubrania, a ciszę przerywał jedynie chrzęst mokrego piasku pod ich butami.

Feliks odruchowo ścisnął dłoń Taurysa, gdy w zasięgu wzroku pojawiła się kobieta z dużym psem na smyczy. W odpowiedzi palce Taurysa rozluźniły uścisk, jakby miał cofnąć rękę; Polska poczuł krótkie, bolesne ukłucie w sercu, ale zaraz potem Litwa wzmocnił chwyt. Zerkając w bok, zauważył, że Litwa kiwa głową i uśmiecha się przepraszająco.

Kobieta wybrała inną alejkę, nie poświęcając spacerującym mężczyznom ani jednego spojrzenia; pies, ogromny dog niemiecki, truchtał przed siebie z nosem przy ziemi, merdając ogonem. Polska oderwał wzrok od Taurysa i posłał długie spojrzenie oddalającemu się psu.

– Wygląda na całkiem dobrego pieska – wymamrotał, a potem potrząsnął głową. Ta kwestia może na razie poczekać. – Wracamy do domu?

– Wracamy – przytaknął Litwa. – To był długi dzień.

Polska musiał się z tym zgodzić; po śniadaniu i przebłaganiu obrażonej Berty, wyszli z mieszkania na długi wspólny spacer. Zjedli porządny posiłek w przytulnej restauracji, siedząc naprzeciw siebie i dobrze się bawiąc, a wczesnym wieczorem pojechali autem do muzeum, trafiając akurat na lekcję prowadzoną przez wyjątkowo

rozentuzjazmowanego przewodnika; stojąc z tyłu, w zamyśleniu słuchali historii zgromadzonych tam eksponatów.

– To jak słuchanie znajomej piosenki, w której ktoś podmienił niektóre nuty – Polsce udzielił się nastrój; szeptał do Taurysa, wskazując na wystawiony w gablotce flet poprzeczny. – Dam sobie rękę uciąć, że to nie jest flet starego Fritza, tylko Gilberta. Spójrz. Są nawet inicjały. Tam, przy ustniku, widzisz?

Taurysa zainteresowała niewielka salka z instrumentami znad Bałtyku; znaleźli kankle bardzo podobne do tych, które sam posiadał, i zbliżone łotewskie kokle. Feliks wpatrywał się w cichym zachwycie w zgrabne skrzypki o czterech szeroko rozstawionych strunach; wyglądały bardzo znajomo. Na schematycznym rysunku grajek grał, siedząc na krześle i trzymając instrument przed sobą; Polska widział taki koncert setki razy, gdy z kielichem pełnym miodu w dłoni bawił się i śmiał, dawno, dawno temu...

Wyszli z muzeum w ciszy; Litwa dopiero w drodze powrotnej wypowiedział na głos to, co krążyło Feliksowi po głowie:

– Nie wszystko zostało wymazane.

Nie wszystko, powtórzył Polska w myślach, gdy Taurys skupił się na zaparkowaniu samochodu na Viktoriastraße, ostrożnie wciskając się między ciasno postawione auta. Naprawiony volkswagen wydawał się pracować głośniej niż wcześniej. To... taka ulga.

– Znowu będzie obrażona – mruknął Litwa, gdy wchodzili na trzecie piętro schodami. Jego głos lekko się rwał z wysiłku, a głos odbijał lekkim echem po klatce schodowej. – Berta.

Polska zachichotał na samo wspomnienie rozczochranego, ciągle zarumienionego Taurysa, kucającego przed kotem i szeptem błagającego ją o to, by zaczęła jeść. Najwidoczniej o dziesiątej rano nie była na tyle głodna, by oszczędzić im focha.

– Nazwałeś ją Gilberta – rzucił wesoło, skręcając za róg korytarza. – Czego się niby spodziewałeś, pokojowej współpracy?

– Jeszcze jedno słowo, Polen, a urwę ci łeb.

Zatrzymali się w pół kroku; Prusy opierał się o ścianę naprzeciw drzwi i posyłał im mordercze spojrzenia. Polska zmrużył oczy, a jego dobry humor prysł.

– Nic nie zrobiłem...? – zaczął obronnie.

– Ty nie – burknął Gilbert, zakładając ręce na piersi. – Lit też nie. Ale nie radzę mnie dzisiaj wkurwiać, bo nie ręczę za siebie.

Taurys rozejrzał się dyskretnie po korytarzu, a potem sięgnął do kieszeni po klucze. Otworzył drzwi i wpuścił Feliksa i Gilberta do środka. Gdy drzwi się zamknęły, a ciasny przedpokój zalało światło, Litwa przyjrzał się uważnie Prusom.

– Co się stało? – zapytał, wyraźnie zaniepokojony.

Polska przygryzł wargę; niespodziewana wizyta Prusaka w niedzielę wieczorem, w czasie, gdy ten miał w zwyczaju pić w klubach, nie wróżyła nic dobrego.

– Rób kawę – nakazał Gilbert, przechodząc do kuchni. Opadł na krzesło, w swojej szarej koszuli i ciemnych spodniach przypominając chmurę gradową.

– Nie rób – Polska powstrzymał Litwę, gdy ten odruchowo sięgnął po kawiarkę. – Jak go napoisz kofeiną, to będzie jeszcze bardziej nie do zniesienia – Zmrużył oczy i usiadł naprzeciwko. – Co jest, Prusy?

Do jego nozdrzy dobiegła słaba woń alkoholu, ale Gilbert nie sprawiał wrażenia nietrzeźwego; wręcz przeciwnie, jego spojrzenie było ostre jak brzytwa. Polska zaczął zastanawiać się gorączkowo, co wydarzyło się przez ostatnie dwa dni; Prusy tymczasem odchylił się na krześle i zaczął się na nim bujać. Berta, która po cichu zjawiła się w kuchni, wystrzeliła spomiędzy jego nóg z oburzonym miauknięciem.

– Uchroniłem cię od najnowszego pomysłu Ferenca – powiedział zimno, spoglądając na Litwę. Ten znieruchomiał. – Wybacz, że nie spędzisz sobie kolejnego kwartału w miłym towarzystwie Łotwy i Estonii, ale kolidowało nam to z planami. I przy okazji, odciętoby cię od tego tu obecnego zmartwychwstańca. Oszczędziłem ci emocjonalnych dylematów.

Taurys wolno odsunął krzesło od stołu i usiadł.

– O czym ty mówisz...?

– Prusy...! – syknął tymczasem Polska, z niepokojem zerkając na blednącego Litwę. Spokój i radość, które towarzyszyły Taurysowi przez cały dzień, zniknęły bez śladu.

– Chce stworzyć domy opieki. Ponurej jesieni, czy jak to tam nazwał. Zebrać was wszystkich w jedno miejsce – wycedził Prusy. – Zasugerowałem, by zastąpił cię kto inny.

Taurys zacisnął szczęki.

– Rozumiem – powiedział powoli, bardzo cicho. Opuścił głowę i wpatrywał się w blat, myślami będąc gdzieś daleko. Polska sięgnął i pod stołem uścisnął mocno jego palce, wpatrując się w Gilberta spode łba. Naprawdę, nie był w stanie powiedzieć tego delikatniej?!

– Problem w tym – wycedził Prusy, ciągle kipiąc wściekłością. – Że führer przez lata nie interesował się pracą biura i dlatego miałem swobodę. Dlatego mogłem trochę nagiąć zasady, trochę wam... pomóc – Słowa wychodziły z jego gardła z trudem; poderwał się na równe nogi i podszedł do okna. Pchnął okiennice i otworzył je na oścież; do kuchni wpadło świeże, zimne powietrze. – Miałem być na bezpiecznej pozycji na tej rozmowie – wyszeptał nagle, obracając przez ramię. – Zasugerowałem zmianę, bo byłem pewny – Szept przeszedł w warkot. – Że mogę to zrobić bezpiecznie, a tymczasem się wystawiłem. Wie więcej niż powinien.

Prusy powrócił do stołu, oparł dłonie o blat i spojrzał im w oczy; w czerwieni krwi i bursztynu zdrada zalśniła czystym bólem.

– I mój własny brat postanowił mi o tym nie mówić.

Rozdział XXV: Puste gniazda

W okolicach dwunastej, na dodatek w środku tygodnia, w kawiarni panował bezruch i leniwa cisza; kelnerka od czasu do czasu stawała w drzwiach sali, kryjąc ziewnięcie za dłonią, szybko jednak wracała na zaplecze, gdy okazywało się, że nie była potrzebna.

W powietrzu unosiły się drobinki kurzu; tańczyły w złotym blasku abażurowych lamp, włączonych mimo wczesnej godziny – chmury zasnuwały całe niebo, skutecznie odbierając Berlinowi życiodajne światło i zwiastując zbliżającą się nieuchronnie jesień.

Tylko ich przyciszona rozmowa przerywała ciszę; senna atmosfera udzieliła się nawet kanarkom. Ptaki odzywały się trelem z rzadka, siedząc nieco otępiałe w klatkach; jakby tkwiły w trzewiach ziemi, głęboko w kopalnianych szybach, żyjąc tylko po to, by ostrzec i umrzeć.

Taurys zerknął na nie jeszcze raz, ale, jak zawsze, wyglądały na zadbane, ich piórka błyszczały. Może ta bezkresna pustka w ich czarnych ślepkach to tylko złudzenie, pomyślał.

– Znów się rozkojarzyłeś, prawda? – odezwała się łagodnie Annika.

– Przepraszam – Taurys drgnął i uniósł do ust filiżankę pachnącą jaśminem. Spojrzał ponad krawędzią porcelany na przyjaciółkę, próbując skupić się na rozmowie. – O czym... o czym mówiłaś?

– O tym, że wojsko podbierze nam sporo uczniów w tym roku.

Ach, tak. Gdy Litwa przekroczył rano próg pokoju nauczycielskiego, dowiedział się od reszty grona nauczycielskiego, że dyrektor Meier odwołał wszystkie lekcje poza pierwszymi trzema; jak co roku, w szkole zjawił się przedstawiciel armii, by werbować najstarszych uczniów.

Zamiast kuć matematykę, uczyć się literatury czy zapoznawać z kolejną porcją muzyki narodowej na lekcjach Taurysa, młodzież siedziała teraz na sali gimnastycznej, wsłuchana w roztaczaną przed nimi przez oficera świetlaną przyszłość; ułatwione przejście przez szkolne zaliczenia, treningi rozwijające dyscyplinę, sprawność fizyczną i współpracę, a potem pewna praca tuż po szkole...

Dla Litwy oznaczało to dziesiątki podpisów, bo grono nauczycielskie musiało formalnie wyrazić zgodę na indywidualne podejście dla każdego zrekrutowanego, by machinie biurokracji stała się zadość; w dodatku dyrektorowi jeszcze nigdy nie udało się zapisać jego nazwiska poprawnie na którymkolwiek z dokumentów, więc wiedział, że będzie z tym dużo pracy.

Korzystając z okazji, większość nauczycieli szybko się zmyła; przed szkołą czekała jedynie Annika, która zaproponowała Taurysowi kawę, nie przejmując się rozchichotanym uczniom, którzy mieli okazję ich słyszeć, i tak znaleźli się w ich ulubionej kawiarni.

– Wiem o trzech, którzy planowali to od dawna – Litwa zmarszczył brwi, próbując przypomnieć sobie skład najstarszej klasy.

Otto, zawadiaka, którego cienka linia dzieliła od zostania chuliganem, postawny, chociaż niezbyt lotny Lukas i jeszcze ten cichy chłopak, syn wojskowego, który na pytanie o przyszłość wzruszał jedynie ramionami… Wymienił ich nazwiska; Annika skinęła głową.

– Oni i jeszcze kilku. Spytałam klasę rano i przynajmniej sześciu wyglądało na zdecydowanych.

Litwa zamyślił się; młodzieżówka, nieco wbrew swojej potocznej nazwie, od kilku dekad przyjmowała w swoje szeregi prawie pełnoletnich, będąc bardziej wstępnym szkoleniem wojskowym niż faktycznym stowarzyszeniem młodzieży.

Większość tych dzieciaków kończyła później w armii; w ten sposób Zjednoczona Rzesza Niemiecka sukcesywnie wzbogacała wojsko w młodą, gorącą krew, ale Taurys nie widział żadnych oznak, że dowództwo zdaje sobie sprawę z potencjalnej wojny. Budżety zamrożono, kampanii rekrutacyjnych ani widu, ani słychu, Gilbert twierdził, że brak wśród polityków i wojskowych jakichkolwiek informacji o większych, mniej rutynowych ćwiczeniach, produkcja broni stała na standardowym poziomie…

Gdy zdał sobie sprawę, że znów analizuje zamiast brać udział w rozmowie, posłał Annice spłoszone spojrzenie.

– Przepraszam – powtórzył, rumieniąc się. – Nie jestem dzisiaj najlepszym rozmówcą.

– Coś cię martwi?

Bardzo chciał odpowiedzieć, że wiele rzeczy; że martwi się o swoich braci, których najnowszy rozkaz führera wrzuci za kwartał w nowe miejsce, pod nowymi, nieznanymi warunkami, i to boleśnie blisko Berlina, blisko niego, ale i tak nie będzie mógł się z nimi zobaczyć.

Martwi kotłującymi się ponad nimi chmurami, ciężkimi od zamiaru wojny, tym, że Feliks wpakuje się w kłopoty na wschodzie, gdy tylko tam pojedzie.

Że martwi się tym, co postanowi hiszpański rząd, jaką decyzję podjął Antonio i tym, że Gris milczy, mimo że odebrał od nich zakodowane informacje.

Że wciąż ma w głowie komisję i pytanie, które tam padło i przywiało lodowato zimne wspomnienia; ale o żadnej z tych rzeczy nie mógł Annice powiedzieć, więc Litwa swoje rozkojarzenie zrzucił na karb tego, że był zakochany.

Bo naprawdę był i to był najjaśniejszy punkt jego życia; czasami naprawdę przyłapywał się na odpływaniu myślami nie przez wojnę, kwestię personifikacji, plany führera czy nieprzyjemne epizody z przeszłości i zmory we własnej głowie, a właśnie przez miłość.

Spojrzenie Anniki nabrało ciepła.

– Czyli sprawy między tobą a Feliksem ruszyły do przodu?

Taurys przytaknął ze zmieszanym uśmiechem.

– Wygląda na to, że znów jesteśmy parą – przyznał.

– I dlatego promieniejesz, gdy o nim mówisz – Annika pociągnęła łyk swojej kawy. Litwa zerknął w swoją filiżankę. Herbata jaśminowa nie była taka zła. – Tak myślałam.

– Aż tak to po mnie widać? – zapytał nieco skrępowany.

– Trochę już cię znam – Annika zachichotała z jego miny. – Oczy ci błyszczą, chodzisz inaczej… Od naszego ostatniego spotkania zaszła jakaś duża zmiana, prawda?

A więc plotki tylko się wzmogą, pomyślał Litwa, nim zaczął zastanawiać się nad odpowiedzią. Oczy uczniów i tak już są w nas wlepione, to nie przejdzie niezauważone...

O siebie się nie martwił; podjąwszy pewne decyzje związane ze swoją skromną karierą, wiedział, że w tym momencie ciekawskie spojrzenia uczniów i rozbawione szepty nie uczynią mu krzywdy.

Szkoda było mu tylko Anniki, bo nie zamierzała zmieniać miejsca pracy...

– Dziewczyna z ostatniej klasy zapytała mnie wprost, jak cię usidliłam – Annika wydawała się jednak wyjątkowo rozbawiona tym, co potencjalnie mogło zaszkodzić jej reputacji. Może to jest jej linia obrony, pomyślał Litwa, dać do zrozumienia, że nie przejmuje się plotkami… Albo naprawdę tak jest.

– Jak jej odpowiedziałaś?

– Kombinacją kawy, Goethe'go i klasyków wiedeńskich – odpowiedziała wesoło. Taurys też się uśmiechnął; to wcale nie jest takie dalekie od prawdy, pomyślał, wspominając z rozrzewnionym uśmiechem na wargach pewien utwór grany na cztery ręce. – Powiedziała, że to najnudniejszy sposób na podryw, jaki słyszała.

Tym razem roześmiał się w głos; jego relację z Feliksem dało się określić wieloma epitetami, ale słowo „nudna" zdecydowanie nie było jednym z nich.

– Myślę, że akurat na mnie by to zadziałało.

Annika przechyliła głowę i spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Gdybym naprawdę podrywała cię w taki sposób? – zapytała spokojnie. – Myślałam, że interesujesz się tylko mężczyznami?

Jej ton wciąż był nie do końca pewny, gdy o tym mówiła, ale Taurys czuł podświadomie, że Annika bardzo stara się zrozumieć i wspierać.

Lekko wzruszył ramionami.

– Płeć nigdy nie była dla mnie istotna – przyznał szczerze, próbując sięgnąć pamięcią do swoich zauroczeń, w odległe, ciemne zakątki spowitego zapomnieniem umysłu. – Kobieta czy mężczyzna, to nie ma znaczenia, liczy się osoba.

Wesoła dziewczyna służebna, która pozwalała sobie słownie nieco za wiele, a on tylko kręcił rozbawiony głową; panna, której twarzy nie pamiętał, w najkrótszą noc roku, jedynie w wianku z ruty, stulecia temu, chociaż równie dobrze mogła teraz być wytworem jego umysłu, a nie prawdziwym wspomnieniem… Nikolai, w którym był zakochany; potem Feliks, jego mąż i kochanek aż do momentu, w których ich więź się rozkruszyła…

Potem nie miał ani sił, ani czasu, ani ochoty myśleć o jakichkolwiek związkach, stałych czy przelotnych, zbyt zajęty przetrwaniem, a potem powrotem do względnej normalności. Zauroczonego nim Alfreda z przykrością odrzucił, a Milda… tam nigdy nie było pozytywnych uczuć.

Dlaczego zaczęłaś mnie prześladować teraz, po tylu latach? zastanowił się gorzko, przypominając sobie rozczarowane, lisie oczy. Mam Feliksa; powinienem być wniebowzięty. Nie chcę cię w mojej głowie.

Migdałowo-niebieskie przyglądały mu się uważnie. Annika potrafiła czytać z niego jak z otwartej księgi, nieważne jak bardzo starał się ukryć to, o czym myślał.

– Podoba mi się ta koncepcja miłości – szepnęła, ale potem zmarszczyła brwi. – Ale mam wrażenie, Taurysie, że coś nie pozwala ci się w pełni cieszyć tym związkiem.

Jej palce oplotły jego dłoń; Taurys westchnął i wahał się przez chwilę, co i ile mógłby jej powiedzieć.

– Pojutrze Feliks ma wyjazd służbowy. Nie będzie go przynajmniej przez kilka tygodni – zaczął ogólnikowo, wyciągając na wierzch inną rzecz, która go dręczyła. – On… Ja…

Niektóre rzeczy były bardzo ciężkie do przyznania się przed samym sobą; wziął głęboki oddech.

– Bardzo szybko przyzwyczaiłem się, że ze mną mieszka – przyznał w końcu.

Annika skinęła zachęcająco głową.

– Pomógł mi lepiej zadbać o siebie – Wstyd rozpalił mu policzki; cholera, pomyślał, jak to musi brzmieć. Dorosły mężczyzna, którego trzeba pilnować, by jadł prawidłową ilość posiłków i nie przesadzał z... Zerknął na swoją filiżankę herbaty i westchnął. – Nie chcę, żeby wyjeżdżał. Boję się, że… – Słowa na moment utkwiły mu w gardle. Samotne dni, on, kot i hektolitry kawy, którą pił, bo nie mógł spać; niekończąca się pętla bezsenności, nerwów i beznadziei. – Że sobie nie poradzę.

– Możesz do mnie zadzwonić w każdej chwili, wiesz o tym, prawda? – zapytała Annika, wzmacniając uścisk palców. Drobne, delikatne dłonie niosły za sobą zaskakująco dużo siły. – Ale wierzę, że dasz sobie radę. Myślę, że… że zdałeś sobie sprawę z niektórych rzeczy?

– Na pewno wiem, że nie chcę wrócić do życia, jakie wiodłem wcześniej. Mam koszmarną kondycję, kiepskie wyniki… – Przynajmniej tu nie kłamał; badania krwi zrobiono solidnie. – Chcę to zmienić.

Umilkł na moment.

– Ale… widzisz – zaczął inaczej, szukając słów, próbując okiełznać to, co kotłowało się w jego głowie. Pomyślał o tym, o czym szeptał Feliksowi, ośmielony ciemnością. – Boję się, że sam nie dam rady. Ja... ostatnio mam małe załamanie – Spróbował się uśmiechnąć, ale na jego wargach zagościł jedynie blady grymas. – Feliks był przy mnie cały czas przez te ostatnie tygodnie i czułem się.... znacznie lepiej... ale od paru dni...

Nie chciał mówić o przyczynie; o komisji lekarskiej, beznamiętnych oczach i wspomnieniach, które dusiły; Prusy, co cię opętało, wypadek? W jakim wypadku powstają tak czyste cięcia?

– Od paru dni mam wrażenie, że jest gorzej niż było. Jakby... jakby całe jego starania poszły na marne.

To było to; bezsenność, natrętne myśli, niepokój, którego nie potrafiła odegnać nawet obecność ukochanego... Nim Schwäne wkroczył do jego życia poprzez tajemnicze e-posty, Taurys nauczył się zapominać; trwać w teraźniejszości, nie rozpamiętując, funkcjonując jak maszyna…

Ale przez te wakacje wróciło tak wiele wspomnień, że Litwa miał wrażenie, że się nimi dławi.

Annika patrzyła na niego czule.

– Przeczytałam kiedyś mądre zdanie – powiedziała cicho. – Proces leczenia nie jest liniowy. Nie jest tak, że każdy dzień jest lepszy od poprzedniego. Są lepsze i gorsze okresy... ale najważniejsze, by się na tej drodze nie poddać.

Litwa drgnął; leczenie, pomyślał, obracając to słowo w głowie. Może... może ja naprawdę tego potrzebuję; może... może jestem chory, nie złamany.

Tknięty tą myślą, milczał długą chwilę, smakując słowa, które wyznawał Feliksowi w jego ramionach; bezradność i strach.

– Taurysie – wyszeptała Annika miękko, pochylając się ku niemu. – Nie tylko ciało czasem potrzebuje leczenia. Serce czy dusza również. Nie ma w tym nic złego.

– Są ludzie, którzy przeszli gorsze rzeczy niż ja – poruszył niemal bezgłośnie ustami.

– To nie znaczy, że nie masz prawa do spokoju we własnej głowie – odparła delikatnie. – Nie wiem, co ci się przydarzyło... ale nie myśl w ten sposób, Taurysie. Nie umniejszaj własnym doświadczeniom. W szczególności tym złym.

Odetchnął i zamknął oczy; poczucie zrozumienia osiadło na jego ramionach, niwelując napięcie, z którego nie zdawał sobie sprawy.

– Dziękuję – szepnął, podnosząc w końcu powieki. Blado się uśmiechnął. – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

Annika odwzajemniła uśmiech.

– A poza tym wyjazdem, to jak układa się między tobą, a Feliksem? – zapytała, przekrzywiając łobuzersko głowę. – Jak to u was wygląda? Randkujecie?

Och; Litwa poczuł, że tym razem rumieni się z innego powodu, bo oto przez głowę przebiegło mu wspomnienie niedzielnego poranka.

Może przez to, że mógł wyrzucić z siebie to, co leżało mu na sercu i przyznać, że nie radzi sobie w pełni sam z własną głową; może przez to, że obudził się i zobaczył przy sobie uśmiechniętego Feliksa; w każdym razie był tak szczęśliwy, że przez chwilę nic poza Polską nie istniało.

Delikatny dotyk palców, zachęcające muśnięcia wargami... Feliks był obok, Feliks był jego; tak jak obiecali sobie udawanymi słowami w głupiej, niepoważnej zabawie, do której Korona namawiał go przez pół wieczoru, z jakiegoś powodu sądząc, że to będzie zabawne, pobawić się w zaślubiny.

Nigdy bym wtedy nie pomyślał, wspomniał Litwa, że za jakiś czas tę przysięgę obaj uznamy za prawdziwą.

Może i wtedy jej nie dotrzymali, ale teraz, gdy znów byli ze sobą, znów mogli nazywać się swoimi mężami... i bardzo mu się to podobało.

Podobało do tego stopnia, że tamtego poranka zapomniał się i zapędził w tym nagłym przypływie emocji i gdyby nie Berta... Jęknął w myślach, nie wiedząc, czy powinien być na nią zły, czy... wdzięczny.

I tu tkwił drugi problem.

– Ogólnie dobrze – wymamrotał, wiedząc, że nie brzmi przekonująco. Annika uniosła brew. – Ale... – zaczął i natychmiast urwał, bo chociaż byli blisko, zdecydowanie nie chciał omawiać z nią *tego* tematu. – Przepraszam, ale to dość intymne – dodał w końcu, uciekając wzrokiem. Wstyd śmiało poczynał sobie na jego twarzy.

Złamany. Chory. Czy to, jakiego słowa użyją, naprawdę miało znaczenie? I tak zawsze kończyło się wstydem. Wstydem, że nie jest w stanie się bronić, wstydem, że jest słaby, wstydem, że nie spełnia oczekiwań...

Annika odwróciła zmieszana głowę; jej policzki również były czerwone, więc najwidoczniej zrozumiała, a przynajmniej domyśliła się źródła problemu; Litwa ciężko westchnął.

– To ja przepraszam. Nie powinnam być taka wścibska.

Chwilę trwali w niezręcznej ciszy; Taurys zmusił się do patrzenia przez okno. Gdybym wtedy jej odmówił, pomyślał, oszczędziłbym sobie upokorzenia, ale... ale minęło tyle lat, a ze mną jest znacznie gorzej niż było wtedy. Nie ma się co łudzić, że...

Od tego fiaska z Mildą nie był już z nikim; po dziesięcioleciach spędzonych w Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej odniósł wrażenie, że jego libido wygasło bezpowrotnie wraz z jego chęcią do życia; odkrywając, że ciągle je ma, że kocha Feliksa i chce być z nim blisko, jak kiedyś, w pakiecie do szczęścia dostał kolejną porcję niepokojów…

Ale to nie o tym chciał z Anniką rozmawiać.

– Chciałem zapytać cię o Uschi – powiedział cicho, gdy herbata już wystygła.

Annika wolno odłożyła filiżankę na spodeczek.

– Mówisz o Ursuli Tausch? – zapytała dla pewności, a jej wargi ścisnęły się w cienką linię. – Naszej małej pianistce?

– Nie zostaje już po lekcjach – Taurys dopił herbatę. Zimna nie smakowała już tak dobrze. – Podejrzewam, że ojciec jej zabronił.

– Spotkałam go tylko dwa razy, rzadko pojawia się na wywiadówkach, z tego co wiem od innych nauczycieli – Annika wolno obrysowała opuszkiem palca krawędź filiżanki, nadal unikając spojrzenia Litwie w oczy. – Wiem, że jej mama umarła. Tausch… Gdzieś słyszałam wcześniej to nazwisko, ale za nic nie mogę sobie przypomnieć, gdzie…

Litwa też przez chwilę się zastanawiał, ale w głowie miał pustkę.

– Widziałem siniaki na jej ciele – powiedział w końcu. – Myślę, że ojciec ją krzywdzi.

Annika przygryzła wargę, ale nie wyglądała na zszokowaną; bardziej na zasmuconą.

– Zawsze jest taka cicha – szepnęła. – I wystraszona. Dzieci w klasie albo nie zwracają na nią uwagi, albo całkiem lubią, więc myślałam, że to może coś, co dzieje się w domu... Ale nigdy nie miałam żadnych dowodów.

Przymknął oczy; a więc też to zauważyła. Ciekawe, pomyślał, ile nauczycieli zwróciło uwagę na Uschi uwagę; pewnie niewielu. Ze szwadronu dzieciaków w pamięci zawsze zostawały te buntownicze, wyszczekane, o bardzo złych ocenach lub wręcz przeciwnie, wybitni prymusi; tych cichych, o dobrych lub przeciętnych ocenach nikt nigdy nie pamiętał.

Ze wstydem musiał przyznać, że miał tak samo; twarze zmieniały się co roku, uczniowie przychodzili i odchodzili, a on miał we własnej głowie plątaninę lepkich, ponurych myśli, zbyt ciężką i zbyt rozległą, by zostało w niej miejsce na myślenie o uczniach. Prawdopodobnie, gdyby Uschi nie kochała muzyki, gdyby nie udzielał jej lekcji, mógłby nawet jej nie zauważyć.

Wyglądało na to, że nauczycielem też był raczej kiepskim; dobrze, że to już niedługo...

– Możemy coś zrobić?

Annika rzadko kiedy brzmiała tak smutno i bezradnie; Litwa zacisnął szczęki.

– Nie wiem – przyznał. – Rozmawiałem o tym z Feliksem... szukaliśmy jakiś rozwiązań, kruczków prawnych, ale... ale nie mamy żadnego punktu zaczepienia.

– Nie odbierzesz mu prawa do opieki – przypomniała mu przyjaciółka. – Prawo jest po jego stronie, dopóki nie popełni jakiegoś przestępstwa, a Uschi jest za młoda, by mieszkać samodzielnie. Chyba że...

– Chyba że? – Iskra nadziei pojawiła się w głosie Litwy. Uniósł głowę, obserwując, jak Annika zagryzła wargi i myśli nad czymś intensywnie.

– Mogłaby zamieszkać w bursie bliżej szkoły... nie, jest za młoda – Annika ucichła w połowie myśli i pokręciła głową. – Nie... nie wiem, jak możemy jej pomóc.

W ciszy, która zapadła, kanarki rozpoczęły smutny trel.

***

Kwadrans przed piątą rano dworzec kolejowy, przepięknie odnowiony neoklasyczny budynek, był niemal pusty; gdzieś na odległym, spowitym w szarówce peronie spacerował leniwie strażnik, zerkając na gołębia latającego szaleńczo pod oszkloną kopułą dachu i wzruszając bezradnie ramionami, jakby chciał powiedzieć „i co ja mam z tym zrobić?".

Taurys też chwilę spoglądał na uwięzionego ptaka, ale później wycofał się z powrotem do podcienia, gdzie między szerokimi marmurowymi kolumnami oczekiwali na pociąg, zyskując nieco prywatności.

Feliks siedział na ławce, opierając łokcie o kolana. Chociaż obaj wiedzieli, że kwestia wybadania terenu jest niezwykle istotna, jemu też nie uśmiechało się jechać; przygryzał wargi, patrzył w podłogę albo na Litwę smutnymi oczyma i co chwila bawił się nerwowo rękoma.

Taurys usiadł obok i przykrył jego błądzące palce swoją dłonią; Polska natychmiast odwzajemnił uścisk.

– Licia – zaczął Feliks poważnie, kierując spojrzenie ku ukochanemu. – Obiecaj mi, że będziesz o siebie dbać.

Litwa skinął głową z nieco ściśniętym gardłem; puste mieszkanie, znowu. To będzie dla mnie dobra próba, pomyślał wisielczo. Ale nie chcę, by po powrocie zobaczył mnie takiego, jaki byłem wtedy w Kownie.

– A ty nie pakuj się w niebezpieczne sytuacje – szepnął, wiedząc, że Feliks ma do tego talent. Widząc, jak Polska zaczyna chichotać, samemu najwidoczniej myśląc o tych samym, sprostował z lekkim uśmiechem. – Przynajmniej nie w każdą, którą zobaczysz.

– Zrobię, co będę mógł – obiecał Polska uroczyście, a potem oparł głowę o ramię Taurysa i westchnął. – Ciągle będziemy w kontakcie.

Litwa przytaknął; zamknął oczy, a potem otoczył Feliksa ramieniem, nie przejmując się tym, że są w miejscu publicznym; może i strażnik dostrzegł ich z daleka, może i zaspana, przechodząca obok dziewczyna, ciągnąca za sobą walizkę, rzuciła im zaciekawione spojrzenie, ale to nie było istotne; cieszył się obecnością Polski, jego ciepłem, oddechem i dotykiem, próbując zapamiętać go jak najwięcej i na jak najdłużej. Musnął wargami skroń Feliksa i uśmiechnął się, słysząc, jak ten zachichotał coś o łaskotkach.

Ponad miesiąc; tyle potrzebował Feliks, by ponownie stać się nieodłączną częścią jego życia i sama myśl o rozłące, zwłaszcza teraz, bolała mocniej niż Taurys przypuszczał, że będzie, gdy planowali ten wyjazd w mieszkaniu Beilschmidtów.

– Pociąg Berlin-Kursk wjedzie na peron drugi, tor pierwszy. Zachowaj ostrożność – Ostry głos megafonisty sam w sobie był ostrzeżeniem; zabrzmiał tuż ponad ich głową, sprawiając, że obaj drgnęli; potem Polska się roześmiał.

– Bo jak nie, to potencjalne uszkodzenia ciała będą twoim najmniejszym problemem – dopowiedział, starając się naśladować głos z głośnika; nawet udało mu się uchwycić charakterystyczny bawarski akcent. – No co? – dodał, widząc, jak Litwa spogląda nań z lekkim rozbawieniem. – Ćwiczę. Trochę zardzewiałem.

– Wiem, wiem – Taurys pokręcił głową.

Łazienkowe lustro przez kilka ostatnich wieczorów było niemym słuchaczem językowych zdolności Feliksa; Polska mówił po rosyjsku płynnie, jednak zwykle nie czuł potrzeby maskowania swojego akcentu. Berta wpatrywała się w Feliksa tak, jakby ten postradał zmysły, zwłaszcza, gdy Feliks przeszedł do posługiwania się matem i chyba dobrze się bawił, wymyślając coraz to bardziej kreatywne wulgaryzmy.

Stukot kół z wolna narastał. Czekali w milczeniu, aż pusty pociąg wtoczy się na peron; na każdym z błyszczących czerwienią wagonów czerniły się swastyki, częściowo zasłaniając dwa pierwsze okna, ale obaj ledwie je zarejestrowali. Stojący dęba niedźwiedź, stary herb miasta na tyle najbliższego wagonu, bardziej rzucał się w oczy; czyjeś dłonie dorysowały mu sprejem kolczastą grzywę, długi ogon, skrzydła i kilka innych dodatkowych części ciała, zmieniając zwierzę w pokraczną parodię samego siebie.

Widząc, że z pierwszego wagonu wyskakuje konduktor, a na peronie pojawiają się nieliczni podróżni, zapewne wcześniej siedzący w poczekalniach wewnątrz budynku, Feliks i Taurys wstali.

– Trzymaj się – szepnął Litwa, mając cichą nadzieję, że wszystko pójdzie gładko.

Feliks zerknął na niego; przygryzł wargę, wciągnął powietrze w płuca… a potem porzucił to, co chciał powiedzieć, stawiając na bardziej cielesny sposób wyrażenia emocji; rzucił się Litwie na szyję, splótł dłonie na karku i pocałował mocno w usta.

Perony widziały wiele podobnych pożegnań; Taurys bez wahania odwzajemnił pieszczotę, objął Feliksa niemalże rozpaczliwie, chcąc zapamiętać wszystko; dotyk, smak warg, zapach skóry i włosów.

Zakochanie było naprawdę głupią rzeczą, pomyślał jeszcze, uśmiechając się, gdy Feliks w końcu się od niego oderwał. Oczy Polski lśniły wilgocią.

– Lecę! – zawołał jednak wesoło, bo oto konduktor już dawał sygnał maszyniście.

Taurys skinął głową ze ściśniętym gardłem, cofając dłonie, a Feliks złapał pośpiesznie za rączki torby i w dwóch susach znalazł się na stopniach do wagonu. Rzucił torbę do środka i pomachał jeszcze, nim konduktor posłał mu zirytowane spojrzenie i zatrzasnął drzwi.

Sylwetka Polski mignęła jeszcze przez szyby, gdy zajmował miejsce, a potem pociąg ruszył.

Litwa stał jeszcze chwilę na peronie, odprowadzając pociąg wzrokiem; gdy gwizd lokomotywy w końcu ucichł, a ona sama zniknęła za zakrętem torowiska, zacisnął dłonie w pięści.

Dobra, Lietuva, pomyślał. Obiecałeś. I postaraj się tej obietnicy nie złamać.

***

Wciąż mu się to nie zgadzało; czy byt nadprzyrodzony naprawdę może umrzeć na zwykłego raka płuc?

Jeśli nie… To co naprawdę stało się z człowiekiem, który nosił miano „Polski”?

Polska, ten nędzny, biedny kraj, od którego najechania zaczęła się Wielka Wojna Dziesięcioletnia, ten, który stawiał bezcelowy, beznadziejny i pozbawiony logicznych działań opór, skazując tym samym na okrutną śmierć swoich obywateli – to mniej więcej Anton Lefevre pamiętał ze szkoły – nim nawrócona na dobre tory Rzesza zaczęła prowadzić działania wojenne w sposób humanitarny, jednocząc rozdrobnioną, słabą, rozdartą wewnętrznymi konfliktami Europę w jedno silne, bogate, lepsze państwo, gdzie każdy był sobie równy…

Według dokumentacji, Feliks Łukasiewicz po swoim zdegradowaniu, najpierw do roli więźnia w celi, potem do wizytowanego przez biuro relokacji, palił jak smok i gdyby nie jego nieludzkie pochodzenie, Lefevre nie miałby wątpliwości, że to ten ohydny nawyk doprowadził go do grobu…

Był kurierem albo listonoszem, mówiły dalej dokumenty, ku irytacji Lefevre’a pozbawione zdjęć czy szczegółowych opisów. Czasem też ekspedientem czy innym klienckim popychadłem; tylko dzięki temu, że mieszkał w rządowym mieszkaniu, był w stanie wyżyć w Berlinie… Stolica wyraźnie przyciągała tych najbardziej podejrzanych.

Zaparkował samochód pod blokiem i spojrzał uważnie w lusterko. Viktoriastraße o tej porze, w południe, była praktycznie pusta; jedynie jakaś kobieta prowadziła przed sobą wózek.

Doskonale… Lefevre wziął kilka głębokich oddechów, wytarł spocone dłonie i wysiadł z auta. Serce biło mu szaleńczo; jeszcze do niedawna nie sądził, że kiedykolwiek posunie

się do czegoś tak godnego politowania… z pełnym błogosławieństwem Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej.

Cel uświęca środki, powtórzył w myślach, wchodząc do klatki i w jego sercu zagościło spokojne uczucie dobrze wypełnianego obowiązku.

Netzwerk był takim przydatnym narzędziem, wystarczyło wejść na stronę szkoły, odszukać plany zajęć, odnaleźć znajome nazwisko…

Parter, pierwsze piętro, drugie, trzecie i już tu jest, przy drzwiach obok windy. Przez chwilę nasłuchiwał przy drzwiach, wyczulony na odgłosy codzienności – kroki, dźwięki gotowania, spłukiwania wody w toalecie, radio, telewizja czy po prostu rozmowy – ale nie słyszał absolutnie nic.

Metal ślizgał się między jego palcami; zaklął po francusku, skrzywił się, zniesmaczony językiem, który tkwił gdzieś tam w tyle jego głowy mimo upływu lat, i spróbował jeszcze raz.

Klucz gładko wsunął się do zamka.

***

Czasami Gilbert Beilschmidt zastanawiał się, jakby to było, gdyby byli ludźmi.

Rzadko, niemalże wcale. Może jedna bezsenna noc na stulecie, gdy wpatrywał się w sufit, zbyt rozentuzjazmowany albo zbyt zmęczony, by usnąć od razu, z krwią pędzącą w żyłach.

Jakby to, co działo się za dnia, jeszcze się nie zakończyło; pasjonująca potyczka, na myśl, o której szczerzył zęby w uśmiechu, konna gonitwa – cholera, tak dawno nie jeździł, aż chciało się puścić cwałem na jakimś porządnym rumaku, jak czarny huzar, z ziemią drżącą pod kopytami – albo po jakimś wspaniałym widowisku, meczu na wysokim poziomie...

Wtedy właśnie, gdy ciało i umysł niechętnie się uspokajały, ale sen jeszcze nie nadchodził, gdzieś nad uchem, niczym uporczywy komar, zaczynało pałętać się pytanie: jak by to było?

Mieć prawdziwego ojca, prawdziwą matkę, rodzeństwo naprawdę zrodzone z tych samych ciał, cielesnością i krwią; przyjść na świat już w splecionej rodzinie, zamiast uparcie tkać rodzinne więzi sami.

Zamiast milcząco, umownie przyjmować, kto jest bratem, a kto kuzynem, zamiast decydować sercem i rozsądkiem, mieć na to dowód w postaci aktów urodzenia...

Gdy takie głupie myśli przemykały mu przez głowę, zwykle krzywił się i wciskał twarz w poduszkę, zniesmaczony, że miały czelność to robić. Jaki był sens tracenia czasu i energii na rzeczy, które nie miały prawa się wydarzyć? Byli tym, czym byli i już.

Gdy wczesnym poniedziałkowym rankiem patrzył na stojącą nieruchomo w drzwiach postać swojego brata, to samo pytanie znów zakłuło go gdzieś z tyłu głowy.

Nie przejmować się Rzeszą, Pierwszą, Drugą, Trzecią i Zjednoczoną, bardziej niż przeciętny człowiek, żyć swoimi życiami wśród milionów i kłócić się o głupoty zamiast o losy Europy… Wyjątkowo liczna, ale całkiem zwyczajna rodzina.

– Możemy porozmawiać...? – Ludwig zawiesił głos, brzmiąc nagle jak chłopiec, którym był stulecie i pół temu, chociaż dawno już przewyższył brata o głowę.

Prusy zacisnął zęby; gniew, ból i rozczarowanie, które czuł wczorajszego wieczoru, wciąż nie wygasły.

– O tym, że rozmawiałeś za moimi plecami z Ferencem? – warknął nieco zbyt mocno, niżby tego chciał. – Nie wspomniałeś mu może o tym? – Szturchnął nogą karton wystający spod łóżka; pierwotnie wydawało mu się to świetnym pomysłem, w końcu najciemniej zawsze było pod latarnią. Nikt nie wpadłby na to, by przeszukiwać ich dom; nawet führer nie posunąłby się tak daleko… A tak przynajmniej myślał.

– Nie! – Ludwig zaprzeczył gorąco; ciemne rumieńce wkroczyły na jego policzki. – Zawarliśmy umowę!

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem; potem Prusy opuścił ramiona.

– Mów.

Ludwig uciekł spojrzeniem; westchnął i usiadł na krześle przy biurku Gilberta, opierając czoło o dłoń.

– Zawarliśmy umowę – powtórzył cicho Ludwig. – Porozmawiam z Ferencem wtedy, gdy uznam, że wasze potajemne działania bezpośrednio zagrażają bezpieczeństwu kraju. Na razie... na razie nie zrobiliście nic poza uzbrojeniem się i pozyskiwaniem informacji – Opuścił wzrok na pudło. – Dalej uważam, że nic nie zdziałacie, ale...

– Odpuść sobie – Gilbert założył ręce na piersi.

– Poszedłem do niego, bo nie chciałem wierzyć w to, co mówi Łukasiewicz. To o wojnie – Ludwig przymknął oczy. – Powiedział mi, że dawno nie mieliśmy tak dobrych stosunków z Rosją.

– Ściemnia – ocenił natychmiast Prusy, mrużąc oczy. – Może i wznowili to śledztwo, ale z tego, co wywęszyłem w Sali Luster, idzie tak samo ślamazarnie jak to poprzednie. Reszta relacji to wciąż ten sam status quo.

– Zapytałem też go, dlaczego postanowił przeprowadzić komisję, gdy ty oficjalnie poszedłeś na urlop – Ludwig zacisnął szczęki, spojrzał na brata gorąco, mając nadzieję, że ten zrozumie. Jak zawsze.

– I tak dowiedziałeś się, że mi nie ufa – Prusy ściszył głos. Usiadł na łóżku, oparł dłonie o kolana i przyglądał się bratu; gniew w jego oczach zanikł, zastąpiony czymś o wiele, wiele dla Ludwiga gorszym; boleścią. – Ale mi tego nie powiedziałeś.

Ludwig opuścił oczy; dywan w sypialni Gilberta był czarny i gęsty jak smoła i odkurzanie go zawsze zajmowało absurdalną ilość czasu. Między włóknami dostrzegł nagle długi, rudy włos.

Piekielny kot!

– Nie sądziłem, że zaczniesz sobie z nim pogrywać! – wybuchnął nagle. – Myślałem, że będziesz ciągle wypełniał swoje rozkazy, jako przykrywkę dla waszych działań!

– Bo tak miało być! – Prusy też nie wytrzymał; zerwał się na równe nogi i przemaszerował przez pokój. – Komisja komisją, zechciał wiedzieć więcej, nie dziwię się – Zatrzymał się przed Ludwigiem, potem obrócił na pięcie i potarł dłonią oczy. Cienie pod

jego oczami wydawały się jeszcze ciemniejsze niż zazwyczaj. – Ale wnioski... nie mogłem pozwolić, by zamknął Taurysa chuj wie gdzie, zwłaszcza mając w tej naszej pożal się Boże bandzie spiskowców też Feliksa. Braciszku – Ściszył głos. – Nie lubię, gdy stabilny grunt, na którym walczę, okazuje się być mokradłem. Nie, kiedy już wykonałem na nim ruch.

Niemcy zdał sobie sprawę, że stoi; zamrugał i opadł z powrotem na krzesło.

– Byłem... dalej jestem zły – wyszeptał w końcu, gdy cisza w pokoju przeciągnęła się. – Ja... – urwał i przełknął ślinę, czując nagle, że gardło ma kompletnie suche. – Są rzeczy, z którymi się z tobą nie zgadzam. Wiesz o tym. Ale... ale nie wystawiłbym cię na niebezpieczeństwo. Nigdy świadomie.

– Nawet gdyby nasze działania zagroziłyby państwu? Zgodnie z umową?

Ludwig uniósł głowę; jasne kosmyki grzywki opadły mu na oczy, sprawiając, że wyglądał na młodszego niż w rzeczywistości, ale spojrzenie miał ostre, stalowe i przenikliwe; jak Friedrich, gdy planował wojny, przemknęło Gilbertowi przez myśl.

Ha. Prawdziwy syn ich niemieckiego pułku; wpatrywał się w młodszego brata, teraz bardziej zaintrygowany niż zły; co też on wymyślił?

– Mieszkanie w Königsbergu – zaczął cicho Niemcy. – Dom w Danzigu, który wynajmujesz. Domy Rodericha, Christiana, Friedricha, całej reszty. Pamiętasz, od jak dawna one są w naszym posiadaniu?

Prusy wzruszył ramionami.

– Gdzieś od wojny – odparł lekko. – Chyba jeszcze za Adolfa. Ty się tym zająłeś, bo Berlin był na celowniku i chciałeś mieć coś w mniej rzucających się w oczy i bomby miejscach. Ja wolałem strzelać.

– Zaglądałeś kiedykolwiek w księgi wieczyste, Gilbert?

Gilbert otworzył usta, ale szybko je zamknął. Potem uśmiechnął się powoli i drapieżnie.

– No proszę, proszę – powiedział cicho. – Myślałem o tym domku koło rafinerii raczej jako o tymczasowej kryjówce, a ty chcesz mi powiedzieć, że...?

– Że – Ludwig podjął szeptem. – Miałem z tyłu głowy, że Wielką Wojnę Dziesięcioletnią możemy przegrać. I odpowiednio się przed tym zabezpieczyłem. Nas zabezpieczyłem. Naszą rodzinę.

Uniósł głowę i rozejrzał się po pokoju.

– Poza tym mieszkaniem – wyszeptał, wpatrując się w zdumione oczy ukochanego brata. – I tym z Venedig, którego się pozbyłem, żaden Beilschmidt nie jest oficjalnie właścicielem któregokolwiek z tych miejsc.

Wstał i uniósł kącik ust w bladym uśmiechu.

– Przyjmij to jako przeprosiny, Bruderherz.

***

Odwlekał powrót do mieszkania tak długo, jak tylko mógł; sprawdził dyskretnie, czy colt dalej znajduje się w schowku volkswagena, a potem pojechał do KaDeWe pod pretekstem uzupełnienia zapasów; mydło, szampon, środki czystości, karma dla Berty...

Błąkał się po domu handlowym, powoli stawiając kroki wśród tłumów, myśląc o tym, co dzisiaj usłyszał w szkole.

Udało mu się w końcu porozmawiać z Uschi. Dziewczynka kręciła się w okolicy jego klasy prawie podczas każdej przerwy; widział ją kątem oka przez uchylone drzwi, gdy przygotowywał się do kolejnych zajęć albo uzupełniał dokumenty, zastanawiając się, czy do niego przyjdzie, nie chcąc na nią naciskać.

W końcu usiadła naprzeciw klasy, z drugim śniadaniem owiniętym papierem, ale kanapka w jej dłoniach pozostawała nietknięta, jak rekwizyt-wymówka, by zatrzymać się akurat tutaj, na tej ławce. Uznał to za zaproszenie.

Przysiadł na tej samej ławce, dwa miejsca dalej, z papierowym dziennikiem na kolanach i zapytał ostrożnie, czemu zrezygnowała z dodatkowych lekcji.

Ursula kręciła się w miejscu i wpatrzona w podłogę wymamrotała, że „tata wolałby, by zajęła się prawdziwą nauką"; nuta zdrady w jej wysokim, cienkim głosie zakłuła Taurysa wyjątkowo mocno. Była zbyt młoda, by czuć coś tak bolesnego.

Miała zabandażowane dwa palce i nie byłby w stanie uwierzyć już, że to przypadek, tak jak przed wakacjami.

– A co ty o tym sądzisz, Uschi? – zapytał miękko.

Nie naciskał, czekając na odpowiedź. Uschi uniosła oczy, ale nie patrzyła na niego, tylko na szafkę wewnątrz klasy, w której trzymał zwykle płyty i winyle; gdy nie mógł im czegoś zagrać sam, korzystał z odtwarzacza.

Trzymał tam też dodatkowe, trudniejsze nuty; przed wakacjami Uschi była bardzo podekscytowana, gdy zaproponował jej zapoznanie się z czymś bardziej zaawansowanym.

– Nie wiem, proszę pana – szepnęła w końcu, a Taurys słuchał cierpliwie, nie chcąc jej spłoszyć; fakt, że nie uciekła, że odpowiedziała, już sam w sobie był sukcesem. – Tata nie lubi pianina. On w ogóle nie lubi muzyki.

A ty ją kochasz, pomyślał smutno, patrząc, jak dziewczynka oplata ramionami kolana. Nietknięta kanapka leżała pomiędzy nimi.

– Uschi, bardzo dobrze grasz i wiem, że bardzo lubisz to robić – odezwał się bardzo cicho i bardzo poważnie. Dziewczynka zerknęła na niego, przenikliwie i uważnie, tak jak robią to dorastające dzieci; z rezerwą, nieufnością i nieśmiałą nadzieją, że jednak zostaną zrozumiane. – Czy twój tata chce, żebyś tego więcej nie robiła?

Zagryzła wargi; odpowiedź była tak cicha, że ledwie ją usłyszał.

– Tak – I odwróciła wzrok, osłaniając drugą dłonią zranione palce.

Wstyd. To zawsze jest wstyd, pomyślał nagle.

Dziesiątki uczniów przechodziły wokół nich przez kolejne minuty; Taurys spoglądał przed siebie, udając, że uzupełnia coś w dzienniku.

– Pan się domyślił, prawda? – Uschi odsłoniła palce; ostrożnie zgięła jeden z nich. – Tata... tata nie chce. Zawsze potem przeprasza. Niech pan nie zrobi zamieszania – szepnęła cicho, gdy znów zrobiło się pusto. – Proszę. Nie chcę, by inni wiedzieli.

– Obiecuję, że nie zrobię zamieszania – odparł łagodnie, zważając na to, co jej przyrzeka. – Ale twój tata robi coś złego. Nawet jeśli potem przeprasza. Tak nie powinno być, Uschi. Muzyka jest cudowna. Robisz coś cudownego. Nie powinnaś z tego powodu cierpieć.

Zamrugała gwałtownie, a w jej oczach zalśniła wilgoć; pociągnęła nosem.

– Dziękuję, proszę pana.

A potem uciekła do toalety dziewcząt, bezpiecznego schronienia dorastania; został na ławce z porzuconą kanapką. Jedyne, co zrobił, to przesunął paczuszkę bliżej tornistra dziewczyny, aby nikt jej nie wyrzucił i wyszedł ze szkoły.

KaDeWe miało siedem pięter; zmuszał się do korzystania z klatek schodowych, chociaż jego stopy z wolna odmawiały mu posłuszeństwa. Ból odzwyczajonych od długich wędrówek mięśni jednak był jedynie stłumionym echem; w głowie Litwy obracały się dziesiątki myśli.

Jak miał pomóc temu dziecku, które chyba postanowiło mu zaufać? Jak wpłynąć na jej ojca? Czy w ogóle dobrze poprowadził tę rozmowę? Feliks zawsze miał lepsze podejście do dzieci, szkoda, że musiał… Jak w ogóle mija mu podróż?

To było tysiąc osiemset kilometrów, a trasa wiodła, prosta jak strzała, przez kraj, mijała iglicę, tę samą warszawską iglicę, którą widzieli, gdy wracali z Kowna i której widok tak bolał Polskę… A teraz jest sam w tym pociągu do Kurska…

Raivis, Edward, jak oni się dziś czują? Czemu Gris milczy, co z wieściami z Hiszpanii?

Stopy pulsowały bólem, ale brnął przed siebie, przez błyszczące posadzki kolejnych pięter, mijając kolejne sklepy, czasami do nich zachodząc, by tylko zająć sobie czymś niespokojne ręce, tylko po to, by nie wrócić do pustego domu; odzieżowy, wyposażenie domu, księgarnia...

W tej ostatniej powiódł wzrokiem po półkach, a wtem w oczy rzuciła mu się błyszcząca czernią okładka tysiącstronicowej knigi.

Podniósł oczy; mała tabliczka przymocowana do półki informowała go, że trafił do działu książek kucharskich i Taurys uniósł kącik ust, mając wrażenie, że los sobie nieco z niego kpi.

Ale i tak sięgnął po księgę bez tytułu na grzbiecie – w mieszkaniu nie miał nic poza pożółkłymi kartkami z odręcznymi przepisami, wsuniętymi gdzieś za okładkę innych książek, a obiecał przecież Feliksowi, że będzie się przyzwoicie odżywiał.

Zważył księgę w dłoni i dopiero wtedy spojrzał na wyzłacany tytuł.

Tak, los ewidentnie stroił sobie z niego żarty.

– „Regionalna kuchnia Rzeszy” – wymamrotał, otwierając książkę na spisie treści. Potrawy zgrupowano według oficjalnego, administracyjnego podziału landów; jakby zrodziły się w tych nakreślonych odgórnie rejonach, ledwie kilkadziesiąt lat temu, a nie miały swoich korzeni w krajach i krainach, które to imperium zagarnęło…

Miał podobne uczucie, jak w muzeum muzyki, w którym był przed kilkoma dniami wraz z Polską; odnajdywał pod nowymi albo przekształconymi nazwami smaki, które znał i które lubił… Cepeliny, które udało mu się przyrządzić, a którymi Feliks był zachwycony, nazwano tutaj „pruskim przysmakiem”, co za potwarz.

A jednak kupił to tomiszcze; wiedział, czego szukać, jeśli rozpozna na zdjęciach odpowiednie potrawy, mógłby chociaż spróbować je odtworzyć... Zapłacił zmęczonemu ekspedientowi dwieście marek.

Przed witryną perfumerii przystanął niezdecydowany, czując się głupio, że w ogóle o tym pomyślał; przy tym wszystkim, co nad nimi wisiało...

Już chciał się wycofać, obrócić na pięcie i uciec, gdy dostrzegła go ekspedientka; zamrugał, rozpoznając w niej Adolfinę, tę samą, która dopiero co ukończyła jego szkołę. Na jej ciemnej bluzce tkwiła plakietka nowej pracownicy.

Ona też go rozpoznała; do tej pory oparta łokciami o kontuar obok kasy, wyraźnie znudzona, wyprostowała się i odezwała donośnym głosem:

– Dzień dobry! Coś dla pana, panie Lauritis? Jakaś perfuma? A może woda kolońska?

– Ja nie... – zaczął, ale wtem uśmiechnęła się do niego i zaczęła trajkotać jak katarynka, nie dając mu ani sekundy na jakikolwiek sprzeciw.

Kwadrans później wyszedł z perfumerii nieco oszołomiony ciężką mieszaniną woni, z pudełeczkiem w dłoni, z szyją pachnącą „to będzie świetnie do pana pasować, panie Lautis". Był mech i drzewny dym, a przed oczami stały wspomnienia, o których już dawno zapomniał, niepozorna buteleczka skrywała też przyjemne piżmo, zapach leśnych owoców i kwiatów i miał przeczucie, że Feliks polubi ten zapach.

Zmieszany schował pudełko głęboko w zakupach; zakochanie było takie głupie... Zachowuje się, jakby znowu był młody...

Po tym szaleństwie skierował się do wind – wątpił, czy jego nogi wytrzymałyby kolejne klatki schodowe, prawdopodobnie dorobił się już odcisków – gdy kątem oka dojrzał ten sam sklep, w którym był z Polską na zakupach.

Na manekinie tuż przy szybie wisiała elegancka, dobrze skrojona koszula; materiał miał głęboki odcień ciemnej wiśni.

Oddech lekko zadrżał w jego ustach.

– A ta? – zasugerował Feliks tygodnie wcześniej, na samym początku, gdy tylko weszli do sklepu, wskazując jasną, szkarłatną koszulę. – Nie jest krzykliwa.

– Odpada – Taurys potrząsnął wówczas głową, nie dodając, że według nieco *była* krzykliwa. Kolejnych kilka minut spędzili, ustalając zakres „krzykliwości"; Polska musiał nieco skorygować swoje postrzeganie jaskrawych odcieni.

– Hmm, wiem, że zieleń, ale też zawsze lubiłeś czerwony... – Feliks mruknął pod nosem, a potem jego uwagę przykuła burzowa szarość kolejnej koszuli. – O, ta jest całkiem całkiem... troszkę nudna, ale ładniutka...

Teraz podszedł bliżej witryny, przyglądając się koszuli. Tak, czerwień była jednym z jego ulubionych kolorów... dawno, dawno temu, gdy nie kojarzyła mu się jeszcze z Iwanem Bragińskim i krwią na własnych plecach. Kraujas, randas...

Wzdrygnął się; nie, pomyślał gorzko. Na pewno nie. Przynajmniej nie teraz.

Po raz pierwszy od kilku godzin spojrzał na zegarek na nadgarstku i zaklął w duchu; było już tak późno? Obrócił się na pięcie i ruszył do wind.

Miał nadzieję, że nie utknie w jakimś korku; Berta będzie wściekła, że zostawił ją samą na tyle godzin, nie mówiąc już o tym, że jej imiennik wpadał dzisiaj na wizytację.

Po tym, co powiedział im Gilbert o zachowaniu Ludwiga, Feliks gorąco zaprotestował przeciwko dalszemu przechowywaniu dokumentów w mieszkaniu Beilschmidtów; Gilbert milczał posępnie, ale następnego dnia przez sprecher, nie zamierzając wchodzić w szczegóły, suchym, ale zaskakująco spokojnym tonem zakomunikował, że akurat tym mają się nie martwić.

Coś znowu się między nimi wydarzyło, odnotował Taurys, wracając myślami do nowej sytuacji Prus i jego cotygodniowych kontroli, gdy parkował pod domem.

– Porozmawiaj z Erzsi, Polen. Zadzwoń do niej – Gilbert patrzył w okno, w ciemniejące nad Berlinem niebo. – Od teraz nie będzie ulgowego traktowania. Dla nikogo.

Gdy Taurys zjawił się w swoim mieszkaniu, Berta z piskliwym miauknięciem wyskoczyła z kuchni i zaczęła natarczywie ocierać się o jego nogi, zadzierać łepek i prychać raz za razem.

Litwa zmarszczył brwi; zamknął drzwi za sobą i przykucnął.

– Co się stało, mała? – zapytał cicho, głaszcząc jedwabiste, długie futro. – Już jestem, widzisz? Przepraszam, że nie było mnie dzisiaj tak długo. Już dobrze... tak się stęskniłaś? A może jesteś głodna?

Kotka zamiauczała po raz kolejny, jeszcze głośniej i przeciągle, jak syrena alarmowa; westchnął. Może też przyzwyczaiła się już do obecności Felka. Ta cisza w mieszkaniu...

– Nakarmię cię, nim przyjdzie Gilbert, dobrze?

Taurys zdążył uzupełnić zapas karmy w miseczce Berty, wypakować zakupy i sprawdzić ostatni raz, czy jakieś rzeczy Polski nie zawieruszyły się przypadkiem w sypialni czy w łazience, że jego broń została w schowku samochodu, a dodatkowy sprecher był bezpieczny w jego kieszeni – rewizje osobiste były, na szczęście, echem przeszłości – i dopiero wtedy Gilbert pojawił się na jego progu wraz z oficerami.

W jego przypadku, zauważył Litwa, „brak taryfy ulgowej" oznaczał, że Gilbert bardzo pilnował, co i jak mówi – ani razu nie sięgnął do karku, by przerwać nagrywanie – i aktywniej niż zwykle przeglądał szafki i szuflady, cały czas sztywny i napięty.

Dla Erzsébet, pomyślał smutno, oznaczało to, że w tym tygodniu po raz pierwszy od lat wpuścił swoich ludzi do jej mieszkania, jej twierdzy.

W poniedziałkowy wieczór Polska długo siedział nieruchomo na skraju łóżka, po tym, gdy Węgry rozłączyła się po długiej, pełnej trudnych emocji rozmowie; Litwa oplótł wokół niego swoje ramiona i tak zastała ich północ.

Proces leczenia, pomyślał wówczas. My wszyscy chyba tego potrzebujemy.

– Wychodzimy – Prusy nawet na niego nie spojrzał.

Wkrótce potem Litwa znalazł się sam na kanapie, w saloniku, z kotem przytulonym do piersi i oczami skrytymi pod przedramieniem, w zapadającej z wolna ciemności i ciszy; już chciał wstać, przynieść radio z kuchni albo włączyć telewizor, by nie było tak piekielnie cicho, gdy dzwonek do drzwi postawił go na równe nogi.

Kto...?

Wizjer odpowiedział mu twarzą Gilberta; zaskoczony Litwa cofnął się, wpuszczając Prusaka do środka.

– Co tu robisz? – zapytał cicho. – Myślałem, że...

– Już po pracy – Prusy założył ręce na piersi, ignorując kota, który zaczął natarczywie ocierać się o jego kostki i miauczeć. – Zdałem wszystko do biura, łącznie ze sprzętem nagrywającym, a Ferenc jeszcze za mną nie łazi. Zresztą, zawsze pilnuję, by nikt za mną nie łaził – dodał z naciskiem. – Rób kawę. Ej, diablico, co w ciebie dzisiaj wstąpiło?

Taurys westchnął; ruszył do kuchni i chwycił kawiarkę; najpierw musiał wyrzucić fusy pozostające tam od świtu, porannej kawy, ostatniej, którą wypił wspólnie z Feliksem.

– A odpowiadając na twoje pierwsze pytanie, Lit – Prusy oparł się o przejście do kuchni. – Przyszedłem sprawdzić, czy się pogrążasz w otchłani rozpaczy, skoro Polen znowu wybył w niebyt po tym, jak sądzę, rajskim tygodniu miodowym, czy też nie.

Zimna woda opryskała mu dłonie; Litwa mył makinetkę, zastanawiając się, co ma Gilbertowi odpowiedzieć, jednocześnie zaskoczony, że Prusy pofatygował się, by sprawdzić, jak się ma.

– U mnie w porządku, dziękuję.

Prusy uniósł tylko brew, słysząc tę obronną odpowiedź; usiadł przy stole, założył nogę na nogę i oparł głowę o dłoń, lustrując Litwę spojrzeniem.

– Serio? – zapytał kpiąco. – Bo nawet ślepy by zauważył, że o ile na początku było lepiej, tak teraz wyglądasz, jakbyś miał się za moment rozsypać. Co jest z tobą znowu nie tak?

– Iwan też zadawał to pytanie – Słowa same wyrwały się z ust Litwy; gdy zdał sobie sprawę z tego, co powiedział, zacisnął mocno usta. Nieprzyjemna gorycz pojawiła się na jego języku; wcale nie chciał o tym wspominać... Tego wspominać. Zacisnął mocno palce na paczce z kawą.

– Nie waż się mnie nawet porównywać do tego sukinsyna – warknął Gilbert ostro. – Może i mamy trochę wzajemnych zaszłości, Lit, ale to nie ja zdeptałem ci osobowość – Wyprostował się na krześle i zmrużył oczy. – To to cię znowu męczy? – zapytał ciszej. – Od kiedy? Zaraz...

Litwa przymknął oczy, gdy w spojrzeniu Prus dostrzegł rodzące się zrozumienie.

– Dlaczego „wypadek”? – zapytał, zmuszając się do podniesienia powiek. Mechanicznymi ruchami skręcał mocno kawiarkę.

– Pytali cię o to? Szlag... – Prusy zmiął przekleństwo w ustach. – Kurwa – dodał po chwili soczyste polskie przekleństwo, jakby do siebie.

Drżącymi dłońmi Taurys zapalił gaz pod palnikiem; cichy szum wypełnił kuchnię. Ciężko opadł na drugie krzesło.

– Dlatego – podjął Gilbert po długiej chwili, gdy stało się jasne, że Litwa nie zamierza powiedzieć nic więcej. Wyprostował się i spoglądał na Taurysa spod zmrużonych powiek, odzyskawszy rezon. – Że wiem, jak kurewsko się tego wstydzisz.

– To tylko blizny...

– Obaj wiemy, że nie o blizny chodzi – Prusy prychnął; lekceważącym gestem podciągnął rękaw koszuli. Nad łokciem tkwiły trzy dość głębokie, stare szramy. Ze wzruszeniem

ramion opuścił materiał. – Blizny, Narben, rāmbai, randai, nazywaj sobie to jak chcesz. Blizny są bliższe naszemu rodzajowi niż rodzina. Gdyby to były blizny z walki, nie miałbyś nic przeciwko, by to było w aktach, do których te konowały miały dostęp. A może się mylę?

Milczenie Litwy i uciekający wzrok były odpowiedzią; Prusy westchnął i odchylił się na krześle.

– Wypadek był pierwszą rzeczą, która przyszła mi wtedy do głowy. Nie sądziłem, że ktoś będzie drążył temat.

Litwa blado uniósł kącik ust. To było stwierdzenie najbliższe przeprosinom, jakie mógł od Gilberta usłyszeć.

– Jeden z lekarzy był ciekawy, jakiego rodzaju wypadek powoduje takie cięcia. On... zaskoczył mnie – wymamrotał Taurys cicho. – Wolałbym o tym wiedzieć wcześniej, Gilbercie.

– Tak – mruknął Gilbert, z jakiegoś powodu dziwnie zgaszony. – To byłoby miłe – dodał z przekąsem, jakby do siebie. – Uprzedzać siebie nawzajem... Mniejsza o to. – Znów świdrował spojrzeniem Taurysa. – Mamy robotę, Lit, i jesteś nam potrzebny. Miałeś wziąć się w garść. Rozpamiętywanie tego w niczym nie pomoże.

– Wiem – Litwa wypuścił drżący oddech. – Staram się, ale... to wcale nie jest proste. To... to nie jest liniowe.

Berta wskoczyła na jego kolana i ocierając się o jego podbródek, zaczęła mruczeć. Prusy milczał przez chwilę; potem, słysząc bulgotanie w kawiarce, wstał i wyłączył gaz. Sam nalał sobie kawy do kubka i wrócił do stołu.

– Dobra – odezwał się po chwili, pociągając łyk gorącej kawy. Zapach podrażnił nozdrza Taurysa, aż ten zacisnął szczęki. Jedna kawa dziennie, tego powinien się trzymać. To obiecał Feliksowi. – Jak tam mu idzie podróż?

– Nie dzwonił jeszcze – Taurys zerknął na sprecher leżący na kuchennym blacie.

– Dziwne, myślałem, że nie będzie was można oderwać od słuchawki, gołąbeczki – Prusy uniósł brew. W oczach coś zajaśniało mu szatańsko. – Skoro Polen już się przeprowadził do twojego łóżka, zamiast gnić na tej starej kanapie. Jak się wam razem śpi, co?

Litwa westchnął; no tak, pomyślał. Mógł się tego spodziewać, jednak, jeśli Gilbert myślał, że czegoś się w ten sposób dowie, to się mylił.

– To już są nasze prywatne sprawy – zastrzegł uprzejmie, czując, że na jego policzki występują rumieńce.

– Biorąc pod uwagę, że beze mnie krążylibyście wokół siebie jeszcze przez... – zaczął Prusy.

– Dziękuję.

To zbiło Gilberta z tropu.

– Co?

– Dziękuję – powtórzył Litwa cicho. – Chyba potrzebowałem... tego przypomnienia.

Prusy spoglądał nań osłupiały; potem wyszczerzył zęby.

– Wspaniały Prusy zawsze ma rację – Uchylił wyimaginowanego kapelusza, wyglądając na bardzo zadowolonego z siebie. – Czegoś jeszcze potrzebujesz, panie od muzyki, do poprawienia sobie jakości życia?

Wspomnienie stanowiska przypomniało Taurysowi o Uschi; czemu nie, pomyślał nagle. Może on na coś wpadnie... Wpatrzył się w parę unoszącą się nad kubkiem Gilberta.

– Właściwie to tak. Szukam sposobu, jak powstrzymać ojca, który karze swoje dziecko – odezwał się cicho. – Fizycznie.

– Trochę dyscypliny chłopakowi nie zaszkodzi – odparł Gilbert lekceważąco. – Pewnie jakiś leser, który woli kolegów, dziewczyny i tani alkohol od wkuwania matmy?

– To dziewczynka – odparł ostro Litwa. Płeć Uschi nie miała tu żadnego znaczenia, ale znał Gilberta, Ludwiga i resztę Beilschmidtów na tyle, by wiedzieć, skąd wzięło takie przekonanie. I domyślił się, że gdy tylko Gilbert usłyszy jego słowa, spojrzy nań poważniej, co też ten właśnie zrobił. – Ma dwanaście lat i do tej pory dawałem jej dodatkowe lekcje z gry. Ojciec się temu sprzeciwia, mimo że Uschi dobrze się uczy, a gra idzie jej świetnie. Ma siniaki na ciele i obandażowane palce. To *nie jest* dyscyplina – dodał z naciskiem.

Spojrzenie Prus pociemniało, jakby zrozumiał; jakby odczytał to, co Litwa miał w duszy, niewypowiedziane postanowienie.

– Na czym gra ta ptaszyna? – zapytał jednak ni z tego nic z owego, całkowicie Taurysa zaskakując.

– Na pianinie – Litwa zmarszczył brwi. Co to miało do rzeczy?

– Mało orkiestrowy instrument, ale jakieś miejsce się znajdzie – mruknął Gilbert jakby do siebie, a potem uśmiechnął się drapieżnie, triumfująco. – Zostaw to mnie, Lit.

– Co masz na myśli?

– Mówisz, że ma dwanaście lat – Prusy odchylił się na krześle. – Prawo Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej nie zezwala na mieszkanie w bursach i akademikach przed ukończeniem czternastego roku życia. Ale – Jego oczy błyszczały jak czerwone bursztyny w słońcu. – Kraj Autonomiczny Prus właśnie obniżył ten wiek do dwunastu.

Litwa siedział nieruchomo; nadzieja odżyła w jego sercu. Nie śledził wewnętrznego prawodawstwa Prus, nie pomyślał nawet, że to tam może leżeć rozwiązanie problemu Uschi.

– Jej ojciec... – zaczął słabo.

– A jej ojcem zajmę się osobiście – Prusy zatarł dłonie, szczerząc się. Od dawna Litwa nie widział go tak podekscytowanego. – Potrzebuję jedynie małej, maleńkiej mistyfikacji, Lit.

– Jakiej? – Litwa spojrzał nań uważnie i pochylił się nad stołem. Berta, która w międzyczasie wskoczyła na blat mebli, obserwowała ich zmrużonymi oczami, pomiaukując od czasu do czasu, ale żaden z nich nie zwrócił na nią uwagi.

– Przyjęta, notabene dzięki mnie, ustawa szkolna ustanawia też specjalne stypendia dla uzdolnionych uczniów z Rzeszy, o ile przeniosą się do enklawy – kontynuował pewnie Gilbert. – Wysokie stypendia. Königsberg potrzebuje świeżej krwi, jeśli chodzi o naukę...

i muzykę. I tak się złożyło, Lit, że ty, skromny nauczyciel muzyki, dowiedziałeś się, że królewiecka orkiestra szuka w berlińskich szkołach młodych talentów do zasilenia jej szeregów, a ty masz na oku nieoszlifowany diament, który by tam świetnie pasował. Porozmawiasz sobie z szefem... Meier, tak?

– Meiera nie obchodzą muzycy – szepnął jeszcze Litwa, czując jak jego serce zaczyna bić mocniej. Orkiestra królewiecka była jedną z najważniejszych w całym imperium...

– Ale każdego dyrektora szkoły obchodzą uczniowie, którymi można się chwalić – odparował Gilbert. – A co do ojca... Oczywiście, nikt nie zabierze mu dziewczyny bez jego zgody. Ale myślę, że go przekonam, jak sobie z nim szczerze porozmawiam – Uśmiechnął się złośliwie. – Sława i pieniądze zaskakująco skutecznie zacierają niechęć.

Taurys pozwolił sobie na niepewny uśmiech. Oby się udało, pomyślał z duszą pełną nadziei. Powstrzymać dalszą przemoc, dać Uschi możliwość rozwinięcia skrzydeł...

– Trzeba to zrobić dyskretnie – powiedział cicho. – Obiecałem jej.

– Czy ja kiedykolwiek działałem niedyskretnie?

Nim Litwa otworzył usta, jego sprecher zadzwonił. Spodziewając się, że to Polska, sięgnął za siebie, w kierunku blatu, powstrzymując Bertę – co się z nią dzisiaj działo? – przed zrzuceniem urządzenia na ziemię. Potem dopiero spojrzał na numer.

– Gris – szepnął zdumiony.

Prusy wyprostował się na krześle.

– Odbieraj.

Długi, krótki, długi, krótki, długi. Początek nadawania; Taurys złapał pośpiesznie kawałek kartki i długopis, które zawsze trzymał w pobliżu, podczas gdy Prusy znieruchomiał całkowicie, zamykając oczy, by lepiej skupić się na dźwiękach.

Każdej literze towarzyszył znak na papierze; w miarę zapełniania kartki wiadomością czoło Prus marszczyło się coraz bardziej, gdy samodzielnie dekodował w głowie to, co słyszeli.

Połączenie tym razem się nie urwało; po krótkiej ciszy padły jeszcze trzy dzięki.

– Długi, krótki, długi – szepnął Prusy. – Wezwanie.

Gilbert przyciągnął sprecher do siebie i oblizał wargi; gwizdaniem, bez zastanowienia, zaczął nadawać odpowiedź.

Litwa odłożył długopis i spojrzał na kartkę. Na usta cisnął mu się stek przekleństw.

A. – decyzja odmowna. Premier niezadowolony. A. brak kontaktu od dwóch dni. Mieszkanie puste. Ślady walki.

Nie było dobrze.

Rozdział XXVI: Na wschód od morza

Wtorkowy poranek wyglądał tak samo, jak zawsze; radiowy prezenter cicho mamrotał poranne wiadomości, pilot w skupieniu zawisł nad znajomą łąką, na której zwykle osadzał helikopter, a drugi z oficerów od niechcenia przerzucał wydanie gazety kupionej bladym świtem jeszcze w Fryburgu, przed wylotem.

Otworzywszy oczy po drzemce w powietrzu, Gilbert bez większego entuzjazmu obrzucił wzrokiem okolicę. Źdźbła dzikich traw kładły się po ziemi, przygięte wiatrem wytworzonym przez śmigła, a gdzieś po podwórku jednego z domów, skrytych w cieniu gęstego zagajnika oddzielającego nieoficjalne lądowisko od zwartej zabudowy Bielefeld, snuł się leniwie czarny kot.

To widział przez przednią szybę śmigłowca; za nimi, wzdłuż wąskiej, opustoszałej o poranku drogi ciągnęła się dość wąska, ale długa na wiele kilometrów połać gęstego lasu, pełna polan i ścieżek pośród wzgórz, doskonała do spacerów, relaksu... i ukrycia się.

Prusy wywrócił oczami, gdy zorientował się, czego instynktownie szuka na tym terenie; zirytowany własnymi myślami, wyskoczył z helikoptera, ledwie Jannik wyłączył silnik. Łopaty jeszcze łopotały mu nad głową, gdy wbił dłonie w kieszenie i przeszedł przez drżące trawy do popękanego asfaltu.

Las wdzierał się do miasta, a może to miasto wdzierało się do lasu; zazwyczaj lubił ten widok, szczególnie z wysoka, dziś jednak niemal wcale nie zwracał na niego uwagi. Plamy zieleni tak ciemnej, że niemal czarnej, złota jasność pól uprawnych i żywy odcień łąk ładnie komponowały się z czerwienią dachówek i bielą domków, a słońce nadawało temu pejzażowi dodatkowego blasku; krople rosy błyszczały jak miniaturowe diamenty rozsypane w nisko wiszącej mgle.

Ot, widoczek z pocztówki, nic więcej.

Czekając na oficerów, Gilbert zapatrzył się na pas drzew, za którymi majaczyły się domy jednorodzinne, wśród nich ten będący jego pierwszym celem.

– Szybciej – rzucił niecierpliwie. Mieli dzisiaj szmat kraju do oblecenia i cztery personifikacje do wizytacji. Nienawidził wtorków. – Raz, dwa!

– Wstał lewą nogą, czy co? – Uszu Gilberta dobiegł cichy szept. Wywrócił oczami.

– Dumitresch, lewą to ci mogę przyłożyć.

– Przepraszam, proszę pana.

Prusy, nie odwracając się, tylko machnął ręką na zgodę. Włącznik na karku drażnił go dzisiaj bardziej niż zwykle; chyba przypiekło mnie wczorajsze słońce, pomyślał, niecierpliwie poprawiając kabel pod koszulą. Kark nieprzyjemnie palił. Cholerne południowe słońce... Co z tobą, stary? Nie mów, że dałeś się podejść starym gabinetowym bykom, *amigo picador*...

Gdy kwadrans później przeszukiwał niewielki domek na obrzeżach miasta, Radmila spoglądała nań podejrzliwie:

– Co cię znowu ugryzło?

Prusy posłał jej ostre spojrzenie, nie przestając przerzucać w dłoniach jej korespondencji – rachunki, zawiadomienia, jakiś katalog, absolutne śmieci – ale nie odpowiedział ani słowem. Od pamiętnego ostrzeżenia führera na żadnym z nagrań, które zdawał do biura pod koniec tygodnia, nie pojawiła się przerwa wywołana rzekomą awarią.

Czechy nie odpuszczała; zaplotła ręce na piersiach i zmarszczyła brwi:

– Czy u Jakuba wszystko w porządku?

– Nie udzielam takich informacji – odparł Gilbert sucho, z większą niż zwykle siłą zatrzaskując szufladę ze sztućcami. Radmila aż się wzdrygnęła.

Zawsze pytała o Słowację, a ten zawsze pytał o Czechy; gdy Gilbert dziesięć lat temu przyniósł im wieści o śmierci Feliksa, nie znalazł u nich łez. Odwrócenie na moment wzroku, opuszczenie oczu, owszem, i jakiś cień żalu przemykający po twarzy – ale żadnych łez.

Niezłe mi rodzeństwo, pomyślał wówczas z pogardą. Nie dziwię się, że Polen nawet nie próbował się do nich odezwać.

– Sprecher – Wystawił dłoń w znaczącym geście; spis połączeń, sprawdzenie nieznanych numerów, zdjęcia zapisane w pamięci nowego modelu. Wszystko, by przypomnieć, że może i zapowiedziane kontrole pozwalają się im przygotować, to i tak nie mają prywatności.

To samo zrobił w kolejnym domu, setki kilometrów dalej; Francis zajrzał mu w oczy z wyraźnym zmartwieniem, ale nie zadawał pytań.

Jeszcze tylko Słowacja w Wels, w zabałaganionym mieszkaniu w bloku nad rzeką, i Rumunia w kawalerce w centrum Pardubitz i Gilbert mógł paść na łóżko w hotelowym pokoju.

Jutro środa; jutro tylko Belgia. Potem zahaczę o to moje-nie moje mieszkanie, powiem tej dziewczynie, by wyprowadziła się wcześniej… I jeszcze parlament… Muszę dopytać kogo trzeba o tę bursę przy orkiestrze… Dla tej małej od Litwy… I… I…

I potwornie zmęczony zapadł w sen, nie potrzebując nawet łyka mocnego alkoholu z minibarku.

Śnili mu się wisielcy.

***

Mucha z uporem maniaka próbowała przebić się przez szybę, brzęcząc coraz głośniej, im bardziej niewidzialna przeszkoda nie pozwalała jej odzyskać wolności; leżący na łóżku Feliks posłał owadowi rozdrażnione spojrzenie; przeszkadzała w rozmowie.

– Będę kończyć – szepnął czule do sprechera, dodając jeszcze kilka bardziej prywatnych słów, zarezerwowanych wyłącznie dla Taurysa; w odpowiedzi usłyszał zmieszany, cudownie ciepły śmiech. – Pa, mężu – dodał Polska, rozkoszując się brzmieniem tego słowa. – Dbaj o siebie. Tak, ja też będę… Labanakt, Tauri.

Rozłączył się z uśmiechem; wieczorne rozmowy, czy to z Litwą czy z Węgrami, stały się jego nowym nawykiem. Sprechery i telefony to był cudowny wynalazek; sprawiał, że przez moment setki kilometrów, które ich dzieliły, nic nie znaczyły…

Zerknął na muchę, która nie poddawała się w swoich próbach odzyskania wolności i mimowolnie poczuł do niej sympatię.

– Już, już – Wsunął bose stopy w klapki i ruszył na ratunek.

Okno otworzyło się ze skrzypieniem; mucha dobrą chwilę szamotała się po złej stronie szyby, nim okrążyła Polskę i wyleciała w ciemną noc, znikając gdzieś ponad trzepakiem.

Feliks oparł się łokciami o parapet, przyglądając się zagraconemu podwórzu na tyłach kamienicy. Porzucone sprzęty, jakieś zardzewiałe taczki i łopaty, oświetlone uliczną latarnią, rzucały dziwaczne, ostre cienie.

Długo rozmawialiśmy, zdał sobie sprawę, patrząc, jak wysoko znajduje się zanikający księżyc. Szkoda, że nie mogliśmy jeszcze spędzić więcej czasu ze sobą… Jak to wszystko się skończy, postanowił, nie wypuszczę go z objęć przez co najmniej miesiąc.

Ulice i podwórza były całkowicie puste; powinienem iść spać, pomyślał. Ale wcale nie jestem śpiący…

Wiatr sprawił, że włosy wpadły mu do oczu, a na odsłoniętych ramionach natychmiast wystąpiła gęsia skóra; tu, na wschodzie Rzeszy, było znacznie chłodniej niż w stolicy, ale to nie zimnem się teraz martwił.

Przebiegł wzrokiem po brudnych cegłach okolicznych budynków, czarnych dziurach bram i pozbawionych świateł okien, myśląc intensywnie.

Mógł wybrać znacznie lepszy nocleg, miał na to pieniądze, ale wątpił, czy w zadbanych hotelach w centrum Kurska znalazłby to, czego szukał. Wolał przygotować sobie bazę wypadową tutaj, w pracowniczym hostelu z łazienkami o niedomytych podłogach, udając dzieciaka szukającego roboty – miał przeczucie, że tak łatwiej złapie trop.

Nocną ciszę przerwały okrzyki; Polska odruchowo spiął się, ale głosy wzmocniły się i osłabły, gdy grupa młodych, głośnych ludzi przeszła obok wejścia na podwórze i zniknęła gdzieś w pobliskich uliczkach.

Feliks westchnął i sięgnął do kieszeni; wątły płomyk zatańczył między jego dłońmi i zgasł, ledwie zdołał odpalić papierosa. Dymem się nie przejmował; ściany pokoju i tak dawno zżółkły.

– Oddolna inicjatywa… – mruknął, zaciągając się. Palenie uspokajało, ale chyba powinien był to rzucić… Taurysowi się udało, tak jakby. – To pięć lat temu też zapewne było oddolne… Albo tak miało to wyglądać.

Istniała szansa, że były w to zamieszane lokalne władze i być może wojskowi, ale Polska był pewny, że wykonawcami będą, tak jak wtedy, dzieciaki z marginesu. Młodzi, biedni, zdesperowani, słabo wykształceni; do takich jest najłatwiej dotrzeć, najłatwiej przekonać do radykalnych działań. Im mniej się ma do stracenia…

Zdusił papierosa o parapet; drobinki popiołu uniosły się razem z wiatrem.

Jeszcze jedna kwestia go bardzo martwiła.

– Mam nadzieję, że jesteś cały, Antonio – szepnął Feliks, zamykając okno. – Cholera, teraz gdy jestem na drugim końcu imperium...!

Zasunął zasłony i zaczął przemierzać pokój od ściany do ściany; co dokładnie się wydarzyło? Był wtorek… nie, już środa. Minęło kilka dni od ostatniego kontaktu z Hiszpanią, co naprawdę zaczynało niepokoić Feliksa.

Alfred i Arthur potwierdzili, że nie mają żadnych wieści… Czy rząd naprawdę go uwięził? Polska zatrzymał się w pół kroku, a przed oczami stanęły mu wilgotne, wąskie cele, z których wyciągnął ich wszystkich Prusy w przypływie miłosierdzia, żalu czy sympatii, cholera go wie.

– Jeśli, tak, to mamy problem – powiedział do siebie. – Ale jeśli uciekłeś, to gdzie?

Zakładając, że Antonio zdołał zbiec, rząd z pewnością postawił już na nogi służby i wywiad; Hiszpania, będąc na swoim terenie, na pewno znał tysiące kryjówek – jak każdy z nich, niełatwo było wytropić personifikację we własnym kraju – ale jeśli był sam…

– Za granicę? – Feliks analizował dalej, wydeptując na dywanie kilometry swoich myśli. – Lizbona? Afonso na pewno udzieliłby ci schronienia, ale Portugalia to mały kraj, gdyby rząd Hiszpanii zaczął wywierać naciski… Do Maroka przez Gibraltar? Cholera, tam by cię nikt nie znalazł. Ale… – Feliks zatrzymał się i spojrzał na ścianę. Ciemne kropki nie świadczyły zbyt dobrze o higienie tego miejsca. – Ale mam przeczucie, że lada moment pojawisz się u Grisa.

Nawet gdyby Hiszpania zjawiłby się w Rzeszy, Polska nie był w stanie mu pomóc, nie tak daleko; cała nadzieja w Erzsébet. Feliks miał własne zadanie i właśnie dlatego przyjechał tutaj, do tego miasta blisko granicy, które pięć lat temu było na ustach wszystkich.

Jazda koleją przez Rzeszę była bardziej męcząca niż się spodziewał; nie mógł pozwolić sobie na drzemkę, cały czas zachowując czujność, ale to niemyślenie zmęczyło go znacznie bardziej, bo usiłując nie zesztywnieć na siedzeniu, jednocześnie unikał spoglądania przez okno, bojąc się coraz bardziej kolejnych tablic z nazwami miejscowości.

Gdy jechał z Taurysem z Kowna, czy też Neukaunas, dużo łatwiej było zająć czymś innym myśli, chociaż i tak widok Iglicy był bolesnym ciosem; tym razem Polska odwrócił głowę i wbił wzrok w drzwi wagonu w jedynym proteście, jaki był w stanie zrobić, dopóki pociąg nie przetoczył się po torach dalej na wschód.

Po prostu… nie chciał tego przeżywać kolejny raz.

Nie wiedział, ile tak przesiedział, z bezwiednie skulonymi ramionami, wciśnięty w kąt siedzenia, ale musieli przejechać przynajmniej kilkanaście małych stacji, bo pociąg co rusz zwalniał i przyśpieszał.

– A panienka czemu tak ciężko wzdycha?

Wyrwany z marazmu, Feliks zamrugał i niechętnie się odwrócił do współpasażera, który dosiadł się dwie stacje wcześniej. Starszy mężczyzna o siwej brodzie i sympatycznej twarzy co chwila mrużył oczy; Polska zorientował się, że to najprawdopodobniej słaby wzrok staruszka był przyczyną pomyłki.

Albo włosy, których Felek od dłuższego czasu nie miał okazji przyciąć; zresztą, to nie byłby pierwszy raz w historii, gdy ktoś go pomylił z kobietą.

– Tak jakoś… – mruknął niewyraźnie, bo wypadało coś temu panu odpowiedzieć. Postanowił nie wyprowadzać go z błędu; może sam rozpozna po głosie. A może nie; Feliks nie uznawał tej kwestii za szczególnie istotną, zwłaszcza teraz, gdy nie czuł się najlepiej. – Smutno mi po prostu – Słowa same wymsknęły się z jego ust.

Nie mogąc się powstrzymać, zerknął w okno, na znajome i nieznajome łąki i pastwiska, pośród których pociąg wciąż pruł przed siebie. Te małe wsie, czerwone dachy, wieża kościelna, to wszystko wyglądało tak... jak dawniej. Jakby wciąż było jego.

– Za swoim chłopcem może panienka tęskni?

– Właściwie to tak – Polska zmusił się do bladego uśmiechu. – Mam… wyjazd. Służbowy. Na niemal drugi koniec kraju i może nie być mnie w domu… kilka tygodni. Albo dłużej.

– Ciężko tak na odległość, prawda? – Mężczyzna pokiwał głową. – Trzeba o miłość ciągle dbać. Szczególnie, jak się jest daleko. Dzwonić, rozmawiać... Bo nie ma nic smutniejszego, niż para, która zaniedbała to, co było między nimi...

Feliks, nieco zmieszany, uciekł wzrokiem; dbać o miłość, pomyślał. Wtedy nie potrafiłem, byłem zbyt samolubny... Nie popełnię drugi raz tego błędu.

– Staram się – mruknął niepewnie, przygryzając wargę. – Ale nie wiem, czy robię to dobrze.

– A to czemu? – Zaciekawił się jego rozmówca.

Polska westchnął, ale postanowił kontynuować rozmowę; za oknem przebiegały kolejne wsie, łąki i pastwiska, tak boleśnie znajome horyzonty, że rozmowa, nawet na temat jego tęsknoty za Litwą, była lepsza od patrzenia za szybę.

Raz pozwolił sobie na takie spojrzenie i natychmiast tego pożałował; przejeżdżali akurat przez przejazd kolejowy, tak wolno, że bez trudu odczytał drogowskaz.

Warschau, miasto-ruina, miasto-pomnik, sześćdziesiąt kilometrów do Iglicy Żalu, wzniesionej tylko po to, by pokazać, że imperium żałuje.

Żałuje zniszczenia, wznosząc iglicę widoczną z wielu kilometrów, jednocześnie wrzucając polskie książki do archiwów, zastępując je niemieckimi przekładami w księgarniach. Półka za półką, gdy pułk za pułkiem atakował, podbijał i stabilizował kolejne regiony.

Nie było stosów płonących kartek, nie było wrzasku i zakazów; tylko cicha, skutecznie podsycana propagandą zmiana.

Polska pamiętał uczniów i młodych dorosłych, kujących pośpiesznie język – bo chociaż Imperium cofnęło stare zakazy i nigdy ponownie nie zabroniło używać języków ojczystych, tylko niemiecki ustanowiło językiem urzędowym i wykładowym – by dostać się na dobre studia i do dobrej pracy; bo może bunt siedział jeszcze w ludzkich sercach, ale z wolna wygasał, gdy trzeba było wyżywić rodzinę…

Wzdrygnął się i spojrzał na czekającego cierpliwie na jego odpowiedź staruszka.

– Dlatego… – Polska zawahał się, myśląc o Taurysie i jego zasmuconym spojrzeniu, gdy żegnali się na stacji. – Że już kiedyś nasz związek się rozpadł. Nie chcę, by się to powtórzyło. Zwłaszcza, że… że on sporo w życiu przeszedł.

Ja też, pomyślał Polska, mnie też potrafią dręczyć myśli i koszmary, ale daję sobie radę lepiej niż Licia. Chyba. Sam już nie wiem…

– Trzeba słuchać serca – Współpasażer przyglądał się Feliksowi, mrużąc oczy jeszcze bardziej. Potem na jego wysuszone, spierzchnięte wargi wystąpił łagodny uśmiech. – I naprawiać to, co się psuje – Dziarsko wstał i zacisnął palce na rączce walizki stojącej u jego stóp. Feliks zorientował się, że pociąg znów zwalnia. – Jak ktoś w życiu sporo przejdzie, to się robią odciski. I na ciele, i na duszy. Jedne i drugie trzeba pielęgnować, by zniknęły. Do widzenia, młody panie!

I wyszedł, zostawiając Feliksa samego w przedziale; na wspomnienie tej rozmowy Polska uśmiechnął się, kierując swoje myśli znów ku Taurysowi.

Ciężko było bez niego zasnąć; Polska usiadł ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, które zaskrzypiało pod jego ciężarem; sprężyny, które poczuł, nie zapowiadały wygodnego odpoczynku.

Niewygodne, wąskie, z cieniutką kołdrą we spranej, szarej poszewce, w niczym nie przypominało wygodnego, szerokiego łóżka w sypialni w Berlinie… i co najważniejsze, nie było teraz z Feliksem najważniejszej osoby.

Tak dobrze było kłaść się i budzić obok Taurysa, zwijać się w jego objęciach lub samemu otaczać ramionami; aż do teraz Polska nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był spragniony dotyku i intymności.

Licia zresztą też, zważywszy na to, że to on, z cudownymi rumieńcami na policzkach, zaproponował, by Feliks przestał spać na kanapie, zamiast tego zapraszając do swojej sypialni. Wisiały nad nimi czarne chmury, mieli swoje problemy, ale razem – naprawdę razem, we swoich objęciach – było o wiele, wiele lepiej.

Aczkolwiek była jedna rzecz, która w tym związku zaczynała Feliksa niepokoić.

– Nie chce wyjść na jakiegoś… – zaczął do siebie, ale szybko urwał. Przygryzając wargę, zaczął szukać wzrokiem sprechera. – Muszę z kimś o tym pogadać. Może po prostu mam paranoję… Ale…

Na samą myśl, by miał poruszać ten temat z Erzsi, robiło mu się niedobrze; Francis był świetny w te klocki, ale Feliks miał kategoryczny zakaz kontaktowania się z nim i Prusy by go zabił, gdyby dowiedział się, że dzwoni do Francji w takiej sprawie… Nie mówiąc już o tym, zdał sobie sprawę Polska, że nie znam numeru do Francisa. To Gilbert go ma…

– Nie wierzę, że to robię – Polska wziął do ręki sprecher leżący na kołdrze. – Ale skoro zachciało mu się bawić w swatkę… to niech poniesie tego konsekwencje.

Był środek nocy, ale Prusy odebrał niemalże od razu:

– Co jest?

Słysząc jego ostry, zaniepokojony głos, Feliks poczuł lekkie wyrzuty sumienia. Może powinienem był poczekać do rana, pomyślał. Ale skoro już zrobiłem jedną głupotę…

– Nic poważnego – powiedział cicho. – Chciałem po prostu z tobą o czymś pogadać.

– Pogadać? Ze mną? Zdajesz sobie sprawę, która jest godzina? – Głos Prus stracił na ostrości; zmęczenie, senność i wyraźna irytacja były teraz znacznie bardziej słyszalne. – Miej litość, idioto… Czego chcesz?

Polska poczuł się nagle strasznie głupio.

– Mogę… – zawahał się w pół słowa. – Zapytać cię o coś… bardzo prywatnego?

Nie musiał widzieć twarzy Gilberta, by wiedzieć, że ten osłupiał; w słuchawce przez moment panowała cisza.

– Chcesz mnie pytać o prywatne rzeczy o trzeciej w nocy – podsumował wolno Prusy. Potem ciężko westchnął. – Dobra, zaciekawiłeś mnie. Mów, pókim dobry.

Polska zaczął wiercić się na łóżku, czując, jak na jego policzki wpełza rumieniec. Gdyby ktoś mnie powiedział mi parę lat temu, że będę szukać porady u Gilberta, wyśmiałbym go, pomyślał zażenowany.

– Polen…

– Chodzi o Taurysa – wypalił Polska. – Jest coś, co mnie niepokoi.

– Boże, co znowu z tym mentalnym kaleką?

– Nie mów tak o nim! – Polska aż wyprostował się z oburzenia.

– Mówię tylko prawdę – odparł Prusy dziwnie spokojnie. Ponieważ Polska nie odpowiedział, Gilbert westchnął. – Mów, Polen.

Kaleka, pomyślał gniewnie Feliks. Jeśli chcesz używać tego słowa, zacznij od siebie. Też masz swoje własne dysfunkcje, Prusy. Żebyś się nie zdziwił, jak ci je kiedyś wypiszę punkt po punkcie…

Wziął głęboki wdech, postanawiając naprostować Gilberta kiedy indziej. Co pewnie nie będzie proste; im dłużej się żyje, tym mocniej pewnie rzeczy wsiąkają w ciebie i tym trudniej je wykorzenić, a przy ich stuleciach na karkach... Nie teraz, Felek. Nie teraz. Nie naprawisz świata i nie wyleczysz wszystkich na raz.

– Widzisz, jesteśmy ze sobą – szepnął Polska. – Ale mam wrażenie, że coś jest nie do końca tak, jak powinno.

– Z wami dwoma? Żadna nowość.

Feliks puścił przytyk mimo uszu.

– Obejmujemy się, całujemy i dotykamy i Taurys wydaje się być… no wiesz… raczej entuzjastyczny – zaczął Polska, czując jak rumieńce na jego twarzy zaczynają płonąć żywym ogniem. – Ale za każdym razem, gdy ma… eee… dojść do czegoś więcej… prawie za każdym, bo raz przerwał nam kot… On się wycofuje.

– Zaraaaz – Gilbert Beilschmidt po drugiej stronie kraju najwidoczniej zdębiał, sądząc po sposobie, w jaki wydusił z siebie to słowo. – Czy ty mnie właśnie pytasz, Polen, dlaczego Litauen nie chce się z tobą tarzać w pościelach?

Powiedziane na głos brzmiało to jeszcze gorzej; Polska przygryzł wargę.

– Jeszcze niedawno byłeś taki ciekawy, czy już ze sobą sypiamy czy jeszcze nie – burknął obronnie. – Nie wymiguj się teraz od odpowiedzialności.

– Skąd ja mam to wiedzieć? – Głos Gilberta był dziwnie spłoszony. Ha, pomyślał Feliks z odrobiną satysfakcji. Tu cię mam. Jesteś mocny tylko w gębie. – Ten poganin mi się nie spowiada.

– Obecnie jest ateistą… Mniejsza o to – Feliks wziął głęboki wdech. – Słuchaj, wiem, jak to brzmi, ale nie mam z kim o tym pogadać… Ja… Widzisz, ja pamiętam, jaki był, gdy byliśmy ze sobą… po raz pierwszy. Miał o wiele… zdrowsze podejście do seksu niż ja. Ja musiałem poukładać sobie wiele rzeczy w głowie, że…

– Polen – Gilbert brzmiał, jakby było mu niedobrze. – Ja nie chcę tego słuchać.

– Ale posłuchasz – warknął Feliks, szybko jednak się zreflektował. – Proszę.

Westchnienie.

– Dobra, kontynuuj.

– Nigdy się tak nie wycofywał – szepnął Feliks, przygryzając wargę aż do bólu. – Wydawało mi się, że znam go w tej kwestii… A teraz… Gilbert – jęknął bezradnie. – Po tym… co stało się Erzsi, naprawdę jesteś zdziwiony, że o tym pomyślałem? Że się niepokoję? Że czuję, że coś jest nie tak i nie wiem co? Że nie wiem, czy powinienem się tym martwić, czy nie?

Pytanie zawisło w eterze; Feliks z sercem wybijającym szybki, niespokojny rytm na jego żebrach wsłuchiwał się w dźwięki dochodzące ze sprechera; Prusy chyba zaczął chodzić po pokoju.

– Jeśli pomyślałeś o Iwanie – odparł Gilbert sucho. – Odpowiedź brzmi „nie”. Jego sadystyczne zapędy nie sięgają w tę stronę.

Polska z ulgą wypuścił powietrze.

– Tak sądziłem – przyznał, przyciągając kolana do klatki piersiowej. Sprecher leżał na jego ramieniu. – Ale chciałem mieć potwierdzenie. A ty… skąd to wiesz?

– Preludium.

Nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Jak to?

– Wiesz, jak doszło do Preludium, prawda?

Oczywiście, że wiedział.

– Rosja najechała trzy kraje bałtyckie – Polska zazgrzytał zębami. – Zaprowadziła własną administrację, a potem oddała je Rzeszy. W zamian za niemieckie kolonie w Afryce.

– Kontrola nad koloniami i tak była już tylko na papierze – odparł rzeczowo Prusy. – Ta wymiana była najlepszym wyjściem z sytuacji. Lepsze złoża gazu w garści niż diamenty na dachu. No i… to było dodatkowe zaplecze.

– Do ataku w trzydziestym dziewiątym – Polska przymknął oczy. Kolejne z bolesnych wspomnień. – Pamiętam, Prusy.

– Führer, pierwszy tego imienia, wysłał mnie jako sygnatariusza umowy. *On* też tam był.

– Rozmawiałeś z Iwanem o Licii? – zapytał Polska ze ściśniętym gardłem, gdy dotarł do niego użyty zaimek.

– Rozmawiałem? – parsknął Prusy w słuchawce. – Nie. On mówił. Ja niekoniecznie miałem ochotę go słuchać.

Polska zacisnął szczęki.

– Lubił go ranić i upokarzać, ale nigdy w ten sposób. Jeśli cię to uspokoi, Polen.

Polska zamrugał, czując jak łzy ulgi zbierają się pod jego powiekami.

– Dzięki – szepnął ze zduszonym gardłem.

– A teraz przestań się mazać i posłuchaj – zaczął Prusy ostro. Feliks drgnął i wyprostował się. – Zanim zmartwychwstałeś, nie wiem, czy Lit w ogóle coś brał do ust poza kawą. Może kocią karmę. Poza tym, widziałeś jego wyniki. Nie jest okazem zdrowia od wielu, wielu lat. I on to wie. Ma oczy i lustro. I potrafi wyciągać wnioski.

Polska przez chwilę rozmyślał nad słowami Gilberta; konkluzja sprawiła, że otworzył szerzej oczy.

– Czekaj, chcesz mi powiedzieć, że… że Licia się wstydzi? Że... że nie jest w takiej formie jak kiedyś? Że może... nie wiem... jakoś mnie rozczarować?

– Cóż – Nigdy, odkąd się znali, Feliks nie słyszał tak zażenowanego Gilberta. – Bądź co bądź, jest facetem. Samcza duma, czy coś. A wstyd to akurat jego drugie imię, to już powinieneś wiedzieć.

– Głuptas… – szepnął Polska czule. – Przecież nigdy bym… cholera, nawet gdyby tak było, to przecież nic okropnego… Porozmawiam z nim, jak tylko wrócę…

– Mam mu znowu dać w pysk, dla opamiętania? – podsunął Gilbert.

– Nawet nie próbuj – warknął Polska. – W kwestii metod nadal jesteś barbarzyńcą. – Prusy prychnął w odpowiedzi. – Obiecałem sobie i jemu, że nikt więcej na niego ręki nie podniesie. Na żadnego z moich przyjaciół. Dlatego załatwiłem wam broń. Ona jest do bronienia się, Prusy, gdybyś zapomniał – dorzucił po polsku.

– Twoja martyrologiczna etymologia na mnie nie działa.

– Wiem, jesteś przypadkiem beznadziejnym, ale warto było spróbować.

Prusy burknął coś jeszcze, a potem się rozłączył; Polska opadł na pościel i odetchnął z ulgą.

– Ty głuptasie – szepnął do mężczyzny, który zapewne teraz przewracał się bezsennie w łóżku niemal dwa tysiące kilometrów dalej. – Ty mój kochany głuptasie. Jak mam pozbyć się tych demonów z twojej głowy?

***

Na pół godziny przez pierwszą lekcją, szkoła była jeszcze cicha i pusta; jedynie nieliczni uczniowie, przyjeżdżający do niej komunikacją miejską, okupowali już ławki na korytarzach, ziewając, prowadząc rozmowy albo spisując ukradkiem prace domowe.

Taurys minął grupkę starszych chłopców, którzy na dźwięk jego kroków unieśli czujnie głowy, ale nie uznawszy go za zagrożenie, znów powrócili do kopiowania wypracowania; Litwa uśmiechnął się blado pod nosem, ale gdy tylko stanął przed drzwiami gabinetu dyrektora, jego mina zrzedła.

Obite skórą drzwi tłumiły dźwięk pukania; z wahaniem mocniej zastukał o futrynę. Rozmowy z pracodawcą nigdy nie były przyjemne; Taurys mógł mieć tylko nadzieję, że poranna irytacja już minęła.

– Kogo niesie? – Zza drzwi dobiegł ostry głos. Nim Litwa zdążył odpowiedzieć, otworzyły się z szarpnięciem. – A, Larinatis. O co chodzi?

Przed Litwą stało nemezis tej szkoły, dyrektor Meier w pełnej krasie; wysoki, szczupły, wyschnięty wręcz człowiek zbliżający się do sześćdziesiątki, ubrany w staroświecki brązowy garnitur, który krojem zbliżał się bardziej do munduru niż czegokolwiek, co Taurys widział w KaDeWe. Brakuje tylko pagonów, pomyślał.

– Przepraszam, że tak wcześnie, ale chciałem złapać pana dyrektora jeszcze przed lekcjami – Litwa zmusił się do uśmiechu. W nozdrzach zawirował mu zapach świeżo zaparzonej kawy-plujki; coś ścisnęło go w żołądku.

– Wejść – burknął Meier, cofając się do swojego masywnego, drewnianego biurka. Usiadł na fotelu, wskazując Litwie proste krzesło po drugiej stronie blatu; Taurys nie miał wyjścia, jak tylko sztywno na nim usiąść. – O co chodzi? Byle szybko, mam pracę.

Litwa wziął głęboki oddech. Wszyscy, zarówno nauczyciele, jak i uczniowie, unikali bezpośrednich kontaktów z dyrektorem, jeśli tylko mogli.

– Skontaktował się ze mną dawny znajomy ze studiów muzycznych – zaczął, widząc, że dyrektor niemalże od razu wydął lekceważąco wargi. – Szuka uczniów, którzy są dobrzy w grze na instrumentach...

– Niech szuka gdzie indziej – przerwał mu Meier z machnięciem dłoni; jakby odganiał natrętną muchę. – Wiesz, jakie mam zdanie na temat wrzucania ponadprogramowych głupot w głowy dzieciaków, Laurinaitis. I tak powinieneś się cieszyć, że zgodziłem się na tamten konkurs.

Litwa zmrużył oczy, czując rodzący się w nim gniew. Nie, nie dam się stąd wykurzyć, pomyślał. Cokolwiek byś mi nie powiedział, nie odejdę stąd, dopóki się nie zgodzisz.

Robił co mógł, by jego głos pozostał pewny, ale spokojny:

– Proszę, by pozwolił mi pan dokończyć.

Dyrektor uniósł brew i po krótkiej chwili skinął głową, wpatrując się w Taurysa nieruchomym spojrzeniem; jakbym patrzył w oczy żmii, pomyślał mimochodem Litwa.

– Słucham.

– Mój znajomy, pan Paccard – W ostatniej chwili Litwa przypomniał sobie nazwisko, którym Gilbert kazał go przedstawić. – Pracuje dla narodowej orkiestry w Königsbergu.

Tym razem w oczach Meiera błysnęło zainteresowanie; tu cię mamy, pomyślał Taurys z ponurą satysfakcją. Prusy miał rację; prestiż zawsze robi twoje.

– No, no – Meier złożył palce w piramidkę. – Mów dalej, Lauritis.

– Na zlecenie orkiestry szuka młodych talentów – zaczął pewnie Litwa, zachęcony wyraźnym zaciekawieniem dyrektora. Pirania połknęła haczyk. – W szczególności do sekcji wojskowej – dodał mimochodem. W oczach Meiera zapłonął ogień. – Zależy mu na pozyskaniu uczniów, którzy mogliby w przyszłości wzmocnić orkiestrę. Zapewniają zakwaterowanie, stypendium, wstęp na Albertynę i dodatkowe kursy bezpośrednio

od członków orkiestry. Oczywiście, nauka byłaby kontynuowana w jednej z placówek w Königsbergu. Mój kolega wspomniał mi, że mają tylko kilka miejsc – dodał, chcąc wzbudzić w dyrektorze poczucie okazji. – Spytał, czy mam jakichś kandydatów, zanim sam zacznie odwiedzać szkoły.

Meier poruszył się niespokojnie. Litwa mógł niemal zobaczyć, jak pod jego czaszką podziw dla armii walczy z przekonaniem, że uczniowie nie powinni zajmować się niczym oprócz nauki.

Siedząc niepewnie na skraju krzesła, ze wstrzymanym oddechem czekał na decyzję.

– Hmm… – Dyrektor potarł podbródek. – Na ogół takie rzeczy to strata czasu, ale narodowa orkiestra wojskowa to coś zupełnie innego… Tam też na pewno nauczą młodzież dyscypliny… Laurinaitisis, przychodzisz do mnie, bo? Uważasz, że ktoś z naszej szkoły ma potencjał?

Taurys zignorował kolejną deformację własnego nazwiska; za bardzo był do tego przyzwyczajony.

– Ursula Tausch, jak sądzę. Udzielałem jej dodatkowych lekcji przez ostatni rok. Ma duży talent i jeszcze więcej samozaparcia do pracy – odparł ostrożnie. – Myślę, że odpowiednio pokierowana, może w przyszłości dużo osiągnąć.

Meier w zamyśleniu pokiwał głową, chociaż Litwa był pewny, że miał zupełnie inną wizję, co oznaczało „odpowiednio pokierowana". Prusy zapewnił go, że większość wychowawców związanych z orkiestrą miała być cywilami; tego Meier nie musiał wiedzieć. To dziecko potrzebowało uwagi, zrozumienia i zachęty, a nie wojskowych regulaminów.

– Nie kojarzę, co to za dziewucha? – Meier wyciągnął z biurka jakąś teczkę i zaczął przerzucać kartki. Na jednej ze stron mignęły nazwiska.

Taurys westchnął w duchu.

– Szósta klasa. Z tego, co mi wiadomo, ma dość dobre oceny z pozostałych przedmiotów i nie… nie wyróżnia się złym zachowaniem.

– Widzę… – Meier czytał jakiś raport. Podsumowanie roczne, zorientował się Litwa. – Nie jest za młoda? A, prawda, zrobili zmiany w swoim prawie. Nic dziwnego, im młodsze… Cóż, Laurinaitis, ja nie widzę przeciwskazań. Dla naszej szkoły to żadna strata, a może nam się to opłacić, dobrze mieć znane nazwisko… Jak ten Paccard chce ją sprawdzić?

– Powiedział mi, że zwykle odpytuje z teorii i sprawdza praktyczne umiejętności. Mogę się z nim skontaktować i poprosić, by naszą szkołę odwiedził jako pierwszy – zaoferował się Taurys.

– Zrób tak – Meier skinął głową. – Z mojej strony, udzielę oczywiście formalnej zgody na przeniesienie do innej placówki. Pan niech zajmie się kwestią rodziców. Bez ich zgody nic z tego nie będzie – Oczy dyrektora mówiły, by lepiej coś jednak z tego było. – Stypendium, mówiłeś?

– Z tego co pamiętam – Taurys ostrożnie wybierał słowa. – To orkiestra pokrywa wszystkie koszty zakwaterowania, wyżywienia i edukacji aż do pełnoletności.

– I ułatwia studia na Albertynie? – Meier zastukał palcami w biurko. – Hojnie. Zawsze chcieli się pokazać od najlepszej strony… Dla rodziców to też korzystne, pozbyć się gęby do wyżywienia… Dobrze. Zostawiam tę sprawę tobie, Lauris. Pogadaj z rodzicami. I z dziewczyną. Na siłę jej przecież nie wyślemy. Niestety.

To była kolejna rozmowa, którą musiał dzisiaj przeprowadzić; skinął głową i wstał z krzesła.

– Coś jeszcze chcesz mi powiedzieć?

Zawahał się na ułamek sekundy; potem pokręcił głową. Jeszcze nie. Nie, dopóki nie doprowadzi tej sprawy do końca.

– Nic więcej – skłonił się lekko. – Do widzenia.

***

Przez zakurzone okna szkolnej sali wpadało ostre, wrześniowe słońce, pozornie dające złudzenie ciepła, jednak, gdy Taurys uchylił okien, by wpuścić do dusznego pomieszczenia świeże powietrze, to okazało się nieprzyjemnie chłodne; z westchnieniem zamknął okiennice, gdy tylko przewietrzył klasę.

Okienko, chwila ciszy między lekcjami; uporządkował już materiały lekcyjne i dokumenty, sprawdził instrumenty i przypomniał sobie, co powinien omówić na kolejnych zajęciach, a i tak pozostawało mu jeszcze dobre pół godziny do ich rozpoczęcia; opadł na krzesło na katedrze i westchnął.

Nie miał ochoty iść do pokoju nauczycielskiego i udawać spokojnego; nie, gdy tyle myśli kłębiło się w jego głowie.

Zastanawiał się, co działo się z Hiszpanią, tęsknił za Feliksem – w mieszkaniu znów było koszmarnie pusto i cicho – a na dodatek Berta zachowywała się dziwnie. Jeśli dzisiaj też będzie taka niespokojna, zawiozę ją od razu do weterynarza, postanowił strapiony. Coś jej zaszkodziło?

Sięgnął po nieuzupełniony dokument, który wydrukował, korzystając z tego, że zjawił się w szkole jako pierwszy z nauczycieli. Przebiegł wzrokiem po suchych formułkach; dobrze mieć to przy sobie, pomyślał. Dwie kopie; jedna ze standardową procedurą, druga w trybie natychmiastowym, gdyby sytuacja miałaby się pogorszyć…

– Zobaczymy, co będzie – szepnął do siebie Litwa, wstając od biurka. Z rękoma w kieszeni przeszedł na tył klasy i dotknął klapy pianina; po krótkim zastanowieniu usiadł do klawiszy, by oczyścić głowę. – Ale póki mogę jeszcze coś tutaj zdziałać…

Grał urywki; marsze z programu nauczania przeplatał ze starymi polonezami, wyciągał z pamięci skrawki ciekawszych kompozycji, przeplatał między sobą klasyków wiedeńskich; przerwy były długie, wyraźne, bo nigdy nie miał na tyle umiejętności, by tworzyć własne utwory i płynnie przechodzić między sobie znanymi.

Chwilę niepewnie grał „Marsz turecki”, jakby to mogło przywołać Polskę z powrotem do jego boku; westchnął i w przerwał w połowie. To było samolubne; sprawa, która zmusiła Feliksa do wyjazdu, była o wiele ważniejsza niż jego tęsknota.

Potem pod palce wpadły mu niespokojne, ekspresjonistyczne nuty młodego litewskiego kompozytora, te same, które Feliks odnalazł w jego materiałach; nijak nie pasowały do jasnej klasy, kłócąc się z surowym porządkiem, który miał cechować szkolnictwo. Taurys miał wrażenie, że za moment wpadnie tu dyrektor, przekonany, że do fortepianu dobrało się jakieś krnąbrne dziecko, gotów skarcić go za te nieharmonijne dźwięki.

Klasycy pasowali tu o wiele lepiej… Ale może zagra ten utwór uczniom na jakiejś luźniejszej lekcji; być może część się skrzywi, ale jeśli chociaż jedna osoba dostrzeże w tych dźwiękach coś więcej, wyczuje w tych tonach boleść, smutek czy niepokój niepozwalający jeść czy spać, Litwa uzna to za maleńki sukces…

Jego palce zastygły na klawiaturze, gdy ktoś cichutko, niepewnie zastukał w ramę uchylonych drzwi.

Przyszła, pomyślał. Jest jedyną osobą w tej szkole, którą przywołałaby muzyka. Odwrócił się i ujrzał Uschi; stała w progu, z przygryzioną wargą i ze zmarszczonym czołem.

– Cześć, Uschi – Litwa uśmiechnął się do niej lekko. – Wejdź.

– Co to za utwór, proszę pana? – zapytała cicho, przekraczając próg klasy powoli, jakby z wahaniem. Oparła dłoń na klamce; przez jej twarz przebiegł cień, nim cichutko zamknęła drzwi za sobą, a potem stanęła przy najbliższej ławce, łapiąc się za nadgarstek i patrząc w ziemię. Litwa dostrzegł jej przygryzioną wargę. – Kto go napisał?

– Nosi tytuł „Wizja” – odparł łagodnie. – To nikt znany, po prostu młody człowiek, którego kiedyś poznałem – dodał. Podejrzewał, że tak było; nie pamiętał tego spotkania, ale wielu rzeczy nie pamiętał, jeśli chodziło o wystawne obiady sprzed Preludium. Niestety, pomyślał przelotnie, nie da się wybrać rzeczy, których chce się zapomnieć i tych, które chce się pamiętać. – Znalazłem te nuty w swoich rzeczach. Zastanawiam się, czy nie zrobić lekcji o tym stylu. Co myślisz?

Uschi podeszła bliżej i przycupnęła na krześle przy ostatniej ławce.

– Gdyby tata to usłyszał, powiedziałby, że to kocia muzyka – odparła wymijająco.

– A co ty myślisz? – Taurys spoglądał na dziewczynkę. – Myślę, że znasz się lepiej na muzyce niż twój tata.

Uschi zerknęła na niego z zaskoczeniem, a potem jej kącik ust uniósł się odrobinę do góry. Litwa westchnął w duchu. Był kiepskim pedagogiem, tego był pewny, ale czuł, że chociaż jedną rzecz robi dobrze; bierze te dzieciaki na poważnie.

Uschi, wiercąc się na krześle, zastanawiała się przez moment.

– Może pan zagrać jeszcze raz? – poprosiła cicho.

Dźwięki znów popłynęły; Uschi słuchała w skupieniu.

– Jak niepokój – szepnęła, gdy Taurys skończył grać. – Brzmi jak niepokój w głowie. Bałagan. To znaczy… – zawahała się, przygryzając wargę. – Rozumie pan, prawda?

Litwa skinął głową; Uschi odetchnęła z ulgą.

– Nie powiedział pan dyrektorowi? – zapytała nagle. – Nie podsłuchiwałam – dodała szybko. – Po prostu widziałam, jak pan pukał do pana dyrektora… i… pomyślałam…

– Nie powiedziałem – odparł cicho Taurys, obracając się na taborecie, by siedzieć na wprost swojej uczennicy. – Ale, Uschi, obawiam się, że nie mogę tego tak zostawić.

Wbiła wzrok w podłogę; Litwa wziął głęboki oddech.

– Uschi, posłuchaj – zaczął cicho. Słowa na moment stanęły mu w gardle; tak ciężko było się tego przyznać. – Mnie też ktoś kiedyś krzywdził.

Nie widział jej oczu, skrytych pod grzywką, ale usłyszał, jak wciągnęła powietrze; w ciszy, która zapadła po jego słowach, wyczuł niepewność... i oczekiwanie.

Tak wiele teraz zależało od jego słów; próbował opowiedzieć to, o czym opowiadać nie chciał, zmieniając słowa i ich znaczenia; bo jak inaczej miałby przekazać tę historię – zrozumienie – tej dziewczynie, nie zdradzając jej tego, czym był?

– To było dawno temu, ale wciąż to pamiętam – A raczej, przypomniałem sobie; tak usilnie próbowałem zapomnieć, że na kilkadziesiąt lat mi się to udało. – I dalej... I dalej się tego wstydzę. Mój... mój kolega z klasy – Bardzo zły eufemizm na inną personifikację, ale Litwa musiał teraz mówić językiem ludzkich dzieci, a nie tysiącletnich istnień. – Wybrał mnie na... na swojego ulubieńca. To mnie najbardziej lubił bić. A ja... ja nie umiałem się przed nim obronić.

– Ktoś inny wiedział? – zapytała Uschi głosem tak cichym, że prawie jej nie usłyszał. Zaciskała palce na krawędzi krzesła tak mocno, że pobielały.

– Tak – Niech jego głos teraz nie drży; to było przeszłością. Liczyła się teraźniejszość i przyszłość, i to nie jego, a tego dziecka. – Inni. Ale chyba się za bardzo bali. Myśleli, że... że wtedy skupi się na nich. Nie mam im tego za złe.

– Co było dalej? – szepnęła Uschi, unosząc oczy. Były wilgotne; coś zabolało Litwę w serce. Tak młode dzieci nie powinny płakać.

– Któregoś dnia odszedłem... To znaczy, zmieniłem szkołę – poprawił się. – Bałem się odejść – przyznał szczerze. – Ale wiedziałem, że to było jedyne wyjście. Gdybym tam został... Byłoby coraz gorzej.

Pozostały mu jedynie wymijające, mgliste wyrażenia, ale miał nadzieję, że to wystarczy:

– Bałem się, że to się nie uda i znowu tam wrócę. Ale... ale się udało. Zacząłem żyć po swojemu.

Aż do czasów na dwa lata przed Preludium Bałtyckim; pamiętał, jak dowiedział się o rosyjskim najeździe i jak strach sparaliżował każdy cal jego ciała; na szczęście, Iwana nigdy w tym czasie nie ujrzał, jakby podbicie trzech bałtyckich kraików nie było czymś, czym Rosja miałby zajmować się osobiście.

Strach jednak pozostał i jakaś część Taurysa, mimo gniewu i wściekłości, czuła bolesną, wstydliwą ulgę, gdy to Trzecia Rzesza objęła władzę.

Cóż, pomyślał, na moment odwracając wzrok, to nie ona mnie złamała. Mogłem ich nienawidzić... ale się tak nie bałem.

– Nie wiedziałam – Głos Uschi był zdławiony; mrugała zawzięcie, wpatrując się w swoje kolana. Litwa spoglądał na nią smutno. – Dlatego... dlatego pan zauważył?

– Tak, ale żałuję, że nie zauważyłem wcześniej. Przepraszam.

Potrząsnęła głową.

– Niech pan nie przeprasza – powiedziała słabym głosem. – Ale... wie pan, ja mam tylko jego. Tylko tatę. I nikogo innego.

Litwa przymknął oczy; kim ja jestem, pomyślał, by odrywać dziecko od własnego ojca? Ale... ale czy ojciec, który podnosi rękę i niszczy pasję, jaka w tym dziecku płonie, może nadal nosić to miano?

– I nie wiem... – Drżenie w tym młodym, niepewnym głosie. – Gdzie bym miała pójść.

– A czy chcesz gdzieś pójść? – zapytał łagodnie Taurys, unosząc powieki.

– Gdy wracam do domu, jest w nim duszno – odezwała się po długiej chwili, nie patrząc mu w oczy. Spoglądała smutno na nieruchome klawisze pianina. – I strasznie cicho. Tak cicho, aż boli. Mam odrabiać lekcje, mieć wysokie wyniki i być cicho. Być... niewidzialna. Ale ja już nie chcę. Nie chcę się tak czuć.

Jej głos nabrzmiewał, dygotał i łamał się w pół:

– Dużo myślałam o tym, co pan mi powiedział. Że to nie jest w porządku, że tata... Raz mnie skrzyczał, wie pan? Że mi połamie ręce, jak znowu zacznę gadać o konkursach... Potem przepraszał, i mówił, że to nie na poważnie, i że nigdy by... ale... – Uniosła swoje palce do oczu. – Ale ja już mu nie wierzę – szepnęła. – Nie po tym…

Uniosła oczy i spojrzała Litwie w twarz; łzy lśniły w kącikach jej oczu.

– Boję się go – wyrzuciła z siebie. – Pani Walkenhorst mnie dzisiaj zaczepiła – dodała nagle. – Była taka miła… Powiedział jej pan? Jest pana dziewczyną, rozumiem, tylko…

Taurys wyciągnął dłoń i ostrożnie położył ją na ramieniu dziewczynki.

– Musiałem podzielić się z kimś swoimi podejrzeniami – powiedział cicho. – Nie chciałem wyciągać wniosków za wcześnie. Też zauważyła, że coś jest nie tak, nim jeszcze z tobą porozmawiałem. Obiecałem ci, że nie zrobię zamieszania, Uschi, i dotrzymam słowa. Mam nadzieję, że mi wierzysz?

Pokiwała głową, mrugając zawzięcie.

– Wierzę. Ale co ja mam zrobić, proszę pana? – zapytała, a bezradność w jej głosie prawie złamała serce Litwy. – Gdzie bym miała iść?

I tu pojawiał się Gilbert i jego plan; Taurys opowiedział uczennicy wszystko, co Prusy powiedział mu o królewieckiej orkiestrze, systemie stypendiów i programie dla młodych muzyków, ustanowionych przez Autonomiczny Kraj Prus ostatnimi ustawami.

Nie powiedział tylko, że nie było żadnego Gabriela Paccarda, wizytującego berlińskie szkoły; Prusy obiecał, że załatwi Uschi odpowiednie miejsce, a cokolwiek by o nim nie mówić, jeśli czegoś się podejmował, na ogół osiągał swój cel – Taurys miał pewność, że Ursula Tausch znajdzie się w odpowiednim miejscu o odpowiednim czasie.

Uschi milczała tak długo, że Litwa zaczął się już bać, że odrzuci ten pomysł. Nie zdziwiłoby mnie to, pomyślał gorzko, od Berlina do Königsberga, od stolicy do stolicy, jest taki szmat drogi…

– Zawsze marzyłam, żeby grać – szepnęła w końcu dziewczynka. – Jak mama, zawodowo. Ale... tak daleko... i sama…

– Wiem, że może to przerażać – szepnął ze zrozumieniem Litwa. Jak mama, zauważył. A więc pewnie tutaj tkwi ta nienawiść do muzyki… – Ale nie byłabyś całkiem sama.

W bursie mieszkaliby inni uczniowie, którzy też kochają grać. I jestem pewny, że znajdą się dobrzy wychowawcy. A Königsberg to naprawdę ładnie miasto, nad morzem białym… wschodnim – poprawił się. – Byłaś kiedyś nad morzem?

– Nie – Uschi potrząsnęła głową. – A pan był?

– Urodziłem się tam – Litwa uśmiechnął się czule. – Nie jest może tak piękne, jak morza na południu, nie tak słoneczne i ciepłe. Jest raczej chłodne i sine. Ale to wciąż morze. I gdy patrzysz w horyzont, świat nie ma końca. A gdy zamarza... to jakbyś znalazła się na śnieżnej pustyni.

– Nie wiedziałam, że morze może zamarznąć.

Pamiętam noce, gdy zamarzało wszystko, woda, wino i krew, pomyślał, na dalekiej północy, a ludzie mieli wilgotne, załzawione oczy i czerwone od mrozu dłonie; zbożowa kawa rozgrzewała obolałe, zesztywniałe mięśnie.

– Czasami się to zdarza – Uśmiechnął się do swojej uczennicy, szybko jednak spoważniał. – Uschi… Wiem, że to poważna decyzja. Przemyśl ją, proszę. Nie musisz odpowiedzieć mi teraz. Wiem, że to ogromna zmiana, ale nie potrafię pomóc ci w inny sposób – przyznał gorzko. – Nie chcę, żebyś dalej cierpiała.

Ramiona Uschi zadygotały; głośno pociągnęła nosem, spoglądając w podłogę.

– A czy tata się zgodzi?

– Ja i mój przyjaciel zrobimy co w naszej mocy, by go przekonać – przyrzekł jej Litwa.

Uniosła mokre od łez oczy; potem zsunęła się z krawędzi krzesła i zbliżyła się do taboretu przy pianinie, przy którym siedział Litwa. Wystarczyło tylko wyciągnąć dłonie, by Uschi wybuchła płaczem; skuliła się w ramionach Taurysa i łkała cicho, a całym jej ciałem wstrząsały dreszcze.

Szkoła była cicha, w żadnej z sąsiednich sal nie odbywała się teraz lekcja; Litwa pozwolił dziewczynce się wypłakać.

– Dziękuję – wyszeptała zdławionym głosem, z trudem, gdy podał jej chusteczkę. – I przykro mi, że pan... że pan też to zna. Tak nie powinno być.

***

Wiatr wpadający przez uchylone okno poruszał luźnymi, nie zszytymi kartkami i tylko kubek pełen kawy nie pozwalał im rozpierzchnąć się po całej kuchni.

Erzsébet nie poświęciła zaległej pracy ani jednego spojrzenia, rozstawiwszy przed sobą baterię lakierów; cierpliwie przesunęła pędzelkiem po płytce krótko obciętego paznokcia, obserwując, jak ten zostawia nań błękitny, migoczący złotymi drobinkami ślad.

Dziwnie było znów czuć lakier i jego zaskakujący ciężar; nie nosiła kolorowych paznokci od dobrych kilku lat, ale w jakiś magiczny sposób ten delikatny odcień niezapominajek sprawiał, że Węgry unosiła kąciki ust za każdym razem, gdy patrzyła na swoje dłonie.

To takie głupie, pomyślała. A jednak działa.

Przeniosła wzrok na stojący na kuchennym blacie dzbanek; pęknięcia ceramiki płonęły najszlachetniejszym złotem. Powinna położyć go na komodzie w sypialni, obok

wiecznego pióra, eleganckiego podarunku od Rodericha, chociaż wątpiła, by obaj byliby zadowoleni z takiego sąsiedztwa…

– Nie sądziłam, że jest w tobie tyle romantyzmu, Gilbert – zachichotała do siebie, patrząc na naczynie z czułością, a potem westchnęła, przypominając sobie dwie ostatnie wizytacje.

Dobrze, że Prusy ostrzegł ją wcześniej – co oni by zrobili bez nielegalnych sprecherów? – że oficerowie tym razem przeszukają jej mieszkanie, zamiast zostawać pod drzwiami; führer ukrócił dotychczasową samowolkę Gilberta.

– Na razie tańcz tak, jak on gra – szepnęła mu w słuchawkę, późną nocą, świadoma słów, które z ust Gilberta nie padły. Nie musiał nic mówić. – Ja sobie poradzę, mówiłam ci.

Nieprzekonane, ciche mruknięcie w słuchawce było wówczas jedyną odpowiedzią; Erzsébet westchnęła wróciła myślami do poprzedniego dnia.

I wczoraj i przed tygodniem powtarzała sobie to samo, gdy stała nieruchomo przed drzwiami, nasłuchując kroków, na długo przed umówioną godziną. To Gilbert i dwóch mężczyzn, za których Gilbert ręczy…

Zgrzyt mechanizmów ruszającej windy sprawiał, że dłonie drżały jej jak w febrze; mocno zacisnęła je na klamce. Otwarcie drzwi na rozcież jest koszmarnie trudne, gdy wszelkie instynkty każą je zatrzasnąć.

A przecież nic nie miało się stać; mieli tylko przejrzeć rzeczy osobiste.

Pamiętała pierwszą wizytację po wyjściu ze szpitala; Prusy, nie patrząc jej w oczy, zatrzymał oficerów krótkim rozkazem na zewnątrz i tak skończyło się to, do czego Węgry zdołała przyzwyczaić się przez kilkadziesiąt lat; przeglądanie korespondencji, szafek i szuflad z bielizną.

Od tamtej pory Prusy jedynie upewniał się, że czasem na nagraniach pojawi się szelest papieru, szum odsuwanej szuflady czy skrzypnięcie drzwiczek szafy, pytanie czy jakiś nieistotny komentarz; ba, Erzsi uniosła kącik ust w bladym uśmiechu, niekiedy Gilbert zachowywał się tak, jakby Jannik i Dumitresch naprawdę do mieszkania weszli, rzucając komentarze i ponaglenia.

Szopka się skończyła, pomyślała, przymykając oczy. Nie może narażać się führerowi bardziej… Tak naprawdę, to nic nie powstrzymuje Weigla przed tym, by gdzieś go zamknąć. Jak Antonia… Gdyby tylko zechciał...

Czy Prusy rozmawiał z tą dwójką, czy nie, nie była w stanie stwierdzić; gdy przyszli, nie mogąc się powstrzymać, snuła się za nimi i niemalże zaglądała przez ramię, gdy przemierzali każdy cal jej mieszkania – kuchnia, łazienka, sypialnia… Bez słowa, bez emocji, metodycznie; Gilbert unikał patrzenia jej w oczy.

Tak już kiedyś było, pomyślała, opadając na krzesło po ich odejściu, gdy w mieszkaniu zapadła przeraźliwa cisza, mając wrażenie, że gdzieś wybuchł pożar, który wypalił cały dostępny tlen. Widzisz, Erzsi? Nic się nie zmieniło. Wizytacja wyglądała dokładnie tak, jak sprzed paru laty. Dlaczego czujesz się więc tak koszmarnie?

Pokręciła głową, patrząc na otwarty lakier do paznokci i dmuchnęła na palce, czekając aż wyschnie; żeby zniknęła ta pozorna kobieca bezbronność.

Ciężar broni na udzie był dziwnie pocieszającą rzeczą; łatwo było ukryć colta pod letnią, zwiewną sukienką, a rewizji osobistych nie przeprowadzano od momentu wypuszczenia ich z cel; uważając na lakier, Węgry dotknęła stali opuszkiem palca.

To było proste; rękojeść, magazynek, spust.

Nazywam się Węgry, Erzsébet Héderváry. Czego się boję? Obecnie dotyku. Szczególnie męskiego. Co jest ironiczne, bo przez całe stulecia przyjaźniłam się głównie z chłopcami. I sama przez pewien czas... myślałam o sobie jak o chłopcu. I nigdy przez myśl mi nie przeszło, że mogłabym...

Zacisnęła usta. Życie bywało okrutnie przewrotne.

Dwa tygodnie. Zostały dwa tygodnie.

Przymknęła oczy. Colt przyjemnie leżał w dłoni, tej samej, za którą trzymał ją Gilbert, gdy szaleńczo tańczyli w klubie.

Mówiłeś, że jeślibyś ich spotkał, powiesiłbyś tych skurwysynów na gałęzi, pomyślała dziwnie spokojnie. A ja bym ich zastrzeliła. Tym coltem. Będę na to gotowa. Ale wiesz, Gilbert? Myślę, że ich nie spotkam. Tuluza ma milion mieszkańców.

Nie będzie dramatycznej zemsty jak w tych głupich powieściach, które tłumaczę. Wiesz za to, kogo spotkam? Ciebie. Feliksa. Taurysa. Walczących w słusznej sprawie, mimo że wszyscy... Ty też, Gilbert, wszyscy mamy w sobie coś, co nas truje od środka.

I dlatego... mimo że tak się boję... Odzyskam kontrolę nad własnym życiem, chociażby będzie to ostatnia rzecz, którą w tym życiu zrobię.

Zamknęła spokojnie buteleczkę z lakierem; potem jej sprecher rozświetlił się numerem nielegalnego sprechera Taurysa Laurinaitisa.

– Słucham? – szepnęła do słuchawki.

– Erzsébet – głos Taurysa był napięty. – Jedź na granicę, proszę.

***

Osiedle, na którym Feliks się znalazł, nie wyglądało wcale okazale; jednorodzinne domy rozsiadały się wzdłuż wąskich uliczek odchodzących od głównej drogi, zastawionych samochodami o podobnej kondycji i wieku, co Volkswagen Taurysa. Ich elewacje domagały się jednogłośnie odmalowania, a idąc po chodnikach Polska musiał uważać na to, gdzie stawia stopy; zbyt wiele wystających kostek, pomyślał, obrzucając wzrokiem okolicę. I zbyt wiele wyrwanych siłą, dodał do siebie, patrząc na sporą wyrwę pod swoimi nogami. Muszę uważać na typów, którzy zaoferują mi kupno takiej cegiełki...

Widział już centrum miasta i co zamożniejsze dzielnice; Rzesza dbała o to, by to skupione na przemyśle miasto prezentowało się może nie pięknie, ale przyzwoicie, ale im dalej Feliks się zapuszczał, tym więcej widział zaniedbań, śmieci na poboczach i podejrzanych typków.

Lokalna gazeta poinformowała go, że to osiedle jeszcze przed kilkoma miesiącami było pobliską wsią; artykuł podkreślał, jak wiele inwestycji na tym terenie planują władze, by ludziom żyło się lepiej, na razie jednak żadnych zmian nie widział.

Lepiej dla nich; może jeszcze nie zatarto wszystkich śladów.

Zamach w Kursku, zamach pod Kurskiem, pomyślał, snując się poboczem głównej drogi i zerkając na tablicę informującą go, że zaraz opuści teren miasta; to była jedyna wskazówka, że Kursk kończy się tutaj; po obu stronach znaku na podwórkach biegały kurczęta.

Zawsze wydawało mi się to dziwne, wspomniał, obserwując ukradkiem otoczenie. Zamachowiec zwykle celuje albo w konkretną osobę do wyeliminowania albo w duży obiekt, by zabić jak najwięcej. A ten zamach miał miejsce na wsi; wybuchały zaparkowane, puste samochody, domy nie ucierpiały, a zamachowcy strzelali do wojska, które tu zostało wezwane z pobliskiej bazy... Głównie do nich.

Przystanął.

– Zginęło wtedy czterech mieszkańców – mruknął do siebie Polska, korzystając z tego, że jest sam. – I kilkunastu żołnierzy i policjantów, pamiętam te nagłówki... Myślę, że cywile zginęli przez przypadek. To nie był zamach nastawiony na sianie zniszczenia, tylko pokaz siły, prowokacja... Wysłanie wiadomości.

Stopy powoli odmawiały mu posłuszeństwa; od rana włóczył się po blokowiskach i takich przedmieściach, a już zmierzchało.

Minęła go jakaś kobieta w średnim wieku; Feliks wyczuł okazję.

– Przepraszam bardzo – zawołał za nią. – Jest tu jakiś sklep czy coś? – zagadnął niewinnie, wymownie, nieco przesadnie pokazując puste kieszenie. – *Sigarety* mi się skończyły.

Kobieta spojrzała na niego oceniająco; Polska uśmiechnął się doń nerwowo.

– Tam zaraz za zakrętem – Wskazała mu ręką kierunek.

– Dziękuję bardzo! – powiedział szczerze. – Miłego wieczoru!

Kobieta odpowiedziała mu nieco zdystansowanym uśmiechem i podążyła w swoją stronę; akcent pasuje, odnotował Feliks. Brzmię jak tutejszy.

W swoich znoszonych, prostych spodniach i luźnej bluzie, z włosami spiętymi w niedbały koczek, Feliks nie sprawiał wrażenie ani kogoś groźnego ani podejrzanego; młody wygląd nie raz i nie dwa ułatwił mu życie, gdy musiał się gdzieś przekraść, a znajomość języków była kolejnym atutem – mógł łatwo udawać tutejszego nastolatka, włóczącego się wieczorami po okolicy.

Kilka minut później znalazł sklep, wyglądający tak, jak podświadomie tego Polska oczekiwał; niewielka bryła poszarzałego budynku, z drzwiami zamykanymi żeliwną kratą i pokryty niedbałym graffiti.

W miarę jak zbliżał się do budynku, chcąc jedynie kupić papierosy – i może zagadać do ekspedientki – tym bardziej w oczy rzucał mu się jeden niewielki, brunatnoczerwony napis na ścianie sklepu. Litery zlewały się z resztą napisów w jeden barwny bałagan, ale Feliks widział je wyraźnie.

Odruchowo zwolnił kroku; no proszę, pomyślał. Nie sądziłem, że znajdę to tak szybko. To cholerna grażdanka.

Rzesza kochała swoje gotyckie pismo, zdobiąc nim wszelkie oficjalne dokumenty czy tablice pamiątkowe, ale w codziennym użyciu była prostsza antykwa; natomiast cyrylicy w miejscu publicznym Feliks nie widział od bardzo, bardzo dawna.

Precz.

– Bingo – wyszeptał do siebie i właśnie w tym momencie ze sklepu wyszła grupka głośnych, młodych ludzi, każdy z butelką piwa w ręce. Polska natychmiast zmienił plany, widząc, że młodzież nie zamierza odejść, wdając się w rozmowę między sobą.

Pięciu chłopaków i dziewczyna, szybko przyjrzał się grupie, korzystając z tego, że jeszcze go nie zauważyli. Palili; jeden z chłopaków właśnie chował zapalniczkę do kieszeni. W zapadającej szarości zmierzchu ogniki papierosów jarzyły się jak świetliki. Zerknął tylko na etykietę na butelkach i rozpoczął realizację planu.

Minął ich spokojnie, odprowadzany zaciekawionymi spojrzeniami, i wszedł do maleńkiego, wręcz klaustrofobicznego sklepu; ponad ladą, na półkach sięgających do sufitu, ściskały się produkty spożywcze. Młoda kobieta, wyraźnie znudzona, uniosła wzrok znad gazety.

– Co podać?

Poprosił o butelkę piwa i paczkę papierosów, życzył szczerze miłego wieczoru – twarz ekspedientki rozjaśniła się nieco – i wyszedł na zewnątrz.

– Macie może ognia? – zapytał.

Spojrzeli nań oceniająco; potem jeden z nich wyciągnął ku niemu odpaloną zapalniczkę.

– A ty to kto?

– Max – odparł gładko Polska, odpalając papierosa. Jeszcze trochę minie, nim rzucę, pomyślał. Wspólne nałogi dobrze łamią lody. – Przyjechałem do ciotki. Nie wiecie może, gdzie tu można się zaczepić o jakąś robotę? – dodał, szybko obrzucając ich wzrokiem.

Wcześniej wziął ich za młodzież, z bliska jednak widział, że byli już po dwudziestce; jedynie dziewczyna wyglądała na młodszą.

– Tu szukasz roboty? – prychnął jeden z nich. – Źle trafiłeś, stary.

– Czemu? – Feliks sięgnął do kieszeni i jednym ruchem otworzył piwo otwieraczem. Od niechcenia pociągnął łyk; straszny sikacz, pomyślał, próbując się nie skrzywić. Dlatego był taki tani. – Nieważne jaka, trzeba mi forsy… Max jestem – powtórzył, wyciągając dłoń.

Nie mieli innego wyjścia niż ją uścisnąć; Polska wsłuchał się w ich imiona, szukając jakiegokolwiek punktu zaczepienia, ale wszystkie brzmiały typowo niemiecko.

– A tam, nieważne.

– W sumie, jakbyś chciał… – zaczął inny, ale został szybko uciszony; Polska uniósł brew.

– Jakbym chciał co? – zagadnął wesoło, unosząc butelkę do góry. – No nie bądźcie tacy. Tak źle jest w Kursku z pracą, że nie chcecie się podzielić cynkiem?

– Coś tam jest – Dziewczyna wywróciła oczami. – Czemu do urzędu nie pójdziesz, tylko nas pytasz?

– Byłem – Polska nawet się nie zająknął. – Ale chcą tam ode mnie papierków, których nie mam i za które nie chcę płacić rządowi – dodał z rozbrajającą szczerością.

Ten, który podzielił się ogniem, Elias, tylko parsknął:

– Ciebie też skreślili za brak prawa jazdy?

W niewygodnych czy niespodziewanych rozmowach warto było mieć jakiś napój w dłoni; Feliks pociągnął długi łyk piwa, szykując odpowiedź:

– Od dziecka siadałem za kółko, nie potrzebuję na to papierka z Berlina.

– Swój chłop – zarechotał Elias. – Słuchaj, Max. Będziesz ty tu jutro?

– Mogę być – Feliks wzruszył ramionami, uśmiechając się chytrze w duchu. – Na razie nic więcej do roboty nie mam.

Cała piątka spojrzała po sobie.

– Może mogę załatwię ci jakąś fuchę. Ale to nic pewnego.

– Luzik – Feliks pokiwał głową i upuścił wypalonego papierosa na ziemię; zdusił go butem. – Dzięki.

Jego spojrzenie padło na buty dziewczyny i przez moment nie potrafił oderwać od nich wzroku. Samo obuwie, ciemne, na płaskim obcasie i z cienką podeszwą, nie wyróżniało się niczym szczególnym; to dodatki, które przy nich nosiła, nadawały im charakteru. Guziki w tysiącu kolorów, przedziurawione kapsle i monety, niemieckie marki, przez które przewleczono stare sznurowadła, dźwięczały przy każdym kroku. Polska uchwycił nawet biżuterię; kolczyki z brakującym oczkiem, wielobarwny, emaliowany...

Zamrugał, patrząc tępo na buty.

Emaliowany, wielobarwny okrąg, który powinien być na jej palcu, a nie ocierać się o żwir i nieostrzyżoną trawę... Ring, kolco...

– Ej, a z tobą co?

Chociaż wieczór był chłodny, po plecach Feliksa spływał pot; zdał sobie sprawę, że jego serce bije szaleńczo, jakby próbowało wyrwać się z klatki piersiowej, gdy tak patrzył na te niewinne ozdóbki butów.

Ring, kolco, gyűrű, jak powiedziałaby to Erzsi we własnym języku... Ale jak to słowo brzmiało po polsku?

– Nic – wydusił z siebie.

Nie pamiętam. Mój boże, nie pamiętam... Czy to... czy to jest to uczucie, o którym mówił Licia? Patrzeć na coś i nie potrafić nazwać, nie pamiętać własnego... Zacisnął mocno szczęki.

– Nic, w porządku. Zamyśliłem się – dodał gładko, prostując się i przywołując na swoje usta uśmiech. – Dzięki serdeczne. Zajebiste buty – dodał do dziewczyny; ta się rozpromieniła.

Gdy odeszli, został sam pod sklepem. Jakieś dziesięć minut później na zewnątrz wyszła ekspedientka, rzuciła do niego, że zamyka już na dzisiaj i zatrzasnęła kratę. Feliks zmusił się do uśmiechu i wskazał jej niedopite piwo; skinęła głową i po zamknięciu kraty na kłódkę, po prostu odeszła.

Feliks oparł się plecami o ścianę i spróbował zapanować nad oddechem, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że cały się trzęsie.

Uspokój się, Felek, pomyślał chaotycznie. To najzupełniej normalne, że nie mogłeś sobie przypomnieć tak oczywistego słowa… To tylko chwilowe zaćmienie umysłu, ludziom zdarza się to cały czas… Ale… Ale ja nie jestem człowiekiem, prawda?

Przed oczami stanęło mu zagubione spojrzenie Taurysa, gdy stał w sklepowej poczekalni, z palcami znieruchomiałymi na guzikach zapinanej koszuli; ja już chyba nie jestem Litwą…

Polska nerwowo przesunął kciukiem po palcach drugiej dłoni; jak to się nazywało? Sygnet? Nie, to nie to. Nosił kiedyś sygnety, ale one już dawno przepadły w mroku dziejów, zgubione, skradzione lub sprzedane, gdy bieda zaglądała w oczy… Obrączka? Blisko. Taurys i on nigdy nie nosili obrączek…

– Palce – szepnął do siebie we własnej mowie, gorączkowo próbując zmusić swój wystraszony umysł do myślenia. – Palce… Kiedyś, dawno, dawno temu… Paluch to kciuk, krzciuk, cholera, nie pamiętam momentu chrztu, ale palec to *prst*… – Przygryzł mocno wargę; ból otrzeźwiał. – Pierścień – wyszeptał, patrząc na swoje nagie palce. – Pierścionek.

Polska przymknął oczy i odetchnął głęboko, gdy ulga rozlała się po jego ciele. Chwilę jeszcze stał tak nieruchomo, wdychając chłodne powietrze nocy i czekając, aż jego serce wróci do normalnego rytmu.

Bardzo chciał teraz przytulić się do Taurysa.

***

Gris spoglądał na nią nieufnie, ale ponieważ podała prawidłowe hasło, cofnął się i wpuścił ją do mieszkania; natychmiast uderzyła ją gęsta, duszna woń papierosów.

– Tam – Przemytnik wskazał jej jedne z drzwi, gdy tylko weszła do mieszkania.

Erzsébet, wstrzymując oddech, nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły bez najmniejszego dźwięku.

Okna zasłoniętego ciężkimi, ciemnymi zasłonami. Na wąskim łóżku, przypominającym bardziej wojskową pryczę, siedział mężczyzna; opierał łokcie o kolana i przytrzymywał rękoma obandażowaną głowę.

Gris, sięgnąwszy ręką – Erzsébet odruchowo się wzdrygnęła, zauważywszy kątem oka ruch tuż za nią – włączył górne światło, które sprawiło, że nawet ona musiała zmrużyć oczy.

– Ach, coño! Gris, ty…

– Masz gościa.

Węgry zrobiła dwa kroki do przodu; mężczyzna uniósł głowę i posłał jej szeroki uśmiech.

– Cześć – rzucił lekko. – Ciebie też Feliks wkręcił w tę zabawę?

– Nic się nie zmieniłeś, Antonio – szepnęła Erzsébet, przyglądając się wysokiej, muskularnej sylwetce Hiszpanii. Żadnych śladów zmęczenia, choroby, utraty formy i sił; opalona skóra miała zdrowy odcień, ciemne włosy błyszczały, a oczy migotały

z rozbawieniem w świetle lampki. Tylko ten opatrunek na głowie zaprzeczał, jakby Antonio był okazem zdrowia. – Nic a nic.

– Za to ty wyglądasz uroczo w krótkich włosach, Hungría – stwierdził Hiszpania z rozbrajającą szczerością. – Ale przyznam, że spodziewałem się raczej węgierskiego.

Erzsébet zamrugała; nawet nie zwróciła uwagi na to, w jakim języku się odezwała.

– Mój niemiecki mocno zardzewiał – dodał Antonio, prostując się. Potem przez jego twarz przebiegł bolesny grymas. Dotknął palcami bandaża i skrzywił się. – Gris, masz może jakieś rozmówki?

Erzsébet nie mogła się nie uśmiechnąć.

– Masz nam dużo do powiedzenia.

Antonio podniósł głowę jeszcze wyżej; wzdłuż linii jego szczęki ciągnęło się wąskie, rozognione zadrapanie.

– Mam nadzieję, że przywiozłaś jakieś dobre wino, bo to będzie długa opowieść.

Rozdział XXVII: Niechciane owoce

Niewiele było rzeczy na świecie dorównujących zwierzęcej wierności; Taurys Laurinaitis był tego pewny.

Od zawsze czuł sympatię i słabość do dzikich i wolnych wilków, szukając w ich nocnych nawoływaniach dawnych historii swoich ludzi. Stajenne koty ocierały mu się o nogi, gdy oporządzał swoje wierzchowce. Niskie, wytrzymałe kuce zabierały go na długie przejażdżki, samotne albo w towarzystwie Nikolaia albo Feliksa.

Ogary, rzucające się na zwierzynę w czasie łowów, łasiły się do jego rąk, gdy ukradkiem rzucał im smakołyki podczas uczt, a szczere, ciemne oczy wysmukłych chartów liżących jego spracowane dłonie, gdy siedział w bezruchu w zimnej, ciemnej kuchni, przynosiły milczące pocieszenie.

Pamiętał, że jedno szczenię z tamtej rosyjskiej psiarni zabrał ze sobą do Kowna, ratując z rąk rewolucjonistów; odwdzięczyło się ponad dekadą bezinteresownej przyjaźni.

A teraz miał Bertę; gdy wracając z pracy znalazł na podłodze kuchni mokre fusy z kawiarki, której zapomniał rano opróżnić, a pośród nich krążącą alarmująco, nawołującą głośno kotkę, nie zastanawiał się zbyt długo.

I tak znalazł się tutaj; duszne powietrze przesiąknęło do cna ostrą wonią medykamentów, środków odkażających i najróżniejszych zwierząt. Litwa siedział sztywno na krześle, oddychając przez usta i mając nadzieję, że to nic poważnego.

– Jak na moje oko, jest w doskonałym zdrowiu, proszę pana – Weterynarz ostrożnie pogłaskał nastroszone futro Berty. Ta posłała mu nieufne spojrzenie i prychnęła z dezaprobatą. – Już, już. Nie lubisz obcych, co? Od kiedy się tak zachowuje?

– Od kilku dni – Taurys przyglądał się pupilce z troską. – Nigdy tego nie robiła. To znaczy, odkąd ją mam – poprawił się. – Znalazłem ją na ulicy, gdy była kociakiem. Mieszkam... długo mieszkałem sam. Nigdy nie była aż tak niespokojna, nawet jeśli zostawała sama na większość dnia.

Berta odwzajemniła spojrzenie i powoli mrugnęła. Jej ogon uderzał rytmicznie o blat stołu, świadcząc o rosnącej irytacji.

– Częściej miauczy, ociera się, zrzuca przedmioty. Gdyby nie była wysterylizowana, pomyślałbym, że ma ruję.

– Cóż, czasem się zdarza, że jest źle przeprowadzona... – Weterynarz przytknął palec do brody. – Ale dziwne, by po takim czasie... No nic, zrobimy dodatkowe badania. Spokojnie, piękna... Swoją drogą, wie pan, że całkowicie rude umaszczenie u samic to rzadkość? Gen jest sprzężony z płcią. Oboje rodziców tej ślicznotki musiało być rude.

Litwa nigdy się nad tym nie zastanawiał, ale kwestia zdrowia Berty była teraz dla niego o wiele istotniejsza niż barwa jej futra.

– Mam wrażenie, że chce zwrócić na coś moją uwagę – stwierdził cicho. – Jest naprawdę mądra.

– Nie wątpię. Zrobimy badania, zadzwonię do pana, gdy będziemy mieć wyniki.

Berta syknęła przeraźliwie, łypiąc spode łba na Taurysa; ten westchnął.

Miał nadzieję, że to nic poważnego.

Nad Lourdes świeciło słońce; Erzsébet przyglądała się starym, zaniedbanym kamieniczkom, odsunąwszy nieco ciężkie, aksamitne zasłony, niegdyś czerwone, obecnie spłowiałe od południowego słońca. Uliczka poniżej na przemian zaludniała się i pustoszała, gdy rytm miasteczka wyznaczały dzwony pobliskiego kościoła.

Najchętniej uchyliłaby okno, by wpuścić do środka trochę górskiego powietrza, ale wtedy ich rozmowa przestałaby być prywatna; musiała przyzwyczaić się do woni mocnych męskich perfum, maskujących odór papierosów.

– Przyszli po ciebie w piątkę? – zapytała, odwracając się. – Jak udało ci się uciec?

– Mam parę asów w rękawie, Hungría – Antonio uśmiechnął się do niej, ale potem spoważniał. Co rusz dotykał palcami świeżego bandaża na głowie, nie mogąc doczekać się, aż będzie mógł go zdjąć. – Zaskoczyli mnie – dodał ciszej. – Powiedzmy, że trochę nie docenili moich umiejętności, ale przez chwilę było krucho. Dobrze, że mieszkam... mieszkałem, bo to mieszkanie już jest chyba spalone, na parterze. Uciekłem przez okno i udało mi się ukryć, nim ktoś zauważył ślady krwi na ziemi.

– Rana powinna szybko się zagoić – stwierdziła Erzsébet. Nie było żadnego powodu, by twierdzić, że będzie inaczej; Hiszpania pozostawał personifikacją w każdym tego słowa znaczeniu.

– Ta tak – Hiszpania oklapł. – Zdrada boli bardziej.

Na to proste, szczere zdanie Węgry nie miała odpowiedzi; westchnęła i przeszła przez zaciemniony pokoik, siadając obok Antonia. Coś w niej zaszamotało się szaleńczo z powodu jego bliskości, ale zacisnęła zęby; nie będę się teraz z tobą męczyć, pomyślała gniewnie. Zbyt dużo czasu już przez ciebie straciłam.

Antonio nie zauważył, jak sztywna była jej sylwetka i jak napięte, gotowe do ucieczki mięśnie, a długość jej włosów najwidoczniej uznał za kaprys.

– Premier od dłuższego czasu kumpluje się z waszym führerem – Hiszpania patrzył przed siebie, na zapakowane kartony z przemyconymi papierosami. – Nie powiem, że mnie to dziwi. Rzesza jest ogromna i jest właściwie jedynym sąsiadem, którego mój kraj mógłby się obawiać, a wiemy, ile potrafiła zrobić, by dostać to, czego chce. Dla wielu ludzi w moim kraju przyjazne stosunki z Rzeszą są gwarantem bezpieczeństwa.

– Byłeś temu przeciwny? – zapytała Węgry, chociaż domyślała się odpowiedzi. Geopolityka nigdy nie była czarno-biała.

– Jak myślisz? – Antonio roześmiał się bez zwykłej wesołości. – Każdy w coś gra, Isa. Z jednej strony, kraj musi być bezpieczny. Z drugiej, wiem, co dzieje się z naszymi po tej stronie granicy. Feliks wszystko mi opowiedział. Nie jestem sympatykiem führera, ale nie byłem na tyle głupi, by głośno o tym mówić. Nie, nie sądzę, bym podpadł rządowi z tego powodu. Raczej nie było im w smak, że mam nieco dłuższą pamięć niż zwykły wyborca i potrafię im wypomnieć trochę starych spraw. A nowy kolega z podwórka pokazał im rozwiązanie tego problemu. Zaoferowali mi urlop, którego odmówiłem... I ktoś się chyba na mnie za to wkurzył.

– Dalej nie mogę uwierzyć, że tak szybko użyli siły – Węgry przyciągnęła kolana do siebie. – A co z królem? – zapytała nagle, przypominając sobie, jaki ustrój panował w sąsiednim kraju. – Nasz rodzaj zawsze był blisko tronu. Co on na to?

– To nie Rzesza, on nie ma takiej władzy jak führer – Antonio pokręcił głową i, sądząc po bolesnym syku, jaki z siebie wydał, szybko pożałował tego ruchu. – A obecny… Wątpię, żeby protestował. Rodzina królewska raczej za mną nie przepada – Wzruszył ramionami. – Myślę, że był raczej zadowolony, że... zniknąłem z ich najbliższego otoczenia.

Węgry zmarszczyła brwi. Wiadomości w prasie i Netzwerku przychodzące zza granicy były skąpe i przefiltrowane przez rządową cenzurę; nie miała pojęcia, o czym mówi Antonio. Nim jednak zdążyła zapytać, do pokoju zajrzał Gris:

– Wytłumacz nam ten cyrk z rodziną królewską – rzucił. – Ja od swoich słyszałem już pięć różnych wersji.

Zaintrygowana Erzsébet spojrzała na Antonia z ukosa; ku jej zdumieniu ten się zmieszał.

– To które wersje słyszałeś?

Gris wsunął się do środka, oparł o ścianę, założył ręce na piersi i uniósł brew. Po raz pierwszy, odkąd Węgry pojawiła się na jego progu, z własnej woli dołączył do rozmowy. Jego jasne oczy błyszczały złośliwie.

– Pierwsza mówi o tym, że uwiodłeś księżniczkę. Druga o tym, że uwiodłeś księżniczkę i daliście się przyłapać komuś ważnemu. Trzecia dodaje rozbijanie się rządową limuzyną po pijaku, a czwarta jakieś skandaliczne wypowiedzi o Katalonii. Według piątej zrobiłeś wszystko, co wymieniłem wcześniej, a na dodatek zrobiłeś księżniczce dziecko.

– Pomówienia – roześmiał się Antonio. Brew Grisa powędrowała jeszcze wyżej. – Nasz rodzaj się nie rozmnaża.

Kącik ust Erzsébet drgnął.

– I która wersja jest prawdziwa? – zapytała, szczerze zainteresowana.

Hiszpania posłał jej rozbrajający uśmiech.

– To ona uwiodła mnie, cudowna kobieta – powiedział lekko. – Limuzyna też co prawda ma swój udział w tej historii, ale żadnej nie skasowałem. To było kilkanaście lat temu, sprawa już jest dawno zakończona. Tylko plotki, oczywiście, dalej żyją swoim życiem i rozdmuchały ten romans do niewyobrażalnych rozmiarów. I król dalej mnie nie lubi. Pamiętliwy gość.

Zapadła cisza; Gris łypał na Hiszpanię z ukosa.

– Nie możesz tu zostać.

– Wiem. Czego się dowiedziałaś, Hungría?

– Gilbert zadeklarował, że w ciągu paru godzin przekaże nam lokalizację kryjówki – Węgry wyciągnęła sprecher z kieszeni. – Pojadę z tobą. Nie masz dokumentów, nie znasz tutejszych realiów, tak będzie lepiej.

– Myślałem, że nie możesz opuszczać na dłużej swojego mieszkania?

– Dwa dni to oficjalny limit podróży bez konieczności zgłoszenia. Tyle powinno wystarczyć.

– Dziwny ten system – mruknął Hiszpania. – Przestaje mnie dziwić ostatni ruch führera... Mogę?

To ostatnie pytanie dotyczyło sprechera; Węgry skinęła głową. Jej palce musnęły wnętrze jego wyciągniętej dłoni; Antonio obrócił sprecher w dłoniach, nawet nie zauważywszy, jak się wzdrygnęła. Chwilę studiował sprzęt.

– Dobrze, że macie prywatny kanał komunikacji – Zerknął na Grisa. – Zrobisz mi taki?

– Zobaczymy – Przemytnik nie spuszczał go z oka. – Nie myśl, że to się robi od ręki. To wymaga czasu i kosztów. Rząd trzyma łapy na produkcji, wcale nie jest łatwo znaleźć wolny sprecher.

– Dzięki – Antonio skinął głową, biorąc tę odpowiedź za dobrą monetę.

Gris wywrócił oczami, ale nie zaprzeczył.

– Nie widziałem czegoś takiego z piętnaście lat – Hiszpania wrócił do przyglądania się sprecherowi. – Trochę podobny do starych telefonów komórkowych. Produkowaliśmy je kiedyś, teraz sprowadzamy ze Stanów nowości… Chyba Rzesza się trochę zatrzymała w rozwoju, co?

Wyciągnął z kieszeni ciemny, prostokątny kształt, podobny do tego, który Erzsébet widziała u Feliksa. Gris aż się najeżył.

– Spokojnie, nie jestem taki głupi, na jego wyglądam – roześmiał się Antonio. – Unieszkodliwiłem go – Pokazał im puste miejsce po baterii.

To wcale nie uspokoiło przemytnika; jednym susem przemierzył przez pokój i pochylił się nad siedzącym Hiszpanią.

– Kiedy? – warknął. – Tuż przed granicą?

– Wyluzuj – Hiszpania uniósł dłonie przed sobą. – Zmyliłem trop. Uciekłem najpierw w stronę Kordoby. W połowie drogi do Marbelli pozbyłem się baterii. Dopiero po tym ruszyłem na zachód. Niech myślą, że uciekłem przez Gibraltar. Wiedzą, że znam północną Afrykę.

Gris wypuścił powietrze przez zęby i cofnął się.

– Mam nadzieję, że tak będzie – burknął. – Cerda nie wyśle tu ludzi, jeśli nie będzie miał stuprocentowej pewności, że jesteś w Rzeszy. Nawet wtedy dwa razy się zastanowi. Jakkolwiek by się nie dogadywał z Weiglem, wysyłanie obcych służb na terytorium imperium to ryzykowny ruch, ale i tak ma cię tu do jutra nie być, rozumiesz? Może dla was kulka w łeb to łaskotki, ale mi się do grobu nie śpieszy.

Nim zdążyli cokolwiek na to odpowiedzieć, sprecher w dłoniach Hiszpanii zadzwonił.

– To Taurys – wyjaśniła cicho Węgry, rozpoznając ciąg cyfr. – Pewnie z danymi od Gilberta. Odbierz.

– Mam uczyć się numerów na pamięć? – Antonio pokręcił głową i wcisnął odpowiedni przycisk. – Witaj, Lituania. Całe wieki cię nie słyszałem! Jak to całe zamieszanie się skończy, stawiam jakieś dobre wino, Isa już zadeklarowała, że pomoże mi znaleźć coś dobrego w tutejszych sklepach! Ale podobno masz dla mnie jakieś informacje?

Erzsébet nie mogła się nie uśmiechnąć.

Niebo było szare od chmur, a drobny, ale ciągnący się w nieskończoność deszcz nie odpuszczał Berlinowi od poranka. W mieszkaniu zrobiło się ciemniej znacznie wcześniej niż zazwyczaj; Litwa zapalił światło w salonie, gdy zorientował się, że coraz gorzej widzi litery.

Od rana nie miał nawet chwili, by odetchnąć; lekcje, przygotowania do szkolnej akademii – niegdyś szkoły w Rzeszy obchodziły urodziny cesarza, a teraz świętowano urodziny führera, niektóre rzeczy się nie zmieniały – wizyta u weterynarza z Bertą, która wcale Taurysa nie uspokoiła... Dobrze, że przynajmniej Antonio był cały.

Chłopcy ze starszych klas grali w soboty w koszykówkę; tym razem przyjął ich zaproszenie i przez dwa kwadranse biegał z nimi po boisku, błyskawicznie łapiąc zadyszkę.

Gdy skończyli, był wycieńczony, ale krew zaczęła krążyć w nim szybciej i żywiej. Postanowił przyłączyć się do uczniów przy kolejnej okazji. Zawsze podobał mu się ten sport, a ruch przydałby się jego ciału i umysłowi, ciągle rozgrywającemu czekającą go wieczorem rozmowę.

Wrócił do domu, pognał z kotką do lecznicy, a gdy wrócił, głód zagonił go do kuchni. Kolejne dwie godziny spędził przy blacie, szukając czegoś znajomego w książce kucharskiej i odkrywając na nowo, jak czaso- i pracochłonny był proces przygotowywania posiłku.

Bez obecności Feliksa, przygotowującego razem z nim składniki i wesoło dyskutującego ponad deską do krojenia, te zwykłe czynności niemal Litwę przerastały. Zeszło mu w kuchni dłużej niż powinno i gdy w końcu posiłek był gotowy, czuł jedynie ulgę; ale musiał się zmusić i wykrzesać z siebie energię, skoro chciał być zdrowszy.

To była jego taktyka, zmusić się do ugotowania czegoś porządnego, do spaceru po parku, do poczytania paru stron… Zmusić się, by tylko znowu nie popaść w ten paskudny marazm z czasów sprzed Schwäne.

Jeszcze godzina, pomyślał, wracając na kanapę, gdzie zostawił książkę, starą powieść o pożółkłych kartkach. Uczył się od nowa słów i całych zdań, zmuszając się do powtarzania na głos każdej głoski i z każdą stroną szło mu to odrobinę, odrobinę lepiej, chociaż ciągle przedzierał się przez własny język jak przez zamarznięte zaspy.

Mijały jednak minuty, a on coraz mniej potrafił skupić się na książce, znowu zastanawiając się, co powinien powiedzieć ojcu Uschi.

W końcu odłożył książkę; pogłaskał kota, szepnął do niego parę słów i złapał za kluczyki do auta, nie mogąc już wytrzymać sam z własnymi myślami.

Osiedle, na które poprowadziły go szkolne dokumenty, nie było jednym z tych reprezentacyjnych, chociaż i tu władze miejskie dbały o porządek. Może i z elewacji niskich bloków i domów jednorodzinnych gdzieniegdzie odpadała farba, ale na niedawno wymienionej kostce brukowej leżało jedynie kilka wilgotnych niedopałków, a drzewka przy chodniku były równo przystrzyżone.

Zaparkował gdzieś w pobliżu przystanku autobusowego, a potem ukrył się przed mżawką pod wiatą. Stukot kropel o dach stawał się powoli coraz głośniejszy, a świat

ciemniał coraz bardziej; zbliżała się dziewiętnasta. Obserwował w milczeniu wyludnione uliczki, oddychając chłodnym, wilgotnym powietrzem i czekał; nie miał prowadzić tej rozmowy sam.

Jakiś czas później w zatoczce zatrzymała się taksówka; Prusy nieśpiesznie wysiadł i odpalił papierosa, ignorując deszcz; dopiero gdy samochód zniknął im z oczu, przydeptał wypalony do połowy niedopałek i zbliżył się do wiaty.

Taurys zmarszczył brwi, widząc długi, jasny płaszcz, którym Gilbert był okryty; potem rozpoznał krój czarnych jak noc spodni.

– Masz na sobie galowy mundur? – zapytał zdumiony.

Prusy uniósł kącik ust; lekkim ruchem palca pociągnął za materiał, a oczom Taurysa ukazała się znajoma, ostra czerwień naramienników i srebrne guziki. Jak w Charlottenburgu, pomyślał przelotnie. Tylko tam widuję go na galowo.

– Zawsze wychodzę na plus w rozmowie, gdy go noszę – odparł Gilbert. – Ciekawe, dlaczego.

Litwa uśmiechnął się blado; znał moc munduru. Onieśmielał, wywoływał strach albo podziw, odstraszał lub pociągał, rozpraszał odpowiedzialność; kto wiedział, jak to wykorzystać, mógł wiele ugrać.

Sam też dzisiaj postarał się wyglądać dobrze; wziął najlepszą koszulę, tą śliwkową. Czuł się w niej zaskakująco dobrze; jakby Feliks był obok, gotowy do wsparcia.

Wygrzebał też z szafy czarne, eleganckie palto; odczuwał obecnie głęboką niechęć do noszenia tego koloru, ale zakupy, na które wybrał się z Polską, obejmowały jedynie letnią garderobę.

– Brakuje ci czapki – zauważył, jeszcze raz zerknąwszy na mundur.

– Obecny wzór jest paskudny – Gilbert skrzywił się. – Muszę powiedzieć komu trzeba, żeby wrócić do trupich czaszek. Robiły odpowiedni efekt.

Prusy przydeptał niedopałek butem; potem wbił dłonie w kieszenie.

– Idziemy?

Taurys skinął głową, zastanawiając się mimochodem, czy wygląda na tak zdeterminowanego, jak się czuł. Jak duży opór napotkają? Czy się uda go przekonać?

Ruszył za Prusami, zauważając marszowy, ostry krok i spięty kark; Gilbert tylko wydawał się spokojny.

Nie musiał mi wcale z tym pomagać, pomyślał. A jednak się w pełni zaangażował…

– Gdy byłem w środę w Königsbergu, złapałem dyrektora orkiestry – odezwał się Prusy. – Zasugerowałem mu dość mocno, by rozpoczął przyjęcia już w tym roku, zamiast czekać. Dopiero połowa września, dzieciaki wiele nie stracą, a im wcześniej orkiestra zacznie ich szkolić, tym lepiej dla niej. Oczywiście, zasugerowałem też modelową kandydatkę.

– Dziękuję – odparł Taurys szczerze. Szli uliczką pełną jednakowych domów i podjazdów z zaparkowanymi tam autami. Nie widział ani jednego placu zabaw albo parku. – Zgodził się ot tak?

– Pamiętaj, że dla nich jestem człowiekiem führera, Lit – Gilbert obejrzał się przez ramię i uśmiechnął drapieżnie. – To czasem ułatwia życie zamiast je utrudniać, tak na

odmianę. Dzięki mnie ustawa została przyjęta bez poprawek. Nie omieszkałem się mu o tym przypomnieć.

Minęło tyle lat, odkąd Rzesza wymazała nas z ludzkiej świadomości, że zdążyłem zapomnieć, jak wiele udogodnień i przysług byliśmy w stanie sobie zapewnić, nie wchodząc w bezpośredni konflikt z władcą, pomyślał Litwa. Lepsze kwatery, lepsze konie, przymykanie oczu na naruszenia prawa... Gilbertowi sprzyja to, że tak naprawdę nikt nie wie, jak wiele może… czy też nie może. Pruski parlament woli iść mu na rękę.

– Kiedy chcieli zacząć przyjmować uczniów?

– Ktoś tam u nich hamował papierkową robotę – Prusy wzruszył ramionami. – Miasto ma lokale, które mogą służyć za bursy i orkiestra miała je wynająć, to było już dawno ugadane. Jak ustawa przeszła, to się okazało, że będą dostępne dopiero na wiosnę. Dziwnym trafem po mojej przyjaznej pogawędce z dyrektorem stały się dostępne od ręki. Cóż za biurokratyczny cud.

Stanęli przed piętrowym, białym domem. Wypolerowany samochód, okrągłe iglaki na podjeździe, przystrzyżona trawa pozbawiona chociażby jednego zabłąkanego listka. Zbyt idealnie, pomyślał Litwa, tknięty nagłym przeczuciem. Zbyt perfekcyjnie.

– Nie jeden taki widziałem w poprzednim zawodzie – mruknął Taurys, sięgając do klamki. Metalowa furtka była lodowato zimna, tak jak jego krew. – Gdybyś wiedział, ile takich... interwencji... ma miejsce w urzędach...

Gilbert wydał z siebie niepochlebny dźwięk.

– To, że mamy burdel w papierologii, to wiedziałem, ale jeśli zaczniesz mi mówić, że z kolesiostwem i łapówkarstwem też mamy problem, to ten kraj nie wygląda tak dobrze jak na broszurkach Ferenca – wymamrotał, krzywiąc się. – Cholera. Trzeba by było zacząć coś z tym zrobić…

Hipokryta, pomyślał Litwa z lekkim rozbawieniem, ale to uczucie minęło, gdy tylko weszli za furtkę i rozejrzeli się dyskretnie.

Żadnej kolorowej kredy na chodniku, żadnej piłki, rolek czy roweru opartego o ścianę… Może Uschi wyrosła już z zabawek, może nie lubiła gry w klasy czy innej aktywności fizycznej, ale i tak w Taurysa mocno uderzyło to, co jego uczennica mu wyznała; chce, bym była niewidzialna…

– Prusy – szepnął prosząco. – Jeśli się uda... Dopilnuj, by byli tam porządni nauczyciele. Tacy, którym będzie zależeć. To dziecko, a nie kadet. Potrzebuje opieki, a nie musztry.

Gilbert skinął krótko głową.

– Dzwoń – rzucił.

Z sercem na ramieniu Taurys nacisnął przycisk przy drzwiach. Te otworzyły się po niecałej minucie; oczom Litwy ukazał się mężczyzna przed czterdziestką.

Miałby przyjemną aparycję, gdyby nie lód w jego spojrzeniu i surowo zmarszczone brwi. Rysy twarzy Uschi musiała odziedziczyć w większości po matce, a może to była kwestia tego grymasu; gdyby Taurys nie widział tego człowieka wcześniej, nie rozpoznałby pokrewieństwa.

– Panowie, rozumiem, chcą rozmawiać o Ursuli? – zapytał szorstko mężczyzna.

Chcą ją od ciebie zabrać, pomyślał gniewnie Taurys; skinął krótko głową na powitanie, zachowując spokojną twarz.

– Taurys Laurinaitis, nauczyciel muzyki. A to pan Gabriel Paccard.

– Hauptmann Gabriel Paccard – poprawił Gilbert z naciskiem i wyciągnął dłoń ku ojcowi Ursuli. – Mam przyjemność z panem Dušanem Tausch, jak mniemam?

– Zgadza się – Ojciec Uschi lustrował ich spojrzeniem. – Proszę, tutaj jest wieszak. – rzucił sucho; gdy Prusy bez pośpiechu zaczął zdejmować płaszcz, niby przypadkiem ustawiając się bokiem do gospodarza, by ten ujrzał pagony na ramienniku, coś w rodzaju niechętnego szacunku przebiegło przez twarz Dušana.

Kapitan, pomyślał Litwa. Dlaczego mnie to nie dziwi?

Salon, do którego zostali zaprowadzeni, był równie czysty, schludny i całkowicie pozbawiony przytulności co podwórko; Taurys przebiegł wzrokiem po wygaszonym kominku, zauważając brak zdjęć, drobiazgów czy osobistych rzeczy.

Telewizor był wyłączony, na regałach stało niewiele książek – wszystkie w twardych, ciemnych oprawach, na pierwszy rzut oka nic z literatury dziecięcej, młodzieżowej czy chociażby lekkich powieści – a okna zostały zasłonięte ciemnymi zasłonami.

– Proszę usiąść – Dušan Tausch usiadł sztywno na kanapie. Taurys przycupnął na krawędzi jednego z foteli, a Gilbert pewnie rozsiadł się na drugim. – Czemu zawdzięczam tę wizytę? Przez telefon mówił pan jedynie ogólniki – dodał Dušan w kierunku Litwy, wyraźnie próbując ukryć niechęć.

Zawsze, gdy odbierał Uschi z dodatkowych lekcji, miał taką minę, zdał sobie sprawę Taurys. Mogłem zareagować wcześniej… Z rozpamiętywania jednak teraz nic im nie przyjdzie, musiał naprawić swój błąd.

Uniósł oczy i wtedy je zobaczył – po drugiej stronie salonu, tam, gdzie schody prowadziły na pierwsze piętro, na najwyższym ze stopni – dwa dziewczęce buciki, ledwie widoczne zza barierki.

Więc siedziała tam, u szczytu schodów, niewidoczna i niesłyszalna; ufając mu z całego swojego małego, skrzywdzonego serca.

Wyprostował się i usadził pewniej w fotelu.

– Kapitan Paccard reprezentuje orkiestrę królewiecką, sekcję wojskową – powiedział gładko. – Szuka w Berlinie młodych talentów, które będą szlifowane przez mistrzów z orkiestry. Uważam, że Uschi ma potencjał, by w przyszłości wzbogacić ich szeregi. Ma słuch muzyczny i doskonale gra.

– Nie ma mowy – Dušan Tausch zaprotestował ostro. – Z całym szacunkiem, kapitanie – Zerknął na Gilberta. – Ale ta dziewczyna ma się uczyć, a nie zajmować głupotami. Orkiestra może się o nią upomnieć, gdy będzie dorosła, wtedy będzie robiła, co chciała.

– Orkiestra dba zarówno o umiejętności muzyczne jak i o wiedzę powszechną – Prusy założył nogę na nogę. – Zapewniam, że edukacja pana córki nie ucierpi.

– Edukacja gdzie? – podchwycił Dušan. – W Königsbergu? Oczekujecie, że wyślę ją na drugi koniec kraju i będę płacił za akademik, w którym znajdzie się setka dzieciaków bez

nadzoru? Po to, by mogła pisać sobie jakieś nuty, zamiast się uczyć? Lada moment by mi ją zdeprawowali i już kompletnie nic z niej będzie.

– Myślałem, że ma pan lepsze zdanie o armii – Gilbert uniósł brew. – Jakkolwiek orkiestra jest częściowo cywilna, nie jest jakąś anarchią. Mamy *zasady*. – dodał oschle.

Litwie bardzo nie podobało się to, co słyszy z ust ojca Uschi; postanowił zagrać jego własną bronią, słowami, które ten wygłosił podczas jednej z wywiadówek.

– Wspomniał pan kiedyś, że żałuje, że państwo nie zapewnia takiego wychowania dla dziewczynek, jak robi to młodzieżówka dla starszych chłopców – powiedział. – Nie widzę powodu, by obawiać się o wychowanie Uschi pod okiem wojskowych.

Dušan poruszył się niespokojnie na kanapie.

– Ja... cóż, chyba zrobiłem błędne założenie – Dušan zerknął na zmarszczone brwi Gilberta. – Nie wątpię w kompetencje wojskowych. Jeśli orkiestra chce wychowywać młodzież w prawidłowy sposób, zwracam honor. Jednakże, dalej nie widzę powodu, by Ursula miałaby mieć z tym cokolwiek wspólnego.

– A gdzie teraz jest pana córka? – zapytał Litwa, ciągle świadomy obecności Uschi. – Może zaprosilibyśmy ją do rozmowy?

– Uczy się – Dušan natychmiast uciął temat. – Nie zejdzie na dół, dopóki nie zajmie się wszystkim. Poza tym, jestem jej ojcem i takie decyzje należą do mnie.

Litwa wymienił krótkie spojrzenie z Gilbertem; była sobota.

Dušan Tausch jednak jeszcze nie skończył:

– Proszę nie udzielać więcej żadnych lekcji Ursuli – Założył ręce na piersi. – Wkłada jej pan w głowę tylko głupoty. Nie twierdzę, że orkiestra nie jest potrzebna, jednak tworzą ją poważni ludzie, a nie bachory, którym się wydaje, że są artystami.

Coś w jego tonie; złość, gorzkość, gniew, sprawiło, że krew w żyłach Taurysa, wcześniej zimna, przemieniła się w ukrop.

– Każdy z tych poważnych ludzi był kiedyś takim dzieckiem – powiedział cicho. – I bez ćwiczeń w młodym wieku nie zaszedłby tam, gdzie jest teraz.

– Jeśli martwi się pan kosztami, wszystko to jest po naszej stronie – Gilbert gładko wplótł się w rozmowę, nim Dušan znowu otworzył usta. – Bursa z wychowawcami, nauczyciele o najlepszych kwalifikacjach, utrzymanie i wyżywienie. A ze względu na nasze bliskie powiązania z Uniwersytetem Albrechta...

I tak oto Gilbert nie dopuścił ojca Uschi do głosu przez kolejne minuty, rzeczowo tłumacząc ofertę. W miarę jak mówił, Litwa ze zdumieniem obserwował zmianę na twarzy Dušana Tauscha; od wrogości, przez niechęć, aż do... bezsilności.

Pięści mężczyzny zacisnęły się mocno.

– To są piękne słówka, ale to stek bzdur – zaczął cicho, ale każdego jego słowo nabierało mocy, stawało się coraz głośniejsze, coraz mocniej nasycone emocjami. – Muzyka leczy. Muzyka ubogaca. Ukulturalnia. Uspokaja. Wychowuje. Łączy. Dobrze wpływa na ciążę. Jej matka tak gadała cały czas, aż do rozwiązania. Tylko grała i grała. Chciała słyszeć pieprzonego Mozarta, gdy rodziła Ursulę. I słyszała. I umarła, patrząc na gramofon. Nie

na mnie. Zostawiła to mi to przeklęte dziecko, które ma w głowie te same bzdury i których nie mogę się pozbyć! A teraz chcecie mi ją zabrać? Jeszcze ją?!

W ciszy, która zapadła po tych gorzkich, wyplutych słowach, Litwa usłyszał cichutki, drżący wdech ze schodów.

Słowa stanęły mu w gardle; to Prusy pierwszy otrząsnął się z szoku.

– Tak – Gilbert nagle pochylił się do przodu. Spoglądał w oczy Dušana Tauscha nieustępliwie i zimno, nie mrugając. – Wie pan, w armii, gdy ktoś zaczyna wariować, nie cackamy się z kimś takim. Może oszaleć i strzelić sobie w łeb; mała strata. Ale jeśli zaczyna negatywnie wpływać na innych żołnierzy, trzeba się go pozbyć. Uciąć chorą gałąź, nim zaraza rozlezie się po całym drzewie. Z tego, co widzę, to w tym domu zaraza idzie od pnia. Rozsądny człowiek zbierze owoce, nim one się popsują.

Tym razem to ojciec Uschi zaniemówił; wpatrywał się w Prusy tak, jakby zobaczył ducha.

– Co pan insynuuje? – wydusił w końcu z siebie.

Gilbert nie odpowiedział, spojrzał znacząco na Litwę.

– Więc to pan chce zrobić Uschi? – zapytał cicho Taurys, nie zastanawiając się już nad tym, co mówi. Jego krew płonęła. – Odebrać jej to, co kocha, żeby cierpiała tak, jak pan? Myśli pan, że ona to panu kiedykolwiek wybaczy?

Tłumiony szloch u szczytu schodów był już słyszalny dla każdego z nich; Dušan Tausch pobladł śmiertelnie, a potem pochylił się nisko, chowając twarz w dłoniach.

– Wypaplała ci się! – warknął. – Miała nikomu nie mówić…! Poniosło mnie… Raz, może… może więcej… Dzisiaj też… Przepraszałem! Ale nic jej nie będzie. Jak tylko zacznie zachowywać się… Parę… siniaków to nic takiego…

– Nigdy to nie jest „nic”! – Litwa poderwał się na równe nogi. Poczuł na nadgarstku boleśnie silny uścisk palców Prus; wziął głęboki oddech, czując na sobie jego ostrzegawcze spojrzenie. – To zostaje – dodał, walcząc ze sobą, by mówić spokojniej. – Na zawsze. Nawet gdy siniaki już znikną. I nawet, gdy się przeprasza raz za razem, samemu próbując się usprawiedliwić! Niech… niech pan mi powie szczerze… Kocha ją pan? – Milczenie rozdzierało serce. – Jest pana córką.

Dušan podniósł się, podszedł do okna. Przez długą chwilę po prostu milczał, wpatrując się w zasłony.

– Jest moją córką i nie masz prawa wtrącać się w to, jak ją wychowuję. To moje prawo – powiedział zimnym, ale chybotliwym głosem. – Sam powinieneś używać dyscypliny na niegrzecznych dzieciach, zamiast mieć pretensje d-do mnie, że… – urwał w pół słowa; Gilbert podniósł się z fotela i zbliżył się doń szybkim krokiem. – C-czego pan chce?

Byli mniej więcej równego wzrostu, ale mundur i wyprostowana jak struna sylwetka robiły swoje; Prusy spoglądał z góry, podczas gdy Dušan kulił się i wykręcał nerwowo.

– I myśli pan, że ta dziewczyna wyjdzie na ludzi, mając tak nieudolnego ojca? – zapytał, unosząc brew. Dušan drgnął, jakby rażony piorunem. – Przyszedłem tutaj, spodziewając się porozmawiać z poważnym mężczyzną, a zastałem życiowego nieudacznika, który nie

potrafi pogodzić się z przeszłością – W głosie Prus zabrzmiało obrzydzenie. – Kim pan jest z zawodu?

– Urzędnikiem, ale c-co ma to do rzeczy?!

– Ubolewam, że nasza ojczyzna musi stać na takim zgniłym fundamencie – Prusy omiótł mężczyznę spojrzeniem takim, jakimi obdarza się wyjątkowo paskudną pleśń. – Jeśli w administracji jest więcej takich jak pan, to już mnie wcale nie dziwi ten burdel. Niech pan słucha, bo nie zamierzam tracić więcej mojego cennego czasu. Szukam talentów w Berlinie. Młodej gliny, którą łatwo kształtować. Pańska córka wydaje się idealną kandydatką i zależy mi na tym, by zabrać ją do Königsberga. Zamierza pan dalej czołgać się we własnej żałosnej nienawiści, czy jak przystało na obywatela Rzeszy podejmie pan słuszną decyzję, wyświadczy mi przysługę i pozbędzie się pan z życia elementu, którego pan tak nienawidzi?

Słowa wstrząsnęły wszystkimi; Uschi na schodach łkała już otwarcie.

Litwa bezwiednie skierował tam swoje kroki. Gdy znalazł ją na najwyższym stopniu, skuloną w ciasny, dygoczący kłębek, przysiadł obok niej i otoczył dziewczynkę ramieniem; znów, tak jak w szkole, wtuliła się w niego ufnie, ledwo będąc w stanie oddychać przez łzy.

Spojrzał między barierkami; Dušan Tausch opadł bez sił na kanapę.

– Zabierzcie ją – powiedział głucho. – Zabierzcie ją tam, gdzie nie będę mógł już podnieść na nią ręki. Nie chcę… nie chcę na nią więcej patrzeć.

Pierścionek.

Feliks obracał w głowie to polskie słowo raz po raz, sylaba po sylabie, chociaż w całym tym hałasie panującym w hali produkcyjnej mógłby je mówić na głos, bo i tak nikt by go nie usłyszał. Oswajał to słowo jak obce zwierzę albo zdziczałego pupila, zaginionego na całe lata, by znów brzmiało znajomo.

Z tym, że najwcześniejsze dni jego życia umknęły na zawsze, już się dawno pogodził – w końcu, pozostawały mu jeszcze całe setki lat wspomnień – ale uczucie braku słowa na języku było nowe i nieprzyjemne bardziej niż kiedykolwiek mu się wydawało, że będzie. Jak wydarcie milimetra serca, pierwsze szarpnięcie maleńką pesetą.

Mam jeszcze dużo czasu, pomyślał, próbując się uspokoić. Ja tak… Pierścień. Pierścionek. Myśl o pierścionku.

Z diamentami, szmaragdami i szafirami… Żółte złoto, białe złoto, srebro; pamiętał takie błyskotki, migoczące w pilnie strzeżonych królewskich skarbcach, prostsze, surowsze w formie obrączki, masywne sygnety z herbami… Licia miał kiedyś taki, przypomniał sobie i uśmiechnął do siebie rozmarzony. Cholera, jak mi się on podobał, czyste srebro na jego dłoni, gdy pieczętował listy Pogonią; któregoś wieczoru ściągałem ten sygnet wargami…

Kolejna myśl odłożona na przyszłość; Polska westchnął i uśmiechnął się przepraszająco do stojącej obok niskiej, korpulentnej kobiety.

– Masz bystre oko, ale coś za często myślisz o niebieskich migdałach – skomentowała z dezaprobatą, ale potem uśmiechnęła się do niego. – Mówiłeś, że masz prawo jazdy?

– Oczywiście – Feliks, czy też Max, bo pod tym imieniem poznała go załoga fabryki, uśmiechnął się niewinnie. – Będę mógł rozwozić towar?

– Nie bądź taki prędki – Kierowniczka zmiany pogroziła mu żartobliwie palcem. – Na to sobie trzeba u nas zasłużyć. Popracuj tu trochę, zobaczymy co z ciebie będzie.

Potem odeszła, kręcąc głową; po mrugnięciu, które mu posłała, Polska domyślił się, że zdobył jej sympatię. Szczerząc zęby, rozejrzał się szybko i wrócił spojrzeniem do taśmy; w końcu za to mu płacili. Dostał pracę na kontroli jakości etykiet.

Hala ciągnęła się na wiele metrów; pod silnym światłem lamp stały dziesiątki wielkich maszyn, taśm i małych zatoczek z biurkami i komputerami. W szumie, huku i syku wszelkie rozmowy między pracownikami pozostawały dyskretne; Polska czuł podświadomie, że jest na dobrym tropie.

Elias, ten, którego poznał pod sklepem, okazał się krewnym właściciela fabryki słodyczy; Feliks natychmiast skorzystał z nadarzającej się okazji. Nikt nie zapytał go o kwalifikacje; większość pracowników stanowili młodzi wykonujący proste prace fizyczne.

Z przerw na papierosa korzystał jak nikt; dzielił się hojnie ogniem, tytoniem i uśmiechem i obserwował uważnie, kto się z kim trzyma, mając nadzieję, że znajdzie zarzewie konfliktu albo łatwopalne podłoże, na które padnie iskra.

Jeśli zaś nie znajdzie nic w tym miejscu, będzie szukał gdzie indziej, chociażby miałby zwiedzić każdy zakład pracy w Kursku i okolicach, każde blokowisko, każdy park i każdą knajpę.

Na papierze plan był prosty; mając dane kontaktowe do stacjonującego w Kursku dowódcy Kommanda Spezialkräfte, niejakiego Rudolf Lehra – dzięki uprzejmości czy też żerowaniu na uczuciach braterskich Ludwiga Beilschmidta – Feliks planował znaleźć jak najwięcej informacji o potencjalnym buncie i użyć tych danych podczas ewentualnych negocjacji z władzą.

Zobaczą, ile uda się nam się ugrać; pomyślał, wpatrując się w czekoladki sunące po taśmociągu. Nie dopuścić do rozlewu krwi, to nasz priorytet. Za dużo już jej widzieliśmy...

Teraz wystarczyło być tylko czujnym uchem; to właśnie powiedział Erzsébet, gdy zdzwonili się wieczorem, po tym, jak przywlókł się do robotniczego hotelu po pierwszym dniu pracy i opadł na łóżko, zamykając oczy; pod powiekami mieniły mu się kolorowe sreberka. Kto by pomyślał, że coś tak prostego jak gapienie się na taśmę będzie takie męczące?

Opowiedział przyjaciółce wszystko, potem wspomniał mimochodem, nieco niechętnie, o swojej panice związanej z pierścionkiem; starał się mówić lekko, bagatelizować sprawę, ale Węgry odczytała wszystko, co kryło się w jego tonie. Szeptali długo; w końcu Feliks zmienił temat, czując się nieco lżej.

– Erzsi, jaki jest twój szef?

– Szef? – brzmiała na zdziwioną. – To miły, starszy człowiek, zakochany w książkach. Czemu pytasz?

Feliks zawahał się na moment; to był kolejny, poza pierścionkiem, pomysł krążący po jego głowie od dłuższego czasu.

– Wiesz, myślę o Licii – przyznał.

Węgry zachichotała w słuchawce; ten dźwięk był muzyką dla uszu.

– Wiem – powiedziała, a jej głos łamał się przez śmiech. – Słyszę to w twoim głosie non-stop.

Feliks przekręcił się na bok i ułożył sprecher na poduszce.

– Teraz myślę trochę konkretnej – mruknął. – Słuchaj, gdy powiedziałaś, że tłumaczysz, przyszedł mi do głowy pewien pomysł... Czy to jest ciężkie?

– Raczej czasochłonne i wymagające. O czym myślisz, Felku?

Oczyma wyobraźni Polska zobaczył przed sobą półkę z książkami i te kilka starych tomów wciśniętych między nowe, błyszczące wydania. Nocami, gdy jeszcze spał sam na kanapie, sięgał czasem po cichu do tych okładek, patrząc na nazwiska autorów, z których tylko jedno czy dwa cokolwiek mu mówiły, a potem przerzucał stronice ostrożnie, bojąc się, że rozedrze delikatny papier.

– Licia ma u siebie kilka starych książek – powiedział cicho. – Ma tego nieszczęsnego „Pana Tadeusza", ale nie o nim teraz myślę. To głównie powieści, napisane po litewsku... Wydane przed wojną. Pamiątki.

Nie musiał dopowiadać więcej; wiedział, że Erzsébet zrozumie.

– Myślisz o ich przetłumaczeniu? – spytała miękko.

– Nie ja – odmówił Polska prędko. – Nie potrafiłbym. Mój litewski jest byle jaki. Nigdy tak naprawdę nie przywiązywałem do niego wagi – przyznał niechętnie. – Zawsze było dla mnie oczywiste, że Taurys rozmawiał ze mną po polsku, łacinie, rusku, był czas, gdy mocno to mieszaliśmy w rozmowach, ale nigdy... Ech. Staram się teraz, Erzsi. Przez ten czas zaglądałem do tych książek, próbowałem coś podłapać, ale nadal jestem beznadziejny, jeśli chodzi o bałtyckie – Polska roześmiał się bez wesołości. – Gdy mówiłaś, że tłumaczysz z kilku języków... Wiem, że ty też nie mówisz po litewsku, ale może kogoś znasz? Albo twój szef? Skoro wydajecie stare teksty...

– Zapytam go – obiecała Węgry. – To nigdy nie był popularny język, a tłumaczy w imperium jest bardzo mało... Ale... Może Taurys chciałby zrobić to sam?

Ta myśl też wcześniej błąkała się po głowie Feliksa; milczał przez moment, zastanawiając się, jak ma odpowiedzieć.

– Tłumaczyć na niemiecki? – Feliks obrócił się na plecy i spojrzał w poszarzały sufit. – Nie jestem pewny – przyznał. – Ma... ma problem z własną mową i z niemieckim – Nie chciał mówić za wiele; to była prywatna sprawa Litwy, mimo że Taurys gorzko utrzymywał, że Zjednoczona Rzeza Niemiecka już dawno odebrała mu prywatność. – Ale zauważyłem, że wydaje się częściej ostatnio zaglądać do tych książek. Stara się chociaż trochę to odzyskać. Czy... czy myślisz, że... że to by mu pomogło?

Tym razem to Węgry długo zbierała myśli.

– Pisanie często bywa terapeutyczne – odparła cicho. – Tłumaczenie... też potrafi. To nie to samo, ale możliwość zajęcia się czymś twórczym... Być może Taurys byłby wdzięczny, że ma coś dodatkowego do roboty, nawet jeśli te teksty i wspomnienia z nimi związane, są bolesne. Może... – Wciągnęła powietrze. – Może o to chodzi w z tymi całymi traumami. By je przepracować i oswoić, a nie próbować zapomnieć.

To był pierwszy raz, gdy Erzsébet tak otwarcie wspomniała słowo, o którym przecież myśleli wszyscy; słysząc jej niepewny głos, Polska westchnął.

Bardzo chciał ją teraz przytulić i zapewnić, że wszystko będzie dobrze, nawet jeśli widział w życiu zbyt wiele, by samemu wierzyć w takie zapewnienia.

– Może... Wiesz, o czym marzę?

– Nie… Powiedz mi.

Na korytarzu rozległy się jakieś śmiechy; w pokoju Polski długą chwilę panowała cisza. Przyglądał się nijakim ścianom, odrapanym z farby oknom i szarej, wydeptanej wykładzinie.

– O domu – powiedział w końcu. – Te mieszkania, w których nas umieszczają... Moje stare w Berlinie, to obecne Taurysa, twoje... My tak naprawdę nigdzie nie czujemy się jak w domu, bo... bo go nie mamy.

– Nie, Felku – Głos Węgier był bardzo smutny.

– Chciałbym mieć taki dom! – wyrzucił z siebie Feliks. – Nie mieszkanie. Dom. Własny, bez ludzi zaglądających w każdy kąt co tydzień. Bez ludzi, którzy mnie stamtąd wyrzucą, kiedy ktoś w biurze postanowi, że to już czas. I chciałbym tam mieszkać z Taurysem. I jego diabelską kocicą. Gotować razem. Czytać razem. Rozmawiać. Budzić się obok niego każdego ranka.

Jego głos drżał; tym razem z tłumionego gniewu i poczucia niesprawiedliwości. Po tylu latach, tylu wiekach wierności, oddawania krwi i potu, odsuwania sobie od ust chleba i odsuwaniu samych siebie na boczny tor, by państwo, by królestwo, by kraj trwał, a jego mieszkańcom wiodło się jak najlepiej – po tym wszystkim odrzucono ich jak coś zbędnego, jak połamane śmiecie i nadgniłe owoce. I mimo to robili, co mogli, by działać w dobrej sprawie – ale dzisiaj, przez chwilę, Polska po prostu chciał być egoistą i dać głos swoim prywatnym marzeniom.

– Chciałbym mieć ten dom w spokojnym miejscu. Może gdzieś na wsi. Z gankiem i jabłonką. Chciałbym, żebyś była gdzieś w pobliżu, żebyśmy mogli czasem zjeść coś razem albo po prostu porozmawiać. Nawet tego cholernego Prusaka bym zaprosił na obiad. Byle tylko... byle tylko mieć spokój. Spokój od tego wszystkiego. Myślę – Wziął głębszy oddech, nieco zawstydzony tym, co właśnie wyznawał. – Że my wszyscy potrzebujemy po prostu spokoju. Wiem, że... że teraz… Ale... Ale może po tym wszystkim... Może Ludwig kiedyś dorośnie do tego, by to zrozumieć, by umieć się nimi wszystkimi zaopiekować? Może wtedy będziemy mieć trochę czasu na… na spokój?

Spała otulona kocem na kanapie; w jej ramionach umościła się Berta, mrucząc głośno, jednostajnie i kojąco, a na pobladłych policzkach zastygły ślady wylanych łez. Litwa cicho wziął ze stolika pustą szklankę po herbacie i na palcach wycofał się do kuchni.

– Nie spodziewałem się takiego obrotu spraw – przyznał cicho. – Dziękuję, że przyjechałaś.

Za oknami panowała już ciemna noc; Annika skinęła głową.

– Oczywiście, że przyjechałam – powiedziała. – Jej ojciec naprawdę to...?

– Gi... Gabriel użył mocnych słów – Taurys zdążył zapomnieć, jak okrutny w słowach potrafił być Prusy. Usiadł naprzeciwko przyjaciółki i westchnął. – Myślałem, że... że uda się tę rozmowę przeprowadzić inaczej. Oszczędzić jej tego. Ale Gabriela poniosło... i mnie też – przyznał niechętnie. – Gdy powiedział, że nic jej nie będzie... coś we mnie pękło.

Potarł dłonią oczy.

– Mi... mi też to ktoś kiedyś powiedział. I to „nic" ciągle jest tutaj – Dotknął palcami skroni i uniósł oczy. Annika spoglądała na niego z czułością. Ta troska pozwoliła mu sięgnąć do koszuli; odchylił materiał i pokazał skórę pleców i boku. – I tutaj.

Annika otworzyła szeroko oczy i zasłoniła usta dłońmi; Litwa uśmiechnął się do niej smutno. Poczuł się bardzo zmęczony i bardzo, bardzo stary.

– Dlatego chciałem ją przed tym uchronić. A czuję, że tylko pogorszyłem sytuację...

Palce Anniki sięgnęły ku jego własnym i odciągnęły delikatnie od twarzy.

– Jej ojciec pokazał, że nie jest stabilnym człowiekiem – Mrugała zbyt często, oczy miała lśniące. – Zostanie tam zrobiłoby jej jeszcze większą krzywdę. Być może usłyszałaby to samo bez naszej interwencji. Ona... Ona dorasta, buntuje się... A to mogłoby tylko wzmóc jego agresję.

Zapadła ciężka, miażdżąca ramiona cisza; Taurys spoglądał w okno, zastanawiając się, co powinni zrobić dalej. Był świadom niewypowiedzianych pytań Anniki, ale nie chciał podejmować tematu własnych blizn; może niepotrzebnie je pokazał, ale chciał, by zrozumiała, dlaczego tak bardzo mu na tym zależało.

– W Königsbergu potrzebują około dwóch tygodni, by rozpocząć zajęcia – powiedział cicho. – Jej ojciec... jej ojciec powiedział, że nie chce jej więcej widzieć. Uschi...

– Mam wolny pokój – Annika pośpieszyła z odpowiedzią. – Pojedźmy jutro do jej domu. Weźmy jej rzeczy. Zamieszka u mnie do czasu wyjazdu.

Litwie kamień spadł z serca; nie chciał, by Uschi została u niego na dłużej, by nie przykuć uwagi biura. Poza tym, absolutnie nie miał pojęcia, jak mógłby zająć się dwunastoletnią dziewczynką.

Zerknął z niepokojem na leżący na blacie kuchennym sprecher; gdy Feliks zadzwonił wcześniej, odebrał dyskretnie i szeptem wyjaśnił pośpiesznie, że nie może rozmawiać; miał nadzieję, że Annika nie zauważyła, że to nie był jego oficjalny sprecher.

Musieli obgadać to, co się działo, to, czego Węgry dowiedziała się od Hiszpanii i jak wyglądała sytuacja u Feliksa... Ale wciąż miał przed oczami oczy Dušana Tauscha; puste jak okna opuszczonego domu.

Cisza, którą otrzymał w odpowiedzi na swoje pytanie, ciągle dzwoniła mu w głowie. Przerzucał w myślach wypowiedziane przez ojca Uschi zdania, sam nie wiedząc, czego w nich szuka; może jednak iskry miłości, do której ten człowiek nie potrafił się przyznać? Jakiegoś żalu? Czy nie było tam nic poza goryczą i nienawiścią, skoro tak szybko podpisał dokumenty, które podsunął mu Prusy?

Siedzieli przy stole długą chwilę, milcząc i tylko się w siebie wpatrując; na zegarze na ścianie wybiła jedenasta wieczorem.

Gilbert mógł być mocny w słowach i czynach, ale stawał się zaskakująco bezużyteczny w konfrontacji z szlochającym niepohamowanie dzieckiem; dobrze, że Annika odebrała. Nie wiem, czy dałbym sobie radę sam…

Drgnął, gdy o nogi otarła mu się Berta; wsunęła się do kuchni jak zwykle bezszelestnie. Obejrzał się za siebie; Uschi stała w przejściu, z kocem na ramionach. Rozczochrana, blada i koszmarnie smutna; Litwa widział w życiu wiele śmierci, bólu i łez, ale to dziecko po cichu, ukradkiem zamieszkało gdzieś w kącie jego głowy, może i serca.

– Oj, kochanie – Annika wstała i podeszła do dziewczynki. Położyła jej rękę na ramieniu i przytuliła. – Jak się czujesz?

– Źle – Głos Uschi łamał się. – A-ale... – Na jej drżących wargach pojawił się bladziutki cień uśmiechu. – Dz-dziękuję. Państwo... Są dla mnie tacy mili, a j-ja...

Annika pogłaskała ją po głowie i posłała Litwie smutne spojrzenie; ten przymknął oczy.

– Przepraszam, Uschi – powiedział cicho. – Powinienem był…

– Niech pan nie przeprasza – wydusiła z siebie dziewczynka. – Ja... ja i tak... ja i tak już to wiedziałam. Że tata... Tylko to boli. Usłyszeć to. A-ale... trochę... trochę czuję ulgę. Czy... czy to źle?

Na to pytanie nie miał odpowiedzi; nie był człowiekiem, nie miał ojca ani matki, nie znał ich uczuć i nie potrafił jej doradzić. Niech tam trafi na dobrych ludzi, pomyślał Litwa, patrząc na swoją uczennicę, dygoczącą w ramionach przyjaciółki, która szeptała do niej miękkie zapewnienia. Obedrę Gilberta ze skóry, jeśli tego nie dopilnuje.

Berta otarła się o nogi Uschi, mrucząc głośno i nadstawiając grzbiet. Dziewczynka zachichotała przez łzy.

– Jest ś-śliczna. Nie chciała ze mnie zejść.

Litwa skinął głową ze zrozumieniem; Berta zwykle nie reagowała pozytywnie na obcych, ale do Uschi dobiegła jak do starej znajomej. Gdy razem z Anniką otulili ją kocem, zaparzyli coś ciepłego do picia i dali chwilę, by Ursula się uspokoiła, kotka bezceremonialnie położyła się na jej pękniętym serduszku.

Doskonale znał ten ciepły, mruczący ciężar na głowie czy piersi; koty kładły się w chorych miejscach, a Berta poważnie traktowała ten obowiązek.

– Lubisz koty? – zagadnęła Annika.

Uschi pokiwała głową.

– Tata nigdy nie chciał się zgodzić na żadnego zwierzaka – szepnęła. Łzy dalej płynęły po jej policzkach, a głos był słaby. – Ani na psa, ani na kota. A ja zawsze chciałam.

– Mam psa, nazywa się Axel. Myślę, że też cię polubi – Annika wyjaśniła Uschi sprawę jej dalszego zamieszkania. Dziewczynka skinęła głową na zgodę. – W poniedziałek razem pojedziemy do szkoły, dobrze? A może wolisz zostać przez kilka dni…?

– Nie – Uschi pokręciła głową. – To… to będzie dziwne… Jak.. Czy mogę powiedzieć innym w klasie o tym… wyjeździe? Bez… bez mówienia o tacie?

Litwa i Annika wymienili spojrzenia.

– Oczywiście – odezwał się Taurys cicho. – Jeśli chcesz, powiem na lekcjach o panu Paccardzie i wyjaśnię wszystko. Pojawi się u nas szkole raz, może dwa, porozmawia z uczniami. Potem powiemy, że wybrał tylko ciebie. Pan dyrektor – Starał się nie okazywać swojej niechęci w stosunku do tego człowieka. – Wie już o orkiestrze, ale nie będę mówił mu o… rozmowie z twoim tatą. Postaramy się nie zrobić dużego zamieszania, dobrze?

Wiedział, że to dziecko nie obawiało się podekscytowanych, rozgadanych kolegów i koleżanek, wypytujących o zbliżający się wyjazd. Nie o takie zamieszanie Uschi chodziło; nie tego się wstydziła.

Poczuł ulgę, gdy uśmiechnęła się do niego; jej blada twarzyczka pojaśniała, jakby zza chmur wyszło słońce.

– Odwiozę was.

Gdy jakiś czas później żegnali się na jednym z osiedli niedaleko Weiße Stadt, Annika, zamiast jak zwykle pocałować Taurysa w policzek, objęła go mocno; Uschi zawstydzona uciekła wzrokiem, biorąc ten gest za romantyczny, jednak Litwa doskonale wiedział, co Annika próbuje mu przekazać.

Zawsze unikał tego tematu w ich rozmowach, a Annika nigdy nie dopytywała, czując zapewne, że Taurys nie chce o rozmawiać o przeszłości; ale teraz, gdy wiedziała, gdy *widziała*, przez co swego czasu przeszedł, zdał sobie sprawę, że z jego piersi spadł jakiś ciężki kamień, który nosił przed cały czas tej znajomości.

– Do zobaczenia w poniedziałek.

Pod swój blok dotarł już po północy; Litwa wysiadł z samochodu i zatrzymał się, patrząc na okna budynku – jedynie w kilku z nich paliło się jeszcze światło.

Było cicho, niezwykle cicho jak na Berlin, uliczki osiedla były puste; jesienny chłód, który coraz częściej pojawiał się nocami, nie zachęcał do nocnych wędrówek. Drzewa poruszały się na wietrze, zrzucając liście na trawniki i chodniki.

Jakaś część niego zapragnęła zapalić, wypuścić wraz z dymem z płuc cały kotłujący się w nim niepokój… albo wstąpić do tego małego sklepiku na osiedlu, oficjalnie od paru godzin zamkniętego, ale Litwa mieszkał na Viktoriastraße na tyle długo, by wiedzieć już, że właściciel siedzi do późna i zaopatruje spragnioną młodzież… albo nieszczęśliwych, szukających pocieszenia w palących trunkach spod lady.

Wzdrygnął się, gdy doszło do niego, w jakie rejony poszły jego myśli. Nie palił od lat; od dziesięcioleci nie tknął też alkoholu. I nie zamierzał tego zmieniać; ostrym krokiem ruszył w kierunku wejścia do klatki. Jestem bardzo zmęczony, pomyślał. Dlatego to przychodzi mi do głowy. A nigdy bardziej niż teraz nie potrzebuję jasnego umysłu…

Światło przy drzwiach zapaliło się, gdy był już bardzo blisko; gdy kątem oka zauważył ludzką sylwetkę opartą o ścianę, która na jego widok poruszyła się i zastąpiła mu drogę, odruchowo cofnął się i sięgnął do boku; nim jednak zdołał wyszarpać colta zza paska, rozpoznał Gilberta.

– Miłe powitanie, nie ma co – sarknął Prusy. Potem szarpnął głową w kierunku parkingu. – Chodź. Pojedziemy na przejażdżkę.

– Dokąd? – Litwa schował broń, zmieszany swoją gwałtowną reakcją. Podążył za Gilbertem pomiędzy auta, a jego uwadze nie umknęło, jak czujnie Prusy się rozejrzał. Parking był jednak całkowicie pusty. – Coś się stało?

– Nie – wymamrotał Gilbert, przystając przy volkswagenie Taurysa. Poczekał, aż ten otworzy samochód, a potem usiadł na miejscu pasażera. – Zaraz wyjaśnię. Co z tą ptaszyną?

– Uschi? – Litwa opadł na siedzenie kierowcy i spojrzał na Gilberta z ukosa. – Annika się nią zaopiekuje. Nie... nie podoba mi się, jak to wyszło.

Prusy milczał; jedynie sposób, w jaki wypuścił powietrze przez zęby, świadczył o tym, że tak, on też planował to spotkanie inaczej.

– Osiągnęliśmy cel – mruknął w końcu, stukając palcami w drzwi. Patrzył w lusterko, obserwując dokładnie otoczenie. – Tak czy inaczej, nie tknie więcej tej małej. O to ci chodziło, prawda? Zresztą, ty też nie gryzłeś się w język.

Litwa patrzył przed siebie; na przedniej szybie leżało kilka liści, których kilka minut wcześniej jeszcze tam nie było.

– Chciałem podejść do tego na spokojnie. Nie spodziewałem się takiego wybuchu po jej ojcu.

Gilbert mruknął coś pod nosem, a Litwa westchnął; stało się, pomyślał. Dobrze, że nie było z nami Feliksa; on też by nie wytrzymał i kto wie, co jeszcze mogłoby się dzisiaj wydarzyć.

– Czemu przyszedłeś? – zapytał. – Chodzi o Antonia?

– Antonio swoją drogą – Gilbert pokręcił głową. – Wiem, gdzie może się na razie przyczaić, zostawcie to mnie. Nie, chciałem pokazać ci to – Sięgnął do paska i spod pół koszuli wyciągnął jakieś urządzenie. – Patrz, tylko nie dotykaj. Biuro ma twoje odciski, tego bym nie odkręcił.

Litwa zerknął na sprzęt; w słabym świetle padającym z pobliskiej latarni biały plastik obudowy błyszczał, a ciemne przyciski wyglądały, jakby jeszcze nikt ich nie dotykał. Piktogramy od razu dały Taurysowi do zrozumienia, z czym ma do czynienia.

– Dali ci nowy dyktafon?

– Dokładnie – Gilbert nie był zadowolony. – Wczoraj, po tym jak wróciłem do biura od ciebie, dostałem protokół zdawczy poprzedniego i musiałem im go oddać. Ten jest nowiuteńki i działa bez zarzutu – Postukał palcami w obudowę. – A to oznacza, że jakiekolwiek przerwy w nagrywaniu nie wchodzą w grę. Prawdopodobnie też jest znacznie czulszy. Tamten był szrotem, więc gdy wpisywałem w raporty awarie, to było to zrozumiałe – dodał niechętnie. – A załatwianie nowego sprzętu oficjalną drogą trwa

wieki, wszystko przez biurokrację. Dyrektorowi nigdy się nie chciało. Aż do teraz. Nagle wymienili mi go od ręki.

– Myślisz, że to robota führera? – spytał Litwa, zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszał.

– Dam sobie uciąć rękę, że tak – Prusy skrzywił się paskudnie. – A co mi się bardziej nie podoba, to to – Szturchnął palcem zwinięty, skórzany pasek, który Litwa zauważył dopiero teraz. – Można nosić go tylko przy pasie. Tamten miał włącznik na kabelku. Wystarczyło, że zahaczyłem go tutaj – Dotknął palcem najwyższego guziczka koszuli. – Szedł pod ubraniem, mogłem wygodnie sięgnąć i go wyłączyć. Teraz nie zrobię tego niezauważenie.

Taurys zaklął pod nosem.

– Ale nie przyszedłem tylko po to, by pokazać ci nową zabawkę biura – Prusy sięgnął ku schowkowi. – Masz tu mapę samochodową? – Nim Litwa odpowiedział, sam już znalazł odpowiedź. – Jest. Zaświeć.

– Mówiłeś o przejażdżce – Litwa przyglądał mu się z rezerwą. Włączył lampkę na podsufitce. – Gdzie chcesz jechać? Powiedz w końcu, o co chodzi.

Nie czuł się w nastroju na gierki. W ogóle się nie czuł; jakby ktoś wyżął go jak mokre pranie, wielokrotnie i bez litości.

– Ruszyły pierwsze przygotowania do urządzenia Domu Jesiennego – Gilbert zerknął ku niemu z ukosa. Litwa drgnął. – Spędziłem trochę czasu nad mapą, próbując znaleźć to miejsce, które widziałem na planach u Ferenca. – Szelest kartek; Prusy rozłożył mapę tak, by pokazywała Berlin i okoliczne miejscowości. – Nie mam stuprocentowej pewności, więc zrobimy sobie przejażdżkę po wsiach, Lit. Wstępnie wytypowałem trzy – Wskazał na obszar na południowy wschód od stolicy. – Tu, tu i tu.

Coś ścisnęło Taurysa w żołądku na samo wspomnienie. Łotwa, Estonia, Ukraina i Dania...

– Czego szukamy? – Przekręcił kluczyki w stacyjce. Silnik zawarczał.

– Budynku kilkaset metrów od reszty zabudowań, pod lasem. Prawdopodobnie nie zaznaczony na mapie, więc sprawdzamy wszystkie drogi prowadzące z i do lasów. Potencjalnie całkiem spory obszar dookoła.

– Ogrodzony jak wojskowy?

– Nie wiem – Prusy skrzywił się. – Kto wie, do czego rząd go wykorzystywał do tej pory. Może to prostu jakiś pustostan.

– To nie jest obiekt biura? – upewnił się Litwa, ruszając z miejsca. Światła auta omiotły blaskiem pusty parking; Gilbert kolejny raz zerknął w lusterko.

– Nie żaden mi znany – burknął, uważnie obserwując okolice.

Mięśnie ramion miał napięte; nie trzeba było znać go stulecia, by zrozumieć, że wewnątrz niego buzuje gniew, rozpaczliwie szukający ujścia. Może to i dobrze, pomyślał Litwa, że po wizycie w domu Uschi jedziemy szukać tego miejsca... Gdyby Gilbert swoim zwyczajem poszedł imprezować, jak to miał w zwyczaju w sobotnie noce, w takim parszywym nastroju mógłby wpakować się w kłopoty.

– Prace dopiero ruszają. Szukamy półciężarówek, materiałów budowlanych, czegokolwiek. Będą chcieli nie tylko doprowadzić lokal do porządku, by się solidnie prezentował – Prusy skrzywił się, jakby zjadł cytrynę w całości. – Ale i pewnie porządnie ogrodzić. Druty kolczaste odpadają, zbyt rzucają się w oczy. Solidny mur, na to bym stawiał.

Litwa w milczeniu manewrował autem po mieście. Berlin nigdy nie zasypiał, ale o tej porze ruch na drogach był niewielki; bardziej musiał uważać na rozbawione grupki, korzystające z sobotniej nocy, które mijali co jakiś czas na chodnikach.

– Jak zareagowali...? – zadał w końcu pytanie, które od długiej chwili krążyło mu po głowie. – Powiedziałeś już im, prawda?

Prusy wypuścił powietrze przez zęby.

– Powiedziałem im, że to kolejna relokacja – mruknął niechętnie. – Zgodnie z nakazem Ferenca. Do stycznia mają zwolnić się z pracy, pozamykać swoje sprawy i być gotowymi na przeprowadzkę. O Domie Jesiennym dowiedzą się na miejscu. Z tym – Postukał palcami w dyktafon, a potem schował go do kieszeni. – Na razie nie było okazji powiedzieć im czegoś więcej. Nie wiem, czy będzie.

Litwa westchnął; gdy przychodził list w kremowej kopercie, informujący o zbliżającym się terminie relokacji, nigdy nie wiedzieli, dokąd trafią; tą informację dostawali zwykle na ostatnią chwilę. Niechciani, przerzucani z miejsca na miejsce...

– Prusy – powiedział cicho. – Zamierzam zrezygnować z pracy w szkole.

Gilbert spojrzał na niego, ale nie wyglądał na zaskoczonego. Założył ręce na piersi i rozsiadł się wygodniej w fotelu.

– Domyślam się, że złożysz papiery wtedy, gdy ta mała pojedzie do Königsberga – stwierdził. – Ale nie podejmuj żadnych głupich decyzji, Lit. Nie pod nosem biura.

– Nie zamierzam – uspokoił go Taurys. Wyjechali poza miasto; dookoła rozciągały się już otwarte pola i stało się znacznie ciemniej; latarnie przy drodze były jedynymi źródłami światła w morzu czerni, a ubywający księżyc niemalże nie wychylał się spomiędzy chmur. Światła auta obijały się w kałużach. – Będę udawał, że szukam innej pracy. Nie rzucę się od razu na wschód. Po prostu... wolę być w gotowości.

– Cóż, właściwie to masz ładną wymówkę, by rzucić papierami. Jak ona ma na imię?

– Annika.

Prusy zerknął na niego z ukosa i uniósł brew.

– Zawsze jarały cię jasne włosy? Polen, Weißrussland... Czy kiedykolwiek...

– Prūsija – westchnął Litwa.

– Co?

– Zamknij się, proszę.

Gilbert wymamrotał coś pod nosem o przypadkach beznadziejnych, z którymi musi użerać się po nocach; Litwa nie miał siły dopytywać, co dokładnie ma na myśli. Kręcąc głową z niedowierzenia, że w ogóle prowadzą tę kuriozalną rozmowę, zjechał z głównej drogi w boczną, gorzej oświetloną uliczkę. W oddali widział cienie zabudowań jakiejś wsi.

W milczeniu przejechali ostatni kilometr, aż znaleźli się między zabudowaniami; Prusy patrzył to na mapę, to na opustoszałą, wąską drogę i półsłówkami wskazywał kierunki.

Litwa zwolnił i lustrował wzrokiem okolicę. Rzędy jednorodzinnych, murowanych domów ciągnęły się po obu stronach ulicy, otoczone podwórkami czy też raczej podjazdami dla samochodów; był pewny, że większość mieszkańców pracuje w Berlinie, bo połacie terenu zza domami były czarnym, nieprzeniknionym kłębowiskiem zarośli, a nie wykoszonymi polami uprawnymi.

Protestancki kościół, parę sklepów pośrodku wsi i droga idąca dalej w las; Gilbert bez słowa wskazał ją ruchem podbródka, ale gdy wyjechali spoza ostatnich zabudowań, po obu stronach nie znaleźli nic poza nieużytkami. Światła volkswagena omiatały mokry asfalt, aż ten zamienił się w szuter; kamienie zagrzechotały pod oponami, a kilkadziesiąt metrów przed nimi droga zanikała całkowicie w wysokich trawach, zmieniając się w pieszą ścieżkę.

– To nie tutaj – Prusy wychylił się do przodu i szukał czegokolwiek w ciemnościach gęstniejącego lasu. – Za daleko. Wykręcisz?

Taurys przytaknął i zaczął manewrować kierownicą, próbując zawrócić; cofając auto, miał nadzieję, że nie wpadnie na żadną przeszkodę. Manewr, mimo gęstego mroku, powiódł się; z ulgą nacisnął gaz.

– To teraz tutaj...

Krążyli po okolicznych wsiach jeszcze ponad godzinę, pod ciężkimi powiekami Taurys czuł piasek, ale zimne powietrze, wpadające do środka przez uchylone okno po stronie pasażera powstrzymało go przed zaśnięciem. Jechał wolno, nawet gdy drogi pomiędzy kolejnymi miejscowościami były niemalże puste; o tej porze lasy i pola były pełne zwierzyny, a on nie ufał swojemu czasu reakcji.

Prusy raz czy dwa narzekał na tempo, po krótkiej wymianie zdań jednak odpuścił; osunął się po fotelu i wyglądało na to, że on też stracił już nadzieję.

– Tutaj...? – wyszeptał Taurys pół godziny później, zwalniając niemalże do zera na głównej ulicy kolejnej wsi. Za znakiem z przekreśloną nazwą miejscowości rozciągały się łąki czy też pastwiska; kilkaset metrów dalej ściana lasu ledwo odcinała się od czarnego nieba. – To ten dom?

Gilbert wyprostował się w fotelu; zmrużył oczy i skrzywił się, nie widząc za dobrze.

– Zgaś światła i chodź – rzucił, łapiąc za klamkę.

Gdy wysiedli, stanęli przy masce i poczekali, aż ich oczy przyzwyczają się do ciemności, wyraźniej już zobaczyli kwadratową bryłę budynku. Otaczało go solidne, murowane ogrodzenie; na rozległym placu regularne kształty prawdopodobnie były materiałami budowlanymi. Sam plac był pozbawiony źródeł światła; spojrzeli po sobie porozumiewawczo.

Dopiero teraz Litwa zauważył, że Prusy zmienił płaszcz na ciemny; Gilbert zarzucił na głowę kaptur, by jeszcze mniej rzucać się w oczy i szarpnął znacząco głową. Wolno podeszli jeszcze kilkadziesiąt metrów, upewniwszy się, że nikt ich nie widzi. Pogoda była po ich stronie; już nie padało, ale chmury całkowicie zakryły niebo.

– Jest w budowie – szepnął Litwa, wytężając wzrok. Okna wyglądały na pozbawione szyb, ściany na nieotynkowane. Miejsce nie miał w sobie ani skry życia. – Myślisz, że jest tu ktoś uzbrojony?

– Nie – Prusy odszepnął. – Nie chcą wzbudzać niczyjej uwagi. Na razie to tylko budowa. Nie ma potrzeby zostawiać tu kogoś więcej niż ciecia. A ten pewnie śpi tam – Wskazał budkę, której Litwa w pierwszej chwili nie zauważył.

Obejrzał się i przez chwilę mierzył wzrokiem odległość do zabudowań; potem spojrzał w kierunku lasu.

– Zapamiętaj to miejsce – mruknął. – To może być tutaj. Spadamy, nim ktoś nas zobaczy.

Obrócił się i ruszył w kierunku samochodu; Litwa rzucił ostatnie spojrzenie Domowi Jesiennemu. To tutaj, pomyślał. To tutaj zrobią im więzienie, które tylko nosi ładną nazwę. Byle tylko... byle tylko nie podnieśli na nich ręki. Na samą myśl poczuł bolesny, ściskający wnętrzności strach; zaciskając szczęki, podążył za Gilbertem.

W drodze do Berlina nie rozmawiali wiele; Prusy wskazał jakiś przystanek tramwajowy i to tam Litwa go zostawił; była niemalże czwarta rano, gdy powrócił pod blok. Nim wysiadł, oparł ciężko ramiona o kierownicę zaparkowanego auta i schował w nich głowę. Ciemność i chłód skóry przynosiły ulgę obolałym, piekącym oczom.

Praca, weterynarz, ta koszmarna rozmowa, Uschi i teraz ta nocna wyprawa; potrzebował snu. Jęknął w duchu, gdy zdał sobie sprawę, że nie oddzwonił do Feliksa, ale było już zbyt późno; nie chciał budzić go o tej godzinie. Zadzwonię rano... Rano jedziemy po rzeczy Uschi, muszę być przytomny... Cholera jasna.

Miał, w najlepszym przypadku, jakieś cztery godziny snu przed sobą; o ile będzie w stanie pokonać kłębiące się w głowie myśli. Z wysiłkiem wyszedł z samochodu i powlókł się na górę, na trzecie piętro; Berta powitała go mruczeniem i ocieraniem się o jego nogi.

– Cześć – wymamrotał, kierując się od razu do sypialni, gdy tylko pozbył się płaszcza i butów. Zmusił się do przebrania, chociaż najchętniej rzuciłby się na łóżko w ubraniu. Gdy opadł na materac, zmęczenie uderzyło w niego pełnią mocy; opuścił powieki i nie miał siły już ich podnieść, ale sen nie nadchodził.

Leżał bezsennie, aż niebo zaczęło szarzeć, czując ciepłą, futrzaną kulę zwiniętą obok niego. Gdy w końcu zasnął, jego niespokojne sny były poszarpanymi skrawkami twarzy i słów; Feliks, Raivis, Edward. Nikolai, Annika, Milda; gdy przebudził się gwałtownie, duża wskazówka zegara nie wykonała nawet jednego pełnego obrotu.

Kolejne kwadranse były kolejnymi półsnami; litościwie ten ostatni był przyjemny, ale z tym większym żalem go opuścił, gdy przyszedł czas na pobudkę.

– Chciałbym jeszcze pospać – poskarżył się Bercie, gdy otworzył oczy po, wydawało mu się, minucie od poprzedniego przebudzenia, mówiąc słabym, płatającym się językiem.

Sięgnął po budzik, to przeklęte urządzenie i niemrawo obrócił je w palcach; niewiele brakowało, a by je upuścił. Uciążliwy terkot brutalnie przywracał go do rzeczywistości; z ulgą wcisnął przycisk i zapadła cisza.

– Śnił mi się Feliks. Ja i on, razem... Zresztą, nieważne.

Potarł twarz, czując gorąco pod palcami. Wyglądało na to, że jego tęsknota i pewne frustracje zaczęły krystalizować się w jego snach, ale nie popadł jeszcze w takie szaleństwo, by opowiadać o tym kotu. Cóż... przynajmniej zaczynał czuć, że żyje, nawet jeśli... miał spore wątpliwości… w tej kwestii.

Kręcąc głową, wstał i ruszył do łazienki, by doprowadzić się do porządku, śledzony nieruchomym spojrzeniem Berty, leżącej na biurku niczym sfinks.

Zawsze na straży.

Rozdział XXVIII: Starzy znajomi

Zielony volkswagen mknął przed siebie po gładkiej powierzchni nowej autostrady, mijając kolejne zjazdy do większych miast; skrzywiła się, czując nieprzyjemne drętwienie przedramion, nienawykłych do tak długich jazd.

Przez kilka ostatnich lat samochód Erzsébet częściej stał na parkingu, stale okupując miejsce parkingowe pod drzewem, niż był w użyciu; jeśli już decydowała się wyjść z domu, nie wybierała się dalej niż do najbliższego sklepu. Wcześniej też Węgry rzadko używała auta; było przydatne, gdy trzeba było wpaść do meblowego po drugiej stronie miasta, ale mieszkając w Tuluzie nie miała na ogół potrzeby wsiadać za kierownicę.

Szkoda, pomyślała spokojnie, zwiększając nacisk na pedał gazu, by wyminąć wlekącego się prawym pasem busa. Kiedyś lubiłam jeździć.

Powiedziała swoim chłopcom, jak w myślach nazywała Polskę i Gilberta, że regularny kurs między jej mieszkaniem a dziuplą Grisa nie będzie problemem; dwugodzinny przejazd z Tuluzy do Lourdes okazał się większym wyzwaniem niż sądziła.

A teraz czekała ją znacznie dłuższa wyprawa; wyglądało na to, że musi na nowo oswoić się z samochodem, nowo wybudowanymi autostradami na południu imperium i niecierpliwymi kierowcami na drodze.

Szczególnie z tymi trąbiącymi.

– Fogd be a pofádat! – warknęła w końcu Węgry, gdy jadący za nią samochód kolejny raz dał koncert klaksonem. – Ślepy jesteś, nie widzisz, że zjeżdżam i muszę zwolnić?!

Hiszpania wychylił się z tylnego siedzenia; w lusterku zauważyła jego wyszczerzone zęby.

– Spokojnie! – Klepnął ją w ramię. – Nie ma co się złościć.

Erzsébet zerknęła w szybę, częściowo dlatego, by dostrzec w bocznym lusterku tego chuja w czerwonym BMW, a częściowo, by ukryć swoją reakcję; nagłe wzdrygnięcie, nerwowy ruch palącego ramienia można było zwalić na karb jazdy, nierówności pod kołami, drgnięcia zdrętwiałego mięśnia, ale nie ufała swojej twarzy.

Hiszpania nie wiedział; gestykulował swobodnie, gdy zatrzymywali się na moment na odosobnionych poboczach, aby rozprostować nogi, rzucał lekkie przeprosiny, gdy niechcący potrącił ją podczas pogaduszek, szturchał palcem, by coś wskazać, szczerze zaciekawiony architekturą kraju, o którym do tej pory jedynie słyszał od Feliksa.

Usta mu się nie zamykały; dopytywał i dopytywał o życie w imperium i o jego mieszkańców, w zamian zabawiał opowieściami zza zachodniej granicy, historyjkami o przemytnikach, a każdą nerwową sytuację na drodze rozładowywał jakąś śmieszną uwagą.

I chociaż Węgry była napięta jak struna, jak balon obawiający się igły, coś głęboko w niej zaczynało topnieć podczas tej jazdy; było to dziwnie uwalniające.

Prusy mordował wzrokiem każdego, kto chociażby pomyślał o wyciągnięciu do niej rąk i w tamtym klubie nie wahał się dać w mordę nachalnemu typowi; Feliks, patrząc na

nią smutno, dawał jej przestrzeń, której potrzebowała, a Litwa rozumiał, jakie ślady na duszy zostawia przemoc, samemu jej doświadczywszy.

I jakkolwiek nie była wdzięczna za ich zrozumienie i opiekę… zaczynało ją to dusić.

Myślami była przy obietnicy, którą złożyła Gilbertowi; nie zatańczę w Charlottenburgu, bo kolejnego nie będzie, ale przysięgam ci, że to mnie nie powstrzyma. Tańczyłam z tobą, zatańczę z wami wszystkimi. Zatańczę z każdym mężczyzną, który poprosi mnie do tańca. Ha. Nie będę czekać, sama będę ich prosić.

W duchu podziękowała Bogu za zesłanie jej Antonia i jego bezpośredniości. I za Gilberta, który kazał im jechać tam, gdzie jechali, pieprzone tysiąc kilometrów w linii prostej od hiszpańskiej granicy, nie mówiąc nic więcej poza „będzie bezpieczny" irytująco pewnym głosem.

Więc pojechała.

Gilbert, Feliks i Taurys pokonywali już podobne dystanse, ale oni mogli zmieniać się za kierownicą; nie ośmieliła się wpuścić Antonia na swoje miejsce, nie bez lokalnych – chociażby i sfałszowanych – dokumentów i nie wiedząc, czy jego twarz nie została już jakoś cichaczem przekazana służbom.

Robili przerwy, to na szybki posiłek w aucie gdzieś na parkingu, to na rozruszanie nóg na jakimś bezludziu i znów jechali przed siebie, południowym wybrzeżem Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej.

Wcinającą się w terytorium niemieckie szwajcarską ziemię minęli łukiem nocą; gdy tylko Hiszpania zauważał, że powieki Erzsébet opadały ciężej, lekko szturchał ją w ramię albo poklepywał po barku. Znajdywali wtedy jakiś parking, łąkę, wolne pobocze i wychodzili, by przejść się po chłodnawym powietrzu; Antonio spacerował powoli, a Erzsébet odwracała oczy, aż przestawały wilgotnieć i łzawić.

Później znów były opowieści, głośna muzyka w aucie i śpiew, bo Antonio szybko łapał słowa i melodię lecących w eterze lokalnych piosenek, a ona była wdzięczna, że nie zaśnie za kierownicą.

– Isa – Gdy zza Alp wstawał świt, rozświetlając świat w przepiękny sposób i barwiąc niebo na perłowy róż, Antonio odezwał się z tylnego siedzenia. Częściej leżał niż siedział, częściowo, by nie pokazywać się przez okna, a częściowo z powodu rany; Erzsébet przyłapywała go na dotykaniu stroni, gdy myślał, że ona nie patrzy. – A tak w ogóle, to podejrzewasz, gdzie możemy jechać?

– Nie – odparła, mrugając powiekami pełnymi piasku. Najchętniej zwinęłaby się na siedzeniu i usnęła. Jazda była cholernie nużąca, nawet mimo starań Antonia i coraz ładniejszych widoków. – Ale wierzę Gilbertowi.

Wskazówki zapisała na mapie samochodowej; niejasne szkice, urywane słowa, strzałki i kierunki; wątpiła, by ktokolwiek inny mógł cokolwiek z nich odczytać nie znając kontekstu, ale dla pewności zamierzała później się ich pozbyć.

Jechali i jechali dalej, aż znaleźli się na alpejskim pogórzu, przejeżdżając przez maleńkie miasteczka i malutkie wsie, coraz wyżej położone i coraz słabiej zasiedlone; Erzsébet zaczęła mieć obawy, że pobłądzili.

Mijali rozległe pastwiska i kluczyli w gęstych lasach; przynajmniej mieli pewność, że nikt ich nie śledzi, bo ruch malał i malał, aż byli jedynymi osobami na drodze. Każdy inny samochód zauważyliby w lusterkach na częstych zakrętach albo usłyszeliby jego silnik w cichych kniejach na długo przed tym.

Raz czy dwa stanęli, by przepuścić stada owiec schodzące z hal; pasterz machał im kapeluszem, owczarki oszczekiwały samochód, a potem znów robiło się cicho.

Powietrze ochłodziło się i stało się krystaliczne czyste; słońce wyglądało zza wysokich stoków, a im w pewnym momencie skończył się asfalt; przez kilkanaście kolejnych kilometrów jechali szutrem przez las, obserwując z niepokojem zwężającą się drogę i coraz częściej zarośnięte pobocza.

– Pobłądziliśmy? – Hiszpania wychylił się do przodu, by przyjrzeć się wskazówkom.

– Mam nadzieję, że nie – odszepnęła Węgry. – Nie wiem już, jak wrócić na główną. Od trzech godzin jedziemy drogami, których nie ma na mapie.

– Jest w tym jakaś logika – zażartował Antonio. – Żeby ktoś miał mnie tutaj szukać, musiałby wiedzieć, że takie miejsce istnieje.

Erzsébet westchnęła. Gdzie ty nas prowadzisz, szaleńcu?

Droga pięła się dalej jeszcze przez kilka kilometrów, a zarośla zaczęły drapać boki auta. Potem szuter gwałtownie się urwał, przechodząc w polną drogę; Węgry westchnęła, zwolniła i wtoczyła samochód między trawy tak wysokie, że zielony volkswagen prawie w nich znikał.

Teren nieco się wyrównał, stając się całkowicie dziki. Zniknęły polany i pastwiska, a las gęstniał z każdym kilometrem; byli zdumieni, że jeszcze nie wziął sobie tej ścieżki w posiadanie.

Nie było nawet jak zawrócić; musieli jechać naprzód, zaufać drodze i Prusom.

– Patrz, dom! – Antonio wyprostował się podekscytowany.

Erzsébet zwolniła niemalże do zera i wpatrzyła się przed siebie; droga zakręcała, schodząc jednocześnie w dół, w małą dolinkę; zza gęstwiny drzew mignęło coś ciemnego, dużego i zbyt regularnego, by mogło być stworzone przez naturę.

Zjechali na dół, gdzie polna droga kończyła bieg, rozszerzając się w błotnisty podjazd, w którym odcisnęły się opony, pierwsze od dawna ślady ludzkiej bytności. Stał tu też samochód, spora terenówka o porządnych kołach, której niestraszne były te bezdroża, niezależnie od pory roku; Węgry zdała sobie sprawę, że jeszcze kilka tygodni, a nie dałaby dojechać tak daleko swoim autem.

– No no – szepnął Antonio, patrząc z kolei na budynek. – Qué bonita casa!

W przeciwieństwie do alpejskich domów, które mijali po drodze, ten nie miał bielonego parteru; w całości zbudowany z ciemnego drewna, w nocy musiał być niemalże niewidoczny, ale za dnia prezentował się bardzo ładnie. Drzwi i okiennice na parterze zdobiły gustowne rzeźbienia, a na piętrze wzdłuż całej ściany ciągnął się balkon, z którego balustrady zwieszały się kwiaty. Obejście wyglądało na zadbane, trawnik był dokładnie przystrzyżony, a stosik drewna opałowego przy jednej z bocznych ścian równiutko ułożony.

Węgry uniosła kącik ust; ten pedantyzm wyglądał znajomo…

Teren wokół domu otaczał wysoki, kuty płot, na pierwszy rzut oka równie estetyczny ze swoimi giętkimi liniami, co groźny ze względu na ostre zakończenia na szczycie; Hiszpania ocenił go wzrokiem i mruknął coś o niepożądanych gościach i wielkości cojones, jaką musieliby mieć ci, którzy spróbowaliby przez niego przejść.

Nie mogła nie zachichotać.

– Nie mów tego Gilbertowi.

Antonio rozpromienił się.

– Nie obiecuję, że mi się nie wymsknie.

Ledwo wyszli z auta, ledwo trzasnęły drzwi, a zza domu wypadło kilka psów, pięć wysokich, wysmukłych wyżłów weimarskich o srebrnoszarej sierści. Za nimi gnał mały spaniel angielski, próbując dogonić długonogą resztę stada i jednocześnie nie potknąć się o własne uszy.

Psy dopadły płotu i rozszczekały się w niebogłosy; jazgot niósł się echem po całej okolicy. Węgry i Hiszpania wymienili znaczące spojrzenia; nie było mowy, że wejdą na posesję bez zaproszenia. Psy wyglądały na bardzo zaangażowane.

Antonio pochylił się, cmoknął raz czy dwa, ale wyżły skwitowały jego starania jeszcze głośniejszym szczekaniem, a spaniel najeżył się i zawarczał.

Znikąd powietrze przeszył krótki, ostry gwizd; psy przestały szczekać i pognały ku drzwiom wejściowym. Erzsébet i Antonio przenieśli tam wzrok; na ganku stał mężczyzna i patrzył na nich w milczeniu; psy zawarowały u jego stop.

– No proszę – szepnął Hiszpania, uśmiechając się od ucha do ucha. – Kolejny stary znajomy.

Węgry z rozkoszą upiła łyk przepysznej, gorącej kawy z eleganckiej filiżanki, rozglądając się ciekawie po salonie. Wewnątrz dom był przestronny, jasny i urządzony w klasycznym stylu; na ścianach królowały kremowe panele, pomieszczenia oświetlały abażurowe lampy, a drewniane meble, zapewne kosztujące majątek, wraz z obiciami w ciepłym odcieniu brązu dodawały salonowi przytulności.

Siedziała, oparta o poduszki, na jednej z dwóch sof, tak miękkiej, że najchętniej by na niej usnęła. Hiszpania wybrał niski fotel, w którym się zatopił, przymknąwszy oczy; najwidoczniej też odczuwał zmęczenie.

Regały wypełnione były książkami, ładnie wydanymi albumami i płytami winylowymi; Erzsébet dostrzegła kilka krążków z utworami dużo starszymi niż Zjednoczona Rzesza Niemiecka. Wewnątrz szklanej witryny chowały się butelki z winem, brandy i wermutem oraz pudełko czekoladek z wyższej półki.

Dywan był miękki i uginał się pod stopami; ciężkie zasłony połowicznie zakrywały duże okna wychodzące na alpejskie szczyty. Na przestronnym tarasie, na stole, stała pojedyncza, zapomniana filiżanka; prawdopodobnie przerwali ich gospodarzowi delektowanie się poranną kawą.

Było niesamowicie cicho; do przyzwyczajonego do gwaru miasta ucha docierał jedynie delikatny szum drzew i okazjonalnie poszczekiwanie psów na leśną zwierzynę.

To był piękny dom, w pięknym, cichym, nie niepokojonym przez nikogo miejscu; Erzsébet westchnęła cicho z odrobiną zazdrości. Miała pewność, że wielu z nich oddałoby wiele za taką emeryturę.

Saksonia przeprosił ich na moment; gdy wrócił z piętra, miał już na sobie koszulę i spodnie zamiast lekkiego szlafroku, w którym ich przywitał.

– Wiedziałem, że siedemdziesiąt lat spokoju to zbyt długo jak na tego awanturnika – skomentował spokojnie, zasiadając w innym fotelu. – Więc to ty jesteś „czymś do przechowania", jak to określił Gilbert?

Antonio wyszczerzył się i uchylił nieistniejącego kapelusza. Erzsébet przyglądała się gospodarzowi z ciekawością.

Podobieństwo między Christianem a Ludwigiem było uderzające; dzielili ten sam kształt twarzy i ust, ostrą linię gładko ogolonej szczęki i kości policzkowe, nie pozostawiając wątpliwości co do ich pokrewieństwa. Były jednak różnice; podczas gdy Niemcy strzygł się krótko, na żołnierską modłę, długie włosy Saksonii opadały na jego plecy, odrobinę falując. Także oczy Christiana przypominały bardziej patynę niż błękit nieba.

Miał też coś, czego sztywny, nawykły do marszu i stania na baczność Ludwig nigdy nie zdołał osiągnąć; dyskretną, elegancką płynność każdego ruchu. Węgry doskonale pamiętała go jeszcze z dawnych europejskich salonów i eleganckich przyjęć; kiedyś sama z nim tańczyła, zachwycona, bo Christian wydawał się urodzić na parkiecie i taniec z nim był czystą przyjemnością.

I prawdopodobnie chciałam wtedy wkurzyć Rodericha; to mogło mieć ze sobą coś wspólnego, pomyślała z lekkim rozbawieniem, odwracając oczy od Saksonii.

Uprzejmy, najbardziej opanowany z całego rodzeństwa, zawsze elegancko ubrany i świetny w tańcu; nie dziwiła się wcale, że swego czasu Feliks był nim tak zauroczony.

– Jak widać – mówił tymczasem Hiszpania, obrzucając salon pełnym uznania wzrokiem. – Ładnie tu masz, amigo, chociaż w Bawarii spodziewałem się… cóż, Bawarii. Co tam u niego?

– Bawaria bawi gdzieś nad morzem, jeśli dobrze pamiętam – Saksonia wbił wzrok w okna; gdy goście podążyli za jego spojrzeniem, zobaczyli psy ciekawsko zaglądające do środka; ich mokre nosy zostawiały ślady na szybie. Christian odgonił je gestem; zwiesiły ogony i zniknęły z pola widzenia.

Erzsébet nie umknęło, jak wymijająca była to odpowiedź; „gdzieś nad morzem" mogło oznaczać setki miejsc, zważywszy na to, jak wyglądała geografia Rzeszy.

Zawahała się przed zadaniem następnego pytania.

– Christianie, czy… jesteśmy tu bezpieczni?

– Właśnie – podchwycił Hiszpania. Wyprostował się w fotelu i przyglądał się Saksonii ze zmarszczonymi brwiami. – Wiesz, wielkie dzięki za przechowanie mnie… ale czemu się zgodziłeś?

Saksonia spoglądał na nich poważnie; oparł twarz o dłoń, łokieć o podłokietnik i zastukał palcami drugiej ręki w skórzane oparcie fotela.

– Jesteście tutaj – powiedział cicho. – Bo Gilbert mnie o to poprosił.

Zapadła krótka cisza; zza szyby dobiegło ciche skomlenie spaniela.

Węgry przygryzła wargę.

– Czy w ogóle wiesz, dlaczego? – zapytała. – Nie zadajesz żadnych pytań. Myślałam, że…

– Im mniej wiem, tym lepiej – Christian przyglądał się jej badawczo. – W cokolwiek ten barani łeb – Mimo inwektywy jego głos przybrał cieplejsze tony, gdy wspomniał Gilberta. – się wplątał, lepiej, żebym nie znał szczegółów.

– Najciemniej pod latarnią? – Hiszpania zapytał sam siebie. – Nawet jeśli to są sprawy państwowe, Christian? Wiem, że to Ludwig wszystko już ogarnia oficjalnie, ale führer przecież musi… Zaraz. Ha – Wydawało się, że Antonio coś właśnie zrozumiał. Odchylił się do tyłu i roześmiał. – Hahaha. Naprawdę?

Węgry zmarszczyła brwi; powiodła spojrzeniem po zrelaksowanej pozie Saksonii, jego uniesionej brwi i też zrozumiała.

– On nie wie – szepnęła. – Ty, Bawaria, Brandenburgia, cała reszta… Weigel nie ma pojęcia, że wy żyjecie, prawda?

Uśmiech Saksonii był miękki, ale spojrzenie miał twarde.

– Najpierw Beilschmidt, potem führer – odparł bez chociażby najmniejszego drgnięcia powieki. – Nieważne czy pierwszy, drugi czy trzeci, wystarczą mu zjednoczone Niemcy i Prusy. Ludwig i Gilbert. Nie ma potrzeby nas angażować, w pokoju robi się wtedy zbyt tłoczno.

Węgry wpatrywała się w Christiana zdumiona. Tak łatwo zapomnieliśmy, pomyślała. Tyle wieków bywaliśmy na tych samych balach i tych samych pobojowiskach z całą rzeszą niemieckich królestw i księstw, a wystarczyło siedemdziesiąt lat, byśmy o nich zapomnieli.

Patrząc na Ludwiga w Charlottenburgu, tak od nas odległego, zapomnieliśmy o jego starszych braciach; tych, którzy złożyli na jego barki własne obowiązki, sami z siebie usunęli się w cień, uznawszy go za potomka, dziedzica i następcę.

Oczywiście, Niemcy zjednoczyli się na długo przed nastaniem jakiegokolwiek führera i w momencie, gdy Hitler był u władzy, Ludwig reprezentował kraj już od wielu, wielu lat, ale… ale Erzsébet nie przyszło nawet do głowy, że pozostali bracia mogliby… po prostu się ukryć. Gdzieś z tyłu jej głowy, do tej pory uśpiona, mieszkała pewność, że po prostu żyją, nie zajmując się już polityką ni wojną, ale władza pozostaje świadoma ich obecności.

Najpierw Beilschmidt, potem führer, powtórzyła w myślach. Najpierw Beilschmidt, potem prezydent, cesarz, król, ktokolwiek inny. Przecież to oczywiste…

– Pamiętam, jak walczyliśmy ramię w ramię – odezwał się Hiszpania. – Ja, ty, Francja, Prusy, Bawaria… o co była tamta awantura?

– O austriacką koronę – szepnęła Węgry.

– A, pamiętam. Zmieniłeś potem strony – W odpowiedzi na ten zarzut Saksonia jedynie wzruszył ramionami. Hiszpania westchnął. – Pozmieniało się od tego czasu, nie?

Z dziesiątek granic nie ma już żadnej. W ogóle dobrze się trzymasz, jak na kraj, którego nie ma na mapie.

– Jestem – sprostował Christian bez większych emocji. – I nie zapowiada się, by się to zmieniło. Aczkolwiek dziękuję.

– Ludwig…? – zapytała Węgry cicho, chociaż domyślała się odpowiedzi z samego wyglądu Christiana.

– Ludwig jest nami, a my jesteśmy nim. Tyle i aż tyle. Gilbert wspominał mi, co dzieje się z wami – Saksonia skinął głową Erzsébet. – Ale to nie jest przypadek Beilschmidtów. Jesteśmy Zjednoczoną Rzeszą Niemiecką w takim samym stopniu, jak on.

– Więc dlaczego istnieją autonomiczne Prusy? Dlaczego ty możesz sobie tutaj spokojnie po cichu mieszkać, pić wino i nie martwić się o nic, a próba zjednoczenia Prus z resztą Niemiec zawiodła?

– Bo Gilbert zawsze był indywidualistą – Saksonia wyjaśnił miękko. – Sami dobrze o tym wiecie. Urodził się w Ziemi Świętej, potem błąkał się po Siedmiogrodzie – Spojrzał na Węgry i uśmiechnął się do niej. – Aż przejął ziemię i imię starego Bałta… Ścisłe kontakty z Koroną, niech mu ziemia lekką będzie – Lekko pochylił głowę; Erzsébet otworzyła usta ze zdumienia. Nie wie, zrozumiała. Gilbert mu nie powiedział. – Nawet połączenie z Brandenburgią nie pomogło. Może też dlatego, że nigdy nie był częścią Świętego Cesarstwa, kto go wie.

Hiszpania wyglądał na zaintrygowanego; słuchał słów Saksonii, marszcząc brew, a gdy padła wzmianka o Polsce, nagle się ożywił:

– Nie taka lekka, wiesz, bo…

Na szczęście, nim Erzsébet zdążyła go powstrzymać – Saksonia nie wpakuje Prus w kłopoty, ale lojalność Beilschmidtów stawiała na pierwszym miejscu Beilschmidtów właśnie, a nie kogokolwiek innego, lepiej, by Christian, zgodnie ze swoimi słowami, wiedział jak najmniej – pomogły jej psy kręcące się niespokojnie pod oknem; zaczęły skomleć, piszczeć i poszczekiwać, robiąc oszałamiający hałas.

– Przepraszam za nie – westchnął Christian. – Nie są przyzwyczajone do tego, że mam gości. Zaraz wrócę.

Wstał i wyszedł na taras, zasunąwszy za sobą drzwi. Obserwowali, jak głaska i uspokaja wyżły, teraz zachwycone uwagą, jaką otrzymywały. Spaniel oparł się przednimi łapami o jego spodnie i zaszczekał radośnie.

– Ani słowa o Felku.

– Czemu? – zdziwił się Antonio. Potem się zreflektował. – Fakt, im mniej wie, tym bardziej wiarygodny będzie, gdyby ktoś kiedyś próbował coś z niego wyciągnąć, racja.

– Też – przyznała Erzsébet cicho. – Ale… mam wrażenie, że to nie był jedyny powód, dlaczego Gilbert mu nie powiedział.

Zaciekawiony Hiszpania pochylił się ku niej i oparł dłoń o sofę, na której siedziała; powstrzymała chęć odsunięcia się od jego ciała, zapachu potu maskowanego mocnymi perfumami. Nie mieli podczas podróży okazji, by doprowadzić się do porządku.

– Jaki jeszcze? – zagadnął, a jego oczy zabłysły. – Czekaj, czekaj… Oni nie byli kiedyś w unii? Feliks i Christian? Tylko polityka, czy coś było na rzeczy? I co w ogóle na to Litwa? Oni teraz do siebie wrócili, nie?

Węgry cicho pożałowała, że się odezwała, ale musiała brnąć w to dalej:

– Gilbertowi bardzo zależało, by się zeszli – szepnęła. – Myślę, że nie chce wyciągać tej sprawy na wierzch.

– Ha. Na stare lata odnalazł w sobie powołanie do swatania? Gdzie był, jak król próbował mnie zeswatać ze swoją córką? Znalazłby jej kogoś, oszczędziłby mi kłopotu.

– Przecież to ona cię uwiodła…?

– Mówię teraz o innym królu. Czekaj, nie opowiedziałem ci? Cholera, taka zmarnowana okazja…

Erzsébet zaśmiała się bezsilnie; nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, do salonu wrócił Saksonia.

– Ze względu na Gilberta jesteście tu mile widziani, ale nie zdradzajcie nikomu lokalizacji tego miejsca – poprosił. – Z Monachium dostać się w te okolice można tylko lokalnymi busami, a mieszkańcy najbliższych wiosek znają mnie jako tego dziwnego mężczyznę z psami, który czasem przyjeżdża odpocząć w samotności. Kwestie własności tego domu zostały odpowiednio zamaskowane i mam nadzieję, że tak pozostanie jeszcze przez wiele lat.

– Jest chroniony lepiej niż płotem i kilkoma psiakami? – zapytał Hiszpania.

Saksonia uśmiechnął się raczej nieprzyjemnie, co było rzadkim widokiem; taki grymas wręcz nie pasował do jego arystokratycznej urody.

– O takich detalach porozmawiamy później – Przesunął spojrzenie na bandaż ciągle zdobiący głowę Antonia. – Powinienem zapytać od razu. Potrzebujesz świeżych opatrunków albo medykamentów?

– Jest dobrze – Hiszpania machnął lekceważąco dłonią. – Goi się.

Erzsébet odetchnęła z ulgą i odłożyła pustą filiżankę na najbliższy stoliczek.

– Powinnam wracać – powiedziała, świadoma spojrzenia Christiana. Potem z trudem powstrzymała ziewnięcie. Kawa pobudziła ją tylko na chwilę. – Przepraszam…

– Proponuję najpierw śniadanie i drzemkę, by nabrać sił, Erzsébet. Na górze są pokoje.

– Masz jakieś cygara? – zapytał z nadzieją Antonio.

Saksonia uśmiechnął się.

– Coś się znajdzie.

Gdy zamknął za sobą drzwi, rozbawione głosy niosące się po korytarzu hostelu ucichły; Feliks odetchnął i z ulgą ruszył w kierunku łóżka, zdejmując po drodze buty. Walnął się na pościel, przymknął oczy i znów westchnął; sobota.

Przetrwał ten tydzień, chociaż od czwartku czuł się dziwnie zmęczony; odzwyczaiłem się od regularnej roboty, stwierdził w myślach. Chociaż kontrola jakości w teorii nie wymagała od niego ciężkiej pracy, w praktyce i tak zrobił sporo kilometrów po fabryce;

tu ktoś go zawołał, tu komuś pomógł i w efekcie jego nogi bolały tym znajomym, tępym bólem, nawet teraz, gdy wyłożył je na kołdrę.

Ale było warto; Feliks wkupywał się w łaski tutejszych i miał wrażenie, że jeden z kumpli Eliasa nieco zbyt krytycznie wypowiadał się o rządzie.

Warto się koło niego zakręcić, zanotował w myślach Polska, a potem zamknął oczy, ciesząc się ze spokoju i samotności; fabryka była głośna i gwarna przez cały czas i pod koniec zmiany miał wrażenie, że wyczerpują mu się baterie.

Cóż, granie kogoś innego zawsze było wyczerpujące; tyle razy musiał to robić, a do tej pory się nie przyzwyczaił… Nie mówiąc już o innych rzeczach, które sprawiały, że czuł się niekomfortowo; inicjowanie kontaktów, zagadywanie o pogodzie, przeklęty small talk – do tej pory nie mógł zrozumieć Arthura, co on w tym widział? Polska westchnął i zwinął się w kłębek.

Dwa tygodnie, odkąd pożegnał się z Taurysem; rozmawiali często, ale nawet najszczersza rozmowa telefoniczna nie mogła równać się z tym, co mieli przez te parę wspólnych dni; splecione dłonie, noce obok siebie i czułości. Miał nadzieję, że Litwa sobie radzi i widmo tej pieprzonej komisji w końcu się rozwieje.

Świetnie, pomyślał ponuro. Najpierw Charlottenburg, Łotwa i Estonia, ich stan go tak przybił… A jak doszedł do siebie, to ta komisja. I jeszcze ta mała, niech to szlag… Licia naprawdę ją lubi, zresztą, jak można być takim skurwysynem, by powiedzieć coś takiego własnemu dziecku?

Wciągnął powietrze przez nos; nie, nie nakręcaj się, Felek, powiedział sobie stanowczo. Odpocznij, jutro idziesz szukać Lehra, trzeba zlokalizować jednostkę wojskową i przyczaić się tak, by nikt cię nie zauważył. Musisz być wypoczęty.

Szkoda, że nie miał auta. Wtedy mógłby śledzić generała i szybciej odnaleźć jego prywatne mieszkanie, ale niestety; pieniądze łatwiej było skombinować, łatwiej było wymienić pesety na marki przez paru słupów i przemytników niż postarać się o auto.

– Dane każdego samochodu są w systemie – wymamrotał do siebie Feliks. – Muszę zapytać Gilberta, czy ma dostęp do tej bazy… Gdyby się udało jakoś odciąć samochód Taurysa od jego osoby… Nie, wątpię, żeby Prusak mógł mieć dostęp, to nie jego działka… Erzsi tak samo, rejestracja jest w jej dokumentach… Cholera, nie chcę znowu się babrać w kradzieżach… Wiem, że cel uświęca środki, ale…

Jego dalsze rozważania na temat bardziej lub mniej legalnych sposobów zdobycia pojazdu przerwało pukanie do drzwi; Feliks zesztywniał.

Powoli zsunął się z łóżka i krok za krokiem zbliżył się do drzwi, chociaż wiedział, że były zamknięte; chwilę wahał się przed naciśnięciem klamki.

Biuro go znalazło? Nie, biuro nie wie, że żyje; nie wie też, jak wygląda. Nie miej paranoi, skarcił się w myślach. To pewnie obsługa.

Z tą myślą otworzył drzwi i ku jego zdumieniu dostrzegł dwójkę młodych ludzi z butelkami w rękach.

– Cześć! – odezwała się do niego ładna dwudziestokilkulatka, uśmiechając się od ucha do ucha. Kojarzył ją z widzenia; mieszkała na drugim końcu korytarza i codziennie rano

mijali się między łazienką a kuchnią, gdy i ona zbierała się do pracy. – Jesteś tutaj nowy, więc pewnie nie wiesz, ale co tydzień robimy imprezkę na parterze. Zapraszamy, zaraz zaczynamy!

Mężczyzna, na którego ramieniu była uwieszona, pokiwał entuzjastycznie głową i pociągnął łyk ze swojej butelki.

W pierwszej chwili Feliks chciał odmówić; lubił imprezować, jasne, ale zdecydowanie wolał zabawę w gronie przyjaciół niż pośród obcych ludzi, a do tego czuł się zmęczony.

Potem przemówił rozsądek; alkohol rozwiązuje język i to zbyt dobra okazja, by ją stracić.

Uśmiechnął się szeroko.

– Jasne, że idę! Dajcie mi tylko chwilę, żebym się ogarnął po robocie! Który pokój?

Oby się czegoś dowiedział.

Drukarka w pokoju nauczycielskim terkotała z wysiłku; Litwa obejrzał się przez ramię, ale w pomieszczeniu było pusto. Specjalnie wybrał moment, w którym większość grona pedagogicznego była na lekcjach, ale i tak miał wrażenie, że ktoś zaraz tu wpadnie; czuł się jak uczniak robiący coś zakazanego.

Wskazówki zegara wskazywały dziewiątą trzydzieści; za kwadrans miał lekcję z młodszą klasą.

Papier był ciepły w jego dłoniach, a tusz jeszcze lśnił; wypowiedzenie umowy.

Dziwnie było trzymać je w rękach, to urzeczywistnienie jego planów; przyglądał się wzorowi, który zaciągnął z Netzwerka. Na jednej z rządowych stron można było znaleźć każdy dokument, o jakim tylko można było pomyśleć, wnioski, oświadczenia i pisma wszelakie uporządkowane tematycznie i alfabetycznie; to było jedno z tych udogodnień, za które Taurys cicho dziękował rządowi.

Cztery lata, pomyślał, chowając dokument do teczki. Wypełni go w domu, w wolnej chwili; i tak nie złoży go w najbliższym czasie. Najpierw chciał zobaczyć, jak Ursula Tausch wsiada do pociągu.

A poza tym, dyrektor Meier pewnie urwałby mu głowę, gdyby przyszedł z wypowiedzeniem we wrześniu; Litwa uśmiechnął się do siebie krzywo.

Lubisz to?, pytał Feliks, gdy spacerowali razem po parku.

Nie trzeba mi innej pracy. Przywykłem.

Może jednak trzeba, stwierdził, biorąc teczkę w dłoń i ruszając do drzwi. Ale nie teraz; teraz były ważniejsze sprawy niż praca.

O pieniądze się nie martwił; mieli finansowanie, miał trochę swoich oszczędności. O innej pracy pomyśli, gdy to wszystko się skończy; o ile doży…

W połowie myśli, gdy przechodził przez drzwi, wpadła na niego Annika; przeprosiła, a on cofnął się, by wpuścić ją do pokoju nauczycielskiego.

Spojrzeli po sobie.

– Jak ona się ma? – zapytał cicho Litwa.

– Dochodzi do siebie. Myślę, że… jest podekscytowana tym wyjazdem – Annika uśmiechnęła się. – Słyszałam, jak opowiada o tym Axelowi. Staruszek wyglądał na zainteresowanego.

Litwa zerknął na zegar, a potem wskazał Annice krzesła; usiedli przy końcu stołu, by porozmawiać przez te kilka wolnych minut.

– Zaprosiłam szwagierkę i dzieci. Wiem, że chłopcy są od niej dużo młodsi, ale całkiem dobrze się wczoraj bawili – opowiedziała mu Annika. – A Gretel od razu ją przygarnęła do siebie.

Taurys skinął głową; dobrze było słyszeć, że Uschi ma towarzystwo.

– Wzięłam urlop – dodała Annika ku jego zdumieniu. – Pojadę z nią, już zarezerwowałam sobie nocleg. Dobrze, by miała przy sobie kogoś znajomego przez te pierwsze dni.

Zamrugał; tak bardzo zaangażował się w wysłanie Uschi w bezpieczne miejsce, że nie pomyślał o tym, jak dziewczynka sobie będzie radzić, gdy już tam będzie. Zaczął gorąco dziękować; Annika pokręciła głową.

– Też mi na niej zależy – szepnęła. – Myślę, że jestem jej to winna.

Milczeli przez chwilę. Litwa zawahał się, a potem wyjawił jej szeptem swoje plany; była tylko trochę zaskoczona.

– Męczysz się tutaj – stwierdziła, a jemu nie pozostało niż innego niż skinąć głową. – Myślisz o rzuceniu nauczania całkowicie czy…?

– Jeszcze nie wiem – odparł wymijająco. – Może… może będę dawał prywatne lekcje – dodał, gdy ta idea wpadła mu do głowy.

– Korepetycje z fortepianu brzmią dobrze. Nie mówiłeś kiedyś, że grałeś na czymś jeszcze? Nie pamiętam nazwy…

– Kankle – odparł cicho. – Taki instrument ludowy. Ale wyszedłem z wprawy – Znów zerknął na wskazówki i podniósł się. – Za chwilę ma przyjść Gabriel i pogadać z dzieciakami – szepnął do Anniki. – Idę przed szkołę, poczekam na niego.

Annika skinęła głową, obdarzając go czułym spojrzeniem.

–Dzisiaj sobota – powiedziała miękko. – Mam nadzieję, że miło spędzisz wieczór. Może poćwiczysz grę na tych kanklach?

Litwa odwzajemnił uśmiech.

– Najpierw muszę podjechać do weterynarza po wyniki. Jeśli będą dobre, spróbuję poćwiczyć.

Jak się później okazało, nie miał do tego serca.

Uch, to nie była zwykła nalewka; Feliks ukradkiem nalał sobie wody, czując ostre pieczenie w przełyku. Miał podejrzenie graniczące z pewnością, że procentów było tam dwukrotnie więcej, niż mu powiedziano.

Ze szklanką w dłoni prześlizgnął się do kuchni; impreza rozlała się na kilka pomieszczeń i, sądząc po całkowitej obojętności recepcji hostelu, była to najwidoczniej norma.

Kuchnia była zadymiona, duszna i tłoczna; Polska ruszył w kierunku resztek jedzenia na jednym z blatów, nadstawiając czujnie uszu. Złapał jakąś na wpół zimną kiełbaskę i zjadł, nasłuchując jednocześnie docierających zewsząd rozmów.

– I wtedy ta kurwa…

– Słuchaj, nie przejmuj się…

– Wczoraj w robocie…

Nic interesującego; opuścił kuchnię i ruszył wolno korytarzem. Wyczekiwał słów, akcentu, przekleństwa, rosyjskiego matu; przemykał między ludźmi, lawirował między grupkami i chociaż jego głowa zaczynała pulsować od tego hałasu, prosząc go, by dał sobie już na dzisiaj spokój, Feliks zagryzał zęby i szukał.

– Pierdolona Rzesza.

Nogi same poniosły go do grupki mężczyzn stojących za załomem korytarza. Łatwo było się przyczaić, oprzeć o drzwi we wnęce, wziąć łyka z butelki i patrzeć nieobecnie w drugą stronę.

– Nie wierzę w to – oświadczył ktoś, sądząc po głosie, starszy. – Co by niby z tego mieli?

– Dużo – prychnął ktoś inny. – Głupi jesteś?

– Nie tak, jak ten, co go złapali na granicy. Co z nim tak w ogóle?

– Siedzi i chyba nie wyjdzie. Miał pecha, głupio to ukrył, psy zaraz wywęszyły. Nie wiem, co chciał zrobić. Samemu chuja zrobi.

Mówią o tym człowieku, którego zatrzymano tuż przed wakacjami, zdał sobie sprawę Feliks. Odłożył szklankę na ziemię obok futryny, wyciągnął z kieszeni papierosy i zaczął szukać zapalniczki.

Muzyka była głośna; leciały same niemieckie hity.

– A jeśli nie samemu…?

– Oni ogarniają wszystko – Mężczyzna ściszył głos tak, że Polska musiał mocno wytężyć zmysły. – Uzbroją i powiedzą, co i jak. Ale to trzeba działać razem.

– W imię czego, co?

– Ojczyzny.

Parsknięcie śmiechem.

– Dzięki stary, ale nie zamierzam umierać za coś, czego nie ma. Mam rodzinę. Młoda w przyszłym roku idzie do szkoły. Nie chcę, żeby miała za ojca przestępcę, więźnia albo trupa.

Grupa rozeszła się po kilku kolejnych słowach; Feliks zrobił kilka kroków w bok i przytknął dłonie do ust, udając, że odpala papierosa; mężczyzna, ten, który namawiał innych, przeszedł obok, nawet go nie zauważając.

Feliks posłał mu długie spojrzenie, zatrzymując wzrok na skórzanej kurtce i naszywce na plecach; synogarlica rozpościerała swoje skrzydła ponad małym słońcem.

Natychmiast przez głowę Polski przebiegły skojarzenia z nazistowskim orłem, obecnym na ścianach każdej instytucji w tym kraju; perspektywa, w której wyszyto gołębia, była bardzo podobna.

A słońce… Jego promyki sięgały pazurów ptaka; orzeł zaciskał szpony na swastyce. A czy swastyka nie była poniekąd prastarym symbolem słońca, ukradzionym i splugawionym?

Odbił się od ściany, opuszczając dłoń z nieodpalonym papierosem.

– Ej, stary! Masz ognia? – Gdy mężczyzna odwrócił się ku niemu, Feliks pokazał mu swoją zapalniczkę. – Moja zdechła.

Facet spoglądał na niego tępo, ale w końcu sięgnął do kieszeni.

– Spasibo – mruknął Feliks pod nosem, pilnując, by słowo przebiło się przez muzykę i hałas na tyle, by mężczyzna usłyszał jego cień; by nie miał stuprocentowej pewności, co dotarło do jego uszu, ale… Kurwa. Nie cierpiał grać w ludzkie szachy.

Podsunął mężczyźnie nowego papierosa; tytoń za ogień, prastary barter.

Tamten przyjął.

– Spasibo – rzucił cicho, obserwując Feliksa bardzo uważnie, gdy ten odpalał papierosa.

Chwilę patrzyli na siebie, a potem mężczyzna z naszywką odszedł do kuchni, do innej grupy ludzi, oglądając się przez ramię.

Polska uśmiechnął się do siebie. Miał to.

Padało; deszcz uderzał nieustającym szumem w małe kuchenne okno. Litwa siedział od kwadransa nad dokumentami, zapomniawszy o nich zupełnie; zasłuchany, wpatrywał się w goniące po szybie krople. Ten szum, cisza na opustoszałym osiedlu i okazjonalne, toczące się po niebie pomruki odległych grzmotów działały uspokajająco na jego stargane nerwy.

Berta otarła się o jego nogi; Taurys drgnął i posłał jej lekki uśmiech. Opuścił wzrok na wyniki badań z kliniki weterynaryjnej.

– Wygląda na to, że jesteś zdrowsza ode mnie – stwierdził miękko, a potem zmarszczył brwi. – Więc co się dzieje? Dlaczego jesteś taka niespokojna?

Kotka prychnęła w odpowiedzi i wskoczyła na stół. Otarła się o pierś właściciela, zadzierając wysoko ogon – Litwa pokręcił głową i ostrożnie odsunął futro od swojej twarzy – a potem zeskoczyła pod blat. Tam przysiadła na tylnych łapach i machnęła przednią szeroko, jakby chciała przejechać pazurami po jego spodniach, a tak to przynajmniej wyglądało z jego perspektywy.

– Wybacz, ale nie rozumiem – skomentował Taurys, wstając. – Naprawdę mnie martwisz, wiesz? – Kocica zamiauczała w odpowiedzi; ludzie byli tacy niedomyślni. – Idę się przejść, nim się ściemni, dobrze?

Berta podprowadziła swojego opiekuna pod drzwi wejściowe i czekała, aż założy buty, zarzuci na siebie płaszcz i weźmie parasol do ręki. Gdy wyszedł – znowu, po co wychodził teraz codziennie i wracał, pachnąc ulicą, deszczem i jakimś ptactwem? – znów zaczęła kręcić się po kuchni.

Dokładniej; pod stołem.

Spróbowała nawet skoczyć, gdy jej zamach łapą znów się nie udał, ale to nic nie dało; malutkie, cuchnące obcym człowiekiem pudełeczko przyklejone do spodu stołu ani drgnęło.

Gilberta wydała z siebie przeraźliwy miauk, ale Taurysa już nie było; szedł pod parasolem, zmierzając w kierunku parku.

Od kilku dni uparcie realizował swoje postanowienie; wychodził na długie spacery niezależnie od pogody, nawet jeśli wcale nie miał ochoty. Cokolwiek było w robieniu kilometrów po Berlinie i jego osiedlach, parkach i placach, sprawiało, że w głowie miał nieco czyściej i odrobinę lepiej spał.

Nie mówiąc już o tym, że odbudowywał, powoluteńku, swoją mizerną kondycję; wybierał schody zamiast windy, spędzał te kilka minut na boisku z zachwyconymi chłopcami ze starszych klas i robił co mógł, by nie być ciężarem.

Miał też okazję, by na spokojnie układać w głowie rzeczy; Hiszpania był zabezpieczony. Feliks działał zgodnie z planem. Gilbert… Gilbert odegrał piękną szopkę na dzisiejszych lekcjach; wręczając dzieciakom ulotki-cholera-wie-skąd, niektórym nawet dał nadzieję na przyjęcie w przyszłym roku…

Wyglądało na to, że Prusy znalazł sobie własny projekt poboczny; idąc niemalże pustą aleją Litwa znów wrócił myślami do Uschi.

Przyjeżdżała codziennie rano tramwajem wraz z Anniką; nadal była cicha, nadal była wycofana, ale gdy ich spojrzenia spotkały się na lekcji, uśmiechnęła się do niego nieśmiałym, promiennym uśmiechem; nie mógł go nie odwzajemnić.

Ich gatunek się nie rozmnażał; kobiety nie krwawiły, męskie nasienie było jałowe, pokrewieństwo – umowne, nawet jeśli bracia byli do siebie podobni, nawet jeśli zarzekali się przed bogami, że są rodziną; żadne z nich nie było w stanie spłodzić dziecka tak, jak robili to ludzie.

Przez wieki niewiele o tym myślał; czasami tylko ta dziwna tęsknota przejawiała się, gdy napotykał kogoś takiego jak Uschi; niewinnego, niepewnego, potrzebującego opieki i przeprowadzenia przez zawiły, okrutny świat.

– Zadzwoni pan do mnie czasem…?

– Oczywiście, Uschi. Będę dzwonił, jak często będziesz chciała.

Feliksas by ją polubił, stwierdził w myślach, nieśpiesznie idąc żwirową ścieżką. Po jeziorze pływały dwa łabędzie; Litwa uśmiechnął się do siebie. Felek zawsze lubił dzieci… Ale chyba bałby się, że jest za mało odpowiedzialny…

Myśląc o mężu, obszedł dookoła jeziorko, krocząc po błotnistych ścieżkach, w które zamienił się park; deszcz nie przestawał zacinać. Powietrze oczyściło się, pachniało ozonem i było o wiele przyjemniejsze niż na co dzień w stolicy; Litwa odetchnął raz czy drugi i widząc ponad budynkami błyskawicę – całkowicie niemą, burza, która zdążyła się oddalić od Berlina, powoli wracała – postanowił zawrócić.

Widział już kutą bramę parku, gdy jego sprecher – ten nielegalny – zadzwonił. Sięgnął do kieszeni, przekonany, że to Feliks – o tej porze powinien już skończyć pracę – ale numer, który wyświetlił się na ekranie, nie należał do Polski.

Ani do Erzsébet, Gilberta czy Grisa; Taurys zacisnął szczęki, czując, jak jego serce zaczyna obijać się o żebra.

Była jeszcze jedna osoba, która znała ten numer; i jeśli to nie była pomyłka, jeśli ktoś po prostu nie wybrał złych cyfr na swoim sprecherze… to właśnie dzwoniła osoba, w której dłonie wcisnął karteczkę w starym magazynie w Charlottenburgu.

Odebrał drżącymi palcami, prawie upuszczając parasol.

– Halo?

Odpowiedź była natychmiastowa:

– W co ty grasz i z kim, Letuwa? – zapytał ktoś szorstkim, męski, znajomym głosem.

– Kola – tchnął Litwa. Przez krótki moment obawiał się, że ktoś przechwycił numer. – Ja… jesteś sam?

– Tak – burknął Nikolai Arlovski, Białoruś we własnej osobie. – Uprzedzając pytanie, dzwonię z pracy, z wspólnego numeru. Jest tu taki harmider, że nikt mnie nie usłyszy, nawet gdybym krzyczał – Rzeczywiście, w tle Litwie słyszał głośne, monotonne buczenie jakiejś maszyny.

– Co się stało, dlaczego zadzwoniłeś?

– Bo miałem dzisiaj rano gości, Letuwa – syknął Białoruś przez zęby. – Miłych panów, którzy pytali mnie o stare dzieje i byli aż za bardzo ciekawi historii. Szczególnie tych państw, których od paru ładnych lat nie ma na mapie i o których nikt już nie pamięta. A może jednak?

Serce Taurysa zamarło; a więc wykonali ruch, pomyślał nerwowo. Osunął się na najbliższą ławkę, ignorując fakt, że była cała mokra.

– Kola, co… Nikolajau, co im powiedziałeś?

– Jak myślisz? Ściemniałem. Jestem pracownikiem fabryki, urodziłem się dwadzieścia dziewięć lat temu i nigdy w szkole nie byłem orłem z historii. Wyrecytowałem im pół wierszyka z podstawy programowej i zapytałem, o co chodziło z tą nowelizacją ustawy o pracy sprzed dziesięciu lat, bo nadal nie rozumiem różnicy między brutto a netto.

Z jego słów aż wyciekał sarkazm; Litwa przymknął oczy i bezsilnie odłożył rozłożony parasol na bok. Przestawało padać.

– Tak długo udawałem głupiego, aż dali sobie spokój, ale myślę, że wrócą. Jesteś mi winien wyjaśnienia.

– Tak – szepnął Litwa. – Zdecydowanie jestem. Ale, proszę, opowiedz mi najpierw, co dokładnie się wydarzyło.

Jego myśli pędziły jak oszalałe; podejrzewali, że ktoś zza wschodniej granicy mógłby sięgnąć ku Nikolaiowi i Katerynie, zagrać kartą pokrewieństwa z Iwanem, nawet jeśli te relacje były bardzo bolesne, napięte jak struna i trzeba było uważać na słowa.

Ale im więcej czasu mijało od spotkania w Charlottenburgu, tym większą mieli nadzieję, że nie, że zostawią tą dwójkę w spokoju…

W słuchawce przez moment panowała cisza.

– Mam dzisiaj drugą zmianę. Rano byłem w domu – zaczął Nikolai cicho. Litwa musiał wytężać słuch, by słyszeć słowa ginące w szumie. – Zadzwonili do drzwi i nie chcieli odejść.

– Byli agresywni?

– Nie, raczej namolni – odparł sucho Białoruś. – Dwóch typów w garniturach, bliżej czterdziestki. Zamknąłbym im drzwi przed nosem… gdyby jeden z nich nie rzucił wprost „pan Biełarus', jak mniemam?". Wygląda na to, że twoje słowa się spełniły.

Taurys zmiął w ustach przekleństwo; więc znali tożsamość Nikolaia. Ale skąd znali adres? Mieszkał przecież w Itteville zaledwie od dwóch miesięcy. Dlaczego wytropili go tak szybko?

A może… a może to nie Rosjanie, może to ktoś od führera? Ale oni nie zadawaliby mętnych pytań o historię, raczej próbowaliby wycisnąć z Nikolaia konkrety…

Białoruś opowiedział mu, co działo się dalej; o tym, jak grał swoją tożsamością z obecnej karty obywatela, udając, że nie wie, dlaczego zwrócono się do niego w taki sposób.

– Myślę, że wrócą, nie uwierzyli mi – szepnął Nikolai pośpiesznie. – Rzucali niejasnymi hasłami o ziemi, tożsamości, ojcowiźnie, kulturze, języku, ale, chuj im w dupę, nie powiedzieli nic naprawdę konkretnego. Patrzyli tylko na moje reakcje. A teraz, gadaj. Co się tak naprawdę dzieje? Bo odniosłem wrażenie, że tych dwóch badało grunt.

– Tak było – odparł cicho Litwa. Patrzył na kałuże na ścieżce; znów zaczęły pojawiać się na nich kręgi. – Podejrzewamy, że próbują wzniecić powstanie. Ale… tak jak mówisz, to jest badanie gruntu, nie rzucą się na taką operację bez poparcia. Myślimy…

– My? – prychnął Nikolai. – Teraz mi powiedz, kto tam jeszcze jest. Kręcisz z Prusakiem, to już widziałem, ale kto jest trzeci? Wiem, że jest – dodał ostro, nim Taurys zdążył odpowiedzieć. – Miałeś to wypisane na twarzy, tam, w Charlottenburgu. Nie zapominaj, że trochę cię znam.

Taurys przymknął oczy; oczywiście, pomyślał, oczywiście, że się domyśliłeś. Wielkie Księstwo, Biała Ruś, moja pierwsza miłość. Zawsze byłeś w pobliżu. Te czasy wydają mi się teraz tak odległe…

– Działam z kimś, kto… wolał zniknąć, by mieć większą swobodę ruchu.

– Polszcza – natychmiast odgadł Białoruś. – Sukinkot wcale nie umarł, co? – W słuchawce Taurys usłyszał ponury śmiech. – To dlatego tak ci się świeciły oczy. Co, nie zaprzeczysz? – Sekunda milczenia. – Zawsze wydawało mi się dziwne, że miałby zdechnąć prędzej od nas.

Litwa wzdrygnął się; wspomnienie kostnicy, jasnych włosów wystających spod materiału i ramienia Gilberta próbującego utrzymać go w pionie mignęło przez jego głowę jak błyskawica po berlińskim niebie.

– Uważaj na siebie, Kola – poprosił.

– Będę – odparł Białoruś poważnym tonem. – Ale nie sądzę, by coś mi groziło. Potrzebują ode mnie informacji… i bycia sztandarem, którym sobie można pomachać. To o Katię się boję.

W tej kwestii Litwa miał dla niego niedobre wieści; zduszonym szeptem opowiedział o Domu Jesiennym. W odpowiedzi usłyszał ostre wciągnięcie powietrza przez zęby.

– Nie jesteś głupi – syknął Białoruś, a Litwa był w stanie wyczuć bijącą od niego wściekłość. – Führer, kurwa jego mać i pramać, chce sobie zrobić z nich zakładników, chyba sobie zdajesz z tego sprawę, że bynajmniej nie kieruje się troską?

Zimny dreszcz przebiegł po plecach Taurysa.

– Wiem – szepnął ze ściśniętym gardłem. – Ale… czy to wiele zmienia? Każdy z nas jest zakładnikiem już teraz, Kola. Biuro może wejść do systemu, odciąć nam konta bankowe, wyrzucić na bruk… zrobić wszystko. Nie potrzebuje do tego trzymać nas w odosobnieniu. A póki możemy cokolwiek…

– Jak wyślą ci nagranie z tortur na e-posta, to też będziesz tego taki pewny?

Litwa pochylił się na ławce, oparł łokcie o kolana, mocniej ściskając sprecher w dłoni. Jego milczenie musiało dać do zrozumienia Nikolaiowi, że posunął się za daleko.

– Ja… kurwa – Białoruś rzucił bezsilnie. – Litwa…

– Żyjemy na ich łasce – Taurys uniósł głowę i uśmiechnął się krzywo. Park był pusty, ulewa się wzmagała; jego parasol stał obok ławki, a deszcz uderzał raz po raz w jego głowę, zalewał oczy, sklejał rzęsy. – Mają klucze do mieszkań, w których pozwalają nam mieszkać. Gdyby tylko chcieli nas potorturować… drzwi stoją otworem. Nie trzymasz przecież warty w nocy, prawda?

– Trzymałem przez pierwsze trzy lata naszej pierdolonej wolności. Spałem z nożem pod poduszką. Potem odpuściłem, bo nie miałem już na to sił. Królestwo świętego pierdolonego führera się zmieniło.

– Ja też już nie miałem na to sił. Na nic. Ale… teraz przynajmniej czuję, że mogę coś zrobić. Cokolwiek.

– Czyli ich powstrzymać? – zapytał cicho Nikolai. – A może… może lepiej pozwolić im działać? Nie zastanawialiście się nad tym? Nie myśleliście, że może wyniknie z tego coś lepszego?

– Wierzysz w to, Kola?

Spodziewał się odpowiedzi, która padła.

– Nie – Głos Białorusi po raz pierwszy od początku tej rozmowy, po raz pierwszy od wielu, wielu wzajemnych spotkań, przybrał miększe, smutniejsze tony. – Jest za późno. Jeśli ktoś za nimi pójdzie… to będzie garstka. Czuję to. Pogoń się skończyła. Nie ma za kim gonić. Został mi tylko ten tatuaż.

Tak, Litwa też to czuł; pustkę głęboko w sercu, tam, gdzie zwykle żył naród. Tak jak przez wieki personifikacje uczyły się z tym uczuciem żyć, tak on przez ostatnie kilka dekad nauczył się żyć bez niego.

Garstka… Garstkę zmiażdży wojsko.

Przed oczami znów stanęła mu piwnica w Ucianie i grupa niedoszłych rewolucjonistów, młodych, nieprzeszkolonych, która poszła w rozsypkę, gdy tylko pojawiło się zagrożenie.

– Nie chcemy, by znów lała się krew. Jeśli uda się nam… załagodzić sytuację, znaleźć kompromisy… Wiesz przecież, że nie chodzi o język, kulturę czy ziemię przodków.

– Wiem – W głosie Białorusi znów zabrzmiał znajomy cynizm. – Umiem czytać mapy złóż – Milczał przez moment. – Dałem Katii ten numer, tak jak obiecałem. Nie miałem ostatnio żadnych wieści od niej, ale już rozumiem, dlaczego Prusak trzymał język za zębami. Gdyby do mnie znowu przyszli, będę się z tobą kontaktował, ale znajdę inny sprecher. I tak już za długo tutaj siedzę. Kończę.

– Dobrze – szepnął Litwa. Coś ściskało go za gardło, mocno, dławiąco. – Trzymaj się, Kola.

– Ty też.

Białoruś rozłączył się; Litwa uniósł oczy.

Za mgłą, po tafli dziesiątkowanego deszczem jeziora, pływał łabędź. Sam.

Salon był cichy, nie licząc głosu komentatora meczu lecącego w telewizji; śledzili piłkarzy z mniejszym zaangażowaniem niż kiedykolwiek, świadomi wiszącej pomiędzy nimi niezręcznej ciszy.

Borussia przegrywała właśnie dziewiąty mecz z rzędu; Prusy, nie mogąc już patrzeć na to pośmiewisko, sięgnął po pilot i stanowczo nacisnął wyłącznik. Ekran zgasł.

– Byłem dzisiaj w szkole, w której uczy Lit – oznajmił, nim Ludwig zdążył zareagować.

Niemcy poprawił się w fotelu, po którym przez ostatnie minuty z wolna się osuwał, i spojrzał na brata ostro.

– Po co? Co jego praca ma wspólnego z tobą?

Gilbert opowiedział bratu całą historię; Ludwig marszczył brwi i gdy doszło do opisu konfrontacji z Dušanem Tauschem, dziwnie umilkł.

– Obrzydliwy typ – rzucił Prusy pogardliwie, zakładając ręce za głowę. – Dyscyplina się dzieciakom przydaje, żeby nie weszły rodzicom na głowę i w ogóle zachowywały się przyzwoicie, ale gość grubo przesadził.

Ludwig potarł brodę, myślami będąc gdzieś daleko.

– Uważasz, że służby powinny w takiej sytuacji interweniować? – zapytał nieobecnie. – Od zawsze wychodziliśmy z założenia, że ludzie wiedzą, co robią, gdy wychowują swoje dzieci i nie powinniśmy się w to wtrącać jako państwo. To siedzi głęboko w naszej kulturze.

Wiedzą co robią? pomyślał nagle Gilbert. Scheiße, ja nie miałem pojęcia. I… zaczynam się zastanawiać, braciszku, czy zrobiłem coś, co wymaga wybaczenia.

– Może warto wyznaczyć jakąś granicę. Na tyle odległą, by społeczeństwo nie odczuło tego jako atak na ich swobodę wychowawczą i mir domowy. Policja miałaby furtkę, z której korzystałaby… w drastycznych przypadkach – zasugerował zdawkowo.

Niemcy milczał przez chwilę, a potem postukał palcami w podłokietnik.

– Przejrzę kodeksy w wolnej chwili – mruknął niezobowiązująco. – Może to kolejna ustawa, nad którą warto popracować.

Gilbert skinął głową; Litwa się ucieszy, pomyślał przelotnie. Niemcy najwidoczniej pomyślał o tym samym.

– Swoją drogą, nie spodziewałem się po Laurinaitisie takiego zaangażowania w sprawę jakiegoś dziecka.

Prusy parsknął śmiechem.

– To mało go znasz. Ma za miękkie serce. Gdyby nie to, że jest jednym wielkim chodzącym problemem, pewnie chciałby się tą ptaszyną zająć – Zastanawiał się przez moment. – Ale on z definicji nie lubi się angażować w relacje ze śmiertelnymi ludźmi… Czy to mu wychodzi, to inna kwestia, ta blondyneczka tutaj… No i słyszałem kiedyś, hehehe, pikantną ploteczkę, jeszcze przed wojną, o nim i jakiejś panience…

Niemcy machnął ręką; życie Litwy nieszczególnie go obchodziło, niezależnie czy zawodowe, uczuciowe czy erotyczne. Gilbert, zauważywszy, że brat go nie słucha, westchnął ciężko.

– Jadę do biura – rzucił, wstając z fotela. Na stoliku stała nietknięta butelka Goldwasser. – Zapomniałem o raporcie kwartalnym za helikopter. Kończy się wrzesień, jeśli nie złożę go teraz, znowu będą się mnie czepiać.

Ludwig mruknął coś w odpowiedzi; Prusy pokręcił głową i złapał za płaszcz.

Nie kłamał; biurokracja miała się aż za dobrze. Gilbert dawno już przestał przejmować się detalami dotyczącymi ilości zatankowanego paliwa i wylatanych kilometrów i od lat po prostu przepisywał cyfry z jednego arkusza na drugi, czasem biorąc poprawkę na zmieniające się ceny. Najważniejsze, by oddał raport w terminie…

Wziął taksówkę i wkrótce znalazł się w okolicach urzędu miejskiego; naciągnąwszy kołnierz, pobiegł do drzwi wejściowych, przeklinając zacinający deszcz, i ruszył opustoszałymi korytarzami. Była prawie osiemnasta.

Eva niemalże przysypiała za biurkiem; machnął jej ręką na powitanie, a potem zajął się raportem; mechanicznie uzupełniał tabelki na stojąco, pochylony przy biurku recepcjonistki.

– Znowu na ostatnią chwilę, Beilschmidt?

Gilbert uniósł oczy i spojrzał na wychodzącego z pokoju Antona Lefevre'a z absolutną wzgardą.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł lekko, składając swój podpis na dole kartki. Już. Ciekawe, czy kogokolwiek interesuje to, że w Danzigu mieli obsuwę, bo nie dostali zezwolenia na wylądowanie ze względu na pogodę. Szczerze wątpił, że ktokolwiek te raporty czytał.

Węszysz i węszysz, pomyślał, lustrując spojrzeniem Lefevre'a. Wiesz za dużo, niech cię szlag. Ciekawe, czy ktoś by się zainteresował, gdybyś przypadkiem wpadł do Sprewy z kamieniem uwiązanym do nogi…

Przesunął wzrokiem po płaszczu – no proszę, chuj raz jeden wychodzi wcześniej, czas ogłosić święto państwowe – rękawach i rękach.

Na dłoniach Lefevre'a ciągnęły się wąskie linie strupów.

Gilbert uśmiechnął się z ponurą satysfakcją. Widział już takie ślady; tak wyglądały ręce Litwy przez pierwszych kilka tygodni opieki nad Bertą.

– Masz kota? Ładnie cię pokiereszował. Z całego serca współczuję tej biednej istocie przebywania z tobą w jednym pomieszczeniu.

Lefevre poczerwieniał; burknął coś pod nosem, wbił dłonie w kieszenie i minął Gilberta, nie zaszczycając go spojrzeniem.

Prusy pokręcił głową i odłożył długopis.

Sobota; picie w klubie czy powrót do domu? Po krótkim namyśle postanowił wpaść na jedno piwo do Eldorado. Potem wróci do domu i położy się wcześniej; dzień był cholernie senny, a on zmęczony.

Sprawa małej jest załatwiona; w środę jeszcze upewnił się, że szkoła ruszy z pełną parą i że mają już kilkoro innych uczniów z całego kraju, zapisanych bardziej konwencjonalną metodą. Przerzucił Antonia na tymczasowe przechowanie do Saksonii; będzie musiał dać braciszkowi w podziękowaniu jakieś porządne wino i worek ziemniaków, bo pewnie znowu mu się kończą.

Tak, wszystko było pod kontrolą. Mógł odpocząć.

Miasto kąpało się we zmierzchu. Erzsébet szła brukowaną uliczką pośród starych, różanych kamienic, mijając kolejnych przechodniów; tutejsi zmierzali do domów, turyści, których końcem września wcale nie brakowało, rozglądali się z zachwytem i pytali o drogę do najlepszych lokali, by tam spędzić wieczór.

O tej porze zwykle już nie wychodziła; zaszywała się w swoim-nieswoim mieszkaniu jak w bronionej twierdzy, biorąc się za zaległą pracę albo oglądając coś w telewizji; ostatnio wznowili transmisję serialu, który Węgry nawet lubiła oglądać.

Ale dzisiaj zmieniła plany; spacerowała przez Tuluzę, poświęcając uwagę samej sobie, każdej chwili, w której zagryzała wargi i chciała obrócić się na pięcie i odejść, uciec od zatłoczonego placu czy opustoszałego parku. Każdemu uderzeniu serca, zbyt szybkiemu jak na tak spokojne tempo.

Wdech, wydech, prawa, lewa. Stoisko z lodami, które już kończyło sezon; gromadka zachwyconych dzieci i zmęczeni dorośli. Muzeum i flaga ze swastyką w okręgu; chyba dawny dom jakiegoś ważnego wojskowego.

Błękitna jak niezapominajki sukienka drżała na chłodnym wietrze; wyciągnęła z głębi szafy stare czarne półbuty, kompromis między elegancją a wygodą i teraz czuła pod stopami wyślizgane kamienie.

Jakiś wysoki blondyn, stojący przy schodach kamienicy i gawędzący ze staruszkiem wychylającym się z okna, nawet się za nią obejrzał; w oczach Erzsébet utkwił jego zachwycony, błogi uśmiech.

Kontrola. To ja mam kontrolę.

Minęło sześć pierdolonych lat.

Erzsébet uśmiechnęła się do siebie chłodno; stal colta przy udzie, nagrzana od kontaktu z ciałem, była doskonałym dodatkiem do wieczornej kreacji.

Dość niekonwencjonalnym, bo większość kobiet założyłaby podwiązkę, ale…

Włosy spięła prześliczną klamrą w kształcie kwiatu krokusa, którą znalazła przypadkiem, przechodząc obok galanterii. Odwołała też zaplanowaną wizytę u fryzjera, pozwalając im rosnąć.

Przechodziła wieczornym miastem, aż dotarła na Claus-von-Stauffenberg-Platz, uroczy, niewielki skwerek pełen drzew. Usiadła przy stoliczku jednego z kilku ogródków pobliskiego lokalu, a gdy podszedł do niej kelner, zamówiła drinka.

Patrząc na popiersie drugiego führera, na kwiaty i kilka płonących zniczy, na dzieci biegające po placu, na zakochaną parę spacerującą ze splecionymi palcami, Węgry pomyślała z satysfakcją, że właśnie wygrała bitwę w swojej prywatnej wojnie.

Nie bez strat, nie bez zagryzania zębów, ale… wygrała.

– Venedig Spritz dla pani.

Erzsébet uśmiechnęła się słodko do kelnera. Gdy odszedł, upiła łyk; białe wino i bąbelki zatańczyły na niej języku. Nazwa drinka przypomniała jej o przyjacielu; ciekawe, czy kiedyś się jeszcze zobaczymy, pomyślała. Zawsze lubiła tego beztroskiego, naiwnego Włocha, był taki uroczy jako dziecko…

Zastukała palcami w blat, wpatrując się w ciemniejące niebo. Wypiła drinka, zostawiła napiwek i wróciła do mieszkania; po prostu. Nie wydarzyło się nic więcej.

Odebrała telefon od Litwy i z pociemniałą twarzą wysłuchała nowych informacji. Zdała krótki raport, że u niej bez zmian. W domu Saksonii są problemy z zasięgiem, niech mają to na uwadze, jeśli trzeba będzie się kontaktować z Antoniem.

Potem wzięła stos kartek i zajęła się przekładem, myśląc o tym, że nie, szef z przykrością powiedział jej, że nie zna żadnych tłumaczy z litewskiego, to była ekstremalnie niszowa sprawa. Trudno; gdy nadejdzie spokojniejsza chwila, przekaże Taurysowi parę wskazówek.

Dzisiaj ci, którzy zgotowali jej piekło, wyszli na wolność po sześciu latach odsiadki.

Erzsébet Héderváry miała ważniejsze rzeczy do roboty niż myślenie o tych skurwysynach.

Eldorado było głośne jak zawsze; ktoś wył karaoke w grupie pijanych znajomych, non-stop wybuchających śmiechem; Gilbert poważnie zastanawiał się, czy do nich nie podejść i nie pokazać, jak to się robi, bo jak na razie poziom prezentowali żałosny.

Miał wyskoczyć tylko na jedno piwo, a tymczasem kończył już trzeci litrowy kufel Weissbier; uznał to za błąd dopiero wtedy, gdy wrócił z toalety z obrzydzeniem wypisanym na twarzy.

Oparł głowę o dłoń i posłał długie spojrzenie knajpie, wcale jej nie widząc; dobrze było znowu pogadać z Christianem, pomyślał lekko. Antonio sobie odpocznie, napiją się czegoś dobrego… Kolejny urlop zaplanuję sobie w Alpach, może tym razem jakieś zmartwychwstańce mi nie zakłócą wypoczynku…

Głowa była lekka; to było miłe uczucie. Zwrócił wzrok ku barmanowi.

– To samo.

– Już nalewam. Płatność od razu?

Prusy bez słowa podsunął mu marki. Barman, wysoki i szczupły dzieciak spojrzał na kwotę, skinął głową i sięgnął po nowy kufel. Nalał piwa niemalże z górką; Gilbert uśmiechnął z błogim zadowoleniem.

– Zróbcie coś z męskim kiblem. Podłoga pływa. Od samego patrzenia można złapać jakiegoś syfa.

– Przepraszam, mamy dzisiaj taki ruch… – wymamrotał barman. – Zaraz kogoś zawołam, żeby to posprzątał…

Prusy machnął ręką, a potem oplótł palce wokół ucha ciężkiego kufla ze rżniętego szkła. Ha ha, pomyślał głupio. Picie z takiego to prawie jak ćwiczenie hantlami. Przyjemne z pożytecznym…

Na palcu wskazującym, zaraz za knykciem, miał maleńką, cieniutką bliznę. Wpatrzył się w nią, marszcząc brwi, zastanawiając się, skąd ją ma.

Potem podniósł do oczu drugą dłoń; podobną miał też przy kciuku.

– Kot – szepnął do siebie. – Ta ruda diablica gryzła i drapała jak diabli, gdy Lit ją przyniósł do domu.

Taurys miał ręce całe w strupach… Tak jak… Tak jak…

– Przepraszam za nią – powiedział Litwa w piątek do Dumitrescha, gdy ten niemalże zabił się na kocie wpadającym mu pod nogi. Berta podczas wizytacji zwykle pozostawała niewzruszona. – Ostatnio dziwnie się zachowuje…

Nagle piwo przestało zupełnie Gilbertowi smakować.

– Kurwa mać.

Jeśli to, o czym pomyślał, było prawdą, to właśnie mieli bardzo poważny problem.

Rozdział XXIX: Łabędzie odleciały

Stalowoszare chmury wisiały nisko nad miastem, pogrążając je w jeszcze większej, mglistej ciemności. Powietrze było nieruchome i gęste, jakby zastygłe w oczekiwaniu na deszcz, który od wielu godzin zastanawiał się, czy powinien lunąć pełnią mocy, ale jak dotąd zdecydował się jedynie na wypuszczenie na zwiad kilku dużych, samotnych kropel, których ciemne ślady Gilbert widział teraz na asfalcie.

Jak dla niego, mogłoby zacząć lać, grzmieć albo rzucać żabami z nieba; miał o wiele ważniejszą rzecz na głowie. Była sobota, dziewiąta wieczorem, a on szedł szybkim marszem w kierunku najbliższego postoju taksówek, myśląc intensywnie. Może to jego spojrzenie, może kilka ostrych słów rzuconych do grupy młodych mężczyzn, blokujących chodnik, a może po prostu gniewna aura, w każdym razie większość mijanych ludzi schodziła Prusom z drogi.

I bardzo, kurwa, dobrze, myślał. Lepiej, żeby nikt mnie dzisiaj nie prowokował.

Szramy na rękach tego chuja... Jaka była szansa, że to było to, o czym myślał?

Papieros w jego dłoni kołysał się i migotał słabo; Gilbert przystanął tylko na moment, by wygasić go o metalowy kosz na śmieci. Zasyczało, niedopałek rozsypał się w zawilgocony pył i kawałek bibułki, a Prusy był już daleko, przemierzając kolejne metry postoju długimi, szybkimi krokami; jedyna dostępna taksówka stała na samym końcu zatoczki, oślepiając go światłami.

Koty były popularne, a drobne zranienia były nieodłączną konsekwencją przygarnięcia rozbrykanego kociaka. Jego rodzina zawsze wolała psy, ale to nie znaczy, że Gilbert nie miał z tymi zwierzętami styczności; kręciły się po stajniach, łapały myszy po kątach, ocierały się o nogi i bywały czasem całkiem miłe. I inteligentne, jak Berta, niekiedy inteligentniejsze od ludzi.

– Ten gryzipiórek jest zakochany w regulaminach – wymamrotał do siebie, myśląc intensywnie o Lefevre. – Pewnie ma napisany regulamin korzystania z własnego domu... Nie trzymałby kota, są zbyt niezależne, miałyby w dupie jego wydumane zasady... Kurwa mać.

Nie podobały mu się wnioski, które przychodziły do głowy. Złapał za klamkę i szarpnął drzwi.

– Viktoriastraße – rzucił, zwalając się na tylną kanapę, nie siląc się na wyraźną wymowę; niech taksówkarz zapamięta go – czy też raczej zapomni – jako jednego z setek sobotnich imprezowiczów. Sądząc po spojrzeniu, jakie otrzymał w lusterku, udało się; prawdopodobnie fakt, że cuchnął piwskiem, miał w tym swój udział.

Gdybym zorientował się od razu, pomyślał Prusy, z trudem powstrzymując się od zgrzytania zębami ze złości, wziąłbym z biura coś, na czym byłby jego zapach, by się upewnić. Pióro, nóż do korespondencji, bloczek z karteczkami, cokolwiek. Teraz było już za późno, urząd miejski był zamknięty na cztery spusty, a na włamywanie się do instytucji publicznej Gilbert nie miał za bardzo ochoty.

Deszcz zadudnił o szyby, gdy taksówkarz mijał najbliższe skrzyżowanie. Gilbert wyłożył nogi na siedzenie – i widząc spojrzenie w lusterku, szybko je cofnął – i zaczął zastanawiać się nad ostatnimi tygodniami. On i Lefevre właściwie się mijali, Prusy pojawiał się w biurze tylko na chwilę, a urzędnik trzymał się na dystans; im dłużej Gilbert to analizował, tym bardziej był przekonany, że mógł nie zauważyć tych pokiereszowanych rąk wcześniej.

Jeśli to Berta tak go urządziła... Och, Scheiße!

Teraz pozostało ustalić, jak – jeśli to była prawda – wszedł do środka, kiedy i jaki był zakres szkód, pomyślał Prusy, wpatrując się w strugi deszczu, które postanowiły właśnie zalać Berlin. Taksówkarz wymamrotał coś pod nosem i skręcił w odpowiednie osiedle, wychylając się do przodu, by dostrzec odpowiedni numer na bloku.

Gilbert wcisnął mu marki w dłoń i wysiadł, chowając się pod ścianą klatki. Chwilę udawał, że szuka czegoś po kieszeniach, czekając, aż taksówka zamigocze tylnymi światłami i zniknie za zakrętem; potem Prusy ruszył wzdłuż bloku, ignorując deszcz, który i tak zaczął gwałtownie słabnąć.

Podał inny numer budynku, by móc rozejrzeć się po okolicy, ale wyglądało na to, że niepotrzebnie; ulewa przegnała z ulic wszystkich wieczornych spacerowiczów, a oczy Gilberta nie dostrzegły nic podejrzanego. Żadnego auta z nieruchomymi sylwetkami za kierownicą, żadnych ludzi w cieniu drzew... Ba, nie było nawet jebanego kota. Tylko w jakimś sklepiku osiedlowym migotało światełko.

Zwolnił nieco kroku i zerknął na zegarek; wpół do dziesiątej.

Litwa powinien być jeszcze na nogach, taką przynajmniej Gilbert miał nadzieję. Przeszedł przez zasnutą autami uliczkę, przeskoczył nad kałużami i znalazł się przy odpowiedniej klatce. Nigdy nie dzwonił domofonem, bo uznawał to za zbędne; drzwi niemal zawsze były otwarte. Z ciekawości zerknął na nazwisko Taurysa napisane odręcznie na małym skrawku papieru wciśniętym za przeźroczysty plastik – obcym pismem, kojarzył staranne odręczne pismo Litwy, chociaż od średniowiecza nieco się zmieniło, bardziej pochyliło w prawo, budząc jakieś odległe, niejasne skojarzenia z rosyjską kaligrafią – i parsknął, widząc, że i tam było napisane z błędem.

Windy też nie wezwał; krok po kroku wdrapał się na trzecie piętro. Gdzieś wysoko trwała impreza; muzyka odbijała się od ścian klatki schodowej i Prusy dosłyszał ten sam kawałek, który leciał w Eldorado, które dopiero co opuścił. Zaklął w myślach; pomyśleć, że jeszcze przed wakacjami wszystko było...Zawahał się w pół myśli; w porządku...? Kurwa; zagryzł zęby i zamiast zadzwonić, zapukał do drzwi.

Nie było w porządku.

Czekał dłużej niż zwykle; gdy drzwi się uchyliły i korytarz zalało światło, Litwa spojrzał na niego zdumiony. Najwyraźniej szykował się do snu; wilgotne włosy opadały mu na odsłonięte, zbyt szczupłe ramiona. Był boso, a codzienne ubranie zamienił na luźny podkoszulek i jakieś materiałowe spodnie.

– Co...?

– Wyłaź i bądź cicho – warknął Gilbert niemalże natychmiast.

Jego ostry, napięty ton sprawił, że Litwa bez słowa wysunął się zza drzwi i zamknął je za sobą. Na krótko spojrzał w górę, skąd dobiegały teraz podniesione głosy, a potem skupił spojrzenie na Gilbercie.

– Co się dzieje? – zapytał szeptem, a potem zmarszczył brwi. – Jesteś pijany?

– Uwierz, mam przyjemniejsze rzeczy do roboty niż przychodzenie do ciebie po pijaku – mruknął Gilbert, patrząc na drzwi. – Ile kluczy do mieszkania?

– Co?

– Klucze – syknął Prusy niecierpliwie. – Ile miałeś sztuk, gdy się tutaj wprowadzałeś?

Podmienili klucze, nikt z biura – poza nim samym – nie powinien mieć możliwości wejścia tutaj niezauważenie, bez zostawienia śladów; Gilbert zrobił krok do przodu, mijając Taurysa i przykucnął, przyglądając się drzwiom. Zamek wyglądał na nietknięty, na metalu nie było rys, a dookoła żadnego pęknięcia drewna. Prusy podniósł się na nogi i przeleciał wzrokiem po całej powierzchni, zajrzał w zawiasy, przesunął opuszkami po krawędziach, ale nie znalazł żadnych innych uszkodzeń.

Litwa spoglądał na niego z coraz większym niepokojem.

– Cztery – odparł szeptem, gdy Gilbert badał drzwi.

– Cztery – powtórzył Prusy, powoli poruszając ustami.

To się zgadzało… Standardowy komplet, większość drzwi kupowanych w Rzeszy przychodziło z zestawem pięciu kluczy. Wszystkie większe remonty mieszkań biuro relokacji miało gdzieś udokumentowane w papierach. Nigdy do nich nie zaglądał, to była nudna, zbędna biurokracja, ale i tak kojarzył protokół odbioru mieszkania, który każda z personifikacji musiała podpisać, gdy zmieniali jej miejsce zamieszkania. Na pewno wydawali tam cztery klucze, jeden zostawiając dla siebie…

– Gdzie one są?

– Co się dzieje?

– Odpowiadaj!

Głos Prus nie był krzykiem, raczej zduszonym szczeknięciem, ale to wystarczyło, by Litwa się wzdrygnął; Prusy westchnął i potarł dłonią oczy, a potem wypuścił powietrze przez zęby. Panuj nad sobą, pomyślał zirytowany. Może i wydawało mu się, że przetrzeźwiał przez drogę, ale alkohol dalej sunął przez jego żyły, napinając jeszcze mocniej i tak napięte nerwy.

W połączeniu z setką galopujących przez głowę myśli, próbującym zrozumieć, co mogło zajść, była to mieszanka piorunująca.

Taurys zacisnął szczęki.

– Jeden dałem tobie, a drugi Feliksowi – odparł cicho, trochę chłodno, a trochę ze strachem.

To, że Litwa dał kolejny klucz Polsce, nie było zaskoczeniem; oddałby mu duszę, gdyby tylko Feliks o to ładnie poprosił.

– Trzy – Liczył szeptem Prusy, nie odrywając wzroku od zamka. – Jeden ma Polen, ja mam dwa… ten, który mi dałeś i ten, który zabrałem z biura, zostawiając fałszywkę… Czwarty?

– Używam go – Taurys odruchowo zerknął na zamek.

Podczas oględzin Gilbert zauważył, że światło zamka jest zasłonięte, klucz musiał być włożony od środka.

– Cztery – Gilbert spojrzał Litwie prosto w oczy. – A więc gdzie jest piąty? Powinniśmy mieć wszystkie pięć kluczy.

I mimo że hol oświetlony był słabo, kiepskim białawym światłem, widział wyraźnie jak z twarzy Taurysa Laurinaitisa odpływa kolor. Litwa milczał, poruszając ustami, jakby liczył samemu... raz, dwa... Tu leży odpowiedź, zrozumiał Gilbert, chociaż jeszcze jej nie znam. Piąty klucz... jak Lefevre dostał się niezauważony do środka, skoro... Zazgrzytał zębami; świerzbiła go ręka. Och, jak bardzo chciałby sięgnąć do colta i pociągnąć za spust, gdy tylko zobaczy tę marną karykaturę urzędnika...

– Zgubiłem – wydusił z siebie Litwa po kilku trwających wieczność sekundach. – W pracy, na początku roku. P-pytałem woźną, ale nie znalazła...

Kurwa, Gilbert zaklął w myślach. A miał Litauen za inteligentnego...Połamanego, owszem, roztrzaskanego i zlepionego na ślinę (Feliksa), ale.. Zaraz. W szkole? Prusy zmarszczył brwi. Nie mieli chodów w szkole, biuro z zasady nie ingerowało w miejsca pracy, kto wpuściłby tam Lefevre'a?

– Jesteś tego pewien? – Posłał Litwie tak ostre, tak mordercze spojrzenie, jakby znowu byli tam, na polach grunwaldzkich, próbując poderżnąć sobie nawzajem gardła, a nie współpracowali, uwikłani w spisek. Gdy minęło kilka kolejnych sekund, podczas których Taurys wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami, Prusy z trudem powstrzymał chęć, by złapać Litwę za te chude ramiona i solidnie nim potrząsnąć. – Zgubiłeś go w szkole? Przysięgnij na *swoje imię*, Litwo, że to tam go zgubiłeś!

Taurys nie był już blady; był przezroczysty.

– Nie mogę. Nie mam pewności – wyszeptał Litwa, a jego głos zadrżał. – Nie pamiętam dokładnie... Wydawało mi się, że tak, ale...

– Nie masz pewności... – Myśli Prus pędziły jak oszalałe, przedzierały się przez minione dni, tygodnie. – Początek roku szkolnego był w poniedziałek. W poprzednią środę była komisja.

Litwa wzdrygnął się, a potem zamarł, jakby coś do niego dotarło i w jego oczach Gilbert dostrzegł czyste przerażenie. Oparł się plecami o ścianę i opuścił powieki; wydawało się, że uciekło z niego całe życie.

– Komisja – wyszeptał bezbarwnie. – Miałem... miałem dwa klucze, nim wszedłem do szpitala, trzymałem je w ręku, pamiętam... Potem... potem wszystko mi się zlewa. Ja...

Prusy już otwierał usta, by wrzasnąć kilka inwektyw, ale błysk paniki w oczach Taurysa go powstrzymał. Mląc w ustach przekleństwo, skoczył do przodu, złapał Litwę za ramiona i mocno zacisnął palce, wbijając je w mięśnie jak stalowe haki. Może zostaną siniaki, może nie, nie dbał o to; cokolwiek Polska nie mówiłby o byciu barbarzyńcą, Gilbert wiedział, że ból fizyczny uziemia, a to było teraz Litwie zajebiście potrzebne.

Raz już go widział w pełnej panice, kilka lat temu przed pierwszym dniem pracy w szkole, i to był żałosny widok; wolał tego nie powtarzać.

– Mamy duży problem – syknął, patrząc Litwie prosto w oczy i wzmacniając uścisk. Ból przemknął przez spojrzenie Taurysa, umknął sykiem przez wargi, ale Litwa spojrzał na niego dużo przytomniej. – Lefevre ma ślady pazurów na łapach. Kocich pazurów. Jeśli dostał klucz przez ten pieprzony szpital, to znaczy, że mógł tu być...!

– B-berta – wyjąkał Taurys w odpowiedzi. – zachowuje się tak nieswojo, m-myślałem... myślałem, że jest chora, ale wyniki...

– Kurwa – Gilbert puścił Litwę i cofnął się. – Od kiedy?

Litwa obserwował go z przerażeniem; oddychał szybko, drżał, ale wyglądało na to, że zagrożenie atakiem paniki minęło; dobre i to, pomyślał Gilbert ponuro. Nie zamierzam cię znowu niańczyć, niech Polska się tobą zajmie, to jego robota.

– Od około dwóch tygodni – szepnął Taurys bardzo cicho. – Ona...

– Był tu. Próbowała cię ostrzec przez cały, kurwa, czas.

Gdy tylko Prusy wypowiedział te słowa, zapadła miażdżąca cisza. Wpatrywali się w siebie poważnie, a następnie obaj, jak jeden mąż, spojrzeli na drzwi do mieszkania. Zza nich dobiegło donośne miauczenie; najwidoczniej Berta usłyszała swoje imię albo zaczęła się niepokoić nieobecnością opiekuna.

Litwa na moment osłonił oczy dłonią; sądząc po sposobie, w jaki napiął ramiona i zacisnął szczęki, przerażenie zastąpił gniew na samego siebie. Cóż, pomyślał wisielczo Gilbert, to przynajmniej bardziej motywuje do działania.

– Co teraz? – zapytał Taurys, a coś w jego głosie zabrzmiało głucho; jak uderzenie w surową stal.

– Teraz wchodzimy do środka – Gilbert sięgnął do klamki. – Ani słowa, żadnego dźwięku. Podejrzewam, że mógł zostawić podsłuch... Sprawdzamy wszystkie zakamarki, w szczególności takie, w które zwykle nie zaglądam z chłopakami. Jeśli jest czysto...

Taurys skinął głową; idąc w ślad za nim Prusy pomyślał ponuro, że istniała mała szansa na to, że jest „czysto". Lefevre nie znalazłby żadnych dokumentów ani podejrzanych notatek, o to się postarali, nielegalny sprzęt Litwa raczej brał ze sobą, gdy wychodził... ale...

Litwa przystanął w korytarzu, gdy Berta otarła się o jego nogi; w milczeniu wziął ją na ręce i krótko przytulił. Później bez słowa wszedł do łazienki, a Prusy usłyszał szum przesuwanych przedmiotów, może drobiazgów przy lustrze. Gilbert zastanawiał się przez kilka sekund; gdzie jeszcze? Sypialnia samotnego mężczyzny nie wydawała się dobrym miejscem, salonik był mały i zagracony. Najważniejszym miejscem tego mieszkania była kuchnia; tutaj Litwa przyjmował nielicznych gości, tutaj omawiał wszystkie sprawy, tu spędzał sporo czasu. Może i Lefevre tego nie wiedział, ale na jego miejscu Prusy też celowałby w kuchnię.

Na blacie stał kubek z jakimś ziołowym napojem, jeszcze parujący; Gilbert odsunął go na bok i zaczął otwierać szafki, starając się nie robić hałasu. Robił to co tydzień, przejrzał więc je tylko dla porządku, nie spodziewając się znaleźć niczego podejrzanego. I też niczego tam nie było, poza większym niż zwykle zapasem sensownej żywności – Litwa robił postępy, przestał żywić się chlebem i kawą, i to nawet bez kategorycznych

nakazów Feliksa, no proszę, robił postępy – więc Prusy zaczął patrzeć tam, gdzie zaglądali od święta.

Szuflada pod piekarnikiem, najwyższe szafki; złapał za krzesło, wspiął się na nie i zajrzał na górę mebli, ale nie znalazł nic poza kurzem i kocimi śladami na szczycie lodówki. Obmacał niewielkie okienko, zajrzał w szczeliny, potem przyjrzał się sufitowej lampie. Nic.

Radio?, zastanowił się, patrząc na urządzenie na małej półeczce na ścianie. Litwa słuchał go nałogowo, pewnie zauważyłby, gdyby ktoś przy nim majstrował... Prusy obrócił radio w dłoniach, wyciągnął klapkę i baterie, ale tam też nie było nic podejrzanego; na wszelki wypadek odłożył je na bok. Lefevre nie wyglądał na takiego, kto umiałby grzebać w elektronice...

Berta miauknęła ostro u jego stóp; Prusy przykucnął i spojrzał jej w oczy.

– No dalej, mądra bestyjko – szepnął, ledwie poruszając ostami. – Pokaż mi, czego ten idiota nie zrozumiał.

Kot powoli mrugnął i wszedł pod stół; tam usiadł pod ścianą, owinął ogon wokół nóg i wpatrywał się w niego, nie mrugając. Prusy, kątem oka zauważając Litwę stającego w przejściu z pustymi rękoma, opuścił się na kolana. Stół, pomyślał spokojnie. Oczywiście. To zawsze jest stół. Że też nie pomyślał o tym od razu; najwidoczniej etanol w jego krwi znów spowolnił mu reakcje i zdolności kojarzenia, chociaż od paru minut Prusy czul się kompletnie trzeźwy.

Wsunął się pod mebel i lekko zadarł głowę; metalowe pudełeczko wielkości paczki papierosów tkwiło spokojnie na spodniej stronie blatu, za kilkucentymetrowym, wypukłym obramowaniem.

Dziesiątki przekleństw w tych kilku językach, które znał, przebiegły przez głowę Gilberta, gdy po nie sięgnął; odpadło po krótkim siłowaniu się, po lepkim mlaśnięciu kleju. Wyczołgał się spod stołu i bez słowa położył pluskwę na blat.

Litwa wpatrywał się w nią jak skamieniały. Gilbert rzucił mu szybkie spojrzenie, a potem wziął pudełko do ręki i obrócił je w palcach; miało przycisk do otwarcia. Nacisnął je, a wieczko odskoczyło.

– Szpula – szepnął Prusy z ulgą. – Nie ma podsłuchu na żywo, Bogu niech będą dzięki.

Taurys odsunął krzesło i opadł na nie ciężko.

–Możemy rozmawiać?

– Taaa – Prusy zerknął na mikrofon. Mała dioda zaświeciła się w reakcji na jego głos. – Aktywowane głosem...? Kurwa... – Sięgnął ku szpuli taśmy, ale w połowie ruchu zatrzymał się i zmarszczył brwi. – Włącz radio – nakazał, obserwując migotanie diody.

Litwa wstał – szuranie krzesła odbiło się w zachowaniu diody – a potem włączył radio.

– Daj głośność, na której zwykle słuchasz.

– Już – odszepnął Taurys.

Dioda migotała w rytm muzyki; Prusy osunął się na kolana, przyłożył pluskwę do spodu stołu i upewnił się, że teraz nie wykrywała dźwięku.

– Szlag... Gwizdaj. Cokolwiek.

W kuchni rozbrzmiała losowa kombinacja dźwięków; Gilbert, mrucząc pod nosem przekleństwo, obserwował diodę. Przy długich dźwiękach jaśniała, krótkie łapiąc okazjonalnie.

Prusy wrócił na krzesło i wbił palce w urządzenie, wyciągając taśmę.

– Wyłapała rozmowę przy stole, ale nie radio. Słuchasz go non-stop, miałem nadzieję, że trochę zapełniło taśmę... Morse'a wyłapuje częściowo... Hmmm... – Przetoczył urządzenie w palcach. – Kurwa mać.

Litwa wziął w dłonie szpulę; była tylko odrobinę większa niż pudełko zapałek.

– Ile... ile mogła nagrać? Jest... mniej więcej w połowie.

– To musimy ustalić – Prusy spojrzał na Taurysa ponuro. – Mieli podobne w armii... Powiedziałbym, że jest tu miejsca na nieco ponad tydzień. Dziesięć dni, skoro nie łapie radia... Masz kalendarz?

Litwa poderwał się i wyszedł z kuchni; parenaście sekund później wrócił z niewielkim, oprawionym w czarną skórę notatnikiem, który okazał się szkolnym kalendarzem z logiem szkoły. Prusy wyszarpał go mu z dłoni i otworzył na losowej stronie.

Trafił na krótki wpis o jakiejś konferencji w połowie listopada; przerzucił kartki, przedzierając się pośpiesznie przez pusty październik i nieistotne notatki z września; tematy lekcji, uwagi, przedstawione utwory... Znalazł w końcu widok miesięczny i rozłożył kalendarz na stole.

Był jeszcze dwudziesty ósmy września, sobota, chociaż do nowego dnia zostało mniej niż dwie godziny.

– Polen wyjechał w piątek, trzynastego... Kurwa – Prusy zaklął paskudnie, gdy tylko doszła do niego ta ironia. – Wiedziałem, że to jego imię przynosi pecha...

To, czy Gilbert był czasami częścią owego pecha, było w tej chwili nieistotne. Patrzył dalej na kwadraciki dni, próbując złożyć wszystko do kupy.

– Komisja była dokładnie miesiąc temu – Szturchnął palcem puste okienko w kalendarzu. – Berta... – Przeniósł wzrok na kota, który wskoczył na blat kuchenny, owinął ogon wokół nóg i przyglądał się im dwom nieruchomym wzrokiem. – Mówisz, dwa tygodnie? Był jeszcze Polen?

– Zauważyłem to, gdy wróciłem z pracy w dniu, w którym pojechał – szepnął Litwa, też spoglądając na swojego kota. Nerwowo zaciskał palce na krawędzi stołu; zostawiały wilgotne ślady potu. – Wcześniej... wcześniej zachowywała się normalnie.

Gilbert jeszcze raz wrócił wzrokiem do kalendarza.

– Dwa tygodnie... może nie miał klucza od razu, może zwlekał z innego powodu... – Urwał i zmarszczył brwi. – Twoja szkoła ma plany zajęć w Netzwerku? Oczywiście, że tak – dodał, nim Litwa zdążył potwierdzić. – Miał jak na tacy informacje, kiedy nie ma cię w domu...

– W piątki mam lekcje ciągiem – szepnął Taurys drżącym głosem. – W piątki i we wtorki... w pozostałe dni mam okienka, jestem... jestem w stanie wrócić do mieszkania, gdybym czegoś zapomniał. Czasem to robię.

Spojrzeli po sobie, a potem opuścili oczy na kalendarz. Dioda w urządzeniu podsłuchowym migotała, ale nie było taśmy, na której mogłaby nagrywać.

– Minęły dwa tygodnie od wyjazdu Felka – powiedział półgłosem Litwa, wpatrując się w szpulę z taśmą. – To oznacza...

– Że był tu więcej niż raz. Wymieniał taśmy. I przyjdzie, by wymienić tę.

Po paru sekundach ciszy Gilbert wypluł z siebie cichą wiązankę przekleństw; poderwał się na równe nogi i okrążył małą kuchnię, o mało nie wpadając na donicę z rutą – po kwiatach nie było już śladu, ale rozrastała się bujnie, okupując jeden z kątów – a później opadł z powrotem na krzesło.

– Ma poprzednie nagrania. Tutaj są... – Litwa wpatrywał się w taśmę, poruszając bezgłośnie ustami. – Nagrania od tego wtorku, jeśli... jeśli mamy rację. Albo od poprzedniego piątku?

Gilbert wyciągnął szpulę z dłoni Taurysa i znów się jej przyjrzał.

– Wtorek – powiedział niezbyt pewnie. – Skoro nie ma tu radia... mieszkasz sam... Nie zapełnia się tak szybko...

Ich spojrzenia się spotkały; potem Litwa ukrył twarz w dłoniach.

– Lefevre ma ponad tydzień nagrań od momentu jego wyjazdu – wyszeptał. – Antonio... Ostatnie wydarzenia są tutaj, na tej taśmie, ale... bogowie. Naraziłem wszystkich. Feliksa, ciebie, Erzsébet...

– Nie zapominaj o sobie – prychnął Prusy. Uderzył w stół; dioda zaczęła szaleńczo migotać. – Ten tchórz już dawno się na ciebie czaił, a jesteś najbliżej biura i führera.

Zapadła cisza; Berta miauknęła przeraźliwie, więc obaj na nią spojrzeli; jeżyła się i wpatrywała morderczo w pluskwę leżącą na środku stołu.

Gilbert podjął decyzję w kilka sekund.

– Bierz broń, najpotrzebniejsze rzeczy i jedź do Feliksa. Natychmiast, nie jesteś tu bezpieczny. Odkąd wyjechał, nie padło tutaj słowo o tym, gdzie się udał?

Litwa podniósł się z krzesła.

– Nie – odparł, kręcąc głową. Dalej był blady, ale w jego spojrzeniu pojawiła się, oprócz ciągle czającego się tam gniewu i strachu, determinacja. – Ja... dzwoniłem do Polski tylko w sypialni, a jeśli siedziałem tutaj, nadawałem Morse'em... Gdy rozmawiałem z Kolą, byłem poza domem, to samo, gdy przekazywałem Erzsébet lokalizację od ciebie.

– Dobrze, więc ten chuj ma niekompletne informacje – Prusy skinął głową.

– Co z Erzsébet?

– Prędzej odstrzelę mu łeb niż jej zagrozi – obiecał Gilbert chłodno. Obaj wiedzieli, że to nie jest czcza groźba. – Ostrzegę ją. Jeśli będzie też musiała się ukryć, wie, gdzie, ale mam nadzieję, że uda mi się...

Litwa wziął głęboki oddech.

– Ty też jesteś na tych nagraniach – powiedział, spoglądając Prusom w oczy. – Byłeś tutaj po wyjeździe Feliksa, pamiętasz? Rozmawialiśmy o Uschi. I później, gdy przywieźliśmy ją tutaj, też... Używałem twojego imienia. Lefevre wie, że jesteś Prusami.

Gilbert wciągnął powietrze przez zęby, a potem, ku zdumieniu Taurysa, krzywo się uśmiechnął.

– To – powiedział z lekkim zadowoleniem. – Jest dobra wiadomość – Widząc niedowierzające spojrzenie Litwy, Prusy kontynuował. – Do tej pory myślał, że jestem jakimś młodym knypkiem, który się rządzi w biurze, więc może sobie na wiele pozwolić. Teraz dwa razy się zastanowi, zanim wykona ruch przeciwko mnie.

– Dopóki nie powiadomi führera.

Prusy zazgrzytał zębami.

– Zostaw to mnie – rzucił. – Coś wymyślę.

– Nie próbuj go zabijać.

Cholera, Litwa znał go o parę stuleci za długo; Gilbert wywrócił oczami.

– Mam na to nieziemską ochotę – burknął. – Ale powstrzymam się tak długo, jak to będzie konieczne. Pieprzony szczur. Zachciało mu się grać w grę, nie znając zasad. Nigdy w życiu pewnie nawet nie bił się na pięści. Boi się bezpośredniej konfrontacji.

Litwa nie odpowiedział; obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku sypialni. Prusy i Gilberta podążyli za nim.

– Co z Bertą? – zapytał Taurys, otwierając szafę. Wyciągnął stamtąd torbę, jakieś dzienne ubrania i zrzucił podkoszulek przez głowę. Ślady radosnego sadyzmu Iwana mignęły Gilbertowi przed oczami, nim Litwa zaczął pośpiesznie zapinać koszulę. – Nie zostawię jej samej.

Kocica na potwierdzenie tych słów zamiauczała tak głośno, że pewnie była słyszalna kilka pięter wyżej, mimo ciągle trwającej tam imprezy; przytłumione dudnienie niosło się po ścianach.

– Podrzucę ją Ludwigowi – odparł Gilbert bez mrugnięcia okiem. Bezmyślnie podszedł do kota i wziął go na ręce. – Zasługuje na drugą szansę w tej znajomości. Zostaw otwarte drzwi, może okno, cokolwiek, niech wygląda na to, że zwiała sama. Nikt nie będzie myślał o niej zbyt wiele.

– Dziękuję – Litwa obejrzał się przez ramię i skinął Prusom głową. Potem przykucnął i zaczął pakować torbę; broń, którą wziął z szafki nocnej, sprechery... – Czy biuro ma kontakt ze szkołą?

– Nie – Prusy głaskał rude, gęste futro. Diablica rzeczywiście zasługuje na jakąś rybę albo inny przysmak, pomyślał mimochodem. Każę Ludwigowi zasiać nam na balkonie kocimiętkę czy coś. – Twój pracodawca o niczym nie wie, my też nie mamy do tego wglądu. To by było zbyt podejrzane.

– Na naszą korzyść... – mruknął Litwa, pośpiesznie wrzucając gotówkę do torby. – Jeśli Lefevre przyjdzie tutaj przed piątkiem...

– Mam pomysł, jak go powstrzymać – Gilbert uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Zobaczę, co da się zrobić. W gorszym wypadku masz... – Poszukał wzrokiem czegoś, co pokazywało godzinę. Niewygaszony komputer; zbliżała się jedenasta wieczorem. – Dwie doby z hakiem, jeśli tu przyjdzie, w najlepszym... sześć, nim odegram pantomimę pod twoimi drzwiami.

– Jeszcze szkoła – rzucił Taurys gorączkowo. Szarpał się teraz z zamkiem torby i rozglądał chaotycznie w poszukiwaniu wierzchniego okrycia. Padło na czarne palto. – Chyba wiem, co...

Litwa urywanymi słowami zaczął tłumaczyć mu plan, który najwidoczniej już rodził się w jego głowie; Prusy pokiwał głową.

– Może zadziałać – uznał.

Litwa podniósł się na nogi, podszedł bliżej i wyciągnął rękę, by pogłaskać kocicę za uchem; ta zaczęła się prężyć i mruczeć.

– Dėkoju – wymamrotał cicho Taurys.

Gilbert oddał mu Bertę w ręce; gdy Litwa żegnał się z kotem – w tym przypadku trzeba przedefiniować, kto jest podopiecznym w tej relacji, pomyślał mimochodem – Prusy zaczął szukać czegoś, czym mógłby zatrzeć odciski palców na powierzchniach wszelakich. Były tu ślady Taurysa, jego własne i na pewno Feliksa; im mniej wątków biuro połączy, tym lepiej.

Czuł, że czeka go randka z wysokoprocentowym alkoholem, o ile ten sklepik, który mijał po drodze z taksówki, jest otwarty o tak późnej porze. Jeśli nie, cóż, w domu mieli na tyle dobry zapas środków czystości, że i tak nie stanowiłoby to problemu.

Jak nisko upadłem, pomyślał Gilbert z niedowierzaniem, będę czyścił Litwie chatę.

– Wiej. Wiesz, co robić.

Taurys skinął głową i ruszył w kierunku drzwi. Te trzasnęły i w mieszkaniu na Viktoriastraße zapadła cisza; kotka pobiegła na korytarz, miaucząc żałośnie, jakby rozumiejąc, że Litwa odchodzi.

Gilbert westchnął, wbił dłonie w kieszenie i stwierdził z wisielczym uśmiechem, że dopiero teraz zaczyna się zabawa.

Ruszył za kotem, umyślnie zostawiając transporter na swoim miejscu i spróbował podnieść Bertę do góry; ta wyprężyła grzbiet i wymknęła mu się z rąk. Usiadła przy drzwiach i posłała mu długie, oburzone spojrzenie.

– Współpracuj – syknął do kota. – On jedzie do swojego kretyna. Razem będą o wiele skuteczniejsi – zastanawiał się przez moment. – Przynajmniej w momentach, kiedy nie będą się... – urwał. – Poradzą sobie, to sprytne sukinsyny.

Zerknął na schowane pazury.

– Widziałem już, jak są skuteczne, ale zastanawiam się... Byłabyś w stanie przegryźć tej biurwie tętnicę?

Berta nastroszyła się, syknęła i odsłoniła kiełki, co Gilbert uznał za „tak”.

***

W północno-zachodniej części Berlina rozciągał się Grunewald, ogromny kompleks leśny; za dnia bywało tu wielu ludzi, spacerując gęstą, wytyczoną jak od linijki siatką ścieżek i dróżek i szukając wśród drzew ciekawostek; starych cmentarzy, ceglanych wież, schowanych w ciszy małych knajpek czy urokliwych hotelików.

Las przecinała linia kolejowa, a tam, gdzie kończyły się drzewa, za długimi jeziorami, stały piękne domy, pensjonaty i restauracje, na pobyt w których Litwa musiałby specjalnie oszczędzać, chociaż nie narzekał nigdy na niedobór marek.

Za dnia po Haweli, która tutaj rozlewała się szeroko, tworząc okazałe jeziora, pływały łódki; po drugiej stronie rzeki brzeg był usiany przystaniami. Tu mieszkali bogaci, a mniej zamożni przyjeżdżali, by zaznać trochę relaksu – ale tylko za dnia.

Nocą Grunewald pogrążał się w ciemnościach i dźwiękach; pohukiwaniu, trzaskach i skrzypieniu gałęzi, odgłosach, które jeżyły włos na karku, przypominając, że człowiek jest tutaj jedynie gościem.

Znalazł miejsce, któremu daleko było do ładnych uliczek między willami; volkswagen wolno toczył się po wąskiej, nieoświetlonej drodze, pod chylącymi się nad nierównym asfaltem koronami drzew. Minął samotny przystanek autobusowy, parę nieczytelnych w mroku znaków i oto był w miejscu, w którym pragnął się znaleźć; czarniejsza od nocy tafla Haweli szumiała jednostajnie.

Było zimno, pochmurno i ciemno; przednie reflektory samochodu oświetlały ostro wysokie zarośla zarastające brzeg. Taurys ostrożnie ruszył przez trawy, mijając kilka niskich, rozłożystych drzew, uważając na każdy krok. Jego buty zapadały się w błotnistym podłożu i nie do końca wiedział, gdzie kończy się ląd, a zaczyna rzeka.

W takich warunkach łatwo było poślizgnąć się i oddać niechcący naturze; a zamierzał przecież to jedynie upozorować.

Co za zbieżność nazw, pomyślał, oglądając się nerwowo przez ramię, ale był tutaj całkowicie sam, jeśli nie licząc owadów wirujących w świetle lamp samochodowych. O tej porze nikt o zdrowych zmysłach nie zapuszczał się w takie ostępy.

Przez jego głowę przemykały krótkie migawki skojarzeń; pole bitwy, tysiące namiotów, Feliks klęczący i modlący się żarliwie o zwycięstwo, podczas gdy sam Litwa spoglądał w niebo, nie wiedząc czy i kogo powinien o to prosić.

Dziwne, że to wspomnienie wróciło dopiero teraz, jakby woda chlupocząca mu w butach jakoś przywołała skojarzenie ze chrztem. Chrztami, poprawił się w myślach Taurys. Technicznie rzecz biorąc, chrzczono mnie trzy razy... Pierwsze podejście wraz z królem Mendogiem, wymuszone sytuacją, wiele lat później ochrzczono Auksztotę, Żmudź przyjęła chrześcijaństwo dopiero parę lat po tej bitwie...

Zatrzymał się i spoglądał na rzekę, zaciskając zęby i wracając myślami do teraźniejszości.

Spieprzył. Cholernie spieprzył, naraził wszystkich i całą sprawę; musiał teraz zrobić wszystko, by zyskać na czasie. Jeśli Lefevre... Prusy twierdził, że nie jest tak łatwo uzyskać audiencję u führera, ale Lefevre miał teraz namacalne dowody, w każdej chwili mógł spróbować to zrobić.

To, że tego jeszcze nie zrobił, rozumował Litwa, wsłuchując się w szum płynącej Haweli, może wynikać z dwóch rzeczy. Pierwsza: próbuje się dostać do Weigla, ale nie udaje mu się to; dyrektor biura nie jest zbyt chętny do jakiejkolwiek współpracy. Druga: Lefevre chciał zdobyć jeszcze więcej informacji…

Gdy wejdzie do mieszkania, zauważy brak pluskwy... Co wtedy zrobi?

Wśród traw tuż przed nim migotała woda; Litwa zacisnął szczęki i sięgnął do kieszeni.

Sprecher był zaskakująco ciężki w jego dłoni; Taurys chwilę przeglądał listę ostatnich połączeń. Przeważał numer Anniki; wpatrywał się w ciąg cyfr, upewniając się, że zna go na pamięć.

– Przepraszam – szepnął. – Znowu przysporzę ci zmartwień.

Ten sprecher był własnością biura relokacji. Zarejestrowano go odgórnie na jego nazwisko, zablokowano numery, na które nie powinien był móc dzwonić – nawet gdyby je poznał – i obłudnie wręczono, zakazując posiadać innego. Czasem przeglądano rejestr połączeń, a Litwa był pewny, że gdyby tylko ktoś postanowił to zrobić, mógłby spróbować podsłuchiwać wszystkie rozmowy.

Miał tylko jedną zaletę – był porządnym, pancernym niemieckim sprzętem, któremu nie straszne były wilgoć i upływający czas.

Rozluźnił palce, a sprecher upadł miękko na ubłocone trawy obok jego buta. Nie zgasł, a jego ekranik rozpraszał ciemność zaskakująco mocno. Wskaźnik baterii pokazywał pełnię mocy.

Wraz z urządzeniem coś spadło z jego duszy.

Patrzył przez moment na otaczający go przestwór traw, drzew i rzeki, a potem wyciągnął z kieszeni swoją kartę obywatela, z przekreśloną jaskółką na ostatniej stronie.

Jaskółki nie mogły odejść. Łabędzi nic nie powstrzymywało; Litwa, robiąc to już tylko dla siebie, rozdarł miękką książeczkę w pół; kartki z całym jego fałszywym życiorysem zniknęły w miękkiej ciemności, tam, gdzie światło sprechera już nie sięgało.

Wycofał się po swoich śladach, wiedząc, że deszcz je rozmyje, utrudni określenie, skąd i kiedy szedł, ale złamał po drodze kilka gałęzi, by ci, którzy będą szukali śladów, będą mogli je znaleźć. Gdy wrócił na asfalt, zdjął ubłocone buty i cisnął je przed siebie.

Oba zniknęły w ciemności, poza snopem światła bijącego od reflektorów; jeden uderzył w ziemię z mokrym mlaśnięciem, drugi plusnął i umilkł w otchłani Haweli.

– Szukajcie mnie tutaj – wyszeptał. – Gdy już zorientujecie się, że to wcale nie jest chorobowe.

Pochylił się, zabrał z przedniego siedzenia torbę i boso ruszył asfaltem, kierując się ku miastu. Pocieszało go jedno; przynajmniej będzie razem z Feliksem.

***

Było kilka minut po ósmej, gdy pociąg zaczął zwalniać; miły, rzeski głos zabrzmiał w głośnikach, informując, że znajdują się między uroczym Liegnitz a starym, dobrym Breslau i muszą zatrzymać się na kwadrans, by przepuścić inny pociąg.

To była pierwszy dłuższy postój od czterech godzin, czyli odkąd Litwa wsiadł do pociągu na opustoszałym przystanku kolejowym, jednej z kilkunastu mniejszych stacji w Berlinie, i kupił bilet od ziewającego konduktora, upewniając się wcześniej, że nie wygląda, jakby przeszedł boso kilka kilometrów przez las. Dobrze było mieć butelkę wody i zapasowe buty.

Gdy tylko wagon przestał się toczyć, a pisk hamulców ucichł, Litwa sięgnął do kieszeni i zerknął w okno. Stali w szczerym, skoszonym polu, a ostatnią stację minęli dwadzieścia minut wcześniej; prawdopodobnie nikt już się do niego nie dosiądzie.

W przedziale było cicho i miał nadzieję, że tak zostanie; wybrał na drugim – właściwie już jedynym – sprecherze numer i przycisnął go do ucha, mając nadzieję, że Annika odbierze.

– Tak, słucham? – W słuchawce zabrzmiał znajomy, zaciekawiony głos.

– Cześć, to ja – powiedział cicho, patrząc z niepokojem na drzwi przedziału. Konduktor ledwie na niego zerknął i ruszył dalej. – Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, obudziłem cię?

– Nie, już wstałam, właśnie czekam na szwagierkę, miała wpaść z dziećmi. Dzwonisz z innego numeru?

– Tak, mój sprecher się chyba popsuł – Taurys miał nadzieję, że jego głos jest mniej nerwowy niż on sam. – Poprosiłem kogoś o pożyczenie swojego. Jestem w przychodni świątecznej, znalazłem otwartą w okolicy.

– Jesteś chory?

Niestety, pomyślał Litwa. Gdybym był zdrowy, może nie byłoby tej sytuacji...

– Coś mnie złapało – odpowiedział. Nie musiał nawet udawać chrypy; zmarzł w nocy i miał wrażenie, że jego stopy dalej nie rozgrzały się po tej wędrówce. Musiał oddalić się na pewną odległość, nie zostawiając tych samych śladów po butach, co na brzegu rzeki. – Nie będzie mnie do końca przyszłego tygodnia. Mogłabyś jutro wspomnieć o tym w sekretariacie? Nie mogę znaleźć numeru.

Przy dobrych wiatrach dopiero po kilku dniach ktoś zorientuje się, że Taurys nie dostarczył jeszcze stosownych dokumentów i zacznie do niego wydzwaniać. Dopiero później Annika dowie się, że nie było żadnego chorobowego; może dowie się też o aucie porzuconym nad dzikim brzegiem berlińskiej rzeki i pływającym tam bucie...

Już wiedział, co czuł Feliks, gdy maskował swoje zniknięcie; to było paskudne poczucie winy za ból, który miał dopiero sprawić.

– Oczywiście – Ciepły głos Anniki niemal złamał mu serce. – To coś poważnego?

– Zapalenie oskrzeli – Litwa udał kaszel, mając nadzieję, że nie jest tak kiepskim kłamcą jak mu się wydawało. Polska umiał ściemniać, gdy się postarał; Taurysowi zawsze to słabo wychodziło. – Od wczoraj... – Nagle o kimś sobie przypomniał i posmutniał jeszcze bardziej. – Przeproś proszę Uschi, ale chyba nie dam rady pójść z wami na dworzec.

– Przekażę, na pewno zrozumie, to mądra dziewczyna – odpowiedziała serdecznie Annika. – Jedziemy w czwartek. Potrzebujesz czegoś? Mogę zrobić ci zakupy, jeszcze zanim wyjadę...

– Nie trzeba, mam wszystko – Litwa pośpieszył z odpowiedzią, czując ciepło w sercu. – Mam wszystko, zrobiłem wczoraj zakupy... A tutaj obok jest otwarta apteka, wykupię sobie...kch... wszystko.

Tym razem kaszel nie był udawany; świetnie, pomyślał, patrząc w okno. Nad polami coś powoli krążyło; podejrzewał myszołowa, sądząc po słabo widocznym wzorze na skrzydłach.

– W porządku. W razie czego dzwoń.

Uśmiechnął się.

– Dobrze – skłamał. – Ale... nie martw się o mnie – dodał po krótkiej chwili, tym razem prawdę. – Poradzę sobie.

– Trzymam cię za... Muszę kończyć, Taurysie. Ktoś puka, to chyba oni. Pa. Zdrowiej.

Pożegnał się i spojrzał w okno; myszołów nagle rzucił się w dół, ale nim Taurys zdążył zarejestrować, czy udało mu się dopaść ofiarę, pociąg syknął i ruszył przed siebie.

– Następna stacja: Breslau Hauptbahnhof – Rozległo się nad jego głową.

W sam raz; Litwa wyciągnął swój bilet – relacji Berlin-Neukrakau – i zmiąwszy go w kulkę, wcisnął do małego kosza na śmieci pod oknem.

Czas wysiadać.

***

Pora obiadowa zastała go w Neukrakau, w małej kawiarni niedaleko dworca autobusowego, gdzie przywlókł się po wyjściu z raczej zatłoczonego busa.

Była ostatnia niedziela września, co oznaczało, że Neukrakau był o krok od rozpoczęcia kolejnego roku akademickiego i okolice dworca – zarówno autobusowego, jak i szklanej kopuły kolejowego, widocznego w niewielkim oddaleniu – pełne były toreb, walizek i młodych, zabieganych ludzi.

Takich jak ten chłopiec za ladą, któremu wszystko wylatywało z rąk; przepraszał Litwę gorąco, gdy niemal nie rozlał zamówionej kawy na kontuar. Taurys zapewnił, że nic się nie stało; zaszył się w kącie między regałami z książkami – rzut oka wystarczył, by rozpoznać niemiecką klasykę, nic nowszego niż lata pięćdziesiąte – i czekał, mając nadzieję, że kawa go rozbudzi.

Gdy tylko drzwi się otwierały, a dzwoneczek nad nimi rozbrzmiewał, podskakiwał nerwowo, jakby oczekiwał podświadomie, że zaraz wpadnie tu policja albo wojsko. Dobrze, że wybrał miejsce, z którego był niemalże niewidoczny...

Próbował uspokoić sam siebie, że miał prawo – przynajmniej według zasad ustalonych lata temu – wyjechać na chwilę z Berlina. Nic nie wskazywało na to, że sytuacja eskalowała; niedziele miał wolne, były jedynym dniem, w którym na pewno Lefevre nie próbowałby wejść do jego mieszkania. Jeśli plany się powiodą, dopiero w piątek Gilbert odegra rolę bardzo zdziwionego, gdy pocałuje klamkę jego mieszkania...

Zacisnął szczęki, a stek rosyjskich przekleństw – zdziwił się, że je pamięta – przebiegł mu przez głowę. To była najbardziej optymistyczna opcja, ale ile tak naprawdę miał czasu? Mógł sporo go zaoszczędzić, wybierając bezpośrednie połączenia, ale wolał kluczyć i przesiadać się co parę godzin – jeśli istniała możliwość zmylenia tropów, Taurys wolał z niej skorzystać.

Tak było lepiej; Lefevre mógł wiedzieć o tym, że był u niego „Polska" i że gdzieś wyjechał, ale nie znał kierunku; a w tak ogromnym kraju szukanie kogokolwiek było koszmarem.

Dobrze, pomyślał Taurys ponuro, że nie zamontował drugiego podsłuchu w sypialni…

Wiedział, że Gilbert sprawdzi całe mieszkanie jeszcze raz, bardzo skrupulatnie. To była odrobina pocieszenia; że chociaż te prywatne, bardzo prywatne rozmowy, które prowadził z Feliksem przed snem, pozostały tylko i wyłącznie ich.

Za to naraził Erzsébet... Miał ochotę dać sobie w twarz. Dlaczego jestem... Gdybym tylko nie był...

Litwa wziął głęboki oddech i odetchnął; miejsca, w którym wbiły się palce Prus, pobolewały, gdy je dotknął, co oznaczało, że będzie miał tam siniaki. Nie mogę tego cofnąć, próbował przekonać sam siebie. Pozostaje minimalizowanie strat... i działanie. Prędzej czy później musiałbym zostawić szkołę, wiedzieliśmy o tym... Szkołę i całą tą szopkę, którą przez ostatnie siedemdziesiąt lat było moje życie...

Musiał dostać się do Kurska; lepiej, by działał razem z Feliksem. Węgry miała wsparcie Antonia, a Gilbert umiał o siebie zadbać.

Taurys powiódł wzrokiem po kawiarni, planując w myślach kolejne połączenia; tak było lepiej, lepiej było skupić się na tym, co *jeszcze musiał* zrobić niż tym, czego *już nie mógł*; nie chciał, by ten moment paniki znów się powtórzył. Gdyby ktoś powiedział mu kilkaset lat temu, że będzie miał tyle długów wdzięczności wobec Prusaka...

Przy sąsiednim stoliku dwie młode kobiety chichotały do siebie, pochylone nad stolikiem tak, że niemal stykały się czołami i patrzyły na siebie jakoś tak czule; ledwie Litwa zarejestrował, że na nie patrzy, szybko odwrócił wzrok, nie chcąc wchodzić w ich prywatność. Słyszał, ale próbował nie słuchać:

– Jak fajnie, że udało się nam załatwić razem ten akademik!

Akademik… Przez witryny kawiarni Litwa widział górujące nad dzielnicą bloki mieszkalne, które, sądząc po numeracji i krótkim, ogromnym „NU" na fasadzie, musiały być akademikami Neukrakauer Universität, jednej z największych uczelni w kraju.

Gdy wyszedł z busa i rozejrzał się dookoła, czuł się nieco oszołomiony, i to nie wcale gęstym, dusznym powietrzem wewnątrz przepełnionego pojazdu. Nie – przeżył lekki szok, stawiając kroki w miejscu, które powinien był znać, a które było... kompletnie obce.

Wieki temu, gdy było to królewskie miasto, bywał tu często, czasem częściej niżby wówczas chciał, ale minęło stulecie, nim ostatni raz Litwa postawił tu stopę. Widział co prawda reportaże w telewizji, czytał o kolejnych osiągnięciach naukowych albo zaglądał do ładnie wydanych albumów, ale dopiero teraz zrozumiał, czym to miasto teraz było.

Bomby były bezlitosne, ale imperium nie zostawało tych gruzów samych sobie, tak jak zrobiło to z Wilnem pochłanianym przez otaczające go lasy. Nie postawiło też wśród gruzów pomnika ani żadnej piącej się ku niebu iglicy; nie, imperium oddało umęczone ciało starego Krakowa w zręczne ręce architektów i budowniczych, jakby byli kapłanami umiejącymi ożywiać umarłych.

Litwa nie miał pojęcia, co powinien czuć i myśleć; z jednej strony widział, że to miasto żyje. Chodniki były pełne ludzi, widział nowoczesne sklepy, piękne restauracje i wysokie, strzeliste budynki, lśniące czystością w promieniach słońca... Z drugiej strony, widział też ogromny parking zamiast bruku i ogromny dom handlowy, o wiele większy od KaDeWe, w miejscu zamku królewskiego, i gmach NU stojący tam, gdzie kiedyś Polska i Litwa dyskutowali o tym, jak najlepiej jest wykorzystać pozostawione przez zmarłą młodo władczynię klejnoty, by odnowić uniwersytet...

Z Krakowa wyrwano serce, wyszeptał Feliks którejś z nocy i słysząc jego smutny głos, Taurysowi nie pozostało nic innego, niż wzmocnić uścisk.

Chcę już cię zobaczyć, pomyślał, odwracając wzrok od starego-nowego miasta. Jeszcze trochę, jeszcze tylko trochę przesiadek i tysiąc kilometrów... Chciałbym, żebyś powiedział mi, że... że będzie dobrze.

Na najbliższym regale rzuciła mu się nagle w oczy historia miasta, elegancko wydana księga. Nie musiał jej otwierać, by domyślać się jej treści.

Trzeba było mieć sporą wiedzę i umiejętności, by przepisać składnie kilkaset lat historii, wiążąc to miasto ze Świętym Cesarstwem Rzymskim... ale Niemcy zawsze mieli utalentowanych bajkopisarzy.

***

Gilbert odebrał zamówienie i z pewnym trudem położył na blacie najbliższego stolika trzy kubki, udając, że zastanawia się nad tym, jak najlepiej je zabrać do auta, nie rozlewając zawartości.

Obejrzał się przez ramię, ale dziewczyna za barem zajęła się już kolejnym zamówieniem. Było jeszcze bardzo wcześnie, ale kawiarnie i cukiernie obok urzędu miejskiego zawsze otwierały się z samego rana, by zbijać kokosy na zaspanych gryzipiórkach.

Aczkolwiek kawa na wynos była pewną nowością; Prusy nie był pewny, przez którą granicę ta koncepcja się prześlizgnęła, ale szybko zdobywała popularność.

Dzisiaj było mu to na rękę.

Jeszcze raz upewnił się, że nikt na niego nie patrzy, a potem sięgnął do kieszeni.

Tabletka była wielkości ćwierci paznokcia; mocno ścisnął ją opuszkami i wsypał drobny proszek do środkowego kubka. Potem dorzucił kilka łyżek cukru, by zamaskować smak.

Zawsze brzydził się truciem, a za podobne rzeczy w Eldorado ludzi wynoszono na butach, nie szczędząc solidnych kopniaków – Gilbert pochlebiał sobie, że od lat zostawiał tyle pieniędzy w lokalu, że chętnie przyjmowano tam jego pomysły – ale dzisiaj musiał zrobić parę rzeczy wbrew sobie.

Nałożył wieczka, przycisnął kubki do ciała i ruszył w kierunku drzwi. Ktoś, widząc jego dobrą minę do złej gry, przytrzymał mu drzwi, a potem od maski samochodu odbił się Dumitresch, ruszając na pomoc.

– Środkowa Jannika – zalecił Prusy. Oficer skinął głową i ostrożnie odebrał od Gilberta kubki, uważając, by ich nie pomylić.

Jannik, dopalający papierosa, podziękował skinieniem głowy. Był już w połowie swojej koszmarnie słodkiej kawy, gdy Prusy po raz pierwszy zamoczył usta w swojej. I uznał, że była absolutnie chujowa, kwaśna i potwornie gorzka jednocześnie; może skoro Litwa zakończył właśnie swoją karierę nauczycielską, to po etacie spiskowca weźmie się za parzenie kawy? Miał przynajmniej gust co do ziaren…

– Jedziemy? – zapytał, gdy wszyscy wypili kawę. Dumitresch pokiwał głową. – Wio.

Prusy rozsiadł się na tylnym siedzeniu samochodu, wiedząc, że czeka ich dobre pół godziny, jeśli nie dłużej, nim przepchną się przez zakorkowany Berlin. Zwykle nie było tak źle, ale był pierwszy października; pewna część populacji miasta właśnie dostawała obłędu.

Przez kwadrans niewiele się działo; szum opon, mruczenie silnika, rzucane półsłówka zaspanymi głosami, trąbienie… Później Prusy usłyszał dźwięk, którego się spodziewał; syknięcie przez zęby i stłumione przekleństwo.

– Co ci? – padło od strony kierowcy.

– Ach, kurwa… – Gilbert podniósł powieki, by dostrzec, jak Jannik na przednim siedzeniu zwija się w pół, dotykając niemalże czołem deski rozdzielczej. – Ale mnie bebechy bolą… Wiedziałem, żeby wczoraj nie jeść tego zagranicznego gówna… Chyba muszę…

– Zajedź obok skarbówki – polecił Prusy. – Niech pójdzie do kibla czy coś – dodał, krzywiąc się.

Dumitresch pokiwał głową; zerkając z niepokojem na kolegę, zaczął kręcić kierownicą, by zmienić pas. Po kilku minutach zaparkował na parkingu, a Jannik wyskoczył z auta, jakby goniło go sto diabłów.

Gilbert pogratulował sobie pomysłu.

– Zdążymy, proszę pana? – Dumitresch zerknął na zegarek, gdy nieobecność drugiego z żołnierzy się przedłużała.

– Taa – Gilbert skinął głową. – W razie czego dam znać Arlovskiemu, że się spóźni się do roboty. Coś się wymyśli.

Jannik wrócił do kwadransie, blady, zlany potem i na trzęsących się nogach, co strwożony Dumitresch skomentował przekleństwem, dziwaczną zlepką niemieckiego „Scheiße" i jakiejś rumuńskiej obelgi.

– Proszę pana, ja… Jezu… jakby mi flaki przewróciło na lewą stronę…

Żołnierz kulił się i zaciskał szczęki; Prusy przeprosił go w myślach.

– Dobra, nic z tego – rzucił dobitnie po kilku sekundach namysłu. – Bierz taksówkę, jedź do lekarza czy od razu do szpitala. Niech cię poskładają, my wracamy do biura. Ogarnę zastępstwo.

– Lefevre? – Dumitresch, sądząc po minie, nie był zachwycony.

Jannikowi z kolei wyraźnie ulżyło; zaczął gorąco dziękować Gilbertowi, ale ten jedynie machnął ręką.

– Wykorzystaj dobrze chorobowe – rzucił, próbując nie szczerzyć zwycięsko zębów. Nie było nikogo innego, kto mógłby podjąć się zastępstwa. Ani dyrektor ani Eva nie wchodzili

w grę, a wtajemniczanie losowych żołnierzy było zakazane. Gilbert nigdy nie był tak wdzięczny tym surowym zasadom Clausa i wynikających z nich niedoborom kadrowym, jak teraz. – Ogarniemy.

Czterdzieści minut później byli z powrotem pod biurem; dzisiejszy grafik rozsypuje mi się w rękach, pomyślał Gilbert, ale to nic. To Białoruś będzie miał nieprzyjemności w robocie, nie ja, raz jeden to ja zrobię mu na złość... A Erzsébet będzie mieć więcej czasu...

Lefevre pochylał się nad biurkiem wyraźnie zirytowanej Evy i o coś ją męczył, jak zwykle; gdy Gilbert otworzył drzwi z hukiem, oboje podskoczyli.

– Panie Beilschmidt...?

– Cześć, Eva – Prusy lekko uniósł dłoń, a potem spojrzał na urzędnika, wpatrującego się w niego dziwnie. – Pakuj manatki, lecisz ze mną. Jannik się struł jakimś gównem, prawie mi się przekręcił w drodze na lądowisko. Muszę mieć zastępstwo na już.

– C-co? – Lefevre zająkał się nagle.

Och, krzyżuję ci plany? Doskonale.

– Ogłuchłeś? – Prusy wywrócił oczami. – Jedź do domu po najważniejsze rzeczy i widzimy się za godzinę na lądowisku. I tak mamy już poślizg, dwa razy nie będę powtarzał!

I z satysfakcją, widząc jak twarz Lefevre czerwienieje, zatrzasnął za sobą drzwi; gdy ruszył korytarzami urzędu miejskiego, wtapiając się w tłum pracowników i petentów, pozwolił sobie na krótki, zwycięski uśmiech.

Godzinę później obserwował, jak zadyszany Lefevre wypada z taksówki z walizką i biegnie ku startującemu helikopterowi, goniony własnym poczuciem obowiązku.

Przyjaciół należy trzymać blisko... a wrogów jeszcze bliżej.

Za to wszystko, wisisz mi kilka beczek piwa, Lit.

***

Helikopter gnał przez powietrze z nieustającym terkotem; Dumitresch zaciskał dłoń na drążku sterowniczym i wlepiał wzrok w przyrządy, usilnie nie patrząc na sztywną sylwetkę Lefevre'a. Ten tkwił tak niemalże nieruchomo od początku lotu; siedzący z tyłu Gilbert nie spuszczał z niego oka.

Atmosferę można było kroić nożem; Prusy przez moment poważnie się zastanawiał, czy dałoby radę dyskretnie zepchnąć tego człowieka z wysokości; żołnierze byli nauczeni nie kwestionować rozkazów, może by mu to uszło na sucho... Albo rozbić ten śmigłowiec tak, by jeden z wirników urwał... Jego makabryczne fantazje na temat pozbycia się problemu przerwał nagle sam Lefevre:

– Co mu się stało? Temu... temu drugiemu.

Dumitresch zerknął nań kątem oka, wyglądając, jakby chciał powiedzieć coś nieprzyjemnego o niepamiętaniu nazwisk, ale z trudem się powstrzymał.

Lefevre najwidoczniej jeszcze się nie nauczył, że potencjalni sojusznicy powinni cię chociaż *trochę* lubić; nikt w biurze relokacji nie zamierzał ułatwiać mu życia.

Gilbert zamierzał z kolei wykorzystywać tę niechęć oficerów tak długo, jak długo będzie ich mieć; bo gdyby Ferenc uznał, że czas powołać nowych, a tych odesłać...

– Mówił, że jadł jakieś dziwne gówno – odparł, bacznie obserwując urzędnika. – Nikt by nie doczyścił helikoptera z rzygów.

Lefevre wzdrygnął się z odrazą.

– To... brzmi niezbyt dobrze.

Jest ostrożniejszy, zauważył Gilbert. Wcześniej nie szczędził mi kąśliwości, ale to było w biurze... Tam był dyrektor, była Eva, czuł się pewnie, ale teraz, gdy jesteśmy tu we trzech, wyraźnie się pilnuje... Co zrobiłeś z informacjami, które uzyskałeś, tchórzliwa gnido? Trzymasz je dla siebie? Po tym, co mówiłem na taśmach, mogę mieć poważne problemy, a jednak...

– Wedle protokołu muszę mieć dwóch techników.

– Tak – Lefevre przełknął ślinę, wpatrując się w przyrządy pokładowe. – Mam nadzieję, że wypełniłeś odpowiednie dokumenty związane z zastępstwem.

Prusy uśmiechnął się w duchu.

– Tę przyjemność zostawiam tobie. Jestem pewny, że wziąłeś ze sobą wszystkie druczki i spakowałeś zaraz obok gaci i szczoteczki do zębów – rzucił, nie mogąc się powstrzymać od odrobiny złośliwości.

Lefevre poczerwieniał, zerknął do tyłu i szybko odwrócił wzrok. Stracił nieco ze swojej stoickiej postawy; Prusy z satysfakcją zauważył, że jego ręce lekko drżą. Teraz się boisz?, pomyślał rozbawiony. Gdy już wiesz, że nie jestem byle chłystkiem z przypadku? Rozumiesz, że jestem Prusami i zastanawiasz się, gdzie są Niemcy? Oj chłopie, nie wiesz, w co się wpakowałeś. My gramy w tę grę od tysiącleci, a ludzie, którzy wchodzą wtedy na planszę... zwykle źle kończą.

Swędziły go ręce; świadomość, że ten sukinsyn ich ograł, że podsłuchiwał ich przez kilka dni – chwała Bogu, że Litwa był poza domem w paru krytycznych momentach – sprawiła, że krew Gilberta płonęła. Miał ogromną ochotę pozbyć się tego węszącego szczura, ale to przyniosłoby tylko problemy...

– Rozumiem, że to wyjątkowa sytuacja – powiedział Lefevre, wyraźnie starając się brzmieć pojednawczo. – Nie.. Wypełnię obowiązki jako zastępca wzorowo. I... – Przełknął ślinę. – Myślę, że dokumenty możemy uzupełnić po powrocie.

Prusy udał, że się zastanawia.

– Brzmi dobrze.

– Jaki jest dzisiejszy grafik?

Wiesz dobrze, jaki, Gilbert rzucił Lefevre kolejne spojrzenie. Zastanawiasz się, co z tym wszystkim ma wspólnego Erzsébet Héderváry; Węgry. Może próbujesz rozwikłać, o co chodziło w niepełnych zapisach Morse'a... Co się dzieje z Polską, który najwyraźniej żyje, sypia z Laurinaitisem – albo i nie sypia, sądząc po tym, co mówił Feliks – i dwa tygodnie temu „wybył w niebyt".

A może… Spojrzenie Prus przesunęło się po dłoniach zaciśniętych na kolanach. Zastanawiasz się, czy mógłbym cię zabić z zimną krwią. Może słyszałeś historie o krwawych bitwach i wielkich zwycięstwach.

Niemalże się roześmiał; mógłby. Może, jeśli to dobrze rozegra, Lefevre sam odda mu w ręce poprzednie nagrania, w końcu nic tak nie motywuje człowieka jak strach przed własną śmiercią… Prusy znów się rozmarzył.

– Héderváry, Arlovski, Chernenko – mruknął Dumitresch, gdy stało się jasne, że Gilbert nie odpowie. – Mamy... jakieś dwie godziny obsuwy.

– Zadzwonię do Arlovskiego, by nie wybierał się do roboty – Prusy założył ręce za głowę. – Z resztą nie będzie problemów.

– Dam znać hotelowi, że zameldujemy się później niż zwykle – zaoferował Dumitresch.

Gilbert skinął głową.

– Doskonale. – Spojrzał na Lefevre'a, ale ten postanowił milczeć. – Włącz radio. Miał lecieć mecz.

Oficer niemalże niezauważenie odetchnął z ulgą i zaczął przełączać stacje.

– …podanie, Borussia przejmuje piłkę… Ostatnie minuty tego porannego spotkania, miejmy nadzieję, że… tak! Goool! Gol i gwizdek, tym samym, proszę państwa, Borussia przełamuje pasję dziewięciu porażek i wygrywa z Bayernem!

Gilbert uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– No w końcu!

Jedna dobra wiadomość.

***

Pękała mu głowa, jakby ktoś postanowił potraktować ją siekierą; Litwa przycisnął palce do skroni, zmuszając się do kolejnego kroku.

Ich gatunek mógł obyć się bez jedzenia, wody czy snu; co nie znaczyło, że nie miało to swoich konsekwencji. Świat nieco migotał mu w oczach, a nogi szły już ostatkiem sił; był wtorek, wczesny, siny ranek, a Taurys nie zmrużył oka od sobotniego poranka, nie licząc króciutkich drzemek, których nie był w stanie powstrzymać, gdy kolejny pociąg albo autobus brnął dalej na wschód, chociaż starał się być czujny.

Jadł też niewiele, a jak już, to pośpiesznie; zmieniał połączenia jak rękawiczki – stracił już rachubę, ile biletów kupił i wyrzucił – by móc znaleźć się w Kursku jak najszybciej.

I w końcu był; Litwa uniósł głowę i spojrzał na łuszczącą się farbę na drzwiach prowadzących do pracowniczego hotelu.

Udało się; był tam, gdzie był Feliks.

Ciężką jak ołów ręką nacisnął klamkę, nieco zbyt późno zaczynając się zastanawiać, co powie recepcji, ale na szczęście biurko było puste; ruszył wysłużoną wykładziną, aż znalazł klatkę schodową.

Słyszał przytłumione odgłosy z pokoi, które mijał; pracownicy właśnie wstawali do pracy… Nieporadne rozmowy w kuchni, szum wody w łazience… Minął kilka osób, ale

nikt nie zwrócił uwagi na ledwo powłóczącego nogami mężczyznę, zapewne biorąc go za kogoś, kto wracał z nocnej zmiany.

Jest, czternastka. Uniósł dłoń i zapukał, czując niewysłowioną ulgę, że się udało.

Feliks otworzył mu niemal natychmiast; Litwa dojrzał jasny podkoszulek, nieuczesane włosy i nim zdążył cokolwiek powiedzieć czy zrobić, Polska wciągnął go do środka.

Drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem, a Feliks zawisł na jego szyi i mocno pocałował; Litwa zamrugał, oszołomiony i bardzo mile zaskoczony tym przywitaniem, a potem wyciągnął ramiona, by objąć Polskę. A raczej oprzeć się na nim całym ciężarem ciała.

– Jesteś cały – wymamrotał Feliks głosem pełnym emocji. – Jesteś cały, *prawda*?

– Jestem – szepnął Litwa. – A ty... wszystko dobrze?

– Mmhmm – Polska cofnął się i obrzucił Taurysa zaniepokojonym spojrzeniem. – Ja tak, ale ty... na pewno w porządku?

– Nie spałem od soboty – wyjaśnił półgłosem Taurys. – Kluczyłem... Muszę... muszę odpocząć, ale wszystko... wszystko w porządku. To znaczy, ze mną, bo... Spieprzyłem – wyszeptał. – Tak bardzo spieprzyłem... Te nagrania...

– Ważne, że jesteś bezpieczny – Feliks pociągnął go za sobą w kierunku łóżka i pomógł mu usiąść. Później pchnął Taurysa lekko na pościel; ten opadł na kołdrę i przymknął oczy, mając wrażenie, że już się o własnych siłach nie podniesie. Polska zacisnął palce na taurysowej dłoni. – Za godzinę idę do pracy – szepnął cicho. – Odpocznij przez ten czas... i musisz coś zjeść. Zrobię ci coś do jedzenia, nim wyjdę i pokażę ci, gdzie są moje zapasy i w ogóle...

– Feliksai...? – wyszeptał Litwa, uchylając powiek.

Pochylający się nad nim Polska był najpiękniejszym widokiem na świecie.

– Licia...?

– Mimo wszystko... Cieszę się, że tu jestem. Z tobą.

W odpowiedzi Feliks przycisnął usta do jego ust.

– Ja też – wyszeptał czule. – Ja też.

Rozdział XXX: Laska Eskulapa

Szum i terkot pracujących maszyn, nieruchomy blask białych lamp, pokrzykiwanie pracowników, próbujących zagłuszyć machinerię; a na ustach nieuchwytny, słodkawy posmak nagrzanego powietrza. Gorąca masa rozlewająca się na płycie, stygnąca, formowana w kolorowe pasy, rozciągana i cięta, pakowana…

Dzisiejszego dnia nie był w stanie się skupić; siedząc na swoim stanowisku kontrolera, wpatrując się w złotka wędrujące po taśmie albo wodząc wzrokiem po całej hali, Polska co rusz odpływał myślami. Dwa razy został okrzyczany przez kierowniczkę za swoje niedbalstwo.

Na szczęście, gniew tej kobiety gasł tak szybko, jak się rozpalał; Feliksowi wystarczyło tylko wybąkać przeprosiny, uśmiechnąć się niepewnie i szybko wyłapać z taśmy to błędnie zadrukowane opakowanie, by machnęła ręką i zostawiła go w spokoju.

Poprzedniego dnia też był taki nieobecny; myślał, gdzie Litwa teraz jest, do jakiego autobusu wsiada i czy nie siedzi gdzieś na jakimś zimnym, pustym dworcu, czekając na spóźniony nocny pociąg.

Dzisiaj mógł być już spokojny; Taurys dotarł do niego cały i zdrowy, a Gilbert dokonał genialnej dywersji, kupił Licii czas. Teraz Litwa może po odespać, w hotelu nikt nie będzie go niepokoił, całe piętro zamierało zaraz przed ósmej, gdy lokatorzy wychodzili do pracy. Odeśpi, powtórzył Feliks z czułością. Był trzy doby na nogach, nic dziwnego, że rano był półprzytomny…

Erzsébet dzwoniła, dała znać, że Lefevre zadawał dziwaczne pytania, ale nic się od niej nie dowiedział; Polska poprosił ją, by była czujna, ale jak na razie zapowiadało się spokojnie. Prusy milczał; prawdopodobnie nie miał możliwości swobodnej rozmowy, skoro na cotygodniową przejażdżkę zawlókł ze sobą Lefevre'a.

Burza rozpęta się później, może już za kilka dni, ale teraz Feliks mógł odetchnąć i skupić się na tu i teraz. Siedział w pracy, a jego myśli nieubłaganie wracały do czternastki, do łóżka, w którym Taurys teraz zapewne odpoczywał. Niczego nie pragnął bardziej niż wślizgnąć się pod kołdrę i przytulić się do męża.

Dwa tygodnie, pomyślał ze zdumieniem. Nie widzieliśmy się dwa tygodnie. Jak ja mogłem żyć bez niego tyle lat? Dziesięciolecia rozłąki wydawały się teraz mu całkowicie niepojęte…

– Max, co ty tak dzisiaj bujasz w obłokach?!

– Przepraszam! – Feliks rzucił się do cukierka w błędnie zadrukowanym papierku. – Wszystko pod kontrolą!

Kierowniczka pokręciła głową i odeszła, mrucząc coś pod nosem.

Ale to nie tak, że podczas wtorkowej zmiany Polska był pracownikiem beznadziejnie bezużytecznym, zatopionym wyłącznie w swoich myślach – w przerwie na papierosa udało mu się zawrzeć bardzo korzystną transakcję.

– Jeśli chcesz, to ci mogę go odsprzedać – Mężczyzna po trzydziestce, z zmęczoną, nieogoloną twarzą wzruszył ramionami. Feliks kojarzył go z widzenia, pracował przy

rozwożeniu towaru. – Władowałem w niego więcej marek niż jest warty. Połowę komponentów musiałem wymienić. Kompletny szrot.

– Chyba mi się przyda – Feliks przykucnął przy skuterze wyglądającym, jakby najlepsze lata miał już za sobą. Częściowo zdarty lakier ukrywał ciasny napis „Schallgeschwindigkeit". Szybkość dźwięku, ambitnie, pomyślał z rozbawieniem, bo skuter nie wyglądał na coś, na czym dało się porządnie rozpędzić.

– Dopóki nie będziesz miał go dość. Sześćset marek i jest twój.

Polska tylko udawał, że się zastanawia; lekki, zwrotny pojazd przyda im się do poruszania po mieście. Umówili się, że kierowca przyjedzie nim jutro pod hotel, tam dokonają transakcji i Feliks stanie się nowym właścicielem skutera.

Bez większych szczegółów i pisemnej umowy; nie mógł wypuścić takiej okazji z rąk.

Gotówkę miał w hotelu, trochę też przy sobie. Miał też jedno maleńkie konto bankowe na nazwisko Lebiediew, od czasu do czasu zasilane drobnymi zastrzykami gotówki, ale wolał nie polegać na nim za bardzo.

Banknoty ciężkiej było wyśledzić; Polska uśmiechał się na myśl o tych pieniądzach, pesetach hiszpańskich cyklicznie wymienianych na marki w tych nielicznych przygranicznych kantorach, powolutku, miesiąc po miesiącu. Finansowanie bardzo ułatwiało życie, jakie od dekady prowadził i praca mogła być tylko przykrywką.

Trasę z fabryki do hotelu Feliks przemierzał pośpiesznie; wpadał na migające światła, szczerząc się przepraszająco do zirytowanych kierowców, wymijał gawędzących na chodnikach przechodniów albo matki z dziećmi, a gdy dotarł na miejsce, schody na piętro pokonywał po dwa, trzy stopnie.

I teraz serce zaczynało bić mu szaleńczo; jakiś niepokój zaczął pojawiać się w jego głowie po całym dniu rozmarzenia. A przecież nic nie powinno się stać, Taurys był za daleko od biura, nikt go nie mógł tutaj na razie wyśledzić…

Gdy otworzył drzwi do czternastki, pokój okazał się pusty; Polska zamrugał, a potem obrzucił wnętrze szybkim, oceniającym spojrzeniem, przełykając ślinę.

Torba Taurysa leżała obok łóżka, zapięta i przesunięta nieco pod mebel, by nie przeszkadzała. Pościel była równo ułożona, na krześle złożono ubranie, w którym Taurys przyjechał, a na oparciu sechł wilgotny ręcznik; Feliks odetchnął z ulgą i ruszył na poszukiwania ukochanego.

Znalazł go w najbliższej kuchni, pełnej białych, nieco odrapanych mebli; zajrzał przez drzwi i mimowolnie uśmiechnął się czule.

Litwa nie zauważył jeszcze jego obecności, zajęty patelnią i skwierczącym nań olejem; coś pichcił, ale Feliks nie poświęcił teraz zawartości ani odrobiny swojej uwagi.

Taurys przebrał się w świeże ubrania, w ciemne spodnie i w jedną z tych koszul, które razem kupili; wyjątkowo polubił tą śliwkową, przemknęło Feliksowi przez myśl. Włosy, odrobinę wilgotne, Taurys spiął na karku gumką, by nie przeszkadzały.

Oczy Feliksa prześlizgnęły się po jego ciele; rano nie mieli zbyt wiele czasu i byli zbyt zaaferowani, ale teraz, gdy mógł na spokojnie przyjrzeć się Litwie, zauważył z radością, że ten nieco przybrał na wadze.

Wciąż był za chudy, ale po dwóch tygodniach rozłąki Feliks widział pewną różnicę w tym, jak koszula układa się na ciele, różnicę, która może byłaby niezauważalna, gdyby przez ten czas widywali się codziennie, ale...

Polska przemknął przez próg, pchnął lekko drzwi, a gdy zamknęły się z cichym trzaskiem, sprawiając, że Litwa obejrzał się przez ramię, Feliks, korzystając z tego, że w kuchni byli całkiem sami, oplótł go ramionami od tyłu.

– Cześć – wymruczał. Taurys pachniał czymś bardzo ładnym; Polsce te perfumy natychmiast skojarzyły się z lasem, ogniskiem i ogrzanymi słońcem jeżynami, palce lizać. – Wypocząłeś?

Litwa zgasił gaz pod patelnią i obrócił się ku Polsce.

– Wstałem godzinę temu – odparł cicho. – W końcu jestem przytomny.

Zerknęli na drzwi, a potem spojrzeli po sobie ze zrozumieniem; to nie było dobre miejsce na omawianie ważnych spraw. Ani na czułości; Polska wycofał się niechętnie.

– Co pichcisz? – zagadnął. – O, nie miałem tych warzyw na mojej półce. Podkradłeś komuś?

Taurys zerknął na patelnię, marszcząc lekko brew.

– Tu na rogu jest sklepik, poszedłem... żartujesz?

Polska zachichotał z jego miny.

– Oczywiście.

Jakiś mężczyzna, jeden z tych gości, których Feliks kojarzył tylko z widzenia, wszedł do kuchni; Polska natychmiast wszedł w small talk, dziękując po cichu Arthurowi i jego niekończącym się pogawędkom przy popołudniowej herbacie.

W ostatnich kilku latach, gdy błąkał się po Europie, Feliks nieco docenił te mdłe rozmowy o niczym; nadawały się doskonale do nagłych zmian tematu.

Herbata, angielska pogoda, szybkie zerknięcie w okno; stalowoszare chmury nad Kurskiem.

– ...nie wziąłem rano parasola, fajnie, że zdążyłem.

Mężczyzna wymamrotał ciche przywitanie i zaczął grzebać w lodówce, niezainteresowany dalszą socjalizacją.

Taurys przytaknął:

– Myślę, że zaraz będzie lać. Nastawię wodę na herbatę. Zjemy w pokoju?

Feliks skinął głową i zaczął szukać w szafkach talerzy; białe, jednakowe, niektóre lekko wyszczerbione, szklanki na herbatę... Wrócili do czternastki, gdy obcy mężczyzna zaczął przygotowywać własny posiłek.

– Pogadałem z recepcją – mówił Polska, gdy siedzieli naprzeciw siebie przy małym, niezbyt stabilnym stoliku i jedli prostą, szybką potrawkę z warzyw, kurczaka i kaszy. – Poprosiłem ich o wstawienie drugiego łóżka, wiesz, dla pozoru – Posłał rozbawione spojrzenie Litwie. – Oficjalnie jesteś moim kumplem, ściągnąłem cię do miasta, żebyś też znalazł robotę.

– To przejdzie? Nie mam dokumentów – Litwa zmarszczył brwi, wyglądając na zaniepokojonego i zmieszanego. – Moje oficjalne zniszczyłem… Nie wiem, czy powinienem był, ale...

– Spokojnie – Polska ściszył głos. – Właściciel tego miejsca jest ugadany z paroma przedsiębiorcami. Większość osób tutaj to pracownicy fizyczni, płacą trochę taniej, ale za to hotel ma klientów cały rok. Zauważyłem, że jak nie robi się problemów, to recepcja idzie na rękę w wielu sprawach. Pokój jest na Maxa Lebiediewa, ledwo popatrzyli na moje papiery. Wątpię, czy będą chcieli cokolwiek od ciebie. Jak tak, coś wymyślimy...

– Skąd masz swoje dokumenty? – Taurys pochylił się nad stołem. – Od Grisa?

– Gris tylko pośredniczy – Feliks potrząsnął głową. – Drukarnia jest gdzieś w Hiszpanii, chyba w Galicji. Cwaniaki podrobią wszystko. Antonio dał mi cynka lata temu.

Litwa spoważniał; odsunął od siebie pusty w większości talerz i westchnął.

– Lefevre wie, że Antonio zniknął i my o tym wiemy – powiedział bardzo cicho. – To było na nagraniach... Podobnie jak to, że w całą sprawę są wplątani Erzsébet i Gilbert.

– Licia…

– Jestem na siebie wściekły – Taurys wsunął palce we włosy i zacisnął szczęki. – Gdybym nie... Cała ta sprawa z kluczem, gdybym zaczął go szukać, zamiast... po prostu uznać... wystarczyło, żebym dokładniej sprawdził pod tamtą szafką... przyjrzeć się tym kluczom, czy na pewno są wszystkie...

Polska przygryzł wargi. Może byłby zły, gdyby nie pamiętał, jak roztrzęsiony był Taurys po powrocie z tamtej komisji, z palcami unurzanymi w tuszu i z błądzącym, nieobecnym spojrzeniem, z kruszącym się uśmiechem na wargach. Nie mógłby go za to winić…

Odsunął talerz, odsunął krzesło i okrążył stolik; pochylił się i otoczył swoim ciałem te napięte, stwardniałe z nerwów ramiona. Litwa przyjął go na swoje kolana i tak trwali przez chwilę, ciało przy ciele, ciasno. Feliks schował głowę gdzieś w szyi Taurysa, wdychał zapach jego skóry, mydła i tych perfum, których na pewno nie miał wcześniej, i odnalazł na oślep jego dłoń.

Rozsupłał zaciśnięte mocno palce, wsunął między nie własne, czekając cierpliwie, aż z Litwy zejdzie to napięcie; w końcu Taurys westchnął ciężko, oparł podbródek o ramię Feliksa i znów odetchnął. Mięśnie z wolna rozluźniały się, oddech uspokajał.

Kocham cię, pomyślał Feliks, czując dławienie w gardle. Zobaczysz, będzie dobrze. Zobaczysz…

Otwierał usta, by to powiedzieć, z wargami przytkniętymi do skóry Litwy, gdy ktoś zapukał do drzwi.

– Recepcja – wyszeptał miękko, niechętnie wyplątując się z bluszczu ich objęć. Taurys skinął głową, odwrócił na chwilę wzrok, kierując go w okno i marszcząc brwi.

Zza drzwiami nie było jednak dziewczyny z recepcji, tylko dwóch stałych gości hotelowych, mężczyzn o niedogolonych podbródkach, którzy pierwsi byli do ciężkiej pracy w pobliskim magazynie i równie pierwsi do piątkowych i sobotnich imprez; Feliks kojarzył ich całkiem dobrze. Prawdopodobnie robili w hotelu na pół etatu, bo często widywał ich przy drobnych naprawach.

– Mamy dostawę, Max – rzucił jeden z nich wesoło, wskazując na wąskie łóżko hotelowe, które jakoś zmieściło się w wąski korytarzu. – Wrobiła nas, cwaniara. Nie wiem, za co ja tu płacę.

Jego towarzysz wywrócił oczami, posłał Polsce spojrzenie mówiące „próbuje jej zaimponować" i po prostu złapał za metalową ramę łóżka.

– Pod ścianę... Tak, tutaj.

W ciągu minuty drugie łóżko stało w wyznaczonym miejscu, chociaż Polska wiedział, że gdy tylko drzwi się zamkną, zsuną oba łóżka razem.

– Gotowe... – Ten od popisywania się recepcjonistce otarł ręce o spodnie i zerknął na Taurysa. – O, my się jeszcze nie znamy... Frank.

– Meelis – Litwa wyciągnął dłoń z uprzejmym uśmiechem. – Miło mi.

Wymienili jeszcze kilka słów, a potem odeszli. Gdy znów zostali sami, Feliks pociągnął Taurysa za rękę.

– „Meelis"? To litewskie imię? – zagadnął z ciekawością.

– Estońskie.

– Och – Polska zamrugał. – Myślisz o nim – dodał cicho, a jego głos zmiękł.

Litwa westchnął.

– Kola powiedział mi parę dosadnych słów... nie mogę przestać.

Usiedli przy łóżku, kładąc na parapecie szklanki z przestygniętą herbatą. Teraz w końcu mieli okazję, by porozmawiać o tym, co działo się w ostatnich dniach; Litwa opowiedział dokładniej, co wydarzyło się w sobotni wieczór, gdy wpadł do niego kipiący wściekłością Prusy, a później o ciemnych przestrzeniach Grunewaldu.

– Tak – szepnął Feliks, zagryzając wargę. – To... to jest paskudne uczucie. Gdy udajesz, że... że już cię nie ma – Uścisnął dłoń Taurysa i oczyścił gardło. Poczuł przypływ współczucia dla Anniki i dla tej małej. – Myślisz, co zrobi teraz Prusak?

Był bardzo późny poniedziałkowy wieczór, gdy Gilbert zadzwonił; rzucił kilka słów zduszonym szeptem i natychmiast się rozłączył. Wziął Lefevre'a ze sobą, więc ten nie mógł przyjść po taśmy; Polska podzielił się tą informacją z Litwą dziś rano.

– Chce go zabić – Litwa westchnął. Na widok Polski otwierającego usta potrząsnął głową. – Wie, że to by wszystko skomplikowało. Ale nie wróżę Lefevre miłego traktowania przez ten tydzień. Jest w morderczym nastroju.

– Krótki lont, cała ta rodzinka – Feliks pokręcił głową. – Musi grać. Rozmawiałem z Erzsi, wizytacja przebiegła pozornie normalnie. To znaczy, zachowywali się tak, jak poprzednim razem, próbował ją wypytać, ale nic mu nie powiedziała...

Litwa zamyślił się.

– Gilbert pilnuje go do piątku – powiedział cicho. – W piątek rozpęta się burza.

– Wiem – Polska uśmiechnął się krzywo. Było wtorkowe popołudnie. – Cisza przed burzą. Ale nim grzmoty z Berlina dojdą aż tutaj...

Ściszonym głosem opowiedział Taurysowi o człowieku z gołębią naszywką.

– Słyszałem, jak próbował nagabywać ludzi. Próbowałem węszyć, ale ludzie z hotelu go nie kojarzą, przyszedł jako „znajomy znajomego". W piątek i sobotę będą kolejne imprezy,

liczę na to, że znów się pojawi. Musimy do niego dotrzeć, udać zainteresowanych, „Meelis"… To imię ma jakieś konkretne znaczenie?

Taurys skinął głową.

– Była taka książka – powiedział cicho, patrząc przed siebie, a jego wzrok odpłynął gdzieś daleko. – Ktoś, nie pamiętam kto, napisał ją przed Preludium, przed tym, nim Rosja oddała nas Rzeszy. Oparł się na starej historii… Estowie, Zakon Inflancki… Pamiętam, że Edward pokazywał mi ją w tajemnicy. Bohaterem był syn przywódcy walczącego z Zakonem. Była tam też postać ruskiego księcia, z którym ten chłopiec był zaprzyjaźniony, wspólnie walczyli… Niektórzy chcieli wykorzystać tę historię propagandowo. Rozumiesz, prawda?

– Rozumiem – Polska zacisnął szczęki. Nietrudno było się domyśleć, w jaki sposób chciało użyć tej opowieści. Z jednego imperializmu do drugiego, pomyślał wisielczo. Zresztą, ta historia brzmi znajomo… – To imię tego dzieciaka?

– Ludzie lubią odwoływać się do przeszłości, gdy rekrutują w swojej sprawie. Poszatkowano naszą historię, ale jeśli próbują wzniecić niechęć przeciwko Rzeszy, to jest dobry materiał. Pomyślałem po prostu, że warto spróbować – dodał Litwa pośpiesznie, uśmiechając się blado. – Szansa, że ktoś je rozpozna, jest niewielka, ale… – Wzruszył lekko ramionami.

– Podoba mi się to kombinowanie – Polska uśmiechnął się szeroko. – I to ładne imię – Uniósł się nieco i spojrzał w oczy Litwie nieco przewrotnie. – Ale gdy jesteśmy sami, Tauri, nie zamierzam go używać, dobrze? O wiele bardziej lubię twoje własne.

Cmoknął Litwę w policzek; Taurys wydawał się ukontentowany i zdecydowanie rozproszony. Temat ich rozmowy wolno rozpłynął się w powietrzu, w miarę jak zbliżał się wieczór.

Litwa potrzebował wytchnienia; cisza przed burzą, powtórzył Feliks w myślach. Tym były kolejne dni. Oczywiście, będzie ciągle chodził do pracy, Taurys już zobowiązał się, że weźmie skuter i będzie dyskretnie wypatrywał Lehra, ale… ale wieczory miały być ich, tak jak uprzednio były niedziele.

Dopóki biuro się nie dowie. Dopóki biuro nie wyśle psów; oby Gilbert sprawnie mylił tropy.

Wtorek, środa, czwartek. Trzy wieczory.

Gdy zmierzchało, Feliks wślizgnął się pod kołdrę; dwa złączone łóżka stęknęły cicho. Dobrze tu być, pomyślał, gdy Litwa bez słowa wyciągnął ku niemu ręce. Jak ja mogłem bez ciebie… Zatonął w cieple i miękkości pościeli.

– Śpisz…? – wyszeptał kwadrans później, bo Taurys oddychał głęboko, z twarzą gdzieś w poduszce i ramieniem przerzuconym przez tors Polski.

– Nie – padła cicha odpowiedź, a potem Litwa przekręcił się na bok i oparł na łokciu. – Ładuję baterie.

Na widok jego uśmiechu Feliks sam wyszczerzył się szeroko. Dobrze było – w końcu – widzieć Litwę zrelaksowanego i spokojnego… Nie wyglądał na sennego; najwidoczniej ten kilkugodzinny sen po powrocie zregenerował większość sił Taurysa.

To było zaskoczeniem, biorąc pod uwagę, jak kiepsko Litwa sypiał, ale Polska wziął to za dobrą monetę.

– To dobrze – powiedział wesoło. – Bo chcę się z tobą całować, aż zabraknie nam tchu.

Litwa zamrugał, a potem jego usta rozciągnęły się w jeszcze szerszym uśmiechu; bez dalszego nagabywania pochylił głowę i pierwszy zainicjował pocałunek.

Sądząc po tym, jaki ten całus był, Taurys był równie stęskniony; myśli Feliks niemalże odpłynęły gdzieś na odległe morza, gdy przyciągnął Litwę do siebie. Niemalże; bo nawet gdy zachichotał, gdy Litwa ucałował jego szyję serią drobniutkich, czułych dotknięć, by znów wrócić do ust, coś ciągle nie pozwalało Polsce utonąć w tych pieszczotach.

To, o czym rozmawiał z Gilbertem późną nocą, w tym hotelu, zaniepokojony i wystraszony...

Zaplatając dłonie na karku Taurysa, przesuwając nimi po ramionach, bokach, odwzajemniając każdy, nawet najbardziej odbierający tlen pocałunek, mniej lub bardziej niecierpliwie, spokojniej i namiętniej... ciągle myślał.

Palce Feliksa powoli, rozważnie przesunęły się w dół, przemknęły po brzuchu, podwinąwszy nieco podkoszulek – Licia teraz nad nim górował, i sama ta pozycja sprawiała, że po plecach Polski przemykały pełne wyczekiwania dreszcze, bo ciało wiedziało swoje – aż dotknęły paska od spodni, wsunęły się zań tylko na długość paznokcia, nie chcąc naciskać, ale tylko dać znak, że Polska wolałby, by na samym całowaniu się nie skończyło.

I znów to samo, jak w berlińskim mieszkaniu; gwałtowne spięcie ciała, wyraźne wytrącenie z tego przyjemnego transu, w którym myśli nie istnieją, ulatująca pasja, jakby ktoś właśnie otworzył okna i wpuścił burzowy, lodowaty wiatr.

Taurys dyszał ciężko w feliksową szyję.

– Nie chcesz...? – zapytał cichutko Polska.

Litwa podniósł głowę i Feliks aż wciągnął powietrze głębiej, widząc jego spojrzenie; w szarości wieczoru jego oczy wydawały się niemal czarne, rozszerzone źrenice wpatrywały się w Polskę tak, jakby... jakby poza nim nie istniał świat.

– Oczywiście, że chcę – wyszeptał Taurys, a żar w jego głosie sprawił, że Feliksa znów przeszyły dreszcze.

Wyciągnął palce i musnął opuszkami gładki policzek.

– Więc co się dzieje? – zapytał łagodnie.

Litwa wyraźnie się zawahał, a potem opadł na poduszki, na plecy. Teraz to Polska oparł się na łokciu i sięgnął, by odgarnąć zabłąkany kosmyk włosów z czoła Taurysa.

– Wiem, że to głupie... – wyszeptał Litwa. – Ale...

Chwila ciszy; wyglądało na to, że zbiera się w sobie. Feliks czekał cierpliwie; brak umiejętności słuchania już raz zniszczył ich relację, nie chciał popełnić znów tego błędu.

– Feliksai, ja... ja nie jestem już taki, jakby byłem kiedyś. Nie… nie wyglądam tak jak kiedyś, ja... – Policzki Taurysa pokryły się czerwienią. – Chcesz mnie takiego?

Pieprzony Prusak miał rację, zrozumiał Feliks.

– Licia – szepnął miękko, unosząc się, by musnąć policzek Taurysa ustami i zajrzeć prosto w zakłopotane oczy. – To nie ma znaczenia. Nie ma dla mnie znaczenia, jak wyglądasz… To znaczy, ma, bo chcę, byś czuł się dobrze, byś był zdrowszy – dodał pośpiesznie. – Ale dla mnie jesteś perfekcyjny – wyszeptał, przesuwając palcami po linii szczęki, po szyi, po linii, po ramieniu… Zmarszczył brwi; maleńkie siniaki, jak po palcach. Nie zauważył ich wcześniej, tych jasnosinych śladów. – O to się martwiłeś, głuptasie?

Taurys otworzył usta, a potem je zamknął; westchnął ciężko.

– Kolejny raz moja głowa robi sobie ze mnie… – Nie dokończył. – Wiedziałem, że ty…

Polska czule musnął ustami taurysowe czoło.

– Nie lubię, gdy cierpisz w swojej głowie. Sam – powiedział. – Nawet jeśli wydaje ci się to głupie, rozmawiaj ze mną, dobrze? Co jeszcze cię dręczy?

Litwa, jak zawsze, nie chciał go martwić; Polska poczuł, jak coś ściska go za gardło. Ku jego zdumieniu, policzki Taurysa poczerwieniały jeszcze bardziej, a on sam uciekł wzrokiem.

– Jestem w fatalnej kondycji – wyszeptał, po krótkiej chwili wracając spojrzeniem do Feliksa. – Nie byłem z nikim od wielu, wielu lat, a już wtedy… – urwał gwałtownie. – Nie chcę cię rozczarować. Nie mam… chyba nie mam w sobie już tego, co miałem wtedy.

W Feliksie znów coś zmiękło, a przez głowę przebiegły kolejne wspomnienia; łoże, ich dwóch na futrzanym dywanie przed wielkim kominkiem, cierpliwe dłonie i czułe spojrzenie, gdy uczyli się siebie, Polska spłoszony, niespokojny i rozdarty między tym, co mówiły święte księgi a własnymi pragnieniami, i Litwa, spokojny, mający na ten temat własne zdanie.

Feliks nie miał już części wspomnień, tych najstarszych; ciemniały w głowie, wracały tylko wspomnieniami kartek ze starych kronik, dzieje z drugiej ręki, ale wiedział, że w pewnym momencie rzucił się w nową wiarę na główkę, pozostawiwszy starą za sobą. Litwa zawsze dyskretnie się dystansował, zawsze patrzył w gęste lasy, gdy myślał, że nikt nie patrzy, jakby wypatrywał tam starych świętych gajów, mimo krzyża wiszącego na szyi.

Pamiętał cierpliwe dłonie i cierpliwe usta, szepczące do niego – Taurys tak rzadko ośmielał się rozmawiać, gdy się kochali – że wszystko jest w porządku, że ma prawo czuć się dobrze.

I, cholera jasna, Feliks nauczył się wówczas, jak wiele Litwa ma w sobie ukrytych pasji.

A teraz…

– Kretynie mój – Chciało mu się śmiać i płakać jednocześnie. – Przecież to nie zawody.

Męska duma, ta sama pieprzona męska duma, o której mamrotał Gilbert, zapewne krzywiąc się, jakby połknął cytrynę, sprawiała, że Licia nie chciał się z nim kochać?

Feliks już pokaże mu, że to nie ma absolutnie żadnego znaczenia.

– Po prostu zabrakło ci praktyki – wymruczał. – Nic się przecież nie stanie, jeśli… no wiesz.

Wyglądało na to, że to krótkie, proste zapewnienie przyniosło Taurysowi ulgę; odetchnął, osłonił oczy przedramieniem i wydał z siebie krótki, nieco nerwowy śmiech.

– Wybacz – wyszeptał Litwa. – Wiem, że nie jesteś taki. Znowu, moja cholerna głowa…

– „Taki" – powtórzył Polska cicho, bo coś w brzmieniu tego słowa zwróciło jego uwagę. – Chcesz... chcesz o czymś pogadać? Coś jeszcze... coś jeszcze ci siedzi tutaj? – Dotknął skroni Litwy, mając nadzieję, że nie brzmi natarczywie, że po prostu daje do zrozumienia, że jest otwarty na wszystko, co ten będzie chciał mu powiedzieć.

Znów wahanie.

– Nie wiem, czy chcesz o tym słuchać. Leżąc tutaj ze mną, o... o innej osobie, z którą byłem w łóżku.

Och; coś w Feliksie ścisnęło się boleśnie.

– Nie lubię o tym myśleć – przyznał. – Ale byłbym hipokrytą. To nie tak, że ja, po tym, jak przestaliśmy być ze sobą... – Rozbiory, wojny, lata, w których nie mogli na siebie patrzeć – nie byłem z nikim innym – Przełknął ślinę. Rezolutny chłopak w warszawskich koszarach, wspomnienie jak pajęczyna babiego lata, nagle wpadające do głowy i zanikające, gdy tylko przetarł twarz dłonią. – Opowiedz mi, Licia.

– Feliksai...?

Polska niemalże widział potrzebę podzielenia się tą historią, historią, której być może Litwa nie opowiadał nigdy nikomu, głęboko prywatną i intymną, która w jakiś sposób siedziała w nim jak stara drzazga.

Ale dalej chciał oszczędzić Feliksowi niemiłych odczuć; Polska westchnął i położył palec na wargach, które przed chwilą całował i pochylił się. Oparł czoło o czoło Taurysa.

Miał nadzieję, że się nie pomyli; że nie zepsuje niczego złym akcentem czy gramatyczną omyłką. Litwa by mu to wybaczył, oczywiście, ale Feliks chciał zrobić to jak należy.

– Aš tave myliu, mano výre.

Taurys otworzył szerzej oczy; potem wciągnął Feliksa w swoje objęcia i przycisnął wargi do jego policzka, wyraźnie poruszony. Odpowiedź, która nadeszła, wyszeptana gorąco, była drżąca, po polsku; wślizgnęła się do serca Feliksa i zwinęła w kłębek na samym dnie, głęboko, jak chroniony skarb, zapełniając jakąś dziurę, której do tej pory Polska nie był do końca świadomy.

– Kocham cię, mężu – powtórzył Feliks, rozkoszując się brzmieniem tych słów, podczas gdy Taurys owijał się wokół niego, jak wąż wokół laski Eskulapa. – I żadne głupie demony z twojej głowy tego nie zmienią. Opowiedz mi, Tauri, proszę. Widzę, że cię to dręczy. Kto to był i dlaczego... dlaczego to cię tak bardzo hamuje.

Więc Litwa opowiedział.

– Gdy wróciłem ze Stanów, zająłem się odbudową kraju. To były... ciężkie, paskudne czasy –Polska pokiwał głową; ze wstydem pomyślał, że był jednym z powodów, dla którego były dla Litwy tak złe. – Ale miałem nadzieję, że może to potoczy się jakoś lepiej... W każdym razie, niektórzy politycy zaczęli urządzać uroczyste obiady, rok w rok po odzyskaniu niepodległości. Nie zawsze chciałem w nich uczestniczyć, ale... nie mogłem odmówić. To było na cześć Litwy. Na moją cześć.

Polska znał takie napuszone przyjęcia, gdzie krążył się od stolika do stolika z winem w dłoni, czując, że marnuje czas, że powinien robić coś produktywnego. Jak zżymał się na kolejne zaproszenia; przecież jest kodeks karny do napisania, nie może cały czas lecieć na

tym poniemieckim. I że trzeba ogarnąć te koleje i dwie różne szerokości szyn i wyrównać poziom edukacji, bo jest... Skarcił siebie w myślach i wrócił uwagą do Litwy.

– Minęło pięć, dziesięć, piętnaście lat, a organizację obchodów przejęły dorosłe dzieci tych polityków. Starsi pojawiali się już tylko na chwilę. Obiady zamieniły się w kolacje, kolacje w prywatki – Na wargach Taurysa pojawił się gorzki uśmiech. – Nie czułem się tam zbyt dobrze, ale... wciąż nie wiedziałem, jak mam odmówić. No i to był tylko jeden wieczór w roku, nie?

Krótkie milczenie.

– Miała na imię Milda.

– Paskudnie – Polska nie był w stanie się powstrzymać; odrobina zazdrości, ta irracjonalna, odezwała się w nim jak ukłucie komara. Zrobił przepraszającą minę, ale Litwa nie wydawał się urażony.

– To imię bogini miłości.

– Och... Przepraszam. Czy... – Feliks wziął głęboki wdech, a zachęcony spojrzeniem Taurysa, ośmielił się zapytać. – Czy ty... ją? Kochałeś ją?

– Nie – odpowiedział Litwa bardzo cicho. – Ale była kobietą, która sprawiała, że cały pokój milknie, gdy tylko ona wchodziła do środka. I dobrze o tym wiedziała. Jeśli... jeśli chcesz ją sobie wyobrazić... Pamiętam jej włosy. Długie do pasa, kasztanowe. I oczy piwne, lisie. To była córka jednego z najważniejszych polityków... Każdy jadł jej z ręki. Ale ona patrzyła tylko w moją stronę.

Polska przełknął ślinę; głos Taurysa nabrał smutniejszej nuty.

– Nie umiałem dać jej do zrozumienia, że nie jestem zainteresowany – przyznał. – A raczej, próbowałem, ale nigdy nie dość stanowczo.

– To była dyplomacja – szepnął Feliks ze zrozumieniem. – Nie mogłeś być obcesowy. Nie chciałeś robić skandalu, prawda?

– Nie chciałem – przytaknął Litwa z westchnieniem. – W końcu zgodziłem się pójść z nią na jedno z tych przyjęć... Piłem. Dużo. Nie umiałem odmówić toastów. Były... poniekąd na moją cześć, a te dzieciaki... te dzieciaki prawie nie pamiętały niewoli. To było to pół pokolenia, które było... całkowicie wolne. Beztroskie.

Spojrzenie Taurysa było odległe w czasie i przestrzeni.

– Wiedziałem, czego Milda ode mnie chce. I może... może byłem już zmęczony tym, że zbywa moje odmowy. Pomyślałem... a może to whisky pomyślało za mnie, nie wiem... że jeśli dam jej to, czego chce, da mi już spokój.

– Tauri – wyszeptał Feliks miękko, współczująco. Prawie to widział przed oczami; zasnuty dymem pokój, szklanka z rżniętego szkła w ciężkiej dłoni, w środku płynny bursztyn i lód, długie włosy opadające na kolana Taurysa, gdy ta kobieta...

– Nie... nie zrozum mnie źle, Feliksai, ja... ja byłem wtedy sam. Całkiem sam, od wielu lat nie ośmieliłem się... Wiesz, że te parę lat wcześniej odtrąciłem Alfreda. A ona była piękną kobietą. Wiesz, że ja... Jakaś część mnie myślała, że to będzie w porządku. Ale... ale ja wciąż byłem rozbity. Pokryty bliznami. Dopiero przestałem podskakiwać, gdy ktoś zachodził mnie od tyłu... i na dodatek byłem cholernie, cholernie zmęczony i pijany.

A Milda... – Taurys westchnął ciężko. – Milda chciała Litwy-symbolu, o którym mówiono tyle podniosłych słów, by móc się nim pochwalić. A dostała Taurysa-wraka, który tylko ją rozczarował... – urwał gwałtownie. – I... nie wahała się mi tego powiedzieć.

Polska zdał sobie sprawę, że ma łzy w oczach. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że nie było sensu wściekać się na tę kobietę, której nie było już na tym świecie, ale... Czuł tę gorycz, ten posmak odrzucenia i upokorzenia, jakby sam ich doświadczył, kolejne cegły do muru przykrych doświadczeń. Drzazga…

– Co za suka – wydusił. – Powiedzieć coś takiego... gdy jest się w łóżku. Tam, gdzie jest się najbardziej bezbronnym.

Taurys wyglądał na zaskoczonego jego reakcją.

– Dziękuję – wyszeptał po chwili. – Że... że wysłuchałeś do końca. – Uśmiechnął się z wyraźną ulgą. – Ja... przypomniałem sobie o niej, gdy... krótko przed tym, gdy zaczęliśmy ze sobą być. Myślę, że częściowo przez to tak... tak się wahałem.

Feliks pokiwał głową; przycisnął wargi do ust Taurysa, chcąc przekazać mu wszystko, co czuł i co chciał mu dać; spokój ducha, akceptację wszystkiego, każdej rysy na duszy i na ciele. I to, czego chciał się pozbyć, tych pieprzonych drzazg i ciemnych cieni.

Litwa przemknął dłońmi po feliksowych przedramionach i odwzajemnił pocałunek.

– Dzięki, że masz do mnie tyle cierpliwości. Jestem kretynem, nie?

– Tak, ale moim kretynem – uściślił Polska, uśmiechając się głupawo. – I moim zadaniem jest wyrzucanie z twojej głowy tych myśli. Tylko masz mi o nich mówić, dobrze?

– Sam muszę je wyrzucić – sprostował cicho Litwa. – Robię, co mogę... Naprawdę.

– Wiem, kochanie. Wiem. Jak będzie „głuptas” po twojemu?

Taurys zastanawiał się przez chwilę; Polska przygryzł wargi.

– Myślę, że „kvailiukas” będzie w porządku.

– Kvailiukas - powtórzył Feliks powoli. – Brzmi dobrze. Swoją drogą... Uwielbiam te twoje perfumy, wiesz?

Leżeli przez chwilę przy sobie, wymieniając miękkie, łagodne słowa, ciche wyznania, tęsknoty i czułostki; później Taurys oparł się na łokciu i uśmiechnął jakoś tak psotnie; z jego oczu zniknął jeden z gniazdujących tam wcześniej cieni, znów jaśniały jak las podczas słonecznego dnia. Przysunął się bliżej, znacznie bliżej.

Wargi musnęły szyję Feliksa; mniej czule, bardziej... Nim jednak Feliks sformułował tę uwagę do końca, Taurys zawędrował na jego skroń, by później przesunąć się po policzku, uciec pocałunkami gdzieś za ucho... Ręka z kolei przesunęła się po boku, oparła na udzie, załaskotała opuszkami gdzieś nad kolanem...

Polsce pozostało tylko radośnie się roześmiać; wplótł palce w ciemne włosy, szukając na oślep tego wrażliwego miejsca z tyłu szyi, zachwycony ochotą, którą Taurys właśnie mu prezentował.

– Skąd masz te siniaki...? – zapytał, gdy chwilę później pozbył się podkoszulka Taurysa i w jego oczy znów rzuciły się maleńkie ślady, po cztery plamy szarości na każdym ramieniu.

– Terapia pruska – mruknął Litwa niepochlebnie. – Później... później ci opowiem, nie chcę teraz o nim myśleć.

Polska wywrócił oczami; niereformowalny Prusak.

– Chodź tu do mnie – wyszeptał, odrzucając myśl o Gilbercie i jego barbarzyństwie bardzo, bardzo daleko. Teraz interesował go tylko Taurys, jego usta, dłonie i każdy inny centymetr ciała; chłonął ciepło i bliskość, i dotyk i emocje, które im towarzyszyły. – Proszę.

I Taurys przyszedł. I tym razem już się nie wycofał.

***

Tholosen było urokliwe i miękkie w słońcu, z tym swoim różowym odcieniem cegieł i z jaśniejącą bielą Pirenejów na horyzoncie. Temperatura wynosiła dobre dziesięć stopni więcej niż w Berlinie i Prusy może kochałby to miasto, które jeszcze długo miało pozostać ciepłe, uwielbiałby tu zostawać na łagodne zimy, zamiast łypać ponuro na ciemnoszare niebo i kląć na krótkie dni, może lubiłby je na równo z Wenedig, gdzie poranek pachniał kawą, a wieczór morzem i bryzą.

Może; może gdyby nie uważał takich sentymentów za głupoty. I może gdyby nie było tu jednego z mieszkań biura.

Była druga po południu, poniedziałek; to, co nadrobili, zmuszając helikopter do maksymalnych prędkości, stracili w jakimś cholernym korku i Prusy posłał w przestrzeń kilka wiązanek, nie przejmując się tym, że Lefevre słyszy; na kierowców, którzy się śpieszą, jakby paliły im się dupy. Na bandę dzieciaków, która niemal wpadła im pod koła, bo była zbyt zajęta paplaniem do siebie, by zwracać uwagę na drogę. Na pogodę, bo temperatura była przyjemna tylko przez chwilę i Prusy szybko przypomniał sobie, jak nienawidzi palącego słońca. Na to, że lądowisko jest w niedogodnym miejscu i trzeba będzie to przemyśleć od nowa, może przenieść lokalizację mieszkania do bliższej dzielnicy, gdy Erzsébet Héderváry zostanie już przeniesiona.

Lefevre milczał rozsądnie, raz tylko rzucił Gilbertowi ostrożne spojrzenie. Dobrze, pomyślał Gilbert. Trzymaj język za zębami, gnido, żebym ci go przypadkiem nie uciął.

Dumitresch też nie był w nastroju; odpowiadał półsłówkami, spokojnie, ale z wyraźną niechęcią; wysiadając z auta pod budynkiem, w którym mieszkała Węgry, rzucił tęskne spojrzenie na niemalże pustą paczkę papierosów, którą wysunął z kieszeni.

Gilbert udał, że tego nie widzi; nie mieli czasu.

– Idziemy.

Erzsébet, jak zawsze, zastali przy pracy; cofnęła się, wpuściła ich do środka – Gilbert zanotował błysk zdziwienia w oczach Lefevre'a, że tym razem mogli, że Prusy nie zrobił awantury – a następnie wróciła do zapisanych kartek.

Twarz miała spokojną, tylko opuszki jej palców drżały; oparła je o maszynopis, udając, że ma w głowie jakąś na wpół przetłumaczoną myśl i musi natychmiast ją przełożyć, bo inaczej ten szyk zdań umknie i tyle będzie ze zgrabnej translacji.

Wiedziała już; na sekundę spojrzenia Gilberta i Węgier spotkały się, a potem on odwrócił oczy i bezceremonialnie otworzył najbliższą szafkę.

Kuchnia, łazienka, zasłonka prysznicowa w kwiaty, tam też pachniało żółtymi różami. Sypialnia; Lefevre, przeszukując metodycznie mały sekretarzyk, szafkę nocną i regały, zawahał się nagle przed komodą.

Żadnej taryfy ulgowej. Tego chciałeś, Lefevre, więc patrz.

Gilbert szarpnął za uchwyty najwyższej szuflady, delikatne metalowe zawijasy, jakby zbyt małe dla męskiej dłoni. Szuranie; starannie poukładane bluzki, materiał przelewający się między palcami, gdy szukał zapisanych kartek, nielegalnych przedmiotów, podwójnych den.

Druga szuflada, sukienki. Albo spódnice, nie, żeby Gilbert poświęcał kiedykolwiek zbyt wiele uwagi katalogowaniu damskich części garderoby. Szuflada trzecia, bielizna; mechaniczne przerzucanie między dłońmi, później równie mechaniczne ułożenie wszystkiego tak, jak było wcześniej.

Lefevre, z twarzą poczerwieniałą jak pomidor, przeszedł szybko do łazienki, do Dumitrescha, który zaglądał do szafki z kosmetykami, wyraźnie starając się ukryć znudzenie.

Sukinsyn; pomyślał Gilbert. Gdybyś nie wpieprzał swojego nosa w nieswoje sprawy, nie musiałbym tego robić.

Korzystając z tego, że został sam, padł na kolana, zajrzał pod sekretarzyk, sięgnął pod łóżko, szukając dłonią już znajomego kształtu zamykanego pudełeczka ze szpulami w środku. Nic. Na pewno sprawdziła już sama, ale… Pustka pod dłonią.

Żadnej taryfy ulgowej… Nowy dyktafon… Upomnienie od führera i teraz ta pluskwa pod stołem Taurysa… Domyśliliście się już, czy jeszcze nie, gołąbeczki? Bo ja mam coraz większe podejrzenia…

– Pani sprecher.

Nie znajdziesz nic, Lefevre. Erzsébet wie, że należy ukryć sprecher i broń i tylko ona wie, gdzie one teraz są. Zabawne, nie? Dwa przedmioty raz na tydzień znikają w niebyt. To mieszkanie w budynku wielorodzinnym, przeszukanie obejmuje tylko je… Jakby nikt nie pomyślał, że wystarczy wyjść, wrzucić coś do kubła na śmieci sąsiadów, wepchnąć pod stary pień w pobliskim parku, wyłamać zamek tego porzuconego dekadę temu samochodu przecznicę dalej…

Gilbert podniósł się na nogi i ruszył do kuchni; Lefevre przeglądał nerwowo spis połączeń.

Ciemne włosy, nieco przerzedzone, twarz kompletnie nijaka, niezbyt wysoki. Człowiek-tło; ktoś, kogo łatwo pominąć, przeczesując wzrokiem tłum.

– Kontaktuje się pani z kimś w inny sposób? – zapytał Lefevre nagle, a Gilbert mimowolnie obnażył zęby; dobrze, że był jeszcze za drzwiami, nie ukrywając swojej obecności, ale pozwalając, by drewno częściowo go osłoniło.

– Mówiłeś coś, Dumitresch? Już idę…

Dumitresch był zdziwiony; pokręcił głową, a Prusy uznał najwidoczniej, że się przesłyszał; potem nastawił uszu, by słyszeć rozmowę w kuchni, udając, że zerka w przybory toaletowe.

– Nie rozumiem, co pan ma na myśli.

– Pani… Héderváry, powtórzę. Korzysta pani z telefonu albo sprechera w miejscu pracy?

– Pracuję tutaj. W biurze jestem mniej niż raz na kwartał.

– Musi więc pani chodzić do biblioteki. To na pewno wymagane przy pani pracy.

– Chodzę do kilku.

– Do których?

Erzsébet podała adresy; jej głos brzmiał spokojnie, był lekko zdziwiony i przy tym absolutnie naiwny, pięknie niewinny, jakby była młodziutką panienką ze starej pocztówki albo jakiejś ckliwej powieści, która właśnie dowiadywała się okropnej nowiny. Prusy w duchu wyszczerzył szeroko wszystkie zęby:

– Mój Boże, czemu pan tak o to dopytuje? Coś jest nie tak? Stało się coś złego?

Niemalże czuł w powietrzu smak tego nagłego zbicia z tropu; szybkim, marszowym, ciężkim krokiem wrócił do kuchni, a Lefevre niemal podskoczył.

– Reszta skończona – oznajmił głośno. – Sprawdziłeś korespondencję?

– T-tak – Lefevre zamrugał, spojrzał najpierw na niego, a potem na Erzsébet, która uśmiechnęła się wdzięcznie. – Po prostu pytałem… – Zwęził podejrzliwie oczy, ale najwidoczniej ugryzł się w język. – Mniejsza o to…

Erzsébet podniosła się z krzesła, by odprowadzić ich do drzwi; Lefevre rzucił jeszcze okiem na kartki.

– To jest…

– Francuski – Węgry skinęła głową, przybierając rzeczowy ton. – Bajki dla przedszkolaków. Przyjemna rzecz do tłumaczenia, można przy niej odpocząć.

Niby przypadkiem przesunęła kartki; pieczątka departamentu kultury obcej ministerstwa kultury z napisem „zatwierdzone do przekładu” i druga, przecinająca w pół kartkę, z „zaopiniowane pozytywnie treści wychowawcze” od ministerstwa szkolnictwa zgasiły błysk nadziei w oczach urzędnika.

– Spodziewam się skończyć za kilka dni, więc w przyszłym półroczu pewnie pójdzie do druku – Erzsébet weszła teraz w serdeczne tony. – Ma pan dzieci?

– Nie – bąknął speszony Lefevre. – To… – Posłał ostatnie spojrzenie kartkom i zrobił ruch, jakby próbował wzruszyć ramionami, a potem dostrzegł tuż przy sobie Gilberta i zesztywniał. – Nieważne. Możemy iść.

Trzask drzwi od mieszkania, a później od samochodu. Gilbert, nie kryjąc się, odchylił poły koszuli i wyłączył nagrywanie na nowym dyktafonie. Przycisk kliknął głośno.

– Dobra, walimy dalej – rzucił, rozkładając się na siedzeniu. – Arlovski za godzinę zaczyna zmianę.

– Jego obowiązkiem jest być w domu, gdy… – zaczął Lefevre.

– Będzie, będzie. Wkurwiony, że stracił dniówkę. Na szczęście, nasze lądowisko jest blisko, poza tym, to dziura, tam nie ma ruchu. Może skończymy robotę o jakiejś ludzkiej godzinie.

Znów ta ciężka, gęsta, dusząca cisza jak powietrze przed burzą; Prusy założył ręce za głową, czując głęboką dumę.

Pięknie to rozegrałaś, Erzsi. Chciał cię wyprowadzić z równowagi… Ale i tak… Bądź gotowa. Wiesz, gdzie masz jechać, gdyby coś było nie tak. Do Alp jest szmat drogi, ale dasz radę, wiem o tym. A ja… ja sobie z tym już poradzę.

Pod Paryż dotarli późnym popołudniem; słońce na niebie przychylało się już ku zachodowi, gdy podjechali pod domek otoczony zaniedbanym, zdziczałym ogrodem. W drzwiach stał Nikolai i posyłał im to samo spojrzenie co zawsze; ostre, cierpkie, spod zmarszczonych brwi.

Kola, Kolia. Nigdy nie rozumiał, co Litwa w nim widział, że z uporem maniaka stosował te zdrobnienia, notabene jedyne, które Nikolai tolerował. Kiedyś, za Rzeczpospolitej, Białoruś nie był jeszcze taki szorstki, taki ostry na krawędziach jak liście tego pieprzonego ostrokrzewu przy samych drzwiach, w który Gilbert właśnie o mało nie wpadł, ale i tak nigdy on i Nikolai nie darzyli się ciepłymi uczuciami.

Białoruś często stał na uboczu, bo to Litwa reprezentował interesy Księstwa; później też łatwo było o nim zapomnieć. Do tej pory Gilbert nie potrafił zrozumieć tej cudacznej zażyłości. Ktoś tak miękki jak Taurys i ta chodząca żyletka… Dobrze, że przynajmniej jemu nie wypadało od czasu do czasu serce; jeden psychopata w tej rodzince wystarczał.

– Nareszcie – burknął Białoruś, odwracając się i wchodząc do środka.

Gilbert utkwił oczy w jego plecach.

Byli tu. Węszyli, próbowali coś od niego wyciągnąć. Znaleźli go tutaj, w środku wielkiego kraju, niemalże błyskawicznie, biorąc pod uwagę, że trafił tu tuż przed wakacjami…

– Zajebiście dbasz o ten ogródeczek, Arlovski – rzucił, nie mogąc się powstrzymać.

Nikolai obejrzał się przez ramię i uniósł brew. Wśród zżółkłych traw wyrastały jakieś inne badyle, a bluszcz na domu zwisał tak nisko nad drzwiami, że jeszcze kilka centymetrów, a trzeba będzie skłaniać głowę, przekraczając próg.

– To nie moja sprawa. Ja ich nie sadziłem.

– Nie, nie ty – zgodził się Prusy wspaniałomyślnie. Zajrzał za krawędź wąskiej, kamiennej ścieżki, rozpoznając wiotkie łodyżki i obłe, dzielące się liście. – Masz tu wykosić, do kurwy nędzy, masz w umowie dbanie o ten dom, więc to jest twoja sprawa. Zawsze mam ubranie w tych paprochach, a poza tym, ta ruta parzy.

Oczy Białorusi zwęziły się, a potem przebiegło przez nie zrozumienie; krótki, niemal niezauważalny przebłysk. Załapał, pomyślał z zadowoleniem Gilbert.

Lefevre nie zrozumiał z kolei nic, ale wodził wzrokiem po zaniedbanym ogrodzie i kiwał głową, wyglądając na zgorszonego tym zapuszczeniem. Biło od niego miastem na kilometr; wyraźnie czuł się nie na miejscu w Itteville.

– Proszę doprowadzić to miejsce do porządku. Biuro nie życzy sobie takich zaniedbań – Spojrzał z lekką odrazą na swój wypastowany but, wojskowy, tak jak cały ubiór –

dla zachowania pozorów, mógł nosić mundur tylko w takich sytuacjach – po którym wędrowała teraz jakaś biedronka.

– Dobrze – burknął Białoruś. – Wchodźcie. Robicie zamieszanie.

Prusy obejrzał się przez ramię; grupka dzieci zaglądała przez biały płot. Odgonił je machnięciem ręki; rozbiegły się jak spłoszone motyle, nauczone zapewne przez rodziców, że mundurowym się nie przeszkadza.

U Nikolaia nigdy nie było roboty; nie miał zbyt wiele rzeczy. Gilbertowi ten minimalizm wcale nie przypominał tych pustych, rzekomo ładnych przestrzeni z magazynów, które czasem od niechcenia przeglądał w Eldorado, gdzie przynosiła je jedna z barmanek – kojarzył się raczej z pogardliwym machnięciem ręką – „na co mi to?" – i pragmatycznym do bólu „będzie mniej do noszenia, gdy każą mi stąd wypierdalać".

Może nawet tak kiedyś Nikolai mu odpowiedział, dawno, dawno temu; tysiące wizytacji zlewały się Gilbertowi w jedną śmierdzącą masę.

Cały czas czuł na sobie świdrujące spojrzenie Białorusi. Lefevre pozostawał cichy, nie zadawał pytań i wydawał się mniej spięty, co utwierdziło Prusy w przekonaniu, że imię Nikolaia nie padło na nagraniach. Jedna dobra wiadomość, jedna osoba mniej do…

Kolejny dom, tym razem w ciemnościach, które spowiły niewielkie powiatowe miasto u stóp górskiego Schwarzwaldu.

– Myślałam, że już się nie pojawicie – Kateryna cofnęła się, wpuściła ich w krąg złotego światła, do domu-bliźniaka, którego druga połowa pozostawała pusta.

– Opóźnienie wynikające ze spraw służbowych. Nie dopytuj.

I tak by nie dopytywała, wiedział o tym; spojrzała jakoś tak żałośnie i wróciła do kuchni, gdzie na stole stała szklanka z herbatą.

Znów zajął się bieliźniarką sam, bo Lefevre czerwienił się i wykręcał ręce. Nie pachniało dzisiaj alkoholem; a może pachniało, może woń wsiąknęła w drewno podłóg, ale nie czuł nic świeżego.

Jakakolwiek ochota, by wstąpić wieczorem, po pracy, do jakiegoś sklepiku i wziąć stamtąd zimne piwo, natychmiast od Gilberta odstąpiła.

Kateryna pójdzie do Domu Jesiennego. Tam ją odetną od nałogu, bo Gilbert wątpił, by Ferenc pozwoliłby na picie. Jakiś plus tej popieprzonej sytuacji… Ale nie zobaczy więcej Nikolaia, bo nie będzie więcej spotkań w Charlottenburgu…

– Zaczęłaś przygotowania do relokacji?

– Złożyłam już wypowiedzenie – odparła cicho.

Straciła na wadze, straciła też błysk w oku; została jednak ta sama znajoma miękkość jej spojrzenia, jak roztopione masło. Nie umiał zbyt długo patrzeć jej w oczy, wiedząc, o kim myśli.

– Czy Ni…

– Nie udzielam takich informacji – odparł zimno, głośno, by Lefevre na pewno usłyszał. – Sprecher.

Tego chciałeś, skurwysynu. Wykonuję tylko swoje, kurwa, pierdolone obowiązki… Jeśli jeszcze raz podważysz…

– Do widzenia.

Hotel w tym samym mieście, w którym zwykle nocowali; recepcjonistka uśmiechała się sztucznie, ukrywając zmęczenie i zniecierpliwienie. Poza nimi w holu nie było absolutnie nikogo, korytarze spowijały się w półmrokach, a cisza dzwoniła w uszach.

– Żaden problem, proszę panów… dziękujemy za tak wczesną informację… proszę tędy… Dla pana, panie Dumitresch, jedynka tutaj na parterze, dla pozostałych panów te dwie jedynki na piętrze, obok…

Prusy mimowolnie uniósł kącik ust, chociaż był cholernie, cholernie zmęczony i nie marzył o niczym, niż o walnięciu się w hotelową, cienką, śmierdzącą mdłymi kwiatami pościel.

Myśl o zabójstwie dalej krążyła mu w głowie; ileż by to rozwiązało problemów… i ileż by spowodowało; westchnął ciężko. Nie, tym razem prostsze rozwiązanie nie było najlepsze; musiał to rozegrać porządnie.

W pokoju, identycznym jak każdy inny, w którym spał, znalazł mały ekspres do kawy. Zaparzył małą, piekielnie mocną siekierę, wiedząc, że będzie potrzebował jasności umysłu… Wypił ją duszkiem, gorącą i paskudnie kwaśną – nie ma to jak oszczędzanie na ziarnach – a potem wszedł do najbliższej łazienki.

Poprawił koszulę i uśmiechnął się drapieżnie do lustra. Czekał, aż kofeina zacznie działać, odegna zmęczenie, wyostrzy zmysły kosztem snu. Opłukał twarz lodowatą wodą, mocno wyszorował ręce, aż poczerwieniały.

Później otworzył drzwi, wyszedł na pusty, ciemny korytarz i zapukał dwa razy do drzwi naprzeciw.

Chodź, Lefevre. Zachciało ci się z nami grać, to nauczę cię zasad.

Lefevre otworzył mu ostrożnie, zerkając zza drzwi zdumiony; stał w kapciach kąpielowych, w granatowej, zapinanej na guziki pidżamie i mrugał, jakby strącał z powiek sen. Jeśli Gilbert złapał go zaraz po tym, jak przysypiał i zerwał z łóżka półprzytomnego, to jeszcze lepiej; dał sobie pierwszy punkt.

– Be… Beilschmidt, co do cholery…?

– Wpuść mnie, musimy porozmawiać – warknął.

Coś w jego głosie sprawiło, że Lefevre nie oponował; cofnął się, wpuścił Prusy do pokoju i dopiero wtedy pobladł, jakby zdał sobie sprawę z tego, co zrobił. Powiódł wzrokiem po pokoju, jakby instynktownie skanując otoczenie, szukając kryjówki albo broni; Gilbert zmusił się, by nie wyszczerzyć zwycięsko.

Oj, naprawdę zabrakło ci jaj, co, biurwo?

– O czym…? Jest późno, to nie może zaczekać?

– Nie sądzę – Prusy również rozejrzał się dookoła. Widząc proste krzesło, usiadł na nim, zakładając nogę na nogę i unosząc brew. – Lefevre, co do cholery to było u Héderváry? To wypytywanie?

Lefevre zesztywniał; znów omiótł oczami otoczenia, a potem zacisnął szczęki.

– Miałem swoje powody, by o to pytać, Beilschmidt – odparł chłodno.

– Jakie?

Zęby Lefevre'a zazgrzytały cicho o siebie; wpatrywał się w Gilberta z niechęcią, pogardą… i strachem. Gdy mijały kolejne sekundy bez odpowiedzi, brew Gilberta unosiła się coraz wyżej.

– Jesteś tu tylko na zastępstwie. Nie bierz się za rzeczy, które nie należą do twoich obowiązków.

– Proszę nie mówić mi o wypełnianiu obowiązków, panie Beilschmidt – odparł Lefevre bardzo cicho, niemal polubownie, ale Gilbert wyczuł tę kwaśną nutę fałszu, rozpoznał drgnięcie strun głosowych.

– Bo…? – Prusy nie zamierzał przestać; ciekaw był, jak mocno może tę strunę nacisnąć.

– Wie pan doskonale – Lefevre przełknął ślinę. – Jakie mam zdanie o pana podejściu do ich wykonywania.

– Nie widzę u siebie żadnych uchybień. Ty widzisz?

Kilkusekundowe milczenie; i tutaj powietrze było gęste i duszne, a przecież byli teraz blisko gór, z uchylonego, zakrytego moskitierą okna sączyć się powinien zimny, rześki, nocny powiew.

– Widzę – wycedził Lefevre przez zęby, a jego opanowanie zaczęło rozkruszać się pod wpływem ostrego spojrzenia Gilberta. Ha, co za cudowny spektakl, wiele dałby teraz za szklankę wermutu. – Widzę dużo, panie Beilschmidt… panie Prusy.

– Obejdzie się bez takich uprzejmości – Gilbert zaśmiał się ochryple, co wyraźnie wytrąciło Lefevre'a z równowagi. Odchylił się na krześle. – Kto ci powiedział, dyrektor?

Urzędnik przyglądał mu się w milczeniu, oblizując suche wargi nerwowo.

– Nie… Od pewnego czasu miałem… pewne podejrzenia, kim… czym są te osoby. I… i pan.

– Nieźle – Nogi krzesła opadły z hukiem. Lefevre aż się wzdrygnął. – To, co musisz wiedzieć, Lefevre… To jest tajemnica państwowa. W całym kraju o istnieniu naszego rodzaju wiedzą miłościwie nam panujący führer, zapewne parę jego zaufanych ludzi, dyrektor i ja. Teraz też ty. Jeśli komukolwiek puścisz parę z ust… Cóż, możesz się domyśleć, że Rzesza nie przyjmie tego z zadowoleniem.

– Więc nie zaprzeczasz – szepnął Lefevre. Dalej stał pośrodku pokoju, mląc w dłoniach krawędź nudnej jak flaki z olejem pidżamy i przełykał ślinę. Jak sarna w reflektorach nadjeżdżającego auta. – Zastanawiałem się… dlaczego ty… Skoro ty jesteś…

– Skoro ja jestem „Prusy", to gdzie jest „Niemcy"? – Gilbert uśmiechnął się złośliwie. – To jest jeszcze większa tajemnica. Bezpieczeństwo narodowe. Nie wtykaj w to nosa, wścibska szujo, bo sam ci go utnę. Za takie węszenie jest stryczek, niech cię nie zwodzi brak publicznych egzekucji. Zjednoczona Rzesza umie być dyskretna.

Lefevre wzdrygnął się i skinął niechętnie głową. Pewnie przez głowę teraz przelatują mu paragrafy umowy, którą musiał podpisać, by tu pracować, pomyślał Prusy z satysfakcją. Sporo tam było lojalek i przyrzeczeń.

– Dlatego – podniósł głos. – Nie życzę sobie żadnej samowolki, jak dzisiaj u Héderváry.

Stojący mężczyzna znów zacisnął szczęki; Gilbert obserwował go przez chwilę, gdy wodził rozbieganym wzrokiem po ścianach, poruszał wargami, jakby zastanawiał się, czy wypuścić spomiędzy nich słowa sprzeciwu…

– Laurinitis – wypluł w końcu Lefevre, a potem zbladł, jakby zdał sobie sprawę, że tego nazwiska nie powinien przywoływać.

Mam cię. Wlazłeś we wnyki, tępy koźle.

– Laurinaitis – poprawił go Prusy znudzonym tonem. – Co z nim?

Lefevre postąpił krok do przodu, jakby nagle wstąpiła w niego odwaga.

– Nie tylko on. Héderváry. Dopiero teraz zezwoliłeś na wchodzenie do jej mieszkania. I widziałem twoje wizytacje wcześniej – Wziął wdech. – Byłeś niedokładny, lekceważący, mający gdzieś zasady.

– Przyznaję, to jest nużąca robota, mogłem nieco ją zaniedbać – Gilbert machnął ręką. – Mój błąd, już poprawiony. Nie potrzebuję twoich kazań.

– Sam powiedziałeś, że to sprawa bezpieczeństwa narodowego.

– Wiem, co robię. Nie musisz się w to pakować.

– Nie? – zapytał bardzo, bardzo cicho Lefevre, ale w nocy jego głos był bardzo wyraźny. Zdławiony, nieco drżący, ale wyraźny. – Nie, kiedy pod nosem biura spoufalasz się z tą dwójką… odwiedzasz Laurinaitisa prywatnie – Przy nazwisku zwolnił, jakby upewniał się, że dobrze je wymawia. – I… i dobrze wiesz, że jest ktoś trzeci. Ktoś… kto powinien być martwy, kto… kto mieszka u Laurinaitisa i z nim… – Twarz Lefevre'a na moment znów zajęła się czerwienią. – Kombinujesz coś razem z nimi!

Gilbert spoglądał na Lefevre'a ponuro przez kilka sekund. Później odchylił głowę do tyłu i roześmiał się ostro; drugi mężczyzna ponownie się wzdrygnął.

– Ty tępy gryzipiórku – parsknął Prusy i wstał. – Ty idioto. Zamierzasz naprawdę mi to popsuć?

– Co…?

– Laurinaitis kombinuje od lat – wyjaśnił Gilbert, uśmiechając się od ucha do ucha. – I nie on jeden. A ja od lat próbuję go podejść.

Lefevre nie spodziewał się tej odpowiedzi; zesztywniał, otworzył szerzej oczy, a z jego ust wydobył się tylko dziwny dźwięk, mieszanka zaprzeczenia i pytania:

– N-nie… TY?

Prusy westchnął głośno, wywrócił oczami i pokręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć w głupotę rozmówcy.

– Wbrew temu, co ci się wydaje w tym twoim nędznym, ograniczonym móżdżku, Lefevre, ja wykonuję swoje obowiązki dokładnie tak, jak powinienem. Na rzecz Prus i Rzeszy.

– To całe spoufalanie się…

– Myślisz, że zaufają mi, jeśli po prostu się do nich uśmiechnę? – Gilbert spojrzał na Lefevre'a z niedowierzaniem. – Znają mnie od setek lat. Dosłownie, setek. I każde z nich ma setki powodów, by mi nie ufać, idioto. Muszę grać, muszę być przyjazny i iść im na rękę!

– Jeśli tak jest… – Lefevre przestąpił z nogi na nogę. – Dlaczego nie poszedłeś do wodza? Czemu oni już nie siedzą w więzieniu albo… nie wiszą?

– Wieszanie naszego rodzaju jest nieefektywne.

Pełne niedowierzania mrugnięcie; Gilbert westchnął po raz wtóry.

– Bo nie mam dowodów – powiedział powoli, jakby mówił do średnio rozgarniętego pięciolatka. – Myślisz, że wystarczy się do nich powdzięczyć, a już mnie włączą w to, co robią? Zajęło mi to LATA. Odkąd tylko Łukasiewicz wykitował albo i nie, jak się okazuje. Dopiero w te wakacje udało mi się dotrzeć do Laurinaitisa, przekonać go, że może mi zaufać. Dopiero teraz mam szansę dowiedzieć się, co jest grane. Gdybym nasłał na nich służby wcześniej, co by to dało? Nie wsypaliby nikogo, nasz rodzaj to twarde bestie. Jeśli to jest spisek, chcę rozedrzeć go u samego źródła.

Nie mrugał; spoglądał na Lefevre'a, świdrując go spojrzeniem, wbijając wzrok aż do samej duszy.

– Nie waż się wchodzić mi teraz w drogę – warknął. – Jeśli ich spłoszysz, jeśli cała moja robota pójdzie na marne… cholera, służby będą ostatnią rzeczą, którą będziesz się martwił.

Lefevre dopiero teraz usiadł; przysiadł na skraju łóżka, wyglądając na zbitego z tropu.

– T-to… ja myślałem…

– Nie myśl, nie jesteś w tym zbyt dobry – prychnął Prusy. Ani na moment nie stracił pewności siebie. – Daj mi działać, do cholery, i zajmij się tym, co do ciebie należy.

– Beilschmidt… Jeśli to prawda… – Lefevre uniósł oczy. – Chcę, żebyśmy spotkali się z führerem. Jako biuro. To sytuacja kryzysowa!

Kurwa. Skąd ta wesz ma tyle odwagi?

– Doskonale. Zadzwonisz przy śniadaniu, może Ferenc wciśnie nas na popołudnie, zaraz po spotkaniu z ministrem finansów.

– Nie żartuj.

– Nie ja zacząłem – Gilbert uniósł brew. – Führer ma na głowie pięćsetmilionowy kraj. Nie zamierzam zawracać mu dupy bez dowodów tylko po to, by usłyszeć, że mam je zdobyć.

Coś zamigotało w oczach urzędnika. Prusy zaklął w myślach; pochylił się i oparł łokcie o kolana. Kofeina dalej krążyła po jego ciele, serce biło szaleńczo. A może to była adrenalina, kto to wie.

– Siedź cicho, Lefevre, jeśli nie umiesz się w to bawić – szepnął. – I zostaw to mnie. Jeśli będę miał namacalny dowód, namiary, cokolwiek… wtedy Zjednoczona Rzesza Niemiecka wypuści psy.

A ja jakoś postaram się, by to ciebie rozszarpały jako pierwsze, gryzipiórku.

Ponieważ już wiem, że…

– Dobrze – Lefevre skinął głową, głos miał cichy, przygaszony, ale oczy jak żarzące się węgle; niby wygasłe, ale gotowe, by znów podpalić przytkniętą podpałkę. – Ufam, że wiesz, co robisz, Be… Prusy.

…nie działasz sam.

Teraz zaczyna robić się naprawdę ciekawie, pomyślał Gilbert, wracając do pokoju, przekręcając dwukrotnie klucz w zamku i spoglądając z ciekawością do hotelowego barku. Jedna samotna butelka taniego piwa; otworzył ją leżącym obok otwieraczem, upił łyka, skrzywił się i rzucił na łóżko, chcąc złapać jeszcze te kilka godzin snu, nim rano znów będzie musiał wsiąść do helikoptera.

To będzie burza stulecia.

Rozdział XXXI: Taubenblau

W przeciwieństwie do niego, słońce jeszcze się nie obudziło; świat krył się w gołębio-szarych cieniach świtu i gęstych chmurach kłębiących się ponad dachami.

W nocy musiało padać; widział schnące ślady na brudnych szybach i ponurego gołębia, przycupniętego na odrapanej z farby barierce na balkonie sąsiedniego budynku. Wilgotne pióra sterczały we wszystkie strony, a jego gruchanie było jedynym dźwiękiem z zewnątrz, jaki słyszał; świat zamilkł całkowicie.

Nie ma jeszcze piątej, mętna, senna myśl przemknęła mu przez głowę. Od piątej zaczyna się tu ruch, tak mówił Feliks. Dzwonią budziki za cienkimi ścianami, na ulicach rośnie szum opon...

Jest środa rano, stwierdził Litwa, wpatrując się w bezruch za oknem. Trzeci dzień z rzędu, w którym nie pojawię się w szkole…

Czy już się niepokoją? Kadry pewnie zaczynają się niecierpliwić, że nie dostały dokumentów o jego chorobowym. Dyrektor może nawet nie zauważył nieobecności. A Annika… Annika może już do niego zadzwoniła.

Jeśli tak, to dzwoniła jedynie do szuwar i błota; kto mógłby zawędrować w te dzikie zarośla nad Hawelą, by odebrać? Sezon wakacyjny się skończył; może pojawi się tam jakiś wędkarz spacerowicz… a może znajdzie go dopiero policja.

Albo nie znajdzie go nikt; może ten sprecher po prostu się tam rozładuje i w końcu ulegnie wilgoci i błotu, może porwie go rozlewająco się szeroko woda i rzuci gdzieś na dno…

Przymknął oczy i westchnął ciężko. Przepraszam, pomyślał, czując rozrywający ból w sercu. Jeśli dzwonisz, jeśli się martwisz... Przepraszam.

Miał nadzieję, że jeszcze nie; miała jechać jutro z Uschi, wzięła wolne na te parę dni, by pomóc dziewczynce zaaklimatyzować się w Königsbergu. Że Annika jest teraz zajęta, zbyt zaaferowana wyjazdem, by myśleć o nim i jego rzekomej chorobie…

Ale to tylko odwlecze nieuniknione, prawda? Zrobił jej właśnie ogromną krzywdę… jej i Uschi.

Na myśl o dziewczynce, o tym dziecku, które tak mu zaufało i któremu obiecał kontakt, obiecał, że będzie dzwonił, serce zabolało go jeszcze mocniej.

Musiałem, powiedział sobie. Spieprzyłem. Gilbertowi udało się odciągnąć Lefevre’a na kilka dni, ale nie mieliśmy żadnej pewności, że ktoś inny nie pojawi się w moim mieszkaniu.

Gdyby został w Berlinie, być może już byłby w celi. Albo i gorzej; Litwa wziął głęboki oddech.

Musiał zniknąć; szkoda, że w taki sposób, powtarzając mimowolnie ścieżkę Feliksa. Teraz tak wiele zależało od Gilberta; jak długo uda mu się grać, zwodzić biuro... i führera?

Środa, czwartek, piątek, odliczał. Jeszcze jest cicho, jeszcze jest spokojnie...

À propos spokoju; przekręcił się na bok, spojrzał na leżącą obok siebie drugą osobę i bezwiednie uniósł kącik ust w radosnym uśmiechu; część jego ponurych myśli odeszła, jakby miał przy sobie małe, gorące słońce ogrzewające duszę.

Włosy Feliksa, rozsypane na poduszce, faktycznie miały w sobie coś ze słońca; Litwa nie mógł powstrzymać się, by ich nie dotknąć i nie owinąć jednego złocistego kosmyku wokół swojego palca; Polska mruknął coś przed sen i przysunął się bliżej Taurysa, jakby wyczuwając jego obecność.

Ciągle spał, a jego głęboki, równy oddech był muzyką.

Taurys wsłuchiwał się w nią, patrząc w spokojną twarz; jasne, długie rzęsy, opuszczone powieki, uchylone usta… Przesunął wzrok niżej; jabłko Adama, którym częstował się wieczorem jak wygłodniały, ukochane obojczyki, kilka kropeczek jasnych piegów to tu, to tam.

Smukłe nagie ramiona z ciemniejącą maleńką malinką, którą Litwa musiał wpółświadomie tam zostawić podczas ich namiętności; płaski brzuch, który całował centymetr po centymetrze...

Zeus uwiódł Ledę pod postacią łabędzia? Širdelė, nie musiałeś w nic się przemieniać, by uwieść mnie…

Poczuł gorąco na policzkach, a na jego wargi wystąpił głupkowaty uśmiech; wszystko było dobrze. Co prawda, Taurys chciałby, by to wszystko mogło potrwać chwilę dłużej – tyle lat nie czuł intymnego dotyku, zdecydowanie potrzebował praktyki – ale… ale było w porządku. Wszystko było z nim w porządku.

Litwa przymknął oczy i odetchnął; jeden kamień z duszy mniej.

Wiedziałem, że Feliks… no właśnie. Powinienem już nauczyć się, że nie mogę ufać własnym myślom, gdy jestem sam, zdenerwowany albo zmęczony...

Feliks przyjął go w swoje ramiona ze wszystkimi jego problemami; cudownie było czuć się tak… zaakceptowanym. A świadomość, że Feliks poczuł się o niego zazdrosny, gdy opowiedział tą bolesną historię z Mildą była dziwnie… przyjemna. Polsce naprawdę na nim zależało.

Nie musisz, pomyślał Taurys ciepło. Zawsze, przez te wszystkie lata byłeś tutaj, w kącie mojej głowy. Ona była błędem, nie…

Urwał własne myśli, westchnął i pokręcił głową. Jedyną dobrą rzeczą, pomyślał po chwili, przysuwając się bliżej ukochanego, jaka wydarzyła się później, było to, że Milda milczała. Nie miała się czym pochwalić, ale przynajmniej… nie była na tyle okrutna, by obwieścić światu, że Litwa jest pieprzonym impotentem.

To było brzydkie, paskudne słowo, bardzo gorzkie na języku; wzdrygnął się. Nie, pomyślał ostro. Byłem wtedy pijany, potwornie zmęczony, to dlatego. Zestresowany, ledwie zaleczony po tym wszystkim… I nigdy jej nie kochałem; chciałem tylko, by dała mi spokój… Nie… nie jestem maszyną.

Mimo wszystko ciężko było mu nie wspominać tego fiaska; gdy już udało mi się z siebie cokolwiek wykrzesać, przypomniał sobie, żałosne iskry, płomień płonął ledwie chwilę; nie zdołała się nim ogrzać.

Ale wczoraj…

Sięgnął do Feliksa, objął ramionami i schował twarz w ramieniu, oddychając głęboko jego zapachem. Kocham cię, Feliksai. Tak bardzo cię kocham… Mano, mano, mano... Przy tobie... znowu czuję się żywy. Żywszy, zdrowszy, sprawniejszy.

I może... może mam więcej czasu, niż sądziłem.

Feliks mruknął coś sennie; Litwa westchnął. Chciałby, by czas chociaż na parę godzin przestał płynąć. Chwile, w których liczyli się tylko oni dwaj, skradzione z przestworu czasu; chwile, w których czarne myśli przestały go nawiedzać, przegnane pragnieniami, które domagały się ugaszenia; to słodkie, smakujące mleczną kawą zapomnienie, pachnące jabłkiem…i domem.

Mieszkał w życiu w wielu miejscach, od skromnych drewnianych chat po piękne, pełne przepychu zamki i eleganckie rezydencje; sypiał pod futrami, pod pierzynami albo wystrzępionym kocem. Czasem sam, czasem dzielił pokój albo łóżko, ale…

…ale gdzie był dom? Nie lubił zadawać sobie tego pytania; zbyt dużo razy mu go odebrano, ale może to nie o miejsce chodziło?

Może dom jest tam, gdzie… gdzie czuł w sercu ten ciepły ogień, który nie parzył, a przyjemnie ogrzewał. Tak jak ogrzewała go obecność Feliksa przy swoim sercu, jego oddech, łaskoczący skórę, stopy muskające jego własne, dłoń, która owinęła się wokół jego pokaleczonego ciała tak, jak miłość Polski utuliła jego okaleczoną duszę.

Tutaj, w tym hotelu. Na razie, jeśli pójdą gdzieś indziej, dom pójdzie razem z nimi.

Uspokojony tą myślą, Litwa rzucił spojrzenie nakręcanemu budzikowi, niewielkiemu zegarkowi w obudowie z taniego plastiku stojącemu na szafce nocnej, i spoglądał nań kolejne minuty.

Sekundnik płynął bezszelestnie, minuta mijała za minutą, a co jakiś czas mógł dostrzec minimalne drgnięcia wskazówki godzinowej; czas się nie zatrzymywał.

Czwarta czterdzieści pięć, pięćdziesiąt pięć, piąta, pierwszy budzik w sąsiednim pokoju. Ściany były tak cienkie; miał cichą nadzieję, że jeśli inni goście ich słyszeli, obejdzie się bez dziwnych spojrzeń we wspólnej kuchni.

Chociaż, oni też słyszeli w nocy jakąś inną parkę; Polska zachichotał nerwowo, a potem przycisnął poduszkę do głowy, mrucząc coś o braku prywatności; niepisane zasady cienkich ścian, wymamrotał wtedy Litwa, niezręczność i milczenie…

Piąta pięć, stłumione dźwięki dochodzące z innych pokojów. Piąta dziesięć, ktoś szedł przez korytarz, klap-klap-klap prysznicowego obuwia… Wpół do szóstej, w kuchni gotowała się woda i żołądek Taurysa ścisnął się odruchowo, chociaż był zbyt daleko, by zapach kawy mógł do niego dotrzeć.

O tej porze piłby ją w Berlinie, stojąc w kuchni i patrząc przez okienko na ulicę, podczas gdy Berta wysokim miauczeniem domagałaby się posiłku. Oby dobrze ją traktował, pomyślał z niepokojem.

To drugi raz, gdy zostaje u Ludwiga, ale tym razem nie wiem, kiedy... czy wrócę. Nie chciałbym, by coś się jej stało. Uratowała mnie teraz, próbowała bronić mieszkania przez

Lefevre'm... Uratowała mnie, po prostu będąc, gdy byłem całkiem sam. Gdyby jej nie było, zwariowałbym z samotności, zwłaszcza podczas poprzednich wakacji...

Za pięć szósta; budzik zaterkotał głośno, a Polska w taurysowych ramionach wydał z siebie przeciągły jęk.

– ...oesu... już... wyłącz to cholerstwo, proszę...

Taurys wyciągnął dłoń i wyłączył budzik; Feliks odetchnął z ulgą.

– Już szósta...? – wymamrotał, nie unosząc oczu. – Kurwa. Nie chce... nie chce mi się... Jak... Jak długo nie śpisz?

– Niecałe dwie godziny – przyznał Taurys, również niechętny, by opuścić te dwa łóżka złączone w jedno; nie było zbyt wygodnie, szczelina była wyczuwalna, ale obecność Polski wszystko rekompensowała.

Feliks przeciągnął się, wyciągnął ramiona i oplótł dłonie wokół szyi Litwy. Ten pochylił się nad kochankiem. Ich czoła się zetknęły; z tak bliska Taurys widział każdą z jasnych jak len rzęs. Nie mógł powstrzymać się, by nie ucałować policzka, a później ust, nieśpiesznie badając każdy ich fragment; Polska zachichotał w odpowiedzi.

– Jeśli to oznacza, że będziesz mnie codziennie wybudzał w taki sposób...

– Tak, to jedna z nielicznych zalet mojej bezsenności – mruknął Taurys rozbawiony. – Masz jeszcze jakieś życzenia?

Oczy Feliksa zabłysły w ten szczególnie diabelski sposób.

– Mam masę życzeń z tobą w roli głównej – wymruczał Feliks, a rumieniec na jego policzkach jasno wskazywał, do jakiego rodzaju przynależą te życzenia. – O świcie i o zmroku... w południe...

– Nie wiem, czy twoja kierowniczka byłaby zadowolona, że opuszczasz pracę – Litwa uśmiechnął się półgębkiem, mile połechtany. W porządku. Wszystko jest między nami w porządku. Wszystko jest ze mną w porządku.

– Przecież mam prawo do przerwy! – naburmuszył się Polska; gdy Taurys cicho się zaśmiał, Feliks westchnął i spojrzał na milczący budzik. – Pojedziesz dzisiaj...? – zapytał ciszej.

Litwa skinął głową.

– Tak jak się umawialiśmy – szepnął. – Mamy na niego namiary, ale najlepiej zlokalizować Lehre'a osobiście.

– Uważaj na siebie – mruknął Feliks, gładząc Taurysa po policzku; jego palce prześlizgnęły się w kierunku szyi, ucha, potem wplotły we włosy i lekko pociągnęły za pojedynczy kosmyk, całkowicie bezboleśnie. – I... rozglądaj się na mieście. Szukamy gołębia i słońca, grażdanki, haseł...

– Wiem – Taurys uśmiechnął się blado. – Chyba... chyba będę musiał odrdzewić mój rosyjski.

Polska spoważniał; jego spojrzenie zmiękło, a palce znieruchomiały.

– Tauri...

– W porządku – westchnął Litwa. – Ja... cóż, najlepiej pamiętam przekleństwa. Mat tylko mi pomoże. Zresztą... nikt nie będzie oczekiwał ode mnie płynności. Kojarzenie

tylko niektórych słów, na wpół zapomniane zwyczaje, dziedzictwo dziadków... to się wpasowuje w profil zainteresowanego sprawą młodego człowieka, prawda?

– Widzę, że twój Meelis ma już gotową historię rodzinną – Feliks uniósł brew.

– W końcu na coś te nieprzespane noce się przydały.

Feliks zaśmiał się cicho.

– Lubię cię takiego – szepnął z uczuciem, znów błądząc palcami po karku Taurysa i nieco się unosząc. Ich twarze były już znacznie bliżej, ogrzane wzajemnie oddechem. – Pewniejszego siebie... skłonnego do działania...

– Czy to sugestia...? – Litwa uśmiechnął się kącikiem ust, zaintrygowany sposobem, w jaki Feliks przycisnął doń ciepłe, miękkie, chętne ciało. Wszelkie inne myśli umknęły w niebyt.

Nie było nic do ukrycia; obaj byli kompletnie nadzy, ich ubrania zbiły się w kulisty chaos gdzieś w nogach łóżka, częściowo zaplątane w kołdrę. Wieczorem żaden nie kłopotał się składaniem garderoby w staranną kostkę; teraz też niewiele ich obchodziły.

Brać i być branym; dawać i być obdarowanym. Krew znów płynęła żwawiej, płonęła przyjemnie pod skórą. Litwa miał wrażenie, jakby spędził lata leżąc w zaspie po tym, jak rzucono go w śnieg stulecia temu; a teraz dotykające go dłonie zostawiały plamy czystego ciepła na jego duszy, topiąc to potworne zimno, które objęło ją w posiadanie.

– Propozycja – poprawił go Polska z błogim uśmiechem na ustach i radosnymi iskierkami w oczach.

W takiej sytuacji Litwie nie pozostało nic innego, jak tylko ją przyjąć; dość powiedzieć, że tego poranka Feliks spóźnił się do pracy o jakiś kwadrans.

***

Silnik skutera śmiesznie terkotał; Taurys ostrożnie zjechał z głównej alei w boczną uliczkę, ciągle próbując wyczuć maszynę. Schnelligkeit, wbrew swojej nazwie, osiągał maksymalnie połowę prędkości jego starego volkswagena, ale i tak Litwa doceniał dokonaną przez Feliksa transakcję; w ten sposób o wiele łatwiej było poruszać się po Kursku.

Wjechał na szeroki chodnik, zaparkował przy linii żywopłotu oddzielającej go od jezdni, lekkim kopnięciem wyprostował stopkę, zdjął z głowy kask i rozejrzał się dookoła, zastanawiając się, czy komuś będzie tu przeszkadzać.

Po tej stronie Alei Zwycięstwa rozsiadało się spore osiedle cztero- i pięciopiętrowych budynków, pomiędzy którymi rosły drzewa; połacie liści pokrywały już żwirowe alejki i trawniki. Na fasadach najbliższych budynków ciągnęły się małe sklepiki i punkty usługowe, ale ze względu na wczesną porę ruch był niewielki. Im dalej w osiedle, tym ludzi było jeszcze mniej; w zasięgu wzroku Taurys dostrzegł jedną matkę z wózkiem i kilka staruszek na ławkach.

Przeniósł wzrok na drugą stronę szerokiej, czteropasmowej alei przecinającej miasto. Tam, za chodnikiem i przystankiem autobusowym, ciągnął się wysoki na trzy metry płot; znajome zawijasy drutu kolczastego ukłuły go w oczy.

Tutejsza jednostka wojskowa, gdzie wciąż stacjonowało Kommando Spezialkräfte; Rudolf Lehr powinien tu być. Potrzebowali informacji, gdzie dokładnie mieszka, bo na wchodzenie na teren wojskowy Litwa wcale nie miał ochoty.

Odwrócił wzrok, nie chcąc zostać przyłapany na gapieniu się. Zdjął torbę z bagażnika skutera i ruszył chodnikiem, ukradkiem szukając bramy w płocie jednostki. Znalazł ją jakieś sto pięćdziesiąt, dwieście metrów przed sobą.

Kilkadziesiąt metrów wcześniej, po tej stronie alei, na wietrze poruszał się szyld kawiarenki. Dokładnie tak, jak opisał to Feliks; jeśli zajmie dobre miejsce, powinien być w stanie dostrzec, kto wychodzi lub wyjeżdża z jednostki.

Mijał pasmanterię, gdy jej drzwi otworzyły się gwałtownie do środka; o mało co nie wpadł na kobietę z dzieckiem na ręku, która wypadła ze środka szybkim krokiem. Odruchowo przeprosił.

– Nic się nie stało – wycedziła, mierząc go bezczelnie oceniającym spojrzeniem, nim odeszła. – Zdarza się, proszę pana.

Wytrącony z równowagi, Litwa mimowolnie zerknął w szybę, szukając swojego odbicia. Ze szkła spojrzał nań o wiele młodszy człowiek, z włosami spiętymi z tyłu w płaski kok, przylegający niemal płasko do głowy, w obszernej, grubej białej bluzie o podwiniętych rękawach i beżowych spodniach.

Obiecał unikać czerni, ale tak gwałtowny przeskok do jasnych barw sprawiał, że czuł się nieswojo. Niekomfortowe były również te sportowe buty, też jasne i na dodatek nieco za ciasne, ale nie chciał narzekać; Feliks i tak trafił z większością rozmiarów.

Tak nie ja, pomyślał, obracając się przez ramię i patrząc na zaparkowany skuter; nie pamiętał, czy kiedykolwiek wcześniej prowadził jednoślad…

Nagle wróciło do niego wspomnienie; garaż, kilku mężczyzn w garniturach, ktoś z litewskiego rządu i jakiś niemiecki przedsiębiorca, prezentacja modeli. Chyba planowali jakąś transakcję, może zamówienie dla armii albo dyplomatów?

Litwa pamiętał tylko, że przechadzał się po garażu, słuchając rozmów jednym uchem i posyłając pojazdom spojrzenia pełne umiarkowanego zainteresowania. Nigdy nie był fanem motoryzacji, ale umiał docenić technikę, a te sprzęty prezentowały się porządnie.

Prusy też tam był; niewyobrażalnie podekscytowany, zalewał Litwę wszystkimi detalami technicznymi, jakby na moment całkowicie zapominając, kim i gdzie są, jak wiele ich dzieli i jak wiele Taurys ma do niego żali. Prawdopodobnie jeden z ostatnich momentów przed najazdem, Preludium i wojną.

Jedna z tych chwil, pomyślał melancholijnie, ruszając z miejsca i zmierzając do kawiarni, gdy jeden z naszego rodzaju… przez parę minut może być po prostu człowiekiem…

Wszedł do środka; lokal nie robił dużego wrażenia. Na płytkach stały proste stoliki z plastikowymi krzesłami, pomalowane olejną farbą ściany były niemalże gołe, jeśli nie liczyć dwóch maleńkich obrazków, a w szklanej witrynie obok lady leżały zaledwie dwa kawałki ciasta i jakieś cukierki.

Był jedynym klientem; gdy rzucił ciche „Guten Morgen” w przestrzeń, zza drzwi prowadzących na zaplecze wyłoniła się kobieta po siedemdziesiątce. Zamówił kawę – pierwszą tego dnia – i zajął miejsce przy małym, okrągłym stoliku tuż obok okna.

Ciszę przerywały jedynie dźwięki ekspresu; Litwa wyciągnął z torby notatnik w pięciolinie i długopis.

– Pan muzyk? – zagadnęła kobieta kilka minut później, stawiając przy nim filiżankę i talerzyk z ciastem. – Gratis od firmy – dodała, gdy uniósł głowę i spojrzał na nią ze zdumieniem. – Zamykam kawiarnię w tym miesiącu... Na wszystko przychodzi czas, tak to mówią... Proszę.

Taurys podziękował jej szczerze, zjadł odrobinę sernika – wiedeński; ulubione ciasto Anniki, kolejny ostry wyrzut sumienia – i wrócił do pracy. A miał nad czym pracować; kreślił nuty, które wcale nutami nie były, intensywnie myśląc.

Dzisiejszego ranka, zaraz po tym, gdy Polska odebrał skuter od poprzedniego właściciela i pieniądze przeszły z ręki do ręki, Taurys usłyszał dźwięk przychodzącego połączenia. Kod Morse'a zapisał pośpiesznie na chusteczce, w którą teraz się wpatrywał, rozkodowując skróty i uproszczenia.

Ludzie Cerdy, hiszpańskiego premiera, złapali haczyk i poszli za Antoniem na południe, komunikował Gris. Kręcą się po wybrzeżu, wypytują załogi promów. Są też blisko Gibraltaru, dodawał Arthur od siebie. Nie wejdą bez pozwolenia korony, ale ona pójdzie pewnie na rękę Cerdzie, do mnie ostatnimi czasy też nie żywią ciepłych uczuć. Próbować ich zatrzymać?

Litwa wziął długopis do ręki; klucz wiolinowy zamiast początku nadawania, by skrócić zapis. Nuta – długi, półnuta – krótki...

Niech ich wpuszczą, niech tracą czas. A. w bezpiecznym miejscu. Problem, biuro wie za dużo. Musiałem zniknąć. Jestem z F.

Spojrzał krytycznie na pięciolinię pełną przekreśleń i westchnął; trzeba to nadać, pomyślał, unosząc oczy. Brama od godziny nie poruszyła się ani na centymetr. Za płotem od czasu do czasu poruszał się znudzony żołnierz, słabo widoczny przez drobną siatkę płotu.

Przekręcił strony, aż znalazł czystą kartkę. To pójdzie do Erzsébet.

1. *ma zapasy dla A. Dostarcz. Uważaj na siebie i bądź w gotowości*, zapisał, pośpiesznie kreśląc nuty. Trzeba będzie się ich dzisiaj pozbyć; najlepiej zaraz. Dobrze, że był w mieście, wystarczyło dyskretnie je podrzeć i rozproszyć po koszach na śmieci w całym Kursku.

Trochę zazdrościł Gilbertowi; Prusy umiał natychmiast nadawać Morse’m wszystko, co tylko ślina przynosiła mu na język, bez zastanowienia, w jakiś przedziwny sposób zawsze ujmując komunikat tak zwięźle, jak to było możliwe. On i Feliks potrzebowali chwili zastanowienia, by nadać wiadomość w eter, potrzebowali tych zapisków... Dłoń Litwy powędrowała do kieszeni bluzy i bez większego zaskoczenia odnalazł tam zapalniczkę; Feliks się o wszystko zatroszczył. Może spalić notatki za jakimś garażem…

Obrócił zapalniczkę w palcach, śledząc wzrokiem przelewający się za półprzeźroczystym plastikiem gaz. Butan, jeśli dobrze pamiętał, a ten ziemny to głównie metan. Gaz, wszystko, cała ta rzecz, dla tego ziemnego gazu, dla tych złóż w nadbałtyckim pasie, tam, gdzie kiedyś był jego kraj... Jego, Edwarda, Raivisa...

– Prosiłabym, żeby pan nie palił w środku – Właścicielka tego przybytku pojawiła się niemalże bezszelestnie; Litwa mimowolnie opuścił wzrok na jej miękkie kapcie, a potem uśmiechnął się zakłopotany.

– Nie... nie zamierzam – Zmieszany schował zapalniczkę z powrotem. – Przepraszam. Jeszcze raz dziękuję za ciasto.

Kobieta spojrzała na niego łagodniej, a potem zaproponowała mu dolewkę kawy, bo filiżanka była pusta; Litwa pił ją mechanicznie podczas pracy, ledwie rejestrując smak. Próbował odmówić, ale właścicielka – i, jak się okazało, jednocześnie jedyna pracownica tego miejsca – nalegała, aż nie miał innego wyjścia, jak się zgodzić. Przedstawiła się jako Roza; ani się obejrzał, a dosiadła się doń i wciągnęła go w rozmowę, najwidoczniej spragniona towarzystwa.

Po kilku zdaniach, podczas których mętnie wyjaśnił, co tu robi – Meelis, szuka pracy, a te nuty? Małe hobby – jego rola zredukowała się samoistnie do przytakiwań; Roza, znalazłszy chętnego słuchacza, zaczęła opowiadać swoje historie.

– O, ale dość o problemach starej baby – zreflektowała się po kwadransie, gdy Taurys zaczął gubić się w gąszczu imion i wzajemnych powiązań rodzinno-sąsiedzkich. – Pan wspominał, że szuka pracy?

W tej chwili Litwa kątem oka dostrzegł ruch przy bramie, a jego spojrzenie automatycznie pobiegło za szybę; ktoś wjeżdżał pomalowanym w moro samochodem do środka. Roza zinterpretowała ten ruch zupełnie inaczej:

– Niech pan się poważnie zastanowi, jeśli pan myśli o wojsku – ściszyła głos i pochyliła się bliżej. Taurys zamrugał, ale powstrzymał się od wyprowadzenia jej z błędu. – Wiem, wikt i opierunek, pewna rzecz, a o stabilną pracę ciężko, wojsko zawsze kusi, gdy nie ma się pieniędzy... Ale myślę, że nie warto. Nie teraz.

Tu była jego szansa; ujrzał ją w zatroskanym spojrzeniu.

– Dlaczego? – zapytał zupełnie szczerze. – Panuje pokój.

– Na razie – szepnęła, nagle dziwnie strwożona. – Ale kto wie, co będzie za parę lat. Szkoda tracić życia, taki pan młody...

Przebiegł go dziwaczny dreszcz; wziął kolejny łyk kawy, obiecując sobie, że to ostatnia tego dnia. Potem znów będzie nerwowy, nie będzie mógł zasnąć…

– Myśli pani, że coś...? – Szarpnął lekko głową, wskazując na teren wojskowy, starając się okazać swoje strapienie, jednocześnie pozwalając niewypowiedzianemu pytaniu zawisnąć między nimi. Tutejsi zawsze wiedzieli najwięcej…

– Słyszał pan, nie? – Roza ściszyła głos. – W radiu i w telewizji. Niedawno o nas tu mówili – Litwa pokiwał głową. – Parę lat temu było tu... och, straszne rzeczy się tu działy. Tylu młodych żołnierzy poginęło, tak tragicznie. Komando dalej u nas stacjonuje, podobno

kolejnego chłopaka zgarnęli na granicy z bronią. Nie, nie – Pokręciła głową, spłoszona i wystraszona samą myślą. – Kto wie, co się jeszcze może zdarzyć.

Litwa rozmawiał z nią jeszcze długo, ale nie dowiedział się nic konkretnego; Roza popłynęła rozmową na bezpieczne wody sąsiedztwa i biznesu, który musiała zamknąć po niemalże trzydziestu latach, bo koszty prowadzenia kawiarni dawno już przekroczyły zyski.

– Tutaj, na wschodzie, nie ma lekko. Było lepiej, ale po tym całym zamachu kilka firm się wystraszyło, wie pan, takich dużych pracodawców, no i młodzi zostali na lodzie. A jak nie ma pracy, to się nie przychodzi na ciastko...

...i pakuje się w podejrzane towarzystwo, z czystej desperacji, dopowiedział Taurys w myślach.

Spróbował inaczej; powtórzył jej imię, przypominając sobie poprawny akcent i brzmienie, a o ona wyglądała na mile zaskoczoną, gdy skłamał, że tak miała na imię jego babcia. Coś przemknęło w jej oczach, ale szansa zniknęła, gdy w kawiarni pojawił się inny klient. Roza podźwignęła się z trudem od stolika, a Litwa został sam.

Już do niego nie wróciła, więc poczekał jeszcze chwilę, obserwując przez szybę bramę, a gdy dostrzegł zmierzającego doń człowieka, spokojnie spakował swoje notatki i wstał.

Przystając przy kasie, wyciągnął z kieszeni portfel, by zostawić suty napiwek, gdy jego uwagę zwróciła witryna. Tam, za zaokrąglonym szkłem, nie było już żadnego kawałka ciasta, ale na małej podstawce wciąż leżała garść cukierków.

Wyglądały jak twarde, pasiaste landrynki, ale wyróżniał je nieregularny kształt; wyglądały jak małe, pokraczne ptaszki, a gdy Taurys przyjrzał im się uważniej, dostrzegł w sklejonych ze sobą szponach małą kulkę.

– O, te nie są na sprzedaż, strasznie niesmaczne – wyjaśniła Roza przepraszającym tonem. – Ale chłopcy z fabryki mi je przynieśli, ich pierwsza robota! Nie chciałam im robić przykrości.

– Z fabryki – powtórzył Litwa; a więc Feliks miał nosa. – Rozumiem. – Zerknął w okno, wcisnął marki w otwór słoiczka na napiwki i pokiwał Rozie głową na pożegnanie. – Do widzenia pani!

Z myślą, że będzie musiał tu wrócić, wyszedł, żegnany miłym uśmiechem Rozy. Gdy znalazł się na chodniku, człowiek w generalskim mundurze akurat przechodził przez najbliższe pasy.

Litwa zwolnił kroku, ale niepotrzebnie; dzieliło ich dobre kilkadziesiąt metrów, a mężczyzna – Rudolf Lehr, wysoki, barczysty mężczyzna o daleko sięgających zakolach, dokładnie takich, jak opisał je Gilbert – nie rozglądał się dookoła, pogrążony we własnych myślach.

Najdyskretniej jak mógł, Taurys ruszył chodnikiem, wbijając dłonie w kieszenie. Jego wzrok błądził bez celu po okolicy, od czasu do czasu ogniskując się na generale. Ten ruszył w głąb osiedla, wzdłuż jednego z budynków; Litwa również skręcił i zaczął iść wzdłuż drugiego, równoległego bloku, pilnując dzielącej ich odległości. Lekkim ruchem zarzucił

kaptur bluzy na głowę, gdy przez przesiekę między budynkami puścił się chłodniejszy powiew.

Lehr szedł spokojnym krokiem, nie podejrzewając, że ma ogon, ale i tak Litwa zdał sobie sprawę, że jego serce bije jak oszalałe; w spokojnej ciszy osiedla miał wrażenie, że hałas jest ogłuszający.

Za długo, pomyślał, za długo nie brałem udziału w żadnej akcji. Muszę opanować nerwy...

Lehr wszedł do czwartej klatki; mijając ją z odległości, Litwa uchwycił kątem oka generała szperającego w kieszeniach w poszukiwania kluczy; nie zwolnił kroku.

Czteropiętrowy budynek, sądząc po ilości okien, prawdopodobnie po dwa mieszkania na piętro, liczył w myślach, odnajdując wzrokiem wysoką, strzelistą wieżę niewielkiej cerkwi w głębi osiedla i to ją obierając za cel. Osiem mieszkań na klatkę, klatka czwarta... Zakres od dwudziestu pięciu do trzydziestu dwóch, jeśli dobrze oszacował...

Opadł na ławce przed świątynią, obserwując zamknięte na głucho drzwi, powtarzając w myślach numer zapisany na wizytówce, którą swego czasu załatwił im Prusy. Lepiej przydybać go osobiście, mówił Feliks, gdy omawiali swoje następne kroki. Widziałem go raz, ale nie udało mi się go śledzić, pojechał gdzieś autem. Prawdopodobnie wynajmuje mieszkanie niedaleko jednostki, w końcu nie stacjonują tu na stałe. Jeśli uda nam się zdobyć adres...

Taurys obrócił się bokiem na ławce, dyskretnie obserwując pas zieleni między dwoma budynkami. Zbliżała się już druga po południu, w okolicy zaczęły pojawiać się dzieci wracające ze szkół. Na powrót z pracy było jednak trochę za wcześnie, zwłaszcza dla generała; prawdopodobnie, rozmyślał Litwa, skorzystał z tego, że mieszka blisko, może wstąpił jedynie na chwilę... po dokumenty albo zjeść obiad.

Skulił ramiona i schował dłonie w kieszeniach bluzy, czując jak ostre powietrze uderza bezlitośnie w jego płuca; tutaj, w Kursku, zimy przychodziły wcześnie, dzisiaj temperatura musiała spaść do dziesięciu stopni. Po godzinie był całkowicie zmarznięty; zmierzający do cerkwi pop posłał mu długie, zastanawiające spojrzenie, zajrzał pod kaptur, ale nie powiedział ani słowa.

Gdy Taurys zaczął rozważać wycofanie się do hotelu, Lehr w końcu wyłonił się z klatki i ruszył z powrotem w kierunku jednostki wojskowej. Litwa ledwie na niego spojrzał; poczekał jeszcze kwadrans i dopiero wtedy nieśpiesznie podniósł się na zdrętwiałe nogi.

Tym razem skierował się wzdłuż docelowego bloku i po prostu wsunął się do klatki numer cztery. A dokładniej, przystanął przy drzwiach i przebiegł wzrokiem po nazwiskach na domofonie, mając nadzieję, że Lehr mieszka tutaj wystarczająco długo, by spółdzielnia domagała się odpowiedniego wpisu.

Borck, numer dwadzieścia pięć, Pisarenko, dwadzieścia osiem, Jaczniakowski, trzydzieści... Jest. Lehr, ostatnie mieszkanie w klatce, na czwartym piętrze; w przeciwieństwie do pozostałych lokatorów, papier z jego nazwiskiem był nowszy, bielszy i zapisany jaśniejszym długopisem.

Litwa cofnął się i ruszył chodnikiem, notując adres w głowie, mając nadzieję, że nie zwrócił na siebie zbyt dużej uwagi. Zerknął na zegarek i skierował się w stronę skutera zaparkowanego przy głównej ulicy. Feliks niedługo powinien wrócić z fabryki; ciekawe, czy czegoś się dowiedział...

Wsiadając na skuter i zakładając kask, obejrzał się nerwowo za siebie, ale świat wydawał się niczego nie zauważyć; niebo zasnuło się szarością, po chodniku szwendały się miejskie gołębie.

Już miał odpalić skuter i włączyć się powoli do ruchu, gdy dobiegł go dźwięk przychodzącego połączenia. Z sercem, które nagle uderzyło o żebra jak taran, wyszarpnął sprecher z kieszeni spodni i odetchnął z ulgą na widok numeru Gilberta.

Środa. Jest w Gdańsku, wizytuje Belgię, załatwia swoje sprawy albo jest w parlamencie, skoro dzwoni, musiał pozbyć się Lefevre'a...

– Słucham – powiedział cicho, przyciskając sprecher do ucha.

– Mogę mówić? – szepnął Gilbert.

Głos miał spokojny; Litwa odetchnął, rozluźniając mimowolnie spięte ramiona, i rozejrzał się dookoła, ale w najbliższej okolicy nie było nikogo. Oparł się o skuter i przytaknął.

– Chujek ma plecy. Zajebiście duże, jeśli wiesz, co mam na myśli, Lit.

Litwa przymknął oczy; po jego plecach przebiegł zimny dreszcz, ale nie był pewny, czy to nerwy, czy chłód.

– Masz dowód? – zapytał spokojnie. To nie była dobra wiadomość, ale brali ją pod uwagę, gdy rozmawiał z Feliksem o ich obecnej sytuacji.

– Nie – odparł Prusy niechętnie. – Na razie nie.

Taurys obejrzał się przez ramię, spoglądając na drugą stronę ulicy, w kierunku terenu wojskowego.

– Pluskwa...? – podsunął.

– To jedno – westchnął Gilbert. Gdzieś w tle Taurys usłyszał stłumiony odgłos spłukiwanej wody. – A, siedzę w parlamenckim kiblu. Ta wesz poszła coś zjeść z Dumitreschem – wyjaśnił Prusy szeptem. – Taaa, pluskwa. Nie zastanowiło cię, skąd sobie ją wziął? Demobile są nielegalne od afery z dziewięćdziesiątego trzeciego.

Taurys nie miał pojęcia, co stało się w dziewięćdziesiątym trzecim; nie był nawet świadomy, że wcześniej istniały sklepy z wycofanym sprzętem wojskowym... Prawdopodobnie jakieś lokalne, małe sklepiki, działające półlegalnie, wytłumaczył sobie mimochodem.

– Może to dyrektor mu załatwił...? – zasugerował, chociaż bez większych nadziei.

– Dyrektor w tym momencie myśli o tym, jak pojechać na trzeci urlop w roku – prychnął Gilbert z mieszaniną rozbawienia i złości. Dalej nam nie wybaczył tego urlopu w Wenecji, uzmysłowił sobie Litwa. – Pamiętaj, że przez ostatnich naście lat chodziłem z rzekomo psującym się dyktafonem, bo napisanie pisma to dla niego za dużo zachodu.

– A teraz masz nowy – mruknął Litwa, ściszając głos, bo właśnie mijała go grupa dzieciaków, na oko trzynastolatków. Mogliby być jego uczniami; kolejne lodowate ostrze w serce.

– Mam nowy, z jakiegoś powodu Ferenc mnie upomina i interesuje się biurem, a ty masz klejącą niespodziankę pod stołem – podsumował Prusy, niemalże warcząc. – Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale führer ma spotkania umówione na rok do przodu. Każdy z ministrów, nieważne czy niemieckich, czy pruskich, przynajmniej raz na miesiąc jęczy, jak to ciężko dostać chociażby obietnicę zastanowienia się nad wpisaniem go do kalendarza. Dyrektorka też to dotyczy, jedną z niepisanych zasad, jakie mieliśmy jako biuro, było to, żeby nie zawracać führerowi dupy. Jak Polen rzekomo zdechł, to Ferenc znalazł kwadrans na rozmowę o nowych procedurach jakiś miesiąc po pogrzebie.

Litwa wzdrygnął się; ciekawe, czy... nie znajdą ciała, ale jeśli to się nie wyda, ciekawe, czy będą nalegać na chociażby symboliczny pochówek... Kolejne lodowate dreszcze; skulił ramiona i zmusił się do odpowiedzi.

– A Lefevre...? Mówisz to, bo...?

– Bo nie mogę dłużej grać głupiego – Głos Gilberta zabrzmiał irytacją; Litwa zaklął w myślach. – Opcja B, Lit. Ściemniłem tej zawszonej wszy z kijem w zawszonej dupie, że próbuję cię rozpracować. A ten zażądał z miejsca spotkania z Ferencem. Gdyby działał sam ze swoich własnych świętojebliwych pobudek, nie śmiałby nawet o tym pomyśleć. A biorąc pod uwagę, że nie jest w stanie przejść przez tory na nielegalu – Gilbert parsknął chłodnym śmiechem. – W wolnej chwili wam opowiem... To musiał mieć błogosławieństwo kogoś wysoko, by się do ciebie włamać. Na przykład najważniejszego człowieka w tym kraju.

– Miałem nadzieję, że mimo wszystko działa sam... – Litwa urwał i pokręcił głową. Środa, powtórzył w myślach. Na razie jestem chory, w piątek stanę się zaginionym... a kiedy zostanę poszukiwanym przestępcą? – Co teraz?

– Róbcie swoje, jesteście szmat drogi stąd, nikt tak szybko na was nie wpadnie – nakazał mu Gilbert. – A ja postaram się, by jak najdłużej węszyć razem z nimi dookoła Berlina. Taśmy trochę nam brużdżą, ale coś wymyślę. Szkoda, że nie mam pod ręką trupa – dodał jakby do siebie. – Jakby go wytarzać w tym błocie nad Hawelą... nawet nie musiałby być do ciebie zbyt podobny... Od tej pory ja inicjuję kontakt, rozumiemy się?

– Jasne – Litwa zacisnął szczęki. Świetnie, pomyślał. Naraziłem też i jego. – A w piątek...?

– W piątek zagram sobie w teatrzyku szkolnym – W głosie Gilberta zabrzmiała nagła wesołość. – W końcu główną rolę, hehehe.

Na wargach Litwy pojawił się słaby uśmiech.

– Mam wrażenie, że mimo wszystko dobrze się bawisz.

– A ty nie? – zapytał podchwytliwie Gilbert. – Mam nadzieję, że się zajebiście bawisz z Feliksem. Podobno nowe otoczenie pomaga ożywić... stosunki.

Litwa westchnął, odczytując podtekst; jego uśmiech zmienił się w zmieszany.

– To wciąż są nasze prywatne sprawy – przypomniał, czując, że na jego policzki wkrada się rumieniec. – Trochę… popchnąłeś sprawy do przodu, ale wybacz, ale jeśli spodziewasz się relacji, muszę cię rozczarować.

– Yhy – Prusy znów bawił się jego kosztem. – Jasne, jasne. Nie brzmisz na rozczarowanego. Zaraz mi sprecher się roztopi w rękach od tych waszych gorących namiętności.

Litwa pokręcił tylko głową, nie wiedząc, czy ma być zły czy rozbawiony.

– To nie ja ukrywam się w toalecie na podejrzanie długi czas – mruknął, nie mogąc się powstrzymać od wbicia szpilki.

Oburzone parsknięcie powiedziało mu, że było warto.

– Nie mam piętnastu lat – odparł Gilbert z lekkim obrzydzeniem. – Poza tym, w parlamenckim kiblu?!

– Oj, zdziwiłbyś się – Litwa mimowolnie wrócił do wspomnień przed wojny i jednego skandalu, którego był niechętnym świadkiem.

Krótkie milczenie, a potem zrezygnowane westchnienie.

– Nie chciałem tego wiedzieć. Muszę odkazić ręce. Kto wie, co jest na tych klamkach. Boże. Mam nadzieję, że ty i on zachowuje się w miarę przyzwoicie i nie robicie tego publicznie.

Litwa uniósł kącik ust. Jak się już wiedziało, jak odbić strzał...

– Mówiłeś przed chwilą o nowym otoczeniu, prawda?

Gilbert wydał z siebie głuchy odgłos; potem wymamrotał, że są w kontakcie i się rozłączył.

I chociaż wisiały nad nimi czarne chmury, Litwa nie mógł nie zaśmiać się pod nosem, gdy odpalał kopniakiem skuter. Wyjechał na ulicę, włączył się do ruchu i skierował na drugą stronę miasta, mając nadzieję, że Feliks już wrócił.

Potrzebował gorącej herbaty i gorących ust.

***

Madohn było malutkim miasteczkiem; gdy pogoda na to pozwalała, lądowali na nieużytkach nad jeziorem pełnym kaczek i szli kilkaset metrów polną drogą, by przekroczyć tory kolejowe i boczną szosę, by wejść między szereg pierwszych domów.

Jedno muzeum, jakiś stary dąb, dwie kawiarnie i bar pełen lokalnych pijaczków; Matthias musiał się tutaj potwornie nudzić, myślał Prusy za każdym razem, gdy pod stopami czuł twardą kolejową szynę. Cóż, w Domu Jesiennym też nie będzie miał rozrywek…

Dumitresch przekroczył nasyp bez namysłu, nie patrząc na boki; Lefevre wlókł się z tyłu i patrzył na wytyczone przez tutejszych ścieżki przecinające tory z prawdziwym zdumieniem. Ostatnim razem było tak samo; jakby nie był w stanie uwierzyć, że ktokolwiek może przechodzić przez tory w nieprzeznaczonym do tego miejscu, pomyślał Gilbert z politowaniem.

– Tutaj pociąg jeździ dwa razy dziennie – Dumitresch wywrócił oczyma. Był czwartek i on również miał absolutnie dość tego towarzystwa. – Możesz przejść najzupełniej bezpiecznie. O ile się odważysz.

Potem przyśpieszył kroki, zostawiając Gilberta i czerwieniącego się Lefevre'a daleko w tyle. Gilbert westchnął w duchu, bo o ile nie mógł Dumitrescha za to winić, oznaczało to, że urzędas podejmie kolejną żałosną próbę wyciągnięcia z niego informacji.

Dania nie był w centrum zainteresowania Lefevre'a; dużo bardziej interesował go Laurinaitis i mu pokrewni.

– …Akta mówią, że Laurinaitis, Galante i von Bock traktują siebie nawzajem jako rodzeństwo – zaczął Lefevre cicho i ostrożnie, jakby próbując wybadać grunt. – Jak… jak to w ogóle jest możliwe? To znaczy… jak to działa?

Prusy westchnął ciężko; daj człowiekowi informację o naszym istnieniu, a pytania nigdy się nie skończą.

– Twoja odpowiedź leży w najbliższej bibliotece uniwersyteckiej – warknął. – Poszukaj czegoś o Estach i przestań zawracać mi dupę.

A już zwłaszcza wypytywać o rodzeństwo; nie myśl, że nie wiem, co próbujesz zrobić. Szukasz, gdzie jest Ludwig. Po moim, kurwa, trupie. Dobrze, że jeszcze nie połączyłeś kropek, nie zerknąłeś na mapę sprzed zjednoczenia, tego pierwszego, i nie zacząłeś zastanawiać się, co z resztą Cesarstwa. Gdybyś wypaplał się Ferencowi o Friedo, Christianie, Albrechcie i całej reszcie, nic by mnie nie powstrzymało, by ukręcić ci ten wścibski łeb.

Byle do jutra wieczór, pomyślał Gilbert, unosząc oczy, gdy wydeptana wśród wysokich traw ścieżka zaprowadziła ich najpierw między płoty, a później na chodnik spokojnej, skąpanej w złotych liściach uliczki. Matthias stał na balkonie i palił; na ich widok skinął głową i zgasił papierosa o barierkę.

Jak co czwartek; jezioro musiałby skuć mróz, by Dania nie witał ich dymem jak koszmarną parodią fajki pokoju.

Jeszcze chwila, powtarzał do siebie Gilbert. Jeszcze chwila… jeszcze chwila… Burza już tu jest, już się kłębi, już ciemnieje gołębią szarością niebo; już się z daleka błyska.

Za chwilę po niebie rozniesie się grom i zadrżą szyby.

Już za chwilę.

***

Już grzmiało; po prostu jeszcze nie wszyscy słyszeli gromy.

Serce uderzało raz za razem w rytm tej kanonady; dłonie błądziły po korbce uchylającej szybę albo po tapicerce tylnych drzwi samochodu, przy których siedział.

Długie, blade palce jak pająki przemykały tu i tam, niespokojne, podekscytowane, rozpalone i głodne; jakby nie mógł doczekać się dotknięcia kochanka. Albo złapania za wygodną rękojeść miecza czy spoczęcia na twardym spuście tuż przed wystrzałem; to było mu zdecydowanie bliższe.

Jak sekundy przed dobrą walką czy chociażby porządnym, męczącym sparingiem, jednym z tysięcy, jakie uprawiał z braćmi przez stulecia, aż wzajemnie wyuczyli się siebie nawzajem.

Ostatnim razem, gdy Gilbert Beilschmidt tak się czuł – gdy czuł ogień własnej krwi, pędzącej przez żyły – trwała któraś z ostatnich bitew Wielkiej Wojny Dziesięcioletniej, gdy świat wiedział już, co się stanie, gdy kolejne strzały były tylko przypieczętowaniem tego, co musiało nadejść; stabilizacja linii, która miała za moment stać się graniczną, satysfakcja w oczach dowódców; sięgnęliśmy po więcej, niż sądziliśmy, że ugramy. Dobra robota, panowie.

Prus nie było wtedy w gabinetach; triumfował w swojej osobistej urazie do Iwana Bragińskiego, widząc go stojącego w oddali z zakłopotaną miną uczniaka przyłapanego na wagarach i odesłanego w kąt; w tym człowieku zawsze było coś dziecinnego, myślał.

Coś dziecinnego i skrzywionego jednocześnie; jakby nigdy w pełni nie dorósł. Nawet wtedy, podczas rozmów pokojowych, na których to Imperium dyktowało warunki, wyznaczało mapy, Iwan wydawał się bardziej zainteresowany gołębiami, które przysiadły za oknem niż przebiegiem nowej granicy.

Och, jakże to irytowało wówczas Gilberta; jakby nie wyrwali mu takich połaci ziemi. Jakby nie upokorzyli go militarnie. Jakby... jakby po prostu bawili się w piaskownicy, a on stracił zainteresowanie i poszedł na huśtawkę, zostawiając ich w połaciach brudnego, oszczanego przez bezpańskie koty piasku.

Ale Rosja zawsze taki był; uśmiechnięty i przerażający w tym swoim oderwaniu od rzeczywistości; zbyt wysoki, zbyt postawny, by nie budzić jakiegoś dziwnego lęku wśród postronnych.

Niewiele było osób, które czuło się dobrze w towarzystwie tego faceta; jeśli już raz wpadniesz w tą lepką atmosferę strachu, pomyślał Prusy ostro, nie wypełzniesz z niej tak łatwo. Nie było to takie dziwne, zważywszy na to, że Iwan wcale nie starał się panować nad jakimiś... bardziej krwiożerczymi aspektami swojej osobowości, które to skupiły się na osobie Taurysa Laurinaitisa, gdy akurat miał go pod ręką.

Jak bezlitosne promienie słońca przepuszczone przez soczewkę wprost na misterne mrowisko, gotowe spalić je żywcem albo podpalić cały las.

Cóż, Gilbert byłby kłamcą, gdyby twierdził, że nie miał na swoim koncie paru zdecydowanie bardziej wątpliwych moralnie uczynków niż tylko zwykłe zabójstwo wroga w czasie walki; w szczególności dawno, dawno temu, gdy był płomieniem, dzieciakiem z mieczem w dłoni, szaleńszym od pożogi i plag biblijnych; Litwa może dalej pamiętał niektóre z tamtych rzeczy, a jeśli nie, Polska na pewno był gotów je wytknąć Gilbertowi.

Ale, powiedział sobie Prusy chłodno, patrząc za szybę, na niknący w szarówce Berlin, trochę mi to przeszło. Bezczeszczenie zwłok jest żenujące, gdy spojrzy się na nie z perspektywy czasu. Tortury też... zwykle.

To nie tak, że czasem nie zależało mu na wyciągnięciu jakiejś informacji... bardziej stanowczo. Ale... ale jakoś myśl, że Rosja od czasu do czasu brał nóż i robił sobie masarskie

eksperymenty, ot tak, bez żadnego celu, dla własnej chorej przyjemności, przyprawiała Gilberta o lekkie mdłości. Nie, żeby kiedykolwiek poświęcał uwagę jakimkolwiek granicom, ale… pokonać wroga i dać mu kopniaka na odchodne? Może. Zakpić parę razy nad człowiekiem klęczącym pod lufą? Może; śmierć przychodziła szybko, słowa nie zmieniają wiele w takich sytuacjach.

Ale… Dziwny posmak w ustach; niechęć do myślenia o sobie w podobnych kategoriach.

Nigdy chyba nikogo nie złamał. Chyba. Przynajmniej nie w taki sposób.

Niechętny tej refleksji, która nie chciała opuścić jego głowy, Prusy przeniósł wzrok na pozostałych ludzi jadących z nim w aucie. Dumitresch, siedzący za kierownicą, wyglądał na znudzonego; pewnie odlicza minuty do końca roboty, pomyślał Gilbert z lekkim, stłumionym szybko współczuciem. Nie, stary, dzisiaj wrócisz do domu późno, gwarantuję ci to.

Lefevre był nerwowy, jak przez cały ten tydzień. Prusy ani na moment nie łudził się, że jego ostrzeżenie na stałe odsunie podejrzenia albo zniechęci Lefevre'a do węszenia; cały czas czuł na sobie jego uciekające spojrzenie, a największym dowodem na to, że urzędas wcale Gilbertowi nie wierzy, był fakt, że nie pisnął słówka o pluskwie, którą zostawił pod stołem Taurysa. Ślady pazurów na jego dłoniach stopniowo przygasały, zamieniając strupy na świeże, różowe blizny; gdyby uwierzył, że Gilbert naprawdę działa na rzecz kraju, rozpracowując Litwę…

Po prostu kupiłem sobie czas, pomyślał, unosząc oczy. Dumitresch właśnie wjeżdżał na Viktoriastraße. I zaraz mi się on skończy… nie mogę się doczekać.

Starał się zachować kamienną twarz, po raz kolejny przeczesując spojrzeniem wnętrze auta. Lefevre drgnął, gdy auto podskoczyło na progu zwalniającym, jakby wytrącony z własnych myśli; wyprostował się sztywno, odwracając wzrok, gdy tylko zauważył spojrzenie Gilberta.

Zaraz rozegramy teatrzyk. Ale tylko ja znam scenariusz.

Podjechali powoli pod znajomą klatkę; Prusy poprawił poły płaszcza i ziewnął, nie kłopocząc się zasłanianiem ust; Dumitresch poszedł w jego ślady kilka sekund później, starając się być bardziej dyskretny. Lefevre posłał im obu zniesmaczone spojrzenie.

– Dobra, idziemy – mruknął Gilbert, gdy silnik umilkł. Wyszedł z auta, omijając dużym krokiem ogromną kałużę i zadarł głowę, dyskretnie przesuwając długim spojrzeniem po fasadzie bloku.

Okna na trzecim piętrze, ponad nimi, były otwarte, dokładnie tak, jak je zostawił. Być może przechodnie zastanawiali się, kto wietrzy całymi dniami mieszkanie, mimo że zaczął się już chłodny październik…

Przeniósł wzrok dalej. Natychmiast znalazł wymówkę dla swojego zainteresowania; okno na drugim piętrze, trzy klatki w bok, obklejone bibułą, brokatem i balonikami. Piątek wieczór; jakaś impreza, może to rodzina z małymi dziećmi, a może studencka fantazja…

Lefevre wygramolił się z samochodu i przestąpił z nogi na nogę.

– Ostatni – powiedział cicho, zerkając na Gilberta. – Mam... mam nadzieję, że wiesz co robisz.

Po raz pierwszy od paru dni w jego głosie zabrzmiała dawna niechęć i nagana; Gilbert powstrzymał się od przewrócenia oczami. Znów w mieście, pomyślał mściwie. Wraca ci odwaga. Szkoda, byłeś taki potulny przez ten tydzień, zaczynało mi się to podobać...

Ciekawe, ile wypaplałeś Ferencowi, gdy nie patrzyłem...

– Oczywiście – mruknął pewnie, wbijając dłonie w kieszenie płaszcza; powinien się martwić. Powinien; zamiast tego czuł, jak rozsadza go energia i ledwo powstrzymywał się, by się nie szczerzyć od ucha do ucha. – Zostaw to mnie, mówiłem.

– Nadal... Nadal uważam, że powinniśmy rozważyć... rozmowę z wodzem.

Och, porozmawiamy sobie prędzej niż ci się wydaje, wszo, ale najpierw... Szarpnięciem głowy wskazał na drzwi prowadzące do klatki. Dumitresch posłał im obu lekko zaskoczone spojrzenie, ale był żołnierzem, nauczonym, by nie zadawać pytań; ruszył pierwszy.

Winda przystanęła na parterze z cichym dźwiękiem; wcisnęli się do środka tej niedużej klatki, a Lefevre nacisnął przycisk z trójką, patrząc z obrzydzeniem na gumy do żucia zatknięte w szczelinach między drzwiami a jedną ze ścian.

– Wandalizm – mruknął pod nosem. Dumitresch posłał Gilbertowi znaczące spojrzenie.

Prusy podwinął koszulę i włączył nagrywanie. Plastikowy przycisk dyktafonu ustąpił opornie, ze słyszalnym trzaskiem; potem zatrzymali się na trzecim piętrze, dokładnie naprzeciw mieszkania Taurysa Laurinaitisa.

Dumitresch ruszył pierwszy, zdeterminowany, by jak najszybciej zakończyć pracę i wrócić do domu, do narzeczonej; Lefevre podskoczył za nim. Prusy, nie śpiesząc się, wysiadł z windy, udając, że poprawia sprzęt, ustawiając się tak, by mieć jak najlepszy widok.

Dłoń oficera zastygła w połowie drogi do dzwonka.

– Otwarte...?

Wąska szczelina między futryną a drzwiami, ciemna jak samo piekło; Dumitresch zmarszczył brwi, ale nie podejrzewając jeszcze niczego złego, wcisnął dzwonek. Ostry dźwięk rozbrzmiał ponad ich głowami i umilkł.

A po nim nie przyszło nic, żaden z tych dźwięków, które wydają ludzkie domy, gdy ktoś przychodzi znienacka; żadnych pośpiesznych kroków, pstryknięcia włączanego światła, potrącanych przez nieuwagę drobiazgów... Szczelina dalej zionęła ciemnością.

Prusy pozwolił sobie na jeden, bardzo krótki, bardzo usatysfakcjonowany uśmiech, bo nikt go nie widział; potem przywdział na twarz maskę, jedną z tych, które opłacało się nosić, jeśli miało się do czynienia z führerem.

– Wchodzimy – zarządził ostro, ruszając do przodu. Wyminął Dumitrescha i pchnął drzwi, aż te uderzyły o ścianę; tchnął w nich lodowaty powiew przeciągu. – Laurinaitis! Jesteś, do cholery?!

Malutki hol zalało światło. Prusy wszedł do kuchni szybkim, marszowym krokiem, uderzając dłonią o włącznik, świadom, że Lefevre nerwowo wykręca ręce za jego plecami;

Dumitresch, klnąc pod nosem, zajrzał błyskawicznie do pozostałych pomieszczeń; to było małe mieszkanie...

– Pusto. Wszystkie okna otwarte – zaraportował Dumitresch; znudzenie i zmęczenie zniknęło bez śladu, zastąpione przez żołnierską sztywność. – Czekam na rozkazy.

– P... Beilschmidt! – wydusił z siebie Lefevre. – To.. to jest...

– Złamanie reguł – warknął Prusy. Ha, już to kiedyś przerabiał. Wyprostował się i posłał pozostałym mrożące krew w żyłach spojrzenie, w duchu doskonale się bawiąc. – Ma obowiązek tu być.

Wyciągnął z kieszeni płaszcza swój oficjalny sprecher, wystukał znany na pamięć numer Litwy i przycisnął do ucha. Był sygnał, mimo że od prawie tygodnia sprzęt Litwy leżał w błocie; Dumitresch z każdą sekundą coraz mocniej marszczył brwi.

– Proszę pana...

Gilbert poczekał do dwunastu sygnałów; potem się rozłączył.

– Uruchamiany procedurę „Tarpan" – powiedział, unosząc spojrzenie i głos. – Dumitresch, przeszukaj mieszkanie. Lefevre, ściągaj dyrektora do biura, chuj mnie obchodzi, że już po godzinach. Niech uruchamia nasze kontakty. W pierwszej kolejności sprawdzić miejsce pracy, szpitale miejskie i kostnice, później informujemy policję. Wykonać!

– Führer... – wyjąkał Lefevre; jego oczy powędrowały w kierunku stołu.

– Jeśli nie znajdzie się do rana, powiadamiamy Ferenca – wpadł mu w słowo Gilbert. Już nie musiał kryć adrenaliny; krążyła w jego żyłach, nasycała głos ostrością. – Zgodnie z procedurą – dorzucił z satysfakcją. Z łazienki dobiegło trzaskanie otwieranych szafek.

Miał nadzieję, że Polska doceni nazwę procedury na wypadek zniknięcia wizytowanej personifikacji, poprawionej i udoskonalonej po tym, jak Feliks postanowił upozorować własną śmierć. Mały, niepozorny, zdechły konik, pasowało idealnie, prawda?

– Ale... – Lefevre umilkł gwałtownie.

– Ale co?

Urzędnik spojrzał spłoszony przez ramię, upewniając się, że w niedużej kuchni są tylko we dwóch.

– To jest poważne – syknął. – To nie... to nie może być przypadek! To wszystko... to, że teraz zniknął!

– Wiem – warknął Gilbert, ruszając do przodu; Lefevre odruchowo się cofnął. – Daj mi działać – rzucił z naciskiem. – Nim wszystko spierdolisz, zrozumiano?! – Kolejne uciekające spojrzenie w kierunku stołu. – No co?

Niemalże widział obracające się w głowie trybiki; Lefevre przełknął ślinę; potrząsnął głową, a Prusy poczuł ukłucie rozczarowania. Nie? Dobra, niech ci będzie. I tak sobie poradzę.

– Czysto – zameldował Dumitresch, stając w przejściu.

Lefevre wykorzystał okazję, cofnął się, wyciągając z kieszeni własny sprecher. Drżącymi palcami zaczął wybierać numer, nim jednak wykręcił go do końca, wpadł na stojącą obok lodówki kocią miskę, robiąc ogłuszający hałas.

– K-kot – wyjąkał, gdy złapał równowagę i rozejrzał się dookoła, jakby oczekiwał, że Berta wyskoczy na niego z jakiegoś ciemnego kąta. – On... on powinien tu być. Gdzieś.

Dumitresch przykucnął w kącie i pokazał im dwie kocie miski, obie suche, lśniące i wylizane do czysta, bez śladu wilgoci.

– Skończyło się jedzenie, to zwiał – powiedział spokojnie. Zerknął w kierunku uchylonego kuchennego okienka, zmarszczył brwi i pokręcił głową. – Nie oknem... drzwi były otwarte. Poszła w tango. Szkoda, ładna kicia... – Podniósł się na nogi i obserwowany przez zarówno Lefevre'a, jak i Gilberta, podszedł do donicy pełnej ruty.

Ta pojawiła się w kuchni gdzieś podczas tych szalonych wakacji, zdał sobie sprawę Prusy. Boże, ci dwaj to absolutni frajerzy, jeśli chodzi o symbolizm i nostalgię...

– Sucha jak wiór – mruknął Dumitresch, dotknąwszy ziemi palcami. – Minęło trochę czasu, nim ktoś ją podlewał... Może go już nie być dłuższą chwilę... Zaraz... proszę pana, czym go jeździł? Czarny, stary volkswagen, ten, co zawsze stoi tam? – Wskazał przez okienko na jedno z miejsc parkingowych, obecnie puste.

Lefevre wisiał już na słuchawce; słysząc lekko oburzony głos dyrektora biura, Prusy odwrócił oczy, by nikt nie dostrzegł jego uśmiechu.

– Tak – odparł beznamiętnie. – Sprawdź parkingi na osiedlu, dla pewności. Przedzwoń do Jannika, jeśli jest na chodzie, ściągnij go tutaj. Jeden z was musi zostać tu na wypadek, gdyby Laurinaitis się pojawił. Do odwołania.

– Tak jest!

Jeśli Dumitresch żałował, że nie spędzi wieczoru z narzeczoną, to nie dał po sobie nic poznać; Prusy prychnął. Kocha, to poczeka… Sięgnął do klamki lodówki i otworzył ją.

Garnek z porcją zapleśniałej zupy był doskonałym dowodem na to, że Litwy nie było już dobrą chwilę. A szkoda; Prusy robił się głodny, a jeśli Litwa gotował równie dobrze, co parzył kawę, Gilbert z chęcią by skorzystał.

***

Jesteśmy blisko, pomyślał Feliks, przeciskając się między stłoczonymi na korytarzach ludźmi i podążając do skromnej hotelowej części wspólnej. Tam, wokół telewizora, zgromadził się spory tłumek. Na ekranie leciał jakiś sensacyjny film, ale nie cieszył się zbyt dużym zainteresowaniem; ludzie na sofie i rozklekotanych fotelach, ewidentnie skądś przytarganych, przekrzykiwali się w opowieściach o minionym tygodniu, hojnie oliwiąc gardła alkoholem.

W jego szklance też nie było pusto; kołysał się tam burgundowy alkohol, sądząc po zapachu i smaku, owocowy bimber o mocy przewyższającej to, co zwykle dało się kupić w sklepie. Po paru łykach Polska uznał go za całkiem smaczny, ale zdradziecki, jeden z tych, które wchodzą nieco zbyt gładko i kuszą kolejnymi łykami słodyczy.

Nie zamierzał pić więcej bez potrzeby; przebiegł wzrokiem po pomieszczeniu, ale nie znalazł tam nikogo znajomego; uśmiechnął się przepraszająco do ludzi zainteresowanych jego przybyciem i wycofał się.

Późnym piątkowym popołudniem, ledwie zamknęły się bramy kurskich fabryk i zakładów, rozpoczęła się kolejna impreza; mocno liczyli na to, że człowiek z gołębią naszywką znów się pojawi.

Jeszcze wcześnie, dedukował Polska, znów ruszając korytarzem, tym razem obierając na cel kuchnię. Nie ma osiemnastej, ludzie są jeszcze trzeźwi, jeszcze napięci po całym tygodniu pracy. Na jego miejscu czekałbym do wieczora, aż się napiją i zejdzie z nich czujność... Gdzie jesteś, Licia?

Ostatnie dni były rajem na ziemi; Feliks uśmiechnął się do siebie głupkowato. Może i ich sytuacja była nie do zazdroszczenia, może byli o krok od trzęsienia ziemi... Ale Taurys w końcu przestał mieć swoje obawy i mogli cieszyć się sobą w każdym aspekcie…

Odnalazł Litwę w rogu kuchni, opartego o lodówkę i uprzejmie zasłuchanego w opowieści jakiejś dziewczyny; gestykulowała szalenie, opowiadając o awanturze:

– Na to ona, że sobie nie życzy! Myślałam, że nie wytrzymam i strzelę jej w pysk, bo najpierw kabluje do mnie szefowi, a teraz...

Polska przemknął obok młodego mężczyzny, który położył dziewczynie dłoń na kolanie i gorąco zapewniał, że to ona ma rację; przystanął obok Litwy i obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– W porządku? – zapytał cichutko.

Litwa przyciskał do ust szkło, a na jego wargach lśniła wilgoć, ale bimbru w szklance właściwie nie ubyło, odkąd rozmawiali po raz ostatni niecałą godzinę temu. Dodatkowo zerkał to na towarzystwo, to na zlew; jasnym było, że jedynie udaje, że pije na równi z nimi.

– Tak... nie do końca – przyznał szeptem, zerkając odruchowo na zegarek na nadgarstku. – Jest piątek, czuję, że powinienem tam być.

Polska pokiwał głową ze zrozumieniem. Siedemnasta, osiemnasta, dziewiętnasta, Gilbert już się zbliża...

– Wiem – mruknął. – Po tylu latach tych pierdolonych wizytacji ja też nie mogłem... nie mogłem przyzwyczaić się, że już ich nie ma. To wchodzi w krew.

Taurys skinął krótko głową, wyglądając na wdzięcznego za zrozumienie. Milczał przez moment, udając zasłuchanego opowieścią; Feliks zrobił to samo, ale obaj myśleli o czymś zupełnie innym.

Właśnie teraz – a może za pięć, za dziesięć minut, może za kwadrans, jeśli były korki – tysiąc osiemset kilometrów dalej Gilbert szykuje się do wejścia na scenę, którą stało się mieszkanie na Viktoriastraße.

– Jest? – mruknął Litwa, gdy dziewczyna kolejny raz podniosła głos.

– Nie, za wcześnie – odszepnął Feliks. Korzystając z tego, że nikt nie zwracał na nich uwagi, musnął wierzchem dłoni palce Taurysa. – Ale mam przeczucie, że jesteśmy blisko, vyrai.

Litwa posłał mu napięty uśmiech i podniósł szklankę.

– Na zdrowie – dodał o ton głośniej, jakby rozmawiali o czymś zupełnie innym.

Feliks wyszczerzył się i spełnił toast; stuknęło szkło. Za nas, pomyślał, gdy słodki płyn przebiegł przez jego przełyk aż do żołądka. Kątem oka widział, że Taurys przełyka te kilka kropel, które przedostały się przez niechętne wargi.

– Nie musisz – zasugerował, ledwo poruszając ustami.

Litwa unikał alkoholu jak ognia; jedynym momentem słabości w ostatnich latach był Charlottenburg; tam wszyscy szukali ulgi w kieliszkach pełnych wina.

– Jest w porządku, i tak to wyleję w toalecie – uspokoił go Taurys niemalże niesłyszalnie. – Nie… nie chcę być podejrzany.

No tak; Polska powiódł wzrokiem po towarzystwie skupionym wokół dziewczyny, które właśnie wszyscy parsknęło unisono tubalnym śmiechem. To nie była spokojna posiadówka znajomych, gdzie każdy pił – albo i nie – wedle swoich upodobań i możliwości; tu młoda, gorąca krew, ciężko pracująca za dnia, szalała, nie znając jeszcze swoich granic, a może nie chcąc ich poznać.

Skinął głową.

– Do później – mruknął, posyłając Litwie długie spojrzenie. Mieli zostać na posterunku aż do ostatnich minut imprezy; Feliks wiedział już, że te potrafiły się ciągnąć aż do siwych poranków. Gdy Taurys odszepnął to samo, Polska westchnął cicho i ruszył, by się socjalizować.

Wyszedł z kuchni, przeszedł parę kroków i wtem ktoś na niego wpadł, wyskakując z impetem z damskiej toalety. W burzy ciemnych włosów i donośnego śmiechu rozpoznał jedną z gościń ze swojego piętra.

Kojarzył ją z widzenia jako cichą, wycofaną dziewczynę z ósemki, przemykającą od drzwi do drzwi, ale wyglądało na to, że dzisiaj alkohol dodał jej odwagi; bez skrępowania uwiesiła się ramienia Polski:

– Maaaax – zaczęła przeciągle. – Teeen twój kolega… – Machnęła dłonią mniej więcej w kierunku kuchni; Polska odruchowo obejrzał się przez ramię, by dostrzec, jak Taurys nachyla się nad rozmawiającymi, włączając się do dyskusji. – Tooo jest moooże wooooolny?

Feliks najpierw zamrugał, a potem zrobiło mu się nieco zbyt gorąco.

– Nie, jest zajęty – Zmusił się do uśmiechu, ale jego głos i tak drgnął nerwowo. – Zdecydowanie… zdecydowanie kogoś ma, he he. He.

Jednocześnie przeklął w myślach obrazy, które stanęły mu przed oczyma, gdy tylko to powiedział; słowo „mieć” w kontekście ich ostatnich dni, w których nadrabiali niedobory w kwestii kontaktów fizycznych…

Na szczęście, była na tyle pijana, że jego reakcja przeszła niezauważenie; jakby opadła z sił, mamrocząc pod nosem coś o swoim nieszczęściu i jeszcze mocniej się o niego oparła.

– Ae… gdyby ne miał… myślisz, że jestem w jegooo typie? Jest trochę zaaa chudyy, ale za tooo ciasteeeczko…

– Woli blond – odparł natychmiast Feliks, starając się wyplątać z jej uścisku. Chwycił dziewczynę za ramiona i delikatnie nakierował w przeciwnym kierunku. – Tobie już wystarczy, co… eee… Heeelga? Idź spać, dobra?

– Nienawidzę tego imieeenia – Dziewczyna czknęła, ale posłusznie podreptała w kierunku ósemki. Polska odetchnął z ulgą. – Caaałe życie... będę samaaaa...

Feliks odprowadził ją wzrokiem, a gdy zamknęły się za nią drzwi, westchnął ciężko. Dalej czuł gorąco na szyi i policzkach; zerknął na Litwę, który wydawał się nie zauważyć całej sytuacji, a potem odetchnął.

Wsunął się do męskiej toalety i spojrzał sobie w twarz w lustrze i odetchnął, niemile zaskoczony tym krótkim, ale ostrym ukłuciem zazdrości. Przestań, powiedział sobie, kręcąc głową. Serio? To nie tak, że ludzie nie mają oczu, Licia zaczął o siebie bardziej dbać... dla mnie... dla siebie... może oba na raz... a zresztą, zawsze był przystojny.

Potrzasnął włosami; Taurys bardzo wyraźnie dawał mu do zrozumienia, że Feliks jest jego całym światem. Werbalnie i niewerbalnie; Polska znów zarumienił się na samo wspomnienie, ale odgłosy imprezy za ścianą przypomniały mu, że mają misję; na amory przyjdzie czas później.

Wrócił na imprezę; pięć godzin później, gdy nad miastem już dawno zapadł zmrok, a na krzesłach zaczęli przysypiać pierwsi pijani goście, gdy w kuchni rozpoczęły się filozoficzne dysputy, a on sam nie czuł już nóg od krążenia po hotelu, zaczynał trochę tracić nadzieję.

To nie tak, że to był ich jedyny trop; Feliks węszył w miejscu pracy, a Litwa sprawdzał miasto. Lokal Rozy i gołębie cukierki na wystawie, witające klientów, mogły być znakiem rozpoznawczym. Polska próbował od dwóch dni dowiedzieć się, kto w fabryce słodyczy ma takie artystyczne ciągoty; był jeden, mówił mu Elias, ale teraz jest na chorobowym...

– Mój dziadek, Andriej, służył. Wiesz, zwerbowali go siłą... radiotelegrafista, potrzebowali go.

Rozpoznał głos Taurysa, dochodzący z kąta korytarza, z ciemnego zaułka między zamkniętymi drzwiami do pokoi a łazienką. Zwolnił kroku.

– Tak bywało – Obcy głos, przesiąknięty zrozumieniem. – Robisz dla nas albo kolba w łeb. Gdyby był zwykłym szeregowcem, pewnie wzięliby go w niewolę.

– ...sabotował, ile mógł. *Bladowskij Fric*, tak mówił o swoim dowódcy.

– Ha, rogata dusza. Tęsknił za ojczyzną?

– Myślę, że tak, ale słabo go pamiętam. *Dieduszka* niewiele mówił po rosyjsku, rzadko się odzywał. Gdy byłem dzieckiem, prosiłem go, by mi opowiadał ludowe bajki, ale niezbyt chętnie mówił. W końcu rodzina poprosiła mnie, bym go nie męczył. Jak tak teraz o tym myślę, to wydaje mi się, że był zastraszony. Szkoda, że nie miałem więcej czasu, by z nim porozmawiać, nim odszedł. O tym wszystkim...

Głos Taurysa był autentycznie przejęty; Polska uśmiechnął się do siebie. Wycofał się niezauważony i wrócił do kuchni; jakiś młody facet półleżał na krześle, wpatrując się w przestrzeń, a jego powieki opadały ciężko.

Feliks wskazał gestem na baterię stojących na stole butelek; pośród pustych stała jedna jeszcze zamknięta. Rozpoznał najtańsze na rynku whisky i zrozumiał, czemu została nietknięta; rozlewana w Berlinie podróbka szkockiej o smaku tak złym, że była w całym kraju obiektem żartów. No, ale jak się ma półzamknięte granice, to się lubi to, co się ma...

– Mogę?

– Bierz – wymamrotał chłopak, prawie na niego nie patrząc. – Ja pierdolę... Zabiję Eliasa za ten bimber... Miał być słabszy...

Feliks chwycił za butelkę i pomknął sprężystym krokiem z powrotem przez korytarz, mając nadzieję, że Litwa kontynuuje znajomość. Wychylił się wesoło zza węgła, unosząc wymownie butelkę; Taurys i nieznajomy odsunęli się odruchowo od siebie, przerywając szeptaną rozmowę. Siedzieli na krzesłach zawleczonych tutaj z jakiegoś pokoju.

– Znalazłem cię, Meelis, gdzieś mi zniknął? – zapytał wesoło, lustrując szybkim spojrzeniem drugiego mężczyznę. Tak, to był on; średniego wzrostu, krępy, ciemny blondyn o długich włosach i zaniedbanej, długiej brodzie, w motocyklowej, skórzanej kurtce. Na twarzy miał ślady po dawno przebytej ospie. – O, kojarzę cię, byłeś u nas w tamtym tygodniu? – rzucił Polska, przysuwając sobie bez zaproszenia krzesło. – Panowie, kolejkę? Nie mam już z kim pić, a noc jeszcze młoda!

– To Max Lebiediew, mój przyjaciel – Taurys bez mrugnięcia okiem dokonał prezentacji. W szklance miał pusto; Polska podejrzewał, że jeszcze parę takich imprez, a odrdzewią wszystkie rury w tym hotelu. – A to Sania, dopiero co się poznaliśmy.

Sania, powtórzył Polska w myślach, nie dając po sobie poznać, co myśli. Oficjalnie w papierach pewnie ma Alexander, ale takie zdrobnienie nikogo w Rzeszy nie dziwi, a już zwłaszcza nie tutaj, tak daleko na wschód. Jedno z tysięcy imion, które imperium zagarnęło wraz z ziemią i ludźmi, pozwalając im współistnieć. Kultury się rozpływają, zacierają się dawne zwyczaje, ale personalia zawsze trwają dłużej, dziedziczone z pokolenia na pokolenie na długo po tym, jak umrze świadomość, skąd pochodzą i co oznaczają...

– Sania, Szurik, Sasza, wybierz dowolne – Alexander zmierzył Feliksa spojrzeniem od stóp do głów i zmarszczył brwi, jakby w zastanowieniu. – Racja, kojarzę cię. Palisz? Meelis niestety odmawia towarzyszenia mi na fajce.

Litwa uśmiechnął się przepraszająco; Feliks zaśmiał się w głos, przysuwając sobie kolejne krzesło, odsunięte do tej pory w ciemny kąt.

– Palę i z chęcią zapalę, ale najpierw nie pozwólmy temu szkłu się tak męczyć – Roześmiał się, już odkręcając whisky. Doskonale; w tym hotelu nie było balkonów, żeby zapalić, należało wyjść na zewnątrz, a była już ciemna noc; idealnie. – Pijesz, Sania?

Motocyklista skinął oszczędnie głową i podsunął mu szklankę; gdy się pochylił, Polska dostrzegł zarys naszywki z gołębiem.

– Zajebista – rzucił lekko, wskazując podbródkiem, podczas gdy nalewał solidną porcję whisky do szklanki. – Miałem kiedyś podobne, w szkole jeszcze, ale ktoś mi zajebał.

– Myślę, że miałeś jednak inną.

– Ha, możliwe – Feliks znacząco pochylił butelkę nad szklanką Taurysa. Ten ledwo dostrzegalnie skinął głową, więc Polska nalał i jemu. Na końcu zapewnił swoją szklankę. – No, to za co pijemy? – zawiesił głos, świadom mierzącego go spojrzenia.

– Meelis opowiadał mi ciekawe rzeczy – Sania wolno odpowiedział, przesuwając wzrokiem od jednego do drugiego. – Może więc za historie rodzinne?

– Może być – zgodził się Polska, czując, jak jego serce wali jak młotem. – Nie uwierzysz, ile ja mam takich historii.

Jeszcze kilka toastów i nic nieznaczących pogadanek; Litwa zmienił pozycję, cofnął odrobinę krzesło, założył nogę na nogę i trzymał szklankę na udzie, niby przypadkiem zasłoniętą dłonią, by Sania nie zauważył, że niewiele z niej ubywa. Polska pozwolił sobie na trochę whisky; pożałował tej decyzji, bo naprawdę pozbawiona była wszelkiego smaku, paliła jedynie wargi i drobniutką rankę w kąciku ust, której do tej pory nie był nawet świadomy.

– To na sigaretę? – zasugerował w końcu Sania, nie wyglądając na chociażby odrobinę wstawionego.

– Pewnie – Feliks skinął głową. – Meelis, idziesz z nami? Pooddychać świeżym dymem? – zachichotał z własnego żartu.

– Za moment – przytaknął Taurys z lekkim uśmiechem, znacząco wskazując podbródkiem drzwi do najbliższej toalety.

– Sania, ej, a ty co tak w ogóle porabiasz w życiu? – Feliks zajął rozmową ich nowego znajomego, gdy ruszyli korytarzem powolnym krokiem, czekając aż Litwa ich dogoni.

– To to, to tamto – Mężczyzna wzruszył ramionami. Miał czujne oczy, jasne i piwne, jak u jastrzębia. – A ty?

Więc wzajemne podchody, co? Polska westchnął w duchu; to nigdy nie była jego działka.

– Teraz przebieram sreberka, ale to na chwilę – odparł. – Nie widzę się w fabryce.

– A gdzie się widzisz?

– A bo ja wiem… – zastanowił się Polska. Zatrzymali się przy wejściu na klatkę schodową, czekając na Litwę. – W czymś wielkim, wiesz. Zrobić coś ważnego, wykazać się.

Miał nadzieję, że to zadziała; w ludzkich oczach wyglądał młodo, mógł uchodzić za pełnego entuzjazmu dzieciaka, któremu jeszcze rzeczywistość nie zabrała ambicji i woli walki. Parę razy Polska przeklinał ten wygląd, zastanawiał się, czy nie powinien zacząć wyglądać poważniej, by wzięto go na poważnie, ale w końcu zrozumiał, że to również ma swoje zalety.

No i Taurysowi kilka razy wymsknęło się, że uwielbia jego włosy; po czymś takim Feliks nie był w stanie myśleć o jakiejkolwiek zmianie.

Wyglądało na to, że Sania połknął przynętę; spojrzał Feliksowi w oczy i znalazł tam to, czego szukał.

– Skąd ty jesteś, Max? – zapytał z większym zainteresowaniem.

W odpowiedzi Polska podał nazwę jednej z dziesiątek wsi w okolicy Kurska, którą wypatrzył gdzieś na mapie; Sania pokiwał głową. Dołączył do nich Taurys; zeszli w milczeniu po schodach – recepcjonistka posłała im zmęczone spojrzenie, ale nie powiedziała ani słowa na widok kolejnych imprezowiczów – a potem wyszli w zimne, nocne powietrze.

Otaczały ich ciemności, bo lampa uliczna stojąca przed hotelem była wygaszona; Sania mruknął coś o miejskich oszczędnościach, a potem wyciągnął zapalniczkę. Wątły

płomień oświetlił jego twarz, gdy zbliżył ogień niebezpiecznie blisko brody, próbując odpalić papierosa.

– Widzicie mi się – mruknął, gdy i Feliks zaciągnął się dymem, dziękując. Po rosyjsku. – Mało tutaj ludzi z ikrą.

– Co masz na myśli? – zapytał Litwa tonem pełnym uprzejmego zaciekawienia.

Sania milczał długą chwilę; papieros jarzył się w mroku, gorące drobinki spadały na ziemię. Polska odruchowo wstrzymał oddech; proszę, pomyślał. Proszę, zaufaj nam. Wiem, co próbujecie zrobić, wiem, dla kogo działacie… Wiem, kogo potrzebujecie. Młodych, sprawnych, pełnych chęci do działania, nieco naiwnych i sentymentalnych; tacy są najlepszymi żołnierzami.

Wyglądamy młodo i potrafimy dobrze udawać, że czas nie zabił w nas nadziei.

– Co sądzicie o tym, że w godle naszego państwa jest złodziejska wrona? – zapytał bardzo cicho Sania, wyciągając coś z kieszeni.

Gdy się nad nim pochylili, dostrzegli, że na żylastej, pokrytej odciskami dłoni ma dwie naszywki i garść cukierków. W mroku zarówno gołąb, jak i trzymane przez niego słońce były ciemnoszare i nijakie, łatwe do przeoczenia, podobnie jak szklista masa landrynek.

Taurys bez słowa sięgnął po cukierek; coś w Feliksie zaprotestowało gorąco, ale zmusił się do milczenia i bezruchu.

– Sądzę, że nas okradziono z czegoś bardzo ważnego – powiedział cicho Litwa, a rosyjski przeszedł przez jego gardło ze słyszalnym trudem. Nie dodając nic więcej, wsunął cukierek do ust.

Sania cofnął dłoń; spoglądał na nich jeszcze przez moment, a potem się uśmiechnął; grymas ginął pod skołtunioną masą brody.

– Naprawdę macie ikrę – spojrzał na Feliksa znacząco. – Mam dla was coś wielkiego. Czekajcie na swoją chwilę. Nadejdzie.

Po plecach Polski przeszedł dreszcz; skinął głową, a gdy Sania obrócił się na pięcie, odchodząc w noc, mocno ścisnął dłoń Litwy.

– Idź natychmiast do kibla i zwymiotuj to, zanim zacznie działać – wyszeptał w napięciu. Jego głos w końcu zadrżał. – Proszę, Licia, nie chcę, żeby coś ci się stało. C-cokolwiek to było.

Dłoń uciekła z jego uścisku; Litwa pochylił się i bez słowa coś wypluł; było zbyt ciemno, by cokolwiek dostrzec, więc to słowa przyniosły Polsce ulgę:

– Nie połknąłem tego… – mruknął Taurys, pośpiesznie wyciągając z kieszeni chusteczkę. Przytknął ją do ust, wypluwając jeszcze sporą porcję śliny. – Myślę, że to blef… Chciał nas sprawdzić.

– Możliwe, ale nie ryzykujemy twoim zdrowiem – Feliks pociągnął go za rękę w kierunku hotelu. Przekroczyli próg; w środku było już zupełnie cicho, jakby podczas ich rozmowy z Sanią hotel w końcu zakończył imprezowanie. Biurko recepcji też było już puste. – Chodź…

Zaciągnął Taurysa do łazienki; gdy Litwa przepłukał usta, Feliks niespokojnie zajrzał mu w oczy i ujął nadgarstek, próbując zorientować się, czy puls bije normalnym rytmem.

– Czuję się dobrze – szepnął Taurys uspokajająco. – Naprawdę.

Polska odetchnął z ulgą; blef, pomyślał, oplatając Litwę ramionami i kładąc głowę na jego ramieniu. Nie miał powodów, by nas podtruwać czy narkotyzować, to był test.

Zdaliśmy.

Rozdział XXXII: Heil Weigel

Tej piątkowej nocy nie rzucił się w wir zabawy w berlińskich barach i klubach, tak jak to miał w zwyczaju; nie mógł też wsiąść do nocnego pociągu, który zawiózłby go daleko na południe i zachód, by w szaleńczym tempie znaleźć się w Tuluzie, wyciągnąć Erzsébet na miasto i wrócić do Berlina poniedziałkowym rankiem. Nie, zbliżała się północ, a Gilbert, trzeźwy jak niemowlę i sztywny jak kłoda, podążał za kolejnymi punktami procedury Tarpan.

Znał ją niemal na pamięć; w końcu, pomagał ją pisać, te kilka lat wcześniej, gdy Feliks Łukasiewicz wykazał, że biuro nie jest przygotowane na takie sytuacje.

Zgodnie z protokołem nr 75 z 1947 roku, zaczynał się suchy tekst, którego kopię przywiózł im z biura Jannik, a w który Lefevre wlepiał teraz wzrok, co chwila przesuwając go na Prusy, *osoba obserwowana* – nienawidził tych ogólników, tego suchego bełkotu, mowy-trawy, która taiła, kim naprawdę są – *musi przebywać w miejscu zamieszkania w odgórnie ustalonych godzinach wizytacji w celu przeszukania lokum i, jeśli istnieje taka potrzeba, rewizji osobistej...*

Rewizje porzucili już dawno temu; pomijając jednostkowe przypadki z początków imperium, prawie nie było problemów z personifikacjami ukrywającymi coś na sobie; jakby ciosy, które im zadali, były zbyt silne, by byli w stanie dalej się buntować.

I to działało, pomyślał Gilbert przelotnie. Clausowi się to podobało. Złamany żagiel nie pozwoli statkowi popłynąć, tak powiedział, nim całkowicie wyrzucił z głowy myśli o naszym gatunku.

W przypadku nieobecności osoby pod wskazanym adresem, należy natychmiast spróbować skontaktować się z nią telefonicznie za pomocą wyznaczonego numeru sprechera. W przypadku odebrania połączenia, patrz punkt 1.

Punkt pierwszy mówił o konieczności sprowadzenia do mieszkania, z użyciem siły, jeśli to konieczne, sporządzeniu odpowiedniego protokołu – Prusy prychnął w myślach, do każdej pierdoły musieli mieć teraz protokół, jak on tego nienawidził – i wyciągnięciu konsekwencji odpowiednich do sytuacji.

Ale Taurysa Laurinaitisa to nie dotyczyło; nie odbierał, więc zgodnie z punktem drugim, Prusy dzwonił co pół godziny – *w przypadku braku sygnału, ponawiać próbę co godzinę*, mruczał Lefevre pod nosem, ale sygnał jeszcze był – wiedząc, że to bezcelowe. Prawdopodobnie śpi słodko obok Polski, pomyślał, wywracając oczami.

Zwykle o tej porze było opustoszałe; teraz oprócz niego i Lefevre'a za biurkiem siedziała wystraszona Eva, a w gabinecie zaszył się dyrektor, przybywszy w pomiętych ciuchach i z wąsem brudnym od pianki piwa, którym musiał raczyć się przed ogłoszeniem alarmu.

Jedyny z ciebie pożytek, pomyślał Prusy, słysząc zza ściany stłumione dźwięki rozmowy, gdy dyrektor dzwonił do kolejnych szpitali i kostnic, podając krótki opis Litwy – zgodnie z procedurą, w okręgu do pięćdziesięciu kilometrów, a więc mieli do obrobienia Berlin, Poczdam i całą okolicę. To to, że nie muszę robić tego sam. Chujowa robota.

– Nic nie przyszło – Eva kolejny raz przerzuciła korespondencję. – Nie przegapiłabym... naprawdę! E-posta też już sprawdziłam...

– Sprawdź jeszcze raz – warknął do niej Lefevre.

Gilbertowi było jej nieco żal; oczywistym było, że Taurys nie kontaktował się z biurem w żaden możliwy sposób, ale protokół był nieubłagany – musieli sprawdzić, czy personifikacja nie zgłaszała swojej nieobecności, a oni po prostu tego nie zauważyli w natłoku korespondencji.

Zerknął na zegarek na ręce; druga w nocy. Przyjechaliśmy do niego... gdzieś o dziewiętnastej, liczył w myślach, patrząc na wskazówki. O ósmej odwiedzimy jeszcze jego szkołę... A potem skończy nam się czas.

Procedury leżące przed Lefevre'm rozgałęziały się na trzy ścieżki; Tarpan A na wypadek odnalezienia ciała, Tarpan B w przypadku wciąż żywego delikwenta i Tarpan C, gdyby po upływie dwunastu godzin biuro nadal nie natrafiło na ślad zaginionego. W obecnej sytuacji istniała tylko ta trzecia droga; Gilbert uśmiechnął się do siebie.

Najwyższy Wódz zostanie niezwłocznie poinformowany o zniknięciu osoby obserwowanej, pod warunkiem, że upłynęło 12 godzin od stwierdzenia zniknięcia przez biuro i do tej pory osoba obserwowana nie została odnaleziona, żywa lub martwa. Od tego momentu Najwyższy Wódz ma prawo do przejęcia dowództwa nad biurem i pokierowania własnych sił do odnalezienia osoby obserwowanej. W przypadku przejęcia dowództwa pozostałe procedury tracą moc, jeśli są niezgodne z aktualnymi rozkazami Wodza.

W przypadku odmowy objęcia dowództwa, biuro powinno samo zwrócić się do policji o pomoc w poszukiwaniach, dostarczając jej informacji niezbędnych do rozpoznania i zlokalizowania osoby obserwowanej. W przypadku podejrzenia celowego zniknięcia, biuro może powołać się na protokół nr 43, dotyczący tajnych poszukiwań osób uznanych za zagrożenie dla funkcjonowania państwa.

Teraz, Ferenc, zobaczymy, na co się zdecydujesz, Prusy zapatrzył się w okno. Zacinał deszcz; Berlin tonął w czerni i wilgoci. I pytanie... czy uda mi się rozegrać to tak, jak chcę.

Jego umysł szalał, gnał kolejnymi ścieżkami możliwych wersji wydarzeń jak gończy pies za dziesiątkami zajęcy. Wątpił, że führer zostawi to biuru; gdyby chodziło o kogoś innego, w innych czasach, gdyby nie było tego dupka – Gilbert posłał Lefevre spojrzenie pełne urazy – może wolałby im to oddelegować, ale...

Odchylił się na krześle, prostując ramiona i krzywiąc się z powodu zastałych mięśni. Lefevre rzucał posępne spojrzenia zegarowi, a minę miał nietęgą.

I co o tym sądzisz?, zapytał Prusy w myślach, powstrzymując się od złośliwego uśmieszku. Teraz widzisz równie dobrze jak ja, że cotygodniowe wizytacje to był chybiony pomysł, nie? Wystarczyło, że Litwa wziął dupę w troki kilka godzin po naszej ostatniej, by móc być teraz gdziekolwiek. Troki, hehe. To chyba gdzieś pod Wilnem?

– Nic nie ma – Dyrektor stanął w drzwiach, brzmiąc bezradnie niczym dziecko. – Ani w żadnym szpitalu ani w żadnej kostnicy nie odnotowano kogoś takiego.

– Jasna cholera – mruknął Gilbert jakby do siebie, gdy na powrót pochylił się nad aktami. Procedury, procedury; Jannik siedział w mieszkaniu Taurysa, Dumitresch przeczesywał

okolice... Świadom, że oczy wszystkich skupiają się na nim, opuścił na moment powieki. – Lefevre. Przedzwoń do chłopców, niech potwierdzą.

Lefevre niechętnie sięgnął po swój sprecher; minutę później, gdy żołnierze dali do zrozumienia, że po ich stronie bez zmian, Prusy wyprostował się na krześle. Trzecia rano…

– Miejsce pracy. Pracuje w szkole, personel zjawi się przed ósmą. Ja i Lefevre pojedziemy tam od razu – nakazał. – Jeśli do tego czasu Laurinaitis nie postanowi wrócić z balangi, składamy zawiadomienie o zaginięciu.

Spojrzenie Lefevre'a było ostre, ale w obecności innych nie odważył się powiedzieć tego, co z pewnością chodziło mu po głowie; Gilbert czytał z niego jak z otwartej książki. Balanga? Laurinaitis nie wydawał się kimś, kto wsiądzie za kierownicę, by pójść w pijackie tango, zapominając o ustalonym spotkaniu, by wrócić bladym świtem. Zaginięcie? To nie osoba zaginiona, to poszukiwany. Co ty robisz, Beilschmidt?

– A... a führer? – wymamrotał dyrektor, blady i wyraźnie przerażony.

Prusy znów poczuł do niego wzgardę. Wstał i oparł dłonie o blat biurka.

– Gdy tylko sprawdzimy, że nie ma go w szkole albo czy ktoś z jego współpracowników coś wie, dzwonisz – odparł bezlitośnie. – Do dziewiątej Ferenc musi wiedzieć. Najprawdopodobniej zwoła spotkanie w trybie pilnym. Sugeruję, byście wzięli w międzyczasie prysznic, żebyśmy nie wleźli do biura Najwyższego Wodza w takim stanie – Wymownie powiódł wzrokiem po zmęczonym personelu biura; poczerwienieli i uciekli oczyma. Jakaś część niego rozkoszowała się tym widokiem. – I... możecie się przespać. Na zmiany.

Lefevre drgnął nerwowo; tak, pomyślał Gilbert mściwo. Ciebie to też dotyczy. Byłoby bardzo miło, gdybyś spuścił mnie z oka chociaż na pół godziny, zawszony kundlu. Mam telefon do wykonania.

Okazja wydarzyła się jednak dopiero kilka godzin później, gdy Berlin spowił się w bladym, jakby niewyspanym świetle świtu. Dyrektor drzemał gdzieś w biurze, Evę Gilbert odesłał w końcu do domu, ale Lefevre tkwił sztywno przy biurku, pośród papierów, notatek i akt, wpatrzony nieruchomym wzrokiem w okno. Co jakiś czas spoglądał wymownie na sprecher leżący przed Gilbertem – wydawało się, że i on już nie wierzył, że Taurys Laurinaitis kiedykolwiek odbierze połączenie, ale procedury były święte.

Będę musiał go w końcu naładować, pomyślał Prusy mimochodem, kolejny raz bez zastanowienia wystukując numer; palce działały same. Ikona symbolizująca stan baterii zaczynała migać; miał pewnie jeszcze jakąś dobę, nim sprecher padnie na amen.

– Jedziemy – mruknął, podnosząc się od biurka, gdy zegar wybił siódmą.

Wcale nie miał ochoty przebijać się rankiem przez zakorkowany Berlin, zwłaszcza że, o czym Gilbert zdał sobie właśnie sprawę, nie było tu ani Jannika ani Dumitrescha; sam musiał wsiąść za kółko albo zamówić taksówkę.

Stanęło na tym drugim. Gilbert pozwolił sobie na kilka minut drzemki na tylnym siedzeniu, wiedząc, że to tylko zirytuje Lefevre'a; urzędnik był blady, sztywny i milczący,

ale jego jadowite spojrzenia nie straciły na mocy mimo tego, że był na nogach już dobę. Taksówkarz próbował zagadywać; ucichł po pierwszej oschłej uwadze.

Szkolna brama była już otwarta; młodzież przekraczała ją, wlokąc nogę za nogą, wyraźnie zaspana, znudzona i podtrzymywana przy życiu jedynie perspektywą, że sobota to ostatni dzień nauki w tym tygodniu i za parę godzin będą mogli nieco odpocząć.

Chociaż korciło go, by zapalić, Prusy się nie zatrzymał; ruszył prosto ku drzwiom wejściowym i grupce chłopców obok. W pierwszej chwili go nie zauważyli; dopiero gdy znalazł się o krok od nich, zerknęli w bok, odskoczyli do tyłu, a potem ich oczy otworzyły się szerzej.

– D-dzień dobry – wymamrotał jeden z nich, przyglądając się Gilbertowi z podekscytowaniem. – Eee... Pan z... z...?

– Nie dzisiaj, chłopaki – Prusy uśmiechnął się ostro. – Ale czekajcie na decyzję.

Oczy chłopców zabłysły; armia pewnie niedługo wyśle listy, kogo weźmie do młodzieżówki, to zawsze jest gdzieś w połowie października, pomyślał mimochodem. Dzieciaki się nauczą życia...

Przekroczył próg, ruszając szkolnymi korytarzami pewnym, długim krokiem, brnąc niczym lodołamacz przez kruszące się morze granatów i szarości szkolnych mundurków. Dzieci rozstępowały się przed nim, gdy tylko dostrzegały barwy, które miał na sobie – nieprzeniknioną, nieskażoną czerń, lśniące srebro i krwistą czerwień galowego munduru Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej. Jego wysokie buty postukiwały na posadzce, obwieszczając całej szkolnej społeczności, że oto jej próg znów przekroczył przedstawiciel wojska.

Lefevre szedł za nim, niemalże niewidzialny w swoim nijakim, szarym garniturze, pogniecionym po nieprzespanej nocy; oczy wszystkich, zarówno uczniów, jak i mijanych nauczycieli, utkwione były w Gilbercie.

– Gdzie jest gabinet dyrektora Meiera? – zapytał pierwszą z brzegu dziewczynę, gdy tylko dostrzegł jej wzrok; dygnęła nerwowo.

– Tam...

– Dzięki – skinął krótko i posłał jej lekki uśmiech; potem szedł dalej we wskazanym kierunku, wiedząc, że nikt ich nie zatrzyma. Osobista wizyta wojskowego była rzadka, ale nie niespodziewana.

Poza tym, mundur miał moc uciszania pytań; Prusy zapukał w drzwi z mosiężną tabliczką raz, mocno, natarczywie, a potem, nie czekając na odpowiedź, wszedł, zamaszyście otwierając drzwi.

– Co do... – Dyrektor Meier podnosił się właśnie zza biurka, wyraźnie wzburzony tym najściem, ale gdy tylko jego ciemne oczy padły na mundur Gilberta, natychmiast zesztywniał. Wyprostował plecy, dłonie założył za plecami i nieco wypiął pierś. Jego staromodny brązowy garnitur był mierną podobizną prawdziwego munduru. – Czym mogę... służyć, kapitanie...? Jeśli kapitan przypomni mi nazwisko...

– Gabriel Paccard – rzucił niedbale Gilbert, katem oka zauważając, że nazwisko wcale nie zdziwiło Lefevre'a. Niedobrze; a więc był zaznajomiony z treścią taśm, przemknęło Prusom przez myśl. Przynajmniej wiem, na czym stoimy.

– Tak, kapitan Paccard – Meier odkaszlnął. – Czy... czy coś nie tak w związku z orkiestrą?

– To już załatwione – Prusy machnął lekceważąco ręką. – Z tego co mi wiadomo, ptaszyna już pobiera lekcje w Königsbergu.

– Owszem, jedna z naszych nauczycielek zaoferowała, że pomoże się jej zaaklimatyzować – Meier wyglądał, jakby przełknął cytrynę. Najwidoczniej uważał to za zbędną fanaberię. – Tak... A pan to...?

– Pan Lefevre, mój współpracownik – ubiegł Gilbert, nim Lefevre zdołał otworzyć usta. Ten zmarszczył z niezadowoleniem brwi. – Jesteśmy tu w nieco innej sprawie, dyrektorze – Posłał Meierowi świdrujące spojrzenie. – Widział pan ostatnio Taurysa Laurinaitisa?

– Uczy tutaj – mruknął Lefevre zupełnie niepotrzebnie.

Oczy Meiera zwęziły się.

– W poniedziałek poinformował szkołę, że idzie na zwolnienie lekarskie – powiedział sucho, z wyraźną naganą. – Jest sobota, a do tej pory nie dostarczył dokumentów. Sekretariat nie może się do niego dodzwonić. Nie wiem, w co on sobie pogrywa.

Prusy wymienił długie spojrzenie z Lefevre'm; z obu stron pełne wzajemnej nieufności.

– Nikt nie miał z nim kontaktu? – zapytał Lefevre cicho.

– Panowie pytają, bo...? – Meier przesunął wzrokiem ku Gilbertowi.

– To mój dobry przyjaciel – odparł Gilbert gładko. – Niestety i u mnie kontakt urwał się kilka dni temu. Nie otwiera drzwi, więc postanowiłem zapytać tutaj, nim... rozumie pan, złożę zawiadomienie o zaginięciu na policji. Jeśli nie ma z nim kontaktu od poniedziałku... – zawiesił głos, pozwalając twojej twarzy ukazać zaniepokojenie.

Twarz dyrektora pobladła; z tego co mówił Litwa, nie dbał za bardzo o swoich pracowników, ale najwidoczniej perspektywa utraty nauczyciela nieco go poruszyła.

– Lauritis? – wymamrotał jakby do siebie. – Zaginięcie? Nigdy nie zapomina o dokumentach, faktycznie wydawało mi się to dziwne...

– Czy – Lefevre w końcu się odezwał. – Czy ktoś z personelu może coś wiedzieć?

– Jak już, to panna Walkenhorst – Meier otrząsnął się z zamyślenia. – Są... cóż, podobno parą – Jego brwi zmarszczyły się w wyraźnej dezaprobacie. – Ale jest poza miastem, w Königsbergu. Wzięła tydzień urlopu.

– Ktoś jeszcze? – Gilbertowi nie umknęło, jak Lefevre marszczy czoło, głęboko się nad czymś zastanawiając. – Inni nauczyciele?

– Mogą panowie popytać – Meier wzruszył ramionami. – Zaraz będzie przerwa, wszyscy będą w pokoju nauczycielskim. Tylko na litość boską, proszę tego nie rozgłaszać. Nie chcę, by dzieciaki zaczęły panikować.

– Lubiły go? – podchwycił Lefevre.

Dyrektor wzruszył ramionami.

– Pobłaża im, ot co. Zawsze mówiłem, że powinien pokazać im, kto jest autorytetem. Bez silnej ręki daleko nie zajdą.

Właśnie widzę, gdzie silna ręka zaprowadziła Litwę, pomyślał ironicznie Gilbert. Gdzieś tam, w tym pełnym przepychu domu w Sankt Petersburgu, który Iwan tak lubił, miał doskonałe warunki, by pokazywać, kto ma władzę i autorytet. A na swoje nieszczęście, Lit zawsze przekładał dobro innych nad swoje…

Pokiwał głową, nie pokazując żadnych myśli. Dyscyplina była niezbędna, by żołnierz w szeregu znał swoje miejsce; wspominając tę ptaszynę, dziewczynkę łkającą w ramionach Taurysa aż do momentu, gdy brakowało jej tchu, prawie omdlałą, gdy Litwa niósł ją na rękach do auta, Prusy pomyślał przelotnie, że niektórzy zdecydowanie mylą pojęcia.

– Dzięki – rzucił, odwracając się na pięcie. – Chodź. Pogadajmy z resztą.

Gdy wychodził na korytarz pewnym krokiem, uśmiechnął się do siebie. Mundur potrafił czynić cuda; Meier nawet nie pomyślał o tym, by przeszkodzić im w panoszeniu się po szkole.

Z ulgą stwierdził, że z ich węszenia nic nie wynikło. Lefevre wyglądał na rozczarowanego, gdy kolejno rozmawiali z innymi pracownikami berlińskiej szkoły; Taurys Laurinaitis był uprzejmym, ale stojącym z boku mężczyzną; wycofany, trzymał karty przy orderach, nie rozmawiał na prywatne tematy i nie integrował się z gremium nauczycielskim bardziej, niż było to konieczne. Ci ludzie niewiele potrafili o Litwie powiedzieć.

Pomijając jedną osobę.

– Pytajcie Annikę – Matematyk podrapał się po głowie. – Ona wie o nim najwięcej. Są blisko. Dać panom jej numer?

– Tak, proszę – Lefevre już wyciągał z kieszeni notesik; Gilbert szturchnął go i wymownie wskazał na zegar nad drzwiami pokoju nauczycielskiego. Urzędnik nieco zbladł, widząc, jak wskazówka mija dziewiątą. – Skonta…skontaktujemy się. Dziękujemy.

– Teraz nie mamy czasu – mruknął Gilbert do Lefevre'a, obserwując, jak drżą palce urzędnika, gdy małym ołówkiem zapisywał cyfry. – Zadzwonimy później.

Lefevre nie protestował; rzucił kolejne niespokojne spojrzenie na zegar, podziękował półgłosem za numer i ruszył szybkim krokiem za Prusami w kierunku drzwi wejściowych.

Nad ich głowami zadzwonił dzwonek – Prusy skrzywił się z powodu uciążliwego terkotu – a dzieciarnia, od lat dwunastu do osiemnastu, z wyraźną niechęcią zwlekła się z ławek porozstawianych na korytarzu, podłogi pod ścianami i szerokich parapetów okiennych; na ten ostatni widok Lefevre zmarszczył brwi z dezaprobatą.

– Dalej nie ma pana od muzyki? – zapytał jakiś chłopak, spoglądając na nauczycielkę; wokół niej zgromadził się wianuszek uczniów.

Ta, spłoszona, zerknęła na mijającego ją Gilberta i rzuciła coś pośpiesznie o dalszym zastępstwie. Jej głos nie brzmiał zbyt pewnie, ale uczniowie nie zwrócili na to uwagi.

Słysząc jęk zawodu, który wyrwał się z gardeł dzieci, Gilbert uśmiechnął się kącikiem ust. Może wcale nie jesteś takim beznadziejnym nauczycielem, za jakiego się uważasz, Lit?

Zamiast skierować się wprost ku drzwiom wejściowym, skręcił w prawo, w jeden z korytarzy.

– Dokąd idziesz? – Dobiegło go pozornie normalne pytanie.

Prusy zatrzymał się w pół kroku, oglądając się przez ramię. Niecierpliwym szarpnięciem wskazał na drzwi prowadzące do toalet.

– Odlać się – burknął. – Nie będę przecież szczał pod murem szkoły, jak pies. I nie zamierzam *tańczyć* przed führerem.

Lefevre poczerwieniał; nie mówiąc już nic, stanął przy drzwiach wejściowych i doniczce z paprotką, wpatrując się to w zegar, to w świstek papieru w swojej dłoni, tam, gdzie czerniły się cyfry. Prusy nie musiał ich zapamiętywać; dostał ten numer wcześniej.

Niekompetentny idiota, pomyślał. Ferenc na pewno żałuje, że nie powiększył obsady biura, gdy miał na to czas.

Wpadł do wyłożonej płytkami łazienki, odkręcił wszystkie kurki w kilku stojących w rzędzie kranach, a potem zaryglował się w jednej z kabin.

– Odbierz – warknął do sprechera, gdy już wykręcił numer.

Czekał; sekundy ciągnęły się jak stulecia.

– Spotkaliśmy się w mieszkaniu Taurysa Laurinaitisa – powiedział bez ogródek, gdy usłyszał pytanie. – Jeśli ci na nim zależy, na jego życiu, zdrowiu, wolności czy czymkolwiek związanym z jego żałosną osobą... posłuchasz mnie teraz bardzo uważnie, panno Walkenhorst.

Usłyszał tylko dźwięk opuszczonej, roztrzaskującej się na tysiące odłamków szklanki.

***

Zarośla wokół domu, które w pełni lata musiały być żywozielone, teraz przybierały żółtawy odcień i marniały w oczach; pod jej butami zaszeleściły suche, opadłe liście, gdy z duszą na ramieniu przemierzała ścieżkę, kierując się do drzwi wejściowych. Bluszcz pokrywający ściany zaczynał się czerwienić, co nadawało zaniedbanemu podwórku nieco urody; jakiegoś pierwotnego, dzikiego piękna.

Z jakiegoś powodu pomyślała o nienagannych ogrodach Charlottenburga; patrząc na kwitnący wrzos, skryty i zaduszany przez wysokie trawy, czekała, aż mieszkaniec tego miejsca odpowie na jej ciche pukanie, ale odpowiadała jej cisza.

Powinien być w domu, powtarzała sobie w duchu, przenosząc wzrok na odpryskującą farbę na drzwiach; drobinki zieleni odsłaniały naturalną barwę drewna. Powinien już skończyć pracę; już zmierzcha…

Miasteczko o tej porze było cichutkie; noc bardzo powoli rozsiadała się na dachach, zaparkowanych samochodach i ogrodach, przynosząc ze sobą mgłę, jeszcze delikatną jak wata, ale Erzsébet miała wrażenie, że ta już niedługo zgęstnieje i zmieni w mleko; to było jej na rękę, nie chciała, by ktokolwiek widział, że tu jest.

Ale szanse na to były niewielkie i bez gęstej mgły; odkąd wyszła z samochodu, zaparkowawszy go dla bezpieczeństwa kilka sennych uliczek dalej, nie spotkała nikogo

z mieszkańców; w ten październikowy, chłodnawy wieczór woleli skryć się w swoich domach niż wybrać na spacer.

Mijały kolejne minuty, a Węgry zaczynała tracić nadzieję; podniosła dłoń, by zapukać ostatni raz.

Bądź poprosiła. Nie musiałam tu przyjeżdżać, nadrabiać drogi, ale pomyślałam, że…

I wtedy coś wewnątrz trzasnęło i ku swojej uldze usłyszała męski głos, który szybko się przybliżał:

– ... jak te kurwy znowu będą chciały mnie nawracać, nie ręczę za siebie...

Mimowolnie uniosła kąciki ust; czyżby problemy z domokrążcami?

Białoruś zamaszyście otworzył drzwi, a jego oczy rozszerzyły się, gdy ujrzał ją na swoim progu. Szok minął jednak szybko; zmarszczył brwi, obrzucając ją spojrzeniem – od jej wysokich butów, spodni motocyklowych ze sporą ilością kieszeni, przez skórzaną kurtkę, dłonie w równie skórzanych rękawiczkach, aż po niepewny uśmiech i włosy spięte w ciasny kok.

Potem spojrzał jej w oczy; ledwo powstrzymała wzdrygnięcie, bo spojrzenie Nikolaia wyrażało czystą nieufność.

– Co za interesujący rok – mruknął z wyraźną rezerwą, nie czyniąc żadnego gestu, który by wskazywał, że jest tu mile widziana.

– Wiem – odparła cicho, nie przerywając kontaktu wzrokowego. – Dużo się dzieje, prawda? Mogę wejść?

– Zależy, kto cię wysłał.

Węgry westchnęła; takiej odpowiedzi się spodziewała. Lekko uniosła ręce, odwróciła wnętrzem dłoni ku niemu, jakby chciała pokazać, że nie ma w nich broni. Nigdy nie byli blisko, a fakt, że swego czasu była małżonką Austrii, jedynego z podbitych, który nie był pod jurysdykcją biura, a niekiedy wręcz zastępował Gilberta, wcale nie nadawał jej wiarygodności.

– Wspólni znajomi, Nikolaiu – szepnęła miękko. Gdy Białoruś uniósł brew, nie opuszczając gardy, dodała jeszcze ciszej, chociaż tutaj nikt nie mógł ich usłyszeć. – Jeden z nich wspomniał, że potrzebujesz pomocy w kwestiach prawa pracy. Brutto, netto, jeśli dobrze zrozumiałam?

Białoruś zmrużył oczy; potem cofnął się o krok i odwrócił na piecie; ruszył korytarzem, zostawiając drzwi otwarte. Węgry z ulgą wsunęła się do środka i podążyła za nim.

Znalazła go w kuchni; rozejrzała się dookoła, zdumiona i nieco zaniepokojona jej ascetycznym wyglądem; na blatach nie było absolutnie nic. Żadnego drobiazgu, talerza, maselnicy czy słoika, stół również był całkowicie pusty – tylko na kuchence stał stalowy, poczerniały czajnik.

– Też jesteś w to zamieszana? – Nikolai posłał jej ostre spojrzenie, sięgając do szafki kuchennej. Wyciągnął z niej dwie szklanki, a potem zatrzasnął drzwiczki. Nic więcej w środku nie było. – Mogłem się tego spodziewać. *Harbata*? Kawa wyszła.

– Poproszę – Węgry skinęła głową.

Białoruś, nie patrząc na nią, nalał wody do czajnika i włączył gaz. Dopiero wtedy opadł na drugie krzesło i posłał jej ostre jak odłamek szkła spojrzenie.

– Chyba wiem, skąd masz ten adres – rzucił. – Ekipa się nieźle rozrosła. Byłem przekonany, że to tylko ta pieprzona trójka... Co tu robisz?

Erzsébet powstrzymała się od wzdrygnięcia; ton Nikolaia był bardzo nieprzyjemny. Postanowiła postawić na szczerość.

– Jadę w Alpy – odparła spokojnie. – Pomyślałam... jeśli chciałbyś przekazać coś Katii... coś prywatnego... Albo...

W oczach Białorusi coś błysnęło; pochylił się ku niej, a ona wytrzymała jego spojrzenie i niespodziewaną bliskość.

– Prusy już nie robi za posłańca? – spytał, mrużąc oczy, ale dostrzegła, że wzmianka o siostrze go poruszyła; napiął ramiona, mocniej zacisnął szczęki. – Co wyście zrobili?

Erzsébet westchnęła i powoli zaczęła wyjaśniać sytuację; Białoruś zaklął paskudnie, gdy dotarła do znalezionych u Litwy podsłuchów i tego, jak uciekł z Berlina.

– Są teraz w Kursku – Węgry przymknęła oczy. – Węszą w sprawie... sprawie wojny, ale muszą trzymać głowy nisko.

– A Prusak gasi pożar? – Białoruś uniósł brew. Podniósł się, odwrócił do niej plecami i zaczął sypać herbatę do szklanek; czajnik zagwizdał ostro raz, nim Nikolai szybkim, niemal brutalnym ruchem wyłączył gaz. – I czego ode mnie oczekujesz? Że teraz rzucę wszystko i pójdę pomagać Letuwie wypić piwo, które sobie nawarzył? Niby czemu?

Spodeczek zadźwięczał, gdy położył przed nią szklankę z herbatą; przyciągnęła ją do siebie, patrząc na blade krople rozpryśnięte na stole.

– Dlaczego, że ci na nim zależy – powiedziała łagodnie, niemal czule. Ciepło przenikało przez materiał rękawiczek. – Wiem o tym. Poza tym, nie proszę cię o nic takiego. Po prostu... chciałabym, żebyś... żebyś był świadomy, że sytuacja nieoczekiwanie eskalowała. I może eskalować dalej. Zwłaszcza po tym, jak... jak ciebie odwiedzili. Jeśli potrzebujesz czegoś do obrony...

Nikolai wpatrywał się we własną szklankę; brwi miał zmarszczone, szczęki mocno zaciśnięte.

– W naszym gatunku zależenie na sobie na ogół nie przynosi nam niczego dobrego – odmruknął, ignorując drugą część jej wypowiedzi. – Zazdroszczę Polszczy. Ma rodzeństwo i ma je absolutnie w dupie.

– Nie ma – Węgry poczuła się zobowiązana usprawiedliwić przyjaciela. – Felek... bardzo by chciał mieć takie relacje. Ale... nigdy ani mu, ani Radmile i Jakubowi nie wyszło.

– Nie wyszło, co? – Białoruś zakpił. – Przynajmniej ma szczęście w miłości. On i Letuwa się zeszli, tak? – Gdy potwierdziła, Białoruś skinął głową z lekką satysfakcją. – Dobrze – stwierdził. – Skoro Felia potrafi już patrzeć na cokolwiek poza własną dupą, to może w końcu im wyjdzie.

– Taurys wydaje się szczęśliwy – Węgry uśmiechnęła się lekko. – Nie wiem, czy o tym z tobą rozmawiał, ale miał teraz gorszy okres. – Nikolai nie powiedział ani słowa, ale wyprostował się sztywno. – Obecność Felka bardzo mu pomaga.

– Mam nadzieję – ni to mruknął, ni to warknął Białoruś. – Jak znowu spierdoli, sam go właduję do grobu, z którego niespodziewanie wylazł. – Gdy Węgry spojrzała nań z niedowierzaniem, Białoruś wzruszył ramionami. – Co? – burknął. – Znam Letuwę od stuleci. Gdyby Polszcza złamał mu serce, *teraz*, on by się już z tego nie podniósł. Nie po tym wszystkim.

Podniósł głowę i wbił wzrok w Erzsébet; nagle miała wrażenie, że jego oczy sięgają aż do duszy, o ile ich gatunek ją posiadał; poczuła się odsłonięta i zaatakowana, ale wytrzymała to spojrzenie, rozumiejąc; ta ostra jak nóż groźba była w rzeczywistości starannie skrywaną troską.

– Waza – rzucił w końcu, z głęboką odrazą.

Węgry zamrugała.

– Co...? – zapytała zdumiona.

– Wiesz, co Iwan mu zrobił? – Białoruś dalej nie spuszczał jej z oczu.

To spojrzenie; ich oczy są tak podobne, nagle zdała sobie sprawę. Nie widziałam Iwana od lat, ale… nie, spojrzenie Rosji było miększe, ale to wcale nie znaczyło, że bezpieczniejsze. Jakby… jakby to wyraźne zagrożenie w oczach Białorusi było w jakiś sposób lepsze od tego rozmytego, mniej przewidywalnego niebezpieczeństwa…

– Felek mi powiedział – szepnęła, zagryzając wargi. – Niewiele, ale… dał mi jasno do zrozumienia, co się stało Taurysowi. I… jaki to ma na niego wpływ. Ciągle.

Przez pewien czas wydawało mi się, że te rany są zagojone, mówił jej smutnym szeptem Polska, gdy rozmawiali wieczorami. Taurys sam powiedział mi, że nie myśli o tych bliznach, że zapomina, że je ma, ale… ale to był plaster naklejony na ranę. Charlottenburg, komisja, stres, wszystko to, co się działo i one znów zaczęły krwawić. Metaforycznie, Erzsi, ale… to nie jest zagojone. I nie wiem, czy kiedykolwiek będzie.

Moje rany też nie są, zacisnęła wtedy mocno usta. Zaklejam je na siłę, na siłę zszywam, bo chcę funkcjonować normalnie. Czy… czy gdy będzie po wszystkim, gdy opadnie adrenalina, czy ja też znowu… znowu zacznę to przeżywać? Zmusiła się, by o tym nie myśleć; wróciła wzrokiem do Nikolaia.

Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że w oczach mężczyzny błysnął żal.

– Zaczęło się od wazy – powiedział cicho wypranym z emocji głosem. – Wielkiej, starej, zdobionej skorupy, prezentem chuj wie skąd, od chuj wie kogo. Stała przy kominku, pierdolone paskudztwo. Co chwila ktoś ją trącał, gdy przechodził albo dokładał do ognia. Wiedziałem, że prędzej czy później pójdzie w… – urwał, machnął dłonią. – To był zły czas. Car był wściekły, cały dwór był wściekły. Nie pytaj, za chuja nie pamiętam, o co chodziło, ale każdy… trwało to długo, kurwa, wszyscy byli o krok od wybuchu. Wanii też się to udzielało. Znasz go. Wiesz… – Nikolai zawahał się lekko. – że zawsze był… mniej stabilny.

Erzsébet skinęła głową ze ściśniętym gardłem. Nie była pewna, czy chce słuchać dalej, ale wyglądało na to, że Nikolai nie mógł się już powstrzymać; nagle zdała sobie sprawę, że i on przez te wszystkie lata był sam. Może jego język sam go teraz zdradzał.

– Wystarczył kamyczek, by runęła pierdolona lawina – Białoruś uśmiechnął się bez wesołości, kontynuując tę okrutną opowieść. – Raivis ją stłukł. Taurys wziął to na siebie.

Kretyn… Może myślał, że niewyparzona morda Łotwy tylko pogorszy sytuację. Może myślał, że jeśli uprzejmie się uśmiechnie i przeprosi, to wszystko rozejdzie się po kościach. Nie przewidział… że Wania był tego dnia tak stabilny jak… jak pierdolona wańka-wstańka – W umyśle Węgier pojawiła się kołysząca się zabawka; natychmiast zrozumiała aluzję. – Następnego dnia, gdy go widziałem – Białoruś odwrócił wzrok i uparcie wpatrywał się w okno, zarośnięte od zewnątrz bluszczem. – Nie był w stanie się wyprostować. A potem… potem to już poszło. Palił bandaże w piecu, po nocach.

– Wiedziałeś – szepnęła.

Śmiech Nikolaia był bardzo gorzki; odbił się od ścian prawie pustej kuchni.

– Każdy wiedział.

– Nikt nie…?

– Masz rzeczy, których sobie nigdy nie wybaczysz, Wienhryja? – Białoruś w końcu na nią spojrzał; gniew i żal mieszały się w jego fioletowych oczach. – Każdy ma – dodał po chwili, jakby do siebie, gdy wstrząśnięta Węgry skinęła głową. – Jak się siedzi w gównie wystarczająco długo, to się przestaje czuć smród. Dopiero, gdy wyjdziesz z gnojowiska, dopiero wtedy widzisz, jak głęboko w tym byłaś. I jak bardzo chce ci się z tego powodu rzygać.

Węgry odruchowo objęła się ramionami; przez krótki, bardzo krótki moment oczy Nikolaia były bardzo, bardzo szczere i bardzo udręczone; jakby tafla nieprzejrzystego, mlecznego jak mgła szkła rozbiła się, ukazując to, co siedziało pod spodem.

Baliście się, zrozumiała, samej zaciskając usta, gdy jej oczy zapiekły. Baliście się zareagować, że wy też możecie oberwać. Albo… albo tak długo tam tkwiliście, w tej spirali przemocy i władzy, że stała się ona normalnością, że myśleliście, że już tak musi być. A na dodatek… to był twój brat, ten, który zadawał te ciosy i gdzieś tam, jakaś odrobina twojego serca, wciąż…

– Taurys cię kocha – powiedziała cicho jedyne, co przyszło jej do głowy. Oto mężczyzna, którego znała jedynie z widzenia, z odległych rozmów przy stołach, nieufny, wulgarny, oschły pokazał jej maleńki fragment prawdziwego siebie. Nie tego się spodziewała, przychodząc tutaj.

– Doprawdy? – Nikolai zaśmiał się ochryple; rozbite szkło znów zasklepiło się w gładką taflę, za którą chował duszę. – Nie widzi świata poza Polszczą. Od wielu, wielu lat. Swego czasu wodził za mną oczami, ale to było stulecia temu, zmądrzał. Na szczęście. Pokaleczyłby się o mnie.

Nie wiedziała tego; zaskoczona, Węgry pokręciła głową.

– Nie w ten sposób – uściśliła miękko. – Ale jesteś dla niego bardzo ważny. Tak jak Raivis i Edward. Taurys martwi się o każdego z was.

– Gdyby tego nie robił, byłoby mu dużo łatwiej – szepnął Nikolai jakby do siebie. – Mówiłem mu, że sobie poradzę. Cholera.

Wstał, zostawiając na stole nietkniętą herbatę; podszedł do okna i zapatrzył się w bluszcz. Słońce wpadające do środka miało zielonkawą barwę liści; wyglądało tak, jakby Nikolai miał za moment zwymiotować, chociaż twarz wciąż miał ostrą i zaciętą.

– Zawsze taki był. Troszczący się bardziej o innych niż o własną skórę. Nie skarżył się na nic. – mówił beznamiętnie, ale Węgry już nie dała się oszukać. – I to chyba Wanię najbardziej nakręcało. – Potarł czoło, a jego głos nagle zniżył się do szeptu. – Letuwa nigdy nie był słaby fizycznie. Ale, kurwa, on prawie nie je, gdy się czymś stresuje. Zawsze tak było. A urabialiśmy się wtedy wszyscy po same łokcie, od świtu do nocy. Osłabł. A Wania zawsze miał siłę niedźwiedzia. Chyba... chyba to też go przybiło. Że nawet gdyby chciał stawić opór... gdy stawiał, bo on przekraczał kolejne granice... nic to nie dało. A ja... – urwał gwałtownie, zacisnął szczęki, a w jego oczach znów zabłysł gniew. – Kurwa mać.

Węgry opuściła oczy. Tafla herbaty lekko drżała, gdy Białoruś szybkim krokiem wrócił do stołu i opadł na krzesło.

– Katia – rzucił bezsilnie. – Pojedziesz do niej? Naprawdę?

– Nie chcę się ujawniać – szepnęła, rozumiejąc, że temat blizn Taurysa Laurinaitisa jest skończony. – Ale... wiadomość, przedmiot, mogę coś dyskretnie zostawić.

– Poczekaj tutaj – powiedział po chwili, wstając.

Zniknął w jednym z pokoi i wrócił dopiero po kwadransie, podczas którego Węgry sączyła w milczeniu zimną już herbatę. W dłoniach miał otwartą kopertę; w środku dostrzegła kartki zapisane drobniutką cyrylicą. I wydawało się jej, że widzi akapit w łacince.

– Daj jej to – powiedział cicho i zaskakująco miękko. – Zostaw pod drzwiami, w skrzynce, cokolwiek. Byle te kurwy z biura nie widziały.

Skinęła głową; schowała kopertę za pazuchą kurtki, przyciskając papier do serca.

– A gdybyś rozmawiała z Taurysem... – Nikolai zawahał się i przez moment wydawało się Węgrom, że cofnie swoje słowa, pokręcił głową i umilknie. – Że może... że może się myliłem. Że może dalej warto gonić. Zrozumie. A gdybyś miała okazję się z nim spotkać... – Przesunął coś płaskiego po blacie.

Gdy cofnął palce, Węgry sięgnęła po srebrzystą monetę. Przez chwilę wydawało się jej, że jest wadliwie wybita; nie było rewersu z nominałem. Zamiast tego po obu stronach widziała ten sam herb; wspiętego na tylnych nogach konia, z jeźdźcem na grzbiecie, unoszącym miecz tak, jakby wydawał rozkaz pogoni za wrogiem. Wybite litery były jednak inne; jednemu rycerzowi towarzyszyła łacinka, drugiemu cyrylica.

– Vytis i Pahonia – powiedział Nikolai z krzywym uśmiechem. – Możesz dodać coś tkliwego i sentymentalnego? Zawsze byłem w tym chujowy.

Zachichotała, czując pieczenie w kącikach oczu, wzruszona.

– Nie wiem, kiedy, ale na pewno do niego trafi – obiecała, chowając monetę w bezpiecznym miejscu.

Na ustach Nikolaia zajaśniał ostrożny, maleńki, ale prawdziwy, pozbawiony sarkazmu, ironii czy kpiny uśmiech. Nagle jego twarz stała się odrobinę mniej zamknięta – jakby uchyliły się zamknięte od wieków drzwi i zaczęło przeświwitywać przez nie światło – a on sam wyglądał nagle młodziej, radośniej i znacznie, znacznie spokojniej.

Węgry nie mogła nie odwzajemnić tego uśmiechu.

– Przekaż Felii pozdrowienia, Wienhryja. Jak już rozpierdoli cały ten grajdołek Weigla, niech wpadnie na wódeczkę.

Pokręciła głową z rozbawieniem; chłopcy.

– Trzymaj się, Fehéroroszország.

Białoruś miał rację w jednym; życie byłoby o wiele, wiele łatwiejsze, gdybyśmy się wzajemnie o siebie nie troszczyli, pomyślała. Ale… byłoby przy tym niezwykle smutne.

Poniewczasie zdała sobie sprawę, że przeprowadziła godzinną rozmowę z mężczyzną w jego domu i pożegnała się z nim uściskiem dłoni. I nie miała głowy, by się bać; były ważniejsze rzeczy.

***

Dusił się; świat był plątaniną rąk, szarpiących brudne ubrania i wbijających się w ściany, zostawiających ślady paznokci; miotaniem się i nieludzkim jękiem, jakby wszystko dookoła straciło nagle swoje człowieczeństwo; błaganiem, zduszonym oddechem, niekończącym się sykiem gdzieś ponad głowami...

Feliks przebudził się tak gwałtownie, że usiadł w pościeli; wpatrzył się przez siebie, czując, że serce próbuje wyrwać się z jego piersi.

– Sen – powiedział sobie łamiącym się szeptem, oddychając ciężko. Wstrząsnął nim mimowolny dreszcz. – Pierdolona Rzesza.

Jak atrament wylany na białe sukno; nie wszystko udało się zataić, plamy po wybielaniu propagandą pozostawały brudnoszare, brzydkie, skrzętnie omijane przez szkolne podręczniki; gdy jeden z nich wpadł kiedyś Polsce w dłonie, zupełnym przypadkiem, gdy szukał czegoś lekkiego do poczytania w księgarni, zapamiętał z nich suche, króciutkie notki na marginesach, bardzo oszczędne w słowa i liczby. Brakowało zer na ich końcach; za te mniejsze łatwiej było przepraszać.

Feliks wsunął palce we włosy, wzdrygając się. Długo nie miał takich snów, ale wspomnienia nie lubiły, gdy się o nich zapominało; rzeczy, których był świadkiem, znów dopadły go w snach. Winił alkohol, który pił podczas imprezy; gdy wrócili do pokoju po tym pełnym napięcia spotkaniu z Sanią, tym razem to Polska nie był w stanie zasnąć, miotając się w pościeli, z kręcącą się jak spadający helikopter głową.

Spojrzał w bok, ciesząc się, że nie obudził Litwy. Ten spał na boku, ze spokojem wymalowanym na twarzy. Starając się wyrzucić z głowy obrazy, dźwięki i zapachy, które sprawiały, że na ramionach Polski nadal tkwiła gęsia skórka, pochylił się nad ukochanym.

Ostrożnym, niezwykle delikatnym ruchem odsunął kosmyk włosów opadający na policzek, a potem przesunął palcem po ręce, od nagiego ramienia, przez łokieć – Licia miał tam trzy śmieszne, maleńkie pieprzyki, układające się niemalże w jednej linii, Feliks odkrył je z zachwytem poprzedniej nocy – aż położył swoją dłoń na dłoni Taurysa.

Zbliżał się świt, za oknem było szaro, brudno i pochmurnie, po szybie snuły się krople porannej mżawki; chociaż chciał wrócić pomiędzy te ramiona i wtulić się w męża, jakaś część Polski dalej czuła się nieswojo.

Cofnął dłoń, potarł ręce i westchnął. Mówiłeś, że wolałbyś sny niż czarne myśli, stwierdził w myślach. Może. Sam nie wiem, co jest gorsze, nie móc usnąć w ogóle czy budzić się po... po czymś takim.

Siedział jeszcze przez moment, ale szarość dookoła wydawała mu się o wiele gorsza, znacznie bardziej nieprzyjemna niż ciemności; zagryzł wargi i ostrożnie zsunął się z łóżka, a podłoga powitała chłodem jego bose stopy. Nie zamierzał budzić Litwy; potrzebował snu jak powietrza. Polska na palcach przemknął przez pokój, znalazł szlafrok i zarzucił na siebie, upewniając się, że pasek jest dobrze zawiązany.

Potem powolutku nacisnął klamkę, wysunął się na korytarz i zamknął za sobą drzwi tak cicho, jak tylko był w stanie.

Potrzebował hałasu i światła, chociaż na chwilę, i samotności; przemknął przez opustoszałe piętro, kierując się ku najbliższej kuchni. Gdy zalało ją żółte światło lampy, Polska odetchnął z ulgą. Zamknął za sobą drzwi, włączył czajnik elektryczny i, wsłuchany w jego narastający szum, usiadł przy stole. Jasność rozwiewała oparu snu, a ciepło kubka z herbatą pod jego palcami sprawiła, że w ciągu kolejnych minut jego oddech uspokoił się, a myśli złagodziły bieg.

Czasem tak znajdywał Litwę w jego kuchni; rozumiał doskonale niemożność pozostania w łóżku. Taurys miał swój sposób na wymuszenie snu, gdy dręczące go myśli próbowały go pożreć; ciężką, wycieńczającą pracę, która odbierała energię nie tylko ciału, ale i głowie.

Feliks skwapliwie korzystał z tej wiedzy, ale w znacznie bardziej przyjemny sposób – mimowolnie uśmiechnął się do siebie, bo ostatnich kilka wieczorów bardzo się starał, by Taurysa wykończyć. Nawet teraz, po tej imprezie z wczorajszego wieczora, gdy obaj byli zmęczeni, Polska przyciągnął Taurysa do siebie na sesje krótkich, ale intensywnych pieszczot przed snem; najwidoczniej podziałało.

Robił co mógł, by myśleć o przyjemnościach, ale obrazy z jego snu wciąż uparcie do niego powracały; zacisnął mocno palce na kubku.

Tyle milionów, pomyślał mimowolnie. Tyle... tyle spopielonych kości, bo tylko to zostało. Czasami śnią mi się całe pola takich kości, rozpadających się w pył, tak jak rozpadł się stary świat, i ludzie w mundurach, zbierający niedobitki z leśnych zagajników i pokazujący im nowy porządek świata...

Nie, wcale nie aż tylu. Owszem, poprzednia władza... ależ tak, pełna odpowiedzialność, ale liczby są znacznie zawyżone... Taka tragedia nie może się powtórzyć... zjednoczymy was, odrzucimy na bok stare języki, zwyczaje, obyczaje, bo czyż to nie one zderzały się ze sobą, iskrząc, aż wybuchały płomieniem? Czy tak powiedzieliśmy...? Nie, skądże, musieli państwo źle zrozumieć ministra... Proszę, w Dzień Zjednoczenia jesteśmy tu, by budować nową, lepszą przyszłość... Ludobójstwo wydaje się być zbyt mocnym słowem... Führer Claus von Stauffenberg wydał odezwę...

Feliks wzdrygnął się, podciągnął nogi i skulił się na krześle. Nie wiem, pomyślał smutno. To, co się potem z tym wszystkim stało... Ale od tamtego czasu w Europie nie było wojny, bo... bo nie było już granic. Nie wiem, czy powinienem w ogóle o tym

myśleć, ale… Rzesza najpierw przelała krew, a potem zaczęła zszywać ze sobą te wszystkie krwawiące organizmy i jakoś, jakoś zdołała to zatamować, nie z dobrych chęci, a z czystego wyrachowania.

Czy… czy w ogóle mam prawo tęsknić za światem przed nią, skoro… skoro?

Przymknął oczy, nie kończąc myśli, bo powodowała, że wzdrygał się i skrzywił z odrazy do samego siebie. Niewybaczalne zbrodnie, na tym zbudowano ten kraj… ale jeśli kolejne rzędy cegieł układano już lepiej, inaczej, bez przemocy, czy powinno się burzyć te mury, zrzucać cegły na głowy żyjących tu ludzi, którzy nie pamiętali już kładzenia fundamentów?

Ostatnim, czego Polska by chciał, były kolejne rozlewy krwi.

Odsunął od siebie kubek z wypitą do połowy herbatą, czując zimno panujące w hotelowej kuchni. Jesień była już tu w pełni, zima, zawsze szybko przychodząca na wschodzie, już wiała z horyzontu lodowatym wiatrem, a on pod cienkim, nieco dla niego za dużym szlafroku Taurysa – jedno z ubrań, które Litwa w panice zgarnął do torby, nim uciekł z mieszkania – nie miał właściwie nic.

Mimowolnie parsknął, nieco histerycznie, gdy dostrzegł na ciemnogranatowym materiale rudy, długi włos. Zostawił kubek w zlewie, nie kłopocząc się jego myciem i wrócił do pokoju; gdy wszedł do środka, zobaczył, że Taurys ma otwarte oczy.

– Obudziłem cię? – spytał z poczuciem winy Feliks, zsuwając z ramion szlafrok, gdy już uporał się z węzłem paska. Skóra do skóry; przylgnął do torsu Litwy, wcisnął się między jego ręce, ramiona w ramiona, uda w uda, splatając stopy i palce dłoni, pragnąc bliskości i ciepła. Może zbyt rozpaczliwie, by było to normalne.

– Coś się stało? – Litwa ucałował jego skroń, cudownie ciepły, rozleniwiony i bardzo senny. Rzadki, ulotny moment, w którym nie myślał jeszcze o tym, co się działo wokół nich; o Sanii i ludziach, którzy mu towarzyszyli, o zagrożeniu, o samochodzie porzuconym nad bagnistym brzegiem Haweli. O tym, co się stanie, gdy Annika i Uschi się dowiedzą.

Och; nie tylko one, zdał sobie nagle sprawę Feliks. Czy… czy Gilbert powie innym…? Gdy ja zniknąłem, obwieścił to wszystkim… A przecież byli jeszcze inni, na których Litwie zależało; Estonia, Łotwa… Białoruś. Na myśl o tym, że mieli dostać taki cios, serce Polski ścisnęło się boleśnie.

Niemalże ich widział. Raivisa, który by się rozpłakał; jego łzy zawsze były najszybsze. Edwarda, który zdjąłby okulary, by ukryć oczy za dłonią, nim łzy zaczną spływać po jego policzkach, po cichu. I Nikolaia; on by nie płakał. Nie powiedziałby też nic, po prostu by patrzył i tylko ci, którzy umieli zajrzeć za jego oczy, dostrzegliby ból.

Litwa w jego ramionach budził się, stawał się czujniejszy; Feliks czuł, jak jego mięśnie napinają się, gdy stres obejmuje go w posiadanie. Znikało to cudowne rozanielenie, które Polska tak kochał; miał nadzieję, że kiedyś będzie im dane spędzać tak całe dnie bez zmartwień i trosk.

– Feliksai…?

– Paskudne sny – odparł cicho, że ściśniętym gardłem. – Nie chciałem cię obudzić, przepraszam. Eee... postarajmy się jeszcze zdrzemnąć, dobrze?

Dłoń przesunęła się po jego własnych plecach, miękko, uspokajająco; Polska przymknął oczy. Ciepło, bliskość, ten delikatny dotyk; sam tak uspokajał Litwę, gdy było źle.

– Chcesz mi opowiedzieć? – zapytał Taurys cicho, znów obcałowując skroń i włosy Feliksa, maleńkie przypominajki „jestem tutaj dla ciebie". Polska mimowolnie słabo zachichotał.

– Koszmary wojny – odparł z nieco ściśniętym gardłem. – Paskudne... paskudne obrazy. I całe to tuszowanie. – Umilkł, oparł głowę o tors Taurysa i odetchnął, próbując przekonać siebie, że już w porządku. – Dawno mi się to już nie śniło – przyznał. – Trochę... trochę się nie spodziewałem. Musiałem na chwilę wyjść. Zrobiłem sobie herbatę. Rozumiesz, nie?

– Tak – odparła krótka, ale szczera odpowiedź; Feliks przymknął oczy i odetchnął.

Ale mimo obejmujących go ramion, mimo bijącego od Taurysa ciepła... mamrocząc przeprosiny, usiadł w pościeli, a dłonie Litwy osunęły się na kołdrę. Nie mógł. Po prostu nie mógł się teraz położyć i spać.

– Nienawidzę tej szarówki – wymamrotał słabo Polska. – Daj... daj mi chwilkę, ja...

Ciche pstryknięcie i przez zaciśnięte powieki Feliks ujrzał błysk złotego światła; Litwa musiał zapalić lampkę nocną. Uchylił powiek z ulgą; pokój wyglądał teraz znacznie przyjaźniej, światło było miększe i milsze.

– Lepiej? – Taurys też już siedział, usadowił się za nim, kładąc podbródek na jego ramieniu.

Polska westchnął, czując, jak ręce Taurysa otaczają jego tors, a dłonie splatają się na brzuchu. Odchylił się do tyłu, by znów oprzeć się o klatkę piersiową Litwy.

– Lepiej – odetchnął.

Siedzieli w milczeniu przez kilka minut; Feliks zerknął na zegarek. Do budzika nie pozostało już dużo czasu; raczej już nie położą się spać...

– Tauri – wyszeptał, gdy Litwa oparł głowę o jego szyję, przyjemny ciężar na barku, a słowa, w jego własnym języku, wypłynęły wprost z ogrzewanego bliskością serca. – Kochaj mnie, dobrze?

Taurysa nie trzeba było już namawiać. Polska przymknął oczy, czując, jak Litwa przyciska się do niego swoim ciałem, a dłonie wędrują dokładnie tam, gdzie trzeba i jak zmieniają się jego pocałunki; z delikatnych na mocniejsze, bardziej zachłanne; dokładnie tego Feliks teraz potrzebował.

– Žinoma, mano saulutė – wyszeptał Taurys, ustami wytaczając ścieżkę po feliksowej szyi.

Zamknął oczy, pozwalając sobie utonąć w dotyku i miękkich słowach.

***

I znów był tutaj, na siódmym piętrze; ignorując podążającego za nim Lefevre'a – ciekawe, czy robi to z własnej inicjatywy czy ktoś mu kazał, zastanowił się kolejny raz – Gilbert

wysiadł z windy. Miękki dywan uginał się pod jego stopami, a beznamiętnie oczy ważnych ludzi na portretach wydawały się go oceniać.

Drzwi były uchylone; widząc to wyraźne zaproszenie, Prusy wszedł do gabinetu Ferenca Weigla bez pukania, odkrywając, że dyrektor biura już tam był; wcisnął się między donice z roślinnością a duże okna, jakby chciał zniknąć w tej dżungli. Był nawet bledszy niż w nocy, a na jego skroni perli się pot. Wpatrywał się w śnieżnobiały dywan, od czasu do czasu unosząc przerażone spojrzenie na siedzącego za biurkiem Najwyższego Wodza.

Posada dyrektora została powołana tylko po to, by ktoś na tym stanowisku zajmował się wszystkim, na co Prusy nie miał czasu ani chęci – logistyką relokacji, oficjalnymi wnioskami o mieszkania, załatwianiem nowych dokumentów dla personifikacji i całą resztą papierologii.

Bezpośredni kontakt z führerem co prawda wchodził w zakres obowiązków, ale Gilbert był w stanie policzyć na palcach jednej ręki sytuacje, w których rzeczywiście do niego dochodziło – nadrzędna zasada mówiła „nie zawracajcie mu głowy nieistotnymi rzeczami".

Cztery lata na ciepłej posadce, pomyślał z lekką pogardą. Cztery lata wychodzenia pierwszemu z biura i pobierania wysokiej pensji za milczenie; niech zrozumie, z czym w ogóle ma do czynienia.

Przesunął spojrzeniem na drugą stronę pokoju i zaklął w myślach.

Przy regale z globusem stał obcy mu mężczyzna. Prusy obrzucił wzrokiem jego krótkie, jasne włosy, niebieskie oczy, szczękę pokrytą szczeciniastym, dwudniowym zarostem i wyszczerzone w uśmiechu zęby, a potem skupił się na ubraniu.

Biała koszula, dobrze dopasowane granatowe marynarka i spodnie plasowałyby tego człowieka w szeregu niezliczonych urzędników i polityków, którzy przemierzali niższe piętra, gdyby nie pewna sztywność ramion i karku i coś zaskakująco spokojnego w oczach – jak na kogoś, kto w sobotni poranek znajdował się w biurze najważniejszego człowieka w kraju.

To nie jest cywil, coś krzyknęło ostrzegawczo za oczami Gilberta.

Niechętnie spojrzał przed siebie; na hebanowym, ogromnym biurku leżały otwarte papierowe teczki. Nad nimi jaśniał chłodny, niesięgający oczu uśmiech Ferenca Weigla.

– Jak wyglądał Feliks Łukasiewicz, Gilbercie?

Nie przerwał kontaktu wzrokowego, nie spojrzał na Lefevre'a, który wciągnął ostro powietrze. Nie mógł sobie teraz na to pozwolić. Odpowiedź musiała być natychmiastowa, a głos pewny.

Brak zdjęć, stare rysopisy podarte na kawałki, rozpływający się papier w zimnych wodach Sprewy. Włosy w prysznicu.

– Jasny blondyn, ścięty dotąd – Dla zilustrowania lekko uderzył wyprostowaną dłonią w okolice ucha. – Wysoki, metr dziewięćdziesiąt parę, postawny, zwalisty jak niedźwiedź. Nieco garbaty nos.

Führer zmarszczył brwi, ale skinął głową, nie ukazując emocji. Prusy ledwo powstrzymał się od złośliwego uśmiechu. Umiejętność kłamania w żywe oczy bardzo się w życiu przydaje, zwłaszcza przy führerach, pomyślał. Kątem oka zobaczył, jak Lefevre opuszcza ramiona, wydając się być nieco rozczarowany.

Dyrektor nigdy nie widział Feliksa, Eva też nie, chłopcy również; każde z nich zaczęło pracować w biurze zaledwie przed trzema laty. Ferenc musiałby sięgnąć po starych pracowników, ściągnąć żołnierzy, którzy wówczas Gilbertowi towarzyszyli; a czy oni byliby w stanie podać od ręki rysopis jakiegoś człowieka, którego widzieli dekadę wcześniej?

Istniał cień szans, że ktoś z sąsiadów Litwy mógłby się wypaplać, ale na tę chwilę nikt nie mógł tego sprawdzić – i tego Prusy zamierzał się trzymać.

Sądząc po tym, jak führer zastukał palcami w biurko, patrząc posępnie na dokumenty, on również zdawał sobie sprawę z tej luki.

Pobiegajcie sobie chwilę za duchem Bragińskiego, pomyślał mściwie Prusy. W teorii on i Łukasiewicz są rodziną… Świetny sposób na wkurzenie Feliksa; zobaczył oczyma wyobraźni, jak oczy Polski rozpalają się płomiennym oburzeniem za takie insynuacje…

– Pozwól, że zanim zaczniemy – Ferenc przerwał milczenie konwersacyjnym tonem, jakby ignorując to, że właśnie próbował zaskoczyć Gilberta. Wskazał dłonią na nieznajomego mężczyznę. – Pomyślałem, że w tej delikatnej sprawie przyda nam się wsparcie. To Aidan Kölzow, mój serdeczny przyjaciel.

Prusy nie był na tyle głupi, by wierzyć, że jakikolwiek führer miał przyjaciół. Stawka zawsze była zbyt wysoka; był niejasno świadomy siatki sojuszów, przysług i długów, jaka rozciągała się w parlamencie w tylko jednym celu – wyłonić spomiędzy siebie następcę, gdy Ferenc Weigel kopnie w kalendarz.

Posłał krótki, pełen zębów uśmiech Kölzowowi, zastanawiając się, kim, do jasnej cholery, ten człowiek jest.

Ochrona? Służby specjalne? Ferenc musiał mieć go pod ręką, skoro ściągnął go w godzinę od otrzymania informacji od dyrektora… Niedobrze; z niekompetencją Prusy radził sobie doskonale, ale wyglądało na to, że teraz będzie miał do czynienia z profesjonalistą.

– Do usług, panowie – Kölzow skinął głową, błyskając zębami. Miał w sobie coś niepokojąco cwaniackiego.

Prusy nie odpowiedział, oczekująco wpatrując się w mężczyznę za biurkiem. Wszyscy poza führerem stali, a poza jednym krzesłem naprzeciwko nie było innych miejsc siedzących. Gilbert bezceremonialnie złapał za oparcie, odsunął krzesło i usiadł, założywszy nogę na nogę.

Oczy wodza zwęziły się lekko; on i Prusy byli teraz na tym samym poziomie. Nie zapominaj, że nie jestem podnóżkiem, Ferenc. Mam pełne prawo siedzieć naprzeciwko ciebie, jak równy z równym.

Zagrajmy w szachy…

– Mamy problem, mein Führer – powiedział cicho, bo formalnościom musiała stać się zadość. – Zgodnie z procedurą Tarpan, biuro informuje oficjalnie o zniknięciu Taurysa Laurinaitisa i oczekuje dalszych rozkazów.

– Jeszcze niedawno zapewniałeś mnie, że Taurys Laurinaitis to spokojny człowiek – zauważył Ferenc równie cicho. – Interesujące, nieprawdaż, Gilbercie?

Ziemia grobu, który sobie wykopał, zaczynała usuwać się spod jego stóp; nie zamierzał wpaść w tę ziejącą ciemnością, zimnem i brudem dziurę.

– Tak – odparł bez zmrużenia oka. – Takie sprawiał wrażenie przez wiele lat.

W gabinecie zapadła napięta cisza; Gilbert mógł usłyszeć kroki i przytłumione rozmowy z piętra niżej i cichy trzask zamykanych drzwi na tym samym poziomie. Ale będziesz na mnie wściekły, pomyślał nagle. Siedzisz pewnie na drugim końcu tego korytarza i nie masz pojęcia, co się dzieje, nie?

– Doszły mnie ciekawe wieści – Ferenc nie spuszczał go z oka. – Laurinaitis znika bez śladu… a niejaki Łukasiewicz żyje, mimo że dziesięć lat temu – Przewrócił niedbale kartki w jednej z teczek. – Odnotowaliśmy jego śmierć i urządziliśmy mu pogrzeb z państwowych pieniędzy. Co o tym sądzisz, Gilbercie?

– Sądzę – odparł Prusy bardzo cicho, walcząc z pokusą odwrócenia wzroku. – Że Łukasiewicz nas oszukał.

– Pan Laurinaitis też? – Ferenc uniósł brew. – Panie Lefevre, taśmy.

Ten wystąpił do przodu, grzebiąc w kieszeniach marynarki. A więc miałeś je przy sobie, śmieciu, Gilbert obserwował go w milczeniu. Wiedziałem, że trzeba było cię wypchnąć z helikoptera gdzieś nad jakimś pustkowiem… Taśmy rozsypały się na biurku.

Führer otworzył jedną z szuflad hebanowego biurka, wyciągnął na blat niewielki odtwarzacz i nieśpiesznie włożył do środka pierwszą szpulę.

– Pozwoliłem sobie przesłuchać nagrania z ostatnich wizytacji – Ferenc mówił spokojnie, zajęty uruchamianiem urządzenia. – Dobrze, że dostałeś nowy sprzęt, Gilbercie, te przerwy były irytujące.

– Już dawno o niego prosiłem – Prusy posłał wymowne spojrzenie dyrektorowi, który dalej próbował wtopić się w tło. – Mein führer… – Wziął głęboki oddech. – Proszę o wybaczenie.

Palce Weigla znieruchomiały; uniósł oczy i po długiej chwili skinął głową.

– Powiedz mi, co dokładnie mam ci wybaczyć, Gilbercie.

Coś w Prusach zazgrzytało jak nienaoliwiony mechanizm; jak on nienawidził tego ciepłego, protekcjonalnego tonu.

– Okłamałem cię – Skłonił głowę, świadomy spojrzeń palących mu kark. – Gdy planowaliśmy… zmiany w działaniu biura… – urwał, zerkając na Kölzowa nieufnie.

Ferenc machnął dłonią.

– Jest wtajemniczony. Kontynuuj.

Jeszcze gorzej; Gilbert grał dalej swoją rolę.

– Gdy wybieraliśmy pierwszych rezydentów Domu Jesiennego – uściślił, modląc się do Boga, by to podziałało. – Chciałem zostawić Laurinaitisa w Berlinie. Od dłuższego czasu

miałem podejrzenia, że coś kombinuje, jednakże nie miałem namacalnych dowodów. To nieufny człowiek, w szczególności w stosunku do mnie – powtórzył to, co mówił Lefevre'owi w hotelowym pokoju. – Obawiałem się, że wysłanie do pod stałą obserwację sprawi...

– Że nie dowiesz się nic – dokończył Ferenc spokojnie. Położył między nimi odtwarzacz i pochylił się, spoglądając Gilbertowi w oczy. W jego brązowych oczach tkwiła nienaruszalna pewność, że to on rzuca kośćmi. – Pan Lefevre mnie o tym poinformował.

Gilbert pochylił głowę. Prędzej czy później ukręcę mu łeb, pomyślał zirytowany. Polska może mrugać do Francji, Litwa gubić klucze, to ja też mogę popełnić błąd i potem żyć z jego konsekwencjami, gołąbeczki.

Ciekawe, czy wsadziliby go do paki za morderstwo? Przed wojną, podczas której cicho zamieciono ich istnienia pod dywan, władza robiłaby wszystko, by nikt Prus nie skazał; nie godziło się wrzucać symbolu do celi.

Swojego symbolu; te podbite to była inna sprawa.

– Nie byłem świadomy, że Litwa jest nie tylko pod moją obserwacją – powiedział cicho. – Popełniłem błąd, nie uzgadniając moich działań z wodzem. Czy te taśmy... – Zawiesił wzrok na odtwarzaczu. – Co na nich jest? To nie są szpule z mojego dyktafonu.

– Dwa tygodnie prywatnego życia Laurinaitisa – wyjaśnił führer oleistym głosem. – Dzięki uprzejmości pana Lefevre'a... – Posłał urzędnikowi spojrzenie pełne aprobaty; ten wyprostował się jak struna, czerwieniejąc na policzkach. – Mogłem mieć wgląd w to, co robi Laurinaitis, gdy ty jesteś daleko, Gilbercie. Nie zdziwiło cię pytanie, które ci zadałem, gdy tu wszedłeś?

– Zdziwiło. Ale teraz rzeczy zaczynają układać się w całość – Prusy skrzywił wargi. – Laurinaitis nie miałby odwagi działać samodzielnie przeciwko nam. Jest na to zbyt tchórzliwy, zbyt... złamany. Podejrzewałem, że ma jakiś kontakt, który go podburza. Ciężko było uwierzyć, że to Polen. Nigdy nie udało mi się na niego natknąć ani skłonić Litwy do zdradzenia czegoś więcej, ale w końcu stało się dla mnie jasne, że to on.

– Jak to się stało, że Feliks Łukasiewicz cię oszukał? Widziałeś jego ciało.

Prusy zacisnął szczęki; kostnica, strzecha jasnych włosów i Litwa lecący mu przez ręce. Musnął spojrzeniem rozłożone na stole akta. Procedury były wtedy w powijakach, ledwie szkice... Gdy sprawdzał akta Łukasiewicza, upewnił się, czego jeszcze w nich nie ma.

– Nie widziałem – odparł. – Wysłałem ówczesnego dyrektora do kostnicy – Zerknął znacząco na aktualnego dyrektora; ten dalej stał pod ścianą cicho jak mysz pod miotłą. – Jeśli doszło do jakiegoś oszustwa, najpewniej tego nie zauważył.

– Rozumiem – Ferenc wyprostował się w skórzanym fotelu. – Zgodnie z protokołem Tarpan, przejmuję dowodzenie – powiedział sucho. – Kölzow.

– Tak jest? – Mężczyzna uśmiechnął się uprzejmie. Prusy miał ochotę obić mu tę niedogoloną mordę.

– Po spotkaniu oczekuję, że przekażesz zgromadzone dane o Laurinaitisie policji. Rysopis, odciski palców, wszystko, co znajdziesz w aktach i uznasz za pomocne w poszukiwaniach. Niech działają dyskretnie. Zawęzić okrąg właściwych poszukiwań do

Berlina i sąsiadujących landów, na początek, z odpowiednią informacją do wydziałów w całym kraju.

– Jaki status?

– Zaginiony, na tę chwilę – Führer przerzucił kartki; w oczy Gilberta rzuciła się blada twarz Taurysa na zdjęciu wykonanym podczas komisji. – Jeśli to się zmieni, niezwłocznie cię poinformuję.

Coś w Gilbercie odetchnęło z ulgą; a więc policja nie dostała zezwolenia na użycie przemocy. jeszcze. To dużo ułatwiało.

– Jawohl!

– Coś jeszcze byś dodał, Gilbercie? – Ferenc znów skierował ku Prusom swoje spojrzenie.

– Strój. Zawsze nosi się na ciemno. Zazwyczaj czerń, od czasu do czasu jakieś inne kolory. Zawsze koszula, często marynarka, spodnie w oficjalnym kroju. Włosy zwykle rozpuszczone. Jeździ czarnym volkswagenem, model z dwa tysiące siódmego. Rejestracja... – Gilbert zmarszczył brew, udając, że próbuje sobie przypomnieć. – Jest w papierach.

Jeden ruch dłoni; zdjęcie tablicy rejestracyjnej i samochodu Taurysa. Kölzow skinął głową.

– Wracając do jego zniknięcia – Ferenc westchnął, przesuwając palcami po włączniku i posyłając tym razem surowe spojrzenie w kierunku Lefevre. Triumf urzędnika spełzł z jego ust. – Czy zachował pan odpowiednią ostrożność?

– Wydawało mi się, że tak – zająknął się Lefevre, po raz pierwszy od początku tej rozmowy tracąc pewność siebie. – Czy... czy sądzi führer, że... że odnalazł dyktafon i... i dlatego uciekł?

Prusy uniósł brew.

– Gdzie go umieściłeś? – zapytał. Gdy otrzymał odpowiedź, spojrzał na urzędnika z mieszaniną zdumienia i politowania. – Pod stołem? Dziecko by to znalazło, idioto – rzucił, nie przejmując się uniesioną brwią Ferenca. Trochę świętego oburzenia doda mu autentyczności.

Mimowolnie zerknął na Kölzowa; nim ten przybrał kamienną twarz, Prusy zdołał uchwycić błysk niedowierzania w oczach; a więc podsłuchy nie są mu obce. Szpicel?

– Ja pierdolę. Dobrze, że nie schowałeś mu tego w lodówce... Mówiłem ci – syknął, lekko unosząc się z krzesła i rzucając Lefevre'owi wściekłe spojrzenie. – że mi go spłoszysz swoją niekompetencją...!

– Panowie – Ferenc uniósł dłonie w pojednawczym geście, a oni natychmiast umilkli niczym skarcone dzieci. Niech ma, pomyślał Prusy. Niech ma wrażenie, że to on kontroluje sytuację. – Od tej pory... musimy współpracować. Popełniliśmy błąd, nie konsultując ze sobą swoich działań – powiedział łagodnie. – Jak rozumiem, Gilbercie... chciałeś wkraść się w jego łaski?

Przesunął po biurku kolejną fotografię; skórę pleców szpeciła siatka blizn. Dyrektor, który na chwilę pochylił się nad biurkiem z ciekawością, nagle zbladł i gwałtownie

się cofnął; słabeusz, pomyślał Gilbert z pogardą, nim znów wyrzucił tego człowieka z pamięci.

– Powiedz mi – Führer zastukał palcami w zdjęcie. – Skąd wzięły się te ślady i czego, ... pozwól, że zacytuję... Litwa „tak kurewsko się wstydzi"?

Własne słowa w ustach Ferenca brzmiały obco; myśli Gilberta galopowały jak szalone. Potrzebował całej swojej siły woli, by powstrzymać się od spojrzenia na Lefevre'a.

Akta zmodyfikował lata temu i gdyby nie rozmowa, którą przeprowadził z Taurysem w tamten pamiętny piątek, może zdołałby się wyłgać; dalej wciskać kit o wykolejonym pociągu.

O pociągu, który zmienił się w płonące tony stali i drewna, z którego Litwa z trudem się wydostał; o złamanej dumie i wstydzie, że nie odniósł ran w walce z wrogiem w obronie swojego nędznego, bałtyckiego kraiku, tylko w prozaicznym wypadku; umysły ich gatunku bywały pokręcone.

Może Ferenc nie drążyłby tematu; jego ojciec był w tamtym pociągu, który wykoleił się w Generalnym Gubernatorstwie, krótko po zamachu Clausa, kiedy cała Rzesza była w rozsypce. Jeszcze pierwsze publikacje o trzecim führerze wspominały tę tragiczną historię; potem biografie umilkły, ale Prusy takich rzeczy nie zapominał.

Ale nie mógł pójść w tę fantazję; dowody na jego kłamstwo leżały pod palcami führera.

– Aby wkraść się w jego łaski, obiecałem zmodyfikować jego akta – powiedział głucho.

Lefevre wydał z siebie głuchy dźwięk; jakby nie mógł uwierzyć, że Gilbert sam się przyznał do takiej manipulacji.

Palec Ferenca wcisnął przycisk.

– A odpowiadając na twoje pierwsze pytanie, Lit, przyszedłem sprawdzić, czy się pogrążasz w otchłani rozpaczy, skoro Polen znowu wybył w niebyt po tym, jak sądzę, rajskim tygodniu miodowym, czy też nie.

Własny głos brzmiał dziwacznie na nagraniach; Gilbert skrzywił się.

– Wiesz, gdzie jest Polska?

– Nie. Wiem, że przebywał w jego mieszkaniu kilka dni, a potem je opuścił, ale nie wiem, dokąd się udał. Laurinaitis nie chciał udzielić mi tej informacji. Miałem nadzieję, że go zmiękczę.

Pstryk.

– Iwan też zadawał to pytanie.

Na taśmie Litwa brzmiał na jeszcze bardziej bez życia niż w rzeczywistości.

– Nie waż się mnie nawet porównywać do tego sukinsyna. Może i mamy trochę wzajemnych zaszłości, Lit, ale to nie ja zdeptałem ci osobowość. To to cię znowu męczy? Od kiedy? Zaraz...

– Dlaczego „wypadek"?

– Dlatego, że wiem, jak kurewsko się tego wstydzisz.

I to jest to, dokładny cytat; Prusy bardzo chciał teraz zazgrzytać zębami. Zachciało mi się ludzkich odruchów; trzeba było zostawić tego potępieńca samemu sobie, pomyślał, żeby się utopił we własnej rozpaczy.

– To tylko blizny...

– Obaj wiemy, że nie o blizny chodzi, Blizny, Narben, rāmbai, randai, nazywaj sobie to jak chcesz. Blizny są bliższe naszemu rodzajowi niż rodzina. Gdyby to były blizny z walki, nie miałbyś nic przeciwko, by to było w aktach, do których te konowały miały dostęp. A może się mylę? – Długa cisza – *Wypadek był pierwszą rzeczą, która przyszła mi wtedy do głowy. Nie sądziłem, że ktoś będzie drążył temat*.

Ferenc wyłączył odtwarzanie.

– Kim jest Iwan? – zapytał Lefevre, gdy milczenie się przedłużyło.

– Iwan Bragiński, Rosja.

– Rosja... poza Rzeszą, też są...?

– Jesteśmy wszędzie – Prusy posłał urzędnikowi spojrzenie pełne politowania, nim znów zwrócił się do milczącego führera. – Wodzu, Bragiński jest bezpośrednią przyczyną blizn Laurinaitisa i jego traumatycznych doświadczeń, które go złamały. Uznałem, że najlepszą metodą zdobycia jego zaufania jest współczucie – Lekka kpina w jego głosie; w Rzeszy nie było miejsca na słabość. – Chyba podziałało, bo ostatnimi czasy zaczynał się otwierać.

– Rozumiem – tyle Ferenc miał do powiedzenia. – Posłuchajmy dalej.

– ...Skoro Polen już się przeprowadził do twojego łóżka, zamiast gnić na tej starej kanapie. Jak się wam razem śpi, co?

Lefevre był nieco fioletowy; Gilbert skrzywił się. To tyle z tej przykrywki z Anniką, pomyślał. Przynajmniej wie, co ma mówić.

– Ci dwaj...? – Ferenc szukał potwierdzenia w jego oczach.

– Chyba tak – odparł niechętnie. – Próbowałem udawać dobrego przyjaciela, popchnąć go w tym kierunku... zakochani nie myślą. Miałem nadzieję, że jakoś się zdradzi, w końcu pozwoli mi się zobaczyć z Polską, ale ktoś przerwał mi w połowie – Rzucił kolejne ostre spojrzenie Lefevre'owi; ten aż podskoczył.

– Więc ta nauczycielka... to przykrywka?

– Albo Litwa gra na dwa fronty, nigdy nie był wybredny – Gilbert wzruszył ramionami. Dyrektor, o którego istnieniu Prusy zdążył znowu zapomnieć, lekko się zakrztusił. Kölzow chyba wydał z siebie cichy chichot.

– Nauczycielka? – Ferenc spojrzał na Lefevre'a pytająco.

– Annika Walkenhorst. Uczy literatury, inni nauczyciele są przekonani, że ona i Laurinaitis się spotykają – wyrecytował Lefevre natychmiast.

– Przesłuchaliście ją?

– Jest w Königsbergu.

Ferenc skinął głową, sięgając po notatnik; zapisał coś nieśpiesznie i wrócił wzrokiem do Gilberta. Już wolałem tonąć, pomyślał nagle Prusy. Ta rozmowa trwa już zbyt długo, a nie jesteśmy nawet w połowie.

Przez kolejne minuty słuchali o Uschi; gdy Ferenc zażądał wyjaśnień, Gilbert powiedział dokładnie to samo – pomoc, by Litwa był bardziej skłonny mu zaufać.

– Dziecko jest w tej sprawie nieistotne – Führer pokręcił głową, gdy Gilbert streścił to, co działo się w domu Tauschów. – Słuchałem tego fragmentu. Już rozumiem, czyj kobiecy głos słyszałem... Jeszcze jedna rzecz. Kölzow.

– Tak jest?

Stał tam, w gotowości, nie zdradzając żadnym grymasem, że przeciągające się rozmowy go nużą; przeniósł wzrok z wielkich okien i uśmiechnął się kącikiem ust.

Gilbert znów poczuł chęć, by go uderzyć.

– Słuchaj uważnie.

Pstryk.

– *Gris*.

– *Odbieraj*.

Gilbert odruchowo się napiął, ale z radością odkrył, że Morse nagrał się na dyktafon tak źle, jak tego oczekiwali z Taurysem, gdy odkryli podsłuch pod stołem; co trzeci... nie, co czwarty dźwięk... I gwizdanie, którego twórcy nie można było rozpoznać, też było poszatkowane; z każdą sekundą radosna twarz Kölzowa ciemniała, a jego brwi się marszczyły.

– Da się coś z tego odczytać? – zapytał Ferenc, a niezadowolenie było doskonale słyszalne w jego głosie; Lefevre nieco się skulił.

– Mówiąc szczerze, mein Führer... będzie ciężko. Gdyby to nie był Morse... – Kölzow potarł podbródek.

– To nic – Ferenc westchnął. – Co to jest „gris”? – zapytał, wymownie patrząc na Gilberta.

Ciężko było mu się nie uśmiechać; nie było tak źle. Szczęście w nieszczęściu, że nagrania powstały już po wyjeździe Polski. Prawdopodobnie nie mają na tyle dowodów, by oskarżyć o coś Erzsébet, a dopóki nie rozpracują źle nagranego Morse'a, sprawa Antonia nie wypłynie...

Ale miałbym przejebane, gdyby się okazało, że mój własny starszy braciszek go ukrywa, pomyślał wesoło. Christian, wiszę ci butelkę dobrego wina, kiedyś je wspólnie obalimy...

– Kod – odparł. – Litwa szyfruje te wiadomości. Jak dotąd, nie udało mi się ustalić, czego używa.

Kolejna zapiska na marginesie; Ferenc westchnął, odkładając na bok pióro wieczne, elegancki przyrząd w czarno-czerwonej obudowie, z maleńkim orłem i jeszcze mniejszą swastyką w jego szponach.

– Myślę, że wiem już wszystko – powiedział cicho. – Proszę o uwagę.

Wszyscy, cała czwórka, automatycznie się wyprostowała, bo takim prośbom się nie odmawiało.

– Gilbercie, Antonie – Prusy niemalże podskoczył, ale zaraz potem przypomniał sobie, że to imię Lefevre'a. – Udacie się niezwłocznie do Königsbergu i przesłuchacie pannę Walkenhorst w sprawie jej kontaktów z Taurysem Laurinaitisem i wrócicie do mnie z raportem.

Gilbert wolno skinął głową. Lefevre wyglądał na zdeterminowanego, ale jego dłonie były wilgotne; Prusy z obrzydzeniem zdał sobie sprawę, że czuje zapach potu.

– Następnie zajmiecie się poszukiwaniami Taurysa Laurinaitisa, wykorzystując zgromadzoną przez siebie wiedzę – Weigel świdrował ich wzrokiem. – Oczekuję raportów co trzy dni i współpracy z policją.

– A... a wizytacje? – wyjąkał dyrektor biura, piąte koło u wozu.

– Pan Kölzow je przejmuje.

Prusy wyprostował się na krześle; kurwa, pomyślał.

– Panie Červenka – Dopiero po kilku sekundach Gilbert zorientował się, że to nazwisko dyrektora, równie nieistotne, jak on sam. – Proszę w trybie natychmiastowym przydzielić panu Kölzowowi godnych zaufania oficerów, by mógł zacząć od poniedziałku. Kontakt krótkoterminowy. Obecnych odesłać na urlop do odwołania.

Zabrałeś mi Jannika i Dumitrescha, uzmysłowił sobie Gilbert z czystym oburzeniem. Ty sukinsynie…

Kölzow pochylił głowę; uśmiech nie opuszczał jego ust, nieco szelmowski, a na pewno irytujący.

– Nie zawiodę, mein Führer.

Prusy wstał, wiedząc, co powinien zrobić; wyprostował się sztywno, pochylił głowę, przyjmując rozkazy.

– Przyprowadzę ci go, żywego lub martwego – szepnął.

– Liczę na to – Ferenc uśmiechnął się jasno, jak dobrotliwy dziadek, ale jego oczy wciąż były zimne. – A, jeszcze jedna prośba, Gilbercie.

Mimowolnie zrobiło mu się zimno.

– Słucham.

– Pan Kölzow potrzebuje narzędzia komunikacji ze mną, biurem i resztą personifikacji. Mógłbyś pożyczyć mu swój sprecher?

Prusy zacisnął szczęki i bez słowa sięgnął do kieszeni. Potrafił rozpoznać rozkaz, z którym nie można było dyskutować.

Lefevre starał się ukryć grymas triumfu; szło mu to beznadziejnie.

– Jawohl – powtórzył cicho Gilbert, wciskając oficjalny sprecher do dłoni Kölzowa. Ten wyszczerzył się ku niemu łobuzersko.

– Danke, Herr Preußen.

Nie był jeszcze na straconej pozycji, bo inaczej Ferenc zażądałby rewizji osobistej; lód pod jego stopami był kruchy, ziemia z krawędzi wciąż się osypywała, musiał co chwila korygować krok, by nie wpaść w przepaść, ale...

Dobrze, że umiem szyć, pomyślał z satysfakcją, czując ciężar drugiego sprechera w niewidocznym miejscu. W końcu cerowanie gaci Ludwiga przyniosło mi jakieś korzyści… Plecy miał zimne, mokre od potu.

– Odmaszerować.

Trzask butów o siebie, oczy nieruchome, dłoń wyciągnięta przed siebie; w gabinecie nagle zrobiło się jeszcze ciaśniej.

– Heil Weigel!

Rozdział XXXIII: Słońce znów zaczęło dla mnie świecić

Świt kładł się różem po ośnieżonych alpejskich szczytach; ostrze powietrze kłuło jak milion maleńkich igiełek, wciąganych do płuc przy każdym głębszym oddechu. Śnieżynki wirowały wraz ze słabym wiatrem, znikając, ledwie dotknęły ziemi, ale nadchodzącą zimę – w górach przychodzącą wcześnie – można było już poczuć.

Hiszpania żałował, że nie wrócił do środka po coś cieplejszego, co mógłby na siebie zarzucić, ale nie chciał przerywać palenia; po raz kolejny zapatrzył się w dym, który rozpływał się w powietrzu w niebyt, ledwie opuścił główkę fajki.

Chłód Alp aż nazbyt przypominał mu, jak daleko od domu jest i jak wiele nieprzyjemnych rzeczy się tam wydarzyło.

Parę lat wcześniej udzielił schronienia Feliksowi, gdy ten przeprawił się statkiem przez Morze Śródziemne z Italii, ze współczuciem dzieląc się mieszkaniem i posiłkiem z uciekinierem, ciekawy wieści, jakie ten ze sobą przynosił.

Odkąd Rzesza zamknęła swoje granice zaraz po podpisaniu ostatnich traktatów pokojowych, do Antonia docierało niewiele informacji o tym, co dzieje się wewnątrz imperium.

I musiał przyznać, że nie szukał ich na własną rękę; miał zbyt wiele na głowie we własnym kraju, by przejmować się cudzym. Zadowolony, że po Wielkiej Wojnie Dziesięcioletniej granica pozostała mniej więcej na tej samej linii, pomijając kilka gmin, które odebrał o wiele silniejszy nowy sąsiad, Antonio zajął się sprzątaniem po własnej wojnie domowej, staniem – albo i nie – u boku rządu, odbudową monarchii, reformami…

Aż w jego drzwiach – bo ich rodzaj zawsze, jakimś tajemnym siódmym zmysłem, umiał się wzajemnie odnaleźć – zjawił się zmęczony, rozczochrany Polska, witający się z nim po włosku, bo, jak sam mówił, jego hiszpański był żałosny.

– Uciekłem – powiedział cicho Feliks, gdy Antonio postawił przed nim talerz gazpacho i kieliszek wina. – Upozorowałem własną śmierć. Nawet… nawet nie wiem, od czego zacząć.

– Od obiadu – odparł wówczas Hiszpania wesoło. – I sjesty, wyglądasz jak śmierć, Polonia, drzemka dobrze ci zrobi. Historia może poczekać.

Tego wieczoru, gdy wdzięczny Feliks przespał się i doprowadził do porządku w łazience, gdy zasiedli z winem na werandzie, Antonio dowiedział się wiele; i wiele z tych rzeczy mu się nie spodobało.

To, jak potraktowano ich rodzaj; Hiszpania westchnął, słysząc historię o więzieniu i ciasnych celach, spotkaniach w Charlottenburgu i życiu pod kontrolą biura.

– Mamy teraz więcej swobody – szeptał Polska, rozglądając się gorączkowo, jakby nie dowierzał, że nikt ich nie podsłuchuje w tym dużym, pięknym domu na wsi, gdzie Antonio zwykł mieszkać. – Ale nie wiem, jak długo to będzie trwać. Musiałem… musiałem coś zrobić, póki miałem możliwość.

Antonio słuchał, kiwał głową, ale nie wiedział, jak mógłby pomóc; może i przebywał blisko rządu i czasem wyjeżdżał razem z nimi, ale czym innym były wizyty w Portugalii,

Wielkiej Brytanii czy Włoszech, a czym innym kontakt z Rzeszą; jeśli rząd hiszpański kontaktował się z urzędującym führerem, były to spotkania rzadkie, często telefonicznie, i w żadnym z nich Antonio nie brał nigdy udziału – podobno na życzenie führera.

Wtedy uznawał to za zwykłe widzimisię; każde słowo Feliksa Łukasiewicza przynosiło niepokojący kontekst.

– Podczas jednego ze spotkań w Charlottenburgu, dawno, dawno temu – wspomniał Polska, przyciskając do warg wino, pijąc powoli, od niechcenia, wpatrzony w zapadający zmrok. – Zgubiłem się w tych ogrodach. Chodził za mną żołnierz, miał mnie eskortować do sali teatralnej… Dyskretnie, oczywiście, zawsze zależało im na dyskrecji, ale, kurwa, to wleczenie nas na przyjęcie zawsze było jak cios w twarz… Wiesz, Dzień Zjednoczenia… Zgubiłem się. Przypadkiem. I podsłuchałem rozmowę, której nie powinienem był słyszeć.

Polska potarł czoło; ostre światło latarenki, którą Antonio rozpalił na werandzie, a wokół której tańczyło w powietrzu mrowie owadów, tylko podkreślało cienie pod oczami Feliksa.

– W imperium… niewiele osób mówi obcymi językami. To znaczy… one zostały, wiesz? Ale po domach, w starszych pokoleniach, nikt nie uczy dzieci, nikt nie wydaje książek w języku innym niż niemiecki. Mało kto mówi płynnie w innym. To było dwóch polityków, rozmawiało po włosku. Może czuli się bezpiecznie, a może przesadzili z alkoholem, w każdym razie, nie zachowali dyskrecji. Zawsze… zawsze lubiłem ten język, więc gdy go usłyszałem… – Feliks zaśmiał się nerwowo. – Schowałem się za krzakiem. Bez namysłu. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, nie?

– I co podsłuchałeś?

– To był ktoś bardzo ważny w Rzeszy – wyszeptał Feliks. – Ktoś od führera, bo wiedział o naszym gatunku. A ten drugi… brzmiał jak Włoch z południa. Chyba też ktoś ważny. Nie wiedziałem, że zapraszali zagranicznych gości na Dzień Zjednoczenia, a zwłaszcza z Italii.

– Zwłaszcza po odebraniu im Wenecji? – dokończył Hiszpania chłodno, bo ten temat był mu znajomy; czasem zjawiał się u niego Lovino, klnąc na wszystko, na czym świat stoi, w tym na brata, który rzekomo był nie do wytrzymania, odkąd utracił miasto.

Ale Romano wiedział – co mówiły jego oczy, ciskające gromy – i Hiszpania wiedział również; wyrwane serce musiało boleć, więc w tym złorzeczeniu na Feliciano nie było prawdziwej złości.

Polska pokiwał głową.

– Ale usłyszałem znajome nazwisko – powiedział cicho. – „Vargasów też by się przydało tak zamknąć, działają mi na nerwy. Może już niedługo to się uda”. Dokładnie tak powiedział. I dodał, że… rzeczy byłyby prostsze, gdybyśmy się w nic nie wtrącali. Wymienił… jeszcze kilka nazwisk. Twoje również. I wtedy zrozumiałem, że… że coś jest na rzeczy w Europie. Zacząłem węszyć. Pracowałem jako kurier, kombinowałem, jak dostać się w rejony, gdzie mieszkają ważni ludzie…

– To wasze biuro ci na to pozwoliło?

– Biuro – Feliks parsknął gorzkim śmiechem. – Biuro nawet nie pomyślało. Nie wiem, czy to dlatego, że zrzucili to na Prusaka, czy może dlatego, że mają tam zbyt mało osób. Gdyby mnie wtedy dokładniej prześwietlili, nic by z tego nie wyszło.

Upił wina, potem ciężko westchnął.

– A ta moja praca… słuchanie, węszenie… doprowadziła mnie na wschód. I tam, pod domem jakiegoś lokalnego polityka, usłyszałem o rzeczach, o których nie powinienem. Zamiecionych szybko pod dywan plotkach i łapówkach. Ale kto przejmuje się chłystkiem w szortach, który właśnie przywiózł ci paczkę? – Feliks pokręcił głową i opuścił ramiona. – Jeśli jesteś nikim, możesz usłyszeć zaskakująco wiele. Na przykład… o dziurach w ochronie granicy.

I tak Polska przeszedł do kolejnego tematu; groźby wojny.

– Nie – powiedział bardzo cicho Hiszpania, gdy już Feliks umilkł, opuszczając głowę. Podrapał się po głowie, rozglądając dookoła bezradnie. – Ja… Polonia, zdajesz sobie sprawę, że… że nikt się w to nie wtrąci…?

– Wiem – szepnął Polska, zaciskając szczęki. – I… i rozumiem. Chociaż… może Stany…

– To byłby już globalny konflikt. Taki bez odwrotu.

– Bez odwrotu – powtórzył wówczas Feliks. – Wiem. Rzesza… czy Rzesza ma jakichś sojuszników?

– Politykę zagraniczną Rzeszy nazwałbym uprzejmą obojętnością – Hiszpania pokręcił głową. – Z nami i z Ameryką parę razy współpracowali, ale nigdy nie było to nic wiążącego. Japonia… oficjalnie tak, ale po tylu latach… Pytanie, czy chcieliby się teraz ścierać z Chinami. Jeśli to, co mówisz jest prawdziwe… to jest bardzo wysoka stawka. Chyba… chyba nikt nie zaryzykuje wtrącania się.

– Wiem – westchnął Feliks, a jego pozbawiony nadziei głos smucił serce Antonia. – Więc trzeba to rozegrać… lokalnie. Lepiej zapobiegać, niż leczyć, bo może się okazać, że nie będzie czego leczyć… Antonio, czy… czy mogę tu trochę zostać? Chociaż kilka dni, padam z nóg…

– Zostań. Załatwię ci wszystko, czego potrzebujesz.

I tak Feliks został, aż Antonio odprawił go dalej, z solidnymi zapasami gotówki. Przychodził i odchodził, szukając posłuchu u im podobnym, aż w końcu, po dekadzie, oznajmił, że wraca do Rzeszy.

I tu na scenę wchodził Gris, stary znajomy Antonia; dzieciak, któremu granice rozdzieliły rodzinę, a który miał zbyt lepkie i jednocześnie wyjątkowo sprawne palce. Hiszpania poznał go przypadkiem gdzieś w przygranicznej mieścinie, w lichej knajpie, wyciągającego umiejętnie portfel z tylnej kieszeni jego spodni.

I zamiast zgłosić sprawę, bo najwidoczniej oprócz kradzieży Gris angażował się również w przemyt papierosów, rosnący problem na granicy, Antonio uznał, że warto mieć w nim sojusznika.

Teraz doskonale przysługiwał się całej sprawie; siedząc po stronie niemieckiej, przepuszczał komunikację radiową tu i tam, angażował przemyt dokumentów albo broni…

Hiszpania spojrzał na swoje ręce, w których zamiast pistoletu trzymał starą, elegancką fajkę.

Zamyślony, przesunął palcami po drewnianym, gładkim cybuchu, przyjrzał się porcelanowej główce zdobionej misternymi niemieckimi herbami i krzyżem żelaznym, a potem pokiwał głową z uznaniem, zdając sobie sprawę, jak długo już milczy.

Oparty o balustradę balkonu Saksonia już dawno to zauważył, ale najwyraźniej postanowił nie przerywać mu potoku myśli; jego patynowe oczy spoglądały tylko z lekkim zaciekawieniem, ale Christian był zbyt dobrze wychowany, by dopytywać o powody, dla którego zwykle nie zamykające się usta Hiszpanii są mocno zaciśnięte.

- Zawsze lubiłeś rzeczy wysokiej jakości - stwierdził Antonio, siląc się na uśmiech. Saksonia przechowywał go na prośbę Gilberta, nie chcąc wiedzieć o powodach, dla których Hiszpania się tu znalazł; o natarczywych prośbach o wzięcie sobie urlopu, który to Antonio w innych okolicznościach przyjąłby z pocałowaniem ręki, i o gwałtownej eskalacji po kolejnej odmowie.

Głowa już się zagoiła; wszelkie zadrapania, których dorobił się podczas ucieczki przed ludźmi własnego rządu, też.

– To fajka rezerwisty? – zagadnął wesoło, nie chcąc pokazywać, o czym myśli.

Saksonia skinął głową.

– Każdy z nas otrzymał taką od Ludwiga, gdy doszło do zjednoczenia i oficjalnie oddaliśmy mu swoje pozycje – odparł, uśmiechając się lekko, ale z wyraźną czułością. – Gilbert pomógł mu złożyć na nie zamówienie.

– Sam też dostał? – Hiszpania uniósł brew, spodziewając się odpowiedzi.

– Kategorycznie odmówił przyjęcia, gdyż, cytuję, „ja się do rezerwy nie wybieram” - Saksonia pokręcił głową. – Zadowolił się tylko kuflem.

– Ha, cały on.

Spojrzeli przed siebie; na podwórzu psy wyrywały sobie kawałek liny, poszczekując i powarkując na siebie, ale ich merdające ogony jasno informowały, że to jedynie zabawa. W pewnej chwili wyżły jak jeden mąż umilkły, uniosły głowy i nastawiły uszu; spaniel wykorzystał okazję, wyrwał linę spomiędzy łap największego psa i pomknął gdzieś za dom.

– Ktoś idzie – Saksonia uniósł oczy na wzniesienie przed domem i porastające je gęsto zarośla.

Jak na sygnał, psy zerwały się z ziemi i dopadły bramy, ujadając szaleńczo, nim jeszcze na ścieżce pojawiła się ludzka sylwetka. Zbliżając się do bramy, zsunęła z głowy kaptur; słońce rozjaśniło odrobinę brązowe włosy sięgające za ramiona.

– Isa – ucieszył się Hiszpania.

Saksonia wydał z siebie krótki, ostry gwizd; psy natychmiast cofnęły się i przypadły do ziemi, merdając ogonami.

– Zejdźmy do niej.

– Zostawiłam auto w dole, szłam dwie godziny na piechotę – powiedziała cicho Erzsébet, gdy przywitali się u kutej bramy. – Obawiałam się, że nie wjadę… albo nie wyjadę –

dodała, spoglądając przez ramię. Droga pokryta była błotnistymi kałużami, których brzegi obielone były szadzią.

– Niedługo spadnie śnieg, bez łańcuchów na kołach nie da się tu wtedy wjechać – przytaknął Christian. – Musiałaś zmarznąć, wejdźmy do środka.

Na piętrze znajdowały się sypialnie; największa należała do ich gospodarza, a kilka mniejszych było przeznaczonych dla gości. Jedną zajął Antonio, w drugiej Erzsébet wypoczywała ostatnim razem; to tam usiedli, by móc porozmawiać prywatnie.

Chwilę później Antonio z uśmiechem wziął w dłonie colta; dobrze było być uzbrojonym. Podziękował Erzsébet wylewnym uściskiem; nieco zesztywniała, ale nawet tego nie zauważył, zbyt podniesiony na duchu tym, że nie jest już bezbronny.

– To też dla ciebie – Węgry uśmiechnęła się ku niemu wymuszenie, wyciągając w jego kierunku sprecher. Obudowa była porysowana, a w jednym miejscu bakelitowo-plastikowej pokrywy baterii brakowało sporego odłamka. – Gris kazał cię zwyzywać. Prawie przyłapali któregoś z jego ludzi na wynoszeniu sprechera z fabryki.

Antonio wyszczerzył zęby.

– Mi mejor amigo – zachichotał, odklejając od ekranu karteczkę z ciągiem cyfr i maleńkim rysunkiem wyciągniętego środkowego palca. – Kiedyś będę musiał mu się za wszystko odwdzięczyć. Może jakąś miłą hacjendą na południu i nowym nazwiskiem… Jakie wieści?

– Dostali pozwolenie na wejście do Gibraltaru, ale potem ktoś podobno widział cię w Rabacie – Erzsébet uniosła brew. – Ruszyli do Maroka. Wiesz coś o tym?

– Wiesz, ja i moja południowa uroda – zaśmiał się Antonio. – Nie, ale nie zdziwię się, jeśli będą mieć jeszcze parę takich fałszywych alarmów. – Umilkł na chwilę, marszcząc brwi. – Ale to dobrze – powiedział jakby do siebie. – Nie wpadli na żaden trop prowadzący do Rzeszy ani do Grisa i pozostałych chłopców.

– Pilnowałeś się – Erzsébet uśmiechnęła się ku niemu słabo.

– Wiesz, nielegalne sprawki warto trzymać w tajemnicy przed rządem – zaśmiał się Hiszpania bez większego entuzjazmu. – Nigdy nie wiadomo, kiedy… rząd obróci się przeciwko tobie.

– Tak – powtórzyła cicho Węgry, zaciskając usta. – Muszę szybko wracać. Biuro pewnie zamieniło się w gniazdo szerszeni po tym, jak odkryli ucieczkę Taurysa. Wiem, że kiepsko tutaj z zasięgiem, ale… sprawdzaj sprecher. Będziemy w kontakcie.

– Jesteś gotowa? – Hiszpania spoważniał.

Erzsébet skinęła głową.

– Zostaję na posterunku tak długo, jak tylko będę mogła, ale to nie znaczy, że się nie przygotowałam – odparła. – Podejrzewam, że biuro szykuje nam paskudną niespodziankę.

– Jak to dobrze, że macie teraz kolejnego człowieka gotowego do akcji – rzucił niby mimochodem Antonio. – Nowego asa w rękawie.

Węgry posłała mu napięty uśmiech.

– Tak – odparła cicho. – Antonio, wiesz, że nie musisz…

Hiszpania przerwał jej machnięciem dłoni:

– Nie chcę tu siedzieć bezczynnie. Pomogliście mi znaleźć się w bezpiecznym miejscu, dużo ryzykując – Posłał jej długie spojrzenie, wspominając ich wielogodzinną, nerwową podróż przez terytorium Rzeszy. – Teraz moja kolej, by się odwdzięczyć. Biuro mnie nie zna, to wyjdzie nam na plus.

– A twój kraj…?

– Mój kraj – Antonio westchnął. – Mój kraj chyba sobie musi przemyśleć kilka rzeczy pod moją nieobecność, Isa.

***

Terkot śmigieł draskał jego głowę jak igła gramofonu płytę, ciągle w tym samym tempie, bez końca, będąc jedynym dźwiękiem – pomijając własny oddech i okazjonalne pstrykanie przełączników – który towarzyszył Gilbertowi w ostatnich godzinach; gdy wylądował, a łopaty przestały się obracać, ciągle miał wrażenie, że go słyszy, jakby na wieki wrył się w jego mózg.

Cisza była uderzająca; Lefevre milczał, odkąd tylko wyszli z gabinetu Ferenca, kierując się natychmiast na wojskowe lądowisko, gdzie poprzedniego dnia Dumitresch zaparkował ich biurowy helikopter.

I bardzo dobrze; bo gdyby pisnął słowo podczas tego lotu, trzymający stery Prusy najpewniej popełniłby zarówno błąd pilota, jak i morderstwo, które raport ładnie nazwałby kontrolowanym lotem ku ziemi.

Z Lefevre'a nie byłoby co zbierać; Gilbert wygrzebałby się jakoś z płonącego wraku, zarobiwszy kilka dodatkowych blizn, ale przynajmniej miałby z głowy tego dupka, bo postarałby się, by wypadek wydarzył się z dala od ludzkich zabudowań i jakichkolwiek świadków.

Ten jednakże siedział cicho, wykazując się instynktem samozachowawczym; odezwał się dopiero wtedy, gdy bezpiecznie stanęli na stałym gruncie, na lądowisku w bazie w Königsbergu.

– Pamiętasz adres?

– Tak – warknął Gilbert, ruszając ku bramie, świadom zaciekawionych spojrzeń żołnierzy. Nie latali w soboty. – Podyktować ci, żebyś sobie wpisał do notesika?

Krok Lefevre'a zesztywniał jeszcze bardziej.

– Najwyższy wódz zalecał współpracę – powiedział oschle, gdy Prusy zmierzył go ostrym spojrzeniem. – Nie powinieneś…

– Być na ciebie wściekły, że nie powiedziałeś mi o pluskwie? – prychnął Gilbert. – Ups, jestem. Spłoszyłeś mi ofiarę, Lefevre. Trzeba było się odezwać, znalazłbym lepsze miejsce na podsłuch.

– Jakie?

– Jego pierdolone radio, idioto, które chodzi non-stop. Wystarczyłoby je rozkręcić. Z góry złapałoby o wiele więcej niż podsłuch pod blatem. Laurinaitis ma dwie lewe ręce, jeśli chodzi o technikę, nawet gdyby zobaczył pluskwę w środku, uznałby, że tak ma być.

Nawet nie musiał udawać oburzenia niekompetencją; urzędnik poczerwieniał, jakby zmalał i wymamrotał coś, co brzmiało jak „no tak, znasz go lepiej niż ja".

– Ale mleko się rozlało – rzucił Gilbert z jadem. – Chodź.

Wzięli jedno z aut, którymi Prusy posługiwał się, gdy po wizycie w Danzigu, u Belgii, chciał zajrzeć do pruskiego parlamentu albo załatwić inne sprawy w swojej stolicy; chłopcy z biura zwykle byli wdzięczni za przerwę w środowe popołudnie i zostawali w okolicach jednostki wojskowej, dając Gilbertowi swobodę działania.

Jazda po starym, pięknym Königsbergu była jedną z nielicznych chwil samotności na trasie; zwykle Prusy się tym cieszył, dzisiaj czuł tylko wściekłość i rozgoryczenie.

Przynajmniej jedna rzecz była pod kontrolą, pomyślał, mrugając, by pozbyć się piasku pod powiekami. Na nogach był od wczorajszego poranka, a wątpił, kiedy będzie mógł się położyć – führer oczekiwał natychmiastowego raportu z przesłuchania Anniki Walkenhorst, najlepiej osobistego, a więc pewnie za chwilę będą lecieć z powrotem do Berlina.

Gilbert miał podejrzenia graniczące z pewnością, że Ferenc robi to specjalnie – zmęczonemu człowiekowi łatwiej było się potknąć.

Annika Walkenhorst wynajęła pokój w hotelu niedaleko budynków Albertyny; ptaszyna powinna być jeszcze na zajęciach, pomyślał Gilbert, rzucając okiem na zegarek. Chyba… mam nadzieję.

Było już po południu; niektóre szkoły pewnie już wypuściły uczniów, kończąc lekcje na ten tydzień, ale z tego, co Prusy wyłapał mimochodem, załatwiając całą tą sprawę, królewiecka orkiestra wojskowa często organizowała dodatkowe zajęcia.

Mała mieszka w bursie, a nie z nią, przypomniał sobie. Annika na pewno zachęca ją, żeby spędziła trochę czasu z innymi dzieciakami, zapoznała się… Dobrze. Nie trzeba… nie trzeba kolejnych łez.

Jeszcze przed odlotem z Berlina wykonał kilka telefonów, siedząc w aucie z listą adresów hoteli na kolanach; nie mógł przecież powiedzieć Lefevre'owi, że wie, gdzie mają jechać. Kilka magicznych słów, powołanie się na wojsko i recepcje hotelu były aż nazbyt chętne, by zdradzić, czy mieszka u nich ta konkretna blondynka – siedzący obok urzędnik nie zorientował się, że Gilbert doskonale wie, że to czwarty z kolei adres da im tę informację.

– Tutaj – Lefevre stanął sztywno przed pomalowanymi na biało drzwiami.

Gilbert postąpił krok na przód i zastukał głośno.

Nie minęła minuta, a w drzwiach stanęła ona; ładna blondynka o włosach sięgających ramion, lekko falujących. Migdałowe w swoim kształcie, błękitne oczy podkreśliła mocniejszym makijażem, podobnie jak ładnie wykrojone usta. Na zgrabne, muśnięte słońcem ramiona zarzuciła kolorowy sweter.

Nic dziwnego, że szkoła podłapała przykrywkę, stwierdził rozbawiony Prusy. Co niektórzy nauczyciele byli zdumieni, że zauroczyła się w Laurinaitisie, ale wystarczy, że Litwa się ogarnie i mogliby wyglądać na parkę jak z obrazka, to musieli przyznać.

– Tak…? – spytała cicho, wodząc po nich wzrokiem, z dłonią na klamce. Spojrzała na Gilberta. – Pan Paccard? – dodała ze zdumieniem. – Czy coś nie tak w związku z Ursulą?

– Nie, my w innej sprawie – powiedział cicho. – Możemy wejść? To Anton Lefevre, komisarz. Prowadzimy sprawę zaginięcia Taurysa Laurinaitisa.

– Z-zaginięcia? – powtórzyła głucho, robiąc krok w tył, otwierając szeroko oczy. – Panowie żartują?

– Niestety nie. Możemy wejść?

Skinęła głową, puszczając klamkę; cofnęła się, a oni rozejrzeli się po pokoju hotelowym, nie znajdując nic interesującego; jednoosobowe łóżko nakryte narzutą, stoliczek i dwa krzesła, szafa i uchylone drzwi na balkon.

– Kiedy ostatni raz pani go widziała? – zapytał Lefevre, prostując się sztywno, jakby chciał zasłużyć na fałszywy tytuł. Udław się nim, pomyślał mściwie Gilbert.

– W zeszłym tygodniu, w pracy – Annika opadła na krzesło. Jej głos lekko zadrżał. – I… w poniedziałek, przed lekcjami… Spotkałam go pod apteką, kupował leki, mówił, że… że się źle czuje, bierze wolne… Jakieś przeziębienie… Proszę, niech…

– Kontaktowała się pani z nim? – spytał ostro Lefevre.

– Nie, ja… spytałam go tylko, czy potrzebuje, żeby zrobić mu zakupy, nie chciał… Stwierdziłam, że nie będę mu przeszkadzać w odpoczynku, jeśli będzie czegoś potrzebował, da mi znać…

– Dziwnie mało zainteresowania z pani strony – Lefevre ważył słowa. – Jak na jego dziewczynę.

– Miałam zaplanowany wyjazd – Annika nie dała poznać, czy kąśliwa uwaga ją poruszyła. – A Taurys prosił o czas dla siebie… Mówił mi, że musi wszystko przemyśleć… A jego sprecher coś szwankuje, może nie odbierać… O mój Boże… – szepnęła nagle do siebie, przyciskając dłonie do ust, jakby zdała sobie z czegoś sprawę. – Niech… niech mi panowie powiedzą, co się stało?!

– Pan Laurinaitis nie pojawił się w pracy. Nie przekazał żadnych informacji o chorobowym, prawdopodobnie w ogóle nie był u lekarza. Mieszkanie było puste, otwarte na oścież – Prusy nie spuszczał z niej oka. Wyglądała blado; może to puder albo jakieś inne kobiece sztuczki. – Kot uciekł, zabrakło karmy, w lodówce znaleźliśmy zapleśniałe jedzenie… prawdopodobnie pan Laurinaitis zaginął kilka dni temu.

Przez kilka długich sekund po jego słowach trwała cisza; tylko błękitne oczy otwierały się coraz szerzej, nabierając niepokojącego blasku, a wargi zaczęły drżeć.

– Proszę pani… – zaczął Lefevre, a potem osłupiał; Annika Walkenhorst wybuchła płaczem.

Aktoreczka, pomyślał Gilbert z uznaniem, gdy Lefevre zrobił kilka dziwnych ruchów, nie wiedząc, co ma zrobić z kobietą, która skuliła się na krześle, łkając najprawdziwiej; no proszę, proszę…

– O mój B-boże… – wyjąkała zdławionym, ciężkim głosem, gdy słone łzy przemknęły przez jej twarz, zawisając u podbródka. – On naprawdę… nie… proszę…

– Proszę… Niech pani się opanuje…! – syknął Lefevre, wyraźnie wytrącony z równowagi.

Gilbert delektował się tym widokiem, ale po kilku minutach uznał, że na przyjemności przyjdzie czas potem; mieli drugi akt do odegrania.

Gdy Annika nieco się uspokoiła, podetknął jej chusteczkę; przyjęła z ulgą, odwracając się, by otrzeć oczy i nos.

– Nie… nie chciałam myśleć, że może to zrobić – wyszeptała z opuszczoną głową. – Już myślałam, że jest lepiej… Mój Boże…

– Co zrobić? – Lefevre najwidoczniej jeszcze nie zrozumiał.

Prusy zbliżył się, jednym ruchem przysunął sobie drugie krzesło i usiadł, opierając łokcie o kolana.

– Czy ma pani na myśli, mówiąc „może to zrobić”? – zapytał cicho, wybierając dokładnie ten moment, w którym Annika umilkła.

– Ja… Nie wiem – wyjąkała. – On… od dawna… Już od dawna było… było źle, ale miałam nadzieję… Taurys…

– Proszę pani – Lefevre odkaszlnął. Wyglądało na to, że próbuje odzyskać kontrolę nad sytuacją. – Wiemy, że nie była pani jego dziewczyną. Proszę nie kłamać – dodał ostrzej, gdy Annika otworzyła drżące usta.

Dobry i zły policjant, pomyślał Gilbert z rozbawieniem. Szkoda, że nawet do tego potrzeba kompetencji.

– Ja… tak – wydusiła z siebie, mocno ściskając swoje dłonie. Paznokcie wbijały się w skórę; Prusy uniósł wzrok na jej twarz. – Prosił mnie… nie chciał stracić pracy… On… i tamten… tamten mężczyzna…

Spojrzeli po sobie; kolejna scenka, pomyślał Prusy, panując nad twarzą. Idziemy zgodnie ze scenariuszem.

– O jakim mężczyźnie pani mówi? – zapytał ostro Lefevre.

– Taurys… Taurys wplątał się w taki… dziwaczny związek – Annika znów otarła oczy. – Przestrzegałam go… bo… bo tamten człowiek miał na niego bardzo zły wpływ… Jakiś… jakiś Feliks, nigdy go nie widziałam… przez chwilę wydawało mi się, że… Taurys był taki smutny i przez chwilę myślałam, że to… ja tego nie rozumiem, ale… ale może będzie szczęśliwszy, ale… ale…

Urwała, jakby nie mogła już mówić; zawieszenie, pomyślał Gilbert z uznaniem. Niedopowiedzenie, byśmy mogli wysnuć własne wnioski. Ty jednak jesteś cwaniarą, gołąbeczko.

Twarz Lefevre’a bledła, jakby sobie coś uświadomił, i jednocześnie pojawiały się na nim niechęć i odraza.

– W coś go wplątał – wyszeptała w ciszy pokoju. – W coś strasznego… Nie wiem, nie chciał mi powiedzieć, ale... Taurys tak bardzo… o mój Boże, więc on… on musiał… nie dał…

Łamiącym się głosem opowiedziała im całą tę historię; jak zgodziła się udawać dziewczynę Taurysa, bo ten zaczął lepiej się ubierać i dbać o siebie, a nie chciał,

by ktokolwiek dopytywał o powody takiej zmiany. O tym, jak początkowo nie była przekonana, ale chciała zrobić przysługę koledze z pracy, przyjacielowi – a potem o niepokojących sygnałach, które zaczęła dostrzegać.

O dziwnym człowieku, którego nigdy nie spotkała, a o którym Taurys mówił niewiele, ucinając temat, gdy tylko próbowała podpytać ze zwykłej ciekawości, jak się między nimi układa.

O spotkaniach, które Taurys zaczął odwoływać na ostatnią chwilę i zawsze plątał się we własnych słowach, szykując wymówki; o dziwnym przygaszeniu, które towarzyszyło nauczycielowi muzyki od lat, ale w ostatnich miesiącach zmogło się, mimo kruchych uśmiechów i zapewnień, że wszystko jest w porządku. O drażliwości, która pojawiła się w jego łagodnej osobowości; o nerwowych gestach i niespokojnych spojrzeniach błądzących po ścianach kawiarni.

O tym, że raz, tylko raz Taurys zwierzył się jej, że wplątał się w coś nielegalnego i że bardzo się tego boi; że to droga bez odwrotu, a gdy chciała pomóc, wyciągnąć rękę, spytać, co się dzieje i czy ma to związek z tym całym Feliksem, jej przyjaciel po prostu pokręcił głową i odszedł, błagając ją, by nie pytała dalej.

Lefevre dopytywał co rusz; z tej przerywanej łzami opowieści wyłaniała się zamglona postać Feliksa Łukasiewicza, człowieka sprytnego, z łatwością naginającego wolę załamanego Taurysa Laurinaitisa do własnych celów i pobudek, lekceważącego kolejne sygnały ostrzegawcze i prośby, przekraczającego granice.

Trzcina może uginać się pod podmuchem wiatru, ale i ją da się złamać, sprawić, by pękła w dłoniach; Gilbert słuchał, zachwycony.

– Jeśli… jeśli on kazał zrobić mu coś strasznego… Taurys jest dobrym człowiekiem, łatwo go wykorzystać…

Twarz Lefevre'a na przemian bladła i purpurowiała; wyglądał na obrzydzonego, zadając kolejne pytania; Prusy od czasu do czasu wtrącał swoje, aż Annika nie była w stanie już mówić; otoczyła się ramionami i pociągnęła nosem.

– On… on naprawdę?

Prusy poczuł, że to odpowiedni moment:

– Nie możemy na razie niczego potwierdzić – powiedział głośno. – Pozostajemy dobrej myśli, póki poszukiwania wciąż trwają. Będziemy z panią w kontakcie. Gdyby Taurys się z panią skontaktował, proszę dzwonić – I podał jej karteczkę z numerem biura.

I wyszli, zostawiając ją w żałobie; gdy usiedli na przednich siedzeniach auta, Lefevre odezwał się powoli:

– …czy on naprawdę mógł… po prostu popełnić samobójstwo?

Gilbert zazgrzytał zębami.

– Zawsze wiedziałem, że był tchórzem – warknął, uderzając dłonią o kierownicę. Klakson zapiszczał jękliwie. – Nie sądziłem, że aż tak wielkim!

– Wy nie możecie umrzeć – rzucił Lefevre z pytającą nutą kryjącą się w tym stwierdzeniu.

– Możemy – wycedził Gilbert przez zęby. – Przy spełnionych specyficznych warunkach. A wynarodowienie jest jednym z nich.

– Mówiłeś, że wieszanie waszego rodzaju…

– Jest nieefektywne, tak. Ale sęk tkwi w tym – Spojrzał ponuro na urzędnika. – że Laurinaitis może już nie być naszym rodzajem. Jeśli już do tego doszło… – dodał jakby do siebie, wpatrując się teraz w przednią szybę. – Jeśli był już w stanie umrzeć jako człowiek…

– Łukasiewicz wykorzystał tę możliwość jako sposobność ucieczki. Dlaczego Laurinaitis nie mógłby zrobić tego samego? Polska wydaje się go wykorzystywać – Lefevre odezwał się wolno. – Na… – skrzywił się. – Różne sposoby.

Ha, nie jesteś jednak taki głupi…

– Obie wersje są prawdopodobne. Laurinaitis od lat był wrakiem. Musimy szukać dalej. – Sięgnął do kluczyków i odpalił samochód. – Wracamy do Berlina.

…ale ziarno zostało zasiane.

***

Ostre światło wpadało do kuchni, odbijając się od białych blatów i podkreślając każdą zapomnianą, bladą plamkę na ich powierzchni. Od krawędzi odchodziła okleina, ktoś rozsypał sól, a podłoga nosiła jeszcze ślady piątkowej imprezy; pracujące w hotelu dziewczyny udawały, że nie nic widzą.

O tej porze, w okolicach południa, w hotelu wciąż panowała pustka; po porannym gwarze, podczas którego mieszkańcy niechętnie udawali się do pracy, Litwa słyszał jedynie przytłumiony szum odkurzacza. Miał przynajmniej trzy godziny, nim w hotelu znów zrobi się gwarno, wykorzystał więc ten czas, by przejść do wspólnej, pustej kuchni i tam pracować nad tym, co dla postronnych wyglądało jak nuty.

Przed nim stał kubek pełen kawy, drugiej tego dnia, przez co smakowała raczej poczuciem winy niż znajomą goryczką. Obiecałem, pomyślał, niechętnie biorąc kolejny łyk i czekając, aż kofeina zacznie działać. Ale nie dam dzisiaj rady bez niej, przepraszam, jestem całkowicie nieprzytomny.

Sobota; wczoraj późnym wieczorem spotkali Sanię, a Litwa wciąż czuł na języku posmak cukierka, powieki miał ciężkie, a ciało odarte z energii. Ale to było zwykłe zmęczenie; Feliks się do tego przyczynił, dwukrotnie, wspomniał Taurys z lekkim rumieńcem, i skończyło się na tym, że znów Litwa spał zbyt krótko. Ale nie mógł odmówić; nie chciał odmawiać, gdy Polska wyciągał ku niemu dłonie.

Gdyby w maju ktoś Litwie powiedział, że już wkrótce do jego życia wróci Feliks, którego opłakiwał przez lata, nie umiejąc się przyznać do tego przed samym sobą, że obaj będą spiskować, chować się pod fałszywymi imionami i führerem gdzieś na wschodnich krańcach imperium, że upozoruje własną śmierć, zostawiając ból bliskim, a jedyną sferą jego życia, która będzie układać się doskonale, będzie jego życie miłosne i seksualne, Taurys roześmiałby się tej osobie w twarz.

I gorzko poprosił, by przestała tak okrutnie żartować.

Ale tak właśnie było, zwłaszcza w tym ostatnim aspekcie; Feliks wziął sobie za punkt honoru udowadniać mu, że wszystko jest z nim w porządku i był w tym bardzo entuzjastyczny; Taurys uśmiechnął się do siebie.

Coraz rzadziej wracał myślami do Mildy i tamtego wieczoru, najbardziej upokarzającego doświadczenia łóżkowego, jakiego doświadczył; chłód i kpina jej słów bladły w świetle poranka, podczas gdy spojrzenie jego męża było żywe, gorące i radosne, podobnie jak jego dotyk.

Milda była zjawiskową kometą, którą lepiej było podziwiać z daleka; zostawiła krater na jego dumie, podczas gdy Feliks, chociaż potrafił parzyć jak słońce, ogrzewał serce Litwy z całą czułością słonecznego dnia, sprawiając, że Taurys nabierał sił.

Dom, pomyślał wzruszony, gdy Polska zwierzył mu się ze swojego marzenia; mały domek, podobny do tego, w którym mieszkałeś w Itteville, Licia, gdzieś na uboczu, z ogrodem, z twoją rutą zasadzoną u okien. Dom, który byłby tylko nasz. I Berty, dodał, akcentując obecność kocicy jako ważnej istoty w tym wyimaginowanym domu; Taurys znowu uśmiechnął się pod nosem, tym razem smutniej, sięgając po długopis.

To było nieśmiałe, delikatne, niejasne marzenie, ale chciał się go chwycić; nie wiedział, czy spokojne życie było im w ogóle pisane, ale tak miło było o tym śnić.

Czerń atramentu pod palcami, gdy kreślił kolejne wiadomości, układając nuty w szereg bezsensownych melodii; Gilbert milczy, musimy czekać. Erzsébet, potwierdź, że dotarłaś bezpiecznie. Dziękuję za sprawdzenie, co u Koli.

Nie był w ogóle pewny, czy jeszcze kiedykolwiek będzie mógł spać spokojnie, nie bojąc się gniewu Zjednoczonej Rzeszy, nie wiedział, czy kiedykolwiek jeszcze pogłaska tego kota, zagra na tamtych kanklach i podleje tamtą rutę… Ale jedyne, co mógł zrobić, by się nie rozlecieć, nie rozpaść tak, jak parę dni temu przy drzwiach mieszkania, gdy Prusy bólem powstrzymał jego atak paniki… było trzymanie się swojego słońca i razem z nim dążenie do celu.

Jakkolwiek by to nie bolało; to dla was, pomyślał, mając przed oczami uśmiech Anniki i nieśmiałe spojrzenie Uschi. Nie zobaczycie koszmarów wojny, nie pozwolę na to.

Skreślił kilka nut, zaczął od nowa kreślić zwięzłą wypowiedź; złapaliśmy kontakt. Nie możemy go spłoszyć, musimy być cierpliwi, ale… nie wygląda na to, by jego akcja rekrutacyjna przynosiła sukcesy. Być może Sania skontaktuje się ze mną i Feliksem wcześniej niż sądzimy.

Polski nie było w hotelu; ktoś z pracy poprosił o pomoc w przeprowadzce, a Feliks natychmiast się zgłosił, mając nadzieję, że nawiąże jeszcze kilka kontaktów. Po nocnym koszmarze wciąż był przybity; nim wyszedł, Taurys pożegnał go długim pocałunkiem, po którym Feliksowi zajaśniały oczy.

Litwa odłożył długopis, spojrzał krytycznie na pięciolinię, a potem westchnął i podniósł się z krzesła. Teraz trzeba znaleźć miejsce, w którym nikt nie będzie słyszał, jak będzie nadawał Morse'a… i spalić nuty.

A potem… Chyba musiał wrócić do kawiarni Rozy.

Miał przeczucie, że czegoś się tam dowie; kobieta wydawała się chętna do rozmowy, a mieli czas do końca miesiąca, nim zamknie lokal i stracą ten trop.

Zabrawszy ze sobą nuty, wszedł do najbliższej łazienki, rozglądając się dookoła.

Przybrudzona umywalka, kanciasta kabina prysznicowa, ze szkłem zamglonym od kamienia, toaleta wciśnięta w kąt i niedziałający czujnik dymu; w mętnej tafli wody w muszli dryfowały niedopałki papierosów.

Ich zapach unosił się wszędzie, drażniący i duszący; Taurys skinął głową do swojego odbicia w lustrze i sięgnął po sprecher. Gdy wiadomość została nadana, przytknął zapalniczkę do pliku kartek; ogień wystrzelił wygłodniale w górę, pożerając papier.

Litwa obserwował spokojnie, jak w muszli umywalki papier skręca się i czernieje; potem, uważając na dłonie, odkręcił kurek z zimną wodą.

Dym, nieco pary i miał przed sobą mokre, rozpadające się w dłoniach strzępki; pozbył się ich, spuszczając w toalecie, a potem opuścił pomieszczenie, nie zauważony przez nikogo.

Wrócił do pokoju, by się przebrać; opuścił podwinięte rękawy białej bluzy i upewnił się, że jego włosy wciąż są spięte z tyłu. Muszę być ostrożny, nie rzucać się w oczy w pobliżu jednostki, chociaż wątpię, że tutejsi wojskowi coś o mnie wiedzą, postanowił, wychodząc na zewnątrz; na podwórzu, pod ścianą, zaparkowany był skuter.

Rzesza jest zbyt wielka, by ot tak rozpocząć poszukiwania na skalę całego kraju… Rękawice motocyklowe, są. Dobry pretekst, by nie zostawiać odcisków, chociaż w takim miejscu jak ten hotel szukanie jego śladów byłoby koszmarem… Kask? Jest.

Wyjechał z podwórza hotelu, ostrożnie nawigując ulicami. Pół godziny później był już pod kawiarnią, spoglądając na szyld; zamrugał, zdając sobie sprawę, że nad nazwą lokalu tkwi uroczo uśmiechnięty, pulchny gołąb.

Nie wyglądał jak ten z naszywki Sanii, ale zbieg okoliczności był zbyt duży; Litwa pchnął drzwi i znalazł się w środku.

Znów były tu pustki; Roza kręciła się za kontuarem i na jego widok jej twarz rozjaśniła się szczerym uśmiechem.

– To pan! Zrobić panu kawę? Podać ciasta? Mam sernik, świeżutki, jeszcze ciepły…

– Poproszę sernik, kawy już mam dość na dzisiaj – Litwa uśmiechnął się do niej i zajął miejsce w kącie, tym razem w głębi kawiarni. Wyjął z torby kolejne nuty, tym razem zwykłe utwory, zastanawiając się, jak ma rozpocząć rozmowę.

Jego spojrzenie padło na oszkloną witrynę; cukierki wciąż tam były.

Wciąż nie rozgryzł, co oznaczają; symbol miejsca spotkań? Rekrutacji? Roza nie wyglądała na kogoś, kto angażuje się w podejrzane akcje; była raczej wystraszona, gdy odradzała mu pracę w wojsku, więc mogła coś wiedzieć, ale… Miejsce obserwacji, naprzeciwko jednostki wojskowej? Najciemniej jest zawsze pod latarnią…

Gołębie ze słońcem w pazurach. Orzeł ze swastyką w szponach.

Gołębie łatwo mogły paść ofiarą silniejszego drapieżnika… dlaczego trzymają słońce? Czy to tylko nawiązanie do swastyki, przypomnienie, czym była, nim ją splugawiono

hekatombą, symbolem noszonym na ciele, ubraniu i nagrobkach przez stulecia, czy coś jeszcze?

Stuknął porcelanowy talerzyk; Litwa uniósł oczy i podziękował Rozie uśmiechem.

Słońce, bez którego nie ma życia, słońce, z którego imieniem na ustach Taurys walczył, wieki temu, gdy miał jeszcze w sercu wiarę; słońce, które bezlitośnie wypala.

Gołębie… gołębie pocztowe, hodowane, uczone, szkolone… udomowione i porzucone, gdy przestały być potrzebne.

I to miasto, te wsie tutaj, zawsze najbiedniejsze, pomyślał Taurys, spoglądając przez szybę na jedną z alei Kurska i widząc zamiast niej zaniedbane podwórze za hotelem, w którym pomieszkiwał z Feliksem. Młodzi ludzie, którzy czują, że zabrakło im słońca i zabrakło opieki, zabrakło pracy, którzy patrzą na widokówki z Berlina, pocztówki z Germanii i popiersia führerów… Orle gniazda i liche gniazdka gołębi.

Inna symbolika? Chciałby, była tu Annika, wiedziała o wiele więcej… Pokój? A może arka, gołąb, który przyniósł Noemu gałązkę, zwiastując istnienie nowego, niezatopionego świata…? Odnowa?

– Przepraszam… – odezwał się cicho, ale nie dane było mu zadać pytania; drzwi się otworzyły.

– Ciocia zrobi… – Mężczyzna, który wszedł do środka, urwał, jakby zaskoczony, że kawiarnia nie jest pusta.

Mężczyzna w motocyklowej kurtce, ze splątaną brodą; Sania.

Bogowie mi sprzyjają, pomyślał nagle Litwa, ale nie zdążył nawet zdumieć się doborem słów; Sania spojrzał nań i uśmiechnął się dziwnie.

– No proszę, jaki ten świat mały. Ciocia da to, co zwykle. Muszę się porządnie przywitać z nowym znajomym.

Bez zaproszenia ruszył ciężkim krokiem między stolikami i opadł na krzesło naprzeciw Litwy.

– Co to, Meelis? – zagadnął, patrząc na rozłożone nuty jak na obcy alfabet. – Jesteś muzykiem?

– Niedoszłym – Taurys niby bez pośpiechu zaczął składać kartki. Odsunął je na bok, kładąc obok nietkniętego sernika.

– To trzeba było iść do polityki – Sania uśmiechnął się ironicznie. – Polityka lubi niespełnionych artystów. Może nawet zostałbyś führerem.

Z jakiegoś powodu w głowie Litwy pojawiła się migawka z wielogodzinnej podróży autem; Gilbert na przednim siedzeniu, dyskutujący o czymś żywo z Feliksem. Raz nawet zebrało mu się na żarty:

– …Weigel się nadawał na führera. To tajemnica państwowa, ale jednym z kryteriów wyboru nowego wodza jest w miarę krótkie nazwisko. „Heil Stauffenberg" było koszmarnie niewygodne do używania na co dzień. W ogóle nie dało się tego wykrzyczeć na jednym oddechu.

– Co ty bredzisz, Prusaku? – Feliks zerknął nań z niedowierzaniem, nieco zwalniając, bo zjeżdżali właśnie z kolejnej autostrady w jakąś krajową drogę.

– To, że jeśli któryś z was myślałby o karierze politycznej, to nie macie szans. Macie o dwie sylaby za dużo, obydwaj.

Litwa uniósł kącik ust, rozbawiony tym wspomnieniem, i już otwierał usta, by odpowiedzieć Sanii, ale wtem zobaczył, czym było zamówione „to, co zwykle". Jego humor nagle prysł, a przez głowę przebiegło mu przekleństwo, gdy Roza podeszła do nich z tacą.

Kolejne, gdy postawiła na stoliku oszronioną, wyjętą z zamrażalnika butelkę i dwa pękate kieliszki.

A więc jeden test nie wystarczy, zrozumiał, bo Sania nie spuszczał go z oczu. Zmusił się do uśmiechu.

– Jeszcze wcześnie – rzucił lekko, zaprzeczając jedynie z kurtuazji, bo wiedział, że jakikolwiek inny sprzeciw jest bezcelowy.

– Wedle zegarka tak – Sania sięgnął po butelkę i odkręcił ją. Nalał zawartość do kieliszków, nie marnując ani kropelki. – Wedle cyklu dnia, niedługo będzie zmierzchać. A my musimy obgadać parę szczegółów naszej współpracy, Meelis. Jak to nasi dziadowie mówili, *zdorowje*!

Litwa opuścił wzrok; wódka sięgała krawędzi kieliszka, kołysząc się, gdy unosił go w palcach. Czuł jej wilgoć na opuszkach; kropla spływała bezszelestnie po szkle.

W hotelu, w hałasie i tłoku, pośród przytłumionych świateł i dymu papierosowego, mógł jeszcze udawać, że pije; tutaj, siedząc w jasno oświetlonej kawiarni, tuż przed wyczekująco spoglądającym Sanią, nie miał takiego luksusu.

Świadom wpatrujących się w niego oczu, wzmocnił nieco uścisk palców i wychylił do dna.

Ledwo przełknął, rozkaszlał się; pochylił się nad stolikiem, mrugając, by pozbyć się łez z oczu. Lodowata wódka paliła jak płynny ogień, roznosząc znajome ciepło poprzez przełyk aż do żołądka.

– Nie poszło…? – Sania, samemu wypiwszy, spoglądał nań rozbawiony. – Drugi pójdzie lepiej.

To on teraz rozdaje karty, zrozumiał Taurys, zmuszając się do uśmiechu. Skinął głową, wpatrzony w strugę alkoholu, który Sania ponownie rozlewał do kieliszków.

– Pójdzie – przytaknął.

Kolejny palił słabiej; Taurys odetchnął, czując, jak gorąco uderza w jego policzki.

Nie pijał; w ciągu ostatnich dziesięcioleci mógł na palcach obu rąk policzyć okazje, kiedy umoczył wargi w alkoholu, a niemal wszystkie wiązały się z Charlottenburgiem, gdzie podawano wino i szampana. Wolał nie kusić losu; biorąc pod uwagę, jak ciężko było mu rzucić palenie, Litwa miał uzasadnione podejrzenia, że mógłby z łatwością wpaść w kolejny nałóg, o wiele gorszy niż kawa.

A tak ostrej wódki nie miał w ustach jeszcze dłużej; kojarzyła się z pustą, ciemną kuchnią, gdzie siedział nocami, zbyt słaby, by wrócić po cichu do pokoju, i butelkami zagrzebanymi w głębinach kuchennych szafek.

Zapasy niczyje, alkohol, który ubywało pod osłoną nocy, ale który zawsze powracał na swoje miejsce, wraz z zagadkowym, rozbawionym uśmiechem Iwana; jakby znajdował

dziwną uciechę w tym, że mieszkańcy jego domu desperacko szukają ukojenia w tych butelkach.

Litwa sięgnął po nie tylko kilka razy – przez większość takich nocy siedział po prostu, czując ulatniający się alkohol z niedokręconych butelek, zbyt otumaniony, zmęczony, obolały i zawstydzony, by ruszyć się z ciemnego kąta, zbyt świadomy, jak wiele to przyniosłoby Rosji satysfakcji, gdyby znalazł go pijanego.

I zbyt bojąc się, do czego by to go popchnęło; z rzadka tylko drżącymi rękoma nalał sobie jeden kieliszek, by ogniem w gardle przegonić ból w plecach i powlec się do łóżka. Świat i tak pachniał solą i wódką, nie potrzebował do tego picia.

Sania odsunął butelkę na bok; Taurys podążył za nią wzrokiem. Półlitrowa na dwóch; mogło być gorzej… Jeśli Sania nie wpadnie na pomysł, by zamówić kolejną i go spić.

Nie piłem od lat, już czuję, że moja głowa jest inna, ale nie jestem człowiekiem; nasza natura zawsze powodowała, że dłużej pozostawaliśmy trzeźwi, mam nadzieję, że… że to wciąż działa.

– Jak tam, główka boli po wczoraj? – Sania zaśmiał się tubalnie.

– Trochę – przyznał.

– Najlepszy na kaca jest klin – Sania wskazał znacząco na kieliszki. – Wiesz, Meelis, lubię cię. Przypadłeś mi wczoraj do gustu, ty i ten drugi, Max. Nie ma go z tobą?

– Pomaga znajomym w przeprowadzce – wyjaśnił Litwa.

– Ha, rwie się do pomocy? – odgadł Sania. Mrużył oczy, a pod jego brodą czaił się uśmieszek. – A ty, Meelis? Chciałbyś odzyskać to, co ukradzione? Bo wczoraj wydawałeś się entuzjastyczny.

– Chciałbym dowiedzieć się więcej – Litwa zagrał kartą ostrożności. Impreza imprezą; tam mógł być pewny, udając, że alkohol krąży w jego żyłach od wielu godzin; tu ledwo zaczynał działać. – Co miałeś na myśli… mówiąc o zrobieniu czegoś wielkiego?

– Zmianę – Sania pochylił się ku niemu, jednocześnie sięgając po butelkę. Taurys przeklął w myślach rosyjskim matem. – Nie wkurwia cię, że władza wszystko pompuje w Berlin i te parę większych miast, a my tutaj, na tym wypizdowie, ledwo wiążemy koniec z końcem?

Pokiwał wolno głową; bezpieczna prawda.

– A to, że zabrali nam tożsamość, też cię wkurwia, prawda, Meelis? – Sania przekrzywił głowę. Jego piwne, jastrzębie oczy ostrzegały. – Kto ty jesteś? Umiesz na to odpowiedzieć?

Wiedział, jak odpowiedziałby Feliks; wierszykiem dla dzieci, automatycznie, nawet o tym nie myśląc.

– Nie umiem – wyszeptał Litwa, wciąż szczerze. – Nie wiem już, kim jestem.

Lietuvą, podbitym krajem, odrzuconą personifikacją, chorym człowiekiem, którego miłość trzyma przy życiu, któremu miłość przywraca utracone życie, ale nie potrafi odzyskać tego, co stracone na zawsze. Nie ma pogoni, nie ma za czym gonić…

Może się myliłem, może jest, Litvo, bracie, druga strono tej samej monety… Przepraszam, Nikolai prosił, by dodać coś sentymentalnego… Myślę, że to chciał powiedzieć, ale nie umiał… Dziękuję, Erzsi.

Opuścił wzrok, skulił ramiona, wykorzystując własne emocje, własny ból, by osiągnąć cel.

– Ja też – szepnął Sania, a jego głos złagodniał, zmiękł. – I wielu z nas już nie wie, nie? Podręczniki w szkołach mówią, kim jesteśmy, ale my tego nie czujemy, prawda? Niemcy są tam, w Berlinie, w Monachium, w Königsbergu, ale kto jest tutaj, w Kursku? Matuszka została tam, tak blisko, a tak daleko – I wskazał kierunek.

Wschód. Granica. Rosja.

Coś w Litwie zacisnęło się boleśnie; nie chcecie tej ziemi za matkę. Jest zbyt okrutna dla wszystkich, nawet tych, których karmi.

– Ale co my możemy zrobić? – zapytał cicho.

– Odzyskać to, co ukradzione – Sania podsunął mu kolejny kieliszek. – Widzę w tobie ogień, Meelis. Od ciebie zależy, czy pozwolisz mu spopielić cię od środka z tego żalu czy może… – Stuknęło szkło; palce Litwy zaczęły drętwieć. – Wypalisz chwasty i oczyścisz ziemię.

Ogień wypalał mu gardło.

– Chcieliście zrobić coś wielkiego, ty i Max? – Sania zaśmiał się, gdy Taurys po raz kolejny się rozkaszlał. – Możemy ich pogonić, Meelis. Mamy wsparcie. Trzeba nam tylko odważnych ludzi.

Nigdy nie uważał się za odważnego; Litwa skinął głową, ciężką, wirującą, wiedząc, że to było tego warte.

– Chcemy – powiedział, rozglądając się niespokojnie; Roza zniknęła na zapleczu, byli sami. – Co mamy robić?

– Spokojnie – Sania poklepał go po ramieniu; w oczy Taurysa rzuciła się gołębia naszywka. – Widzisz to? – Mężczyzna zaśmiał się. – Sonnentaube to nasi. Trzymamy się na razie nisko, ale gdzie znajdziesz naszego gołąbka, znajdziesz i naszych. Trzeba ci pieniędzy, mieszkania? Mówiłeś, że nie możesz znaleźć pracy, pieniądze ci się kończą. Gołębie ci pomogą, pożyczą, przekimają, gdy trzeba. Pomagamy swoim.

Oczywiście, zrozumiał Litwa. I nawet wiem, skąd płyną pieniądze. Kolejna strategia, co? Jeśli nie rozbudzicie ognia, chęci działania, to przywiążecie do siebie człowieka hojnymi gestami pomocy, sprawiając, że będzie chciał się odwdzięczyć… A może nawet jakiś szantażyk…

– To dobrze – mruknął. – Jeszcze… jeszcze mam, ale słabo to wygląda, nigdzie mnie nie chcą. Jeśli… – odetchnął. – Dobrze wiedzieć.

– My tu gadu-gadu, a szkło się męczy, Meelis – Sania cofnął rękę i wymownie sięgnął po butelkę. Następna kolejka; wódki było coraz mniej. – Dobrze robisz, Meelis. Twój dziadek byłby z ciebie dumny.

Litwa pozwolił sobie na nieśmiały uśmiech.

– Odezwę się do was, wiem, gdzie was znaleźć – Sania zawiesił butelkę pionowo ponad kieliszkami, by żadna kropla się nie zmarnowała. – Na pewno znajdę wam coś do roboty.

Opuścił kawiarnię z kieszeniami pełnymi cukierków, które wcisnęła mu Roza, przyglądając się Litwie z troską, a Sanii z niemą naganą. Chwycił stery skutera i przez

chwilę po prostu tak stał, próbując zapanować nad zawrotami głowy i rozmywającą się kostką chodnikową w oczach.

Miał wrażenie, że słyszy za sobą śmiech wychodzącego motocyklisty, ale gdy się obejrzał, tego już nie było; Taurys zacisnął szczęki i, mocno przytrzymując się kierownicy, ruszył chodnikiem, pozwalając jednośladowi się prowadzić.

Szedł przez miasto, próbując zapanować nad krokiem; serce w nim zamarło, gdy minął go pieszy patrol policji, ale ledwo na niego spojrzeli.

– A spróbuj wsiąść, łachudro, to połamiemy ręce! – zawołał za nim jeden z nich, parskając ordynarnie śmiechem, ale na tym się skończyło.

Droga powrotna zajęła mu trochę czasu; na szczęście, oszołomienie powoli zaczynało mijać. Litwa odetchnął z ulgą, gdy dostrzegł znajomy budynek hotelu. Zostawił skuter pod ścianą i na niepewnych wciąż nogach ruszył korytarzem.

Polska był w pokoju; na jego widok poderwał głowę znad jakichś notatek i uśmiechnął się promiennie.

– Już się martwiłem. Gdzie byłeś? – powiedział, podnosząc się z łóżka i szybko skracając odległość między nimi; otoczył Litwę ramionami, a potem się cofnął. – Dlaczego czuję od ciebie wódkę? – zapytał, zbity z tropu. – Licia?

– Spotkałem Sanię – tchnął Litwa. Język nieco mu się plątał. – Daj… daj mi chwilę, dobrze? Muszę doprowadzić się do porządku… Wszystko… wszystko opowiem, tylko…

Feliks przygryzł wargę, ale pokiwał głową. Taurys złapał za świeże ubrania i podążył do łazienki, tej samej, w której wcześniej palił dokumenty. Od ciągle unoszącego się w powietrzu swędu palonego papieru i papierosów było mu niedobrze; umył zęby, wszedł pod prysznic i na pewien czas zatonął w strugach gorącej wody, opierając się ciężko o szkło.

W końcu zmusił się, by włączyć zimną; lodowaty wodospad spadł na jego kark, aż Litwa zaczął dygotać.

Częściowo otrzeźwiony, z ulgą przebrał się w koszulę i spodnie, strój, w którym w końcu czuł się sobą.

– Nie mogłem mu odmówić – przyznał, zamykając drzwi, gdy Polska rzucił mu pytające spojrzenie. – Okazuje się, że Roza… ta właścicielka kawiarni, jest jego ciotką.

Pokrótce opowiedział o tej rozmowie; Polska kiwał głową.

– Cieszę się, że udało się nam go przekonać, że jesteśmy warci zaufania – powiedział cicho. – Chociaż nie podoba mi się, że w taki sposób – dodał, krzywiąc się. – Wiem, że nie chcesz pić. Prześpij się, czy coś…

– Potraktuję to jako niechciany obowiązek – wymamrotał Litwa z krzywym uśmiechem. Z westchnieniem położył się na łóżku; oczy same mu się zamykały. Mokre włosy rozsypały się dookoła.

Ogień palący w gardle, ogień wypalający żalem… Otworzył oczy, wpatrując się w sufit. Ten chwiał się lekko, falował, jakby Kursk nawiedziły trzęsienia ziemi. Jak to było, ta stara sztuczka, którą sprzedał mu Raivis, dawno, dawno temu, w innym świecie? Stopa na podłogę, uziemienie… Trochę lepiej…

– Feliksai…? – odezwał się po długiej chwili, całkowicie zachrypnięty.

– Mmm? – Materac ugiął się; Polska usiadł obok niego, nadal przyglądając się Taurysowi z niepokojem.

– Kocham cię – wyszeptał Litwa.

– Wiem, kochanie – Feliks zachichotał, splatając ich dłonie. – Ja też ciebie kocham. Zdrzemnij się.

Nie, jeszcze nie… żal wypalający od środka… Długa rozmowa, noc ich wzajemnych zwierzeń, rzeczy, o których nie umiał wtedy…

– Muszę ci o czymś powiedzieć… – Litwa przymknął powieki, zbierając się w sobie. – Pamiętasz ten dzień, kiedy spotkaliśmy się w Kownie?

– Tak – szepnął Polska poważniej, pochylając się nad mężem.

– Wcześniej, gdy byłem w Wilnie, w naszym mieście, całkowicie sam pośród ruin… Chciałem umrzeć.

Przez uchylone powieki widział, jak jasnozielone oczy Feliksa płoną boleśnie; jego serce zacisnęło się, jakby ściśnięte żelazną pięścią.

– Zastanawiałem się… czy to jest możliwe, czy… leży gdzieś jakiś nóż… – Taurys otworzył oczy, spoglądał w twarz ukochanego, czując, jak jego głos drży. Nie powinien był pić; alkohol pozbawiał samokontroli. Może nie powinien był tego mówić, nie wyciągać na wierzch, nie robić Feliksowi przykrości. – Potem… potem przypomniałem sobie, po co pojechałem… spotkać cię, ale wtedy…

– Licia, czy…

– Nie – odparł stanowczo, mrugając, by powstrzymać łzy. Swoje i Felka. – To był… to był ten jeden jedyny raz, kiedy… kiedy naprawdę o tym pomyślałem. Przepraszam.

– Nie przepraszaj za to, jak się czujesz – Polska pochylił się i przycisnął usta do jego czoła. – Tauri…

– Chcę, żebyś o tym wiedział – szepnął Litwa, czując, że przegrywa walkę z łzami. Sól już miał na wargach. Sól i wódka; a miał nadzieję, że nie poczuje więcej tych smaków razem. – Ale chcę, żebyś też wiedział… że nie wyobrażam sobie już życia bez ciebie. Wróciłeś… i słońce znów zaczęło dla mnie świecić.

Sięgnął osłabłymi rękoma i przyciągnął Polskę ku sobie; Feliks wtulił się w niego mocno. Jego bliskość, widok, ciepło, dotyk, zapach, miękkie słowa; Litwa zamknął oczy, oddychając głęboko, chłonąc obecność męża każdym zmysłem.

Polska scałował łzy z jego policzków, a Taurys odwzajemnił się tym samym; wargi miał spierzchnięte od soli i wódki, i miał nadzieję, że to ostatni raz.

– Przyniosłem ci coś – szepnął Feliks po wielu minutach, z twarzą gdzieś w okolicach serca Litwy. – Nie wiem czy chcesz teraz… może później… Śpij…

– Nie, w porządku – wychrypiał Taurys, mrugając. Może zbyt wiele wilgoci miał w kącikach oczu. – Co takiego…?

Polska podniósł się; musnąwszy jeszcze raz jego czoło, podszedł do stołu, na który wcześniej odłożył notatki. Litwa otarł oczy przedramieniem; dopiero teraz zauważył, że spomiędzy kartek wystaje cienka książeczka. Z lekkim trudem podniósł się do siadu.

– Znalazłem u tych ludzi od przeprowadzki – zaczął cicho Feliks, podając Litwie tomik. – Zostawili mnóstwo rzeczy, mówili, żeby brać, jeśli coś wpadnie mi w oko… Pomyślałem…

Zawroty głowy minęły, ale musiał mocniej zmrużyć oczy, gdy spojrzał na tytuł.

– „Mity morza wschodniego" – przeczytał Litwa, a jego umysł natychmiast podpowiedział inne słowo; bałtyckie. Białe. Przerzucił kartki i niemalże zachłysnął się imieniem, które widział w dużym, przeznaczonym wyraźnie dla dzieci tekście. – Medeinė!

Obok, na ilustracji, przez las gnała piękna kobieta z łukiem w dłoni; u jej stóp pędziły wilki i długouche zające.

– Znasz ją…? – zapytał cicho Polska.

– Czy znam? – Litwa uśmiechnął się do niego z niedowierzaniem. – To bogini. Czciłem ją… bardzo, bardzo dawno temu.

Prawie nic nie pamiętał z tamtych czasów; z palcami na papierze, na gęstym wilczym futrze, spoglądał na historię, proste słowa spisane po niemiecku, dziwnie wzruszony tym maleńkim odłamkiem przeszłości.

– Wiesz, rozmawiałem z Erzsi – zaczął Feliks niepewnie. – Nie… nie chciałbyś spróbować ich przetłumaczyć? Wiem, że pewnie nie są… to te same historie, na pewno są uproszczone i zmienione, ale…

– Na litewski? – upewnił się Taurys. – Nie… nie wiem – zawahał się. – Ja wciąż… tak niewiele…

– Nie masz z kim ćwiczyć – Polska westchnął. – A myślę, że to może ci dobrze zrobić, Licia.

Litwa opuścił wzrok i przerzucił kilka stron; tęsknota uderzyła w jego obolałe serce jak taran. Zatęsknił znów za ziemią, lasem i bagnami; za domem.

Prześledził palcami tekst… proste zdania… na pewno książeczka była przeznaczona dla dzieci dużo młodszych od Uschi… Była sobie leśna panienka… Błagałem ją o łaskę obfitości, gdy ruszałem na łowy, w czasach, gdy to las mnie karmił… Medė… Medžioklė…

Kolejna historia; Słońce, patronka nieszczęśliwych i sierot, i jej dzban, z którego wylewa się światło… Złotowłosa istota o pełnym miłości sercu.

Zerwał się i porwał Feliksa w swoje ramiona.

– Myliu tave, mano saulutė!

Śmiech Feliksa był najcudowniejszym dźwiękiem na świecie.

***

Zaczynał nienawidzić pilotażu; Gilbert wyszedł z kabiny, przyciskając dłoń do skroni. Dźwięki helikoptera nie były już igłą; przypominały żelazny pręt, wbity głęboko w jego czaszkę, o który rozbijały się rozszalałe neurony.

Musiał się przespać i to jak najszybciej.

– Musimy zdać raport – rzucił, odsuwając rękę, zły na siebie, że okazał chwilę słabości przy urzędniku. Na szczęście, Lefevre też ledwo powłóczył nogami i jego służbistość wyraźnie osłabła razem z nim.

Kto by pomyślał, że latanie wte i wewte męczy, pomyślał ironicznie Gilbert. A wy się dziwicie, gołąbeczki, że ciągle mam za złe ten urlop…

Dwudziesta, sobota, nie mogli wylecieć z Königsbergu, pieprzona burza... Kto widział burzę w październiku?! Był na nogach od czterdziestu czterech godzin.

– Już późno – oznajmił cicho Lefevre, z nadzieją w głosie; spojrzeli po sobie, połączeni nikłym porozumieniem. Nim dotrą do centrum Berlina… – Może jutro…?

Sprecher urzędnika nagle zadzwonił; ten niemalże podskoczył, a Gilbert przymknął oczy i zaklął, bo dźwięk był niewyobrażalnie głośny.

Lefevre nie miał małżonki; żadna kobieta o zdrowych zmysłach nie wytrzymałaby z takim służbistą; nikt do niego zwykle nie dzwonił.

– Dyrektor… – wymamrotał Lefevre, odbierając. – Tak…? Znaleziono auto?! Gdzie?

Och, no proszę; Prusy odwrócił się, by ukryć uśmieszek. Już? Nieźle. Na chwilę powróciła do niego energia, roznoszona nagłym wyrzutem adrenaliny.

– Co się dzieje? – zapytał, gdy Lefevre się rozłączył.

– Znaleźli auto Laurinaitisa. Otwarte, porzucone nad Hawelą… oraz… – Lefevre zawahał się. – Podartą kartę obywatela i but… jeden but w błocie na brzegu. Powiedzieli, że… że z rana zaczną przeszukiwać dno.

– Jedziemy tam.

Ziarno kiełkuje.

***

Zarośnięty brzeg Haweli październikowym wieczorem był dokładnie taki, jakiego Gilbert się spodziewał; błotnisty. Klnąc na wszystko, na czym świat stoi, wrócił na mokry od siąpiącego deszczu asfalt, wycierając podeszwy butów o najbliższy wiecheć trawy.

Obok kręciła się policja… i Kölzow. Człowiek führera trzymał w dłoni przezroczysty woreczek, w którym smętnie leżał mokry, ewidentnie zalany sprecher, i rozmawiał półgłosem z jakimś technikiem.

Co chwila tarł podbródek, jakby się nad czymś zastanawiał.

Jak ci to wygląda?, zapytał go w myślach Gilbert. Bo jak dla mnie, to doskonała sceneria, by się utopić, jak nie w samej Haweli, to w tym błocie tutaj. Sezon letni minął, a wszystkie przystanie są na drugim brzegu, tutaj są jedynie chaszcze, błoto i sarnie gówna. Można tu leżeć tydzień, dwa i nikt cię nie znajdzie.

Światła latarek przeczesywały zarośla, tnąc ciemność gwałtownymi ruchami.

– Wyślemy to do laboratorium…

– Porównajcie ślady… i odciski z kierownicy…

– Kiedy przyjadą nurkowie?

– Dopiero około południa, muszą ściągnąć sprzęt, dopiero co mieli jakąś akcję w Poczdamie…

– Dzisiaj już za późno. Spotkamy się w południe w biurze wodza, panowie – rzucił cicho Kölzow, gdy Lefevre i Gilbert podeszli. Skinęli głowami. – Obecność obowiązkowa – dodał z uniesionym kącikiem warg.

– Las też trzeba przeszukać – Gilbert przeniósł wzrok na czarną ścianę drzew. – To dawne królewskie tereny myśliwskie. Nie wiem, ile jeszcze zwierzyny tu zostało, ale… Wziąłbym psy. Z dobrym węchem. I kogoś ze strzelbą, dla bezpieczeństwa.

– Racja, Herr Preußen. Przekażę.

Lefevre wyglądał na chorego na myśl, że jakieś zwierzę mogło rozszarpać ciało. Coraz bardziej podoba mi się twój pomysł, Litauen, pomyślał rozbawiony Gilbert. A ty, idioto… Wolisz zobaczyć strzępki mięsa niż trupa wyciągniętego z wody po tygodniu, uwierz mi na słowo.

Ale tutaj nic nie znajdą; prawdopodobnie uznają, że Hawela zabrała ciało ze sobą… Niech to łykną, wszyscy, prosił Gilbert w duchu. Zaczynam się czuć zmęczony, muszę się kimnąć.

Pokręcili się po okolicy jeszcze chwilę, ale znów zaczęło lać; gdy stało się jasne, że nic w strugach deszczu nie znajdą, a być może jedynie zadeptają nieliczne ślady, odeszli, zostawiając policji zabezpieczenie okolicy.

Przed zającami, pomyślał Gilbert ironicznie, bo znając ten brzeg rzeki, całkiem prawdopodobne było, że odkąd Litwa przygotował scenę, nikt inny się na niej nie pojawił.

Zadzwonili z tej głuszy po taksówkę; kierowca wybałuszył na nich oczy, ale, zerknąwszy na policyjne taśmy, mądrze nabrał wody w usta.

– Gdzie panów zawieźć?

Lefevre wymamrotał nazwę jakiejś ulicy w jednej z północnych dzielnic miasta; wyglądał na pogrążonego w myślach, ale i tak Gilbert odczuł ulgę, gdy jego sylwetka oddalała się w samochodowym lusterku.

– Tutaj skręć… Nie patrz na ten zakaz… to ściema, wjeżdżaj pan. Ta, na podwórze.

Była niemalże północ, za kwadrans niedziela, gdy w końcu pojawił się przed drzwiami mieszkania; klucz błądził mu w dłoniach, gdy myślał jedynie o łóżku. I może prysznicu, śmierdział.

Ledwie wszedł, oślepiło go światło; a potem Ludwig złapał go za ramiona.

– Gdzieś ty był!?

– Co? – Prusy zamrugał nieprzytomnie. – Jezu, zgaś te światło…

– Gdzieś ty był? – powtórzył Niemcy, a jego głos rozbrzmiał czymś, czego Gilbert nie słyszał od lat; czystym strachem. – Nie wróciłeś ani w piątek wieczorem, ani dzisiaj, i nie odbierałeś! Dzwoniłem setki razy! Wiesz, co ja…?!

Nie odbierałem, powtórzył głucho w myślach. Mój sprecher ma Kölzow. Ta zarośnięta gnida nie pisnęła słówka. Mam kolejnego drania w kolejce do odstrzału…

– Przepraszam – wyszeptał, bo nie mógł znieść przerażenia w tych błękitnych oczach. – Nie mam sprechera, biuro… biuro chciało pożyczyć…

– Masz przecież ten drugi…!

– Cały czas miałem ogon. Nie mogłem go wyciągnąć.

Dłonie Ludwiga osunęły się po jego ramionach, a potem cofnęły.

– Co się dzieje? – zapytał poważnie Niemcy. – Gilbert, do cholery?

Prusy uśmiechnął się; ponieważ był na nogach czterdzieści osiem godzin, uśmiech ten mógłby przerazić każdego.

– Podpaliliśmy gniazdo szerszeni.

– Idiota – warknął Ludwig.

A potem postąpił krok do przodu i zamknął brata w ciasnym, rozpaczliwym uścisku.

– Cholerny idiota!

Znikąd, z pogrążonego w ciemnościach salonu, w jasną przestrzeń korytarza wystrzeliła ruda kula futra; Berta, miaucząc w niebogłosy i budząc zapewne pół osiedla, zaczęła ocierać się o nogi Prus.

– Też cię kocham, braciszku – zaśmiał się Gilbert, gdy kotka zaczęła mruczeć. Wsunął palce w jasne, potargane włosy brata, składając jednocześnie czuły, nieco rozlazły pocałunek na jego czole. Ludwig był wyższy; musiał podnieść się na palcach. – Miło, że się martwiłeś.

Muskularne ramiona zacisnęły się mocniej wokół niego.

***

Niedziela znów była ich; Taurys zaciągnął Feliksa w leśne ostępy, w gęstwinę rosnącą wokół Kurska, nad wijącą się, wąską rzekę. Polska wypatrzył miejsce, w którym meandry rzeki tworzyły półwysep kształtem nieco zbliżony do serca i to tam rozłożyli koc.

Początek października nie był dobrą porą na piknik, ale potrzebowali tego czasu z dala od zabudowań, pokoi hotelowych i cienkich ścian – zwłaszcza Litwa, który w końcu czuł, że może odetchnąć pełną piersią.

Las zawsze był tym pierwszym domem; zawsze go tam ciągnęło.

Pozwalał sobie szeptać czułostki, krępujące miłostki we własnej mowie, z ustami przy skórze Feliksa, nie zwracając uwagi, na to, jak plącze mu się język i jak wiele gramatycznych końcówek mu umyka.

Liście już opadały, ale zarośla były tak gęste, że nie potrzebowali innej osłony; poza tym, nikt o tej porze nie włóczył się już tymi pokrytymi listowiem dróżkami. Ich szelest i tak by ich ostrzegł, ale dookoła panowała cisza, cudowna cisza.

W głowie Litwy też była cisza; jak tęsknił za tym uczuciem.

Wargi smakujące siebie nawzajem, splecione dłonie, oczy spoglądające na siebie z radością.

Wiem, kim jestem; cholernie zakochanym człowiekiem.

Szepnął jeszcze kilka żarliwych rzeczy, całując ciepłą, miękką skórę w okolicach ucha Feliksa, raz po raz uciekając gdzieś na szyję i kark, ciesząc się z każdego szybszego oddechu i westchnienia. W nozdrzach miał zapach jabłek, słodkich, soczystych i chrupiących.

Polska śmiał się otwarcie.

– Wiesz, że Helga pytała, czy jesteś wolny? Leci na ciebie.

Umysł Taurysa potrzebował dłuższej chwili, by skojarzyć imię z osobą. Ręka Feliksa głaskała jego udo i było to wyjątkowo rozpraszające.

– Ta dziewczyna z ósemki? Czemu?

– Bo jesteś przystojny, niedomyślny kretynie – Polska dla żartów wywrócił oczyma.

Litwa mruknął coś nieprzekonany.

– Widziałem cię dzisiaj na wadze rano w łazience. Masz mi coś do powiedzenia? – Feliks uniósł brew, przesuwając dłońmi po plecach Taurysa i kreśląc tam miękkie koła.

– Przytyłem cztery kilo, odkąd wróciłeś. O ile waga nie jest zepsuta.

– Świetnie! – ucieszył się Polska. Z czułością uniósł podbródek Litwy i dotknął ustami jego warg. – Widzisz? Jest lepiej. A jak tutaj…? – Przesunął palcami, by sięgnąć ku skroni. – Lepiej?

– Może? – ocenił Litwa niepewnie.

– Myślisz, że zaczynasz zdrowieć…?

– Chcę wyzdrowieć – Taurys westchnął i oparł podbródek o ramię Feliksa, wpatrując się w ogołocone drzewa tego obcego lasu. – Ale nie… nie potrafię ocenić, czy naprawdę jest lepiej. I nie wiem… czy z tym wszystkim, co nas spotkało, jest to możliwe w pełni, ale… chciałbym.

Polska przytulił go mocniej; tkwili tak razem, spleceni, wsłuchani we własne oddechy, jeszcze długo.

– Jestem przy tobie – przypomniał miękko. – Już na zawsze.

– Musisz. Nie dano nam rozwodu – przypomniał Litwa ze śmiechem.

Świat ciemniał prędko w środku lasu, a powietrze ochładzało się jeszcze szybciej; gdy zbliżało się popołudnie, z niechęcią poderwali się z koca, wiedząc, że te skradzione kilka godzin dobiegało końca.

Szli, trzymając się za ręce, leśną, pustą ścieżką w kierunku, w którym zostawili skuter; gdy majaczył się już na horyzoncie, oparty o jakieś drzewo, z kieszeni Taurysa dobiegł znajomy dźwięk przychodzącego połączenia.

Zatrzymał się w pół kroku.

– Gilbert. Jakie złe wieści nam przyniesie? – zapytał, ściszając głos. Polska przybliżył się, przytulił do jego torsu, by słyszeć rozmowę i być oparciem, zarówno fizycznym, jak i psychicznym. – Odbieram… Słucham?

– Jeszcze nie wiem, czy to kupili na sto procent – odezwał się w słuchawce zachrypnięty, zmęczony głos Gilberta Beilschmidta. – Ale na razie szukamy topielca. Twoja panienka odegrała zajebistą rolę, pogratuluj jej kiedyś umiejętności.

Polska wyczuł, jak Taurys sztywnieje za jego plecami.

– Annika? – zapytał głucho. – Wplątałeś ją w to?!

Feliks aż drgnął mimowolnie, słysząc podniesiony głos nad swoim uchem. Taurys krzyczał rzadko, wtedy, gdy coś dotknęło go wyjątkowo mocno albo gdy eksplodowały kumulowane, chowane w sobie emocje.

– Musiałem – prychnął Prusy. – Bezpośredni rozkaz führera. Na szczęście, chyba czytała dobre dramaty, bo zrobiła świetne przedstawienie.

Gdy Litwa milczał, Gilbert westchnął ciężko w słuchawce.

– Pomyśl o tym tak, Lit… Wie, że żyjesz.

Feliks obrócił się i zadarł głowę; oczy Taurysa płonęły mieszaniną niepokoju, gniewu i strachu.

– Prusy, jeśli cokolwiek się jej stanie…!

– Nic jej nie będzie – sarknął Gilbert niecierpliwie. – Wiem, co robię.

Polska zamknął oczy i na oślep odnalazł drugą dłoń Litwy, tą opuszczoną bezradnie wzdłuż ciała; rozplótł zaciśnięte palce, pogłaskał kciukiem linię życia i linię serca najdelikatniej, jak umiał. Taurys zadrżał lekko; łaskotka wyrwała go ze stuporu, bo wziął głęboki oddech i odezwał się już spokojniej:

– Ja… ufam ci… Po prostu… Co się tam teraz dzieje, Gilbercie?

Prusy streścił im całą rozmowę z Ferencem; sobotnią, gdy zlecił rozkazy, i dzisiejszą, niedzielną, gdy wspólnie dyskutowali o możliwości, że niejaki Litwa skończył w Haweli, w Grunewaldzie.

– Jest to brane pod uwagę – mówił powoli Gilbert. – Ale… Ferenc nie odwołał jeszcze poszukiwań.

– A ten… ten Kölzow? – odezwał się Polska.

– Leci jutro na wycieczkę rzeszoznawczą zamiast mnie. Po tygodniu mu się odechce – Prusy zaśmiał się ponuro. – A co do Domu Jesiennego…

Wiatr, który szarpnął włosami Polski i Litwy, nie był już jesienny; był oddechem syberyjskiej zimy.

– …Ferenc nakazał relokację w ciągu miesiąca.

Słońce zgasło.

Rozdział XXXIV: Korzenie i skrzydła

Śniły mu się rozległe parkowe tereny; ciemna zieleń otaczała go ze wszystkich stron, gdy szedł prosto przed siebie, rozcinając ciemność bielą swojego munduru i przez krótką chwilę Gilbert miał wrażenie, że to ogrody Charlottenburga. Ale to złudzenie szybko minęło, gdy znikąd wyrosła przed nim rotunda z pałacu Sanssouci; doryckie kolumny pięły się tak wysoko, że Prusy musiał zadrzeć głowę, by dostrzec pokrytą patyną kopułę.

Nie poświęcił jednak nudnemu dachowi zbyt wiele swojej uwagi; opuścił wzrok i zatrzymał go na kobiecej rzeźbie. Ta odwzajemniła się zamyślonym spojrzeniem; listy w jej marmurowych dłoniach zadrżały na wietrze.

– Cześć, Wilhelmina – mruknął Prusy, a wykuta w kamieniu twarz jakby odmłodniała; kilkuletnia dziewczynka mrugnęła do niego zawadiacko, ale zaraz potem zignorowała go całkowicie, przenosząc wzrok na klęczącego przed nią starego mężczyznę.

A może chłopca; Fritz w oczach Gilberta mienił się jak powietrze ponad ogniem, jego rysy rozmywały się w łzach, a może deszczu; nad Poczdamem nagle zerwała się burza.

– Wejdź do środka – chciał powiedzieć, wyciągnął rękę, ale wtedy księżniczka zeskoczyła ze swojego krzesła, złapała śnieżnobiałymi dłońmi za mundur na piersi Gilberta i wykrzyknęła mu prosto w twarz:

– Nie pozwól ojcu zabić mojego brata!

A potem piorun uderzył w szczyt rotundy, sprawiając, że z nieba zaczął spadać deszcz topiącej się, parzącej skórę miedzi; Gilbert Beilschmidt gwałtownie usiadł w pościeli. Berta posłała mu długie spojrzenie z końca jego łóżka, gdzie spała zwinięta w kłębek.

– Nie gap się tak, jakbyś widziała to pierwszy raz – mruknął niechętnie, przeczesując palcami włosy. Serce uderzało szaleńczo w jego klatce piersiowej. – Poganin też pewnie ma koszmary.

Kotka zamiauczała cicho. Ku zdumieniu Prus zerwała się i bezszelestnie kilkoma susami pokonała skotłowaną pościel, by wepchnąć się pod jego dłonie; rozkojarzony pogłaskał jej długie, kudłate futro, a gdy zaczęła mruczeć, na jego skrzywione wargi powrócił zawadiacki uśmiech.

– No, bestyjko – rzucił, zaglądając w jej zielone oczy. – Jak jesteś taka mądra, to wytłumacz mi, co mi chcieli powiedzieć.

Potem parsknął; chyba jeszcze nie obudził się w pełni, skoro pyta kota o znaczenie snów. Zbity z tropu pokręcił głową i w końcu wyplątał się z pościeli; słońce za oknem stało wysoko. Ostatni raz potrząsnął głową, zrzucając z siebie sen i mgliste strzępki tego, co w nim widział; nieistotne, ta dwójka nie żyła w końcu od wielu, wielu lat.

Zadarł głowę i rozejrzał się po sypialni, a gdy dostrzegł gitarę, zaświerzbiły go palce.

Tyle dobrego, pomyślał Prusy wisielczo, że może znajdę więcej czasu na grę, skoro ten cały Kölzow wyręczy mnie w mojej robocie.

Miał razem z Lefevre'm szukać Laurinaitisa, meldować się co trzy dni u Ferenca i pić piwo, które sobie nawarzył, ale przynajmniej prześpi w swoim łóżku dłużej niż trzy noce z rzędu; Gilbert nie pamiętał, kiedy ostatni raz coś takiego miało miejsce.

Nie zwlekając, ruszył ku drzwiom, mimochodem zauważając, że kotka podąża za nim; najwidoczniej Ludwig kolejny raz nie spełniał jej standardów towarzyskich, pomyślał rozbawiony.

Przeszedł na korytarz, zastanawiając się, która godzina. Po zaskakująco czułym przywitaniu z bratem padł w pościel jak kłoda, zasypiając niemal natychmiast. Teraz poświęcił sobie nieco więcej czasu; gdy w końcu wylazł spod prysznica, powieki co prawda dalej opadały mu ciężko, ale przynajmniej skóra była rozgrzana i gorąca, jakby krew ruszyła żwawiej przez żyły; czas na kawę.

Ludwig stał w kuchni. Na widok brata odwrócił wzrok, a na jego policzkach pojawił się blady rumieniec, jakby wstydził się swojej emocjonalnej reakcji z nocy; Gilbert wyszczerzył zęby. W jakiś sposób wszystko dookoła powoli chwiało się i drżało, ale przepaść między nimi jakby się zasklepiła.

– Zrobiłem ci kawę – mruknął niezręcznie Niemcy. – Tą lepszą.

Rzeczywiście, na blacie kuchennym stało znajome opakowanie; Prusy z przyjemnością wciągnął w płuca zapach napoju. Tę kawę zwykle kupował Litwa, Gilbert wypił jej przez te wszystkie lata hektolitry, gdy wpadał na ostatnią z wizytacji, zmęczony całym tygodniem, i częstował się nią, zwykle bez pytania.

– Wyjdziesz na ludzi!

– Uważaj, jest...

Prusy złapał za kubek i niemalże od razu wychylił jedną trzecią jego zawartości; gorący płyn palił przełyk, przesuwał się ognistą kulą w dół, aż do żołądka. Gilbert szybko pożałował tego, co właśnie zrobił:

– Kurwa...!

– ...gorąca – dokończył cicho, wolno Niemcy, a potem westchnął ciężko. – Musimy porozmawiać.

– Wiem – Gilbert zamrugał, oddychając głęboko. Paskudne uczucie minęło, a on posłał kubkowi mordercze spojrzenie, jakby to ten emaliowany kubeczek w żółte pisklęta był powodem tego, że Prusy właśnie wlał w siebie wrzątek. – Muszę wyrównać temperaturę w żołądku. Wyjmij Goldwasser z lodówki.

Ludwig pokręcił głową, ale bez słowa odnalazł w lodówce znajomą butelkę; drobinki gdańskiego złota zamigotały w świetle dnia.

– Zjedz najpierw coś – nakazał tylko, z trunkiem w dłoni kierując się do salonu. – Nie ma jeszcze dwunastej.

Prusy wywrócił oczyma, ale bez słowa zajął się własnym śniadaniem; biała kiełbasa, jajka, parę kromek pumperniklu. Przełykał szybko duże kęsy, ledwie przeżuwając, chociaż nikt go nie gonił; Roderich miałby dużo o powiedzenia o moich manierach, pomyślał, wywracając oczami, ale ten paniczyk mógł pozwolić sobie na siedzenie nad talerzem godzinami. Gilbert, zawsze u boku armii, na ogół nie mógł nie miał takiego luksusu; ciało doskonale to pamiętało.

Kilka chwil później potem wpadł do salonu; Ludwig stał przed ścianą, na której wisiały zdjęcia. Prusy też zerknął w tamtą stronę, ciekaw, która fotografia tak przykuła uwagę Niemiec.

A potem parsknął.

– Spił cię – powiedział, chichocząc. – Ale była awantura, hehe. Na calutką Drugą Rzeszę.

– Kto pozwolił Bawarii wziąć mnie na Oktoberfest? – zapytał Ludwig, unosząc brew.

Sięgnął i dotknął skromnej, drewnianej ramki otaczającej czarno-biały dagerotyp. Na zdjęciu był jeszcze drobnym nastolatkiem, o ile to słowo kiedykolwiek pasowało do ich gatunku; krótko po tym czasie miał skok wzrostu i przerósł Gilberta.

I Bawarię, skoro była o nim mowa; trzymający go za ramiona mężczyzna szczerzył się tym samym uśmiechem, który Ludwig znał z twarzy Prus. Gdyby nie inne odcienie włosów i oczu, mogliby uchodzić za bliźnięta.

Prusy prychnął.

– Myślisz, że Florian potrzebował pozwolenia? Przecież właśnie za to oberwał w mordę od Friedo. – Jego zadowolenie nieco zgasło, a kolejne słowa wymamrotał jakby do siebie. – Mi chyba też przypieprzył, ale nie wiem, za co.

Ludwig zmarszczył brwi.

– Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek dostał od któregoś z was w ramach kary.

Nie, pomyślał nagle Prusy. Nie, bo ty byłeś spełnieniem snu, który nosiliśmy w duszach przez setki lat wzajemnych wojen. Podniesienie ręki na ciebie byłoby podniesieniem ręki na zjednoczenie, na naszą własną duszę. Na Święte Cesarstwo.

– Bo byłeś najmłodszy – zaśmiał się zamiast tego. – Ale nie myśl, że dalej masz taryfę ulgową, hehe.

– Parę razy się pobiliśmy.

– A faktycznie – Gilbert zmarszczył brew. Pomijając wzajemne sparingi, bo Prusy bardzo nalegał, by dorastający Ludwig umiał walczyć wręcz, faktycznie mieli trochę bójek za sobą, gdy Ludwig już podrósł i mogli zetrzeć się ze sobą jak równy z równym o zupełne drobiazgi; jak to rodzeństwo. Zatarł dłonie i posłał znaczące spojrzenie butelce, którą Ludwig postawił na stoliku między dwoma fotelami. – Chodź. Szkło się męczy.

Odszedł od ściany, słysząc za sobą kroki Ludwiga; usiedli w fotelach, a Prusy bez słowa zdarł z Goldwasser banderolę. Ponad czterysta lat, pomyślał z zadowoleniem, wpatrując się w datę na butelce i na chwilę będąc myślami w Danzigu. Do tej pory wpadał tam w każdą środę, zagadywał do Belgii podczas wizytacji – uśmiechała się wymuszenie – i czasem odbierał czynsz od swojej lokatorki.

Ale mieszkanie już stało puste; Prusy pogratulował sobie przewidywalności.

– Gilbert – Niemcy tymczasem usiadł sztywno, obserwując, jak brat nalewa po kieliszku.

– Moment…

Nie spełnili żadnego toastu, Niemcy jednak wymownie wyciągnął rękę z kieliszkiem w jego kierunku. Prusy natychmiast zrozumiał gest; zrobił to samo, aż ich przedramiona oplotły się wokół siebie ciasno.

Wypili jednocześnie do dna, nie roniąc ani jednej połyskującej złotem kropli. Potem, zgodnie ze zwyczajem, musnęli ustami swoje policzki; gdy odsunęli głowy, Niemcy wziął głęboki oddech i spojrzał nieustępliwie w oczy brata.

– A teraz wytłumacz mi, co się, do jasnej cholery, dzieje.

– Nieczyste zagranie – Gilbert uśmiechnął się słabo; coś w jego duszy zaśpiewało, jednocześnie z radości znaczenia tego gestu, jak i z dumy, że jego braciszek jest tak przebiegły. – Tak zaraz po Bruderschafcie? Który cię tego nauczył?

Widząc, że Ludwig jedynie unosi brew, nie dając się wciągnąć w słowną przepychankę, Prusy westchnął.

– Nie zdziw się, jeśli Ferenc wezwie cię w poniedziałek – powiedział wesoło. Była niedziela; jego brat opuścił pracę w piątkowe popołudnie, całkowicie nieświadomy rewelacji, o których führer dowiedział się kolejnego ranka. – Laurinaitis spierdolił.

Niemcy zesztywniał; zmrużył oczy i wyraźnie ważył słowa:

– Przywiozłeś mi jego kota bez żadnego słowa wyjaśnienia. Masz na myśli, że spieprzył coś czy...

– Mam na myśli, że w moim najlepszym interesie jest przekonać Ferenca, że trup Litwy dopływa już do Łaby. Albo że szczupaki zżarły go w którymś z jezior po drodze, co jest bardziej prawdopodobnym scenariuszem.

Ludwig wpatrywał się w niego tępo.

– Zrobiłeś mu coś...? – zapytał w końcu niepewnie.

Prusy wywrócił oczyma.

– Dziesięć siniaków – mruknął, myśląc o chwili, w której wbił palce w ramiona blednącego Litwy. Tamtego późnego wieczora, gdy zdali sobie sprawę, kto ma ostatnie klucze. – Do wesela się zagoją.

– Gilbert – Ostry głos brata przywołał go do porządku.

Potarł oczy; pod powiekami ciągle czuł piasek, jakby ten długi sen, o wiele za długi, niż był przyzwyczajony, wcale nie pomógł na jego zmęczenie.

– Dobra, od początku...

Był w połowie opowieści, gdy Ludwig zerwał się z fotela i zaczął przemierzać salon długim, marszowym krokiem, zaplótłszy ręce za plecami. Gilbert rozsiadł się w fotelu i śledził każdy jego krok.

– On w to nie wierzy – warknął w końcu Niemcy, zatrzymując się pośrodku pokoju. Jego spojrzenie mogło ciąć szkło.

– Jest to scenariusz, który bierze pod uwagę – odparł cicho Prusy. – Jeden z wielu.

– Teatrzyk – Ludwig wrócił do nerwowego chodzenia, rzucając kolejne spojrzenia zdjęciom. Pies, Axel, merdał ogonem do aparatu. – Gdyby Laurinaitis był zwykłym człowiekiem, byłoby to wiarygodne. Niejeden desperat rzucił się w Hawelę. A ta dziewczyna... Ile ona wie?

– Tyle, ile powinna – Prusy wywrócił oczyma. – Obiecałem Taurysowi jej bezpieczeństwo. Widziała, jak Litwa zachowywał się przez ostatnie lata, chociaż nie znała powodów. Wystarczyło dać jej parę wskazówek, jak ma tej wiedzy użyć.

– Więc oficjalna wersja, jaka doszła do uszu führera, mówi o tym, że Polska żyje, ale jego pojawienie się pociągnęło i tak już depresyjnego Litwę na całkowite dno – podsumowywał Ludwig.

Prusy cicho zachichotał.

– A jest na odwrót, chłop ożył, hehe – Spoważniał i polał jeszcze po kieliszku. – Szyłem z tego, co miałem – burknął pod nosem. – Tak, nieśmiertelność jest słabym punktem tego planu... O ile jeszcze ona wchodzi w grę.

– O ile? – powtórzył Ludwig, znów stając się w miejscu.

Gilbert podwinął rękaw koszuli. Oczom Ludwiga okazały się trzy znajome szramy; pamiątki po jednej z niezliczonych bitew.

– Francis miał zajebiście ostre paznokcie. Nie pytaj, jak do tego doszło, to intymne wspomnienia – zażartował Gilbert, mrugając do brata porozumiewawczo. Ludwig uniósł jedynie brew; reputacja Francji była powszechnie znana każdemu przedstawicielowi ich gatunku, ale on znał swojego brata lepiej. – Szarpaliśmy się kiedyś, podrapał mnie do krwi – mruknął Gilbert wyjaśniająco. – W każdym razie... – Pochylił się i odsłonił kostkę lewej stopy. Kolejny biały ślad. – Tu któryś z naszych braci... A tu – Jasny ślad na ramieniu. – Wielka Brytania.

– Do czego zmierzasz?

– Do Uciany w czterdziestym ósmym.

– Wiem, że Litwa tam był – zaczął powoli Niemcy, marszcząc brwi. – Ale co to ma teraz wspólnego z...

– Jestem zaskoczony, że Polska jeszcze nie zwrócił na to uwagi – Prusy założył ręce za głowę. – Ale może był rozproszony całą resztą blizn, by zastanawiać się akurat nad tą.

Widząc, że jego brat nie rozumie, co ma na myśli, Gilbert westchnął ciężko.

– Lit dostał wtedy nożem od tych gówniarzy – Uniósł oczy i wpatrzył się w twarz znieruchomiałego Ludwiga. – Została mu blizna. I *dalej* ją nosi.

– Dalej – powtórzył Niemcy, licząc w głowie. Uciana, głupi, irytujący wyskok naiwnych dzieciaków; miał ochotę trzasnąć Litwę przez łeb, ale był wtedy na drugim końcu Imperium, więc to Prusy się tym zajął. – Siedemdziesiąt jeden lat.

I dopiero, gdy liczba opuściła jego wargi, zrozumiał. Spojrzał na swoje ręce; gdy jego brat przyniósł do domu szczeniaka, ten gryzł brutalnie palce aż do krwi. Gdy niechętnie zajmował się Bertą poprzednim razem, zostawiła piekące szramy na wnętrzu jego dłoni.

Gdy tłumili powstanie w Warszawie, jakiś młody, bardzo odważny, bardzo głupi, bardzo zdesperowany żołnierz próbował go unieszkodliwić, przebijając dłoń trzymającą pistolet bagnetem; krew zalała wtedy cały mundur Ludwiga, a on klął na zszywającego go lekarza.

Jego ręce były czyste, bez skazy.

***

Z plastikowej przegródki zawieszonej na ścianie tuż obok kasy biletowej niemalże wysypywały się ulotki; Uschi sięgnęła po jedną z nich, a potem ostrożnie wyrównała pozostałe, ratując je przed niechybnym upadkiem na marmurową posadzkę.

Annika uśmiechnęła się do niej ciepło; dziewczynka spłonęła uroczym rumieńcem.

– Edukacyjny…? – Kobieta w kasie nie uniosła wzroku. – Tak, tak, honorujemy nauczycielstwo spoza Prus, proszę kartę obywatela i legitymację dziecka...

– Jeszcze nie mamy legitymacji, proszę, tutaj zaświadczenie o przyjęciu – Annika podała jej dokument; Uschi na moment uniosła oczy znad ulotki, a potem opuściła wzrok, gdy nauczycielka płaciła za bilety wstępu. – Dziękuję bardzo!

– Większość sal jest dostępna do zwiedzania, w niedziele parlament nie obraduje – Wyrecytowała kobieta, wrzuciwszy marki do kasetki. – Proszę nie wchodzić do miejsc oznaczonych zakazem, a w razie potrzeby pytać opiekunów sal. W szczególności polecamy Salę Luster, Salę Tronową oraz naszą najwspanialszą Bursztynową Komnatę.

Gdy wspinały się krętymi schodami na jedno z pięter, Uschi nieśmiało wsunęła swoją dłoń w dłoń Anniki.

– Dziękuję, że pani mnie tu wzięła – wymamrotała cichutko. – Tata… tata nigdy nie chciał nigdzie mnie zabierać.

Annika westchnęła w duchu i mocniej ścisnęła drobną rękę. Dziewczynka rozkwitała z daleka od Dušana Tauscha; wychodziła lekkim krokiem z budynku szkoły i uśmiechała się, gdy w bramie czekała Annika, gotowa odprowadzić ją na stancję i porozmawiać o minionym dniu. Nawiązywała pierwsze, nieśmiałe znajomości i zaczęła przejawiać zainteresowanie miastem, w którym się znalazła – starym, pruskim Königsbergiem.

– Musisz dużo nadrobić – Uśmiechnęła się miękko, a potem wskazała jej białe, dwuskrzydłowe drzwi na końcu korytarza. Siedzący tam młody mężczyzna, trzymający na kolanach krzyżówki, ożywił się na widok odwiedzających. – Na żywo jest piękniejsza, wiesz?

Uschi z podekscytowanym piskiem, jakiego Annika nigdy wcześniej nie słyszała z jej ust, popędziła korytarzem, ślizgając się po wypolerowanej posadzce; zatrzymała się w progu, szeroko otwartymi oczami spoglądając na komnatę przed sobą. Nauczycielka literatury cicho stanęła obok niej, również podziwiając ten zabytek.

Zdjęcia z broszurek, które dziewczynka dostała od szkoły jako przyjezdna, nie oddawały pełni blasku Komnaty; bałtycki bursztyn pokrywał każdy centymetr niezwykle wysokich ścian, układając się w herby i płaskorzeźby. Światło w zapalonych kandelabrach migotało w złocistych, miedzianych i czerwonych odcieniach kamieni. Wąskie lustra, piękne meble zdobione złotymi okuciami, eleganckie wazy i królewskie popiersia dopełniały dzieła przepychu i bogactwa.

– Wykonanie Komnaty zlecił pierwszy król pruski, Fryderyk I Hohenzollern, w tysiąc siedemset pierwszym roku, zatrudniwszy najlepszych mistrzów z Danzigu…

Przewodnik, porzuciwszy miejsce przy drzwiach, pojawił się obok Anniki i obserwował, jak Uschi ostrożnie podchodzi do eksponatów:

– Prace trwały jedenaście lat, ale w końcu Bursztynowa Komnata trafiła do pałacu w Charlottenburgu. Później, w wyniku paskudnej intrygi, kraj utracił Komnatę, a ona sama znalazła się w Rosji. W Carskim Siole, to około sześćdziesięciu kilometrów od wschodniej granicy Zjednoczonej... Na szczęście, w tysiąc dziewięćset czterdziestym

pierwszym naszej armii udało się odzyskać Komnatę i sprowadzić ją do domu. Decyzją ówczesnej władzy umieszczono ją w naszym zamku, czyniąc Königsbergowi wielki zaszczyt...

– Miałam o tym na historii – zauważyła Uschi szeptem. – i byłam w Charlottenburgu. Na wycieczce szkolnej... tata raz się zgodził – dodała tak cicho, że niemalże niesłyszalnie.

Annika podziękowała przewodnikowi; ten mruknął coś o tym, że jest tuż obok i wrócił do swoich krzyżówek. Gdy zniknął za drzwiami, podeszła bliżej dziewczynki i zaoferowała uścisk; Uschi przylgnęła do niej natychmiast.

– Tęsknię za nim – powiedziała drżącym głosem. Spomiędzy grzywki mignęła wilgoć, gdy zaczęła gwałtownie mrugać. – Nie powinnam, prawda? Po tym, co... Co zrobił. Co p-powiedział.

– Moje kochanie – Annika delikatnie odsunęła kilka kosmyków, by spojrzeć Ursuli w załzawione oczy. – To wciąż twój tata – odpowiedziała łagodnie, widząc, jak Uschi pociąga nosem. – Nie ma nic złego w tym, że za nim tęsknisz. I że go kochasz – Annika westchnęła. – Serce nie wie, co „się powinno". Ono po prostu czuje. Nie ma w tym nic złego.

Dziewczynka nie wybuchła płaczem, ale trwała w jej ramionach długo; Annika delikatnie głaskała jej drżące ramiona i plecy.

– Co będzie w wakacje? – zapytała Uschi ochryple, chociaż był zaledwie październik.

– Twój tata wciąż jest twoim opiekunem – Annika pokręciła głową. – Ale pośród dokumentów była zgoda na pozostawanie na stancji też w czasie letnich ferii. A jeśli nie będziesz chciała tu zostać, zawsze będziesz mogła przyjechać do mnie, wiesz?

– Nie musiałabym...?

– Nie, słoneczko.

Uschi wzięła głęboki oddech.

– A pan Laurinaitis...? – zapytała nieśmiało. – Obiecał, że zadzwoni do mnie, ale...

Och, Taurysie, pomyślała Annika smutno. W coś ty się wpakował?

– Taurys bardzo cię przeprasza – szepnęła do dziewczynki, dalej trzymając ją w ramionach, wracając wspomnieniem do tamtego pamiętnego telefonu.

Proszę, szeptał Taurys do słuchawki sprechera, pomóż mi. Chodzi o Uschi, ja... rozmawiałem z jej ojcem, ale wszystko poszło nie tak... jest u mnie, nie wiem, co robić. Ale ona nie może tam wrócić.

– Ma teraz bardzo ciężki okres. Chciałby z tobą porozmawiać, ale na razie nie może. Prosił, żebym przekazała ci, że bardzo cię cieszy, że... że podoba ci się w twojej nowej szkole.

– Wszystko u niego w porządku?

Nie wiem, pomyślała Annika, zaciskając usta. Nie wiem, gdzie jest, co się z nim dzieje... Wiem, że musiało stać się coś złego. Mogę mieć tylko nadzieję, że jest z nim ten Feliks. Odkąd do siebie wrócili, do Taurysa wróciło życie. Oby był przy nim, cokolwiek by się nie działo.

Był jeszcze Gabriel, chodząca tajemnica; najpierw zjawił się niemalże znikąd, zbity z tropu mężczyzna w mundurze, gapiący się na płaczącą dziewczynkę w całkowitym zmieszaniu, który szybko zwiał, gdy Annika przyjechała na Viktoriastraße.

Potem przelotne spotkanie w szkole, gdzie dziwnym trafem żaden inny uczeń nie został wybrany przez królewiecką orkiestrę… A potem ten telefon, wyszeptane pośpiesznie instrukcje, jak i co Annika ma mówić… Wczorajsze przesłuchanie…

– Myślę, że po prostu potrzebuje trochę czasu dla samego siebie – skłamała niechętnie, całując Uschi w czoło. – Też ma w głowie rzeczy do poukładania. Chciałby z tobą porozmawiać, ale obawiam się, że… że nie ma teraz na to siły.

– Wiem – szepnęła Uschi. – Jak… jak się źle czułam, bo tata… Wtedy ja też nie chciałam z nikim rozmawiać, wie pani?

Wiem, Taurys też tak się zamykał w sobie. Cud, że wyciągnęłam go wtedy na tę pierwszą, niezręczną kawę, pomyślała Annika. Ale gdy go zobaczyłam, w kącie pokoju nauczycielskiego, pobladłego, niemalże drżącego ze strachu przed swoją pierwszą lekcją… Tamto spotkanie było porażką, ale w zeszłym roku zaczęliśmy rozmawiać o wiele częściej.

– Też tak się czułam, gdy zmarł mój brat – przyznała cicho. – Był żołnierzem, bronił kraju – dodała wyjaśniająco, gdy Uschi posłała jej pytające spojrzenie. – Nie będę na ciebie naciskać, kochanie. Wiedz po prostu, że czasem wygadanie się bardzo pomaga, nawet jeśli to bardzo trudne, by zacząć. Po prostu o tym pamiętaj.

Ostrożnie otworzyła ramiona i pozwoliła Uschi się z nich wyślizgnąć; potem podała jej chusteczkę i odeszła krok w bok, dając dziewczynce czas na uspokojenie się.

– Kiedy wraca pani do Berlina? – Uschi schowała twarz w chusteczce, więc jej głos był przytłumiony.

– Za trzy… – Annika zawahała się, a potem przymknęła oczy. – Za trzy tygodnie, kochanie. Jeszcze chwilę tutaj będę, jeśli ci to nie przeszkadza.

Muszę tylko zadzwonić do szwagierki i poprosić ją o dłuższą opiekę nad Axelem, pomyślała. Wynagrodzę jej to jakoś… I do dyrektora Meiera, dać znać, że mój urlop znacznie się przedłuży. Nie będzie zadowolony, zabrakło dwójki nauczycieli…

Taurysa nie było w stolicy; tylko tyle zdradził jej Gabriel Paccard, zakazując kategorycznie pytać o cokolwiek, dla jej własnego dobra. Dał też jej adres, na wypadek, gdyby zauważyła coś podejrzanego albo gdyby ktoś ją śledził; Annika zagryzła wargi.

Działo się coś bardzo dziwnego; Paccard był z armii, przyjacielem, o którym do tej pory Annika ani razu nie usłyszała od Taurysa, ten drugi nie wydawał się ani żołnierzem ani policjantem.

A ona była tutaj i nie mogła w żaden inny sposób pomóc Taurysowi; mogła mieć tylko nadzieję, że ich długie rozmowy pomogą mu teraz uporać się z czymkolwiek właśnie walczył.

Mogła za to pomóc temu dziecku; dokończyć jego dzieło.

– Dziękuję, proszę pani – Uschi uśmiechnęła się do niej radośnie, mimo łez w oczach.

– Możesz mówić mi „ciociu”, kochanie.

Są dwie rzeczy, które dzieci powinny otrzymać od rodziców, w jej głowie nagle rozbrzmiał Goethe, gdy Uschi nieśmiało skinęła głową; korzenie i skrzydła. Twój ojciec próbował je przyciąć, a ja pomogę ci je rozprostować.

***

Mała kawa stygła w filiżance, podobnie jak omlet, czerwony od wkrojonej tam papryki; Erzsébet wpatrywała się w śniadanie, żałując, że wzięła się za jego przygotowanie i zmarnowała składniki, bo nie miała ani krzty apetytu.

Poniedziałek przyszedł po nieprzespanej nocy, coraz mocniej ściskając żołądek. Miała wrażenie, że jeśli cokolwiek przełknie, zwymiotuje z nerwów; zaciskając mocno usta, objęła się ramionami i skuliła na kuchennym krześle.

Wskazówki zegara mknęły nieubłaganie do przodu, każdym jednostajnym tyknięciem przybliżając południe. Jej praca, którą naiwnie położyła przed sobą w nadziei, że się czymś zajmie, pozostała nietknięta.

Ferenc trzyma Gilberta na coraz krótszej smyczy, pomyślała, gdy rozłączyła się po długiej, wieczornej rozmowie; na szczęście, Prusy zadzwonił, gdy był już we własnym domu, z dala od biura i samego führera. Nie ufa mu, ale nie odcina go jeszcze całkowicie... W co on gra? Może myśli, że Gilbert tak naprawdę go nie zdradzi?

To zawsze był drażliwy i delikatny temat, gdy ich gatunek nie zgadzał się z rządem; sytuacja stawała się wtedy gęsta jak syrop, a każdy krok w którąkolwiek ze stron był ostrożny i wyważony. To była jedna z nielicznych rzeczy, za którymi nie tęsknili, gdy Rzesza odebrała im ich pozycję; Węgry nawet odczuwała ulgę, że więcej nie będzie musiała grać w tę grę. Na dłuższą metę zawsze była niezwykle wyczerpująca.

A mówiąc o zmęczeniu, Erzsébet westchnęła i sięgnęła po kawę. Wypiła długi łyk już niemalże zimnego napoju, czekając na to, by kofeina zaczęła działać.

Kolejna wyprawa przez imperium wyczerpała ją bardziej niż sądziła; w ostatnich tygodniach siedziała za kółkiem częściej niż w ciągu minionych kilkunastu lat. Ale to było konieczne, a ona w tym momencie miała największą swobodę działania.

Niewiele brakowało, pomyślała, zaciskając usta. Taurys przekazywał mi informacje na bieżąco, ale nie robił tego w tym samym pomieszczeniu, w którym Lefevre umieścił pluskwę. Na szczęście, wybrał biurko w sypialni zamiast stołu w kuchni... W przeciwnym wypadku i ja byłabym skończona.

Nie winiła Litwy za nic, za całą tę sprawę z kluczem, o której opowiedział jej pośpiesznie Feliks, a o której Gilbert rzucił kilka ostrych słów, gdy ze sobą rozmawiali:

– Ten połamany idiota...

– Jestem równie połamana, co on – warknęła Erzsébet, co natychmiast zamknęło Prusom usta. – I gdyby to mnie maszyna losująca wrzuciła do Berlina, tuż pod nos biura, też nie pamiętałabym połowy tego, co wydarzyło się w tym szpitalu, a zgubiony klucz byłby moim najmniejszym problemem. Wyjaśnianie przed obcymi ludźmi, co, kto i jak ci zrobił jest dość stresujące, wiesz? Daj mu już spokój.

Odpowiedziała jej wtedy głucha cisza; Prusy milczał długo, aż niemalże czuła bijące ze słuchawki sprechera poczucie winy. Węgry odetchnęła, nieco żałując swojego wybuchu.

– Naraził cię – Głos Gilberta był niemalże niesłyszalny.

– Nie – odparła spokojniej. – To ty idziesz mi na rękę. Nic, o czym biuro nie wiedziałoby wcześniej. Lada moment zaczną mi się baczniej przyglądać, ale zrobiliby to i bez podsłuchu. Wykorzystuję sytuację, póki mogę. Chcesz posłuchać?

Kolejne sekundy milczenia.

– Ta – mruknął Prusy w słuchawce, a ona uśmiechnęła się czule, słysząc jego naburmuszony ton.

– Podjechałam do Katii, pod adres z twojej mapy – Węgry bezmyślnie szkicowała coś na ostatniej stronie baśni dla dzieci. I tak musiała wziąć się za końcówkę jeszcze raz, nie była zadowolona z wyniku tłumaczenia. – Obserwowałam z daleka... ale wrzuciłam list od Nikolaia do skrzynki. Upewniłam się, że go wyjęła.

– Nie wiesz, co w nim jest?

– Oczywiście, że nie – Wywróciła oczami, jakby Gilbert mógł ją zobaczyć. – To ich prywatna korespondencja. Nikolai nie gra przeciw nam. Nie przeciw Taurysowi.

– Przeciw Iwanowi też nie zagra, Erzsi – mruknął Gilbert, ale w jego głosie zabrzmiała nuta wątpliwości. – A może jednak...?

– Stanąłbyś przeciwko któremuś z braci? – zapytała cicho, wpatrując się przez okno w ciemną uliczkę przed swoją kamienicą; grupka nastolatków ze śmiechem wyprowadzała rozbrykanego psa.

– Walczyłem z nimi nie raz, nie pamiętasz? – odparł sucho Prusy. – Dalej mam bliznę po tym, jak Bawaria przypierdolił mi bagnetem pod Dermbach. Ale opłaciłem się Florianowi pięknym za nadobne – dodał z doskonale słyszalną satysfakcją.

Przez następną chwilę sprecher milczał, jakby Prusy pogrążył się w przeszłości; w tym, jak wiele potyczek, bitew i wojen rozrywało Rzeszę od wewnątrz, przypomniała sobie Węgry. I jak często ta rodzina stawała przeciwko sobie.

– Teraz, po zjednoczeniu – odparła miękko, mając na myśli nie zszycie podbitych krajów po Wielkiej Wojnie Dziesięcioletniej, a to poprzednie zjednoczenie, którego żywym dowodem był Niemcy. – Stanąłbyś przeciwko Ludwigowi?

Najpierw zgrzytanie zębów, a potem rozdrażnione westchnienie:

– Nie rób mi jakiejś marnej psychoanalizy. Wystarczy, że gram w szachy z Ferencem. Zrób coś z nim – poprosił marudnie. – To w końcu twój człowiek.

Węgry, lekko tylko rozbawiona, pokręciła głową.

– Jak führer ci nie przeszkadza, jest wasz, a jak masz z nim problem, robisz z niego Węgra?

Hałas na klatce schodowej wyrwał ją ze wspomnień. Drgnęła gwałtownie, prostując się i trącając kolanami stół; tafla kawy zadygotała, a Erzsébet, zaciskając usta, przytrzymała filiżankę dłońmi, by nie rozlać zawartości na dokumenty.

To tylko sąsiedzi, rozpoznała głosy, i starała się zapanować nad nagłym ściskiem w gardle. To jeszcze nie oni. Jeszcze za wcześnie.

Ale i tak serce obijało się o jej żebra w szaleńczym tempie; przycisnęła dłonie do piersi. Zmusiła się do spokojnego, głębokiego oddechu; raz, dwa... raz, dwa...

Ciężkie kroki na korytarzu rozbrzmiały ledwie kilka minut później; Erzsébet poderwała się gwałtownie z krzesła, czując, jak słabe ma nogi. Nie, już?! Tak szybko, nie ma jeszcze południa... Chwiejnie podeszła do drzwi wejściowych.

Weź się w garść, Erzsébet. Przeżyłaś tę pieprzoną komisję, przeżyjesz i to, powiedziała do siebie, czując ciągle, jakby coś ciężkiego i kanciastego utknęło w jej klatce piersiowej, rozpychając się na wszystkie strony i miażdżąc płuca. Weź się w garść...!

Nacisnęła klamkę; drzwi otworzyły się bezszelestnie, a Węgry spojrzała w twarz trzech obcych mężczyzn.

Dwóch z nich było w mundurach; stało sztywno i lekko marszczyło brwi; jakby przelotnie zastanawiali się, kim jest ta kobieta w błękitnej sukience i dlaczego mieliby przeszukiwać jej dom. Byli jednak żołnierzami z krwi i kości, wyczuła to natychmiast; nauczeni, by nie podważać rozkazów, więc nie dostrzegła w nich ani odrobiny wahania. Żaden z nich nie miał też w oczach znudzenia, które pojawiało się u każdej pary, która towarzyszyła przez lata Gilbertowi; było na to za wcześnie.

Trzeci mężczyzna, stojący pośrodku, był po cywilnemu; natychmiast poznała go z opisu Gilberta. Miał rację, pomyślała niemalże histerycznie. Aż się chce uderzyć tę cwaniacką mordę.

– Pani Héderváry? – zapytał uprzejmie, z uśmiechem, chociaż nie było mowy o pomyłce; nikt inny nie mieszkałby pod adresem, które biuro relokacji miało w swoich dokumentach.

Przełknęła ślinę; coś ciągle tkwiło jej w gardle.

– Tak, zapraszam – Była dumna z siebie, że głos jej nie zadrżał. Cofnęła się, by wpuścić ich do środka.

Kölzow, bo tak się nazywał, przypomniała sobie, ruchem podbródka wskazał towarzyszącym mu żołnierzom najbliższe drzwi – te prowadzące do sypialni.

– Wykonać rozkazy. A panią zapraszam do kuchni, jeśli wybaczy mi pani śmiałość.

Nie czuła się rozbawiona; na sztywnych nogach wróciła do kuchni, która przestała być bezpieczna. Czarny, klejony złotem wazon, arcydzieło japońskich mistrzów, który Prusy tak nonszalancko jej dał, migotał w świetle dnia; skupiła się na jego iskrzeniu i na zapachu żółtych róż. I na piórze od Rodericha, które leżało porzucone na kartkach.

– Pani Héderváry, proszę stanąć twarzą do ściany. Ręce ponad głową.

Węgry zacisnęła usta; zablokował jej drogę ucieczki, stojąc wyprostowany, ciągle z uśmiechem, ale w jego niebieskich oczach migotało uprzejme ostrzeżenie, by nie stawiała oporu.

A bardzo chciała; instynkt podpowiadał jej, by złapać za to pióro, sprawdzić na jego skórze, jak ostra była ta stalówka, albo uchwycić wazon i rozbić ją na tym uśmiechu; chyba emocje Gilberta, przelane w prywatnej rozmowie przez sprecher, udzieliły się i jej.

Zamiast tego podeszła do ściany na sztywnych nogach i wpatrzyła się w nią bez słowa.

Gdy poczuła jego obecność za plecami, zacisnęła usta i ugryzła się do krwi w język, by nie krzyczeć.

– Pani wybaczy, ale to konieczność.

Zacisnęła oczy; dłonie przemknęły po jej ciele szybko i sprawnie, rzeczowo, gdy człowiek führera – ten prawdziwy, przemknęło jej przez płonącą głowę, nie ta szopka, za którą uchodzi Gilbert – sprawdził, czy nie ukrywa przy sobie broni albo innych podejrzanych przedmiotów. Ręce cofnęły się po kilku uderzeniach serca; gdy odważyła się zerknąć przez ramię, w spojrzeniu Kölzowa odnalazła jedynie chłodny profesjonalizm.

W niechętny sposób przyniosło jej to ulgę; zachęcona skinieniem głowy, opadła na krzesło, starając się ignorować drażniące, piekące uczucie tam, gdzie ją dotknął przez ubranie.

Wzdrygnęła się mimowolnie. Minęło kilkadziesiąt lat, odkąd biuro ostatni raz zastosowało rewizję osobistą; Prusy nigdy nie przykładał do tego serca, a gdy towarzyszący mu oficerowie widzieli ten brak entuzjazmu, też się do tego nie kwapili. Po gwałcie nigdy nie dziękowała Bogu za nic tak gorąco jak za to uchybienie.

– Nie mamy obecnie w biurze przeszkolonej kobiety – rzucił Kölzow, obserwując ją spod oka. Uniósł lekko brew. – Jeśli złoży pani wniosek, rozważymy zatrudnienie takowej w przyszłości.

A więc szykują się jeszcze większe zmiany w funkcjonowaniu biura, zrozumiała Erzsébet, starając się nie zastanawiać się i nie myśleć o tym, co właśnie się wydarzyło. Więcej ludzi. Mniej odstępstw od procedur…

– Wszystko w porządku – odparła, starając się przekonać samą siebie. Skrzywiła się; brzmiała słabo i bezradnie. Erzsi, weź się w garść, pomyślała ze złością. To tylko kontrola osobista!

Kolejnych Charlottenburgów już nie będzie, ale znajdzie kiedyś inny bal, gdzie zacznie tańczyć na własnych zasadach. Może przełamie się i następnym razem, gdy będzie przemycać kontrabandę do domu Saksonii w Alpach, poprosi, by włączył jakiegoś walca; był najlepszym tancerzem w tej części Europy.

Przytuli w końcu Feliksa i rozpłacze mu się na ramieniu, uściska Litwę, złapie w ramiona Gilberta, nim ten się wymiga. Może obejmie Rodericha, jeśli jeszcze kiedyś gdzieś się spotkają, i pozwoli, by głaskał ją po włosach; były coraz dłuższe, a Erzsébet wiedziała, że zawsze lubił ich dotykać. Może kiedyś się z kimś umówi, pozwoli się pocałować i dotknąć i poczuje ogień i uniesienie, a nie strach.

Może; ale nic z tego się nie ziści, jeśli nie weźmie się w garść.

Aidan Kölzow, najnowszy nabytek biura relokacji, patrzył jej w oczy, obserwując ją uważnie.

– Skoro mamy chwilę…

Z łazienki dobiegł ich dźwięk otwieranych szafek; żołnierze nie śpieszyli się, zaglądali w każdy kąt. Erzsébet starała się nie myśleć o małym pakunku, który zostawiła w bezpiecznym miejscu, z dala od jej mieszkania, na wypadek, gdyby szpicel – bo tym

musiał być, sarkał Gilbert podczas rozmowy, ktoś z wywiadu – mógłby wyczytać coś z jej spojrzenia.

– Przyjaźniła się pani ze świętej pamięci Feliksem Łukasiewiczem?

***

Nie zaoferował herbaty; niektórzy goście nie zasługiwali na gościnność.

– Czy biuro prowadzi jakieś śledztwo? – Nikolai uniósł brew, nie spuszczając wzroku z siedzącego przed nim Kölzowa.

Żołnierze, chociaż skrupulatni, nie mogli sprawdzać pustych szafek w nieskończoność; stali teraz obok krzesła Białorusi, centymetry poza zasięgiem wzroku, drażniąca, niewidoczna obecność.

– Uzupełnia dokumentację – Kölzow uśmiechnął się drapieżnie, wcale nie odrzucony oschłym tonem Białorusi. – Zna się pan dobrze z Taurysem Laurinaitisem?

– Tym tchórzem? – prychnął lekceważąco. – Z konieczności. Mieliśmy kiedyś wspólne interesy.

– Możemy o nich porozmawiać?

Oczy Nikolaia zwęziły się; nie, kurwa, odpierdol się.

– Możemy – rzucił. – Ale nie lubię rozmawiać o interesach na sucho. Może wyślesz jednego z chłopców do monopolowego, a drugiego do księgarni? Rozłożymy mapy i sobie pogadamy o Wielkim Księstwie Litewskim.

– Nie piję na służbie – Kölzow posłał mu rozbawiony uśmiech. – A interesuje mnie bardziej współczesność, panie Arlovski.

Białoruś wzruszył ramionami.

– To obawiam się, że nie mamy o czym gadać – odparł. – We współczesności musiałem zwinąć interes. Rzesza nie ma korzystnych warunków dla starych przedsiębiorców. Przerzuciłem się na produkcję. Lepiej na tym wychodzę.

– A gdybym powiedział panu, że pan Taurys nie żyje? – zapytał cicho Kölzow, obserwując uważnie twarz Białorusi i szukając jakiegokolwiek drgnięcia powieki.

I znalazł; Nikolai pochylił głowę, a potem wykonał niedbały znak krzyża, od prawa do lewa.

– Wo błażennom uspienii wiecznyj pokoj podażd' Gospodi... – wymamrotał pod nosem, zaskarbiając sobie zaciekawione uniesienie brwi, a potem wrócił do niemieckiego. – Od dawna źle wyglądał. Pogrzeb już się odbył?

– To cerkiewny? – Kölzow nieco go zaskoczył tym pytaniem; w Zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej i jej świątyniach ten język rozbrzmiewał już niezwykle rzadko i Białoruś nie spodziewał się, że słowa zostaną rozpoznane. – Pan Laurinaitis również był prawosławny?

– Gdy sprawdzałem ostatni raz, był katolikiem, chociaż nigdy gorliwym – Wzruszył ramionami.

Zapadła ciężka cisza; Kölzow lustrował Nikolaia zamyślonym spojrzeniem.

– Musi to być dla pana ciężkie. Dowiedzieć się o kolejnym odejściu kogoś z waszego gatunku.

Białoruś przymknął oczy; kolejnego, co? Nieźle się tam bawisz z Felią, Tauri.

– Nadchodzi to, co musi – odparł sucho. Któryś z oficerów poruszył się; Nikolai bardziej wyczuł niż dostrzegł kątem oka ruch. Nie podobało się mu to, że ma ich za plecami; spiął ramiona, a potem uśmiechnął się gorzko. – Zaczynamy padać jak muchy, sam czuję po sobie. Jego skurwiała wysokość Weigel musi się cieszyć, nie?

– Nalegałbym na powstrzymanie języka – Kölzow pokręcił tylko głową. – Znieważenie panującego führera jest przestępstwem, nie wiem, czy zdaje sobie pan sprawę.

– Martwym przepisem – Nikolai nie mógł powstrzymać złośliwego uśmieszku. – Ostatni raz skazali za to kogoś w siedemdziesiątym ósmym, sprawdziłem sobie w Netzwerku. Więcej biurokracji niż pożytku.

Kölzow na wzmiankę o sieci spojrzał na jednego z żołnierzy, unosząc brwi:

– A propos Netzwerku...

– Historia i e-post sprawdzone.

– Dobrze – wrócił spojrzeniem do Białorusi. – Sprecher?

– Też.

Nikolai powstrzymał uśmiech; nie był taki głupi, by dzwonić do Taurysa ze sprechera zarejestrowanego na własne nazwisko, a kartkę spalił już dawno temu. Numer wyrył sobie w duszy jak nożem, razem z całą resztą liczb i dat, własnych i nie – skoro ty przestajesz pamiętać, Litwo, ja będę pamiętać za ciebie. Tu na wschodzie zawsze mieliśmy długą pamięć, prawda?

A propos noża, chyba powinienem sobie kupić jakiś porządny…

Milczał, opuściwszy głowę, by Kölzow nie czytał z jego twarzy. Wpatrzył się w blat stołu ponuro, udając, że odpływa myślami.

– Jak umarł? – Słowa uciekły z jego warg cicho, niby nierozważnie.

– Nie wolno mi udzielić tej informacji – Kölzow pochylił się nad stołem i uśmiechnął się współczująco. – Postaram się jednak, by pochowano go w stosownym obrządku.

To musielibyście rozpalić stos i znaleźć jakiegoś przyzwoitego rumaka, by spalić go razem z nim, przemknęło Białorusi przez myśl. Nie wiem, czy wasze procedury przewidują taki wariant pogrzebu. Z drugiej strony, macie doświadczenie w paleniu trupów...

– Zwykle, gdy informuje się kogoś o czyjejś śmierci, pierwszą reakcją jest zaprzeczenie – Człowiek führera przyglądał mu się z zainteresowaniem. – Słyszał pan o pięciu etapach żałoby?

– Mieliśmy siedemdziesiąt lat, by przejść przez pierwsze trzy – Nikolai uśmiechnął się bez wesołości. Uniósł oczy, wpatrując się w Kölzowa, mając nadzieje, że ten ujrzy to, czego Białoruś nigdy nie lubił okazywać. – Rzesza nas zabiła już pół wieku temu. Nawet teraz rozmawia pan z trupem.

– Nie wygląda pan tak źle – Kölzow uniósł kącik ust.

– Wszystko sprowadza się do populacji – Nikolai wzruszył ramionami.

– Zauważyłem – Kölzow skinął głową powoli. Potem wstał od stołu. – Nie będę już pana dłużej trzymał, po pracy na pewno jest pan zmęczony. Do zobaczenia za tydzień.

– A pogrzeb? – zapytał jeszcze Nikolai, gdy oficerowie byli już w drzwiach. – Mogę ubiegać się o pozwolenie?

Kölzow obejrzał się przez ramię.

– Będzie niepubliczny.

– Rozumiem – Kola wykrzywił wargi. – A swoją drogą, moje wyniki już są? Ostatnio coś mnie napierdala tutaj – Dotknął mostka. – Chcę wiedzieć, czy też mam szykować się do trumny.

– Postaram się dowiedzieć czegoś więcej do przyszłego tygodnia – Kölzow skinął mu głową. Potem, gdy żołnierze byli w połowie drogi zarośniętą ścieżką do furtki, spojrzał Nikolaiowi prosto w oczy. – Panie Arlovski... rozumiem, że życie pod kontrolą biura jest ciężkie, ale może... przynieść korzyści.

Białoruś odruchowo się napiął.

– Jestem kurewsko ciekaw, jakie – mruknął ostrożnie.

– Nie chciałby pan spotykać się z siostrą nieco częściej? Charlottenburg nie zawsze był wystarczający, prawda?

Zaschło mu w gardle. Zmusił się do uśmiechu.

– A jaka jest cena? – zapytał lekko.

– Współpraca – Kölzow wyszczerzył się do niego.

Nikolai wpatrzył się w małą szramę pod okiem, której nie zauważył wcześniej. Miał ochotę zrobić mu drugą, symetryczną, najlepiej szklanym tulipanem.

– Gdyby pan postanowił jednak podzielić się jakąś informacją... o niespodziewanej śmierci pana Laurinaitisa, proszę nie wahać się kontaktować. Zauważyłem, że nosi pan ciekawy tatuaż. Niezwykle rzadko ludzie tatuują sobie symbole nielubianego wspólnika w interesach. Zwłaszcza w okolicach serca. – Pochylił głowę z uśmiechem tańczącym na wargach. – Do widzenia, panie Biełarus' – I z triumfem na wargach ruszył przez ścieżkę pełną chwastów, ziół i usychającej ruty.

Nikolai zacisnął szczęki; gdy zniknęli z pola widzenia, przytknął dłoń do piersi. Jeszcze długo stał w drzwiach, wsłuchany w terkot odlatującego helikoptera; zimny powiew szarpał pożółkłymi zaroślami ogrodu.

– Skurwiała Rzesza zawsze była dobra w rozgrywaniu rodzeństwa przeciwko sobie – mruknął. – A ci drudzy kiedy przyjdą pomachać mi przed nosem mordą Wanii? – Odchylił głowę do tyłu i parsknął gorzkim śmiechem. – Już się, kurwa, nie mogę doczekać.

***

Poranki były dziwne; trzy minuty po tym, jak wskazówka na budziku minęła piątą, Gilbert otworzył oczy, gotów zerwać się, złapać za ubrania, przełknąć cokolwiek i gnać do biura.

Ale nie musiał i to drugi dzień z rzędu, bo był wtorek; Prusy leżał w łóżku, a jego ciało, nawykłe do niekończących się wizytacji, niemalże protestowało z tego bezruchu. Tik, tak, sekunda za sekundą, nawet ten pieprzony kot jeszcze spał.

Proszę, oto mój upragniony urlop, pomyślał zirytowany. Uważaj, czego sobie życzysz.

Wczorajsze popołudnie spędził, kręcąc się po mieszkaniu cały w nerwach, ale Ludwig wrócił z biura tak jak zwykle; widział Ferenca na końcu korytarza, skinęli sobie z szacunkiem głowami, ale führer nie pisnął ani słówka.

W co ty grasz, Ferenc, Prusy zazgrzytał zębami. I, kurwa mać, co teraz robi Kölzow?

Wziął mój dyktafon, mój sprecher, mój helikopter i kurwa mać, zamorduję go za to, że położył na niej ręce!

Przymknął oczy i wypuścił powietrze przez zęby; musiał się uspokoić, bo nie może pokazać się dzisiaj Ferencowi z żądzą mordu kłębiącą się pod skórą. I tak ledwo się powstrzymywał przez ostatnich parę dni, a musiał mieć czysty umysł, by grać w tę grę... i nie skończyć w stosie zbitych pionków.

Berta, do tej pory okupująca nogi łóżka, powstała i rozciągnęła się bezczelnie; jaka ona wielka, pomyślał głupio.

– Mam jeszcze jednego kandydata do przegryzienia tętnicy – rzucił do niej. – A może nawet dwóch. Bez problemu mogę zebrać ich wszystkich w jednym pomieszczeniu, ale musiałabyś być szybka, Gilberta.

Kocica niemalże wrzasnęła; Prusy uśmiechnął się szeroko.

– Zaczniesz od tego z zarostem, bo takich jak on należy brać z zaskoczenia – poinstruował ją jak młodego rekruta. – Potem Ferenca, nim zdąży wezwać ochronę. Lefevre'a możesz zostawić na koniec, to frajer…

– Dlaczego planujesz zamach stanu z kotem Litwy? – Dopiero teraz Prusy zorientował się, że drzwi są otwarte i stoi w nich jego brat, spoglądając na niego tak, jakby Prusy postradał zmysły. I się w duchu tego spodziewał.

– Zamach stanu od razu – Gilbert pokręcił głową. – Myślę po prostu, że w pewnym momencie trzeba będzie zacząć działać po staremu i bardziej wpływać na to, kto aktualnie rządzi państwem. Jak kiedyś.

– Gilbert... – zaczął Niemcy ostrzegawczo.

– Ludwig – Prusy uśmiechnął się ku niemu wdzięcznie, ale coś w jego oczach zamigotało mrocznie. – Czy to nie ty po cichu agitowałeś finansowanie Czarnej Orkiestry? Claus ci kiedyś nie dziękował za wkład w zostanie führerem?

– To było co innego – warknął Niemcy. – Hitler oszalał i sprowadziłby na nas... – urwał nagle.

– Zagładę – dokończył cicho Prusy.

– To co innego – Ludwig odwrócił głowę. Posłał gniewne spojrzenie wylegującej się na pościeli kotce, mrucząc pod nosem coś na temat prania. – Kraj funkcjonuje. Ferenc jest dobrym wodzem. To – Wrócił wzrokiem do brata i wbił w niego ostrzegawcze spojrzenie. – Byłaby zdrada.

– Przecież nie mówię poważnie – Prusy zaśmiał się tylko, zakładając ręce za głowę. – Za dużą destabilizację by to spowodowało, wiem. Pozwól staremu człowiekowi marzyć o rozlewie krwi ludzi, którzy wchodzą mu w drogę.

Ludwig pokręcił jedynie głową i z westchnieniem usiadł na pościeli, postanawiając ignorować kalającego ją swoją obecnością kota.

– O której masz spotkanie?

– Dziesiąta – Gilbert opadł na plecy. – Wpadniesz? Poproszę Lefevre'a, by kupił jakieś ciastka, żeby sobie nimi zatkał mordę. Hawela jest piekielnie niewdzięczna, jeśli chodzi o szukanie trupów przez te wszystkie jeziora, więc jeszcze trochę potrwa, nim odwołamy nurków. Odciski palców z wnętrza auta, sprechera, dokumentów... czy raczej ich resztek, wszystkie wskazują na Litwę, więc tutaj nie ma wątpliwości. Ferenc miał nosa co do tych komisji.

Przymknął oczy, sięgając myślami do pozostałych spraw.

– Byliśmy raz jeszcze w jego mieszkaniu. Znaleźliśmy potwierdzenie nadania listu do biura. Przeszedłem się wczoraj do działu komunikacji – Machnął dłonią w powietrzu. Ponieważ biuro relokacji oficjalnie mieściło się w budynku urzędu miejskiego, korespondencja skierowana do niego przechodziła przez ten sam dział, co dla normalnych wydziałów. – Chłopaczyna wynalazł mi z papierów kwit z początku września, że owszem, niejaki Laurinaitis wysłał list, ale numer obywatela był błędny, więc odrzucili i odesłali list ze stosowną zwrotką. Zwrotki nie znaleźliśmy, więc i treść zostaje tajemnicą.

Niemcy przytaknął; bez ścisłych zasad obowiązujących obywateli i filtrujących przychodzące wnioski pracowników urząd miejski dawno temu utonąłby w korespondencji. Bezwzględny nacisk na poprawne wypełnianie wniosków był powszechnie znany.

– Wyjaśnienie rzekomej zmiany zamków? Nie wyszło wam to w ogóle.

– Nie, ale to zawsze jedna rzecz do zastanawiania się nad nią więcej – Prusy posłał bratu znaczące spojrzenie; Ludwig wiedział, jak istotnym było rozproszenie wroga. Na twarzy Gilberta rozkwitł uśmiech. – A ja... cóż, powiedzmy, że klucze w gablotce u dyrektorka wróciły do stanu pierwotnego. Muszę kupić Evie coś ładnego nim ją wyleją.

***

Słowa nie chciały współpracować; zastygł z długopisem ponad czystą kartką, zaszyty w części wspólnej na piętrze hotelu. Telewizor wyświetlał film, na który Litwa rzucał od czasu okiem, ale nie śledził fabuły; zbyt wiele razy już go widział. Nikt nie dołączył, by usiąść na podniszczonych fotelach i porozmawiać; znów było za wcześnie. Większość mieszkańców była w pracy, w tym Feliks, więc mógł swobodnie...

Tłumaczyć było zbyt gładkim słowem; raczej siłować się ze słowami i z własną pamięcią, pomyślał wisielczo Taurys, patrząc na swoje notatki leżące na stoliku. Po godzinie wytężonej pracy były żałośnie krótkie; nie opuścił nawet pierwszej strony książki.

Ale musiał zająć czymś głowę. Polska był w fabryce, nawiązywał kolejne znajomości. Człowiek, który przez pewien czas przebywał na urlopie, miał dzisiaj wrócić do pracy;

chłopak miał talent plastyczny i z rozmów, które Feliks przeprowadził bądź podsłuchał, wynikało, że miał też słabość do gołębi.

Być może był też kolejnym Sonnentaube; ten ptak zbyt często pojawiał się ostatnio w Kursku, by nie zbadali tego śladu, zwłaszcza, że Sania kazał im czekać.

Taurys skrzywił się; ból głowy nie odpuszczał. Sam już nie wiedział, co tym razem; echo tamtej niechcianej wódki, zbyt dużo kawy, za mało snu czy może myśli uderzające raz po raz w jego czaszkę.

Dom Jesienny, zacisnął mocno usta, skreślając kolejny raz ostatnie słowo, bo znów pomylił się w końcówce gramatycznej. W listopadzie już tam będą. Jeśli führer podniesie rękę na jednego z jego braci... Cholera, że też musiał tak spieprzyć sprawę, w przeciwnym razie byłby w Berlinie, o wiele bliżej tamtego miejsca…

O ile tamten adres nadal był aktualny; Litwa zacisnął szczęki. Gdy pojawili się tam z Gilbertem, budynek wyglądał surowo. Być może nie ukończą go do końca miesiąca. To Rzesza; ma setki własnych nieruchomości, a jeśli zajdzie taka potrzeba, może, tak jak przed laty, po prostu zarekwirować odpowiedni budynek...

– W co ja się władowałem – wyszeptał do siebie, odłożywszy długopis na bok, i wsunął palce we włosy. Wpatrzył się niewidzącym wzrokiem w zapisane, pokreślone kartki, duchem będąc w Charlottenburgu, w sali teatralnej, w objęciach rodziny. – Raivi, Edvardai...

Wciągnął drżąco powietrze i zmusił się, by wziąć długopis do ręki i nie myśleć o braciach. Feliks i Erzsébet mieli rację; to pomagało, nawet jeśli czuł się po tym psychicznie wyczerpany.

Gdy jego sprecher zadzwonił, próbował rozgryźć, jak przetłumaczyć nazwę własną tak, by zachowała sens. Niemalże podskoczył, a potem odetchnął z ulgą; Feliks.

– Cześć – mruknął mu w słuchawce Polska, tym samym kocim, rozleniwionym tonem, który Taurys znał z poranków, gdy nie mogli się od siebie odkleić. – Co robisz? – W tle słyszał pracujące maszyny i rozmowy. – I jak się masz?

Od niedzielnych wieści Polska bardzo się o niego martwił; Litwa odrobinę żałował tego, co wyciągnęła z niego wódka. Ale jednocześnie czuł ogromną ulgę; z rzeczy, których nie powiedział podczas ich pamiętnej i bolesnej całonocnej rozmowy, zaraz po powrocie Feliksa, nie zostało już prawie nic.

Prawie; tylko rzeczy, o które poprosił, by Feliks nie pytał.

– Męczę się nad tekstem – przyznał szczerze Litwa, patrząc na papierowe pobojowisko; atrament znaczył jego palce zamiast krwi. – Uspokajam głowę... Co u ciebie?

– Siedzę i zawijam... – Polska na moment urwał, mruknął coś pod nosem o kontroli jakości, rzucił coś do kogoś obok, a potem kontynuował szeptem. – Jakieś wieści?

– Erzsi dała mi tylko znać, że prawdopodobnie wystawili czujkę pod jej kamienicą – Litwa wrócił myślami do bardzo krótkiej rozmowy, którą odbył z Węgrami poprzedniego dnia. – Obiecała, że podzieli się wszystkim później.

Usłyszał westchnienie; Polska milczał przez chwilę.

– Robi się poważnie, nie? – Jakiś hałas; Litwa skrzywił się odruchowo, ale zaraz potem dźwięki przytłumiły się, jakby Feliks zakrył sprecher dłonią. – Czekaj, udam, że idę na fajkę czy coś... – Kroki, skrzypnięcie drzwi, a potem szum ulicy. – Erzsi, Niko, Katia. A to dopiero pierwszy dzień nowej ekipy.

Głos Feliksa był bardzo ponury. Obawiali się wizytacji u Erzsébet; nie mieli pojęcia, co ten Kölzow wie o Ukrainie i Białorusi, a w szczególności o tym ostatnim. I o jego więziach.

– Dzisiaj zagadają pewnie do Francisa, oby tym razem trzymał gębę na kłódkę... Rumunia nic mu nie powie, o którego z nas by nie pytał. Radmila i Jakub też – Jego głos spadł do słabego, ledwie słyszalnego szeptu. – Nie mają co.

– Feliksai... – szepnął Litwa miękko, rozpoznając niewypowiedziane wyrzuty sumienia.

– Przepraszam – bąknął Feliks cicho, nadal bezbarwnie. – Dzięki temu, że nasza relacja właściwie nie istnieje, są bezpieczni. Nie powinienem... Wiem, że się o martwisz o Raivisa i Edwarda, zawsze starałeś się ich chronić.

Taurys pokręcił głową; gdy zdał sobie sprawę, że Feliks nie może go zobaczyć, szepnął kilka ciepłych słów w sprecher; wyczuł niepewny uśmiech w kolejnej odpowiedzi Polski.

– Pójdę powęszyć – powiedział po chwili, zmieniając temat. – Nie mogę siedzieć tu całymi dniami.

– Załóż kamuflaż – zastrzegł Feliks poważnie, ale coś w jego głosie drgnęło rozbawieniem.

Taurys westchnął; od całkowitej żałoby do chodzenia w bieli, i to wyglądając jak dzieciak z jego szkoły, w zaledwie trzy miesiące. Jego uczniowie najpewniej dostaliby szoku, ale zmiana garderoby była konieczna; biuro w końcu szukało nauczyciela w ciemnej koszuli. I nie tylko biuro; policja też.

– Ostatni raz pozwalam ci kupować mi ubrania, Feliksai – spróbował zażartować, a śmiech Feliksa był balsamem na każdą z ran.

– Szkoda, widziałem ostatnio pomarańczowy golf, który by ci doskonale pasował.

– Pomarańczowy? – zapytał zbity z tropu Litwa.

– Pod brązową marynarkę... – rozmarzył się Polska; Litwa zaśmiał się razem z nim, na moment zapominając o wszystkich problemach. – Wyglądałbyś jak rudzik. Brałbym.

Przez ostatni komentarz Taurys niemalże się zakrztusił i podziękował wszystkim siłom nadprzyrodzonym, że nadal był sam.

– Do tego nie musisz iść na zakupy – mruknął, osłaniając usta dłonią, by ukryć swój uśmiech.

– Uuuu – Feliks śmiał się już otwarcie. – Uważaj, bo urwę się z roboty wcześniej.

Litwa jedynie pokręcił głową; wieczorem, pomyślał rozbawiony.

– Rozmawiałeś z tym chłopakiem? – zapytał po krótkiej chwili. – Myślisz, że to ktoś od nich?

– Dam sobie rękę uciąć, że tak – Feliks spoważniał, a jego głos ściszył się do szeptu. – Wrócił dzisiaj do pracy, zagadałem do niego na przerwie i zajrzałem do szatni, gdy już wrócił do taśmy. Ma gołębia wyszytego na kurtce. Młody dzieciak, nie ma więcej niż dwadzieścia lat. Problemy zdrowotne, prawdopodobnie rodzinne też, z tego, co

wywęszyłem. Miły chłopak, raczej prostolinijny. Gdybym miał zgadywać, to Sonnentaube wyświadczyło mu jakąś przysługę albo w czymś pomogli, bo na pierwszy rzut oka nie wydaje się być bojowo nastawiony do kogokolwiek.

To pasowałoby do tego, o czym myślał Taurys; skinął głową.

– Chyba, że to cicha woda – mruknął jakby do siebie.

– Możliwe – zgodził się Polska. – W każdym razie, zna Sanię. Przypadkiem mi się wymsknęło, że razem piliśmy na imprezie i okazało się, że się znają – dodał niewinnym tonem; gdyby siedział przed Litwą, Taurys na pewno dostrzegłby ogniki w jego oczach. – Nie dopytywałem o nic więcej, oczywiście. Nie sądzę, że to przypadek, nie?

– Zdecydowanie nie – Litwa zmarszczył brwi. – Dobrze by było poznać go bliżej... Na jakim dziale pracuje?

Ten chłopak był jak dotąd jedynym pracownikiem fabryki słodyczy, którego mogli wyraźnie powiązać z Sanią i Gołębiami; w hałasie maszyn Feliks słyszał wiele różnych rzeczy, od niechęci do poparcia, ale słowa były tylko słowami. Wyglądało na to, że ogół pracowników zdał sobie sprawę z istnienia jakichś ciemnych sprawek, ale znalezienie kogoś, kto faktycznie brałby w nich udział, było wyzwaniem.

– Przy produkcji landrynek z masy – odparł Feliks, odgadując to, co Taurys miał na myśli. – Jestem ciekaw, czy na taśmie znajdę dzisiaj jakieś gołąbki. Jeśli tak, zaproponuję dzieciakowi wyskoczenie na piwo.

– Spotkamy się w pokoju – przytaknął Litwa, ale Polska miał inne plany:

– Też przyjdź, Licia. Dwie ulice od fabryki jest taki studencki bar, spróbuję go tam ściągnąć na dwudziestą, że niby szukam nowych znajomych w mieście. Jestem pewny, że znajdziesz z chłopakiem wspólny język, hihi.

Taurys zmarszczył brew, nie wiedząc, co Polska ma na myśli, nim jednak zdołał dopytać, Feliks cicho syknął w słuchawkę:

– Muszę iść, kierowniczka mnie szuka, dostanę opierdol za zbyt długą przerwę. Pa. Kocham cię!

I cisza; Taurys odłożył sprecher i wrócił do kartek; na drugiej stronie tłumaczenia zaczął kreślić fałszywe nuty, próbując zaplanować, jak i o co powinni wypytać chłopca, by nie wzbudzić podejrzeń. I jednocześnie nie myśleć o tym, jak przebiegały wizytacje, teraz, gdy odsunięto od nich Gilberta.

Gdy skończył, zebrał notatki i upewnił się, że na wierzchu nie zostało nic ważnego. Wrócił do pokoju i tam przyklęknął przy torbie podróżnej Feliksa; w milczeniu wyciągnął z jednej z kieszonek trochę gotówki, a w innej odszukał małe, plastikowe pudełeczko.

– Nigdy się do tego nie przyzwyczaję – uznał, gdy stanął w łazience przed lustrem. Jednym palcem odsunął dolną powiekę, by przybliżyć do oka soczewkę umieszczoną na czubku drugiego; potem skrzywił się i zamrugał kilkakrotnie, by ta ułożyła się poprawnie na gałce ocznej. Powtórzył to samo z drugim okiem.

Z tafli spojrzały na niego ciemnobrązowe, niemal czarne tęczówki; naturalna barwa jego oczu skryła się pod nimi i tylko przyglądając się Taurysowi z bliska można było dostrzec zarys krawędzi soczewek. Potem wsunął na nos okulary-zerówki

o cienkich, prostokątnych oprawkach; nieprzyzwyczajonemu do ciężaru Litwie trudno było powstrzymać się przed ciągłym ich poprawianiem.

Ale to było konieczne; gdy wychodził w miasto w jasnych, luźnych ubraniach, nie przypominał siebie z fotografii z komisji.

***

Zagwizdał wesoło, a dźwięk poniósł się po tafli wąskiej rzeki, gdy przechodzili przez most. Pola na prawym brzegu były już skoszone, więc lądowisko na jednym z nich nie wyróżniało się niemalże wcale; potrzebowali instrukcji od biura, by odnaleźć odpowiednie miejsce.

Tutaj, w przeciwieństwie do innych miast, nie czekał na nich samochód; najwidoczniej do tej pory nie było takiej potrzeby, bo obserwowany mieszkał po drugiej stronie płynącego spokojnie Sile.

– Dam znać biuru, żeby jednostka wojskowa z Venedig zapewniła nam auto następnym razem – odezwał się do idących za sobą żołnierzy.

Może i Beilschmidt nie czuł potrzeby posiadania samochodu w Treviso, ale Kölzow nie zamieszkał odpuścić; nie będę przecież nikogo ścigał na piechotę, uniósł kącik ust, gdy usłyszał za sobą potwierdzenie. Kto wie, do czego ten gatunek jest zdolny.

To była ciekawa odmiana od codziennych spraw; w wywiadzie ostatnio niewiele się działo, a skoro sam führer zażądał odpowiedniego człowieka, Aidan Kölzow upewnił się, że dokładnie zapoznał się ze sprawą i zgromadzoną dokumentacją. Anton Lefevre miał dużo uwag co do wizytacji i z wieloma można było się zgodzić, ale tutaj potrzeba było specjalisty.

Przesłuchanie Erzsébet Héderváry nie przyniosło wiele, ale miała zbyt dużo powiązań z rzekomo martwym Polską i aktualnie podejrzewanym o krętactwo Gilbertem Beilschmidtem, by zostawić ją w spokoju; niech ktoś ma na nią oko. Zwłaszcza, że gwałciciele wyszli już z aresztu i mogliby się mścić za dłuższy niż zazwyczaj wyrok; może biuro mogło coś ugrać, zapewniwszy jej lepszą ochronę?

Nikolai Arlovski był ofensywny i opryskliwy i mógł być kluczem do zaginionego Laurinaitisa, jeśli ten faktycznie nie rzucił się do rzeki; Kölzow zmarszczył brwi. Zeznania tej Walkenhorst brzmiały wiarygodnie, ale to Lefevre'a i Beilschmidta wysłano, by ją przesłuchali. Co prawda, on i najwyższy wódz przesłuchali całość nagrania, ale i tak wolałby tam być osobiście, szukać wskazówek w mowie ciała i mimice, zamiast polegać na tym, na kim najwyraźniej führer polegać już nie mógł. Ale i tak nie mogli zignorować tego, co znaleźli na brzegu Haweli...

Siostra Nikolaia, Kateryna, była zbyt pijana, by dało się z nią rozmawiać; skończyło się na przeszukaniu, nie znaleźli nic podejrzanego. Może w Domu Jesiennym coś z niej wyciągną...

Dzisiaj rano odwiedził Radmiłę; kobieta nieufnie wpuściła go do środka, a zapytana o Feliksa Łukasiewicza odpowiedziała tylko, że nigdy nie utrzymywali zbyt bliskich kontaktów, mimo że dokumenty nazywały ich rodzeństwem.

– To wszystko to udawanie – odparła, mocno zaciskając usta. – Czasem nazywamy siebie nawzajem rodziną, żeby poczuć się bardziej ludzko, to wszystko.

Brzmiała szczerze; Kölzow skatalogował ją w kategorii najmniej podejrzanych.

Kolejny na liście: Francis Bonnefoy, mężczyzna, od którego Lefevre dowiedział się o istnieniu tego intrygującego gatunku. Kölzow miał nadzieję, że też dowie się czegoś interesującego.

I oto on, pomyślał, patrząc przed siebie i zwalniając kroku.

Po rzece niosły się barwne liście, a Francis, chichocząc wdzięcznie, zarzucił ramię na oparcie drewnianej ławki, poufale pochylając się nad dobrze zbudowanym mężczyzną, który wydawał się zadowolony z tego zainteresowania. Kölzow uniósł brew, nieco rozbawiony tym wyraźnym flirtem. Najwidoczniej zapędy w kierunku własnej płci były w tym gatunku powszechne.

– Kochaniutki, powiedz, co muszę zrobić, byś się ze mną umówił drugi raz?

Kobieta wchodząca do domu obok, krągła blondynka o mocno umalowanych, pełnych ustach, nieco zbyt głośno trzasnęła drzwiami, mocno wydymając wargi, nim zniknęła w środku. Francis Bonnefoy rzucił jej krótkie spojrzenie, westchnął jakby rozczarowany, a potem obejrzał się na uliczkę.

Gdy dostrzegł Kölzowa i podążających za nim żołnierzy, na jego twarzy zamigotało nieprzyjemne zaskoczenie; potem uśmiechnął się wymuszenie i rzucił coś zalotnie do mężczyzny, nim zwinnie wstał z ławki. Jego towarzysz mruknął coś i odszedł, podczas gdy Francja czekał w milczeniu.

– Druga zmiana? – zapytał z bladym uśmiechem, gdy Kölzow zbliżył się na odległość ramienia.

– Tout à fait, monsieur Bonnefoy.

Słysząc idealny akcent, coś w głębi oczu Francisa drgnęło. Kölzow obserwował, jak zmusza się do uśmiechu.

– Więc zapraszam do środka.

***

Mimo tego, że był zaledwie wtorek, pub tętnił życiem; początkiem października cała studencka brać nie miała jeszcze dość spotkań. Nie była jednak zbyt liczna; w Kursku działało kilka małych, mało prestiżowych uczelni, a z tego co Taurys wiedział, każdy, kto mierzył wyżej, wyjeżdżał do większych miast.

Było ciemno, tłoczno i głośno; Litwa stanął w progu, próbując odnaleźć Feliksa. Młodzi ludzie gromadzili się wokół drewnianych stołów, siedząc na wyglądających na niewygodne drewnianych krzesłach. Kilka grupek szczęśliwców zajęło loże złożone ze skórzanych kanap. Na ciemnych ścianach odbijały się odblaski złocistych lamp, ale nie rozpraszały one w pełni półmroku.

W powietrzu czuć było piwo i przekąski. Mimo tabliczki z zakazem palenia i paroma plakatami za barem, sygnowanymi rządowym godłem, gdzieś w kacie wirował papierosowy dym, a mijająca właśnie Taurysa kelnerka głośno na to narzekała.

Ruszył do przodu, nie chcąc blokować drzwi, i wtedy właśnie mignęły mu jasne włosy Feliksa; siedział odwrócony tyłem i gestykulował coś do człowieka naprzeciw. Taurys nie widział ich zbyt dokładnie; zamiast do stolika skierował się wpierw do baru, rzucając spojrzenie menu wypisanemu kredą na tablicy.

– Lane? – zapytał znudzony człowiek za kontuarem, już sięgając do kranu.

Litwa pokręcił głową.

– Jakiś Kinderbier – poprosił cicho. – Lekarz zabronił normalnego.

Barman skinął głową ze współczuciem i na moment zniknął pod barem; zadźwięczały butelki.

– Vitamalz może być...?

– Tak, dziękuję – Litwa położył kilka marek na blacie; chwilę później szedł z kuflem napoju, który na pierwszy rzut oka wyglądał całkiem jak ciemne piwo, pachniało nawet podobnie, słodem.

Gdy dotarł do loży na samym końcu pubu, Polska akurat odwrócił głowę; na widok Taurysa jego oczy zabłysły.

– Jesteś, Meelis! Chodź, poznam cię z moim nowym kumplem, dużo mu o tobie opowiadałem!

Nie wiem, czy chcę wiedzieć, co mu ściemniłeś, pomyślał Litwa, zwracając uwagę na towarzysza Feliksa.

Chłopak uśmiechał się uprzejmie i nieco nieśmiało. Czarne loki wiły się wokół jego twarzy, a ciemne oczy lśniły jak odłamki obsydianu. Na jego szczupłych ramionach wisiała efektownie nieco za duża, kremowa koszula; miał w sobie coś z renesansowego anioła.

– Miło poznać – powiedział wesoło, wyciągając dłoń ponad stolikiem. – Simonas Giedraitis.

Sylaby były wzruszająco znajome; słowa zsunęły się z warg Litwy same, bez zastanowienia:

– Miło cię poznać, Simonai.

– Moja babcia zawsze mnie tak nazywała – zdziwił się Simonas, z uśmiechem nieschodzącym z ust. – To jakaś stara forma? Nigdy jej o to nie zapytałem.

– Wołacz – powiedział cicho Taurys, a potem zawahał się; niemiecki nie miał wołacza i to słowo brzmiało obco, jak wyjęte ze specjalistycznych podręczników. Te były rzadkością; w końcu obywatele Rzeszy nie potrzebowali obcych języków, jeśli nie licząc podstaw łaciny i greki w niektórych szkołach. Jego przestała je oferować na długo przed tym, jak zaczął w niej pracować. – Bezpośredni zwrot.

– Podoba mi się – Simonas wyszczerzył zęby. – Też masz imię po dziadku?

– Mówiłem, że się dogadacie – zaśmiał się Feliks, łapiąc Litwę za rękaw i ściągając w dół, by usiadł obok na kanapie. Litwa opadł na miękkie siedzisko, zapadając się w nim. – Wspólne korzenie, czy coś. – Coś błysnęło w jego spojrzeniu. – Simonas, długo już robisz przy cukierkach?

– Prawie dwa lata, ale z przerwami – Chłopak zwrócił uwagę na Feliksa. – Mówiłeś, że zacząłeś we wrześniu?

– Gdzieś w połowie – Feliks machnął ręką. – Wiesz, jak jest. Meelis też szuka roboty – dodał, szarpnięciem głowy wskazując na Taurysa. – Próbowałem go wcisnąć, ale chyba u nas wstrzymali rekrutację.

Simonas spojrzał współczująco w kierunku Litwy; bezrobocie musi być prawdziwym problemem, pomyślał Taurys.

– Spróbuj jeszcze przed świętami, wtedy zawsze zwiększamy obroty, bo fabryka dostaje większe zamówienia – poradził szczerze, wyraźnie zatroskany, mimo że dopiero co ich spotkał. – Od początku grudnia często zatrudniają nawet na chwilę, ale warto się wtedy wykazać, bo mogą zostawić na dłużej. Ja się tak załapałem.

– Dziękuję, spróbuję – skinął głową.

Pozwolił Feliksowi prowadzić rozmowę, samemu mocząc wargi w słodowym, bezalkoholowym piwie, obserwując ukradkiem Simonasa. Przyjemne ciepło rozlało się w jego sercu; jeden z moich, pomyślał. A raczej, byłby jednym z moich, gdyby świat potoczył się inaczej.

Obok loży stał wieszak; dostrzegł gołębia na lekkiej, nieco podniszczonej kurtce deszczowej. Wyszyto go kolorowymi nićmi, ale jedynie kontury, więc łatwo można było go przeoczyć; Litwa opuścił wzrok na dłonie Simonasa, otulone wokół kufla piwa i odnalazł na jego palcach wyblakłe, barwne plamy – niedoszorowane ślady po farbach i nagle był pewny, kto odpowiada za wizerunki gołębi.

Szkoda, pomyślał, obserwując, jak Simonas wybucha śmiechem z powodu czegoś, co właśnie rzucił Polska, że będziemy musieli cię zdradzić.

Ale nie wcześniej, nim dowiemy się, co planujecie i jak to ma przerodzić się w pełnoskalową wojnę.

***